X. W. KRUSZKA

SIEDM SIEDMIOLECI

TOM 2.

SIEDM SIEDMIOLECI

CZYLI

PÓŁ WIEKU ŻYCIA

TOM II.

SIEDM SIEDMIOLECI

CZYLI

PÓŁ WIEKU ŻYCIA

PAMIĘTNIK I PRZYCZYNEK
DO HISTORJI POLSKIEJ W AMERYCE

NAPISAŁ

X. WACŁAW KRUSZKA
PROBOSZCZ PARAFJI ŚW. WOJCIECHA W MILWAUKEE, WIS
AUTOR „HISTORJI POLSKIEJ W AMERYCE“

TOM II.

POZNAŃ — MILWAUKEE
NAKŁADEM AUTORA.
CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
1924

SZÓSTE SIEDMIOLECIE.

(Wiek Męstwa od 1903—1910.)

Część II.

58. Powrót do Ameryki. — Na pokładzie okrętu spotykam biskupa O'Connor i jego świtę. — Gibraltar. — Wpomnienia rzeczy minionych.

Kiedy w Neapolu 22 kwietnia 1904 wsiadłem na okręt „Ireny“, odpływający do New Yorku, zastałem na pokładzie okrętu jednego biskupa i czterech księży, wracających do Ameryki. Ani ja ich nie znałem, ani oni mnie. Ale rzymskie kołnierzyki odrazu nas zbliżyły do siebie i poznaliśmy się wzajemnie. Był to biskup John Joseph O'Connor z Newarku i jego świta, wszyscy ajrysze. Gdy im się przedstawiłem i powiedziałem, jak się nazywam i gdzie w Ameryce mieszkam, wszyscy głowy pozdzierali do góry i, patrząc na mnie, jak na raroga, z dziką jakąś radością wykrzykiwali:

— Are you the Fahter Kruszka of Ripon, Wisconsin, who went to Rome in te Polish Bishops affair? O, we are mighty glad to meet you!...

Mówili, że już dużo o mnie słyszeli i czytali w gazetach, a teraz ogromnie się cieszą, że się ze mną spotkali. Ale kiedy im powiedziałem o ostatniej audjencji w Watykanie i o pomyślnej odpowiedzi papieża, odrazu głowy pozwieszali na dół i spoważnieli w głębokiem zadumaniu.

— Przecie Ameryka, to nie Polska — odezwał się jeden — po co więc w Ameryce mają być biskupi polscy?

— Przecie Ameryka, to nie Irlandja — odparłem — po co więc w Ameryce mają być tylko biskupi irlandzcy?

— My ajrysze jesteśmy Amerykanami.

— My Polacy jesteśmy także Amerykanami.

— My po angielsku mówimy a nie po aryjsku.

— My po angielsku mówimy i po polsku.

— Dlatego właśnie nie jesteście Amerykanami, lecz obconarodowcami (foreigners), ponieważ obcym w Ameryce posługujecie się językiem.

— Dlatego właśnie jesteście dziwolągami natury, że ajryszami będąc, po ajrysku mówić nie umiecie, tylko po angielsku. Po ajrysku zawsze myślicie, a po angielsku zawsze mówicie; Anglików nienawidzicie, a w angielskim języku przecie się kochacie. Czy to nie dziwolągi z was? czy to nie anomalja? My Polacy, kiedy myślimy po polsku, to i mówimy po polsku, jako normalni ludzie.

Takie i tym podobne rozmowy prowadziliśmy w ciągu podróży na pokładzie okrętu, w sali dla palących lub w jadalni, gdzie zawsze razem przy jednym stole siedzieliśmy.

Płynąc przez Morze Śródziemne, widzieliśmy z daleka górzyste wybrzeże wyspy Sardynji. Na poręcz okrętu często siadały jaskółki zmęczone, zziajane i spocone. Mogłeś się do nich zbliżyć, a nie uciekały, tak bardzo potrzebowały odpoczynku. Minęliśmy następnie południowe wybrzeże Hiszpanji. Tu powierzchnia morza była tak gładka jak zwierciadło. Ani jednej zmarszczki na wodzie nie widziałem.

W cieśninie Gibraltaru widziało się tak zwane w starożytności „Słupy Herkulesa", to jest olbrzymią skałę Gibraltaru po prawej ręce, a po lewej wybrzeże afrykańskie z niebotycznemi górami Atlasu w oddaleniu. Wyjechałem z Neapolu o godz. 7-ej wieczór w piątek 22 kwietnia. Morze Śródziemne nieco burzliwe. Na drugi dzień przed południem widzieliśmy już skaliste brzegi wyspy Sardynji, a w czwarty dzień w poniedziałek 25 kwietnia przystanęliśmy na 3 godziny w zatoce Gibraltar. Przestrzeń z Neapolu do Gibraltaru, około 1000 mil morskich, przepłynęliśmy więc w przeciągu 62 godzin. Okręt nasz wiezie około 2 450 osób — w samym Neapolu wsiadło 1 475 Włochów emigrantów. Księży jedzie nas ośmiu i 2 polskich kleryków, mianowicie Lasończyk i Rufin Barański, obydwaj ze Śląska, przeznaczeni do diecezji Columbus, jadą na dokończenie swoich studjów do seminarjum w Baltimore, Md. Oprócz mnie jedzie ks. Montaner, Hiszpan ze San Francisco, dalej Najprzew. ks. biskup O'Connor z Newarku, N. J., wraz z świtą i jeszcze jakiś ksiądz brodaty.

W Gibraltar, korzystając z trzygodzinnego przystanku, zrobiliśmy wycieczkę do miasta i fortyfikacyj — poczem nasz okręt puścił się w dalszą drogę, płynąc pomiędzy „Słupami Herkulesa" na otwarty ocean.

Tu na pełnym oceanie przysiadłem w kąciku na górnym pokładzie okrętu, zdala od gwaru, i sam na sam zacząłem rozmyślać o świeżych przejściach w Rzymie. Potem poszedłem do bibljoteki, wziąłem papier i pióro do ręki i napisałem następujące:

Wspomnienie rzeczy przeszłych.

Na pokładzie „Ireny" — 26 kwietnia 1904. — Słowa stanowcze i rozstrzygające kwestję, jakie Jego Świątobliwość Pius X wypowiedział do mnie: „Decisio erit quantocius, et quidem secundum vestra desideria" — dźwięczą mi mile w uszach jeszcze dziś, kiedy na pełnym oceanie żegluję już z powrotem do Ameryki. Po tylu a tak długich usiłowaniach, trudach i zabiegach usłyszeć nareszcie z ust samego Namiestnika Chrystusowego słowo pewne, stanowcze i uroczyste, słowo rozstrzygające sprawę, i to rozstrzygające na korzyść naszą, — naszą, bo nie jednostki, lecz ogółu amerykańsko-polskiego: — czyż to nie jest powód do wielkiej a niewysłowionej radości.

Człowiek cofa się myślą wstecz — w minioną przeszłość, zwłaszcza ostatnich 11 miesięcy. Jedno pasmo walk, zakończonych zwycięstwem. Człowiek idzie myślą naprzód i pyta: a przyszłość jaka będzie? Odpowiedź: także jednem pasmem walk, zakończonych zwycięstwem. „Bojowaniem jest życie człowieka na ziemi" — powiedział Job św. Bez walki nie masz zwycięstwa. A zwycięża wkońcu każdy, kto walczy w imię Boże, kto woła: „W Tobiem, Panie, nadzieję położył, i nie będę zawstydzony na wieki". Bo któż jak Bóg?

Pogański poeta Homer powiedział: „Nie masz dla bogów Olimpu milszego widoku nad widok człowieka borykającego się mężnie z przeciwnościami życia". Istotnie, bogi pogańskie tylko biernie przypatrywały się człowiekowi walczącemu z przeciwnościami życia — ale nie tak nasz Bóg, żywy i prawdziwy, który nie tylko patrzy, lecz i dzielnie wspomaga człowieka w jego walce. Wielkim zaiste jest Pan i Bóg nasz, niech będzie imię jego błogosławione na wieki!

Kiedy człowiek dziś pomyśli o tych rzeczach minionych, o tych trudnościach pokonanych, o tych przygnębieniach szczęśli-

wie przebytych, o tych przeszkodach przezwyciężonych — musi chcąc niechcąc z głębi duszy zawołać: „Mocny jest Pan zastępów!"

To „Ramię Pańskie" dziś nie jest ukrócone — byle tylko wiara nasza w sprawiedliwość Bożą była zawsze silną i niezachwianą. Słuszna sprawa wkońcu zwyciężyć musi — chybaby Boga na niebie nie było, ale Bóg jest! Tą wiarą żywą zwyciężymy wszelkie przeszkody wewnątrz i zewnątrz nas! „To jest zwycięstwo — mówi Jan św. — które zwycięża świat, wiara nasza!" Wiara w co? Nie w cudze bogi, lecz w Boga ojców naszych, w Boga żywego i prawdziwego — ta wiara zwycięża świat!

Przebiegu całej tej walki w sprawie równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce opisywać nie będę. O ile sobie przypominam, ostatni mój list w tym względzie pisany był 13 listopada roku 1903. Od owego czasu — milczałem. A milczałem raz dlatego, że było tyle do działania, iż do mówienia nie było czasu; a powtóre, że uważałem za roztropne zastosować się do zasady Mickiewicza, wyrażonej w tym czworowierszu:

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie, które szepce swemu narodowi;
Są takie, które zwierza przyjaciołom domu,
Są takie, których odkryć nie może nikomu".

Ktoby zresztą policzył wszystkie kroki i zachody około tej sprawy? Dość powiedzieć, że wizyt u samych kardynałów było ze 180, nie licząc wizyt u innych dostojników kościelnych. Ktoby opisał wszystkie słowa, rozmowy i rozprawy?... słowa, którem słyszał i słowa, którem mówił?...

Przeprowadzenie sprawy naszej w Rzymie było podobne, że tak się wyrażę, do szkolnej tezy w wydziale filozoficznym i teologicznym. Najpierw postawiło się tezę, że: „Nie tylko słusznem i sprawiedliwem, ale koniecznem jest, żeby Polaków uwzględniono w hierarchji kościelnej w Ameryce". Nastąpiło objaśnienie znaczenia tej tezy czyli „status questione" czyli o co nam chodzi. Poczem przytoczono dowody niezbite. Przyszło do zarzutów i trudności stawianych przez naszych przeciwników — trzeba je było rozwiązać i zbijać tak, żeby teza raz postawiona w swojem prawdziwem brzmieniu się ostała i utrzymała. I rzeczywiście, nie obaliły jej żadne zarzuty i trudności, owszem ostała się w całej swojej rozciągłości i zatwierdzoną została przez Najwyższą Powagę nauczycielską słowy: „Decisio erit quantocius, et quidem secundum vestra

desideria". Następują teraz Scholia i Corollaria, czyli wnioski i rezultaty bardzo doniosłe dla całej przyszłości Polonji amerykańskiej.

Oto przeprowadzenie sprawy w ogólnym zarysie. W szczegóły wchodzić przy tym opisie niepodobna.

59. Azory. — Wyratowanie ośmiu rozbitków słowiańskich i dwóch papug na środku oceanu.

Śliczne widoki mieliśmy, gdy okręt nasz płynął pomiędzy wyspami Azorskimi. Nazwa Azores znaczy Jastrzębie wyspy. Azory, wyspy wśród Atlantyku, należą do Portugalji. Dzięki uroczemu klimatowi porosłe są gajami pomarańczowymi. Stanowią one tak zwany archipelag czyli gromadę wysp blisko siebie leżących. Jest ich dziewięć, i prawie wszystkie powstały wskutek wybuchów wulkanicznych. Pełno na nich widzieliśmy kraterów wygasłych. Minąwszy z daleka wyspę Santa Maria, płynęliśmy tuż blisko stromych i urwistych brzegów podługowatej wyspy Fayal, gdzie okręt nasz przystanął na chwilę dla oddania poczty. Ludzie zewsząd wybiegali z domów i, powiewając chustkami, z widoczną radością witali przejeżdżający nasz okręt. Każdą piędź ziemi na wyspie wyzyskują i uprawiają pod zasiew. Na stromych skałach porobili tarasy i posypali je ziemią urodzajną. Na grzbiecie wyspy ciągnął się cały szereg wiatraków pięknie pomalowanych o śmigach różnobarwnych. Minęliśmy wyspę Pico z tak zwaną „pikelhaubą", czyli najwyższą bo blisko 8000 stóp wysoką górą wulkaniczną, której spiczasto zakończony stożek wysoko ponad chmury sterczał niby istna olbrzymia pikelhauba na pruskim hełmie. Szczyt tej góry było widać jeszcze wtedy, gdy okręt odpłynął od niej jakie 70 mil.

Na pokładzie „Ireny" d. 1 maja. — Dzisiejszą niedzielę i dzień pierwszy miesiąca, poświęconego czci Marji, rozpoczęliśmy na okręcie bardzo dobrze i prawdziwie po bożemu czyli pobożnie. Bo oto nasza „Irena" uratowała życie ośmiu żeglarzom i — dwom papugom. Rzecz się miała tak. Dziś rano o 6-ej godzinie majtek stojący na straży w koszu, wysoko na maszcie, spostrzegł hen daleko na krawędzi widnokręgu jakiś żaglowiec. Nasz kapitan natychmiast skierował okręt ku temu żaglowcowi. Około 7-ej godziny byliśmy już niedaleko tego rozbitka; widać było maszty połamane, żagle podarte, bałwany morskie zalewały pokład biednego żaglowca. Zbliżywszy się, nasza „Irena" przystanęła, lecz w od-

daleniu półmilowem od rozbitka, gdyż morze wzburzone nie dozwala okrętom zbliżać się do siebie. „Irena" spuściła łódź ratunkową, do której wsiadło ośmiu majtków naszych, dzielnych wioślarzy, z oficerem przy sterze. Spienione bałwany rzucały łodzią, jak łupiną orzechową, to w tę, to w ową stronę — oficer zmuszony był użyć wiosła za ster, żeby jako tako uśmierzyć gwałtowność fal morskich, nasza „Irena" krążyła naokoło owego rozbitego żaglowca. Łódź ratunkowa tymczasem zbliżyła się do rozbitka, zabrała załogę, złożoną z 8 ludzi i powróciła z nimi do „Ireny" naszej. Przyjęliśmy ich grzmotem oklasków i wiwatów. Kapitan rozbitego okrętu niósł ze sobą skrzynkę z dokumentami, oraz dwie papugi, wrzeszczące zapewne z radości, które złożył w ofierze naszemu kapitanowi „Ireny" w dowód hołdu wdzięczności za ocalone życie. Opowiadaniom rozbitków o swoich przygodach nie było końca. Są to wszyscy Słowianie (Dalmatyńcy), rozumieją i po polsku — tem większa moja radość, żeśmy ich uratowali. Dobra to wróżba! Na żaglowcu rozbitym widziałem przez lornetkę złocistymi literami wypisane po słowiańsku imię: „Marije" (liczba mnoga od „Marja"), gdyż żaglowiec nosił to imię (jak mię objaśnili) ku czci dwu dobrodziejek, którym obydwom było imię „Marja", więc dwie „Marje"! Żaglowiec przez burzę został tak uszkodzony, że zaczął mocno ciec. Od 9 dni, dzień i noc musieli pompować wodę, lecz woda coraz bardziej naciekała. Ręce i nogi im popuchły, pomęczeni, niewyspani, niektórzy nie chcieli już wody pompować, lecz wtedy kapitan wyjął rewolwer i zagroził, że zastrzeli tego, któryby nie chciał pompować. Pomimo ciągłego pompowania woda napełniała żaglowiec coraz bardziej. Najdłużej jeszcze jeden dzień mogli wytrzymać wyczerpani majtkowie. Żaglowiec ich, 350 ton pojemności, zbudowany niedawno kosztem 12 000 dolarów, był jeszcze nowy, ale napotkał wściekłą burzę, która zerwała mu żagle i maszty połamała. Jechał z Aruby, Wenezueli, do Genui we Włoszech, z ciężkim ładunkiem gnoju ptasiego, zwanego guano, wartości 20,000 dolarów. Opuszczając rozbity okręt, majtkowie rozlali w kajucie naftę i zapalili ją, żeby przepalony okręt prędzej zatonął i nie był zawadą dla drugich okrętów. Atoli niewiadomo czy się spalił. Odjeżdżając widzieliśmy tylko słabo kopcący się dymek. Zasadą jest, że z rozbitego okrętu ratuje się tylko ludzi. I nasz kapitan dał ścisły rozkaz, żeby ratować tylko życie ludzkie, nic więcej. Prosięta więc i kurczęta żywe, jakie mieli na żaglowcu, rozbitkowie musieli pozostawić na toną-

cym okręcie. Atoli dwie żywe papugi zabrali jednak do łodzi ratunkowej i przywieźli je na nasz parowiec. Widząc to nasz kapitan zawołał piorunującym głosem:

— Jakiem prawem śmieliście ratować te papugi. Mieliście przecie ode mnie wyraźny rozkaz ratować tylko ludzi?

— Panie kapitanie — odpowiedzieli — te papugi znają także mowę ludzką, zatem zaliczyliśmy je tym razem także do ludzi!

Na to kapitan nasz uśmiechnął się dobrotliwie i nic nie mówił. A papugi zaczęły wrzeszczeć głośno z radości, że je wyratowano. Ofiarowano je naszemu kapitanowi, w dowód czci i wdzięczności za ratunek. My pasażerowie pierwszej klasy urządziliśmy nawet bankiet kapitanowi „Ireny" za to, że pospieszył na ratunek rozbitkom. Nie każdy bowiem kapitan to czyni. Rozbitkowie od dni dziewięciu wyglądali okrętu — i widzieli parę okrętów przejeżdżających; ale te ich minęły, bo albo nie widziały, albo nie chciały widzieć ich niebezpieczeństwa. Kiedy dziś 1 maja zobaczyli naszą „Irenę" spieszącą im na ratunek, wtedy z radości rozpłakali się jak dzieci. Radość wyratowanych żeglarzy jest nie do opisania. „Jezus nas wyratował i Matka Jego!" — wołali. Pasażerowie pierwszej klasy złożyli 382 dolary, pół dla rozbitków i pół dla dzielnych majtków naszych, którzy po spienionych bałwanach puścili się łodzią na ich ratunek.

60. Na odpuście w Buffalo. — Chciano mnie pozbawić parafji w Ripon. — Mój wywiad u biskupa Coltona w sprawie niezależnych w Buffalo.

Odwiedziwszy ks. Strzeleckiego w Nowym Yorku, odwiozłem owych 2-ch kleryków polskich, którzy razem ze mną okrętem przyjechali, Lasończyka i Rufina Barańskiego, aż do samego seminarjum w Baltimore, Md., ponieważ mnie o to bardzo prosili. Rufin Barański potem w liście 3 czerwca 1904 dziękował mi „ze szczerego serca za braterską opiekę i hojność braterskiego serca, jakie nam podczas całej podróży okazywał". Zajrzałem do ks. Kotlarza i ks. dr. Barabasza w Baltimore i ks. Krausego we Filadelfji. W Buffalo, N. Y., zatrzymałem się przez parę dni i przez niedzielę 8 maja u ks. Jana Pitassa, nieruchomego współdelegata mojej misji do Rzymu. Pobyt mój w Buffalo korespondent buffaloski opisał w ten sposób:

Buffalo, N. Y., 9 maja. — Wczoraj parafja św. Stanisława B. i M., obchodziła dzień swego patrona, czyli doroczny odpust. Na

wielkie nabożeństwo tj. sumę, przybyło tyle wiernych, że nie mógł ich pomieścić obszerny kościół św. Stanisława i nietylko wszystkie ławki, ale i krużganki były przepełnione pobożnym ludem.

Na wszystkich twarzach panował uroczysty nastrój. Lecz nietylko sam odpust zgromadził do kościoła tak wielką liczbę ludu, bo przybyło także wielu z innych parafij, aby od ks. Kruszki, naszego delegata do Rzymu, odebrać błogosławieństwo, jakiego miał udzielić w imieniu i z upoważnienia Ojca św. Piusa X. Gdy Wiell. Ks. Kruszka wszedł na ambonę, wszyscy wierni utkwili w nim swój wzrok, jakby chcieli odgadnąć, jakie im przywozi wiadomości z Rzymu.

Ks. Kruszka w nader poważnych i pełnych namaszczenia słowach opowiedział żywot św. Stanisława, B. M., wskazał jak powinniśmy naśladować go w gorliwości i cnotach my, którzy należymy do tego samego narodu, z którego pochodził ten wielki święty.

Przy końcu kazania, Wiel. ks. Kruszka opowiedział o swych zabiegach w Rzymie, celem załatwienia sprawy amerykańskiej Polonji, w której interesie był posłany i o wielkiej uprzejmości i łaskawości Ojca św., który przyobiecał w jaknajkrótszym czasie postarać się o to, aby w hierarchji katolickiego kleru w Ameryce był uwzględniony i kler polski. Na ostatek udzielił ludowi w imieniu Ojca św. apostolskiego błogosławieństwa, które wszyscy obecni przyjęli na klęczkach wzruszeni do głębi.

Sumę celebrował Przewiel. ks. Jan Pittas w asystencji ks. Piotra Pittasa, jako djakona, ks. Fimowicza, jako subdjakona.

W czasie obiadu na plebanji, na którym oprócz Wieleb. księży i kilku wybitniejszych świeckich obywateli, był obecny także adwokat Rowland B. Mahany, towarzysz i doradca prawny polskiej delegacji do Rzymu, przybył chór parafjalny, złożony przeszło ze stu śpiewaków, pod batutą zdolnego i sympatycznego dyrygenta p. Bałucińskiego i na cześć ks. Kruszki odśpiewał parę utworów, a pomiędzy nimi i kantatę, umyślnie ułożoną na tę okoliczność. — Śpiewacy wręczyli ks. Kruszce wspaniały bukiet w dowód uznania i czci dla tego wytrwałego i sumiennego pracownika dla dobra amerykańskiej Polonji. Ks. Kruszka był bardzo rozrzewniony tymi dowodami uznania i w krótkich, ale serdecznych słowach podziękował śpiewakom, a szczególniej ich dyrygentowi za sprawioną sobie niespodziankę.

Podczas obiadu i po obiedzie przygrywała orkiestra p. Raszei, a grała przedewszystkiem polskie i swojskie kawałki, co bardzo miłe robiło na słuchających wrażenie. Księdzu Kruszce, naszemu delegatowi powracającemu z Rzymu i to po pomyślnem załatwieniu sprawy dotyczącej amerykańskiej Polonji nie urządzano w Buffalo publicznych owacji, ale za to zgotowano mu chociaż ciche i skromne, ale tak serdeczne przyjęcie, że z pewnością jest z niego zupełnie zadowolony.

Po południu Wiel. księdza Kruszkę odwiedziło kilku parafjan z niezależnej parafji Kamińskiego, którzy ks. delegatowi wręcz oświadczyli, iż za żadne skarby świata nie będą i nie chcą należeć pod eparcha Stefana, który w swej złości i przewrotności najohydniejszymi wyrazami przezywa głowę katolickiego Kościoła, Ojca św.

Ks. Kruszka rozmawiał ze zbłądzonymi, ale już nawróconymi braćmi serdecznie, a to tem serdeczniej, że pomiędzy nimi byli także i tacy, którzy tak jego samego, jak i jego familję, znają jeszcze ze starego kraju i to z najlepszej strony.

Dawał im rady i wskazówki, jak mają postępować w przyszłości, co ich cieszyło niezmiernie.

„Polak w Ameryce" pisze:

„Wieczór spędził ks. delegat w towarzystwie licznego grona księży i świeckich obywateli w domu państwa Stanisławowstwa Śliszów, którzy in gratiam imienin, urządzali u siebie małe przyjęcie.

Rozmowa była bardzo ożywiona, a głównie ksiądz Kruszka brał w niej udział, bo też miał wiele do opowiadania. Pomiędzy gośćmi nie brakło i p. Rowlanda B. Mahany, towarzysza ks. Kruszki w podróży do Rzymu i dzielnego współpracownika około naszej sprawy, który prawie zawsze od chwili przyjazdu ks. Kruszki do Buffalo, bawi w jego towarzystwie.

Musimy tu jeszcze i to dodać, że gdziekolwiek ksiądz Kruszka się obróci, wszędzie okazują mu wielką życzliwość i uznanie, wszyscy dziękują mu za trudy poniesione w naszej sprawie w Rzymie, ale ks. delegat wszystko to przyjmuje z wielką skromnością i ciągle powtarza, że spełnił tylko swój obowiązek, i że jeszcze dziesięć razy jechałby do Rzymu i naraził się na trudy, gdyby tylko tego wymagała potrzeba.

Możemy to powiedzieć bez przesady, że ksiądz Kruszka, rektor maleńkiej parafji w Ripon, Wis., wypłynął od razu na wierzch

i stał się prawie najwybitniejszym polskim księdzem w Ameryce, na co zasłużył w całej pełni, bo jego zasługi dla publicznego dobra są niezmierne. Ks. Kruszka wyszedł z ukrycia i pokazał namacalnie, czego to można dokazać wytrwałością i żelazną pracą.

O księdzu Kruszce i jego Ripon można by powiedzieć: „I ty, Ripon, nie jesteś jedno z najpośledniejszych, albowiem z ciebie wyszedł ten, który wywalczył równouprawnienie dla polsko-amerykańskiego kleru“.

W powyższym opisie buffaloskiego „Polaka w Ameryce“ niema wzmianki o nader poważnym zamiarze zatrzymania mnie koniecznie w Buffalo jako proboszcza mającej się nawrócić parafji niezależnej św. Różańca. Niema o tem wzmianki, bo ten zamiar spalił się na panewce z następującego powodu.

Kiedym przybył do Buffalo, liczne grono księży z ks. Pitassem na czele (wśród nich było i dwóch Jezuitów misjonarzy) w plebanji ks. Pitassa oświadczyło mi bez ogródki, że już do Ripon wracać nie potrzebuję, bo już tu w Buffalo miejsce dla mnie jest przygotowane. Komitet parafji niezależnej, na której czele stoi „biskup“ Kamiński, w imieniu niezależnych oświadczył gotowość powrócenia na łono Kościoła katolickiego i prosił mnie na swego proboszcza. Ja powinienem tu w Buffalo pozostać dla dobra Kościoła. Tak mi mówili księża. Myślałem z początku, że oni chyba żartują; ale przekonałem się potem, że mówią całkiem na serjo. Komitet niezależnych wnet tu przyjdzie do księdza — dodali.

Jakoż istotnie zjawił się komitet niezależny i powtórzył mi to samo, co przed chwilą księża mi mówili.

— Niezmiernie mię to cieszy — powiedziałem komitetowym — że macie chęć powrócić do Kościoła prawdziwego, ale niekoniecznie ja muszę tu pozostać jako wasz proboszcz. Proboszczem waszym może zostać tylko ten, którego miejscowy biskup Colton wam naznaczy.

— Ale my bardzo prosimy o księdza Kruszkę, jako że do niego największe zaufanie mamy.

— A czy przedłożyliście już tę waszą prośbę miejscowemu biskupowi Colton?

— Nie, bo my nie umiemy dobrze po angielsku, więc nie śmiemy do niego iść. Niech ks. Kruszka idzie za nas.

Po tej konferencji z niezależnymi wróciłem do pokoju, gdzie byli księża zgromadzeni.

— Wszystko w porządku? — zapytali mnie.

— Nie wszystko jeszcze załatwione — odpowiedziałem.

— A co takiego?

— A no, najważniejszej rzeczy jeszcze nie załatwiono.

— A jakiej?

— Oto tej, że nie byli jeszcze u miejscowego biskupa Coltona. Czy który z księży może już był u biskupa w tej sprawie?

— Nikt nie był, bo każdy święcie jest przekonany, że biskup Colton nie będzie miał i nie może mieć nic przeciwko temu, żeby ksiądz tu został ich proboszczem w takich okolicznościach. Zresztą niech ksiądz uda się do biskupa i sam się przekona.

Nazajutrz, choć nie miałem wielkiej ochoty, to jednak dla dobra tych dusz zbłąkanych udałem się do biskupa Coltona. Biskup Colton, wysłuchawszy sprawy, odchrząknął i rzekł:

— Jeśli niezależni Polacy chcą się nawrócić, niech oni sami przyjdą do mnie.

— To samo właśnie i ja im powiedziałem, lecz oni mi mówili, że nie umiejąc dosyć po angielsku, nie śmią iść do Waszej Biskupiej Mości i poprosili mnie o pośrednictwo.

— Oni już dosyć długo są w Ameryce i powinni tyle umieć po angielsku, żeby się ze swoim biskupem rozmówić. Zresztą ksiądz jesteś z obcej diecezji i dlatego nie możesz być ani ich pośrednikiem ani proboszczem.

— Czy ma być ich pośrednikiem jakiś ksiądz z tutejszej diecezji?

— Nie potrzeba pośrednika. Ja tu jestem biskupem. Niezależni Polacy będą zmuszeni przyjść wprost do mnie samego i nawrócić się, albowiem już są finansowo zbankrutowani.

— Bishop, I admire your nerve, but dern your judgement.

Wstałem i pożegnałem biskupa. Wróciwszy do plebanji ks. Pitassa, opowiedziałem księżom, com usłyszał z ust biskupa.

Obstupuere omnes intentique ora tenebant.

Osłupieli wszyscy i rozdziawiwszy usta milczeli.

Potem niezależni przyszli na wywiady do mnie. Powiedziałem mi, że biskup Colton sobie życzy, żeby oni sami przybyli do niego. Czy poszli? Gdzie tam!

O tem zajściu dowiedział się Delegat Apostolski Falconio w Washingtonie. Biskup Colton później żałował za swój postępek, ale po niewczasie. Żal straty nie wróci.

61. Powrót do Ripon. — Jakie bogactwa i wpływy przypisywano mi po powrocie z Rzymu.

W Chicago, na dworcu kolejowym, przywitał mnie drugi sekretarz Wydziału Wykonawczego, zacny pan Leon Szopiński i przez to mi sprawił miłą niespodziankę. Udaliśmy się razem do pierwszego sekretarza ks. Kazimierza Stuczki na Noble ulicy. Tu im treściwie a dokładnie opowiedziałem, co zdziałałem w Rzymie i com usłyszał z ust samego Papieża w sprawie uwzględnienia kleru polskiego w hierarchji katolickiej w Ameryce. Następnie podążyłem do Ripon, po drodze zatrzymałem się tylko w Milwaukee, dla zobaczenia Arcybiskupa Messmera, gdyż na 12 maja przypadało Wniebowstąpienie Pańskie, na które to święto chciałem już koniecznie być wśród swoich parafjan i odprawić im nabożeństwo. Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu. W środę wieczór przed świętem, dnia 11 maja 1904 r., byłem z powrotem w Ripon, z którego wyjechałem 1 czerwca 1903 r. A więc cała moja wyprawa do Rzymu trwała jedenaście miesięcy i jedenaście dni, a kosztowała okrągło trzy tysiące dolarów. Wydział Wykonawczy drogą publicznych składek przeważnie od Duchowieństwa polskiego zebrał tylko dol. 1794,98 a nadto sto dolarów ze swej kasy wyasygnował mi na podróż. Gdym do Ripon przybył, nie spodziewałem się tyle narodu na moje przywitanie. Przyjęcie było miłe i serdeczne. Oto jak je opisał korespondent w telegramie do milwauckich gazet:

„Ripon, 12 maja. Wczoraj wieczorem o 7:30 pociągiem kolei Northwestern przybył do Ripon po nieobecności jedenastomiesięcznej, proboszcz kościoła św. Wacława w Ripon, ks. W. Kruszka.

„Szczupły dworzec kolejowy nie mógł pomieścić osób, które przybyły, by powitać wracającego z Rzymu delegata Kongresu polsko-katolickiego.

„Parafjanie św. Wacława stawili się in corpore z muzyką i sztandarem amerykańskim. Nie brakło i innonarodowców, a wśród zebranego tłumu widzieć można było wszystkich urzędników miejskich i wpływowych obywateli.

„Wysiadającego z wagonu proboszcza powitały dźwięki marsza i serdeczne okrzyki: angielskie hurrah i polskie „niech żyje".

„Rozpoczęły się powitania „hand shaking". Przez kilkanaście minut ks. Kruszka tak był otoczony przez zbity tłum ludzi, że

ruszyć się z miejsca nie mógł, a odpowiadać na wszystkie rzucane pytania było wprost niepodobieństwem. Nareszcie pomyślano o zaprowadzeniu porządku. Uformowała się procesja, ze sztandarem i muzyką na czele ruszył pochód do plebanii. Ks. Kruszka jechał w powozie z zarządem parafjalnym a za nimi szły szeregi zgromadzonych na powitanie osób.

„Szczególniej licznie w pochodzie była reprezentowana młodzież amerykańska i polska, a świadczy to o tem, jak popularnym jest ks. Kruszka w kołach ludności w Ripon.

„Naturalnie szczupła plebanja nie mogła pomieścić wszystkich. Muzyka też pozostała przed oknami, przygrywając od czasu do czasu, a ks. Kruszka przyjmował serdecznie w swem mieszkaniu ściślejsze koło znajomych i przyjaciół.

„Dopiero około dziesiątej rozeszli się wszyscy a strudzony podróżnik udał się na spoczynek pod własnym dachem po 11 miesiącach spędzonych w Rzymie i kraju rodzinnym na staraniach o równouprawnienie kleru polskiego w Ameryce.

„Dziś w święto Wniebowstąpienia Pańskiego ks. proboszcz odprawił uroczyste nabożeństwo, na które przybyli wszyscy parafjanie. Kazanie zastosowane do okoliczności wywołało wielkie wrażenie".

Nadeszło do Ripon pełno listownych zaproszeń od księży polskich zbliska i zdaleka, bym przybył do ich kościołów z kazaniem i błogosławieństwem papieskiem. Pierwszym był mój sąsiad w Berlinie, ks. Bieniarz, który osobny powóz wraz z świtą przysłał po mnie do Ripon.

Księża ze wschodu nadsyłali mnie kongratulacje, no i liczne poprawki do mojej „Historji Polskiej w Ameryce", której druk w gazetach ciągnął się przez cały czas pobytu mego w Rzymie i nie skończył się aż dopiero w grudniu tego roku 1904. A co listów od ludzi z rozmaitemi petycjami! Każdy petent myślał, że ponieważ rozmawiałem z Ojcem świętym, więc mogę o wszystko się wystarać. Niema to jak być sławnym delegatem do Rzymu! A że łaskawy czytelnik może nigdy takim delegatem nie był, więc muszę tu powiedzieć, jak się też taki sławny delegat czuje po pomyślnem załatwieniu sprawy i triumfalnym swym powrocie do domu. Czuje się, jakby w sto koni jeździł; a tymczasem ani jednego nawet kulawego konia nie ma. Każdy uważa go za wielmożnego pana, gdy tymczasem on jest dziadem, bo nic nie ma, bo co miał, to wydał, Cóż po tytule, kiedy próżno w szkatule?

A najgorsze to, że nie chcą mu wierzyć, że nic nie ma. Owszem sądzą i mówią, że taki delegat do Rzymu na swojej delegaturze jeszcze zarobił grube pieniądze, że faktycznie byli tacy, co tak myśleli, świadczy o tem następujący list. Mianowicie, kiedym poprosił Wydział Wykonawczy o zwrot należnych mi pieniędzy, bo nie miałem za co jechać na Trzeci Kongres do Pittsburga, Pa., sekretarz Wydziału tak mi odpisał z Chicago d. 6 sierpnia 1904:

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Ripon, Wis.

Wiel. Księże Delegacie!

Posiedzenia Wydział Wyk., od czasu jak otrzymałem list Ks. Dobr., jeszcze nie miał, więc **urzędowo** o niczem Ks. Dobr. nie zawiadamiam. Prywatnie wszakże czynię Ks. Dobr. wiadomem, że pogłoski po Chicago krążą, że Ks. Dobrodziej zrobił interes na swojej pielgrzymce do Rzymu, że więc jest dziś przy pieniążkach i że może sam swoją podróż do Pittsburga opłacić. Są to, rozumie się, gadania niepoczciwych języków, w każdym jednak razie i te gadania Ks. Dobr. wziąć powinien pod rozwagę, zanim stanowczo zażąda od Ogółu Polskiego wyrównania niedoborów swojej podróży do Rzymu. Z wysokim szacunkiem

Ks. K. Szluczko, C. S. C.

Jedni więc mieli mnie za bogacza. Drudzy znowu uważali mnie za jakiegoś potentata, który swoim przemożnym wpływem o wszystko im się wystarać może. Posypały się tedy do Ripon różne listy błagalne to studentów o przyjęcie bezpłatne do seminarjum, to parafjan aż z Kanady o obsadzenie ich probostwa lub zmianę proboszcza, to znowu księży o posadę proboszcza. Bo jeśli ten delegat świeżo z Rzymu przybyły robi biskupów, to tem bardziej proboszczów robić może. Tak widać rozumowali, i to nie sami polscy księża. Bo nawet włoski ksiądz, niejaki Padre Vincenzo Migliore z Jersey City 13 maja 1904 pisał mi, żebym mu wyrobił intratne probostwo. List ten pisał do mnie aż w trzech językach. Na pierwszej stronicy pisał po włosku. A jeślibym po włosku dobrze go nie zrozumiał, na drugiej stronnicy tę samą prośbę powtórzył po angielsku. Gdyby zaś licha angielszczyzna jego nie miała być zrozumiałą dla mnie, wreszcie na trzeciej stronnicy tę samą prośbę napisał po łacinie. „Dowiedziałem się — pisał mi w trzech językach — że posiadasz wielkie wpływy w całych Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.

i mam nadzieję, że będziesz mi pomocą w otrzymaniu jakiejś posady, której mi potrzeba". Tak pisał Padre Migliore. A ja tu sam miałem lichą posadę i pomimo moich „wielkich wpływów w całych Stanach Zjednoczonych" nie miałem nadziei dostania lepszej. Pisał też ks. Jan Szukalski z Milwaukee 14 maja 1904:

Kochany Wacku!

„Byłeś u arcybiskupa, to wiesz jak się na cię patrzył. Według tego uformuj sobie zdanie czy nie wypada ci zrobić podania o Kazimierzowo. Przecież Lex podobno proboszczem nie jest! Kazimierzowo też nie przepada za nim".

Tak jest, byłem u arcybiskupa Messmera zaraz gdym z Rzymu przybył. I „wiem jak się na mnie patrzył", kiedym mu oznajmił, co z ust Papieża usłyszałem, a decyzja w sprawie uwzględnienia kleru polskiego i hierarchji katolickiej w Ameryce nastąpi czemprędzej i to podług naszych życzeń. Wiem, jak się arcybiskup wtedy na mnie patrzył. Z wielką tylko przyjemnością zatwierdził mi i przypieczętował wszelkie moje dotychczasowe przywileje w Ripon na dalszy czas nieograniczony, to jest, przywileje odprawiania Mszy św., udzielanie sakramentów świętych i prawienie słowa Bożego. Ale to też wszystko. To wszystko moje bogactwo i wpływy, jakie posiadam i z jakich jestem najbardziej dumny, że po jedenastu miesiącach i jedenastu dniach znowu mogę objąć swoje obowiązki duszpasterskie w Ripon. Wszelako tu na stole w Ripon leżą całe stosy listów, które mi przypisują bogactwa i wpływy, jakich wcale nie posiadam... Nie ma to jak być delegatem do Rzymu!

62. Przegląd listów gratulacyjnych, błagalnych i historycznych. Rozpaczliwe wołania ludu rozproszonego po Ameryce dowodzą koniecznej potrzeby biskupów polskich.

Ks. L. Redmer z Rossford, Ohio, który aby mi ulżyć na podróż do Rzymu dał mi swój mały i lekki brewjarz, a ja mu w zamian dałem swój duży i ciężki, musiał zapewne zrozumieć moje położenie w Ripon po powrocie z Rzymu, skoro 14 czerwca 1904 tak mi pisał:

Drogi Księże Proboszczu!

„Od kilku tygodni drogi Ksiądz już bawi w swej parafji, lecz nie chciałem prędzej pisać, wiedząc dobrze, że poczta w Ripon

przyjąć musiała jeszcze jednego pomocnika, bo z pewnością napływ listów z uznaniem i podziękowaniem z wszystkich części Rzeczpospolitej musiał być ogromny. Ja sam ze swej strony dziękuje W. Mości za trudy i zabiegi ofiarowane tak szczerze dla dobra naszej narodowości i z pewnością wiary. Od pierwszego widzenia byłem przekonany, że Ksiądz zadanie jak najświetniej rozwiąże, a teraz doczekałem się tej radości, że skeptycy milczą. Więc ściskam W. Księdza i winszuję. Co teraz zrobimy z brewjarzami? Myślę, że pozostawimy partes aestivas, gdzie są, bo dla mnie ten Wgo Księdza brewjarz ma miłą pamiątkową wartość. Zgoda?“

Zgoda — odpisałem ks. Redmerowi, bo jego brewjarz ma dla mnie także miłą pamiątkową wartość i chowam go do dziś dnia.

List od Polaków w prowincji Saskatchewan w Kanadzie jest tak wzruszający i serce rozdzierający, że muszę go tu przytoczyć. Zaadresowany był poprostu tak: „Reverend Kruszka in Buffalo, N. Y.“, a jednak trafił do mnie do Ripon. Pisany z Alvena, Sask, Canada, 30 maja 1904 błagalny ten list brzmiał:

P. J. Chr.!

Przewiel. Ks. Dobr.!

„My niżej podpisani Polacy Rzym. Kat. wyznania upraszamy Przewiel. Księdza Dobr. o poradę, jak my mamy się zastosować do naszej religji, my tu na kolonji Fiszkrig, p. o. Alvena, Canada. Jest nas tu razem do 100 rodzin rz. kat. w. A ponieważ nie mamy naszego księdza, tylko z funkcjami kościelnemi udajemy się do francuskiego księdza R. K. W., a ponieważ księża tutejsi nie rozumieją naszej mowy ani naszych zwyczajów: otóż nam bardzo przykro na tej kolonji żyć, chociaż materjalnie stoimy bardzo dobrze i moglibyśmy utrzymać naszego księdza ze starego kraju. Otóż my udajemy się z prośbą do Wiel. Ks. Dobrodzieja, czyby my nie mogli dostać ze Stanów Zjednoczonych którego naszego księdza, któryby nam był za proboszcza. Co się tyczy tutejsi księża agitują a co by my zapisali kościół na diecezję biskupską R. K. francuskiego biskupstwa. Prosimy czy mamy zapisać czy nie, bo oni naszego języka nie rozumieją: czy my możemy spodziewać się kiedyś swego księdza czy nie? Księże dobrodzieju zlituj się nad nami biednymi i opuszczonymi owcami, bo aż strach pobiera o nas samych, a po drugie o nasze

dzieci, które rosną jak bydlęta w polu. Bo my jeszcze ze Starego Kraju wynieśli zamiłowanie do naszego świętego obrządku. A czy możliwem a co by my ciemne ludzie mogli nauczyć nasze dzieci wiary świętej? My już tu na tej kolonji sześć lat i nasze dzieci rosną chwała najwyższemu. Ale politowanie Boskie cóż to będzie kiedyś z nich, ani protestanci ani indjanie, tylko poprostu dzicz skończona. A któż za nich będzie odpowiadał? My już udawali się w różne strony ale nadaremno. Dlatego prosimy Przew. Ks. Dobrodzieja, zlitujcie się nad nami biednymi i naszymi dziatkami. Starajcie się koniecznie a co by my dostali na stałą posadę swego księdza polskiej narodowości, a my będziemy Boga najwyższego prosić za zdrowie księdza a po śmierci o Królestwo Niebieskie.

„Całujemy rączki Księdza Dobrodzieja z szacunkiem

Teodor Olieskiw,

jeden za wszystkich".

Takich rozpaczliwych wołań więcej jeszcze jest ze Stanów Zjednoczonych aniżeli z Kanady. Czego te wołania dowodzą, Czy tylko braku księży polskich, i nic więcej? Ktoby tak myślał ten byłby krótkowidzem i kpem po prostu. Bo te wołania dowodzą przedewszystkiem **braku biskupów polskich dla Polaków,** to jest takich biskupów polskich, którzyby nie potrzebowali swoją angielszczyzną popisywać się przed ajryszami ale którzyby wyłącznie i jedynie swoimi rodakami rozproszonymi po Ameryce się zajęli i dla nich o duszpasterzy się starali. Francuzi, ajrysze, Niemcy, nie potrzebują polskich biskupów. Polacy ich tylko potrzebują.

Tych błagalnych i gratulacyjnych listów było wiele. Ale najwięcej było listów naładowanych nowym materjałem historycznym dla drukującej się w gazetach „Historji Polskiej w Ameryce". Czekała mnie teraz olbrzymia praca uporządkowania tego materjału do książkowego wydania. Materjału nietylko w tych listach znalezionego, ale i materjału z Rzymu przywiezionego z archiwum OO. Zmartwychwstańców. A ile sprostowań i poprawek mi nadesłano! Tak naprzykład ks. A. Zychowicz ze Scranton, Pa., bliski sąsiad niezależnego biskupa Hodura — wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi — prostuje moją historję o ks. Hodurze i tak pisze 12 maja 1904:

„Na wstępie proszę przyjąć serdeczne kongratulacje z powodu tak skutecznego powodzenia misji Ks. Dobrodzieja do Rzymu.

Załączam w liście ciekawą a długą korespondencję z ostatniego numeru „New York Freeman's Journal" tyczącą się kwestji polskich biskupów w Ameryce i audjencji Ks. Dobrodzieja u Ojca św. Również podaję parę uwag z powodu niektórych niedokładności w Ks. Dobr. „Historji Polaków w Ameryce". I tak we wstępie omawiającym powstanie niezależnego Zboru w Scranton zasięgnął Ks. Dobrodziej wiadomości z broszurki Hodura „Nowe drogi". Rzecz to zawierająca tendencyjne fałsze. 1-o Hodur na str. 18. (Nowe Drogi) pisze, że było trzech kandydatów na proboszcza do owego kościoła, mianowicie ks. B. Iwanowski, ks. A. Zychowicz i on sam Hodur. Umieszczenie mego nazwiska w pozycji kandydata na proboszcza przy owym kościele jest złośliwym kłamstwem i kalumnją. Kandydatować o owo stanowisko ani ja nie myślałem ani nikt z ludzi o mnie się nie starał. Hodur bowiem od początku przygotowywał sobie to nowe gniazdo, które się zmieniło dla niego na prawdziwe łoże Madejowe, że na niem się obecnie wije jak opętany.

„Dalej na str. 31 pisze Hodur, że w kilka miesięcy po ogłoszeniu na niego exkomuniki wyjechał do Rzymu wioząc z sobą memorandum podpisane przez 5000 robotników polskich z Pennsylvanji. Bezczelny to fałsz. Hodur był w Rzymie na początku 1898 r. i wrócił do Scranton w kwietniu tegoż roku. W maju, czerwcu i lipcu zbierał przez swoich agentów w naszej diecezji podpisy niby to na polskiego biskupa, które miał wysłać do Rzymu w rzeczywistości dla tumanienia ludzi, że napróżno do Rzymu nie jeździł i ze Rzymem jeszcze nie zerwał i aby wywołać bunty po naszych parafjach. Hodur exkomunikowany został dnia 2 października 1898 r. a więc w 5 miesięcy po powrocie z Rzymu i siedział w Scranton do 2 września 1902 roku, kiedy znów puścił się do Europy, skąd w 6 tygodni powrócił. W tym samym roku starał się o święcenie „biskupa" u schyzmatyckich Ormianów, których „Katolikos" mieszka na Kaukazie pod rządem rosyjskim; ale czy z braku „dieńgów", czy też że i Ormianie zrozumieli, iż prędzej czapka błazeńska niż choćby schyzmatycka mitra przystoi Hodurowi, starania jego skończyły się na niczem. Ks. Dobr. powtórzył ową bajkę o 5000 podpisów niby to zawiezionych do Rzymu przez Hodura jako też jego wzmiankę o mojej „kandydaturze" — proszę więc w nowem wydaniu „Historji Pol. w Ameryce" jedno i drugie sprostować t. j. wypuścić. Zostaję z prawdziwym szacunkiem" *Ks. A. Zychowicz.*

Owa „ciekawa a długa korespondencja z ostatniego numeru New York Freeman's Journal", jaką ks. Zychowicz w powyższym liście mi załączył, jest to korespondencja znanego nam już Misjonarza ks. Kelly'ego z Rzymu, podpisującego się pseudonimem „Vox Urbis" (Głos miasta). Przedstawiał on mnie dawniej jako Lutra buntującego się przeciw episkopatowi amerykańskiemu. Zobaczymy jak mnie teraz po ostatniej mojej audjencji papieskiej przedstawił w owej „ciekawej a długiej" korespondencji, którą przytoczę w następnym rozdziale.

63. Vox Urbis. — Głos miasta dwuznaczny — po mojej ostatniej audjencji u papieża, co napisał o sprawie naszej do gazet amerykańskich.

Znany nam już Monsignor Kelly, stale w Rzymie zamieszkały korespondent gazet ajryskich w Ameryce, nie podpisywał swoich korespondencji własnem nazwiskiem lecz przybranem czyli tak zwanym pseudonimem. A ciekawym był ten jego pseudonim, pod którym się ukrywał, mianowicie: Vox Urbis to znaczy Głos miasta. Otóż „Głos miasta" to nazwa w Rzymie i poważna i śmieszna zarazem. Bo w Rzymie także ryk osła, który się tam często słyszy na ulicach, nazywają „głosem miasta" — vox urbis. Tego „głosu miasta" Monsignor Kelly z pewnością nie miał na myśli, kiedy sobie ów pseudonim przybrał. Ilekroć jednak w swoich korespondencjach zabierał głos w sprawie naszej, ten głos jego był podobniejszym do ryku osła aniżeli do poważnego głosu miasta Rzymu. Głosił bowiem, że Rzym nigdy nie zgodzi się na biskupów polskich w Ameryce, lecz co najwyżej może się zgodzić na polskich wikarjuszów generalnych. O mnie zaś głosił, że ja niby drugi Luter bunt podnoszę przeciwko episkopatowi amerykańskiemu. To mi było za wiele i zaprosiłem go do swego hotelu na rozmowę. Wtedy to, jak czytelnik sobie przypomina, dziwnym zbiegiem okoliczności i osieł stanął pod oknem hotelu i głośno zaryczał, jakby robiąc wyraźną aluzję do pseudonimu „Vox Urbis".

Otóż ten „Vox Urbis", teraz po mojej ostatniej audjencji u papieża zabrał znowu głos w gazetach amerykańskich. Jaki głos? czy poważny i wierny głos miasta Rzymu? Gdzie tam. Naturę wypędzaj widłami, ona zawsze powróci. Natury osła z owego „Vox Urbis" nawet widłami wypędzić nie było można. Wprawdzie „Vox Urbis" nie przedstawiał mnie już więcej jako Lutra buntownika. Owszem pochwalił mnie teraz, bo napisał o mnie takie słowa:

„Ksiądz Kruszka spełnił swoją bardzo trudną misję z wielkim sprytem i wytrwałością i zasługuje na wdzięczność swoich rodaków“. Ale poza tem z całej jego korespondencji wystają długie ośle uszy. Bo proszę sobie wyobrazić, z jednej strony konstatuje fakt taki, że: „w ostatnim tygodniu, kiedy to Ojciec św. przyjął mnie w prywatnej audjencji, gazety rzymskie rozpisały się z nadzwyczajnem zainteresowaniem o sprawie Polaków w Ameryce“ z powodu pomyślnej odpowiedzi papieża. A z drugiej strony zaprzecza temu faktowi, że papież dał mi tak pomyślną odpowiedź. Tu „Vox Urbis“ wikła się w widocznej sprzeczności i zbija sam siebie. Bo gdyby ta pomyślna odpowiedź papieska, z powodu której „rzymskie dzienniki rozpisały się z nadzwyczajnem zainteresowaniem o sprawie „Polaków w Ameryce“, tuż pod okiem i bokiem papieża, gdyby te słowa przeze mnie podane „sprawa będzie rozstrzygnięta czemprędzej i to **podług waszych życzeń**“ nie były żywcem wyjęte z ust papieża, lecz przeciwnie, włożone przeze mnie w usta papieża: — toćby niezawodnie albo sam papież albo przynajmniej ktoś z jego najbliższego otoczenia zaprzeczył był publicznie temu, że papież takie słowa do mnie powiedział, i napiętnowałby mnie w gazetach rzymskich słusznie jako bezczelnego kłamcę, który przypisuje papieżowi słowa, jakich papież nigdy nie powiedział.

I na jakiejże to podstawie opiera „Vox Urbis“ to swoje zaprzeczenie, jakoby papież obiecał załatwić sprawę podług naszych życzeń? Otóż pisze: „Vox Urbis has interviewed a very prominent churchman in Rome about it.“ „Vox Urbis miał o tem wywiad u bardzo wybitnego kościelnika (czy kościelnego) w Rzymie“. Na takiej samej podstawie później ks. Góral w milwauckich „Nowinach“ głosił, że ja papieża w Rzymie wcale nie widziałem. Jak już przeczyć, to dobrze przeczyć! O, jak trafną i wielką prawdę wyraził już starożytny Cycero w tem zdaniu: Plus potest negare asinus, quam affirmare philosophus — Więcej może zaprzeczyć osiel, aniżeli filozof udowodnić zdoła! Gdyby papież był mi powiedział: sprawa wasza będzie rozstrzygnięta **podług życzeń ajryskich biskupów** — a, to co innego; toby i Vox Urbis był temu uwierzył. Ale że papież powiedział: sprawa będzie rozstrzygnięta **podług waszych życzeń** — to rzecz nie do uwierzenia.

Ale oto przytoczę tu w całości ową korespondencję, jaką Monsignor Kelly, inaczej „Vox Urbis“, w sześć dni po mojej audjencji u papieża skomponował i z Rzymu do gazet amerykańskich nadesłał:

FROM OUR ROMAN CORRESPONDENT.

(Special Correspondence Freeman's Journal).

ROME, April 21. — For the last week the Roman newspapers have taken an extraordinary interest in the question of the Poles in America, their „schism", their numbers, their petition to the Holy See, and a forthcoming document by Pius X on the whole subject. Father Kruszka was received in private audience by the Holy Father the other day and declares that he is fully satisfied with his reception. Some of te accounts sent to-day and yesterday to American papers declare that Pius X promised Father Kruszka that he would shortly settle the whole question according to the desires of the Poles. Vox Urbis's information does not tally exactly with this. It will be remembered that the Reverend Father was sent here by his compartiots to lay before the Holy See the neeossity of creating some Polish Bishops in the United States. In a pamphlet specially prepared for distribution in Rome it is alleged that the Poles in the United States now number 2,000,000, and that there is not a single Bishop of their nationality to minister to them. It is also alleged that many of the American Bishops are in favor of the idea on which the petition is based. Father Kruszka was in Rome for a considerable part of last year, in company with Lawyer Rowland B. Mahany. They both worked very hard among the Cardinal, especially among those of the Propaganda, Father Kruszka explaining the claims of the Poles to have a Bishop or two their own nationality, and describing some such provision as absolutely necessary to arrest the progress of the Polish „schism", while Mr. Mahany, who is describet as a friend of President Roosevelt, drove home Father Kruszka's arguments by showing that the United States Government and the President himself had no objection whatever to the nomination of Polish Bishops — nay, that they would be glad to see some created in order to help in the settlement of the many strikes and disturbances in which American Poles are sometimes involved. Such is the state of the question. Nearly a year ago, Vox Urbis announced that the decision would be against the petitioners in the main point of their contention — that is to say, with regard to the appointment of Polish Bishops, but, on the other hand, that the Holy Father, through the Apostolic Delegate, would „recommed" the appointment of Polish Vicars General in dioceses where a large proportion, say onethird, of the total Ca-

tholic population were Poles. Whatever rumors to the contrary may now be circulated, that still continues to be the most probable reply of Rome to the Polish petition. What the Holy Father did say to Father Kruszka was in substance this: „You may go home now with an easy mind — you have performed your mission. The Pope is the Father of all, and if the Poles in America have just cause for complaint, or if there are evils in their situation which require to be remedied, you may rest assured that he will do his part in removing them". This, it will be observed, is very different from saying that the Holy Father has promised to settle the question on the lines proposed by Father Kruszka and his friends.

The question is so very important that Vox Urbis has interviewed a very prominent churchman in Rome about it. This was the opinion of the person referred to. The figures alleged in the petition to represent the number of Catholic Poles (2,000,000) in the United States are considerably exaggerated. But whatever be their exact number it is quite certain that they are so scattered through the country that in no diocese do they from a majority of the Catholic population; still less do Polish priests from anywhere a majority of the priests of the diocese. This being so it is obviously unreasonable to insist that a Polish priest, simply because he is a Pole, should be chosen as Bishop in any see in America. There is of course an acute difficulty arising for the moment from the fact none of the Bishops happen to speak Polish, but after all this a difficulty which will disappear in time, for, the Poles in America will inevitably become bilingual. Meanwhile my advice to the Polish priests and leaders in America would be to multiply the numbers of missions, which could easily be done by dividing many of the large Polish parishes which now contain congregations running into the tens of thousands. And above all they should at once abolish the unhappy trustees system which prevails among them, and which has caused trouble in so many instances among the Poles, just as it caused trouble among other American Catholics in the past.

* * *

Only one thing remains to be added — Father Kruszka has performed a very difficult mission with great skill and perseverance and he deserves the thanks of his countrymen for his efforts to make the Roman authorities see their side of the question.

Vox Urbis.

64. Wypaczone sprawozdanie Wydziału jest wodą na młyn Hodura, który puszcza w świat zamaszystą odezwę.

W powyższej korespondencji „Vox Urbis“ czepia się liczby Polaków jako wrzekomo przesadzonej przeze mnie. Otóż, jak zobaczymy później, w rok potem wysłany przez Rzym Arcybiskup Symon stwierdził, że ja nie za wysoką lecz raczej za niską liczbę Polaków podałem. Vox Urbis czepia się dalej tego argumentu, że Polacy w Ameryce są tak rozproszeni, iż w żadnej diecezji nie tworzą większości. A czy ajrysze tworzą większość we wszystkich diecezjach, gdzie są ajryscy biskupi? Vox Urbis czepia się i naszych komitetów parafjalnych — o tak, bo gdyby nie te komitety, toby ajryski lub niemiecki biskup mógł robić z księdzem co mu się żywnie podoba i zastąpić polskiego księdza ajryskim lub niemieckim.

Powyższą korespondencję „Vox Urbis“ musiał czytać Wydział Wykonawczy. I to zdaje się pod wpływem powyższej korespondencji sekretarz Wydziału ks. K. Sztuczko takie sprawozdanie ogłosił w gazetach 14 maja 1904:

„Nasz delegat rzymski Wiel. ks. W. Kruszka jest już w domu. Widzieliśmy się z nim w zeszły wtorek. Co z Rzymu przywiózł, o tem nie mamy potrzeby tu wspominać; cała Polonja amerykańska już wie o tem bardzo dobrze. Z tego co z ust Wiel. delegata dowiedzieliśmy się, staje się jasnem, że aczkolwiek znakomicie on nas w Rzymie reprezentował i zaznajomił tam kogo należało o opłakanym położeniu Polaków katolików w Ameryce, to jednak decyzji urzędowej w sprawie równouprawnienia kleru polskiego nie otrzymał żadnej. Otrzymał tylko prywatne zapewnienie, że decyzja w tej sprawie powziętą zostanie a to prawdopodobnie nie prędzej, aż pewne ważne przeszkody będą usunięte. Przeszkody te są dwojakie: jedne ze strony kleru polsko-amerykańskiego, który w Rzymie ma być podobno źle zapisany, zaś drugie ze strony katolików amerykańskich irlandzkiej i niemieckiej narodowości, którzy pod szumną nazwą „amerykanizmu“ pracując dla swych własnych narodowych interesów, nie radziby dzielili się wpływami i znaczeniem z znienawidzonymi przez siebie Polakami. Dalej dowiedzieliśmy się, że jedne z tych przeszkód możnaby łatwo usunąć przez spokojną, a gorliwą pracę nad podniesieniem znaczenia i godności ludu polskiego w Ameryce, drugie zaś przez ustawiczne, spokojne lecz silne, a więc zorganizowane pukanie do podwoi Piotrowych

o uwzględnienie naszych słusznych żądań. Sprawa usunięcia tych przeszkód powinnaby stanowić główny temat rozpraw Wiel. Duchowieństwa naszego na III-cim polsko-katolickim Kongresie".

Przeczytawszy takie sprawozdanie, natychmiast posłałem Wydziałowi następujące sprawozdanie, które w odezwie swej z dnia 28 maja 1904 r. Wydział w gazetach ogłosił:

Ripon, Wis., 17 maja 1904.

Do Wydz. Wykonawczego

Wb. ks. Sztuczko, sekr.

Wielebny Księże!

W ostatniem sprawozdaniu Wydz. Wykonaw. z dnia 14 b. m. zakradła się niedokładność. Pisze ks. Dobr.: „Decyzja w tej sprawie powziętą zostanie, a to podobno nie prędzej, aż pewne ważne przeszkody będą usunięte itd.". Otóż musiał mię ks. Dobr. źle zrozumieć. Papież tego nie powiedział. Słowa Jego Świątobliwości Piusa X były jasne, wyraźne i bezwarunkowe: „Decyzja będzie **czemprędzej**, i to podług waszych pragnień" — „decisio erit **quantocius**, et quidem secundum vestram desideria". Że ten i ów w Rzymie mi mówił, iż zachodzą przeszkody, iż kler polski źle zapisany i t. p. — to prawda; ale papież tego nie mówił. Papież przyrzekł bezwarunkowo, że decyzja i to pomyślna, nastąpi czemprędzej! Myśmy polegać winni na słowie papieskiem, bez wahania i bez niedowierzania. Co papież powiedział — to święte słowo; on jedynie jest ostatecznym sędzią i wyrocznią w naszej sprawie. Ubliżylibyśmy papieżowi, gdybyśmy jego słowu nie dowierzali, albo, co gorsza, gdybyśmy jego zdanie przekręcali.

Że my, Polacy w Ameryce, nie jesteśmy takimi, jakimi być powinniśmy — o tem papież też wie. Ale nie powiedział, że decyzja nastąpi dopiero wtenczas, gdy będziemy takimi, jakimi być powinniśmy; lecz powiedział bezwarunkowo: „decyzja będzie czemprędzej". Któż jest takim, jakim być powinien? Kto mówi, że jest bez grzechu, ten kłamcą jest. Gdyby papież chciał czekać, aż my się staniemy takimi, jakimi być powinniśmy, musiałby do sądnego dnia decyzję odłożyć. Zna on naszą słabość i krewkość, i dlatego właśnie chce nas czemprędzej wzmocnić na duchu, podnieść, podźwignąć i udoskonalić. Bo nie zdrowym, lecz chorym potrzeba właśnie lekarza.

Swoją drogą dobrześ ks. Dobr. zauważył, że i my ze swej strony powinniśmy spokojnie, „gorliwie i usilnie pracować nad

podniesieniem znaczenia i godności ludu polskiego w Ameryce". I to jest gorącem życzeniem Ojca św. Przez gorliwą pracę nad sobą i społeczeństwem w duchu Chrystusowym, najlepiej mu okażemy wdzięczność naszą.

Z szacunkiem sługa w Chr.

Ks. Wacław Kruszka.

Atoli owo sprawozdanie Wydziału Wyk. było wodą na młyn ks. Hodura i całego obozu niezależnego. Powołując się na sprawozdanie Wydziału z dnia 14 maja 1904 ks. Hodur, administrator kościołów narodowych, rozesłał następującą drukowaną odezwę:

Do wszystkich Kościołów Polsko-Narodowych, Patrjotycznych Tow. i Ludzi dobrej woli, którzy nie zwątpili w przyszłość Polskiego Narodu na wychodźtwie.

Już blisko od dziewięciu lat najważniejszą sprawą w życiu polskiego wychodźtwa w Ameryce jest kwestja zależności naszego narodu pod względem kościelnym, a co zatem idzie i pod względem moralnym, politycznym i społecznym od ajryskich i niemieckich biskupów.

Zależność ta jest główną przeszkodą w rozwoju polskiej emigracji w Stanach Zjedn., zagraża poważnem niebezpieczeństwem naszemu bytowi i jest ufundowana na prawie kościelnem, uchwalonem przez ajryskich arcybiskupów i biskupów w Baltimore w roku 1883, a potwierdzonem przez papieża Leona XIII, mocą której to ustawy właścicielem i prawnym zarządcą własności kościelnej jest biskup, a od niego tylko zależnym agentem — ksiądz.

Lud polski, który złożył setki miljonów dolarów na budowę kościołów i płaci dziesiątki miljonów rocznie na ich utrzymanie i upiększenie, jest tylko na komornem w tych kościołach i może być z nich wyrzuconym każdego czasu przez irlandzkich dygnitarzy Kościoła.

Z tego stosunku wypływa dla naszego narodu potrójna szkoda:

Po pierwsze strata tych stu kilkudziesięciu miljonów dolarów, które lud włożył w kościoły;

Po drugie, hańba i poniżenie dla nas, żeśmy już takiem ostatniem plemieniem na świecie, i że nawet swoją pracę przekazujemy innym na własność i dobrowolnie oddajemy im się w kuratelę;

Po trzecie strata moralna i społeczna wielka, bo księża polscy pozostający tylko w wyłącznej zawisłości od ajryskich biskupów,

jako swych przełożonych i właścicieli kościołów starają się tylko o ich względy i łaski, a o lud dbają chyba tylko o tyle, by go sobie nie zrazić jako dojnej krowy i owcy wełnodajnej.

Żywym protestem przeciwko temu niegodnemu i niebezpiecznemu stosunkowi polskiego narodu do ajryskich i niemieckich biskupów jest narodowy ruch w Kościele. Celem jego jest tworzenie przy pomocy Bożej takich warunków dla polskiego wychodźtwa w Ameryce, żebyśmy wierni zasadom Kościoła Powszechnego, Chrystusowego, nie stali się pastwą ajryszy i Niemców, nie byli narzędziem tylko do zbogacenia się księży. Polski naród sam sobie — oto hasło naszego narodu, oto sztandar wywieszony najpierw w Scranton, a potem Priceburgu, Filadelfji, Durya, Plymouth, Wilkes Barre, Jersey City, Bayonne, Passaic, Fall River, Chicopee, Lowell i Webster i po tych innych osadach, jak Chicago, Buffalo, Cleveland, które choć nie pozostają jeszcze z nami w ściślejszej łączności, pracują również i cierpią dla wyzwolenia siebie i reszty współbraci z ajryskiej i niemieckiej niewoli. Na księży zaprzedanych ciałem i duszą nieprzyjaciołom polskiego narodu padł strach. Poczęli się obawiać o swe wygody, worki pełne mamony, a wkońcu i o swe pozycje. Więc rada w radę. I cóż uradzono? Chwycić się starej metody i zniszczyć ruch narodowy w Kościele. Najpierw wyklęto niżej podpisanych i lud wierny, ale ta klątwa niesprawiedliwa dodała tylko sił walczącym o święte prawa.

Potem chcieli księża użyć Związku Narodowego Polskiego za narzędzie i poniżyć nas — ale im się nie udała i ta podziemna robota. Na koniec dla obałamucenia prostaczków zgodzili się księża rzekomo na przedstawienie papieżowi przykrego położenia Polaków w Ameryce i wysłali w tym celu do Rzymu delegację, złożoną z protestanta Mahany'ego z Buffalo i ks. W. Kruszki z Ripon, Wisconsin, która miała żądać od papieża równouprawnienia polskiego kleru przy wyborach biskupów.

Delegacja bawiła kilka miesięcy w Rzymie, puściła kilka tysięcy dolarów, wyciśniętych przez księży z biednego robotnika, ucałowała stopę Piusa X, powycierała kąty różnych lokali watykańskich i powróciła z kwitkiem.

Oto co pisze ks. Sztuczko, sekretarz Wydziału Wykonawczego II kongresu w „Dzienniku Chicagoskim“ z dnia 14 maja b. r. o zabiegach delegacji i skutkach tych zabiegów, w piśmie nie podejrzanem o stronniczość, boć to główny organ polskiego kleru w Ameryce:

(Tu ks. Hodur przytacza wyżej wspomniane sprawozdanie Wydziału i tak dalej woła):

Sprawozdanie zatem stwierdza to wszystko, co pisano w ostatnich latach o naszem stanowisku wobec Rzymu i ajryskich biskupów.

Zasadą Rzymu jest obiecywać biednym i słabym, ale im nic nie dać. Zasadą jest nie zrażać sobie bogatych i potężnych, a takimi są właśnie nasi wrogowie — biskupi.

Zasadą jest nakoniec Rzymskiego Kościoła nie wzmacniać idei narodowej, ale ją osłabiać. Już więc z tego powodu nie zgodzi się Rzym nigdy na polskiego biskupa, któryby był ostoją polskości w Ameryce.

Oni czekają na naszą śmierć — a my wyglądamy ocalenia od nich. O, jakżeśmy naiwni i biedni!

Oni ze swego punktu widzenia mają słuszność, gdy zagarnęli na swą własność kościoły, bo i księża i ludzie muszą ich słuchać bezwarunkowo, lecz my część narodu o wspaniałej przeszłości, nie mamy ochoty stać się gnojem i podścieliskiem ajryskiego plemienia, ale chcemy żyć własnem życiem — my musimy się buntować i protestować przeciwko gwałtowi zadanemu blisko dwu miljonom Polaków.

Pomiędzy polskim narodem a rzymsko-ajryskim kościołem w Ameryce porozumienia być nie może, jak nie może być miłości pomiędzy owcą i wilkiem. Czy wcześniej, czy później stalibyśmy się ofiarą podstępnych, chciwych władz i majątku dygnitarzy kościelnych.

Więc baczność Bracia Rodacy! Ze sprawozdania ks. Sztuczki wynika, że niema co liczyć na Rzym w tej walce między polskim ludem, a tutejszymi biskupami — bo Rzym staje po stronie możnych biskupów. Cóż więc czynić nam wypada? Czy pozostawić rzeczy swemu biegowi i pozwolić, żeby i nadal paśli się biskupi i swe plemię ajryskie naszymi majątkami kościelnymi, żeby nasi księża pod ich opieką tuczyli się i podleli w niewolniczej służbie, żeby lud poniewierany, wyzyskiwany na to tylko budował ogromne gmachy, żeby karmiony fanatyzmem rzymskim, ogłupiany przez księży i tak zwane siostry, wlókł dalej marne życie tułacze i tu nawet na wolnej amerykańskiej ziemi?

O nie, Bracia! Czekaliśmy na odpowiedź z Rzymu, bo wołano na nas: poczekajcie, nie spieszcie się! Niech ten, któremu naród polski ufał przez 1000 lat, dla jego chwały przelewał krew i cześć od-

dawał mu boską, niech weźmie polski lud w obronę. Niech weźmie, myśleliśmy, niech się odezwie papież! Aleśmy czekali napróżno. Na pruskie gwałty spełniane na naszym narodzie, odpowiedział Pius X przyjaźnią, zaprzysiężoną cesarzowi Wilhelmowi II, na prośby polskiego ludu z Ameryki odpowiedział wysłaniem kardynała Satollego, który daje śluby zbogaconym ajryszom, zjada obiady u arcybiskupów i biskupów i rozdaje płatne błogosławieństwa na prawo i lewo. Słowa pociechy i nadziei dla wiernego ludu polskiego nie przywiózł Satolli z Rzymu.

Wobec tego lekceważenia naszego narodu wogóle, a tutejszego ludu w szczególności ze strony papieża i ajryskich biskupów — stajemy my narodowi księża i jego wybrani przedstawiciele i odzywamy się do współbraci naszych: Czas najwyższy, żebyśmy pozbyli się zależności od ajryszy i niemców, czas, byśmy sprawy kościoła naszego wzięli we własne ręce, czas zorganizowania ostatecznego **Polsko-Narodowego, Katolickiego Kościoła w Ameryce.**

By mieć sposobność gruntownego zastosowania się nad naszem położeniem, nad stosunkami kościelnemi i społeczno-narodowemi, by przejrzeć dotychczasowy Program narodowo-religijnego ruchu, usunąć to, co było w naszej organizacji nieodpowiedniego i nieużytecznego i nakreślić sobie na przyszłość program jasny i prosty narodowo-religijnej pracy w Ameryce — w tym celu zwołujemy pierwszy Synod Polsko-Narodowego Katolickiego Kościoła w Stanach Zjednoczonych do Scranton.

Synod ten, w którym będą mogli brać udział wszyscy narodowi księża i świeccy przedstawiciele parafij, jako też delegaci towarzystw istniejących poza narodowymi kościołami i przedstawiciele prasy życzliwej naszemu ruchowi, rozpocznie się w Scranton dnia 6-go września, o godz. 9-ej rano w hali szkolnej św. Stanisława i trwać będzie trzy dni. Bliższych informacyj udzieli, jako też przyjmuje zgłoszenia Administrator Polsko-Narodowego Kościoła.

Więc nuże do przygotowawczej pracy wszyscy, którym dobro polskiego ludu leży na sercu! Wszyscy poniewierani i wyklęci przez ajryskich biskupów, wszyscy skrzywdzeni i pohańbieni przez księży polskich, zaprzedanych wrogom własnego narodu, wszyscy, którzy wierzą w zapanowanie sprawiedliwości Bożej na świecie i cierpią, patrząc się, jak depczą po niej ci, co się mienią następcami i uczniami Chrystusa Pana — wszyscy my zejdźmy się razem, zapomnijmy sobie urazy i błędy popełnione w przeszłości, a owiani

jedną wielką myślą Bożej i Narodowej służby, radźmy, jakby zgotować ludowi wiernemu lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Ks. Fr. Hodur, Administrator.
535 Locust St. — Scranton, Pa.

Ks. A. Pluciński, Ks. Fr. Mirek, Ks. W. Gawrychowski, Ks. W. Szumowski, Ks. Fr. Kowalski, Ks. W. Łagan, Ks. M. Tolpa, Ks. K. Papoń, Ks. J. Dawidowski, Ks. M. Witortt.

Leon Siłkowski, przew. kom. kośc. w Scranton, Antoni Bocianowski, przew. kom. kośc. w Priceburg, J. Dąbrowski, przew. kom. kośc. w Dyrea, Pa., R. Albecki, im. kom. z Webster, Mass., J. Skrzypiec, im. kom. z Fall River, Mass., Jan Strojny, przew. kom. kośc. w Plymouth, Fr. Wójcik, przew. kom. kośc. w Wilkes-Barre, J. Rzeźnikiewicz, przew. kom. kośc. w Chicopee, Mass., W. Gejza, im. kom. z Bayonne, N. J. A. Pąprowicz, im. kom. z Lowell, Mass.

65. Już w tydzień po powrocie do Ripon otrzymałem z Rzymu sekretną wiadomość o wysłaniu przez Stolicę świętą arcybiskupa Symona do Ameryki.

W owym czasie kardynał Satolli przyjechał do Ameryki a delegat Apostolski Falconio pojechał do Rzymu. Wobec tego „Kurjer Warszawski" z dnia 27-go czerwca 1904 ogłasza następującą korespondencję z Rzymu:

Rzym, d. 20 czerwca.

Sprawa biskupów polskich dla Ameryki.

Jak już donosiłem, kardynał Satolli, b. del. apostolski w Waszyngtonie, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, dokąd został zaproszony przez komitet wystawy w Saint Louis, ale prawdopodobnie przy tej sposobności rozpatrzy się w miejscowych stosunkach kościelnych.

Bawi także obecnie tutaj monsignor Falconio, delegat Apostolski na Stany Zjednoczone. Sądzę więc, że i sprawa mianowania biskupów polskich dla dwóch miljonów Polaków amerykańskich będzie w dalszym ciągu roztrząsaną.

A tymczasem otrzymuję z Buffalo w liście prywatnym wiadomość o wrażeniu, jakie sprawiła tam zapowiedź, dana przez Piusa X, że życzeniom Polaków stanie się, i to w krótkim czasie, zadość.

Ksiądz Wacław Kruszka, który tu bawił dziesięć miesięcy, jako delegat Polaków amerykańskich, przyjęty został triumfalnie w Ameryce przez ziomków, których słowa papieża nadzwyczajnie uradowały, gdyż niema już żadnej wątpliwości, że słuszne żądania Polaków będą zadowolone.

Co większa, w Buffalo zgłosił się do ks. Kruszki komitet, wysłany przez „niezależnych katolików polskich" (którzy — jak wiadomo — w liczbie 60,000 odłączyli się od Kościoła powszechnego i mają dwóch „biskupów polskich niezależnych"), aby go zawiadomić, że skutkiem przychylenia się Stolicy Apostolskiej do życzeń Polaków, pragną gremjalnie powrócić na łono Kościoła. Ks. Kruszka nie mógł wchodzić z nimi w rozmowę bez upoważnienia miejscowego biskupa, który jest irlandzkiego pochodzenia. Więc poszedł do biskupa, ale usłyszał odpowiedź: „Jeśli niezależni chcą się nawrócić, niech przyjdą do mnie!" Wzbronił zarazem ks. Kruszce pośredniczenia w tej sprawie i nawet korespondowania. Wobec tego ks. Kruszka nie mógł nic zrobić. Wątpliwem atoli jest, aby „niezależni" udali się do biskupa irlandczyka, z którym zresztą rozmówić się nawet nie potrafią, gdyż on po polsku nie mówi, a oni po angielsku; wreszcie obcy biskup, za jakiego każdy irlandczyk czy niemiec u ludzi w Stanach Zejdnoczonych jest uważany, nie wzbudza zaufania.

Tak obecnie sprawa ta stoi.

Rom.

Pan Erazm Jerzmanowski z Hotelu Weimer, Marienbad, pisze mi 18-go czerwca 1904: „Bardzo mnie cieszy, że ks. proboszcza zabiegi może wkrótce odniosą skutek i pewno każdy Polak, tam zamieszkały, wdzięczny będzie ks. Dobrodziejowi za tyle trudów, podjętych w tym kierunku".

Ks. Władysław Marszałkiewicz, prokurator generalny OO. Zmartwychwstańców w Rzymie, pisał mi z Rzymu 12-go czerwca 1904:

„Przewielebny i kochany księże prob.! Cieszyłem się, czytając w gazetach amerykańskich, z przyjęcia kochanego księdza w Ameryce; pokazali, że umieją być wdzięczni za trudy i starania, kłopoty i niepokoje kochanego księdza, a których ja byłem naocznym świadkiem, podziwiając jego zarazem wytrwałość, zaparcie się siebie, zapomnienie o sobie. Jedynie przeświadczenie o słuszności sprawy i dobro wspólne dodawało Mu zachęty do spełnienia wzię-

tego na siebie obowiązku. Ci bowiem, którzy powinni byli dodawać otuchy (myślę o sekretarzu sławetnym i jego „mydleniu oczów“), przeszkodę moralną stawiając, zwiększali już i tak piętrzące się trudności. Nie myśl, kochany księże proboszczu, że czczy piszę tylko panegiryk — napisałem co mi podyktowało głębokie przekonanie.

Widziałem Mgr. Antonucci, pewnie już pisał do kochanego księdza i dał wiadomość, nie chcę więc to, co od niego słyszałem, powtarzać tutaj.

Wizytator Apostolski Opat Serafini będzie na początku sierpnia lub około 15-go w Ameryce — przypominam kochanemu księdzu proboszczowi to, cośmy omawiali. Potrzeba, ażeby był poinformowany w Ameryce jak najdokładniej. Od tego zależy wiele“.

I znowu dnia 13-go lipca 1904 tenże z Rzymu mi donosił:

„O ile słyszałem, sprawa postępuje, ale koniecznie potrzeba zachować milczenie i nic o tej sprawie nie podawać do dzienników. Pewnie Mgr. Antonucci obszerniej pisał księdzu kochanemu; macie w nim szczerego przyjaciela i oddanego wam rzecznika — zajmuje się sprawą roztropnie i gorliwie“.

Otóż te wiadomości, jakie Mgr. Antonucci, opiekun naszej sprawy w Rzymie, pod sekretem mi doniósł, o jakich koniecznie potrzeba zachować milczenie i nic w tej sprawie nie podawać do dzienników“ — były następujące. List Mgr. Antonucci'ego po łacinie pisany, w przekładzie polskim brzmi dosłownie tak:

„Rzym, Via dell, Anima, 45, dnia 4-go maja 1904.

Mój Najdroższy Przyjacielu!

Jeśliś zdrów, to dobrze: ja zdrów i winszuję ci przyjęcia twego (w Ameryce). Twój list i życzenie z Neapolu z wielką radością otrzymałem.

Nie przestaję i nie przestanę działać dla słusznej naszej sprawy, która zaiste pomyślny wynik mieć będzie.

Dotychczas następujące mam wiadomości, które Ci natychmiast przesyłam, prosząc Cię i zaklinając, ażebyś się kierował największą roztropnością w ich rozgłoszeniu, ażebyś czegoś do gazet nie podał.

Po pierwsze. Arcybiskup Józef Weber, auxiliarjusz lwowskiej diecezji, którego widziałem, któremu sprawę naszą jak najsilniej poleciłem, tę samą sprawę papieżowi polecił, i znowu przed wyjazdem swoim z Rzymu ją poleci. Ojciec święty nadal jest jak

najlepiej usposobiony dla polskich Amerykanów i ich sprawy. Prosiłem także tegoż arcybiskupa, ażeby nalegał na Ojca świętego o wysłanie Listu Apostolskiego do polskich Amerykanów.

Po drugie. W niektórych diecezjach księża polsko-amerykańscy ustanowieni będą wikarjuszami generalnymi.

Po trzecie. Arcybiskup Symon, jeśli rzecz ta biskupom amerykańskim się spodoba, wyjedzie do Ameryki dla zwiedzenia i zbadania w imieniu Stolicy świętej parafij polsko-amerykańskich, ażeby o wszystkiem zdał sprawę Ojcu świętemu.

Po czwarte. Doniesiono mi właśnie, że Jego Eminencja kardynał Satolli pojedzie także do Ameryki czyli do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Po piąte. Sprawa teraz gruntownie obrabiana jest przez świętą Kongregację Propagandy Wiary, i niema żadnej wątpliwości, że sprawa zostanie załatwiona jak najlepiej podług naszych życzeń. Trzeba tylko czekać cierpliwie i spokojnie. Jeśli coś nowego zajdzie, natychmiast Cię uwiadomię.

Dzisiaj i wczoraj widziałem Jego Eminencję kardynała Svampę, któremu dzięki składałem w Twojem imieniu; Ciebie bardzo pozdrawia. Sprawę nanowo usilnie mu poleciłem.

Serdecznie pozdrawiam Ciebie i ks. Pitassa, bardzo szanowanego męża, oraz R. Mahany, najlepszego przyjaciela.

Z największą życzliwością i uprzejmością kreślę się

Twoim najoddańszym w Chrystusie bratem i przyjacielem,

Józef Antonucci."

Otóż tędy ich wiedli i przywiedli do Ameryki! Kogo wiedli i przywiedli do Ameryki? Pierwszych biskupów polskich, najpierw arcybiskupa Symona, a potem arcybiskupa Webera. Arcybiskup Symon w odwiecznych wyrokach Boskich miał być pierwszym biskupem polskim, jaki stanął na tej tu półkuli ziemskiej. A arcybiskup Weber drugim.

Powyższą wiadomość z Rzymu otrzymałem istotnie „jak najprędzej" quantocius — bo już w tydzień po powrocie moim z Rzymu do Ripon, mianowicie dnia 19 maja 1904, w miesiąc po audjencji papieskiej. Odtąd zaczęła się długa a ciekawa korespondencja między moim człowiekiem w Ripon a arcybiskupem Symonem w Rzymie. Arcybiskup bowiem Symon długo i starannie się przygotowywał do tej swojej dalekiej podróży na drugi świat do Ameryki. Drobiazgowo — przez listy wysyłane do Ripon wypytywał się nie-

tylko, jak go tu rodacy przyjmą, ale także, jak go tu biskupi amerykańscy przyjmą, czy zimno, czy chłodno, czy letnio, czy też z otwartymi ramionami. Chciał o wszystkiem naprzód się dowiedzieć, bo „teda praevisa minus feriunt“ — „strzały przewidziane mniej ranią“. Jeden list po drugim dla wywiadu przysyłał do Ripon, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. Zajęło to prawie cały rok, zanim wybrał się nareszcie do Ameryki ze swoją tajną misją od Stolicy świętej.

66. Chwile udręczenia. — Zarzucano mi, że najpierw mydliłem oczy kardynałom w Rzymie, a potem mydliłem oczy Polakom w Ameryce.

Tymczasem nie brakło takich, którzy to słowo papieskie „czemprędzej“ — quantocius — tłumaczyli sobie w ten sposób, że już dziś albo jutro co najwyżej za tydzień będzie biskup polski w Ameryce. Jak Żydzi szemrali na Mojżesza, że tak długo nie widzą tej obiecanej ziemi, tak wielu rodaków szemrało na mnie, że tak długo nie widać tego obiecanego biskupa polskiego w Ameryce. Co człowiek wycierpiał szykan i moralnych udręczeń! Ledwie po powrocie z Rzymu stanąłem na ziemi amerykańskiej, a już mię takimi obsypano szyderczymi pytaniami:

— A gdzie masz biskupa polskiego?

Myślano, że go w kieszeni albo w kuferku ze sobą przywiozłem. A tu nic. Minął tydzień i nic. Minął miesiąc i nic. Więc ostatecznie wnioskowano, że z tego wszystkiego będą — nici. Nawet Wydział Wykonawczy poniekąd podzielał takie zdanie, jak to w poprzednim rozdziale, 64, widzieliśmy. Wydział Wykonawczy z początku, — przez pierwsze siedm miesięcy moralnie i materjalnie wspierał mnie w Rzymie z wielkim zapałem. Ale ten zapał później ostygł, wskutek braku funduszów, tak dalece, że sekretarz ks. Sztuczko jeszcze w połowie lutego 1904 radził mi porzucić wszystko w Rzymie, zostawić sprawę niezałatwioną i wracać czemprędzej do domu. — Bo więcej pieniędzy dla mnie niema. Było to dnia 13 lutego 1904, kiedy taki list mi nadesłał z Chicago:

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Rzymie.

„Wiel. Księże Dobrodzieju! Stosując się do Jego życzenia, wypowiedzianego w ostatnim liście, wysyłam w tej chwili na ręce p. Mahany przekaz bankowy na 34 dolarów (które byłem winien p. Mahany'emu). Więcej pieniędzy dla Ks. Dobrodzieja nie mam,

więc nie posyłam. Onegdaj otrzymałem list z małą ofiarą na delegację rzymską od Polaków w Ripon. Strasznie narzekają na swoje opuszczenie duchowne: że są jako owce bez pasterza! Już wielki czas, aby Ks. Dobrodziej nareszcie powrócił do swej owczarni! W Rzymie zdaje się Ks. Dobrodziej dla Polaków w Ameryce nic nie uzyska. Nie sztucznej dyplomacji, mydlenia oczów kardynałom, ale rzetelnej pracy nad sobą i nad społeczeństwem naszem polskiem nam potrzeba. Niech do tej pracy Ks. Dobr. powraca jak najprędzej.

Z wysokim szacunkiem,

Ks. K. Szłuczko, C. S. C.

Sekr. W. W.

Przeczytawszy powyższy list, na początku marca r. 1904, w pierwszej chwili chciałem istotnie wszystko porzucić i wracać do Ripon nie ukończywszy spraw w Rzymie. Księdzu Sztuczce na powyższy list skreśliłem następującą odpowiedź:

„W Ameryce dziwią się niektórzy, że sprawa uwzględnienia kleru polskiego w hierarchji kościelnej w Ameryce tak długo się przewleka. W Ameryce wszystko idzie hurry up! Tu w Rzymie zwlekanie sprawy to rzecz zwyczajna. Tu każdy widzi, jak nawet **zwykłe** sprawy, naprzykład matrymonjalne, nie miesiącami lecz latami się wloką. O ileż dłużej wloką się tu sprawy **niezwykłe**, dla których kurja rzymska nie znajduje w przeszłości żadnego precedensu ni gotowej formułki na odpowiedź, zwłaszcza jeśli załatwieniu tej sprawy potężni przeciwnicy na poprzek stają i do jej załatwienia żadną miarą dopuścić nie chcą — jak to ma miejsce w obecnej sprawie naszej. Rzym wtedy bardziej, niż kiedykolwiek trzyma się tej zasady:

Chi va piano,
Va sano
E lontano.

To znaczy: kto idzie powoli, idzie zdrowo i zajdzie daleko. A co nagle, to po djable. Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeśli tylko ta sprawa nasza świętą jest i od Boga pochodzi, to nie upadnie pomimo odwłoki i stawianych jej przeszkód. Ze strony Rzymu nie ma trudności.

Przyczyną dotychczasowej — jak się właśnie przekonałem — dalszej jeszcze zwłoki w załatwieniu naszej sprawy jest ten twardy opór, ta zacięta opozycja biskupów amerykańskich. Że taka

opozycja istniała, były dawniej już domysły; lecz teraz są pozytywne dowody na to. Jest dziś rzeczą udowodnioną, że życzenia nasze są sprzeczne ze życzeniami episkopatu amerykańskiego (z wyjątkiem tylko kilku biskupów zgadzających się na nasze życzenia). Rzym wobec tego ma tę alternatywę: ma do wyboru, narazić sobie albo słabą Polonję albo potężny episkopat. Przychylić się do życzenia albo Polaków albo biskupów, a przychylając się do życzenia jednych narazić sobie drugich. I tak źle, i tak niedobrze. Rzym więc zwleka, bo czas to najlepszy doradca i lekarz. Z czasem albo Polacy odstąpią od swoich żądań albo opozycja biskupów ustąpi. Tak w pierwszym jak i w drugim razie sprawa będzie załatwiona. A jeśli ani jedna ani druga strona nie ustąpi — co Rzym uczyni? Jasna rzecz, że w takim razie z dwojga złego wybierze mniejsze, to jest, raczej będzie wolał narazić sobie dwumiljonową ludność polską, aniżeli narazić sobie potężny episkopat, przedstawiający dwunastomiljonową ludność katolicką.

To Rzym uczyni, i uczynić musi, pomimo, że z całej duszy jak najgoręcej sympatyzuje z naszymi życzeniami, bo uważa je za słuszne. Ale w polityce kościelnej Rzym sympatją kierować się nie może, tylko rozumem i zimnem wyrachowaniem. Woli stracić zaufanie garstki Polaków, niż zaufanie zwartego szeregu biskupów. Nie bierzmy tego Rzymowi za złe, owszem uczmy się od niego rozumu politycznego. Nie opuszczajmy nigdy rąk, nie uważajmy sprawy naszej za straconą. — Czas zmienia ludzi. Ci co dziś wrogo występują przeciw naszej sprawie i murem stają przeciwko nam, jutro mogą przechylić się na naszą stronę i stać się naszymi przyjaciółmi. Rzym czeka cierpliwie, to i my czekajmy; bo nie tylko czas zmienia ludzi ale i ludzie sami się zmieniają.

Wytrwajmy na tej drodze, na którąśmy raz weszli, dopóki nie dojdziemy do upragnionego celu. Żadne trudności, żadne przeszkody ni przeciwności, zbić nas z toru nie powinny! Wrogów naszej sprawy nie sądźmy — niech Bóg i czas ich osądzi. Lecz natomiast **jednolity front im stawmy!** Z cywilną odwagą i twardo stójmy przy naszych żądaniach, zaś na włos nie odstępując od tego, co uważamy za sprawę świętą i sprawiedliwą. Niech nas P. Bóg broni od małoduszności, od upadku ducha i niezgody we własnym obozie!

Bądźmy mężni i wytrwali, ale i **konsekwentni** w naszem działaniu i postępowaniu. Konsekwentni, to znaczy, niech słowom naszym odpowiadają czyny. Jeśli słowem i pismem dowodzimy, że

biskupi obconarodowi nie wystarczają ludowi naszemu do zachowania wiary świętej; to i w życiu naszem codziennem udowodniajmy to samo naszem działaniem i postępowaniem, aby pokazać namacalnie, że istotnie zachodzi potrzeba biskupów polskich. Słowo to wiatr, czyn to potęga. Nacóż bowiem przyda się słowem i pismem i sążnistymi petycjami udowadniać, że nam źle z tem, jak jest: — jeśli czynem i postępowaniem codziennie okazujemy, że nam dobrze z tem, jak jest? jeśli przy bierzmowaniu w kazaniach obcojęzycznych biskupów wyręczamy; z przesadną pompą ich przyjmujemy, i grosz Piotrowy im oddajemy, zamiast go wprost posłać na ręce papieskiego sekretarza stanu? Nie przekonają naszych oponentów ni słowa ni pisma, niezgodne z czynem i postępowaniem naszem.

Mamy wobec biskupów obconarodowych niezaprzeczenie liczne obowiązki, i te wiernie spełniamy. Ale mamy także pewne niezaprzeczone prawa do biskupów własnej narodowości, i tych praw żadną miarą im nie odstępujemy. Bo jeśli dobrowolnie praw swoich im odstępujemy, to nie biskupów, ale nasza własna wina, że z praw wszelkich zostajemy ogołoceni. Volenti non fit injuria — chcącemu nie dzieje się krzywda. Kto praw swoich sam się zrzeka, temu nie dzieje się krzywda. Otóż pokażmy nietylko słowem i pismem, lecz także czynem i postępowaniem naszem, że praw swoich do polskich biskupów, do polskich przemów biskupich i polskich listów pasterskich, nie zrzekliśmy się i nie myślimy się zrzekać. W tem bądźmy nieubłaganie konsekwentni i logiczni, — mężni i nieugięci, choć z drugiej strony łagodni, grzeczni, uprzejmi i ulegli w tem, co nie prawem lecz obowiązkiem naszym jest.

Te uwagi nasunęły mi się pod pióro właśnie w tej chwili, kiedy na wezwanie Wydziału Wykonawczego mam schodzić z posterunku, jaki zajmowałem tu przez ostatnie 10 miesięcy. — Moją misję jako delegata w Rzymie uważam za skończoną, choć sprawa sama, dla której tu przyjechałem, bynajmniej jeszcze nie skończona, że sprawa ta ani jeszcze nie ukończona, ani też nie ubita, ale że przeciwnie właśnie teraz znajduje się w pełnym biegu: dowodem tego choćby ten urzędowy list z Watykanu mi przysłany. Dowodem tego jest i ustna zachęta kard. Svampy, żebym nie ustawał ale wciąż pukał do bram Watykanu, aż mi otworzą: bo tam w najwyższych kołach Watykanu sprawę naszą uważają za sprawę wielkiej wagi i doniosłości. A jeśli jej bezzwłocznie nie załatwiają, to nie z opieszałości lub lekceważenia

jej, lecz raczej ze zwykłej w takich razach i właściwej Rzymowi powolności i roztropności.

Ale pomimo, że sprawa jeszcze w toku i daleko jej do końca, pomimo, że należałoby przypilnować jej dłużej: — ja uważam swoją misję za skończoną, raz dla braków funduszów (nietylko publiczne ale i moje prywatne już się wyczerpują) a powtóre, że i Wydział Wykonawczy wzywa mię do powrotu. Wyjadę więc z Rzymu i dn. 8 kwietnia w Neapolu siadam na okręt płynący do Ameryki. Zaniecham dalszej pracy mojej w Rzymie czyli „sztucznej dyplomacji i mydlenia oczów kardynałom", jak się spodobało sekretarzowi Wydziału nazwać żmudną moją pracę w Rzymie. Powrócę do Ripon, do „rzetelnej pracy nad sobą i nad społeczeństwem polskiem", bo tu w Rzymie tej „rzetelnej pracy" nie wykonywałem. Ha! zupełnie słusznie. Wszak nie sam Rzym, ale i Ripon nie darmo nosi nazwę „centrum świata". Wracam jak najprędzej do Ripon, a wracam z tem błogiem poczuciem i spokojnem sumieniem, że obowiązki włożone na mnie przez Drugi Kongres spełniłem, zawodum dokonał, wiary dochował, bo wiernie i literalnie wypełniłem to, com był publicznie przyrzekł na Kongresie, że w razie potrzeby i do wrót Watykanu zapukam. Zapukałem, otworzyli mi wrota, wszedłem i stanąłem nietylko przed wszystkimi kardynałami Propagandy ale i przed samym papieżem, upominając się o prawa nam przynależne w hierarchji amerykańskiej. Stanąłem i przed biskupami we wszystkich trzech zaborach Polski, wołając: „ratujcie nas, bo zginiemy". A wołanie to moje nie przebrzmiało bez skutku, gdyż biskupi z Polski istotnie sprawę naszą w Rzymie poparli. Słowem, poruszyłem tak w Rzymie jak i w Polsce wszelkie sprężyny, błagając i zaklinając, by Polaków w Ameryce nie upośledzano dłużej, lecz by ich na równi z innymi narodami traktowano. To przyrzekłem był na Kongresie i ten obowiązek swój spełniłem. A jeśli zawiodłem tych, którzy się spodziewali odemnie, że im zaraz gotowego biskupa polskiego ze sobą przywiozę, to nie moja wina w tem, gdyż tego nikomu nie obiecałem. „We are not responsible — powiedział uczony Anglik — if we fail to succeed. But we are responsible, if we fail to do our duty, if we yield the battle to early, if we neglect to hold the fort until chance or reinforcement or a change in the winds of fourtune comes to our relief". Sprawę biskupów polskich wsadziłem na konia, niech teraz sama jedzie dalej; nikt jej z siodła nie wysadzi, nic jej w biegu nie po-

wstrzyma, do celu dobiegnie prędzej czy później choćby wrogowie jej drogę zastępowali. Sprawa nasza podobną jest do wypolerowanej kuli, o którą nikt i nic zaczepić nie może, a która toczyć się będzie ciągle naprzód...“

Tyle napisałem w odpowiedzi na owo „mydlenie oczów kardynałom“. Tu urwałem i nie dokończyłem pisania tego listu i nigdy też nie wysłałem do sekretarza Wydziału. Nie miałem na to czasu. Wypadki w Rzymie szły wówczas szybkiem tempem. Audjencja jedna po drugiej. 3-go i 4-go marca u kardynała Svampy; 6-go i 7-go marca u sekretarza papieża; 14-go marca u prefekta Propagandy; od 19—21-go marca składałem życzenia wielkanocne wszystkim kardynałom Propagandy; 2-go marca u kard. Satolli'ego; 4 lutego u kard. Martinelli'ego; 29-go lutego wręczenie drugiej prośby kardynałom Propagandy; 1 marca u ks. Brandysa, redaktora jezuickiego „Civilta Cattolica“; 3 marca u generała OO. Franciszkanów mniejszych O. Dionizego Schuellera; 18 lutego u prokuratora generalnego OO. Franciszkanów konwentualnych O. Dominika Reutera; 9 marca u O. generała bosych Trynitarzy O. Grzegorza od Jezusa i Marji; 17 marca u przeora Karmelitanów Irlandzkich przy St. Martino ai Monti. Czy łaskawy czytelnik wie, ile jest wszystkich generałów rozmaitych zakonów męskich? Jest ich 108.

Ostatecznie nie usłuchałem głosu sekretarza Wydziału, lecz w dalszym ciągu uprawiałem „sztuczną dyplomację i mydlenie oczów kardynałom“ i postanowiłem sobie tak długo siedzieć w Rzymie, aż z ust samego Ojca św. usłyszę stanowczą odpowiedź. Ale co człowiek wycierpiał tortur duchowych już wówczas w Rzymie, a jeszcze więcej po powrocie z Rzymu, kiedy to każdy, jak kania deszczu, wyglądał tego biskupa polskiego, a on się nie zjawił!

67. Dąb biskupstwa polskiego w Ameryce rośnie powoli. — Jak w Rzymie wybrano arcybiskupa Symona na pierwszego biskupa polskiego do Ameryki. — Listy sekretarza.

Ks. M. Jodyszus, proboszcz założonej przezemnie parafji św. Jozafata w Oshkosh, zaprosił mnie z kazaniem na bierzmowanie, którego miał udzielić arcybiskup Messmer d. 10-go lipca 1904 r. Na to bierzmowanie przyjechał także biskup-elekt Fox z Green Bay. Było więc dwóch biskupów na bierzmowanie Polaków w Oshkosh. Pan Stanisław Slisz, redaktor „Polaka w Ameryce“

dowiedziawszy się, że Msgr. Fox został biskupem w Green Bay, pisał mi 6 czerwca 1904:

„Green Bay poszło nam znów koło nosa, i Niemcy jak byli, tak i będą górą. Teraz i ja zaczynam przypuszczać, że przyjdzie nam jeszcze długo czekać na równouprawnienie; i że papież wymawiając słowa „quantocius" (czemprędzej) miał na myśli nie miesiąc, ale całe lata. Procedura rzymska jest nader powolną i na to trzeba się przygotować".

Ano całkiem naturalnie. Biskupi, to nie grzyby, co po deszczu z ziemi wyrastają w jednym dniu. Biskupi to raczej dęby... A dęby pomału rosną. Polacy n. p. w Oshkosh starali się o polskiego księdza, nie miesiące, lecz lata całe, zanim go nareszcie dostali. Jeśli starania o prostego księdza trwały lata całe, to tem bardziej starania o biskupa polskiego naturalnym rzeczy biegiem potrwają zapewne całe dziesiątki lat, zanim życzeniom wszystkich Polaków w Ameryce stanie się zadość. Dąb biskupstwa polskiego w Ameryce całkiem naturalnie rośnie bardzo powoli i musi się dobrze wzmocnić najpierw w pniu i łodydze, zanim się rozgałęzić może po całej Ameryce.

Nasienie tego dębu rzucił papież istotnie „czemprędzej", bo zaraz po audjencji mi udzielonej, jak to widzieliśmy z przytoczonego powyżej listu Msgr. Antonucciego. Ale kiełkowanie tego nasienia, jego wzrost i rozwój, z natury rzeczy odbywało się bardzo nieznacznie i stopniowo. Jak to nasienie powoli zaczęło kiełkować czyli jak przyszło do wysłania i wyjazdu pierwszego biskupa polskiego do Ameryki, ciekawą tę historję opowiedzą nam następujące autentyczne listy z Rzymu. Listy zwłaszcza ks. Xystusa Fiori'ego, który był wówczas prywatnym sekretarzem arcybiskupa Symona i który też później towarzyszył arcyb. Symonowi w podróży do Ameryki. Wszystkie te listy, po łacinie pisane, były z Rzymu do Ripon przysyłane jako listy regestrowane czy „rekomendowane". Nigdy jeszcze nie były publikowane. Po raz pierwszy je tu ogłaszam. Zaczynam od pierwszego listu, pisanego w dwa tygodnie po moim wyjeździe z Rzymu:

Rzym, Via Urbana Nr. 90 d. 4 maja 1902.

Jaśnie Oświecony i Najprzew. Przyjacielu!

„Dnia, któregoś ty opuścił Rzym, ja do ciebie przyszedłem, ale ty już wyjechałeś i bardzo mnie to zmartwiło, że nie mogłem cię widzieć.

O decyzji Stolicy św. Apostolskiej wiedziałem, że papież w tych dniach zwoła zebranie arcybiskupów Polski i Galicji i arcybiskupi w tym celu już do Rzymu przyjechali. Z tych jeden arcybiskup będzie wybrany i do was posłany, ażeby odwiedził poszczególne kościoły Polaków w Ameryce istniejące i podług jego relacji, zadecyduje o waszych życzeniach. Arcybiskupem, mającym być wybranym prawdopodobnie będzie Najjaśn. i Najp. Symon. W tym kierunku ja energicznie i ochotnie pracuję z dwóch przyczyn: najpierw i przedewszystkiem dlatego, że Najjaśniejszy Symon wam sprzyja i popiera waszą sprawę, a powtóre dlatego, że ja, jako sekretarz, może z nim pojadę.

Módl się za mnie. Pozdrawiam Cię i ściskam.

Bądź zdrów.

Twój najprzyjaźniejszy

Prof. Xystus Fiori — Sisfiorito.

Wysłanie specjalnego biskupa — oto pierwszy krok na drodze załatwienia sprawy naszej. Rzym idzie powoli i pewnym krokiem. Rzym chce dobrze naszą sprawę załatwić. A chcąc dobrze załatwić, musi urzędowo ją załatwić. Chcąc zaś urzędowo ją załatwić, musi mieć urzędowe wiadomości o naszych życzeniach i o naszej liczbie. A takich urzędowych wiadomości dostarczyć mogą tylko urzędowi reprezentanci Kościoła czyli biskupi, gdyż biskupi amerykańscy nie dostarczyli ich i nie dostarczą. Więc musi być wysłany specjalny arcybiskup dla dostarczenia Rzymowi urzędowych wiadomości o życzeniach i liczbie Polaków w Ameryce.

Pamiętam, co prefekt Propagandy kardynał Gotti razu pewnego powiedział:

— Nie wątpimy, że dostarczone nam przez ciebie wiadomości o życzeniach i liczbie Polaków w Ameryce są prawdziwe. Ale mają one charakter tylko prywatny, a nie urzędowy. Bo ty nie jesteś urzędowym reprezentantem Kościoła w Ameryce. Urzędowymi reprezentantami Kościoła są tylko biskupi. Chociaż uważamy ciebie za reprezentanta Polaków w Ameryce, to jednak za urzędowego reprezentanta Kościoła w Ameryce uważać cię nie możemy. My teraz prywatnie wiemy i wierzymy, że sprawa wasza jest słuszna i bardzo ważna. Ale na podstawie twoich prywatnych wiadomości nic urzędowo poczynać nie możemy, bo brak nam urzędowych wiadomości od biskupów w Ameryce; a te, które mamy, są wręcz przeciwne waszej sprawie. Czy jest was aż tyle w Ameryce? albo

czy oni życzą sobie biskupów polskich? o tem urzędowo dotychczas nic nie wiemy.

Stąd konieczność wysłania arcybiskupa Symona do Ameryki. Następny list z Rzymu doniesi, w jaki sposób arcybiskup Symon został wybrany tym specjalnym emisarjuszem do Ameryki. Każdy z arcybiskupów zebranych w Rzymie chciał chętnie się podjąć tej misji do Ameryki, ale ostatecznie zgodzono się na arcybiskupa Symona.

Rzym, 16 czerwca 1904.

Najjaśniejszy i Najprzewielebniejszy Przyjacielu.

Zaraz, skoro list Twój otrzymałem, poszedłem do arcybiskupa Symona. Przedewszystkiem niezmierne i stokrotne Tobie dzięki składa za wyrażoną radość i triumf, z jakim go przyjmą Polacy, gdyby do Ameryki przyjechał; oraz za te nader piękne słowa i najgłębszy hołd złożony mu w Twoim liście. Jak Ci już pisałem, arcybiskup Symon mi powiedział, że w czasie ostatniej pielgrzymki Polaków do Ojca świętego, odbyło się zebranie biskupów Polski i Galicji. Na tem zebraniu postanowili, ktoby z biskupów do Ameryki jechał dla zwiedzenia kościołów polskich. Aczkolwiek prawie wszyscy mówili, że są gotowi wziąć na siebie takie posłannictwo, jednakowoż zgodzili się na to, żeby, ze względu na jego prześwietne zasługi i nadzwyczajne zdolności, arcybiskupowi Symonowi ten urząd powierzyć. Arcybiskup Symon ochoczo i z wdzięcznością ten urząd przyjął. Lecz zanim z Rzymu wyjedzie do Ameryki, wpierw pragnie się dowiedzieć, jakie jest zapatrywanie i usposobienie biskupów amerykańskich, i czy go łaskawie i wdzięcznem sercem przyjmią (et utrum benigne et grato animo eum recepturi sint). Dlatego dał mi rozkaz, bym do Ciebie pisał i poprosił Cię, ażebyś ubocznie i potajemnie wybadał, jeśli możesz, i mnie doniósł o zapatrywaniu biskupów, przynajmniej tych, którzy przewodniczą w głównych stanach i gdzie największa jest liczba Polaków. Arcybiskup Symon dodał, że słyszał, iż wkrótce do Rzymu przyjedzie arcybiskup nowojorski czy chicagoski; prosi abyś o prawdziwości tej pogłoski i o ewentualnym takim przyjeździe się upewnił i mnie doniósł, ażeby on z przybyłym arcybiskupem mógł mówić o swojem posłannictwie. Wszystko to uczyń w największej tajemnicy.

Arcybiskup Symon pozdrawia Ciebie; z mojej strony ściskam Cię. Módl się za mnie i bądź zdrów.

Najoddańszy w Chr.

Xystus Fiori.

A więc arcybiskup Symon chce się dowiedzieć, jak go tu przyjmą biskupi amerykańscy. Widocznie czuł instynktownie, że jego przyjazd do Ameryki jest jakby policzkiem wymierzonym episkopatowi amerykańskiemu. Stąd obawiał się, żeby go tu jakiś afront nie spotkał od urzędowych przedstawicieli Kościoła w Ameryce.

68. Jak tu wysondować opinję biskupów amerykańskich, czy łaskawie przyjmą wysłanego przez Rzym arcybiskupa Symona?

Tak tedy arcybiskup Symon prosił mnie, żebym wybadał biskupów amerykańskich, czy go łaskawie przyjmą. Na okręcie w podróży z Neapolu do Nowego Yorku poznałem się dobrze z biskupem O'Connor z Newarku. Już wtedy biskup O'Connor miał nadzieję, że Mgr. Fox zostanie biskupem w Green Bay, i mówił, że gdy pojedzie na konsekrację jego w Green Bay, to po drodze wstąpi do mnie do Ripon. Słówko się rzekło, kobyłka u płotu — takie przysłowie mają Polacy, ale nie ajrysze. Kiedy więc Mgr. Fox został mianowany biskupem, wiedziałem, że biskup O'Connor przyjedzie do Green Bay i prosiłem go, ażeby po drodze wstąpił do Ripon. Na to jednak biskup O'Connor tak mi odpowiedział 18-go lipca 1904:

Dear Father Kruszka!

Your kind letter and invitation just received. It would give me great pleasure to accept your hospitality on the occasion of my trip to Green Bay — but I have already promised Archbishop Messmer to stay with him on Saturday and accompany him to Green Bay on Sunday evening the 2nd. It will be necessary for me to return home as soon as possible after the consecration ceremony. Hence I must content myself with meeting you at Green Bay.

Thanking you for your courtesy and reciprocating kind wishes I remain,

Very sincerely i. X.,
J. J. O'Connor, Bp.

Owego czasu zdolny i wymowny ksiądz Franciszek Pruss, będąc pasterzem bez owczarni, od kilku miesięcy tłukł się po Milwaukee. Każdy na niego gadał, ale nikt się nim nie zajął. Chcąc go koniecznie postawić na nogi, pojechałem do Milwaukee, wyszukałem go i skolektowałem dla niego pieniądze, za które pojechał do Gethsemani, Ky., poczta Trappist. Nakłoniłem arcybiskupa Mess-

mera, żeby za niego płacił. Arcybiskup płacił za niego tylko za jeden miesiąc, dłużej nie chciał. Inni też płacić nie chcieli. Więc po miesiącu wziąłem go do Ripon na parę tygodni, a potem u biskupa Foxa wystarałem się dla niego o parafję w Belmont, Wis. Z jego biskupem Gallagher w Galveston, Texas, ciągle w tym czasie korespondencję prowadziłem i trzydzieści dolarów od niego wyżebrałem na niezbędne potrzeby dla ks. Prussa. Niewdzięczna ta praca zajęła mi kilka miesięcy. Trudno dopomóc takiemu, który sobie sam dopomóc nie chce. Takiemu ani sam Pan Bóg nie pomoże.

Atoli, żeby wysondować opinję biskupów amerykańskich czy łaskawie przyjmą arcybiskupa Symona, do tego nie znajdywałem żadnej sposobności. Nic też księdzu Fiori'emu na ostatni list nie odpowiedziałem. Otrzymując zewsząd zaproszenia, jeździłem na odpusty z kazaniem i błogosławieństwem papieskiem, dnia 9 sierpnia 1904 z kazaniem na ceremonję obłóczyn Sióstr św. Józefa w Stevenspoint, Wiss. Z Texas otrzymałem wiadomość smutną, że tam w najstarszej osadzie Panna Marja, Texas, mój stary znajomy i przyjaciel, ksiądz Franciszek Jachimiak „pożegnał się z tym światem opatrzony św. Sakramentami dnia 1 września 1904 o pół do szóstej wieczór. Śmierć jego była czysto anielska, bo tak zasnął, jakby spał. Pragnął tylko spokoju i modlił się do ostatniej chwili. Siostry zakonne były z nim przy śmierci. Pogrzeb jego odbył się w piątek 16 września przy udziale ks. biskupa".

Z Londynu dnia 20 września 1904 pisał mi nieznany mnie osobiście ale znany w Ameryce Ojciec Henryk Cichocki: „Ja niżej podpisany przełożony Misji polskiej w Londynie donoszę niniejszem Przewielebnemu ks. Proboszczowi, że 28 września br. wyjadę wraz z ks. Janem (Feliksem) Nowakiem do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Ks. Jan (Feliks) Nowak już dostał przyjęcie piśmienne od biskupa z Green Bay za staraniem i protekcją Przewielebnego Ks. Proboszcza, ale ja, choć zaopatrzony jestem w Obedjencję (od Ojca Lecherta), miejsca nie mam w Ameryce i dlatego błagam Jego Przewielebność, aby raczył się wstawić za mną do którego z biskupów"...

Z Manili na Filipinach, począwszy od 24 czerwca 1904, pan Antoni Thomas, żołnierz inżynier w armji amerykańskiej, mój ziomek ze Sarbinowa pod Żninem, bardzo piękne a sążniste listy pisywał do mnie, prosząc i zaklinając na wszystko, co święte, żeby Polacy w Ameryce zorganizowali się w jeden olbrzymi Związek, ażeby, gdy godzina wolności dla Polski wybije, mieć gotową po-

moc. Pana Antoniego Thomasa marzenia ziściły się w przyszłym Wydziale Narodowym.

Znany w naszych szkołach autor „Dziejów Narodu Polskiego“, pan J. Chociszewski z Gniezna, 19 paźdz. 1904 pytał mnie:

„A jakżeż z biskupem polskim dla Ameryki? Biedni my Polacy! Jak trudno coś wykołatać nawet u Stolicy Apostolskiej. U nas na siedmiu kanoników pięciu Niemców. Przez sześć tygodni byłem ciężko chory; w tym roku byłem w więzieniu, wytoczono mi nowy proces, a w tych dniach zabrano mi znowu pocztówki (z widokami polskimi). Z pozdrowieniem i z wyrazem najwyższego szacunku

J. Chociszewski“.

Ale żeby wysądować opinję biskupów amerykańskich, czy łaskawie przyjmą arcybiskupa Symona, do tego nie było żadnej sposobności. Nic też nie odpowiadałem księdzu Fioriemu na jego ostatni list.

Pan Stanisław Ślisz, redaktor „Polaka w Ameryce“ w Buffalo, znowu przypisywał mi wpływy, jakich nigdy nie miałem i nie mam, mianowicie, żebym wpłynął na zmianę kierunku „Kurjera Polskiego“ w Milwaukee. Pisał mi 9 czerwca 1904: „Jeśli „Kurjer Polski“ zamierza mnie w przyszłości atakować, to niechże mnie atakuje, ale niech da spokój ks. Dziekanowi (Janowi Pitassowi), który nie odpowiada za moje artykuły. Mógłby też „Kurjer“ być cokolwiek oględniejszy w wyrażeniach i nie polemizować tak jak w załączonem wycinku, bo to pachnie „Wartą“ Kamińskiego (niezależnego biskupa). Ks. Dobrodziej sam najlepiej wie, znając mnie cokolwiek, że „Kurjer“, opisując mnie tak brudnie, skłamał bezczelnie. Co do mnie, to już skończyłem z „Kurjerem“ i będę się starał nie wymieniać go na łamach Polaka w Ameryce. Mam nadzieję, że „Kurjer“ nie zepsuje pomiędzy nami harmonji i dobrych stosunków; i jak do tego czasu, tak i nadal będziemy się porozumiewali w ważnych sprawach. Załączam szczere i serdeczne pozdrowienie od ks. Dziekana, p. Mahany i od siebie“.

W liście z St. Joseph, Mo., 7 czerwca 1904 proboszcz tamtejszej parafji śś. Piotra i Pawła, ks. Wł. Rakowski, składa mi serdeczne „Bóg zapłać“ za relikwje śś. Piotra i Pawła, jakie mu przywiozłem z Rzymu. I pyta mnie naiwnie, czy miałem jakie wydatki, kiedy wszelkie relikwje w Rzymie darmo się dostaje i darmo się rozdaje, nic za nie żądać nie wolno. Pisze sam tak: „Ponieważ w dokumencie napisane „gratis quocumque titulo“ (darmo wszel-

kim tytułem), dlatego nie wiem, czy Łaskawy Ks. Proboszcz jakie miał, starając się o te relikwje, wydatki. W danym razie proszę mi napisać, a chętnie zapłacę co się należy. — Więc wrócił wreszcie ks. Proboszcz z tej tak trudnej i niewdzięcznej misji. — Dałby Pan Bóg, ażeby ziściły się najgorętsze nasze życzenia, a przytem również moje życzenia iżby Ks. Proboszcz za swoją mozolną pracę słusznie należącą mu się otrzymał nagrodę. Miłoby mi było tak gorliwego poznać osobiście kapłana, zwłaszcza, że również jak ja, pochodzi z W. Ks. Poznańskiego. W październiku będę miał uroczystość poświęcenia nowego kościoła, gdyby Ks. Proboszcz raczył do mnie zawitać, prawdziwą sprawiłby mi przyjemność. Jeszcze raz dziękując za relikwję i prosząc o rychłą odpowiedź, pozostaję z szacunkiem bratem w Chr. Ks. W. Rakowski".

Odpowiedziałem mu, że „żadnym tytułem" nic mi się nie należy za relikwje. I na tem stanęło. Do St. Joseph, Mo., chętniebym był pojechał, gdyby nie pustki w kieszeni. Miałem „free pass", ale tylko na Wisconsin.

Ale choć nie ja, to jednak parafja moja w Ripon wzbogaciła się przez mój powrót z Rzymu. Do kasy parafjalnej wpłynęło tyle pieniędzy, że mogłem myśleć o otwarciu szkoły polskiej w Ripon. Niestety, znikąd Sióstr dostać nie mogłem, ani ze Stevens Point ani z Milwaukee ani z dalszych stron. Z Chicago od Sióstr Nazaretanek nadeszła taka odpowiedź:

Chicago, Ill., 7 czerwca 1904.

Nowicjat
Zgromadzenia Najśw. Rodziny z Nazaretu,
258 W. Division St.

Wielebny Księże Proboszczu!

Ponieważ Matka Prowincjałka była chorą i zamieszkuje obecnie w szpitalu, nie mogliśmy odrazu odpisać na list W. Ks. Proboszcza. Niestety, w tym jeszcze roku, nie możemy zadosyć uczynić życzeniu W. Ks. Proboszcza, gdyż brak nam Sióstr. Chciałyśmy z niektórych domków usunąć kilka Sióstr, ażeby móc spełnić życzenia W. Ks. Proboszcza, ale słabe zdrowie Sióstr nie pozwala nam tego uczynić. A choć wprawdzie mamy dużo Sióstr Nowicjuszek, jednak zaledwie parę wyjdzie w tym roku z Nowicjatu.

Na przyszły rok zato, jeżeli W. Ks. Proboszcz łaskaw zaczekać, obiecujemy napewno przysłać Siostry, bo więcej ukończy Nowicjat. Raz jeszcze wyrażamy żal nasz, że nie możemy na razie

z pomocą przyjść W. Ks. Proboszczowi, co byłybyśmy tak chętnie uczyniły. Za rok jednak, proszę napewno liczyć na nas, a tymczasem Wiel. Ks. Proboszcz raczy przyjąć wyrazy pełne szacunku i poważania.

Siostra Marja Lucylla.

Wysondowałem więc opinję Sióstr.

Jak tu wysondować opinję biskupów amerykańskich, czy radośnie i łaskawie przyjmą arcybiskupa Symona? Rzecz to może trudna, ale na wszystko jest sposób.

69. 3-ci Kongres Polski Rz.-Kat. w Pittsburgu. — Jak mi zwrócono koszta na poselstwo w Rzymie poniesione.

Pan Croke prawdziwy europejski Irlandczyk, a nie amerykański ajrysz, mieszkający w Rzymie jako stały korespondent gazet angielskich w Irlandji i Ameryce, w liście z Rzymu 28-go maja 1904 żali mi się, że nie wszystko, co pisał o sprawie naszej, zostało umieszczone w gazetach amerykańskich. Pisze mi tak: „Have seen much news of you in papers. I deeply regret that what I sent here others were suppressed, lost or altered as to title. Glad I did so much in the earlier onths!!...“ Otóż tu mamy autentyczny dowód, jak organa biskupie, organa „urzędowych przedstawicieli Kościoła w Ameryce“ przekręcały lub całkiem przytłumiały wiadomości nadsyłane z Rzymu przez własnych ich korespondentów, ilekroć te wiadomości były pomyślne sprawie naszej. Szczery i otwarty pan Croke jeszcze w Rzymie skarżył się i mówił mi:

— Jak im poślę do Ameryki wiadomości niepomyślne sprawie waszej, to je w całości umieszczą na naczelnem miejscu. Ale gdy im napiszę pomyślne wiadomości, to albo je przekręcą, albo wcale nie umieszczą.

W podróży morskiej z Neapolu do Nowego Yorku spotkałem był Fryderyka Pusteta, sławnego księgarza z Regensburga, jadącego do swojej filji w St. Louis, Mo. Miasto Regensburg w Bawarji ma seminarjum, z którego trzech studentów przypadkowo poznałem trzynaście lat temu, roku 1891, przy zwiedzaniu Neapolu i Wezuwjusza, jak to opisałem w Czwartem Siedmioleciu. Otóż zapytałem pana Pusteta czy ich nie zna. Odpowiedział mi, że zna jednego, księdza Jana Schmalzl'a, i że pozdrowi go ode mnie, gdy powróci do Regensburga. Jakoż istotnie z Regensburga od księdza Schmalzla

odebrałem 12-go września 1904 roku następujący, pełen miłych wspomnień list: „Wielebny Księże Konfratrze! Pozdrowienie, jakie wraz z Twoją kartką wizytową przywiózł mi pan Fr. Pustet, który z Neapolu poprzez ocean był twoim towarzyszem podróży jak słyszę, niezmiernie mnie ucieszyło. Co za dziwne spotkanie! Ileż to razy opowiadałem tu o cudzie św. Januarego w Neapolu, któryśmy razem widzieli, a jeszcze częściej wspominałem o naszej konnej wyprawie na Wezuwjusz wśród burzy, grzmotu i piorunów, jak ten siwy koń upadł pod Tobą... Pamiętaj i nadal o mnie tak jak i ja o Tobie pamiętać będę i żeś po tylu latach jeszcze mnie sobie przypomniał, cieszy mnie niezmiernie. Twój oddany ks. Jan Chrz. Schmalzl, kandydat Zakonu Ojców Benedyktynów".

Zbliżał się Trzeci Kongres Polski Rzymsko-Katolicki w Pittsburgu, Pa., na który mi koniecznie trzeba było jechać, a tu pieniędzy brakło. Pisałem do sekretarza Wydziału Wykonawczego, ale jaką ten mi dał odpowiedź, widzieliśmy powyżej, że ja dosyć pieniędzy zarobiłem na swojej wyprawie po złote runo do Rzymu. Na szczęście, sam prezes Wydziału Wykonawczego, ks. Kazimierz Truszyński, wdał się w tę sprawę pieniężną i z Peru Ill., 26 sierpnia 1904, taki list mi napisał:

Wielebny i drogi Księże!

Bardzo mi przykro, że dwóch najwięcej zasłużonych mężów w sprawie dobra Polonji naszej jakoś nie mogą się zgodzić. Mam tu na myśli ks. Dobrodzieja i ks. Sztuczko. Ale cóż robić, taka już nasza dola. Otóż niech mi wolno będzie pośredniczyć pomiędzy wami i donieść Szan. Ks. Delegatowi, że koszta podróży Wielebnego Księdza na III. Kongres do Pittsburga pokryje Wydział Wykonawczy. Ten list pisany przezemnie niech będzie rękojmią W. Księdzu. Może zresztą W. Ks. po pieniądze zgłosić się do mnie lub do ks. Sztuczki. Mając nadzieję uścisnąć dłoń W. Ks. na Kongresie w Pittsburgu, kreślę się z szacunkiem

Ks. K. Truszyński.

A następny list z Chicago 5 września 1904 już zawierał czek i tak brzmiał:

Wielebny i drogi Księże!

Bilet dla delegatów udających się na Kongres do Pittsburga tam i na powrót kosztuje 14 dolarów. Bilety sprzedaje pan Leon Szopiński. Załączam tu czek na dwadzieścia dolarów. Czek ten

wymieni pan Stanisław Lipowicz, kasjer Wydziału Wykonawczego.

Z miłą nadzieją ujrzenia i uściśnienia W. Ks. Dobr. pozostaję

Twój w Chr.

Ks. K. Truszyński.

Kongres w Pittsburgu w dniach 27, 28 i 29 września 1904 odbył się wspaniale. Było na nim aż dwóch biskupów, miejscowy biskup Canevin i biskup Donahue z Wheeling, West Virginia podczas gdy na drugim Kongresie w Buffalo nie było żadnego biskupa. Sumę celebrował biskup Donahue a kazanie sejmowe wygłosił ks. dr. Barabasz. Po nabożeństwie wstąpił na kazalnicę biskup Canevin i w słowach pełnych życzliwości pochwalał zebranie się Polaków na Kongres, przypomniał zebranym świętość dziejów Polski, polecał nam, abyśmy postępowali śladami wielkich naszych przodków, życzył powodzenia w obradach i udzielił pasterskiego błogosławieństwa. O różnorodnej pracy tego Kongresu wyszła drukowana broszurka o 66 stronnicach. Obrady odbywały się w hali parafjalnej szkoły św. Stanisława, przy ulicy 21 i Smallman. Stanąłem kwaterą, wraz z biskupem Donahue, w plebanji księży Duchowców.

Na tym Kongresie o swojej działalności w Rzymie odczytałem sprawozdanie, w którem krótko i zwęzłowato opowiedziałem to co tu obszernie spisałem. Sprawozdanie to w całości wydrukowano w „Protokóle z czynności III Kongresu" oraz w II tomie „Historji Polskiej w Ameryce". Po odczytaniu swego referatu przedłożyłem III Kongresowi te cztery prośby:

1. By mianował J. E. Kardynała Svampę patronem sprawy Polaków w Ameryce i posłał mu odpowiedni dyplom;

2. By mianował Monsignora Giuseppe Antonucci'ego w Rzymie stałym agentem sprawy Polaków w Ameryce, naznaczając mu pensję dziesięciu dolarów na miesiąc.

3. By podziękował biskupom w Polsce za poparcie naszej sprawy w Rzymie, oraz Ojcom Zmartwychwstańcom w Rzymie.

4. By mi zwrócono siedmset dolarów, jakie wydałem z własnej kieszeni na rzecz ogółu w czasie mojej delegatury.

Nad tą ostatnią prośbą moją wywiązała się ciekawa dyskusja, którą urzędowy „Protokół III Kongresu" na stronnicy 34 tak opisuje:

„Wreszcie zabiera głos Wny ks. K. Gronkowski z Chicago, jako sekretarz Komitetu do rozpatrzenia referatu Księdza Kruszki o jego misji w Rzymie, i czyta sprawozdanie tegoż. Treść sprawozdania jest ta, że Komitet poleca zwrot kosztów przez księdza Kruszkę na poselstwie owem poniesionych, lecz żąda szczegółowego rachunku. W sprawie tej wnosi ks. J. Pociecha z Lanark, Wis., aby czas zwrotu tych kosztów ograniczyć do jednego roku; ks. Sztuczko stawia wniosek, aby ze zwrotem tych kosztów wstrzymać się, aż będziemy mieli w Ameryce naszego rzymsko-katolickiego biskupa. Któryś z księży robi uwagę, że to znaczyć może „ad calendas Graecas". Ostatecznie referat ten przyjęto z poprawką ks. Sztuczki. (W czasie popołudniowej, ostatniej sesji, ks. Sztuczko cofnął formalnie swoją powyższą poprawkę.)"

Tak opiewa urzędowy, drukiem ogłoszony „Protokół". Pomimo, że ks. Sztuczko cofnął swój wniosek, faktycznie jednak wypłacono mi dopiero wtedy, kiedy ks. Paweł Rhode został biskupem, ale tylko trzysta dolarów. Resztę zaś należytości i to z wysokim procentem, wypłacił mi pierwszy biskup polski w roku 1912 na wiecu księży w Detroit, dając mi specjalny „Travelers Cheque."

70. Arcybiskup Symon pyta mnie nietylko jak go biskupi amerykańscy przyjmą, ale jaka pora roku najlepsza i kiedy Polacy w Ameryce są najmniej zajęci. — List urzędowy od Stolicy św.

Włożone na mnie przez Arcybiskupa Symona zadanie, żebym „ubocznie i potajemnie wybadał, czy go biskupi amerykańscy przyjmą łaskawie i wdzięcznem sercem" (benigne et gratio animo), było dla mnie zagadką, którą niebawem rozwiązałem w następujący sposób:

— Po co mam „a posteriori" czyli „z dołu" biskupów badać? Czy nie lepiej „a priori" czyli „z góry" przypuścić, że biskupi amerykańscy arcybiskupa jako wysłańca Stolicy świętej przyjmą, jeśli nie z prawdziwą, to z udaną radością, ale w każdym razie z radością i otwartemi ramionami?

Odpisałem więc księdzu Fiori'emu do Rzymu, że biskupi amerykańscy przyjmą arcybiskupa Symona z radością i otwartemi ramionami. Na to ksiądz Fiori nadesłał mi taki pod pewnym względem bardzo ciekawy list:

Rzym, Via Campo Carleo No 25, 9 września 1904.

Wielebny i Najukochańszy Księże!

„Po długim czasie nareszcie zawiadomiony zostałem o bliskim powrocie do Rzymu Najjaśniejszego i Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Symona, który przez dwa miesiące bawił w ojczyźnie (Polsce) i w innych pogranicznych krajach. W pierwszych dniach przyszłego października powróci do Rzymu; zaraz i natychmiast do niego pójdę i oznajmię mu o wszystkiem co mi napisałeś w ostatnim twoim liście o zapatrywaniu i usposobieniu biskupów amerykańskich.

„Jak już Tobie mówiłem, arcybiskup Symon gotów jest, i z chęcią do Ameryki pojedzie, jeśli biskupi łaskawie i wdzięcznem sercem go przyjmą. W razie gdy ten warunek się sprawdzi, niema żadnej racji, dlaczegożby miał odstąpić od swego zamiaru; ale, jak to mi kiedy indziej oświadczył, nie czemprędzej podług naszych życzeń przyjedzie, lecz dopiero z przyszłą wczesną wiosną.

„Co się tyczy odpowiedzi papieża „decyzja i to podług waszych życzeń, będzie czemprędzej", ja ubocznie i potajemnie badałem intencję papieża za pośrednictwem pewnego najjaśniejszego i najprzewielebniejszego prałata dworu papieskiego, i ten mi doniósł, że papież odpowiedział: „chcielibyśmy, to jest, naszem życzeniem byłoby, ażeby decyzja itd...“; ta allokucja różni się od tej drugiej „decyzja itd...“ Ale ja mu zwróciłem uwagę, że taka odpowiedź byłaby niezgodna sama z sobą. Życzenie bowiem uczynienia czegoś lub działania objawia ten, który nie ma władzy czyli możności zadośćuczynienia owemu życzeniu; gdy tymczasem papież ma najwyższą w Kościele władzę; gdyby tamto było prawdą, to byśmy musieli przyznać z niektórymi waszymi sprzecznikami, iż papież faktycznie żadnej nie sprawuje władzy nad biskupami amerykańskimi i że ci postępują we wszystkiem niezależnie od papieża i dlatego nie różnią się od tak zwanych niezależnych. Z mojej strony ciągle i usilnie z całych sił pracuję, żeby w jakiś sposób coś zrobiono. Ale zanim coś o odpowiedzi papieża napiszę, za konieczne uważam czekać na powrót najjaśniejszego i najwielebniejszego Symona.

„Pozdrawiam Cię i ściskam

najoddańszy w Panu

Xystus Fori.“

Tylko jakiś opętany przez ajryszów prałat mógł tak śmiesznie i niedorzecznie przekręcić słowa papieża do mnie wyrzeczone. Spostrzegł to zaraz sam ks. Fiori, że taka odpowiedź papieska „Chcielibyśmy..." byłaby i niegodną papieża i zarazem niezgodną sama z sobą. Kłamstwo się wikła w sprzeczności. Zdanie, wyrażone w powyższym liście, że biskupi amerykańscy „postępują we wszystkiem niezależnie od papieża i dlatego nie różnią się od tak zwanych Niezależnych" — jest już dość powszechne. Papież może coś „polecić" (to recommend) ale nie rozkazać (to command) biskupom amerykańskim.

Tak Vox Urbis z Rzymu w przytoczonym w rozdziale 63 artykule pisał: „that the Holy Father, through the Apostolic Delegate, would „recommend" the appointment of Polish Vicars General". Również czytelnik przypomina sobie, co 16 grudnia 1901 arcybiskup Keane w imieniu wszystkich arcybiskupów zebranych we Washingtonie odpowiedział naszemu Wydziałowi Wykonawczemu, mianowicie że:

„Ponieważ arcybiskupi nie mają żadnej władzy wybierania biskupów pomocniczych — rzecz ta **wyłącznie należy do odnośnych diecezyj** lub prowincyj — (czyli do poszczególnych biskupów) nie było w naszej mocy uczynić cośkolwiek dla was". **Wyłącznie do diecezji należy**; a więc nie do Rzymu.

W następnym liście ks. Fiori donosi, że arcybiskup Symon już powrócił z Polski do Rzymu, i tak pisze:

Rzym, 22 września 1904.

Najprzewielebniejszy i Najukochańszy Księże!

Excelencja arcybiskup Symon powrócił przed trzema dniami do Rzymu. Z największą radością Tobie zwiastuję, że arcybiskup Symon, skoro z Twojego listu się dowiedział, że biskupi amerykańscy wdzięcznem sercem, a nawet z radością go przyjmą, gotów jest Rzym opuścić i do Ameryki jechać. Ale zanim wybierze się w podróż chce wiedzieć, w której porze roku w Ameryce jest lepsze powietrze i łagodniejsza temperatura. Ażeby zaś Polacy mogli go przyjmować bez wielkiej niewygody, pragnie wiedzieć, w którym czasie najmniej są zajęci wieloma sprawami. O te wiadomości kazał mi do Ciebie pisać. Według Twojej odpowiedzi zadecyduje o swojej podróży.

Na imieniny tysiące życzeń Ci składam. Pozdrawiam Cię także od arcybiskupa Symona, i ściskam Cię

Twój Przyjaciel,
Xystus Fiori."

Na obydwa powyższe listy nic nie odpowiedziałem. Więc dnia 27 października 1904 ks. Fiori mi pisze:

„Dnia 9 i 22 września dwa listy Ci pisałem, z których ostatni z dnia 22 września opiewał wyraźnie w te słowa: (tu ks. Fiori przytacza cały list poprzedni). Ani na pierwszy ani na drugi list odpowiedzi od Ciebie nie otrzymałem, stąd niemożliwem było zdać relację arcybiskupowi Symonowi. Racz przeto zaraz mi napisać, abym z temi wiadomościami obznajomił arcybiskupa Symona. Lepiej, że napiszesz list rekomendowany. Pozdrawiam Cię także od arcybiskupa Symona i ściskam Cię

Xystus Fiori."

Tymczasem opiekun naszej sprawy w Rzymie, Mgr. Antonucci, doniósł mi, że arcybiskup Symon otrzymał już urzędowe papiery od Stolicy świętej do wyjazdu do Ameryki. List ten „pod ścisłą tajemnicą" pisany, tak brzmi:

Rzym. Via dell' Anima 45
16 października 1904.

Mój Najdroższy Przyjacielu Wacławie!

„Tę wiadomość trzymaj dla siebie: najjaśniejszy i najprzewielebniejszy ksiądz Albin Symon, arcybiskup Attalii, od Papieża świeżo otrzymał zlecenie, ażeby zwiedził i zbadał wszystkie parafje polsko-amerykańskie, które są w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Wszystko on ma obejrzeć, wybadać, obserwować, co także dotyczy naszej sprawy; wszystko potem ma opowiedzieć samemu papieżowi, który z największą chęcią Albinowi Symonowi jako najwpływowszej osobie udzielił tej władzy.

„Otrzyma on list rekomendacyjny i publiczny, czyli tak zwany urzędowy, od świętej Kongregacji Spraw Kościelnych Nadzwyczajnych, upoważniający do działania we wszystkich interesach do sprawy należących. Podróż przedsięweźmie w miesiącu kwietniu przyszłego roku 1905.

„Tyle na razie dla Twojej pociechy mam Ci zakomunikować. Skoro coś więcej nowego będzie, zaraz Ci doniosę. Zaiste potrzeba cierpliwości, roztropności, wiary i milkliwości. Wiedz, że

papież chce spełnić, o ile można, życzenia i prośby polskich Amerykanów.

„Serdecznie Cię pozdrawiam i całuję.

Józef Antonucci.“

71. Co mi Antonucci mówił i pisał o tajnej dyplomacji i jakie były jej skutki fatalne. — Nie papież, lecz sekretarjaty lubią sekreta. — Czemu?

Kongres III. w Pittsburgu — ostatni to był kongres, już więcej po nim nie było — kazał mi: 1) opracować list dziękczynny do Ojca św. i 2) pozostać rzecznikiem i obrońcą sprawy biskupów polskich aż do zupełnego i ostatecznego jej skutku. Postanowił także agentem sprawy naszej w Rzymie Monsignora Antonucci'ego, który, uwiadomiony o tem, tak mi napisał:

Rzym, 28. paźdz. 1904.

Mój Najdroższy Przyjacielu Wacławie!

„Odebrałem Twój bardzo miły list z dnia 7-go października, który mi wielką sprawił radość, że na III. Katolickim Kongresie Polsko-Amerykańskim w Pittsburgu i dwóch biskupów amerykańskich było obecnych i Ty wśród ogólnych oklasków odczytałeś prześwietne sprawozdanie o Twojej misji do Stolicy świętej; że i Ciebie jednozgodnie upoważniono do prowadzenia naszej sprawy dalej aż do ostatecznego jej skutku i mnie również jednomyślnie powierzono urząd prokuratora. Zaiste, wszystko to pokazuje, że polscy Amerykanie pracę naszą uznali i uznają: co naprawdę jest przyczyną radości.

„Tu załączam Pokorną prośbę przez Ciebie do papieża napisaną, którą ja, jak widzisz, trochę zmienić uważałem za stosowne. Opuściłem słówko „obiecałeś,“ bojąc się, żeby to papieża nie obraziło.

„Dotychczas nic nowego, jak tylko to, co Ci niedawno w liście pisałem. Co mówisz, że w stanie Wisconsin nowa diecezja się tworzy i trzech niemieckich kandydatów przedstawiono, o tem nie wiem. Spodziewam się Ci coś donieść o tem w przyszłym miesiącu listopadzie, kiedy wakacje się skończą. Zresztą unikaj pogłosek; gdyż Ojciec św. pragnie wszystko załatwić pocichu i bez hałasu.

„Skoro zobaczę ks. Marszałkiewicza i innych przyjaciół, pozdrowię ich Twoimi słowami. Zarówno Twoim modlitwom się po-

lecając jak i serdecznie Cię pozdrawiając i całując, z umiłowaniem pozostaję Twoim przyjacielem i bratem najoddańszym w Chr."

Józef Antonucii.

O tem, że „Ojciec św. pragnie wszystko załatwić po cichu i bez hałasu," pisał mi Monsignor Antonucci jeszcze w lipcu. Dlatego też, cokolwiek III. Kongres w Pittsburgu uradził w prawie równouprawnienia kleru, nic z tego nie opublikowano ani w gazetach, ani nawet w drukowanym „Protokóle Kongresu". Również o planowanym przyjeździe arcybiskupa Symona do Ameryki z tego samego powodu nic gazety nie pisały i ogół nic o tem nie wiedział. Jakie były fatalne skutki tej tajnej dyplomacji, zobaczymy w dalszym ciągu. Ale trzymaliśmy się ściśle przepisu Monsignora Antonucci'ego, żeby milczeć. Bo i tak, zdaniem Antonucci'ego, gazety w Rzymie, Polsce i Ameryce za wiele o naszej sprawie pisały i przez to wielką nieprzyjemność sprawiały Watykanowi i Propagandzie. Oto bowiem, co Monsignor Antonucci pisał mi z Rzymu już dnia 6-go lipca 1904:

Mój Najdroższy Przyjacielu!

„Nadszedł do mnie „The Catholic Directory" świeżo wydany; dzięki Ci składam. Otrzymałem wycinek z gazet amerykańskich, dotyczący Uniwersytetu w Washingtonie i oddałem go Eminencji kardynałowi Merry del Val. Spodziewam się coś zrobić dla polskich Amerykanów w tej sprawie, odnosząc się do świętej Kongregacji Studjów. Powiadomię także o tej sprawie naszego przyjaciela Marszałkiewicza, który Cię bardzo pozdrawia.

„Przed oczy Ci kładę to zdanie Terencjusza, które Ci bardzo często powtarzałem w Rzymie, które obyś zachował, które, nie wątpię, teraz jak najsumienniej zachowasz:

„Opus est ad rem, quam paro, fide et taciturnitate" (Potrzeba do sprawy, którą gotuję, wiary i milkliwości).

„To, co następuje, trzymaj to proszę dla siebie. Proszę, nie podawaj do gazet, mój Najdroższy Przyjacielu, którego szczególną otaczam miłością i życzliwością.

„Donoszę Ci to, czego dowiedzieć się mogłem od świętej Kongregacji Propagandy Wiary i od osób wiary godnych:

„1. Ani papież ani kardynałowie nie pochwalają tego, że gazety ogłosiły rzeczy dotyczące sprawy naszej polsko-amerykańskiej.

„2. Od czasu jak memorjał papieżowi i Propagandzie wręczony został i odczytany, święta Kongregacja Propagandy ogromnie się starała i stara o naszą sprawę, najbardziej żeby koniec położyć schyzmie, żeby byli wikarjusze generalni, żeby proboszczowie byli nieusuwalni, żeby konsultorzy byli nienaruszalni, żeby, jeśli to możliwe, jakiś biskup z kleru polsko-amerykańskiego był obrany.

„3. Sam najprzewielebniejszy ks. Diomedes Falconio, delegat apostolski, do którego poszedłem po jego do Rzymu przybyciu, któremu sprawę jak najgwałtowniej poleciłem, powiedział mi, że bardzo chętnie sprzyja sprawie tak, jak bardzo chętnie sprzyja jej papież i Propaganda; że swego czasu będzie pomyślny skutek; że potrzeba mieć największą roztropność i cierpliwość, zachować najgłębsze milczenie, nie używać żadnych gazet, które niech nie będą ani wspominane, **które niech nie będą ani wspominane między nami,** bo one największą i nieustanną szkodę sprawie przynosiły; że sprawę polecił samymże biskupom amerykańskim, między którymi nie mało jest takich, co sprzyjają sprawie, która powoli załatwiona będzie dla polskich Amerykanów.

„Z tego wszystkiego, mój najdroższy, łatwo zrozumiesz, że jakieś owoce z naszych prac już osiągnęliśmy i że jeszcze większe podług naszych życzeń zaiste osiągniemy. Za co Bogu dzięki najwyższe składamy.

„Ponownie jak najgwałtowniej Tobie polecam, ażebyś **dla dobra sprawy, dla mego i Twego dobra,** wszystko, co powyżej napisałem, zatrzymał dla siebie i nie zapomniał o tem zdaniu Terencjusza: „Potrzeba do sprawy, jaką gotuję, wiary i milkliwości".

„Jak najbardziej Cię pozdrawiam i bardzo serdecznie Cię ściskam. Twój najoddańszy przyjaciel

Józef Antonucci."

Tę przestrogę Terencjusza, poety rzymskiego, po pierwszy raz zacytował mi Msgr. Antonucci, jeszcze w październiku z. r. 1903, kiedy to powróciłem z Polski do Rzymu. Od tego czasu też zastósowałem się ściśle do tej przestrogi i odtąd nie pisałem zgoła nic do gazet o swojej działalności w Rzymie. I jakiż był skutek tego mego milczenia? Przedewszystkiem przekonałem się namacalnie i dokumentnie, bo z własnego doświadczenia, że tak zwana tajna dyplomacja bardzo ładnie i różowo wygląda w teorji, ale w praktyce jest djabła warta, warta jedynie tego „księcia ciemności". Dopóki bowiem o swojej działalności w Rzymie po-

syłałem publiczne sprawozdania do gazet a przez nie do amerykańskiej Polonji, która mię do Rzymu wysłała: dopóty i sprawa w Rzymie postępowała naprzód i fundusze dla mnie z Ameryki napływały do Rzymu. Lecz skoro tylko zastosowałem się do owej „milkliwości" Terencjusza, od razu jakby uciął i jedno i drugie ustało. Przez te pięć miesięcy mojej „milkliwości" sprawa w Rzymie niemal ugrzęzła; a w Ameryce moi rodacy, nic nie słysząc odemnie, przestali dawać na kolektę dla mnie, myśląc, że tam w Rzymie siedzę a nic nie robię. I wskutek tego właśnie braku funduszów sekretarz Wydziału Wykonawczego już mnie odwołał był z Rzymu do domu i o mały włos byłbym porzucił wszystko i powrócił do Ripon, bez załatwienia sprawy w Rzymie. Taki to fatalny był skutek mojej „milkliwości" podczas pobytu w Rzymie.

A jaki był skutek mojej milkliwości po powrocie z Rzymu do Ameryki? Skutek był ten, że chociaż papież Pius X słowa danego „decyzja będzie czemprędzej" istotnie dotrzymał, bo już w tydzień po udzieleniu mi audjencji powziął był decyzję wysłania pierwszego biskupa polskiego do Ameryki w osobie arcybiskupa Symona; to jednak ogół polski nic pewnego o tem nie wiedział i odemnie dowiedzieć się nie mógł, bo mi zapieczętowano usta „ścisłym sekretem". I tak mijały całe miesiące niepewności. I skutek był ten, że ogół się niecierpliwił, szemrał, pomawiał nietylko mnie o „mydlenie mu oczów" ale — co najgorsza — zaczął pomawiać samego papieża o niedotrzymanie słowa. A gazety, te zwierciadła opinji publicznej, czy wskutek tej „milkliwości" mniej się rozpisywały o sprawie biskupów polskich? Owszem, tem więcej pisały tu i w Polsce, bawiąc się w rozmaite niedorzeczne nieraz domysły i pomysły. Bo każda „tajemnica" ma to do siebie, że każdego mocno zaciekawia i pobudza do myślenia, mówienia i pisania bardziej niż „odkryta prawda". Takie to znowu były skutki fatalne owej tak bardzo zalecanej tajnej dyplomacji. Mnie już nikt nie przekona, że tajna dyplomacja jest dyplomacją Chrystusa, który „wszystko jawnie mówił, a w skrytości nic nie mówił". Po długich i smutnych doświadczeniach przyszedłem do przekonania, że tajną dyplomację wynalazł nie kto inny tylko „książę tego świata" czyli duch ciemności.

Mnie się nie chce wierzyć, żeby papież sam kiedykolwiek życzył sobie takiej tajnej dyplomacji. Życzą jej sobie tylko rozmaite kancelarje, czyli tak zwane „sekretarjaty", które już z na-

zwy („sekret“) i natury swojej lubią sekreta. A dlaczego je lubią? Dlaczego się boją światła dziennego? Bo każdy by widział ich powolną i leniwą procedurę. Bo pod naciskiem opinji publicznej musieliby i prędzej i więcej pracować. Papież sam nigdy nie mówił:

— To, co ci teraz powiem, zatrzymaj sam dla siebie!

Owszem, mówiąc do mnie, przezemnie mówił otwarcie do wszystkich Polaków w Ameryce, bez żadnych zastrzeżeń ni tajemnic:

— Powiedz to Polakom w Ameryce, że decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń.

To też po długich miesiącach Terencjuszowskiej „milkliwości“, wykrzyknąłem z radości tak głośno, że mnie cały świat usłyszał.

72. Ludzie i ludziska. — Przystępuję do książkowego wydania „Historji polskiej w Ameryce“.

Od zbłąkanych Polaków z Winnipeg, Manitoba, Kanada, nadszedł do mnie długi list pisany 24 listopada 1904, w którym czytam, że Ojcowie Kulawi (aż trzech braci księży Kulawych) już tak temu ludowi dokuczyli, że nie było innej rady, żeby ten lud utrzymać przy wierze, zmuszeni byliśmy wybudować kościół. Udaliśmy się do biskupa tutejszego z prośbą, aby nakazał księżom Kulawym, ażeby zaprzestali tych złorzeczeń w kościele na Polaków. Biskup ciągle tę sprawę odwlekał... Otóż w lutym r. b. przyjechał ks. Błażowski. Polacy ucieszyli się bardzo i przystąpiono do budowy kościoła, która została ukończona 1 lipca rb. — A teraz w imieniu komitetu proszę i błagam na rany Chrystusa, czy ks. Błażowski jest księdzem i gdzie wyświęcony?...

Otóż to „a teraz“. Najpierw wejść na złą drogę a potem nawracać ze złej drogi. Ten list przetłumaczony posłałem ich arcybiskupowi, który z St. Boniface 9 grudnia 1904 r. tak mi odpowiedział:

Reverend W. Kruszka.

Reverend Sir!

His Grace wishes me to reply to you that your information about the lack of Polish patriotism on the part of the Rev. Fathers Kulawy of Winnipeg is not correct. The facts prove better than words in favor of their patriotism. The Polish people hold

a place of honour in the dioecese and they are quite pleased with their priests in Winnipeg and elsewhere.

Yours respectfully in Xto,

J. A. Trudel, Secretary.

Zbłąkani zaś rodacy, gdy im napisałem, że ów Błażowski nie jest katolickim księdzem, odpisali mi: „Teraz odchodzimy od rozumu co mamy zrobić, jak sobie postąpić“.

Tylko ten jest katolickim księdzem, który posłany jest przez biskupa będącego w jedności z papieżem. O takiego księdza się postarajcie.

Ks. Wiktor Zaręczny, proboszcz parafji św. Kazimierza w Kenosha, Wis. 2 listopada 1904 r. prosił: „Chcę urządzić „Triduum“ z powodu teraźniejszego jubileuszu, dlatego pragnąłbym również z moimi parafjanami mieć u nas Waszą Wielebność, boście był pierwszym fundatorem tutejszej parafji. Jeżeli możecie to pogodzić ze swymi obowiązkami, raczcie ks. Wacławie nie odmówić. Jabym chętnie zapłacił Waszą podróż i jeszcze małą ofiarę dołożył za Waszą fatygę“.

Jak w każdym narodzie, tak i między Polakami są ludzie i ludziska. Ludzie słuchają władzy kościelnej i cywilnej. Ludziska zaś albo niewolniczo podlegają władzy albo buntują się przeciw władzy. **Słuchać** to znaczy 1) wypełniać wiernie swoje obowiązki, ale i 2) umieć się upomnieć o swoje prawa. Pierwsze bez drugiego to znaczy **niewolniczo podlegać**; a drugie bez pierwszego, to znaczy **buntować się.** Niewolniczo podlegać, to tak łatwo jak buntować się — każdy niewolnik to ukryty buntownik — i to potrafią **ludziska.** Ale słuchać, to jest pełnić swoje obowiązki bez zrzekania się praw swoich, to rzecz nie tak łatwa, to potrafią tylko **ludzie.** Otóż ks. Gawłowicz, proboszcz parafji polskiej w Warszawie, North Dakota, „ludziska polskie“ nazywa słusznie „bydłem polskiem“ w następującem do mnie piśmie:

Kochany i zacny Kapłanie katolicki i obrońco wiary!

„Nie gniewaj się na Rzym ani na rząd Kościoła katolickiego w Ameryce. Bydło polskie zrobiło samo „biskopów.“ Co się gniewać? Rzym stoi do końca świata, a każdy łotr bez wiary zginie na wieki. Ktoby dał sobie z polskiem bydłem radę. Jak wyjdzie z niewoli, to nawet podepta Papieża. Miałem parafję w Galicji taką, gdzie w 1846 roku zabiły chłopy 25 szlachty, a ksiądz trzy

dni siedział na wieży kościoła i okupił życie u chłopa za wszystkie dukaty, co miał. Pogan (Japończyk) teraz wali Moskala, tyrana Kościoła i Polski. Polskie zaś bydło chce obalić powagę Kościoła katolickiego.

„Z uszanowaniem i czcią i miłością całą kocham i szanuję zacnego kapłana.“ *Ks. Gawłowicz.*

Druk „Historji Polskiej w Ameryce“ w gazetach, zaczęty 1. września roku 1901, teraz w grudniu 1904 się skończył. Przystąpiłem do książkowego wydania „Historji“. Nie mając żadnego funduszu, przestraszyłem się, gdy mi drukarnia wydawnictwa „Kurjera Polskiego“ następujący kosztorys nadesłała:

Milwaukee, Wis 21 grud. 1904.

Kochany Bracie!

„Historję“ zamierzamy drukować jak następuje:

1. Dwa tysiące egzemplarzy każdego tomu.

2. Co miesiąc jeden tom o 128 stronicach.

3. Po przejrzeniu pierwszej korekty, poszlemy Ci drugą, którą możesz posłać OO. Franciszkanom, z prośbą, aby nam ją w trzech dniach odesłali.

4. Każdy tom powinien zawierać przynajmniej dwie ryciny.

5. Pierwszy tom powinien mieć na początku Twój portret. Dlatego chcielibyśmy fotografję zaraz, oraz podpis na osobnej białej kartce.

6. Po wydrukowaniu każdego tomu trzeba przesłać 2 egzemplarze nieoprawne do Washingtonu i dostać „copyright“ na Twoje nazwisko.

7. Układ tomu powinien być: pierwsza kartka czysta (bo tę dodaje introligator); pierwsza stronica drukarskiej formy (zeszytu) — tytuł; druga stronica na środku — Imprimatur i copyright; trzecia stronica — początek Historji i t. d. W pierwszym tomie Twój portret może być na osobnej karcie, wprawionei przed stronicą pierwszą. Albo też drukowany razem jako stronica druga; w takim razie stronica tytułowa byłaby 3-cią.

8. Koszt druku, kompletnie, z papierem, 2000 egzemplarzy — dol. 100 za każdy tom, bez oprawy.

9. Koszt oprawy jest: złocony tytulik na grzbiecie i na froncie: 500 egzemplarzy — dol. 95.00; 2,000 — dol. 180.00. Czarny tytulik: dol. 44, dol. 82 i dol. 160. Złocony tytulik tylko na grzbiecie: dol. 46, dol. 86 i dol. 170. Czarny: dol. 42, dol. 78 i dol. 154.

10. Sądzę, że nie potrzeba dawać wszystkich zaraz oprawiać, bo koszt za wielki.

11. Książkę drukowałbyś na własne konto, i ogłoszenia byłyby odpowiednie.

12. Książki mogłyby pozostać u nas; Ty odbierałbyś pieniądze i zamówienia, przesyłał nam zamówienia, a my byśmy je wysyłali. Na końcu miesiąca odpowiednią sumę, na konto rachunku.

13. Porto od każdego tomu wyniesie 5 centów.

14. Mybyśmy sobie liczyli za opakowanie, wysyłkę, utrzymywanie książek w szafie żelaznej, ogłaszanie etc. etc. także 5 centów za każdy sprzedany egzemplarz.

15. Zatem każdy egzemplarz tomu kosztowałby Cię mniej więcej jak następuje: druk 5 centów; oprawa 10 centów; opakowanie, wysyłka etc. 5 centów; porto 5 centów; fotografje, ryciny etc. oraz znaczki pocztowe na listy, które będziesz pisywał, etc. także około 5 centów. Razem około 30 centów.

16. Więc nie możnaby tomu sprzedawać taniej jak 50 centów. Jednakowoż gdyby ktoś chciał zapłacić za cały rok naprzód, to jest za 12 tomów, możnaby mu dać za dol. 5.00. Po sprzedaniu pierwszego 1000 możnaby cenę podwyższyć. Opłata za umieszczenie fotografji i życiorysów należy do Ciebie.

Odpisz mi, co sądzisz o tem.

Pozdrawiam Cię serdecznie. *Michał Kruszka.*

Musiałem odpowiedzieć, że najlepiej będzie, jeśli wydawnictwo „Kurjera" własnym nakładem wyda Historję. W takim razie ja miałem pobierać 20 centów od każdego tomu po sprzedaniu 500 egzemplarzy. Ale i tę umowę zmieniono na następującą:

Milwaukee, Wis., 2 marca 1905.

Kochany Bracie!

„Zdaje mi się, że umowa nasza, iż masz pobierać 20 centów od każdego tomu po sprzedaniu pierwszych pięciu set egzemplarzy, wymagałaby dużo pisaniny w książkach naszych. Dlatego zróbmy to w prostszy sposób, mianowicie:

Płacić Ci będziemy **20 procent** od wszystkich pieniędzy, jakie zbierzemy za „Historję";

trzy ryciny ogólnego charakteru w każdym tomie odrobione i umieszczone będą na nasz koszt; inne ryciny i portrety na Twój koszt;

tylko gazetom amerykańskim wysyłać będziemy gratis; posyłkę innym gazetom i osobom liczyć będziemy Tobie, gdy Ty dla nich zamówisz;

obliczenie co miesiąc na pierwszego każdego miesiąca.

Sądzę, że tak będzie lepiej. Koszta wydawnictwa będą trochę większe aniżeli pierwej obliczyłem. Jeśli nie stracimy, to nie zarobimy ani centa.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Twój brat,

Michał Kruszka.

Oddawszy raz wydawnictwo „Historji" w ręce wydawnictwa „Kurjera," tem samem już nie miałem prawa przepisywać, w jakiej formie i oprawie to dzieło ma się ukazać, w ilu tomach czy tomikach. Co do tego wydawnictwo „Kurjera" kierowało się własnym sądem i obliczeniem. Nawet co do objętości dzieła nie miałem za wiele do mówienia. Pisał mi brat Józef Kruszka:

„Kochany Bracie! Obliczyliśmy „Historję" na 15 do 18 tomów, ale jeżeli będziesz wszystko tak szczegółowo opisywał i nadal tyle dodawał, to będzie około 50 tomów i nie ukończymy „Historji" w trzech latach. Michał kazał wyrzucić wszelkie zbyt szczegółowe opisy, nie należące do „Historji," i tak też trzeba będzie zrobić, bo wkońcu nikt nie będzie chciał kupować."

W ten sposób musiałem się zgodzić na wyrzucenie niejednego materjału nietylko piśmiennego, ale i historycznego. Historję wydano w daleko większej ilości, niż w 2000 egzemplarzy. W ilu tysiącach, nie pamiętam. Dość, że w dwa lata później (1907) mogłem parafji św. Wacława w Ripon darować i podarowałem trzy tysiące dolarów na wybudowanie szkoły parafjalnej. Wydanie „Historji" od lat wielu już jest wyczerpane. Sam nawet tej „Historji" w komplecie nie posiadam. Dedykację dzieła Henrykowi Sienkiewiczowi zredagował pan Mahany.

W listopadzie 1904 arcybiskup Messmer udzielał Bierzmowania w mojej parafji. Arcybiskup ten święcie był przekonany, tak mówił prywatnie, że **lud polski** wcale sobie nie życzy biskupów polskich w Ameryce, że to **tylko agitacja księży polskich.** Na mnie więc patrzył jako na Lucypera tej agitacji.

73. Hodur ofiaruje mi w Chicopee, Mass., lepsze probostwo, niż w Ripon, Wis. — Za moją rekuzę zemścił się po swojemu.

Nastąpił rok 1905. Minęło dziewięć miesięcy od czasu, jak papież wyrzekł do mnie, a przezemnie do Polonji, to słowo „czem-

prędzej". A tu wcale jeszcze nie było widać żeby to słowo ciałem się stać miało. Ja, mając sekretne wiadomości z Rzymu, wiedziałem, że papież **czemprędzej** powziął decyzję wysłania polskiego biskupa do Ameryki. Ale ogół polski nic pewnego o tem nie wiedział. Więc jedni drwili sobie ze mnie, a drudzy szydzili sobie wprost z papieża. A już najbardziej niezależni triumfowali. Ci bowiem byli pewni, że kiedy papież nie dotrzymuje słowa, Polacy od Rzymu odpadną i wpadną w ich objęcia. Mnie zwłaszcza, widząc na pozór rozczarowanego i zawiedzionego przez papieża, a w dodatku przez mego arcybiskupa postponowanego i pomijanego przy obsadzaniu probostw, niezależni uważali za pierwszą rybę, która do ich sieci wpadnie. Na pozór to tak mogło wyglądać. Ale pozory mylą. W głębi duszy mojej, jak w głębi oceanu, panował zupełny spokój. Znając powolną procedurę rzymską, uzbroiłem się w cierpliwość od stóp do głowy. Bo ile mamy cierpliwości, tyle mamy mądrości. Zaopatrzyłem się w cierpliwość, nie na lata, ale na dziesiątki lat, zawsze pewny ostatecznego triumfu sprawy biskupstwa polskiego w Ameryce. Ale zupełnie innym wydawałem się ludziom, którzy mnie z pozorów sądzili, bo mnie widzieli nieraz w smutku i głębokiem zadumaniu.

Onego więc czasu przystąpiwszy kusiciel, wziął mię na górę wysoką bardzo i ukazawszy mi wszystkie królestwa świata i chwałę ich, rzekł do mnie: To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy, oddasz mi pokłon. Tym kusicielem był niezależny biskup Hodur, który ze Scranton, Pa., 27 stycznia 1905 taki mi list własnoręczny do Ripon przysłał:

Przewielebny Księże Dobrodzieju!

„Zdziwi się Ksiądz Dobrodziej moją propozycją, a jednak jest ona tylko naturalnym wynikiem mojego i Księdza położenia. Ot proponuję Księdzu Dobrodziejowi objęcie Narodowej parafji w Chicopee, Mass. Jest tam ładny kościół, prześliczna plebanja i sposobność do zorganizowania dużej, bardzo dużej parafji. Co więcej! Stan Massachusetts jest znany z tego, że tam lud polski jest najbardziej poniewierany i narażony na największe niebezpieczeństwa ze strony biskupów i indyferentnych księży polskich, tam jest więc znakomite pole dla prawdziwego przyjaciela ludu. Dziś mamy cztery parafje Narodowe w Massachusetts, ale gdyby tam osiadł człowiek tych zdolności i tej energji, co Ksiądz Dobrodziej, potroiłaby się wkrótce liczba Narodowych kościołów.

„O cóż nam powinno chodzić, przedewszystkiem nam polskim księżom przewodnikom ludu, czy nie o to, byśmy spełnili swój obowiązek względem tegoż ludu? Byśmy byli jego nauczycielami, byśmy się zużyli, że się tak wyrażę, na jego służbie? A czy to będzie danem Księdzu w rzymskim kościele? Nigdy. I ja pracowałem przez cztery lata w tej obroży, więc wiem, czego może dokonać człowiek dla swej duszy i duszy ludzi. Ja dziś błogosławię tę godzinę, kiedym porzucił Nanticoke, bo mogę przynajmniej powiedzieć, żem człowiekiem wolnym. Sumienie jedynym moim panem, a Duch Boży moim przewodnikiem i biskupem.

„Z tego wszystkiego, com czytał o Księdzu Dobrodzieju i słyszał o Jego usiłowaniach i pragnieniach, przyszedłem do przekonania, że Twoje miejsce jest w obozie Narodowym, w którym mógłbyś zająć odpowiednie stanowisko do swych zdolności i swego zapału. W każdym razie niech mi Ksiądz Dobrodziej nie weźmie za złe mej propozycji — wyszła ona z uczciwej pobudki — i odpowie mi. Samo się przez się rozumie, że piszę w najzupełniejszej tajemnicy. Privatissime. Gdyby Ksiądz Dobrodziej wziął pod rozwagę mą propozycję i zechciał podzielić się ze mną trudami — uważałbym to za ogromne zwycięstwo ludowej i Chrystusowej idei.

„Oddany w Panu *Biskup Franciszek Hodur.*“

Tak mnie kusił Hodur. Jaki on naiwny! Musiałbym chyba, już nietylko z wiary, ale i z rozumu być obrany, żeby go usłuchać. Bo, idąc za namową Hodura, przekreśliłbym całą swoją przeszłość i przestałbym być samym sobą. Dopieroż by to była radość w Izraelu czyli w obozie ajrysko-niemieckim!

Jakiem czołem śmiał Hodur przystąpić do mnie ze swoją propozycją?

Niektórzy złośliwi to samo pytanie tak mi koszlawo postawili:

Dlaczego to właśnie do Ciebie przystąpił Hodur ze swoją propozycją? Czego to dowodzi? Czy to nie dowodzi, że ty się skłaniasz ku Hodurowi i na jego „Nowe Drogi“ wchodzisz?

Na tę złośliwą uwagę zaraz dałem taką odprawę:

— Dlaczego to właśnie do Chrystusa przystąpił szatan kusiciel? Czego to dowodzi? Czy to dowodzi, że Chrystus skłaniał się ku szatanowi? Gdzieście uczyli się logiki? Czy złych trzeba dopiero kusić do złego? Czy szatan nie kusi najbardziej właśnie dobrych ludzi? Gdzie więc wasza logika? Puknijcie się tu — w czoło.

W taki sposób zamknąłem usta niemądrych tych, co mię zaczepili. Ale Hodur zemścił się za to, że wzgardziłem jego propozycją. Bliski sąsiad Hodura, ks. A. Zychowicz, który zresztą nic nie wiedział o powyższej propozycji, przysyłając mi pięć dolarów na „Historję", tak ze Scranton, Pa., 27 lutego 1905 do mnie pisał:

„Wielebny Księże! Posyłam czek na dol. 5.00 na Historję, która już wychodzi... Wczoraj mówił mi jeden z moich parafjan, delegat na ostatni kongres J. Lutuła, że parę dni temu Hodur był u jednego z jego komorników i przy tej okazji Jan Lutuła zagadnął go o tem i owem, a między innymi J. Lutuła zrobił wzmiankę o Księdzu i jego staraniach w Rzymie o biskupa polskiego w Ameryce. Na to Hodur mu odpowiedział, że ks. Kruszce oczy się otworzyły — i że ks. Kruszka pisał do Hodura, ażeby on Księdzu Kruszce dał miejsce w Nanticoke, gdzie się ma założyć niezależny zbór. To nic dziwnego, bo tak zawsze Hodur postępował — kłamał i czernił. Ja tego gałgana Hodura znam na wylot i zaręczam, że to wśród niezależnych największa szelma; jedną ma tylko stronę, która go utrzymuje jako tako, to jest, że się nie upija po bydlęcemu, bo ma zepsuty żołądek — a inne rzeczy niżej psa"...

Hodur ze zemsty, że dałem mu kosza, wszędzie rozgłaszał tę wieść fałszywą, jakobym ja był prosił o jego rękę, a nie on o moją. Nadesłano mi następujący wycinek z gazet wschodnich:

„Potworna potwarz.

„Jakiej kto smaki, myśli, że każdy taki". To przysłowie dałoby się zastosować do samozwańczego biskupa Hodura ze Scranton, Pa., który publicznie rozgłasza po stanie Pensylwanji i Maryland, że Wielebny ks. Wacław Kruszka zgłosił się do niego, aby go przyjął do swej niezależnej „diecezji". Jest to najnikczemniejsza potwarz, jaką chyba tylko Hodur jest wymyśleć w stanie. Toć przecież Wielebny Ks. Kruszka znany jest jako najzaciętszy wróg niezależnych sekt, a tu naraz Hodur umieszcza go między niezależnymi pryczerami, podlegającymi jego zwierzchnictwu. Hodur, pomimo tego wszystkiego, musi bardzo wysoko cenić Wielebnego ks. Kruszkę, kiedy twierdzi, że skoro ten przystąpi publicznie do jego sekty, to zrobi go sufraganem i ubierze w fiolety. A toć te niezależne fiolety paliłyby Wielebnego ks. Kruszkę, jak piekielny ogień i z pewnością wolałby przywdziać na siebie łachmany że-

braka, ale katolika, aniżeli wdziać na siebie fioletowe atłasy, a być niezależnym pryczerem.

Musi się coś psować w głowie Hodura, kiedy już wymyśla takie potworne potwarze. Czy wy, przywódcy niezależnego kościoła, nie potraficie już nawet i dla samej przyzwoitości być uczciwymi ludźmi i musicie obrzucić każdego błotem, o którym wiecie, że stoi wam na zawadzie do waszych nieczystych i wszetecznych celów?

Na tej drodze nie zajdziecie daleko, bo prawda, jak oliwa, wyjdzie na wierzch".

Mój dawny kolega, ks. Władysław Szczepański T. J., tłumacz Pisma św. na nowoczesny język polski, donosił mi z Wiednia 9-go września 1904: „Najserdeczniejsze życzenia zasyłam na dzień Twoich imienin. Bawię w Wiedniu, skąd wyjeżdżam za parę dni do Beyrutu w Syrji przez Rzym, Neapol, Alexandrję — na studja dalsze wschodnich języków i Pisma św. Mój adres będzie: Syrie, Beyruth, Universite St. Joseph".

74. Arcybiskup Symon dowiaduje się sam, że biskupi amerykańscy wcale niełaskawie go przyjmą. — Stąd powstaje kwestja, czy ma jechać urzędowo czy prywatnie. — Finty biskupów amerykańskich.

Karol Szczepankiewicz z Warszawy 22 stycznia 1905 prosił mnie, bym wyszukał członków jego rodziny. A więc wyszukałem i ks. Sylwestra Szczepankiewicza, który w dziennikarstwie polskiem w Ameryce znany jest jako doktór Saconni. Jego siostra w tym roku powiedziała mi, że umarł opatrzony sakramentami. Nie tak umarł s. Feliks Nowak, który także porzucił kapłaństwo. Ten spłonął wraz z „żoną" i trojgiem dzieci na farmie w Pond Hill, Pa., 25-go lipca 1921 nad ranem. Zwłoki spalone nie do poznania umieszczono w jednej trumnie i aresztowano Włocha sąsiada, podejrzanego o morderstwo i podpalenie.

Pan Adam Darowski, rzymski korespondent gazet w Polsce, pisał mi z Rzymu, via Babuino 164, dnia 2-go lutego 1905:

„Szanowny i Łaskawy Księże! **(Poufne!)** Sprawa **źle** stoi. Biskupi ajryscy urządzili **trust** między sobą przeciw Polakom. Arcybiskup Symon widział się tu z biskupem z Buffalo; zmarszczył brwi, kiedy usłyszał o co chodzi i ani gadania z nim. Powiada, że Anglicy stworzyli Kościół w Ameryce i że Polacy winni się im poddać, zastosować. Jest tu także biskup z Brook-

lynu, ale ten się schował, aby nie gadać o Polakach. Wygadują tu w Watykanie przedewszystkiem na duchowieństwo polskie, dopiero Symon stara się to zbijać.

A co do słów Piusa X, to te były powiedziane przez wielką dobroć i prostotę, ale nie jako **jego** życzenie — (tak!?). Bo w Kongregacjach nieraz już miano kłopoty z różnemi przyrzeczeniami papieża. Papież nie był w nuncjaturze ani w biurach Watykanu i nie zna trudności.

Jest **mowa**, aby Symon jechał w maju do Ameryki, aby się tam rozpatrzeć. Ale się boją, aby mu biskupi tamtejsi finf nie robili, chybaby jechał jako **prywatny**! A biskupi ajryscy tłumaczą, że taka **oficjalna** wycieczka Symona, powiększyłaby ogromnie ferment i niezadowolenie kleru angielskiego. Na co ja powiedziałem, że **największe** niezadowolenie powstanie, jeśli nic w Watykanie nie zrobią! Arcybiskup Symon ma być znów na audjencji u papieża.

Ci biskupi ajryscy tu psują bardzo i u papieża i u Merry del Val i u Gotti'ego. Ktoś tu opowiadał, że i Szeptycki ma jechać do Ameryki do Rusinów, ale to **nieprawda**!

Żeby choć jeden Polak przedstawionym był na liście kandydatów na biskupa, choćby na trzeciem miejscu — to Watykan by tego wybrał.

Osądź sam, Sz. Księże Dobrodzieju, co tu zrobić? Czy utworzenie kościoła narodowego nie jest tą jedyną bramą, przez którą możemy się wydostać do szczerego stosunku kiedyś, z Rzymem?

Wrażenie, jakie wyniosłem z rozmowy, nie było ani budującem, ani pocieszającem, zwłaszcza dla ajryszów, którzy tę rzecz biorą z stanowiska świeckiego i władzy — kulturkampfu.

Widziałem się także z ks. Marszałkiewiczem i oświadczyłem ukłony, które Sz. Księdzu od siebie jak najserdeczniejsze przesyłam.

Sługa,

A. Darowski."

Pan Darowski, słysząc do jakich wykrętów uciekają się ajryscy biskupi celem osłabienia decyzji papieża, widocznie zgorszył się ogromnie, skoro aż „niezależny kościół" jako środek do celu proponuje. Ale powiedział Zygmunt Krasiński:

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten Mądrości wiecznej bluźni,
Ten świat w gorszą spycha noc!

Cel nie uświęca środków. Do dobrego celu złymi środkami dążyć nie można. Iskrami z czarta kuźni nie przepalisz mocy czartowskiej. Ów wykręt ajryskich biskupów, że słowa Piusa X w sprawie naszej były powiedziane „przez wielką dobroć i prostotę, ale nie jako **jego** życzenie; bo w Kongregacjach nieraz już miano kłopoty z różnemi przyrzeczeniami papieża, papież nie był w nuncjaturze ani w biurach Watykanu i nie zna trudności" — to zaiste wykręt godny Niezależnych! Tylko z ust „biskupów" Hodura albo Kamińskiego coś podobnego usłyszeć byśmy się spodziewali, ale nie z ust ajryskich biskupów!

Jednakowoż w kancelarjach Propagandy i Watykanu „boją się", aby arcybiskupowi Symonowi biskupi amerykańscy „**finf** nie robili", gdy zajedzie do Ameryki. I dlatego woleliby go raczej **prywatnie** wysłać, niż **urzędowo.** Bo gdyby biskupi amerykańscy urzędowemu wysłańcowi finfy robili, toby się równało zerwaniu ze Stolicą świętą czyli otwartemu niezależnictwu. Robienie zaś finf prywatnemu wizytatorowi nie pociągnie za sobą takich fatalnych następstw. (Wyraz „finfa" znaczy puszczenie komuś dymu rurką pod nos; lekceważąca niegrzeczność, obraza, przytyk, przymówka.)

Ale my mocy niezależnictwa ajryskiego nigdy przenigdy nie zwyciężymy mocą niezależnictwa polskiego. Złem złego nie zwyciężysz. „Rodacy! na moc złego jest moc dobrego!" Tak wołał nasz wieszcz Adam Mickiewicz.

Owo skandaliczne zachowanie się biskupów amerykańskich, o jakiem pan Darowski powyżej pisał, w 12 dni potem opisał także ksiądz Fiori, sekretarz arcybiskupa Symona, w następującym liście:

Rzym, 14 lutego 1905.

Najprzewielebniejszy Księże!

Przedewszystkiem wybacz mi, że na Twój list z 10 listopada 1904 tak długo nie odpowiadałem. Takiej długiej zwłoki przyczyną było nie niedbalstwo, lecz miłość i pragnienie dostarczenia Ci jak najwięcej wiadomości o zabiegach, jakie arcybiskup Symon miał w waszej sprawie u Stolicy Apostolskiej; i dzisiaj tylko o tych zabiegach mogę Cię zawiadomić.

Zeszłego grudnia Exc. arcybiskup Symon uzyskał prywatną audjencję u Ojca świętego. Mówił mu o opłakanym stanie religijnym Polaków w Ameryce i przedłożył mu plan swojej podróży do swoich współrodaków, skoro tylko Stolica Apostolska udzieli

mu potrzebnego upoważnienia (na piśmie). Pius X wdzięcznem sercem i z największą radością pochwalił plan arcybiskupa Symona i mówił: „Naprawdę do Ameryki pojedziesz? Największą mi radość to sprawi, błogosławię cię obydwiema rękami".

Kilka dni potem poszedł do Jego Eminencji kardynała Gotti'ego (prefekta Propagandy), i jemu o swojej decyzji przez papieża potwierdzonej i błogosławionej opowiedział. Kardynał Gotti najpierw niektóre trudności przeciwstawiał, ale potem zawnioskował, że wola papieża jest wolą Bożą, i konsekwentnie nikt jej się sprzeciwiać nie może.

W miesiącu styczniu do Rzymu przyjechali biskupi buffaloski i brooklyński, i arcybiskup Symon do nich poszedł i przedłożył im plan swojej podróży do Ameryki. Ci biskupi, zwłaszcza biskup brooklyński, ustami pochwalali, lecz w rzeczywistości i w sercu rozmaite wielorakie trudności przeciwstawiali. Mówili, że taka wizytacja nie uspokoi, lecz coraz bardziej wzburzy umysły Polaków i dodali, że episkopat amerykański niechętnem, ba, niełaskawem okiem będzie się na nią patrzył. Wkońcu przyrzekli, że po dwóch lub trzech dniach przyjdą do niego i jemu stanowczą swoją opinję powiedzą. Ci biskupi atoli, obraza arcybiskupa Symona, bez złożenia przyrzeczonej rewizyty, z Rzymu wyjechali i do Ameryki powrócili. Po ich wyjeździe arcybiskup Symon na pewne się dowiedział (certior factus est), że oni byli u papieża na prywatnej audjencji i ogromnie się wysilali, ażeby papieża od powziętej decyzji odciągnąć. Poszli także do Eminencji kardynała Merry del Val i Gotti'ego, i ich błagali, żeby papieża nakłonili do odstąpienia od swojej decyzji. O tem arcybiskup powiedział arcybiskupowi Scalabri'emu, a ten wizyty jego u biskupów brooklyńskiego i buffaloskiego nie pochwalał, owszem Symonowi dodawał bodźca, ażeby od swojego postanowienia nie odstępował. Arcybiskup Symon mnie zawołał i o tem wszystkiem mnie powiadomił: po długiej dyskusji na to się zgodziliśmy:

„Pod koniec następnego marca Symon uda się do papieża dla uzyskania potwierdzenia danej obietnicy, i chociażby papież mu tego odmówił, czego nie daj Boże, on sam jednak, nie jako delegat Stolicy Apostolskiej, lecz jako prosty biskup pojedzie do Ameryki dla zwiedzenia swoich rodaków".

Przyjazd tedy arcybiskupa Symona napewne nieodwołalnie jest postanowiony pod koniec następnego kwietnia, i ja także, jak chce arcybiskup Symon, z nim pojadę. Arcybiskup Symon pragnie

mnie wziąć ze sobą do Ameryki, ażebym mu był do pomocy i ażebym korespondencjami do gazet rzymskich waszą sprawę poparł (medio Romanaram Ephemericum vestrae causae prodesse). Arcybiskup Symon mi polecił, bym Cię prosił i błagał, żebyś mi starannie opisał i powiedział, jakiego planu podróży trzymać się mamy.

Wypełnij więc życzenia arcybiskupa Symona, który z tak wielką miłością i całem sercem dla waszej sprawy pracuje.

Tymczasem Tobie i waszym rodakom swoje błogosławieństwo przesyła, i życzy, by Tobie była dana parafja, o której „Gazeta Polska" amerykańska wspomina (zapewne miał tu na myśli ową parafję w Buffalo, do której mnie bufaloski biskup Cotton dopuścić nie chciał, jak to czytelnik sobie przypomina).

Z mej strony pocałunki Ci przesyłam i, całem sercem Cię pozdrawiając, tego samego Ci życzę.

Twój najoddańszy w Chr.

Xystus Fiori.

Więc zdaniem Scalabri'ego, arcybiskup Symon niepotrzebnie biskupom amerykańskim składał wizytę i wogóle w tej poruczonej sobie przez papieża misji niepotrzebnie oglądał się na łaskę czy niełaskę episkopatu amerykańskiego. Znał tę jego chwiejność sam papież, skoro go wręcz zapytał, czy „naprawdę jedziesz do Ameryki!" Swoją drogą, ci biskupi amerykańscy (Cotton i Mc Donnell na prostej grzeczności się nie znali, skoro arcybiskupowi Symonowi nie złożyli **rewizyty.** Dali mu słowo, że go odwiedzą, a słowa danego nie dotrzymali. Słówko się rzekło, kobyłka u płotu — takie przysłowie mają Polacy, ale nie ajrysze. A sami nie dotrzymując słowa, rzecz prosta, namawiali usilnie i papieża, żeby nie dotrzymał danego słowa Polakom w Ameryce. Ale papież widocznie przez nich nie dał się zbić i od powziętej decyzji nie odstąpił. Bo gdyby im był choć półsłówkiem dał znać, że odstępuje od swojej pierwotnej decyzji, toć niezawodnie ci biskupi ajryscy byliby z triumfem wrócili do arcybiskupa Symona i, składając mu „rewizytę", powiedzieliby mu: papież nie chce cię wysłać do Ameryki! Zatem brak owej rewizyty był właśnie nieomylnym znakiem, że u papieża samego nic nie wskórali, a chyba tylko podrzędnych funkcjonarjuszów na swoją stronę przekabacić zdołali. Niepotrzebnie więc arcybiskup Symon się kłopotał, że „papież mu odmówi potwierdzenia danej obietnicy".

Z powyższego listu także widać, że ksiądz Fiori, Rzymianin, wcale nie myślał się trzymać owej sławnej Terencjuszowskiej „milkliwości“, żeby do gazet nic nie podawać o sprawie naszej.

75. Zasada: Rzym jest wyrocznią — w teorji zalecana, a w praktyce poniewierana przez biskupów amerykańskich. — Co o tem „Gazeta Gdańska“ pisze za „Gazetą Lwowską“.

Im bardziej rzeczywisty zamiar papieża względem sprawy polskich biskupów w Ameryce trzymano w tajemnicy, tem więcej rozpisywały się na ten temat gazety nawet we Włoszech i w Polsce. Między innymi, za „Gazetą Lwowską“ powtórzyła „Gazeta Gdańska“ z dnia 23-go lutego 1905 następujący artykuł:

Sprawa biskupów polskich w Ameryce.

„Sprawa biskupów polskich dla polskiego ludu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej stoi źle, zupełnie źle. Tak donosi korespondent rzymski urzędowej „Gazety Lwowskiej“. Przykro mi, — pisze — że nie mogę donieść lepszej wiadomości, zwłaszcza po nadziejach, jakie w maju roku zeszłego wyszły z Watykanu i to ze źródła tak wysoce kompetentnego, ale Watykan, niestety w kwestji tej czuje się zupełnie bezradny. Przyczyną tego jest zacięta, **niechrześcijańska doprawdy** opozycja biskupów amerykańskich irlandzkiego pochodzenia, jak ich tam nazywają, ajryszów (irish). Biskupi ci zawiązali poprostu trust po amerykańsku, aby Polaka do żadnej stolicy biskupiej nie dopuścić. Zdawałoby się nawet, że według ich poglądów, interesa Kościoła i religji ustąpić powinny przed imperjalizmem (panowaniem) politycznym. Rząd waszyngtoński nie miesza się zupełnie do tej kwestji, która mu jest całkiem obojętna, wobec zupełnego rozdziału Kościoła od państwa i tylko biskupi tamtejsi anglo-saksońskiego pochodzenia upierają się przy tem, aby krew irlandzka została przy rządach Kościoła. Z jaką szkodą stać się może dla katolicyzmu, łatwo to osądzić. Nie można się też dziwić, że dzisiaj w Stanach Zjednoczonych „niezależni“, to jest polski kościół niezależny, który się tam utworzył i ma dwóch biskupów staro-katolickich, triumfuje. Bawią tutaj (w Rzymie) obecnie dwaj biskupi irlandczycy z Buffalo i Brooklynu, obydwaj jak najgorzej usposobieni względem dwóch miljonów Polaków osiadłych w Stanach Zjednoczonych, aby w Watykanie **bronić własnych interesów a udaremnić wszelkie**

zabiegi, prowadzące do zadośćuczynienia słusznym żądaniom Polaków amerykańskich.

Co z tego wszystkiego wyniknie? trudno jeszcze dziś powiedzieć. Zwłaszcza dzienniki „niezależnych“, a nawet może i polskie gazety amerykańskie zamieszczają bardzo symptomatyczne i gwałtowne nieraz artykuły, domagające się biskupów, którychby polski lud rozumiał.

Toż samo tyczy się także i Rusinów, których jest około sześćdziesięciu tysięcy i którzy mają te same prawa i słuszne żądania. Zdawałoby się, że wszystko prowadzi do tego, aby zorganizować „kościół polski niezależny“ na szerszych, niż dotąd podstawach.

W każdym razie delegaci katolików polskich w Ameryce, którzy w Rzymie dość długo bawili w roku zeszłym, ksiądz Wacław Kruszka i adwokat Mahany, patrzą dzisiaj pesymistycznie w przyszłość, pomimo, że stąd wyjechali z najlepszymi nadziejami.

Wobec postawy, jaką zajęli biskupi amerykańscy Irlandczycy, zdawałoby się także, że Watykan ma dziś jedynie do wyboru między dwoma odszczepieństwami: Amerykanów, Anglików katolików i Polaków. Amerykanizm, to jest separatyzm amerykański religijny, który oddawna się manifestuje i grozi Rzymowi oddzieleniem się i zachowaniem jedynie związku bardzo luźnego podnosi dziś więcej niż kiedykolwiek głowę. — Watykan zaś obawia się tego ruchu samodzielnego, któryby wpłynął także i na Anglję.

Mówiono tutaj (w Rzymie) że J. E. metropolita hr. Szeptycki (arcybiskup rusiński ze Lwowa) pojedzie do Stanów Zjednoczonych, aby się rozpatrzeć w tamtejszych stosunkach, w ruskich parafjach. Nie wiem, o ile wiadomość ta jest prawdziwą, w każdym razie ks. metropolita mógłby udać się tam jedynie jako prywatny człowiek, a nie w charakterze urzędowym, aby nie spotkać się z niezadowoleniem „ajryszów“. Toż samo była mowa o J. E. arcybiskupie Symonie dla Polaków, ale jak powiadam, trudności są bardzo wielkie, stąd wszystko w zawieszeniu.

Owszem, biskupi „ajrysze“ tłumaczą w Watykanie u papieża Piusa X, u kardynała sekretarza stanu, u prefekta Propagandy Wiary kardynała Gotti'ego, że misje tego rodzaju przyczynią się jedynie do wywołania większego fermentu (wzburzenia) u biskupów i duchowieństwa irlandzko-amerykańskiego, a co za tem idzie, wzmożenia tendencyj separatystycznych (zamiarów odłączenia się, w myśl arcybiskupa Irelanda z Saint Paul, a jak mówią i kardy-

nała Gibbonsa z Baltimore, tak zwanego amerykanizmu religijnego. — Biskupi ci twierdzą, że ponieważ Anglicy stworzyli Kościół, zorganizowali go w Ameryce, przeto emigranci powinni uczyć się **po angielsku,** jeśli chcą rozumieć biskupów.

Owszem, ksiądz Kruszka jest dzisiaj w niełasce u swego biskupa z powodu misji rzymskiej i lepszej parafji od tej, w jakiej (Ripon, w stanie Wisconsin), przesiaduje, tak łatwo i tak rychło nie dostanie.

Co więcej, w Watykanie i w Propagandzie Wiary ajrysze-biskupi wyrażają się z **wyraźną niechęcią o polskiem duchowieństwie** Stanów Zjednoczonych.

W materji tej „Osservatore Cattolico" (gazeta rzymska) organ medjolański, zamieścił artykuł, wykazujący **niebezpieczeństwo odłączenia się** polskich katolików (a jest ich dwa miljony!) w Ameryce, w razie gdyby ich żądania nie były choć w części zadowolone. Rzeczywiście los, jaki spotykają te życzenia, oparte wyłącznie na potrzebach religijnych ludu są wodą na młyn tak zwanych „niezależnych".

Gdyby biskupi amerykańscy, w razie zawakowania stolicy biskupiej umieścili na liście trzech kandydatów, jakich przedstawiają Stolicy Apostolskiej, choć jednego Polaka, Watykan wybrałby tegoż, zwłaszcza tam, gdzie Polacy stanowią większość. Ale wobec organizacji Kościoła w Stanach Unji, Watykan niema prawa naznaczania biskupów według własnego wyboru i jedynie może tylko zatwierdzić jednego z trzech kandydatów, jakich miejscowi biskupi przedstawiają.

Co z tego wszystkiego będzie? **Czy Polacy zwołają Kongres dla przedyskutowania położenia?** Jaka zapadnie uchwała? Czy rzeczywiście powstanie wielki kościół niezależny polski w Ameryce Czy rzeczywiście biskupi ajrysze będą przekładali **interesa polityczne ponad religijne?** Trudno to dziś przewidzieć.

Przykra to sprawa, która powinna być w kompetentnych sferach troskliwie zbadana i skutecznie rozpatrywana. Skoro już dziś „kościół niezależny" w Ameryce mimo zwalczania go przez prasę polsko-katolicką coraz to większe robi postępy, to trzeba się obawiać, że herezja ta przekroczy wody oceanu Atlantyckiego i zacznie zwolna lecz ze skutkiem uprawiać **propagandę pomiędzy Polakami, którzy się widzą opuszczonymi i nawskroś prześladowanymi przez niemiecko-katolicki hakatyzm,** odsadzający ich od równouprawnienia w Kościele. Strasznie o tem pomyśleć, lecz takie

traktowanie **uprawnionych życzeń i próśb Polaków-katolików** może wywołać jak najsmutniejsze skutki.

Spodziewać się zatem należy, że Stolica święta, kierowana radami Ducha świętego, zapobiegnie złemu, które **nienawiść polityczna przeciwko nam uciśnionym wynajduje, pragnąc naszej zguby".**

Tyle „Gazeta Gdańska" za „Gazetą Lwowską".

Charakterystyczny list w tym czasie nadesłał mi pewien niezależny z Thorp, Wis.:

„Wielebny Księże Kruszka! W. Ksiądz też przypiął łatkę krytyki nie raz ani dwa na Niezależny Kościół. I jużem sam W. Ks. nadmienił, że Niezależny Kościół nie jest odszczepiony, ale sprawiedliwość pragnący i oczekujący księdza biskupa przez Stolicę Ojca świętego przeznaczonego. I niema w sobie najmniejszej zmazy grzechu odszczepieństwa. I tak stoi jak ten, co z dobrem przysposobieniem i szczerą poprawą życia chce się wyspowiadać i pokutować. To choć jeszcze grzechu swego nie wyznał przed kapłanem, a u Pana Boga ma już odpuszczenie. Tak przed Panem Bogiem i Kościół Niezależny stoi, bo postanowienie ma sprawiedliwe przed Bogiem. Choć Stolica go nie chce przyjąć i uwzględnić ani duchowieństwo amerykańskie, ale Pan Bóg przyjmuje mile i serdecznie.

Zważ ks. Dobrodzieju: Że dzisiaj wyklęty i przeklęty na wieki Niezależny Kościół. A jutro daj przeklętemu ajryszowi on deed własności, to już jego agenci będą trąbili po gazetach, że się nawrócił, że już żadna klątwa na nim nie egzystuje i już święty i najświętszy, bo już czort ajryszowski ma go w pazurach. I Pan Bóg najwyższy dał sprawiedliwe przeczucie temu ludowi, że nie daje się uwikłać temu arcyczortowskiemu heretyckiemu duchowieństwu amerykańskiemu..."

Oby to było prawdą, że kościół niezależny stoi jak grzesznik przed konfesjonałem i oczekuje tylko biskupa polskiego przez Ojca świętego przeznaczonego! Toby sprawę całą odrazu posunęło naprzód.

Z więzienia stanowego z Waupan, Wis., 19-go marca 1905 pisze mi pewien rodak: „Wielebny Ojcze, nas tu jest paru Polaków, co nie możem czytać po angielsku, więc prosim, żeby Ojciec jakie stare książki nam przysłał... bo nikt nie wie, co to jest bez czytania być zamknięty za murami więziennymi. Nawet nie mam książki do nabożeństwa, nie mam krewnych ani znajomych w tym

kraju, żebym się mógł do nich udać, więc się ośmielam do Ciebie, Wielebny Ojcze, pisać, uczyń to dla nas ubogich więźniów".

Otóż na drugi dzień tym więźniom zawiozłem książek polskich tyle, ile w kufrze zmieścić mogłem. Starałem się u arcybiskupa, ażeby płatny przez rząd kapelan więźniów był jakiś polski ksiądz, który umie nietylko po angielsku, ale i po niemiecku, po polsku, po włosku itd., ale nadaremnie.

Z Red Granite, Wis. 15 lutego 1905 pisze mi pan Józef Piechowski: „Jest nas Polaków tu z jakie 35 familij i my nosimy się z myślą założenia tutaj katolickiej parafji i pobudowania kościoła... I prosimy Wielebnego Księdza o rady co do założenia parafji, jako mając pod tym względem wszelkie doświadczenie..."

Jakoż później, zaproszony przez ks. Kłosowskiego, za pozwoleniem biskupa Fox'a z Green Bay, poświęciłem kamień węgielny pod kościół polski w Red Granite. Jedyny to raz w życiu taki zaszczyt mnie spotkał.

Pan Stanisław Ślisz, inspirowany przez ks. dziekana Pitassa, z Buffalo, N. Y., 10 marca 1905 tak mi pisał: „Ks. Dobrodziej najlepiej zrobi, jeżeli otrząśnie proch z swych sandałów i wyniesie się gdzieindziej, bo tam dla niego i tak niema żadnej przyszłości. Jeżeli taki ksiądz Kempa mógł zostać proboszczem parafji świętego Wincentego w Milwaukee, a drogi Ksiądz pozostał w Ripon, toć to jest niesprawiedliwością o pomstę wołającą do nieba. Dałem też folgę swym uczuciom co do tej sprawy w jutrzejszym numerze „Polaka" w Ameryce. Spodziewam się, że z mojej recenzji dotyczącej „Historji Polskiej w Ameryce" jest ks. Dobrodziej zupełnie zadowolony. Tutaj w Buffalo można liczyć przynajmniej na 1500 prenumeratorów na „Historję Polską w Ameryce", jeżeli tylko będą ustanowione agencje... Prezydent Roosevelt wali jak taranem w Rzym i ciągle obiecuje, że amerykańska Polonja otrzyma nie jednego ale 8 biskupów notabene sufraganów. Mam pod tym względem najświeższe wiadomości z Washingtonu, nie od Mahanego, bo z tym zerwaliśmy zupełnie... Ks. biskup Colton (ten sam, który nie złożył rewizyty arcybiskupowi Symonowi w Rzymie) powrócił już do Buffalo, ale polski kler podczas jego przyjęcia świecił nieobecnością. Było tylko kilku bojaźliwych. Wszyscy wiedzieli, jakiego piwa nawarzył nam w Rzymie. A jednak o nim mówią, że to „holy bishop". A cóż tam słychać w Manitowoc? Czy drogi ksiądz będzie zawsze nienaruszalnym proboszczem w Ripon?"

O Manitowoc, Wis., pan Ślisz się pyta, bo kościół polski w Manitowoc od dłuższego czasu był zamknięty. Nadsyłali mi stamtąd nietylko listy ale i delegacje do Ripon. Odsyłałem ich do arcybiskupa Messmera w Milwaukee; a jeśli z nim do ładu przyjść nie mogą, niech czekają cierpliwie, aż biskup polski się zjawi. Jakoż rzeczywiście arcybiskup Symon załagodził ich spór z arcybiskupem milwauckim. Na mnie szły do arcybiskupa Messmera skargi od biskupów z Ameryki, aż z Kanady, z zapytaniem, kto właściwie jest biskupem w diecezji milwauckiej, i czy proboszcz z Ripon rządzi parafjami polskimi w całej Ameryce?...

Dnia 14 marca 1905 pisał znowu pan Ślisz z Buffalo: „Tak ks. dziekanowi Pitassowi jak i mnie jest bardzo przykro, że ks. arcybiskup Messmer tak niesprawiedliwie traktuje drogiego księdza. Można się jednak pocieszyć znanem przysłowiem — jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. O krzywdach wyrządzonych ks. Dobrodziejowi wiedzą nietylko w Ameryce ale także w starym kraju a nawet w Rzymie. Aby uniknąć podobnych przykrości, na to jest tylko jedyna rada: otrząsnąć proch z sandałów i wynosić się do nas na wschód. Czy ks. Dobrodziej trwa jeszcze w zamiarze wybudowania polskiej szkoły w Ripon? W takim razie Buffalo byłoby pomocnem, gdyby tu drogi ksiądz przyjechał po kolekcie."

Aliści przenosząc się do innej diecezji, poszedłbym tylko z deszczu pod rynnę! Lepszy jeden wróbel w ręku, niż trzydzieści na dachu. W zamiarze wybudowania polskiej szkoły w Ripon trwałem uparcie ale cóż, kiedy i tego roku Sióstr dostać nie mogłem. Z Chicago 3 października odpowiedziała mi Siostra M. Anna: „Wielebny ksiądz będzie tak łaskaw i poczeka do drugiego roku. Jedna ze Sióstr, która tam była, opowiedziała mi wszystko, w jakiem pięknem położeniu znajduje się Ripon." Nawet Siostra Regina z Fon du lac, Wis., z 1 maja 1905 i Siostra Tekla z St. Francis. Wis., 12 maja 1905 dały mi odmowną odpowiedź. Za to na zakrystjana do Ripon zgłaszało się wielu ubogich studentów, którzy „na tem stanowisku mogliby się uczyć angielskiego języka i z czasem wstąpić do seminarjum w Detroit," a także „mogliby mi wpisywać metryki" do księgi chrztów. Mój Boże, jedenaście chrztów miałem na rok. A obowiązki zakrystjana i kościelnego chętnie byłbym komuś ustąpił, gdyby mogły być płatne. Ale, mówią ślązacy, „gdzie chuda fara, tam fararz sam dzwonić musi" i na Mszę i na Anioł Pański.

76. „Historja Polska w Ameryce" jest w Rosji zakazana. — Zdania księży Szczeklika i Piątkiewicza. — Rozpowszechnienie „Dziejów Polskich" Baczyńskiego.

Z woli arcybiskupa Messmera, cenzorem „Historii Polskiej w Ameryce" został ojciec Antoni Wiśniewski, Franciszkanin z Green Bay Wis. Cenzor książek to urzędnik rozpatrujący rękopisy, czy nie zawierają czegoś wzbronionego. Dla każdego tomu z osobna cenzor przysyłał arcybiskupowi swoje „Nihil obstat," to znaczy, „nic nie stoi na przeszkodzie," żeby był drukowany; a arcybiskup przysyłał mi swoje „Imprimatur", to znaczy, „niech będzie drukowany". Takich więc „Nihil obstat" i „Imprimatur" było trzynaście dla „Historji Polskiej w Ameryce". Co miesiąc miał jeden tom wyjść, atoli faktycznie wychodził co ćwierć roku jeden, gdyż trzynasty tom wyszedł dopiero w kwietniu 1908 roku.

Po każdym tomie pojawiały się krytyki i oceny w prasie tak amerykańskiej jak i europejskiej. W tece mam tyle wycinków i listów dotyczących „Historji", że w nich gubię się jak w lesie i wcale nie myślę ich tu wyliczać a tem mniej przytaczać.

„Historji Polskiej w Ameryce" — wzbroniono wstępu do ówczesnej Rosji. Kiedy księgarnia B. Szczepankiewicza zamówiła „Historję", posłano jej paczkę egzemplarzy. Nie odebrała. — Pos ano jej drugi raz registrowaną — czyli rekomendowaną paczkę, dnia 11 października 1905. Na tej paczce „Historji Polskiej w Ameryce" ówczesna „cenzura warszawska" wycisnęła aż cztery stemple tej osnowy:

REFUSE PAR LA CENSURE
ENTRANGERE DE VARSOVIE
Retour!

To znaczy: „wzbronione przez zagraniczną cenzurę warszawską. Napowrót!"

Cała więc paczka książek „Historji Polskiej w Ameryce" powróciła do Ameryki i spoczęła we Washingtonie 10 listopada 1905 w tak zwanym biurze „martwych listów," registry desk, — dead letter office, skąd mi ją przysłano do Ripon. Opaskę tej paczki wraz z pieczęciami rosyjskiej cenzury przechowuję w swej tece.

Ksiądz profesor dr. Szczeklik, profesor prawa w seminarjum duchownem w Tarnowie, Małopolsce, autor „Etyki," z którym

zawarłem znajomość podczas mojej peregrynacji w Pilźnie roku 1892, a potem widziałem się w Rzymie, tak mi z Tarnowa 6 maja 1905 pisał:

Kochany Księże Proboszczu!

Podczas pobytu w Rzymie miałem sposobność podziwiać wytrwałość Ks. Dobrodzieja, z jaką za sprawą Polaków pukał do drzwi kardynałów, a co więcej mnie jeszcze budowało, zachowanie się pełne godności chrześcijańskiej, gdy sprawa się chwiała — to zmuszało mię do szacunku Księdza... Społeczeństwo polskie wdzięczne jest (Księdzu) za pracę i wiadomości podane (w „Historji"). W „Czasie" krakowskim podał „Czas" wyciągi z tej książki w dwóch artykułach obszernych. Ja pożyczyłem ją zakonnicom Felicjankom, które z wielkim zajęciem ją czytały, bo znajdują tam notatki ich dotyczące... Z ciekawością czytamy nowiny odnoszące się do sprawy biskupa polskiego w Ameryce — cóż, skoro niestety wiadomości nie bardzo pocieszające nas dochodzą. Zamierzony wyjazd biskupa Symona poszedł podobno w odwłokę, czy ad calendas Graecas? Podobno amerykańscy biskupi przeszkadzają ustawicznie — myślę, że wytrwała praca z naszej strony przecież poruszy internam Romam. Jesteśmy świadkami straszliwego przewrotu w Rosji — Bogu dzięki ku lepszemu się ma. Manifest tolerancji religijnej już wydany — jakieś swobody polityczne także nastąpią, — lecz daleko do konstytucji w ścisłem znaczeniu słowa. Łapa moskiewska jeszcze będzie ciążyć nad nami. Wskutek zamknięcia szkół w Warszawie — roi się od studentów polskich w Krakowie i Lwowie, ale to bractwo kiepsko się sprawuje. Liberalizm, pozytywizm a w ostatnim czasie socjalizm dużo zrobił smrodów w wierze katolickiej naszej braci zakordonowej, a do naszych stosunków zgniłych oni dokładają więcej jeszcze miazmatów."

Krytyki „Historji' tu pomijam. — Wszelako jedną tu przytoczyć muszę. Przyda się bowiem przyszłemu historykowi, choć dla mnie jest niepochlebna. Główny zarzut jest ten, że w mojej „Historji" przed szczegółami nie widać całości, czyli, że przed drzewami lasu nie widać. Krytykę taką nadesłał mi jezuicki prowincjał Przewiel. ks. Włodzimierz Piątkiewicz, wielki kaznodzieja, pisarz i autor dzieł naukowych. Pisał mi z Rzymu 29 sierpnia 1905:

Wielebny Księże Wacławie!

„Daj Boże, aby z podróży ks. arcyb. Symona był widzialny jakiś trwały skutek. Jakoś się obawiam, przy całej najlepszej woli

Ojca św.... tyle zewsząd trudności! Myślę, że po wyjściu wszystkich 12 tomików historji amerykańskiej, powinien się — ksiądz kochany wziąć do ponownego jeszcze jej opracowania. Byłoby dobrze cały materjał, obecnie nieco rozbity, stopić więcej jednolicie i pracować więcej metodycznie. Rozumiem dobrze, że w pierwszem i drugiem wydaniu było to zupełnie niemożliwe — i olbrzymia zasługa autora, że stworzył kolosalną pracę, to co obecnie mamy. Ale szkoda byłaby na tem poprzestać. W wydaniu nowem cała masa wykazów, nazwisk, kolumna z cyframi mogłaby przejść do dodatków, osobnego może tomu z materjałami — przytem odpadłyby niektóre drobiazgi; radziłbym bardzo, aby też odpadły te i owe polemiki, czasem i twarde zwroty o starym kraju, które mogą zaboleć trochę czytelnika, nawet urazić; na tem wszystkiem dzieło, już dziś niezmiernie ciekawe i cenne, skorzystałoby dużo — zwłaszcza gdyby sama historja w rysach i linjach najwybitniejszych rozwijała się więcej systematycznie i poglądowo, uwolniona od olbrzymiego balastu szczegółów i materjału, podanego obecnie surowo. — Takie moje zdanie — wiem jednak, że łatwo jest rady dawać — trudniej je wykonać, zwłaszcza w przedmiocie tak niełatwym i jak las dziewiczy ręką ludzką jeszcze nietkniętym."

Z tych rozumnych uwag księdza Włodzimierza Piątkiewicza, skorzystać powinien przyszły historyk, jakim może będzie jeszcze i mój człowiek sam, — jeśli mu na to czasu, sił i życia starczy.

Najkrótszą i najprostszą ocenę „Historji" nadesłał mi Ludwik Furman z Nevada, Mo. Brzmi ona tak: „Co się tyczy tej historji to mi się wielce spodobała, a wszyscy Polacy w Ameryce są winni wdzięczność Wielebnemu Ojcu za ułożenie tak pięknej i wyraźnej historji, zrozumiałej i dla małego dziecka".

Od księgarza Karola Kozłowskiego z Poznania dostałem nowe „Dzieje Polski", przystępnie a obrazowo napisane przez Juljana Baczyńskiego, w dwóch tomach z ilustracjami wydane roku 1904. Przeczytałem je prawie jednem tchem. Tak mi ogromnie te „Dzieje Polski" się spodobały, że kogo tylko spotkałem, namawiałem go do zakupna tychże. W ten sposób udało mi się „Dzieje Polski" Baczyńskiego rozpowszechnić, zwłaszcza pomiędzy klerem polskim w Ameryce, tak iż p. K. Kozłowski kilka dziękczynnych mi nadesłał listów, z których jeden z dnia 1 maja 1905 tak się kończył: „Dziękuję Czcigodnemu Księdzu Dobrodziejowi raz jeszcze za łaskawe poparcie wydawnictwa mojego i cieszył-

bym się, gdyby mi się udało podobnie poprzeć „Historję Polską w Ameryce."

Ręka rękę myje.

Niema to jak być sławnym. Ludzie ze starego kraju czasem biednemu proboszczowi w Ripon poruczali bardzo bogate sprawy do załatwienia. I tak z Detroit, 11 maja 1905 pisał mi J. K.:

Wiel. Ks. Proboszczu!

„Miał umrzeć w Ameryce człowiek z naszej familji **cztery miljony bogaty...** Siostra ze starego kraju prosiła mnie, żebym się zwrócił do Wielebnego Ks. Proboszcza z tą prośbą, aby Wiel. Ks. Proboszcz nam jakiejś rady z łaski swojej udzielić raczył. W razie byśmy odnaleźli tego człowieka, to byśmy stokrotnie wynagrodzili i wdzięczni byli aż do śmierci."

Wierzę. A proboszcz w Ripon odrazu stałby się najbogatszym proboszczem w Ameryce i wystawiłby nietylko szkołę ale i uniwersytet polski!

77. Wieść o tem, że po raz pierwszy w historji świata biskup polski stanie na ziemi amerykańskiej, ogromnie ucieszyła Polaków, a zasmuciła biskupów amerykańskich i biskupów niezależnych.

W roku 1905 Kościół w Stanach Zjednoczonych znajdował się jeszcze na stopie misyjnej i jako taki był pod bezpośrednią juryzdykcją prefekta Propagandy czyli tak zwanego czerwonego papieża. O tem pamiętać trzeba, by lepiej zrozumieć następujący list, pisany do mnie z Rzymu przez księdza Fiori'ego, sekretarza arcybiskupa Symona:

Rzym, Via Urbana No. 4,
dn. 6 kwietnia 1905.

Wielebny Księże!

Skoro tylko odebrałem Twój list, natychmiast udałem się do arcybiskupa Symona i jemu go pokazałem. Arcybiskup Symon mi powiedział, że dnia 24-go marca był u papieża i mówił mu o swojej podróży do Ameryki, tudzież o obietnicy danej, że w tej podróży ma przybrać charakter Delegata Apostolskiego. Pius X ideę tę pochwalił i pobłogosławił, lecz dodał, że zanim mu da wyraźny mandat, pomówi najpierw z kardynałem Gotti (prefektem Propagandy) i Merry del Val (sekretarzem stanu): dlatego poprosił Symona, ażeby do Niego znowu przyszedł po dwóch lub trzech tygodniach. Arcybiskup Symon we Wielki Tydzień pójdzie znowu do papieża,

potem pojedzie do swojej ojczyzny w celu odwiedzenia swojego ojca, a następnie wyjedziemy do Ameryki, przeto podróż nasza z Neapolu nastąpi dnia 18 maja.

Przed wyjazdem do Ciebie znowu napiszę, i skrupulatnie wypełnię wszystko, co mi w swoim liście przepisujesz.

Tymczasem pozdrawiam Ciebie i Twoich współrodaków od siebie i od arcybiskupa Symona.

Twój najprzywiązańszy w Chr.
Xystus Fiori.

Widocznie kardynałowie Gotti i Merry del Val doradzili Ojcu świętemu roztropnie postąpić i baczyć na to, żeby wobec wrogo usposobionego episkopatu amerykańskiego powaga Stolicy świętej jakowegoś szwanku nie poniosła. Stąd, żeby już i tak rozjuszonych biskupów amerykańskich nie drażnić jeszcze bardziej. Arcybiskup Symon ma wyjechać do Polonji amerykańskiej, nie jako publiczny i formalny Delegat Apostolski, jak mu to pierwotnie Ojciec święty był przyobiecał, lecz jako tajny i prywatny wysłannik Ojca świętego. Ksiądz Fiori trochę dwuznacznie tak to opisuje:

Rzym, Via Urbana No 4,
dn. 30 kwietnia 1905.

Wielebny Księże!

Z największą radością na pewne Cię zawiadamiam, że wyjedziemy z Rzymu dnia 9-go maja o godzinie 12-ej. Droga taka będzie: z Rzymu do Paryża, skąd specjalnym pociągiem Towarzystwa Linji Hambursko-Amerykańskiej pojedziemy do Cherbourga, i z tego portu dnia 12-go maja okrętem „Deutschland" popłyniemy do portu Nowego Yorku. Okręt „Deutschland" podróż do Nowego Yorku odbywa w pięciu dniach i 17 godzinach, stąd w Nowym Yorku będziemy 17 lub 18 maja.

Czy arcybiskup Symon w charakterze Delegata Apostolskiego czy prywatnie przyjedzie, tego nie wiem. Wiem tylko to, że on trzy razy był u papieża, i ostatni raz kardynał Merry del Val, do którego Pius X Symona odesłał, powiedział mu, że o jego wizytacji już napisał do Delegata Apostolskiego we Washingtonie, i temuż Delegatowi polecił, ażeby zawiadomił biskupów amerykańskich o przyjeździe arcybiskupa Symona celem wizytacji kościołów polskich.

Koszta naszej podróży są ogromne. Kupiliśmy dwa bilety powrotne (z Paryża do Nowego Yorku i na powrót), za które zapła-

ciliśmy 2400 marek czyli 3000 lir: podróż z Rzymu do Paryża kosztuje 176 lir, więc ja sam ze swojej kieszeni wydałem 1676 lir; tyleż wydał arcybiskup Symon.

Przyznaję Ci się, że wydałem wszystkie, lub prawie wszystkie pieniądze, jakie w mojem posiadaniu miałem; dlatego wdzięczny Ci będę, jeśli choć część tych moich wydatków pokryjesz przesyłką telegraficzną, ażebym ją dostał przed wyjazdem naszym z Rzymu.

Arcybiskup Symon chciał naszą podróż odłożyć do ostatniego tygodnia w sierpniu, lecz ja to sprawiłem, że wszelkie trudności zostały przezwyciężone, i nakłoniłem go do wyjazdu zadecydowanego.

Począwszy od dnia, którego wyjedziemy z Rzymu, nasz pochód triumfalny opisywać będę w rzymskich dziennikach.

Ciebie i wszystkich Polaków pozdrawiam od siebie i od arcybiskupa Symona.

Najprzywiązańszy w Chr.

Xystus Fiori.

Na wieść o pewnem już przybyciu arcybiskupa Symona, wśród Polonji amerykańskiej wielka zapanowała radość, że przecie nareszcie **po raz pierwszy w historji świata** stanie biskup polski na ziemi amerykańskiej! Cieszyli się z nami nawet amerykanie, a szczególnie prezydent Roosevelt. Cieszyć się z cieszącymi nie chcieli tylko biskupi ajrysko-niemieccy. Taka to dziwna, niczem niewytłumaczona, małostkowa zazdrość opętała ich zdrobniałe dusze!

Ksiądz Fiori tegoż dnia 30 kwietnia 1905, którego powyższy list pisał, wysłał był do mnie kablogram:

„Father Kruszka, Ripon, Wis. Linguemus Cherbourg 12 maji, permagnae itineris expensae, partem telegrafice mitte. Fiori". (Opuścimy Cherbourg 12 maja, ogromne koszta podróży, cząstkę telegraficznie przyślij!)

Z zapowiedzianego przyjazdu biskupa polskiego do Ameryki nie byli radzi nietylko biskupi ajrysko-niemieccy ale i biskupi niezależni. Jedni i drudzy mieli tę samą pobudkę, mianowicie obawę, że skoro raz wpuszczą biskupa polskiego do Ameryki, to skończy się ich panowanie nad Polakami. Jedni i drudzy z faryzeuszami tak mówili: Jeśli go tak puścimy i pozwolimy mu objeżdżać osady polskie w Ameryce, to wszyscy weń uwierzą: i przyjdą Rzymianie

i wezmą nasze miejsce i naród" (Jan 11, 48) to jest, przyjdą rzymscy biskupi polscy i wezmą nasze miejsce i naród. Dlatego jedni, jak to widzieliśmy w poprzednich rozdziałach, w Rzymie wszelkimi siłami starali się sparaliżować zamiar papieża wysłania biskupa polskiego do Ameryki; a drudzy, to jest biskupi niezależni, w Ameryce wszelkimi siłami starali się zdyskredytować arcybiskupa Symona w oczach Polonji, jak to zobaczymy zaraz w dalszym ciągu. Bo kiedy przyjazd arcybiskupa Symona stał się już rzeczą publiczną i pewną, wtedy ogłosiłem w milwauckim „Kurjerze Polskim" następującą odezwę do niezależnych:

KSIĄDZ KRUSZKA DO NIEZALEŻNYCH.

Powinni się udać do arcybiskupa Symona.

Zbliża się chwila, z której Niezależni stanowczo korzystać powinni.

(Specjalna korespondencja „Kur. Pol.")

Pewien Niezależny pisze do mnie te słowa: „W. Ksiądz też przypiął łatkę krytyki, nie raz ani dwa, na niezależny kościół i jużem sam W. Księdzu nadmienił, że niezależny kościół nie jest odszczepieńczy ale sprawiedliwości pragnący i oczekujący ks. biskupa (polskiego), przez Stolicę czyli Ojca świętego przeznaczonego... i że niezależny kościół tak stoi, jak ten, co z dobrem przysposobieniem i szczerą poprawą życia chce się wyspowiadać i pokutować.. "

Otóż to właśnie! Że kościół niezależy „tak stoi", a nie inaczej, że jest „sprawiedliwości pragnący i oczekujący ks. biskupa polskiego, przez Stolicę czyli Ojca świętego przeznaczonego" — niech teraz właśnie, kiedy Jego Excellencja ks. arcybiskup Symon tu przybędzie okaże ten dowód niezbity nie tyle słowem ile raczej **czynem**, a czynem stanowczym. Bez wahania się, bez oglądania się na osoby i względy ludzkie, niech Niezależni przystąpią z całą ufnością do arcybiskupa Symona, wynurzą mu swoje żale i skargi, a on z pewnością ich wysłucha i przyjmie sercem ojcowskiem. W imię jedności tak kościelnej jak i narodowej nasi Niezależni, korzystając z przyjazdu arcybiskupa Symona, ten krok stanowczy uczynić powinni! Będzie to z ich strony krok bardzo polityczny i zbawienny zarazem. Dotychczas Niezależni mogli mieć rozmaite wymówki na usprawiedliwienie swojego postępowania. Ale jeśliby z tego czasu zbawiennego, z tej wizyty arcybiskupa Symona nie skorzystali, nie mieliby nadal już żadnej wymówki. Nawet biskupi

amerykańscy mogliby wtedy z szyderstwem do nich się odezwać w te słowa:

„Wy Niezależni, nietylko nas, ale i swojego polskiego biskupa nie chcecie szanować ani słuchać!" A wtedy ostateczne rzeczy byłyby gorsze aniżeli pierwsze. Miejmy atoli nadzieję, że Niezależni dadzą niezbity dowód tak dojrzałości politycznej jak i przywiązania do Kościoła, że okażą i udowodnią, iż mają i rozum polityczny w głowie i wiarę świętą w sercu. Amen, to jest, niech się tak stanie!

Ripon, Wis., 25 marca 1905.

Ks. Wacław Kruszka.

Na powyższą odezwę wszyscy trzej ówcześni biskupi niezależni (nie lud niezależny) z oburzeniem faryzejskim takie dali odpowiedzi. Najpierw niezależny biskup Kamiński w swojej „Warcie" w Buffalo tak odpowiedział: — (niech ta odpowiedź poświadczy, że i wśród „Polaków" są ludzie i ludziska, są Polacy i polaczyska!):

„Ks. Kruszka przez „Polaka w Ameryce" radzi „niezależnym", aby uznali dziwoląga Symona za swego „biskupa". Bardzo pokorna, lecz nader naiwna rada. Ks. Kruszka razem z Pitassem mogą go sobie uznać nawet i za „boga" i pocałować... niezależni mają swoich biskupów, więc niepotrzebują innych łatusów i wszechświatowych „kolektorów", których europejskie rządy wyganiają".

Za Kamińskim drugi niezależny biskup Kozłowski w swoim organie „Lud" w Chicago odpowiedział to samo, tylko przyzwoiciej:

„Oświadczyć musimy ks. Kruszce, że ma próżne kłopoty o nas. My nie pragniemy przyjazdu żadnego biskupa, albowiem mamy aż dwóch biskupów polskich. Od amerykańskich biskupów ani my, ani wy nie macie się czego spodziewać, a biskup Symon, który tu przybędzie w zupełnie prywatnym charakterze — nie ma najmniejszego nawet prawa — zajmować się sprawami, które do niego nie należą, zatem zbyteczna troskliwość... Posiadamy silną i niezłomną wiarę — wiarę ojców naszych — wiarę świętą, której trzymamy się oburącz. Co się tyczy dojrzałości politycznej, to i tą chyba poszczycić się możemy. Ks. biskup Symon ze specjalną misją do nas chyba nie przyjeżdża. Posiadamy własny majątek — który jest zarazem majątkiem narodowym — mamy naszych ks. bisku-

pów, na tej drodze chyba dalej kroczyć nam wypada, znając zachłanność innonarodowych biskupów i chęć zamerykanizowania Kościoła i naszego młodego pokolenia. Pragniemy pozostać nadal Polakami i wiernymi katolikami".

Nareszcie trzeci niezależny biskup Hodur w Scranton, Pa., w swojej „Straży" ogłosił następującą odpowiedź:

„KSIĘDZU KRUSZCE I JEGO TOWARZYSZOM.

W odpowiedzi ks. W. Kruszce, zwracającemu się do „Niezależnych", by swe skargi przedłożyli ks. biskupowi Symonowi, uważamy za stosowne podkreślić następujące punkta:

1. Sam ksiądz Kruszka, jakoteż inni księża i wszystkie ich gazety, a przedewszystkiem „Polak w Ameryce", „Gazeta Katolicka", „Naród Polski", a nawet „Dziennik Chicagoski", są tego zdania, że ajryscy i niemieccy biskupi w Ameryce stworzyli kartel, czyli trust i grożą nawet papieżowi, gdyby miał ochotę uczynić zadość słusznym żądaniom Polaków i naznaczyć któregoś z polskich księży biskupem.

2. Rozumie się samo przez się, że gdyby nawet w jakiś cudowny sposób został rzymsko-katolickim biskupem ks. Pitass, albo Gramlewicz, albo i ks. Kruszka, to jako pomocnik ajryskiego biskupa i sam jeden Polak w gronie stu bogatych dygnitarzy ajryskich i niemieckich, opartych o własności i o Rzym, nie będzie miał żadnego znaczenia, ani wpływów nie wywrze na politykę ajryską. Będzie poszturchadłem i pachołkiem ajryskich biskupów, tak, jak dzisiaj księża polscy są ich parobkami.

3. Większość księży polskich w Ameryce przeświadczona jest, że nas biskupi przeznaczyli na śmierć, na zajryszenie i pewni są swego, jak Amen w pacierzu, jeśli więc dbają księża o przyszłość narodu polskiego w Ameryce, o honor jego, o byt, to im nic nie pozostaje innego jak tylko walka, albo śmierć. W objęciach ajryszy i Niemców, w ich uściskach faryzejskich czeka nas powolne konanie, a jeśli nie chcemy śmierci, to się musimy wyrwać z ich sieci pajęczych i stworzyć Narodowy Kościół, na chwałę Bożą, na życie i szczęście polskiego ludu w Ameryce.

Ks. Fr. Hodur,

Biskup Polsko-Narodowego
Kościoła w Ameryce.

Ten otwarty list Hodura nawet tak liberalnych poglądów dziennik, jak „Kurjer Polski“ w następnym artykule redakcyjnym napiętnował jako:

„BŁĄD KS. HODURA.

Z okazji przybycia ks. arcybiskupa Symona do Ameryki, wydał „niezależny“ ks. Hodur, w Scranton, Pa., „biskup narodowego kościoła“, list otwarty i wydrukował tenże w swym organie „Straży“.

List ten jest może największym błędem politycznym ks. Hodura. Wiele w nim pychy, za to ani sensu, ani powagi, ani przyzwoitości, ani źdźbła politycznego rozumu. Jako list chłopca do chłopca — uszedłby. Ale jako list duchownego do duchownego, zwłaszcza jako list „biskupa“ do biskupa — robi bardzo przykre wrażenie. Wogóle organ jego „Straż“, umieszczając — jak w ostatnim numerze — łobuzerskie wyzwiska, kompromituje tem najbardziej ks. Hodura samego.

Jeśli kiedy, to właśnie teraz nadarzała się sposobność dla ks. Hodura do zdziałania czegoś dla Polaków w Ameryce, może nawet dla siebie, rozumem, taktem i tą powagą, której ogół oczekuje od duchownych w sprawach publicznych, mianowicie tak poważnych jak obecna. Ks. Hodur swoim nierozważnym otwartym listem pokpił sprawę — dla siebie i swych zwolenników, a przysłużył się wielce niemieckim i amerykańskim biskupom. Chcielibyśmy raczej wierzyć, że list ten został mu podsunięty i on go bez dostatecznej rozwagi podpisał, aniżeli, że on go sam pisał. Bądź jak bądź, wobec tego nie powinien się dziwić, że potępiają jego postępowanie nietylko księża, ale wszyscy poważniejsi Polacy.

Już to Polacy nie mogą się otrząsnąć z tej zmory: „brak politycznego rozumu“, która to zmora prześladuje naród nasz od setek lat i stała się upadku naszego przyczyną“.

78. Jak organa biskupów tak ajryskich jak i niezależnych chciały wmówić w siebie i w ogół, że arcybiskup Symon przyjedzie do Ameryki tylko jako gość, a nie jako wysłannik papieski.

Nowy kablogram do Ripon nadszedł od księdza Fiori'ego z Paryża wysłany 11 maja 1905:

„Paris — Kruszka — Ripon. Cras relinguimus Cherbourg Deutschland navi“. (Jutro opuszczamy Cherbourg okrętem Deutschland.)

Zatem podróż arcybiskupa Symona do Ameryki stała się faktem niezaprzeczonym. Również faktem niezaprzeczonym było to, że arcybiskup Symon tę podróż swą odbywał na wyraźne życzenie i rozkaz Ojca świętego dla odwiedzenia polskich kościołów w Ameryce. Jechał więc w rzeczy samej jako **wizytator Apostolski,** choć mu takiej nazwy może urzędowo nie nadano w sekretarjacie rzymskim. Na tym świecie równie wiele jest rzeczy bez nazw, jak nazw bez rzeczy. Biskupom amerykańskim zarówno jak i biskupom niezależnym nie podobał się ten wyjazd arcybiskupa Symona do Ameryki. Więc jedni i drudzy, nie mogąc zaprzeczyć faktu i rzeczy samej, odmawiali mu nazwy i tytułu wizytatora Apostolskiego. Organa niezależnych biskupów pisały, jak widzieliśmy, że „arcybiskup Symon przyjedzie w zupełnie prywatnym charakterze", jako gość, ba, nawet jako kwestarz i żebrak. Tę samą piosnkę śpiewały organa biskupów ajryskich, jak „The Catholic Standard and Times", „The New Century", „The Catholic Citizen" i t. d. Wysłanie bowiem przez papieża osobnego wizytatora równało się takiemu oświadczeniu: W sprawie Polaków na zdaniu biskupów amerykańskich nie można polegać, trzeba więc wysłać specjalnego wizytatora do zbadania stosunków polskich w Ameryce. To była pigułka dla biskupów amerykańskich zbyt gorzka, aby ją połknąć. A jednak połknąć ją trzeba było koniecznie. Więc trzeba ją sobie osłodzić. W jaki sposób? Otóż trzeba wmówić i w siebie i w ogół, że arcybiskup Symon nie jedzie na życzenie i rozkaz papieża, lecz jedzie sobie „w zupełnie prywatnym charakterze", ot żeby się przewietrzyć lub jako turysta, któremu na stare lata zachciało się zwiedzić drugą półkulę ziemską. Ale jak wytłumaczyć ten fakt, że wyjazd biskupa polskiego do Ameryki był przez papieża postanowiony już rok temu? Otóż i to „nie jest nic innego, jak tylko łaskawe ustępstwo i ojcowska pobłażliwość dla Polaków i polskich potomków" (there is nothing in the affair but gracious concession and paternal indulgence for the Poles and the Polish descendants).

Tak przynajmniej zażartym ajryszom tę gorzką pigułkę umiał osłodzić znany mi dobrze a sprytny W. J. D. Croke, rzymski korespondent organów biskupich, o którym już nieraz wspominałem, że w duszy szczerze sprzyjał naszej sprawie. Zaraz po wyjeździe Symona z Rzymu napisał on korespondencję na uspokojenie umysłów ajryskich. Żeby tą korespondencję dobrze zrozumieć, trzeba pana William J. D. Croke'a znać, tak jak ja go znałem, żeby umieć

między linjami czytać, co on pisze w następującej wiadomości, ogłoszonej we wszystkich organach biskupich:

(Special Correspondence from Rome.)

Rome, May 15, 1905.

The visit of Archbishop Symon to the United States comes of a decision long ago made. The first notice about it which I saw in the press was a quotation which this journal made during April from Rev. Wenceslaus Kruszka, of Ripon, Wis. But shortly after the latter's withdrawing from Rome, just a year ago, I was informed positively and by an official person concerned, that Archbishop Symon would go about February, March or April, 1905, to the United States in connection with the petition which Father Kruszka had brought. If my memory serves me right, the archbishop's errand was not described as a mission, or apostolic visit, nor anything of the sort, but rather as some answer to requests and some sort of moral satisfaction to be given to appeals.

The fact that the cause is unpopular, doubtless acounts for its passing unnoticed in the press in America At Rome, on the other hand, too much notice has been given to the matter by its friend, and it has been greatly prejudiced, not to say practically spoil ed, by excessive zeal in this way. There were criticisms on this head before; then an incident this May. The incident happened in the following manner:

Msgr. Symon, archbishop titular of Attalia, was announced one evening in the official audience news as having been received by Pope. Those „in the know" realized that he was going to America about the Polish-speaking Catholics. Others divined it. But a certain newspaper of Rome said: Msgr. Symon, with his private secretary, Don Sisto Fiori, were this morning admitted to special audience with the Pope, because leaving tomorrow for the United States on a special mission entrusted to them. In America very great festivities are being prepared by the Catholic Poles for the reception of their compatriot, Msgr. Symon. The latter, with his secretary, Don Sisto Fiori, takes ship at Cherbourg on the 12th, in order to be at New York on the morning of the 19th."

That evening an „inspired" announcement appeared from the Vatican: „Contrarily to what some newspapers have stated, we are in a potion to affirm ha Msgr. Symon, archbishop titular of

Attalia, who has just set out for the United States, has no mission entrusted to him from the Holy See".

When things have got so far, we may be quite frank. The Holy See did not wish to be so much as liable to the imputation of having put a slur of the least sort upon the hierarchy of the United States. This, because of the view taken at Rome about the question raised of late years and called the Polish. To have sent an archbishop on a private mission on inspection would, given the case presented and made public, have borne that interpretation. In so far as the Holy See is involved at all in the proceeding (and this cannot be much after the repudiation quoted), there is noth ing in the affair but gracious concession and paternal indulgence for the Poles and the Polish descendants. Ant Propaganda, where the case has always remained, has again and again commended the American archbishops, and shown that it is possessed of every accurate information about the situation of this people in the United States.

W. J. D. Croce.

Ci, którzy powyższej korespondencji nie umieli czytać między linjami, dali się zbałamucić zwłaszcza owem powoływaniem się na „Osservatore Romano", półurzędowy organ Watykanu. Szczególnie organ Zmartwychwstańców „Dziennik Chicagoski" dał się powyższą wiadomością tak dalece zbałamucić, że w arcybiskupie Symonie nie chciał widzieć wysłannika papieskiego, lecz tylko gościa, i jako takiego — pisał — przyjmiemy go tak, jak „swego czasu gościnnie przyjmowaliśmy również p. Dunikowskiego, pułkownika Miłkowskiego, a nawet wodza socjalistów Ignacego Daszyńskiego". To pobożne życzenie „Dziennika Chicagoskiego" wcale się nie spełniło. Arcybiskupa Symona przyjęła Polonja amerykańska „trochę" inaczej niż takiego Daszyńskiego. Przyjęła go jako **rzeczywistego** wysłannika papieskiego. Bo chociaż **nominalnie** arcybiskup Symon nie nosił tytułu papieskiego delegata — gdyż takiego delegata miała Stolica Apostolska we Washingtonie — to jednak był nim w **rzeczywistości** i przysługiwał mu właściwie tytuł apostolskiego wizytatora. Dlaczego tedy półurzędowy organ „Osservatore Romano" mógł ogłaszać, że „arcybiskupowi Symonowi nie powierzyła żadnej misji Stolica święta?" Dlatego, że ów dziennik, wiedząc, że Ameryka jest pod juryzdykcją Propagandy, zwrócił się po wiadomości zapewne do sekretarjatu

Propagandy, gdzie oficjalnie nic nie wiedziano o misji Symona, jak wogóle w żadnym sekretarjacie rzymskim nie zapisano go **nominalnie** jako wysłannika papieskiego. Ale na tym świecie jest równie wiele rzeczy bez nazwisk, jak nazwisk bez rzeczy. Późniejsze też telegramy z Rzymu, jak to zobaczymy, po dokładnem zbadaniu rzeczy, w zupełności potwierdziły posłannictwo Symona. Kwestjonowały je tylko jeszcze organa biskupów amerykańskich i gazety biskupów niezależnych, podobnie jak faryzeusze kwestjonowali nawet posłannictwo samego Chrystusa. Cały zaś ogół Polonji amerykańskiej widział w arcybiskupie Symonie rzeczywistego wysłannika nietylko Rzymu ale i Polski i, nie pytając go o papiery uwierzytelniające jego misję, cieszył się niezmiernie przedewszystkiem z tego, że oto po raz pierwszy w historji świata rzeczywisty biskup polski stanie na ziemi amerykańskiej i w polskim języku głosić będzie „wielmożne sprawy Boże", i że, jak za pierwszą jaskółką na wiosnę przylatują inne, tak za tym pierwszym biskupem polskim zjawią się niebawem i inni...

79. Dnia 18 maja 1905 po raz pierwszy w historji świata biskup polski staje na ziemi amerykańskiej i zaczyna swój pochód triumfalny po Ameryce.

Po otrzymaniu kablogramu z Paryża, że arcybiskup Symon wsiada na okręt w Cherbourgu 12 maja 1905, zaraz uwiadomiłem o tem Wydział Wykonawczy, Stowarzyszenie Księży, prasę i ks. dziekana Pitassa w Bufallo. Ks. Pittas, myśląc, że dla braku funduszów nie wyjadę do Nowego Yorku na powitanie Arcybiskupa Symona, przez pana Slisza 13 maja 1905 tak mi pisał:

„Wielm. Księże Dobr.! Wyglądałoby to źle, gdyby Ks. Dobr. nie był obecny przy powitaniu ks. arcybiskupa Symona w Nowym Yorku. Wiem, że u księdza jest bieda, ale sądzę, że pieniądze na pokrycie kosztów podróży znajdą się w Buffalo... W dniu 16 maja przyjedzie do Buffalo pułkownik Smoliński z Waszyngtonu i z buffaloską delegacją uda się na przyjęcie ks. arcybiskupa Symona do Nowego Yorku. Pułkownik Smoliński ma ważny urząd w ministerstwie wojny i poczynił już kroki o audjencję dla ks. arcybiskupa Symona u prezydenta Roosevelta. Pułkownik Smoliński powita ks. arcyb. Symona urzędowo. Sądzę, że to niemało przyczyni się do ostentacji. Oczekujemy więc Ks. Dobrodzieja w Buffalo, a najpierw telegram kiedy przyjedzie. Dnia 17 maja przed południem wyjedzie delegacja z Buffalo do Nowego Yorku..."

Nadszedł dzień 18 maja 1905, — dzień przyjazdu arcybiskupa Symona do Nowego Yorku. „Ten jest dzień — który uczynił Pan.“ Albowiem tego dnia 18 maja 1905, akurat **w pięćdziesiąt lat i pięć miesięcy po założeniu pierwszej parafji polskiej w Ameryce** (w Panna Marja, Texas), **po raz pierwszy w całej historji świata biskup polski stanął na ziemi amyrykańskiej!** Wydział Wykonawczy w urzędowem sprawozdaniu tak ten przyjazd i pierwsze dni pobytu arcybiskupa Symona w Ameryce opisuje:

„Na spotkanie dostojnego a nam tak miłego gościa dnia 18-go b. m. wieczorem wyjechało 72 kapłanów polskich, którzy się stawili w Nowym Yorku na specjalnie w tym celu wynajętym statku. Wb. ks. Kazimierz Truszyński, prezes Wydziału Wykonawczego Federacji, powitał ks. arcybiskupa stosowną przemową, na którą gość odpowiedział rozpoczynając od pochwalenia Pana Boga. a następnie zaznaczył, że przyjeżdża do Ameryki, żeby nas bliżej poznać i rezultat tego poznania po swym powrocie do Rzymu przedstawi Ojcu chrześcijaństwa papieżowi Piusowi X. Podróż swą odbywa na wyraźne życzenie i rozkaz Ojca św., od którego przynosi dla nas Polaków błogosławieństwo. Charakter jego przyjazdu jest urzędowy a nie prywatny. Jako delegat apostolski otrzymał od papieża daleko sięgające facultates.

Po tem przemówieniu ks. Truszyński przedstawił ks. arcybiskupowi każdego z obecnych księży, a po przybyciu do hotelu odbyła się wspólna kolacja, w której wzięło udział 72 księży. Podczas uczty Wbny ks. Dr. Mieczysław Barabasz wzniósł toast na cześć delegata apostolskiego, na który przybyły gość odpowiedział bardzo serdecznie.

„Dnia 19 b. m. rano o godzinie 8 Najprz. Gość odprawił mszę św. w Domu św. Józefa, co jest dla tej instytucji niemałym zaszczytem.

„Skoro wrócił do hotelu przedstawił mu się Zarząd Stowarzyszenia Księży wraz z księżmi Truszyńskim, Brzoziewskim i Suplickim, jako przedstawicielami i wiceprezesami Federacji. — Sprawa Federacji jest ks. delegatowi zadziwiająco dobrze znaną. Zna on najmniejsze szczegóły odnoszące się do niej i szczerze ją pochwala.

„Następnie złożył ks. delegat wizytę ks. arcybiskupowi.

„Spożywszy obiad, ks. delegat udał się w towarzystwie księży Truszyńskiego, Wojtalewicza, Nawrockiego i Gronkowskiego i swego kapelana ks. Fiori w podróż do Washingtonu.

„Dnia 20-go b. m. o godzinie 10-ej ks. arcybiskup Symon złożył wizytę delegatowi apostolskiemu ks. Falconio, który otrzymał z Propagandy i Sekretarza Stanu kardynała Merry del Val specjalne zawiadomienie o misji naszego rodaka, oraz polecenie ułatwienia mu tej misji. Wizyta trwała dobrą godzinę.

„Następnie zwiedził ks. arcybiskup w towarzystwie wyżej wymienionych kapłanów „Dom Biały“, Kapitol, Bibljotekę, Muzeum i miasto, poczem o godzinie 3-ej po południu udał się do Baltimore, gdzie go na dworcu oczekiwał Wielebny ks. Dr. Barabasz, oraz delegaci polskich parafij. Wprost z dworca udał się ks. arcybiskup powozem do ks. kardynała Gibbonsa, gdzie doznał nadzwyczaj serdecznego przyjęcia, poczem przybył do plebanji ks. Barabasza. Dnia 21-go b. m. rano odprawił nasz dostojny Rodak pontyfikalną Mszę św. w kościele ks. Barabasza, a dzień ten pamiętnym być powinien, **bo była to pierwsza Msza pontyfikalna odprawiona przez Polaka na ziemi amerykańskiej.** Po sumie wygłosił J. E. ks. arcybiskup kazanie z tronu o treści podniosłej i szczerze nas poruszającej, które na słuchaczach niezapomniane wywarło wrażenie. W poniedziałek 22-go b. m. zwiedził ks. arcybiskup parafję OO. Franciszkanów, we wtorek polską parafję w Wilmington.

Do powyższego sprawozdania Wydziału Wykonawczego pittsburski „Wielkopolanin“ nawiązuje takie słuszne uwagi:

„Mamy wśród siebie tego Gościa i wiemy wszyscy, że odwiedziny Jego są urzędowe, — a jednak jakaś żyłka pieniacka i polemiczna niektórych redaktorów a nawet księży nie daje im spokoju i ciągle wszczynają polemikę co do tego czy misja, posłannictwo arcybiskupa Symona są... urzędowe!? A jakie inne miałoby być Jego tu posłannictwo!?.... Czyż Wydział Wykonawczy, największa i najwiarogodniejsza powaga w tej mierze nie zaznaczył wyraźnie w swoim okólniku z 30 maja, że:

„Podróż swą odbywa (arcybiskup Symon) na wyraźne życzenie i rozkaz Ojca św., — od którego przynosi dla Polaków błogosławieństwo. Charakter Jego przyjazdu jest urzędowy a nie prywatny. Jako delegat apostolski, otrzymał on od papieża daleko sięgające facultates (władzę działania. Przyp. Red.).

„Czyż powyższe określenie Jego posłannictwa nie powinno każdemu wystarczyć!?... Czyż może mamy więcej wierzyć „niezależnym“, którzy posłannictwu arcybiskupa Symona chcieliby odjąć wszelki urzędowy charakter?!... Przestańmy raz niewczesne te polemiki o nazwę urzędu i charakteru posłannictwa arcybi-

skupa Symona! Co zyska sprawa nasza na tem, że jakiś redaktor lub jakiś ksiądz będzie ciągle dowodził, że arcybiskup Symon nie ma żadnych „facultates“ i tylko tak sobie przyjechał, aby się przewietrzyć, jak ks. szambelan W. lub z przeproszeniem pan Habdank-Dunikowski?! Co zyszcze sprawa nasza na tych wyrywaniach się naszych Filipów z Konopi!... Jakich to ostrych wyrażeń lub może pogróżek wyczekują tacy od delegata?! Czy im nie dosyć tego, co już spokojnie i poważnie wypowiedział?

„Piszą niektórzy, że nasze nadawanie Mu tak wielkich atrybucyj, naraża delegata na ambaras wobec tutejszej hierarchji?... To bajki prześwietny sądzie!.... Być może, że niektórzy zdeklarowani polakożercy niebardzo radzi, że przybył ktoś przypatrzeć się zbliska, ale to jeszcze nie powód, aby ogół polski miał dla tego teraz stchórzyć i w kąt ciemny się zaszywać! Dosyć na tem, że arcybiskup Symon przed wyjazdem swym do nas z Rzymu odbywał długie narady z papieżem. Przecież chyba na tych częstych i długich naradach nie gadali oni o samej tylko pogodzie lub o przypuszczalności morskiej choroby w podróży... O czemże innem tedy radzić mogli, jeżeli nie o Polakach w Ameryce?.... Czegoż więc jeszcze niebacznie kłócić się będziem nad tem jak go nazywać: czy delegatem, czy wizytatorem, czy wysłańcem papieża, czy jak tam inaczej?.... Przestańmy raz polemizować o nazwę a weźmy się do pracy w tej sprawie do pomocy swemu delegatowi, czy wizytatorowi, czy wysłannikowi. Kłótnie o charakter i nazwę misji delegata zostawmy „niezależnym“!

„*Wielkopolanin.*“

Podróż arcybiskupa Symona po osadach polskich była jednym nieprzerwanym pochodem triumfalnym. Z Wilmington, Delaware, pisze korespondent 25 maja 1905:

Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon zawitał do nas 23-go maja o godzinie 7,30 wieczorem. Wszystkie towarzystwa kościelne i narodowe stawiły się jak jeden mąż do wymarszu na spotkanie Jego Excelencji.

Kapela miejscowa polska, która szła na czele pochodu, zagrała hymn „Boże coś Polskę“ a lud który brał udział w pochodzie, rozstąpiwszy się, utworzył szpaler, do którego wjechał powóz z księdzem arcybiskupem i jego sekretarzem ks. Fiori i inne powozy.

Ks. arcybiskup poprzedzony kapelą a otoczony ułanami, błogosławił otaczający go lud.

Nie mam słów na opisanie radości, jaka zapanowała wśród ludu po otrzymaniu błogosławieństwa z rąk polskiego arcybiskupa na ziemi amerykańskiej.

W drugim powozie jechało kilku księży, a pomiędzy nimi pułkownik Smoliński z Washingtonu. Ulice i domy, którędy przechodził korowód, były pięknie udekorowane i domy oświetlone i iluminowane różnobarwnem ogniem, w czasie zaś pochodu puszczano rakiety i fajerwerki, które biły w obłoki i ginęły w przestworzu.

Niezliczony tłum zalegał ulice, a cała Polonja, licząca 5 000 dusz, wzięła udział w przyjęciu i powitaniu drogiego rodaka. Gdy pochód przybył przed kościół świętej Jadwigi, Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon wszedł do kościoła, płonącego tysiącem świateł i lud w mgnieniu oka zapełnił kościół po brzegi.

Ks arcybiskup powitał nas pochwaleniem Jezusa Chrystusa i wyraził swe zadowolenie z powodu tak szczerego przyjęcia, winszując nam swobód, których używamy w całej pełni w tym wolnym kraju, a zarazem przestrzegał nas, abyśmy tej swobody nie nadużywali na złe, a wkońcu udzieliwszy nam papieskiego błogosławieństwa, które u Ojca świętego uprosił i przywiózł dla Polaków w Ameryce, udał się na plebanję. Towarzystwa kościelne i narodowe udały się z kościoła na halę parafjalną — pięknie udekorowaną, gdzie niezadługo przybył i Najprzew. ks. arcybiskup Symon w towarzystwie naszego proboszcza Wiel. ks. J. Gulcza. Ks. proboszcz po przemówieniu do zgromadzonych, zawezwał reprezentantów i przedstawicieli parafji, aby swoje żądania i prośby przedstawili delegatowi. Wówczas mówcy, a było ich do 18-tu przedkładali swe prośby w imieniu swej parafji i całej Polonji amerykańskiej, prosząc ks. arcybiskupa, by raczył wstawić się za Polakami w Ameryce u Ojca św. i wyjednał nam równouprawnienie w sprawach kościelnych.

Najprzew. ks. arcybiskup Symon nasze prośby mile przyjął i przyobiecał wstawić się za nami i spełnić nasze życzenia, poczem powrócił na plebanję, a lud zbudowany duchowo rozszedł się do domów.

W środę rano odprawił Najprzew. ks. arcybiskup Symon mszę św. o godzinie 8-ej, do której usługiwało mu dwóch księży. Po mszy świętej wygłosił wzruszające choć krótkie kazanie do rodzin t. j. dzieci, matek i ojców, stawiając za przykład Najświętszą

Rodzinę w Nazarecie i zakończył je, żegnając zgromadzonych w kościele krzyżem świętym!

Pobawiwszy u nas resztę dnia zwiedził szkołę parafjalną, gdzie dzieci szkolne uczciły go bardzo pięknemi deklamacjami, a wreszcie wieczorem o godzinie 7-ej opuścił naszą kolonję, odjeżdżając do Filadelfji.

Jeden z obecnych parafjan I. B.

We Filadelfji bawił ks. arcybiskup przez cztery dni, od 25 do 28 włącznie. Przybył tam 24 maja wieczorem. Nazajutrz odprawił mszę św. w kościele św. Wawrzyńca, a następnie przyjmował wizyty różnych wybitniejszych księży i osób świeckich. Tegoż dnia wieczorem udał się w asystencji duchowieństwa do par. św. Stanisława na „Soucie", gdzie przyjmowany był przez wszystkie Towarzystwa cywilne i wojskowe z proboszczem ks. Bielą na czele. W sobotę dnia 27 maja udał się na Camden do parafji ks. Tarnowskiego, gdzie także sama owacja była przygotowaną.

W niedzielę dnia 28 maja ks. arcybiskup odprawił sumę pontyfikalną w kościele św. Wawrzyńca, gdzie wygłosił także kazanie. Lud ze wszystkich stron miasta zapełnił wszystkie zakątki świątyni i setki zapełniały ulice, nie mogąc znaleźć miejsca w kościele.

O godzinie piątej po południu ks. arcybiskup w asystencji księży powozami ruszył do nowozałożonej parafji św. Wojciecha, gdzie przez licznie zebranych parafjan z księdzem proboszczem Monkiewiczem na czele był przyjmowany. Stamtąd ruszył do litewskiego kościoła na Venango. Na zakończenie wizyty tutejszej z litewskiego kościoła Jego Eminencja udał się do kościoła św. Jana Kantego, gdzie odprawił nieszpory i wygłosił kazanie.

W dniach od 29 do 30 maja zwiedził ks. arcybiskup Reading, Pa., i parę sąsiednich kolonij polskich. Dnia 31-go maja był w Hudson., Pa., gdzie dokonał w tamtejszym kościele polskim poświęcenia dwóch obrazów, niedawno wykończonych przez artystę malarza pana A. Paczkowskiego. Na uroczystości świątynia była przepełniona polską ludnością.

„Dnia 1-go czerwca rano był ks. arcybiskup w Wilkesbarre, Pa. Wprost z dworca udał się tam w asystencji licznego kleru do kościoła Najświętszej Marji Panny, gdzie czekały już nań zgromadzone tłumy wiernych. Sumę odprawił ks. Szpotański z Hundson, poczem J. E. arcybiskup wygłosił budujące kazanie, w którem poruszył sprawę niezależnego kościoła. W czasie ceremonji siedział

ks. arcybiskup na tronie, specjalnie na ten cel zbudowanym, w asystencji księży: sekretarza jego Fiori i Lipińskiego. Po skończeniu nabożeństwa powitali dostojnego gościa: imieniem parafji pan Antoni Paczkowski, artysta malarz, imieniem towarzystw pan Antoni Wójcik, organista, a imieniem dzieci szkolnych panna Makowska. Chór „Lutnia" odśpiewał parę ładnych pieśni pod dyrekcją pana Wójcika. Obecni byli następujący księża: miejscowy proboszcz Klonowski, ks. Zychowicz ze Scranton, Dutkiewicz z Priceburga, Gramlewicz z Nanticoke, Malarz z East Plymouth, Siedlecki z Glen Lyon, Kłos z Pains, Hordych i Nowicki z Nanticoke, Smełsz z Plymouth, Lipiński z Edwardsville i sekretarz Fiori.

„Tegoż dnia po południu przybył ks. arcybiskup do parafji świętej Trójcy w Nanticoke, Pa., gdzie w tamtejszym kościele wygłosił piękną mowę, skłaniając licznie zgromadzonych Polaków i Polek do wiernego stania przy Rzymie. Z kościoła świętej Trójcy udał się ks. arcybiskup do kościoła św. Stanisława, gdzie także był przyjmowany owacyjnie i miał dłuższą przemowę."

Czy arcybiskup Symon przybył do jakiejś osady **we dnie czy w nocy**, na to nikt nie zważał. Nawet o **północy** wszyscy wychodzili na jego spotkanie, jak świadczy o tem następująca korespondencja z Priceburga, Pa.:

„W czwartek w nocy dnia 1-go czerwca b. r. o godzinie 11,30 minut przybył tutaj J. E. arcybiskup Symon, wraz ze swym sekretarzem ks. Fiori i z p. pułkownikiem Smolińskim, Wieleb. ks. Lipińskim i Wiel. ks. Prof. J. Dutkiewiczem, który naprzeciw Niego wyjechał do Nanticoke, Pa.

„Kapela parafjalna, wszystkie towarzystwa kościelne, przeszło sześć tysięcy ludu, bractw Sióstr Różańcowych, dzieci szkolne z chorągwiami, sztandarami i światłem, przyprowadzili dostojnego Gościa przed plebanję, gdzie chlebem i solą i krótkim powitaniem, Michał Popek i Franciszek Libudziewski J. E. arcybiskupa przyjęli.

„Rodak nasz i ziomek ks. arcybiskup Symon powitał, pobłogosławił zebranych i stanął gościną na nocleg w domu plebańskim.

„Rano dnia 2-go czerwca zebrał się lud — zabrzmiały dzwony kościelne i z plebanji pod baldachimem w procesji, wprowadzono ks. arcybiskupa do kościoła; tu nasz ks. proboszcz podał J. E. kropidło z wodą święconą, chór i lud zaśpiewał „Wesoły nam dzień nastał". Przed Najświętszym Sakramentem pomodlił się ks. arcybiskup i zasiadł na przygotowanym tronie.

„Ks. Dutkiewicz, miejscowy proboszcz, przemówił do J. E. i ludu, wykazując cel przybycia i godność Osoby. Zapłakał głośno cały lud radośnie — przemówił potem ks. arcybiskup, dobitnie i rzewnie, odprawił Mszę świętą, udzielił błogosławieństwa od Ojca świętego i Najświętszym Sakramentem, poczem odwiedził szkołę, rozmawiał z dziećmi, które śpiewały i deklamowały.

„Do godziny trzeciej po południu w gronie kapłanów bawił J. E. między nami. U ks. proboszcza przyjmował delegatów komitetu parafjalnego, towarzystw kościelnych i każdego kto chciał. stary i mały, nawet matki przynosiły dzieci na rękach, każdy miał posłuch, błogosławieństwo i zadowolenie w sercu.

„Te chwile na zawsze nam pozostaną w pamięci.

„Wyjazd J. E. z Priceburga naznaczony był na godzinę czwartą po południu, lecz na usilne prośby (par. M. Boskiej Częstochowskiej) z Nanticoke Pa., z żalem naszym, ks. arcybiskup o godzinie 3-ej w towarzystwie duchowieństwa, żegnany przez małych i wielkich, wyjechał do Nanticoke.

„Cześć i hołd wdzięczności za trudy i prace J. E. arcybiskupowi Symonowi, składa cała parafja Najśw. Marji Panny wraz z swoim Pasterzem z Priceburga, Pa.“

M. H. K.

80. Nowy telegram z Rzymu o posłannictwie Symona. — To on! — To oni! — Triumfalny wjazd Symona do Buffalo.

Wiadomo, że pierwszy telegram z Rzymu, wysłany 10-go maja 1905, a nawet i cytat z „Osservatore Romano“, głosi światu, że arcybiskupowi Symonowi nie powierzyła Stolica Święta żadnej misji. Tymczasem arcybiskup Symon, przybywszy 18-go maja do Nowego Yorku, oświadczył sam bez ogródki, że przyjechał do Ameryki na wyraźne życzenie i **rozkaz Ojca Świętego.** Reporterzy wtedy gazet zaczęli rzecz tę gruntowniej badać u samego źródła w Rzymie. I oto właśnie, kiedy arcybiskup Symon objeżdżał osady polskie w Pensylwanji, biuro Zjednoczonej Prasy wysłało z Rzymu do wszystkich dzienników w Ameryce telegram następującej treści:

Rzym, dnia 27-go maja 1905 roku. Watykan wysłał papieskiego Delegata do Polaków w Ameryce. — Monsynior Symon będzie badać zażalenia swych ziomków w Ameryce; będzie gościem wielu Biskupów.

Pomimo półurzędowych zaprzeczeń, jest obecnie rzeczą pewną, że obecne przybycie do Stanów Zjednoczonych F. A. Symona, tytularnego arcybiskupa Atalii, — przybycie to stoi w ścisłym związku z urzędowem posłannictwem Jego z Watykanu w sprawie polskich katolików w Ameryce. Prałat ten jest sam Polakiem i był przez pewien czas biskupem w Płocku, w Polsce pod panowaniem rosyjskiem i był swojego czasu skazany na wygnanie (w głąb Rosji) potem uwolniony, powołany został do Rzymu.

Przed obecnym wyjazdem z Rzymu do Stanów Zjednoczonych. Dostojnik ten odbył kilka narad z Piusem X i kardynałem Sekretarzem Stanu (Merry del Val) i od nich nadaną ma władzę Apostolskiego Wysłańca, który ma zbadać zażalenia polskich katolików w Ameryce i zdać z tego sprawozdanie Watykanowi, aby obmyśleć można najlepsze środki w tej mierze.

Że misja ta (posłannictwo) tego Dostojnika nie jest sprawą osobistą lecz urzędową, — poznać można i z tego między innymi, — że Watykan dodał mu w tej misji za sekretarza włoskiego księdza Fiori, mającego tu znaczne wpływy i znaczenie. Takich sekretarzy dodaje papież tylko urzędowym wysłannikom Apostolskim. — Arcybiskup Symon zabawi w Stanach Zjednoczonych jakie trzy miesiące i w tym czasie zwiedzi każdą diecezję, w której jest znaczniejsza liczba Polaków. Odwiedzi też biskupów, do których ma specjalne listy i rozkazy z Watykanu, dotyczące tej sprawy".

Ten telegram ostateczny i decydujący, zbił z tropu tych, co twierdzili, że arcybiskup Symon wyjechał sobie do Ameryki ot tak, żeby się przewietrzyć.

Na powitanie arcybiskupa Symona wyjechałem tak daleko, aż do Nowego Yorku, nie z samej tylko grzeczności, ale z obowiązku. Ze słuchu, wszyscy Symona znali; ale z widzenia nikt. Więc gdy w porcie nowojorskim na osobnym parowczyku zbliżyliśmy się do okrętu „Deutschland", odrazu wśród tłumu pasażerów rozpoznałem arcybiskupa Symona i, wskazując palcem na niego, zawołałem do księży i świeckich:

— To on!

Arcybiskup Symon znowu też tylko ze słuchu znał Polonję amerykańską; ale z widzenia nikogo, prócz mnie. Więc skoro przesiadł się na nasz parowczyk, pocałowałem jego pierścień biskupi i, wskazując ręką na obecnych księży i świeckich, rzekłem do arcybiskupa:

— To oni!

Ten akt grzeczności i obowiązku spełniwszy, usunąłem się zupełnie na bok. Wylądowawszy w Nowym Yorku, wsiadłem na pierwszy pociąg i powróciłem znowu do Ripon. Wielu bowiem domagało się ode mnie, żebym arcybiskupowi Symonowi towarzyszył w jego podróży po Ameryce. Jeszcze co? Ani mi się śniło! To by wyglądało, jak gdybym ja sprowadził Symona i teraz go jak niedźwiedzia na łańcuchu oprowadzał po Ameryce. Arcybiskup sam wie, gdzie ma jechać, gdyż plan podróży po Ameryce, w ogólnych zarysach, już mu dawno nakreśliłem w listach moich do Rzymu. Powtóre, gdybym z nim jechał wszędzie, to by wyglądało, jak gdyby on nie umiał patrzeć na Amerykę własnymi oczyma, tylko musiał posługiwać się moimi. Ks. dziekan Pitass chciał, żebym towarzyszył arcybiskupowi Symonowi przynajmniej aż do Buffalo. Dlatego, kiedym mu nagle znikł z Nowego Yorku, jak gdybym „wpadł pod ziemię“, taki mi list z Buffalo 7-go maja 1905 napisał:

„Wielebny ks. Dobrodzieju! Wczoraj otrzymałem telegram, że Jego Ex. arcybiskup Symon przybędzie do Buffalo 3-go czerwca b. r. Wobec tego byłoby pożądanem, aby i ksiądz Dobrodziej przybył w tym dniu do Buffalo, rozumie się nie na swoje własne ale na nasze koszta. Sądzę, że opłaciłoby się to księdzu Dobrodziejowi moralnie i materjalnie, a może by się i coś dostało i szkole w Ripon. **Łamiemy sobie tutaj głowy, dlaczego ksiądz Dobrodziej znikł tak nagle z Nowego Yorku, jakby wpadł pod ziemię.** Oczekuję na ten list natychmiastowej odpowiedzi“.

A gdy na ten list nic księdzu Pitassowi nie odpowiedziałem, nadesłał mi 1-go czerwca 1905 taki telegram: „His Excellency Symon come to Buffalo 755 P. M. Saturday. You must come here sine conditione“. Mam przyjechać bezwarunkowo. Na ten telegram ostatecznie wybrałem się do Buffalo i nie pożałowałem tego, gdyż byłem tam naocznym świadkiem takiej parady, jakiej chyba w życiu nie widziałem. Oto jak „Polak w Ameryce“ z dnia 5-go czerwca 1905 opisuje triumfalny wjazd arcybiskupa Symona do Buffalo, stolicy biskupa Coltona, który to w Rzymie ubliżył arcybiskupowi Symonowi, nie składając mu rewizyty:

„Wpadł na stację zadyszany pociąg. Ksiądz arcybiskup Symon w towarzystwie prywatnego sekretarza, księdza dr. Fiori z Rzymu i nieodstępnego towarzysza podróży od czasu wstąpienia na ziemię amerykańską, pułkownika Józefa Smolińskiego z Washingtonu, D. C., wysiadł z pociągu, dostając się natychmiast w otoczenie oczekujących. Po krótkiem i serdecznem przyjęciu, wzgłęd-

nie złożeniu należnych oznak czci i uszanowania godności, odprowadzono tak gorąco oczekiwanego gościa do karety, zaprzężonej w 6 białych rumaków, do której wsiedli Przewielebny ks. J. Pitass, ks. Kruszka i sekretarz prywatny arcybiskupa ks. Dr. F. Fiori.

W tej samej chwili na całej linji pochodu zagrały orkiestry hołd przyjęcia, poczem pochód ruszył ulicą Main do Broadway. Szczęśliwie wybrana ulica, bo prawdziwie główna i pryncypalna nadawała się szczególnie do tego rodzaju pochodu. Wspaniałe budynki, rzęsiście oświetlone sklepy i cudna pogoda, uzupełniały całość i harmonizowały z podniosłą chwilą.

W pochodzie gorzały tysiące lampjonów, podnosząc jeszcze urok, jaki sam pochód wywierał na widzów. Dziesiątki tysięcy Amerykanów napełniło chodniki, okna wystawowe sklepów, a nawet dachy domów, i z ciekawością przyglądało się, jak Polacy umieją uczcić swego arcypasterza i rodaka. Karety z Najprzew. arcybiskupem Symonem i towarzyszącymi mu księżmi i wydziałami towarzystw ruszyły naprzód, by przystanąć mniej więcej w połowie ulicy Main i przypatrzeć się defiladzie.

Widok rzeczywiście był wspaniały i imponujący. Jak sięgnąć wzrokiem, migotały lampjony i pochodnie, a w ich świetle setka sztandarów, chorągwi i proporców. Przechodzące towarzystwa ze czcią witały dostojnika Kościoła, a oddziały wojskowe prezentowały broń. Do czarodziejskiego obrazu przyczyniały się ognie sztuczne i bengalskie, spalane w różnych ważniejszych punktach pochodu. Po przejściu całego ogromu tej niebywałej procesji powozy ruszyły za pochodem. Straż przyboczną arcybiskupa tworzyli Sokoli i towarzystwa młodzieży św. Kazimierza. Prócz towarzystw wojskowych szczególniejszą uwagę zwracało na siebie Kółko Dramatyczne im. Adama Mickiewicza, na którego czele kroczyło kilku członków, przybranych w stroje narodowe polskie. Kulminacyjnym jednak punktem przyjęcia były ulice Lovejoy i Townsend. Tutaj skupiła się cała osada polska i wszyscy ci, którzy z różnych powodów nie mogli brać udziału w pochodzie. Radość w tym 50-cio niemal tysięcznym tłumie była tak wielką, że w pierwszej chwili, na krzyże naznaczane przez arcybiskupa nad głowami witających, odpowiedziano tylko niemem schyleniem głowy i tylko z ócz tej zebranej rzeszy można było wyczytać, co w duszy się dzieje. W chwil kilka dopiero, po pierwszem wrażeniu, z drżących ust dziesiątek tysięcy wiernych podniosły się okrzyki na cześć drogiego i tak oczekiwanego gościa.

Szpalerem na ulicach Lovejoy i Townsend przy dźwiękach orkiestry i biciu w dzwony, w blaskach ogni bengalskich i wśród okrzyków powitania, przyjechał Najprzewielebniejszy ksiądz arcybiskup na plebanję, by odpocząć po trudach i zagościć u Przewielebnego księdza Jana Pitassa dni kilka. Poczem i reszta towarzystw przeszła, skręciła na Peckham, by ulicą Fillmore rozejść się do domów i przygotować do niedzielnego kazania, które wygłosi Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon.

Front kościoła od ulicy Peckham ozdobiony w barwy i flagi papieskie i polskie, a ponad drzwiami widnieje napis: Ecce Sacerdos Magnus (oto wielki kapłan). Wewnątrz wielki ołtarz przystrojony w palmy, tabernakulum w barwy polskie, a nad głowami rozgorzał olbrzymi świecznik gazowy.

Pomimo ulewnego deszczu, świątynia ledwo pomieściła zebranych. Na chórze zebrał się w całości chór parafjalny, by pod batutą swego doskonałego dyrygenta pana Bałucińskiego, wraz z świetną orkiestrą pana Raszeji, oddać znakomitą i wspaniałą mszę Gounoda.

Nieco po dziesiątej godzinie rozpoczęła się uroczysta suma, którą celebrował Przewielebny ksiądz Jan Pitass w asyście Wiel. księży Wyszyńskiego, jako djakona, i Beigerta, jako subdjakona. Przed wielkim ołtarzem w krześle słuchał Mszy św. Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon.

Po odczytaniu ewangelji, ubrany w szkarłatną szatę, wstąpił na ambonę Najprzewielebniejszy arcybiskup, witając na wstępie zebranych katolickiem i staropolskiem pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Całe kazanie nadzwyczaj podniosłe w treści i patrjotyczne wywarło na słuchaczach olbrzymie wrażenie. Cichy płacz, łkania i westchnienia towarzyszyły gorącym słowom arcypasterza i prawdziwego patrjoty-Polaka.

„Witam was — mówił Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup — w imieniu Ojca świętego, ale witam was również w imieniu całej Polski i szlę wam pozdrowienie z pod strzech waszych ojców i krewnych, od tych kochanych gór, lasów i niw ojczystych, od tych wszystkich, którzy zmuszeni są prowadzić straszną walkę z przeciwnościami, by polepszyć dolę i sobie i wam, kochani bracie tułacze!

Gdy przechodziły koło mnie towarzystwa, z napisów przekonałem się o waszem przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej, ale przekonałem się również o waszym patrjotyźmie. Prócz wysłannika

z ramienia Kościoła, witaliście w mej osobie rodaka, który z krainy mogił i krzyżów, z krainy łez i niedoli niesie wam słowa pociechy i który zaklina was i prosi, byście z wiarą prawdziwą przechowywali nadal w swych sercach i język ojczysty i miłość do tej nieszczęśliwej Matki naszej Ojczyzny i byście te skarby narodowe przekazywali pokoleniu w pokolenie, a tem samem przybliżycie chwilę, w której zajaśnieje wam gwiazda lepszej przyszłości. Witam serdecznie wszystkich i ojców i matki i tę młodzież, która mi prawdziwą radość sprawiła, przystępując gromadnie do Stołu Pańskiego i serdecznie życzę tej ostatniej, by wyrosła na dzielnych synów Ojczyzny Polski i dobrych obywateli tutejszego kraju. Nie można bowiem pominąć i nie wspomnieć i nie złożyć słów uznania władzom tutejszym, które nie tylko obdarzają przybyszów pełną swobodą, ale przypuszczają ich do pracy nad dobrem i pomyślnością kraju. Dlatego starajcie się być i podporami tutejszego kraju i nie zapominajcie również o obowiązkach, jakie na was ciążą względem prawdziwej Ojczyzny.

Żyjcie zgodnie w jedności i miłości braterskiej, a Pan Bóg wynagrodzi was tem, że powróci was na łono wolnej, przyszłej Polski. Tego wam z całego serca życzę i daj Boże, by nastąpiło jak najprędzej.

Wiem dobrze, że nastąpił między wami rozdział, że jacyś dobosze nowych wiar potworzyli zbory i zdołali zbałamucić część wiernych dawniej synów Kościoła katolickiego, ale wiem również, że większa część tej nieszczęśliwej braci dała się tylko uwieść, podejść i obałamucić tym, którzy dla zysku i innych materjalnych powodów zdołali ją usidlić.

Dlatego jestem przekonany, że ten objaw chwilowej niemocy duchowej w tej zbłąkanej braci przejdzie, jeśli wy westchniecie za nimi do Boga, jeśli się będziecie modlić za nimi i prosić Najwyższego o ich nawrócenie. Pan Bóg nie odmówi waszym prośbom i nastąpi znowu wspólne, zgodne i braterskie życie w Chrystusie na chwałę Bożą i ku dobru naszej drogiej Ojczyzny Polski".

W niedzielę wieczorem o godzinie 7-ej przyjmowała parafja Bożego Ciała Najprzew. ks. arcybiskupa Symona, który na wieczornem nabożeństwie do Serca Pana Jezusa wygłosił w kościele wzniosłe i bardzo budujące kazanie. Na przyjęcie Najprzew. ks. arcybiskupa wyruszyła cała parafja przy dźwiękach muzyki, a doszedłszy pod plebanję św. Stanisława, zabrała na pięknie udekorowany powóz Najprzew. ks. arcybiskupa Symona i Przewiel. ks.

dziekana Jana Pitassa, rektora parafji św. Stanisława B. i M., i sekretarza ks. arcybiskupa Wiel. ks. Fiori, poczem pochód ruszył w stronę parafji Bożego Ciała, gdzie przed plebanją wysiedli dostojnicy Kościoła i udali się następnie przez szpaler do kościoła, który wypełniony był po brzegi pobożnymi.

Niema słów na opisanie radości, jaka zapanowała wśród pobożnych na widok polskiego arcybiskupa, to też wierni zebrani w kościele podczas kazania, jakie wygłosił Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon rozczulili się do łez. Po nabożeństwie odjechał Najprzew. ks. arcybiskup w towarzystwie Wielebnego ks. Jana Pitassa z powrotem do parafji świętego Stanisława, gdzie jeszcze zaszczycił swą obecnością obchód 25-letniej rocznicy założenia Towarzystwa Młodzieży św. Kazimierza, jaki odbywał się na nowej hali parafjalnej św. Stanisława B. i M. i dwukrotnie przemawiał do zebranych.

Tu do młodzieży arcybiskup Symon powiedział te znamienne słowa:

„Przybyłem odwiedzić Polaków w Ameryce za wiedzą, wolą i błogosławieństwem Ojca św. Cieszę się, że stanąłem dziś między młodzieżą, a wszystkich obecnych proszę o cierpliwość w sprawie polskich biskupów dla amerykańskich Polaków. Osobnych biskupów dla Polaków nie należy się wam spodziewać, bo wtedy zażądaliby tego samego Włosi, Francuzi, Czesi i inni, a gdyby było kilku biskupów w jednej diecezji, kłóciliby się, choć biskupi, i na tem by rozwój katolicyzmu ucierpiał. Tam, gdzie jest znaczna liczba Polaków w diecezji jest możliwe mianowanie Polaka biskupem dla wszystkich narodowości. Proście o to gorąco Boga i polecajcie tę ważną sprawę Sercu Jezusowemu. Ja z mej strony uczynię, co w mej mocy. Obecnie przybyłem was pocieszyć, i za jakiś czas znów ja, albo inny polski biskup was odwiedzi“.

Ta mowa Symona, to nie była mowa. To był mimowolny błąd popełniony w mowie, czyli lapsus linguae, jak Rzymianie mówią: Już wprost niesmaczne, bo niedorzeczne, są w tej mowie te ustępy: „Za jakiś czas znów ja, albo inny biskup polski was odwiedzi“ — i „Gdyby było kilku biskupów w jednej diecezji, kłóciliby się, choć biskupi“. A więc co rok, to prorok przyjedzie z Polski i będzie nam prawił, że biskup polski nie może być dla Polaków, tylko musi być dla wszystkich narodowości. Jak gdyby inne narodowości go sobie życzyły lub w ogóle potrzebowały. „Kłóciliby się, choć biskupi“. Toć w diecezji chicagoskiej jest trzech biskupów i we Lwowie więcej

niż trzech, a czy się kłócą. Zresztą nam Polakom w Ameryce nigdy nie chodziło o to, żeby „było kilku biskupów w jednej diecezji". Nam chodziło i chodzi tylko o to, żeby były diecezje polskie tak jak są parafje polskie, a w każdej takiej diecezji żeby był **jeden biskup** tak jak w każdej parafji naszej jest jeden tylko proboszcz. W ten sposób byłoby może kilku biskupów **w jednem mieście**, ale wcale **nie w jednej diecezji!** I cóż z tego, że w ten sposób mieszkałoby w jednem mieście kilku biskupów, ajryski, niemiecki, polski, czeski, a może i litewski. Toby biskupów do siebie **zbliżało**, ale wcale by im nie **ubliżało**. Toby umożliwiło, nie tyle kłótnie między biskupami, ile raczej ich wzajemne pożycie towarzyskie, koleżeńskie i przyjacielskie, jakiego brak dotkliwy daje się odczuwać przy obecnym systemie komunistycznym czyli systemie jednego biskupa wspólnego dla wszystkich narodowości. Mieszkając w jednem mieście, zasiedliby często przy jednym stoliku do zabawy lub w jednej łódce do łowienia ryb. Bo i biskup jest człowiekiem i potrzebuje rozrywki towarzyskiej. Gdyby ludzie często widzieli **biskupów różnych narodowości** nie tylko przy jednym ołtarzu w kościele, ale także przy jednym stoliku w domu, w jednym automobilu na ulicy, w jednej łodzi na jeziorze — coby to był za widok budujący nie tylko wiernych ale i niewiernych. Toż Kościół rósłby, jak na drożdżach! Ale tak jak dziś jest, każdy biskup czuje się osamotnionym, odosobnionym od reszty biskupów i niema z kim żyć po przyjacielsku. Bo przyjaźń może być tylko między równymi, a on równego sobie w bliskiem sąsiedztwie niema. Skutek fatalny jest ten, że nie mając równych sobie w pobliżu, otacza się zazwyczaj nierównymi sobie „faworytami", których zgubny wpływ na rządy Kościoła w Ameryce jest zaiste opłakania godny!

Przytem nie należy z oka tracić jeszcze jednego najważniejszego względu na dobro ogólne Kościoła. Jak podwaliną społeczeństwa jest prywatna własność władzy rodzicielskiej, a komunizm jest jego ruiną, tak prywatna własność władzy pasterskiej i biskupiej jest podwaliną Kościoła, a komunizm czyli wspólność jednego biskupa dla wszystkich narodowości jest jego ruiną i zgubą. Miljony katolickich immigrantów ginęły i giną dla Kościoła w Ameryce głównie dlatego, że dla nich nie było i niema biskupów własnego języka i własnej narodowości. Leży to już w naturze człowieka, że garnie się swój do swego, że chętnie pracuje i płaci na to, co uważa za swoją własność, rodową czy narodową: a przeciwnie obojętnieje do wszystkiego, co tchnie komunizmem czyli międzynarodówką. Je-

dna tylko może być wzniosła i prawdziwa międzynarodowość czyli powszechność, jeden katolicyzm i jedno międzynarodowe papiestwo. Zaś biskupstwo międzynarodowe to tylko śmieszna międzynarodówka, małpująca papiestwo. Od wzniosłości do śmieszności jest tylko krok jeden, powiada przysłowie. Od wzniosłej idei międzynarodowego papiestwa do śmiesznej idei międzynarodowego biskupstwa jest też tylko krok jeden, i dlatego tak łatwo i tak często go się czyni. A przecie nawet papież jest międzynarodowym tylko jako głowa Kościoła Powszechnego, gdy tymczasem jako biskup diecezji rzymskiej był i jest przeważnie Włochem. I słusznie, gdyż jego diecezja składa się z Włochów. A zatem ci, którzy chcą międzynarodowych biskupów, chcą być katolikami bardziej niż sam papież i przez to ośmieszają się sami.

81. Świetlana postać arcybiskupa Symona. — Prezydent Roosevelt powiedział Symonowi, że w Ameryce powinni być biskupi polscy.

Gdy Jego Eksc. arcybiskup Symon bawił w Buffalo i gościł na plebanji w parafji św. Stanisława B. i M., zjawił się tam chór żeński i pod batutą p. Bałucińskiego wykonał kilka utworów. Polska melodja, śpiew, a przedewszystkiem jego wykonanie, tak uchwyciły za serce ks. arcybiskupa Symona, że powstał z siedzenia i powiedział do obecnych księży:

„Słyszeliście, jak to śpiewają Polki w Ameryce? Czyż mielibyśmy pozwolić na to, aby ten piękny śpiew polski, ta słodka polska melodja zaginęły i przepadły? Nie! Na to nie możemy pozwolić, bo to byłaby z naszej strony zbrodnia. Musimy robić, co tylko jest w naszej mocy, aby długo, bardzo długo, śpiew polski i polska nuta brzmiały na amerykańskiej ziemi".

W Buffalo, stolicy biskupa Coltona, zabawił arcybiskup Symon najdłużej, bo przeszło tydzień. W triumfalnym pochodzie szedł z jednej parafji do drugiej. Zwiedził i okoliczne parafje, jak w Depew, w Dunkirk itd.

Od chwili jak Jego Eksc. ks. arcybiskup Symon stanął na amerykańskiej ziemi, jego podróż po polskich osadach jest jednym i nieprzerwanym triumfalnym pochodem.

Polacy przyjmują go z taką okazałością i gościnnością, na jaką tylko zdobyć się mogą i chętnie przychyliliby słońca swemu dostojnemu gościowi i rodakowi, gdyby to było w ich mocy. Jest

to zupełnie naturalnem, że Polacy tak owacyjnie i serdecznie przyjmują pierwszego księcia Kościoła, Polaka, który stanął na amerykańskiej ziemi.

Wszystko to świadczy o tem, jak wielce pragnęliśmy tutaj biskupa rodaka. Przyjazd Jego Eksc. ks. arcybiskupa Symona sprawił to, że amerykańska Polonja wyszła ze zwykłego trybu życia, a jej tętna i uderzenia serca są przyspieszone.

Że nieraz arcybiskup Symon, jak to mówią, miał muchy w nosie, czyli był kapryśnym, to rzecz naturalna u sześćdziesięcioletniego starca.

Musimy tutaj wziąć w rachubę zdrowie i wiek naszego dostojnego gościa. Od dnia, w którym Jego Eksc. ks. arcybiskup przybył do Stanów Zjednoczonych, pracuje tak gorliwie i nieustannie, jakby najgorliwszy misjonarz.

Odprawia po kilka nabożeństw dziennie w różnych polskich parafjach, wygłasza po trzy kazania w kościołach, a oprócz tego egzaminuje dzieci w szkołach, przemawia do nich, przyjmuje delegacje i jakoś na wszystko starczy czasu. W Buffalo w przeciągu kilkunastu dni wygłosił przeszło 20 kazań i różnych mów, a jego kazania i mowy odznaczały się zawsze świeżością i głębokością przekonań, a ich treść nie powtarzała się nigdy.

Jego Eksc. ks. arcybiskup Symon ma zawsze coś nowego do powiedzenia, a przemawia tak pięknie, wzniośle i tak patrjotycznie, że pod tym względem przewyższa wszystkich kaznodziei i mówców, jakich tylko słyszeliśmy w całem naszem życiu. To prawdziwy biskup apostoł i prawdziwy Polak. Widać to z jego powierzchowności, z jego ruchów i całej postaci.

To asceta, który żyje dla Boga i Ojczyzny! A jak on chętnie wykonuje swe obowiązki! Jeżeli odprawia w jakimś kościele Mszę św., a wierni przystępują do Stołu Pańskiego, to nigdy nie wyręcza się djakonem, ale komunikuje sam, a jego głębokie oczy patrzą się tak bystro w twarze wiernych, jak gdyby odgadywały tajniki ich dusz.

A jak on też bardzo kocha naszą polską dziatwę! Gdy do niej przemawia, to przemawia tak, jak gdyby chciał głębię swych religijnych i patrjotycznych uczuć przelać w jej serca.

Jego Eksc. ks. arcybiskup Symon to prawdziwy przyjaciel dzieci, a kto kocha dzieci, ten kocha i wszystkich bliźnich.

W Buffalo będąc, arcybiskup Symon otrzymał od prezydenta Roosevelta zaproszenie na audjencję. Nie wypadało, żeby arcy-

biskup o tę audjencję prosił. Wyrobili mu ją inni. Nadszedł telegram z Washingtonu, że prezydent Roosevelt chce widzieć i rozmówić się z arcybiskupem Symonem, ks. Pitassem i ze mną dnia 8 czerwca 1905 r. Mnie nie było pilno towarzyszyć arcybiskupowi, raz dla przyczyn, które już poprzednio wyłuszczyłem, a powtóre, że właśnie z Ripon nadeszła hiobowa wieść, iż wskutek ulewnych deszczów cały sklep mojej plebanji stoi we wodzie. Szukałem więc sposobności, żeby jakoś się wykręcić z tej podróży do Washingtonu. I znalazłem ją. Kiedyśmy bowiem wsiedli do powozu, zauważyłem — zauważyli to poprzednio i drudzy — że arcybiskup Symon jedzie do Washingtonu ubrany w swoją długą ogoniastą sutannę fioletową. Zapytałem go więc w powozie:

— Czy Ekscelencja myśli tak w sutannie stanąć przed prezydentem w Białym Domu?

— A jak ksiądz dobrodziej myślał?

— Tu w Ameryce niema takiego zwyczaju — zauważyłem grzecznie.

Lecz ta moja uwaga ubodła arcybiskupa do żywego. Powiedział mi:

— Jeśli księdzu dobrodziejowi moja sutanna się nie podoba, to nie potrzebuje ze mną iść do prezydenta...

A ja mu na to:

— Ja też z Ekscelencją jadę tylko na dworzec kolejowy, żeby czemprędzej powracać do domu, bo moja plebanja w Ripon tonie w powodzi i moje manuskrypta do „Historji“ gotowe zatonąć.

Na dworcu zapytany przez Ekscelencję, czy na serjo nie pojadę z nim do Washingtonu, odpowiedziałem stanowczo:

— Nie mogę, Ekscelencjo, gdyż otrzymałem depeszę z Ripon, żeby natychmiast wracać do domu.

I tak rozstaliśmy się grzecznie. Arcybiskup i ks. Pitass pojechali do Washingtonu, a ja wsiadłem do następnego pociągu do Chicago. Było to moje ostatnie pożegnanie się z arcybiskupem Symonem. Odtąd nie widzieliśmy się już nigdy, pomimo, żeśmy chcieli się widzieć.

Audjencja arcybiskupa Symona u prezydenta Roosevelta dnia 8 czerwca 1905 była wielkiej wagi dla sprawy naszej. Zbiła odwieczne zarzuty biskupów niemiecko-ajryskich, jakoby rząd waszyngtoński sprzeciwiał się ustanowieniu polskich biskupów

w Ameryce. Czyli, arcybiskup Symon usłyszał z ust samego prezydenta Stanów Zjednoczonych to, co mój towarzysz, Rowland Mahany, w imieniu prezydenta w Rzymie opowiadał. Arcybiskup Symon w swoim drukowanym urzędowym memorjale do Ojca św. Piusa X na stronicy 7 tak swoją audjencję u prezydenta opisuje:

„Szanowny prezydent Roosevelt, kiedy na specjalnej audjencji powiedział mi, że lud polski jest dobry, uczciwy i pracowity, wtedy powierzył mi to zaszczytne zadanie złożenia swego głębokiego szacunku Waszej Świątobliwości i wyrażenia swojego osobistego zapatrywania w tych samutieńkich słowach: „Gdyby urzędowe stosunki Państwa z Kościołem temu się nie sprzeciwiały, to bym papieżowi powiedział, że było by bardzo dobrze dla ludu polskiego, ażeby jego kler miał swoją reprezentację w hierarchji kościelnej w Ameryce". (Se i rapporti ufficiali dello Stato con la Chiesa non si opponessero, io direi al Sommo Pontifice che sarebbe un gran bene per il popolo polacco se il suo clero avesse la sua rappresentanza nella Gerarchia ecclesiastica in America.)

Tak prezydent Roosevelt powiedział, ten największy Amerykanin, któremu żaden biskup amerykański co do amerykanizmu ani do stóp nie dorósł. To też znany nam korespondent p. Adam Darowski z Rzymu pisał mi, że „**Papież zwrócił szczególniejszą uwagę na to, co prezydent powiedział**".

Po tej audjencji u prezydenta arcybiskup Symon w dalszym ciągu odwiedzał osady polskie i przez swego sekretarza, księdza Fiori'ego, bardzo często znosił się ze mną. Ksiądz Fiori z Rzymu pisał listy po łacinie, ale teraz w Ameryce zaczął po włosku pisać do mnie, bo — powiada — Le scri vo in Italino perche Lei capisce aclebastanza — piszę ci po włosku, bo ty dosyć rozumiesz. Z Filadelfji, Pa., pisał mi, że „posłał do gazety dziennej w Rzymie sprawozdanie o przyjęciach i demonstracjach, które nadewszystko były bardzo uroczyste". Miał co opisywać, a w Rzymie mieli co czytać.

Do Buffalo nadesłał mi ks. Szukalski z Milwaukee następujący telegram:

„Will Symon stay in Milwaukee at least seven days to officiate evenings in the several churches. What time can we meet him in Chicago, answer immediately my expense".

Szukalski.

Tak to z daleka już oczekiwano Symona.

82. Arcybiskup Symon w Dunkirku, Erie, Toledo. — Pułkownik Smoliński o podróży arcybiskupa Symona.

Od założenia pierwszej polskiej parafji w Ameryce (w Panna Maria, Texas) pięćdziesiąt lat już minęło, a nie było jeszcze żadnego biskupa polskiego na ziemi amerykańskiej. Dopiero po 50 latach tu jeden się zjawił. A jednak airyskim biskupom było to jeszcze za wcześnie. Jak wiedzieliśmy, biskupi buffaloski i brooklyński, Colton i Mc-Donnel, starali się wszelkimi siłami w Rzymie przeszkodzić wyjazdowi arcybiskupa Symona do Ameryki. Nawet mu ubliżyli niezłożeniem rewizyty za to, że miał taki „niecny zamiar odwiedzenia dwumiljonowej Polonji amerykańskiej. Udowodnili przez to, że posiadają duszę małą, małostkową i zdrobniałą (a diminutive soul), nieżyczliwą i zazdrosną. Ale to jeszcze nie tłumaczy tej ich opozycji. Oni oponowali wyjazdowi Symona głównie dlatego, że widzieli w Symonie wysłannika papieskiego i inicjatora nowej ery biskupów polskich w Ameryce. Wpuścimy do Ameryki jednego — słusznie rozumowali — to za pierwszym zjawi się drugi, trzeci, czwarty itd. biskup polski. Principiis obsta, sero medicina paratur. Początkom zapobiegaj, bo inaczej ta „choroba" biskupów polskich rozszerzy się po całem ciele Polonji amerykańskiej. Nie zdołali jednak zapobiec. Mocniejszy Pan Bóg, niż pan Rymsza.

Pan Modest Maryański, brat ks. Aleksandra Maryańskiego, mieszkającego w Gnieźnie przy ul. Mylnej nr. 10, pisał mi z Chicago 10 czerwca 1905:

Czcigodny Księże Proboszczu!

„Pozwalam sobie przesłać księdzu Proboszczowi broszurkę mego pióra „O Emigracji Polskiej", którą przed laty 11-ty napisałem, i moje najserdeczniejsze powinszowanie, że zabiegi i trudy księdza Proboszcza w Rzymie u Ojca św. z takiem zaparciem się samego siebie uczynione tak szczęśliwym uwieńczone zostały rezultatem. Że Wielkiego Biskupa Polskiego, godnego następcę Sołtyków, Felińskich, Rzewuskich, Hryniewieckich **jako delegata Stolicy świętej** mamy dzisiaj pośród siebie, to zasługa Twoja, Czcigodny Księże Proboszczu".

Nie, panie Maryański. Ale „od Pana się to stało: a jest dziwem w oczach naszych". — A Domino factum est istad: et est mirable in oculis nostris. (Psalm 117, 23.)

„Od Pana się to stało", że pomimo oporu biskupów amerykańskich po tylu latach oczekiwania mamy wreszcie biskupa polskiego w Ameryce. Tego „dziwu w oczach naszych" inaczej wytłumaczyć nie można. Bo żadna ludzka moc nie zdolną była przełamać zwartej potęgi episkopatu amerykańskiego.

Z Buffalo 13 czerwca 1905 wyjechał arcybiskup Symon do Dunkirk, N. Y. i Erie, Pensylvania, gdzie zwiedzał parafje polskie i przyjmowany był z wielką pompą. Do Erie przybyła po niego delegacja z Toledo, Ohio, mianowicie w środę 14 czerwca 1905 r. ks. Suplicki w towarzystwie księży Redmera i Dopkego, wyjechali do Erie, Pa., na spotkanie Jego Ekscelencji, a we czwartek po południu wszyscy przybyli do Cleveland. Tutaj zatrzymano się tylko parę minut, poczem wyruszono do Toledo. Dzięki wpływowi ob. F. Dalkowskiego, oficjaliści kolei Lake Shore oddali do użytku arcybiskupa i jego eskorty specjalny i nadzwyczaj wygodny wagon, a gdy ten został przyczepiony do regularnego pociągu pospiesznego, podróż z Cleveland do Toledo odbyła się szybko i przyjemnie.

Oprócz arcybiskupa i jego sekretarza ks. Fiori w wagonie byli księża Suplicki, Redmer, Dopke, Migdalski i Kuta z Toledo; księża Niedbalski i Ignasiak z Erie, Pa.: ks. W. Lipski z Cleveland; ks. J. Wilk z Youngstown; ks. Ruszkiewicz z Lorain: ks. dr. Ćwiąkała z Berea i ks. Wachowski z Grafton; ob. B. Dalkowski, sekretarz komitetu recepcyjnego, komitety kościelne św. Jadwigi i św. Antoniego, oraz ob. F. Dalkowski. reprezentujący prasę polską.

Pociąg zajechał na dworzec w Toledo o godzinie 6:55 wieczorem, a zatrzymano się tutaj krótki czas, ażeby oddziałom wojskowym na koniach i wielkiej liczbie powozów dać sposobność uformowania się w linji. Gdy pochód był gotowy, arcybiskup Symon wsiadł do ślicznie udekorowanego powozu, do którego zaprzężone były trzy pary białych koni, a powóz dostojnego gościa poprzedzał inny, czterokonny, w którym siedziało grono małych dzieweczek z Antoniowa. Gdy pochód ruszył, na przodzie postępowała kapela z Antoniowa, oddziały konne ułanów św. Kazimierza, rycerzy Batorego i strzelców Kościuszki, potem powozy arcybiskupa i księży, a przy końcu blizko 50 powozów delegacji towarzystw i osób prywatnych. Z dworca ruszono głównemi ulicami miasta do narożnika Gollingwood i Madison, gdzie już oczekiwał wielki szereg towarzystw z dwóch parafij. Pochód oświetlony

był setkami pochodni w ręku maszerujących, nie dziw więc, że wzdłuż całej linji po obu stronach zebrała się masa ciekawych już z gazet poinformowanych o znaczeniu demonstracji, a komentujących pochlebnie o przywiązaniu Polaków do swego Kościoła.

Kiedy pochód skręcił na Junction avenue, tutaj nadzwyczaj piękny widok przedstawił się oczom. Cała ulica oświetlona była pochodniami, latarniami chińskiemi i ogniami sztucznemi, a każdy dom polski literalnie krył się pod wielką masą chorągwi polskich i amerykańskich, kolorów papieskich i różnych dekoracyj. Pochód zatrzymał się przed kościołem św. Antoniego, a gdy towarzystwa uformowały się w szpaler po obu stronach, nasamprzód eskortowano arcybiskupa do plebanji. Za pół godziny w otoczeniu licznego grona księży wprowadzono arcypasterza do świątyni. Będąc zmęczony podróżą nie mówił długo, ale to co powiedział, trafiło do samej głębi serc słuchaczy. Rozczulony tak serdecznem przyjęciem, witał swych rodaków głosem wzruszonym i przejętym największą miłością do tego ludu prostego. Napominał do wierności dla Kościoła, przywiązania do nieszczęśliwej Ojczyzny, a posłuszeństwa i godnego postępowania w obec gościnnego kraju amerykańskiego. Przy końcu arcybiskup udzielił błogosławieństwa wszystkim będącym w kościele. W piątek rano arcybiskup Symon odprawił Mszę św. w kościele św. Antoniego, a podczas sumy wypowiedział wzruszające kazanie. W piątek po południu dostojny gość zwiedził szkołę i budynki parafjalne na Antoniewie, a po południu uczynił to samo na Jadwigowie.

W piątek wieczór wspaniala demonstracja czwartkowa powtórzyła się w parafji św. Jadwigi. W pochodzie znowu wzięły udział kapele polskie, oddziały wojskowe i liczne towarzystwa, a sam marsz z Antoniewa na Jadwigowo trwał blisko dwie godziny. Przybywszy do kościoła, arcybiskup wygłosił krótkie kazanie, poczem w imieniu Ojca św. błogosławił wiernych słuchaczy. Nazajutrz arcypasterz odprawil Mszę św. w kościele św. Jadwigi, a po spożyciu śniadania, udał się w dalszą drogę do Chicago, dokąd mu towarzyszyli ks. Nawrocki z tego miasta i księża Szukalski i Kempa z Milwaukee.

Do Milwaukee najpierw, pomijając Chicago, jechał teraz arcybiskup, ponieważ w Milwaukee odbywało się odsłonięcie pomnika Kościuszki.

Pułkownik J. Smoliński, który dotychczas był nieodstępnym towarzyszem podróży arcybiskupa Symona, taką zdaje relację:

„Jako reprezentatowi Polaków z powiatu Erie, w stanie New York, przypadł mi w udziale zaszczyt nietylko powitania dostojnego rodaka J. E. arcybiskupa Symona na ziemi amerykańskiej, ale i dłuższego towarzyszenia Mu w objazdach przez przeciąg niemal 4 tygodni.

„Obcując z Jego Eksc. ks. arcybiskupem Symonem tak długo, miałem wiele sposobności nietylko poznania Go bliżej, ale i przyjrzenia się naocznie Jego niezwykle gorliwej działalności apostolskiej i narodowej.

„Nie wątpię, że po zwiedzeniu terytorjów tej wielkiej Rzeczypospolitej, po zbadaniu stosunków we wszystkich niemal polskich osadach, J. E. nagromadzi wiele cennych spostrzeżeń, wiele faktów, wiele przypuszczeń, odnoszących się nietylko do życia polsko-katolickiego, ale i do życia Polaków jako obywateli amerykańskich i jako obywateli polskich — patrjotów.

„Gdyby nasz dostojny Wizytator oceniał nasze tutaj stosunki jedynie tylko z przyjęć, powitań, z tych radosnych tłumów, z tych przepełnionych kościołów, szkół, hal itd., to i tak, jako bystry i niezwykły obserwator, mógłby o niejednej sprawie wyrobić sobie jasne i wystarczające pojęcie.

„Ale nasz wielki Rodak nie poprzestaje na tem. Jego wielkie szczere a głębokie oczy mówią nieraz więcej i dopełnią tego, czego nie dopowiedziały usta. W głębiach Jego wzroku wyczytać można gorącą i szczerą chęć poznania wszystkiego, co tylko odnosi się do Polaków wogóle. Jego wysoka godność, przebijająca z każdego ruchu, gestu, słowa, spojrzenia, budzi szacunek i głębokie poważanie, ale nad wyraz łagodna twarz mimowoli zachęca do wynurzenia swych skarg i żalów, swych myśli i pragnień, które wysłuchać, ocenić i zapamiętać każdej chwili jest gotowy.

„Nie odsuwa od siebie nikogo, z każdym zamieniłby chociaż słów parę, gdyby na to starczyło i sił i czasu, chociaż o zdrowiu swem nie myśli arcypasterz.

„Że kocha On wszystkich, tego najlepszym dowodem, jak kocha On dzieci. Każdy występ dzieci sprawia Mu prawdziwą radość i warto przyglądnąć się, jak On bada tę dziatwę, jak skrzętnie notuje jej myśli, jak zachęca, by została szczerze polską, szczerze katolicką, bo wie, że dziatwa ta, to przyszłe pokolenie polskie, które w rozwoju szczególniejszą trzeba otoczyć opieką.

„Jako językoznawca, jest znakomitością. Jako badacz charakterów, unikatem może. Jako towarzysz, swobodny — w kon-

wersacji zadziwiająco płynny, często genjalnie dowcipny a zawsze głęboki, w spostrzeżeniach trafny, w sądzie ostrożny i delikatny.

„Jako Polak jest patrjotą w całem tego słowa znaczeniu, a słuchając słów Jego, nie można wątpić, że ma się przed sobą uosobienie polskości.

„Jako kapłan gorliwy, jako pasterz łagodny i wyrozumiały, jako Polak — patrjota z krwi i kości. A dał tego czynne nie gołosłowne dowody. Gdy jako biskup diecezji płockiej w Królestwie Polskiem nie zgodził się, by rusyfikacja przeszła i do kościoła, musiał ustąpić ze stanowiska i dzielić gorżki los tułacza.

„Ale szykana rządowa i pobyt za granicą nie złamały w Nim ducha, nie osłabiły wiary w ideały, które ukochał i którym się oddał całkowicie.

„Pozostał jak dawniej na straży wiary i polskości, a zdolności wybitne pozwoliły Mu i na wygnaniu służyć Polsce przy każdej sposobności i dzisiaj Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon bodaj czy nie przedstawia jedynego typu dostojnika kapłana wygnańca, a prawdziwego, żarliwego i nieugiętego obrońcy Polski.

„Dlatego muszą szanować i czcić Go wszyscy, ba, muszą Go kochać, bo On formalnie rozkazuje się kochać!

„Czyż wobec tego, że Polska wydaje takich mężów, takich obrońców — czyż wobec tego, powtarzam, można przypuszczać, że Polska nie zmartwychwstanie, nie odżyje i nie rozkwitnie triumfem szlachetnej sławy, triumfem szczytnej wolności, bo wolności ludów? Nie! naród, który takich ma przewodników, musi nietylko żyć, ale stanąć na czele narodów!

„Towarzysząc Najprzewielebniejszemu ks. arcybiskupowi Symonowi w zwiedzaniu parafij polskich w stanach Maryland Delaware, Pennsylvania i New York, nie mogłem nie zauważyć, jaki zbawienny wpływ wywierały jego słowa nietylko na zebranych wiernych, ale i na duchownych przewodnikach ludu. Niepodobna było przeoczyć, jak nasz wielki Rodak potrafił utwierdzić wszystkich, nietylko w zasadach wiary świętej, ale i w misji, do jakiej jest powołany naród polski.

„Jestem pewny, że Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon pracą swoją zdziałał to, czego nikt inny zdziałaćby nie potrafił, to znaczy, cofnął wynarodowienie się całych mas polskich przynajmniej o kilkanaście lat wstecz, ale równocześnie względem Stanów Zjednoczonych okrył się zasługą niemałą, nawołując do pokochania tej przybranej ojczyzny, zaznaczając dobitnie, że dobry

Polak, musi być dobrym obywatelem Stanów Zjednoczonych, bo te dwa pojęcia nierozdzielnie się łączą, wypływają z jednego i tego samego założenia i dopełniają się nawzajem.

„Słowa takie, wypowiedziane z ust arcypasterza, mają wartość olbrzymią, nie przebrzmią bez echa, a u odnośnych władz amerykańskich mile i niezapomniane wywrą wrażenie.

„Można być pewnym, że rząd Stanów Zjednoczonych, który bądź co bądź sprawy polskie traktował dotychczas objektywnie, w razie potrzeby, wyda o nas zdanie przychylne, a tem samem w hierarchji kościelnej amerykańskiej usunie uprzedzenia, jakie tamże względem nas istnieją, a które są główną przeszkodą i powodem, że sprawy nasze najżywotniejsze traktowano dotąd po macoszemu i stale usuwano na plan drugi.

„Na takie obchodzenie się z nami nie zasłużyliśmy wcale, owszem, mamy wszelkie dane, by w hierarchji kościelnej zajmować poczesne stanowisko, tworzymy bowiem blisko czwartą część katolików, w Stanach Zjednoczonych. Na 12 miljonów katolików w granicach Rzeczypospolitej, jest dwa i pół a może i nawet trzy miljony katolików Polaków.

„Czyż w proporcjonalnym stosunku do liczby, biorąc rzeczy sumiennie i sprawiedliwie, nie powinniśmy zajmować odpowiedniego miejsca w hierarchji amerykańskiej?

„A my nietylko że nie zajmujemy szarego chociażby końca. ale nie mamy jednego nawet biskupa!

„Mamy jednak nadzieję, że to stanowisko nasze, tak rażąco upośledzone, zmieni się, po złożeniu przez Najprzewielebniejszego ks. arcybiskupa Symona sprawozdania Ojcu św., Piusowi X. Spodziewamy się, że nasz wielki Rodak dołoży wszelkich starań, by złemu zaradzić, chociażby częściowo tylko na razie.

„Wiemy, że położenie jest trudne, że wiele jest przeszkód, które mozolnie przyjdzie usuwać, że mieszanina narodowościowa zmusza Kościół do objęcia stanowiska ponadnarodowościowego, któreby jednoczyło, nie rozrywało, skupiało, a nie rozpraszało wiernych.

„Ale wiemy równocześnie, że i w regule są wyjątki. Niepodobieństwem jest, by Polacy nie osiągnęli tych samych praw jakie zdobyły inne narodowości, nieraz liczebnie słabsze. Chociaż uchwały synodów orzekły, że nie można dla każdej narodowości z osobna mianować osobnych biskupów, niemożliwem jest branie

tej uchwały w rachubę w stosunku do narodu, który tworzy czwartą część społeczeństwa katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

„Wyjątkowe warunki, muszą stwarzać wyjątkowe uchwały i mamy nadzieję, że w stosunku do nas Polaków, powyższe uwzględnione być mogą i będą. Niedomagania są tak wielkie, położenie tak przykre, a straty tak znaczne, że razem to wszystko wziąwszy, muszą przeważyć szalę na stronę naszych pragnień, próśb i starań.

„Nie można pominąć jeszcze jednej, bardzo ważnej rzeczy, przemawiającej korzystnie za nami. W stosunku do księży innych narodowości, księża nasi mają większe dane, władając zazwyczaj nie jednym tylko, ale kilkoma językami, nie mówiąc już o tem, że i ducha i zwyczaje i obyczaje wielu narodowości znają o wiele lepiej i gruntowniej.

„W każdym razie, znając Najprzewielebniejszego ks. arcybiskupa Symona, jako prawdziwego Polaka i wiedząc, że Tenże chciałby rodaków swych widzieć na najwyższym szczeblu chwały, widząc wreszcie, jak ten arcypasterz gorliwie, z ujmą własnego zdrowia, bada nasze stosunki i jak się zajmuje wszystkiem co polskie i katolickie, mamy niepłonną nadzieję, że dostojny nasz Rodak, Stolicy Apostolskiej przedstawi w świetle rzeczywistem nasze opłakane stosunki kościelne, a zebrane przez Niego dowody aż nadto wystarczą, by papież Pius X., ten Ojciec uciśnionych, a przyjaciel Polaków, którzy od wieków walczą i krew przelewają za ten Kościół święty, uznał nasze potrzeby, raczył miłościwem okiem wejrzeć na uciśnione serca nasze i obdarzył nas pasterzami, którzy miljony tułaczy polskich poprowadzą przed ołtarze chwały i Bożej i narodowej polskiej."

Otóż tak określił arcybiskupa Symona pułkownik Smoliński, który przez miesiąc zbliska mu się przypatrywał.

83. Arcybiskup Symon a Zarząd Centralny Pomnika Kościuszki w Milwaukee. — Mowa arcybiskupa przyjęta z niesłychanym zapałem.

Związek Narodowy Polski, nie cały, ale raczej ówczesny jego Zarząd Centralny odgrywał rolę niewiernego Tomasza tak wobec sprawy biskupów polskich w ogóle, jak i wobec posłannictwa arcybiskupa Symona w szczególe. Nie chciał wierzyć, że to sprawa polska. Wolał przypuszczać, że to sprawa czysto kościelna. Przypuszczenie to było z gruntu fałszywe, ale jak **dla leniwca**

bardzo wygodne. Nie potrzebował przecie zajmować się tą sprawą jako „czysto kościelną". Nie potrzebował też zajmować się przyjęciem arcybiskupa Symona iako wysłannika „czysto kościelnego". Centralny Zarząd Związku Narodowego Polskiego wprawdzie przyjmował urzędownie i uroczyście takich panów, jak Dunikowski, Miłkowski i pewien protestancki pastor z austrjackiego Śląska, a nie mógł zdobyć się na przyjęcie arcybiskupa Symona. Na jednem ze swych posiedzeń uchwalił zupełnie ignorować przyjazd Jego Eksc. i zajęcie wobec Niego takiego stanowiska, jakby nie wiedziano o tem, kto przybywa i w jakim charakterze przybywa. Bo po za katolickim ks. arcybiskupem nie chciało mu się widzieć nawet tak sławnego patrjoty polskiego jak Symon. Mówię tu o ówczesnym Zarządzie Centralnym. Bo grupy związkowe, i w Buffalo i indziej, wszędzie wyruszały na przyjęcie arcybiskupa Symona i witały go tak szczerze, gorąco i serdecznie, jak towarzystwa kościelne; a w Buffalo nawet zaprosiły go na poświęcenie Domu Polskiego. Również w Milwaukee dyrekcja budowy pomnika Kościuszki, składająca się ze związkowców, zaprosiła Symona na uroczystość odsłonięcia tego pomnika.

I tu dopiero w Milwaukee temu niewiernemu Tomaszowi, Zarządowi Centralnemu Związku Narodowego Polskiego, otworzyły się oczy. Do Milwaukee przybył arcybiskup Franciszek Albin Symon wprost z Toledo w sobotę 17 czerwca 1905 roku, wieczorem o godzinie 8:40 w towarzystwie księży, którzy wyjechali do Toledo i do Chicago na jego spotkanie. Pod eskortą Ułanów i w towarzystwie księży polskich ks. arcybiskup wyjechał powozem z dworca na plebanję ks. Szukalskiego. Od kościoła śś. Cyryla i Metodego aż do 8. avenue stały szpalerami po obu stronach ulicy towarzystwa parafjalne ze sztandarami i pochodniami. Przebrawszy się na plebanji, ks. arcybiskup udał się do kościoła śś. Cyryla i Metodego, gdzie wygłosił mowę i udzielił obecnym apostolskiego błogosławieństwa.

Nazajutrz, w Niedzielę, dnia 18 czerwca 1905, w tymże kościele odprawił Mszę św., a na sumie był obecnym w kościele św. Józafata. Po obiedzie zaś w przyległym Parku Kościuszki wygłosił ową słynną mowę, która nawróciła nawet niewiernych Tomaszów. Było to przy odsłonięciu pomnika Kościuszki. Najpierw ks. Gulski przeczytał formę przekazania pomnika miastu Milwaukee. Mayor David S. Rose, odbierając pomnik w imieniu miasta i zwracając oczy swe na pomnik, między innemi tak mówił:

„Oby te usta mogły przemówić! Oby te oczy mogły widzieć te tłumy ludu, które zebrały się tutaj, aby uczcić jego pamięć; żeby ten Kościuszko, ten patrjota, ten żołnierz mógł wiedzieć, że po upływie wieku znalazł nakoniec swoją Ojczyznę. Sława dzielnemu synowi Polski. Sława dzieciom, które ona wydała, a które teraz są naszemi przez adoptację!

„Składam wam serdeczne dzięki w imieniu miasta.

„Ten pomnik będzie dla nas trwałą pamiątką życia i charakteru Kościuszki. Będzie on świadectwem patrjotyzmu polskiej ludności w Milwaukee. Naród, który potrafi wystawić taki jak ten pomnik po upływie stu lat niewoli nigdy nie może być pokonany!“

Mowę mayora nagrodzono długotrwałymi oklaskami.

Gdy przebrzmiały ostatnie tony wspaniałej pieśni „Cześć i Uwielbienie“, mistrz ceremonji pan Franciszek Grutza przedstawił Eksc. księdza arcybiskupa Franciszka Albina Symona jako mówcę następującemi słowy:

„Teraz przemówi łaskawie do swoich rodaków Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Symon, który przybywszy do Stanów Zjednoczonych z polecenia Jego Świątobliwości papieża Piusa X do zbadania kościelnych stosunków wśród amerykańskiej Polonji, raczył przyjechać dzisiaj do Milwaukee na tę wielką uroczystość, ulegając prośbom naszej dyrekcji, i przemówił po polsku“.

Ostatnie słowa pan Grutza wymówił z naciskiem, jakby chcąc uprzedzić zgromadzonych przy pomniku Polaków, że podana w pewnym dzienniku angielskim nierozważna wiadomość, jakoby polski arcypasterz miał przemówić na tej wielkiej uroczystości po angielsku, jest nieprawdziwą.

Gdy arcybiskup Symon, który dotąd siedział na wielkiej trybunie między ks. arcybiskupem G. Messmerem, po prawej stronie, ks. J. Rainerem, rektorem seminarjum w St. Francis, po lewej ręce, powstał ze swojego krzesła, wśród nieprzeliczonych tłumów dały się słyszeć przeciągłe okrzyki radości i frenetyczne oklaski. Upłynęło kilka minut, zanim mógł rozpocząć swoją mowę. Na twarzy jego malowało się głębokie wzruszenie. Kiedy rozentuzjazmowane tłumy powiewały chustkami, kapeluszami i chorągiewkami, oraz biły oklaski i wznosiły radosne okrzyki, on stał i spoglądał na nie swoim łagodnym, rzekłbyś ojcowskim wzrokiem, uśmiechając się dobrotliwie i, odpowiadając niekiedy uniesionym entuzjazmem rzeszom skinieniami rąk.

Skoro nastała cisza, ks. arcybiskup przemówił jak następuje:

Żałuję mocno, że nie można płakać, bo płakaćby należało na widok tego, co widzę. Te tłumy ludu, te piękne olśniewające kolory, ta młodzież i ci starzy, wszystko zebrało się tutaj, i to tylko, aby oddać cześć jednemu synowi naszej drogiej Polski. A Polska miała wielu takich synów i wszyscy oni walczyli za jej wolność. (Oklaski.)

Przed wiekami Polska była znana jako Wielki Rycerz wielkiej sprawy wolności. Kiedy w całej Europie panowały prześladowania i ucisk, Polska znała i odczuwała dobro i błogosławieństwa wolności. Wiedziała wtedy, co znaczy wolność, i utrzymywała ją i strzegła jej. Z Polski synowie jej znaczyli rozszerzanie miłości i poznania błogosławieństw wolności swoją własną krwią i swojemi własnemi ciałami od samych jej granic aż po Madryt. Kiedy synowie Polski przechodzili przez całą Europę jako synowie wolności, nieśli ze sobą swoje sztandary i śpiewy, swoje polskie ideały i miłość wolności, gotowi umrzeć i poświęcić się za wolność innych. Ale kiedy nadszedł czas, że Polacy walczyli za własną wolność, daremnie oglądaliśmy się za pomocną ręką, którąby nam pomogła w naszej sprawie. Nie było narodu, któryby był tak gotów do poświęceń, jak naród polski. (Oklaski.)

Jeżeli Polska wydała takich synów jak Kościuszkę, co to za matka być musi, co to za prawdziwie chrześcijański duch musi ożywiać jej piersi. Staje ona zawsze przed oczyma całej Europy, okryta w hełm i pancerz, strzegąca całą Europę przed dwoma wrogami — przed rozszerzeniem się rosyjskiej ignorancji i rosyjskiego despotyzmu z jednej strony, a tureckiej niewierze i muzułmańskiemu złu z drugiej strony. Historja jej świadczy, że wielokrotnie ochroniła Europę przed temi dwoma złami, i że przez jej wysiłki Europa uniknęła tyranji obu. Polska stała się progiem, o który rozbijały się wszystkie despotyczne wpływy. Z nią jako progiem rosyjski i pruski despotyzm nawet dzisiaj nie mogą się posuwać naprzód. Taką była jej misja i taką jeszcze jest jej misja. (Długie oklaski.)

Tu, na tej wolnej ziemi, Synowie Polski znaleźli przytułek i spokój, tutaj synowie Polski wychowują się i wyrastają w wierności zasadom, ideałom i naukom Polski.

Tu stoi wizerunek jednego z jej synów. O, jak mi serce rwało się do tego ludu, gdy tu przechodził przedemną całemi godzinami. O, jak duch mój był uniesiony, gdym patrzył na ten hołd, składany

jednemu Polakowi. Czułem, że ci ludzie, że te dzieci nie są daleko od Polski, że są gdzieś pod Krakowem, nad Wisłą, że serce ich jeszcze bije gorąco dla Polski. Nowe to świadectwo, co znaczy być wielkim, dobrym, wiernym Polsce synem.

Wy, zebrane tutaj matki polskie, przyprowadzajcie często swoje dziatki przed ten pomnik. Niech te zebrania zastąpią wieńce z kwiatów. Przychodźcie tutaj i uczcie wasze dzieci, że nietylko jeden był Kościuszko, którego matka polska wydała na świat, lecz że on był jednym z wielu, którzy walczyli za taką samą sprawę, za takie same ideały, jak On. (Przeciągłe oklaski.) Kiedy spoglądać będziecie na jego ewarz, mówcie waszym dzieciom, że zwrócona jest na północ — swojej ukochanej Polsce i dalej ku Moskwie, z którą my, jak On, wciąż walczyć musimy.

Niezawsze z bronią w ręku możemy lub powinniśmy iść do Polski, ale z usilną pracą i wykształceniem jako dobrzy obywatele tego kraju. Jako dobrzy patrjoci zawsze powinniśmy zwracać wzrok nasz ku Polsce i przygotowywać się do przyszłej walki, do której Wszechmocny Bóg może nas powołać o każdym czasie.

Chcąc być dobrymi synami Polski musimy być dobrymi obywatelami tego kraju, musicie być prawdziwymi Amerykanami i w swoich nadziejach i dążeniach tutaj musicie pamiętać o nauce przeszłości i zwracać się tam, gdzie stoi Wawel, gdzie jest grobowiec Kościuszki.

Kończąc, pragnę, byście wznieśli dwa okrzyki: jeden za Polskę, aby jej przyszłość była taką, jakiej pożądają dla niej nasze serca i myśli — niech żyje Polska! (Publiczność powtarza trzykrotnie: Niech żyje Polska!) A drugi za gościnny, kochający wolność, opatrznościowy kraj, który daje nam przytułek — za Amerykę: Niech żyje Ameryka! (Publiczność powtarza trzykrotnie: Niech żyje Ameryka.)

Po skończeniu mowy przez księdza arcybiskupa, mistrz ceremonji, pan Grutza prosił publiczność o wzniesienie trzykrotnego okrzyku na cześć polskiego arcypasterza. Z tysiącznych piersi wzniósł się po trzykroć okrzyk: „Niech żyje ksiądz arcybiskup Symon!“

Mowę polskiego arcypasterza nagrodzono frenetycznemi długotrwałymi oklaskami. Jego Excelencja wypowiedział swoją mowę z wielkiem przejęciem, głosem doniosłym i wyraźnym. Każde słowo słychać było bardzo wyraźnie. W kilku miejscach głos drżał mówcy od wzruszenia i w tych właśnie momentach widać

było po twarzach niezliczonych tłumów, że sprawia na nich najpotężniejsze wrażenie.

Redaktor „Zgody", urzędowego organu Związku N. P., był obecny na tej uroczystości narodowej w Milwaukee, wraz z Zarządem Centralnym!

Wysłuchał mowy Symona i tak ją w „Zgodzie" opisał:

„Bardzo ważnym w naszym przekonaniu wypadkiem chwili bieżącej w życiu wychodźtwa polskiego w Ameryce była mowa, którą wygłosił przy odsłonięciu pomnika Kościuszki w Milwaukee najdostojniejszy gość z Europy ks. arcybiskup Symon. Pierwszy to raz polski książę Kościoła gości na tej ziemi, która jest drugą ojczyzną dwóch miljonów Polaków. — Pierwszy to raz u nas Polak, wysoki dostojnik duchowny, miał sposobność brać udział w wielkiem święcie narodowem polskiem i przemawiać do wielotysięcznych tłumów w obecności licznego zgromadzenia duchowieństwa, zarządów wielkich polskich organizacyj, przedstawicieli prasy polskiej, prawie całego wychodźtwa i bardzo znacznego grona inteligencji. Nic więc dziwnego, że zebrani u stóp Naczelnika wyczekiwaliśmy wszyscy z wielką niecierpliwością głosu tak znakomitego męża, jak ks. arcypasterz, który przykuwał do swej osoby uwagę zgromadzenia nietylko wysokością swojego dostojeństwa, lecz sławą swych prac dla Kościoła, swych zasług dla narodu, swego męczeństwa za wierne pełnienie wzniosłych obowiązków swego wysokiego stanowiska.

„Znamy wraz z całą Polonją przeszłość historyczną arcybiskupa Symona. Zasługi jego i prześladowanie, które nań spadło przed kilku laty, były w swoim czasie przedmiotem obszernego omawiania w prasie polsko-amerykańskiej. Znaliśmy go jako patrjotę czynnego, jako Polaka, który umiał dowieść w zakresie swej działalności, że nie liczy się z niczem, gdy stanie przed nim otwarta droga obowiązku. Wiedzieliśmy wszyscy, co myśli i jak czuje ten mąż względem Ojczyzny. A jednak jesteśmy pewni, że w chwili, gdy się podnosił, aby zabrać głos wobec spiżowego Kościuszki, nikt z obecnych nie miał żadnego wyobrażenia o tem, co powie i jak powie.

Nie posiadamy zapisków stenograficznych z mowy ks. arcybiskupa. Woleliśmy słuchać, niż zapisywać. Nie kusimy się więc o oddanie mowy jego w brzmieniu dosłownem. Lecz mamy nadzieję, że uda się nam odtworzyć tu w skróceniu jego myśli i nie-

które słowa jego, albowiem utkwiły one w naszej duszy, jak w uszach wszystkich słuchaczów.

„Jego Ekscelencja jest człowiekiem w podeszłym wieku, lecz w pełni sił, energji i zapału. Wzrostu średniego i średniej tuszy, o twarzy wybitnie polskiej, robi wrażenie rozumu i siły w połączeniu z wielką prostotą, dobrocią i łagodnością. Głos mocny, młody, pewny siebie i przywykły do rozkazywania. Ruchy swobodne, nie wyszukane, wybornie ilustrujące siłę i wiarę w to co mówi. Mówcą jest ks. arcybiskup w stylu wielkim. Nie retor to, lecz orator. Zdania dość krótkie, bez zbytecznych ozdób. Myśli szerokie, obejmujące od razu wielkie horyzonty, nie przeładowane nużącymi szczegółami, proste jasne, prawdziwe, oparte na wielkiej wiedzy, a pogłębione przez filozoficzny pogląd na rzeczy. Od innych mówców odbija ks. Symon jak zwykle odbijają ludzie wielkiej miary od zdolnych i wykształconych pracowników na polu umysłowem.

„Zaproszony do głosu przez mistrza ceremonji ks. arcybiskup zaznaczył w kilku słowach swoje wzruszenie na widok tych tłumów Polaków, pędzonych jednem uczuciem do stóp ukochanego bohatera narodowego. Płakać się chce z radości i rozrzewnienia na widok tych tysięcy synów i córek Polski, którzy w takiem oddaleniu od Matki myślą i czują jak ona chce, aby czuły i myślały. Polska, mówił dostojny mówca, jest dla mnie zawsze z hełmem na skroni, z puklerzem na piersi, z mieczem w prawicy, walcząca za wolność, za szczęście nietylko swoje, lecz i całego świata, świat wie, co uczyniła ona w swoim czasie, gdy nad Europą wisiały czarne chmury zalewu tureckiego i moskiewskiego. Wie o tem i pamięta przynajmniej chrześcijańska część Europy, dodał mówca z naciskiem, słusznie odsądzając od prawdziwego chrześcijanizmu tę część Europy, która gnębi i prześladuje naszą Ojczyznę. A jednak gdy przyszła na nią chwila męczeństwa, co świat zrobił dla niej?

„Lecz i dziś, gdy Polska wśród wiernego pełnienia swej misji cywilizacyjnej padła, ociekając krwią z ran serdecznych, dziś gdy walczy o swój byt narodowy wśród najtrudniejszych okoliczności, pełni ona dalej tę swoją misję. O nią to, jak o skałę granitową rozbijają się i dziś bałwany mórz moskiewskiego i germańskiego. Idą one ku niej, aby ją pochłonąć, lecz, skoro tylko dotkną jej granic, duch polski rozkazuje im — dotąd i ani kroku dalej.

„W Kościuszce widzi mówca uosobienie idei polskiej w całej czystości jej i wzniosłości, a w czci, którą naród oddaje pamięci tego ojca swego, zapowiedź i pewność zwycięstwa sprawy polskiej w przyszłości. A sprawa ta nie zwycięży bez walki. O walce tej, która czeka nas w przyszłości, mówił arcybiskup z pewnością, z naciskiem, jakby widział już ją duchem proroczym w przyszłości. A skoro ma być walka, muszą być i bojownicy. Pamiętajcie, mówił, zwracając się do ludzi, żeście Polakami i że macie być nimi i pozostać na zawsze. Spójrzcie na tego bohatera, który się wznosi ponad waszemi głowami. Kędy leci wzrok jego, dokąd wskazuje dłoń jego z mieczem wzniesionym? Tam gdzie Wisła płynie, do Polski, do Matki. Pracujcie, uczcie się, bądźcie tu dobrymi obywatelami, lecz niech serca wasze, niech myśl wasza dążą tam, za morze, do Polski!

„Zwracając się do matek polskich, kazał im arcypasterz często prowadzić swe dzieci do stóp Naczelnika i pouczać je o tem, kim i czem był ten mąż, któremu po stu latach lud polski wznosi pomniki na obczyźnie. Kazał im wielkiem przykazaniem wychowywać swe dzieci na Polaków, na dobrych obywateli amerykańskich, lecz przedewszystkiem na Polaków i dla Polski, aby nie zabrakło ich w chwili gdy wybuchnie ta walka, która będzie, bo być musi.

„Wspaniałą swą mowę zakończył mówca wezwaniem ludu do okrzyku: niech żyje Polska, a gdy przewaliła się za chmury burza głosu z wielotysiącznej piersi, wzniósł drugi okrzyk: niech żyje Ameryka.

„Oto wszystko, co dostojny gość uznał za potrzebne powiedzieć zgromadzonemu ludowi polskiemu. Mało słów, a jak wiele treści. Cały program, krótki, jasny i dobry. Celem jest Ojczyzna, środkiem walka, narzędziem lud, a taktyką naśladowanie Kościuszki.

„Jako jeden ze słuchaczów dziękujemy serdecznie czcigodnemu arcypasterzowi za tę mowę, za takię właśnie przemówienie. Utkwi ono na zawsze w duszach tych tysięcy, co je słyszeli, a plon wyda zbożny i obfity“.

„Kurjer Polski“ z 20 czerwca 1905 podaje wytłumaczenie, dla czego Zarząd Związkowy nie uchwalił był powitania arcybiskupa Symona, gdy ten przybył do Ameryki. Jeśli to tłumaczenie jest nietylko prawdopodobne ale i prawdziwe, to był to znowu skutek fatalnej owej naszej tajnej dyplomacji czyli Terencjuszowskiej „milkliwości“, żeby broń Boże nic do gazet nie podawać o plano-

wanym przejeździe Symona do Ameryki. Oto jak „Kurjer Polski" usprawiedliwia Zarząd Centralny:

„Na tem miejscu dla uniewinnienia Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego nadmienić należy, że w owym czasie, kiedy przyszło pod obrady powitanie księdza arcybiskupa Symona, wszyscy członkowie Zarządu byli błędnie poinformowani o misji polskiego arcypasterza i — o jego narodowości. Członkom Zarządu powiedziano, że ksiądz arcybiskup Symon nazywa się właściwie „Simoni", że jest Włochem i że przybywa do Stanów Zjednoczonych w prywatnym charakterze. Gdyby tak było w rzeczywistości, to zrozumiałą jest rzeczą, iż Zarządowi Centralnemu nietylko nie wypadało uchwalić jakiekolwiek rezolucje powitalne, ale nawet wprost byłoby to zupełnie nie na miejscu.

„Członkowie Zarządu Centralnego, będąc w ubiegłą niedzielę na wielkiej trybunie podczas uroczystości Kościuszkowskiej, pragnęli wytłumaczyć swoje postąpienie Jego Ekscelencji, lecz nie mogli tego uczynić, ponieważ ks. arcybiskup Symon był przez cały czas tak otoczony licznymi księżmi, iż niemożliwem było dla któregokolwiek z członków Zarządu Centralnego zbliżyć się do ks. arcybiskupa".

84. „Milwaukee Sentinel" o Symonie. — Polka strasznie piękna. — Symon w Chicago. — Po raz pierwszy w Ameryce polski biskup udziela bierzmowania.

Nie same polskie, ale wszystkie gazety w Ameryce rozpisywały się szeroko o arcybiskupie Symonie i jego posłannictwie. Szczególnie reporterzy angielskich gazet w każdem mieście, gdzie przebywał, formalnie dobijali się o wywiad ze Symonem, który mówił płynnie po angielsku. „The Milwaukee Sentinel" z dnia 21 czerwca 1905 między innymi tak opisuje, co Symon mówił do niego:

„When I return to Rome next September I shall report on what I have seen and heard in my close and intimate associations with the Polish people in America. It is then that I may draw conclusions based on my observations, but not before. To get as comprehensive a picture of the conditions of the church it is my purpose to meet with as many Polish peiple as possible. I regret that my time is limited.

„I love America. It is a great country. I like your energy, your enthusiasm, the way you go after everything, this bustle and

hustle. When I first came here your bishops and priests regarded me somewhat with distrust. They were afraid that my visit would breed schism, but, now that they realize its purpose, all this has changed. They keep me continually on the go, from early morning to late at night. Every priest wants me to meet his people. I do not like this what I might call gypsy life, this hurrying me front one place to another, with ill regard to time and circumstance, but it is part of one's life, and while I am here I want to be an American boy, and, as he made this sally, he leaned back in his chair and laughed as heartily as a child.

Wants to See Parade.

„Everything in America is moving", he continued. „Sunday you had the Kościuszko monument, now you have the Woodmen. Sixty-five thousand strangers! Why, that is an army. If my friends will let me I shall try to see the parades Thursday and Friday".

The archbishop speaks English almost like a native. He is a great linguist, speaking almost a dozen modern languages fluently. A Londoner thought him English fully twentyfive years ago, and this is the first occasion since then where he has found a chance to make extensive use of his accomplishment.

„I prefer to speak English in America", he said, „because it is your language. Just as I speak Italian in Italy, French in France, or German in Germany.

Plans for Independent Poles.

„Ah, do you know something of that, to" he inquired when asked what plans if any he had to bring back the independent Poles to Rome. „I am making no efforts to bring these independents back to the fold. If at any time they will wish to meet me to discuss church affairs I shall be only to glad to comply with their request".

Archibishop Simon's love for children has made him a mark of special attention in the neighorhood of Kosciuszko park. While taking an airing with Father Szukalski, whose guest he is in Milwauke, yesterday he found a troop of school children playing in the vicinity of the monument. Divesting himself of his ecclesiastical dignity he entered into their plays for some time. When he left they joined in dancing ringarosey around him for several blocks. The archbishop was much pleased at this show of childish confidence.

A nie tylko amerykańskie, ale i rzymskie gazety opisywały wszystko, co arcybiskup Symon zdziałał w Ameryce. Pisze mi o tem do Ripon jego sekretarz ks. Fiori w liście z Milwaukee 22 czerwca 1905:

„Najdroższy Przyjacielu! Robię z dnia na dzień sprawozdanie z kościołów, które zwiedzamy, oraz z przyjęć uroczystych. Jest to praca dosyć długa, której kopję obiecuję Ci przesłać. Posłałem do Rzymu do „Giornale di Roma" rozmaite artykuły, ale nie wiem czy ogłoszone zostały, gdyż żadnych gazet z Rzymu jeszcze nie odebrałem.

Z serdecznem pozdrowieniem

Don Sisto Fiori."

W lecie o pół do dziesiątej wieczorem siedząc przy biurku i pracując nad wykonaniem Historji Polskiej w Ameryce, słyszę nagle pukanie do drzwi. Wchodzi do plebanji wysmukły, od słońca opalony młodzieniec, Mr. Norton, czysty Yankee umiejący tylko po angielsku i nie należący do żadnego kościoła, właściciel rybackich łodzi i parowców wycieczkowych na jeziorze Green Lake, sześć mil odległem od Ripon. Wszedłszy, od razu po prostu z mostu tak przemawia do mnie:

— Ja chcę zostać katolikiem.

— Dlaczego chcesz nim zostać?

— Ja chcę ożenić się z polską dziewczyną z Princeton Wis.

— Jak się nazywa ta dziewczyna?

— A bo ja wiem? Ale ona jest strasznie piękna — she is an awfully nice girl.

To wszystko co o niej powiedział. Pytałem więc dalej:

— I dlatego chcesz zostać katolikiem?

— A tak. Bo skoro ona jest tak piękną, to i jej religja musi być piękną. I jak ją poznałem i pokochałem, tak teraz i jej religję chcę także poznać i pokochać.

— Żebyś religję katolicką poznał i pokochał, zaczniemy zaraz pierwszą naukę.

Odtąd przez parę następnych miesięcy przyjeżdżał powozikiem z Green Lake do Ripon na naukę zawsze wieczorami o pół do dziesiątej, zmęczony i zziajany codzienną pracą. Potem ochrzciłem go i dałem mu ślub. Przesadzony z Ripon do Milwaukee, zapomniałem już o panu Norton. Aż po 10 latach wyjechawszy raz do Green Lake na ryby i w samo południe wysiadłszy z łódki na

wybrzeże lesiste i rozniecíwszy ogień dla ugotowania obiadu, widzę opodal w lesie przy rozpalonem ognisku ojca, matkę i kilkoro dzieci, z których jedno większe po chwili zbliża się do mnie i przynosi mi od ojca dużą ugotowaną rybę wraz z wyborną zupą. Było to od pana Nortona, którego ja nie poznał; ale on mnie z daleka poznał i przypomniał mi dawne czasy, kiedy to dawałem mu naukę, chrzest i ślub.

Po uroczystości Kościuszkowskiej arcybiskup Symon bawił jeszcze cały tydzień w Milwaukee i zwiedzał parafje polskie, wszędzie przyjmowany entuzjastycznie. Z Milwaukee był zaproszony udać się na północ i obiecał być na świętego Jana Chrzciciela w Princeton, potem w Ripon, Berlinie i Oshkosh i Menasha. Lecz ni stąd ni zowąd zmienił swój plan i z Milwaukee pojechał do Chicago. Ksiądz Fiori tak mi napisał: „Per ora l'Arcivescovo non puo prendere impegno di venire a Ripon perche deve soddisfare a molti altri inviti gia ricevuti". Już wszystko było przygotowane na jego przyjęcie. Nie przyjechał. Dziwił się potem, że go drugi raz nie zaprosiliśmy, lecz my mu oświadczyli, że przyjmiemy go chętnie każdej chwili, kiedy przyjedzie.

Podobnie, jak we wszystkich innych miastach, tak i w Chicago arcybiskup Symon był przyjmowany uroczyście z nadzwyczajną okazałością. Te przyjęcia, te pochody i występy wzruszają go do głębi. Z pewnością żaden naród jeszcze nie przyjmował dostojnika kościelnego tak wspaniale, uroczyście i serdecznie, jak amerykańska Polonja przyjmuje arcybiskupa Symona. To też Symon przekonuje się naocznie i dowodnie, jak polski lud w Ameryce spragniony jest biskupa własnej narodowości.

W sobotę wieczorem, dnia 24 czerwca ksiądz arcybiskup Symon przybył z Milwaukee do Chicago i zajechał wprost do rezydencji księdza arcybiskupa Quigleya. Nie dano mu tutaj długo odpocząć, bo niebawem do arcybiskupiego pałacu przybyli polscy księża i wraz z towarzystwami w triumfalnym pochodzie odprowadzili Jego Ekscelencję księdza arcybiskupa Symona do parafji świętego Wojciecha.

Gdy wieczorem tego dnia ksiądz arcybiskup Symon w asystencji wojskowych i cywilnych towarzystw wjeżdżał w granicę tej parafji, to wszystkie domy polskie były tak rzęsiście oświetlone i tak pięknie udekorowane, że wzbudzały prawdziwe zdumienie.

Zaraz po przybyciu ksiądz arcybiskup Symon udał się do kościoła świętego Wojciecha i tam wygłosiwszy krótkie, ale do

głębi wzruszające religijno-patriotyczne kazanie, udzielił tłumnie zebranym Polakom apostolskiego błogosławieństwa.

Dopiero około północy ksiądz arcybiskup Symon udał się na spoczynek, ale pomimo tego wstał rano, odprawił mszę świętą w kościele świętego Wojciecha, a potem był obecny na sumie, w czasie której wygłosił prześliczne kazanie. Po sumie spożywszy obiad, udał się do polskiej parafji świętej Trójcy, gdzie na jego przyjęcie czekały różne delegacje i komitety i tutaj znów musiał przemawiać.

Około 5 godziny po południu przybył na plebanję w parafji świętej Trójcy miejscowy ksiądz arcybiskup Quigley i dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół a ksiądz arcybiskup Symon wygłosił prześliczną mowę. Mówił tak pięknie, rzewnie i wzniośle, jak to chyba on jeden potrafi:

„Ten kościół, który tu wybudujecie, będzie na zawsze kościołem katolickim i **polskim.** Polacy chcą się modlić i dlatego stawiają świątynie, dając tem dowód, że pamiętają o Bogu podczas pracy nad zdobyciem grosza.

„Niech ten kościół będzie przybytkiem zgody, jedności i miłości bratniej wśród Polaków, którzy wyrzec się powinni raz na zawsze niezgody, swarów, kłótni i podejrzeń.

„Kościół ten będzie nietylko katolickim, **ale i polskim.** Modlić się będziemy po polsku, w mowie, którą wam Ojczyzna przekazała. Pan Bóg was stworzył Polakami, więc nie wstydźcie się tego a módlcie się po polsku w takim duchu, jak wasza polska dusza czuje. Niech ta świątynia będzie szkołą polskiej modlitwy w waszej ojczystej mowie zanoszonej i zanosząc modły wasze czujcie się Polakami, jakimi was Bóg stworzył".

Tak pracował Jego Ekscelencja ks. arcybiskup Symon przez ubiegłą niedzielę, a trzeba tu jeszcze i to dodać, że z Milwaukee przybył do Chicago niezdrów i mocno zaziębiony.

Ciało omdlewało, ale podtrzymywał je wielki i potężny duch, który ukochał gorąco swych rodaków, który pragnie doczesnego i wiecznego dobra.

W poniedziałek, 26 czerwca przed południem Jego Ekscelencja ksiądz arcybiskup Symon był obecnym na popisie uczniów w Kolegjum świętego Stanisława Kostki i pilnym uczniom rozdawał nagrody, a wieczorem odprawił nabożeństwo w kościele świętego Jozefata, gdzie też i wygłosił kazanie.

We wtorek, dnia 27 czerwca z rana ksiądz arcybiskup Symon zwiedził szpital polski Sióstr Nazaretanek, akademję dla dziewcząt, zostającą pod kierownictwem tychże Sióstr oraz odwiedził nowicjat OO. Zmartwychwstańców, a był także obecnym i przy ceremonjach pogrzebowych, odprawionych nad zwłokami ś. p. Piotra Kiołbassy.

W środę, dnia 28 czerwca ks. arcybiskup Quigley wydał obiad na cześć księdza arcybiskupa Symona, na którym byli obecni i biskupi z innych diecezyj i wielka liczba księży różnych narodowości, a głównie księży polskich. Tego samego dnia o 4 godzinie po południu Jego Ekscelencja ksiądz arcybiskup Symon udzielił św. Sakramentów Bierzmowania w kościele świętego Stanisława Kostki — w największej parafji w Ameryce.

Po raz pierwszy wydarza się wypadek w historji Polaków w Ameryce, że polski arcybiskup udziela Sakram. Bierzmowania. Wypadek ten pozostanie z pewnością aż do śmierci w pamięci tych, którzy z rąk zacnego arcypasterza ten Sakrament odebrali. Było to w środę d. 28 czerwca 1905 r. w kościele św. Stanisława Kostki — na wieczną rzeczy pamiątkę, Bierzmowanie, którego nasz arcypasterz sam osobiście dokonał, trwało 2 godz. od 4—6. Liczba przystępujących nie mało zadziwiła ks. arcybiskupa, dała mu niejako pojęcie o ogromie parafji św. Stanisława Kostki. Przystępujących było przeszło 700.

Jeszcze tego samego wieczora, po spożytej wieczerzy, arcybiskup Symon ze Stanisławowa udaje się na Marjanowo.

Ks. Franciszek Gordon, prob. parafji Najśw. Marji P. Anielskiej, dowiedział się dopiero wczoraj o godz. 7 wieczorem, że J. E. pragnie jeszcze jego parafję o godz. 8 odwiedzić. . Wielebny proboszcz pędzi co tchu ze Stanisławowa do swojej parafji i każe przez dzwony zwoływać wiernych do kościoła. Poskutkowało, bo gdy J. E. ks. arcybiskup wszedł do kościoła, ujrzał świątynię zapełnioną po brzegi. Znakomita improwizacja: kościół przepełniony ludem, dziewczęta w bieli, wyborny śpiew — wszystko na miejscu i wszystko w jednej godzinie.

Po nabożeństwie, przemowie i błogosławieństwie arcybiskup Symon zabiera się do wyjścia do powozu, a tu tymczasem czeka go pierwsza tego rodzaju niespodzianka: Lud wierny zapełnił korytarz 16 stóp szeroki i przeszło 100 długi; każdy się przedziera przez tłum, aby ucałować dłoń pierwszego polskiego arcybiskupa na ziemi amerykańskiej.

Mężczyźni, niewiasty, dzieci, wszyscy garną się do niego, jak do ojca, puścić go nie chcą nie ucałowawszy jego rąk. Wszelkie nawoływania, aby się tłum rozstąpił i przepuścił całodziennemi wizytami strudzonego ks. arcybiskupa, nic nie pomogły. J. Eks. sam sobie musiał torować drogę.

Na Bridgeporcie arcybiskup Symon udzielił pierwszej komunji św. 200 dzieciom i bierzmował 500 osób. Na Piotro-Pawłowie bierzmował 350 osób. W sali szkolnej na Bridgeporcie odbył się popis dzieci. Po skończonym popisie arcybiskup Symon odezwał się do dzieci w te słowa:

— A teraz — rzekł ks. arcybiskup zabierając się do wyjścia. Co mi się najwięcej podoba w Ameryce?

— Dzieci! — odpowiedziała dziatwa po długiem milczeniu.

— Nie! — odparł J. E.

— Polska mowa! — zauważyły niektóre.

— Trochę bliżej, lecz nie zupełnie.

— Śpiew — zgadywały inne.

— Jeszcze nie wszystko, ale złączcie to razem: Dzieci, które mówią, śpiewają i modlą się po polsku! — dokończył J. E. ks. arcybiskup.

Arcybiskup Symon przemawiał także w litewskiej parafji św. Jerzego, gdzie ciągle powtarzał: „Polska i Litwa to dwie rodzone siostry"!

Na Annowie bierzmował 200 osób. W Hawthorne poświęcił kamień węgielny pod nowy kościół i w przemowie powtarzał z naciskiem:

— Ten kościół, który tu wybudujecie, będzie na zawsze kościołem **katolickiem i polskiem.**

85. Prasa chicagoska wynosi Symona pod niebiosa.

„Gazeta Katolicka" z d. 13 lipca 1905 tak charakteryzuje pobyt arcybiskupa Symona w Ameryce:

Misja Najprzew. ks. arcybiskupa Symona to epokowe zdarzenie w dziejach Polonji amerykańskiej.

Podczas gdy wielu opuściło już ręce i z nieufnością przyjmowało wszelkie wiadomości w tej sprawie ważnej, bo odnoszącej się do podtrzymania ducha katolickiego i polskiego między rodakami w Ameryce, podczas gdy wielu uprzedzając fakta, zacierało już ręce, że Rzym nie czyniąc nic w tej sprawie, przyczyni się do odpadnięcia od Kościoła, podczas tego wszystkiego,

wysyła papież Pius X zaufanego ks. arcyb. Symona, do amerykańskiej Polonji, aby z miarodajnych ust usłyszał szczegóły o niej, które mają wpłynąć na stanowczą decyzję papieża w tej sprawie. Dziś już inny duch powiał między Polakami w Ameryce. Polonja wszędzie wita J. E. arcybiskupa Symona **jako zbawcę polskiej i katolickiej sprawy,** bo one ściśle złączone z sobą, a obóz niezależny zaczyna wchodzić w siebie i zastanawiać się nad tem, czy nie byłoby dla niego lepiej powrócić na łono Matki Kościoła, od którego oderwało go zdradziecko kilku upadłych księży".

„Dziennik Chicagoski", który z początku kwestjonował posłannictwo Symona, przyznaje teraz otwarcie, że Symon jest wysłannikiem Ojca św., przyznaje, że wyjechał do amerykańskiej Polonji z wyraźnego polecenia Ojca św. Piusa X i to pomimo tego, że na tę podróż nie zgadzali się prefekt Propagandy i inni doradcy papieża. „Dzien. Chicagoski" tak pisze:

„Jak nam wiadomo, przedsięwziął J. E. arcyb. Symon podróż do Ameryki **na wyraźne życzenie Ojca św.,** który w tym wypadku był nieczułym na perswazje prefekta Propagandy i innych swoich przybocznych doradców, który na serjo zajął się losem dwóch miljonów wygnańców polskich w Ameryce i pragnie o nas zasięgnąć informacji z ust wiarogodnych.

Nie ulega wątpliwości, że wysyłając ks. arcybiskupa Symona do Ameryki, nie mógł papież mieć innego celu na oku, jak przychylić się do słusznych żądań ogółu naszego duchowieństwa, które przez swoją delegację do Rzymu zwróciło uwagę J. Świątobliwości na swoją dotychczasową działalność, dzięki której Polacy stanowią tutaj silny filar amerykańskiej gałęzi rzymsko-katolickiego Kościoła, a pomimo to nie mają wprost żadnej reprezentacji w tutejszej wyższej hierarchji kościelnej. Taki stan rzeczy nie może nie okazywać się nienormalnym i Ojciec św. przyrzekł — jak wiadomo — złemu zaradzić, musi wszakże przedewszystkiem wiedzieć, jakim okolicznościom nienormalny stan rzeczy przypisać, po czyjej stronie wina złego, czy po stronie tutejszego episkopatu amerykańskiego, pragnącego nie dzielić się wpływami i władzą z przedstawicielami zbyt świeżej jeszcze emigracji polskiej lub po stronie może naszych księży, nie dość godnych, ażeby ich wywyższali tutejsi biskupi.

Sprawę tę wyświetlić należycie jest niewątpliwie jednem z zadań J. E. ks. arcybiskupa, który dzięki swemu wysokiemu stanowisku ma wolny przystęp do każdego dostojnika tutejszego

Kościoła, który swojem wykształceniem i towarzyskiem wzięciem imponować wprost musi niejednemu biskupowi amerykańskiemu, który nadto, jako filar Kościoła i wybitny patrjota polski imponuje naszemu polskiemu klerowi i cieszy się całkowitem jego zaufaniem.

Taki wysłannik Rzymu nie zawiedzie niewątpliwie Ojca św., nie narazi się tutejszemu episkopatowi, a z pomiędzy setek naszych księży odnajdzie kilku takich kapłanów, których śmiało przedstawi jako kandydatów na wyższe dostojeństwo w hierarchji kościelnej, jeżeli Ojciec św. okazywać zechce nadal tyle względów dla Polaków, ile raczył okazywać ich dotychczas".

Co za zmiana frontu? „Dziennik Chicagoski" jakby za dotknięciem jakiejś różdżki czarodziejskiej zmienił swoje zapatrywania.

Teraz już otwarcie przyznaje, że żądania polsko-amerykańskiego kleru były słuszne, a nadto, że nasza delegacja do Rzymu wywiązała się ze swego zadania doskonale.

W jednym ze swych licznych przemówień w Chicago J. E. ks. arcybiskup Symon wyraził się następnie:

„Uważajcie bracia — że każda parafja polska, to ul polski. Pracujcie więc razem dla wspólnego dobra i dla dobra Ojczyzny. Jak pszczoły do swego ula miód znoszą, tak wy razem starajcie się, by wszystko co polskie, wzrastało, rosło i potężniało".

Świetne i godne słowa tak wielkiego męża, jak ks. arcyb. Symona. Tak, każda parafja polska jest ulem polskim, do którego pożytek wszyscy znosić powinni, ale niestety, jak każdy ul, tak ten ul polski ma swych trutniów. Tymi trutniami są ci wszyscy, którzy do parafji nie należą, na jej utrzymanie i podniesienie nic nie dają, a jednak mieszkają w jej obrębie, żyją z parafjan i ciągną z nich zyski.

„Dziennik Chicagoski" tak opisuje Symona:

„W małych kółkach jest dyplomatą, a prawdziwym mistrzem w dyplomacji okazuje się w liczniejszem towarzystwie, jeżeli kto wystąpić zamierza z oskarżeniem przeciw pewnej grupie osób, zwłaszcza księży, należących do pewnej frakcji. Wówczas ks. arcybiskup orjentuje się na poczekaniu o co się rozchodzi, tak zręcznie zagaduje oskarżyciela i tak stanowczo odbiera mu głos, że zdawałoby się na pozór, że J. Eks. jest przekonany, iż niema między nami takich osób, któreby oprócz wad powszednich i łat-

wych do wytłumaczenia, posiadały zbyt wielkie, zasługujące na skarcenie.

„Zdawało się niejednym, że J. E. ks. arcybiskup rozpocznie swą działalność misjonarską w Chicago od odprawienia nabożeństwa i wygłoszenia kazania w kościele św. Jadwigi.

„Tłumaczono takie mniemanie koniecznością okazania Jadwigowianom uznania ze strony Dostojnika rzymsko-katolickiego Kościoła za ich wierne spełnianie swych obowiązków, oraz przekonania niezależnych, do czego ich prowadzi ich upór. Ksiądz arcybiskup postąpił inaczej. On nie zna niezależnych, których dawno Kościół potępił. Tak mało sobie z nich robi, że wystarczy mu być na Jadwigowie dopiero za swoim powrotem do Chicago, w końcu lipca.

„Nietylko z niezależnymi nie chce wysłannik Ojca św. nic mieć do czynienia. W licznem gronie osób duchownych i świeckich oświadczył wyraźnie, że przybył do Ameryki tylko do takich Polaków, którzy za swych przewodników uważają księży rzymsko-katolickich i takie osoby świeckie, które z polskiem duchowieństwem idą ręka w rękę.

„Zganił otwarcie jednego z księży, który przedstawił mu kilku notorycznych bezwyznaniowców. Powiedział, że Polska jest od wieków katolicką i jest oparta o Rzym i taką została w przeszło stuletniej niewoli. Kto dziś odwodzi lud od wiary i od Kościoła katolickiego, ten działa nie na dobro, lecz na szkodę Polski.

„A jednak w tydzień później udzielił ks. arcybiskup posłuchania przedstawicielom pewnej liberalnej organizacji...“

Tu „Dziennik Chicagoski“ po swojemu opisuje posłuchanie Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego. Ja tu wolę przytoczyć to, co „Zgoda“, organ Związku Narodow. Polskiego o tem posłuchaniu pisze:

„Korzystając z obecności w Chicago polskiego księcia Kościoła i znakomitego patrjoty ks. arcyb. Symona, Zarząd Centr. Związku Narodowego Polskiego prosił J. Eks. o osobne posłuchanie w celu zaznajomienia go z organizacją i celami Związku Narodow. Polskiego i udzielenia mu takich informacji, jakichby znakomity gość sobie życzył. Arcypasterz przyjął Zarząd Centralny w czwartek o godz. 4 min. 30 bardzo łaskawie i rozmawiał

dość obszernie o Związku, zadając różne pytania i omawiając otrzymane na nie odpowiedzi. J. Eks. jak wszędzie w swych przemówieniach do Polaków. robił nacisk na zachowanie i utrzymanie polskości w młodem pokoleniu, na oświatę, na czystość języka i na konieczność utrzymania dobrych, przyjaznych stosunków między Polakami, dbającymi o swoją narodowość na wspólnym gruncie przywiązania do Polski i pracy dla polskości. Zarząd Centralny zapewnił Dostojnika Kościoła, że Związek nigdy nie występował i nie występuje przeciw Kościołowi i że jako całość nie może być odpowiedzialnym za czyny jednostek.

Zdaniem „Dziennika Chicagoskiego" kilkomiesięczny pobyt arcybiskupa Symona w Ameryce stanowić będzie niewątpliwie jedną z najciekawszych kart w historji emigracji polskiej.

86. Arcybiskup chce przedłużyć swój pobyt w Ameryce, lecz jego sekretarz sprzeciwia się temu z powodów pieniężnych.

Arcybiskup Symon otrzymywał zewsząd tyle zaproszeń, że trzebaby mu było pozostać rok cały w Ameryce, żeby wszystkich zadowolić. Arcybiskup miał ochotę przedłużyć swój pobyt w Ameryce, ale jego sekretarz, ksiądz Fiori, stanowczo był temu przeciwny z następujących powodów, które przytacza w liście z Chicago 1 lipca 1905 do Ripon pisanym:

Najdroższy Przyjacielu!

Odebrałem Twoje listy z 28 i 29 czerwca, na które natychmiast odpowiadam. Jego Eksc. mi mówi, że nie przypomina sobie, żeby na zaproszenie ks. Bieniarza obiecał przybyć do Berlina, Wisconsin. I rzeczywiście w dn. 26, 27, 28, 29 i 30 czerwca był zajęty tu w Chicago, podług zaproszeń poprzednich, jak to wynika z mojego notatnika. Zatem na razie jest absolutnie niemożliwem przyjąć twoje łaskawe zaproszenie, i nie wiem, czy później będziemy mieli czas przyjechać, gdyż nawet miesiąc sierpień mamy już zajęty. Ażeby zadowolić wszystkich, trzebaby tu pozostać przynajmniej jeszcze 6 lub 8 miesięcy i wierzę, że arcybiskup nie byłby przeciwny temu, ażeby przyjąć propozycję zrobioną przez niektórych księży w Chicago, o której mi opowiadał przedwczoraj, ażeby w Ameryce jeszcze pozostać przez całą zimę i w miesiącu kwietniu kontynuować swoje objazdy. Wyznaję ci, że ja oświadczyłem się przeciw takiej propozycji, a to dla rozmaitych powodów.

Z mej strony mam wszelki szacunek i wszelki respekt dla kleru polskiego, chociaż większa część jego nie uczyniła zadość żadnym obowiązkom grzeczności i sprawiedliwości względem mnie. Odwiedziliśmy już 47 kościołów, a w każdym arcybiskup jakieś funkcje sprawował. Otóż w 30 z nich odnośni proboszczowie czy rektorzy nie raczyli mi nawet słówkiem podziękować (non si sono degnati neppuure di un „grazie" per me). Ty wiesz dobrze, że podjąłem się tej podróży na mój koszt, i już mnie kosztuje około 2300 lirów; od 1 maja nie pobieram już więcej mojej pensji, jaką miałem w Rzymie 250 lirów miesięcznie (jako profesor); od arcybiskupa nie biorę ani cencika i nie mogę mieć do niego żadnej pretensji, gdyż przed podróżą oświadczyłem mu, że nie będę nic żądał. Od dnia, kiedy przyjechaliśmy, aż do dzisiaj, otrzymałem 204 dolary od 17 proboszczów. Z czego widzisz dobrze, że nietylko straciłem pensję, ale jeszcze i wydatki na podróż mi się nie opłaciły. W takich warunkach czyż ja mogę sprzyjać przedłużeniu naszego pobytu w Ameryce? Tutaj w samym Chicago, gdzie się spodziewałem, że po Twojej rekomendacji proboszczowie wynagrodzą mi moją pracę, od ośmiu kościołów, w jakich arcybiskup funkcjonował, w pięciu z nich ani Bóg zapłać nie otrzymałem. Arcybiskup myśli, że wszyscy swój obowiązek spełniają względem mnie, tak jak to czynią względem niego, ale w rzeczywistości tak nie jest. Tego wieczoru włożył na mnie formalne zadanie napisania w pięknej włoszczyźnie memorjału, dobrze umotywowanego, o położeniu Polaków w Ameryce dla przedstawienia Ojcu świętemu i oddania do druku, co pokazuje, że on jest dobrze usposobiony dla was. Ale czy ja mogę narażać się na nowe wydatki i na pracę, która mi z pewnością zajmie dużo czasu, nie mając żadnej nadziei, żeby ta praca była wynagrodzoną i te wydatki zapłacone? Od 18-go maja aż do dzisiaj miałem tylko jeden dzień odpoczynku, a to było zeszłego piątku; w Milwaukee zrzekałem się wiele razy, prawie zawsze, wycieczki automobilowej z arcybiskupem i zostawałem w domu zamknięty, aby pisać, a tu w Chicago, ażeby mieć czas do napisania tego listu do Ciebie, podczas kiedy wszyscy śpią od dwóch godzin, ja jeszcze jestem na nogach, jest już godzina 12:30, a rano muszę wstać o 5:30. Osądź sam, czy takie życie może być znośne bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Myślą może księża polscy, że mnie sowicie opłaca arcybiskup? Mylą się, i ja Ci daje pełne upoważnienie powiadomienia ich, 1) że od 1-go maja ja straciłem moją pensję w Rzymie w sumie 250 lirów miesięcznie,

i że, jeśli na 1-go października nie powrócę do Rzymu, będę musiał stracić moją pensję przyszłego roku szkolnego, bo ten, który mnie zastąpi, raz zacząwszy rok, musi go skończyć;

2) że nie otrzymuję od arcybiskupa ani cencika pensji.

Sens tego mojego bardzo długiego listu jest taki: czułem właściwie potrzebę przedstawić to wyraźne oświadczenie Tobie, który jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam w Ameryce.

Gdybym był naprzód wiedział, że tak będzie, jak jest, nie byłbym się ruszył z Rzymu; a gdybym ja nie był ruszył i poruszył arcybiskupa, on by nigdy nie przyjechał: arcybiskup może poświadczyć to, co mówię.

Zrozumiej mnie dobrze: z mej strony nie oskarżam wcale kleru polskiego, do którego nie mam żadnej pretensji, tylko pragnę wyświetlić, jakie jest moje prawdziwe położenie, ażeby nie mówiono, że ja przyjechałem do Ameryki na jego koszt i że jestem opłacany za moją pracę.

Z najserdeczniejszem pozdrowieniem kreślę się

Twoim najwierniejszym przyjacielem,

Don Sisto Fiori."

Powyższy list tłumaczy nam, dlaczego arcybiskup już przed 1 października 1905 był napowrót w Rzymie. Snać musiał i on się oglądać na tylne koło wozu, na swego sekretarza. A biedny ksiądz Fiori, wybierając się „w służbie ogółu" do Ameryki, nie znał widać tej prawdy, wypowiedzianej przez Goethego:

Wer dem Publikum dient ist ein armes Tier,
Er quaelt sich selbst ab und bekomnt nichts dafuer.

Co bym przełożył na język polski:

Kto służy ogółowi, to mizerne zwierzę,
Które się namęczy, a tylko baty bierze.

W służbie publicznej, w rzetelnej pracy dla dobra ogółu, nikt długo nie wytrwa, który pracuje li tylko z przyrodzonych pobudek i oczekuje zapłaty lub wdzięczności od tego ogółu. Taki wnet dozna gorzkiego rozczarowania. Wyższe, nadprzyrodzone pobudki są niezbędne do wytrwania w służbie ogółu. Ale trudno było żądać takiej heroicznej cnoty od obconarodowca, jakim był ksiądz Fiori. To też jako delegat do Rzymu, wiedząc już z doświadczenia, jaką ogół odpłaca się wdzięcznością, napisałem był jeszcze

w czercu 1905 list do prezesa Wydziału Wykonawczego z prośbą, by zachęcił księży do pewnego wynagradzania zwłaszcza księdza Fiori'ego. Na to prezes ks. Truszyński z Peoria, Ill., 23-go czerwca 1905 tak mi odpowiedział:

„Wielebny i drogi Księże: List księdza Dobrodzieja otrzymałem dziś rano, odjeżdżając z Peru do Peoria. Przybyłem do Peorji w celu zawiadomienia ks. biskupa Spaldinga o życzeniu ks. arcybiskupa Symona odwiedzenia naszego ks. biskupa. Ks. arcybiskup przybędzie do Peoria dn. 3-go lipca, do Peru przybędzie dnia 4 lipca. Co do kwestji, którą ks. Dobrodziej porusza w ostatnim liście do mnie, odpowiadam w sposób następujący: — Najpierw, wiadomo księdzu, że kwestja biskupa Polaka, jak również przyjęcie księdza arcybiskupa, pokrycie podróży jego, oraz kwesty Świętopietrza, należy do Stowarzyszenia Księży Świeckich, do nich właściwie ks. Dobrodziej w tej kwestji ma się udać. Po drugie, ponieważ zaprosiłem do siebie cały zarząd Stowarzyszenia na dzień 3-go lipca, więc też jemu kwestję poruszoną przez ks. Dobrodzieja przedstawię w Peru. — Co do mego zdania, to niema obawy, by ksiądz arcybiskup Symon wyszedł na podróży tak, jak się to miała rzecz z owym robakiem. O zapłaceniu lub o podarunkach dla ks. Sekretarza nie było mowy na posiedzeniu w Nowym Yorku. Ksiądz arcybiskup dostaje dobrze wszędzie, gdzie jest. Widziałem na własne oczy czeki, które dostał ks. arcybiskup od kilku księży, a każdy jest dość pokaźny, bo żaden nie jest mniejszy od stu dolarów, a parę przeszło dwieście zawierają. Widziałem to dni temu parę, gdyż je mnie pokazał ks. Fiori, który wpisując do raportu, pytał mnie, jak się niektóre nazwiska piszą. Oprócz tego słyszałem od księży chicagoskich o ich zamiarach ofiarowania kwot bardzo poważnych. Są one pomiędzy 200 do 500 dolarów. — Co do księdza Fiori, to nie wiem, co kto mu da. Widziałem jednak na własne oczy, jak ks. Gronkowski dał mu ofiarę na kilka Mszy św. Co do mnie, to mam już przygotowany przekaz bankowy na sto dolarów. Więcej dać nie mogę, gdyż i tak mnie bytność ks. arcyb. dużo kosztuje, gdyż dużo jeżdżę, a każdy raz muszę grubo płacić zastępstwo. Zresztą, jak już wspomniałem, list Księdza Dobrodzieja przedstawię księżom z zarządu Stowarzyszenia w Peru. Tymczasem pozdrawiam

Ks. K. Truszyński."

W liście z dnia 3 lipca 1905 ks. Fiori wymienia mi szczegółowo wszystkie kościoły, w jakich był z arcybiskupem, i podaje

nazwiska wszystkich proboszczów, od których nic nie dostał. List ten poszedł do mojej teki.

87. Arcybiskup Symon we Wisconsinie i Minnesocie. — Pierwsze poświęcone dzwony przez polskiego biskupa są we Fancher, Wis.

Chicago podziwiał arcybiskup Symon, nazwał je drugim Babylonem, lecz nie chciałby w niem mieszkać — za wiele hałasu i dymu. Jeszcze nie zwiedził połowy Polonji chicagoskiej, a już udał się w dalszą podróż do miast w stanach Wisconsin i Minnesota. Z pałacu arcybiskupa Quigley'a, gdzie miał stałą kwaterę, wyjechał 6 lipca. Nazajutrz wieczorem był już w Beaver Dam, Wisconsin, gdzie na spotkanie jego wyszedł ksiądz Wenta, wyszły wszystkie towarzystwa, kompanja K. na czele orkiestry. Stąd następnego dnia pojechał aż do Winony, Minnesota. Tu najpierw złożył wizytę biskupowi Cotter. Potem arcybiskup Symon, biskup Cotter, ksiądz Pacholski i ksiądz Fiori wsiedli do powozu, zaprzężonego w cztery białe konie. Pochód był siedem bloków długi i poprzedzany był przez konnych legjonistów i kapelę. W niedzielę, dnia 9-go lipca w kościele księdza Pacholskiego biskup Cotter celebrował sumę pontyfikalną, a arcybiskup Symon wygłosił kazanie na temat łodzi Piotrowej: „Wy musicie słuchać kapłanów, kapłani biskupów, a biskupi papieża, który jest tym Piotrem, wybranym przez Pana Jezusa i który kieruje tą łodzią''.

W dalszym triumfalnym pochodzie arcybiskup Symon zwiedził La Crosse, Wisconsin, dnia 10 lipca, a 11 lipca St. Paul, Minnesota, gdzie najpierw wstąpił do pałacu arcybiskupa Ireland'a, potem Minneapolis; następnie Duluth, Minnesota, i Superior, Wisconsin, gdzie Polaków w Ameryce przyrównał do łodzi, otoczonej bałwanami amerykańskich żywiołów: „Widzę na tej łodzi was, Polaków, wasze dzieci, kościoły, szkoły, bractwa i księży, ale widzę, że ją te bałwany zaleją, jeżeli nie będziecie jej dobrze pilnowali''. W sobotę, 15 lipca, wspaniale był przyjmowany w Ashland, Wisconsin.

W poniedziałek, 17 lipca zwiedził Stevens Point, Polonję i Fancher, gdzie arcybiskup Symon 18 lipca, poświęcając dzwony, dwukrotnie zaznaczył: „że są to **pierwsze dzwony** na ziemi amerykańskiej, które zostały **poświęcone przez polskiego biskupa''.** Był potem w Pułaski, Wisconsin, Green Bay, Wisconsin i okolicy; 25 lipca w Manitowoc, Wisconsin. Dnia 24-go i 25-go lipca spędził w Milwaukee na konsekracji biskupa Schinnera.

Dnia 26-go lipca arcybiskup Symon wrócił do Chicago razem z biskupami Muldoon i Quigley i delegatem apostolskim Falconio. Tego samego dnia wieczorem u ks. Furmana na Kazimierzowie bierzmował 575 osób. Następnie zwiedził sierociniec w Avondale, dalej na Józefowie bierzmował 717 osób. Na Kantowie po obiedzie trzy dziewczynki powiedziały mu piękny wiersz, kończący się wyrazami: „A czy pozostaniesz, wolno mi zapytać?"

Na to zapytanie arcybiskup Symon odpowiedział:

— Nie! Ale wiecie co? Gdybym tylko mógł, gdybym miał tyle siły, to jabym was wszystkich przewiózł do ukochanej naszej Polski.

Na ostatku w Chicago odwiedził Jadwigowo, gdzie niezależni rozdział uczynili. Tu między innymi powiedział takie słowa:

„Pan Jezus w dzień przed Swoją śmiercią przyobiecał uczniom swoim, że nie zostawi ich sierotami, że będzie z nimi aż do skończenia świata. Dał im więc Matkę — swój Kościół rzymsko-katolicki, który dziś swemi ramionami ogarnął miljony ludzi. Polacy także należą do tej Matki, karmiącej swe dzieci miłością Bożą i bliźnich. Lecz niestety, znalazły się i takie dzieci, które wyssawszy wiarę i chrzest z piersi swej Matki, teraz targają tę pierś przeczystą przeklętymi zębami swymi. Tę Matkę, która pracuje dla ich dobra, one zdeptały, zhańbiły.

I tu, w tej okolicy doznała ta Matka zniewagi — bo niektórzy, którym ona dała wszystko, targają ją, hańbią i znieważają.

Pokonywujcie więc — mówił J. E. — tych synów wyrodnych, nie nienawiścią, nie przekleństwami, nie gromami, lecz miłością, miłością chrześcijańską".

Z Chicago arcybiskup Symon wyprawił się po raz drugi do Minnesoty. Udał się tam dnia 1 sierpnia na szczególniejsze zaproszenie biskupa Trobec; oczekiwał go biskup Trobec z księżmi polskimi z St. Cloud na dworcu w St. Cloud i zabrał wszystkich do siebie na obiad. Po kazaniu w St. Cloud, arcybiskup Symon wieczorem pojechał do Little Falls, Minn., skąd po nabożeństwie wizytacyjnem nazajutrz powozem wyruszył do Swan River. W pół drogi zabiegła mu kawalerja na rosłych i pięknych koniach. Ludzie jak mrowie, oblegali świątynię. Po obiedzie wybrał się do North Prairie, Minnesota, w towarzystwie kawalerji z chorągiewkami ułańskimi. Tu Ślązacy przyjęli go serdecznie, całując jego ręce i szaty. Potem wieczorem zwiedził Opole, Minn., skąd 3 sierpnia

udał się do S. Anny, Minn. Tego samego dnia stanął w Albercie, Minn., a stamtąd 4 sierpnia powrócił znowu do Chicago.

Człowiek na drabinie po ilu szczeblach wznosi się do góry, po tylu schodzić musi na dół. Mądry człowiek, wszedłszy po drabinie do góry, nie kopnie jej i nie odepchnie, bo wie, że mu będzie potrzebna do zejścia na dół.

Jeszcze 20 czerwca 1905 pisał mi mój brat Michał:

„Kochany Bracie! Wczoraj miał interview z arcybiskupem Symonem nasz reporter Rachocki. Pomiędzy innymi **prywatnie** mówił mu X. Symon, że oddaje Tobie wszelkie uznanie „jako księdzu patrjocie", ale sądzi, że źle zrobiłeś, biorąc „protestanta Mahany'ego" jako współdelegata do Rzymu, i że to „wywarło złe wrażenie w Rzymie". Mnie się zdaje, że on tego nie słyszał w Rzymie, ale w Ameryce, a szczególnie w Milwaukee... Dowodzi to jednak, że nawet arcybiskupi nie są wolni od pobocznych wpływów, i że nie uznają starań i pracy, ale wynajdują błędy, które nie mają żadnego znaczenia. Arcybiskupowi Messmerowi i jemu przychylnym, a Tobie nieprzychylnym księżom, chodzi o to, aby najpierw Ciebie i Twoją pracę w Rzymie zdyskredytować; poczem naturalnie wszelkie starania Polaków upaść muszą".

Co o „protestancie Mahanym" arcybiskup Symon reporterowi „prywatnie" mówił, tego mnie ani on, ani żaden kardynał w Rzymie nigdy nie powiedział. Owszem, chwalili naszą roztropność wężową w tym względzie. Ale w Ameryce często słyszałem, że gdyby nie Mahany był w Rzymie, nie byłby Symon w Ameryce!!! Ale w Ameryce często słyszałem, że zabranie Mahany'ego do Rzymu „ogromnie zgorszyło" biskupów amerykańskich. Arcybiskup Messmer, za nim z pewnością i inni biskupi, wychodzili z tego fałszywego założenia, że lud polski nigdy by nie pragnął biskupów polskich, gdyby nie agitacja księży polskich. Całkiem naturalnie mnie jako „lucypera" tej agitacji usiłowali zdyskredytować, a przez to sprawę ubić. Księża zaś, mnie nieprzychylni, odtąd będą się starali mnie także zdyskredytować, ale nie żeby sprawę ubić, tylko raczej żeby ją poprzeć. Mniemali bowiem, że biskupi amerykańscy, przyjmując arcybiskupa Symona ucztami i bankietami, widocznie muszą być najlepiej usposobieni dla sprawy naszej, a tylko ja z protestantem Mahanym ją pokpiłem.

Protestanta Mahany'ego ks. dziekan Pitass wybrał był pierwszy, więc go o powyższem zdaniu Symona uwiadomiłem. Dnia 4-go lipca 1905 ks. Pitass przez pana Ślisza tak odpowiada:

„Zwątpiłem w udanie się sprawy i jestem zniechęcony i zdenerwowany. Nadrabiam miną jak mogę i umiem, aby swego zwątpienia nie przelać w dusze drugich. Nie chciałem moim pessymizmem zniechęcać Drogiego Księdza i dlatego nie pisałem. Dzisiaj przerywam milczenie, chociaż wołałbym milczeć. Zdaje się, że misja ks. arcybiskupa Symona chybi celu i że to jeszcze nie ów spodziewany „Mesjasz"... Uprzedzenia do ks. Dobrodzieja ks. arcybiskup nie powziął w Milwaukee, ale po części nabył je w Rzymie od biskupów amerykańskich), a po części od delegata papieskiego w Washingtonie i od biskupów, z którymi się widział wpierw, zanim przybył do Milwaukee. Wiem o tem, że Drogiemu Księdzu Dobrodziejowi dzieje się straszna krzywda, ale na to jest tylko jeden sposób, porzucić niewdzięczną archidiecezję Milwaukee, a przenieść się gdzieindziej, chociażby i do nas do Buffalo. Dobra sprawa prędzej czy później musi święcić triumf, a po ukrzyżowaniu następuje zmartwychwstanie".

88. Moja odpowiedź na przedwczesną krytykę arcyb. Symona. — Gdy się słońce ukaże, księżyc blednie, a gwiazdy znikają.

Pesymistą, patrzącym przez czarne okulary na sprawę biskupów polskich stał się także p. Modest Maryański, który z Chicago 18-go lipca 1905 r., w długim liście do mnie, tak snuje swe poglądy: „Młoda Polska w Ameryce przedstawia się jako żywioł anarchiczny. Samolubstwo, sobkostwo, przesądny egoizm rozbija wszystko na strzępy. Odczułeś to samo głęboko, Czcigodny Ks. Proboszczu, kiedy dla idei wielkiej wprowadzenia ładu, składu, porządku, karności, organizacji pośród tej przeszło dwumiljonowej polskiej rzeszy i celem uratowania jej choćby częściowo dla tej Matki naszej Polski nad Wartą, Odrą, Wisłą, Dunajcem i Dnieprem, poszedłeś, narażając Swoją karjerę duchowną tutaj, do Rzymu, by tam pukać o głowę duchowną dla Polaków w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, całej swej karjery duchownej, widzisz spełnienie pierwszej części usiłowań Swoich, już poić się musisz niewdzięcznością, zapomnieniem zobowiązań i deklaracji Tobie danych, a i spaczeniem częściowem misji delegata papieskiego ks. arcybiskupa Symona. Ażeby nie dopuścić do obsadzenia stolicy biskupiej, jednej z diecezyj amerykańskich przez Polaka, chcąc uśpić czujność zacnych dusz jak Twoja, Czcigodny ks. Proboszczu i złamać i zepsuć usiłowania Twoje, ażeby nie dopuścić, aby **około osoby Polaka-biskupa, naczelnika diecezji**

kościelnej grupować się zaczęły żywioły lepsze, ażeby stamtąd wychodziła inicjatywa do pracy zbożnej, celem zaprowadzenia (moralnej) władzy i karności pośród polskiej tutaj ludności; już dzisiaj głośno mówić zaczynają o mianowaniu polskich sufraganów sine jure successionis. Jeden Polak na stolicy biskupiej więcej by był wart, od tuzina całego polskich sufraganów i kwestja sufraganów widocznie jako półśrodek do niedopuszczenia na stolicę biskupią Polaka poddany już został..."

I tak, podczas kiedy arcybiskup Symon triumfalnie objeżdżał Amerykę, ten pesymizm zaczął się szerzyć otwarcie nawet w prasie amerykańskiej. Z jednej strony ajrysko-niemieckie organa biskupie udowadniały, że jeszcze nie czas na biskupów polskich, że Polacy jeszcze nie dorośli do tego. Z drugiej strony polskie gazety stawiały wprost takie pytanie: Co zrobił dotąd Symon... Biskupa nam nie zrobił!... Na widok tego pesymizmu nie mogłem dłużej milczeć. Wziąłem pióro do ręki i napisałem do gazet następujący artykulik:

Poruszanie wskazówek nie zmienia czasu.

W Ripon — podobnie jak w innych miejscowościach — suma w niedzielę rozpoczyna się w lecie o godz. 10-ej. Starzy, dziadek lub babka, kiedy widzą na zegarze pół do 10-ej, biorą »Dunina« pod pachy i wychodzą z domu do kościoła. Otóż pewnej niedzieli zegar zmylił starych, tak dziadka jak i babkę. Przyczyną tego byli figlarni chłopacy, Franek i Staś, lubiący swawolnie poruszać skazówki na zegarze. Najpierw Franek posunął skazówkę o całą godzinę naprzód, co spowodowało, że dziadek zamiast na 10-tą był już w kościele o 9-ej; a skoro dziaduś wyszedł z domu dowcipny Staś cofnął znowu skazówkę o dwie godziny w tył, skutkiem czego babunia zamiast na 10-tą przyszła na nabożeństwo dopiero o 11-tej, kiedy już ludzie mieli wychodzić z kościoła. Skutek był ten, że dziadek skarżył się, iż proboszcz spóźnił się ze sumą, a babunia się skarżyła, że proboszcz wyszedł dziś ze sumą o całą godzinę za prędko. Tymczasem suma jak zwykle zaczęła się o swoim czasie, t. j. o godz. 10-ej, a nie prędzej ani później. Poruszanie skazówek na zegarze nie zmieniło czasu.

Podobnie jak w tym wypadku domowym, rzecz się ma i w dziejowym postępie czasu, w historji społeczeństwa, narodu, Kościoła. Byli i są z jednej strony tak zwani postępowcy, którzy skazówkę na zegarze dziejowym posuwają naprzód i wyprzedza-

jąc fakta, skarżą się, że społeczeństwo czy Kościół nie postępuje z duchem czasu, że już dawno „czas na sumę“ czas, by naród czy Kościół to lub owo zrobił — z drugiej strony znowu byli i są w społeczeństwie tak zwani zacofańcy, którzy skazówkę na zegarze dziejowym naumyślnie cofają wstecz, by potem móc powiedzieć, że „jeszcze czas na sumę“, że n. p. jeszcze nie nadszedł czas, by z łona polskiego kleru wyszedł biskup polski w Ameryce. Atoli takie dowolne poruszanie, cofanie lub posuwanie skazówek na zegarze dziejowym bynajmniej nie wpływa na rzeczywisty postęp czasu. Czas postępuje ciągle, wolno, ale stanowczo i sumiennie; i tylko to, co się w samą porę, w sam czas zdarza, jest rzeczywistem, prawdziwem i mądrem; co zaś przed czasem, nosi piętno szaleństwa, a co po czasie, nosi znamię śmieszności. Powinniśmy iść ciągle naprzód z postępem czasu nie dając mu się wyprzedzać ani też nie wyprzedzając go w szalonym, karkołomnym pędzie postępowca. Kto wyprzedza bieg czasu i wypadków, ten jak szaleniec, leci na złamanie karku, kto zaś nie idzie z postępem czasu naprzód, lecz stoi ciągle tam, gdzie jego dziad i pradziad stali, ten już tem samem, że stoi, cofa się wstecz i naraża się na śmieszność, ilekroć występuje na jaw w pochodzie dziejowym ludzkości. Gdy inni już wracają z kościoła, on dopiero idzie „na sumę“!...

Takimi zacofańcami, nie idącymi z postępem czasu są naprzykład owi Irlandczycy i Niemcy, którzy mówią, że obyli się dotychczas Polacy w Ameryce bez biskupów, to i na przyszłość się obędą; albo którzy cofając w tył skazówkę na zegarze dziejowym powiadają: dopiero dziewiąta godzina, jeszcze czas na sumę, Polacy jeszcze nie dorośli do tego, żeby mieli biskupów swojej narodowości. Jacy oni śmieszni! Skazówki mogą cofnąć w tył, ale czasu samego nie mogą cofnąć — dziesiąta już wnet wybije i — suma się rozpocznie dla Polaków w Ameryce! choćby oni skazówki na zegarze dziejowym dla nas nie wiedzieć jak cofali w tył!...

Innym, który jak ów Staś cofa skazówkę w tył, jest postępowy zresztą pod innym względem redaktor pewnego dziennika ze wschodu. Zajmuje on jeszcze ciągle względem Związku Narodowego Polskiego to samo stanowisko, jakie zajmował dziesięć lat temu, to samo, jakie zajmował papież Pius IX i papież Leon XIII względem liberalnego rządu włoskiego. A tymczasem czasy się zmieniły i my w nich się zmieniliśmy, przynajmniej powinni-

śmy się byli zmienić — ku lepszemu, ku wzajemnej braterskiej zgodzie i wyrozumiałości chrześcijańskiej. Minęły te czasy, kiedy papieże stali na stopie wojennej z rządem włoskim. Panujący nam dziś miłościwie Pius X zawarł jaką taką ugodę, jaki taki „modus vivendi“ z liberalnym rządem włoskim — czemuż my byśmy nie mieli to samo uczynić z naszym Związkiem Narodowym Polskim, który chyba bardziej liberalnym nie jest od rządu włoskiego! Idźmy z postępem czasu, a nie chciejmy być bardziej katolickimi niż sam papież! Sił narodowych polskich i tak zbyt mało mamy w Ameryce, więc zamiast je ropraszać, powinniśmy je skupiać, łączyć, jednoczyć pod jednym sztandarem zgody bratniej i miłości chrześcijańskiej!

Karkołomnym zaś postępowcem, który znowu jak ów Franek posuwa naprzód skazówkę na zegarze jest wydawca pewnego „narodowego“ tygodnika na wschodzie. Nadesłał on mi właśnie dziś swój tygodnik, w którym na samym wstępie stawia to przedwczesne pytanie: „Co zrobił dotąd (arcyb.) Symon“? Gdyby to pytanie był postawił w kilka miesięcy po odjeździe arcybiskupa Symona z Ameryki, byłoby to może na miejscu i na czasie. Ale już dziś brać to za złe arcyb. Symonowi, że nie zrobił dotychczas żadnego biskupa polskiego w Ameryce, to arcyśmieszne i niedorzeczne. Czekaj Pan, wszystko będzie — w porę i w czas! Toć arcyb. Symon dopiero się zapoznaje z naszymi stosunkami, dopiero, że tak się wyrażę, bierze ślub z Polonją amerykańską — czy zaraz bezpośrednio po ślubie ma się ukazać owoc — biskup polski? Wszystko ma swój czas i w swoim czasie z pewnością ukaże się owoc Jego wizyty. Nie należy wyprzedzać faktów, skazówki na zegarze nie należy posuwać naprzód, bo to bynajmniej nie przyśpieszy czasu; należy raczej czekać cierpliwie, aż w rzeczywistości wybije dla nas godzina dziesiąta — a wtedy rozpocznie się suma, i to pontyfikalna, dla Polonji amerykańskiej.

Ripon, Wis., 31 lipca 1905.

Ks. Wacław Kruszka.

Ks. Fiori pisał mi ciągle, że arcyb. Symon dopytuje się o mnie i chciałby się ze mną spotkać, a ja znowu ciągle oczekiwałem wizyty arcybiskupa w Ripon. Siedziałem w domu, żeby gdy arcybiskup przyjedzie, zastał mnie w domu. Z Green Bay, Wisconsin 23 lipca 1905 r. ks. Fiori mi pisze, że jadą do Chicago i South Chicago — dlaczego po drodze nie odwiedzą Ripon. Osh-

kosh, Berlina i Princeton? Natomiast pyta mnie się: „Skoro już tak blisko jesteśmy, czemu nie skoczysz do Milwaukee, żebyśmy się rozmówili o rozkładzie naszych wizyt.“ A 30 lipca 1905 r. ks. Fiori pisze mi znowu z Chicago: „Jestem rzeczywiście boleśnie dotknięty, że nie widzę Twoich listów, ani nie słyszę nic o Tobie, który jesteś dla mnie, jak to już nieraz powiedziałem, najdroższym przyjacielem, jakiego mam w Ameryce. Skąd to Twoje długie milczenie? O ile ja wiem, nie znajduje się żadna przyczyna... Jutro arcybiskup jedzie do St. Cloud, a w przyszły piątek będzie u ks. Kempy w Milwaukee, dlaczego nie zrobisz wycieczki do Milwaukee? Z jaką przyjemnością ja bym Cię widział, nie możesz sobie wyobrazić; także ks. arcybiskup dwa dni temu mówił mi:

— Dlaczego ks. Kruszka pozostaje w zaćmieniu? (Perche il P. Kruszka si e ecclisato?)

„Przyjedź więc, a pomówimy o rzeczach, które Cię interesują. W piątek udamy się do diecezji Grand Rapids, gdzie zostaniemy aż do wieczora d. 9 sierp. Napisz znowu do któregoś z przyjaciół Twoich list rekomendacyjny do mnie. W nadziei, że Cię wnet zobaczę, pozdrawiam Cię najserdeczniej Twój

Don Sisto Fiori.

Na ten list odpowiedziałem ks. Fiori'emu tak: „Na zapytanie, czemu ks. Kruszka pozostaje w zaćmieniu, odpowiedz arcyb. Symonowi, że skoro słońce zaświeciło nad Ameryką, księżyc i gwiazdy muszą pozostawać w zaćmieniu“.

Na to ks. Fiori odpowiedział mi z Grand Rapids:

Michigan, 6 sierpnia 1905.

Najdroższy Przyjacielu!

„Dzięki nieskończone za Twój list. Być skazanym na maleńką parafię za podtrzymanie i bronienie wzniosłego ideału, jest to najszczytniejszą chwałą człowieka, zwłaszcza gdy widzi, że jego ideał zaczyna być uwieńczony szczęśliwem powodzeniem. Po 25 latach bezskutecznych usiłowań sam ks. Kruszka osiągnął to, że lud polski widzi arcybiskupa rodaka w dalekiej Ameryce. To nie mała rzecz. Jest to zaiste prawdą, że księżyc i gwiazdy zaćmiewają się wobec słońca, ale jednak zawsze pozostają w biegu swoim niewzruszone, podobnie jak te Twoje wzniosłe usiłowania i walki o najwyższy ideał. Powtarzam Ci jeszcze raz: czuję potrzebę rozmówienia się z Tobą samym jeszcze za życia. My od

9—12 sierpnia będziemy w South Bend, Indiana 1308 West Dunhuee Street, u ks. Antoniego Zubowicza, a od 12—16 sierpnia w Detroit 671—23rd. St. u ks. Pawła Gutowskiego, dokąd możesz adresować listy do mnie.

Z nieskończoną wdzięcznością pozdrawiam Cię najserdeczniej.

Twój

Don Sisto Fiori.

89. Arcybiskup Symon w Michigan, Indiana, Ohio i Pensylvania. — Z Detroit puszczono telegram, ubliżający całej Polonji amerykańskiej.

Po zwiedzeniu kościołów św. Michała i Niepok. Poczęcia w South, Chicago, dnia 5-go sierpnia 1905, arcybiskup Symon udał się do diecezji Grand Rapids. Na dworcu w Grand Rapids, Michigan. przywitany przez dziekanów Schrembsa i ks. Matkowskiego, stanął kwaterą u biskupa Richtera. Nazajutrz, w niedzielę, 6-go sierpnia, jako triumfator w czterokonnym powozie objeżdżał miasto z eskortą rycerzy polskich. W Manistee, Michigan, 7-go sierpnia wszystkie fabryki zawiesiły pracę, wszystkie składy przy głównych ulicach były ślicznie udekorowane barwami polskiemi i amerykańskiemi i ustawione były bramy triumfalne. Przed mostem ulicy Smith był wzniesiony wielki łuk triumfalny z napisem: Exiled by Russia, Welcome! (Wygnanego przez Rosję witamy!) Cały pochód był półtory mili długi. Ze wszystkich stron można było słyszeć słowa pochwały dla Polaków, że tak solidarnie i w jedności czczą swych polskich zwierzchników Kościoła, wszędzie — pisze korespondent — „można było słyszeć słowa uznania, oprócz od Szwabów i jajonów (ajryszów). Jeżeli ci z biskupem Richterem łudzili się nadzieją, że Polacy przestaną się upominać o swe prawa w hierarchji, to się grubo omylili".

W Saginaw, Michigan, dnia 7-go sierpnia w pochodzie wziął udział pluton policji, orkiestra miejska, liczne towarzystwa, wybitni Amerykanie z majorem miasta panem Lee na czele — w końcu zaś jechał arcybiskup Symon w automobilu. Bay City, Michigan jeszcze wspanialej go przyjęło, a następnie South Bend, Indiana.

W sobotę, 12 sierpnia, sam biskup Foley w Detroit na dworcu powitał arcybiskupa Symona, a nazajutrz, w niedzielę, zawiózł go na Kazimierzowo. Tejże niedzieli po południu arcybiskup Symon zwiedził Franciszkowo i Kantowo, w poniedziałek klasztor SS. Fe-

licjanek, seminarjum polskie i Stanisławowo. Z Detroit 15 sierpnia rozpuszczono po całej Ameryce następujący sensacyjny telegram Stowarzyszenia Prasy, który „Chicago Tribune" tak podała:

NO POLES IN ROMAN HIERARCHY.

Personal Representative of Pope Says American Immigrants Are Good, but Not Brainy.

DETROIT, Mich., Aug. 15. — Archbishop Francis Albion Symon, personal representative of Pope Pius X, who has come to investigate the claims of the Polish clergy for representation in the hierarchy of the Roman Catholic church, said of his mission:

„The information sought is as to whether the average intelligence of the Polish Catholics of America warrants a representation in the hierarchy.

„The Polish immigration in this country is recruited from the humblest walks of life — laborers, farmers, artisans. They are all good, pious, Godfearing people, but they are not the brains of our nation".

Źródłem powyższego telegramu był wywiad, jaki we wtorek wieczór 15 sierpnia z arcybiskupem Symonem miał pan Smedding, reporter angielskiego dziennika „Journal" w plebanji Fr. Muellera. Arcybiskup Symon oświadczył, że „prusak hakatysta źle go zrozumiał", to jest reporter „Journalu", który z nim po niemiecku podczas interview'u rozmowę prowadził. Arcybiskup Symon przed reporterem dziennika „Free Press" wyraźnie zaznaczył, że nigdy nie dał do zrozumienia, jakoby inteligencja Polaków stała na przeszkodzie reprezentacji w hierarchji. Ale tego odwołania nie ogłosiła Stowarzyszona Prasa po całej Ameryce, tak jak ogłosiła oszczerczy telegram, który niemało krwi napsuł Polonji i Symonowi, a iście szatańską uciechę sprawił Niemcom i ajryszom. Księża słusznie oczekiwali odwołania tego oszczerczego telegramu, nie przez pojedyńczą gazetę „Free Press", ale przez tę samą Agencję Stowarzyszonej Prasy, która go w obieg puściła po całej Ameryce. Nie widząc takiego odwołania, księża zewsząd domagali się wyjaśnienia od arcybiskupa Symona. Arcybiskup znowu w takiem domaganiu się widział wielką dla siebie obrazę, jak to wynika z następujących listów ks. Fiori'ego. Najpierw z Detroit 16-go sierpnia 1905 donosi ksiądz Fiori: „Jutro, 17 sierpnia, o 10 wyjedziemy okrętem do Cleveland, gdzie będziemy o 5 po południu. Nasza rezydencja będzie u biskupa (Horstmana), dokąd posyłaj do

mnie listy. Możesz też pisać, jeśli uważasz, do ks. Benedykta Rosińskiego, 3 Forman St., i do ks. Pawła Ćwiąkały, Berea, Ohio, bo taki jest program naszych wizyt. Zostaniemy w Cleveland aż do 20 sierpnia włącznie". W następnym liście z Cleveland 21 sierpnia 1905 pisze mi ksiądz Fiori: „Dziś, 21-go sierpnia odjeżdżamy do Pittsburga, gdzie pozostaniemy aż do 28 sierpnia u księdza Tomaszewskiego; tam proszę posyłać moją korespondencję. Także do Pittsburga spodziewam się napiszesz do któregoś swego przyjaciela. Czytałem w dzienniku z Detroit oszczerczy artykuł, jakoby arcybiskup miał powiedzieć, że kler polski w Ameryce nie stoi na wysokości swego powołania? Arcybiskup energicznie zaprotestował i jest oburzony przeciw djabelskiemu wynalazcy tej insynuacji". Nareszcie w liście z Pittsburga 22 sierpnia 1905 ksiądz Fiori pisze mi co następuje:

„Najdroższy Przyjacielu! Dopiero dzisiaj otrzymałem z Cleveland twój list z 17 sierpnia. Nie mogę pojąć dlaczego ksiądz Rosiński nie oddał mi go w Cleveland. Jego Excelencja czuje się bardzo obrażonym przez księży polskich, że domagają się, czy jest prawdziwy ów wywiad, publikowany w dzienniku w Detroit, czy od dziennika pochodzi. Domagają się, czy to prawda lub nie, znaczy tyle, że księża polscy uważają go za takiego, któryby zdolnym był powiedzieć podobne oszczerstwa przeciw swemu ludowi i klerowi, i to jest dla niego najcięższą obrazą. Stąd nie potrzeba, żebym ci powiedział, że wszystko co było publikowane w owym dzienniku, jest zupełnie fałszywem i wyssanem z palca. Dzisiaj posłałem artykuł bardzo energiczny do włoskiej gazety „La Trinacria", wychodzącej w Pittsburgu; w piątek będzie ogłoszony i poszlę numer tej gazety do wszystkich polskich księży tych kościołów, które wizytowaliśmy. Dobrzeby było, żeby ten artykuł przetłumaczyli na język angielski i polski i umieścili w innych gazetach.

Z serdecznem pozdrowieniem

Don Sisto Fiori.

Widocznie arcybiskup Symon nie rozumiał, czego domagają się księża polscy od niego.

Przyjechawszy do Pittsburga, arcybiskup 22 sierpnia zwiedził ochronkę w Emswort i parafje w Everson i Mount Plesant; 23 sierpnia w Latrobe; 25 sierpnia w kościele Niepokalanego Serca Marji w Pittsburgu. Mowa, miana tutaj w sali szkolnej, pełna była otuchy dla Polaków. Arcybiskup wyraził się wcale niedwuznacz-

nie, że papież przychyli się do naszych życzeń i że mieć będziemy swoich polskich biskupów. W sobotę, 26 sierpnia zwiedził Ambridge, a po południu parafję Najświętszej Rodziny; 27 sierpnia dokonał obrzędu poświęcenia kościoła Najsłodszego Serca Jezusa; wieczorem odwiedził Mc Keesport; 28 sierpnia Józefatowo, a 29-go sierpnia Wojciechowo na South Side. Tu na kazaniu powtórzył z naciskiem obietnicę, że czynić będzie w Rzymie wszystko, aby Polacy w Ameryce otrzymali to, co im się tu od dawna należy.

Ks. Fiori w swoim „Comunicato" do włoskiej gazety w Pittsburgu między innymi tak tłumaczy powstanie owego fałszywego telegramu w Detroit: „Możliwe, że reporter, nie znając osobiście Symona, myślał, że rozmawia z Symonem, gdy tymczasem rozmawiał z inną osobą, zupełnie mu nieznaną, ale uchodzącą za Symona. Wiele razy mnie się przytrafiło, że mnie wzięto za Symona, pomimo że między mną a nim zachodzi różnica 30 lat".

Dnia 30 sierpnia 1905 arcybiskup Symon z Pittsburga pojechał jeszcze raz napowrót do Detroit, do tej kuźni niefortunnego telegramu, aby tam na miejscu zło naprawić. Pisał mi ks. Fiori z Pittsburga 28 sierpnia: „Najdroższy Przyjacielu! Arcybiskup nie omieszka być w Detroit i postara się o natychmiastowe odwołanie owego zmyślonego i fantastycznego wywiadu za pomocą Stowarzyszenia Prasy Amerykańskiej, skąd jego protest napewno obleci na około świata. Dnia 30 sierpnia Jego Eksc. pojedzie do Detroit, a z Detroit do Buffalo; ja tego samego dnia jadę z Pittsburga do Buffalo, gdzie będę czekał na przybycie arcybiskupa. Pozostaniemy w Bufallo aż do rana 2 września.

Z serdecznem pozdrowieniem

Don Sisło Fiori.

90. Z potwornego telegramu detroickiego wywiązała się długa dysputa z ajryszami.

Trudno było dojść wprost do źródła owego sensacyjnego telegramu z Detroit. Ale ubocznie można się było dowiedzieć. Między innymi ajrysko-katolickie gazety z lubością przytaczały ów telegram ubliżający Polonji amerykańskiej. Był to fakt znamienny. Więc na ten fakt zwróciłem uwagę ogółu amerykańskiego w artykule napisanym do angielskiego dziennika „The Milwaukee Sentinel", wyrażając moje zdziwienie, że ajrysko-katolickie gazety tak skwapliwie opublikowały ów telegram ubliżający Polonji ame-

rykańskiej. Moja wyraźna aluzja do ajrysko-katolickich gazet (The Irish Catholic papers) wywołała ogromną burzę w prasie ajryskiej i wśród ajryszów. Oburzyli się już nie o to, że do nich jako do źródła odnoszę ów telegram, ale przedewszystkiem o to, że ich gazety nazywam ajrysko-katolickiemi (The Irish Catholic papers), a nie angielsko-katolickiemi (English-Catholic). Zwłaszcza ajryski ksiądz Father J. Daly of St. John's Cathedral, lecturer for the Federated Catholic Societies, w swoich prelekcjach i angielskich dziennikach zaczął udowadniać, że taka rzecz, jak „Irish Catholic paper" albo „Irish Catholic church" nie istnieje wcale w Ameryce. Dosłownie taką mi dał publiczną odpowiedź w gazetach milwauckich:

„There is not an „Irish Catholic paper in the United States. Whether it be for better or for worse, still as a matter of fact, the Irish people adopt the language, the customs, the ideas of this land in which they glory to live. They perpetuate no foreign methods, they become part and parcel, warp and woof of this glorious republic. Hence there is no such thing as an „Irish Catholic paper", nor is there any „Irish Catholic" church in America".

Na to mu dałem w tymże dzienniku taką odprawę:

Nationality in the Catholic church.

To the Editor of The Sentinel!

The Rev. Father J. Daly, lecturer for the Federal Catholic societies — asserts in last Tuesday's Sentinel that there is no such thing as nationality in the Catholic church, and therefore no Irish Catholics. This is evidently one of his lecture phrases not meant for cold type. Why dupe the public, Father Daly? Father Daly as lecturer may be excused, but as a priest he ought to propagate the truth. If there is no such thing as nationality in the Catholic church, why do the Catholic bishops of this country order the priest to organize Polish, German, Irish etc., congregations? Why do Irish separate from German, and Polish from Irish, and form congregations of their own? As a matter of fact, the whole Catholic church in America is organized and besed on the principle of nationality. There are only Irish, German, French, Polish etc., Catholic congregations. There is not one pure American, in the strict sense. Of course, in a broad sense, they are all American. If there is, as Father Daly says, no Irish Catholic in America, why, for instance, did Archbishop Katzer send me to Ripon to organize a Polish

congregation, i. e., a congregation to which, according to the order of the archbishop, only the Poles could belong, and no Irish? And when, nevertheless, some Irish Catholics joined my church for I preach in English as in Polish and German) the right reverend archbishop wrote at once a rule that all the „Irish Catholics" should belong to St. Patrick's church and „I should not dare to receive any Irish into my church". — Why, may I ask Father Daly, are these orders and regulations given by our church authorities, if there are no Irish, Polish or German Catholics?

If there is no such thing as nationality in the Catholic church why did we only lately receive from the Most Rev. Archbishop Messmer the following request:

Milwaukee, July 19, 1905. Rev. Dear Sir: Some time ago the S. Congregation of the Propaganda, Rome, demanded accurate statistics of the faithful and the clergy of this archdiocese, according to nationalities. Hence I kindly ask you to take a census of your parish at once, according to the inclosed scheme (and on this scheme there are enumerated English, Irish, German, Polish, Bohemian etc. Catholics). „The nationality of a family", says the archbishop's letter, shall be determined by its decent on the father's side and the language spoken in the family".

Why these remands fro mour highest church authorities, the propaganda and the archbishop, if there is no such thing as nationality in the Catholic church?

But there is no Irish Catholic paper in the United States, you say. What, then, would you call the Milwaukee Catholic Citizen, the New York Freemen's Journal, the Irish World, and others? You might deny with a fair chance of success that they are Catholic; but surely you would not undertake to deny that they are Irish, unless you were certain that your listeners are gullible with a gullibility surpassing all comprehension.

The Irish people, Father Daly says, adopt the language of this land. We know that most of the Irish people had adopted the English language at home a long time before they even thought of coming to this country. Their English therefore, is imported, just as Polish is imported. They had nothing to adopt when coming to this country. Having abandoned their own Irish language, what human language could the Irish speak, if they had not adopted the English? It is more true about the Poles that they truly adopt the

language of this country and love it truly as an adopted child, but for the love of this adopted child, the Poles will never abandon their own child, which is the Polish language...

The Irish perpetuate no foreign customs here. Is this true Father Daly? And what about the shamrock? What about the Irish custom of digging potatoes for the priest? (This custom is revived near Chicago, says the last week's Chicago Tribune.)

Let me conclude with following remark: The motto and the aim of the Catholic church is not uniformity, but unity in variety; not uniformity in language, customs etc., but unity of faith in variety of different national customs. Said Christ, the founder of the Catholic church: „Going, teach ye all nations". What to teach them? One language, the Latin, which was at that time the language of the country, of the Roman empire, as is now English of the United States? No! It was not and is not the mission of the Catholic church to abolish languages and introduce one exclusively! On the contrary, Saint Paul admonishes: „Forbid not to speak with tongues".

Unity in variety — this the law of the universe. Even in the prototype, the creator of all things, you find this law, you find that there is one God, but in there divine persons. And the same law governs his church on earth. In unity of faith and variety of national customs, therein lies the beauty and the strength of our church. We should be proud of it, that in spite of different nationalities, we form one church, as we form one republic here. We should be proud that we are united. United, I say, and not mixed or confused or amalgamated! Because only out of the union there comes beauty and strenght, whereas out of mixtured there comes confusion, deformity and weakness. The motto and the aim of the church is to unite nations and not to amalgamate them. As a parish or congregation consists of families, and each family should preserve its family name and customs, so the church consists of nations and each nation, not only can, but ought to preserve its national name, language and customs. The aim and the motto of the Catholic federation should be the same — i. e., to unite or to federate, and not to amalgamate Catholics! But to unite, means to give them equal rights.

Ripon, Wis., Aug. 28, 1905.

W. Kruszka.

Na to Father Daly tylko tyle umiał odpowiedzieć:

To the Editor of The Sentinel!

I wish the Rev. Father Kruszka had read my article in „The Sentinel" of Aug. 26. Possibly he may read it now, and kindly tell me in what line I stated that „there was no such thing as I think I could defend that proposition, in a certain sense, but still I do not find it in my article. And I trust that the Rev. Father Kruszka will either „show me" or else withdraw his assertion.

Though he seems quite unnecessari ly heated, in the voluminous advice he gives me, still I will try meekly to profit by it.

To the atrocious crime of „digging potatoes" we plead guilty and remember, too that our fathers „died down in the ditches" because they had no potatoes to dig.

But I strive not to pick out—nor parade the flaws or failings of any nationality, but rather do I glory in the many virtues and sacrifices of all our people, whether German, Polish, Irish, Bohemian, or United Stateers".

Milwaukee, Sept. 2.

J. Daly.

To the Editor of The Sentinel!

I am sorry that the Rev. J. Daly can not find his own thoughts in the article of. Aug. 26. These were his own words: „There is no such thing as an Irish Catholic paper, nor is there any Irish Catholic church in America". Does that proposition not contain explicitly this meaning: that there is no such thing as Irish nationality in the Catholic church in America? And so I proved what I had to prove, that there is such a thing as nationality, even Irish not excepted. Yes, the Irish nationality in the Catholic church in America is more protuberant than any other nationality. Can Father Daly prove the contrary? Let him do it. Be sure, I love the Irish people, as I love the German; but I love more the truth. I have no objection to Irish customs. I like many of them. I did not call it an „atrocious crime", on the contrary, I wished also the Polish may adopt that nice custom of digging potatoes for the priest.

Ripon, Wis., Sept. 4.

Do naszej dysputy wmieszał się tygodnik ajryski pod tyt. „The Catholic Citizen", zarzucając Polakom, że chcą biskupa polskiego jedynie dla utrzymania polskości. Na ten zarzut odpowiedziałem mu tak:

Father Kruszka Replies.

To the Editor of The Sentinel!

I am satisfied that I showed the Rev. J. Daly the „thing" he could not see, and the „thoughts" he could not find, and the „certain expression" he denied. Any further discussion about the „certain expression" I consider as a „lis de verbo" (quarrel about a word) which belongs to the grammar school. In a newspaper it would be a „lis de lana caprina" quarrel about goat's wool).

For the Milwaukee Catholic Citizen: Again I see in that paper a mis representation of what the Polish Catholics in this country want. It is ridiculous to suppose that the Polish Catholics want or ever wanted a certain Polish priest for a bishop, just because he is a Pole. Why this calumnious insinuation? Because man is inclined to judge others by himself. The Citien judges the Poles by the Irish. It is an undeniable fact that although the Irish form only about one-third of the Catholic population, of the hundred Catholic bishops in the United States, almost all are of Irish nationality, the few German bishops being only a drop in the sea. This is a fact, and against a fact there is no argument. From this fact one can easily deduct the conclusion that the Irish want a certain priest for a bishop, just because he is Irish; but how in the world can you show me a single fact that the Poles want the same.

What the Poles in their movement for a Polish bishop want, is this: To have bishops from any nationality, and not only from one exclusively, as it was practiced to this time. The Irish, as facts prove, presented always and still present candidates of Irish extraction, to the exclusion of other nationalities, as if they alone had the monopoly of wisdom and sanctity and episcopal dignity. Now it is wrong to want a certain Polish, Bohemian, etc., priest for a bishop, just because he is a Pole, Bohemian, etc., is it not even wrong to exclude him from the list of candidates just because he is a Pole, Bohemian, But why do the Irsh mostly succeed in Rome? Simply by persuading the Roman authorities that the Irish nationality is the only American nationality — all others are „foreign" nationalities. Of course, one must be narrow minded to call Americans only those who speak exclusively English, and consider others as „foreigners just because they besides English know how to express their thoughts also in other human languages. The Poles, Bohemians, etc., adopted the language and customs of this country,

and knowledge of other languages their burdens patiently through over make them only more useful and more broad minded Americans. The Poles, Bohemians, etc., are not worse Americans therefore, than the Irish. That they imbibed the true American spirit, it is evident, for even a church matters they stick firmly to this American principle: „No taxation without representation!"

Starting to immigrate in 1831 already, since 1854, the Poles built every year churches, schools, asylums, colleges, etc., paid always faithfully their church taxes, cathedraticum, seminaristicum, etc.; in a word, they did their duties as Catholics, and carr'ed half a century, and during this long period never enjoyed any rights and privileges in the church, never had any representation in the hierarchy. This is evidently unjust and un-American! And now, when we make a just complaint, they say to us, that there was not as yet any Polish, Bohemian, etc., priest warthy to become a bishop but as soon as they will find one they will make one. I need not say that this is a poor excuse, and an unchart, table one, not worthy of a true Christian. It is an open insult to the whole Polish, Bohemian, etc. clergy. Were so long the Irish and the few Germans the only worthy, upon whom the Holy Ghost reigned to descend. One must be arrogant, to assert this. Indeed, to this privileging of one and disregarding of other nationalites, we may safely ascribe the fact, that there was in the United States no gain, but a loss of millions of Catholics. The Independent Polish sect says: „If the Pope allows the organisation in the United States of an Irish national hierarchy, why does he not allow the formation of a Polish national hierarchy?" And even pure Americans. I mean those of no denomination either religious nor national. I have heard asking: „Where is the mark of catholicity in your church?" Is it not predominantly Irish Catholic?"

As amatter of fact, the bishop sees in the Catholic church of America were hitherto and are to this time, generally speaking, hereditary thrones of one nationality exclusively. If the Catholic church of America is a true church of Christ, as we must believe it is, it must be not only one and apostolic, but it must bear also the mark of catholicity, showing visibly its universality and comprehensiveness of nationalities in its hierarchy also.

Ripon, Wis., Sept. 8.

W. Kruszka.

An American Church.

To the Editor of The Sentinel!

The Milwaukee Catholic Citizen says: „Political conventions sometimes nominate county tickets on the basis of giving nominations to the German Lutherans, the Norwegians, the Poles and the Americans. But this is hardly a dignified precedst to urge, in any behalf, upon our church authorities".

Surely, for if the American political method were a dignified precedent, at least eighty bishops sees in the Catholic church in America would cease to be hereditary thrones of the Irish.

Of course, the American political conventions are wrong, when they place on the county ticket any German Lutheran, Norwegian or Pole, for they ought to follow the example of the Catholic church in America and nominate for offices only Irishmen, who claim to be the only „American" nationality.

The Citizen says further that the „classing of English speaking Catholics in this country as Irish Catholics (what edse are they?) lends color to the know-nothing claim that the Catholic church in America is a foreign church".

As long as the Caholic church in America is ruled not by the American principles of government, but by the foreign principle of one privileged class or nationality, the know-nothing can and must rightly claim that she is a foreign church. Is there in the Catholic church in America a government for the people, of the people and by the people? Is there the American principle: no taxation without representation? No, it is not. In the Catholic church in America is a government of one privileged class or nationality, and such a government is certainly foreign, respectively Irish, but not American. In the American town, city, county or state government we see everywhere representatives of all nationalities, and no nationality is systematically excluded; there is at least no regard to one nationality exclusively. This is American fairness. But this — says the Catholic Citizen i — is hardly a dignified precedent to urge upon our church authorities. Well, if it is then let us quit calling the Catholic church in America an „American" church.

Ripon, Wis., Sept. 8.

W. Kruszka.

Do naszej dysputy wmieszał się także jakiś ajrysz pod nazwą „American" i tak mi w „Sentinelu" dowodził: „There is no church

or paper that uses the Irish language and hence there is no Irish church or paper in America. Surely Father Kruszka talks „wild" when he states that there must be bishops of every nation in the American church. Not one third of the American bishops come from any one nation. Even if all the bishops were from one special nation that would not prevent the Catholic church in America from being the „true church". The „First Twelve" were all Hebrews".

Milwaukee, Sept. 11.

„American".

Moja odpowiedź na to tak brzmiała:

To the Editor of The Sentinel!

Mr. Americas of Sept. 11. gives us a fine specimen of logic. Here it is: „There is no church or paper that uses the Irish language and hence there is no Irish church or paper in America. „Wonderful logic, is it not? Apply, please, Mr. American, the same logic to the inhabitants of Irland and tell them that, because they use no Irish but English language, they are no Irishmen any more but Englishmen! What would they say to you? They would say: Go to the d...... wiht your logic!

„Not one third of the American bishops come from any one nation — says Mr. American. No, of course, they all come „from above" to rule the Church in America.

Says Mr. America: „The First Twelve" were all Hebrews." Yes, but „they spoke with divers tongues" (Acts II. 4.) and the mark of catholicity was in them. Do the Irish Bishops „speak with divers tongues"? No, they can not speak even wit their own Irish tongue. Besides, the Apostles did not establish bishops sees as heraditary thrones for the Hebrews exclusively, but they have chosen successors from every nationality.

Mr. American is delighted that „Father Daly so persistently lauds the virtues and sacrifices of all our (Polish) people". Not only Father Daly, but even Irish bishops do the same: whenever they come to a Polish Church, they „persistently laud" both the sacrifices of the Polish people and the zeal of the Polish priest. But the Poles are not delight ed by such praises any more. Words are cheap, but it cost money to buy whiskey. „Let us not love in word nor in tounge, but in deed and in truth" (St. John). The Poles know now, that those praises were not sincere. For the same bishops,

who praised them here, vitaperated, censured and abused them, when they were in Rome.

Mr. American concludes with this reasonable remark: „The church to be catholic must rise over the prejudices and practices of any particular nation.“ That's right, Mr. American. We agree with you. That's just what we want!

Ripon, Wis., Sept. 12.

W. Kruszka.

Na tem skończyła się nasza dysputa w dzienniku „The Milwaukee Sentinel“. Ajrysz pod nazwą „American“ nazwał był moje wywody „wild talk“, a że prawda w oczy kole i gryzie, jak sól, nie chciał widocznie, żebym dalej takie rzeczy w „Sentinelu“ omawiał. W ostatnim artykule do „Sentinela“ napiętnował moje wywody mianem „extravagant statements which must be carefully avoid ed. „Więc i pan M. C. Douglas, managing editor of The Milwaukee Sentinel w liście 14 września 1905, oznajmił mi, że kontrowersja zamknięta. „The Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis. Dear Sir: Teh Sentinel desires to be fair to both sides in all such matters, and I believe the space we have already given the controversialists is sufficient to discharge our obligations in the matter. Yours very truly M. C. Douglas, Managing Editor“.

91. Czy są czysto-amerykańskie parafje? — Które są prawdziwie amerykańskie? — Kogo Rzym uważa za Amerykanina?

Udowodniwszy ajryszom, że wszelkie ich kościoły i parafje są ajrysko-amerykańskie, a nie **czysto-amerykańskie,** w logicznym pochodzie myśli postąpiłem o jeden krok dalej i postawiłem im takie pytanie: Czy wogóle istnieją w Ameryce jakie parafje **czysto-amerykańskie?** To pytanie postawiłem w liście do naczelnego redaktora ajrysko-katolickiego tygodnika „The Catholic Citizen“. Myślałem, że w odpowiedzi na to pytanie przytoczy mi choć z tuzin czysto-amerykańskich parafij. Tymczasem nie umiał mi ani jednej przytoczyć. Ale choć on nie wiedział o takiej parafji, to jeszcze nie dowód, że ich niema. Muszą być, skoro on sam często wspominał o nich ogólnikowo. Ale gdzie i które to są? Nie umiejąc sam na to odpowiedzieć, tygodnik „Catholic Citizen“ w redakcyjnym artykule pod tytułem „Can You Testify?“ (Czy może kto poświadczyć?) ogłosił publiczną odezwę do swych czytelników we wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych, ażeby nadsyłali poświadcze-

nie, czy i gdzie istnieją parafje czysto-amerykańskie. Bo to kwestja faktu, której samą dyskusją się nie rozwiąże. Odnośny jego artykuł w „Catholic Citizen" tak brzmiał:

Can You Testify?

In the course of a personal letter to the editor, Father Kruszka of Ripon, Wis., raises this interesting question:

„It is good that we have Irish, German and Polish Americans, but not pure Americans. I have na respect for pure Americans, for they, contrary to the Fourth Commandment, deny their father and their fatherland, and in consequence have lost the faith of their fathers. The facts prove my assertion: for there is not one pure American parish in the Catholic Church in America. All there are either Irish, German, Spanish, French or Italian or Polish Americans, etc. I do not know as yet any pure American Catholic parish. Could you show me one?"

We cannot concur with Father Kruszka's satement that so-called „pure Americans" necessarily deny their fatherland or the land from which their forefathers came; and that, in consequence of such denial or forgetfulness, they have lost their faith. There are many hundred decendants of the Maryland Catholic colonists today, who are sturdy exponents of the faith of their fathers.

The interesting question raised by Father Kruszka is: whether a purely American Catholic parish exists. We presume he means a Catholic American parish in the same sense that he would speak of a Methodist American parish; that is, a parish composed (to the extent of ninety per cent) of Catholics who have been Americans for two or more generations.

We should be pleased to hear from any of our readers, in any part of the United States, with brief testimony as this matter.

Na tę swą odezwę „The Catholic Citizen" otrzymał z całych Stanów Zjednoczonych trzy odpowiedzi: jednę z Louisiana, drugą z Kentucky, a trzecią z Minesota. Ale żadna z tych odpowiedzi nie dawała żadnego świadectwa o istnieniu choćby jednej parafji czysto-amerykańskiej. Dawały tylko świadectwo o istnieniu niektórych jednostek, których pochodzenie niewiadomo czy jest szkockie czy ajryskie. Ale i takie osobniki niewiadomego pochodzenia zazwyczaj uchodzą za ajryszów, jak to dowodzi następująca korespondencja z Minnesoty, ogłoszona w „Catholic Citizen".

From a Native American Catholic.

To the Editor!

The recent statement of Father Kruszka of Ripon, Wis., published some weeks ago anent the non-existence or scarcity of distinctively American Catholic parishes which has already drawn two short replies, will bear further comment. There is much point to his remark when applied to scarcity of native or distintively American parishes, for the reason that owing to the great changes and interstate migrations **the Catholics of this class** have become widely scattered. Excepting therfore in the new older states like Maryland, Louisiana, Kentucky, that were largely settled by Catholics, such parishes where nanative Catholics predominate are necessarily few. The distintively or Native-American Catholics are not prone to look for or organize parishes by themselves. (Otóż to właśnie!)

Why are not the descendents of the pilgrims of Plymouth, who are. Procourse are today Catholics, as much Americans, as the descendants of the pilgrims of Plymouth, who are Protestants? The Catholic colosy was planted only fourteen years later than the Puritan one. Aside from the Catholics of old lineage in the states of Maryland, the writer knows it to be a fact that there are few parishes in the Northern half of the state of New York, in which English is spoken, where a good percentage of the people are not of more or less mixed lineage, reading back on one or both sides to the early Irish, French and Scotch settlers of the St. Lawrence valley. The writer has several families of relatives in various parts of the state of New York, all of whom are rigid Catholics and not a single one of whom can claim with any cer tainty to truth that they are Irish... The writers grandfather was born in the latter named region of Scotch Catholic parentage, about 1781. **Yet I am commonly called Irish.**

Minnesota.

Gdzie więc są te **czysto-amerykańskie** parafje? Ani jednej mi po nazwisku ani jej miejsca wskazać nie potrafili. Ajrysze jednak nie dali za wygraną. Nie mogąc mi udowodnić, że jednak istnieją **„czysto-amerykańskie“** parafje, dowodzili teraz, że jednak istnieją „prawdziwie amerykańskie“. Choć niema czysto amerykańskich (pure American) parafji, to jednak są parafje **prawdziwie amerykańskie** (real American parishes). A które to parafje są real American? To są parafje złożone przeważnie z takich katolików, których

przodkowie już od trzech albo czterech pokoleń rodzili się w Ameryce. Tak mi jeden ajrysz „American“ w „Milwaukee Sentinel“ z dnia 11 września 1905, wyraźnie napisał: „Father Kruszka should know that there are **many congregations of real American** Catholics, those whose ancestors for three or four generations were born in America“. Takich ma się rozumieć jest najwięcej ajryszów, a Polaków tyle co nic. Ajrysze, na potwierdzenie powyższego zdania, powoływali się na rozporządzenie Rzymu, który przy spisie ludności katolickiej rozkazał zapisywać jako Amerykanina tylko takiego katolika, którego ojciec i praojciec już rodzili się w Ameryce — no one should be counted as an American, unless he, his father and his grandfather were born in America.

Ale takie rozporządzenie Rzymu weszło w kolizję z prawem amerykańskiem, które każe za Amerykanina uważać każdego co się urodził w Ameryce. Prócz tego, podług takiej rachuby Rzymu, naprzykład we Wisconsinie również nie byłoby ani jednej **prawdziwej amerykańskiej** parafji. Albowiem w całym Wisconsinie roku 1905 na 245,000 katolików, podług owej rachuby Rzymu było tylko 1,225 takich, których ojciec i praojciec już w Ameryce się rodzili. Czyli tylko około 200 familij było „prawdziwie amerykańskich!“ W rozproszeniu nie mogłoby tworzyć ani jednej parafji. W ten sposób więc ajrysze nie mogli mi udowodnić istnienia nawet „prawdziwie“ amerykańskich parafij. Nie potrzebowałem im braku dowodów sam wytykać; oni sami siebie zbijali.

Mianowicie pewien „American Catholic“ z oburzeniem powstał na taki system rachowania Amerykanów w następującym artykule, ogłoszonym w „Milwaukee Sentinel“:

Catholic Church Census.

To the Editor of The Sentinel!

As remarked in Tuesday morning's Sentinel, the census of the Catholics of Wisconsin is causing much unfavor able comment owing to the rule that no one shall be counted as an American unless he, his father and his grandfather were born in America. The dictionaries define an American as one born in America, particularly in the United States. The laws of the United States and of the state of Wisconsin agree with the dictionaries. The inventor of this „system“ of church census is against plain language, reason and the laws of the country.

The United States census shows that there are 956,303 native residents of Wisconsin whose parents were born in America, 585,903 residents of the state whose parents on one side were born in America, and 515,971 foreign born residents. The population of the state is 2.069,042. Therefore, according to the church method of taking the census, there are only 10,865 Americans in Wisconsin.

According to the church directory there are 245,000 Catholics in Wisconsin, of which, under the „system", only 1,225. or about 200 families, are American Catholics.

The taking of the census in such a way must have a motive behind it. It is such a juggling with language and figures as proves that it is done for a purpose. At Rome, the aim is to appoint bishops according to the nationality of the diocese, as shown by the church census. As the proposed census would show that there are hardly enough American Catholics in Wisconsin to form a parish, no American could be considered for a bishop.

There are more important phases to this question; if the Americans are to be kicked out of the church in this way will not many of them go without that forcible invitation? Does it redound to the glory of our continuos line of foreign bishops to show at Rome that, after three generations there are no Americans in the Catholic church of Wisconsin?

The truth is — and let the census show it — that over three-fourths of the Catholics of Wisconsin are Americans, and that only one-tenth of them are Germans, one-seventieth Irish, and one-ninetieth Poles.

Milwaukee, Sept. 28.

American Catholic.

Sam milwaucki „Catholic Citizen" wiedział, że w ten sposób nie można udowodnić istnienia **prawdziwie amerykańskich** parafij. Wyraził niezadowolenie z nowego systemu cenzusowego, zaprowadzonego przez Rzym, i w artykule pod tytułem: „Who is responsible" dnia 21-go września 1905 pytał się, kto jest winien temu, że Rzym taki sposób liczenia ludności zaprowadził? Na to pytanie posłałem mu następującą odpowiedź:

To the Editor of The Catholic Citizen!

To your article of Sept. 21. entitled „Who is responsible?" I am able to give a quite satisfactory answer. Responsible for the new Roman rule, postponing man's right to the name of an Ame-

rican for two or three generations, are those American prelates who repeatedly usque ad nauseam are persuading the Roman authorities that Italians, Poles, Bohemian and other non-English speaking nationali ties are only in their first or second generation, and that therefore, they are not yet Americans but foreigners. Hence the motive gained by Roman authorities, that one must go trough at least three generations in order to become an American. If you call the Italians, Poles, Bohemians etc. foreigners, just because they are in America only the first or second generation why should an Irish — or Englishman by considered as an American already in his first generation? Because he speaks English? Well, if this is the test of Americanism, then every inhabitant of Ireland and England deserves to be called American. Equal rights to all and special favors to none. If Italians etc. of the first or even second generation are called foreigners, let the Irish — and English of first or second generation be called just the same a foreigner, his is Roman fairness and ought to be American too.

Ripon, Wis., Sept. 22.

W. Kruszka.

Na to odpowiedział mi „The Catholic Citizen":

„We understand that in the archdiocese". Nie to. Tylko, że zdaje się nationalities as that complained of, is used in taking the census. It would seem to indicate that the regulation is peculiar to this (Milwaukee) archdiocese". Nie to. Tylko, że zdaje się, iż żaden ajryski biskup do tego rozporządzenia Rzymu się nie zastosował. Bo i z Bufallo, New York, 19 września 1905 pisał mi ks. Aleksander Pitass, że tam biskup nie ogłosił spisu wiernych podług narodowości. Rome can recomend, but not command.

92. Wyjazd arcybiskupa Symona z Ameryki. — Mowa pożegnalna ks. dr. Dworzaka.

Dnia 6 września arcybiskup Symon był w Shamokin, Pa., 8 września był w Passaic N. J. i u biskupa O'Connor w Newarku; 9 września w Patterson, N. J.; 10 i 11 zwiedzał polskie parafje w Nowym Yorku; 12 września w Brooklynie; 13 września w New Britain, Conn.; 14 września w New Haven, Conn.; 15 września w Boston, Mass.; 16 września położył kamień węgielny pod szkołę w Amsterdam, New York i bierzmował 160 osób; 17 września poświęcił nowe kościoły w Schenectady, New York i w Cohoe, New

York; 18 i 19 zwiedzał parafje w Brooklynie; 20 września w Jersey City; 21 września 1905 wyjechał z Nowego Yorku do Europy. Ks. Fiori w listach podawał mi szczegółowo, gdzie się arcybiskup Symon obraca. Dnia 7 września pisał mi z Nowego Yorku: Najdroższy Przyjacielu! Wielu kapłanów wybiera się tu na pożegnanie arcybiskupa, także ksiądz Pitass przyjedzie, chcę się spodziewać, że pomiędzy nimi nie zabraknie i Ciebie. Mam nadzieję, że swoim przyjaciołom polecisz Sekretarza, który bez żadnego wynagrodzenia pracował i będzie pracował dla sprawy Polaków i który na swój koszt odbył podróż do Ameryki. Dziękując Ci za grzeczności mi wyświadczone i spodziewając się widzieć Ciebie przed opuszczeniem Ameryki, z serdecznem pozdrowieniem pozostaję Twoim najprzywiązańszym przyjacielem

Don Sislo Fiori.

Dnia 20 września 1905 na obiedzie u księdza Kwiatkowskiego w Jersey City ksiądz doktor Dworzak w imieniu licznie zebranych księży i świeckich wygłosił następującą mowę pożegnalną:

Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskupie!

Wbrew mojej woli wybrano mnie mówcą stołowym z okazji jutrzejszego odjazdu J. E. z powrotem do Rzymu. Zaszczytu tego przyjąć nie chciałem z obawy, że dla swej nieudolności nie sprostam oczekiwaniom Wielebnych Konfratrów. Podałem swoją rezygnację, lecz takowej nie przyjęto, owszem powiedziano mi, iż z rezygnacją poddać się trzeba woli większości, a nie wymawiać czczymi frazesami. Na takie „dictum" odrzekłem: „Si non potest hic calix transire, nisi bibam illum, fiat voluntas vestra".

Ekscelencjo! Niedawno temu, bo 18 maja b. r. witaliśmy Cię w porcie nowoyorskim, z czego radowały się serca wszystkich Polaków. Wtenczas witaliśmy Cię jako delegata Stolicy Apostolskiej do Polonji amerykańskiej. Witaliśmy Cię jako pierwszego polskiego biskupa, co wstąpił na ziemię Washingtona. Witaliśmy Cię jako wygnańca i męczennika za wiarę i ojczyznę. Spodziewaliśmy się, że J. E., aczkolwiek nie na zawsze pomiędzy nami zostanie, jednakowoż dłuższy czas wśród nas pobędzie, by wszystkie zwiedzić parafje, żadnej nie opuścić — by zbliska przypatrzeć się nam i naszym stosunkom, na co sporo czasu potrzeba i tak dopiero wrócić z gruntownem, wszechstronnem sprawozdaniem do Ojca chrześcijaństwa, a więc naszego, to jest do papieża rzymskiego.

Niestety, po dniu radości wkrótce nastąpić miał dzień smutku, dzień pożegnania! Dziś bowiem zebraliśmy się tu zbliska i daleka, by J. E. życzyć szczęśliwej podróży wolnej od choroby, spowodowanych częścią burzami ekwinokcjonalnemi, częścią brakiem sił odpornych. Zebraliśmy się, by J. E. życzyć szczęśliwego powrotu do miasta wiecznego; jutro J. E. ma nas opuścić i zostawić sierotami, my zaś jak przedtem, tak i nadal pozostać mamy sami, nie wiadomo, na jak długo...

Czyż wobec tego nie ma się krwawić nasze serce? Wszakże apostołowie smucili się na wieść o powrocie swego Mistrza do Ojca w niebie; a oni przez trzy długie lata wciąż z Nim obcowali, nauki Jego z ust pobierali, przezeń obronieni zostali przed napaściami swych i Jego wrogów i nieprzyjaciół. J. E. zaś zaledwo 125 dni miał dla naszych odwiedzin, nimi nas dzielił, a niektórym z nas już wcale udzielić się nie mógł.

Nie jestże przeto stosownem nasze życzenie usłyszeć z ust wysłańca apostolskiego podobnych słów, jakiemi Pan Jezus pocieszył swych uczniów? „Non relinquam vos orphanos", bo „expedit vobis, ut ego vadam, si enim non abiero, Paraclitus non veniet ad vos". (Nie ostawiam was sierotami; potrzeba wam, abym odszedł do Ojca, gdyż jeżeli nie odejdę, to Pocieszyciel nie zstąpi do was.) Takie słowa byłyby dla nas rzeczywistą pociechą w przygotowawczej pracy na przyjęcie pocieszyciela, pierwszego stałego biskupa polskiego w Ameryce, przysłanego nam w imieniu Bożem przez namiestnika Jezusowego na ziemi.

Ekscelencjo, wiemy — że gdyby Judasz nie był zaprzedał Pana Jezusa, a żydzi nie zamordowali Jego, Pan Jezus byłby dłużej pozostał z nimi na ziemi i osobiście obcował z nimi; gdyż radością, owszem rozkoszą Jego było obcować z synami ludzkimi. A co powiedzieć o naszym razie? Czy my, lub nasze stosunki są przyczyną przyśpieszonego odjazdu J. Eksc.?

Że tak w części jest, temu zaprzeczyć się nie da. Przecież czyhaliśmy na J. E. po drogach, kędy przejeżdżał, by J. E. zabrać do siebie, nie na wypoczynek, na biesiadę, na pogawędkę, lecz do ciężkiej pracy w kościele, w szkole, na mównicach, tak iż skutkiem tego słusznie J. E. wyraził się do jednego z naszych WW. Konfratrów, że na wolnej ziemi amerykańskiej stałem się niewolnikiem, bo ani sobą, ani swym czasem rozporządzać nie mogę. Liczby są tego niezbitym dowodem. W tych czterech miesiącach Najdostojniejszy nasz arcypasterz i delegat apostolski zwiedził jakie 160 pa-

rafij, wybierzmował po różnych osadach polskich z jakie 10 tysięcy rodaków, wygłosił z jakie 350 kazań i mów, przemówił do setek tysięcy ludu naszego, utwierdzając go w wierze i przywiązaniu do Stolicy świętej. A tego wszystkiego dokonał w czasie największych w Ameryce upałów, w wieku już podeszłym, a jednak z młodzieńczym zapałem! Co dzień innym dymem oddychał, na inne twarze patrzał, z innej kuchni jadał, z innej piwnicy pijał i t. d. Któżby to z nas wytrzymał, z nas, cośmy przywyknięci do prac misjonarskich pod niebem amerykańskiem?

Lecz nie dosyć na tem, żeśmy odbierali siły J. E., ale nadto napawano Eksc. różnemi przykrościami. Bo czy to przyjemnością było dla J. E. widzieć niewiarę niektórych, wątpiących lub zaprzeczających misji apostolskiej do Polaków za oceanem — następnie przekonać tychże o tej prawdzie, powiedzieć im: „nie bądźcie niewierni, ale wierni", chociaż nie widzicie żadnego reskryptu lub bulli („cum sigillo piscators"). Czyż to było przyjemnością dla J. E. wiedzieć o tem, że jest tu pewna parafja polska, podzielona przeciw sobie, nieposłuszna prawowitej władzy diecezjalnej; parafja z kościołem zamkniętym, gdzie stoi ołtarz bez ofiary, konfesjonały próżne, chrzcielnica wyschnięta, ławki puste, organy niewtórujące śpiewom przy nabożeństwie i milczące. — Czyż było to przyjemnością dla J. E. wyczytywać gazety niby ze swojemi słowami i zdaniami, a w rzeczywistości z insynuacjami obcemi, które nietylko Najdostojniejszemu gościowi, ale i nam niedźwiedzią przysługę wyrządziły?!

Ekscelencjo! — prosim tedy wybaczyć łaskawie naszą natarczywość w żądaniu Jego pracowitej obecności po parafjach naszych. Czyniliśmy to w najlepszej intencji dla dobra ludu naszego, który pragnął widzieć i słyszeć biskupa polskiego na obczyźnie, wśród zamętu odszczepieństwa i gonitwy za dolarem.

Wiedzieliśmy, że J. E. potrzebuje odpoczynku, ale wiadomem nam także było, że niebawem mamy J. E. postradać, to też spieszyliśmy się z pospiechem Jego wizyt. Życzyliśmy J. E. i życzymy zasłużonego wypoczynku po tak olbrzymiej pracy, ale pragnęliśmy, by ten wypoczynek miał miejsce pomiędzy nami, byś nas poznał także „tempore otii." Lecz stało się inaczej, co ze smutkiem przyjmujemy i na co tylko ze smutkiem się zgadzamy.

Prosimy także łaskawie wybaczyć niedokładności naszych gazet polskich i angielskich, które prywatnie i publicznie otrzy-

mały częściową odprawę, a które — przynajmniej niektóre z nich — weszły na lepszą drogę sprawiedliwości, słuszności i prawdy.

Ale są jeszcze inne powody, co zmuszają, mojem zdaniem, J. E. do opuszczenia nas. Skończyły się wakacje w Ameryce, a zaczynają się kończyć w Kongregacjach rzymskich, gdzie J. E. gorliwie pracuje, do nich więc wracać trzeba. Trzeba też ułożyć sobie sprawozdanie, jakie J. E. przedłożyć zamierza Ojcu św., a zastanowienia i czasu na to potrzeba.

A jakie będzie to sprawozdanie o nas? — Nie wolno nam przesądzać, ale wolno nam w swojej sprawie prośby wynurzyć.

Niech J. E. doniesie Ojcu św., cośmy tu przez 25 lub 30 lat zdziałali: ileśmy to i jakieśmy pobudowali świątynie Pańskie, z których jedne od długu uwolnione, drugie okazałe, a chcę powiedzieć, że między kościołami parafjalnymi tak swoimi jak obcymi, kościół polski św. Józafata w Milwaukee najwspanialszy. Niech J. E. doniesie Ojcu św. o naszych szkołach niższych i wyższych, w których uczy się nasza młodzież poznawać Boga i uświadamia narodowo. Niech J. E. doniesie Ojcu św. o naszych szpitalach, ochronkach, sierocińcach, w których polskie zakonnice z zaparciem siebie, jak i w szkołach parafjalnych, pracują jak matki, jak samarytanki, jak nauczycielki. Niech J. E. doniesie Ojcu św., że posiadamy więcej gazet dziennych i tygodniowych na wskroś katolickich, niż katolicy innych narodowości.

A co te inne sprawy pochłonęły ofiar ze strony naszego poczciwego ludu, naszych redaktorów i wydawców, naszych nauczycieli i nauczycielek, naszego duchowieństwa polskiego, o tem chyba nie potrzebuję dowodzić J. E. Wielu z tych pracowników już zasnęło na zawsze, zdążając po nagrodę i zapłatę do Ojca wszelkiej sprawiedliwości, bo jej na ziemi nie znaleźli. Inni jeszcze żyją; ich zorane troskami czoło świadczy o stoczonych walkach... Są tacy, którym włosy z głowy i brody wyrywano, którym pieprz turecki w oczy rzucano, którym ubiory targano, których bito, z domów wyrzucano, na szubienicę prowadzono, w lochach ciemnych więziono, by wymusić podpis czekowy na grube sumy. A cóż powiedzieć o epitetach, którymi ich obdarzono po karczmach, zebraniach, a nawet po gazetach? Nazwano ich zacofańcami, ćmami, złodziejami, pijanicami, cudzołożnikami i innemi jeszcze „ami."

Ojczyzna na nich z politowaniem patrzała; wszystkie nasze sprawy humbugiem nazwała. Gazety starokrajowe pod wyraź-

niejszymi nagłówkami raczej o naszych ujemnych, niż dodatnich sprawach donosiły.

A jednak nie upadliśmy, wytrwaliśmy, a z łaską Bożą wytrwać pragniemy aż do upadku pod krzyżem, wśród szyderstw i osamotnienia i zapomnienia; Bóg naszym Ojcem, a Kościół święty naszą matką.

Gdyby w Ojczyźnie, lub gdziekolwiek w Europie, coś podobnego zdziałano, byłyby się posypały ordery i honorowe odznaczenia. Proboszczowie byliby dostali ekspozytury, zostaliby kanonikami, infułatami, monsignorami. Ale ponieważ to działo się w Ameryce, to o nas jako o zapomnianych nie myślano. Znam pewnego laika co sprzedawał paramenty kościelne, dewocjonalia etc., w czem rzeczywiście zasłużył sobie swoją rzetelnością, długoletnią pracą na wyszczególnienie i takowe też otrzymał w formie orderu św. Grzegorza „pro Ecclesia et Pontifice." Ale zapomniano o tych, co te paramenty kupowali i za nie dobrze płacili.

Skąd to poszło? Oto stąd, że nie mieliśmy nikogo ze swoich, coby tych zasłużonych dla sprawy katolickiej mężów mógł podać do wiadomości wyższej władzy. Znalazły się wprawdzie wyjątki w tym względzie, bo w braku powołujących sami się powołali i w fiolety przyodziać się dali. Lecz ogół nie życzy sobie samodzielnego wysuwania się naprzód, gdyż to pachnie samolubstwem. Ogół nawet nie chce honorów, dla honorów, tylko dla zasług na dobro ludu.

Znaleźli się z obcych tacy, co to już zaczęli szukać z latarnią diogenesową, ale po krótce przestali tej pracy, mówiąc: „non invenimus", nie (znaleźliśmy godnego człowieka). Ba, zarzucili nawet „impedimentum impotentiae", czego atoli nam nie udowodnili.

Szukali, to prawda, ale szukali tam, gdzie znaleźć nie mogli. Szukali między profesorami uniwersyteckimi, tam Polaków nie ma. Szukali między profesorami seminaryjnymi, i tam ich nie ma wielu, a ci co są, to albo młodzi i niedoświadczeni, albo wcale nieodpowiedni. Szukano między redaktorami i wydawcami przeglądów, uczonych miesięczników, ale tych wcale nie ma, nie dla braku sił intelektualnych, ale dla braku inteligencji czytelników.

Szukać mieli między szczerymi pracownikami ludowymi, a byliby znaleźli, na któregoby Duch św. mógł zstąpić, jak niegdyś zstąpił na 12 rybaków, wybranych z najniższej klasy ludu. Byliby znaleźli nietylko takich, co postawą ciała, ale i ciętością ducha dorównają naszym współwyznawcom; byliby znaleźli takich, co

nietylko pięścią i kieszenią, ale i siłą i bogactwem ducha współzawodniczyć mogą z katolikami innych narodowości. Byliby znaleźli ludzi z długoletniem doświadczeniem w duszpasterstwie, zahartowanych przeciwnościami, wytrwałymi w wierze, światłych i pobożnych przywiązanych do Stolicy apostolskiej. Byliby ich znaleźli w Buffalo, Chicago, Detroit, Milwaukee, Pittsburg, Saint Paul, St. Louis i po innych miastach Stanów Zjednoczonych.

Szukali, ale przestali, bo znaleźli niezgodę między nami! Niezgoda to brak jedności; a jakże między nami może być jedność, skoro nam brak tego, co jedność wytwarza, skupiając w sobie wszystkich? Czemby był Kościół, bez centrum jedności, bez papieża? Czem byliby ajrysze, gdyby nie mieli swych przodowników w osobie biskupów i arcybiskupów i kardynała?

Zarzucają nam, że gdyby przyszło do wyboru kandydatów na biskupa polskiego, nie przyszłoby do zgody. To impozycja. Trudności przy wyborach są wszędzie, znaleźć je można i w konklawe, gdzie kardynałowie nie od razu zgodzili się na obecnego papieża.

Zarzucają nam bunty po parafjach. Tych buntów nie wynaleźli Polacy, ale naśladują innych. Były one za czasów apostolskich, ojców Kościoła; w Europie całej, i tu pod naszymi bokami u Niemców i ajryszów. Co do nas, to chciałbym powiedzieć, że gdzie te bunty jeszcze są, albo łatwo być mogą, to znak, że nasi Polacy jeszcze nie przestali być Polakami, a tem samem katolikami; gdzie zaś tego niema, tam i narodowość i katolicyzm naszych rodaków uśpiony i na najlepszej drodze do wynarodowienia się. Patrzmy naprzykład na Włochów, u nich cicho, bardzo cicho nieraz w sprawie katolicyzmu, bo oni nie dbają, kościołów nie stawiają, księży utrzymywać nie chcą, szkół prawie nie mają. To co mają, to albo zasługa jednostek, zakonników, obconarodowych katolików, albo innych zwierzchników kościelnych. To też weszło prawie w przysłowie, że Włochów trzeba naganiać do budowania kościołów, a Polaków trzeba od tego wstrzymywać. Dowody na to ostatnie w Stanach Nowej Anglji.

Mówią dalej, że nas nie wiele. Jakto, przeszło dwa miljony Polaków, to za mała liczba, by mieć swego reprezentanta w hierarchji kościelnej? To te dwa miljony Polaków mają zawsze być w poniżeniu, a nawet nie pragnąć zająć wyższych miejsc? Lichy byłby wtenczas nasz katolicyzm, gdybyśmy nie dążyli do doskonałości i w tej mierze. „Qui episcopatum desiderat, bonum opus desiderat"

(kto biskupstwa pragnie, dobrej rzeczy pragnie). Lichy ten żołnierz, co nie pragnie być generałem, mawiał już Napoleon.

Są jeszcze inne przeszkody, jakie nam stoją lub stawiają na drodze do postępu. O nich tu milczę. Chcę tylko napomknąć, że sprawiedliwy, zamiast robić zarzuty „sine fine" (bez końca), poda sposobność do wypróbowania tychże.

Ameryce dano sposobność okazania swej potęgi, przed którą dziś cała Europa z cesarzem Wilhelmem się kłania.

Dewey'emu dano sposobność walczenia, i został bohaterem. Toż samo powiedzieć można o nas Polakach: „Dajcie nam sposobność, a zobaczycie, żeśmy nie ostatni! Stolice biskupie w Galicji, Królestwie i Poznańskiem są tego dowodem; im wtóruje Wiedeń świecki.

Dosyć już tego. Trzeba mi skończyć...

Odezwę się do sprawiedliwości J. E. w ułożeniu sprawozdania o nas. Niech się stanie, „veritas etiamsi amara" (prawda, chociażby gorzka), ale veritas sprawiedliwa i wszechstronna. Nie jesteśmy bez błędów, — to przyznajemy, ale i obcy je mają. Może ta różnica między nami a nimi, że my otwarci, a oni skryci. Lecz mamy nasze dobre przymioty, które wkońcu powinny przeważyć na szali sprawiedliwości.

To też jesteśmy silnie przekonani, że Ojciec św. osądzi nas wedle słuszności i sprawiedliwości. Co on nam powie, tego słuchać będziemy. Czy nam przyśle rychło czy późno pocieszyciela w osobie biskupa polskiego, to zgadzamy się na to zupełnie, boć w jego rękach są ostatecznie nasze sprawy; On rządcą, my poddanymi. To też na nim spoczywa odpowiedzialność za nas, a na nas obowiązek poinformowania Go o położeniu naszem.

Nareszcie dziękujemy Ci, Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskupie i Delegacie Apostolski za łaskawe do nas przybycie, za mozolne wśród nas prace, za błogosławieństwa, za słowa zachęty. Dziękujemy Ci wszyscy tu zebrani w imieniu swojem i całej Polonji amerykańskiej. Postawiłeś sobie, Eksc., trwalszy od spiżu i marmuru pomnik w sercach i pamięci naszej! Słowa Twoje żyć będą wśród nas, powtarzać je będziemy naszym parafjanom, a oni swoim dzieciom i wnukom. Dziękujemy Ci, Eksc., za wszystkie swe prace i znoje dla dobra naszego staropolskiem „Bóg zapłać" i prosimy Pana Boga, by Cię wybrać raczył na pierwszego biskupa naszego i przez Stolicę apostolską przysłał do nas. Wtenczas witalibyśmy Cię już nie jako delegata, którego misja jest czasem ograniczona, ale

jako stałego przewodnika naszego! W tych przeto uczuciach ośmielam się podnieść swój puhar, do czego i wszystkich tu obecnych zachęcam, i wychylić go na cześć, na zdrowie i długie życie Najprzewielebniejszego ks. Arcypasterza i Delegata Apostolskiego!

93. Arcybiskup Symon w Rzymie przedkłada papieżowi swoje pierwsze krótkie sprawozdanie ze swojej misji w Ameryce.

Powrót arcybiskupa Symona do Rzymu opisuje korespondent rzymskich w gazetach w Polsce wychodzących w następujący sposób:

„Rzym, 5 października. — Arcybiskup Albin Symon powrócił przed kilku dniami z czteromiesięcznej podróży swojej do Ameryki. Dziś zaś będzie na posłuchaniu u Piusa X, aby złożyć sprawozdanie i przedłożyć projekt uregulowania kwestji mianowania polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych. Miałem sposobność powitania ks. arcybiskupa po jego powrocie. Bardzo zmęczony podróżą, czuje się jednak wielce zadowolonym. Podróż w istocie była nużącą, pracowitą. Ksiądz arcybiskup zwiedził przeszło 150 parafji w Stanach Unji, wypowiedział kazań przeszło 200 i był nieustannie przedmiotem uroczystych powitań, obchodów, pochodów ze strony Polaków, którzy po raz pierwszy mieli sposobność ujrzenia u siebie polskiego biskupa. Ale nietylko ze strony polskiej arcybiskup Symon był przedmiotem uprzejmości i przyjęć, owszem prezydent Unji, pan Roosevelt, kardynał Gibbons, arcybiskup St. Paul, Ireland, delegat apostolski, mgr. Falconio, przyjęli go jak najżyczliwiej. Prezydent Roosevelt wyraził się o Polakach amerykańskich z największem uznaniem, jako o ludzie pracowitym, spokojnym i stanowiącym nietylko doskonały nabytek, ale i pełnej wartości siły.

„Wielkie znaczenie miało świetne przyjęcie, jakie arcybiskup Ireland, Amerykanin par excellence, zgotował arcybiskupowi Symonowi; wydał dlań uroczysty obiad, na który zaprosił także polskie duchowieństwo, tak, że po raz pierwszy może, księża Polacy i Irlandczycy — Amerykanie znaleźli się u wspólnego stołu.

„Od pewnego czasu bowiem stosunki, dzięki zwłaszcza prasie, zarówno polskiej jak i irlandzko-amerykańskiej, zaostrzyły się skutkiem polemik w stylu amerykańskim, gwałtownych, które nie mogły doprowadzić do kompromisu i zaogniały położenie.

„Przy tej sposobności okazało się także, jak wielką siłę Polacy stanowią już w Stanach Zjednoczonych, bo z natury rzeczy

arcybiskup Symon w triumfalnym pochodzie swoim przez Stany odbywał niejako przegląd, a choć stawał zawsze u miejscowego arcybiskupa, czy biskupa, spotkały go wielkie owacje ze strony polskiej, jak naprzykład w Buffalo, w Milwaukee, gdzie na jego cześć odbył się pochód z pochodniami, banderjami i t. d. Naturalnym skutkiem tego zbliżenia się będzie szersze uwzględnianie polskiego żywiołu i pod tym względem należy mieć dobre nadzieje.

„Dotąd Polacy mieli ogółem czterech konsultorów biskupich, obecnie otrzymają własnych biskupów. Pomiędzy duchowieństwem polskiem w Stanach Zjednoczonych znajdują się też dzielni, zasłużeni, godni ludzie, z których będzie można wybierać. Szkoły polskie, wybudowane według ostatnich wymagań, na wielką skalę, kościoły, wszystko to świadczy jak najchlubniej o Polakach.

„A kościół niezależny skazany jest na wymarcie i to rychłe. W roku bieżącym odpadło już około 20 tysięcy, reszta zaś, około 40 tysięcy Polaków wróci do biskupów.

„Ksiądz arcybiskup Symon wyjeżdża w tych dniach do Krakowa, a stamtąd w rodzinne strony na Wołyń".

Tyle gazety starokrajskie. Istotnie już dnia 5-go października 1905 arcybiskup Symon i ksiądz Fiori stanęli przed papieżem, Piusem X i przedłożyli mu sprawozdanie ze swego posłannictwa do Ameryki. Tegoż dnia, zaraz po audjencji u papieża, napisał mi ks. Fiori następujący list:

Rzym, 5 paźdz. 1905.

Najdroższy Przyjacielu!

„Dzisiaj zostaliśmy przyjęci przez Ojca św. Był On bardzo zadowolony z misji arcyb. Symona. Słuchając sprawozdania o Polakach w Ameryce, o ich entuzjazmie religijnym, o ich wiernem przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej, czuł się najzupełniej zadowolonym. Powiedział, że Jego życzeniem byłoby (sarebbe) zadowolić życzenia Polaków, że w ciągu naszego pobytu w Ameryce otrzymywał listy od wielu amerykańskich biskupów, którzy wychwalali i oklaskiwali misję arcyb. Symona. Najlepsze wrażenie w Jego duszy wywarły słowa przychylne Prezydenta Stanów Zjednoczonych przezemnie przytoczonych w krótkim memorjale jaki Mu przedłożyliśmy w sprawie Polaków. Polecił mi potem, abym natychmiast opracował szczegółowe sprawozdanie dla kardynała Gottiego, prefekta Propagandy wiary i ja też zaraz do tej pracy się zabrałem. Zatem można się spodziewać, że jak najprędzej nastąpi jakieś załatwienie sprawy.

„Te wiadomości przetłumaczone na język polski możesz ogłosić jak uważasz w jakich dziennikach, ażeby wasz lud wiedział, że Ojciec św. jest dla niego ożywiony jak najlepszemi usposobieniami. Z pozdrowieniem czułem i serdecznem odemnie i od arcyb. Symona, pozostaję Twoim najżyczliwszym

Don Sisto Professore Fiori"
Via Urbana No 4.

Wspomniane w powyższym liście sprawozdania, jakie arcyb. Symon we włoskim języku przedłożył Ojcu św., zostały wydrukowane w osobnej broszurce, o 32 stronicach, pod tytułem: „T, Polacchi emigrati degli stati Uniti d'America, loro condizione religiosa e bisogni spirituali Anno 1905. Due Memorie offerte a SS. Papa Pio X. da Mons Fr. Albino Symon Arciv. di Attalja" (Polacy emigranci w Stanach Zjednoczonych Ameryki, ich położenie religijne i potrzeby duchowne r. 1905. Dwa Memorjały przedłożone papieżowi Piusowi X. przez monsig. Fr. Albina Symona, arcyb. Attalji).

Drukowane to sprawozdanie, składające się z dwóch Memorjałów, mam pod ręką. Jeden krótszy i ogólnikowy Memorjał przedłożony został papieżowi zaraz po powrocie arcyb. Symona z Ameryki d. 5 paźdz. 1905 r. A drugi, dłuższy i szczegółowy, na życzenie papieża został opracowany później. Podam tu obydwa Memorjały w przekładzie z włoskiego na polski język. Pierwszy tak brzmi:

Ojcze święty!

„Po załatwieniu sprawy powierzonej mi w mojej podróży, po Stanach Zjednoczonych Ameryki, padając do ucałowania Stopy świętej, uważam sobie za najwyższy zaszczyt przedłożyć Waszej Świątobliwości krótkie sprawozdanie tejże.

„Przedewszystkiem cieszę się, że mogę poświadczyć, iż przywiązanie ludu polskiego w Ameryce do Stolicy św., jego wiara, jego uczucie katolickie jest na takiej samej wysokości, na jakiej historyczna tradycja postawiła Polskę. Ten lud wydał skarby nieobliczalne na budowę około 500 kościołów katolickich w tych Stanach Zjednoczonych i wiele z nich nietylko są wspanialsze od samych katedr miejscowych, ale nawet mogą iść w zawody z bazylikami Europy. Przy każdym kościele stoi szkoła elementarna, prawie wszystkie są prowadzone przez Siostry rozmaitych Zgromadzeń zakonnych, pomiędzy którymi wyszczególniają się Siostry

Franciszkanki, zwane Felicjankami i SS. Nazaretanki. Ten lud wybudował w różnych miastach sierocińce, domy dla ubogich starców, szpitale dla chorych. W kościołach, jakie zwiedziłem (a zwiedziłem ich 153, rozproszonych w 29 diecezjach Stanów Zjednoczonych) niczego nie brak, co potrzeba do ozdoby tychże, owszem, obfitują w sprzęty kościelne.

„Szkoły są wszystkie opatrzone w materjał szkolny i we wszystko co należy do doskonałego urządzenia tychże: sierocińce, domy dla starców, szpitale dla chorych mają wszelkie urządzenia podług wymagań nowoczesnych. Nie brak zakładów z wyższą nauką dla tej młodzieży, która chce iść do uniwersytetów: Kolegjum Polskie św. Stanisława w Chicago przoduje pomiędzy miejscowymi zakładami publicznymi, a Seminarjum w Detroit, które liczy jakie 350 alumnów, przoduje między Seminarjami diecezjalnymi amerykańskimi.

„Wszystkie te kościoły, szkoły, sierocińce, ochronki, szpitale, zakłady są owocem grosza tego ludu, który od rana do wieczora pracuje we fabrykach, a wszystko dla utrzymania w mocy tej wiary, która stanowi najpiękniejszą chwałę jego odległej ojczyzny. Ten lud korzysta z każdej okazji, ażeby zamanifestować swoje przywiązanie do Stolicy św. Publiczne manifestacje, uczucia i sympatji, wspaniałe uroczystości urządzane we wszystkich miastach przezemnie zwiedzanych, przewyższają wszelkie wyobrażenie.

„Chociaż mi nie została powierzoną misja oficjalna, wszędzie jednak widziałem, że udzielenie temu ludowi Twojego Błogosławieństwa Apostolskiego jest wystarczającem, gdyż cały ten lud brał udział w oddawaniu najgłębszego hołdu Waszej Świątobliwości.

„O! ile razy podczas przemówień moich upadli kornie na ziemię i ze łzami w oczach prosili mnie, bym za nich ucałował Twoją św. Stopę. O! z jak wielkiem uczuciem wielu z nich ofiarowało mi drobny grosz, który go dzisiaj kornie składam u Twego tronu dla Waszej Świątobliwości. Tak, Ojcze święty, słodko mi powtórzyć: ten lud w pośród wyuzdanej wolności, w pośród tylu religij, spikniętych przeciw Stolicy Piotrowej, ten lud zachował całą, niezmienną prastarą wiarę ojców swoich, przywiązanie jak najsilniejsze do Stolicy Apostolskiej.

„Chociaż to prawdą jest, że gromada biednych zbłąkanych usiłowała odstąpić od prawdziwej wiary i niektórzy mimowiednie

poszli za nimi, to jednak z radością mogę donieść Waszej Świątobliwości, że po mojej wizycie wielu powróciło do owczarni, i niejeden kościół niezależny ostatecznie został zamknięty, ponieważ lud widząc, że biskup przybyły z Rzymu, nie odwiedzał ich kościołów, poznał, że go w błąd wprowadzono i dlatego odwrócił się od nich.

„Nadto poczytuję sobie za zaszczyt to, iż mogę poświadczyć Waszej Świątobliwości, że wszystkie władze tak kościelne jak i cywilne, od czcigodnego Prezydenta aż do ostatniego gubernatora, miały słowa pochwały dla ludu polskiego.

„Jego Eminencja kardynał Gibbons, Ekscelencja Delegat Apostolski i wszyscy arcybiskupi i biskupi rozmaitych diecezyj przezemnie odwiedzanych przyjmowali mnie z najwyszukańszą grzecznością, nacechowaną iście czystą i szczerą serdecznością, a wszyscy mieli słowa podziwu i pochwały dla Polaków.

„Czcigodny Prezydent Roosevelt udzielił mi specjalnej audjencji i powiedziawszy mi, że lud polski jest dobry, uczciwy i pracowity, powierzył mi zaszczytne zadanie złożenia głębokiego szacunku Waszej Świątobliwości i wyraził swój osobisty pogląd temi słowami: „Gdyby stosunki urzędowe Państwa z Kościołem nie sprzeciwiały się temu, tobym powiedział papieżowi, że byłoby to wielkiem dobrem dla ludu polskiego, żeby kler jego miał reprezentację w hierarchji kościelnej w Ameryce".

„Burmistrzowie w Stevens Point, w New Britain, w Chicago i inni wychwalali lud polski słowami bardzo pochlebnymi. Prasa publiczna, jednozgodnie i jednomyślnie, wtórowała głosowi władz amerykańskich.

„Zanim skończę to krótkie sprawozdanie, Wasza Świątobliwość pozwoli mi, że wypowiem słowo pochwały dla kleru polskiego, od którego dużo zależy, że ich współrodacy w Ameryce zachowują czystą, całą, nietkniętą wiarę katolicką. Organizacje różnych towarzystw i komitetów katolickich, wybudowanie tylu kościołów, szkoły, sierocińce, ochronki, szpitale, zakłady są wynikiem działalności tego kleru, ażeby lud jego nie zbłądził od wiary prawdziwej, lecz na samym czele szedł spokojnie w swej ziemskiej pielgrzymce drogą prawdziwej wiary Chrystusowej.

„Zastrzegam sobie na później pokornie przedłożyć Waszej Świątobliwości, jeśli to uważać będzie za stosowne i skuteczne dla

tego ludu specjalny memorjał o położeniu i bardziej naglących potrzebach duchownych Polaków w Ameryce.

Rzym, 5 paźdz. 1905.

Oto pierwszy krótki memorjał arcybiskupa Symona. Papież, wysłuchawszy go, wyraził radość oraz życzenie, żeby i ten drugi „specjalny memorjał“ opracowano natychmiast i przedłożono także prefektowi Propagandy. Ale ten drugi „specjalny memorjał“ ukończono dopiero na drugi rok, jak to zobaczymy w dalszym ciągu tych pamiętników.

Tymczasem ciesz się narodzie polski, że wnet dostaniesz biskupów polskich tyle ile chcesz. Bo oto arcybiskupa Symona przyjmowali biskupi amerykańscy „z najwyszukańszą grzecznością, nacechowaną iście czystą i szczerą serdecznością“, a zatem sprzyjają sprawie biskupów polskich.

Tak odtąd wołali coraz liczniejsi faworyci i pochlebcy biskupów amerykańskich, popełniając ten odwieczny błąd, zwany w logice „salto mortale“, skok karkołomny w rozumowaniu następującem: Ponieważ sprzyjają nam słowem i językiem, a więc sprzyjają nam także uczynkiem i prawdą! Kiedyż nareszcie z tej błędnej polityki pochlebiania biskupom wyjdziemy na prostą drogę czynu i w zwartym szeregu stawimy im jednolity front?... „W życiu prywatnem na grzeczności nikt nie traci, ale w życiu publicznem na grzeczności każdy traci“.... Tak powiedział nasz filozof Karol Libelt, głęboki myśliciel i znawca życia publicznego. I miał słuszność. Biskupi amerykańscy tu nas w oczy chwalą, a w Rzymie mówią, że muszą swoim groszem utrzymywać nasze polskie kościoły, chociaż ani centa na nie nie dają. Przeciwnie, nie oni nas, ale my ich utrzymujemy płaceniem wygórowanego katedratykum. A my lada pięknym ich słówkom wierzymy i na dudków się wystrychnąć pozwalamy!...

94. W Rzymie brak płatnego opiekuna naszej sprawy. — Arcybiskup Messmer własnoręcznym listem mimowoli stwierdza, że był zawsze wrogiem sprawy biskupów polskich.

W Poznańskiem, między klerem podówczas pesymistycznie zapatrywano się na sprawę naszą, jeśli mam wierzyć temu, co mi z Ostrowitego Prymasowskiego 23 sierpnia 1905 pisał mój najstarszy brat ksiądz Szymon Kruszka w następujących słowach:

„Chciałem ograniczyć się na jednym arkuszu, ale przypomniała mi się Wasza sprawa biskupów, o co mię często księża interpe-

lują. Jest tu ogólne przekonanie, że Twoje trudy na nic! in vanum laborasti, i ja też tego zdania. Papież obiecał — ale Wasi biskupi, sypnąwszy Włochom łapczywym na grosz, całą sprawę zniweczą. Chcąc czegoś dokonać, trzebaby tam w Rzymie siedzieć, płacić, łapówki dawać...; inaczej niczego nie dokażecie! To wie świat o tem! Rzymscy prałaci wyglądają tylko pieniędzy; Symona tam Irlandczycy i Niemcy przerobią i zda sprawozdanie w Rzymie według ich myśli, i sprawa wasza ubita. Gdyby Polacy mieli **swój rząd**, to by się z nim Rzym liczył — ale tak — to mają dla nas tylko piękne słówka, a te nic ich nie kosztują. My zaś mamy tę polską słabość, że lada pięknym słówkom wierzymy i na dudków się wystrychnąć pozwalamy. Tak też w tej sprawie. Jedyne jak mówię, byłoby może skuteczne, gdyby **tam w Rzymie** kto **ustawicznie** koło tej sprawy chodził.

X. Szymon."

Otóż był tam w Rzymie ustanowiony i przez Kongres w Pittsburgu zatwierdzony stały agent, Monsignor Giuseppe Antonucci, z miesięczną pensją dziesięciu dolarów. Ale niestety prezes Stowarzyszenia Księży, ks. Stanisław Nawrocki, nietylko mu tej marnej pensji nie posyłał, ale nawet nie raczył mu odpowiadać na jego listy. Skarżył mi się o to Mgr. Antonucci przez cały rok, a w liście z Rzymu 30 listopada 1905 tak z goryczą napisał:

„Mój Najdroższy Przyjacielu!

„Nareszcie odebrałem Twój bardzo oczekiwany list... Dnia 26 b. m. zeszedłem się z urzędnikiem czyli minutantem, który w Propagandzie załatwia wszelkie kościelne sprawy Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Na moje pytanie, czy ma co nowego w owej naszej sprawie, odpowiedział, że Kongregacja Propagandy Wiary nie przestaje i nie przestanie naszej sprawy polecać biskupom amerykańskim, że dobrze usposobiona jest dla mianowania jakiegoś biskupa Polaka, byleby tak zwana „terna" (trójka czyli trzech kandydatów biskupich) zawierała nazwisko polskiego kapłana; że arcybiskup Symon po swoim powrocie dotychczas nic jeszcze o swojej misji do Was nie doniósł Propagandzie.

„Pamiętasz mój Wacławie, że od miesiąca marca bieżącego roku po otrzymaniu listu uwiadamiającego mnie, że zostałem ustanowiony patronem i opiekunem waszej sprawy, wiele wiadomości o waszej sprawie napisałem i posyłałem do Wielebnego ks. Stanisława Nawrockiego, prezesa Stowarzyszenia Księży Polskich

w Ameryce. Nie wiem, czemu aż do dzisiejszego dnia nic mi nie odpisał.

„Zaiste obawiam się, że moja pilność i prawość, przedstawiająca cały stan sprawy szczerze i otwarcie, nie zadowoliła naszych przyjaciół i towarzyszy. Aliści to właśnie uczyniłem nietylko dlatego, żeby zadość uczynić mojemu obowiązkowi, który jak najsumienniej wypełnić się staram i zawsze się starałem, lecz także dlatego, żeby w ten sposób jak najlepiej dopomóc naszej sprawie. Otóż o tem dziwnem milczeniu, które, wierzaj mi, przygnębia i łamie mego ducha, spodziewałem się coś od Ciebie usłyszeć!

„Życząc Ci wesołych świąt Bożego Narodzenia, pozostaję z serdecznem pozdrowieniem Twoim życzliwym Przyjacielem i Bratem w Chrystusie.

Józef Antonucci."

Dlaczego prezes Stowarzyszenia Księży nawet z prostej grzeczności nie raczył odpowiadać na listy tego, którego sami księża na kongresie wybrali opiekunem naszej sprawy w Rzymie? Oto dlatego, że uwierzywszy pięknym słówkom biskupów amerykańskich, swoją orjentację rzymską zamienił na amerykańską. Już raz, w roku 1902, ta orjentacja go zawiodła; ale to nic. Już raz tę zwodniczą orjentację był porzucił, ale sicut canis ad vometum suum, znowu do niej powrócił. Ks. Stanisław Nawrocki, a wraz z nim znaczny odłam kleru polskiego, wszedł znowu na drogę tej z gruntu fałszywej zasady i błędnej polityki, że **nie przez Rzym, ale przez episkopat amerykański** uzyskamy biskupów polskich tyle ile ich chcemy. Odtąd, jak to zobaczymy, księża amerykańskiej orjentacji przez całe lata następne kroczyć będą drogą tej błędnej polityki schlebiania biskupom amerykańskim i będą od wiary odsądzać, ba, wyklinać będą każdego, księdza czy cywilnego, który wraz z nimi nie będzie wierzył pięknym słówkom biskupów amerykańskich. Tem kłamstwem, rzekłbyś, cały świat przejdą, ale niem nie wrócą!

Bo kłamstwem wierutnem było to, że episkopat amerykański rzeczywiście sprzyjał naszej sprawie biskupów polskich. Powierzchownie tylko sprzyjał, i tem powierzchownem sprzyjaniem nawet Rzymowi oczy mydlił. Kłamstwo prędzej czy później jak szydło z worka zawsze na wierzch wyjdzie. Wyszło też w tym wypadku. Któż bowiem śmie twierdzić, że tych dwóch biskupów — wyraźnie 2-ch tylko, co wyszło z kleru polsko-amerykańskiego — otrzymaliśmy z łaski episkopatu amerykańskiego, a nie pod naciskiem Rzy-

mu. Już wówczas, w październiku roku 1905, a więc zaraz po wizycie arcybiskupa Symona, udało mi się od mego arcybiskupa uzyskać piśmienny dokument, wykazujący czarno na białem, co on rzeczywiście myśli o sprawie biskupów polskich. Uzyskałem ten dokument przypadkowo, i to jeszcze pod sekretem. A było to tak: Reporter angielskiej gazety w Milwaukee miał wywiad u arcybiskupa Messmera i potrącił o sprawę biskupów polskich. Arcybiskup powiedział reporterowi, co myślał o tej sprawie, ale nie chciał, by to ogłaszał w gazecie. Reporter jednak całą prywatną spowiedź arcybiskupa ogłosił w gazecie. Posyłając wtedy właśnie do arcybiskupa prośbę o Imprimatur dla szóstego tomu mej Historji, przy tej sposobności zapytałem arcybiskupa, co ma znaczyć ów interview w sprawie biskupów polskich, czy on rzeczywiście tak się wyraził, jak to gazety ogłosiły? Na to tylko arcybiskup Messmer w rocznicę tego samego dnia, w którym Luter swoje tezy przybił do drzwi kościoła w Wittenburgu, wysłał mi do Ripon swoją sławną tezę czyli swoje piśmienne zdanie o sprawie biskupów polskich w następującym liście własnoręcznym z napisem „Private":

Archibishop's Residence,
2224 Chestnut Street.

Milwaukee, Wis., Oct. 31, 1905.

Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis.

Dear Sir:

Enclosed I return the „nihil obstat" and hereby grant the Imprimatur for the VI. volume of your Polish History.

Accept my thanks for your kind letter regarding Polish bishops. You may have seen that I protested in the paper against the reporter's action in publishing at all — and even in a false manner, — what had been an informal talk among us, when I told him positively that I did not want to be quoted at all. I have always refrained from speaking for the public on this Polish question as I know that my opinion suits neither the Polish nor the rest of our people. But I must confess that I always blamed the priests for this agitation and I still believe that the Polish people would never have taken it up, if they had not been led first by the clergy. We may some day talk on the matter. Sincerely,

X. S. G. Messmer.

Ta teza arcybiskupa, na piśmie wyrażona czarno na białem: „Ja muszę to wyznać, że ja zawsze winiłem księży o tę agitację

i jeszcze w to wierzę, że lud polski nigdy by nie domagał się biskupów polskich, gdyby nie był do tego namówiony najpierw przez kler" — ta teza, historycznie nieprawdziwa a moralnie niesprawiedliwa, dała mi oddawna pożądany autentyczny dokument do ręki, dlaczego arcybiskup Messmer, kiedym z Rzymu prosił go o poparcie, nic nie odpowiadał na moje listy; dlaczego księża polscy tak się strasznie łudzili, kiedy w najlepszej nadziei popierali go na arcybiskupstwo do Milwaukee. Ta teza, dodająca zniewagę kleru do niesprawiedliwości, adding insult to injury; ta teza, teraz czarno na białem wypisana, dała mi autentyczny i oczywisty dowód do ręki, że arcybiskup Messmer zawsze był wrogiem Polaków, bo był wrogiem ich najżywotniejszej sprawy w Ameryce. Mając taki autentyczny dowód w ręku, odtąd już konsekwentnie zmuszony byłem uważać arcybiskupa Messmera jako skrytego i dlatego tem bardziej niebezpiecznego wroga Polaków i stosownie do tego w mem życiu postępować. Moi konfratrzy, którzy o tym liście arcybiskupa nie wiedzieli, bo był „Private", mogli się nadal łudzić i uważać arcybiskupa Messmera jako przyjaciela naszej sprawy polskiej; mogli nawet później „Nowiny" wydawać, aby go także w oczach ludu przedstawić jako przyjaciela Polaków. Mój człowiek zaś, mając w ręku tak autentyczny dowód, nie mógł z ręką na sumieniu żadną miarą popierać takich „Nowin", choć one światu głosiły istotnie największą dla mnie nowinę, mianowicie, że arcybiskup Messmer sprzyja naszej sprawie polskiej! Arcybiskup Messmer sam, w mojem położeniu, nie postąpiłby inaczej.

Teraz, jak widzimy, arcybiskup Messmer wini samych tylko księży o agitację, a lud polski uniewinnia. Później zobaczymy, co uczyni, gdy ten lud sam bez księży zorganizuje się we Federację celem uzyskania biskupów polskich.

95. Skutek orjentacji amerykańskiej był ten, że Rzym odsyłał naszą sprawę napowrót do episkopatu amerykańskiego. — Oryginalna reklama mojej Historji.

Księża orjentacji amerykańskiej czyli episkopalnej wierzyli pięknym słówkom biskupów amerykańskich i dali się na dudków wystrychnąć. Ale nie poprzestali na tem. Każdego, który w ich orjentację episkopalną nie wierzył, ale wierzył w orjentację rzymską czyli papieską, przedstawiali jako anarchistę, niedowiarka i wroga Kościoła i oczerniali go nietylko tu w Ameryce, ale i w Europie. Z Rożan (w Królestwie Polskiem) dnia 11 września 1905 pi-

sał mi list ks. kanonik Lasocki: „Szanowny Księże Proboszczu!... Będąc w tym roku zagranicą, spotkałem dużo Waszych amerykańskich księży — którzy i Was mi obgadywali — zapraszając, by Was odwiedzić.“ (Z pewnością, żeby mnie nawrócić na orjentację episkopalną czyli amerykańską. Nadaremny trud!)

Księża orjentacji amerykańsko-episkopalnej coraz to pewniej i głośniej twierdzili, że amerykańscy biskupi nie są wrogami naszej sprawy polskiej, owszem są jej serdecznymi przyjaciołmi. Ks. Kruszka ich tylko rozdrażnił przez to, że do Rzymu zawiózł tę sprawę, która tu przez biskupów amerykańskich mogła i może być załatwioną. Bo że biskupi amerykańscy sprzyjają naszej sprawie, najlepszy dowód w tem, że tak serdecznie przyjęli arcybiskupa Symona, a nawet do Ojca św. pisali listy pełne pochwały dla Symona misji w Ameryce! Te piękne słówka najlepiej dowodzą, jak szczerze i serdecznie biskupi amerykańscy popierają naszą sprawę.

Tak rozumowali księża episkopalno-amerykańskiej orjentacji i zawnioskowali: Przez biskupów amerykańskich uzyskamy tyle biskupów polskich ile chcemy, oni nam sprzyjają, byleśmy im tylko uwierzyli i całkowicie się oddali.

Co Rzym miał na tę zmianę frontu odpowiedzieć?

Rzym, całkiem naturalnie, był ogromnie rad, że nie potrzebuje sami załatwiać tej nader drażliwej sprawy, skoro już biskupi amerykańscy sami mogą i chcą ją załatwić. Przecież arcybiskup Symon w powyższym memorjale do Ojca św. zapewnił uroczyście Rzym, że wszyscy biskupi amerykańscy, od Gibbonsa aż do ostatniego, sprzyjają Polakom. Co więc Rzymowi pozostawało do zrobienia? Nic innego, jak całą sprawę biskupów polskich odesłać napowrót do biskupów amerykańskich; oni ją załatwią najlepiej, skoro tak sprzyjają Polakom.

Stąd znany nam już korespondent rzymski, William J. D. Croke, taki z Rzymu sensacyjny artykuł napisał do gazet ajryskich w Ameryce pod koniec grudnia roku 1905:

The Polish Question.

Rome Will Not and Can Not Accede to the Demand for Polish Bishops. The Question Practically Referred Back to the American Hierarchy.

(Special Correspondence from Rome.)

Rome, December 22, 1905. — It is time to tell that Polish story in full, for it has run its natural course.

It begins, for us, in the very last months of the reign of Leo XIII., when an agitation, which had been for long afoot among the Polish Catholics in America, attracted general attention, because of the intelligence that two deputies (Rev. W. Kruszka and Hon. Rowland B. Mahaney), had come to Rome to lay the case before the Holy See.

What Has Been Done.

The deputies did not come to appeal from the Church authorities in America, but, in truth, to act upon the suggestion, logically found in the reply, first, of the American archbishops and then, it was averred, of the apostolic de legation at Washington, that the granting of such a request did not depend upon them.

I have, again and again, used words of praise for the work of the deputies, which ended in the tour of inspection performed by Archbishop Symon in the Polish-American settlements, Now. after Archbishop Symon's return and re porting to the Pope, no action has, I can safely say, been taken, at the Vatican, nor, indeed, is contemplated. It can be stated, with equal safety, that the attitude of the Propaganda in the question romains quite unchanged from what it was before the departure for America, of Archbishop Symon. Some words may, indeed, have been passed to the Propaganda from the Vatican; the Pope may have said, at one of the regular audiences of the Cardinal Prefect Gotti, or of the Secretary General of the Western churches Msgr. Veccia, such words as: „I saw Archbishop Symon, on his return to Rome, and he told me so and so, therefore I think etc." At the Propaganda I can say for cer tain, since Archbishop Symon's return, nothing has been done in the matter, nothing will be done in the matter, and nothing can be done in the matter, except, kindly, to counsel the American hierarchy to favor, within bounds of their own wisdom, all the aspirations of the Poles.

Request Refused.

This, I report as they give it out there; how they carry out the principle, whether by writing, or in writing, to the American archbishops and bishops, or by speaking, to such bishops as pay calls at the office on Piazza di Spagna, I have not an idea.

But this is certain, that the issue of all the American Polish negotiations is this, that the claimants are referred back to the hierarchy and told that their only hope for having diocesan bishops

of their own, assistant bishops, or even vicars-general, lies in their influence with the heirarchy and such subordinate means as they themselves can use to get Polish-American names put on lists, sent up to Rome, for vacancies in the episcopate at Rome.

After all, it was worth while for the most disinterested to hear this little story. It shows how far Rome is from ever acting tyrannously over dependent churches and from a tendency even to strain, unconsciously, in pract. on impulses generated by ferment appeals, the word that the Spirit has placed to rule the Church, even taken in a literal sense.

Yet we see such things stated in leading reviews, without protest from Catholic quaters.

Some Advice.

I hear that there is a certain measure of exasperation among the Poles in the United States over the non-issue of their agitation and appeals. Their leaders will be wise to take the course which has been often advised in these columns, that of looking to the hierachy in America.

On the other hand, I fancy that the Roman conduct of the cause is being altered. Let us hope, in the desirable way just mentioned.

It may be another question how far the general wielfare is being consulted by the publication of articles, such as the present, about an non-issue of an unpopular tendency, decidely exotic as to savor. But your paper began, several years ago, against far more desperate odds, an equally quixotic agitation in favor of due spiritual pro vision for another class of immigrants, those of the Pope's metropolitanate of Italy.

Italian question.

After a long ventilation of this question, always in the same columns, public feeling was stirred, and, out if its tumult, there sprang the tenous rivulet which, today, is filling the Church in America with the waters of a new life, for the Italians. It is the unfailing rule that, when the heads of the greatest and smallest American sees have personal contact with the Pope, the chief question is the effort made for the spiritual needs of the Italian people in their dioceses. It is not any great, simply American question, it is the Italian question.

The creation, or the setting before the public, of a big and difficult Polish question, the needs for a settlement of which may pass away, before the ideal time for settlement should have come, synchro nisese — I am to far away to speak of any essential connection — with a new, vitalizing influence, telling in favor of the spiritual aid of Polish-speaking immigrants and residents. The records of the Propaganda, during these few years attest this, as do also, supposably, the Catholic periodicals of America.

William J. D. Croke.

Oczywiście taka korespondencja ajryska z Rzymu była wodą na młyn orjentacji episkopalno-amerykańskiej. Coraz więcej księży teraz zaczęło wierzyć w tę orjentację, że nie mamy się czego spodziewać od Rzymu, a wszystkiego możemy się spodziewać od episkopatu amerykańskiego, byleśmy go sobie tylko zjednali „czapką, papką i dobrą wolą". Zwolennicy orjentacji episkopalnej krzyczeli coraz głośniej: „A czy nie mówiliśmy wam, że Rzym bez episkopatu amerykańskiego nic nie zrobi?"

I dalej jeszcze bardziej łasić i podchlebiać się zaczęli biskupom amerykańskim, łudząc się, że tą drogą, a nie drogą rzymską, najprędzej dojdą do celu. O łaski rzymskie już więcej nie dbali, własnego opiekuna w Rzymie, Msgr. Antonucci'ego, puścili w trąbę; dbali tylko o łaski arcybiskupów amerykańskich. A jeśli która, to ta łaska na pstrym koniu jeździ. O tem, że prezes Stowarzyszenia Księży Msgr. Antonuccie puścił w trąbę, tak mi wyż wspomniony pan Croke z Rzymu 16 listopada 1905 pisał:

„A friend's business threw Mgr. Antonucii and me in contact for a moment. I asked news of you, and he said mournfully that he has not heard from you, that he was in the dark about „the Polish-American priests" and the cause in which he bore so deep an interest. I really and firmly believe he is very broad and inclined to concessions for a Curiales Romanus, and it is not his fault if the others are less so: you **must** write to him and keep a warm friend, who has influence and will spend it to the best of his power. You know how backward we are here: it is climate, tradition, antiquatedness, etc. I am sure the Poles will come out at the top alright in this business, and you know that I am supposed to be cautious even in making statements in the press. For my part I pray God to hear the prayers of this grand, long-tried, much suffering race, and to crown with His blessing and consolation the desires of your

exiles — a poetic people in the midst of materialism, a pure people amid encircling graft. Wishing you good health, revived hope and cheerful spirits — for this think on Mr. Mahany! and believe me ever yours W. J. D. Croke."

Tak więc w tej sprawie biskupów polskich, roku 1905 i następne lata, nie Rzym nas opuszczał, tylko myśmy Rzym opuszczali, wierząc pięknym słówkom biskupów bardziej niż papieżowi.

Książki bez reklamy i ogłoszenia nie sprzedasz łatwo. I mojej „Historji" potrzeba było ogłoszenia, by ją rozsprzedać i rozpowszechnić. Wiedząc o tem były Generał Zmartwychwstańców, O. Paweł Smolikowski, zapewne z miłości i wdzięczności za to, żem go wyręczył w tej żmudnej pracy napisania historji o ojcach chicagoskich, umieścił w „Dzienniku Chicagoskim" z dnia 15 grudnia 1905 na naczelnem miejscu wielkie ogłoszenie mej Historji pod tytułem „Ks. Wacław Kruszka i jego dokumenty", zupełnie bezpłatnie a z nadzwyczajnym sprytem. Mianowicie powiada w tem ogłoszeniu, że wyraźnie zakazał mi odpisywać listy z archiwum rzymskiego, a ja pomimo zakazu jego odpisałem je i ogłosiłem w swej Historji. Czy może być reklama sprytniej ułożona nad tę? Bo jako psycholog czyli znawca dusz ludzkich wiedział dobrze, że nikt by mojej Historji z ciekawością nie czytał, gdyby ogłosił, że ja w niej o Zmartwychwstańcach napisałem to, co mi Zmartwychwstańcy kazali pisać. Dlatego bardzo sprytnie ogłosił, że ja napisałem właśnie to, co mi OO. Zmartwychwstańcy **zakazali** odpisywać z listów w archiwum się znajdujących. Takie właśnie ogłoszenie musiało ogromnie zainteresować publiczność i zaciekawić umysły ludzkie. Każdy naturalnie chciał wiedzieć, co też te zakazane listy o Zmartwychwstańcach piszą. Ludzie więc, po takiem sprytnem ogłoszeniu, kupowali moją Historję tem chętniej, rozchwytali ją tem chciwiej i czytali ją z tem większą ciekawością. A zatem O. Smolikowskiemu jestem niezmiernie wdzięczny za tak sprytną reklamę. Atoli ojcowie chicagoscy nie poznali się widocznie na wartości tej reklamy, bo jeden z nich, albo jeden z tercyarjuszów, taki bezimienny list z Chicago 28-go grudnia 1905 mi nadesłał: „Szanowny Księże Dobrodzieju! Ojcowie Zmartwychwstańcy, przyjmując gościnnie u siebie Szanownego Księdza Dobrodzieja, otwierając Mu zarazem podwoje swoich archiwów w Rzymie, widocznie całkiem zapomnieli o tem, że nie należy nigdy wpuszczać **świni** do ogrodu pięknego. Taka świnia bowiem wszystko tam poryje i po-

żre, a gdy się ją stamtąd wypędza, to jeszcze kwiczy! złości się! Taksamo wpuszczali do siebie Księdza Dobrodzieja OO. Zmartwychwstańcy. Szanowny ks. tam rył wszędzie i żarł u nich, a teraz w gazetach kwiczy. Zobaczymy, kto pierwszy do kogo pojedzie, czy oni do Księdza, czy Ksiądz do nich."

Taki list ubliża jedynie Ojcom chicagoskim i jest jednym dokumentem więcej, że „Historja Polska w Ameryce" napisała o nich prawdę. Ale właśnie dlatego, jak później zobaczymy, ich zemsta ścigać mię będzie przez cały szereg lat.

96. Niegrzeczny ale skuteczny plan ks. Ostaszewskiego. — Radzi sprawę biskupstwa polskiego postawić na ostrzu miecza.

Papież dał nam słowo, że otrzymamy biskupów polskich podług naszych życzeń. Na tem słowie papieskiem, jako na skale Piotrowej, oparci, możemy uzyskać tylu biskupów polskich, ile sobie życzymy. Oczywiście wiara w to słowo, wiara żywa, czynna i niezachwiana, była i jest nieodzownym warunkiem naszego powodzenia. Niestety, jak widzieliśmy, ta wiara zachwiała się; a po wizycie arcybiskupa Symona prawie zupełnie upadła. Zamiast słowu papieskiemu, zaczęto znowu wierzyć lada pięknym słówkom episkopatu amerykańskiego. Orjentację papieską, rzymską, zamieniono znowu na orjentację episkopalną, amerykańską, choć ta już tyle razy nas zawiodła. Byli jednak i tacy księża — rari nantes in gurgite vasto — którzy mocno trwali i wytrwale trzymali się **jedynie prawdziwej orjentacji** w sprawie naszej, to jest **orjentacji papieskiej, rzymskiej.** Do takich należał ksiądz Bolesław Ostaszewski. Oparty na słowie papieskiem, podał on plan akcji śmiały i skuteczny. Plan ten wprawdzie był bardziej niegrzeczny dla biskupów amerykańskich, ale ks. Ostaszewski widocznie rozumował tak jak filozof Karol Libelt: „W życiu prywatnem na grzeczności nikt nie traci, ale w życiu publicznem na grzeczności każdy traci". Niegrzeczny ten plan, który wówczas wobec zbyt rozpowszechnionej orjentacji amerykańskiej nie dał się urzeczywistnić, był następujący:

„Księżyn św. Bonawentury, Alleghany, N. Y., 18 października 1905. Szanowny Księże Proboszczu! Sprawa biskupstwa polskiego w Ameryce jest bardzo ważna, co raz bardziej z dniem każdym naprężona, stanęła wkońcu na ostrzu miecza. A więc ten gordyjski węzeł może być tylko mieczem rozwiązany. Mieczem tym ma być następująca działalność i postąpienie:

Odezwa do całego polskiego duchowieństwa w Ameryce.

„Powinniśmy, Księża, namyślić się, zastanowić się dostatecznie nad marnem obecnem naszem położeniem w zależności od ajryszów i Niemców, i rozmyślić się i rozstrzygnąć tę prawdę. A więc:

1. Wszyscy polscy księża w Ameryce przystąpią do wyboru tajnego kandydatów na biskupów w rozmaitych siedzibach Polaków. Jednomyślnie taki niesłychany krok postawmy śmiało, bez wahania i pewni siebie.

2. Wysłać pocztą **na własne ręce** Ojca świętego krótko węzłowato listy z wybranymi kandydatami, z podpisami wszystkich kapłanów i z oznajmieniem że: „Biskupów amerykańskich nie możemy w żaden żywy sposób używać, a więc jako umarłych sobie uważamy — i osieroceni przystępujemy do wyboru kandydatów, o zatwierdzenie których prosimy stanowczo! Wszak papież obiecał nam ich jak najprędzej i to podług naszych życzeń. Więc domagamy się wypełnienia obietnicy."

„3. Z biskupami amerykańskimi żaden nie ma prawa zrywać zupełnie, ale każdy jest obowiązany i ma pozostać na własnem stanowisku, jakie dotąd zajmuje.

„4. Gdy listy do Rzymu dojdą, wtedy jednomyślnie ale niewyraźnie zacząć się sprzeciwiać biskupom amerykańskim, a lepiej opierać się im nieznacznie, wyjąwszy rzeczy niezbędne, których sami księża nie mają prawa załatwiać.

„5. Wiadomem jest, że papież chce nam dać biskupów polskich (quantocius et quidem secundum vestra desideria), ale tylko amerykańscy biskupi się sprzeciwiają. Takim śmiałym krokiem zmusimy amerykańskich biskupów cicho siedzieć i wybawimy Ojca świętego z kłopotu, że przez nich nie mógł **dotrzymać** obietnicy, którą się Polakom zobowiązał. Powie im Ojciec święty: Polacy nie chcą was słuchać zupełnie, tak, że dla was już są oni straceni. ale ja nie chcę, by byli dla Kościoła straceni; nie mogąc wam nic zaradzić, nie mogę Polaków zostawić bez Pasterzy. Także i sam papież będzie się cieszył, że przez ten krok nasz i wilk syty (Amerykanie) i koza cała (Polacy).

„6. A skoro się dowiemy o mianowaniu przez papieża biskupów polskich na czysto polskie diecezje, natychmiast zerwiemy z amerykańskimi biskupami.

„7. Nadzwyczaj pożądana jest jedność całego polskiego duchowieństwa, najlepiej na teraz unikać wszelkich spraw spornych, a raczej sporów, bo na te podrzędne sprawy potem czasu stanie.

„8. Na wszelkie ustępstwa biskupów amerykańskich, jak również na ich zachęty do narad i do układów, być zupełnie głuchymi, jako już zapóźnione a zatem nieszczere itd.

„9. Najzawilsze w tym względzie pytanie jest: gdzie i jak mieć biskupa polskiego? Różni różnie mówią, a mogłoby dojść do porozumienia w ten sposób. Mówią, że nie może być dwóch biskupów w jednej diecezji. To z jednej można zrobić dwie, a jedną z nich polską. Wszak i parafja często rozdziela się i ot powstają niezależne od siebie, tylko od biskupa i od papieża. Biskupstwa więc również mogą powstać niezależne od siebie. Może więc diecezja dla wszystkich narodowości rozpaść się na dwie, z jedną polską. Wszak widzimy we Lwowie aż trzech biskupów katolickich, od siebie niezależnych. Obrządki nie wielką czynią różnicę. Cóż więc dziwnego, że i tu w Ameryce, jak w Chicago, Detroit, Buffalo, Milwaukee, Cleveland, w Nowym Yorku lub w Baltimore, w Pitsburgu może być drugi biskup niezależny od pierwszego — Polak.

„10. Więc z tego wynika: prosić w liście do papieża o 7 biskupów Polaków i tylko dla Polaków w siedmiu wyżej wymienionych miastach, wyraźnie nacisk kładąc na te miasta, wykazując, że Polacy tam są w dostatecznej liczbie, a zatem mogą utrzymać swych biskupów. Po trzech kandydatów na każde miasto, a więc wszystkich 21 kandydatów. A i to wiadomo, że kto o dużo prosi, nie zawsze mniej otrzyma. A więc siedmiu biskupów domagajmy się, a może siedmiu otrzymamy, a nie, to dobrze i czterech dostać.

„11. Domagać się o biskupów polskich i tylko dla Polaków, mamy prawo. Bo nam są konieczne rzeczy do zbawienia potrzebne, a Kościół musi dać te rzeczy niezbędne do zbawienia. Ale że biskupi polscy są konieczną rzeczą, abyśmy utrzymali się przy wierze świętej, konieczną przynajmniej remote, bo tracąc narodowość tu w Ameryce, straceni będziemy i dla wiary św.

„12. Jednakowoż ktośby zarzucił: nie róbmy tego, nie stawiajmy tego kroku, bo to zgorszy biskupów amerykańskich i innowierców.

„Biskupi niechaj się gorszą. Już się nam dali we znaki, dosyć zgorszyliśmy się z nich, i przez nich tylko zbór niezależnych po-

wstał. A tak, to niewątpliwie powrócą przynajmniej stracone parafje, jeżeli nie Hodur, Kozłowski i Kamiński.

„A innowiercy, nie więcej się tem zgorszą, jak już się zgorszyli odpadnięciem tych sekciarzy; a co najważniejsze, nie więcej się zgorszą, aniżeli przyszłem odpadnięciem wszystkich Polaków — przez wynarodowienie. Owszem jeszcze się zbudują, że jednomyślnie i wytrwale **prosimy** Ojca świętego, a gdy prośba nie skutkuje, upominamy się o rzecz nam koniecznie potrzebną. Kto natrętnie puka do drzwi, temu otworzą.

„13. Niech się ciągnie jak chce długo ta sprawa — my wytrwale w tym stanie możemy tak zostawać, bo w rzeczach niezbędnych nie zerwiemy z biskupami — dopóki nie otrzymamy, o co prosimy.

„14. Wierzę najświęciej w skuteczność takiego nagłego, jednomyślnego postąpienia, skoro tylko całe duchowieństwo złączy się silnie i jednomyślnie chórem prosić będzie, domagając się.

„15. Najlepsza, by były poseł W. Ks. Kruszka zajął się tą sprawą i wszystkim księżom, zwłaszcza główniejszym sprzyjającym, przesłał odezwę tę.

„Oto, Szanowny Księże Proboszczu, chyba najodpowiedniejszy środek dopięcia celu. Takim sposobem przez jednogłośne żądanie Polacy w kraju otrzymali polskie szkoły, przynajmniej prywatne. Kiedy biskupi mogą się opierać Ojcu świętemu w celu swych szowinistycznych poglądów, to duchowieństwo polskie także jak i biskupi, kapłanami są, więc mogą prosić stanowczo o swoje."

Tyle ks. Bolesław Ostaszewski. Planowane przez niego postąpienie, o ile jest niegrzeczne, o tyle jest skuteczne. „Czego chcą miljony, a chcą szczerze i skutecznie — to wkońcu stać się musi" (Napoleon Wielki to powiedział).

97. Dnia 23 stycznia 1906 arcybiskup Symon przedkłada Ojcu św. drugi i długi memorjał, w którym wykazuje, że kler i lud polski w Ameryce spełniają swe obowiązki kościelne na równi z innymi katolikami.

Dnia 5 września 1905 niezależny ks. Jan Radziszewski pisał był do mnie długi list, w którym moje „dzieła uwielbia a mrówczą pracę podziwia". Widać — pisze — że tam bije serce nawskroś Chrysustowe, w którem zamieszkuje miłość prawdziwie polska.

Ta właściwie żywa miłość Chrystusowa do narodu polskiego zrodziła we mnie zaufanie do Księdza Dobrodzieja..." Na skutek tego listu prowadziłem długie korespondencje z arcybiskupem Messmerem, OO. Franciszkanami itd. Listy te są w tece.

Niemczyska wygnali mojego dawnego profesora matematyki. Z Wągrówca 23 września 1905 pisze mi bratanek Lud. Kruszka: „Dzielę się z Ks. Stryjkiem smutną wiadomością. Oto p. profesor Rychlicki został około Wielkanocy przesiedlony do Dysseldorfu nad Ren. Wygryzła go Hakata. Jak grom z pogodnego nieba spadła wówczas na nas ta nowina, a tem więcej, że i p. profesor Łęgowski został do Poznania przesiedlony. Profesora Polaka teraz nie mamy, a na to wszystko mamy księdza bardzo złego, który bez wszelkich ogródek opowiada, że będąc młodym, mówił po polsku i był Polakiem..."

Dnia 28 listopada 1905 pisał mi z Cincinnati, Ohio, pan F. Szurliński, kasjer parafji św. Stanisława, czybym nie zechciał objąć tamtejszej parafji. Zgoda, jeśli mój i wasz biskup na to pozwolą.

Pan F. H. Kowalski ze South Bend, Indiana, 9 grudnia 1905 poruszył najważniejszą kwestję w następującym liście:

„Wiel. Księże Dobrodzieju! W sprawie polskiego biskupa dotychczas jeszcze nic nie słychać. Miało coś być postanowione w listopadzie, tak jak gazety pisały. Więc polecono mi, abym się poradził Wiel. Księdza Dobrodzieja, czyby nie było dobrem zwołać zebranie masowe i wystosować petycję, że i lud chce polskiego biskupa a nietylko sami księża, jak to Niemcy i Ajrysze mówią."

Z Rzymu odebrałem wiadomość, że arcybiskup Symon powrócił z Polski i dnia 23 stycznia 1906 nareszcie przedłożył Ojcu świętemu **drugi i długi memorjał** w sprawie Polaków w Ameryce. Memorjał ten w przekładzie z włoskiego na polski język brzmi tak:

„Ojcze Święty!

„Na ostatniem posłuchaniu, łaskawie mi udzielonem przez Waszą Świątobliwość po kilku dniach mego powrotu z podróży po Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, miałem ten zaszczyt przedłożyć Waszej Świątobliwości memorjał, w którym w krótkich słowach dałem ogólny pogląd na obecne stosunki katolicyzmu moich współrodaków Polaków, osiedlonych w tym kraju.

„Aby więc zadosyćuczynić przedsięwzięciu, podjętemu w tym krótkim memorjale, oraz aby zastosować się do wyraźnego życzenia Waszej Świątobliwości, upadając do nóg Twoich, Ojcze

Święty, wywięzując się z tego zaszczytnego zadania, przedstawiam dzisiaj w sposób bardziej szczegółowy i zwięzły ponowne sprawozdanie z tego, co już poprzednio miałem to szczęście ustnie przedłożyć.

„Począwszy od roku 1870 emigracja Polaków do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki wzrosła do tego stopnia, że dzisiaj liczy dwa i pół miljona ludności. Ten lud, który z piersi matki swej wyssał silne i niewzruszone uczucie religijne, porzuciwszy swoją glebę rodzinną i udawszy się w te odległe krainy, pełne swobody nieograniczonej, umiał skorzystać z tego daru, by publicznie zamanifestować swoje wierne i stałe przywiązanie do religji rzymsko-katolickiej.

„I o to w krótkim czasie, bo zaledwie w trzydziestopięcioleciu, pobudowano przeszło 500 kościołów polskich w różnych miejscowościach Północnej Ameryki, z których niejedne, jak naprzykład w Milwaukee, w Buffalo, w Chicago, w Toledo, w Detroit, w Cleveland, w Pittsburgu, w Erie, w Polonji, w Filadelfji, w Baltimore, w Wilmington, w Schenectady, w Brooklynie, i w innych miastach tworzą prawdziwe pomniki narodowe, i śmiało mogą się porównać z najwspanialszemi i najokazalszemi kościołami katedralnemi tegoż kraju.

„Wszędzie znajdują się szkoły katolickie elementarne pod kierownictwem Sióstr zakonnych, w których młodzież utwierdza się w wierze ojców, i w środowisku nieprzeliczonych sekt religijnych uczy się bronić sztandaru Chrystusowego. W główniejszych miastach mieszczą się kolegja i szkoły wyższe, chroniące od wpływów wolnomyślnych, w których młodzież przygotowuje się do studjów tamtejszych uniwersytetów, a w których kierownictwo i nauczanie spoczywa prawie wyłącznie w rękach profesorów niekatolickich. Szpitale dla chorych, przytułki dla sierot, schroniska dla starców i niezdolnych do pracy są najszczytniejszym ideałem tegoż ludu, uskutecznionym przez największe poświęcenie.

„Ten lud nie ogranicza się na budowie kościołów, szkół, kolegjów, szpitali, przytułków, ochronek, ani na samem przestrzeganiu przykazań kościelnych, lecz bierze pochop z najmniejszej i najdrobniejszej sposobności, aby dać publiczny wyraz swym uczuciom religijnym, uczuciom, które w krajach, gdzie się znajduje taka różnorodna mieszanina wyznań religijnych, budzi głębokie wrażenie w innowiercach.

„Ja zaś z prawdziwem i głębokiem upodobaniem miałem sposobność przekonania się o jego wielkiej żarliwości religijnej i przywiązaniu do wiary katolickiej.

„Co więcej, począwszy od najwyższego zwierzchnika Stanów Zjednoczonych, dostojnego prezydenta Roosevelta, aż do ostatniego burmistrza małej mieściny, i od J. Em. Ks. Kardynała Gibbonsa, a skończywszy na biskupach, lud ten jednozgodnie nazwano ludem uczciwym, pracowitym, uległym władzom miejscowym, bardzo przywiązanym do swej religji.

„Lud ten atoli znajduje się w warunkach anormalnych w porównaniu z innemi narodowościami z punktu zapatrywania religijnego. Przedewszystkiem po dokładnem rozpatrywaniu się zauważyłem, że istnieje ogromna nierówność co do liczby Polaków katolików, ich kościołów, ich kapłanów w porównaniu z ogólną liczbą katolików, kapłanów i kościołów amerykańskich.

„Liczba wszystkich katolików w Stanach Zjednoczonych, według „Official Catholic Directory“ z roku 1905 wynosi 12,462,793; a Polaków katolików jest około 2,500,000, to znaczy, że Polacy stanowią przeszło jedną piątą część wszystkich katolików. Liczba wszystkich kościołów wynosi 11,387, gdy tymczasem Polacy mają ich tylko coś około 500, czyli jeden na dwadzieścia dwa kościoły katolickie. Liczba wszystkich kapłanów, razem z klerem zakonnym, wynosi 13,857; a Polacy mają tylko około 560 kapłanów, czyli jednego na dwudziestu czterech kapłanów katolickich.

„Z tego wynika, że katolicy innych narodowości mają przeciętnie jeden kościół na 726 wiernych, podczas gdy Polacy mają przeciętnie 5,000 wiernych na jeden kościół i 4,464 wiernych na jednego kapłana. Ta widoczna nieproporcjonalność jest na niekorzyść ludu polskiego, przeszkadza rozwojowi katolicyzmu i z czasem może wytworzyć zobojętnienie ludu we wierze świętej.

„Oprócz tej w oczy bijącej nierówności spostrzegamy jeszcze to, że lud ten, czyniąc zadość wszystkim ciężarom obowiązkowym diecezjalnym i parafjalnym, podlega jeszcze wraz z swem duchowieństwem nierównemu traktowaniu w udzieleniu słusznie mu się należących praw.

„Duchowieństwo w przeciwstawieniu do innych narodowości, jak widzieliśmy, musi pełnić swe obowiązki w parafjach tak rozległych i gęsto zamieszkałych, skutkiem tego znajduje się w bardzo wyjątkowem położeniu w porównaniu do proboszczów i rektorów kościołów innych narodowości. Powagę, znaczenie, sławę

tegoż duchowieństwa głosy mniej życzliwe starali się osłabić, opisując i przedstawiając je jako niedostatecznie wykształcone, a nieraz nienależycie spełniające obowiązki swego szczytnego powołania. Skutkiem tego głos ten nabrał pewnego charakteru prawdopodobieństwa nawet w wyższych sferach kancelarji konsystorjalnych. Utrzymywano, że posady zajmowane przez księży polskich, są ostatnią ucieczką dla księży niepracowitych, niewykształconych, a duchowieństwo cieszy się niedobrą opinją wśród kleru.

„Ja sam miałem sposobność poznać zbliska i osobiście większą część tego duchowieństwa, i pobudzony tym ujemnym głosem, dołożyłem wszelkich starań, by zbadać ich ducha, ich apostolską gorliwość i ich wykształcenie. Postanowiłem to sobie jako główny cel, by zasięgnąć dokładnych i szczegółowych informacyj od poszczególnych arcybiskupów i biskupów diecezyj. Istotnie po dokładnem zbadaniu, po wielu otrzymanych informacjach, które prawie wszystkie wypadły zadawalniająco i przychylnie dla duchowieństwa polskiego, wyrobiłem sobie sąd korzystny względem tego kleru.

„Robiąc porównanie pomiędzy duchowieństwem polskiem, osiedlonem w Ameryce, a klerem rezydującym w Europie, przynajmniej u narodowości mnie znanych, możnaby zauważyć pewną niższość jednych od drugich, niższość jedakowoż niezależną od kleru, lecz wytwarzaną odmiennem otoczeniem, różnorodnemi miejscowemi warunkami, które ujemnie wpływają na działalność i najwyższe posłannictwo tegoż duchowieństwa. Porównać przeto trzeba duchowieństwo polskie z duchowieństwem amerykańskiem i z duchowieństwem innych narodów wyemigrowanych do tegoż kraju. Rzeczywiście, po najgruntowniejszem porównaniu, z czystem sumieniem wobec tych księży, mogę to stwierdzić, że większość tego kleru pod względem nauki, gorliwości i prawdziwego ducha kościelnego nie jest istotnie niższą od duchowieństwa amerykańskiego, nie jest niższą od duchowieństwa innych narodowości.

„Wybudowanie tylu kościołów kolosalnych, szkół, kolegjów, sierocińców, przytułków, szpitali, organizowanie tylu parafij, zeszeregowanie przeszło 2,000,000 katolików, zakładanie tylu towarzystw i komitetów parafjalnych, praca ustawiczna i dopasowana do powstrzymania schizmy niezależnych: oto dowód najautentyczniejszy i świadectwo najwymowniejsze, że ten kler nie jest na niższym stopniu od kleru innych narodowości. Tembardziej więc

uwydatnia się widoczna niższość przez odmówienie mu praw przynależnych, praw, których się innym nie odmawia.“

Wykazawszy, że kler i lud polski spełnia swe obowiązki kościelne narówni z innonarodowymi katolikami, następnie arcybiskup Symon w dalszym ciągu swego memorjału wykazuje, że ten kler i lud polski przynależnych mu praw kościelnych nie posiada na równi z innonarodowymi katolikami. Ciąg dalszy memorjału przytoczę w następnym rozdziale.

98. W dalszym ciągu memorjału arcybiskup Symon wykazuje, że kler i lud polski pod względem przynależnych mu praw kościelnych nie stoi na równi z innymi katolikami.

Tegoż dnia 23 kwietnia 1906 na posłuchaniu u Ojca św. arcybiskup Symon tak dalej mówił o nas Polakach w Ameryce:

„Oto na plenarnem Koncyljum Baltimorskiem, odbytem w r. 1884, w tytule III, rozdziale V, rozporządzono stanowczo, ażeby „z pomiędzy proboszczów co dziesiąty był nieusuwalny (inamovibilis)“, a jednak podczas gdy to rozporządzenie zastosowano do kapłanów innej narodowości, z pomiędzy kleru polskiego, który liczy około 560 kapłanów, a zatem powinienby mieć 56 nieusuwalnych, tylko trzech cieszy się tym przywilejem, a wszyscy inni są „na skinienie odwołalni“ (ad mutum revocabiles). Już zaś mocą tegoż Koncyljum plenarnego właśnie nieusuwalni proboszczowie mają prawo, jakiego usuwalni nie mają, mianowicie prawo głosu przy wyborze biskupów.

„Druga rzecz, która stawia kler polski na niższym stopniu wobec kleru innonarodowego, jest nieproporcjonalność konsultorów diecezjalnych. Niedostateczna liczba tych konsultorów w klerze polskim pociąga za sobą ten skutek, że lud polski nie ma łatwego przystępu do odnośnych biskupów ze swojemi skargami i żalami, w zasięganiu zdrowej rady i zaradzaniu wielorakim potrzebom.

„Zaiste, konsultorzy czyli doradcy stanowią właściwą Radę biskupią. Od konsultorów zależy we wielkiej części normalny rozwój parafij, rozdawanie i wyznaczanie posad proboszczom; konsultorzy to właśnie informują władzę diecezjalną o niedomaganiach i potrzebach ludu; oni to właśnie swojem masowem zdaniem doradzają tejże władzy, jak zaradzić takim potrzebom, jak zapobiec takim niedomaganiom.

„A jeśli wielką pomocą dla biskupa są konsultorzy innych narodowości, to o wiele więcej są polscy kapłani jako kierownicy tego ludu, który posiada język odrębny i prawie nieprzystępny dla tychże biskupów; stąd nominacja polskich konsultorów jest niezbędną dla porozumienia biskupa z ludem, szczególnie w tych diecezjach, gdzie się znajduje znaczna liczba Polaków.

„Tymczasem w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej na ten urząd konsultorów, dopiero w tych ostatnich latach, i dopiero gdy Ich Ekscelencje Delegaci Apostolscy zwrócili uwagę na ten anormalny stan ludu polskiego, spowodowany taką nierównością, zostało dziesięciu polskich kapłanów nominowanych, z których połowa dla starości i słabości fizycznej nie bierze zawsze udziału w zebraniach diecezjalnych, stąd taki urząd dla połowy konsultorów jest więcej pozornym niż rzeczywistym.

„Otóż właśnie proboszczom nieusuwalnym i konsultorom przysługuje prawo głosowania na jednego z trzech kandydatów na biskupów, przedstawionych Św. Kongregacji Propagandy Wiary do wyboru biskupa, gdy tymczasem tego prawa pozbawieni są proboszczowie „na skinienie odwołalni". Z tego wynika, że kler polski nie może nigdy mieć głosu rozstrzygającego przy wyborze biskupa.

„Z tego nierównego traktowania wynika trzecia jeszcze bardziej ciężka niesprawiedliwość, która powinna zwrócić uwagę wyższej władzy, mianowicie, że w tak zwanej ternie czyli trójce kandydatów na biskupstwo nie znalazł się dotychczas ani jeden polski kapłan.

„Konsekwentnie kler polski musi tem samem uważać się za wykluczonego z hierarchji kościelnej, i z tego wykluczenia wynika to, że dwa i pół miljona katolików są wykluczeni od miewania własnych przedstawicieli w rzeczonej hierarchji.

„Z tego powodu owa wielka konieczność, żeby jakiś Polak reprezentował swój liczny naród w Episkopacie amerykańskim, rzuca się w oczy każdemu, kto zwiedził te Stany Zjednoczone; ta konieczność jeszcze tembardziej się narzuca dlatego, że do tego narodu zakradła się już schizma niezależnych.

„Już roku 1891 Episkopat amerykański i samąż Kongregację Propagandy Wiary ostrzegano, że dla braku biskupów polskich może wyniknąć jakaś szkoda dla religji katolickiej. I w dziesięć lat potem, na konferencji arcybiskupów katolickich, mianej w Waszyngtonie 21 listopada 1901, była uznana potrzeba biskupów sufra-

ganów Polaków w głównych centrach, gdzie kolonje polskie są liczniejsze. Faktycznie Jego Ekscelencja Keane, arcybiskup z Dubuque, sekretarz tej konferencji, dał odpowiedź Wydziałowi Wykonawczemu Kongresu Polsko-Katolickiego, odbytego w Buffalo w dniach 24, 25 i 26 września tegoż roku w tych znamiennych słowach:

„„Memorjał Wydziału Wykonawczego Polsko-Katolickiego Kongresu wzięto należycie pod rozwagę na rocznej konferencji arcybiskupów. Ważność sprawy w tym memorjale poruszonej najzupełniej uznano jako i mądrość pomysłów i ducha katolickiego, w jakim ją przedłożono. Lecz ponieważ arcybiskupi nie mają żadnej władzy wybierania biskupów sufraganów — rzecz ta należy wyłącznie do poszczególnych diecezyj czyli prowincyj — przeto nie było w ich mocy uczynić coś w tej sprawie." "

„Z tej odpowiedzi wynika, że lud polski nie będzie mógł nigdy mieć biskupów sufraganów, dlatego, że ta konferencja arcybiskupów oświadczyła, iż nie jest to w ich mocy mianować takowych; nie będzie mógł nigdy mieć biskupów ordynarjuszów, gdyż żaden kapłan z jego kleru, ze względu na fakt, że w swojej poniekąd całości nie cieszy się prawem nieusuwalności i nie posiada liczby konsultorów proporcjonalnej do liczby kleru innonarodowego, nie będzie przedstawiony w ternie jako kandydat.

„Konsekwentnie sposób zadośćuczynienia potrzebie, uznanej za słuszną i poważną przez ową konferencję arcybiskupów, będzie jakoby bagnisko nieprzebyte (una laguna incolmabile), i pozostanie prostem i pobożnem życzeniem, jeśli wyższa władza Propagandy Wiary, która zaaprobowała w całej rozciągłości Koncyljum Baltimorskie, nie zobowiąże biskupów amerykańskich do uwzględnienia także kleru polskiego w owych naradach. Pozostanie zawsze pobożnem życzeniem także mianowanie biskupów sufraganów Polaków, jeśli Propaganda Wiary nie zobowiąże odnośnych prowincyj, żeby przynajmniej w głównych centrach, jako to w Buffalo, w Pittsburgu, w Chicago, w Milwaukee, w Detroit, we Filadelfji, które to miasta obejmują w przybliżeniu półtora miljona Polaków, wybór sufraganów padł na kler polski.

„Zbytecznem jest zaznaczać, że słowo poważne biskupa Polaka, jego pełne godności wystąpienie wywarłoby jak najlepsze wrażenie na lud, wykluczyłoby zupełnie skargi i sofizmata niezależnych, załagodziłoby wszelkie niesnaski, jakie ewentualnie powstają między ludem a biskupem diecezjalnym. I ja to widziałem

w Detroit, że kiedy kościół św. Jadwigi od jakiegoś czasu był zamknięty z rozkazu biskupa i komitet parafjalny był wyklęty, kiedy ten kościół znajdował się w niebezpieczeństwie wpadnięcia w ręce niezależnych, wtedy moje pośrednictwo, moje słowo, wsparte łaską Bożą, wystarczyło do uspokojenia umysłów, do zażegnania wielkiej burzy, do zaprowadzenia porządku w parafji, i teraz ten lud żyje w pełnej i zupełnej zgodzie ze swoim biskupem. Widziałem lud polski w Manitowoc, będący przedtem w ciągłej rozterce z biskupem, jak w dzień mojej wizyty, po mojej przemowie, ten lud padł do nóg swojego biskupa i przyrzekł mu uroczyście swoją uległość, swoje posłuszeństwo, swoje poważanie. A w Chicago wystarczyła moja obecność i przemowa w kościele św. Wojciecha, żeby sąsiedni kościół niezależnych zamknąć natychmiast.

„Propaganda Wiary jest wprawdzie jak najlepiej usposobiona dla kleru polskiego i skłonna do tego, by dać pierwszeństwo polskiemu kapłanowi, jakiego zobaczy na liście kandydatów biskupich; jednakowoż wszelkie takie jej usposobienie i uwzględnienie pozostanie zawsze literą martwą, jeżeli swoją powagą nie przyczyni się do zaprowadzenia **równowagi praw,** jakie się należą klerowi polskiemu, jeżeli nie przyczyni się do równouprawnienia tego kleru wobec innych narodowości.

„Sufragani też będąc wielką pomocą dla biskupa, nie byliby przytem żadnym ciężarem dla nikogo, ani dla biskupa ani dla diecezji, gdyż pozostając proboszczami swojego kościoła, mieliby z parafji wszystko, co im potrzeba do ich przyzwoitego utrzymania.

99. W tymże memorjale arcybiskup Symon powiedział papieżowi, że Polacy w Ameryce wcale nie przestają być Polakami.

„Niech nikt nie mówi, że ta nagląca potrzeba (biskupów polskich) jest tylko chwilowa i przejściowa, łudząc się nadzieją, że z biegiem czasu ten lud zamerykanizuje się i utraci język i ducha jaki go ożywia. Albowiem skupianie młodzieży we własnych szkołach, sierót we własnych ochronkach, używanie stałe i nadewszystko języka własnego, organizowanie parafij własnych, odosobnienie ludu we własnych okolicach; publikowanie wielu gazet codziennych we własnym języku, a nadto liczne interesa, apteki, lekarze własnej narodowości: to wszystko stanowi dowód, że ten lud tworzy naród dla siebie; i choć są dobrymi i lojalnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, trzymają się je-

dnak uporczywie swoich zwyczajów, swojego języka, swojej narodowości.

„Ten fakt da się stwierdzić żywiołową obserwacją. Już 35 lat upłynęło jak emigracja polska znacznie wzrastała: a jednak pierwsi emigranci zachowują jeszcze ojczysty język i wcale nie myślą dać się zamerykanizować.

„Gdyby emigracja miała ustać, przypuszczalnie w kilku latach, przeobraziwszy się w pokolenie czysto amerykańskie, mógłby może zniknąć język, ale duch pozostałby zawsze. Natomiast jednak emigracja tego ludu nietylko nie ustaje i nie zaczyna się wcale zmniejszać, lecz raczej z roku na rok wzrasta do niebywałych rozmiarów. W ciągu jednego roku 1904 emigrowało z górą 180,000 Polaków, to znaczy, że jeżeli każdego roku taka liczba przybędzie, to w trzynastu latach będzie w Ameryce drugie tyle Polaków, co obecnie.

„Skoro zaś z obecnego dwa i pół miljona nawet pierwsi emigranci się nie zamerykanizowali, to trzeba się łudzić, żeby się spodziewać, że w następnych trzynastu latach się zamerykanizują.

„Języka i ducha polskiego, zasilanego z roku na rok przez niezliczonych nowych emigrantów, nie będzie można ani przytłumić, ani zagasić. I aczkolwiek ten lud przyswoi sobie język angielski, to jednakowoż w nabożeństwach kościelnych i wszelkich usługach kapłańskich pierwszeństwo, z woli ludu, będzie miał język ojczysty. Katechizm po polsku, kazanie po polsku, wykład ewangelji po polsku, modlitwy po polsku, spowiedzi po polsku, słowem, we wszystkich tych funkcjach religijnych, w których język łaciński nie jest obowiązkowy i które każda narodowość w Ameryce woli mieć we własnym języku. Trzeba więc koniecznie zaprowadzić równowagę i równouprawnienie, ażeby ten lud razem z językiem i duchem zachował własną religję; a pozostanie on zawsze tymsamym, co w swojej ojczyźnie, ludem zawsze wiernym Stolicy Apostolskiej.

„Brak równouprawnienia pociąga za sobą i to następstwo, że ludowi polskiemu stawia przeszkody w jego przedsięwzięciach, a przeto zupełnie uniemożliwia mu organizowanie nowych parafij, budowanie nowych kościołów, jakich bardzo potrzebuje w miarę wzrastającej ciągle ludności. Zaiste, pomimo takiej potrzeby, nie rzadko się zdarza, że lud polski doznaje przeszkód od władzy wyższej, kiedy chce zaciągnąć jakiś dług, który potem spłaca punktualnie i z niezmiernem zaparciem i poświęceniem się, ażeby zebrać

fundusze potrzebne do wybudowania nowych kościołów, szkół katolickich, sierocińców i innych zakładów dobroczynnych. Tej systematycznej opozycji lud nijak nie może przeciwdziałać, dlatego, że w rzędzie biskupów brak mu swoich przedstawicieli w osobach upoważnionych swego kleru, którzy jedynie, z powagą konsultorów, mogliby usunąć i zbić racje, na podstawie których odnośni biskupi śmią odmawiać i sprzeciwiać się żądaniom tego ludu. Pomimo to, ten lud za pośrednictwem swoich proboszczów nie omieszkiwa hojnie swoim groszem opłacać utrzymanie obcych sierocińców, szpitali i przytułków, i ponosi wszelkie koszta diecezjalne, związane z parafją. Opłaca katedratykum, a zważywszy, że taka opłata jest nałożona w stosunku do mieszkańców każdej parafji, lud polski, w danej proporcji płaci pięć razy tyle co inne narodowości, i ja miałem sposobność przekonać się, że niejedna parafja płaci aż do sześćset dolarów rocznie na katedratykum. Prócz tego płaci na przytułki diecezjalne, seminarja, ochronki, szpitale, sierocińce, świętopietrze i inne wydatki związane z diecezją, wszystkie nałożone w prostym stosunku do liczby ludności.

„Mówiąc o braku równouprawnienia nie mogę milczeniem pominąć i tego, że podczas gdy grono prałatów domowych Waszej Świątobliwości jest licznie reprezentowane w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jednak z tych 560 kapłanów polskich, z których niejedni wypróbowani na urzędzie proboszczów, mają pod swojem kierownictwem około 30,000 wiernych, ani jeden nie jest odznaczony tym kościelnym zaszczytem.

„Z tych różnych przyczyn, które w ludzie wywołują pewne niezadowolenie z władzy kościelnej, niektórzy występni, wykolejeni kapłani, sprytni zwodziciele wiernych Polaków, wyciągnęli argument przekonywujący do oderwania się od jedności katolickiej. I z górą 75,000 Polaków poszło w ślady tych odstępców, dając w ten sposób początek schyźmie niezależnych. Przewodnicy tej schizmy wkradają się w dobrą wiarę ludu przez to, że dają mu do zrozumienia, iż zakładać parafje niezależne, to nie znaczy odrywać się od Kościoła katolickiego, lecz tylko uwolnić się od biskupów amerykańskich, którzy ich zdaniem uciskają Polaków przez podeptanie praw kleru i ludu.

„Oni ciągle głoszą, że biskupi amerykańscy chcą wszelkim kosztem zamerykanizować lud polski, i w tym celu, tak mówią, prześladują jego kler i usiłują język polski zastąpić językiem angielskim. Na dowód tego swojego twierdzenia przytaczają ten fakt,

że niektórzy biskupi posyłają kleryków amerykańskich do Polski, ażeby nauczyli się języka, a potem zajęli miejsce kleru polskiego. Tymi i innymi sofizmatami zarażają opinję publiczną, i wielu poszło i idzie nieświadomie w ślady odstępców, łącząc się z schyzmą. Stąd wynika konieczność częściowej reformy kleru dla uniknięcia tej niedogodności, że kapłanów, usuniętych z parafji albo zeszłych z tego świata, zastępują inni kapłani przybyli z Polski do Ameryki, a nie zawsze ożywieni dobrym duchem apostolskim; i także dla pomnożenia liczby kapłanów stosownie do ludności codzień wzrastającej.

„Młodzi polscy księża, którzy wychodzą z seminarjów amerykańskich, nie mieli sposobności nauczenia się języka polskiego, dlatego nie mogą z korzyścią i pożytkiem dla wiernych, pełnić swoich obowiązków kapłańskich wśród polskiego ludu. Jedynem seminarjum w Ameryce, gdzie od niedawnego czasu podaje się kapłanowi polskiemu naukę języka ojczystego, jest w Milwaukee. Zważywszy jednak, że jest jak najmniej godzin nauki w tym języku i że wszystkie przedmioty wykładane są w angielskim języku, więc i duchowni, którzy wychodzą z tego seminarjum, nie są w stanie mówić poprawnie po polsku, zatem i oni nie mogą z pożytkiem wypełniać swoich obowiązków duszpasterskich.

„Wprawdzie istnieje w Detroit polskie seminarjum, ale większa część alumnów po ukończeniu nauk klasycznych, albo obiera inny zawód, albo idzie na świeckie uniwersytety dla wyższych studjów, stąd nie wielu jest kapłanów, którzy wychodzą z tego seminarjum, i dlatego ono jest niedostateczne do dostarczenia proboszczów w ilości odpowiedniej potrzebom miejscowym.

„Aby zaradzić tym potrzebom, niektórzy biskupi amerykańscy postanowili dać kształcić i uczyć swoich kleryków w Galicji, ale zamiast młodych Polaków urodzonych w Ameryce, posyłają tam młodych Amerykanów. Tym sposobem oni nie dojdą do celu. Faktycznie pomijając już to, że taki angielsko-amerykański młodzieniec nigdy się nie nauczy mówić poprawnie i płynnie po polsku, a to dlatego, że między temi dwoma językami zachodzi taka ogromna różnica we wymowie i dźwięku, że nie mogą się razem ostać w osobie, która od dzieciństwa była uczona wymowy angielskiej, podczas gdy przeciwnie mogą się razem ostać w tym, który od dzieciństwa przyzwyczaił się do mowy polskiej, pomijając już tę nieprzezwyciężoną trudność, ja doprawdy nie wiem, jakby taki

amerykański proboszcz przypadł do gustu ludowi polskiemu, który tak wielkim nakładem i kosztem pobudował sobie kościoły a nie miałby mieć kapłana własnego współrodaka, lecz kapłana Amerykanina. Nadto tacy kapłani, choćby nauczyli się mówić po polsku, nie potrafiliby jednak wypełniać swoich obowiązków duszpasterskich pośród ludu, którego obyczajów, zwyczajów i skłonności nie znają, którego właściwości wrodzone każdemu narodowi i nieodłączne od jego życia, dadzą się tylko odziedziczyć wraz z krwią co krąży w żyłach.

„Ci sami biskupi amerykańscy, przekonani o tem co powiedziałem, mając na oku wychowanie młodego kleru, przestudjowali i przedyskutowali ze mną sposób zaopatrzenia się na przyszłość. Otóż w porozumieniu z niektórymi z nich a zwłaszcza z Jego Eksc. arcybiskupem w Chicago, przyszliśmy do tego wniosku, żeby mieć w Polsce seminarjum dla wychowania kleryków polskich, urodzonych w Ameryce. W tym celu w Polsce austrjackiej naradzałem się z biskupami galicyjskimi i z J. E. Kardynałem Puzyną, i razem postanowiliśmy użyć domu OO. Misjonarzy św. Wincentego a Paulo, w Krakowie, którzy ofiarują swoją pracę na wychowanie kleryków polskich, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

„Taki zakład w duchu polsko-amerykańskim pod kierownictwem tych Ojców i pod opieką biskupów galicyjskich, a szczególnie biskupa krakowskiego, byłby nieocenioną pomocą dla Polaków amerykańskich, bo zamknąłby przypływ z Polski takich księży, którzy nie zawsze odpowiadają potrzebom miejscowym, i utworzyłby kler w duchu polskim wychowany w Polsce, lecz spokrewniony w Ameryce, a przeto dobrze obznajomiony z ambicją amerykańską.

„Otóż ażeby to seminarjum miało piętno i charakter zakładu polsko-amerykańskiego, poważne słowo aprobaty i zachęty ze strony Propagandy Wiary, skierowane do biskupów amerykańskich, byłoby wróżbą najlepszą dla jego pomyślności i rozkwitu życia religijnego.

„W nadziei, że na chwałę Bożą i dla zbawienia dusz, Świątobliwość Wasza zechce wziąć to pod życzliwą rozwagę i przystąpić do usunięcia głównych przeszkód przeze mnie odkrytych i przedłożonych u Waszego Tronu, padając przed Wami z największym szacunkiem, ponownie całuję świętą Stopę.

„Rzym, 25 stycznia 1906.“

(Przekład z włoskiej broszurki, drukowanej r. 1906 w Rzymie w drukarni Tipografia Nouva, Via dei Serpenti 127—128. Tytuł broszurki: „I Polacchi Emigrati Degli Stati Uniti D'America, loro condizione religiosa e bisogni spirituali, anno 1905. Due Memorie Offerte a S. S. Papa Pio X. da Mons. Fr. Albino Symon Arciv di Attalia".)

Powyższa broszurka przedłożona papieżowi i kardynałom w Rzymie, dostała się do rąk moich dopiero pod koniec roku 1906 lub na początku r. 1907, za pośrednictwem p. Adama Darowskiego, znanego rzymskiego korespondenta gazet polskich.

100. Czegoż więcej potrzeba Rzymowi, aby nam dał biskupów polskich? Nie pieniędzy naszych ani łaski episkopatu amerykańskiego, lecz ciągłego i natarczywego upominania się o prawa nam przynależne.

Powyższy memorjał arcybiskupa Symona, jak to czytelnik zauważył, podał liczbę Polaków w Ameryce na dwa i pół miljona. Myśmy w naszym memorjale „Suplices Preces" podali niespełna dwa miljony, a więc o pół miljona mniej. Pomimo to organa biskupów ajrysko-niemieckich ustawicznie powtarzały ten zarzut, że „delegat Kruszka w swoim Supplices Preces przesadził liczbę Polaków, że tyle ich niema w Ameryce". I w Rzymie ten zarzut podnoszono. Teraz Rzym z ust własnego swego delegata dowiedział się, że liczba Polaków, podana w „Supplices Preces", bynajmniej nie była przesadzona. Zarzut ten bezpodstawny raz na zawsze upadł.

Ale co najważniejsza, Rzym teraz już nie od delegata Polonji amerykańskiej, lecz z ust własnego swojego delegata dokumentnie się dowiedział, że w Ameryce istotnie zachodzi **nagląca potrzeba biskupów polskich.**

Czegoż więcej potrzeba Rzymowi, aby nam dał biskupów polskich i to czemprędzej? — Rzymowi potrzeba jeszcze naszych pieniędzy — wołali jedni. A ci, byli to świętokupcy, trzymając się osławionej w łapownictwie zasady, że „kto smaruje, ten jedzie". Tych liczba nie była zbyt wielka.

— Rzymowi potrzeba jeszcze łaski biskupów amerykańskich, bez których pozwolenia Rzym nie może nam dać biskupów polskich — tak wołali drudzy. A ci, byli tak zwani episkopalni, trzymający się systemu episkopalnego, zamiast papieżnego. Episkopa-

lizm, nietylko poza Kościołem, ale i w Kościele długo istniał jako błędna nauka, według której najwyższa władza kościelna spoczywa w ręku biskupów, papież zaś jako pierwszy między równymi, znajduje się pod powagą biskupów. Ten system episkopalny w Kościele katolickim występował głównie w wieku XV i objawiał się na soborach w Konstancji i Pizie, upadł jednak w wieku XVI-ym po soborze Trydenckim. Ostatni sobór watykański, ogłaszając nieomylność papieską w rzeczach wiary i obyczajów, zatwierdził tem samem system papieżny a potępił na zawsze episkopalny, jako niezgodny z nauką Pisma św. i podania kościelnego. Chociaż więc episkopalizm jako nauka błędna upadł, to jednak duch episkopalizmu pokutował i pokutuje jeszcze ciągle w Kościele. Byli więc i roku 1906 tacy, co mówili: Rzym bez pozwolenia biskupów amerykańskich nie może nam dać biskupów polskich, my musimy zjednać sobie i Rzymowi najpierw łaskę episkopatu amerykańskiego. Nie pamiętając smutnego doświadczenia w roku 1902, że jeśli która, to łaska biskupia na pstrym koniu jeździ, zaczęli się płaszczyć przed biskupami i pochlebiać im, a przeto stawać się podłymi, bo kto się płaszczy i pochlebia, by coś uzyskać, ten jest podłym a nie pokornym. Stawali się kaudatarjuszami czyli nosicielami ogonów biskupich. Myśl ich episkopalna skrystalizowała się z biegiem czasu w tak zwanym obozie nowiniarsko-zmartwychwstańczym. Obóz ten nie był najliczniejszy, ale był najkrzykliwszy i najzuchwalszy. Bo papież jest gdzieś daleko, a biskupi są tuż blisko. Mając tedy plecy biskupie za sobą, nasi episkopalni rozzuchwalili się do tego stopnia, że każdego, który ich błędnego systemu episkopalnego się nie trzymał, publicznie na zebraniach i w gazetach odsądzali od czci i wiary, ba nawet jak to zobaczymy, piętnowali jako buntownika, schizmatyka lub heretyka.

— Rzymowi potrzeba nie pieniędzy naszych ani łaski biskupów amerykańskich, ale Rzymowi potrzeba jeszcze ciągle naszego **usilnego i natarczywego upominania się o prawa nasze!** W Rzymie musimy mieć stałego płatnego agenta, któryby ciągle około sprawy naszej chodził, ciągle ją przypominał Rzymowi aż do natręctwa i naprzykrzenia się, ciągle ją tam popierał a odpierał zarzuty wrogów naszych! Tak wołali trzeci. A ci byli to papieżnicy, czyli zwolennicy jedynie godziwego w Kościele systemu papieżnego. Ta droga papieżników była i jest jedyną drogą, wiodącą prosto do uzyskania biskupów polskich w Ameryce. Papież prze-

cie 15-go kwietnia 1904 wyraźnie oświadczył się za sprawą biskupów polskich i w rzeczy samej roku 1905 pierwszego biskupa polskiego wysłał do Ameryki pomimo sprzeciwu biskupów amerykańskich. Papież więc jest zdeklarowanym przyjacielem sprawy naszej, podczas gdy biskupi amerykańscy są jej zdeklarowanymi wrogami. Albowiem jeszcze roku 1901 i 1902 wyraźnie oświadczyli się przeciw sprawie biskupów polskich i w rzeczy samej roku 1905 nie chcieli zgodzić się nawet na chwilowy przyjazd biskupa polskiego do Ameryki. Czegoż więc spodziewać się możemy od tak zdeklarowanych wrogów? Chyba pięknych obiecanek i — cacanek w postaci fioletów prałackich! Poco więc mamy łasić się o ich łaski? Oni łaskawie i dobrowolnie nigdy nie zezwolą na biskupów polskich w Ameryce. Jeśli zezwolą, to jedynie z przymusu i pod naciskiem Rzymu.

Bądźmy tedy papieżnikami a nie episkopalnymi w tej zwłaszcza sprawie biskupów polskich dla Ameryki. Bo papież ustanawia biskupów, a nie episkopat. Papież dał nam słowo, że ustanowi w Ameryce biskupów polskich podług naszych życzeń i to czemprędzej. Na tem słowie papieskiem, jak na skale Piotrowej opierajmy całą nadzieję naszą, ale nie na pięknych słówkach biskupich. Ale pamiętajmy, że to słowo papieskie i ta skała Piotrowa nie jest na to, aby spokojnie na niej spać, ani na to, aby zasłaniać naszą ospałość i nasze tchórzostwo. Nie! Ta skała Piotrowa jest na to, aby w niej mieć silny grunt pod nogami do dalszej a ciągłej pracy, do rozwinięcia naszych sił i do godziwej walki. Wobec znanej nam powolnej procedury rzymskiej zapewne bądźmy cierpliwymi, ale nie biernymi i bezczynnymi! Let us be pacient, but not passive! Cierpliwość, to nie bierność; to raczej ciągła czynność i wytrwała działalność. To usilna i natarczywa prośba o biskupów polskich, to ciągłe stukanie i pukanie do wrót Watykanu, aż nam otworzą. Rzym wtedy, jeśli nie z przyjaźni, to dla natarczywości naszej da nam, czego potrzebujemy. Natarczywość prośby dopiero skutek odnosi. Tak nas poucza Chrystus.

Lecz inaczej, jak to wnet zobaczymy, będą nas pouczali nasi episkopalni przeciwnicy. Oni nam powiedzą:

— Cicho siedzieć, nic nie mówić, nic nie pisać, żeby nie drażnić biskupów, tylko czekać cierpliwie ich zmiłowania!

Czyli, będą nam zalecać cmentarną ciszę. Jak umarli na cmentarzu cicho i spokojnie oczekują zmartwychwstania swego, tak, według rady episkopalnych, my żywi również spokojnie

i cicho mamy oczekiwać biskupów polskich. Czy to nie kpiny, że aż do dnia sądnego mamy na nich czekać?

Byli wowczas i tacy, co mi mówili:

— Rzym wymierza sprawiedliwość tylko bogatym ajryszom i Niemcom, ale nie nam biednym Polakom.

Na to odpowiadałem tak: Dajmy na to, że Rzym sprawiedliwości nam wymierzyć nie chce dlatego, że jesteśmy biedni i opuszczeni. To i na ten wypadek Chrystus Pan przepisał nam sposób, jak sobie mamy postąpić ze Rzymem, w następującej przypowieści:

„Żył w pewnem mieście jeden sędzia, który ani Boga się nie bał, ani człowieka się nie wstydził. W temże mieście była pewna wdowa, która do niego przychodziła, mówiąc: Wydaj mi słuszny wyrok przeciw przeciwnikowi mojemu, czego tenże nie chciał uczynić, potem wszakże rzekł do siebie:

„Chociaż Boga się nie boję ani człowieka się nie wstydzę, ale ponieważ wdowa ta jest mi już przykrą, chcę wyświadczyć jej sprawiedliwość, aby wkońcu nie przyszła i nie wypoliczkowała mię". (Łukasz 18, 1—12). Jaką postawę przybrała owa wdowa wobec sędziego, że jej wkońcu wymierzył sprawiedliwość? Z pewnością nie łagodną lecz bardzo natrętną i natarczywą.

Otóż przypuśćmy nawet, że i Rzym postąpiłby z Polonją amerykańską podobnie jak ów sędzia z tą biedną wdową ewangeliczną. To Polonja postąpiłaby z Rzymem tak jak owa wdowa ze sędzią. Usilność i natarczywość prośby aż do uprzykrzenia, zawsze odnosi pożądany skutek. Natarczywość taka może jest niegrzecznością, ale niegrzeczność w życiu publicznem zawsze popłaca, ilekroć spotyka się z niesprawiedliwością. A nawet ze sprawiedliwym sędzią taka natarczywość popłaca. Bo powyższą przypowieść Chrystus Pan powiedział właśnie w tym celu, żeby nas nauczyć, jak mamy postępować w modlitwach naszych z Bogiem sprawiedliwym, że nasze prośby do Boga muszą być ciągłe, usilne i natarczywe, jeśli mają być skuteczne.

I względem Rzymu taka nasza natarczywość choć przykra i niegrzeczna, czego dowodzi? Dowodzi naszej silnej i niezachwianej **wiary w prawdziwość obietnicy papieskiej!** A taka wiara góry przenosi i sprawia, że chociażby Rzym litości nad nami nie miał i nie troszczył się o nas, to jednak dla natarczywości naszej da nam czego nam potrzeba.

Że taka usilność i natarczywość jest skuteczna i konieczna do uzyskania biskupów polskich, najlepszym dowodem jest to, że nie podoba się wrogom sprawy naszej. Zganią i zgromią ją właśnie biskupi amerykańscy i ich kaudatarjusze, ba, nawet klątwą obłożą Polonję amerykańską za to, że natarczywością owej wdowy ewangelicznej upomną się o prawa sobie przynależne. A mój człowiek ileż to razy otrzyma od biskupa takie upomnienie:

— Siedź cicho i nic nie pisz w sprawie biskupów polskich!

To znaczy tyle co:

— Uważaj tę sprawę za umarłą, pogrzebaj ją i zrobiwszy krzyżyk nad nią, zmów po cichu: Requiescat in pace — Niech odpoczywa w pokoju, aż do dnia sądnego!

Tymczasem mój człowiek choćby był chciał, nie mógł tej sprawy uważać za umarłą. Listowne i nielistowne zapytania zewsząd od ludu i księży nadchodzące: „Jak sprawa stoi? Co arcybiskup Symon zrobił dla niej w Rzymie?" — dowodziły, że sprawa ta jest, zwłaszcza dla ludu bardzo żywa i żywa. Jakżeż ją było można w cmentarnej ciszy pozostawić?

Ale co mnie wówczas, pod koniec r. 1905 głównie pobudziło do ciągłego i natarczywego pisania artykułów w sprawie biskupów polskich, to właśnie podniesiona przez dr. Hyde'go a poparta przez biskupów amerykańskich — sprawa wskrzeszenia języka irlandzkiego a równocześnie rozporządzenie biskupie, aby dzieci polskie w szkołach naszych pobierały naukę religji w języku angielskim. To mnie do żywego ubodło. Jakto? Więc umarłych mamy wskrzeszać, a żywych grzebać? Czy ci ajrysze rozum potracili, że swój umarły język irlandzki chcą wskrzesić, a nasz żywy język polski chcą pogrzebać?...

I wziąwszy pióro do ręki, na ten temat sprawy językowej, najściślej związanej z naszą sprawą biskupów, rozpocząłem pisać i w „Kurjerze Polskim" ogłaszać długi, długi szereg artykułów, za które papieżnicy mnie pod niebiosa wynosili a episkopalni do piekła wtrącali, a których natarczywość tak się uprzykrzyła arcybiskupowi Messmerowi, że po roku i czterech miesiącach zakazał mi pisać do „Kurjera Polskiego". Miałem pisać do gazet angielskich. Poco? Przez pisanie artykułów do gazet polskich, po pierwsze zmusiłem biskupów amerykańskich do czytania gazet polskich, przez tłumacza oczywiście; a powtóre, zmusiłem ich do wydawania nowych gazet polskich, „Nowin" naprzykład, w obronie swego episkopalizmu. W ten sposób biskupi amerykańscy wbrew swojej

woli przyczynili się do rozrostu polskiej literatury dziennikarskiej. A przytem i w sprawie biskupów polskich wywołali skutki przeciwne ich zamiarom!...

Na wieczną rzeczy pamiątkę w następnych rozdziałach przytoczę wszystkie te artykuły, za które papieżnicy mnie pod niebiosa wynosili a episkopalni do piekła wtrącali, i które ostatecznie spowodowały wydawanie „Nowin“ a dla mnie zakaz pisania do „Kurjera Polskiego“. Wszystkie te artykuły ponumeruję, czyli opatrzę numerami. Są one i dziś na czasie czyli aktualne, bo „prawda jest zawsze stara i zawsze nowa“, jak powiedział święty Augustyn.

101. Artykuły, za które mnie papieżnicy wynosili pod niebiosa, a episkopalni strącali do piekła.

Człowiek nietylko sam żyje, jako jednostka, ale żyje z nim także społeczeństwo, o którem powinien myśleć, dla którego powinien pracować, a nawet i cierpieć. Tą wielką prawdą im głębiej my Polacy się przejmiemy, tem lepiej będzie dla nas jako społeczeństwa i narodu. Nasz wielki Mickiewicz powiedział tak: „Jedyny cel człowieka i narodu jest tak żyć, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej. Bez skierowania myśli w ten główny punkt, niema życia, niema rzetelnego bytu. Pracować dla interesów ogółu jest nietylko obowiązkiem, ale i prawem każdego“, czy on ksiądz, czy cywilny.

Po powrocie z Rzymu tylko od czasu do czasu napisałem jakiś przygodny artykuł do gazet, będąc głównie zajęty uzupełnieniem i przygotowaniem „Historji Polskiej w Ameryce“ do książkowego wydania. Lecz w kilka miesięcy po wizycie arcybiskupa Symona, choć także jeszcze ciągle byłem zajęty „Historją“, uczułem potrzebę regularnego i stałego pisywania artykułów do gazet. Mgr. Antonucci z Rzymu mi donosił, że arcybiskup Symon nic nie zrobił. Adam Darowski z Rzymu mi pisał, że arcybiskup Symon myśli o metropolji mohylewskiej, którą mu podobno chcą dać. Gazety starokrajskie głosiły, że arcybiskup Symon polecił Rzymowi oddać naszą sprawę biskupom amerykańskim do załatwienia, gdyż oni jej bardzo są przychylni. A tu tymczasem w Chicago arcybiskup wydał rozporządzenie, podobne do rozporządzenia językowego Cissa i Messmera przed 10 laty, ażeby w szkołach polskich zaprowadzono wykład religji po angielsku. Taki zamach na sprawę języka pol-

skiego jest zarazem zamachem na sprawę biskupa polskiego, i naodwrót. Bo sprawa biskupa polskiego, ze sprawą języka polskiego nierozerwalnie jest połączona. O tem pamiętać winni nasi patrjoci, którzy sprawę biskupa polskiego chcieliby uważać za sprawę „czysto kościelną".

Dnia tedy szóstego grudnia 1905 zacząłem stale i regularnie umieszczać artykuły w osobnej rubryce, jaką „Kurjer Polski" dla mnie zaprowadził co środę i sobotę pod tytułem „Wiadomości Kościelne". Pojawienie się tych artykułów niebawem wywołało ogromną burzę a raczej faryzejskie oburzenie w obozie episkopalnych. Powiedzieli, że straciłem cierpliwość i nawołuję lud do buntu, powtarzając za faryzeuszami ten oklepany zarzut: „podburza lud ucząc po wszelkiej ziemi Żydowskiej, począwszy od Galilei aż dotąd". (Łukasz 3, 5.) Wszystko zależy od tego, jak kto pojmuje cierpliwość. Jeśli przez cierpliwość ktoś rozumie bierność i bezczynność, to zarzut byłby słuszny. Lecz cierpliwość nie jest biernością. Patience is not passiveness. Cierpliwość jest to usilna i natarczywa działalność, nieustanna i wytrwała czynność, a nie bierność. Bierność jest lenistwem lub tchórzostwem, a nie cnotą cierpliwości.

Ale oto artykuły moje, które jedni — papieżnicy — uważali za pouczające i budujące, a drudzy — episkopalni — za buntownicze i gorszące, i za które na moją głowę zwaliły się gromy i pioruny biskupie.

Z dnia 6 grudnia 1905:

1. **Irlandczycy chcą wskrzesić swój język.**

Z Irlandji przybył do Ameryki Dr. Douglas Hyde, przywódca Ligi Galickiej (Irlandzkiej), która ma na celu wskrzeszenie obumarłego języka irlandzkiego. Dr. Hyde twierdzi, że Irlandczycy, od czasu jak porzucili swój ojczysty język a przywłaszczyli sobie angielski, byli i są w niewolniczej zależności umysłowej od Anglików. A za umysłową zależnością poszła materjalna. Nietylko w Irlandji, ale i tu w Ameryce, Irlandczycy katolicy wszelkimi sposobami usiłują powołać do życia swoją mowę ojczystą. Ale trudno umarłego wskrzesić. Polscy katolicy, jako ich współwiercy, życzą im jak najlepszego powodzenia. Niech Irlandczyk mówi po irlandzku! A Polak po polsku! To jest naturalny porządek. A pamiętać trzeba, że bez naturalnego porządku, o nadnaturalnym mowy być nie może, gdyż drugi supponuje pierwszy.

2. **Irlandzki organ o Polakach.**

Milwaucki „Catholic Citizen", ile razy ma wiadomość nieprzychylną sprawie biskupów polskich, ogłasza ją pod wielkim nagłówkiem na pierwszej stronicy a przychylną — gdzieś w kącie na ostatniej stronicy. W ostatnim numerze ogłasza wiadomość z Rzymu na pierwszej stronicy, więc, ma się rozumieć, nieprzychylną naszej sprawie. Podług tej wiadomości, arcybiskup Symon miał powiedzieć papieżowi, żeby polskich biskupów w Ameryce nie ustanawiał; ma nam dać tylko wikarjuszów generalnych i to jeszcze nie zaraz, ale dopiero później, kiedy seminarjum amerykańsko-polskie postawią w Krakowie, które to seminarjum ma być kuźnią, w której kuć będą przyszłych wikarjuszów generalnych dla Polaków w Ameryce. Otóż to są wszystko pogłoski. Arcybiskup Symon jest nam zanadto życzliwy, żeby miał odradzać papieżowi mianowanie biskupów polskich w Ameryce; po drugie, jest on zanadto rozsądny, żeby miał sądzić, że założenie seminarjum galicyjskiego dla Ameryki zaspokoi życzenia i potrzeby Polaków w Ameryce. Seminarjum amerykańsko-polskie w Krakowie może być pożytecznem, nikt o tem nie wątpi, ale koniecznem nie jest. Tuszymy, że arcybiskup Symon, zanim pomyśli, coby nam mogło być pożytecznem, postara się naprzód o to, co nam jest niezbędnie potrzebnem i koniecznem, to jest o biskupów polskich czyli o pasterzy we właściwem słowa tego znaczeniu, gdyż według nauki Kościoła tylko biskupi posiadają pełnię kapłaństwa i pasterstwa, a księża są tylko ich pomocnikami. Gdy biskupi polscy w Ameryce będą, to znajdą się i fundusze na seminarjum w Krakowie i na inne pożyteczne instytucje.

3. **Spis katolików podług narodowości.**

Z Rzymu wyszło rozporządzenie — pierwsze tego rodzaju — by biskupi w Stanach Zjednoczonych sporządzili dokładny spis katolików **podług narodowości.** Dotychczas, o ile nam wiadomo, tylko dwóch biskupów zastosowało się do tego rozporządzenia Stolicy św., to jest, arcybiskup w Milwaukee i biskup w Belleville, Ill. Wszyscy inni biskupi w Ameryce muszą mieć bardzo poważne powody, dla których nie chcą czy nie mogą podać Rzymowi spisu katolików podług narodowości.

4. **Dysputa o prawie kanonicznem.**

Dwaj księża z diecezji Grand Rapids w sążnistych artykułach po gazetach wykładają sobie nawzajem prawo kanoniczne.

Powinni atoli przedewszystkiem to sobie zadać pytanie: ażali istnieje prawo kanoniczne w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki?... Każdorazowa wola biskupów jest de jure i de facto prawem kanonicznem w Ameryce — i basta. Dlatego my tu w Ameryce w zatargach odwoływać się możemy li tylko do prawa przyrodzonego, Boskiego i cywilnego, i do — sumienia biskupiego, ale nie do prawa kościelnego, które nie istnieje tu wcale (chyba na ukaranie kogoś, ale nigdy na wynagrodzenie, odznaczenie lub rehabilitowanie kogoś). Zauważył to już arcybiskup Symon sam, że naprzykład prawo Koncyljum Baltimorskiego przepisuje, by co **dziesiąty** proboszcz był nieusuwalnym z prawem głosowania na kandydata biskupiego; a z pomiędzy 560 proboszczów polskich w Ameryce ilu takich mamy? czy jest ich 56, jak prawo przepisuje? Zaledwie 2!

Z dnia 9 grudnia 1905.

5. **Fałszywy katolicyzm pisma ohioskiego.**

„Kurjer Ohioski", stoi na bardzo cienkim lodzie, trzymając się li tylko nazwy katolickiej (obok tytułu swego wydrukował tłustymi czcionkami, że jest pismem katolickiem, „aprobowanem przez biskupa"), a nie opierając się na zasadzie katolickiej, która opiewa: Wytępiajcie błędy i nadużycia, a miłujcie osoby! „Kurjerowi Ohioskiemu" najwidoczniej rozchodzi się tylko o zniszczenie **osób**, a nie o wytępienie błędów. Napadać **osoby**, to zbójecka rzecz, a nie katolicka. „Kurj. Ohioski" też zupełnie po zbójecku napada. Zbóje bowiem lubią być zamaskowani, żeby ich nikt nie poznał. I „Kurjer Ohioski" wystąpił pod maską „Księdza-niehistoryka", sądząc widocznie, że pod pobożną maską wolno mu broić bezkarnie.

Ileż to już szachrajstw pod tą pobożną firmą katolicyzmu popełniono? Czy katolicyzm temu winien? Broń Boże, lecz ci są temu winni, którzy nadużywają firmy katolickiej, i ci, którzy szarlatanom, podszywającym się pod imię katolickie, bezkarnie tej firmy nadużywać pozwalają. Nie ten jest wrogiem wiary świętej, który karci rzeczywiste nadużycia w Kościele, lecz ten, który na nie patrzy przez palce, albo nawet je pochwala. Na tym świecie jest wiele rzeczy bez nazw, ale jeszcze więcej nazw bez rzeczy. Jest wielu takich, co są sprawiedliwymi choć się tak nie nazywają; ale jeszcze więcej jest takich, co się nazywają sprawiedliwymi a nimi nie są.

Otóż prawdziwa zasada jest ta: Być i nazywać się katolikiem. Na pierwszem miejscu, być katolikiem; a dopiero na 2-giem

nazywać się katolikiem. Przewrotną byłaby zasada ta: W pierwszym rzędzie nazywać się katolikiem, a dopiero w drugim, być katolikiem. Najgorszą zaś jest taka zasada: **Być czem chcieć, a nazywać się katolikiem!** To jest z gruntu najprzewrotniejsza, iście djabelska zasada. Tysiąc razy lepszą byłaby już taka zasada: Nazywać się czem chcieć, a być katolikiem, być uczciwym i sprawiedliwym. Mniejsza bowiem o nazwę; — o rzecz, o istotę powinno nam się rozchodzić bardziej niż o nazwę.

Czy życie twoje, postępowanie twoje jest katolickiem, czy jest mądrem, uczciwem i sprawiedliwem? Jeśli tak, to jesteś tem czem jesteś, bez względu na to, jak cię nazywają; chociażby cię przezywali liberałem, masonem, socjalistą, anarchistą itp., wszystkie te przezwiska nie zdołają przemienić istoty twojej. Jeśli zaś życie twoje jest niemądre, nieuczciwe i niesprawiedliwe, to to, że się **nazywasz** katolikiem, bynajmniej nie zmieni istoty rzeczy; chociażbyś sto razy powtarzał, żeś katolikiem, to każdy uczciwy człowiek splunie na twój „katolicyzm“.

Byli i są jednak tacy, którzy żyją tak nieuczciwie, że pożal się Boże; a pomimo to, tej zaszczytnej nazwy katolika trzymają się jak pijani płotu. Owszem, im bardziej pijani są czy wódką czy złością, tem mocniej trzymają się płotu, tej nazwy katolicyzmu, tem głośniej ochrypłym krzyczą głosem: „Ja jestem katolik! Moje pismo jest katolickie, popierajcie je! A nie popierajcie tamtego, bo tamto jest liberalne!“

Tak, być czem chcieć, a nazywać się katolikiem. Jest to zasada bardzo przewrotna, ale przytem bardzo wygodna. Dziś właśnie ci, których życie najmniej jest katolickiem, najchętniej i najwięcej popisują się tą nazwą katolika. Bo to dobra i popłatna firma! Weźmy gazety: które to z nich najgłośniej uderzają w ten dzwon katolicyzmu. **Te, które najmniej uczciwie są prowadzone.**

Dobremu piwu nie trzeba wiechy — mawiali starzy. Ci właśnie, którym brak treści katolickiej, wywieszają szyld katolicki! I tak, „Kurjer Ohioski“ wywiesza wielki szyld katolicki. „Jestem katolickiem pismem, popierajcie mnie! A tymczasem z jego szpalt tryska jad zazdrości i nienawiści ku osobom nietylko cywilnym, ale i duchownym. **Czy to katolicyzm?** Albo imię zmień, albo obyczaje!

Mamy z drugiej strony pisma, które są mniej pretensjonalne, które o **nazwę** katolika mniej pretensji mają, a za to więcej dbają o to, co jest treścią i istotą katolicyzmu, to jest, o uczciwość

i sprawiedliwość. Takie pisma wolimy, choć by one nosiły nazwę liberalnych, postępowych, masońskich itp. Mniejsza bowiem o nazwę; o rzecz nam się rozchodzi.

Precz z tą wstrętną zasadą: Być czem chcieć, a nazywać się katolikiem! Stokroć wolimy takie pisma, które nie roszczą sobie pretensyj do nazwy katolickich, a pomimo to starają się być uczciwemi i sprawiedliwemi. Wolimy rzecz bez nazwy, aniżeli nazwę bez rzeczy! Żaden bowiem liberał, żaden socjalista czy heretyk, nie może tyle ośmieszyć religji katolickiej, ile właśnie człowiek pijany wódką czy złością, a przytem krzyczący na całe gardło: Ja jestem katolikiem!...

(Ten artykuł tak poruszył obóz episkopalnych jakby kto kij wetknął w gniazdo szerszeni. „Kurjer Ohioski", udając, że w moich artykułach odkrył bunt przeciw Kościołowi, uderzył we wielki dzwon na alarm i zawołał: Kruszka stracił cierpliwość i chce lud oderwać od Kościoła! Ten alarm, choć fałszywy, wywołał jednak panikę czyli bezpodstawny strach. Strach zaś ma wielkie oczy, jak mówi przysłowie. Ma wielkie oczy dlatego, że widzi niebezpieczeństwo nawet tam, gdzie go niema. Wszak strach faryzejski nawet w nauce Chrystusowej widział podburzanie ludu.)

102. Ciąg dalszy artykułów, za które na głowę moją spadły gromy i pioruny biskupie.

6. W sprawie biskupów polskich.

Pan Croke, rzymski korespondent gazet irlandzko-katolickich, pisze mi, że sprawa biskupów polskich wcale tak źle nie stoi jak my myślimy, że wprawdzie odrazu biskupów nie dostaniemy, ale najpierw wikarych generalnych; że zwłaszcza arcybiskup Messmer jest przyjacielem sprawy naszej pomimo, że wielu z nas sądzi przeciwnie. Jakkolwiek ta sprawa się ma, to jest pewnem, że rzeki w biegu nikt nie powstrzyma. Łatwiej można zatamować bieg rzeki Wisconsin, aniżeli ten ruch o biskupów polskich w Ameryce...

Z 14 grudnia 1905.

7. Co reporterzy kładą w usta ks. arcybiskupowi Symonowi.

Gdy arcybiskup Symon bawił między nami w Ameryce, gazety amerykańskie włożyły w Jego usta to zdanie: „Polacy w Ameryce są pobożni ale głupi". Arcybiskup Symon wtedy zaprotestował przeciwko temu.

Teraz, gdy arcybiskup Symon bawi w starym kraju, gazety tamtejsze kładą znowu w jego usta takie zdanie: „Księża wykształceni w Ameryce, są to niedouczone półgłówki, a zwłaszcza ci, co wyszli ze seminarjum detroickiego". Nie wątpimy, że przeciwko temu arcybiskup Symon znowu zaprotestuje.

Stara to historja. Stary kraj macierzysty zawsze zwykł z góry patrzeć na kraj nowy kolonjalny. Tak i Anglja z góry po grubjańsku traktowała swoje kolonje w Ameryce: podatek od nich brała, ale reprezentacji dać im nie chciała, bo — mówiła Anglja — koloniści są za głupi do samorządu. Rzeczywiście byli oni za głupi tak długo, jak długo płacili Anglji podatek; a mądrymi i zdolnymi do samorządu stali się wtedy, kiedy przestali pieniądze dawać Anglji, a przez to i z pod jej „patronatu" się uwolnili.

Reporterzy galicyjscy kładą w usta arcybiskupa Symona między innymi i takie niedorzeczne zdanie: „Brak księży, którzyby mieli zaufanie ludu polskiego, uczuwają nawet biskupi irlandzcy". Otóż każdy, obeznany ze stosunkami amerykańsko-polskimi, wie bardzo dobrze, że tu w Ameryce **nie** brak **księży,** którzyby mieli zaufanie ludu polskiego, lecz **brak biskupów,** którzyby mieli zaufanie ludu polskiego. Księży, którzyby mieli zaufanie ludu polskiego, nietylko nam nie brak, ale mamy ich aż za wiele. Bo czyż taki nawet ksiądz Antoni Kozłowski i ksiądz Fr. Hodur nie mają zaufania ludu polskiego? Z czego cała schizma powstała, czy z braku księży, którzyby mieli zaufanie ludu polskiego? Czy nie właśnie stąd, że księżom polskim lud bardziej ufał niż biskupom irlandzkim? A jeżeli gdzie kiedy byli księża, którzy nie mieli zaufania ludu polskiego, to byli to właśnie tacy, których biskup gwałtem chciał ludowi narzucić: tym lud nie ufał z tej głównie racji, że uważał ich za kreatury obconarodowego biskupa. Nasz lud, jeśli czem zgrzeszył, to zbytkiem zaufania do swoich księży, a nie brakiem. Powtarzamy, dawał i daje się odczuwać **brak nie księży, lecz** właśnie **biskupów,** którzyby mieli zaufanie ludu polskiego. I ten brak będzie się dawał odczuwać dopóty, dopóki lud polski będzie miał obconarodowych biskupów.

Reporterzy galicyjscy kładą i takie zdanie w usta Jego Excelencji (bo nie przypuszczamy ani na chwilę, żeby J. Exc. arcybiskup Symon powyższe zdanie sam wypowiedział): „Wychowankowie (z seminarjum w Detroit) nie uczą się tam dobrze mówić po polsku". Jakżeż mogą się uczyć, kiedy ten, pod którego dozorem to seminarjum stoi, biskup John S. Foley, sam nie umie po

polsku? Przecież biskup to ojciec, a seminarjum to matka księży: matka jest wprawdzie Polką, lecz ojciec jest Irlandczykiem. Czyż więc można się dziwić temu, że dzieci (księża) z takiego mieszanego małżeństwa nie dobrze po polsku mówią? Matka ciągnie dzieci w jedną stronę, a ojciec w drugą; rezultat jest ten, że wychowanie dzieci musi być spaczone i wykrzywione.

8. **Nabożeństwo za Ojczyznę.**

Odezwa Stowarzyszenia Księży Świeckich z dnia 6 grudnia 1905 r. o modlitwy za Polskę, jest całkiem na czasie. Za tym głosem powinny pójść wszystkie kościoły polskie w Ameryce, bez względu na to, czy ich proboszczowie uznają władzę Stowarzyszenia czy nie. Bo to głos rozsądny. Jeżeli bowiem składki na rzecz Polski są potrzebne, to jeszcze potrzebniejszą jest modlitwa: bo „jeśli Pan nie zbuduje domu (ojczyzny), próżno pracowali, którzy go budują''. (Psalm 126, 1.) Nietylko w ciągu oktawy święta Niepokalanego Poczęcia N. M. P. — jak owa Odezwa chce — ale tak długo, dopóki w Polsce stały rząd się nie ukonstytuuje, powinniśmy modlić się nietylko prywatnie w domu, ale i wspólnie w kościele i prosić: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!'' W kościele w Ripon na tę intencję w każdą niedzielę na nieszporach lub po sumie lud śpiewa: „Boże coś Polskę'' i „Święty Boże''.

9. **Irladczycy chcą języka irlandzkiego.**

Irlandzcy katolicy w Ameryce na serjo się zabierają do wskrzeszenia jezyka irlandzkiego. Buffaloski tygodnik „Catholic Union and Times'' z 7 grudnia b. r. donosi, że „Zjednoczone Irlandzkie Stowarzyszenia'' z Brooklynu uchwaliły jednogłośnie, żeby w tamtejszych szkołach parafjalnych uczono dzieci języka irlandzkiego. W tym celu wnieśli już petycję do miejscowego biskupa Mc Donnell i mają nadzieję, że biskup przychyli się do ich prośby.

I gadać tu o zlaniu się różnych narodowości w jedną „amerykańską''! Nigdy w Ameryce do tego nie przyjdzie. Przyjdzie do jednego **obywatelstwa,** ale nie do jednej **narodowości.** Różnice narodowościowe nietylko się nie zacierają, ale raczej z dniem każdym coraz bardziej się uwydatniają i zaostrzają. Każdy to widzi, kto tylko czyta irlandzkie, niemieckie i inne gazety w Ameryce.

(Ja wówczas kosztem „Kurjera'' prenumerowałem niemal wszystkie irlandzkie i niemieckie gazety katolickie, wychodzące w Ameryce, i czytałem je pilnie.)

10. **Gorzkie żale Niemców-katolików.**

Niemiecko-katolicki tygodnik „Der Wanderer“ z St. Paul, Minn., z 7 grudnia 1905, całą pierwszą stronicę, składającą się z siedmiu długich szpalt, poświęca kwestji narodowościowej w Kościele. Zawodzi żale i skargi, że arcybiskup Ireland z St. Paul upośledza Niemców, że „systematycznie postponuje niemiecki kler w swej archidiecezji“.

Na to „Wandererowi“ znowu odpowiada czeski ksiądz, dziekan Fr. Tichy z Nowej Pragi, że to nieprawda; i broniąc arcybiskupa Irelanda, dowodzi w długim liście, że Niemcy dosyć swoich księży mają w archidiecezji St. Paul'skiej, mianowicie przeszło 40 świeckich i przeszło 20 zakonnych księży. Zresztą — dodaje ks. Tichy — „Wandererowi“ jako katolikowi nie powinno się rozchodzić o to, ilu jest **niemieckich** księży, lecz tylko o to, ile jest **po niemiecku mówiących**, a tych ostatnich jest dostateczna liczba, gdyż prócz owych 60 niemieckich księży jest 15 słowackich, 10 czeskich i 5 polskich księży, a nawet kilku irlandzkich, którzy po niemiecku mówią.

Na to „Wanderer“ (redaktor Joseph Matt) znowu odpowiada, że Niemcom właśnie się rozchodzi o niemieckich księży, a nie tylko o „mówiących po niemiecku“. I na dowód słuszności tego żądania przytacza słowa papieża Piusa X, że zwyczajnie tylko ten kapłan może zadośćuczynić wzniosłym obowiązkom duszpasterskim, który, oprócz języka swoich owieczek, zna także ich narodowe właściwości i jest z nimi oswojony; a oswojonym zazwyczaj być nie może, jeśli należy do innej narodowści, a nie do tej samej, co jego owieczki.

W dalszym ciągu „Wanderer“ przytacza dowody z historji, że Kościół nigdy nie dążył do tego, żeby „wszystkie narodowości podbić pod jarzmo monotonnej jednostajności“ i zatrzeć ich różnice rasowe.

103. Dalszy ciąg artykułów, które zbudowały papieżników a zgorszyły episkopalnych. — Lud, któremu na imię Dwa Miljony, powinien powstać jak jeden mąż!

11. **Nowe diecezje mniejsze od parafji.**

Dziwili się niektórzy wielkiej wspaniałomyślności biskupów irlandzkich, zwłaszcza arcybiskupa Irelanda, że nowoutworzoną

diecezję Lead w South Dakocie obsadzono, nie Irlandczykiem — o dziwo! — lecz Słowianinem, mianowicie biskupem Stariha.

Od Irlandczyków nieraz słyszałem to zdanie: „To tylko niemieccy biskupi w Wisconsinie nie dopuszczają innych narodowości do biskupstw: Irlandzcy zaś dopuszczają i Słowian — a świeży dowód tego, to biskup Stariha, forytowany przez arcybiskupa Irelanda!“

I z dumą wskazywano mi na ten przykład wspaniałomyślności irlandzkiej. Tymczasem — co to za biskupstwo, które dano tak wspaniałomyślnie Słowianinowi, zamiast Irlandczykowi?

Oto sam biskup Stariha z Lead, S. D., tak pisze do pana Griffin, wydawcy „American Catholic Historical Researches“ (w październiku 1905):

„Byłoby to jednem z najtrudniejszych zadań dla „Historical Researches“ („Historycznych Badań“) wybadać, dlaczego i w jakim celu ta diecezja została utworzoną; dla mnie to staje się z dniem każdym coraz większą zagadką.

Dalej pisze, że ma „mniej niż 4,000 dusz w swojej diecezji!“... A więc najmniejsza polska parafja w Milwaukee jest kilka razy większą od całej diecezji biskupa Starihy!

(Rozczarowany tą „wspaniałomyślnością“ ajryską, biskup Stariha w kilka lat potem (29 marca 1909) porzucił tę „diecezję“; a nie mogąc mieć biskupstwa nad Słoweńcami w Ameryce, którzy z braku opieki biskupiej tysiącami ginęli i giną dla Kościoła, powrócił do swojej ojczyzny, Krainy, gdzie w Lublanie umarł 28 listopada 1915.)

Druga taka „diecezja“ istnieje w stanie Oregon, mianowicie diecezja Baker City. Ta liczy aż! 3,218 dusz (zobacz „Catholic Directory“ z r. 1905). Z tych tylko 1,854 są praktycznymi katolikami!... To Polacy w South Milwaukee i Cudaby mogliby tworzyć daleko większą diecezję!

Do tego pan Arthur Preuss w swoim „Catholic Review“ z St. Lous taki robi komentarz: „Prawdziwa historja takich diecezjalnych tworów stanowiłaby, naszem zdaniem, jeden z najciekawszych rozdziałów (po ludzku mówiąc) w tym po ludzku rządzonym Kościele Bożym... Ale gdy taka historja będzie pisana kiedyś w przyszłości, życzylibyśmy, by była pisana przez takiego historyka, któryby trzymał się zasady nieśmiertelnego Leona XIII, że „pierwszem prawem historji jest nie śmieć powiedzieć kłamstwa, a drugiem, **nie bać się wypowiedzieć prawdy.**“

12. **Dlaczego niema diecezyj polskich?**

100.000 Polaków w prowincji St. Paul'skiej nie mogą tworzyć diecezji? a 15.000 w Milwauckiej a 160.000 w Cincinnockiej? a 300.000 w Chicagoskiej? a 330.000 we Filadelfijskiej? a 350.000 w Nowojorskiej?

Tamte setki dusz w Dakocie, Oregonie itd., mogą tworzyć odrębne diecezje; ale te setki tysięcy dusz polskich nie mogą?

A z jakiej racji?

Bo — mówią — byłyby to diecezje narodowe, a takie diecezje, to herezja!...

Jestże to racja?

A czemuż to parafje narodowe nie są herezją? Mogą parafje być narodowe, to i diecezje nietylko mogą, ale logicznie i konsekwentnie powinny być narodowe.

Kto mówi A, musi mówić i B. Granice narodowościowe, jakie określają parafje, określą i diecezje również dobrze, jeżeli nie lepiej, jak granice terytorjalne. Co bowiem za różnica jest między granicą terytorjalną a narodowościową. Jest dwojaka, a tak jedna jak i druga pokazuje, że w stosunkach zwłaszcza amerykańskich diecezje narodowe byłyby daleko racjonalniejsze od obecnych diecezyj terytorjalnych. Pierwsza różnica jest ta, że granica terytorjalna, jak to sama nazwa wskazuje, dzieli przedewszystkiem ziemię; granica zaś narodowościowa dzieli przedewszystkiem ludzi. Już zaś podział diecezyj powinien być podziałem **dusz ludzkich**, a nie **ziemi;** ile że władza biskupia, jako duchowna, nie ziemska, „nie z tego świata", obejmuje na pierwszem miejscu **dusze ludzi**, a na drugiem dopiero ziemię. Ziemię na pierwszem miejscu obejmuje władza świecka, polityczna, państwowa; a nie duchowna, kościelna, biskupia. Biskupi, jako „książęta" świeccy, to contradictio in terminis.

Druga różnica jest ta, że terytorjalna granica jest pociągnięta **przez ludzi**, jest dowolna, nieraz imaginacyjna (oznaczona stopniami długości i szerokości geograficznej) i zmienna: podczas gdy granica narodowościowa jest **przez Boga samego ustanowiona, jest** zatem rzeczywista, stała i niezmienna. Któraż więc z tych granic ma więcej sensu?

Z dnia 16 grudnia 1905.

13. **W sprawie polskich biskupów.**

Oto najświeższe wiadomości z Rzymu: Monsignor Antonucci pisze mi 30 listopada 1905, że „święta Kongregacja Propagandy tę

sprawę (biskupów polskich) **nie przestaje i nie przestanie zalecać** świątobliwym biskupom amerykańskim... i że „arcybiskup Symon **nic dotychczas** po swoim powrocie nie doniósł Propagandzie o swojej misji do was".

Tyle z Rzymu. Nowojorski zaś „Freeman's Journal" z 9 grudnia 1905 donosi, że arcybiskup Symon polecił był papieżowi, by „załatwienie sprawy polskiej w Ameryce poruczył całkowicie biskupom amerykańskim". Otóż więc, podług tego doniesienia, sprawa nasza spoczywa w ręku biskupów amerykańskich. A czytelnicy nasi wiedzą już z gazet, jak biskupi amerykańscy zapatrują się na tę sprawę, mianowicie, że uważają ją za „agitację księży": że nie lud polski, lecz tylko księża domagają się biskupów polskich. I z pewnością też tak papieżowi donieśli.

14. Petycja o biskupów od wszystkich Polaków.

Powyższe wiadomości niech posłużą za odpowiedź na następujący list, jaki pan F. H. Kowalski z South Bend, Ind., 9 grudnia 1905 do mnie pisze:

„...W sprawie polskiego biskupa dotychczas jeszcze nic nie słychać. Miało coś być postanowione w listopadzie, jak gazety pisały. Więc polecono mi, abym się poradził Wiel. Ks. Dobrodzieja, czyby nie było dobrem zwołać zebrania masowego i wystosować petycję, że i **lud chce polskiego biskupa**, nietylko sami księża, jak to Niemcy i ajrysze mówią. Tylko, gdzie tę petycję wysłać i proszę Wiel. Ks. Dobrodzieja, jak ta petycja ma być napisana, a może i drukowana. Gdyby Wiel. Ks. Dobrodziej się chciał pofatygować i napisać, to ja zapłacę. Gdy my zrobim początek, to inne osady polskie może pójdą za naszym przykładem..."

Z pewnością, że inne osady pójdą za tym przykładem, bo nietylko z South Bend, ale i z innych osad o to samo się pytają, czy i gdzie mają taką petycję wysłać. Ale księży — w tym wypadku — panowie rodacy wcale o to pytać się nie powinni, bo gdyby księża coś w tym względzie doradzili, toby to była woda na młyn biskupów amerykańskich, którzyby wtedy jeszcze głośniej wołali: „Oto patrzcie! nie lud, lecz księża chcą biskupów!" Waszą to tedy rzeczą, panowie rodacy, Waszą nawet świętą powinnością jest, bez pytania się o to księży, zabrać publicznie głos i **oczyścić swoich kapłanów z tego zarzutu**, jaki im **publicznie w gazetach** uczynili biskupi amerykańscy, jakoby oni, księża, tylko chcieli mieć biskupów swoich a nie lud polski! Bo jeżeli wy, panowie

rodacy, na ten zarzut, publicznie uczyniony księżom polskim, będziecie milczeć, to biskupi owi tylko jeszcze bardziej się utwierdzą w swojem zdaniu, i w swoim raporcie do Rzymu powiedzą: „lud polski nie chce mieć biskupów polskich!“ Ale, powtarzam, księży się nie pytajcie, jak, gdzie i do kogo petycję macie wystosować, bo w tym wypadku do Was należy inicjatywa, a nie do księży. Macie, panowie, w swojem gronie światłych ludzi, jak pan Smulski, rzecznik miasta Chicago, Dr. Fronczak w Buffalo, dr. K. Wagner w Milwaukee i inni: ci Wam doradzą, jak petycję ułożyć i wydrukować i do kogo ją rozesłać.

15. **Ojciec św. a Polacy.**

Jeśli mamy wierzyć telegramom Stowarzyszonej Prasy o encyklice papieża do biskupów w Polsce, to Rzym znowu w błąd wprowadzono.

Co za mylne i wprost potwornie fałszywe wyobrażenie o Polakach mają władze kościelne w Rzymie, tegoby nikt nie wierzył.

My Polacy, jako wierni, ale naiwni i prostoduszni katolicy, zawsze myślimy, a przynajmniej tak postępujemy jakbyśmy myśleli, że skoro Duch św. oświeca papieża, to i o nas i o naszych sprawach musi go oświecić. Ojciec św. o wszystkiem wie — tak częstokroć mówimy naiwnie. Więc też nic nie czynimy, aby poinformować Ojca św. A tymczasem roztropniejsi od nas „synowie tego świata“, Niemcy, Rosjanie, Austrjacy itd., niestworzone o nas rzeczy Ojcu św. opowiadają. I jak Polaków w starym kraju w złem świetle Ojcu św. przedstawiono, tak — bądźmy pewni — i o nas tu w Ameryce już Ojca św. poinformowano: że lud polski w Ameryce nie chce biskupów polskich, to tylko księża chcą!“... I tak, jak wyszła encyklika, wychwalająca mądrość i dobroć cara Mikołaja, tak niedługo potrzebujemy czekać, a wyjdzie niebawem encyklika, wychwalająca mądrość i dobroć biskupów irlandzkich i niemieckich, a potępiająca księży, którzy wbrew życzeniom ludu polskiego „śmią się upominać o biskupów polskich!“ Obym był fałszywym prorokiem, ale to się stanie, zobaczycie, jeśli lud nasz teraz wyraznie nie zadokumentuje wobec Ojca św. swojej woli, że **to on, lud polski, któremu na imię Dwa Miljony,** a nietylko księża, życzy tu sobie mieć swoich własnych polskich biskupów, a nie obconarodowych.

Skoro biskupi amerykańscy publicznie zadali kłam temu ludowi, że to nie on, lud polski, tylko księża żądają biskupów, to

ten lud powinien powstać jak jeden mąż i powiedzieć, czego sobie życzy. Bo szatan nie śpi. I my nie śpijmy, ale czuwajmy!

Jeśli leniwie założywszy ręce, powiemy: „Jakoś to będzie, Bóg Duch święty sam oświeci papieża — to kusimy Boga! Bo Pan Bóg pomaga tylko tym, którzy sami sobie pomagają. Leniuchów zaś Pan Bóg nie wspiera, lecz każe im gnić w kałuży ich lenistwa, wystawiając ich słusznie na pogardę i szyderstwo innych narodów...

Ruszajmy się i pracujmy na polu społecznem! A pamiętajmy jednak, że nie odrazu dopniemy celu, lecz powoli i stopniowo. Bo wszelki postęp na świecie tylko powoli i stopniowo się dokonywa. Tak dzieje się w całej przyrodzie, której nieoddzielną stanowimy cząstkę. Nawet wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi, chociaż gwałtowne — przygotowują się jednak długo i zwolna.

104. Ciąg dalszy artykułów, w których nasi episkopalni chcieli widzieć chęć oderwania ludzi od Kościoła. — Biskupi chcą wskrzesić język irlandzki, a pogrzebać polski!

Z dnia 18 grudnia 1905.

16. **Dlaczego w Milwaukee nie powstają nowe parafje polskie?**

Ks. J. Kamiński pisze, że powstała nowa parafja polska, już trzecia w Bay City, Mich., dzięki staraniom ks. konsultora Edwarda Kozłowskiego, który „nie wierzy w wielkie parafje i przepełnione kościoły".

W Milwaukee od 12 lat nie powstała ani jedna nowa polska parafja. Wskutek tego żywioł polski idzie do Niemców. Parafja śś. Cyryla i Metodego, zamiast się stać matką nowej parafji, tłuścieje, pulchnieje i zaokrągla się. Ale czy ta zwiększona tusza wyjdzie jej na zdrowie?...

Prastara macierz, matka i babka polskich parafij w Milwaukee, parafja św. Stanisława, nie chcąc zbyt staro wyglądać, nowe, kosztowne przyoblekła szaty marmurowe... W ten sposób, choć nie urodą, to bogatym strojem przewyższa swoje młode córy i wnuczki.

17. **Biskupi a gazety.**

Ze stu biskupów amerykańskich ilu jest takich, co podają swe wiadomości i artykuły do gazet tak zwanych **katolickich?** Na to pytanie odpowiada „Katholischer Glaubensbote" z Louisville, Ky.

(XL., 3): „O ile my wiemy, biskup z Buffalo jest jedynym, który umieszcza swe artykuły w amerykańsko (irlandzko) katolickiej gazecie. Inni arcybiskupi i biskupi, nawet kardynał Gibbons, swoje wiadomości i artykuły podają do „żółtej prasy" (yellow journals). Szczegół to wielce charakterystyczny..."

Z dnia 21 grudnia 1905.

18. **Diecezjalny synod w Chicago — a nauka religji.**

Dnia 14 grudnia 1905 odbył się trzeci diecezjalny synod w katedrze chicagoskiej. „Najważniejszą ustawą tego synodu — pisze „The New World" — jest ta, która przykazuje, ażeby **nauka religji** udzielaną była **w angielskim języku** dzieciom wszelkich **rodowitych** narodowości" (dosłownie: „to children of all **native nationalities"**). Co przez te „rodowite" narodowości (niby masło maślane!) należy rozumieć, tego organ arcybiskupi „The New World" nie tłumaczy.

Że zaś tak zwanej „amerykańskiej" narodowości, przynajmniej w Kościele katolickim, niema, tego najlepiej dowodzi ten fakt, że żadnej „amerykańskiej" parafji tu nie mamy. O takie parafje, niedawno temu, pytałem się przez łamy tutejszych pism irlandzko-katolickich, — i odpowiedziano mi, że „amerykańskich" parafij niema. Nawet indjańska narodowość, która jedynie jest native american, nie nosi nazwy „amerykańskiej", tylko indjańskiej.

Więc co właściwie „The New World" rozumie przez owe „native nationalities"? Bo prawo, żeby było obowiązujące, musi być jasne a nie dwuznaczne.

Jeśli zaś to nowe prawo diecezjalne ma oznaczać, że „dzieci wszelkich **importowanych narodowości"**, a więc i dzieci polskie (chociaż tu urodzone, nie przestają być polskie!) muszą odtąd uczyć się religji w języku angielskim, to w takim razie nasze szkoły polskie nie potrzebują już więcej utrzymywać nauczycieli polskich — dobrze ich zastąpić mogą irlandzcy; a nasze kościoły za 15 lat nie potrzebują już więcej proboszczów **polskich** — dobrze już ich zastąpić będą mogli irlandzcy „Faterkowie".

Chyba ślepy tego nie widzi, do czego to nowe prawo zmierza; że przez to irlandzcy biskupi chcą **swoją narodowość zasilić** obcemi narodowościami. To nowe prawo zdąża do zapewnienia irlandzkiej narodowości — nie już przeważającego wpływu, jak dotychczas — ale do zapewnienia Irlandczykom absolutnego panowania w Kościele.

Dość przeglądnąć jakiekolwiek irlandzko-katolickie pismo, aby się o tej prawdzie przekonać. We wszystkich pismach irlandzko-katolickich (czytam ich przeszło tuzin!) na pierwszy plan występuje patrjotyzm irlandzki. Tak daleko Irlandczycy tu w Ameryce posuwają swój patrjotyzm, że nawet nie zważają na wyznanie religijne swego rodaka. Oto świeży przykład! Przybył z Irlandji do Ameryki dr. Douglas Hyde, naczelnik „Ligi Galickiej", mającej na celu wskrzeszenie języka irlandzkiego. Otóż ten dr. Hyde nie jest katolikiem, jest protestantem. A jednak właśnie katoliccy Irlandczycy w Ameryce, laicy, księża, biskupi i arcybiskupi przyjmują tu tego protestanta tak owacyjnie i tak entuzjastycznie, jakby jakiego mesjasza i zbawiciela narodu swego. Czemu? Bo dr. Hyde, choć protestant, jest patrjotą irlandzkim!

Żeby mnie ktoś nie posądził o przesadę, przytoczę tu, co chicagoski „New World", urzędowy organ archidiecezji katolickiej, o tym protestancie dr. Hyde pisze: „Dr. Douglas Hyde jest uwielbiany przez wszystkich Irlandczyków. Dr. Hyde jest protestantem, synem protestanckiego pastora, ale **katolicka Irlandja nigdy nie miała ciasnych poglądów w sprawach narodowych.** Niektórzy z jej największych bohaterów narodowych byli protestanci; a dzisiaj lud w katolickiej Irlandji uznaje w tym uczonym mężu Dr. Hyde swego przewodnika, godnego zaufania." Tak samo się wyraża irlandzko-katolicki „Sacred Heart Review" z Bostonu, Mass., arcybiskup Ryan z Filadelfji, biskup Prendergast i inni nasi **„amerykańscy"** (tak się oni chętnie nazywają dla zamydlenia nam oczu!) a w gruncie rzeczy „irlandzcy" biskupi w Ameryce. Jak donosi „Freeman's Journal", przyjmują tego patrjotę swego, choć protestanta, otwartymi ramionami, ugaszczają go, uczęszczają na jego mowy i odczyty itd.

A my Polacy w Ameryce czy będziemy „tak ciasnych poglądów w sprawach narodowych", że nawet o **katolickich** przewodników narodowych czyli o biskupów polskich dbać nie będziemy?... Możemy, jeśli chcemy. Ale to wiedzmy, że nas wtedy samiż biskupi ajryscy za głupich będą mieli, za narodowo-niedojrzałych i za dzieci!... Pod płaszczykiem religji ajryscy biskupi zaprowadzają język angielski do szkół polskich — w jakim celu? Żeby **amerykańską** narodowość wzmocnić? Kto z nas tak głupi, żeby w to uwierzył?... Ty zwłaszcza, młodzieży polska, urodzona tu w Ameryce, otwórz oczy i patrz: nie o amerykańską narodowość tu chodzi, ale o **irlandzką! Ta** się tuczy i wzmacnia — czyim kosztem?

Kosztem twojej polskiej narodowości! I nasza młodzież na to pozwoli? Chyba zwyrodniała?...

19. **Śpiew kościelny.**

Jak wiadomo, życzeniem Ojca św. jest, by w kościele śpiewali sami tylko chłopacy, a nie dziewczyny. Ks. Becker, profesor muzyki w St. Francis, Wis., sądzi, że w tym celu należy ze szkół naszych wyrugować czemprędzej nauczycielki: nauczyciele bowiem, jako mężczyźni, prędzej nauczą chłopców śpiewu kościelnego. To zależy...

105. Diecezje mieszane w Ameryce są większą anomalją niż parafje mieszane. — Stąd diecezje mieszane, podobnie jak parafje mieszane, powinny być wyjątkowo tylko tam, gdzie poszczególne narodowości są za słabe, by tworzyć własne diecezje.

Powyższe prawo o nauce religji w języku angielskim nie uchwalił **synod,** ale **biskup.** Niech bowiem nikt nie myśli, że jak na Soborach powszechnych biskupi uchwalają prawa kościelne większością głosów, tak na synodach diecezjalnych księża uchwalają prawa diecezjalne większością głosów. Gdyby tak było, to byłoby jeszcze pół biedy z obecnym systemem d i e c e z j i m i e s z a n y c h. Księża nieajryscy nie dopuściliby do uchwalenia praw na szkodę swoich narodowości. Ale niestety, księża nie mają głosu przy ustanawianiu praw diecezjalnych. Biskup ma tylko głos. On sam ustanawia prawa dla swojej diecezji, które potem raczy albo drukiem albo na Synodzie **ogłosić** księżom, ale **głosować** nad nimi księżom nie wolno. Księża nie posiadają władzy prawodawczej, tylko biskupi. Na owym synodzie w Chicago było przeszło 600 księży. Ale ich głosy nic nie znaczyły, tylko jeden głos arcybiskupi miał znaczenie. Wyraźnie pisze „The New World“: „Z rozkazu arcybiskupa ogłoszono nowe prawa kościelne, nad którymi arcybiskup od czasu do czasu robił swoje uwagi. „Żeby księża, zgromadzeni na synodzie, nad tymi „nowymi prawami“ mieli dyskutować, o tem niema ani mowy. Arcybiskup je ogłosił, i na tem koniec. Odtąd stały się obowiązującymi. Prawa te nie były uchwalane na synodzie. Prawa te przyniósł arcybiskup już gotowe na synod: drukowane po łacinie w osobnej broszurce zajmują 80 stronic drobnego druku. I takie prawa ustanowione przez biskupa, a ogłoszone na synodzie, nazywają się potem „ustawami synodalnymi“. A „najważniejsza ustawa synodalna“ jest ta, która przyka-

zuje naukę religji w języku angielskim. Charity begins at home. Biskup ajrysz ustanowił prawo korzystne dla swojej narodowości ajryskiej, a szkodliwe dla innych narodowości.

Co jemu się dziwić? Nie tyle on tu zawinił, ile obecne wadliwe urządzenie **mieszanych diecezyj.** Biskup mieszanej diecezji, zupełnie tak jak proboszcz **mieszanej parafji,** całkiem naturalnie dba więcej o swoich rodaków, aniżeli o obce narodowości. Jeśliby nie dbał, zdrajcą go okrzyczą jego właśni rodacy. Biskup mieszanej diecezji jest w trudniejszem położeniu niż proboszcz mieszanej parafji. Bo biskup, jako prawodawca w Kościele, układa prawa, mające moc obowiązującą dla **całej** diecezji. A te prawa mogą być, i zazwyczaj są, korzystne dla jego narodowości, ale niesprawiedliwe dla innych. I stąd to właśnie w Kościele powstają te wielkie zamieszania, jakich często świadkami jesteśmy. Z mieszania powstaje zamieszanie. Z mieszania wszystkich narodowości w jedną gromadę parafjalną powstaje już wielkie zamieszanie, ale jeszcze większe z mieszania wszystkich narodowości w jedną gromadę **diecezjalną!** Mieszanych parafij dlatego lud nie lubi i zgadza się na nie li tylko z konieczności tam, gdzie jest liczebnie za słaby, by utworzyć odrębną własną parafję narodową. Ale gdzie czuje się na siłach, tam zawsze i wszędzie tworzył i tworzy swoje narodowe parafje. I tem samem prawem natury, z tąż samą siłą żywiołową lud dąży do utworzenia własnych diecezyj narodowych, bo mieszana diecezja wie o tem z doświadczenia — jest źródłem nieustannego zamieszania. Tylko „wodzowie ślepi" tego nie widzą, bo nie chcą widzieć, bo są zaślepieni nieumiarkowaną żądzą panowania nad wszystkimi narodowościami. Każda żądza zaślepia człowieka, ale najbardziej ta żądza panowania nad wszystkimi narodowościami.

Tacy „wodzowie ślepi" nie widzą tego, że jak podwaliną społeczeństwa jest prywatna własność władzy rodzicielskiej, a komunizm jego ruiną, tak prywatna własność władzy i opieki biskupiej jest podwaliną Kościoła, a komunizm czyli wspólność jednego biskupa dla wszystkich narodowości jest jego ruiną i zgubą. Nie widzą tego, że miljony katolickich immigrantów ginęły i giną dla Kościoła w Ameryce głównie dlatego, że nie miały i nie mają władzy i opieki biskupiej swojej własnej narodowości. Nie widzą nawet tego, że w takiej mieszanej diecezji pragną dobra swojej własnej a zagłady innych narodowości. Rozporządzenia językowe są tego niezbitym dowodem. Biskupowi, jako jedynemu w diecezji

prawodawcy, układanie praw sprawiedliwych dla wszystkich narodowości jest fizyczną i moralną niemożliwością.

Stąd jasno wynika konieczna potrzeba jednonarodowych diecezyj, w którejby biskup miał do czynienia z jedną narodowością a nie ze wszystkimi. Stąd jasno wynika, że obecne nasze mieszane diecezje w Ameryce są większą anomalją czyli nieprawidłowością aniżeli parafje mieszane. Jeśli już parafje mieszane są uważane jako malum necessarium, jako zło konieczne w Ameryce, to daleko większem złem koniecznem są diecezje mieszane ze względu na większe rozmiary swoje.

Diecezje mieszane, podobnie jak parafje mieszane, mogą mieć wyjątkowo rację bytu tylko tam, gdzie poszczególne narodowości są za słabe, by mogły utworzyć własne diecezje i utrzymać własnych biskupów.

Urządzenia kościelne to nie dogmaty niezmienne. Urządzenia kościelne są dla ludzi, a nie ludzie dla urządzeń kościelnych. Urządzenia kościelne, jak świadczy historja, często były zmieniane stosownie do potrzeb ludności. Z początku w Ameryce była także zacięta opozycja przeciw tworzeniu parafji narodowych. A jednak parafje narodowe zwyciężyły. I diecezje narodowe powstaną pomimo zaciętej opozycji. „Czego chcą miljony, a chcą szczerze i statecznie — to wkońcu stać się musi" (Napeleon I). Zamieszanie, z mieszanych diecezyj wynikające, wkońcu się ludziom sprzykrzy. A wtedy „szczerze i statecznie chcieć" będą diecezji narodowych i wkońcu je dostaną.

I zamiast diecezyj mieszanych czyli tak zwanych hybryd, mieszańców, stworzeń pochodzących z pomieszania rozmaitych narodowości, — powstaną **czysto rasowe diecezje narodowe.**

I składowymi częściami Kościoła staną się naturalne żywe **narody**, a nie sztuczne **zlepki międzynarodowe**, jakimi są diecezje mieszane.

I w Kościele Bożym będzie tylko jeden papież, czyli **jeden piastun władzy nad wszystkimi narodowościami!** Bo władza nad wszystkimi narodowościami jest to władza **najwyższa** w Kościele i jako taka przysługuje jednemu tylko papieżowi, który jeden tylko ma dar nieomylności, a nie przysługuje biskupom poszczególnym, którzy tego daru nieomylności nie posiadają. Biskupi, którzy sięgają po władzę nad wszystkimi narodowościami, po małpiemu naśladują papieża, chcieliby być „papieżami" swoich diecezyj, przywłaszczając sobie władzę, jaka jedynie papieżowi się należy, a nie

biskupom. Nie mając papieskiego daru nieomylności, a chcąc jednak „papieską“ władzę nad wszystkimi narodowościami wykonywać, oczywiście po małpiemu ją wykonują i ośmieszają się przez swoje naprzykład „rozporządzenia językowe“ i inne tym podobne rozporządzenia, raz śmieszne, ale nieraz i smutne.

Niech papież jeden piastuje i wykonuje tę najwyższą władzę nad wszystkimi narodowościami, a biskupi niech piastują i wykonują władzę każdy nad swoją własną narodowością. To jest jedyny sposób, aby uniknąć „zamieszek“, jakie w „mieszanych“ diecezjach są nieuniknione, i aby zaprowadzić w Kościele ład i porządek tak bardzo przez wszystkich pożądany.

Ta prawda, prosta ale wielka, stała się **kamieniem obrazy** (lapis offensionis) dla wielu biskupów amerykańskich i ich kaudatarjuszów. Ale ten kamień, który odrzucili „budujący“ Kościół w Ameryce, stał się **kamieniem węgielnym** (lapis angularis) parafji narodowych i całej sprawy biskupów polskich w Ameryce.

Gdybym tej prawdy jawnie nie wypowiadał, byłbym tchórzem! Nie miałbym kapłańskiej — co mówię? nie miałbym ani cywilnej odwagi!

106. Ciąg dalszy artykułów, za które episkopalni grozili mi klątwą biskupią.

Przeciw przyjazdowi arcybiskupa Symona, jak widzieliśmy, biskupi ajryscy zaprotestowali u samego papieża, mówiąc, że przyjazd Symona rozbudzi nacjonalizm wśród Polaków, a nacjonalizm jest niebezpieczny dla Kościoła, owszem, im prędzej Polacy w Ameryce się wynarodowią, tem lepiej dla Kościoła. Tak protestowali ajryscy biskupi, gdy katolicki patrjota polski miał do nas zawitać. Zobaczmy teraz w dalszym ciągu, jak ajryscy biskupi zachowali się wobec protestanckiego patrjoty irlandzkiego, który z Irlandji przyjechał do Ameryki, aby tu wśród Irlandczyków obudzić ducha narodowego. Czy także irlandzki nacjonalizm uważają za niebezpieczny dla Kościoła?...

Z dnia 22 grudnia 1905.

20. **Jak irlandzcy biskupi mierzą patrjotyzm.**

Ks. Patryk Cronin, od lat 31 redaktor tygodnika „The Catholic Union and Times“ umarł nagle licząc 70 lat życia. Biskup Colton z Buffalo, Irlandczyk, oddaje ś. p. ks. Croninowi wielkie pochwały za to, że był nie tylko Amerykaninem, ale i „entuzjastycz-

nym i nieugiętym Irlandczykiem", że przez te 31 lat dziennikarskiej pracy bronił dzielnie narodowości irlandzkiej.

Zasłużona to pochwała, i bardzo to pięknie ze strony biskupa Coltona, że wychwala irlandzki patrjotyzm swego rodaka. Ale dlaczego mieć inną miarę dla swojej irlandzkiej narodowości, a inną np. dla polskiej narodowości? Dlaczego zarzuty czynić polskim księżom pracującym dla polskiej narodowości: „Tu nie Polska! Tu Ameryka! Kto przybył do Ameryki, ten powinien się zamerykanizować i być patrjotą amerykańskim, a nie polskim!

Taką to podwójną miarę mają biskupi tutejsi.

21. **Narodowość u Irlandczyków na pierwszem miejscu, a religja na drugiem.**

Kiedy się przegląda angielskie pisma katolickie, wydawane gdziekolwiek czy we wschodnich czy w zachodnich Stanach, to wcale się nie odnosi wrażenia, że ten kraj, w którym owe pisma wychodzą, to Ameryka; owszem, mimowoli doznaje się złudzenia, **że to Irlandja.** Patrjotyzmu amerykańskiego nie znajdziesz w nich za centa. Za to irlandzki patrjotyzm góruje ponad wszelkim innym ideałem, nawet katolickim. O patrjocie irlandzkim dr. Hyde, choć to protestant, katolickie gazety angielskie zapełniają całe szpalty. Gdyby tu jaki kardynał z Rzymu przyjechał, irlandzkie gazety katolickie nie rozpisywałyby się o nim tak szeroko i tak pochlebnie, jak właśnie o tym protestancie dr. Hyde. Czemu? Bo to ich **narodowe** bożyszcze! Bo to wskrzesiciel języka irlandzkiego! Bo on chce odangliczyć Irlandję i zarazem tu w Ameryce wskrzesić język i narodowość irlandzką! To wystarczy, żeby być bohaterem w oczach, nietylko laików, ale i kleru i episkopatu tutejszego.

Że dr. Hyde jest protestantem? To nic! To bynajmniej nie przeszkadza, żeby przed nim czołem bili i biskupi i arcybiskupi irlandzcy w Ameryce, bo on przecie jest patrjotą irlandzkim.

A my Polacy w Ameryce dopókiż jeszcze będziemy tak umysłowo ograniczeni w sprawach narodowych, że np. takiego księdza Fimowicza ostro karcić będziemy za to, że w swej mowie na sejmie Związkowym w Buffalo wychwalał patrjotyzm swoich rodaków bez względu na to jakiej kto wiary? Czy chcemy, żeby ks. Fimowicz był bardziej katolickim od swoich biskupów?

Irlandczycy już dawno wybili sobie z głowy to błędne przekonanie, jakoby każdy, kto odpadł od wiary, już tem samem odpadł od narodowości. Owszem, kto odpada od narodowości, ten zazwy-

czaj odpada i od wiary, ale odwrotnie sądzić, byłoby błędem. Dlatego na wzór Irlandczyków trzymajmy się oburącz swojej narodowości, pielęgnujmy swój język ojczysty przedewszystkiem. To są nasze **naturalne** obowiązki. Kto nie spełnia swych naturalnych obowiązków, familijnych i narodowych, jakże od takiego spodziewać się można, żeby spełniał **nadnaturalne** obowiązki, to jest religijne, trudniejsze od tamtych? Jeśli łatwiejsze zaniedbuje, to zaniedba i trudniejsze.

22. Polscy biskupi potrzebni dla Polaków.

Z powyższych uwag wynika, że nam Polakom tu w Ameryce biskupi polscy są koniecznie potrzebni. Pod obconarodowymi biskupami Polacy nietylko się wynarodowią, ale i od wiary odpadną.

To taki matematyczny pewnik, jak dwa a dwa jest cztery.

Nie zapominajmy nigdy tej nieomylnej nauki katolickiej, że Pan Bóg ustanowił nie rodzinę dla szkoły i Kościoła, lecz że Kościół i szkołę ustanowił **dla rodziny.** Pamiętajmy zawsze, że nie Kościół ani szkoła, lecz rodzina i dom rodzinny jest pierwszą i fundamentalną instytucją wychowawczą. Kościół zaś i szkoła są to instytucje drugorzędne i pomocnicze, które rodzinie dopomagać mają do jej zdrowego wzrostu i rozwoju, które uzupełniać mają domowe wychowanie. Lecz taką samą pierwszorzędną i fundamentalną instytucją, co rodzina, jest **i naród** czyli narodowość. Bo czem jest naród? Niczem innem jak tylko zwiększoną i **rozrosłą rodziną.** „Naród" wyrasta i rozrasta się „na rodzie" czyli rodzinie, jako na pniu swoim. Naród więc, to rozgałęziona rodzina. Ród i naród, innymi słowy, to ojciec i ojczyzna, tworzące jedną nierozerwalną całość. Kto, jak komuniści, podkopuje rodzinę, ten niweczy także narodowość. Kto zaś, jak biskupi amerykańscy, niweczy narodowość polską, ten podkopuje i dom polski. Jedni i drudzy, tylko inną drogą, idą do tego samego celu, mianowicie, żeby przez Boga ustanowiony ród i naród zastąpić sztuczną i śmieszną międzynarodówką. Powstańmy, jak jeden mąż, przeciwko tym burzycielom porządku społecznego. Pamiętajmy, że tak Kościół jak i szkoła mają ścisły obowiązek **wspomagać i podtrzymywać,** a nie zastępować, **rodzinę i narodowość naszą.** Prawa rodzinne i narodowe są pierwszorzędne, a prawa kościelne i szkolne są drugorzędne i ustanowione są dla podtrzymania tamtych pierwszych, a nie odwrotnie. Prawa kościelne i szkolne ustanowione są dla podtrzymania tego naturalnego i pierwszorzędnego prawa: Czcij ojca i matkę — czcij ojczy-

znę i macierz Polskę! A jeśli odbierają nam to prawo, jak to czynią owe biskupie „rozporządzenia językowe", wtedy nie są prawem, lecz bezprawiem!

Wychowanie staje się zwichniętem, spaczonem i skrzywionem, skoro szkoła i Kościół, zamiast w dalszym ciągu uzupełniać wychowanie domowe i rozwijać je w duchu swojskim i rodzimym, narzucają młodemu wyrostkowi obcy język i obcego ducha.

Polskiemu domowi potrzeba polskiej szkoły i polskiego kościoła. Już zaś ani polska szkoła ani polski kościół nie ostoją się tu długo, jeśli nie będą miały dozorców polskich. Pod obconarodowymi dozorcami stracą cechę polską. A tym dozorcą, to biskup. Wyraz „biskup" z grecka „episcopos" znaczy tyle co „dozorca". Obconarodowi biskupi polskiego ducha nie wleją w nasze szkoły i kościoły, bo go sami nie mają. Kapłani zaś, choć są polscy, muszą jednak tak czynić, jak im każe biskup. Kapłani sami są **pod dozorem** (obconarodowym), a nie dozorcami w Kościele.

Według prawa kanonicznego księża nie tylko dozorcami nie są, ale nie są nawet **pasterzami** parafji. Pasterzem parafji jest tylko biskup, dlatego on tylko nosi laskę pasterską czyli pastorał. On więc nietylko dozoruje ale i pasie trzody parafjalne. Polskie więc parafje w Ameryce nie mają nawet swoich **polskich pasterzy**, tylko obcych. Mają tylko polskich naganiaczy, wysługujących się pasterzom obcym.

Brak nam tedy i pasterzy i dozorców czyli biskupów polskich, o których też bez przestanku upominać się winniśmy, bo trzody bez pasterza rozproszą się i zginą tak dla wiary jak i narodowości. Jeśliby zaś daremne były nasze wołania, jeśli nas skazali już na zagładę, to gińmy ale **honorowo!** To jest, pokażmy, że chcieliśmy się ratować. A jeśli giniemy, to giniemy nie z winy naszej, lecz **z winy tych, którzy mogli i powinni byli nas ratować, ale nie chcieli!...**

23. **Papież a Polacy.**

Pan Stefan Rachocki, uniesiony gorliwością bronienia Polaków pod zaborem rosyjskim, napisał artykuł do „Milwaukee Sentinel" pod tytułem „Fallibility of the Pope", któryby był nieźle wypadł, gdyby był p. Rachocki w tym artykule nie uchybił przeciwko tym dwom cnotom kardynalnym: umiarkowania i sprawiedliwości. Pan Rachocki przebrał miarę, kwestjonując papieską nieomylność nawet w rzeczach wiary; i zarazem obraził sprawiedli-

wość, nie oddając papieżowi co mu się należy, a należy mu się nieomylność w rzeczach wiary i obyczajów. Tej kwestji nie powinien był poruszać, a cały jego artykuł byłby wypadł inaczej. Bo że papież w rzeczach świeckich i politycznych, nawet w geografji, jest omylnym, to każdy rozumny katolik p. Rachockiemu przyzna. Istotnie, Polska już nieraz gorzko za to odpokutowała, że Rzymu ślepo słuchała w rzeczach politycznych. Batory i Possewin; Władysław Warneńczyk i inne liczne są tego przykłady.

24. **Biskup Richter i ciche Msze.**

Biskup Richter z Grand Rapids, idąc bezwzględnie za rozkazem Piusa X, zabrał się bardzo ostro do reformy muzyki kościelnej. Wydał rozkaz, żeby śpiewano nie inaczej jak po gregorjańsku, i na tem basta. Gdzie to jest niemożliwem, tam nie mają wcale śpiewać ani grać, tam mają ciche msze odprawiać.

Jest to najradykalniejsza reforma śpiewu kościelnego. Jeżeli pacjent nie da się wyleczyć, zabić pacjenta, a nie będzie więcej chorował. Z takiej radykalnej kuracji drwi katolicki miesięcznik „Men and Women" z Cincinnati, O. (December, 1905) i radzi biskupowi Richterowi, żeby celem reformy kazań usunął z nabożeństwa także **kazania**, tak jak usunął śpiew i muzykę, a wtedy jeszcze większą uciechę sprawi zwolennikom krótkich nabożeństw.

System cichych Mszy, jaki w diecezji Grand Rapids jest teraz w modzie, otrzymał już od ajryszów odrębną nazwę „The Low Mass Brigade".

107. Ciąg dalszy artykułów, którym przyklaskiwali papieżnicy, a episkopalni zębami zgrzytali. — Odpowiedź O. Smolikowskiemu.

Z dnia 23 grudnia 1905.

25 **Katolickie z nazwy a w istocie pogańskie.**

Kto się chce przekonać, ile jadu i złości wylewają na drugich nasze tak zwane katolickie gazety „Dziennik Chicagoski" i „Kurjer Ohioski", ten niech weźmie do ręki (przez rękawiczki) poniedziałkowy numer „Dziennika Chicagoskiego" z 18 grudnia. A im bardziej są pijani złością, tem bardziej krzyczą: „Nasze pisma są prawdziwie katolickie! Bierzcie je i czytajcie! Innym nie wierzcie, tylko nam, bo my tylko jesteśmy katolicy, a inni to liberali, masoni, łgarze — jak ten celnik od Polaka w Ameryce!"... Ano, niema co mówić. Dobrze swój „katolicyzm" zachwalać umieją, jak żyd towar!

26. **Będziemy się uczyć po irlandzku.**

Arcybiskup Quigley z Chicago każe uczyć polskie dzieci religji po angielsku, bo dziś Irlandczycy innym językiem mówić nie umieją jak tylko angielskim. Czekajmy, aż ich Dr. Douglas Hyde nauczy po irlandzku... Bo wtedy, kto wie, czy nam, Polakom, nie każą się uczyć katechizmu po irlandzku? Tu w Ameryce, gdzie biskup jest prawem kanonicznem, wszystko jest możliwe...

Z dnia 26 grudnia 1905.

27. **Odpowiedź Ojcu Smolikowskiemu.**

Od czytelników „Dziennika Chicagoskiego" dostaję list z zapytaniem, czy i co odpowiem na list O. Pawła Smolikowskiego C. R. pod tytułem „Ks. Wacław Kruszka i jego dokumenty", umieszczony w tymże „Dzienniku Chic." dnia 15 grudnia 1905. Otóż mają wiedzieć, że odpowiedź moją posłałem „Dziennikowi Chicagoskiemu" zaraz nazajutrz 16 grudnia, a że jej dotychczas ów „Dziennik" nie ogłosił, to nie moja wina. Każde pismo uczciwe, już nie powiem katolickie, jeśli umieściło jakąś korespondencję zaczepiającą księdza, umieszcza także odpowiedź zaczepionego księdza, jeśli nie chce być stronniczem. Czyżby „Dziennik Chicagoski" stanowił pod tym względem wyjątek? Być może. Ale w takim razie daje nowy dowód oczywisty, że nie jest pismem uczciwem, a tem mniej katolickiem. Że się **nazywa** katolickiem, to jeszcze nie dowód, że niem jest. Na tym świecie, jak wiele jest rzeczy bez nazw, tak jeszcze więcej jest nazw bez rzeczy. Że „Dziennik Chicagoski" jest bardzo głośnym ze swego katolicyzmu, że w nim katolicyzm głośniej brzmi niż w innych pismach, to także tylko dowodzi, że brak mu tego, co jest treścią katolicyzmu, to jest, brak mu uczciwości i sprawiedliwości. Plena dolia silent — pełne beczki milczą a próżne dudnią. A dlaczego dzwon głośny? bo wewnątrz próżny! Zagłośny katolicyzm zawsze jest podejrzany. Głośne popisywanie się aprobatą biskupią, lub papieską nawet, każdemu szczeremu katolikowi mimowoli nasuwa pytanie: na co to i po co? Przecież dobremu piwu nie trzeba wiechy! Ale wystarczy przeczytać jakikolwiek numer „Dziennika Chicagoskiego", żeby się przekonać, że jemu takiej wiechy bardzo potrzeba. Inaczej niktby nie wiedział, że to jest pismo katolickie. Treść bowiem jego jest pełna jadu, złości i niechęci ku niemiłym sobie osobistościom. W tym samym numerze, w którym popisuje się otrzymanem błogosławieństwem papieskiem, umieszcza korespondencję oszczerczą na

księdza; w następnych numerach nadesłanego sprostowania nie umieszcza; a za to napada ze złością jeszcze na inne katolickie bądź osoby, bądź gazety, wyzywając ich od „łgarzy“, od „cymbałów grzmiących“ i t. p.

Bądź czem chcesz, a nazywaj się katolikiem; pisz co chcesz, a nazywaj się pismem katolickiem i wydrukuj to tłustymi czcionkami na frontowej stronicy!

A przytem głoś głupiemu światu, że twoje pismo nawet sam Ojciec św. czyta, pochwala i błogosławi!

Oto zasada „Dziennika Chicagoskiego“. Nic dziwnego. Jest on przecie lajborganem tych Ojców, których zasadą życia było owo sławne przez O. Wincentego Barzyńskiego wypowiedziane hasło: „Być czem chcieć, a nazywać się Zmartwychwstańcem!“ Jaki pan, taki kram.

O. Paweł Smolikowski zarzuca mi, że w mojej Historji przebija się złość i niechęć ku Zmartwychwstańcom. Proszę mi udowodnić, że w mej Historji występuję przeciw Zmartwychwstańcom **jako takim,** to jest, żyjącym podług reguły aprobowanej przez Stolicę świętą. Jeśli O. Smolikowski mi udowodni, że dopuściłem się takiej złości (sam bowiem nie poczuwam się do takiej winy, ale mogę się mylić), natenczas gotów jestem uderzyć się w piersi i publicznie powiedzieć: moja wina! Ale o ile wiem, w Historji całą moją „złość“ skierowałem tylko przeciw postępowaniu Ojców, żyjących podług tej wstrętnej zasady: „Być czem chcieć, a nazywać się Zmartwychwstańcem — którą to zasadę możnaby śmiało nazwać **regułą Ojców chicagoskich.** Tej bowiem, a nie innej reguły, w ostatniem ćwierćwieczu trzymali się Ojcowie chicagoscy. Czy i dzisiaj się trzymają, nie wiem. Być może, że już porzucili tę „regułę chicagoską“, a przyjęli rzymską, aprobowaną przez Stolicę św. Tem ci lepiej. I przyszły historyk zanotuje to złotymi głoskami, że taka zmiana reguły zaszła roku Pańskiego 19...

A na jakiej podstawie osądzam postępowanie dawniejszych Ojców chicagoskich? Na podstawie ich własnych listów!

A skąd wziąłem te listy?...

Takiemi pytaniami niejeden mię już zarzucał, sądząc, że sfabrykowałem te listy albo, w najlepszym razie, wykradłem z archiwum Zmartwychwstańców.

Że nie sfabrykowałem ich ani nie wykradłem, stwierdza to list O. Smolikowskiego, ogłoszony w „Dzienniku Chic.“ Niechaj mnie więc nikt więcej o coś podobnego nie posądza! „Pozwoliłem

(ks. Kruszce) przeglądać listy i robić notatki" — tak wyraźnie pisze sam O. Smolikowski. Ale — dodaje on co następuje: „z tem wyraźnem **zastrzeżeniem,** by listów nie odpisywał, by ich nie ogłaszał, bo pisząc Historję Zgromadzenia chciałem je sam kiedyś ogłosić".

Dziwne zastrzeżenie! Jak gdyby ktoś pozwolił komuś spragnionemu zbliżyć się do źródła i przyglądać się mu, ale zakazał mu pić i wodę czerpać ze źródła, które jest niewyczerpanem! Archiwum OO. Zmartwychwstańców w Rzymie jest źródłem tak obfitem i niewyczerpanem, że nietylko O. Smolikowski i ja, ale 10 innych historyków może z niego czerpać, a jeszcze go nie wyczerpie. Zresztą, o ile sobie przypominam, owego „zastrzeżenia" nie było. Wiem tylko o jednem zastrzeżeniu, mianowicie: żebym nie ogłaszał światu, od kogom dostał te listy. To mu też obiecałem i słowa dotrzymałem, bom wolał dotychczas narazić się na publiczne posądzenie, że wykradłem owe listy, aniżeli złamać dane słowo i ogłaszać światu, że to O. Smolikowski, podówczas Generał, sam mi dał te listy. O „nadużyciu zaufania" nie może zatem być mowy. O. Smolikowski, dając mi te listy, podówczas nadmienił jeszcze i to, że jemu jako nieobeznanemu bliżej ze stosunkami amerykańskimi trudniej się zorjentować w tych listach i historję na ich podstawie opracować, a mnie to łatwiej przyjdzie.

Ma się rozumieć, że „czasy się zmieniają a my też". Bo oto O. Smolikowski, zwolennik reguły rzymskiej, z Generała zeszedł na zwykłego podwładnego; a Generałem tymczasem został — zwolennik reguły chicagoskiej. Mając tę zmianę na względzie, łatwo zrozumiemy, dlaczego O. Smolikowski teraz, pisząc Historję o Ojcach chicagoskich, z góry zaznacza, że ta Historja **„wyjdzie tak pięknie i wypadnie tak czysto"** — bo jakżeż inaczej by miała wypaść pod argusowem okiem nowego Generała?... Wprawdzie O. Smolikowski powiada, że ogłosi te listy Ojców „nic nie zakrywając". Ale że to „nic nie zakrywając" jest tylko pustym frazesem, mającym jego Historji nadać pozór bezstronności, tego już dowodzą listy przez niego ogłoszone o Texas (porównaj je, kto chcesz, z listami ogłoszonymi przeze mnie w „Historji Polskiej w Ameryce"), gdzie ani kropek nie dodaje, że całe ustępy, niepochlebne dla Ojców, z listu opuścił. Zaręczam, że gdyby O. Smolikowski tak jak zapowiedział ogłosił te listy, „nic nie zakrywając", jego Historja gorzej dla Ojców by wypadła niż moja.

O. Smolikowski tylko **o księżach świeckich „nic nie zakrywa“**, ale skrzętnie notuje i ogłasza, że z księży świeckich „jeden był passjonat i ludzi bił pałką, drugi był pijak i przede Mszą bywał nieprzytomny, trzeci wiódł najniemoralniejsze życie“ itd. itd. A gdy o Zmartwychwstańcach takie ustępy się ogłasza, to O. Smolikowski nazywa to „złością i niechęcią“. Złości ku Ojcom nigdy nie żywiłem i nie żywię ani teraz, nawet, kiedy mię w swoim lajborganie ciężkimi obarczacie zarzutami, a obrony mojej umieścić nie chcecie. Trzeba mi udowodnić, że fałsze, i to naumyślnie, pisałem o Ojcach — dopiero wtenczas możnaby mi zarzucić złość i niechęć. Żem dotarł do źródła i odkrył prawdę — o to się gniewacie? Ależ odkrycie prawdy jest jedynym historji celem. Sam O. Smolikowski przyznaje to, że pisać należy historję „nic nie zakrywając“. I ja o listy waszych Ojców prosiłem nie w tym celu, aby o Ojcach napisać **panegiryk**, lecz — jak to sam O. Smolikowski przyznaje — prosiłem w tym celu, aby napisać **historję.** I tę też napisałem. A sądzę, że zawodu Ojcom przez to nie sprawiłem. Chyba, że Ojcowie spodziewali się ode mnie, że przyjaźń Ojców będę sobie wyżej cenił niż przyjaźń prawdy? W takim razie zawiedliście się na mnie.

108. Ciąg dalszy artykułów, które episkopalni uważali za buntownicze. — Czy Pana Boga lżyć w obcym czy chwalić Go w swoim ojczystym języku?

Z dnia 27 grudnia 1905.

28. **Czy dzieci mają lżyć Pana Boga?**

Czy i dzieci polskie w Chicago mają odtąd „lżyć“ Pana Boga łamaną angielszczyzną, zamiast Go chwalić w ojczystym języku? **Lżeniem**, „insultowaniem“ Pana Boga, tygodnik irlandzki „Leader“ z San Francisco nazywa uczenie w angielskim języku dzieci nieangielskiego pochodzenia (to insult Almighty God by praying to him in broken English, instead in their own tongue). „Leader“ gani tych biskupów irlandzkich, którzy dlatego, że język angielski jest językiem krajowym, każą katechizmu uczyć **dzieci irlandzkie po angielsku, zamiast po irlandzku. Język krajowy**, to niekoniecznie **język kościelny.** U Walijczyków, w Anglji i w Ameryce, językiem krajowym jest język angielski, ale językiem kościelnym jest walijski. Więc i u Irlandczyków, tak chce „Leader“, językiem kościelnym niech będzie irlandzki. Ale arcybiskup Quigley w Chicago każe uczyć religji po angielsku. To gorszy „Leadera“.

Miejmy jednak nadzieję, że dr. Douglas Hyde, skoro przybędzie do Chicago, zdoła przekonać arcybiskupa Quigley'a, że lepiej by było katechizmu uczyć po irlandzku niż po angielsku. Dr. Hyde twierdzi bowiem na serjo, że Irlandczycy, od czasu jak porzucili własny a przyswoili sobie obcy język, **zwyrodnieli tak umysłowo jak i religijnie.** I my wierzymy temu najzupełniej; zwłaszcza, że to mówi dr. Hyde, którego powagę w rzeczach irlandzkich uznawają przecie nawet biskupi irlandzcy. Ale właśnie dlatego my Polacy uważamy uczenie dzieci polskich katechizmu w języku angielskim za rzecz niebezpieczną. Bo co się z Irlandczykami stało, że — jak twierdzi dr. Hyde — zwyrodnieli tak umysłowo jak i religijnie, to by i z Polakami mogło się stać.

Jeśli Irlandczycy sami to przyznają, że popełnili głupstwo wielkie, wyrzekając się swego języka, a przyjmując angielski: czyż, po ludzku i po chrześcijańsku rozumując, nie powinni oni raczej przestrzegać nas Polaków, żebyśmy w to samo głupstwo nie wdepnęli? Dlaczego jednak chcą nas wciągnąć w to samo błoto, w które oni niebacznie wpadli?

Dlaczego?

Jest to psychologiczna zagadka, ale łatwa do rozwiązania. Angielszczyzna stała się dla Irlandczyków już nałogiem, z którego, widzą, nie łatwo im wybrnąć. Już zaś każdy, popadłszy w jakiś nałóg, naprzykład pijaństwo, z którego widzi, że już powstać nie może, pragnie i drugich wciągnąć w ten sam nałóg. Lucyfer, straciwszy niebo bezpowrotnie, chciałby i drugich widzieć tam, gdzie on się znajduje. Podobnie Irlandczycy, popadłszy, jak mówią, w piekło angielszczyzny, z którego chcieliby się wybawić ale nie mogą, pragną i Polaków z nieba ideałów polskich strącić do piekła angielszczyzny! Czy Polacy będą tacy głupi?

29. **Słowianie robią z Ameryki raj, a ajrysze w nim panują.**

Arcybiskup Ireland na Konferencji Emigracyjnej w New-Yorku tak dzielnie przemawiał za Słowianami:

„Emigranci z południowej Europy, a jeszcze bardziej **emigranci słowiańscy,** zaludniają obecnie środkowe Stany Zjednoczone, i z tej pustyni, którą do niedawna na mapach określano jako puszczę bezludną, i nieuprawną, zrobili właśnie ci emigranci drugi raj na ziemi. Dzięki ich pracy, oszczędności, wysiłkom powstały liczne i bogate miasta, sioła i farmy; dzikie pola zamieniły się we wspaniałe ogrody, jakie tylko nad Nilem spotkać można."

Do tych słów arcybiskup Ireland zapomniał tylko dodać: „A w tych ogrodach i w tym raju, który nam pracowici Słowianie przygotowali, w tych bogatych miastach ręką Słowian zbudowanych — my Irlandczycy i Niemcy założyliśmy swoje stolice biskupie i arcybiskupie, bo nam, a nie Słowianom, należy się panowanie w takim raju.“

— Tygodnik niemiecko-katolicki „Columbia“ z Milwaukee robi niezłą ze stanowiska niemieckiego propozycję, mianowicie: ażeby w nowej wspaniałej bibljotece, która przy seminarjum w St. Francis, Wis., ma stanąć kosztem wszystkich narodowości archidiecezji milwauckiej, umieszczono zbiór wszelkich druków niemieckich, jakie się pojawiły w Ameryce. W ten sposób nowa ta bibljoteka będzie zarazem archiwum niemieckiem. A na archiwum polskie nie byłoby tam miejsca?

Z dnia 30 grudnia 1905.

30. **Wysoki patrjotyzm irlandzki arcybiskupa Quigley.**

Irlandzki arcybiskup Quigley z Chicago zwykł niedzielę, jako dzień święty, poświęcać sprawom kościelnym, a nie świeckim.

Ale w niedzielę 7 stycznia 1906 — jak pisze przyboczny jego organ „The New World“ — zrobi jednak wyjątek. Bo oto w tę niedzielę znany nam już protestant dr. Douglas Hyde, zagorzały patrjota irlandzki, będzie w Chicago miał odczyt o patrjotyźmie irlandzkim. W tę niedzielę więc będzie massmeeting wszystkich Irlandczyków, a arcybiskup Quigley, jako najwybitniejszy w Chicago Irlandczyk, będzie przewodniczącym tego mityngu.

Pod tytułem „Jego Mość Acybiskup będzie przewodniczył“ pisze „The New World“ z 23 grudnia 1905 co następuje:

„Bez najmniejszej przesady można powiedzieć, że jeszcze nigdy z Europy nie przybył taki mąż, którego przyjazdem Chicago byłoby tak ogólnie zainteresowane, jak właśnie dr. Douglas Hyde. Uniwersytety, kolegja, kluby i członkowie „rodowitych“ narodowości cieszą się, że usłyszą wielkiego irlandzkiego uczonego, rozprawiającego o irlandzkich ideałach. Irlandczycy z Chicago są najzupełniej zjednoczeni sercem, myślą i duszą, zdecydowani i zorganizowani w tym celu, aby zapewnić jak największe i najlepsze rezultaty irlandzkiej propagandzie, jaką dr. Hyde się zajmuje. Jego Mość arcybiskup Quigley, **bez zawahania się ani na chwilę, przy-**

rzekł specjalnej delegacji, **że będzie przewodniczącym na wielkim mityngu** w Auditorium 7 stycznia wieczorem."

I ten patrjotyczny czyn arcybiskupa Quigley'a w oczach Irlandczyków więcej znaczy, niż jego wysoka godność, niż biskupi charakter; bo oto w dalszym ciągu pisze „The New World":

„Jeżeli jest coś takiego, coby mogło bardziej spotęgować narodową duszę i wdzięczność, jaką Jego Arcybiskupiej Mości wysoka godność i osobistość wlewa w irlandzkich obywateli miasta Chicago, to tem czemś jest właśnie ten łaskawy czyn (że arcybiskup przyrzekł być przewodniczącym na narodowym mityngu irlandzkim, i to w niedzielę!). Bo wiadomo dobrze, że nasz arcybiskup niechętnie bierze udział w świeckiej sprawie w niedzielę. Atoli w tym wypadku zrobił wyjątek, i dlatego irlandzki lud miasta Chicago tem bardziej mu jest wdzięczny za to. Jesteśmy przekonani, że Jego Arcybiskupia Mość **jeszcze nigdy przedtem nie przewodniczył tak wspaniałemu zgromadzeniu,** jak ten mityng Douglas Hyde'a, zważywszy czy to liczbę, czy wzniosłe cele czy też doskonałą jedność i zgodność uczuć tych, którzy na ten mityng przyjdą."

Tak wyraźnie pisze arcybiskupi organ „The New World".

A więc niech się w kąt schowa ów sławny synod diecezjalny, jakiemu niedawno przewodniczył arcybiskup Quigley, wobec tego irlandzko-narodowego mityngu protestanta Hyde'a, jakiemu tenże arcybiskup katolicki ma przewodniczyć w niedzielę 7 stycznia.

„Tak wspaniałemu bowiem zgromadzeniu, jak ten mityng protestanta Hyde'a, arcybiskup Quigley nigdy przedtem jeszcze nie przewodniczył..." Ani na katolickim synodzie takiej jednomyślności nie było, jaka będzie na tym irlandzkim mityngu.

Kto tam w Chicago narodowość wyżej stawia od katolicyzmu? Czy tylko „narodowy biskup" Antoni Kozłowski?... Gdzie jest ks. John Daly, prelegent „Amerykańskiej Federacji katolickiej", który niedawno publicznie w „Milwaukee Sentinel" twierdził, że takiej rzeczy, jak irlandzka narodowość, niemasz w Kościele katolickim w Ameryce?

Poszukujemy ks. John'a Daly'ego!

I któż będzie się jeszcze dziwił temu, że w Ameryce powstają narodowe kościoły? Zgóry idzie przykład!

„Polak w Ameryce" pisze: „Wyrażamy do amerykańskich biskupów irlandzkiego pochodzenia **serdeczną prośbę,** aby, kiedy

nasi Irlandczycy zatęsknili za swym rodzinnym językiem, pozostawili nas Polaków w spokoju i nie starali się przez kościół i szkołę wydrzeć nam nasz ojczysty język..." I znowu na innem miejscu: **„prosimy ich** (irlandzkich biskupów) **uprzejmie,** aby nam nie starali się wydrzeć ojczystego języka..."

To „prosimy uprzejmie" dziwnie brzmi w ustach Polaka w Ameryce? Jakto? Więc jak żebracy mamy **prosić** o to, do czego mamy najzupełniejsze Boskie i ludzkie prawo? Polacy, szanujący swoją godność, nie prosić, ale **żądać** powinni praw sobie przynależnych.

Jako katolicy, nie mając tu biskupów własnej narodowości, jesteśmy wprawdzie zdani na łaskę i niełaskę obconarodowych biskupów, którzy dzierżąc wyłącznie miecz kościelny w swoich ręku, mogą nas każdej chwili wykląć czyli zabić społecznie, to jest wykluczyć ze swojego społeczeństwa — ale **jako Polacy** mamy obosieczny miecz w swoich ręku, miecz prawa Boskiego i ludzkiego, którym skutecznie bronić się możemy.

109. Ciąg dalszy, jak airysze obejmują miejsce Hiszpanów na Filipinach i powiadają, że hiszpańscy mnisi okradli Kościół na Filipinach.

31. **Dla zbadania życia biskupów.**

Katolicki tygodnik „Western Watchman", wychodzący w St. Louis, Mo., dnia 21 grudnia 1905 tak pisze: „Wiadomość kablowa z Rzymu, że Ojciec św. zamierza przysłać **mnichów** do naszego kraju, **aby zbadać** położenie Kościoła tutejszego, a zwłaszcza **sposób życia biskupów,** jest zaczerpnięta ze „Stampa" z Turynu, **gazety zazwyczaj dobrze poinformowanej,** której wiadomości zwykle się sprawdzają. Być może, że Ojciec św. ma taki zamiar; jeżeli ma, to będzie on bardzo zadowolony z raportu, jaki mu, po zbadaniu rzeczy, jego mnisi-komisarze zdadzą. Nasi biskupi nie żyją w orjentalnych zbytkach, a ich osobiste wydatki nie są o wiele większe od wydatków zwyczajnego księdza. Europejczycy wszyscy mają przesadne pojęcia o bogactwie amerykańskich parafij, diecezyj i o dochodach naszych dostojników kościelnych."

Tyle pisze „Western Watchman", którego redaktorem jest sędziwy i uczony kapłan, ks. D. S. Phelan, senjor redaktorów irlandzko-katolickich, który niedawno był w Rzymie i miał prywatną audiencję u papieża.

Z dnia 6 stycznia 1906.

32. **Nauka katechizmu.**

W każdej szkole polskiej, kiedy przypada godzina religji, katechizm powinien być wykładany po polsku, odpowiedzi i pytania powinny być stawiane po polsku. Lecz poza godziną religji, w czasie lekcyj języka angielskiego, we wyższych klasach nic nie zaszkodzi dać dzieciom do czytania i tłumaczenia angielski katechizm, zamiast czytanki, czyli „Reader", żeby w ten sposób je zaznajomić z angielską nomenklaturą i terminologją religijną. Przeciwko temu nikt nic nie ma. Ale żeby w godzinie, przeznaczonej na religję, uczono dzieci katechizmu po angielsku, zamiast po polsku, przeciwko temu każdy Polak powstanie. Nie wierzmy tym, którzy mówią, że dlatego od Kościoła odpadli, że ich angielskiego katechizmu nie uczono. Statystyka bowiem wykazuje, że w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki najwięcej stosunkowo Irlandczyków odpadło od Kościola, a ci przecie uczyli się angielskiego katechizmu!...

Biskupi irlandzcy, żeby te przerzedzone szeregi irlandzkich katolików uzupełnić, każą uczyć katechizmu po angielsku. Jak łakomi są ajrysze na dusze (i grosze) polskie, wie najlepiej ten, kto z nimi sąsiaduje...

Zresztą w polskich drukach nie znajdziesz tyle herezji, ile właśnie w angielskich, pomimo że wszyscy tutejsi biskupi, przypuszczamy, po angielsku katechizmu się uczyli. Niedawno temu, pod okiem i bokiem biskupa z Green Bay, bo mieszkający tamże znany drukarz pan Kaster wydrukował świstek, który potem rozdawano ludziom w kościele, a na którym wyraźnie „stało wydrukowane" tłustemi czcionkami:

„Remission of sins by the Missionary Cross" — co miało znaczyć „Odpusty krzyża misyjnego", ale zamiast „indulgences" wydrukował „remission of sins", jakoby „odpust" był „odpuszczeniem grzechów"!!!

Dobrze, że proboszcz spostrzegł to, kazał ludziom pooddawać te kartki i spalić te herezje. Żaden Polak, który się dobrze nauczył katechizmu po polsku, takiej herezji by nie wydrukował. Wyrazy, używane w katechiźmie angielskim, jak „indulgence", „eucharist", „transsubstantiation", są całkiem obce samemuż językowi angielskiemu i z tego powodu trudniej dzieciom, nawet angielskim, wykładać katechizm angielski niż polskim katechizm polski. Irland-

czyk, chociaż przeszedł katechizm i wyuczył go się jak papuga, łatwo też zapomina, co znaczą te obce, pół greckie, pół łacińskie wyrażenia, jakie wykuł na pamięć w katechiźmie, jak „remission", „sanctification" itp. To też nie ci, co po polsku katechizmu się uczyli, ale **właśnie ci, co stanowią tu materjał, z którego się urabia biskupów,** drukują takie herezje jak „remission of sins by the Missionary Cross".

33. **„Mnisi okradli Kościół na Filipinach!"**

Tak woła irlandzko-katolicka prasa w Stanach Zjednoczonych. „The Catholic Citizen", „The Western Watchman" i inne tak piszą:

„Wiadomość o tem, że zakony (Dominikanie, Augustynjanie itd.) obrabowały katolików na Filipinach, wychodzi teraz na jaw. Biskupi są rozczarowani. Księża są zawstydzeni. A lud jest oburzony i zgorszony. Że mnisi z diecezyj i parafij filipińskich zabrali ze sobą prawie 10,000,000 dolarów gotówką i za to budują tu w Ameryce i Hiszpanji pańskie kościoły i zbytkowne klasztory dla siebie — jest to widok nader smutny dla każdego prawego syna Kościoła. Lud na Filipinach jest zgorszony. Bo chociaż powiesz Filipińczykom, że te ziemie, za które mnisi wzięli 7 miljonów dol., rząd hiszpański podarował był tym mnichom, oni Filipińczycy, na to ci odpowiedzą, że te ziemie należały do nich zanim Hiszpanie je podarowali mnichom. Zresztą naco rząd hiszpański dał tę ziemię mnichom? Czy nie nato, aby Kościół na Filipinach uposażyć? Czy więc wolno było zakonnikom zabrać to, co do Kościoła należało? Czy Kościół i zakon to jedno i to samo?"

Niestety, nietylko na Filipinach, ale i w Chicago istniało zgromadzenie zakonne, które dobro zakonu identyfikowało z dobrem Kościoła, i naodwrót, interes zakonu wyżej stawiając nad interes Kościoła. Pisze ks. Phelan w „Western Watchman":

„Przywykło się myśleć, że zakony, związane ślubem ubóstwa, są najbezpieczniejszym stróżem własności kościelnej. Tymczasem co się działo w Meksyku, stało się i na Filipinach: mnisi gromadzili bogactwa dla siebie, a nie dla Kościoła. Historja to rabunku i brudnego samolubstwa. Protestanci cieszą się z tego, że mnisi sprzedali biedny Kościół na Filipinach za 10 miljonów dol. Była to suma większa niż Judasz otrzymał, ale ten zdrajca nie był tak wymagającym jak jego nowocześni naśladowcy. Protestanccy misjonarze porównują sumę, posłaną Filipińczykom od siebie, ze sumą

zabraną Filipińczykom przez mnichów: i pytają Filipińczyków, kto jest owiany duchem chrześcijańskiej miłości, czy mnisi, którzy ich odarli, czy protestanci, którzy ich odziewają i karmią?"

Filadelfijski zaś „Standard and Times" tłumaczy owych zakonników w ten sposób:

„Tytuł własności owych ziem zakony posiadały, a nie Kościół; więc też zakony prawnie je sprzedać i pieniądze za nie wziąć mogły."

Ale podobnem rozumowaniem mogliby i nasi irlandzcy i niemieccy biskupi, którzy posiadają tytuły własności kościołów polskich, sprzedać te polskie własności a pieniądze schować sobie do kieszeni. W dalszym ciągu tenże „Standard and Times" pisze:

„Godzien jest robotnik zapłaty swojej; mnisi owi, jeżeli wzięli 7 miljonów dolarów, to wzięli tylko swoją zapłatę za kilkuwiekową swą pracę misjonarską na Filipinach."

Lecz na to odpowiada „Catholic Citizen":

„Żaden pogański kraj nie jest dany i oddany jakiemuś zakonowi dla przemysłowej eksploatacji. Idąc tam ze sztandarem Chrystusa, zakonnicy, jak przypuszczamy, nie używają religji za pokrywkę do sprzedaży gruntów. Zyskiem i owocem misjonarskiego przedsiębiorstwa są dusze i kościoły i szkoły — te powinny być sowitą zapłatą dla każdego robotnika w winnicy Pańskiej. Nadto, **ślub ubóstwa** w jednostce zakonnej **ośmiesza się, skoro zakon sam się bogaci.** Jednostka zakonna, w takim razie, ulokowała tylko swój dział w bogatej korporacji, której trustysami są przełożeni zakonni."

Tak to omawiają tę sprawę irlandzko-katolickie organa. Koniec końców, słusznie czy niesłusznie, mnisi hiszpańscy, wycofując się razem z rządem hiszpańskim z Filipin, faktycznie sprzedali tamtejsze dobra kościelne i pieniądze za nie, coś blisko 10 miljonów dolarów, zabrali ze sobą do Hiszpanji lub do Ameryki, jeśli tu osiedli. Z tego powodu cała niemal irlandzko-katolicka prasa w Ameryce rozpisuje się szeroko na temat łakomstwa mnichów. „Dominikanie i Augustynjanie — wyraża się dowcipnie ks. Phelan w „Western Watchman" z 28 grudnia 1905 — weszli na Filipiny z próżnym workiem i z ślubem ubóstwa. Wyszli zaś z Filipin z dziesięcioma miljonami dolarów we worku; ale **ślub świętego ubóstwa pozostawili łaskawie arcybiskupowi Harty'emu i jego sufraganom do zachowania."**

Naszem atoli zdaniem nietyle w tem grało rolę łakomstwo, ile narodowa zawiść i zemsta. Amerykanie wyparli Hiszpanów z Wysp Filipińskich, pod pretekstem, że oni potrafią lepiej tym krajem rządzić; a wślad za flagą amerykańską podążyli tam biskupi, ma się rozumieć, nie innej tylko irlandzkiej narodowości, zapewniając papieża, że oni w tamtejszym kościele zaprowadzą porządek lepszy od dotychczasowego.

Gdzieby irlandzcy biskupi nie poszli? Ręczę, że gdyby dziś Stany Zjednoczone wkroczyły do Rosji, żeby tam tak jak na Kubie porządek zaprowadzić, irlandzcy biskupi wnet przekonaliby papieża, że i oni tam są potrzebni: i pewnego pięknego poranku czytalibyśmy, oczom nie wierząc, w telegramach, że na arcybiskupią stolicę do Warszawy powołany jest arcybiskup Quigley z „Warszawy amerykańskiej"; na miejsce kardynała Puzyny w Krakowie zasiada kardynał Gibbons; w Poznaniu arcybiskup Colton; we Lwowie arcybiskup Ryan itd. itd.

Bo taka to już moda nastała, że narodowość irlandzka jest to ta złota czy jedwabna materja, z której się urabia biskupów dla wszech narodowości. A moda, jak wiadomo, jest to największy tyran, z pod którego panowania trudniej się uwolnić niż z pod panowania carów.

Otóż, idąc na Filipiny, irlandzcy biskupi myśleli, że zasiądą tam jakby do gotowego stołu. Tymczasem poprzednicy ich — owi mnisi — powiedzieli:

— Kiedyście lepsi gospodarze od nas, to sobie sami gotujcie!

I, uchodząc z Filipin, zabrali wszystko ze stołu ze sobą, poobgryzane kości im tylko zostawiając. Z początku nic na to irlandzcy biskupi nie mówili, bo myśleli, że Filipińczycy to naród tak ofiarny jak nieprzymierzając Polacy w Ameryce, którzy choć języka biskupów irlandzkich nie rozumieją, jednak pieniądze im chętnie dają. Tymczasem Filipińczykom ani się nie śni naśladować Polaków w Ameryce. Będąc na pół dzikimi, nie umieją ocenić ani angielskiego katechizmu ani angielskiego kazania ani innych „dobrodziejstw" angielskich. Teraz więc biskupi, nie mając z czego żyć, gwałtu krzyczą, że Kościół na Filipinach jest w najopłakańszym stanie, że niema żadnych funduszów, bo mnisi go obrabowali, a słowa Bożego głosić nie mogą **bez funduszów** (powinni powiedzieć: **bez języka krajowego!).** Więc zasyłają teraz do Rzymu skargi na mnichów, żeby im papież kazał zwrócić te fundusze, które

zabrali. Papież tymczasem milczy. A mnisi pocichu się śmieją i mówią:

— Tacy to z was misjonarze? A kto nam dawał fundusze, gdyśmy dzikich Filipińczyków nawracali na wiarę? Gdy my przyszli na Filipiny, zastaliśmy rolę nieuprawną. Uprawiliśmy ją i żyliśmy z pracy rąk naszych; a cośmy sprzątnęli, tośmy też zabrali. Wy, po nas, zastaliście rolę już uprawioną, i jeszcze nie możecie wyżyć? Tacy to z was gospodarze?...

Rezultat jest ten, że owym biskupom irlandzkim (Harty, Henricks itd.) na Filipinach nie pozostało już nic innego, jak iść na żebry do Stanów Zjednoczonych. To też w irlandzko-katolickich pismach znajdujemy teraz ciągłe odezwy żebracze w tym tonie: „We write to you at the request of His Grace, the Most Rev. J. J. Harty, who wishes to place the following facts before the Catholics of the United States throughout medium of the Catholic press... **We have no fund any kind to aid us in our work...**"

A tymczasem dla protestantów jest tam obfite żniwo... Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy Irlandczycy bywali apostołami narodów. Wtedy, kiedy nimi byli, mieli jeszcze swój język, byli narodem; a dziś Irlandja jest papugą angielskiego narodu. Dzisiaj Irlandczycy zatracili swój język, jak twierdzi ich własny przywódca dr. Hyde, „zwyrodnieli umysłowo i religijnie". Dziś, czego się tkną, bez pieniędzy ani rusz. Pod ich „opieką" biskupią w Stanach Zjednoczonych miljony samych irlandzkich dusz zaginęły; a jednak, zamiast pilnować własnych rodaków, ciągle się narzucają jeszcze innym narodowościom ze swoją „opieką biskupią"... Nemezis wszakże dziejowa nie da na siebie długo czekać.

110. Polaczyska stają się małpami i papugami zamiast Amerykanami i katolikami. — Włosi zaszczyty sobie zatrzymują a ciężary na innych zwalają, stąd opłakany stan finansów Kościoła.

W tych wszystkich ówczesnych artykułach moich, jakie już przytoczyłem, i w następnych, jakie jeszcze przytoczę, moją przewodnią myślą było z przykładu innych narodowości wykazać jasno jak na dłoni tę fundamentalną zasadę bytu naszego w Ameryce, mianowicie, że Polak w Ameryce nietylko może ale i powinien dążyć do tego, żeby tu **pozostać możliwie najlepszym Polakiem, a nie żeby tu zostać możliwie najlepszą papugą albo małpą** ajrysza, Anglika lub Niemca. Gdy pozostaniemy samymi sobą, gdy

będziemy możliwie najlepszymi Polakami, wtedy dopiero będziemy możliwie najlepszymi Amerykanami i katolikami. A przez naśladowanie ajrysza lub Niemca możemy się stać możliwie najlepszemi — **małpami** tylko, a nie Amerykanami ani katolikami, zasługującymi na szacunek i powagę u innych narodowości. Nasz poeta Słowacki nazwał naród polski „papugą innych narodów". Czy my Polacy w Ameryce chcemy być tylko taką miłą i zabawną papugą w ręku polityków i dygnitarzy amerykańskich?... Na szacunek i powagę u innych zasługuje tylko taki pojedyńczy czy zbiorowy człowiek, który zawsze i wszędzie pozostaje sam sobą i ma swój indywidualny charakter. Gdy tu bezmyślnie małpować będziemy drugie narodowości, będziemy w ich ręku bardzo miłą wprawdzie, ale i śmieszną zabawką, którą przystroją czasem nawet we fiolety prałackie gwoli większej wesołości! Ale znaczenia innego ani w państwie ani w Kościele mieć nie będziemy oprócz znaczenia małpy lub papugi.

Dlatego powtarzam:

Każdy Polak w Ameryce powinien się starać o to, i każdy zdrowo myślący tak katolik jak i Amerykanin, który nie jest szowinistą, wprost zachęca go do tego, żeby został tem, czem go Pan Bóg stworzył, czem z rodu i narodu jest, żeby został możliwie najlepszym Polakiem, a nie możliwie najlepszą małpą innych narodowości. Bo wtedy tylko będzie się naturalnie i normalnie rozwijał i wtedy tylko zostanie możliwie najlepszym katolikiem i Amerykaninem, zasługującym na szacunek a nie na pośmiewisko i popychadło.

Nie dajmy się zbałamucić pustemi frazesami „asymilacji" („simia" to znaczy małpa) i amalganizacji. To szowiniści czyli zapaleńcy używają tych bałamutnych frazesów właśne w tym celu, by z nas uczynić małpy i papugi, bo ich potrzebują dla swojego rozweselenia. Poważny Amerykanin nie wierzy w amalganizację narodowości. „Racial amalgamation there can not be" — powiedział niedawno sam prezydent Harding.

Jakże więc głupie są te Polaczyska, którzy wstydzą się polskiej mowy i wstydzą się swoich polskich nazwisk, zamieniając je na angielskie lub niemieckie, a nie wstydzą się być małpami drugich narodowości!

Powiedziałem, że za wyż przytoczone artykuły, ogłaszane roku 1905—1906 w „Kurjerze Polskim", tak zwani papieżnicy, nie wierzący w obiecanki biskupów amerykańskich, wynosili mnie pod

niebiosa. Na dowód tego niech posłuży następujący list księdza Truszyńskiego, prezesa Wydziału Wykonawczego III. Kongresu Polsko-Katolickiego:

Peru, Illinois, 9 stycznia 1906.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

W ostatnich czasach bardzom pokochał Ks. Dobrodzieja, a to z powodu Jego artykułów w „Kurjerze". Artykuł o mnichach (na Filipinach) wyśmienity. To jest właśnie nasze nieszczęście, że bardzo dużo jest u nas **tchórzów** — exemplum — ciche zachowanie się czykagoskich kapłanów wobec rozporządzenia w sprawie nauczania religji w naszych szkołach. Na ostatniem posiedzeniu Wydziału Wykon. przedstawiłem zło, jakie grozi — obowiązek zaprotestowania w imieniu Federacji — wszystko na nic. Zaraz po przeczytaniu o tem w „New World", pisałem list do jednego z urzędników. Nie otrzymałem odpowiedzi. Gdy parę lat temu biskup Messmer wydał rozporządzenie podobne, atoli nie tak niebezpieczne, krzyk i hałas był w Chicago. Dziś Chicago milczy, z pokorą całując dłoń tego, który godnie spełnia urząd księcia Bismarcka tu w wolnej ziemi amerykańskiej...

Z szacunkiem

Ks. K. Truszyński.

Ale ci „z pokorą całujący dłonie biskupie", ci tak zwani episkopalni, ogromnie się ucieszyli, gdy w „Catholic Citizen" 11 stycznia 1906 ukazała się następująca korespondencja pana Croke z Rzymu pod tytułem „The Polish Question":

„Czas najwyższy przedstawić polską kwestję w całości, gdyż przebiegła ona swój naturalny zakres. Zaczęła się ona dla nas pod koniec panowania Leona XIII, kiedy agitacja, z powodu obecności w Rzymie dwóch deputatów, ks. W. Kruszki i Rowlanda B. Mahany, zwróciła powszechną uwagę.

„Kilkakrotnie chwaliłem już zabiegi tej delegacji, których wynikiem była podróż inspekcyjna arcybiskupa Symona po polsko-amerykańskich kolonjach. Obecnie po powrocie arcybiskupa Symona i po zdaniu raportu papieżowi, nie przedsięwzięto żadnego kroku, a mogę to bezpiecznie powiedzieć, że żaden krok w rzeczywistości nie jest zamierzony. W Propagandzie — twierdzę to z całą pewnością — od czasu powrotu arcybiskupa Symona **nic nie zostało postanowione w tej kwestji, nic nie będzie postanowione i nic**

nie może być postanowione, z wyjątkiem dania łagodnej rady amerykańskiej hierarchji, by była przychylną stosownie do własnego uznania aspiracjom Polaków.

„Donoszę o tem tak, jak mię tu poinformowano. Jak załatwione zostanie to **„danie łagodnej rady"**, czy przez orędzie, czy pisząc do amerykańskich arcybiskupów i biskupów, czy przez ustne polecenie lub w rozmowie z tymi biskupami, gdy składają wizyty w Watykanie, o tem nie mam pojęcia.

Lecz to jest pewnem, że wynik rokowań i żądań Polonji amerykańskiej jest ten: że proszący są odesłani z powrotem do hierarchji amerykańskiej z zaznaczeniem, że jedyna ich nadzieja zyskania własnych diecezjalnych biskupów, sufraganów biskupów lub wikarych generalnych polega na wpływie u tej hierarchji i na tych pomocniczych środkach, jakich mogą użyć (?), by nazwiska polsko-amerykańskich kandydatów dostały się na listy wysyłane do Rzymu w razie wakansów w episkopacie amerykańskim.

„To dowodzi, jak dalekim jest Rzym od tyranizowania podległych kościołów...

W. J. D. Croke."

Ta ostatnia uwaga irlandzkiego korespondenta z Rzymu ma oznaczać, że Rzym w tej sprawie polskiej nie chce tyranizować biskupów amerykańskich, nie chce ich po tyrańsku traktować i **zmuszać** do ustępstwa na rzecz Polaków. Bardzo to pięknie, ale nie wielka stąd pociecha dla nas Polaków. Jednakowoż nie można tu powiedzieć, że Rzym w tym wypadku, nie chcąc tyranizować biskupów, temsamem pozwala biskupom tyranizować nas, zdając nas na ich łaskę i niełaskę. Albowiem arcybiskup Symon w swoim Memorjale do papieża przedstawił biskupów amerykańskich jako **szczerze,** a nie tylko pozornie, **sprzyjających Polakom i sprawie polskiej w Ameryce.** A skoro szczerze nam sprzyjają, to nie mogą nas tyranizować. Przeciwnie, z własnego popędu postawią polskich kapłanów na liście kandydatów biskupich.

Że arcybiskup Symon, w czasie swojej krótkiej wizyty gościnnie tu podejmowany, łatwo mógł uwierzyć w **szczerą** przyjaźń biskupów amerykańskich i że zatem Rzymowi przedstawił ich jako **szczerych** przyjaciół naszej sprawy biskupów polskich: temu tak bardzo dziwić się nie można. Czapką, papką i dobrą wolą, ludzie ludzi sobie niewolą; i zniewolili sobie także Symona. Ale dziwić się trzeba raczej temu, że po tylu gorzkich zawodach i rozczarowaniach, zwłaszcza roku 1902 doznanych, wśród nas Polaków

w Ameryce znaleźli się jeszcze tacy, którzy uwierzyli w szczerą przyjaźń episkopatu amerykańskiego.

Będąc wówczas, tak jak i dzisiaj, mocno przekonany, że bez przymusu i nacisku Rzymu biskupi amerykańscy z własnego popędu nic dla nas nie uczynią, w „Kurjerze Polskim" ogłaszałem w dalszym ciągu takie artykuły:

Z dnia 10 stycznia 1906.

34. **Nowi kardynałowie.**

Dotychczas tylko Północna Ameryka miała kardynała; od listopada zaś roku 1905 ma go i Południowa Ameryka, jest nim nowy kardynał Cavalcanti, z pochodzenia Włoch, arcybiskup z Rio de Janeiro w Brazylji... Jest więc obecnie kardynałów 62; zatem ośmiu braknie do pełnej liczby 70. D. J. W. Croke, korespondent rzymski, dnia 8 grudnia 1905 do „Milwaukee Catholic Citizen" pisze:

„Papież Pius X chętnieby więcej kardynałów zamianował i radby widział pełną ich liczbę. Ale przyczyną, dla której Pius X nie może mianować więcej kardynałów, jest **opłakany stan finansów watykańskich.**"

Nie dziwimy się temu, że jest brak utrzymania dla więcej kardynałów. Przecież z tych 62 kardynałów jest 36 samych Włochów a tylko 26 z innych narodowości. Każdy to przyzna, że na **jeden biedny naród** włoski przypada stanowczo **zbyt wielki ciężar** utrzymywania aż 36 kardynałów Włochów. Wprawdzie ciężar utrzymywania kolegjum kardynalskiego powinny ponosić wszystkie katolickie narodowości, ale ludzie są ludźmi i tak rozumują:

Jeżeli ciężary mają być podzielone zarówno, to i zaszczyty niech będą podzielone zarówno pomiędzy wszystkie narody. Jeśli zaś który naród większą część zaszczytów sobie wyłącznie przywłaszcza, to i większą część ciężarów niech sobie przydzieli. Zaszczyty sobie zatrzymywać, a ciężary na innych zwalać, jest krzyczącą i mszczącą się niesprawiedliwością.

III. Ciąg dalszy artykułów tak zwanych buntowniczych.

35. **Obojętność religijna u Włochów.**

Verba docent, exempla trahunt (słowa pouczają, ale przykład pociąga). Wzniosłe encykliki i dobre rady, dawane Polsce w obecnej zwłaszcza chwili, wywierają może zbawienny wpływ, ale daleko większy wpływ, niż słowa, wywołałby dobry przykład Ko-

ścioła we Włoszech. Tak pisze „Catholic Citizen“ z 23 grudnia 1905:

„Religijna obojętność włoskich immigrantów uderza wszystkich amerykańskich katolików. Dała ona nam wyobrażenie o włoskich biskupach i kapłanach; wyobrażenie, jakiego wcale mieć nie chcieliśmy, ale które pomimo to samo nam się narzuciło, patrząc na katolicyzm Włochów przybyłych tu do Ameryki. Przyczynę tej obojętności religijnej u emigrantów włoskich, tłumaczy, między innymi, korespondent piszący z Rzymu do irlandzko-katolickiego tygodnika „Brooklyn Daily Eagle“ 26 listopada 1905:

„Wizyty apostolskie, zainaugurowane ostatniego roku przez Piusa X we wszystkich diecezjach Włoch, odkryły smutny stan Kościoła we Włoszech. Wiele diecezyj, zwłaszcza w środkowych i południowych Włoszech, zarządzanych zwykle przez zakonnych biskupów, znaleziono **w stanie najzupełniejszego nieporządku,** w całem tego słowa znaczeniu: parafje zaniedbane, kościoły w najopłakańszym stanie, proboszczowie bez powagi i nie lubiani przez ludność, zupełny brak karności pomiędzy klerem, wiele parafij znaleziono bez duszpasterza, i tak dalej. Gdyby wytoczono proces biskupom winnym owego niedbalstwa, to **najmniej 40 biskupów,** powiadają wizytatorzy papiescy, **musiałoby być koniecznie złożonych ze swego wysokiego urzędu...** Podobne nieporządki trwały już od dawien dawna, tylko że nigdy nie dopuszczono do tego, żeby się o nich dowiedział Leon XIII. Jeszcze około roku 1880 pewien gorliwy prowincjał Kapucynów, zrozpaczony zawołał: Dałby Bóg, żebym mógł i śmiał otwarcie przemówić do Leona XIII. Powiedziałbym mu prosto w oczy:

„Ojcze święty, **mniej niewyraźnych encyklik,** mniej łacińskiej poezji, **a więcej pilności w rządzeniu Kościołem, bo we Włoszech religja zupełnie schodzi na psy** (religion in Italy is going to the dogs).“

„To nie masoni — dodaje „Catholic Citizen“ — ani liberali, co szkodzą Kościołowi we Włoszech... Zrozumiemy teraz, dlaczego emigranci włoscy są tak lichymi katolikami.“

36. Nieproszona opieka Irlandczyków.

W ciągu ostatniego roku 1905, jak statystyka wykazuje, przybyło do Stanów Zj. 106,000 Polaków. Ci także potrzebują opieki Kościoła. Ale gdzież są ci opiekunowie, „dozorcy“ czyli biskupi? Księża są zajęci pracą w granicach swoich parafij.

A biskupi? episkopoi czyli dozorcy?

Ci ani słowa do nich przemówić nie umieją, z wyjątkiem „biskupów" Kozłowskiego, Hodura i Kamińskiego, ma się rozumieć, ci zrozumiałym do nowych przybyszów językiem przemówią i ci też w opiekę ich wezmą. Irlandczycy tymczasem, żeby zastąpić potrzebę biskupów polskich, zakładają olbrzymie towarzystwo zwane „Catholic Church Extension Society in America", którego celem ma być stawianie kościołów dla nowych osadników. Jest to nowy miljonowy humbug. Główni założyciele tego towarzystwa, księża Kelley i Graham, jeszcze szkoły w swej parafji nie mają, a chcą się Polakami opiekować. Polacy to nie dziki pogański naród, żeby inne narody go na wiarę nawracać miały.

Wam, o Irlandczycy, Polacy już niejeden kościół wystawić lub utrzymać pomogli — dowód np. Ripon — ale żebyście wy, o Irlandczycy, gdzie jaki kościół wystawili dla Polaków? Jeszcze nigdy o tem nie słyszano! Dlatego to wasze „Church Extension", to humbug. Zaopiekujcie się lepiej swoimi, to jest, Irlandczykami. Polaków w swoją „biskupią opiekę nie bierzcie, bo oni już pod tą waszą „opieką" tysiące dusz stracili, jedynie dzięki waszemu „dozorowi" czyli biskupowaniu! Czy kto widział na świecie, żeby dwumiljonowy naród polski, od wieków już chrześcijański, miał mieć nad sobą dozorców czyli biskupów innych narodowości? Tak się traktuje naród pogański albo świeżo nawrócony, ale nie naród od wieków chrześcijański, jakim jest polski. Jest to w najwyższym stopniu ubliżającem godności każdego narodu, który od dawna posiada wiarę św., a ma mieć nad sobą jeszcze obcych opiekunów czyli biskupów.

Hands off! Pilnujcie swoich narodowości, a nam dozwólcie pilnować swojej. Ajryscy biskupi niech zajmią się odpadłymi od Kościoła Irlandczykami, a niemieccy biskupi niech swoich zbłąkanych lutrów sprowadzają do owczarni, a nie Polaków. Irlandzcy biskupi dla Irlandczyków, a dla Polaków niech będą polscy biskupi!

Z dnia 13 stycznia 1906.

37. **Są rozmaite diecezje.**

Dziwnie się plecie na tym tu świecie. Robi się biskupów tam, gdzie ludność ich utrzymać nie może; a dla dwóch miljonów Polaków, którzyby 20 biskupów utrzymali, nie ustanawia się biskupa żadnego. Pan Griffin z Filadelfji posłał biskupowi Stariha w Lead, So. Dakota, parę egzemplarzy swojego kwartalnika „Catholic Hi-

storical Researches", w nadziei, że biskup zapłaci mu za jego pismo. Tymczasem biskup Stariha tak mu odpowiedział (zobacz „Catholic Historical Researches", volume I. 4):

„Drogi Panie! Odebrałem jeden czy dwa egzemplarze twoich „American Catholic Historical Researches" i bardzo mi się podobała interesująca treść tego pisma... Wszelako jeśli Panu nie posłałem mojej przedpłaty za to tak bardzo cenne czasopismo, to nie dlatego, iżbym nie dbał o nie, lecz dlatego, **że nie stać mię na prenumeratę.** Moja diecezja jest tylko nominalna. Mam mniej niż cztery tysiące dusz w całej diecezji, włącznie z Indjanami. Nie pobieram żadnego katedratykum, jakiem się cieszą inni biskupi. Jedyna moja pensja wynosi 50 dolarów na miesiąc, którą pobieram od mojej parafji tutaj w Lead, tak, że z tego małego dochodu nie jestem w stanie popierać wiele godnych poparcia spraw tak jakbym tego pragnął. Byłoby to jednem z najtrudniejszych zadań dla „Historycznych Badań" (Historical Researches), wybadać, **dlaczego właściwie i w jakim zamiarze ta diecezja została ustanowioną,** bo dla mnie to się staje codzień coraz większą zagadką.

Z uszanowaniem Twój

Jan Stariha, biskup z Lead,
South Dakota."

Diecezja zaś Sacramento w Kalifornji liczy mniej więcej tyle dusz, co cztery parafje polskie na południowej stronie miasta Milwaukee. Ale pomimo to była ona **za wielką,** i w tych dniach podzielono ją na dwie diecezje. Nie decydował tu wzgląd na dusze, lecz wzgląd na ziemię czyli terytorjum, jak gdyby biskupów na to ustanowiano, by się zajmowali uprawą ziemi, a nie rolą serc ludzkich. I istotnie, jeśli chcą się wyżywić, a nie chcą iść żebrać, to muszą żyć z uprawy ziemi, bo to trochę roli serc ludzkich nie może im dać utrzymania.

Liczba takich żebraczych diecezyj i żebrzących biskupów jak zauważa milwaucka „Columbia", staje się w Stanach Zjedn. coraz większą. **Diecezje o wiele mniejsze niż jedna polska parafja w Chicago,** są naprzykład następujące: diecezja St. Joseph liczy 20,000 dusz; St. Augustine 26,000; Salt Lake 10,000; Savannah 21,000; Wichita 26,000; Wilmington 28,000; Richmond 30,000; Natchez 22,487. Nashville 18,000; Mobile 25,804; Little Rock 14,916; Great Falls 10,000; Lincoln 30,000; Concordia 23,000; Boise 13,000. **A mniejsze niż którakolwiek parafja polska w Milwaukee** są na-

stępujące **diecezje:** diecezja Lead ma 4,000 dusz; Charleston 8,500; Cheyenne 4,000; Baker City 3,218.

Aż tyle jest diecezyj liliputowych, przez „Catholic Review" nazwanych „rotten borough dioceses", których biskupi, zamiast laski pasterskiej, kij żebraczy często nosić muszą, bo choć ich diecezje obejmują wiele ziemi, ale mają mało dusz. Czy ziemie, czy też dusze głównie czynią diecezje?...

Kiedyż więc nareszcie decydującym czynnikiem w ustanawiania i podziale diecezyj będzie wzgląd na ilość dusz raczej niż na ilość ziemi? Czyż my jeszcze żyjemy w średnich wiekach, kiedy biskupstwa były zarazem księstwami czy hrabstwami, a biskupi książętami, „Feurstbischoefe"? Wówczas względy na terytorjum i granice terytorjalne miały swoje znaczenie. Ale w naszych czasach, zwłaszcza w tym Nowym Świecie, stanowczo są anachronizmem, tak jak anachronizmem byłyby tu przy podziale parafij granice li tylko terytorjalne, a nie narodowe.

Po parafjach narodowych w dalszym rozwoju dziejowym nieubłaganą logiką faktów powstaną, bo muszą tu powstać, **diecezje narodowe.** Będą one logicznem następstwem i wynikiem **parafij narodowych.** Jak **parafje mieszane** proboszczom już się sprzykrzyły i każdy woli być proboszczem swojej tylko narodowości: tak też wkrótce i **diecezje mieszane** biskupom się sprzykrzą naturalnym popędem ludu muszą się sprzykrzyć, i każdy będzie wolał być biskupem swojej tylko narodowości, a nie obcych. To **naturalny** porządek, bez którego **nadnaturalny** istnieć nie może.

Decydującym czynnikiem **w podziale parafij był i jest** dotychczas **wzgląd** nie tyle na ilość ziemi ile **na ilość i jakość dusz** (polskich czy niemieckich czy irlandzkich i t. d.). **I ten sam wzgląd** naturalnym rzeczy porządkiem musi się stać decydującym czynnikiem **także w podziale diecezyj.** Inaczej ni ładu ni składu nie będzie w Kościele amerykańskim, w którym różnice narodowościowe, zamiast się zacierać, z dniem każdym coraz bardziej na jaw występują.

112. Dalszy ciąg tak zwanych buntowniczych artykułów. — Asymilatorzy, to nie amerykanizatorzy. — List brata o ks. Rainerze i list ks. Rainera.

38. **Przyszli Amerykanie.**

„The New World", organ archidiecezji chicagoskiej, 30 grudnia 1905 pisze:

„Przyszłym Amerykaninem — powiada biskup Mc Faul z Trenton, N. J., — będzie potomek Irlandczyka, Niemca, będzie Polak, Włoch, Słowieniec, Węgier i Czech, pochodzący ze zdrowej krwi wieśniaków europejskich. I mam to mocne przekonanie, że ten przyszły Amerykanin będzie cieleśnie, umysłowo, obyczajowo i społecznie najtęższym obywatelem najszlachetniejszej rzeczypospolitej na ziemi.

A co się stanie z dotychczasowym typem Amerykanina — z Yankesem pochodzenia anglo-saskiego?

Na to odpowiada tenże irlandzki biskup Mc Faul:

„Yankesi nie mają żadnej przyszłości; bo w ich rodzinach więcej śmierci niż urodzin; do ich domów śmierć z kosą częściej i chętniej zagląda niż bocian z dzieckiem."

Pewien Yankee, razu pewnego rozmawiając z biskupem Mc Faul o przyszłości Stanów Zjednoczonych, wyraził obawę, że jego potomków czeka w przyszłości krwawa i zażarta walka z rasą murzynów, których jest dziewięć miljonów w Stanach Zj., i tak mówił:

— My nie doczekamy się tej straszliwej wojny z murzynami, ale nasi potomkowie kiedyś będą z nimi toczyli krwawy bój.

Na to biskup Mc Faul:

— Nie miej pan obawy! Ani twoi potomkowie nie doczekają tej wojny.

— Jakto nie?

— Bo zanim przyjdzie do takiej wojny, rod Yankesów wymrze. I ty i twoi potomkowie, jeśli jakich masz, będą dawno pogrzebani leżeć w ziemi jak kartofle. Bądźmy więc, panie, spokojni o przyszłość naszą i naszych potomków. Tę przyszłą wojnę z murzynami zostawmy Słowianom, Polakom, Czechom, Niemcom — oni się z nimi uporają.

I uspokoił Yankesa.

39. **Francuzi bronią swej narodowości.**

„Francuscy katolicy w Stanach Zjed. Nowej Anglji — jak donosi „Catholic Review" z St. Lous — prowadzą dalej po rycersku swoją walkę przeciw „les assimilateurs", przeciw asymilatorom. Wyraz „asymilator" pochodzi od „simia", co znaczy małpa. Asymilatorzy więc są to ci, którzy chcą z drugich uczynić swoje małpy; którzy chcą, żeby drudzy ich małpowali czyli po małpiemu ich naśladowali w mowie, nazwach i zwyczajach. Ta-

kich asymilatorów nasze polskie gazety niesłusznie nazywają „amerykanizatorami". Niesłusznie, bo naszym Irlandczykom o żadną „amerykańską" narodowość wcale się nie rozchodzi. Rozchodzi się im tylko **o wzmocnienie szeregów ich własnej irlandzkiej narodowości.** W tym celu **dzisiaj** nas chcą **anglizować,** bo dziś innym jak angielskim językiem mówić nie potrafią. Ale **jutro,** gdy się nauczą po irlandzku, będą chcieli **irlandyzować** czyli „ajryszować".

Z tego powodu Francuzi bardzo trafnie ich nazywają **asymilatorami,** a nie amerykanizatorami. I my ich inaczej nie nazywajmy, raz dlatego, że na nazwę „amerykanizatorów" po sprawiedliwości Irlandczycy wcale a wcale nie zasługują; a powtóre, że tą nazwą jakby płaszczykiem oni sami właśnie chcą pokryć swoje tendencje **czysto irlandzkie,** nie mające nic wspólnego z amerykanizmem. Prawdziwi amerykanizatorzy dążą do tego, żeby każda narodowość w Ameryce jak najlepiej wydoskonaliła swój oryginalny i indywidualny charakter: żeby murzyn stał się możliwie najlepszym murzynem, a nie możliwie najlepszą imitacją białego człowieka; żeby Irlandczyk po małpiemu nie naśladował i nie przedrzeźniał Anglika albo Niemca, i tak dalej. Posłuchajmy, co mówi „New York Evening Post", której o brak amerykanizmu nikt nie posądzi:

„Instead of aping the ways and adopting the ideals of another race, let him form his own ways and choose his own ideals. If any of these happen to be the same as those of others, well and good, but in any case let them be **his.** Let him grandually accumulate his own traditions, his own heroes. In a word, **let** him assert his originality. Trusting himself to his own resoarces, he will command first his self-respect and as an inevitable consequence the respect of those about him."

„Asymilatorzy" zaś, wywodzący swą nazwę od „simia", małpa, są to istotnie **„małpiarze",** którzyby chcieli za nos wodzić różne narodowości zupełnie tak jak małpiarz oprowadza małpy po kraju. Polaku, nie bądź małpą w ręku ajrysza ani Niemca, lecz tak w mowie jak i w tradycji „assert your own originality", bo wtedy tylko staniesz się godnym czci i poważania w oczach rozsądnego Amerykanina!

Otóż powiada „Catholic Review" (XII, 24): „Francuzi toczą nieustanną walkę przeciw **asymilatorom,** t. j. przeciw tym w obrębie Kościoła, którzy bezczelnie usiłują im wydrzeć ich piękny

język ojczysty. I w rozmaitych gazetach francuskich znajdujemy wskazówki, w jaki sposób byłoby najlepiej przedstawić Stolicy św. swoją liczebną siłę w różnych diecezjach. Na to (powiada dalej „Catholic Review") jest łatwy i tani sposób. Propaganda Wiary nakazała sporządzić spis katolików **podług narodowości** we wszystkich diecezjach Ameryki. Niechże kler francuski zesumuje rezultaty tego spisu, czyli cenzusu, i zrobi wyciąg z tego ogólnego cenzusu, wykazując liczbę Francuzów. I niech potem postara się o jakiegoś przychylnego prałata w Rzymie (np. Mgr. Battandier albo Mgr. Jacquemin), ażeby tenże ich statystykę przedłożył osobiście tak Prefektowi Propagandy jak i Piusowi X wraz z odezwą, wyrażającą głęboką uległość Rzymowi i słuszne ich zażalenia z powodu niesprawiedliwego traktowania ich narodowości w Ameryce. Sążnista petycja (a monster petition), jaką proponuje „Avenir National", mogłaby się okazać jeszcze skuteczniejszą; ale dla braku ścisłej organizacji będzie trudno taką petycję ułożyć."

Taką radę daje Francuzom pan Preuss w swojem „Review". Do tej rady dodajemy jeszcze to:

Francuzi! Przedewszystkiem dla waszej petycji **uzyskajcie sankcję biskupów irlandzkich**, to jest, owych właśnie „asymilatorów", przeciw którym walczycie. Bo bez sankcji tychże — powiadają ajrysze — nawet papież nic nie zrobi. The Pope, jak mówią ajrysze, can recommend, but He cannot command! Nec Hercules contra plures! Wszechpotężny biskupów irlandzkich wpływ na papieża urósł w ich nabrzmiałych głowach do takiego rozmiaru, że — jak to w tych dniach właśnie ich lajborgana głoszą — „odtąd nikt z Ameryki, **nie mający rekomendacji od tutejszych biskupów**, nie uzyska audiencji u papieża". Postarali się o to z pewnością w tym celu, aby zagrodzić drogę dalszym na nich skargom do papieża.

Co do spisu zaś katolików **podług narodowości** — jaki Propaganda rozkazała sporządzić wszystkim biskupom amerykańskim — to na ten spis, o Francuzi, wcale nie czekajcie! Przecież nikt nie przypuszcza, żeby wasi „asymilatorzy" (pochłaniacze innych narodowości) sami na siebie bicz kręcili; a ukręciliby, gdyby, usłuchawszy Propagandy, taki spis sporządzili!

. . . .

Po ogłoszeniu w „Kurjerze Polskim" powyższych 39 artykułów, wydawca „Kurjera", mój brat Michał Kruszka, w liście z 13 stycznia 1906 dał mi taką przestrogę:

„Kochany Bracie! Poufnie dowiaduję się, że ks. Rainer tłumaczy wszystkie artykuły kościelne — Twoje i nasze — aby znaleźć coś przeciw Tobie. Sądzę, że byłoby dobrze na krótki czas o biskupach wogóle albo nic nie pisać, albo jak najmniej drażliwie. Po przeczekaniu pewnego czasu, powoli znów sprawę tę omawiać. Księżom w Milwaukee też dowierzać nie można.

„Twoje wiadomości bardzo się czytelnikom naszym podobają — jeno księża radzą być oględnym.

„Pozdrawiam Cię serdecznie

Twój brat

Michał."

Po otrzymaniu tego listu napisałem do wyż wspomnianego ks. Rainera, rektora seminarjum w St. Francis, Wis., z zapytaniem, co on myśli o moich artykułach. Na to otrzymałem taką odpowiedź:

Fond du Lac, 20 stycznia 1906.

„I ja tak samo myślę co do prawa Polaków do stolic biskupich. Ale nie temi środkami, jakie „Kurjer" niedawno proponował, które schizmą trącą i wtrącają sprawę w daleko gorsze położenie.

Twój

J. Rainer."

Jakie to środki „Kurjer" proponował? Otóż w redakcyjnym artykule dnia 6 stycznia 1906 „Kurjer" sam od siebie tak pisał między innemi:

„... Konsultor polski, albo najstarszy ksiądz polski, niech będzie dla nas tymczasowym polskim biskupem. Niechaj księża polscy z pomiędzy siebie „starszych" naznaczają, niechaj sami będą tym „starszym" posłuszni. A cały lud polski w Ameryce pójdzie za nimi, bo tu właśnie chodzi o śmierć lub o życie tego ludu polskiego! Nie byłby to bynajmniej bunt przeciw biskupom amerykańskim. Przecież niejeden biskup w złości wyraził się już, że „radby się Polaków pozbył!"... W sprawach ogólnych Kościoła niechby księża polscy odnosili się do biskupów amerykańskich. Ale w sprawach polskich, w sprawach szkół polskich i innych instytucyj polskich, w zatargach parafjalnych itp., Polacy i księża polscy powinni się odnosić do „starszych" **swojej** narodowości. W ten sposób wyrobilibyśmy sobie autonomię w Kościele..."

Otóż „te środki „Kurjera", pachnące schizmą", zganił ksiądz Rainer. Ja swoje artykuły spokojnie dalej pisałem. Tylko życzy-

łem sobie, żeby nadal **moje** artykuły zawsze były opatrzone **mojem pełnem imieniem i nazwiskiem.** Albowiem dotychczas „Kurjer“ ogłaszał moje artykuły z początku bezimiennie a potem inicjałami tylko opatrzone. Za swoje własne artykuły zawsze chciałem wziąć całą odpowiedzialność sam na siebie. Ale za cudze artykuły nigdy nie chciałem być odpowiedzialnym.

Oto moje dalsze artykuły:

Z dnia 18 stycznia 1906.

40. **Diecezje wisconsińskie.**

Podług najnowszej statystyki archidiecezja milwaucka liczy 235,000 dusz; Green Bay 135,000 dusz; La Crosse 97.165; nowo utworzona diecezja Superior 38,861 dusz. Taką **ogólną** statystykę podaje urzędowy organ arcybiskupi „Columbia“. O szczegółowej statystyce **podług narodowości,** jaką nakazała św. Kongregacja Propagandy, niema w tym urzędowym organie ani mowy. Poco? A nużby się wykazało, że **polskich katolików** w Milwaukee jest więcej niż niemieckich i irlandzkich?... Prawda w oczy kole!...

113. „Kurjer Ohioski“ pierwszy podnosi fałszywy alarm, który echem się odbija w Ameryce i w Rzymie i w Polsce.

41. **Kardynał Gibbons w protestanckim kościele.**

„Catholic Citizen“ z 13 stycznia 1906 pisze: „Kardynał Gibbons był wiceprezydentem publicznego walnego zgromadzenia w protestanckim kościele (w Baltimore), na którem W. H. Berry, skarbnik stanu Pennsylwania, wygłosił odczyt o cnocie obywatelskiej i patrjotyżmie“.

Widocznie katolicyzm irlandzki nie ma tak ciasnych pojęć jak nasz polski. Kardynał wiceprezesem obchodu patrjotycznego w kościele protestanckim jest — podług szerokich pojęć irlandzkich — zupełnie na miejscu. „Catholic Citizen“ chwali ten czyn kardynała.

Na drugi raz, kiedy Hodur w Scranton, albo Kamiński w Buffalo albo Kozłowski w Chicago urządzą obchód patrjotyczny w swoim kościele niezależnym, niech nie omieszkają zaprosić na „wiceprezesa“ ks. J. Piechowskiego, C. R., albo ks. Jana Pitassa, albo ks. Zychowicza — którzy powinni to zaproszenie przyjąć, chyba że chcą być bardziej katolickimi od kardynała Gibbonsa.

42. **Słuchajcie najpierw Irlandji a reszta wam przydaną będzie.**

Oto hasło doktora Douglas Hyde'a, protestanta ale patrjoty irlandzkiego, przed którym biskupi i arcybiskupi amerykańscy tak czołem biją. Przedrzeźniając słowa Pisma św.: „Szukajcie **najpierw królestwa Bożego...“**, dr. Hyde tak wyraźnie głosi: „Słuchajcie **najpierw Irlandji, a reszta wam przydaną będzie“.** Nie wierzysz? Czytaj, kto chcesz, arcybiskupi organ chicagoski „The New World“ z 13 stycznia 1906, tam wyraźnie napisane:

„The message of Dr. Douglas Hyde is: „Seek **first to be Gaels** and all those things will be added unto you“ (na stronicy 4).

I ksiądz Judge, redaktor arcybiskupiego „New World“ w te się słowa odezwał do nowego „Apostoła“ irlandzkiego Hyde'a:

„Doktorze Hyde! W zakresie twojej własnej działalności **przypominasz nam tych irlandzkich misjonarzy** z dawnych wieków, którzy ewangelję poganom głosili...“ (tamże na stronicy 5).

Niezłe porównanie!

Teraz dopiero rozumiemy, co znaczą te ciągłe do nas nawoływania: „Zamerykanizujecie się najpierw, a wtedy zrobimy z pomiędzy was biskupów!“

Znaczą: „Szukajcie najpierw Irlandji, a reszta (mitry biskupie) przydaną wam będzie!“

A więc baczność, Polacy! Szukajcie najpierw Irlandji, a dostaniecie biskupów!...

Jedno atoli dobrze sobie spamiętajmy, mianowicie, co ksiądz Judge w tymże arcybiskupim organie pisze, że:

„Irlandczycy, straciwszy swój język, utracili swój sposób myślenia, swoje zwyczaje, swoje tradycje, a konsekwentnie **swoją rozumową siłę i subtelność myślenia“** (tamże).

Spamiętajmy sobie te słowa i nie porzucajmy swego ojczystego języka!

. . . .

Po ogłoszeniu powyższych 42 artykułów, z obozu **„episkopalnego“** pierwszy „Kurjer Ohioski“ uderzył w wielki dzwon na alarm, krzycząc: Ks. Kruszka stracił cierpliwość, z kornego suplikanta zmienił się w zuchwałego natręta i podburza lud do buntu!... Znana to taktyka faryzeuszów: „Podburza lud, począwszy od Galilei aż dotąd“. Nic łatwiejszego nad taki fałszywy alarm! Ale też nic złośliwszego! Taki bowiem fałszywy alarm wywołuje popłoch

i strach. A strach ma wielkie oczy, to znaczy, widzi bunt tam nawet, gdzie buntu wcale niema. Popłoch ten, wywołany przez fałszywy alarm „Kurjera Ohioskiego", w mgnieniu oka rozszerzył się nietylko w Ameryce, ale i w Rzymie i w Polsce, jak to poniżej zobaczymy. Nic dziwnego. Lada głupiec krzyknie na wielkiem zgromadzeniu: Gore! A wnet w tem wielkiem zgromadzeniu powstanie panika!...

Artykuł „Kurjera Ohioskiego", który to właśnie wywołał taki fałszywy alarm w zgromadzeniu wiernych, **przytoczę tu w całej rozciągłości** dosłownie z „Dziennika Poznańskiego" tak jak go sam nawet arcybiskup Symon z Rzymu przesłał do Polski i kazał go tam w „Dzienniku Poznańskim" w całej rozciągłości przedrukować. Z jakiego to powodu arcybiskup Symon uczynił, okaże się w dalszym ciągu. Artykuł więc „Kurjera Ohioskiego" brzmi jak następuje:

Kilka słów pod adresem ks. Kruszki.

„Gdy przed kilkunastu miesiącami powróciła z Rzymu polsko-amerykańska delegacja, wysłana tamże w sprawie polskiego biskupa w Ameryce, członek tejże, a właściwie jedyny przedstawiciel, (bo p. Mahany'ego jako nie Polaka w rachubę brać nie można) ks. Wacław Kruszka, w sprawozdaniu swem twierdził z całą stanowczością, że otrzymał zapewnienie z ust samego Ojca św., że pokorna prośba (suplices preces) Polaków w możliwie krótkim czasie zostanie przychylnie załatwioną. Był on tak pewnym swego, że oburzał się na wszelkie powątpiewania w tym względzie, zalecając cierpliwość i zdanie się na decyzję Stolicy Apostolskiej.

„Dziś stosunki się zmieniły. Ten sam korny suplikant, który do niedawna polegał na obietnicy Ojca św. i zalecał drugim cierpliwość, nietylko że sam ją utracił, ale z kornego suplikanta zmienił się w zuchwałego natręta, który za jakąbądź cenę usiłuje dopiąć swego celu.

„Od kilku tygodni ks. K. stale zabiera głos w „Kurjerze Polskim" z Milwaukee i pod nagłówkiem „Kronika kościelna" krytykuje nietylko czynności biskupów amerykańskich, wymyślając i znieważając ich, ale jawnie i otwarcie wzywa tak lud, jak i polskie duchowieństwo do wypowiedzenia posłuszeństwa władzy kościelnej. Ksiądz K. zapomina widocznie, zaślepiony patrjotyzmem i przesadzoną gorliwością o wiarę katolicką wśród amerykańskich

Polaków, że władza, jaką mają tutejsi biskupi, nadaną im została przez Stolicę Apostolską, wszystkie więc rozporządzenia i orzeczenia biskupów w rzeczach religji, już z tytułu władzy im nadanej, mają sankcję Rzymu, a więc każdy sprzeciwiający się tym rozporządzeniom, ipso facto sprzeciwia się Stolicy Apostolskiej. Nie mogą tu służyć za wymówkę żadne względy narodowościowe, bo gdyby te miały być brane w rachubę, to prędzej lub później Kościół Chrystusów przestałby być Kościołem powszechnym, tj. katolickim i rozpadłby się na kościoły narodowe, różne nietylko co do narodowości, ale i co do dogmatów wiary.

„Gdyby nawet, co jest możebnem, bo ludzie są ludźmi, czy to jednostki, czy pewna narodowość czuli się pokrzywdzonymi lub dotkniętymi w uczuciach patrjotycznych ze strony amerykańskich biskupów, to nie wolno dobremu katolikowi wymierzać sobie samemu sprawiedliwości i podnosić buntu przeciw biskupowi, względnie biskupom, lecz odnieść się ze swemi zażaleniami i pretensjami do tego, który ma władzę nad całym katolickim światem, a więc i nad biskupami.

„Staraliśmy się o biskupa polskiej narodowości dla której z diecezyj amerykańskich i w tym celu wysłaliśmy delgata do Rzymu, aby u stój tronu papieskiego przedłożył nasze prośby; trudno jednak było się spodziewać, iżby Ojciec św. bez zasięgnięcia o nas opinji u tutejszych biskupów tak na poczekaniu sprawę naszą załatwił. O dobrych zamiarach Ojca św. nie możemy powątpiewać; świadczy o tem wysłanie specjalnego delegata do Polonji amerykańskiej w osobie ks. arcybiskupa Symona. Że zdał on o nas przychylne sprawozdanie, to nie ulega wątpliwości, i sprawa polskiego biskupa dla Ameryki, zdawała się być na jak najlepszej drodze, gdyby nie „ale" w postaci ks. K., który z jemu tylko wiadomych przyczyn nagle z pokornego suplikanta przemienił się w krnąbrnego natręta i woła jak drugi Wolf „los von Rom!"; jeśli ten Rzym nie uwzględni naszych żądań, wypowiedzmy mu posłuszeństwo i w miejsce prawych biskupów uczyńmy sobie własnych narodowych cielców (jednego postawmy w Ripon. Przyp. zecera) na wzór niezadowolonych Izraelitów, oczekujących powrotu Mojżesza z góry Synai. Górą narodowy sztandar! górą nawet ponad sztandar Chrystusa!"

„W takim tonie przemawia ks. K., w „Kurjerze Polskim", ten sam ksiądz K., który tyle razy wyrażał swe oburzenie na apostazję

Hodura, Kozłowskiego i innych upadłych księży. A jakaż różnica pomiędzy nim a Hodurem? Ta jedynie, że ostatni już został uznany przez władze kościelne heretykiem, a pierwszy jest na najlepszej ku temu drodze.

„Gdyby tu chodziło tylko o samego ks. K., to byłoby jeszcze pół biedy. Zaślepienie jednostki, jakkolwiek smutne, w skutkach nie tak doniosłe, ale ks. K., głosząc podobne zasady, nietylko że szerzy zgorszenie wśród rodaków i moralnie wspiera kościoły niezależne, ale poniża nas w opinji episkopatu amerykańskiego i może to spowodować, że na przedstawienie tegoż, Stolica Apostolska nie uwzględni prośby naszej, jeśli jeden z naszych kapłanów hardo podnosi głowę i pogróżkami chce zmusić tych, którym winien posłuszeństwo, do ustępstw na korzyść naszej narodowości."

Oto oszczerczy artykuł „Kurjera Ohioskiego", jaki jedynie złość i chytrość iście faryzejska wymyślić mogła. Ten artykuł, ma się rozumieć, skwapliwie przedrukował „Dziennik Chicagoski", przez którego dostał się do rąk arcybiskupa Symona w Rzymie. A arcybiskup Symon nie miał nic pilniejszego, jak przesłać ten oszczerczy artykuł do „Dziennika Poznańskiego."

Dlaczego?

Bo na arcybiskupa Symona „jeden z proboszczów polskich w Stanach Zjednoczonych" posłał do „Dziennika Poznańskiego" jakąś korespondencję, którą „Dziennik Poznański" umieścił, i to **bezimiennie.** Więc arcybiskup Symon, **w odpowiedzi na tę anonimową** (bezimienną) **korespodencję przesłał ów oszczerczy artykuł „Kurjera Ohioskiego" do powtórzenia!** Na dowód tego przytaczam tu dosłownie list arcybiskupa Symona, umieszczony w „Dzienniku Poznańskim" tuż przed owym oszczerczym artykułem „Kurjera Ohioskiego". List ten arcybiskupa Symona, ogłoszony w „Dzienniku Poznańskim" z dnia 21 lutego 1906 brzmi tak:

„Rzym, 17 lutego.

(Sprawa ks. arcyb. Symona.)

„Odebrawszy w tej chwili numer „Dziennika Chicagoskiego", w którym przedrukowany został artykuł „Kurjera Ohioskiego" o działalności księdza Wacława Kruszki, proboszcza w Ripon, Wis., archidiecezji Milwauckiej, mam zaszczyt artykuł ten przesłać Szanownej Redakcji, jako malutki komentarz tak do ogłoszonej przez nią korespondencji „jednego z proboszczów polskich w Stanach

Zjednoczonych", jako też do mojej krótkiej odpowiedzi na tę korespondencję. — Nie chcę wszelakoż powiedzieć przez to, że uważam ks. Kruszkę za autora owej korespondencji, owszem jestem prawie przekonany, że wyszła ona z obozu tak zwanych „Niezależnych", którzy chętnie korzystają z każdej sposobności, by poczciwy lud nasz bałamucić i powoli usposabiać do schizmy. Ile to ja stokroć jeszcze piękniejszych anonimów odbierałem od tych panów w czasie mojej bytności w Ameryce! Lżyli mię od ostatnich słów, a jeden życzył, abym wracając do Europy, utonął w Atlantyku!

Zostaję ze szczerym szacunkiem

Ks. Fr. A. Symon, Abp."

Na ten list, podejrzliwemu arcybiskupowi Symonowi sam „Dziennik Poznański" zaraz taką wydrukował ciętą odprawę:

„Artykuł „Dziennika" nie pochodzi od ks. Kruszki, którego wcale nie znamy." Ani też „bynajmniej nie pochodzi z kół niezależnych; z tych kół świadomie nie przyjmowalibyśmy informacyj."

Ową korespondencję na arcybiskupa Symona, jak się potem dowiedziałem, do „Dziennika Poznańskiego" miał pisać ks. prałat Paukszto. Tymczasem arcybiskup Symon **w odpowiedzi** na ową korespondencję kazał umieścić **oszczerczy artykuł na mnie.** To też dostawszy ów „Dziennik Poznański" do rąk, zaraz siadłem i napisałem arcybiskupowi Symonowi taki list:

Ripon, Wis., 6 marca 1906.

J. Exc. Abp. A. Symon,

Rzym.

Excelencjo!

Że Excelencja taki **oszczerczy** artykuł „Kurjera Ohioskiego" tak skwapliwie przesłał „Dziennikowi Poznańskiemu" do powtórzenia daje mi wiele do myślenia. Tłumaczę sobie ten postępek Waszej Excelencji tem, że nie dla oczernienia mnie, lecz dla obrony własnej Exc. to powtórzyć kazał. Ale i wtedy — czy godziło się?

Lecz niema złego, coby na dobre nie wyszło.

Wszelako, przyjmując chętnie ten publiczny policzek, jaki mi Excelencja wycięła, nie poprzestanę wyciągać żebraczej ręki i wołać błagalnie:

— Ten policzek, to dla mnie! Ale co dla Polonji amerykańskiej?

Właśnie po odjeździe Waszej Excelencji, biskupi amerykańscy — jakby na urągowisko, jakby nam chcieli pokazać co za rezultat misji Waszej Exc. — zaprowadzają w polskich szkołach język angielski jako wykładowy przy nauce nawet religji. Nietylko w Chicago... I my takim rozporządzeniom, urągającym wszelkiemu prawu przyrodzonemu i nadprzyrodzonemu, mamy się poddać?

Nigdy, póki żyjemy!

Klika Ojców chicagoskich przez swój organ „Dziennik Chicagoski" (basy) i „Kurjer Ohioski" (skrzypce) wprawdzie już się poddała — ale nie ogół polski w Stanach Zj. — Zgnilizna odpada.

Nie my biskupów, ale biskupi nas zaczepili. Chcieli wojnę — mają ją...

Że biskupom jest nie na rękę ta wielojęzyczność, to rzecz zrozumiała. Ale dlaczego koniecznie się upierają przy **mieszanych** diecezjach, dlaczego nie pozwolą na utworzenie diecezyj narodowych tak jak pozwolili na parafje narodowe — to rzecz nie do pojęcia. Czy chcą wieżę Babel stawiać? Nie uda się...

Całując rączki Waszej Excelencji, pozostaję z najgłębszym szacunkiem

sługa w Chr.

X. Wacław Kruszka.

Na ten list arcybiskup Symon odpowiedział mi, tłumacząc się w rozmaity sposób, jak to później opiszę. Wszelako **przeciw narodowym diecezjom ani słówkiem się nie oświadczył.**

114. Ciąg dalszy artykułów, za które „Kurjer Ohioski" nazwał mnie krnąbrnym i zuchwałym natrętem.

Człowiek nie powinien być ani pesymistą, widzącym wszystko czarno, ani optymistą, widzącym wszystko różowo; ale powinien zdrowo patrzyć i widzieć rzeczy tak jak się przedstawiają w prawdziwem świetle. W sprawie biskupów polskich w Ameryce, kto jest pesymistą? Jest to ten, który myśli, że ta sprawa nigdy nie może być załatwioną zadawalająco ani dla Polaków, ani dla biskupów amerykańskich. A kto jest optymistą? Jest to ten, który wierzy, że ta sprawa może być załatwioną zadawalniająco tak dla Polaków jak i dla biskupów merykańskich. Człowiek zaś zdrowo patrzący na rzeczy widzi jasno, że ta sprawa może i będzie zała-

twioną zadawalniająco dla nas Polaków, ale równocześnie niezadowalniająco dla biskupów amerykańskich. Bo już sam Pius X wyraźnie powiedział: Oppositio **est** ex parte americanorum episcoporum — opozycja **jest** ze strony biskupów amerykańskich.

Z dnia 20 stycznia 1906.

43. **Don Kiszot w Cleveland.**

Średniowieczny Don Kiszot walczył z wiatrakami. Każdy śmiał się z niego. A jednak ów Don Kiszot walczył przynajmniej z rzeczywistymi wiatrakami, podczas gdy nowoczesny Don Kiszot „Kurjer Ohioski“ walczy z urojonymi, machając szablą w powietrzu. Ano, i tacy ludzie potrzebni są do zabawienia publiczności. Irlandczycy takich nazywają „heresy hunters“, którzy polują na herezje, ale zamiast dzikich zwierząt, domowe ptactwo ubijają. „Kurjer Ohioski“ powinien w swoim lesie clevelandzkim polować na takich dzików jak Kołaszewski itp. Takiej dziczyzny we Wisconsinie niema; to też ośmiesza się, gdy się do naszych dobrze zagospodarowanych stron na polowanie wybiera.

44. **Biskupi katoliccy składają hołd protestantowi Hydemu.**

Z **przesadnego** patrjotyzmu irlandzkich biskupów w Ameryce, kto chce niech się gorszy, ale z **umiarkowanego** i rozsądnego patrjotyzmu każdy Polak nie gorszyć, ale budować się powinien. Objawy irlandzkiego patrjotyzmu ze strony biskupów irlandzkich były dla wszystkich Polaków zawsze nader budujące, gdyby nie ta okoliczność, że ci sami biskupi, którzy cieszą się z objawów irlandzkiego patrjotyzmu, gorszą się, ilekroć Polacy swój patrjotyzm objawiają. A przecie Polacy nigdy jeszcze w tak przesadny sposób swego patrjotyzmu nie objawiali, jak właśnie Irlandczycy. U Polaków, na ogół biorąc, największy patrjota nic nie znaczy, jeżeli nie jest katolikiem zarazem. W pojęciu zaś Irlandczyków, i to biskupów, patrjotyzm nic niema wspólnego z wiarą.

Dnia 7 stycznia 1906 w Chicago na mityngu patrjotycznym, któremu przewodniczyć miał zaszczyt sam arcybiskup Quigley, irlandzki patrjota protestant Dr. Hyde, robiąc nie bardzo budującą aluzję do słów Pisma św., wygłosił **irlandzkie wyznanie wiary** temi słowy: „Seek first to be Gaels, and all those things will be added unto you“ (zobacz „New World“). I tej ewangelji irlandzkiej przyklaskiwał katolicki arcybiskup Quigley i kler irlandzki z Chicago!... Wyobraźmy sobie, że na polskim obchodzie patrjotycznym jakiś

zagorzały patrjota, a do tego protestant, naśladowałby w ten sposób tekst Pisma św.: „Szukajcie **najpierw** Królestwa **Polskiego,** a reszta przydaną wam będzie!“...

Ma słuszność dr. Hyde, kiedy twierdzi, że Irlandczycy, utraciwszy swój język „zwyrodnieli umysłowo i religijnie.“

„Slainte na Geadheal“ — jest pozdrowieniem irlandzkiem i znaczy dosłownie: „Na zdrowie Irlandczykom!“ Przytaczamy ten frazes, aby zaznajomić czytelników polskich z irlandczyzną; bo niezadługo każą tu Polakom uczyć się katechizmu po irlandzku. Tem pozdrowieniem otworzył Dr. Hyde swój mityng w Pittsburgu, Pa. Przewodniczącym tego mityngu — jak w Chicago arcybiskup Quigley — tak w Pittsburgu był znowu, rzecz prosta, miejscowy biskup katolicki Canevin.

„Jeżeli są jakie różnice religijne między synami Irlandji — pisze „The Pittsburgh Gazette“ z 7 stycznia 1906 — to na tym mityngu zapomniano o nich. Każdy był za Irlandją i za ojczystym językiem Irlandji. Do łez byli rozczuleni i biskup i wszyscy obecni, gdy Miss Margaret Walsh śpiewała irlandzką pieśń „Gaelic Mairin“, słodką melodję, którą sam dr. Hyde skomponował.

— To było prześlicznie śpiewane, panno Walsh — odezwał się biskup Canevin do młodej śpewaczki, gdy ją spotkał u brzegu sceny teatralnej.

— Och! dzięki, biskupie — odpowiedziała młoda panna, a na jej lica wystąpiły rumieńce.

— Tak; a dr. Hyde jest dumnym z tego śpiewu — ciągnął dalej biskup, trzymając rękę młodej panny — ponieważ to jest jego pieśń.

Katolickiego biskupa Canevin'a — tak opisuje dalej „The Pittsburgh Gazette“ — przedstawił publiczności protestancki pastor dr. E. R. Donehoo, Irlandczyk, rektor Ósmego Presbiterjańskiego Kościoła, do którego i dr. Hyde należy. Kilka minut potem zabrzmiał głos wymowny biskupa Canevina, biskupa katolickiej diecezji Pittsburskiej:

„Zdaje mi się — wołał biskup, wskazując na dr. Hyde — że **nie możemy mieć zadania przyjemniejszego, wznioślejszego i szlachetniejszego nad wskrzeszenie języka irlandzkiego, języka naszych praojców.** Jest to zadanie bardziej patrjotyczne, niż masowe emigrowanie do Ameryki; przyjemniejsze i rozumniejsze niż bawienie się w irlandzką politykę i ekonomję. Wskrzeszenie języka Irlandji znaczy wskrzeszenie jej przeszłości, jej literatury, jej mu-

zyki, jej ducha wojowniczego. Dr. Hyde przychodzi do nas z tym wzniosłym hasłem: Irlandzki język dla Irlandji i dla Irlandczyków!"

Temi słowami katolicki biskup Canevin w Pittsburgu wprowadził na estradę swego rodaka, acz protestanta, Doktora Hyde'go. Przytaczamy to, nie ku zgorszeniu, lecz ku zbudowaniu czytelników polskich, byśmy nasz polski język, mowę naszych praojców, zawsze wysoko sobie cenili i za największy skarb uważali: byśmy tu jako Polacy, nietylko w polityce, ale i w hierarchji kościelnej o coraz większe wpływy się starali; byśmy, za przykładem irlandzkich biskupów katolickich, w sprawach narodowych nie zważali na różnice religijne naszych rodaków, ale szli ręka w rękę z każdym prawym Polakiem bez względu na jego wyznanie religijne.

45. **Precz z bigotami!**

Nie chciejmy być bardziej katolickimi od naszych biskupów w Ameryce. Precz z bigotami, którzy krzyczą, że kto niekatolik, to nie Polak. Bo i w szeregach katolików mamy tu w Ameryce złych Polaków, którzy spraw polskich nie popierają. W obozie nietylko protestanckim i niezależnym, ale właśnie w obozie katolickim nie brak tu w Ameryce sprzedawczyków i zdrajców sprawy polskiej, którzy, jak Judasz za srebrniki, albo Ezaw za miskę soczewicy, za tłuste probostwo, gotowi są zrzec się ideałów narodowych, zaprzedać sprawę polską biskupowi irlandzkiemu lub niemieckiemu.

46. **Szukajmy Polski.**

Dosyć długo Irlandczycy bogacili Irlandję groszem amerykańsko-polskim. Bo że bogacili, to fakt, do którego sami się przyznają. „Stoki wzgórz w Irlandji" — tak czytamy w broszurce p. t. „Church Extension by Rev. Fr. C. Kelley" (na str. 14) — „pokryte są kościołami zbudowanymi lub wspomaganymi złotem amerykańsko-katolickiem (a zatem i polskiem). Nietylko małe parafje prosiły i otrzymały, ale i wielkie katedry w Irlandji stały się żebrakami Ameryki!" (stronica 14) to jest, żebrały i użebrały swój blask i swoje bogactwo od biskupów — amerykańskich.

Dosyć tego. Dosyć bogaciliśmy inne narodowości. Czas już, czas wielki, byśmy bogacili naszą własną narodowość!... Ewangelję: Szukajcie najpierw Irlandji — zostawmy Irlandczykom. A my Polacy szukajmy — Polski!

115. Jak Niemcy w Ameryce zapatrują się na amerykanizację. — Wskrzeszenie umarłego języka irlandzkiego w Ameryce.

Z dnia 25 stycznia 1906.

47. Trzy zapatrywania na anglizację.

Widzieliśmy, jak irlandzka narodowość myśli o sobie. Teraz rzut oka na niemiecką narodowość, co ona tu w Ameryce myśli o sobie i o Kościele, w którego skład wchodzi.

Co do anglizacji, czyli jak ją tu niewłaściwie nazywa się „amerykanizacją" istnieją trzy zapatrywania — tak pisze pewien niemiecki ksiądz w „Katholischer Sonntagsblatt":

Pierwsze zapatrywanie jest tych, którzy chcą obcych przybyszów o ile można jak najprędzej zanglizować („zamerykanizować"), to jest, wydrzeć im ich rodzinny język a natomiast angielski im do ust wsadzić. **Drugie** zapatrywanie jest tych, którzy gwałtownego anglizowania nie popierają, lecz zostawiają to naturalnemu biegowi czasu; od nowych przybyszów żądają tylko, by uczciwymi i prawymi obywatelami byli. **Trzecie** zapatrywanie jest tych, którzy anglizowaniu chcą we wszelki możliwy sposób tamę położyć, ponieważ anglizowanie immigrantów wpływa szkodliwie na ich religię i obyczaje.

Jakimi racjami uzasadnia się te trzy zapatrywania?

Pierwsze zapatrywanie — pisze „Sonntagsblatt" — **nie ma prawie żadnych racji za sobą.** Mówią, że jeżeli się nowoprzybyłych katolików do tego nie przyzwyczai, by swej religii uczyli się praktykować w angielskim języku, to jej praktykę całkiem zaniechają, skoro tylko zmienią miejsce pobytu i w granicach angielskiej (irlandzkiej) parafji się osiedlą. Na to trzeba odpowiedzieć, że takie niebezpieczeństwo nie jest wielkiem. Dzieci, choć w swoim ojczystym języku są kształcone, nauczą się tu tyle po angielsku, żeby i spowiadać się i kazania po angielsku zrozumieć mogły, jeśli tylko dobrą wolę mają. Raptowne anglizowanie pociąga za sobą większe niebezpieczeństwo dla religii niż trzymanie się przy swoim ojczystym języku.

Jako dalszy powód do raptownego zanglizowania przytacza się to, że prędkie zanglizowanie się obcego przybysza zjedna mu przychylność, życzliwość i zaufanie Anglo-Amerykanów. Na to odpowiedzieć należy — pisze „Sonntagsblatt" — że Anglo-Amerykanie na każdego katolika z niedowierzaniem spoglądają, jakimkolwiekby językiem on mówił. Po angielsku mówiący katolicy są mu

tak samo znienawidzeni, jak ci co po niemiecku lub po polsku mówią. Rząd zaś amerykański nie dba o religję swoich obywateli, lecz tylko o to, aby spokój miłowali i prawa słuchali.

Drugie zapatrywanie — żeby anglizowanie pozostawić czasowi — niema także żadnej poważnej racji za sobą. Zapatrywanie to byłoby racjonalne tylko w tym wypadku, gdyby przejście z jednego języka do drugiego nie wywierało żadnego znacznego wpływu na religię i obyczaje. Ponieważ jednak religja z językiem ojczystym pozostaje w bardzo ścisłym związku, przeto wydarcie człowiekowi jego ojczystego języka jest bardzo szkodliwym dla religji; mądrze więc postępuje ten, kto takiemu wydzieraniu ojczystego języka (wynaradawianiu) we wszelki możliwy sposób stara się przeszkodzić.

Trzecie tylko zapatrywanie — żeby anglizowaniu zapobiegać jak długo i o ile tylko można — **opiera się na ważnych powodach.** Jest to dziś rzeczą powszechnie uznaną, że dla zachowania religji potrzebne są **narodowe parafje i szkoły,** w których religji się uczy w narodowym języku. Doświadczenie udowodniło, że religja na tem cierpi, jeżeli niema narodowych kapłanów i nauczycieli, którzyby mówili językiem ludu. Niegdyś, kiedy jeszcze manji anglizacyjnej nie było, nawet irlandzcy księża starali się o utrzymanie swego irlandzkiego narzecza ludowego, żargonu zwanego „the Irish brogue", ażeby tym sposobem podtrzymać religję katolicką u Irlandczyków, gdyż religja katolicka u nich była ściśle z tem narzeczem połączona. W ostatnim czasie — dodaje tu St. Paul'ski „Wanderer" — w kołach irlandzkich robi się jak największe starania, żeby język irlandzki znowu do życia powołać z tych samych powodów, które nas niemieckich katolików skłaniają do zachowania i popierania niemieckiego języka.

„Amerykanizowanie" Irlandczyków — pisze dalej „Sonntagsblatt" — działało bardzo szkodliwie na ich religję i nie było podówczas jeszcze chętnie widziane przez irlandzkich księży.

Dzisiaj inaczej.

Dzisiaj irlandzcy księża popierają „amerykanizowanie" wszystkich obcych przybyszów.

Ale czemu?

Otóż w tej nadziei, że ich w ten sposób do swojej owczarni przyciągną, a przeszkodzą organizowaniu niemieckich, polskich itd. parafij. Jakkolwiek język angielski sam w sobie nie jest bar-

dziej wrogim dla religji od innych języków, to jednakże ta okoliczność, że angielska literatura i prasa codzienna, opinja publiczna i handel tym językiem się posługują, czyni go niebezpieczną atmosferą dla religji katolickiej. Albowiem ta atmosfera jest **protestancką** (względnie bezwyznaniową, a w każdym razie antykatolicką). Gdyby atmosfera języka (angielskiego) była katolicką, jak np. we Włoszech i Hiszpanji, to „amerykanizowanie" (anglizowanie) byłoby daleko mniej niebezpiecznem dla religji. W owych krajach można wprawdzie mówić o włoskim lub hiszpańskim Kościele, ponieważ owe narody są jednolite, ale tego nie można mówić o Ameryce. Tutaj nie istnieje żaden **amerykański Kościół,** ponieważ jeszcze nie istnieje żaden amerykański naród, tylko są rozmaite narodowości, węzłem konstytucji luźnie ze sobą powiązane: istnieje wszakże **katolicki Kościół w Ameryce,** który z wielu narodowości się składa. Ani Kościół katolicki, ani konstytucja kraju nie dążą do tego, żeby te rozmaite narodowości gwałtem przetopić w jedną, lecz pozostawiają im najzupełniejszą swobodę. Rzym kilkakrotnie wyraził to życzenie, żeby te rozmaite narodowości miały **swoich własnych pasterzy,** którzyby w języku ojczystym do swojej trzody się odzywali.

A tylko masoni i bezbożna prasa dążą do tego, żeby immigrantów zanglizować jak najprędzej za pomocą szkół publicznych. Ci zaś katolicy, którzy do tego samego celu dążą, pracują ręka w rękę z masonami i protestantami.

Tak pisze „Katholischer Sonntagsblatt", a za nim powtarza to samo katolicki „Wanderer" z St. Paul (z 11 stycznia 1906), inne zaś gazety niemiecko-katolickie, jak „Columbia", „Excelsior" itd., są tego samego zdania. Słowem, cała prasa niemiecko-katolicka w Ameryce podziela zapatrywania powyższe.

I my, jeśli dotychczas przeciw anglizatorskim zapędom biskupów występowaliśmy, to nie z innej racji, jak właśnie z tej, że — jak się wyraża „Sonntagsblatt" — „ci katolicy pracują ręka w rękę z masonami i protestantami" tego kraju. Ani masoni, ani protestanci, ani bezbożna prasa, ani publiczne szkoły nie szkodzą tyle religji katolickiej, ile ci właśnie biskupi, co każą polskie dzieci uczyć katechizmu po angielsku, a nie po polsku, co nas gwałtem chcą zanglizować.

Że Rzym — jak pisze „Sonntagsblatt" — „kilkakrotnie wyraził to życzenie, żeby te rozmaite narodowości miały **swoich włas-**

nych pasterzy", to nie tylko dotyczy pasterzy-księży (bo tym to miano „pasterza" w całej pełni nie przysługuje), ale i pasterzy-biskupów, którzy jedynie w Kościele Chrystusowym **pasterzami** w całem słowa tego znaczeniu zwani być mogą. Że Rzym wyraził to życzenie, żeby np. polska narodowość miała tu w Ameryce swoich własnych biskupów, to słyszeliśmy na własne uszy w Rzymie i od papieża i od kardynałów i od całej Kurji Rzymskiej. Lecz kto się temu sprzeciwia?... Czy więc ci biskupi, którzy nas chcą zanglizować, pracują ręka w rękę z papieżem i Stolicą św.? czy przeciwnie „pracują ręka w rękę z masonami i protestantami" tego kraju?...

Stróżami Kościoła i jego interesów są wprawdzie biskupi. A my prości kapłani jesteśmy — według dosadnego wyrażenia Pisma św. — tylko ich „psami". Ale to samo Pismo św. (u Izajasza 56, 10) napomina nas księży, byśmy broń Boże nie byli „psami niemymi, nie umiejącymi szczekać" (tamże). Zwłaszcza, kiedy stróże śpią i nie widzą grożącego niebezpieczeństwa, albo **kiedy tych stróżów wcale niema, psy muszą szczekać**; a które nie szczekają, lecz śpią, do niczego są. Niech raz przecie ustanowią **stróżów** i dla katolików polskiej narodowości, bo tych dotychczas nie mamy. A wtedy i tyle szczekania nie będzie!

Z dnia 27 stycznia 1906.

48. **Biorą się na serjo do nauki języka irlandzkiego.**

Zazwyczaj wizyty delegatów ze starego kraju do Ameryki nie przynoszą pożądanych owoców. Wizyta atoli irlandzkiego patrjoty protestanta dr. Douglas Hyde'a, pomyślnym uwieńczona została skutkiem. Dr. Hyde nietylko sporo grosza weźmie ze sobą do Irlandji, ale także dla Irlandczyków tu w Ameryce coś uczyni i miłą pamiątkę po sobie zostawi. Organizuje mianowicie „Irlandzką Ligę w Ameryce" (Gaelic League in America), mającą być odnogą Ligi w Irlandji.

„Celem Ligi — pisze „Catholic Citizen" — będzie posyłanie rocznego podatku Lidze w Irlandji i popieranie spraw irlandzkich i podtrzymywanie narodowego ducha irlandzkiego w Ameryce w ludzie irlandzkiego urodzenia i pochodzenia; dalej **zaznajamianie tutejszych Irlandczyków z irlandzkim językiem**, historją, sztuką, literaturą, zwyczajami, muzyką, tańcami, grami, zabawami, przemysłem i życiem Irlandji. Patrjotyczna ta Liga irlandzka w Ameryce ma mieć cechę bezwyznaniową tak jak w Irlandji"...

Tak donosi „Catholic Citizen.“ Chicago ma być ogniskiem tej Ligi: dr. Hyde zostawił tam swego sekretarza O'Concannon, który też już energicznie zabrał się w Chicago do dzieła zorganizowania Ligi. Oprócz Chicago Liga ma mieć w Nowym Yorku, w Bostonie i San Francisko swoje główne kwatery, z których rozgałęziać się ma do innych miast Ameryki.

Gdyby Irlandczycy tak nienawidzili język angielski, jak nienawidzą Anglików, to w krótkim czasie język irlandzki stałby się panującym w Ameryce. I gdyby tylko swoim językiem mówić umieli, porzuciliby angielski natychmiast. Ale nieszczęście chciało, że swego języka zapomnieli: i **angielski** jest dziś u nich **jedynym środkiem porozumienia** się z ludźmi tego świata. Gdyby jeszcze i tego Irlandczyk zapomniał, albo go porzucił, albo jakimś nadzwyczajnym przypadkiem pewnej nocy został pozbawiony mowy angielskiej: to nad ranem obudziwszy się, musiałby chyba — szczekać, albo na migi rozmawiać. Na wszelki taki wypadek dobrze robią Irlandczycy, że oprócz angielskiego uczą się teraz i swojego ojczystego irlandzkiego języka. Szczęść im Boże w tem szlachetnem przedsięwzięciu!

116. Dalszy ciąg artykułów, które węgle ogniste zgromadziły na głowy episkopalnych. — Polacy wysługują się chciwym zaszczytów obconarodowcom.

49. **Dali mu jedno z frontowych krzeseł.**

Komu i gdzie?

Milwaucki „Catholic Citizen“ z 20 stycznia 1906 umieszcza na pierwszej stronicy artykuł pod takim sensacyjnym tytułem: „Cardinal Gibbons Had a Front Seat“ — „Kardynał Gibbons zajmował frontowe miejsce!“

I to tłustymi czcionkami.

Czytelnik, takim tytułem zaciekawiony, czyta chciwie i prawie każde słowo połyka, chcąc się dowiedzieć, gdzie to kardynała taki zaszczyt spotkał, że mu przednie krzesło dano, czy na Soborze, czy podczas Konklawe w Rzymie, czy na konferencji arcybiskupów... Atoli ciekawość czytelnika dosięga punktu kulminacyjnego w chwili, gdy czyta, że to — w **protestanckim kościele** (the Eutaw Street Methodist Church) w Baltimore **pastorzy** podczas mityngu **raczyli dać księciu Kościoła katolickiego,** J. E. kardynałowi

Gibbons, nie już pierwsze miejsce, lecz **jedno z frontowych siedzeń** w pierwszym rzędzie krzeseł!!

Oto zaszczyt, jaki irlandzkiego księcia Kościoła ze strony protestantów spotkał i o jakim ajryski „Catholic Citizen" z dumą się rozpisuje.

Protestanci, odczuwając instynktownie tę niewłaściwość, mianowicie, że kardynał w kościele protestanckim jest nie na swojem miejscu, nie spodziewali się przybycia kardynała, pomimo że już był im obiecał; i dlatego powtórnie go zapytali, czy zechce przybyć, zaznaczając mu wyraźnie tę okoliczność, że mityng odbędzie się w **protestanckim kościele.** Lecz kardynał Gibbons — jak pisze „Catholic Citizen" — na to im odpowiedział piśmiennie: The holding of a civic meeting in a Protestant church does not excite any religions scruple in me", i oznajmił im, że przybędzie.

I przybył — sam, bez kapelana ni towarzysza. Protestanci byli na tyle grzeczni, że księcia znienawidzonego przez siebie Kościoła posadzili, nie w tylnym rzędzie krzeseł, lecz dali mu — jedno z frontowych siedzeń. To ogromnie ucieszyło Irlandczyków, tak, że „Catholic Citizen" wielkimi literami to zaznaczył, iż „Cardinal Gibbons Had a Front Seat". Jest się z czego cieszyć!

50. **Zajęliście stolice biskupie, to weźcie sobie i parafje.**

Po wojnie amerykańsko-hiszpańskiej, na Filipiny w miejsce hiszpańskich biskupów przyszli — irlandzcy. Fakt ten swego czasu oburzył hiszpańskie duchowieństwo w Stanach Zjednoczonych. Hiszpańscy księża tutejsi, będący obywatelami amerykańskimi (już tu urodzonymi), a znający oprócz angielskiego także hiszpański język, tak niezbędnie potrzebny na Filipinach, nie bez racji rościli sobie pewne pretensje do objęcia biskupów i parafij na Filipinach. Wracając z Rzymu, na okręcie spotkałem pewnego hiszpańskiego księdza z Kalifornji, który naumyślnie w tym celu był w Rzymie u kardynała sekretarza stanu Merry del Val, żeby wyższym władzom kościelnym zwrócić uwagę na to, że Irlandczycy, nie mówiący innym jak tylko angielskim językiem, są całkiem nieodpowiedni na Filipiny. I tym jego wywodom Rzym przyznał słuszność, ale — dodał ów hiszpański ksiądz — wobec zwartej tylu irlandzkich biskupów potęgi **Rzym czuje się bezsilnym.** Nec Hercules contra plures — ani papież nic nie może przeciwko 100 biskupom. Z tego głośno się chełpią ajrysze, pisząc w swoich gazetach: Rome can recommend, but not command!

Rzecz naturalna, biskupstwa na Filipinach objęli nie inni, tylko Irlandczycy ze Stanów Zjednoczonych. Wiedzieli oni, że zrozumiałym do Filipinów językiem przemówić nie umieją. To im jednak żadnego szkrupułu nie robiło. Nad wszystkimi innymi względami przeważał ten, że chcieli być biskupami — gdzieby oni nie chcieli nimi być? Przeważył oraz ten wzgląd, że — jak słyszeli — Kościół na Filipinach jest bogato uposażony. Że Filipińczycy ich kazań nie zrozumieją — to mała rzecz. Zresztą, od czego są mnisi hiszpańscy na Filipinach? Oni kazania Filipińczykom prawić będą, a my na stolicach biskupich zasiadać i rozpierać się będziemy.

Takie były ich myśli. Lecz człowiek myśli, a Pan Bóg kreśli.

Przybywszy na Filipiny, ani owych hiszpańskich mnichów nie zastali ani owych miljonów dolarów, o jakich marzyli, bo i te mnisi hiszpańscy, wynosząc się z Filipin, ze sobą zabrali. Więc teraz płacz i lament w tutejszej prasie irlandzkiej, i ciągłe wymyślania na hiszpańskich mnichów. Teraz Irlandczycy zanoszą skargi do Rzymu, wołając:

— Papieżu, każ tym mnichom powrócić do Filipin i kazania prawić, bo my języka Filipińczyków nie znamy! I każ tym mnichom zwrócić nam owe zabrane miljony, bo my tu od Filipińczyków nic nie dostajemy i już z głodu przymieramy!

Tak wyraźnie pisze „Catholic Citizen" pod tytułem:

„Rome can furnish the remedy" — „Rzym może zaradzić niedostatkowi i księży i pieniędzy na Filipinach! Gdzieś między Manilą a Madrytem, lecz poza Wyspami Filipińskimi, znajduje się 500 mnichów, którzy rozumieją narzecza ludu filipińskiego. Gdzieś znajduje się także fundusz 7,000,000 dolarów, uzyskany ze sprzedaży kościelnych gruntów na Filipinach. **I Rzym wie, gdzie te pieniądze są.** Otóż prostem rozwiązaniem trudności jest to: **Niech Rzym rozkaże owym 500 mnichom powrócić** na posady, naznaczone im przez filipińskich (rozumiej irlandzkich) biskupów, i niech rozkaże im wypisać przekaz bankowy na 7,000,000 dolarów dla biskupów (irlandzkich) na Filipinach. To jest prosty, łatwy i skuteczny sposób." Tak powiada „Catholic Citizen" i zarazem śmie dalej tak pisać:

„A tymczasem odpowiedzialność za to, co się na Filipinach dzieje, nie spoczywa na amerykańskich (irlandzkich) katolikach, lecz na wyższej władzy kościelnej" — to znaczy, że Rzym jest od-

powiedzialny za to, jeśli hiszpańscy mnisi pod irlandzkich biskupów na Filipiny nie wrócą i owych miljonów nie zwrócą.

Tak pisze „Catholic Citizen".

Ale Rzym ani jednego ani drugiego nie rozkazuje i pewnie — nie rozkaże. Rome can not command, but can only recommend, tak sami przecie ajrysze głoszą.

Mnichom hiszpańskim ani się śni wracać na Filipiny pod juryzdykcję obcych biskupów irlandzkich, żeby im się wysługiwać.

— Zabraliście stolice biskupie, weźcie sobie i parafje — mówią.

51. **Polacy wysługują się obconarodowcom.**

To tylko polscy księża tacy głupi — mówił mi ów hiszpański ksiądz — że wysługują się obconarodowym biskupom, jak gdyby nowonawróconymi byli. Gdyby nas księży hiszpańskich w Stanach Zjednoczonych była choć jedna piąta część, co księży polskich, to już dawno **albo** byśmy mieli biskupów swojej hiszpańskiej narodowości, **albo** byśmy generalny strajk urządzili tak jak na Filipinach. Ale **biskupom obcej narodowości za nic w świecie byśmy się nie wysługiwali** tak jak wy, Polacy, bo to w najwyższym stopniu ubliża godności narodowej, ludzkiej i chrześcijańskej. Że naród świeżo z pogaństwa nawrócony pozostaje jeszcze pod obcymi biskupami, to rozumiem. Ale **żeby naród od wieków chrześcijański miał być pod jarzmem obconarodowych biskupów** — my Hiszpanie tego nie pojmujemy, a czy wy Polacy taką hańbę znieść potraficie? Wątpię, znając was z historji! Chyba, że wy Polacy w Ameryce odrodziliście się od przodków waszych w Europie i straciliście już docna wszelkie poczucie dumy narodowej.

Tak mówił do mnie ów hiszpański kapłan z Kalifornji i aż iskry mu z oczu się sypały.

— Bo i cóż wam za korzyść z obconarodowych biskupów? — ciągnął po chwili dalej — czy przemówią do ludu polskiego? Tak, ale nie do ich serca ni do rozumu! A przecie głównem **biskupa zadaniem jest,** jak św. Paweł powiada, non baptisare sed evangelizare (I. Kor. I, 17), nie chrzcić lub bierzmować tylko, ale **Ewangelję przepowiadać!** Czy naznaczą księdza odpowiedniego do parafji? nawet tego nie potrafią, nie znając narodowego charakteru ni ludu ni księży: i stąd te ciągłe zgorszenia, malwersacje finansowe i zaburzenia parafjalne! Bierzmować, kamienie węgielne poświęcać — to potrafią. Ale to też wszystko!...

117. Przebieg starań o biskupa polskiego w Ameryce podobnym jest do przebiegu starań o proboszcza polskiego. — Odszczepieństwo to straszak na wróble.

Episkopalnemu „Kurjerowi Ohioskiemu" świetną odprawę dał w „Kurjerze Polskim" pewien „Jan" z Toledo, O., 26 stycznia 1906:

„Gromy potępienia obrócone są na Ks. Wacława Kruszkę i to w takim arcykatolickim „Kurjerze Ohioskim", noszącym aprobatę biskupa Horstmana, Niemca. I za co? Czy za to, że ks. Kruszka poznał co nam grozi i wytęża wszelkie siły, by złemu zaradzić... Przez wiele lat oślepiano nas prostaczków, zatykano nam usta i kazano tylko płacić i płacić. Obarczano nas długami, ściągano niezliczone procenta i po prostu odejmowano nam od ust, by tylko biskupowi i wyższej władzy kościelnej pokazać naszą ofiarność i przedstawić, o ile łatwiej nas, aniżeli inną narodowość, pociągnąć można do podobnego poświęcenia. Za to wszystko, co nam udzielono? Czy traktowano lub dzisiaj traktuje się Polaków na równi z inną narodowością?... Doświadczenie powiada nam, że nie; ale na nieszczęście zamiast dopominać się o swoje prawa, zamiast starać się i pukać, aż otworzą nam drzwi, to młodsze pokolenie, zniechęcone w dodatku postępowaniem niektórych księży, zadowolonych z obecnego stanu rzeczy, najpierw przestaje się interesować sprawami w danej parafji, potem usuwa się od kościoła, a wkońcu zupełnie wynaradawia się. Ażeby temu właśnie zapobiec, ks. Kruszka pracuje, poświęca się i nawołuje do wspólnych wysiłków. Słowa jego nikogo nie zgorszą, nikogo nie zniechęcą i nie odwiodą od wiary swych ojców. Raczej są one dla nas nauką, wzbudzają w nas nadzieję, wskazują drogę prawdziwą i dodają nam otuchy, aby wytrwać i nie poprzestać w żądaniach, dopóki nas nie wysłuchają i przyznają to, co się słusznie nam należy. Prędzej zgorszy nas postępowanie takiego ks. Gnielińskiego w St. Louis, który okradł swoją parafję na dziesiątki tysięcy dolarów i uciekł do Europy z jakąś dziewczyną: zgorszy tem bardziej, że biskup wiedział o zamiarach tego księdza a nie usunął go zanim mógł zbrodnię popełnić. Prędzej osłabi naszą wiarę głośny skandal wynikły z postępowania ks. Rosińskiego w Cleveland..."

W ten i podobny sposób moje powyższe artykuły broniono przed atakami „episkopalnych". Ja zaś w dalszym ciągu takie ogłaszałem artykuły:

Z dnia 1 lutego 1906.

52. **Odpoczywają po podróży.**

Arcybiskup Symon i ks. Fiori, jego sekretarz, po triumfalnej ale i uciążliwej podróży po Ameryce jeszcze nie wytchnęli. Adam Darowski pisze mi z Rzymu pod datą 8 stycznia 1906: „I arcybiskup Symon i Don Fiori wyjechali; ten ostatni do siebie na wieś, i dopiero w tych dniach ma wrócić. Byłem pięć razy u niego, ale nie wraca, pomimo zapowiedzi, do domu. Jak tylko wróci, będę się starał go zastać i ciekawym, czy co powie!"

„Byłoby źle — tak pisze dalej Adam Darowski z Rzymu — gdyby skutek starań Polaków amerykańskich był mały; bo i ta ostatnia encyklika papieża dużo złej krwi w całej Polsce zrobiła... a co dopiero będzie, kiedyby i biskupów dla Ameryki nie miało być!"

53. **Sprawa biskupów polskich nie może lepiej stać jak stoi.**

Pisze mi w tych dniach pewien Monsignor (Paukszto), że „niezmiernie boleje nad tem, że zaprzepaszczono naszą sprawę w Rzymie, o czem ma najlepsze informacje z Watykańskich kół. Według relacji główna wina spada na ks. arcybiskupa Symona, który nietylko dla nas nic nie zrobił, ale przez swe nieudolne sprawozdanie o amerykańskiej Polonji popsuł sprawę. Obecnie jesteśmy znów w tem samem miejscu, w którem byliśmy jeszcze przed kongresami".

My tego rozczarowania wcale nie podzielamy. Naszem zdaniem sprawa nasza w Rzymie nie może lepiej stać jak stoi... Czekajmy tylko cierpliwie, bo tyle mamy mądrości ile mamy cierpliwości.

Ale cierpliwość nasza bez odwagi i męstwa nie byłaby cnotą. Zaczepiać wroga niepotrzebnie byłoby nieroztropnością. Ale znowu ustępować mu, nie odpowiadać na zaczepki i uważać sprawę za przegraną i straconą, byłoby tchórzostwem nie do darowania. Napoleon Wielki był powiedział, że bitwa nie jest przegrana dopóty, dopóki nadzieja i otucha nie jest stracona. A gdy otucha stracona, to wszystko stracone. To też wrogom naszej sprawy o nic tak bardzo nie chodziło, jak, żeby nam tę nadzieję, tę otuchę odebrać. Zaraz po odjeździe arcybiskupa Symona cała prasa irlandzko-katolicka wołała do nas:

— Arcybiskup Symon u papieża przeciw wam się oświadczył! — Przegraliście sprawę! Siedźcie więc teraz cicho, nie walczcie dalej, bo dalsza walka tylko położenie wasze pogorszy!

Broń Boże, gdybyśmy byli na te i tym podobne ich prowokacje cicho siedzieli. Byłaby to cisza, ale — **cmentarna!** Tej właśnie ciszy cmentarnej wrogowie naszej sprawy chcieli, żeby potem nad całą tą sprawą biskupów polskich krzyżyk zrobić, zmówić nad nią:

— Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie!

I zaraportować do Rzymu:

— Po co im biskupów? Oni sami już się niczego nie spodziewają! Pogodzili się z losem.

Albo:

— To nie lud, tylko księża żądali polskich biskupów.

Atoli Polonja w Ameryce trzyma się jeszcze zawsze hasła poety: Z żywymi iść naprzód!

Proście!

A jeżeli prośba nie pomoże, to **pukajcie,** stukajcie, kołaczcie, **walcie w drzwi** pałacu czy papieskiego czy biskupiego, **aż wam otworzą!** Tak nas uczy Ewangelja.

54. **Sprawa biskupów polskich podobna do sprawy proboszczów polskich.**

Cały ten przebieg starań o biskupów polskich w Ameryce uderzająco podobnym jest do zwykłego przebiegu starań o proboszczów polskich w poszczególnych osadach. Kto głębiej studjował historję początku i założenie polskich parafij w Ameryce, albo był sam świadkiem ich powstania, ten odrazu spostrzeże, że podobny proces odbywa się tu jak i tam.

Weźmy na przykład parafję polską w Oshkosh, Wis. Polacy tam długie lata prosili o księdza polskiego. Prosili najpierw proboszcza Niemca ks. Scholtra, lecz ten ich sfukał:

— Co wam się też zachciewa? czy to nie rozumiecie po niemiecku?

To nasza pierwsza petycja do konferencji arcybiskupiej w Washingtonie.

Potem Polacy z Oshkosh wysłali delegację do biskupa Messmera do Green Bay z prośbą o proboszcza polskiego.

To wyjazd delegacji do papieża do Rzymu.

Biskup Mesmer na prośbę delegacji posłał do Oshkosh księdza polskiego (ks. Małkowskiego), ale ten wskutek zażartej opo-

zycji miejscowego proboszcza ks. Scholtra nic nie zdziaławszy, pocieszył tylko Polaków i odjechał.

To wizyta arcybiskupa Symona.

Polacy w Oshkosh nie dali się pocieszyć lada obietnicą, lecz szturmowali ciągle to do Scholtra to do biskupa, nie dając się nastraszyć miejscowemu proboszczowi ks. Scholtrowi, który ich już dlatego, że się chcą odczepić od niemieckiej parafji, odszczepieńcami czyli schizmatykami przezywał, że im się narodowego kościoła zachciewa itp. Gdyby takiemi pogróżkami Polacy w Oshkosh byli dali się nastraszyć, sprawa byłaby ucichła i ks. Scholter panowałby niepodzielnie nad Polakami w Oshkosh do dziś dnia.

Taka jest obecna sytuacja sprawy polskich biskupów w Ameryce. Ponieważ chcemy się odczepić od biskupów obconarodowych i żądamy własnych, prawem kaduka posądzają nas o odszczepieństwo czyli schizmę.

Z powodu zaciętego oporu ks. Scholtra, biskup Messmer długi czas wahał się, czy dać Polakom w Oshkosh polskiego proboszcza czy nie. Aż wreszcie **na ciągłe natrętne żądania Polaków** biskup **dał im** polskiego proboszcza wbrew i **pomimo oporu** ks. Scholtra, który nawet do Delegata Apostolskiego w Waszyngtonie zaapelował, ale i tam przegrał. Polacy dostali i mają proboszcza polskiego w Oshkosh.

Podobnie — jesteśmy mocno przekonani — i papież da Polonji amerykańskiej biskupów polskich **pomimo oporu** episkopatu amerykańskiego. Chyba, że ani Boga na niebie ani Namiestnika Chrystusowego na ziemi by nie było! Bo sprawa Polonji amerykańskiej jest tak słuszną i sprawiedliwą jak żadna inna na świecie. Ale jak Polacy w Oshkosh długo musieli czekać cierpliwie, aż proboszcza polskiego dostali: tak i Polonja w Ameryce musi się uzbroić w cierpliwość — ale w tę **cierpliwość,** która **cnotą** jest, która zatem **czynną jest i energiczną.**

Boże, uchroń nas od cierpliwości bezczynnej, biernej i niedołężnej!

118. Słowa zachęty od papieżników. — Dźwięki mowy irlandzkiej rozczulają arcybiskupa Quigley'a. — Wielkie brzuchy a mało głów. — Wielka nas liczba a mało mamy znaczenia.

Episkopalny „Kurjer Ohioski", któremu basował „Dziennik Chicagoski", ciągle piętnował moje artykuły jako „buntownicze",

podburzające lud do „odszczepieństwa“ czyli schizmy. Redaktorem „Kurjera Ohioskiego“ był niejaki pan Surdel, o którym inne gazety miały zwyczaj wspominać nie inaczej jeno: „z przeproszeniem pan Surdel“. Innym gazetom podobały się moje artykuły. Tak np. redaktor „Polaka w Ameryce“, organu ks. dziekana Pitassa, pisał mi z Buffalo 30 stycznia 1906:

„Wiel. Ks. Dobrodzieju! Kiedy Ks. Dobrodziej fortyfikuje Ripon i robi zeń fortecę niezdobytą, toć i ja będę się starał o to, aby tam nie zabrakło zapasów. Trudno, a sprzymierzeńcem jestem, pomagać muszę, a niekiedy pomoc i tak małego człowieka jak ja na coś przydać się może. Kiedy Ks. Dobrodziej będzie robił wycieczki ze swojej riponskiej fortecy, to ja będę szachował nieprzyjaciela ztyłu. Jest to francuska taktyka z pod Magenta.“

I wiele, wiele innych takich listów, pełnych zachęty, otrzymywałem od świeckich i od księży. To też mój następny artykuł tak brzmiał:

Z dnia 3 lutego 1906.

55. Dzięki za słowa zachęty!

Niech mi tu wolno będzie podziękować tym wszystkim księżom i cywilnym, którzy mi w listach nadesłali słowa zachęty. Między innymi ks. Truszyńskiemu, prezesowi Federacji i Wydziału Wykonawczego III. Kongresu, który niedawno do mnie pisał: „W ostatnich czasach bardzom pokochał Ks. Dobrodzieja, a to z powodu Jego artykułów w „Kurjerze“... To jest właśnie nasze nieszczęście, że bardzo dużo jest u nas **tchórzów...“**

A ks. Elbert z Marinette, Wis., pisze mi: „Kochany Ks. Wacławie! A niech Wam Bóg da zdrowie i biegłą rękę, abyście mogli jeszcze bieglej i treściwiej pisać. Kto Polak, ten z Wami całem sercem.“

Pewien zaś cywilny posuwa się w pochwałach do tego stopnia, że porównuje mię do „Mojżesza wyprowadzającego lud izraelski z domu niewoli egipskiej“.

Nie wątpię, że ta ostatnia pochwała pochodzi z dobrego serca, ale — jest niesmaczna. Porównanie też niefortunne. Chcę jeszcze za życia dużo patrzeć i nasycać swój wzrok widokiem biskupów polskich w Ameryce, a nie dopiero krótko przed śmiercią oglądać ich — zdaleka, jak Mojżesz ziemię obiecaną, do której sam nigdy nie wszedł!

Tym zaś, którzy mi nadesłali różne rady i wskazówki, także najpierw dziękuję a potem oświadczam, że do ich rad się zastosuję **o tyle, o ile** własne mi na to pozwala sumienie. Obowiązek bowiem, jaki na mnie włożył Kongres III, spełniam przedewszystkiem tak, jak go pojmuję. Wiem, że inni inaczej go pojmują. Ale te pojęcia innych są tak rozmaite, że gdyby człowiek czynu miał się kierować sumieniami innych, zamiast swojem własnem sumieniem, toby z rozpaczy opuścił ręce i siedział całkiem bezczynny. Nie oglądajmy się na innych. Każdy z nas powinien mieć tyle odwagi, żeby spełniał swój obowiązek **tak jak on go pojmuje.** A zawsze z wiarą w słuszność i sprawiedliwość sprawy, i dlatego z wiarą w jej ostateczny triumf i zwycięstwo! Z wiarą, że sprawiedliwość rodzi moc i potęgę! Czyli jak Lincoln się wyraził:

„Let us have faith that right makes might, and in that faith let us to the end **dare** to do **our duty as we understand it**“ — to znaczy: Miejmy wiarę w to, że słuszność wytwarza potęgę, i w tej wierze **miejmy** aż do końca odwagę pełnić nasz obowiązek **tak jak my go pojmujemy.** A nie darmo powiedział Zbawiciel: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.“

56. **Dobre widoki.**

W ostatniej chwili, już po napisaniu powyższych słów, odebrałem znowu pocieszającą nowinę z Rzymu. Adam Darowski pisze mi pod datą 12 stycznia 1906:

„Widziałem się nareszcie z ks. Fiori'm, który wrócił. Długośmy rozmawiali. Otóż Ekscelencja arcybiskup Symon nie zasypia sprawy i pamięta o niej. Jak dziś, nic jeszcze powiedzieć nie można, ale **musi być skutek...** To, co A. pisał, że Propaganda nie otrzymała referatu, jest mylnem. Otrzymała. Długośmy gadali, a ja tu nieudolnie skreślam myśli, naprędce. Zdaje mi się, że nadzieję dobrą trzeba mieć; jeszcze czasu potrzeba. **Jeden biskup chyba będzie.** Arcybiskup Symon wrócił przedwczoraj z Krakowa, ale go jeszcze nie widziałem. Mówiłem, że ten ostatni list Ojca św. do biskupów polskich dał powód do narzekania na Stolicę św. Niech Pan Bóg broni więc, coby się stało, gdyby i tam (w Ameryce) był powód do narzekań... Konkretnego wszelako nic oznajmić nie mogę, bo nic jeszcze niema.“

Tyle z Rzymu. Nie traćmy więc nadziei. Let us have faith that right makes might...

57. **Dźwięki mowy irlandzkiej rozczulają arcybiskupa Quigle'a.**

Tak pisze „Catholic Union and Times" z 18 stycznia 1906 z Buffalo, gdzie Quigley był poprzednio biskupem: „Na ostatnim wielkim mityngu dr. Hyde'a w Chicago arcybiskup Quigley przewodniczył i wyraził się o języku irlandzkim jak następuje:

„Kiedym był małym chłopcem, słyszałem mojego dziadka i moją babkę mówiących po irlandzku i myślałem, że ich rozumiałem. A kiedy słyszę tę mowę pradziadów swoich dzisiaj, krew irlandzka drga w żyłach moich, krew irlandzka bije w sercu mojem. I nie wiele by potrzeba było, żeby ten stary praojców język we mnie wskrzesić i do życia powołać. Tak rzecz się ma z nami wszystkimi; i jak z poszczególną jednostką, tak rzecz się ma z całym narodem.

„Uważam to sobie za wielki zaszczyt, że przewodniczę temu mityngowi. Czuję to w głębi serca mego, że nie byłoby to rzeczą zbyt trudną wskrzesić język irlandzki we mnie albo w kimkolwiek z was. Kiedy słyszymy tę mowę (irlandzką), brzmi ona w uszach naszych, rzekłbyś, jako dźwięk dolatujący nas z dalekiej wieków przeszłości i wywołuje w nas wspomnienia tych czynów, których przodkowie nasi dokonywali w czasach chwały i potęgi Irlandji.

„Mam nadzieję, że szlachetne usiłowanie, zapoczątkowane przez dr. Hyde w Irlandji i za jego sprawą rozkrzewione po całym świecie, zostaną uwieńczone powodzeniem."

58. **Nauka to dla nas Polaków.**

Tak mówił arcybiskup Quigley w Chicago. My Polacy bardzo wdzięczni jesteśmy Jego Ekscelencji za ten publiczny hołd, jaki złożył **ojczystej mowie.** Dawnośmy twierdzili, że język ojczysty to w dziedzinie natury **największy skarb,** jakim nas Stwórca obdarzył. Ale my Polacy tu w Ameryce często nie umiemy ocenić tego skarbu i lekceważymy go.

Dlaczego?

Dlatego, że go jeszcze posiadamy. Irlandczycy już go utracili i dlatego umieją go lepiej ocenić. Z językiem ojczystym to tak jak ze zdrowiem, o którem nasz poeta Kochanowski pisał:

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

Zdrowie umie należycie ocenić dopiero ten, który je utracił. Irlandczyków dźwięki mowy irlandzkiej rozrzewniają i do łez rozczulają, bo tę mowę ojczystą — to zdrowie narodu — oni już utracili. Dla nas zaś Polaków dźwięki mowy polskiej są często obojętne, a często nawet milej brzmi w uszach naszych angielszczyzna niż polszczyzna. Język ojczysty to tak jak chleb powszedni, zdrowy i posilny. Obcy zaś język to tak jak słodkie lekarstwo; słodkie, ale zawsze to jest tylko lekarstwo a nie pokarm zdrowy. Nam, jak dzieciom, często się zachciewa lekarstwa i słodyczy, dla których porzucamy chleb powszedni, mniej słodki, ale naturalny, zdrowy i pożywny. **Irlandczycy,** utraciwszy swoje zdrowie, swój język ojczysty, **musieli zażyć tego lekarstwa** — obcej mowy. Bo jakżeż bez tego sztucznego środka życie ich umysłowe funkcjonowaćby mogło? Atoli to lekarstwo, choć słodkie, zczasem obudziło w nich wstręt, jak każde lekarstwo. Zaczyna się teraz w nich budzić apetyt do chleba pwszedniego, do ojczystej mowy, — jest to znak, że powracają do zdrowia.

My Polacy miejmy pełną świadomość tego, co posiadamy: że w mowie ojczystej posiadamy skarb wielki, drogocenny, którego nie gubmy lekkomyślnie ani nie dajmy go sobie wydrzeć za nic w świecie. Choćby nam mitry biskupie obiecywano, mowy ojczystej nie sprzedajmy ani za fiolety biskupie ani za purpury kardynalskie. Skarb bowiem mowy ojczystej jest darem nieocenionym tego samego Stwórcy, którego darem jest skarb wiary świętej. Ani też biskup Polak, miłujący obcy język bardziej niż swój ojczysty, nie wyszedłby na zdrowie Polonji amerykańskiej. Wypaczyłby w nas życie naturalne, a temsamem i nadnaturalne czyli religijne, które to ostatnie suponuje przecie tamto pierwsze.

59. **Polacy w Milwaukee górują liczbą, ale nie znaczeniem — czemu?**

Angielskie dzienniki milwauckie ogłosiły niedawno ten fakt, że polscy katolicy w Milwaukee (roku 1905) górują ponad innymi — co do liczby. Codzienny „Evening Wisconsin" pod tytułem „Polskie katolickie szkoły górą" pisał co następuje:

„Więcej dzieci uczęszcza w Milwaukee do **siedmiu** polskich katolickich szkół aniżeli zapisanych ich jest w **trzynastu** niemieckich katolickich szkołach, podczas gdy **zaledwie jedna czwarta** tyle co dzieci polskich chodzi do angielskich (irlandzkich) katolickich szkół. Do siedmiu polskich szkół (roku 1905) uczęszcza 7,694 dzieci,

podczas gdy do trzynastu szkół niemieckich chodzi 6,792 dzieci, a do irlandzkich tylko 3,232; do czeskich 304."

Ten znamienny fakt podnoszą bezwyznaniowe dzienniki „Evening Wisconsin", „Sentinel" i inne. Niemieckie zaś organa diecezjalne roztropnie (?) o nim milczą. Zato **irlandzki** organ diecezjalny „The New World" w Chicago skrzętnie ten fakt notuje.

Dodać tu należy, że gdyby w Milwaukee było więcej szkół parafjalnych, liczba dzieci polskich katolickich byłaby daleko pokaźniejsza. Te siedm szkół, jakie są, przepełnione są po same brzegi. Skutkiem tego niezliczona ilość dzieci polskich w Milwaukee, chcąc nie chcąc, uczęszczać musi do szkół publicznych. Gdyby szkół polskich w Milwaukee było tyle co niemieckich, to jest 13 (a już dawno przynajmniej tyle powinno ich być!), różnica pomiędzy liczbą dzieci polskich a niemieckich okazałaby się daleko większą.

Ale i pomimo tej niekorzystnej dla nas okoliczności, faktem niezaprzeczonym było już oddawna i jest dzisiaj to, że nietylko liczba dzieci polskich, ale i liczba dorosłych polskich katolików w Milwaukee o wiele przewyższa liczbę niemieckich katolików. Co do liczby więc jesteśmy górą.

Ale nie co do wpływu i znaczenia.

A czemu nie?

Bo nietylko że nie mamy biskupa swojej narodowości, ale i proboszczów polskich nie mamy tylu, ilu mają Niemcy. A prawdą a Bogiem powinniśmy ich więcej mieć niż Niemcy. Głos proboszcza tylko coś znaczy, a my tych głosów mamy tylko siedm, podczas gdy Niemcy mają 13, a Irlandczycy (choć ich zaledwie jedna czwarta tyle co Polaków) mają w Milwaukee aż ośmiu proboszczów.

To są fakta, które bardzo wiele mówią — na niekorzyść naszą. Parafje nasze są wielkie, aż za wielkie. A proboszczów mało, aż za mało. Parafje nasze rosną w objętość, grubieją, tłuścieją i zaokrąglają się, ale — nie mnożą się! Cóż nam z tego, że brzuchy rosną, jeśli liczba głów się nie powiększa? Lepiej niech będą mniejsze brzuchy, a więcej głów. Bo z tem epikurejskiem hasłem: „wielkie brzuchy a mało głów", nie daleko zajdziemy, zwłaszcza w rzeczach duchownych i kościelnych, gdzie głowy znaczą a nie brzuchy. U irlandzkich katolików w Milwaukee na każde niemal 2,000 dusz przypada jeden reprezentant czyli proboszcz, u Niemców na każde 3,000; a u Polaków na każde 10,000 dusz przypada

zaledwie jedna głowa czyli proboszcz. Nie dziw tedy, że pomimo naszej liczby ogromnej, pod względem wpływu i znaczenia stoimy najniżej.

Ta zbytnia tusza i otyłość naszych parafij w Milwaukee niekoniecznie jest znakiem zdrowia i siły!...

60. Irlandczycy „zamerykanizowani" giną dla wiary św.

Główną cechą „amerykanizmu" jest, jeśli już nie antyreligijność, to w najlepszym razie indyferentyzm czyli obojętność religijna. Duch indyferentyzmu religijnego ożywia cały organizm państwowy tych tu Stanów Zjednoczonych. To jest fakt, który się zaprzeczyć nie da. Ale faktem również niezaprzeczonym jest i to, że ten potężny organizm państwowy, wchłaniając w siebie różne narodowości, w y t w o r z y ć c h c e nową odrębną t. zwaną „amerykańską" narodowość.

Wytworzyć chce — mówię. Bo jeszcze nie wytworzył. Bo jeszcze amerykańskiej narodowości niema. Tak jak niema belgijskiej albo szwajcarskiej narodowości. Nowa ta amerykańska narodowość, jeśli wogóle jest, to jest chyba in fieri, ale nie in facto. Na tej zaś powstać mającej narodowości, ów organizm państwowy, który ją wytworzyć usiłuje, z konieczności chce wycisnąć piętno swoje — piętno bezwyznaniowości i indyferentyzmu religijnego. Oto, co nazywamy zgubny wpływ amerykanizacji. Czy każdy temu wpływowi podlegać musi? Nie. Decydującym czynnikiem jest tu wolna wola jednostki. Civis Romanus sum, jestem obywatelem rzymskim — tak powiedział św. Paweł. Ale przez to jeszcze swojej narodowości żydowskiej się nie wyparł. Podobnie i my powiedzmy:

— Jesteśmy obywatelami amerykańskimi, ale narodowości polskiej.

Co innego bowiem państwo, a co innego naród. Co innego być obywatelem. a co innego być członkiem narodu. Jeśli chcemy, możemy wprawdzie wraz z tem nowem obywatelstwem przyjąć także i tę nową angielską narodowość, którą chcą tu nazwać „amerykańską". Jeśli chcemy, powtarzam. Bo zależy to od naszej wolnej i nieprzymuszonej woli.

Ale my Polacy tego nie chcemy.

Przyjęliśmy obywatelstwo — to prawda. Ale nowej tej narodowości, wrzekomo amerykańskiej a w gruncie angielskiej, przyjąć nie chcemy.

A mamy słuszne do tej niechęci powody, szczególnie te dwa.

Bo najpierw, wyrzec byśmy się musieli naszej własnej. jak własna skóra do nas przyrosłej narodowości polskiej tak nam miłej i drogocennej, tak pewnej, jasnej i określonej, tylu wiekami i tradycjami uświęconej, ze swej wypróbowanej wartości dobrze nam znanej. Takiej to narodowości wyrzec byśmy się musieli, ażeby na jej miejsce przyjąć — co? Ową „amerykańską" narodowość, która się dopiero tworzyć ma i niewiadomo, czy ukształtuje, a zatem niepewna jeszcze i nieokreślona i nie wypróbowanej wartości.

Ale druga, jeszcze ważniejsza racja, dla której tej nowej „amerykańskiej" narodowości przyjąć nie chcemy, jest ta, że duch, jaki ją ożywia już in fieri jest duch bezwyznaniowości, duch indyferentyzmu religijnego. Więc przyjmując tę nową narodowość, musielibyśmy jej duchem się przejąć; a przejąwszy się jej duchem, utracilibyśmy wiarę św.

Czego bowiem uczy nas historja?

Historja, ta mistrzyni życia, uczy nas, że Irlandczycy, ci, którzy się swojej narodowości tu wyrzekli, a tę nową „amerykańską" przyjęli, zginęli bezpowrotnie dla wiary św. Katolicki dziejopisarz pan M. J. J. Griffin, w przedostatnim numerze swego kwartalnika „American Catolic Historical Researches" przytacza liczne na to dowody. Wymienia mianowicie cały szereg wybitnych katolików ze schyłku 18. wieku, którzy swego czasu hojnymi ofiarami się przyczynili do budowy kościoła św. Augustyna we Filadelfji. I wykazuje, że potomkowie tych wybitnych swego czasu katolików, o ile się zamerykanizowali, wszyscy prawie już w następnem pokoleniu odpadli od Kościoła katolickiego. I tak na czele stoi Nicolas Fagan, superintendent trustysów kościelnych. Jego syn ożenił się z protestantką i został sam unitarjuszem. Drugi syn umarł jako schyzmatyk. John Leamy ofiarował był na budowę kościoła 200 dol. Jego zaś dzieci przystąpiły do kościoła episkopalnego i stały się zaciętymi wrogami Kościoła katolickiego. Sławny komendant floty, John Barry, sam bezdzietny, darował na kościół 150 dol. Jego spadkobiercy, potomkowie bratanka Patryka Barry, zostali wszyscy protestantami. Mathew Carey, pierwszy katolicki drukarz w Stanach Zjedn., darował był 50 dol. na kościół. Wszyscy jego potomkowie są dziś protestantami. Jeden z nich stał się nawet notorycznym ze swoich antykatolickich książek. Jasper Moylan, brat ówczesnego biskupa

z Cork i generała Stefana Moylan, dał był 50 dol. na budowę kościoła. Jego potomkowie, jak i potomkowie jego brata generała, są dziś protestantami... „Historical Researches“ przytacza powyższe przykłady jako zgubne skutki tak zwanej amerykanizacji.

61. **Polaków jest więcej, niż w „Supplices Preces“ było podane.**

Niech się winoński „Wiarus“ nie boi. Liczba Polaków podana w „Supplices Preces“ czyli petycji do Ojca św., bynajmniej nie była za wysoką, raczej była za niską. Osady, wymienione w „Supplices Preces“, obejmują często dwie, trzy, cztery i więcej osad bliższych i dalszych, o których wiedziałem, że istnieją, ale nie wiedziałem, jak się nazywają i dlatego ich po imieniu podać nie mogłem; a liczbę Polaków zamieszkałych w nieznanych osadach dodałem do osad znanych.

Rok temu, kiedy dawałem do druku I. tom Historji, znanych mi było tylko 300 osad polskich, to jest znanych z nazwy. Wiedziałem, że w pewnych okolicach jest ich więcej, ale z nazwy ich nie znałem. Otóż w przeciągu tego jednego roku, t. j. od stycznia 1905 do stycznia 1906, odkryłem ni mniej ni więcej jak 375, wyraźnie **trzysta siedmdziesiąt pięć** osad polskich, których ani w „Supplices Preces“ ani w Historji nie wymieniłem, bo ich podówczas jeszcze z nazwy nie znałem. A nie są to wcale nowe osady, w ostatnim roku powstałe. Lecz są to s t a r e o s a d y, od lat wielu istniejące a liczące po kilkadziesiąt lub kilka set familij polskich!

Kto więc gada, że liczba Polaków, podana w „Supplices Preces“, była wygórowana, temu najwidoczniej chodzi o to, żeby Polaków w Ameryce jak najmniej liczono. Ja liczb tych z palca sobie nie wyssałem. I jestem pewien, że gdyby sporządzono rzetelny spis Polaków, liczba ich przewyższyłaby raczej dwa miljony. A w „Supplices Preces“ podałem niespełna dwa miljony.

Niektórzy obconarodowi biskupi twierdzą wprawdzie, że liczba przezemnie podana była wygórowana. Mieli i mają bardzo ważny powód do takiego twierdzenia. Ale czem to swoje twierdzenie udowodnili? I czy wogóle chcą je udowodnić? Rzym nakazał im sporządzić **cenzus podług narodowości.** Dlaczego go nie sporządzają? Dlaczego niedawno jeden arcybiskup jakby urągając temu rozporządzeniu Propagandy, oświadczył re-

portorowi gazety, że jemu przy cenzusie rozchodzi się o to, żeby wiedzieć, ilu ma modlących się członków w diecezyj, **a nie ilu ma Polaków?** Czyż to najlepiej nie dowodzi, że boją się **takiego cenzusu?**

Gdyby byli tak pewni siebie, że w „Supplices Preces" podałem zbyt wygórowaną liczbę Polaków, nie braliby się tak leniwo do sporządzania cenzusu, jaki Propaganda nakazała. I Propaganda takiego cenzusu z pewnością nigdy się nie doczeka. Ale zato pójdą do Rzymu **gołosłowne** twierdzenia, że Polaków niema tylu, że autor „Historji" przesadza itp.

119. Słowa nagany od episkopalnych. — Ich zarzut buntu jest faryzejski, złośliwy, bezpodstawny i bezczelny.

Wielkie, z brzegów wylewające parafje polskie są wodą na młyn biskupów ajryskich i niemieckich, raz dlatego, że przelewają się w koryta parafij ajryskich i niemieckich; a powtóre dlatego, że Polacy z małą liczbą proboszczów nie mogą mieć wielkiego znaczenia w Kościele; a po trzecie wreszcie biskupi, pozwalając na wielkie parafje, kaptują przez to i niewolą sobie wielkich proboszczów. Jest to prosta i wielka prawda, której atoli nasi wielcy proboszczowie nie widzą. Im słodką jest taka niewola. Dlatego ich najtrudniej uwolnić z pod jarzma obconarodowych biskupów. Dlatego oni „oddanie parafij polskich pod rządy biskupów polskich" uważają „za zgubny przewrót w Kościele". Zgubny — dla nich z pewnością. „Nawet biskupi i księża innych narodowości przyznają nam słuszność pod tym względem" — tak mówią. A któżby o tem wątpił?

Ten obóz „episkopalnych" księży, bezpośrednio po moim artykule nr. 59 o wielkich parafjach z dnia 3 lutego 1906, wytoczył wielką kolubrynę w postaci orędzia dnia 8 lutego 1906 przeciw wszystkim moim artykułom. Kolubryna ta, mająca zburzyć fortecę ripońską, grzmiała i brzmiała tak:

„W sprawie biskupów polskich dla Ameryki.

„Od czasu II Kongresu Polsko-Katolickiego w Buffalo Polonja amerykańska wspólnie z księżmi swoimi czyni usilne starania o przedstawiciela polskiej narodowości w szeregach hierarchji kościelnej.

„Słusznie należy się licznej Polonji tutejszej, aby kilku z pośród jej kleru stanęło w gronie biskupów innych narodowości.

i słusznie też żądają Polacy, aby narówni z katolikami innych narodowości mogli słuchać słowa Bożego w języku ojczystym z ust księcia Kościoła.

„Trzeźwo myślący Polacy nigdy nie domagali się i dziś nie żądają, aby wszystkich Polaków wyłączyć z pod władzy miejscowych biskupów i oddać pod rządy biskupów polskich, dlatego, iż stanowiłoby to zgubny przewrót w Kościele. **Nawet biskupi i księża innych narodowości przyznają nam słuszność pod tym względem.**

„Starania nasze jeszcze wprawdzie nie osiągnęły założonego celu, atoli żadną miarą nie można powiedzieć, iż na nic się nie przydały. Wiadomo, że skutkiem tych starań katolicy innych narodowości w Ameryce i w Europie dowiedzieli się o nas i poznali, że nie można nas lekceważyć, i spowodowani poznaniem słuszności czynią zabiegi, aby nam się stała sprawiedliwość.

„Pomijając odznaczenia, które przypadly w udziale wielu polskim księżom w Ameryce w ostatnich czasach, zwracamy uwagę publiczności na przyjazd do nas Jego Eksc. arcybiskupa A. Symona. Przecież to skutek wyłączny tych starań.

„Ojciec św., chcąc bliżej poznać sprawę naszą, wysłał powiernika i na pewno wskutek jego u nas pobytu papież dziś zna nasze położenie z najlepszej strony.

„W czasie pobytu Jego Ekscelencji u nas przeszłego lata byliśmy świadkami, jak gorliwie pracował i spoczynku przez cztery miesiące nie zaznał. Nadludzkie to jego poświęcenie bezinteresowne dla ludu polskiego daje nam najlepszą rękojmię, że nasza sprawa ma w osobie jego dzielnego rzecznika i z czasem uwieńczona zostanie skutkiem pomyślnym. W nim pokładamy wielką nadzieję i zgodnie z jego wskazówkami będziemy czynili dalsze starania.

„Całej sprawie grozi obecnie jedno niebezpieczeństwo, a to pochodzi ze strony niepowołanych opiekunów. Pewne pisma liberalne, pomiędzy któremi rej wodzi „Kurjer Polski" z Milwaukee, wzięły się w ostatnich czasach do uprawiania patrjotyzmu kościelnego na swój sposób. Ich sposób polega na tem, że błotem rzucają na biskupów i księży innych narodowości, podjudzają pobożny lud polski do znienawidzenia władzy prawowitej, zachęcają publicznie do lekceważenia wiary katolickiej, przenosząc nad nią patrjotyzm; mniej więcej namawiają lud polski do buntu przeciw zwierzchności kościelnej a nawet do otwartej anarchji religijnej.

„Na taką zgubną robotę obojętnie patrzeć nie możemy. Rzucanie błotem, zachęta do nieposłuszeństwa względem władzy prawowitej, nie zgadza się z poglądami J. E. arcybiskupa Symona ani z naszem widzeniem rzeczy i nietylko, że nie prowadzi do celu, ale wręcz stawia przeszkodę w dopięciu tego celu.

„Nasza sprawa jest słuszna, tem samem musi zwyciężyć za pomocą środków legalnych, przeto nie potrzebujemy się uciekać do środków właściwych buntownikom i anarchistom.

„Ostrzegamy nasz wierny i pobożny lud przed podstępną robotą niesumiennych gazeciarzy. Im nie rozchodzi się o samą sprawę, im zależy na tem, aby było o czem pisać a pisać o rzeczach, które zwabią czytelników. Czy na tem jaka sprawa ucierpi czy nie, to nie wchodzi w rachubę. Każdemu wiadomo, że pomiędzy innemi „Kurjer Polski" chętnie umieszcza każdy skandal, mało się troszcząc, czy zmyślony czy prawdziwy, natomiast niechętnie i półgębkiem odwołuje fałsze przez siebie głoszone.

„Polacy katolicy, nie dajcie się bałamucić blagierom, chociażby nad swojemi blagami kładli napis: „Wiadomości kościelne". Bądźcie cierpliwi i wierni swoim tradycjom, żywcie poszanowanie dla prawowitej władzy a możecie mieć niepłonną nadzieję, że pod dzielnem kierownictwem J. E. ks. arcybiskupa Symona nasza sprawa weźmie dobry obrót i niebawem będziemy cieszyć się rodakiem naszym pośród hierarchji kościelnej w Ameryce.

„Zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży Polskich Rz. Kat.

Ks. S. Nawrowski, prezes.
Ks. J. Pacholski, wiceprezes.
Ks. J. Szukalski, sekr. I.
Ks. S. Nowakowski, sekr. II.
Ks. Fr. Wojtalewicz, kasjer."

A więc stary oklepany zarzut, powtarzany za faryzeuszami: „On buntuje lud, począwszy od Galilei aż dotąd". Zarzut i złośliwy i bezpodstawny zarazem. A co więcej, zarzut to **bezczelny,** bo ci, którzy sami namawiali do buntu, teraz drugich śmią pomawiać o bunt. Na tę bezczelność „Kurjer Polski" dał taką odpowiedź:

„Najpierw co do niepowołanych opiekunów. Zapytuję się tych 5 Dobrodziejów, czy my cywilni narzucaliśmy im się w sprawie biskupów polskich? Czy to nie wy, Dobrodzieje, zaprosiliście nas ogólnem wezwaniem do współpracy w tej sprawie, do pomocy?

A jeśliście nas do pomocy **zawołali**, to dlaczego zarzucacie nam **niepowołane** opiekuństwo?...

„Bardzo prosimy tych 5 Dobrodziejów, aby wykazali, gdzie i kiedy „Kurjer Polski“ „błotem rzucał na biskupów i księży innych narodowości“. Prosimy podać numer i przytoczyć słowa.

„Bo poważne krytykowanie biskupów za to, że się źle obchodzą z narodowością polską, że nas chcą wynarodowić, nie może żaden człowiek o zdrowych zmysłach nazywać „rzucaniem błota“. I tego się też „Kurjer“ nie dopuścił. Ale dopuścili się tego w skrytości właśnie ci księża, którzy teraz przeciw „Kurjerowi“ występują, dogadując polskim dziennikarzom potajemnie:

„Jeno tam wysmarujcie dobrze biskupa. Napiszcie, że nie tyle księża, ile **lud** polski chce polskich biskupów. Napiszcie, że jeżeli biskup poważy się jeszcze raz w kościele polskim przemówić po niemiecku albo po angielsku, to go polski lud **kamieniami z polskiego kościoła wypędzi!!**“

„Czy nie tak, Dobrodzieje? Czy to nie **Wy** potajemnie podburzaliście przeciw biskupom do obrzucania ich kamieniami, a teraz — dla jakichś prywatnych celów, czy też ze strachu, cofacie się, połykacie własne słowa, płaszczycie się przed tymi, na których podburzaliście i publicznie kłamliwie zarzucacie innym własne czyny?... Czyż to zgodne z kapłańską godnością?

„Wy, Dobrodzieje, żądacie poszanowania. I my cywilni chętnie was szanować będziemy, jeśli Wy sami siebie uszanujecie.

„Ale jakżeż możecie od nas żądać poszanowania, jeśli się wypieracie dzisiaj tego, coście wczoraj mówili; jeżeli ze strachu płaszczycie się niepotrzebnie przed obcymi; jeżeli obrzucacie błotem jedni drugich we własnych gazetach; jeżeli wymyślacie tym, którzy szczerze i z poświęceniem dla narodowości swej pracują.

„Trafnie pisze do mnie o Was pewien ksiądz-Polak z Zachodu:

„Czytałeś pan „Potop“ Sienkiewicza. Przypominasz sobie pan, co magnaci — Opaliński i inni — zrobili pod Ujściem: Szwedzka armja zbliżała się ku Wielkopolsce. Opaliński i inni zawołali na pospolite ruszenie: Do broni! Zebrano się pod Ujściem i Wieleniem. Opaliński i inni wygrażali się Szwedom, co oni to im zrobią, a wojsko swe zachęcali do szatkowania Szwedów na bigos. Gdy jednak Szwedzi się zbliżyli i huknęli raz z armat, magnaci w strach. A gdy im król szwedzki przez Wittemberga obiecał, że zatrzymają swe majątki, a zyskają jeszcze więcej przywilejów: natenczas ma-

gnaci poddali się Szwedom, a tych patrjotycznych bohaterów, którzy chcieli Ojczyzny bronić, nazwali „zdrajcami“, „warchołami“, „burzycielami“ itp. Czyż tych pięciu księży, i im kilku podobnych „magnatów“, nie czyni tak samo?

„Zdaje się, że każdy z tych pięciu jest kandydatem na biskupa. Widocznie amerykańscy biskupi obiecali im „poparcie“ (a obiecanki nic nie kosztują), więc wielebni kandydaci odrazu zwinęli potrjotyczną chorągiewkę, przychlebiają się biskupom amerykańskim, a wypierają się tych, którzy z poświęceniem się pracują dla dobra nas wszystkich.

„Ale jak wtedy znalazł się Czarniecki i Sapieha, którzy choć hetmanami nie będąc, bronili Ojczyzny do ostatniej kropli krwi, przy pomocy ludu, tak też i tu pomiędzy nami znajdzie się pewnie i Czarniecki i Sapieha, którzy do ostatka narodowości naszej bronić będą... A tak jak wtenczas ci zamożni tchórze i renegaci z wstydem powracali do swego narodu, tak i ci „księża-magnaci“ kiedyś uczynić to będą zmuszeni.

„Historja powtarza się zawsze. A tutaj powtórzy się ona tak pewno jak Amen w kościele.

„Obdarz nas, Panie, tym wielkim cudem,
By księża polscy szli z polskim ludem!“

Pokładanie „wszelkiej nadziei“ w arcybiskupie Symonie, było w powyższem orędziu 5 księży **obłudnem** wyrażeniem, gdyż wiadomo już im było, że arcybiskup Symon w Rzymie **postawił sprawę** biskupów polskich **w całkowitej zależności od irlandzkich biskupów,** którzy tak nieprzychylnie są usposobieni dla tej sprawy. Więc zamiast powiedzieć: pokładamy wszelką nadzieję w Arcybiskupie Symonie, powinni byli **otwarcie** powiedzieć: pokładamy wszelką nadzieję w biskupach amerykańskich! Czyli otwarcie przyznać się do orjentacji episkopalnej, amerykańskiej. Jeden też z owych 5 księży, ks. Jan Szukalski, w prywatnym do mnie liście z dnia 23 stycznia 1906 wyraźnie oświadczył się za orjentacją **rzymską,** doradzając ludowi wysłać petycję wprost do Ojca św. i dodając, że bez takiej ludowej masowej petycji niema wyjścia“!

120. Jak kler się starał o pierwszego biskupa katolickiego w Stanach Zj., którym został John Carroll.

W przeciwieństwie do wyżwspomnianych 5 księży, inni pod niebiosa mię wynosili. I tak np. ks. Stanisław Fimowicz, proboszcz z Depew, N. Y., 16 lutego 1906 pisał mi:

„Cześć Ci, zacny kapłanie, za Twe śmiałe i otwarte wystąpienie w obronie narodu polskiego. Potomność z wdzięcznością będzie wspominała imię kapłana, który był miljonem, bo za miljony cierpiał!..."

Podobnie mi pisał ks. Kwiryn Zieliński z Antigo, Wis., zawiadamiając mnie zarazem, że przyjedzie do mnie na 10-letni jubileusz mego probostwa w Ripon, to jest, na dzień 5 marca 1906. Zaś ks. dziekan Jan Pitass z Buffalo kazał mi porzucić zachód i udać się na wschód do Buffalo, już nie pamiętam po raz który.

Od osieroconych parafij w Duluth, Minn., i Cleveland, O., dostałem takie zaproszenie. W imieniu zarządu parafji N. P. Marji z Duluth, Minn., 19 lutego 1906 pisał mi p. Antoni Grabarkiewicz: „...uważamy, że parafja nasza byłaby właściwszem miejscem dla Jego osoby aniżeli obecna". Naturalnie pisał mi to z tem oświadczeniem, że „nie zamierzamy nic robić przeciw biskupa woli". Aliści już przed nim, bo dnia 10. 14. i 18 lutego 1906 trzy listy pisał mi znowu p. Leon Gizewski z Cleveland, O., wskutek których rzeczywiście posłałem był do biskupa Horstmana moją aplikację o parafję św. Stanisława w Cleveland. Na to odebrałem taką odpowiedź, jakiej się spodziewałem, mianowicie:

Cleveland, O., February 22. 1906.

Rev. Wenceslaus Kruszka,

Ripon, Wis.

Rev. Father!

In answer to your letter of 13 th. instant I have to say that nothing has been done as yet in the case of Rev. R., and can not be done until it is out of the civil court. I have been making arrangements for the necessary remedy, when required, and cannot therefore consider your application.

Respectfully your in Xt.

† *Ign. F. Horstmann,*

Bishop of Cleveland."

To oświadczenie biskupie położyło koniec prośbom z Cleveland.

Pan Stanisław Ślisz, redaktor „Polaka w Ameryce", z Buffalo donosił mi, że „za artykuły będzie mi płacił półtora centa od wiersza zwykłego naszego druku". Otóż jeden z moich artykułów, ogłoszonych w „Polaku w Ameryce", brzmiał jak następuje:

Z PRZED 120 LATY.

Ze starań o pierwszego biskupa katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

Ks. John Carroll, r. 1784, naznaczony przełożonym kleru, protestuje przeciwko ograniczeniu swojej władzy. — Oświadcza Rzymowi, że Ameryka nie jest krajem misyjnym — że tu kler powinien obierać sobie biskupów.

(Napisał ks. * * *)

Wśród tych starań i zabiegów o polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych, mimowoli człowiek cofa się wstecz do owych czasów, kiedy to wogóle tu żadnego jeszcze nie było biskupa katolickiego w naszych Stanach Zjednoczonych.

Mimowoli nasuwa się pytanie, jakie też ci pierwsi katolicy czynili starania o pierwszego biskupa w Stanach Zjednoczonych. Bo historja jest mistrzynią życia. Otóż dzięki panu Martin I. J. Graffin z Filadelfji, wydawcy kwartalnika pod tytułem „The American Catholic Historical Researches", mam pod ręką kopję listu ks. Jana Carroll'a, późniejszego pierwszego biskupa w Stanach Zjednoczonych. List ten przechowuje się w „Archiwach" w Baltimore, Skrzynka 9, i rzuca nieco światła na ówczesne zabiegi o uzyskanie wyższej władzy kościelnej w nowo powstałych Stanach Zjednoczonych. Ciekawy to dokument, którego dotychczas jeszcze nikt w polskim języku drukiem nie ogłosił, a z którego treścią zaznajomimy tu czytelników „Polaka w Ameryce".

Ks. John Carroll uwiadamia Ojców Molyneux i Farmer we Filadelfji, że dnia 26 listopada r. 1784 otrzymał z Rzymu dekret, mianujący go Przełożonym kleru (Superior to the Clergy) w Stanach Zjednoczonych.

I prosi owych Ojców, aby uwiadomili innych „dżentelmanów" (the other Gentlemen) w swoim dystrykcie, że Propaganda naznaczyła go przełożonym Misji w tych tu 13 stanach, należących wówczas do Unji". Równocześnie — dodaje — otrzymałem władzę od Jego Świątobliwości (papieża), upoważniającą mnie do udzielania Bierzmowania w rzeczonych 13 stanach.

„Władza — tak pisze dalej ks. Carroll — jaką otrzymałem, jest zanadto ograniczoną, jeśli się zważy potrzeby tego kraju; i nadto, w udzielaniu tej władzy zachodzą niektóre okoliczności, wymagające bardzo dojrzałej rozwagi. Pochodzą one, zdaje się,

od Propagandy (kardynał Antonelli był podówczas Prefektem Propagandy).

„Uważam rozkazy, wychodzące od Propagandy, nietylko za niewłaściwe, ale za niebezpieczne w tym kraju. Wiadomo, że nienawiść naszego Rządu przeciw wtrącaniu się jakiejkolwiek zagranicznej władzy jest tak wielką, że nie możemy się spodziewać i **mojem zdaniem, nie powinniśmy sobie życzyć tego,** by nasz rząd tolerował jakąkolwiek inną władzę nad tę, która będąc czysto duchowną, jest współistotną naszej religji, to jest: nad uznawanie duchownej supremacji papieża i Stolicy Piotrowej jako środowiska kościelnej jedności."

Przeto naznaczenie przez Propagandę przełożonego dla tego tu kraju, wydaje się być niebezpiecznym krokiem i przez wywołanie nienawiści u rządu tutejszego, mogłoby się przyczynić do uprzedzenia ku religji a może i wystawić ją na zarzut, jakoby zachęcała do zależności od zagranicznego mocarstwa i dawała obcym nienależny wpływ wewnętrzny, przypisując im przywilej obsadzenia posad zaufania i ważności rzeczywistej i to **ad suum beneplacitum** (podług ich upodobania).

„1. Kongregacja Propagandy, o ile rozumiem jej instrukcje, była założoną jedynie dla zarządzenia i dozorowania nad misjami i t. d., a ja zauważam, że w swojem rozporządzeniu do mnie i w innych aktach, zamierzają nasz kościelny stan tutejszy (our Ecclesiastical State) nazywać **Misją,** a pracowników tutejszych **misjonarzami.** Może taka nazwa była dotychczas dość właściwą, lecz obecnie nie może być uważaną za taką.

Przez konstytucję nasza religja uzyskała równe prawa i przywileje, wraz z innymi chrześcijanami. My tworzymy nie jakąś latającą armję żołnierzy Chrystusowych, przysłanych tutaj i usuwalnych na skinienie przełożonego, lecz stałe wojsko narodowego kleru z dostateczną władzą do formowania naszego własnego systemu rządu wewnętrznego i, sądzę, do obrania naszego i własnego przełożonego, i mamy całkiem słuszne prawo, żeby wszelka potrzebna władza duchowna, była udzieloną temu przełożonemu, którego my przedstawimy jako regularnie i kanonicznie **wybranego przez nas.**

„Mamy dalej słuszne nadzieje, które spodziewam się, wkrótce się ziszczą, że postawimy zakład dla wychowania i ustalenia następstwa kleru między nami i skoro tylko w tej mierze przybierze-

my odpowiednią postawę, będziemy mieli prawo do diecezjalnego biskupa z **naszego własnego wyboru.**

„Czyż to ogromne terytorjum trzynastu Stanów Zjednoczonych nie powinno mieć kościelnego przełożonego tak niezależnego, jak biskup w Quebec?" powiada jeden z naszych żarliwych przyjaciół Anglji."

„Dla tych powodów zamierzam uczynić energiczne przedstawienie Rzymowi, że nic innego, chyba obecna ostateczna konieczność jakiejś władzy duchownej w tym kraju, zdoła mnie nakłonić do działania mocą takiego rozporządzenia, jakie, jeśliby się przeciągło i publicznem się stało, wywołałoby nader niebezpieczną zawiść."

„Powtóre: że kler tutejszy uważa się za narodowy kler, a nie za misjonarzy; uważa się za kler zdatny do obierania sobie duchownego przełożonego, a tylko żąda takiej duchownej łączności ze Stolicą św., jakaby była objawem naszego szczerego przywiązania do niej i do naszej zgody z nią."

„Po trzecie: że dla naszych obecnych widoków założenia seminarjum dla wychowania młodych kleryków, będziemy w kilku latach odczuwać absolutną potrzebę biskupa, lecz, że biskup, wikarjusz apostolski, rzuciłby wielki cień podejrzliwości z powodu swojej całkowitej zależności od zagranicznej władzy, więc musi być **diecezjalnym biskupem.** Jego naznaczenie nie powinno wyjść ani od Jego Świątobliwości (bo to wywołałoby więcej zawiści w naszym rządzie, aniżeli nawet we Francji, Niemczech lub Hiszpanji), ani od zgromadzeń rozmaitych krajów, które, jako składające się z niezgodnych żywiołów religijnych, byłyby bardzo niewłaściwe do tego interesu, — lecz **powinien być wybrany przez sam tutejszy kler katolicki.**

Ten to był sposób, w jaki episkopalnemu klerowi protestanckiemu dozwolono postępować." (Zobacz Archiwa Baltimorskie, skrzynka 9, 06; porównaj „The American Catl. Hist., Researches". vol. II, 2, April 1906.)

Oto pierwsze, ale śmiałe rzuty zarysu Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych Półn. Ameryki. Jego cechą charakterystyczną jest do dziś dnia, pomimo pozornej zależności od Propagandy, istotna niezależność, samodzielność. **W urządzeniu Kościoła katolickiego wzięto sobie za wzór episkopalny kościół czyli anglikański. Do dziś dnia też anglikanizm czy anglicyzm w niem panuje.**

Do dziś dnia nie Rzym obiera i naznacza biskupów. Ale ani też już kler niższy, lecz tylko kler wyższy, to jest, sami biskupi i arcybiskupi obierają i naznaczają naszych biskupów — a Rzym, jak i kler niższy, musi im przytakiwać. Ale i Duch św. rządzi jeszcze Kościołem, a ten w swoim czasie „deponet potentes de sede et exaltabit humiles".

121. Jak ajrysze w Ameryce wzdychają za utraconym językiem irlandzkim i twierdzą, że jedynie ojczysty język uratuje ich od zagłady narodowej i religijnej.

Z dnia 10 lutego 1906.

62. **Gramatyki i słowniki irlandzkie są poszukiwane.**

Ksiądz D. S. Phelan, redaktor irlandzko-katolickiego „Western Watchman" z St. Louis, Mo., po wizycie dr. Hyde'a pisze (nr. 42):

„Miasto St. Louis jest szałem irlandczyzny opanowane. Lud irlandzkiego pochodzenia jest dziś zadumany, niemy: jako wymówkę tej swojej niemoty podaje głuchotę (hardnes of hearing). W rzeczy samej atoli przyczyną tej ciemnoty jest to, że **Irlandczyk dziś nie potrafi mówić swoim ojczystym językiem i po pierwszy raz w życiu jest z tego powodu głęboko zawstydzonym.** Dzisiaj **cała ta** dwóchset tysięczna **ludność** irlandzkiego rodu lub krwi w St. Louis **mówiłaby chętnie po irlandzku, gdyby tylko mogła.** Starzy mężczyźni i niewiasty studjują teraz gramatyki irlandzkie i ślęczą nad omszałemi słownikami irlandzkiemi w celu przyswojenia sobie trudnej irlandczyzny. Jesteśmy porwani prądem irlandzkiego odrodzenia... Język irlandzki jest tak wykształcony jak grecki i łaciński... i o wiele bogatszy w literaturę od wszystkich języków Europy, znanych uczonym...."

63. **Wskrzeszenie irlandzkiego języka nie jest mrzonką.**

Słowem, podług ks. Phelana, irlandzki język jest to cudowny język, tem cudowniejszy, że dziś nikt prawie nim nie mówi. Jest to ukryty skarb, który, skoro go się odkopie, wzbogaci całą świata literaturę, naukę i sztukę. Dziś każdy szuka tego skarbu. Zwłaszcza „irlandzki lud" — pisze ks. Phelan — jest dziś zdeterminowany być znowu irlandzkim i w nazwie i w języku. Patrjoci irlandzcy przez ostatnie cztery lata udowodnili czynem, że **wskrzeszenie irlandzkiego języka nie jest próżną mrzonką.** Jest ra-

czej oczywistym, namacalnym faktem. Galicka Liga, z dr. Hyde'm na czele, tego cudu dokonała. Cieszymy się z tego. Język bowiem jest tym dłutem, który wyrzeźbia w nas piękne rysy charakteru narodowego, a narodowy charakter Irlandczyków wart jest, żeby go zachować. **Świat byłby jutro nędzniejszym, gdyby dziś ten irlandzki charakter miał zaginąć.**"

W powyższym ustępie jest może trochę przesady. Ale zato w dalszym ciągu ks. Phelan wypowiada szczerą prawdę, gdy tak pisze:

„Poezja i muzyka każdego ludu bywa modyfikowaną przez instrumenta, na których się gra. Bez fortepianu nie moglibyśmy nigdy słyszeć muzyki Wagnerowskiej. Bez harfy nigdybyśmy nie znali melodyj irlandzkich. Aliści, czem jest instrument dla narodowej muzyki, tem jest język dla narodowego charakteru. **Obydwa,** i język i charakter narodowy, **idą w parze, stanowiąc formę i materję** (treść) **życia narodowego.** Irlandczyk jest samym sobą tylko wtedy, kiedy na swoim rodowitym pniu stoi i swoim własnym ojczystym językiem mówi. Kiedy Żydzi zaczęli mówić egipskim językiem, zawiesili swoje harfy na drzewach, oświadczając, że nie mogą śpiewać pieśni syjońskiej w obcym języku i w obcym kraju."

64. **Irlandczyzna szerzy się jak zaraza.**

„W ostatnim tygodniu mieliśmy pośród nas najprzedniejszego reprezentanta odrodzenia irlandzkiego, pana Douglas Hyde. Przemówił on do ludu irlandzkiego w naszem mieście (St. Louis)... **Dr. Hyde jest zupełnie przekonany, że St. Louis jest całkiem irlandzkie miasto.** Prezydent Stanów Zjednoczonych śpiewa swoim dzieciom irlandzkie piosenki. Sędziwi **senatorzy** łowią uchem dźwięki mowy irlandzkiej. Poważni i uczeni **sędziowie** pozdrawiają się nawzajem po irlandzku. Poprostu szał irlandzki nas ogarnął, a jużci! Chętnie zakończylibyśmy ten artykuł jakimś cytatem irlandzkim; ale jedynem, co mamy na sercu i na języku, jest to: żeby Bóg przyspieszył odrodzenie języka irlandzkiego!"

Tak pisze ks. Phelan. Arcybiskup Glennon był przewodniczącym mityngu Hyde'a.

65. **Co uratuje Irlandczyków od niewiary i bezreligijności, w jaką popadają?**

Ten sam entuzjazm panuje wśród Irlandczyków po innych miastach. Że przytoczę tu tylko kilka ustępów z „Boston Republic" (XXV. 43):

„Jakie lekarstwo zapobiec może grożącemu zepsuciu charakteru irlandzkiego? Co uratuje Irlandczyków od przepaści materjalizmu, sceptycyzmu i bezreligijności, w jaką obconarodowe ideały ich popychały? Otóż **odrodzenie języka ojczystego,** rzeczą to jest dowiedzioną bardziej niż cokolwiek innego, **dokona tego!** Albowiem język naszych praojców wprowadzi w obieg owe proste prastare ojców naszych cnoty. Nie należy wątpić, że **pomiędzy istotą języka irlandzkiego a usposobieniem umysłowości irlandzkiej istnieje tajemniczy, od wieków ustanowiony związek.** Każde najprostsze szeplenienie, każde najpierwotniejsze uczucie, jeśli wyrażone w ojczystym języku, wypowiada cały świat myśli, jakich niepodobna wypowiedzieć w innym języku. Język irlandzki jest wyrobem umysłu irlandzkiego, jest wytworem wyobraźni tego narodu, do którego należy: i dlatego lepiej niż każdy inny język uzdolni Irlandczyków do poznawania, do myślenia i zrozumienia wzajemnego, do zrozumienia swojej własnej natury, która faktycznie jest w pewnym stopniu dla nich niezrozumiała z tego powodu, że im brak naturalnego, ich naturze odpowiedniego środka wyrażania swoich myśli i uczuć...“

66. **Żeby wszyscy po angielsku mówili — taka dążność jest mylną.**

„Powszechnym błędem (sofizmem) — pisze tenże „Boston Republic“ — jest mniemanie, że dobrzeby było przyspieszyć ów dzień, kiedy angielski język byłby rozumiany i mówiony przez wszystkich. Takie zapatrywanie może być bardzo dobrem z punktu widzenia tych, którzy tym językiem mówią jako swoim własnym, to jest z punktu widzenia Anglików. Również nierozumnem jest twierdzenie, że jeśli irlandzki język ulegnie angielskiemu we walce o byt, będzie to tylko jednym więcej przykładem działalności prawa tak zwanego „survival of the fittest“ — przeżycia najzdolniejszego. **Takie bowiem prawo** (przeżycia najzdolniejszego) **jest nieznanem w oddziaływaniu wzajemnem języków.** Górowanie jednego języka ponad drugim **zależy poprostu od fizycznej lub umysłowej wyższości mówiących** tymże językiem... Żaden tedy język, jakkolwiek doskonałym lub powszechnym onby był, nie zdoła zastąpić irlandzkiego języka dla irlandzkiego ludu; żaden inny nie zdoła oddać irlandzkiego ducha ni uczucia, ani nie zasługuje na nazwę narodowego języka.“

Tyle irlandzko-katolicki „Boston Republic“.

67. A więc protestant Hyde nauczył katolickich amerykanizatorów rozumu!

Czyż nie dziwne są drogi Opatrzności Boskiej? Katolicy irlandzcy w Ameryce, ze swoimi biskupami na czele, byli zagorzałymi anglizatorami: dr. Hyde, protestant, musiał ich dopiero rozumu nauczyć. Czyż nie palec Boży w tem i dla naszej sprawy polskiej?...

Co za dziwna zmiana zaszła w poglądach Irlandczyków — woła p. Preuss w swoim „Catholic Review" z St. Louis (XIII. 3):

„Dziesięć lat temu, kiedy „The Review" nalegał, by równe prawa przyznano także różnym nie-angielskim narodowościom w obrębie Kościoła tych tu Stanów Zjednoczonych, udowadniając, że istnieje ścisły związek pomiędzy ojczystym językiem a wiarą: wtedy to właśnie irlandzko-katolickie gazety zwalczały ostro takie poglądy i wylewały strugi szyderstw na nasze „nie-amerykańskie" zapatrywania. Dzisiaj te prawa, o które walczyliśmy, same irlandzkie pisma uznają w zupełności... Skoro raz nasi irlandzcy bracia nauczą się kochać i cenić swój własny stracony język ojczysty, to najniezawodniej zrozumieją także owo przywiązanie, jakie do swoich ojczystych języków mają tu Niemcy, Francuzi, Włosi, Polacy, Czesi i inni nie-angielscy imigranci, i nietylko nie będą im przeszkadzali, ale owszem pomagać im będą w zachowaniu tego, co sami nauczyli się uważać za najwyższy i najcenniejszy dar Boży — w zachowaniu języka macierzystego! A wtedy nie będzie już więcej żadnej „kwestji językowej" w Ameryce!"

Tyle „The St. Louis Catholic Review".

Tę samą prawdę już dawno św. Paweł wypowiedział (czytaj List I. do Koryntjan, rozdział 14). Ale że ten Apostoł narodów nie był Irlandczykiem, więc nasi najserdeczniejsi ajrysze nie uwierzyli mu. Uwierzyli dopiero, gdy dr. Hyde — protestant ale Irlandczyk — tę prawdę wypowiedział... Uwierzyli i uznali ją w teorji, ale w praktyce — jak długo jeszcze sprzeciwiać się będą tej uznanej chrześcijańskiej prawdzie?...

68. Arcybiskup Glennon nie umie po polsku, więc pałką policyjną przemawia do ludu polskiego w St. Louis, Mo.

Sposób nawracania ludzi pałką policyjną złe skutki za sobą pociąga. Ludzie są ludźmi, są grzesznymi i ułomnymi, a nie aniołami. Dla zbawienia grzeszników przyszedł Chrystus Pan na ten świat, dla ich zbawienia ustanowił Kościół święty. Zadaniem tedy

Kościoła jest nawracać grzeszników. A jakiemi środkami? czy pałką policyjną albo mieczem? Nie! Mieczem nawracali tylko osławieni Krzyżacy. Nie ten środek ustanowił Chrystus Pan. „Schowaj miecz do pochwy" — wołał Chrystus do Piotra św. Grzeszników nawracać mamy za pomocą słowa Bożego, za pomocą sakramentów świętych. Te są jedyne i najskuteczniejsze środki, bo ustanowione przez samego Chrystusa Pana. Słowo Boże jest skuteczniejsze i ostrzejsze od miecza obosiecznego. „Izali słowa moje nie są jako ogień, mówi Pan, i jako młot kruszący skałę?" (Jeremjasz 23, 29). „Bo żywa jest mowa Boża i skuteczna i przenikliwsza niżeli wszelaki miecz po obu stronach ostry: i przenikająca aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów też i szpików, i rozeznawająca myśli i serca" (Hebr. 4, 12).

Na pałkach policyjnych, na mieczu, na bagnetach opiera się władza cywilna, władza królów i carów. Ale i z tą władzą świecką jest krucho, i bardzo krucho, jeśli się oprzeć musi li tylko na bagnetach. Atoli mocniejszą od bagnetów podstawę ma władza duchowna, kościelna, bo ma podstawę niewzruszoną, jaką jest — słowo Boże. Duchowna ta władza nad ludźmi jest niezachwianą i niezwyciężoną wszędzie tam, gdzie na słowie Bożem się opiera. Gdzie zaś brak jej tej podstawy słowa Bożego, tam ona staje się słabą, kruchą, chwiejną; a już zupełnie upada tam, gdzie w braku słowa Bożego na pałkach policyjnych oprzeć się musi.

Wszelako irlandzki tygodnik „Western Watchman" w St. Louis był innego zdania. Przed kilku bowiem tygodniami w swoich notatkach redakcyjnych pisał wyraźnie tak:

„Polacy w St. Louis się burzą, ale **arcybiskup** (Glennon) ma **po swojej stronie całą policję miejską,** a za pomocą takiej siły zdoła prędko uspokoić burzliwych Polaków."

Była to notatka doprawdy niegodna katolickiego redaktora. Więc władza biskupia jest oparta na pałkach policyjnych? Ubinam gentium sumus? W jakimże kraju żyjemy?... Ale prawda: żyjemy w Ameryce, gdzie biskupi do ludu polskiego przemówić nie mogą, są **niemymi** wobec tego ludu czyli „niemcami". Więc nie dziw, że uciekają się do pałek policyjnych. **Drukowane** słowo Boże tu nie wystarcza. Swoją władzę arcybiskupią czy biskupią trzeba oprzeć na **żywem** słowie Bożem. A tego tu brak w Ameryce.

Jeśli pałki policyjne są kruchą podstawą dla władzy cywilnej, to dla kościelnej są wprost ruiną, są grobem. Wiemy z doświadczenia tu już w Ameryce nabytego, że gdziekolwiek biskup dla

uspokojenia wzburzonych parafjan zawezwał policji, tam jego władza duchowna zachwiała się, upadła: tam niezależne parafje powstały.

I cóż po tej triumfującej notatce „Western Watchman", lajborganu arcybiskupiego, czytamy w następujących numerach? Czy ta „cała miejska policja, jaką arcybiskup miał po swojej stronie", uspokoiła Polaków?

Tak; uspokoiła. Ale jak?

Oto w dwóch ostatnich numerach ten sam „Western Watchman" uskarża się raz, że Polacy idą do episkopalnego kościoła, drugi raz, że chodzą na kazania do jakiejś tam katedry „Christ Church Cathedral" zwanej, i to w każdą niedzielę wieczorem, słuchając tam jakichś polskich pryczerów.

Oto są nieuniknione skutki nawracania ludzi pałką policyjną!

122. Odpieram zarzuty, że buntuję lud. — Kościół nie chce mieć niewolników. — Każdy niewolnik to ukryty buntownik.

Z dnia 15 lutego 1906.

69. **Stary frazes faryzejski.**

Ów stary, utarty frazes faryzejski: „Commovet populum — wzrusza, buntuje lud" (Łuk. 23, 5) — z lubością powtarzają dzisiaj pokrewne faryzeuszom duchy. „Buntuje lud" — nad ten zarzut niema nic łatwiejszego, ale i nic złośliwszego. Frazes ten „Commovet populum" to wynalazek czysto faryzejski. Za starymi faryzeuszami, jak za panią matką pacierz, powtarzają go nawocześni faryzeusze, ilekroć chcą zniszczyć kogoś. Buntuje lud — to pacierz faryzeuszów. Ileż to złości faryzejskiej ukrywa się w tych dwóch słowach! Buntuje lud — to najskuteczniejsze oskarżenie. Wiedzieli o tem dobrze faryzeusze, że tem oskarżeniem najprędzej dopną swego celu, to jest, śmierci Chrystusa. Wiedzą o tem i dzisiejsi faryzeusze. I dlatego, przemawiając językiem faryzejskim, tak chętnie z tym zarzutem „buntuje lud" wyjeżdżają. Mowę tę faryzejską zostawmy faryzeuszom. Oni innym językiem przemawiać nie umieją.

Powiedział Chrystus: „Jeślim źle rzekł, **daj świadectwo o złem;** a jeśli dobrze, czemu mię bijesz?" Ale co tam faryzeusze dbali o to, żeby „dać świadectwo o złem", żeby dać dowody, że Chrystus buntował lud... Kubek w kubek tak samo postępują dzi-

siejsi faryzeusze: krzyczą „buntuje lud, my wiemy o tem i każdy wie o tem — więc ukrzyżuj go, suspenduj go!“

Ale na szczęście, dzisiejsi sędziowie to nie Piłaty, Annasze i Kajfasze. Znają się na pobielanych grobach“, które publicznie schlebiają biskupom, a skrycie sami podburzają innych do buntu, na co są piśmienne dowody. Zaiste, arcybiskup Symon w dumę by się wbił, czytając o sobie owe pochlebstwa, gdyby skądinąd dobrze nie wiedział, że ci sami pochlebcy pocichu drwią i szydzą sobie z niego.

Prawda w oczy kole. I ten, co prawdę pisze, może być nie lubiany. Ale ci, co pochlebstwa prawią, nietylko że nie są lubiani, ale i — **pogardzani.**

„Jam jawnie mówił światu a w skrytości nicem nie mówił“ (Jan 18, 20) — tak powiedział Chrystus o sobie. I za Jego przykładem iść powinniśmy i my, jeśli chcemy być chrześcijaninami a nie faryzeuszami.

70. **Co innego bunt, a co innego domaganie się słusznych praw.**

O prawa nasze, o równouprawnienie kleru polskiego, jawnie i publicznie, głośno i natrętnie nawet, upominać się będziemy i nadal, bo tylko tą drogą — prośbą **i pukaniem** — dojść można do pożądanego celu, a **nie pochlebstwem i płaszczeniem się!** Domaganie się słusznych praw, — a choćby to domaganie się było natrętnem i przykrem dla biskupów i papieża — nie jest jeszcze bynajmniej buntem. Tylko faryzeusz może je nazwać „buntem“.

Dosyć długie lata już prosiliśmy. Teraz czas także **pukać** i **kołatać.** Może jeszcze nie wczas pukamy, może „o północy“, i powinniśmy czekać jeszcze aż dzień zaświta? Mniejsza o to. Albowiem Zbawiciel nas uczy: „A jeśli on będzie trwał, kołacąc: **powiadam wam,** chociaż mu nie da, wstawszy, przeto że jest przyjaciel jego: **wszakoż dla przykrego nalegania jego, wstanie, i da mu** ile mu go potrzeba“ (Łuk. 11, 8).

Arcybiskup Messmer niedawno w pewnym kościele polskim się wyraził, że dostaniemy biskupów, ale mamy czekać, „when the proper time comes“.

A kiedy ten „proper time“ nadejdzie?

My nie wiemy. Ale my tylko to wiemy, że dziś każdego dnia w Ameryce owieczki rozpraszają się i giną z braku własnych pasterzy. My teraz i zaraz biskupów polskich, jak chleba, potrze-

bujemy. I chociaż to dla was, o biskupi amerykańscy, zdaje się pora niestosowna, bo „północ“, dawajcie nam ich nie zwlekając, bo my ich bezzwłocznie potrzebujemy! Nie czekajcie aż do rana — **o północy** ich dawajcie, bo ich nagwałt potrzeba!

Z dnia 17 lutego 1906.

71. **Co? lud nie ma prawa? Kto to śmie twierdzić, ten naprawdę wywołuje bunt!**

Tyranów, roszczących sobie absolutną i nieograniczoną władzę nad ludem, nie brakło nigdy i nie brak dziś na świecie. Tyrani, jeżeli nie słowem, to czynem i postępowaniem swojem głoszą taką zasadę:

„Lud nie ma żadnego prawa. I dlatego też nie może się domagać żadnych praw. Lud nie ma nic do żądania: lud powinien tylko słuchać i płacić.“

Oto nauka tyranów czyli okrutników; bo tyran i okrutnik to jedno i to samo. Ile w tej nauce jest prawdy? Że „lud powinien słuchać i płacić“ — to prawda, choć nie ze wszystkiem, bo jeśli władca rozkazuje coś, co się sprzeciwia prawu przyrodzonemu i przykazaniom Bożym, lud nietylko że nie potrzebuje słuchać władcy w takim razie, lecz nawet obowiązany jest nie słuchać. „Bardziej bowiem trzeba słuchać Boga niż ludzi.“ Lecz we wszystkiem innem, co się nie sprzeciwia prawu i przykazaniom Bożym, lud powinien słuchać swojego władcy. To jest święty obowiązek ludu jako podwładnego.

Lecz czy lud tylko ma obowiązki a praw żadnych nie ma?

Otóż tyrani uczą, że lud podwładny nie powinien mieć żadnych praw.

Atoli ta ich nauka jest głupią.

Bo obowiązek i prawo są to dwie rzeczy tak ściśle ze sobą złączone przez samegoż Stwórcę wszechrzeczy, że ich żadna moc ludzka bezkarnie rozłączyć nie może. Tyran, który targa ten węzeł, łączący obowiązek z prawem, ściąga niechybną karę Bożą sam na siebie.

Tyran sam na siebie stryczek albo bat kręci. Tyran sam jest przyczyną sprawczą buntu, chociaż — i to jest jego największe nieszczęście — zaślepiony pychą i ufnością w „nieograniczoną“ swoją władzę, sam tego nie widzi czy widzieć nie chce i przyczynę buntu przypisuje chętnie innym czynnikom.

72. **Kościół chce mieć wiernych sług a nie niewolników.**

Lud, nie mający żadnych praw, tylko obowiązki, jest i nazywa się **niewolnikiem.** To jarzmo niewoli tyran wkłada na lud albo przemocą, albo podstępem: **przemocą,** kiedy wbrew woli tego ludu odziera go z praw mu przynależnych, a **podstępem,** kiedy umie temu ludowi tak oczy zamydlić, że lud sam dobrowolnie, acz nieświadomie, zrzeka się wszelkich praw swoich na rzecz tyrana i poddaje karki swoje pod jarzmo niewoli.

Pierwszy ów rodzaj niewoli jest zaiste wstrętnym i zgubnym. Ale ten drugi jest jeszcze wstrętniejszym i zgubniejszym.

Dlatego Kościół katolicki wszelkie niewolnictwo zawsze ostro potępiał i potępia, rugował je i ruguje, jako niezgodne z ludzką naturą i jeszcze bardziej niezgodne z duchem Chrystusowym, z duchem wolności synów Bożych. Kościół zawsze uczył i uczy, że każdy człowiek, obok obowiązków, ma także prawa, których żaden władca tego świata odmówić mu nie może i których ani sam człowiek zrzec się nie może bez obrazy Bożej i poniżenia swojej godności. Kościół uczy, że między innymi przysługuje człowiekowi **prawo do życia tak przyrodzonego jak i nadprzyrodzonego,** tak narodowego jak i religijnego: a zatem **prawo do żądania** tego wszystkiego, co mu potrzebne do pełnego rozwoju i rozkwitu tegoż życia cielesnego czy duchownego.

Jednem słowem, Kościół nakładając na ludzi obowiązki, przyznaje im również prawa. Bo tylko niewolnik nie ma żadnych praw i, co zatem idzie, nie ma nic do żądania. A Kościół chce mieć wprawdzie wiernych i posłusznych sług, ale nie niewolników. **Sługa** ma prawa i ma coś do żądania.

Władza, któraby nakształt carskiej od nas tylko uległości i posłuszeństwa żądała a praw nam żadnych przyznać nie chciała, byłaby wprawdzie władzą legalną, prawowitą i od Boga pochodzącą — nikt wcale nie wątpi o tem — ale **władzą obrzydliwą, szkodliwą, plugawą,** przeznaczoną do zgangrenowania naszego polskiego ciała społecznego, przeznaczoną do zabicia w nas życia najpierw narodowego a potem i religijnego.

„Wszelka władza od Boga pochodzi". Któż temu przeczy? Jużcić prawdą, że wszelka władza od Boga pochodzi, bo od Boga wszystko pochodzi, nawet gangrena; a jednak jej nie szanujemy, ale amputujemy dotknięte nią członki. Od Boga pochodzą wszy, pchły, pluskwy i inne plugastwo, a czyż dlatego mamy je czcić

i pielęgnować? Władza, która ssie naszą krew polską, która usiłuje niszczyć nasze życie narodowe czy religijne, jest dla nas władzą plugawą i szkodliwą. A kto broni takiej — prawowitej i od Boga pochodzącej ale — plugawej władzy, ten temsamem zrzeka się swoich praw do życia narodowego czy religijnego, ten staje się niewolnikiem niegodnym czci i szacunku. Pochodzenie władzy od Boga nieusprawiedliwia nadużycia władzy.

73. **Każdy niewolnik to ukryty buntownik.**

Kościół nie chce mieć niewolników także dlatego, że wie, iż każdy niewolnik to utajony buntownik, który przy lada sposobności staje się jawnym i otwartym buntownikiem. Akcja wywołuje reakcję, presja represję. Niewolnik i buntownik, to dwie ostateczności, które się stykają i całują nawzajem. Złoty środek pomiędzy nimi — to **sługa** wierny i posłuszny, którego obowiązki równoważą się z prawami mu przynależnymi. Sługa dobry zna swoje obowiązki i wiernie je wypełnia: ale zna i swoje prawa i umie się o nie upomnieć, a w razie potrzeby ich zażądać. Nigdy zaś nie podli się, nie płaszczy, nie łasi, do pochlebstw się nie zniża.

Bądźmy takimi, jakimi nas chce mieć Kościół katolicki: to jest dobrymi sługami, pełniącymi swoje obowiązki ale i szanującymi swoją godność ludzką i chrześcijańską. Nie bądźmy buntownikami, ale słuchajmy władzy we wszystkiem, co się nie sprzeciwia prawu i przykazaniom Bożym. Nie bądźmy atoli służalcami czyli niewolnikami i nie pozwalajmy sobie praw swoich odbierać. Tak buntowniczość jak i służalczość są występkami, które plamią człowieka. A tylko prawdziwe posłuszeństwo jest cnotą, która zdobi człowieka.

74. **Dlaczego faryzeusze oskarżali Chrystusa o bunt?**

Jeżeli lud buntował się przeciw faryzeuszom, to nie Chrystus był tego buntu przyczyną, lecz oni sami, faryzeusze. Uciskali bowiem lud i trzymali go w niewoli. „Bo wiążą brzemiona ciężkie i nieznośne i kładą na ramiona ludzkie: a palcem swym nie chcą się ich ruszyć“ (Mat. 23, 4). Otóż to było przyczyną buntu. Dlaczegoż jednak, zamiast siebie, Chrystusa Pana oskarżali, że „buntuje lud“, skoro Chrystus owszem zachęcał lud do posłuszeństwa faryzeuszom, mówiąc: „Na stolicy Mojżeszowej zasiedli doktorowie i faryzeusze; wszystko tedy, cokolwiek wam rozkażą, zachowywajcie i czyńcie.“

Pomimo to oskarżali Chrystusa o bunt. Dlaczego? Dlatego, że Chrystus prawdę głosił o faryzeuszach. I tę prawdę jawnie i publicznie głosił wobec ludu. Wołał Chrystus do ludu: „Ale wedle uczynków ich (faryzeuszów) nie czyńcie. Albowiem mówią a nie czynią" — czytaj u św. Mateusza cały rozdział 28 jak Chrystus gromi faryzeuszów.

Otóż takie głoszenie prawdy, jawnie i publicznie wobec ludu, nazywa się w języku faryzejskim „buntowaniem ludu".

Chrystus Pan wiedział, że tem publicznem strofowaniem **faryzeuszów nie nawróci,** ale owszem **ich jeszcze utwierdzi w złości i obłudzie.** A pomimo to ich gromił. W jakim celu? Otóż aby **ludziom** oczy otworzyć, aby lud uświadomić, aby lud wiedział co sądzić o faryzeuszach i ich „świętości", aby lud nie szedł w ślady ich a strzegł się obłudy i kwasu faryzejskiego.

Były to więc dla ludu **nauki zbawienne,** które atoli faryzeusze po swojemu nazwali „buntowaniem ludu."

Ludu nie buntuje ten, kto mu prawdę głosi: lecz kto lud uciska i krzywdzi, ten wywołuje bunt.

123. Fundamentem parafji są rodziny pojedyncze, a fundamentem diecezji są parafje. — Na fundamencie parafij narodowych trzeba budować diecezje narodowe, a nie mieszane. — Rozporządzenie Propagandy wrogie dla Polaków.

Sprawą biskupów polskich w Ameryce zainteresowała się ogromnie prasa polska w Europie. Petersburski „Kraj" pomieścił w tej sprawie obszerny artykuł, p. t. „Kościół i Narodowość", z którego tu przytoczę następujący wyjątek:

„...W rozmowie z redaktorem „Głosu Narodu" rzekł arcybiskup Symon: — Zamianowanie polskiego biskupa nie może zaspokoić słusznych życzeń ludu polskiego. W Stanach Zjednoczonych istnieje 95 diecezyj. Chociażby zarząd jednej z nich powierzono Polakowi, to w 94 pozostałyby nadal obecne nieznośne dla Polaków stosunki... Chociażby więc w jednej diecezji ustało wynaradawianie Polaków, gdzieindziej księża irlandzcy po dawnemu przerabialiby naszych wychodźców na anglo-amerykanów. W rozmowie z członkiem redakcji „Nowej Reformy" powtórzył ks. arcybiskup (Symon), iż w sprawie biskupów polskich główną trudność stanowi rozproszenie Polaków, jako mniejszości, wśród innych narodów..."

Do powyższych słów petersburskiego „Kraju" ogłosiłem w „Kurjerze Polskim" z dnia 20 lutego 1906 taki komentarz:

Dlatego biskup Trobec w liście r. 1903 do ks. Wacława Kruszki, bawiącego podówczas w Rzymie, trafnie zauważył, że mianowanie Polaka biskupem na jakiejś z istniejących stolic biskupich na nic albo mało co przydałoby się ogółowi polskiemu w Ameryce. On (biskup Trobec), choć jest Słowieńcem — pisze mi — dla Słowieńców **w innych diecezjach** nic zrobić nie może.

Biskup Polak — prawdziwy Polak, a nie sprzedawczyk ni zaprzaniec — zasiadający, dajmy na to, na stolicy Buffaloskiej, byłby raczej ozdobą niż pożytkiem dla Polonji amerykańskiej. A my nie chcemy biskupów ku ozdobie tylko, lecz **ku pożytkowi** dwumiljonowego społeczeństwa polskiego w Ameryce. Nie rozchodzi się nam tyle o zaszczyt, ile **o zaspokojenie duchownych potrzeb** Polonji amerykańskiej.

Gdzie Polaków najwięcej mieszka, jak w Chicago, Detroit, Buffalo, Milwaukee itd., tam właśnie są pierwszorzędne stolice biskupie. A nie ma wcale obawy, żeby na którejś z pierwszorzędnych stolic biskupich zasiadł biskup Polak. Do tego bowiem nigdy nie dopuszczą Irlandczycy ani Niemcy, tam, gdzie oni rej wodzą. Gdyby zaś Rzym nawet zdobył się na tyle odwagi i proprio motu (z własnego popędu) zamianował Polaka, to w takim razie „ostateczne rzeczy gorsze by były niźli pierwsze", to jest, niezadowolenie Irlandczyków, a względnie Niemców, większe jeszcze by było niż teraz Polaków.

Jakież więc wyjście?

Trudno darmo, **jakiem** to drzewo Kościoła tu **zasadzono, takiem** też rość i rozgałęziać się będzie. Zasadzono je różnojęzycznem w parafjach, więc i w diecezjach też różnojęzycznych siłą rzeczy rozrastać się musi i rozgałęziać. Zasadzono je w parafjach narodowych, więc i w diecezjach narodowych rozrastać się musi. Dopóki diecezje będą **mieszane,** dopóty **zamieszanie** trwać musi.

Seminarjum duchowne w St. Paul, Minn., acz jedno jest, z kilku jednak gmachów osobno i oddzielnie zbudowanych się składa. Podobnie, zakładając Kościół katolicki w tych tu Stanach Zjednoczonych, wszechmądry Budowniczy położył fundamenta nie pod jeden tylko gmach, ale pod kilka. Te **fundamenta** ręką Opatrzności położone, to są **parafje,** granicami narodowymi od siebie odgraniczone. Ręka zaś ludzka chce teraz na tych osobno i oddzielnie położonych fundamentach **jeden tylko gmach** stawiać i jednym wspól-

nym dachem „amerykanizmu" go pokryć. Ale to fuszerka, i nigdy się to nie uda. Pierwotne plany Budowniczego trzeba konsekwentnie dalej przeprowadzać i na osobnych fundamentach (narodowych parafjach) osobne też i oddzielne gmachy (diecezje narodowe trzeba stawiać. Żaden ludzki architekt, choćby się na głowę postawił, tego planu Opatrzności Boskiej już odmienić nie potrafi, ani nic mądrzejszego na jego miejsce nie wymyśli. Budujmy Kościół w Ameryce podług planów i zamiarów, jakie od początku, od założenia fundamentów miał Boski Architekt. Podług tych wskazówek budujmy dalej! Inaczej postępując, wybudujemy tylko **jedną** wielką wieżę — Babel!..."

W dalszym ciągu „Kraj" petersburski tak pisał:

„Niezależnie od tego (co arcybiskup Symon robi), społeczeństwo polsko-amerykańskie powinno dalej energicznie upominać się o biskupów Polaków i, mimo niepowodzenia, nie pozwolić sprawie spaść z wokandy..."

Do tych słów dodałem w „Kurjerze" 20 lutego 1906 taki komentarz:

A więc nie spuszczać się tylko na J. Exc. Symona. Jeżeli założywszy ręce będziemy tylko siedzieć cicho i bezczynnie, to arcybiskup Symon takiego lenistwa naszego wspierać nie będzie. Nawet Pan Bóg dopomaga tylko tym, którzy sobie pomagają. Pochlebstwem nic nie wskóramy. Pochlebcą każdy gardzi. I jeżeli nami, Polakami, dotychczas obconarodowcy gardzili, to głównie dlatego, iż było wśród nas zawsze zbyt wielu pochlebców i lizusów.

Pamiętajmy co głęboki nasz filozof Karol Libelt powiedział, że „w życiu prywatnem na grzeczności nikt nie traci, lecz **w życiu publicznem na grzeczności każdy traci.**" I tej zasady trzymają się Irlandczycy, Niemcy itd., którzy w życiu prywatnem uśmiechają się do nas, palą nam komplementa, ale w życiu publicznem co dla nas uczynili? Są nietylko niegrzeczni ale wprost bezczelni.

Bescheidenheit ist eine Zier,
Aber man kommt weiter ohne ihr!

Tak mówił wielki Goethe, i innonarodowcy tej zasady się trzymają. Że cię biskup ładnem słówkiem pogłaskał, że cię konsultorem albo monsignorem zrobił, to już ty, biedny Polaku, w swojej przesadnej skromności myślisz, że niewiedzieć co w udziale ci się dostało. Nie bądź tak skromnym, żądaj więcej, choćby nawet bez-

czelną ambicję miej! Lichy to oficer, który nie pragnie być generałem! Tak powiedział Napoleon Wielki i miał słuszność.

Opozycja biskupów przeciw równouprawnieniu kleru polskiego opiera się litylko **na uporze.** Żadnej racjonalnej podstawy nie ma. Na upór zaś niema lekarstwa. Upór trzeba **przełamać!** Innej rady niema.

Z dnia 22 lutego 1906.

75. **Biskup Horstmann dobrym Niemcem.**

Niemiecko-katolickie gazety niezmiernie się cieszą, że amerykańscy biskupi niemieckiego pochodzenia popierają niemczyznę i gorąco zachęcają młodzież niemiecką, tu urodzoną, do uczenia się niemieckiego języka. I my się z tego cieszymy. Niech każdy tak mówi, jak mu dziób urósł — wie ihm der Schnabel gewachsen. Niech nikt nie będzie papugą obcego narodu. Prawda, że czasem i papugi i małpy są potrzebne do rozweselenia drugich; ale być papugą lub małpą, choćby najlepszą, nikomu to zaszczytu nie przynosi.

Katolicki tygodnik „Ohio Waisenfreund" z 7 lutego 1906 pod tytułem „Bischof mahnt zum Deutschlernen" pisze:

„Jak donosi „Plain Dealer" z Cleveland, O., zeszłego tygodnia biskup Horstmann miał do młodzieńców licznie zgromadzonych w Cleveland wzruszającą przemowę, która i w innych miastach zasługuje na uwagę. W natarczywy sposób zachęcał członków Towarzystwa Młodzieży do pielęgnowania niemieckiego języka. Jest to pocieszającem z tak wysokiego stanowiska biskupiego usłyszeć taką mowę."

76. **Arcybiskup Messmer poleca czytanie niemieckiej gazety.**

Niemiecko-katolicki tygodnik „Columbia" z Milwaukee, urzędowy organ arcybiskupi, w nr. 7 z dnia 15 lutego 1906 na pierwszej stronicy w osobnej obwódce umieszcza wielkimi czcionkami własnoręczny po niemiecku pisany list arcybiskupa Messmera, datowany 9 lutego 1906. W liście tym arcybiskup gorąco poleca ludowi czytanie niemieckiej gazety „Columbia".

77. **Arcybiskup Moeller także dobrym Niemcem.**

Taż niemiecka „Columbia" w redakcyjnym artykule powtarza za „Illinois Staatszeitung" pod tytułem „Arcybiskup Moeller a Niemczyzna" co następuje:

„Jako odstępca bywa w katolickich niemiecko-amerykańskich pismach przedstawiony arcybiskup Heinrich Moeller z Cincinnati, O.... Atoli na szczęście teraz nadchodzi z Cincinnati zapewnienie, że arcybiskupa Moellera zupełnie źle zrozumiano, że on bynajmniej do porzucenia niemczyzny nie zachęcał..."

78. **Pogłoska, że Rzym chce dzieci polskie angielszczyć, jest dotychczas nieuzasadnioną.**

Tak więc niemieccy biskupi i arcybiskupi, obok angielskiego, chcą tu swój niemiecki język utrzymać. Irlandzki zaś episkopat, jak to już widzieliśmy, chce wskrzesić swój irlandzki język. Wskrzeszenie to trudniej im przyjdzie niż innym zachowanie swego języka. W każdym razie faktem niezaprzeczonym jest to, że Irlandczycy w Ameryce chętnieby po irlandzku mówili, gdyby tylko umieli. Te dobre ich chęci wystarczą nam za czyn.

Wobec tego zupełnie nieprawdopodobną wydaje mi się pogłoska, jakoby Rzym nakazał był biskupom amerykańskim wyrugować ze szkół język polski, jakoby Propaganda rozporządziła, „aby w szkołach polskich językiem wykładowym wszystkich w ogóle przedmiotów naukowych był język angielski". Rozporządzenie takie miała Propaganda wydać „właśnie wtedy, kiedy ks. W. Kruszka opuszczał Rzym, uradowany obietnicą, że sprawa nasza będzie w krótkim czasie pomyślnie załatwiona". Pogłoska ta pochodzi od redaktora buffaloskiego „Polaka w Ameryce".

Ja w to nie wierzę, żeby tylko język niemiecki i irlandzki, obok angielszczyzny, miały tu prawo bytu, a polski język miałby przez najwyższą władzę kościelną być skazany na zagładę, na wymarcie.

Ja to „między bajki włożę".

Ale starożytny poeta Horacy powiedział, że „każda bajka zawsze pół prawdy w sobie mieści" — dimidium veri fabula semper habet.

Lecz choćby całą prawdę ta bajka zawierała, choćby Propaganda istotnie wydała takie rozporządzenie — to cóż z tego?

Nikt nas nie wynarodowi, jeśli tylko my sami się nie wynarodowimy.

Owszem, dla narodowości polskiej **lepiej** by było, gdyby takie rozporządzenie Propagandy biskupi (jeśli je mają) **natychmiast ogłosili**: a gorzej, jeśli mając je, w zanadrzu je chowają. W tym

ostatnim wypadku mielibyśby do czynienia z **ukrytym** wrogiem, a taki byłby najniebezpieczniejszym!

124. Ajrysze wpierw mówili: Gdy Polacy się zangielszczą, to cała Ameryka przyjmie wiarę katolicką. — A teraz mówią: Alboż gramatyka angielska jest wartą nieśmiertelnej duszy? — Istny kulturkampf w Ameryce.

79. **Łakomy dwa razy traci.**

Kilkanaście lat temu, łakomi władzy i panowania Irlandczycy marzyli o nawróceniu całej Ameryki. Kardynał Gibbons, arcybiskup Ireland, Ryan itd. głosili roku 1892 na wszechświatowym kongresie religijnym podczas wystawy w Chicago, że „Amerykanie", mając umysł otwarty na prawdę, chętnie przyjmą wiarę katolicką.

— Jednej tylko rzeczy potrzeba — mówili — a to tej, ażeby Kościół katolicki w Ameryce nie nosił cechy cudzoziemskiej, lecz miał cechę wybitnie „amerykańską": a wtedy „Amerykanie" wszyscy bez wyjątku przystąpią do takiego Kościoła.

W tym też celu katoliccy Polacy, Niemcy, Francuzi, Czesi itd. mieli się czemprędzej „zamerykanizować" (czytaj „zangielszczyć"), porzucić swój ojczysty język i obyczaje, a przyswoić sobie angielski język i obyczaje. Amerykanizowano tedy na gwałt, aby przyspieszyć tę chwilę, kiedy cała Ameryka miała przejść na łono Kościoła. Dla Polaków, Czechów itd. nietylko o biskupów się nie starano, ale mało się starano i o księży polskich, czeskich itd. A jeśli się już wystarano, to nie pytano o jakich.

— Im gorszego kalibru ci księża byli, tem lepiej — mówiono — bo tem prędzej Polacy, Czesi itd. się zamerykanizują i do irlandzkich kościołów przystąpią.

Takiej taktyki się trzymano długi czas, mniemając, że cel uświęci środki. Celem bezpośrednim było zamerykanizowanie katolików polskich, czeskich itd.; a dalszym — nawrócenie całej Ameryki, w której wtedy całej jak długa i szeroka będą niepodzielnie panowali Irlandczycy.

I jakiż rezultat tego?

Ten, że dziś zamiast 30 miljonów katolików — bo tyle ich przywędrowało do Ameryki — liczymy zaledwie 13 miljonów...

Przeszło połowa katolików „zamerykanizowała" się istotnie. Ale czy przez to „Amerykanów" przyciągnęła do Kościoła?

Nie, lecz przeciwnie. Przebiegli amerykanie tych „zamerykanizowanych“ katolików przyciągnęli do siebie, powiększając w ten sposób swój obóz bezwyznaniowy.

Doświadczyli tego Irlandczycy nietylko na innych narodowościach, ale — co im najbardziej do przekonania trafiło — na swojej własnej irlandzkiej narodowości. Więc w tych dwóch zwłaszcza ostatnich latach zaszła u Irlandczyków, jak to z ich pism widać, radykalna zmiana poglądów na kwestję językową i narodowościową w Kościele katolickim.

80. **Teraz Irlandczycy trąbią do odwrotu.**

Taktyka amerykanizowania czyli anglizowania Polaków, Francuzów itd. okazała się w długoletniej praktyce bardzo zgubną i szkodliwą dla Kościoła katolickiego. Irlandczycy wreszcie, lepiej późno niż nigdy, przyszli do poznania tej wielkiej prawdy, że języków i narodowości bezkarnie naruszać nie można; że kto je narusza, ten narusza porządek przyrodzony; i że z naruszeniem porządku przyrodzonego zachwiać się i upaść musi także porządek nadprzyrodzony czyli religijny.

I oto, co teraz pisze taki np. na wskroś irlandzki tygodnik „Catholic Union and Times“ z 22 lutego 1906, organ przyboczny biskupa Coltona w Buffalo. W artykule **od redakcji** czytamy dosłownie co następuje pod takim tytułem:

„Jestże to warte nieśmiertelnej duszy?

W ostatnich czasach słyszymy z wysokich źródeł (from exalted sources) wiele o Ameryce i o angielskim języku. Wielce pożądanem (the great desideratum) zdaje się być to, żeby angielski język był językiem Ameryki. Czemużby tak być miało? Czyż Ameryka nie jest schroniskiem uciśnionych narodów, i **czyż te narody nie mają tu mieć tego najprostszego prawa** do mówienia swoim własnym językiem i uczenia się swojej wiary katolickiej w języku, który po swojsku przemawia do ich serca i rozumu, który rozwesela ich serce i oświeca ich rozum? A nadto, **czyż angielski język z istoty swej nie jest właśnie tym językiem, który się zbrudził odpadkami tysiąca herezji?** (is not the English language a language which has been polluted with the garbage of a thousand heresies?). Czyż nie jest to faktem jasnym, jak słońce (a solema fact) — tak ściśle jest połączony dom z kościołem, wiara z ojczyzną — że Francuz lub Niemiec, kiedy zaniedba swój ojczysty język, traci

z nim i swoją wiarę? **Alboż angielska gramatyka jest wartą nieśmiertelnej duszy?"**

Otóż to są słowa świętej prawdy, które nabierają tem większej wagi, że są wypowiedziane — nie przez polski lub niemiecki, lecz — przez irlandzki organ katolicki, przez tych samych Irlandczyków, którzy mówiąc sami tylko po angielsku, do niedawna jeszcze utrzymywali, że i Polacy, Czesi itd. muszą w tym kraju tak samo mówić tylko po angielsku i uczyć się zasad wiary po angielsku, bo inaczej przepadną dla Kościoła.

Czytając powyższe słowa w buffaloskim „Catholic Union and Times", kilka razy spozierałem na tytuł gazety, własnym oczom nie wierząc, żeby to irlandzka gazeta pisała. Czy to nie buffaloski „Polak w Ameryce" tak pisze? czy ów artykuł nie został „nadesłany" przez Polaka lub Niemca? Takie pytania mimowoli mi się nasuwały. Ale nie. Bo ten artykuł wyraźnie umieszczony w **irlandzkiej** gazecie i **w dziale redakcyjnym!**

Tak więc Irlandczycy po długiem a smutnem doświadczeniu sami przyszli do tego przekonania, że „Francuz lub Niemiec, kiedy zaniedba swój ojczysty język, traci z nim i swoją wiarę".

Tak więc Irlandczycy uznali tę świętą prawdę — **w teorji.** A w praktyce, dopókiż jeszcze sprzeciwiać się będą tej uznanej chrześcijańskiej prawdzie i grzeszyć przeciw Duchowi św.? Dopókiż będą zalecać, ba, nawet rozkazywać uczyć zasad wiary w angielskim języku, w tym języku „zabrudzonym odpadkami tysiąca herezyj", zamiast w czystym polskim języku? Dopóty, dopóki ich zaślepiać będzie samolubstwo i pycha i żądza władzy i panowania w Kościele!... a to ukarze Pan Bóg Iralndję w tem, w czem zgrzeszyła tu wobec innych narodowości...

81. **Istny kulturkampf w Ameryce.**

W **praktyce** bowiem nie widać dotychczas żadnej zmiany na lepsze. Owszem, zanosi się na coraz gorsze rzeczy. Episkopat irlandzki, na wzór rządu pruskiego, istny „kulturkampf" rozpoczął na dobre nietylko z nami Polakami ale i z innemi narodowościami. Weźmy np. niemiecko-katolickie gazety. Całe szpalty w nich są zapełnione tym „kulturkampfem w łonie Kościoła", jak go nazywają Niemcy „Kulturkampf im Schoosse der Kirche selbst".

Ze stanu New York, gdzie właśnie wychodzi ów wyż wspomniany „Catholic Union and Times", dochodzą gorzkie żale i skar-

gi na Irlandczyków, że rugują z kościołów niemiecki język. „Ohio Waisenfreund“ z tego powodu tak grozi Irlandji:

„Na sądzie ostatecznym pokaże się, ile to szkody wyrządziło się duszom nieśmiertelnym przez ten **kulturkampf,** który tu niestety w łonie Kościoła samego powstał przeciw pewnej części wiernych jego dzieci i który już od 30 lat się sroży w Kościele tego kraju!“...

125. Piekielne hasło „Dziennika Chicagoskiego“. — Broni stanowiska zajętego przez anglizatorów. — Każdy taki święty ma swoje wykręty.

Z dnia 3 marca 1906.

82. **Przędą nici, z których dla polskości uprząść się musi stryczek.**

Nasi polscy **ugodowcy** — tak nazwię tych, którzy się zgadzają z arcybiskupem Quigley, zaprowadzającym język angielski jako wykładowy przy nauce religji — nie czynią wprawdzie wprost i otwarcie zamachu na język polski, ale, wiednie czy bezwiednie, przędą oni nici, z których się dla polskości uprząść musi stryczek.

Stryczek dla wiary najpierw narodowej a w następstwie i religijnej.

To siłą nieubłaganej logiki nastąpić musi — jeśli społeczeństwo polskie na wzór owych dzielnych wiarusów z parafji ks. Pyplatza zawczasu nie potarga i nie pozrywa im tych nici.

Już na Kongresie III w Pittsburgu roku 1904 pewien odłam księży „polskich“ zaczął prząść te nici. Ale i wtedy natychmiast ogromna większość delegatów potargała im tę przędzę. Pomimo to przędli oni pokryjomu dalej. Nie znalazłszy na Kongresie poparcia **ogółu polskiego,** szukali sprzymierzeńców gdzie indziej.

No, i znaleźli ich w klice „Ojców chicagoskich“.

Z tymi na spółkę przędą teraz te nici dalej. Czyżby arcybiskup chicagoski odważył się wydać owo rozporządzenie, urągające wszelkiemu prawu tak przyrodzonemu jak i nadprzyrodzonemu, gdyby był zgóry wiedział, że napotka na opór ze strony księży obecnych na synodzie? Nie! Lecz wiedział zgóry, że rządząca w Chicago klika „ojców grobowców“ sprzyja jego asymilacyjnej polityce.

„To jest właśnie nasze nieszczęście — tak pisał mi przecie ks. Kazimierz Truszyński, prezes Wydziału W., 9 stycznia 1906 — że bardzo dużo jest u nas **tchórzów,** exemplum, ciche zachowanie się chicagoskich kapłanów wobec rozporządzenia w sprawie nauczania dzieci w naszych szkołach... Gdy parę lat temu arcybiskup Messmer wydał rozporządzenie podobne, atoli nie tak niebezpieczne, krzyk i hałas był w Chicago. Dziś Chicago milczy, z pokorą całując dłoń tego, który godnie spełnia urząd księcia Bismarcka tu na wolnej ziemi amerykańskiej..."

Dodajmy, że sprytniej niż Bismarck. bo na żelazną rękę, którą chce zgnieść naszą narodowość, przywdział jedwabną rękawiczkę.

83. **Jak „Dziennik Chicagoski" broni asymilacji żywiołu polskiego.**

„Dziennik Chicagoski", organ kliki ojców rządzących w Chicago, w nr. 44 z 26 lutego 1906, przyznaje wprawdzie, że „nietylko liberalni i narodowcy" (tych dwu nazw używa się w przeciwstawieniu do „samolubów i kosmopolitów"), **lecz i katolicy** kiwają głowami, szemrzą i protestują" przeciw owemu rozporządzeniu arcybiskupiemu. To przyznaje sam „Dziennik Chicagoski".

Pomimo to broni owego rozporządzenia na swój sposób. to jest, z chytrością iście szatańską i w imię hasła iście piekielnego, bo owego „Lasciate ogni speranza", wypisanego nad bramą piekła, to znaczy: Porzućcie wszelką nadzieję, że się jako Polacy tu utrzymacie!

Powiada ów „Dziennik", że rozporządzenie to wydane zostało dla dzieci", które już zatracają **poczucie potrzeby** a nawet możność mówienia i myślenia po polsku".

I ta racja ma usprawiedliwić owo rozporządzenie?

Więc że dziecko utraca poczucie potrzeby uczenia się czegoś, to dlatego nie mamy go uczyć tego przedmiotu?

A ileż to dzieci zatraca poczucie potrzeby uczenia się wogóle czegokolwiek, bo woli się bawić: czyż dlatego nie mamy ich uczyć wcale?

Ileż to dzieci zatraca poczucie potrzeby pilności, posłuszeństwa, pobożności: czyż dlatego nie mamy ich nakłaniać, zachęcać, ba nawet przymuszać do pilności w nauce, do posłuszeństwa i karności?

Zaiste, szatańskiej chytrości potrzeba, żeby takimi racjami usprawiedliwiać owo rozporządzenie arcybiskupa Quigley'a.

Toż w tym kraju nietylko dzieci, ale i starsi zatracają poczucie potrzeby modlenia się i poszczenia: więc konsekwentnie podług logiki „Dziennika Chic.“ należałoby wydać rozporządzenie arcybiskupie, żeby katolicy zaprzestali pościć i słuchać Mszy św., żeby zasymilowali się z resztą Amerykanów, zamerykanizowali się, bo przecie słuchanie Mszy i post to także starokrajskie praktyki a nie „amerykańskie“.

„Zatracają możność mówienia po polsku“ — chyba z lenistwa lub niedbalstwa albo fałszywego wstydu: a czy tego chce „Dzien. Chic.“ bronić?

I w tem tkwi właśnie owo wielkie niebezpieczeństwo, że wraz z utratą języka ojczystego dzieci tracą i wiarę i obyczaje, co już nawet Irlandczycy sami rozumieją i przyznają. Niebezpieczeństwo to pochodzi właśnie stąd, że **ponieważ dzieci zatracają poczucie potrzeby** mówienia po polsku, więc my starsi (rodzice, księża, biskupi) już dlatego **uwalniamy ich od obowiązku mówienia po polsku.** Dziecko zaś (ma i ono swój rozum, nie bójmy się!) to iście szatańskie rozumowanie w późniejszem życiu stosuje do siebie i mówi sobie tak:

„Skoro dlatego, że zatraciłem poczucie potrzeby mówienia po polsku, uwolniono mnie od obowiązku tego: to i teraz, kiedy nie czuję potrzeby modlić się i pościć, wolnym jestem od modlitwy i postu!“

Takim jest psychologiczny proces, jakim za utratą narodowości idzie niechybnie utrata wiary i obyczajów.

Nauczywszy się zaniedbywać obowiązków przyrodzonych, jeszcze z większą łatwością nauczy się zaniedbywać obowiązków nadprzyrodzonych, religijnych, i zostanie — tym szarym amerykaninem, to jest, bezwyznaniowcem albo indyferentystą.

Czyż nie w ten sposób ta ogromna nieprzejrzana rzesza „Amerykanów“ się zrekrutowała? I my mamy rozporządzenia popierające taką „amerykanizację“ pochwalać? albo milczeniem na nie zezwalać? Chyba, że wraz z owymi „dziećmi“ od „Dziennika Chicagoskiego“ zatraciliśmy już poczucie potrzeby mówienia i myślenia po polsku“...

84. Piekielne hasło „Dziennika Chicagoskiego“.

To nad bramą piekła przez Dantego wypisane hasło: „Porzućcie wszelką nadzieję“ jest — ma się rozumieć — hasłem „Dziennika Chicagoskiego“.

W imię tego hasła broni on rozporządzenia arcybiskupa Quigley'a.

„Nic i nikt — tak wyraźnie głosi „Dziennik Chicagoski" 26 lutego 1906 — nie zdoła zapobiec anglizowaniu dzieci polskich". Dlatego „nie buntujemy się przeciw rozporządzeniom biskupów amerykańskich", lecz poddajemy się im jako praedestinati ad damnationem, jako skazani na potępienie, na wieczną śmierć i zagładę narodową.

Oto hasło organu „Ojców chicagoskich!!"

Dlaczego to zwątpienie? Czy już całe „młodsze pokolenie parafjan mówi i myśli po angielsku" tylko? Czy już większość po polsku wcale nie mówi?... Choćby i tak źle już istotnie było, to jeszcze powinniśmy raczej nadzieją się podnosić aniżeli zwątpieniem upadać na duchu.

Co dobrego przyjdzie ze zwątpienia, jakie „Dzien. Chic." szerzy? Że młodsze pokolenie lgnie do angielszczyzny, że chętniej po angielsku mówi niż po polsku: to dlaczego mamy już na duchu upadać i uważać narodowość polską za straconą? i nic w tym kierunku nie robić, żeby ją utrzymać?

Za pozwoleniem zrobię tę paralelę:

Młodsze pokolenie lgnie do grzechu, do lenistwa, do rozpusty. Chętniej się bawić lubi niż uczyć. Chętniej i częściej klnie i wyzywa niż się modli. Chętniej do teatru i na tańce uczęszcza niż do kościoła. Czyż dlatego już mamy wiarę katolicką uważać tu za straconą? czy mamy opuścić ręce i nic w tym kierunku nie czynić, by wiarę ojców naszych tu podtrzymać?

Podług piekielnego hasła „Dziennika Chicagoskiego" powinniśmy i w tym względzie „porzucić wszelką nadzieję". Ale inaczej myśli i rozumuje chrześcijanin. Ten ma „nadzieję przeciw nadziei". I im więcej zła i grzechów widzi, tem gorliwiej pracuje nad zbawieniem dusz.

A prawy Polak, który prawdziwie po chrześcijańsku myśli i rozumuje, powie sobie tak samo:

„Upadki i odpadki od narodowości polskiej są wprawdzie liczne w tym kraju. Ale to mnie nie odstraszać, lecz owszem tem więcej zachęcać powinno do pracy nad utrzymaniem narodowości polskiej w Ameryce".

W dziedzinie religji „sprawiedliwy siedmkroć na dzień upada". Dlatego jednak jeszcze nadziei nie traci!

Nie tylko polskość — religja w tym tu kraju jeszcze bardziej zagrożona jest niż polskość! Czyż dlatego mamy przyjąć to rozpaczliwe hasło „Lasciate ogni speranza" — porzućcie wszelką nadzieję?

Nie! I stokroć nie!

To by było niechybnym znakiem potępienia naszego. Bo nadzieja stracona — wszystko stracone. Z piekła rodem są te fatalne słowa:

„Błogosławieni, którzy się niczego nie spodziewają, albowiem oni nigdy zawodu nie doznają".

Klika **grobowców** niechaj sobie wątpi. Ale **żywi** niechaj nigdy nie tracą nadziei!

85. **Droga do nieba idzie pod górę, a do piekła z góry na dół.**

Droga do zachowania narodowości polskiej w Ameryce nie jest usłana różami. To prawda. Jest ciernistą, podobnie jak droga do zachowania przykazań Bożych. Uczenie młodzieży języka polskiego idzie tu ciężko i trudno jak wóz pod górę — trzeba go ciągnąć. Uczenie zaś angielszczyzny idzie tu łatwo jak wóz z góry. Ten wóz angielszczyzny idzie z góry na dół sam własnym pędem. Nie potrzeba go popychać rozporządzeniami biskupimi, ale raczej trzeba by go powstrzymywać. Czemu? Bo inaczej się rozbije i rozleci, spadając w przepaść tego „amerykanizmu", który się zowie **bezwyznaniowością.**

Wszelki grzech i występek łatwo popełnić. Wszelka zaś cnota wymaga trudu i wysiłków nieraz prawie nadludzkich. Że zachowanie ojczystego języka w tym tu kraju jest trudnem i prawie niemożliwem, czyż dlatego wolno nam go porzucić? Ależ zachowanie przykazań Bożych jeszcze jest trudniejszem i dla większości ludu wydaje się niemożliwem: więc konsekwentnie, panowie i Ojcowie od „Dziennika Chicagoskiego", wystarać się powinniście o rozporządzenie biskupie, kasujące Dziesięcioro Przykazań Boskich jako starokrajski, przestarzały zabytek, nie zgadzający się z „amerykanizmem". I zdaje się mocno, że o takie rozporządzenie już się wystaraliście, przynajmniej o zniesienie pewnych kilku Przykazań, bardzo wam niemiłych i trudnych do zachowania. Tylko że jako zdeklarowani **konserwatyści,** zachowawcy, samoluby, zachowujecie tę dyspensę biskupią dla siebie...

86. **Renegaci narodowi mają gotowe wymówki.**

Księża, broniący takich rozporządzeń antypolskich, mają zawsze gotową wymówkę na usprawiedliwienie swojego postępo-

wania. Swoje odstępstwo narodowe umieją nawet pokryć płaszczykiem patrjotyzmu.

Każdy występek chętnie przybiera pozory cnoty.

Wykręty i sofisterje naszych renegatów w Ameryce przypominają mi owego szlachcica z opłakanych czasów rozbioru Polski, który jako zdrajca kraju i sprzedawczyk brał pieniądze od carycy Katarzyny — a na to znalazł gotową wymówkę, mówiąc, że czyni to, **aby skarb moskiewski zubożyć!**

Podobnie i tu w Ameryce żaden, choćby najjawniejszy, odstępca i renegat, nie powie, że chce narodowość polską zaprzedać. Ale każde niepolskie i szkodzące narodowości postępowanie usiłuje ubarwić jakiemś mędrkowaniem, niby głęboko politycznem, niby chrześcijańskiem, jakąś teorją sfabrykowaną dla własnego interesu i wygody (porównaj „Dzien. Chic." nr. 44).

Wszakże są tacy, którzy rozporządzenia antypolskie chwalą dla przypodobania się biskupowi. A gdy się puszczają na te nikczemne umizgi i nadskakiwania, mówią, że to czynią jedynie dla uproszenia łask biskupich na korzyść ogółu polskiego. Ogół wierzy a może i nie wierzy, ale — milczy!

I tak przy zetknięciu się naszem z episkopatem amerykańskim, przy stawieniu się wobec niego zbiorowo, nie umiemy zachować cokolwiek wznioślejszego publicznego charakteru ani tego piętna godności spokojnej, jaka cechować winna naród, który czuje słuszność swej sprawy. Wszystko, co żyje w około nas, dźwiga się, prostuje — my tylko sami się płaszczymy. My tylko sami nie rozumiemy, że dziś już ani podejściem, ani ujęciem czy pochlebstwem, ale tylko **męskiem i jawnem działaniem** praw swoich bronić i dochodzić możemy.

Rezultatem tych wszystkich dyplomatycznych oświadczeń, tych demonstracyj lojalizmu i służalczej uległości, jest coraz głębsze poniżenie narodowości polskiej w Ameryce.

126. Rzym nam nie pomoże, jeśli sami sobie nie pomożemy. — Secessio in montem sacrum. — Biskupów obconarodowych przyjmujmy jako obcych, a nie jako swoich. — Dajmy im to poznać, że nie są naszymi własnymi pasterzami.

Co do tego, żeby dzieci polskie uczono religji po angielsku, musiało podówczas istnieć porozumienie między biskupami irlandzkimi. Bo za arcybiskupem Quigley poszedł biskup Foley w Detroit.

Ale Polacy w Detroit na ogólnem zgromadzeniu wybrali komitet, który udał się do biskupa Foley'a i stanowczo zażądał od niego zniesienia bezprawnego rozporządzenia językowego.

Z Pittsburga, Pa., 5 marca 1906 pisał mi pan Jan M. Horodyski, ówczesny manażer Banku Metropolitan:

„Wielebny i Drogi Księże Proboszczu! Niech Ci Bóg dopomaga w Twych dążeniach, a bądź przekonanym, że dobrze myślący będą przy Tobie, bo czują i wierzą, że dusza Twoja do Aten się skłania, że nawa polska w Ameryce już poczyna grzęznąć w błocie, a że Ty, Drogi Księże Proboszczu, o ile siły Twe potrafią, pragniesz dźwignąć okręt nasz na pełne morze!!...“

Pan Modest Maryański z Chicago 1 marca 1906: „Niechaj mi wolno będzie złożyć Tobie, Najczcigodniejszy Księże Proboszczu, hołd prawdziwy za odwagę i męstwo, z jakiem walczysz i potykasz się o dobra nasze najwyższe z innoplemieńcami, a i też ze zbłąkanymi i zamerykanizowanymi braćmi naszymi. Podziwiam też mądrość Twoją w argumentacji i zdolność władania piórem...“

Dnia 5 marca 1906 obchodziłem 10-letni jubileusz mojego w Ripon pobytu. W dniu tym wysłałem 124.40 dolarów do Henryka Sienkiewicza na głodnych w Królestwie Polskiem. Sumę tę przesłał mi ks. S. A. Dreier z Sugar Notch, Pa., 28 lutego 1906 z następującem poleceniem: „Z powodu, iż parafjanie kościoła św. Rodziny mają największe zaufanie do Wiel. Ks. Dobrodzieja co do wysyłania pieniędzy na głodnych braci w Królestwie Polskiem w pewne ręce, dlatego załączam czek na 124.40 dolarów na tenże cel i proszę łaskawie wysłać te pieniądze do pewnego komitetu w Królestwie Polskiem...“

Jaką odpowiedź dał mi Henryk Sienkiewicz, zobaczymy później.

Artykuły moje ogłaszane były do 24 lutego 1906 pod tytułem „Wiadomości Kościelne“. Potem ten tytuł zmieniono na „Sprawy Kościelne i Narodowe“. Oto ciąg dalszy:

Z dnia 8 marca 1906.

87. **Wieści z Rzymu są takie: Symon bezwładny, papież bezsilny. Pomagajmy sami sobie, nie licząc na innych.**

Adam Darowski, rzymski korespondent gazet w Polsce wychodzących, pisze mi z Rzymu pod datą 17 lutego 1906 co następuje:

„Miałem sposobność widzenia się dwukrotnie z ks. arcybiskupem Symonem. Położenie jest **bardzo trudnem. Najpierw**, teraz nie wakuje żadna katedra w Stanach Zjedn. **Powtóre**, arcybiskup Symon przejdzie pewno na metropolitę do Petersburga, na miejsce ś. p. arcybiskupa Szembeka — może już w marcu ogłoszoną zostanie nominacja na konsystorzu.

„**Po trzecie.** Watykan jest **w niewoli u Irlandczyków**, bo taka jest organizacja Kościoła w Stanach Unji.

„Ja sam nie wiem, czy jest droga wyjścia z takiego położenia, i kto po Symonie będzie się opiekował sprawą! Doprawdy ci biskupi irlandzcy to wilki w owczarni.

„Ale czy niema sposobu, aby nie było schyzmy; ażeby strajk urządzić generalny? Czy niema innej drogi? **Nie zrywać z Rzymem, ale zerwać z biskupami?**

„Arcybiskup Symon dał mi broszurkę zawierającą **drugą** instancję, jaką w tej sprawie wniósł do Piusa X i do Propagandy Wiary. Dobrze jest napisana (i dam z niej sprawozdanie) — ale czy się na co przyda?

„Na kongresie chyba sprawa będzie omówioną, bo jeśli się nie mylę, Polacy zwołują kongresy (tak! i tego roku powinni zwołać!).

„Don Fiori mówił mi, że jest nadzieja, iż choć jednego biskupa otrzymają Polacy, tymczasem; ale Symon o tem nic mi nie nadmienił.

„Bóg raczy wiedzieć, czy **secessio in montem sacrum** (ustąpienie ludu na górę świętą) nie jest konieczną.

„Gazety otrzymałem i arcybiskup Symon też.

„Ale jak będzie po wyjeździe jego — choć pono **zachowałby** sobie mieszkanie tutaj i **spędzałby** co rok parę miesięcy w Rzymie.

„Donoszę o tem, co wiem i załączam wyrazy głębokiego szacunku".

Tyle z Rzymu.

88. **Wobec tego co nam wypada czynić? — Secesja na górę świętą!**

A więc ani arcybiskup Symon ani sam papież nic nam nie pomogą, jeśli my sami sobie nie pomożemy. Bo i grzech by mieli, gdyby naszą bezczynność i bezradność, słowem, nasze lenistwo i tchórzostwo wspierać mieli. Dlatego nawet Pan Bóg tylko tym

pomaga, którzy sami sobie pomagają. Leniwców i tchórzów nie wspiera.

Więc pomóc sobie sami musimy — i to stanowczo i skutecznie. Lecz w jaki sposób?

Otóż zażądajmy tego, do czego mamy prawo. Ale **zażądajmy** nie słowem tylko (bo słowo to wiatr) lecz **czynem i postępowaniem swojem.** Nie jesteśmy niewolnikami biskupów tutejszych, lecz tylko sługami. A jako słudzy, jak mamy obowiązki względem nich, tak mamy i prawa. Mamy coś do żądania od nich. Czyli innemi słowy, i biskup ma pewne obowiązki względem nas, które spełnić musi, jeśli chce być **naszym** biskupem.

Biskup to pasterz z pastorałem czyli władzą pasterską, której księża nie mają. Jako **pasterz** biskup ma **paść** owieczki swoje słowem Bożem. To jego najpierwszym obowiązkiem. Ma **bierzmować,** to znaczy, **utwierdzać lud we wierze.** A jak? Czy tylko olejkiem? Nie, lecz głównie **słowem Bożem!** Otóż jako słudzy wierni, a nie jako niewolnicy, my Polacy mamy przedewszystkiem to święte prawo zażądać od biskupów tutejszych, żeby **w naszych kościołach polskich,** ilekroć przychodzą nas bierzmować czyli utwierdzać we wierze, to słowo Boże opowiadali nam nie w obcym języku lecz **w naszym własnym polskim języku!**

A czemu nie w języku krajowym, in the language of the country? Bo co innego język krajowy, a co innego język kościelny.

Kościoły polskie mają prawo żądać słowa Bożego w języku polskim. Inaczej, niech się nie nazywają polskimi! Wiara nasza jest i powinna być katolicką. Ale „języka katolickiego" nie znamy. Język nasz jest i pozostanie polskim. W polskich kościołach wiara katolicka powinna być głoszona w języku polskim.

A jeżeli biskup, który jako pasterz głosi wiarę katolicką, jest uprzedzony do Polaków i będzie chciał nie jako gość, ale jako pasterz nasz własny przemawiać inaczej niż po polsku, to lud polski może mu pozwolić śmiało przemawiać do ławek próżnych. Albo, znienacka zaskoczony, może spokojnie i bez hałasu opuścić gromadnie kościół, jak to ajrysze i Niemcy zwykli czynić, ilekroć ksiądz w kościele zaczyna polskie kazanie. Albo jak ongi lud rzymski pokrzywdzony w swoich prawach uczynił, to jest, urządził tak zwaną „secesję na górę świętą" — którą napomyka wyżej przytoczony list z Rzymu.

Jest to jedyny a zupełnie legalny i godziwy środek. Jeśliby zaś który biskup wam powiedział, że taki środek jest niegodziwy — napiszcie o tem i co biskup powiedział.

Rzym nam pomoże, jeśli sami sobie pomożemy. Musimy Rzymowi pokazać, że każdy biskup katolicki, czy ajrysz czy Niemiec, jest chętnie widziany w kościołach polskich **jako gość, ale nie jako pasterz,** który ma nas paść słowem Bożem. Pasterzem **naszym** może i powinien być tylko biskup polski.

To powinniśmy czynem pokazać Rzymowi. Bo jeśli Rzym słyszy, że my biskupa ajrysza lub Niemca przyjmujemy z wielką pompą, większą niż sami ajrysze lub Niemcy, to co o nas Rzym ma myśleć? Chyba jedynie to, że my z biskupów ajryskich lub niemieckich jesteśmy najzupełniej zadowoleni!

Naszego lenistwa i tchórzostwa Rzym wspomagać nie będzie. Byłoby to grzechem wspierać czyjeś lenistwo i tchórzostwo.

Na co się zda narzekać **słowem,** że biskupów polskich nie mamy, że nas chcą wynarodowić, **jeśli czynem i postępowaniem nie** pokażemy, że nie chcemy się dać wynarodowić, że ajryscy i niemieccy biskupi jako pasterze nie są pożądani w kościołach naszych, że my polskich biskupów istotnie mieć pragniemy.

Wszelkie **słowne** żale i skargi, prośby i groźby, na nic się nie zdadzą — dopóki obconarodowych biskupów z wielką pompą przyjmować będziemy, już nie jako gości i pasterzów obcych, ale — jako **pasterzów naszych.** Kiedy oni nas **paść** nie mogą, tylko **truć** nas mogą i trują nas ciągle, jak to wiemy z codziennego doświadczenia. Po co więc udawać, że ich mamy za **swoich pasterzy?...** Jako gościa i pasterza obcego zawsze będziemy czcić i szanować każdego biskupa katolickiego, ale nie jako własnego pasterza. To powinniśmy Rzymowi czynem okazać. Nie w słowie, lecz **w działaniu** leży potęga!

Jak zbawienie duszy nie od Boga tylko zależy, lecz i od ciebie! Tak i podtrzymanie polskości i uzyskanie biskupów polskich nie od papieża tylko, lecz i od ciebie, ludu polski, zależy!

Jeśli chcesz pozostać polskim, jeśli chcesz mieć biskupów polskich, **pokaż to czynem,** że tak chcesz! Pokaż czynem, że z biskupów, przemawiających do ciebie obcym językiem, ba, chcących ci wyrwać język ojczysty, jesteś wcale niezadowolony. **Pokaż to czynem,** że tacy biskupi są ci wcale niepożądani w kościołach polskich. **Pokaż czynem,** że chcesz, aby biskupi jako pasterze twoi byli polscy i aby jako pasterze twoi po polsku do ciebie przemawiali.

Jako goście zaś każdej chwili mogą przemawiać którymbądź językiem. Jako gościa, każdego biskupa katolickiego, nawet Chińczyka i Murzyna, chętnie przyjmiemy w naszych kościołach polskich.

89. **Zatargi między ludem polskim a proboszczem, kto załatwi jeśli nie biskup polski?**

Tak wy cywilni jak i my księża jesteśmy ludźmi, a nie aniołami. O tem pamiętajmy. Zatargi i nieporozumienia między nami ciągle powstają i — jako między ludźmi — powstawać muszą. Skarg i narzekań nadchodzi zewsząd pełno. Że przytoczę tu naprzykład list parafjanina z Massachusetts:

„...Do niezależnej parafji nie mam zaufania, a do biskupa niema po co jechać, bo ja nie rozumiem jego mowy. A po drugie, on jest ajrysz, to mało go interesują Polaki; a i wiem, jak postąpił, jak byli u niego w sprawie parafji, to kazał się wynosić, **że z ludźmi nie ma do czynienia tylko z proboszczem.** To za to nasz proboszcz się gospodarzy po moskiewsku...“

Tak mi pisze jeden z wielu. Bo takich zatargów wszędzie pełno. Każda narodowość je ma. Kto te spory rozstrzygnie?

Nie tylko lud polski nie rozumie biskupów irlandzkich, ale co gorsza, biskupi irlandzcy nie rozumieją naszego ludu, jego ducha i jego potrzeb. I nic w tem dziwnego, bo są oni dla nas poniekąd ludźmi obcymi, barbari. Oni znają jako Irlandczycy doskonale potrzeby ludu irlandzkiego i te potrzeby zaspokajają. Krew irlandzka, a nie polska, krąży w ich żyłach; więc całkiem naturalnie większą opieką i troską otaczają wiernych swojej narodowości, a Polaków po macoszemu traktują.

Po ludzku mówiąc, nam księżom poniekąd z tem lepiej i dogodniej, że ty, ludu polski, mowy obconarodowego biskupa dobrze nie rozumiesz, ani biskup obcy nie rozumie ciebie. Nie tyle dla nas księży potrzeba biskupów polskich, ile dla ciebie, ludu polski! My księża i z biskupem i z ludem porozumieć się możemy. Ale lud, skoro raz wejdzie na drogę nieporozumień, nic mu prawie innego nie pozostaje jak zejść na manowce. Pasterza z pastorałem nie masz, ludu polski. Tych co masz nie znasz; ani oni ciebie nie znają.

I stąd ten smutny mamy widok, że całe rzesze tego ludu albo do niezależnych albo do bezwyznaniowych przechodzą szeregów.

Tobie, ludu, przedewszystkiem tu pasterzy potrzeba: pasterzy z pastorałem czyli z władzą pasterską! Bo inaczej się rozproszysz.

127. Ludożercy w Ameryce. — Niemiec Ostenkamp występuje przeciw Niemcowi arcybiskupowi Moellerowi. — Ale kruk krukowi oka nie wykole. — Rozmaite języki czyli obrządki nie dla Boga, lecz dla ludzi są ustanowione.

Z dnia 10 marca 1906.

90. **Nowocześni ludożercy.**

Tak więc rozporządzenie arcybiskupa chicagoskiego, dążące do asymilacji żywiołu polskiego, podoba się „Dziennikowi Chicagoskiemu". De gustibus non est disputandum.

Tacy asymilatorzy czyli pochłaniacze narodowości polskiej, to są jednem słowem narodożercy, to swojego rodzaju ludożercy. Taki na tronie zasiadający ludożerca paszczę swą szeroko otworzył i Ojców chicagoskich już połknął. Nie wielka to zresztą szkoda dla polskości. Ale czy za przykładem tych Ojców i inni pójdą do tej rozdziawionej rozporządzeń językowych paszczy? Którzy chcą przestać być Polakami, niech idą i asymilują się z ajryszyzmem. Którzy zaś chcą zostać tem, czem ich Pan Bóg stworzył, to jest Polakami, ci na widok rozdziawionej owej paszczy ajryszyzmu czy germanizmu, świętą zdjęci bojaźnią, jak najdalej uciekać będą od owych ludożerców, aby się nie dać pożreć i pochłonąć. Bo co raz w tę paszczę się dostanie, co raz pochłonięte, to i strawione być musi tak czy owak.

91. **Walka o język na całej linji niemieckiej — krucjata niemiecka przeciw „zwyrodniałemu rodakowi" arcybiskupowi Moellerowi w Cincinnati, O.**

W ślad za ajryskimi biskupami poszedł niemiecki arcybiskup Moeller w Cincinnati, O. I on wydał rozporządzenie językowe, opiewające, że „wszystkie narodowości muszą na rzecz angielskiego wyrzec się swojego ojczystego języka, gdyż ojczyste języki przeszkadzają rozwojowi katolicyzmu w Ameryce".

To już 10 lat temu, r. 1896, uczynili biskupi Messmer i Eiss, również Niemcy.

Że ajryscy biskupi są za angielskim językiem, to poczęści jest zrozumiałem. Ale dlaczego i niemieccy biskupi? To jest zagadką, której nawet wielu naiwnych Niemców rozwiązać nie potrafi.

A jednak ta zagadka jest bardzo łatwą do odgadnięcia. Słowiańskich katolików, to jest, Polaków, Czechów, Słowaków i Słowieńców, przybyło tyle, że prawie połowę katolickiego Kościoła w Ameryce stanowią. Ze wzrostem siły liczebnej wzrasta w Słowianach i poczucie tej siły; a więc rządy Kościoła w Ameryce mogą łatwo przejść w ręce Słowian. A do tego nie trzeba dopuścić. Niemcy z ajryszami na spółkę muszą rządzić Kościołem Bożym w Ameryce, a nie ślamazarni Słowianie, bo oni do rządów nie są zdolni, bo „Słaos" to „slavi" czyli niewolnicy. Ale ci potulni Słowianie tu w Ameryce jednak są nie w ciemię bici, bo oto sprytnie tak rozumują:

„Jeżeli Niemcy w Ameryce mogą mieć swoich biskupów, to i my powinniśmy mieć swoich."

Niemcy więc zły przykład dali Słowianom. Muszą tedy to zgorszenie naprawić. A jak? Nie inaczej jak przez „rozporządzenie językowe", skierowane rzekomo **nawet przeciw językowi niemieckiemu!** Bo wtedy, i wtedy dopiero skutecznie my biskupi niemieccy możemy tu wystąpić przeciw językom słowiańskim i utrzymać się przy rządach.

Oto prawdziwe rozwiązanie tej zagadki.

Ale prości i naiwni chłopi niemieccy tej zagadki tak rozwiązać nie umieją czy też — nie chcą. I powstanie urządzają przeciw własnym biskupom niemieckim. Na serjo czy na pozór? Dość, że taki milwaucki niemiecko-katolicki „Excelsior" z 22 lutego 1906 pisze:

„W Cincinatti wre i kipi. Antyniemieckie wystąpienie arcybiskupa Moellera wywołało burzę niezadowolenia a teraz przybiera jeszcze mniej pożądany kierunek. Niejaki p. Johann F. Ostenkamp oświadczenie arcybiskupa o wartości i znaczeniu języka niemieckiego poddał ostrej ale zasłużonej krytyce we wielu artykułach, publikowanych w „Cincinnati Volksfreund". Otóż za to arcybiskup obłożył p. Ostenkampa mniejszą klątwą, twierdząc, że pan Ostenkamp przez obronę niemieckiego języka wyrządza szkodę religji. „Inni — zauważa tu niemiecko-katolicka „Amerika" z St. Louis, Mo. — tego zdania podzielać nie będą." A inna gazeta pisze: „Niemcy katolicy w Cincinnati w tej kwestji nie są po stronie arcybiskupa".

Stare pismo „Katholischer Glaubensbote", które już od roku 1864 wychodzi w Louisville, Ky. — występuje przeciw swemu „rodakowi" arcybiskupowi Moellerowi z następującemi wywodami:

„Kiedy natywiści i knownothings skazują język niemiecki na śmierć a dziki motłoch wrzeszczy: Na krzyż z niemczyzną! To można milczeć i powiedzieć: Panie, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią. Ale kiedy taki wyrok śmierci pada z ust biskupów i kapłanów, natenczas obowiązkiem skazańców jest podnieść głos protestu przeciwko takiemu niesprawiedliwemu wyrokowi."

Czy „Katholischer Glaubensbote" rzeczywiście sądzi, że arcybiskup Moeller nie wie co czyni? czy tylko udaje, że tak sądzi? Dość, że w dalszym ciągu tak argumentuje:

„Arcybiskup Moeller niedawno publicznie oskarżył niemiecki język, jakoby był przeszkodą dla rozwoju katolicyzmu w Ameryce. Z większą atoli słusznością można powiedzieć, że odpadnięcie od wiary między „zamerykanizowanymi" osadnikami jest o wiele większe niż między tymi, którzy ojczystemu językowi wiernymi pozostali... W których to parafjach znajdujemy tu największe i najpiękniejsze kościoły i szkoły, owe najwymowniejsze pomniki żywej i czynnej wiary?...

„Zdobywcy krajów z politycznych powodów próbowali podbitym narodom wydrzeć język. Bo — jak powiedział dr. Hyde, który obecnie tu wskrzesza pogrzebany język irlandzki — wraz ze swoim językiem traci naród swoją duszę i serce.

„Kościół atoli katolicki nigdy jeszcze nie żądał od katolików w wielojęzycznych krajach, żeby „języka krajowego się uczyli a swój ojczysty porzucili. Nie! Kościół w Austrji, w Polsce, w Czechach, w Belgji raczej protestował przeciw gwałtowi językowemu. Tylko tu w Ameryce biskupi wydali hasło: Let thew learn English! Papieże Pius IX, Leon XIII i Pius X błogosławili niemiecki Centralverein. A Pius X włożył na biskupów obowiązek starania się o włoskich księży dla Włochów tutejszych. Papież Leon XIII, jak wiadomo, potępił był „amerykanizm", którego owocem jest właśnie ów gwałt językowy, owo narzucanie języka angielskiego.

„Jest to jednak osobliwsze zjawisko, że wszystkie języki w Ameryce, z wyjątkiem angielskiego, skazuje się na śmierć właśnie w chwili, kiedy nawet Irlandczycy zabrali się do dzieła, ażeby swój dawno już pogrzebany język ojczysty znowu odgrzebać i do życia powołać. Bo — mówią — wraz z językiem ojczystym straciliśmy swój charakter i wszystkie zalety i cnoty narodu irlandzkiego..."

Tyle wyjmuję z „Kath. Glaubensbote". Nawet milwaucka „Columbia", organ arcybiskupa Messmera, gani arcybiskupa Moel-

lera za to wystąpienie przeciw niemczyźnie, mówiąc, że jeśli, to właśnie takie wystąpienie jeszcze bardziej Niemców utwierdzi w przywiązaniu do niemieckiego języka.

A co wy, naiwni chłopi niemieccy, myślicie? że biskupi Messmer, Eiss, Moeller przez owe rozporządzenia językowe chcieli was pozbawić języka niemieckiego? Nigdy w świecie! Rzeczywistym celem owych rozporządzeń jest, żeby Słowianie „za przykładem" niemieckich biskupów wyrzekli się swoich ojczystych języków i przestali się dopominać o biskupów swojej narodowości. Wasi biskupi niemieccy postępują w tym wypadku podobnie jak ci prohibicjoniści, co sami piją a dla drugich głoszą prohibicję.

92. **Wielojęzyczność to zaszczytna cecha katolicyzmu.**

Bo jako uczeni ludzie wasi biskupi niemieccy wiedzą to bardzo dobrze, że tą drogą, żeby ludzi różnojęzycznych sprowadzić do jednego wspólnego mianownika „amerykańskiego", nigdy nie dojdzie się do ładu i porządku w Kościele amerykańskim. I w Europie próbowano łacinę narzucić wszystkim narodom, ale nadaremno. Minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy „ziemia była jednego języka" — terra labii unius. Ameryka chciałaby to zaprowadzić, co się ani Europie ani Azji ani żadnej części świata nie udało. Kościół nigdzie nie był i nigdy nie będzie jednolitym co do języka. I niema też być. Jednolitym ma być co do wiary. Tylko świat przewrotny przeciwnie sądzi.

Gdzie rządy dążą do zaprowadzenia **jedności językowej,** tam one dążą do wystawienia **wieży Babel,** czyli do wywołania jeszcze większego zamieszania. Bo pamiętajmy, co wystawiło wieżę Babel? Nie wielojęzyczność, tylko jedność językowa budowała wieżę Babel. A wielojęzyczność właśnie zmusiła do zaprzestania budowy tej wieży.

Że rządom, tak biskupim jak i cywilnym, ta różnorodność języków jest nie na rękę — to prawda. Ale czy ci panowie muszą **wszystkimi** rządzić? Kto ich przymusza? Chyba ich własna pycha! Niech odstąpią raz od tej pogańskiej, samolubnej zasady, że lud jest dla rządu, biskupiego czy cywilnego. Nieprawda! Chrystjanizm uczy, że **rząd jest dla ludu,** a nie lud dla rządu! Gdy tę chrześcijańską zasadę raz w życie wprowadzimy, wtedy znikną wszelkie trudności w rządzeniu. Wtedy, kiedy tę zasadę: biskup jest dla ludu, a nie lud dla biskupa — wprowadzimy w życie, tylko wtedy nastąpi ład i porządek w Kościele na ziemi amerykańskiej.

Co do języka nie lud ma się stosować do biskupa, ale biskup ma się stosować do ludu. Taki jest porządek Boży.

Duch św. udzielił daru języków nie narodom, lecz biskupom czyli apostołom. Dziś cudu tego nie potrzeba. Ale **porządku tego samego potrzeba.** Więc tak jak dla polskiego ludu jest proboszcz polski, tak i biskup polski powinien być. Bo biskup to nie pasterz nad pasterzami, jak papież, ale pasterz nad owieczkami, które słowem żywem paść powinien.

Rozumiemy położenie takiego arcybiskupa Moellera. On po prostu dlatego wyrzeka się niemieckiego języka, żeby Polacy, Czesi i inni Słowianie nie zarzucali mu:

— Jeśli ty piszesz i mówisz w tym kraju do diecezjan po niemiecku, to i my mamy takie samo prawo do polskiego, czeskiego itd. języka, do biskupa przemawiającego polskim językiem.

Z tej samej racji już i arcybiskup Messmer bardzo niechętnie posługuje się niemieckim językiem.

Lecz czyż takie postępowanie usunie trudności i niezadowolenia?

Nie, bynajmniej nie!

Ani ziemi amerykańskiej nikt nie uczyni „ziemią jednego języka" — terram labii unius. A jeśli biskupi z Kościoła chcą zrobić w Ameryce jednę wielką wieżę Babel, to Pan Bóg doprawdy pomiesza im szyki i języki! A budowa takiej wieży wnet w połowie zaniechaną być musi. Bo dla własnej pychy, a nie dla dobra owieczek, chce się tu mieć jeden język! Tak i parafje chciano tu z początku mieć jednojęzyczne: ale i ta wieża Babel nie mogła być dokonaną. Albowiem ludność katolicka rozpadła się na swoje naturalne czyli narodowe części składowe. Proboszczowie irlandzcy, którzy w mieszanych parafjach chcieli zaprowadzić jeden jedyny język angielski, tak jak ci co chcieli wybudować wieżę Babel, tylko do pewnego stopnia mieli powodzenie, a w całości planu doznali zawodu. Owieczki polskie, niemieckie itd. powychodziły z owczarni „mieszanych" i potworzyły własne narodowe parafje.

Ta sama kolej w dziejowym rozwoju Kościoła w Ameryce przychodzi teraz i na diecezje. I wtedy dopiero nastąpi ład i porządek w Kościele amerykańskim, kiedy diecezje podobnie jak parafje będą utworzone narodowe. Wtedy bowiem prawdziwie biskup będzie dla ludu, a nie lud dla biskupa; jak to teraz ma miejsce, że lud tylko płaci a nic w zamian ani słowa po polsku od biskupa nie usłyszy. Dopóki diecezje będą **mieszane,** dopóty w nich będzie **zamieszanie,** chaos i niezadowolenie.

Wyobraźmy sobie, gdyby kilkaset lat temu biskupi w Polsce byli tak samolubnymi i powiedzieli Ormjanom, którzy przywędrowali do Polski:

— Tu Polska! Tu ormjańskich biskupów mieć nie możecie!...

Ale czy tak zrobili biskupi w Polsce? Nie, lecz dali Ormjanom ich własnych biskupów i arcybiskupów. Powiesz: Tam była różnica obrządku. Ależ — co to jest obrządek? Jest to porządek. A różnica obrządku, to różnica porządku używanego w Kościele. Jakiego porządku? czy porządku w obrotach całego ciała przy ołtarzu? Nie, lecz porządku w obrotach **języka.** Język stanowi istotę obrządku, ruchy zaś i obroty ciała to integralnę lub przypadkowe części obrządku. Naprzykład, dominikanin inaczej się obraca przy Mszy św. niż my księża świeccy. A jednak jest **tego samego** łacińskiego obrządku co my. Dlaczego? Bo chociaż porządek czynności we Mszy św. jest inny, to jednak język używany we Mszy św. jest język łaciński tak u dominikanina jak i u nas.

Już zaś język używany w Kościele czyli **zgromadzeniu polskiem** nie powinien być inny jak tylko **polski.** Rzym tak uczynił, gdy nie przyjął u siebie języka greckiego ani żadnego innego obcego języka, ale zaprowadził swój własny łaciński. Dlaczegoby innym narodom miał tego prawa odmawiać? Język liturgiczny, niezrozumały dla ludu, to nie obrządek, to raczej nieporządek. Właściwy obrządek czyli porządek w Kościele polskim to język polski. Jedynie ciasne umysły wołają:

— Msza może być tylko po łacinie!

Jak gdyby Pan Bóg tylko łaciński język rozumiał.

Faktycznie też język polski jest obrządkiem. Bo chociaż Rzym rozkazuje dziecko do chrztu pytać po łacinie: Quid petis ab Ecclesia Dei? każdy ksiądz polski pyta po polsku. Oto prawdziwy obrządek czyli porządek!

128. Upór biskupów amerykańskich trzeba przełamać. — Zjednać ich sobie nie można. — Ks. Nawrocki jako ugodowiec. — Biskupi idą i powinni iść za przykładem kajzera.

Z dnia 15 marca 1906.

93. **O jaki szkopuł rozbija się sprawa nasza.**

Po wyjeździe arcybiskupa Symona z Ameryki, organa biskupów irlandzkich głosiły światu, że arcybiskup Symon nie radził papieżowi ustanawiać biskupów polskich w Ameryce, lecz zdał

Polaków na łaskę i niełaskę biskupów amerykańskich. Polacy nie dowierzali temu. Lecz kiedy pojawiły się rozporządzenia, zaprowadzające język angielski jako wykładowy przy nauce religji: wtedy (i nie dziw!) wielu Polaków na serjo uwierzyło temu, co irlandzkie organa głosiły, że arcybiskup Symon polecił papieżowi zdać Polaków na łaskę i niełaskę biskupów amerykańskich. Zrobiono ów logicznie fałszywy lecz psychologicznie łatwo zrozumiały wniosek:

„Post hoc, ergo propter hoc. Stało się to **potem,** jak Symon przedłożył papieżowi: a więc stało się to **dlatego, że** Symon tak mu przedłożył.“

Że tak wielu rozumowało, tego dowodzą różne listy od księży i redaktorów, jakie mam pod ręką.

Ja nie podzielam tego zdania, jakoby arcybiskup Symon „nieudolnem przedstawieniem naszej sprawy w Rzymie“ wszystko popsuł. Nie o ten szkopuł rozbija się sprawa nasza; lecz o ten, że „opór jest ze strony biskupów amerykańskich“, jak się wyraził prefekt Propagandy. O ten szkopuł rozbija się wszystko, to jest, o ten opór, a raczej upór biskupów amerykańskich. **Upór,** mówię. Bo oni sami już dawno mówili i mówią, że biskupi polscy są tu potrzebni, gdyż „wraz z językiem ojczystym ginie i wiara“ (wyraźne słowa biskupiego organu „Catholic Union“).

Tak **mówią.** Ale **nie czynią.**

Dicunt et non faciunt — mówią a nie czynią. O kim to powiedział Chrystus? O doktorach starozakonnych. O ten więc upór rozbija się wszystko. Na upór zaś niema innego lekarstwa jak tylko to Chrystusowe: Biada wam!

Upór trzeba przełamać! A jak? Czy pochlebstwem i umizgami? Czy ustępstwem czyli zrzeczeniem się praw nam przynależnych?

Jeszcze nikt w ten sposób uporu nie przełamał.

Taki upór można przełamać tylko **spokojnem ale stanowczem domaganiem się praw swoich.** Nie słowem tylko, ale i czynem i postępowaniem! Nie bądźmy tchórzami i nie lękajmy się tych, którzy takie spokojne lecz stanowcze postępowanie nasze nazwią może „buntem“. Ten faryzejski frazes „On buntuje lud“, to straszydło na wróble. Co innego bunt czyli wypowiedzenie posłuszeństwa biskupom; a co innego stanowcze, choćby i natrętne domaganie się tego, co nam tu do utrzymania wiary narodowej i religijnej koniecznie potrzebne.

94. Symon powiedział papieżowi, że biskupi polscy są tu koniecznie potrzebni.

Że biskupi polscy są tu koniecznie potrzebni, do tego wniosku przyszedł sam arcybiskup Symon, którego papież wysłał tu do zbadania stosunków naszych. Wprawdzie organa biskupów amerykańskich rozgłosiły światu, że Symon przyszedł do przeciwnego wniosku, mianowicie, że biskupów polskich tu nie potrzeba. Ale z Rzymu nadszedł teraz Memorjał, jaki Symon przedłożył papieżowi; i ten Memorjał zadaje kłam twierdzeniom biskupich organów. W tym Memorjale czytamy między innemi wyraźnie:

„A biskup Polak, np. sufragan w tych diecezjach, gdzie jest wielka ilość polskich parafij, jak w Chicago, Milwaukee, Detroit, Pittsburgu, Buffalo i we Filadelfji, **jest koniecznie potrzebnym** dla spraw kościelnych **swego narodu.“**

Tak powiedział arcybiskup Symon papieżowi. Że papież odpowiednie do tego rozporządzenie wyda, o tem nie wątpię. Cały sęk jest w tem, że „difficultas est ex parte americanorum episcoporum“. Najlepiej tego dowodzą ich zakusy wprowadzenia języka angielskiego do nauki religji w szkołach polskich. Że Rzym wyda rozporządzenie, iż uważa biskupów polskich za potrzebnych — to nic. Rzym powiedział jeszcze r. 1883, że uważa tu wprowadzenie prawa kanonicznego za potrzebne; Rzym powiedział dwa lata temu, że uważa spis katolików **podług narodowości za potrzebny. No i cóż z tego? Ani jednego ani drugiego** niema.

To samo się stanie, gdy Rzym wyda rozporządzenie, żeby biskupi amerykańscy przybrali sobie sufraganów polskich do boku.

Odroczą to na święty Nigdy.

A wymówkę znajdą gotową. Napiszą do Rzymu:

— Wszak ten lud polski z taką samą uwagą i z takiem skupieniem ducha słucha naszych kazań niemieckich i angielskich, choć dwie godziny prawimy, że musi je chyba dobrze rozumieć; inaczejby ich nie słuchał. Więc poco mu polskich biskupów? Lud polski jest zadowolony z takich biskupów jakich ma.

Taki raport zdadzą do Rzymu, a Rzym odpowie:

— No, kiedy jeno są zadowoleni, to niech tak będzie jak było.

I sprawa biskupów polskich będzie pogrzebana na wieki. Tylko od czasu do czasu ktoś westchnie pobożnie: Odpoczynek wieczny racz jej dać, Panie!

Dlatego powtarzam: Jeśli chcemy mieć biskupów **polskich,** pokażmy to czynem i postępowaniem naszem, że **z takich,** jakich mamy, jesteśmy **niezadowoleni.**

95. **Czyby nie dało się zjednać biskupów amerykańskich?**

Jest między księżmi mała klika tak zwanych **ugodowców,** którzy się łudzą, że nie okazywaniem niezadowolenia, lecz okazywaniem ultra-uległości biskupom amerykańskim, czyli „zjednaniem" ich sobie, prędzej dojdą do pożądanego celu.

Ale jakżeż może być mowa o zjednaniu sobie tych, którzy w naszej sprawie wprost przeciwne stanowisko zajmują?

My chcemy się tu jako Polacy utrzymać. A **oni** chcą nas zanglizować.

My wierzymy, że wraz z językiem ojczystym przepadnie i wiara. A **oni** utrzymują, że właśnie jeśli się nie zanglizujemy, to przepadniemy dla Kościoła.

My twierdzimy, że język ojczysty przyczynia się do zachowania wiary. A **oni** przeciwnie, że — prócz angielskiego — wszystkie inne języki są przeszkodą do rozwoju katolicyzmu.

I jakżeż może tu być mowa o zbliżeniu dwóch tak przeciwległych sobie biegunów, o pogodzeniu dwóch tak sprzecznych ze sobą poglądów? Prędzejby ogień z wodą pogodzić można.

Dopóki biskupi amerykańscy wręcz przeciwne naszej wierze narodowej i religijnej stanowisko zajmują, dopóty o zjednaniu ich sobie mowy być nie może. Chyba że ktoś dla zjednania sobie łask biskupich zrzeknie się zasad swoich, sprzeda narodowość swoją za mitrę, przyrzekając, że jeśli go tylko zrobią biskupem, to zaprowadzi język angielski w kościołach i szkołach polskich. Takich biskupów „rodaków" dostali już Niemcy. Takiego biskupa „rodaka" i my łatwo dostać możemy, idąc drogą wytkniętą przez ugodowców naszych.

Ale lepiej żadni, niż tacy!

Jeśli ma być biskup Polak, to niech będzie Polak całą gębą, całą duszą i sercem; a nie mieszaniec, pół Polaka pół ajrysza. Połowiczność nie popłaca.

96. **Ładny mi prezes Stowarzyszenia Księży Polskich.**

Wielu już się dziwiło i pytało, dlaczego Stowarzyszenie Świeckich Księży Polskich, zamiast się rozwijać, ciągle się zwija i maleje. Na ostatnim sejmie, choć ten odbył się w Chicago, mieście liczącem około 60 księży polskich, było obecnych oprócz za-

rządu zaledwie 17 czy 18 księży. Otóż bo na czele tego Stowarzyszenia stoi ks. Stanisław Nawrocki, proboszcz na Bridgeporcie w Chicago, którego arcybiskup niedawno zrobił nieusuwalnym. „Polak w Ameryce“ z 8 marca 1906 donosi, że ks. Stan. Nawrocki poszedł za przykładem ks. Pyplatza i „spróbował“ zaprowadzić język angielski przy nauce religji w najwyższych trzech klasach. „Próba się nie udała“ — powiada „Polak w Ameryce“.

Distinguo:

Próba się nie udała wobec ludu — na to się zgadzam. Ale żeby nie udała się wobec arcybiskupa — temu przeczę.

„Podłość — powiada Stanisław Tarnowski — to tak jak gorąca kąpiel: zrazu parzy, a potem w niej zupełnie przyjemnie.“

97. **Biskupi amerykańscy idą i powinni iść za przykładem kajzera.**

Tak oświadczył publicznie arcybiskup Moeller w Cincinnati, Ohio! Donosi mi o tem nie Polak, ale Niemiec, wyżwspomniany pan Ostenkamp w liście z Cincinnati, O., 7 marca 1906:

„Nasz arcybiskup Moeller oświadczył publicznie, że **biskupi amerykańscy idą, i powinni iść, za przykładem cesarza niemieckiego, i amerykanizować tak jak ów cesarz germanizuje Polaków w pruskiej prowincji Poznańskiej.**“

Tak publicznie oświadczył arcybiskup Moeller roku 1906, kiedy to jeszcze kajzer Wilhelm chodził w chwale jak w słońcu i widocznie biskupom amerykańskim imponował jako idealny władca!...

O biskupi amerykańscy, idźcie śmiało w ślady kajzera!

129. Ks. Sztuczko tłumaczy się, dlaczego nie zaprotestował przeciw ustawie synodu o nauce katechizmu po angielsku. — Arcybiskup Moeller stawia nam za wzór cesarza Wilhelma!

Z dnia 15 marca 1906.

Jak powyżej widzieliśmy, ks. Kazimierz Truszyński gorzko się użalał i na Stowarzyszenie Księży w Chicago i na sekretarza Wydziału Wykonawczego, że głośno nie zaprotestowali przeciw rozporządzeniu językowemu arcybiskupa Quigley'a. Otóż sekretarz Wydziału Wykonawczego, ks. Kazimierz Sztuczko, nadesłał mi 15 marca 1906 list, w którym się tłumaczył, dlaczego głośno nie zaprotestował. Mianowicie dla tych czterech racyj:

1) arcybiskup Quigley polecał księżom, aby tej ustawy synodu o języku angielskim nie forsowali bezwzględnie, ale z wielką przezornością i roztropnością. Do tej racji dodałem taką uwagę:

„Czyli, żeby angielszczyzna do naszej nauki religji wślizgnęła się tak jak wąż do raju."

2) Arcybiskup Quigley oświadczył, że rad udzieli dyspensy od tego rozporządzenia językowego. Do tej racji dodałem taką uwagę:

„A więc, jak od rozporządzeń wielkopostnych, tak od tego rozporządzenia językowego trzeba mieć **dyspensę!** Polacy, pamiętajcie o tem! Jeśli chcecie uczyć swe dzieci pacierza po polsku, musicie się najpierw wystarać o dyspensę od biskupa, inaczej nie wolno wam mówić ani uczyć dzieci pacierza po polsku!

3) Arcybiskup Quigley wydał owo rozporządzenie językowe nie w znaczeniu **nakazu,** jeno w znaczeniu **przywileju.** Niemcy, Francuzi i Czesi każą swym dzieciom katechizmu uczyć się po angielsku, aby później nie narzekały, że o religji nie umieją mówić po angielsku. Pomiędzy Polakami nauczanie katechizmu po angielsku **dla parady** nie jest modne. Do tej racji dodałem taką uwagę:

„Ładny mi to **przywilej!** Ale jeśli tak, to chyba i wy księża polscy w Chicago o ten przywilej musieliście prosić, boć przecie **przywileju nie narzuca się** nikomu, lecz udziela go się tylko tym, którzy o niego proszą."

4) Owe nieudałe zaprowadzenie katechizmu po angielsku na Town of Lake w Chicago przypisać należy przedewszystkiem kobiecemu rozumowi wielebnych nauczycielek, które już przed kilkunastu laty w pewnych szkołach polskich od czasu do czasu na własną odpowiedzialność z dziećmi mówiły pacierz po angielsku. Do tej racji dodałem taką uwagę:

„A więc **biedne Siostry** wszystkiemu są winne: i temu, że u ks. Pyplatza, i temu, że u ks. St. Nawrockiego zaczęto uczyć katechizmu po angielsku. Tak to od początku świata bywało, że Adam zwalał winę **na Ewę.** Tak i dzisiaj bywa. Biedne te Ewy!... Adamy niewinne, **one** wszystkiemu są winne.

„Powyższe racje, przytoczone przez ks. Sztuczkę ad excusandas excusationes in peccatis (Psalm 140, 4) mogły, bo nawet istotnie powstrzymały go od protestu, ale bynajmniej nie mogły go uwolnić od obowiązku protestowania."

Dnia 16 marca 1906 sam cenzor Związku Narodowego Polskiego, Antoni Schreiber, ogłosił „odezwę w palącej sprawie zakusów irlandzkich biskupów anglizacji dziatwy polskiej przy pomocy polskich szkół parafjalnych". W tej odezwie słusznie zauważa:

„I niech nikt nie mówi, że to kwestja religijna, do której Związek N. P. mieszać się nie ma prawa..."

Z dnia 17 marca 1906.

98. **Arcybiskup amerykański stawia nam za wzór cesarza Wilhelma!**

Wielu wówczas nie chciało wierzyć, żeby arcybiskup amerykański miał publicznie oświadczyć, że biskupi amerykańscy idą i powinni iść za przykładem cesarza Wilhelma w swojej robocie amerykanizacyjnej. Więc na prośbę redaktora „Katholischer Westen" arcybiskup Moeller nadesłał tej gazecie wyciąg ze swojej przed kilku tygodniami wypowiedzianej mowy o kwestji językowej. Otóż autentyczne oświadczenie arcybiskupa Moellera dosłownie tak brzmi:

„**Cesarz niemiecki** czyni usiłowania, ażeby wszyscy mieszkańcy jego cesarstwa i wszystkie kolonje przyswoiły sobie język niemiecki; po części i dlatego, że wie, iż jedność języka przyczyni się do zlania ludów swego państwa w jeden mocny i potężny naród. **Z tej samej przyczyny** powinni mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, mniejsza o to, jakiej narodowości, dążyć do tego, żeby angielski język, język tego kraju, uczynić swoim ulubionym językiem... Zlanie się narodowości byłoby także korzystnem dla religji, gdyż poparłoby pracę zakładania parafij i pomogłoby diecezji zbawiać dusze..."

Dla udowodnienia tej swojej tezy arcybiskup Moeller widocznie nie mógł znaleźć przykładu w żadnym Świętym Kościoła katolickiego: więc szukał i znalazł przykład w cesarzu państwa niemieckiego i tego nam katolikom stawia za wzór i przykład do naśladowania! To wystarczy. Wiemy teraz, co mamy sądzić o całej tej pracy amerykanizacyjnej episkopatu tutejszego. Wartość jej ta sama, co wartość germanizacyjna kajzera Wilhelma!

99. **Celem Federacji Katolickiej jest anglizowanie.**

„Federacja katolickich towarzystw — tak mówi dalej arcybiskup Moeller — pomoże nam uskutecznić to zadanie (uczynienie

języka angielskiego językiem ulubionym). Delegaci tych towarzystw od czasu do czasu zgromadzą się, nastąpi wymiana myśli, zainteresowanie wspólną sprawą; a to wszystko uczyni pomost nad przepaścią, która teraz dzieli narodowości, zamieszkujące ten kraj, zbliżając je do siebie i uczucie familijne w nich podtrzymując.“

Tyle arcybiskup Moeller.

„Wyszło szydło z worka — zauważa niemiecko-katolicki „Excelsior“ — a więc **Federacja jest narzędziem do wynaradawiania** i anglizowania niemieckich, czeskich i polskich katolików — to doprawdy interesujące odkrycie! Warto sobie to zanotować. Czy jednak to odkrycie przyczyni się do rozwoju owej Federacji, to zupełnie inne pytanie. Bardzo wątpimy.“

Jakoż ta „Federacja Katolickich Towarzystw“ upadła z czasem. Ale na jej miejsce powstało „Holy Name Society“ jako narzędzie do wynaradawiania. Pod tą pobożną nazwą łatwiej Polaków do siebie przywabia. Niemcy już się spostrzegli, że tu nie **o ich** wynarodowienie chodzi, lecz **o wynarodowienie Słowian** w Ameryce, i dlatego gromadnie do „Holy Name Society“ wstępują. Atoli r. 1906 inaczej się zapatrywali. Bo oto:

100. **Cała prasa niemiecko-katolicka potępia asymilacyjne dążności, i gorszy się tem, że kajzera obrano św. patronem amerykanizacji.**

Czasopisma niemiecko-katolickie „Excelsior“ i „Columbia“ w Milwaukee; „Wanderer“ w St. Paul, Minn., „Amerika“ w St. Louis, Mo., „O‘Fallon Hausfreund“ w Missouri, „Katholischer Westen“, „Ohio Waisenfreund“ itd. słowem cała prasa niemiecko-katolicka (a niekatolicka jeszcze bardziej) w ostrych i sarkastycznych słowach potępia jednozgodnie swojego „rodaka“ arcybiskupa Moellera za jego nietylko antynarodowościowe ale i antykatolickie stanowisko w kwestji językowej. Niema ani jednego organu katolickiego, któryby bronił stanowiska tego arcybiskupa. Ani Irlandczycy nie śmią go bronić, owszem rzekomo i oni go potępiają. Zobacz „Catholic Union“ z 22 lutego 1906.

„Katholischer Westen“ tak pisze: „Przedewszystkiem oburza nas to, że **katolicki arcybiskup** w swoich marzeniach o „wolnym amerykaniźmie“ popiera to, co wszyscy uczciwi i dobrze myślący Niemcy amerykańscy potępiają: **popiera ową despotyczną pruską politykę gwałtu względem Polaków,** popiera owe przez ten rząd

tak lubiane brutalne prześladowanie polskiego języka i w interesie swojej jedynie do zbawienia (?) prowadzącej amerykanizacji **stawia nam tę piekielną politykę pruską za wzór do naśladowania!"** A więc kajzer obrany za św. patrona amerykanizacji.

101. **Polska narodowość ma prawo bytu i w Ameryce.**

Nie obywatelstwo lecz **narodowość polska** ma prawo bytu i w Ameryce. Chicagoski „Katholischer Wochenblatt" przytacza zdanie pewnego uczonego zakonnika. Ten zarówno gruntownie wykształcony i jako doświadczony misjonarz ludowy pisze tak:

„Polityka pochłaniania narodowości (Verschmelzungspolitik, ludożerstwa) uprawiana jest dziś bez skrupułu przez Prusy, Rosję, Anglję i Stany Zjednoczone, ponieważ **zapomniały te państwa o tem,** że i narodowości otrzymały od swego Stwórcy prawo bytu. To prawo zatrzymują narodowości zarówno wtedy, kiedy pomiędzy rozmaite państwa są rozdzielone, jak i wtedy, kiedy własny byt państwowy posiadają. Swoje prawo bytu, jak i wszelkie inne prawo, tracą one tylko **przez dobrowolne zrzeczenie się** albo przez śmierć.

„Ażeby należycie ocenić brutalny napad na to prawo bytu narodowego, musimy rozważyć istotę narodowości. Jakie są jej istotne składniki? Są nimi, najpierw wspólny szczep ludowy, dalej wspólny język, wspólna religja i wspólne obyczaje i zwyczaje. To są atoli dla wszystkich rozumnych ludzi najwyższe i najdroższe skarby. Naród wynarodowić, wydrzeć mu jego narodowość, z innym jakimś narodem go zlać, stopić, zamalgamować, zamerykanizować, znaczy więc, oderwać go od pnia narodowego, wydrzeć mu jego język, jego religję, jego obyczaje i zwyczaje. Tylko człowiek **bez charakteru** da sobie te skarby wydrzeć **bez oporu.** Ponieważ zaś państwa nie mają żadnego prawa uprawiać sztucznie czy gwałtownie amalgamowania narodowości, nie pozostaje im nic innego, jak pozostawić je albo dobrowolnemu zrzeczeniu się swego prawa albo wymarciu. Lecz tego rządy te nie chcą. Bo myślą, że przez wytępienie czyli asymilowanie narodowości ugruntują pokój między ludnością. Tylko przez wytępienie wszystkich obcych języków i religij spodziewają się wytworzyć jednolity naród amerykański. Dzieła tego już po większej części dokonano. Z 80 miljonów mieszkańców tego kraju, już 50 miljonów zupełnie „zamerykanizowano" t. j. bezreligijnymi uczyniono; a bezreligijna szkoła publiczna i prasa pracuje pilnie nad tem, żeby i resztę „zamerykanizować".

102. **Ze wszystkich humbugów amerykańskich największy humbug to rozkrzewianie wiary przez anglizację.**

„Niestety i z pomiędzy katolickiego kleru i ludu niektórzy dali się tym **amerykanizacyjnym humbugiem** obałamucić i uwierzyli, że przysłużą się dobrej sprawie, jeżeli rękę pomocną przyłożą do wytępienia narodowości. Próżne nadzieje! Dobrej sprawie przysłużyć się można **tylko przez mocne trzymanie się prawdy i prawa.** Za utratą narodowości zaginął nietylko język, jak się spodziewano, lecz także katolicka religja i pobożne obyczaje zaginęły. W ten sposób Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych opłakuje dzisiaj stratę przeszło 20 miljonów swoich dzieci, którzy teraz zamerykanizowani t. j. swojej religji pozbawieni są i już niepohamowanie oddają się nienasyconej amerykańskiej chciwości, próżności i żądzy używania".

Takiem jest powszechne zdanie i przekonanie Niemców katolików. Takiem również jest powszechne przekonanie polskich, francuskich, a nawet w ostatnim czasie i irlandzkich katolików. Słowem cały ogół katolicki jest tego przekonania, że przez wynaradawianie Kościół nie zyskuje, ale traci na swej sile i rozwoju w tym kraju.

A biskupi amerykańscy, którzy inaczej sądzą, czy mają w tem ogół katolicki za sobą?

Nie, lecz stoją odosobnieni!

Przepraszam — nie stoją odosobnieni, bo mają po swej stronie ogromne masy bezwyznaniowych „Amerykanów": ci przyklaskują ich „amerykanizatorskiej" robocie! Jak niedawno w Kansas City arcybiskupowi Irelandowi przyklaskiwali. Smutne to, ale prawdziwe.

Pochlebcy, którzy duszą i ciałem oddali się biskupom na usługi w ich anglizatorskiej robocie, czy z wyraźnego rozkazu czy w braku lepszych argumentów wysuwają na czoło „powagę" biskupów jako „następców apostołów". Oni nas każą anglizować, a więc ludy plackiem padajcie przed tym rozkazem i anglizujcie się, bo inaczej do nieba nie pójdziecie! Marne to słowa. Wszakże tu nie chodzi o godność i świętość stanu, a więc o coś idealnego, jeno o ludzi konkretnych, faktycznie bardzo dalekich od ideału. Człowiek jako człowiek może najwyższą świętość stanu skazić najsromotniej; może władzy i urzędu najgodniejszego nadużywać do celów poziomych i niegodnych jak np. do anglizowania.

Wygodna to wielce rzecz powoływać się na następców Apostołów. Ale czy jest co, coby przypominało Apostołów? W Anglji, gdy wybuchła herezja anglikańska, wszyscy biskupi z wyjątkiem jednego odpadli od Kościoła — ci „następcy" Apostołów! I tam powstał anglikanizm, a tu powstaje amerykanizm, potępiony już przez Leona XIII.

130. Głosy czytelników. — Niezależny biskup Kozłowski pyta mnie, czy i gdzie by się mógł spotkać ze mną. — Nasze spotkanie w Milwaukee. — Wyjazd Quigleya do Rzymu i mój list do papieża.

Śmiałe głoszenie prawdy w powyższych artykułach zachwyciło jednych, a przeraziło drugich czytelników. I tak z Gaylord, Mich., 10 marca 1906 ks. S. Ponganis z przerażeniem pisze do mnie:

„Kochany Księże Wacławie! Co Ksiądz najlepszego robi, pisząc pod własnem nazwiskiem artykuły, które mu nic więcej prócz kar kanonicznych nie przyniosą. Nie moją jest rzeczą dawać Księdzu napomniena, lecz tak z sympatji i szczerości serca. Ksiądz broni dobrej i mocnej sprawy, lecz w sposób absolutnie zły. Tak mógłby pisać brat Michał lub każdy inny świecki człowiek, lecz księdzu łeb ukręcą i będzie na tem koniec. Ostatni artykuł wystarcza najzupełniej, aby arcybiskup skazał Księdza na karę kościelną.

„Czy Ksiądz nie może tych samych rzeczy pisać trochę mniej radykalnie albo tak samo, lecz bez nazwiska, tak, żeby w razie jakim można było się wyprzeć.

„Proszę mi wybaczyć moje uwagi, bo czynię je z przyjaźni. Jestem sam w procesie, więc mam pewne doświadczenie co znaczy szukać sprawiedliwości w Kościele świętym katolickim.

Z prawdziwym szacunkiem i przyjaźnią Ks. S. Ponganis."

Pisząc to, ks. Ponganis zapomniał, że nie świecki człowiek lecz właśnie ksiądz **jedynie na to** został księdzem, żeby jawnie i odważnie głosił prawdę, która jak sól gryzie ale strzeże od zepsucia. Nie do świeckich lecz do księży rzekł Chrystus, że mają być „solą ziemi".

Z Neskoro, Wis., 24 lutego 1906 Marcin Gwitt nadesłał:

„List otwarty do Wiel. Ks. W. Kruszki w Ripon. Drogi Księże! Dzięki tobie od całego ogółu polskiego w Ameryce za artykuły w obronie praw polsko-narodowych, jakich domagasz się od tutejszych biskupów i od Propagandy z Rzymu dla Polonji amery-

kańskiej. Wszelkie niełaski, ba nawet prześladowania ze strony biskupów, jakie na ciebie spaść mogą, nie odstraszają cię bynajmniej od twego przedsięwzięcia.

„Oby Bóg wszechmogący raczył i nadal łaską swoją oświecać umysł twój i kierować ręką twoją w skreśleniu podobnych artykułów.

„Byłoby pożądanem, żeby więcej podobnych przewodników naszych raczyło wstąpić na tę samą drogę i ludowi polskiemu głosić tę prawdę przez łamy różnych pism w obronie polskiej narodowości i pukania do Rzymu i żądania polskich biskupów. Ale prawda, do nich można zastosować słowa Chrystusa: Bojaźliwi, czemu tak małej wiary jesteście? Chłopek od Pługa."

Pomijam inne głosy.

Onego czasu, bo dnia 15 marca 1906 zdarzyło się, że sekretarz niezależnego biskupa Antoniego Kozłowskiego, pan Stefan Wróblewski 982 N. Hoyne Ave. z Chicago napisał mi taki łaskawy list:

Chicago, Ill., 15 marca 1906.

Czcigodny Księże Dobrodzieju!

Nasamprzód przepraszam najmocniej, że ośmielam się trudzić Wiel. Ks. Dobrodzieja listem.

Powód mego ośmielenia zaznaczam tem, że osoba, która upoważniła mnie do pisania, nie mogła sama od siebie pisać. Osobą tą jest ks. biskup A. Kozłowski. Ma on szczery zamiar widzenia się z Ks. Dobrodziejem i omówić niektóre bardzo ważne sprawy. Czy byłoby możebnem spotkać się z Wiel. Ks. Dobrodziejem w neutralnem miejscu w Ripon lub Milwaukee? Jeżeli Wiel. Ks. Dobrodziej uważa za stosowne, to upraszam łaskawie o naznaczenie dnia i miejsca spotkania i łaskawe doniesienie. Zdaniem mojem to jest rzecz prywatnej natury i z powodu tego upraszam łaskawie o dyskrecję.

Z winnym szacunkiem

sługa

S. Wróblewski,

982 N. Hoyne Ave.

Ponieważ następnego tygodnia miałem być z kazaniem w Milwaukee na 40-godzinnem nabożeństwie w parafji św. Jozefata, przeto dzień i miejsce spotkania z niezależnym biskupem Kozłowskim naznaczyłem: Milwaukee w hotelu Pfistra 22 marca

o godz. 2 po południu. Biskup Kozłowski wraz z Stefanem Wróblewskim stawili się w oznaczonym czasie na oznaczonem miejscu. Ja wziąłem ze sobą neutralnego względem mnie ks. Władysława Mścisza, proboszcza ze South Milwaukee, żeby był świadkiem mego spotkania z biskupem niezależnym. W pięknie umeblowanym pokoju hotelowym na fotelach zasiedliśmy z ks. Mściszem, kiwającym nogą, mając z przeciwka Kozłowskiego z Wróblewskim.

Rozmowa moja z Kozłowskim trwała ze dwie godziny. Na samym wstępie Kozłowski oświadczył mi, że czując się z dnia na dzień coraz słabszym na zdrowiu i widząc, że koniec jego jest bliskim, ogląda się za następcą. Widząc mnie poniżonym w Ripon, chciałby mnie wynieść na wysokie stanowisko w Chicago. Odpowiedziałem mu, że wolę być katolickim proboszczem w Ripon aniżeli niezależnym biskupem w całej Ameryce. Bo to większy zaszczyt dla mnie. I wytłumaczyłem mu, dlaczego to większy zaszczyt dla mnie. A potem wyłożyłem mu jasno jak na dłoni, że on, Kozłowski, swojem niezależnictwem właśnie ajryszom i Niemcom największą radość sprawił, a nam Polakom tylko wstyd przyniósł. Że jednak jeszcze może naprawić zło. Że poddając się bezwarunkowo Stolicy św. okryje się nieśmiertelną chwałą. Kozłowski słuchał moich wywodów uważnie. Mówił tylko, że tutejszym biskupom nigdyby się nie poddał. Powiedziałem mu, że tego też nie potrzeba. Wystarczy, że podda się Stolicy św., ale bezwarunkowo. Będzie to nietylko dla niego, ale i dla Polonji amerykańskiej wielka radość, wielki zaszczyt i wielki pożytek. Kozłowski wkońcu dał się przekonać i poprzysiągł mi, że uczyni tak jak mu radzę, to jest, że pośle do Rzymu list z bezwarunkowem poddaniem się Stolicy św. Na pożegnanie przy wyjściu z hotelu ściskając mi rękę zapewniał mnie uroczyście, że bezwarunkowo podda się Rzymowi, bo w tem widzi teraz zbawienie zarówno swoje jak i Polonji amerykańskiej.

W kilka tygodni potem pytałem się p. Stefana Wróblewskiego, co Kozłowski uczynił w świeżo powziętem przedsięwzięciu. Na to odebrałem następującą odpowiedź:

Chicago, Ill., 21 kwietnia 1906.

Czcigodny Księże Dobrodzieju!

Proszę mi wierzyć, że nie łatwem jest zadanie moje, którego z taką gorliwością i szczerą chęcią służenia dobrej sprawie się

podjąłem. Ks. biskup Kozłowski jest z natury człowiekiem dobrym, lecz wyznać otwarcie muszę, że najrozmaitsze koleje i niepowodzenia, z którymi walczy bezustannie, usposobiły go niezdecydowanym i niedowierzającym.

Pracuję stale i wytrwale nad tem, by raz powziętego zamiaru w niwecz nie obrócić. Spotykam mnóstwo przeszkód ze strony jego duchowieństwa, lecz mam w Bogu nadzieję, że czas jest bliski, a życzenia wasze obopólne wzniosą się ponad zaślepienie i zacofanie jednostek. Ks. biskup Kozłowski od kilku tygodni poważnie chory, lecz mam nadzieję w Najwyższym, że wkrótce powróci do zdrowia i dzieło przez nas rozpoczęte doprowadzimy do pomyślnego rezultatu. Naród, o ile o tyle skonstatować mogłem, przyjąłby zwrot biskupa z miłem zadowoleniem.

Nie omieszkam Czcigodnego Księdza Dobrodzieja powiadomić niezwłocznie skoro tylko sposobność po temu się nadarzy.

Łącząc wyrazy prawdziwego szacunku i poważania, kreślę się

Czcigodnego Ks. Dobrodzieja

unizonym sługą

Stefan Wróblewski,

982 N. Hoyne Ave.

Więcej listów nie odebrałem. Kozłowski umarł 15 stycznia 1907, w ośm miesięcy potem.

Dowiedziawszy się, że arcybiskup Quigley z Chicago wybiera się do progów apostolskich w Rzymie, siadłem i napisałem list wprost do papieża Piusa X. W liście tym litylko przypomniałem papieżowi sprawę naszą. Wysłałem ten list registrowany tak, żeby papież go dostał krótko przed przybyciem Quigleya do Rzymu. Niestety, kopja tego listu zaginęła mi pewnie podczas pożaru plebanji w Ripon. Pamiętam tylko, że napisałem papieżowi między innymi te słowa:

„Nonnulli jam clamant: Pius X. est Papa verus sed non verax; non enim fecit quod die 15. Aprilis 1904 promisit Polonis in America. Attamen ita clamare absurdum est. Nam verbum Papae est verbum Petri. Verbum autem Petri est firmum ac stabile tanquam petra, supra quam secure possumus aedificere justa desideria nostra. Differtur nonnunquam a Papa, quod promittitor, sed nunquam aufertur".

To znaczy: „Niektórzy już wołają: Pius X jest papieżem prawdziwym lecz nieprawdomównym; nie uczynił bowiem tego, co dnia 15 kwietnia 1904 przyobiecał Polakom w Ameryce. Atoli takie wołanie jest niedorzecznem. Albowiem słowo papieskie to słowo Piotrowe. A słowo Piotrowe jest trwałem i stałem jak skała, na którem śmiało możemy budować słuszne nadzieje nasze. Odwlecze się nieraz, co papież przyobiecał; ale co się odwlecze, to nigdy nie uciecze".

131. Dalsza walka o te dwie zasady: katolicką i anglo-amerykańską. — Która z nich ma zwyciężyć, czy jedność wiary w rozmaitości języków, czy jedność wiary w jedności języka angielskiego?

Z licznych krewnych moich w Ameryce, dnia 4 marca 1906 zgłosił się nowy z Chicago, pisząc do mnie tak:

„Drogi i Wielebny Księże! Przypominając sobie Księdza Dobrodzieja jako małego chłopaka w starym kraju i poznając tu w Ameryce z opisów różnych gazet i z opowiadań ludzi doskonalej, nosiłem się już od dawna z myślą napisania kilka słów do Ks. Dobrodzieja... Ja pochodzę z Biskupina z rodziców Józefa Szymczaka i Agnieszki, z domu Okońska ze Słabomierza, a więc moja matka była stryjeczną siostrą matki Ks. Dobrodzieja, z czego wynika, że jesteśmy powinowaci i pokrewnieni! Do Ameryki przybyłem 28 lat temu i na stałe osiedliłem się w mieście Chicago. Nie mogę wcale narzekać, że w tej przybranej ojczyźnie mi się źle wiodło, owszem bardzo dobrze, mając prawie bez przerwy pracę dobrą i płatną, tak, że od lat 10-ciu posiadam własny dwupiętrowy dom na North Hoyne Ave. prawie obok kościoła i plebanji św. Jadwigi. Moja familja składa się z żony i 9-cioro zdrowych i czerstwych dzieci, 6 córek i 3 synów. Najstarszą córkę wydałem 2 lata temu zamąż i już od blisko 4 miesięcy nazywają mię dziadusiem, boć już i wnuka się doczekałem... Gdyby się Ks. Dobrodziejowi sposobność przybycia do Chicago wydarzyła, w takim razie proszę nie gardzić progami mojemi, lecz przybyć wprost pod No. 1084 North Hoyne Ave. Dziękując naprzód za oczekiwaną odpowiedź, kreślę się z serdecznem pozdrowieniem od całkiej mej familji

Stanisław Szymczak."

Odpisałem mu, lecz potem zajęty sprawami publicznemi, zapomniałem go odwiedzić, za co mocno żałuję.

W dalszym ciągu pisałem następujące artykuły do „Kurjera Polskiego" otwarcie pod własnem nazwiskiem, a nie pod pseudonimem. Chociaż, jak widzieliśmy, ks. Szymon Ponganis ostrzegał mnie. A nawet mój własny brat, ks. Szymon z Ostrowitego Prymasowskiego 2 marca 1906 pisał mi: „Kochany Wacławie! Posyłam Ci wycinek z „Dziennika Kujawskiego"; jest tam ktoś, który z zemsty stara się Tobie szkodzić, Ciebie zohydzić! Co prawda, z taką propozycją bojkotu trochę za daleko pojechałeś; niechby to było w inny sposób, albo jako artykuł samego „Kurjera" albo też jaka stąd korespondencja świecka, byle nie od Ciebie jako księdza!..." Tak samo Jezuici w Małopolsce, czytający moje artykuły, przerażeni byli moją otwartością. Straszyli mnie, że pójdę śladem ks. Stojałowskiego. Ks. Władysław Wojtoń T. J. w liście z Tarnopola 7 marca 1906 wołał:

„Na miłość Bożą nie występuj, Najdroższy Ks. Wacławie, przeciw biskupom. Ogromnie tu u nas w kraju psujesz sobie przez to opinję. Zgryziesz się tylko sam, a szkoda Cię, Najdroższy Księże! Znasz przecie historję ks. Stojałowskiego u nas — czyżby Ci się podobna Twoja własna uśmiechała?... Albo czy chcesz zostać niezależnym? no, ale na to zanadto mądry i zanadto wierzący Najdroższy Księże, jesteś!... Bronisz raczej sprawy ludu aniżeli sprawy Bożej, a ta przecież jako kapłanowi bliższą Ci być winna. Tak ładnie pracowałeś, tyle dobrego zdziałałeś słowem i piórem — teraz chciałbyś zostać... Kozłowskim?... Biskupi mogą być nieprzychylni Polakom — zwolna jednak będą musieli ustąpić, gdy im spokojem i rozwagą zaimponujecie i pokażecie, żeście dorośli do wielkiego zadania..."

Tak mi pisał jezuita, bo na pozór mu się tak zdawało. Ale pozory mylą. A najbardziej mylił go ten pozór, że „spokojem i rozwagą zaimponujemy" biskupom amerykańskim. Po otrzymaniu biskupów Rhodego i Kozłowskiego, to jest po roku 1913, nastąpił przecie „spokój i rozwaga". A cośmy przez to uzyskali? Nic. Bo biskupom irlandzkim i niemieckim niczem innem zaimponować nie możemy jak tylko zrzeczeniem się języka polskiego. Dopóki w kościołach naszych używać będziemy języka polskiego, nigdy im nie zaimponujemy ani spokojem i rozwagą ani świętością i mądrością. O tem pamiętajmy. Kto o tem nie pamięta, ten niczego nie pamięta. Polak spokojny i cichy, to **Polak niemy,** to jest taki, który już po polsku nie mówi. Taki jedynie im zaimponuje! Ot, co jest.

Co do mojej otwartości, z otwartej drogi, jaką w życiu postępowałem, powyższe głosy ostrzegawcze żadną miarą zbić mię nie mogły.. Dlaczego? Wytłumaczy to zaraz następujący artykuł:

Z dnia 22 marca 1906.

103. **Arcybiskup Symon wynurza mi uzasadnione swe żale.**

W „Gazecie Kościelnej" we Lwowie, w „Dzienniku Poznańskim" i w innych gazetach w starym kraju pojawiły się artykuły, czyniące arcybiskupowi Symonowi wyrzuty niedorzeczne, jako to, że „fałszywie przedstawił Polaków Ojcu św.", że przez pochwałę biskupów amerykańskich zaszkodził sprawie biskupów polskich, że „powinien był czernić biskupów amerykańskich i ujadać na nich" itp. Ci, co mieli odwagę takie artykuły pisać, powinni byli też mieć odwagę podpisać swoje nazwisko. Tem bardziej właśnie, jeśli to byli księża. Od księży bowiem wymaga się większej odwagi niż od cywilnych. Brak **cywilnej odwagi** jest zrozumiały; ale brak **kapłańskiej odwagi** nie da się niczem usprawiedliwić.

Tylko zbóje występują zamaskowani, a nie rycerze. Kto pod maską pseudonimu ukrywa swoje nazwisko, ten chciałby odpowiedzialność za to, co pisał, zwalić z siebie na drugich; ten chciałby, żeby drudzy cierpieli za niego. Albowiem ukrywając się pod pseudonimem, otwiera temsamem szerokie pole do domysłów i podejrzeń, do posądzań i pomówień. Tacy zamaskowani „rycerze" pióra zazwyczaj podwójną, dwulicową rolę odgrywają: w odezwach, na których się pełnem podpisują nazwiskiem, w oczy chwalą Symona, żeby go potem poza oczami pod pseudonimem tem bezpieczniej ganić i bezcześcić. Podle to są kreatury, którym redakcje w starym kraju powinny zedrzeć maskę i odsłonić je światu, żeby niewinnych osób nie narażać na niepotrzebne podejrzenia i posądzania. Na takich zamaskowanych „rycerzy", którzy z poza płota strzelając, najniesłuszniejsze mu czynią zarzuty, ks. arcybiskup Symon sprawiedliwym i świętym jest oburzony gniewem.

Dziwiłem się, dlaczego gazety w starym kraju publicznie oświadczyły Symonowi, że od kogo innego, a nie od ks. Wacława Kruszki, otrzymały owe bezimienne artykuły, krytykujące działalność Jego Ekscelencji. Czego to dowodzi, jeśli nie tego, że widocznie mnie podejrzywano o autorstwo owych paszkwilów. Prawda, jak oliwa, sama na wierzch wypłynie. Występowałem i występuję z otwartą przyłbicą.

Arcybiskup Symon pisze do mnie z Rzymu 1 marca 1906: „Oj, niestety, nietylko po cichu drwicie i szydzicie ze mnie, ale i publicznie po gazetach szarpiecie mnie. I za co? Za to, że się dałem namówić do tej nieszczęsnej podróży amerykańskiej, a powróciwszy z niej, przemówiłem głośno za Wami! Nie podoba się Wam, że nie czernię biskupów amerykańskich, nie ujadam na nich! Ależ to sprawie Waszej nietylko że nic nie pomaga, ale owszem szkodzi. Więc jakaż w tem wina, że szkodzić Wam nie chcę? Jedna i jedyna rzecz zła, którą zrobiłem, to ta, że odwiedziłem Was. Alem uległ biskupom i Ojcu św., który tego sobie bardzo życzył. Zresztą znaczna część tej winy spada na Ks. Proboszcza, który bodaj czy nie pierwszy na tę podróż zadzwonił i potem Ks. Proboszcz mi dokuczał. — Prefekt Propagandy kardynał Gotti po długiej i ciężkiej chorobie przychodzi powoli do zdrowia, ale sprawami jeszcze się nie zajmuje."

Tyle arcybiskup Symon.

O ilem ja „pierwszy dokuczał" arcybiskupowi Symonowi, to bezstronni czytelnicy moich artykułów sami osądzą. Com mówił i pisał, tom jawnie mówił i pisał, a w skrytości nic nie mówiłem i nie pisałem. Pod pseudonimem, czyli przybranem nazwiskiem, ani do tutejszych ani do starokrajskich gazet nic nie pisałem. Niech to poświadczą sami redaktorzy. Wprawdzie krytykowałem tutejszych biskupów — bo i jakżeż nie krytykować np. biskupa, który nam za wzór stawia cesarza Wilhelma? Czynią to wszystkie katolickie (polskie, niemieckie, irlandzkie itd.) gazety. Ale nigdy i nigdzie nie domagałem się od arcybiskupa Symona, żeby ich „czernił i na nich ujadał", bo tego i sam nie czyniłem. Domagali się tego owi zamaskowani „rycerze" pióra, ale nie ja.

Arcybiskup Symon już tem samem, że dał świadectwo prawdzie, to jest, że powiedział papieżowi, iż „biskupi polscy są tu koniecznie potrzebni", spełnił swój obowiązek, zaskarbił sobie wdzięczność Polonji amerykańskiej, wystawił sobie pomnik nad miedź trwalszy.

104. **Walka o zasady, o katolicką, czy o ajrysko-amerykańską.**

Wierzę, że gdyby to od arcybiskupa Symona zależało, mielibyśmy tu wkrótce, nie jednego, ale z tuzin biskupów polskich — prawdziwie polskich a nie z imienia tylko. Ale czy episkopat amerykański zgodzi się na to? To był i jest ten wielki znak zapytania. A wiemy to dobrze, że Rzym zwyczajną drogą, bez zgody

biskupów amerykańskich, nic nie uczyni. Że amerykańscy biskupi zgodziliby się łatwo na biskupa „Polaka", któryby atoli dążył do zanglizowania Polaków, jak „niemiecki" arcybiskup Moeller — o tem nie wątpimy. Nigdy jednak nie zgodzą się na prawdziwego Polaka. (Obym był fałszywym prorokiem!) Nie zgadzałoby się to bowiem z ich dążnością, jaką nam codzień objawiają, żeby wszystkich katolików przerobić na Anglo-Amerykanów.

Dlatego Rzym drogą zwyczajną (ordinaria potestate) dla Polaków w Ameryce nic uczynić nie może. Może ustanowić biskupów polskich tylko drogą nadzwyczajną (potestate extraordinaria seu absoluta), to jest nie zważając na opór biskupów amerykańskich. Tej drogi Rzym nie obierze bez nadzwyczajnej potrzeby, to jest, jeśli my sami tej nadzwyczajnej potrzeby Rzymowi i tutejszym biskupom odczuć nie damy.

Walka toczy się i toczyć się musi o te dwie zasady: o katolicką, którą jest jedność wiary w rozmaitości języków; i o ajrysko-amerykańską, która chce mieć jedność wiary w jedności języka angielskiego. Pomijam zasadę anglo-amerykańską, która chce mieć jedność języka w rozmaitości wiar.

Która z tych zasad zwycięży, czy katolicka, czy ajrysko- lub anglo-amerykańska?

Od Rzymu, ale i — od nas to zależy!

Zależy to od nas, czy chcemy dobrowolnie zrzec się tutaj naszego prawa do bytu narodowego, czy nie. Jeżeli nie chcemy go się zrzec, nikt nam odebrać go nie może i ani też Rzym ani episkopat nie odbierze. Ale wtedy zaznaczmy to jasno, dobitnie i wyraźnie, nie tyle słowem ile czynem i postępowaniem, że nie chcemy zrzec się tego prawa do bytu narodowego, że przeciwnie chcemy tu pozostać Polakami i że przeto dla rozwoju naszego jako Polaków-katolików koniecznie tu są potrzebni biskupi polskiej narodowości.

A jak tę potrzebę odczuwamy sami, tak też dajmy ją **odczuć** i biskupom i Rzymowi! Dajmy ją **odczuć**, mówię i powtarzam z naciskiem, bo bez tego Rzym „nadzwyczajną drogą" nic nie uczyni.

He who hesitates is lost — ten co się waha jest zgubiony. Nie wahajmy się ani na chwilę, czy mamy lub możemy się tu utrzymać jako Polacy!

Poco się wahać?

Możemy, jeśli tylko chcemy!

Lecz bez wahania stanowczo raz się zdecydujmy, **że chcemy tu w Ameryce jako Polacy się utrzymać,** że chcemy być Amerykanami, ale że Yankesami czyli Anglo-Amerykanami za nic w świecie nie chcemy zostać! I stosownie do tego publicznie postępujmy. Być albo nie być.

Ten co się waha zgubionym jest. Nie wahajmy się więc, bo i niema co się wahać pod tym względem.

Dixi, et salvavi animam meam. Rzekłszy powyższe słowo, zbawiłem duszę swoją, czy mnie rodacy moi usłuchają czy nie.

Nasze stanowcze domaganie się praw nie osłabia, lecz wzmacnia stanowisko arcybiskupa Symona w Rzymie. Adam Darowski pisze mi z Rzymu 27 lutego 1906: „Po przeczytaniu drugiej relacji arcybiskupa Symona (przedłożonej Propagandzie), i po kartce Ks. Dobrodzieja, zdaje mi się, że niemasz **innego** środka pchania sprawy polskich biskupów, **jak robić wyrzuty tym Irlandczykom.** Nawet arcybiskup Symon nie powinienby się gorszyć, jeśli i jemu się oberwie, owszem, **to nawet powinno wzmacniać jego stanowisko,** i powinienby to rozumieć, boć wiemy, że to jest najzacniejszy i gorliwy patrjota..."

Dnia 9 marca 1906 tenże Adam Darowski znowu tak mi pisze: „Ks. arcybiskup Symon, rozmawiając w tych dniach ze mną, mówił mi, że najlepiej byłoby, gdyby Ks. Dobrodziej przyjechał jeszcze do Rzymu, aby popierać wiadomą sprawę... Dziś niema wakującej katedry tam, ale może sufraganję w Chicago możnaby uzyskać, a oprócz niej może jeszcze drugą. Gotti kardynał wyzdrowiał i miał teraz dopiero audjencję u papieża..."

132. Co innego wykład zasad katolickich, a co innego wykład wyrazów angielskich. — Biskupi żałują, ale nie poprawiają się.

Z dnia 24 marca 1906.

105. Jak ks. Lange tłumaczy rozporządzenie Quigley'a.

Reporter „Dziennika Chicagoskiego" miał wywiad u ks. Langego, konsultora, który prywatnie pytał się arcybiskupa Quigley'a, jak należy to jego rozporządzenie językowe rozumieć. Otóż życzeniem arcybiskupa Quigley'a jest, „zapoznać dzieci z niektóremi wyrazami angielskiemi, zachodzącemi w katechiźmie... aby w razie potrzeby później w życiu przy spotkaniu się z niekatolikami lub katolikami innej narodowości, wiedziały, że incarnation znaczy wcielenie, Holy Trinity Trójca św. itd.... Tym, którzy tak dużo

narobili wrzawy, powtórzymy w dosłownem brzmieniu projekt, jaki był przedłożony Trzeciemu Synodowi Diecezjalnemu:

„40. Ne inhabiles evadant animae Nobis commissae ad reddendam rationem de fide quam tenent, volumus, ut in omnibus scholis cuiuscumque sunt nationis, pro instructione in religione Catholica, lingua Anglica etiam adhibeatur.“

Czyli po polsku, brzmi ten „projekt“, który na synodzie przyjęty bez protestu, stał się rozporządzeniem:

„Ażeby dusze Nam powierzone nie stały się niezdolne do zdawania sprawy z wiary, jaką posiadają, **chcemy,** żeby we wszystkich szkołach jakiejkolwiek narodowości **do nauki religji** katolickiej używano także języka angielskiego.“

106. **Rozporządzenie to na pozór niewinne a w gruncie zdradliwe:**

Oto mamy przed sobą dosłowne brzmienie owego rozporządzenia, o które całkiem słusznie „tak dużo wrzawy narobiono“. Spojrzyjmy mu tylko śmiało w oczy i przeniknijmy je nawskroś: czego ono chce i do czego zdąża?

Na pozór, na pierwszy rzut oka, wygląda ono całkiem niewinnie. Powiada bowiem, że chce, by dzieci mogły ze swojej wiary zdawać sprawę czyli egzamin przed innymi, katolikami i niekatolikami, — jak gdyby „dziecko“ na to głównie katechizmu się uczyło, żeby się popisywać z jego znajomością przed innonarodowymi katolikami albo dysputować i nawracać niekatolików. Pod temi ładnemi pozorami wprowadza się do samejże nauki religji **także** język angielski. I to „także“ nadaje owemu rozporządzeniu jeszcze większy pozór niewinności.

Ale pozory mylą. A mylą niezawodnie w tym wypadku. Te piękne pozory są jakby rozkoszną trawą, pod którą się kryje wąż jadowity, czyhający na zagładę języka ojczystego. Nie chce on odrazu pożreć lub zdławić języka ojczystego. Nie! On chce tylko zlekka ukąsić i jad swój zapuścić; bo wie, że jad ten, raz zapuszczony, sam dokona reszty, to jest, uśmierci język ojczysty. Z całą stanowczością śmiem twierdzić, że wprowadzenie **do samejże nauki religji** także języka angielskiego jest pierwszym stopniem do piekła — angielszczyzny. Skoro na to pozwolimy, napiszmy już teraz nad drzwiami naszych szkół i kościołów owo Dantejskie „lasciate ogni speranza“, porzućcie wszelką nadzieję, że się jako polskie szkoły i kościoły utrzymacie! Czytaj, kto nie wierzysz, nie-

miecko-katolickie gazety jak „Kath. Volksfreund" i inne. Niemcy tego na własnej skórze doświadczyli. Oni już dawno do nauki religji zaprowadzili **także** język angielski — tak. I my nieraz na ten ich przykład jako godny naśladowania się powołujemy. A nie zwracamy na to uwagi, że oni sami dzisiaj biadają i żałują i zawodzą skargi nad tem, że się dali tak łatwo skusić do tego kroku; że to był z ich strony fatalny błąd, brzemienny w zgubne dla niemieckości i religji następstwa.

Tak, uczmy się z tego przykładu Niemców, ale jako **z przykładu odstraszającego!** Principiis obsta, sero medicina paratur. Początkom zapobiegajmy, bo skoro raz wpuścimy angielszczyznę **do samego serca** szkół polskich, to jest do nauki religji, przestaną one być polskie i żadne już potem lekarstwo ich nie odangielszczy.

107. **Zaznajomienie z wyrazami angielskiemi należy do wykładu języka angielskiego a nie religji.**

Jeżeliby owo rozporządzenie miało tylko to na oku, żeby „zapoznać dzieci z wyrazami angielskiemi", toby nie żądało tego od samejże nauki religji. Zadaniem bowiem nauki religji jest zaznajomić dzieci z **zasadami wiary św.** Zaznajomienie zaś z **wyrazami angielskiemi** nie należy i nie powinno należeć do nauki religji, lecz do nauki języka angielskiego, któremu osobne poświęca się godziny. Qui bene distinguit, bene docet. Mieszając wykład religji z wykładem wyrazów językowych, wywołuje się w duszy dziecka tylko zamieszanie pojęć: o co chodzi, czy o przyswojenie sobie zasad katolickich czy wyrazów angielskich. A jeżeli która nauka, to nauka religji wymaga właśnie skupienia całkowitej uwagi w jednym przedmiocie. Wszelkie roztargnienie umysłu dziecka na dwa zupełnie odrębne przedmioty przy nauce religji musi złe za sobą pociągać skutki. Gdybyśmy do nauki religji wprowadzili **także** język angielski, dziecko mimowoli więcej myślałoby o obcych wyrazach angielskich aniżeli o samej rzeczy, o zasadach wiary. Zaprzątałoby swój dziecięcy umysł takiemi zabawnemi dziwolągami językowemi jak: transsubstantion, incarnation, indefectibility, indestructibility, aniżeli samąże treścią prawd religijnych. Słusznie więc Niemcy powiadają (zobacz ich gazety katolickie), że z nauczania religji w dwóch językach rezultat jest ten, że ich młodzież nie rozumie dobrze kazań ani niemieckich ani angielskich, obojętnieje we wierze i odpada od Kościoła. Połowiczność taka nie popłaca, już ze stanowiska pedagogicznego rzecz biorąc.

Powtarzamy: — obznajmianie dzieci z dziwaczną angielską nomenklaturą religijną podczas nauki religji jest zupełnie nie na miejscu. Kto chce, niech to czyni w innym czasie, mianowicie podczas nauki języka angielskiego. Uczy się wtenczas tyle rozmaitych wyrazów z dziedziny polityki, ekonomji itd., dlaczego nie z dziedziny religji? „Wszystko ma swój czas" — powiedział Salomon. Ale za nic w świecie nie wpuszczać angielszczyzny do samego sanktuarjum szkoły polskiej, czyli do samegoż wykładu religji: tam tylko polskiemu językowi wstęp niech będzie dozwolony. Inne języki poza tem sanktuarjum niech stoją w przyzwoitem oddaleniu.

108. **Nieubłagany wróg wszystkich tych, co nie chcą być Yankesami.**

Arcybiskup Ireland z St. Paul zabrał znowu głos i wylał swoją żółć na wszystkich tych, co tu oddawna przybyli do Ameryki, są Amerykanami, ale nie chcą się stać Yankesami. Arcybiskup Ireland wypowiedział swoją siarczystą mowę tym razem w Kansas City i zebrał huczne oklaski od wszystkich bezwyznaniowych Amerykanów. Szkoda, że z nich nie uformuje sobie diecezji albo przynajmniej parafji jednej „amerykańskiej". Ba, nie głupi Yankesi!

109. **Żal, po którym poprawy żadnej nie widać.**

Jakiś komitet bezimienny (czemu bezimienny? czyżby się wstydził tego co mówi?) z parafji ks. Pyplatza w Chicago ogłasza w „Dzienniku Chicagoskim" z 21 marca 1906, że „uczyć dzieci polskie pacierza po angielsku nie jest zbrodnią".

Pewnie, że nie jest zbrodnią, za którą więzieniem się karze. Jednakowoż to małoznaczne na pozór ustępstwo na rzecz angielszczyzny jest i pozostanie przestępstwem w oczach narodu polskiego katolickiego. Rodacy! Jeśli przy wykładzie religji tylko mały palec podacie angielszczyźnie, bądźcie pewni, ona za całą rękę was uchwyci! Uczenie choćby tylko pacierza po angielsku jest to otwieranie bram wrogowi polszczyzny i wpuszczanie go do owych „twierdz polskości i religji", jak tu nasze szkoły nazywamy. Jest to dobrowolna kapitulacja owych twierdz i fortec naszych.

Nawet winoński „Wiarus", który jakiś czas chwiejne zajmował stanowisko i chciał wejść w kompromis z wrogami polszczyzny, w ostatnim numerze z 22 marca 1906 pisze: „Uczenie pacierza w języku obcym uważamy za marnowanie czasu, chociażby go uczono dla jakichś wielebnych egzaminatorów".

Święte słowa. Oby „Wiarus“ zawsze tak pisał, a nie sprzeniewierzałby się swej nazwie!

Ci „wielebni egzaminatorzy“, jeśli chcą egzaminować dzieci polskie, niech się nauczą po polsku. A jeśli nie mogą lub nie chcą, to niech zrezygnują ze swoich urzędów. Kto chce być egzaminatorem **naszych** szkół, powinien znać także **nasz język.**

Kto w **naszych** kościołach chce przemawiać do nas, niech przemawia w naszym języku! Mamy do tego najświętsze prawo, które utracić możemy li tylko przez dobrowolne zrzeczenie się go. Biskupi sami, ilekroć przemawiają w naszych kościołach lecz nie w naszym języku, tylekroć czują się nie w swojem miejscu, często przyznawają się sami, że nas krzywdzą w naszych prawach. Przyznawają się owym stereotypowym frazesem:

— I am sorry I cannot talk Polish — żałuję, że nie mogę mówić po polsku.

Przyznawają się słowem, lecz nie czynem i postępowaniem swojem. Cóż mi to za **żal,** który li tylko na słowach się zasadza? po którym poprawy żadnej nie widać! Czy to żal szczery i prawdziwy? Czy nie daliśmy im dosyć czasu do poprawy?...

Ależ przecie nie od wczoraj, lecz już od pół wieku powtarzali nam co rok tę starą piosnkę: Żałuję, że nie mówię po polsku!

Był ten żal ich prawdziwy, czy udany? Gdyby był prawdziwy, już dawno poprawa powinna była nastąpić. Już od pół wieku pozwalaliśmy im na takie widoczne kpiny z nas. Czy i nadal pozwolimy?

Czas już, czas wielki, byśmy już otwarcie i publicznie, spokojnie, lecz stanowczo, nie tyle słowem ile czynem i postępowaniem naszem jawnie im oświadczyli:

— Tak dłużej być nie może! Jeśli wam istotnie żal, to poprawcie się!

110. **Biskup dobry lubi otwartość i prawdomówność, a tylko zły lubi pochlebstwo i umizgi.**

Tą naszą szczerością i prawdomównością **dobrzy** biskupi nie obrażą się. Bo jak powiada św. Ambroży w liście do cesarza: „Po czem poznać dobrego pana a po czem złego pana? Po tem, że dobry pan lubi u sługi swego szczerość i prawdomówność, a zły lubi pochlebstwo i umizgi.“

Żądając biskupów polskich, nie występujemy przeciw władzy, lecz przeciw niesprawiedliwemu podziałowi władzy. We are not

against authority but against the unjust distribution of authority. A w tych żądaniach naszych trwajmy, dopóki nie będzie skutku. Żądajmy stanowczo, stale i wytrwale, niech nas nikt i nic nie odstrasza, ani ten faryzejski okrzyk: buntuje lud! Nie wahajmy się ani na chwilę. Kto się waha, jest zgubionym. Chodzi tu bowiem o nasz byt lub niebyt. O to, czy mamy tu być jako polscy Amerykanie, czy jako angielscy albo Yankesi.

Pragnęliśmy i pragniemy nie czego innego jak tylko zdrowej, na jedności i posłuszeństwie biskupom i Stolicy Apostolskiej opartej reformy stosunków kościelnych w Ameryce — reformy podług tej przez biskupa Krasińskiego wierszem wypowiedzianej zasady:

Ta prawda jest krwią męczeńską z wieków napisana:
Że kapłan jest dla ludu a nie lud dla kapłana!

I biskup jest dla ludu, a nie lud dla biskupa. I co do języka biskup do ludu stosować się musi, a nie lud do biskupa.

133. I w Ameryce jeszcze Polska nie zginęła. — Dwie królowe w jednym ulu? — Biskupi tu zajmują to samo stanowisko co Prusacy względem Polaków.

Z dnia 29 marca 1906.

111. **Co biskup francuski z Kanady pisał w kwestji językowej.**

Francuskie pismo katolickie „La Verite" w Quebec, Kanadzie, ogłasza w nr. 31 list biskupa Racine'a z Sherbrooke, pisany jeszcze 1892 do ówczesnego Prefekta Propagandy kardynała Ledóchowskiego. Z tego listu wyjmujemy tu dwa ustępy:

„Ale, powie kto, gdyby wszyscy katolicy w Stanach Zjednoczonych po angielsku mówili, byłoby duszpasterstwo znacznie ułatwionem. Tak, może... Lecz czyż dla tej racji, że duszpasterstwo byłoby ułatwionem, należy wiarę świętą narażać na niebezpieczeństwo? **Duch św. udzielił daru języków Apostołom a nie narodom.** Kapłan, biskup musi się nauczyć języka ludów, których dusz zbawienie na sercu mu leży, a nie lud... Kościół katolicki na ziemi ma za główne zadanie przez zaprowadzenie jedności wiary zrobić z ludzi obywateli królestwa niebieskiego; a nie jest to bynajmniej zadaniem Kościoła dążyć do zlania różnych narodowości w jedno polityczne państwo..."

„Inny zarzut, jaki się czyni, jest ten:

— Tak jak stosunki się układają, będzie i musi język angielski w niedalekiej przyszłości zostać językiem powszechnym Ameryki

Północnej. Dlatego na nic się zda opierać się temu. Byłoby raczej pożądanem, zaraz ten język zaprowadzić.

„Jeśli tak rzecz się ma, to zostawmyż to przecie samemuż czasowi. Czemuż uprzedzać naturalny bieg czasu i rozwój idei?...“

Żałujemy, że nie możemy tu przytoczyć całego tego pięknego listu biskupa Racine‘a.

112. **Tymczasem — jeszcze Polska w Ameryce nie zginęła.** Być może, że za sto lat Polaków tu nie będzie. Jeśli ich nie będzie, to nie będzie także petycyj o biskupów polskich. To całkiem naturalne. Ani Francuzi, ani my Polacy nie domagamy się biskupów dla pokoleń odległej przyszłości, lecz **dla dzisiejszych pokoleń.** Jeśli znikną Polacy, to zniknie i potrzeba biskupów polskich.

Tymczasem — jeszcze Polska nie zginęła!...

Z dnia 5 kwietnia 1906.

113. **Nie jedności językowej, lecz jedności wiary żąda Kościół.** Hasłem Kościoła po wszystkie wieki było i jest: jedność wiary w rozmaitości języków. Inne, zupełnie nowe w Kościele hasło, narzucają nam biskupi amerykańscy, jak arcybiskup Ireland, arcyb. Moeller — zobacz „Catholic Citizen“ artykuł pod tytułem: „Speak English!“

My na to ich „Speak English!“ spokojnie ale stanowczo odpowiedzmy: Speak Polish! Co innego język krajowy a co innego język kościelny. W kościołach polskich mówcie nam po polsku! Pod względem języka nie lud do was, lecz wy do ludu stosować się powinniście!

To stanowisko w kwestji językowej zajmują wszystkie tutejsze katolickie gazety francuskie, niemieckie, polskie — z wyjątkiem osławionej trójki naszej „Dziennika Chicagoskiego“, „Kurjera Ohioskiego“ i chwiejnego „Wiarusa“. Milwaucka „Columbia“, organ arcybiskupi, z dnia 29 marca 1906 podaje pod tytułem „Do kwestji językowej“ zdanie słynnego kaznodziei O. Bonawentury Kortz’a O. P., który między innemi tak się wyraża:

„Na polu religijnem **kwestja zbawienia dusz** jest jedynie lub przedewszystkiem rozstrzygającą. Nie kwestja amerykanizacji, nie chęć zaprowadzenia jedności językowej jest miarodajną, lecz zbawienie dusz jest najwyższem prawem!... Tego hasła: Let them

learn English — żaden Apostoł nie wypowiedział i nie byłoby można usłyszeć tego w ów dzień Zielonych Świąt."

114. **Za kim powtarzają pacierz? za faryzeuszami!**

Te wspomniane trzy nasze świstki, które swą ultra-lojalność dla biskupów tak daleko posuwają, iż nie mają śmiałości ani półsłówkiem potępić ich zakusów anglizacyjnych, czyż mają jakie argumenta za sobą? Otóż brak argumentów zastępują wyzwiskami ulicznemi „głupiś" itp. A jedyne argumenta, jakie na obronę swego zbyt lojalnego stanowiska przytaczają, to argumenta żywcem wyjęte z ust faryzeuszów i doktorów starozakonnych, jako to: „buntuje lud, ucząc po wszystkiej ziemi począwszy od Galilei aż dotąd" (Łuk. 23, 5); albo: „Tegośmy znaleźli podburzającego naród nasz" (tamże 2); albo: „Jeśli go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą" (Jan 2, 48).

Ma się rozumieć, że zbóje napadając kogoś, muszą być zamaskowani i swej twarzy ani nazwiska nie odkrywają bądź ze wstydu, bądź z obawy. I tak też czynią „rycerze" pióra w owych trzech gazetkach.

115. **Dwie królowe w jednym ulu?**

O rozporządzeniu językowem, jakie wydał arcybiskup chicagoski, pisze „Kurjer Ohioski", a za nim „Dziennik Chicagoski" tak:

„Jest to raczej **polecenie warunkowe** a raczej **pozwolenie** na wprowadzenie w szkołach polskich nauki religji **także** w języku angielskim obok polskiego, a więc bez wykluczenia tego ostatniego."

Bardzo to pięknie, że pragną arcybiskupa wytłumaczyć i usprawiedliwić. Ale nie pięknie to, że używają do tego fałszu i przekręcania zdań. Odnośny paragraf dosłownie brzmi:

„Volumus — **chcemy,** ażeby do nauki religji używano także języka angielskiego."

Czyż tem „chcemy" nie jest **bezwarunkowo** objawiona wola arcybiskupa? Poco to sianem się wykręcać, panowie! Faktem jest niezaprzeczonym, że arcybiskupie rozporządzenie **chce** zaprowadzić język angielski do wykładu religji w szkołach polskich. To słówko „także" nie zmienia owego rozporządzenia co do istoty swej, lecz tylko co do stopnia.

Dwa wykładowe języki w **jednej** nauce religji nie utrzymałyby się długo. Prędzej czy później jeden zostałby wyparty przez drugi. W jednym ulu dwie królowe długo panować nie mogą.

Wnet jedna drugą albo wygryzie albo zagryzie. Tak też w jednej nauce religji dwa języki wykładowe, polski i angielski, długoby się nie utrzymały i utrzymaćby się nie mogły. Czuła to instynktownie **nasza** królowa, matka polszczyzna; i dlatego tę obcą królowę, angielszczyznę, odrazu wypędziła, nie dając jej ani wstępu do ula.

116. **Biskupi tu zajmują to samo stanowisko, co Prusacy względem Polaków.**

Że biskupi amerykańscy, zamiast przez rozmaitość języków dążyć do jedności wiary, chcą przewrotnie wykorzystać jedność wiary dla zaprowadzenia jedności językowej, czyniąc to nie tyle z nienawiści ku rozmaitym językom, ile dla uproszczenia i ułatwienia sobie administracji kościelnej: — to fakt tak w oczy bijący, że nikt go przeoczyć nie może, chyba ten, kto naumyślnie oczy na to zamyka. Konstatują ten fakt wszystkie gazety katolickie w Ameryce, nietylko nasze polskie. Owszem francuskie i niemieckie więcej i z większem jeszcze oburzeniem o tym fakcie się rozpisują, aniżeli nasze polskie.

Śmiało mogę takie twierdzenie stawić, gdyż abonuję i czytam przeszło półtora tuzina innonarodowych gazet katolickich. Rękami i nogami bronią się wszystkie narodowości przed anglizacyjnemi zakusami biskupów. A na obronę swoją przytaczają różne przykłady odstraszające, nawet takie, któreby w innych okolicznościach z pewnością milczeniem pominęły.

Naprzykład, Niemcy tutejsi jako przykład odstraszający przytaczają pruską politykę wynaradawiającą Polaków w starym kraju.

Taki niemiecko-katolicki „Wanderer" z St. Louis, Minn., 29-go marca 1906 pisze:

„Wyrok potępiający pruską politykę względem Polaków wydaje profesor prawa państwowego p. Walter Schnecking z Marburga w swoim artykule „Das Nationalitaetenproblem" w czasopiśmie „Christliche Welt".

I oto, z jakich to pobudek St. Paul'ski „Wanderer" przytacza ów artykuł:

„Ponieważ — pisze — w Stanach Zjednoczonych niestety (leider Gottes) nawet **w łonie samegoż Kościoła** w kwestji narodowościowej, szczególnie względem Niemców, nierzadko zajmuje się **to samo stanowisko, co Prusy zajmują względem Polaków;** i ponieważ utrzymanie języka i narodowości chce się tu uważać

wprost za zdradę kraju (Ameryki) i za przeszkodę do rozwoju Kościoła: — przeto nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tu kilku jędrnych zdań z rozprawki profesora marburskiego; stosują się one mutatis mutandis bardzo dobrze także do naszych dążności amerykanizacyjnych. Pan profesor Schnecking pisze między innemi:

„Państwo i naród mają do siebie przystawać — taki to już zgóry ukuty dogmat, który dziś opanowuje umysły. Podczas gdy narody bez politycznej organizacji, jak Polacy, usiłują sobie stworzyć **byt państwowy,** to z drugiej strony wielkie państwa starają się sztucznie wytworzyć **jedność narodową** przez pogwałcenie praw mniejszości. Taki system wynarodowienia poszczególnych w państwie mniejszości narodowych jest potępienia godnym i bezskutecznym. Niegdyś w Niemczech hołdowano tej straszliwej zasadzie: Cujus regio, ejus religio (czyj kraj, tego religja), — panujący kraju swoim poddanym dyktował przekonania religijne. Ta zasada na szczęście dziś nie ma znaczenia. Ale na jej miejsce dziś postawiono inną, nie mniej ohydną zasadę: Cujus regio ejus natio — czyj kraj, tego naród!

„Żądamy od Polaków — wołał był minister von Hammerstein śród oklasków parlamentu — ażeby ze serca niemieckimi się stali. Albo kiedy indziej: My rozkazujemy, a oni muszą słuchać. Czyż wogóle godzi się z dobrem sumieniem germanizować? i czyż człowiek nie ma wrodzonego prawa do własnej narodowości, idącej za uczuciem serca? Takie pytania stawiać, znaczy to samo co odpowiadać: Tak! Zapędy germanizacyjne w Polsce są tak dawne jak idea narodowościowa sama, a najpierw od r. 1840, uskutecznione przez oberprezydenta von Flottwell, którego też dlatego nasi narodowcy wynoszą pod niebiosa. W tem tkwi kardynalny błąd naszej polityki, że każdy narodowy objaw mniejszości uważamy za niedozwolony napad na nas samych... Nie chcę całej odpowiedzialności za naszą narodowościową politykę zwalać tylko na rząd. Rząd tu tylko daje się unieść opinji publicznej szerokich warstw wykształconego obywatelstwa. Atoli czem się to dzieje, że nasz naród niemiecki, który dla obcych zawsze sprawiedliwszym był niż sam dla siebie, dał się popędliwemu nacjonalizmowi porwać do walki? Odpowiedź, mojem zdaniem, jest następująca. Nigdzie tak jasno nie widać jak tu, że — chociaż to niepatrjotycznie brzmi — w niejednym względzie **Bismarck zatracił niemiec-**

kiego ducha narodowego. Bismarck był to genjusz w czynie, ale nie w usposobieniu. Był on najpotężniejszą osobistością 19 wieku, lecz jego moralny na świat pogląd wyraża to zdanie: Siła przed prawem! Wiem bardzo dobrze, że Bismarck tego zdania wcale nie powiedział; ale nie stało się to przypadkiem, że mu to zdanie w usta włożono... Nie wolno nam popadać w błędy polityki, z jaką nawet Bismarck do niczego nie doprowadził. **Walka przeciw narodowym mniejszościom jest bezskuteczną walką przeciw ideom.** A my się starać musimy stać znowu sprawiedliwymi względem przeciwników...“

Niestety ów zatruty duch Bismarcka jeszcze dziś w duszy niemieckiej pokutuje i nie dozwala być sprawiedliwymi dla Polaków. Jeszcze dziś są Niemcy, którzy mając siłę, czyli władzę w ręku, nie pytają o żadne prawa innych czy osób czy narodowości, lecz rządzą podług Bismarcka zasady: siła przed prawem! Profesor Schnecking ma słuszność, kiedy twierdzi, że „Bismarck zatruł niemieckiego ducha narodowego“.

A St. Paul‘skiemu „Wanderer“ wdzięczni jesteśmy, że zwrócił nam uwagę na to, iż władze kościelne w Ameryce nierzadko uprawiają pruską politykę wynaradawiającą, czyli zajmują względem nie-angielskich narodowości to samo stanowisko co Prusy względem Polaków. Pruski duch szerzy się jak zaraza po świecie. Ale dopóty dzban wodę nosi aż się ucho urwie.

134. Ajrysze twierdzą, że tak zwany amerykanizm musi być zbudowany na fundamencie irlandzkim — że wtedy będą najlepszymi Amerykanami, kiedy zostaną najlepszymi ajryszami, a nie małpami Anglji.

Jak co rok, tak i roku 1906 w czasie wielkanocnym (t. j. od pierwszej niedzieli W. Postu aż do niedzieli św. Trójcy) wyjeżdżałem często na czterdziestki do rozmaitych parafij i nie miałem zbyt wiele czasu do pisania. Zajęty też byłem ciągle jeszcze wydawaniem „Historji Polskiej w Ameryce“ we formie książkowej. „Polak w Ameryce“ z Buffalo, N. Y., organ Przew. ks. dziekana Pitassa, skarżył się, że nie piszę artykułów dla niego. Dnia 27 marca 1906 redaktor St. Ślisz pisze mi w liście z Buffalo: „Dziwi mnie to cokolwiek, że drogi Ksiądz przyobiecał pióro zawiesić na kołku, a jednak tak często Jego korespondencje ukazują się w „Kurjerze Polskim“. Czyżby to pióro złamało się tylko dla „Polaka w Ame-

ryce", który bardzo uprzejmie i na znośnych warunkach zapraszał drogiego Księdza do współpracownictwa?..."

Niebawem w „Polaku w Ameryce" ukazał się następujący artykuł o dalszej działalności znanego nam już dr. Hyde'a, artykuł ciekawy dlatego, że wykazuje dążność Irlandczyków do utrwalenia swojej irlandzkiej narodowości w Ameryce.

117. **Ksiądz dr. Yorke o misji dr. Hyde'go.**

Misja dra Duglas Hyde'go w Ameryce jest nadzwyczaj wielkiej doniosłości, nietylko dla Irlandczyków, ale i dla nas Polaków.

Znamy już dobrze dr. Hyde'go. Jest to protestant, ale przyznajmy mu to, że szczery patrjota irlandzki, który wziął na siebie trudne, ale wzniosłe zadanie: wskrzesić język irlandzki nietylko w Irlandji, lecz i na obczyźnie wśród rozproszonych Irlandczyków.

Choć ten ideał jego jest czysto naturalnym, bo czysto narodowym i jako taki nie sięga wyżej po nad sferę przyrodzoną, to jednak w tych naszych czasach i w tym naszym kraju grubego materjalizmu jest to bądź co bądź ideał szczytny i wzniosły, i nie dziw, że pociąga za sobą i porywa umysły szlachetniejsze zarówno protestantów jak i katolików irlandzkich. Katolicki zwłaszcza kler irlandzki, tak niższy jak i wyższy, składa wszędzie hołd i uznanie dr. Hyde'mu i jego pełnej zasług działalności. Obecnie dr. Hyde bawi na Dalekim Zachodzie w San Francisco, i tam za swoją zbożną pracę zbiera nietylko rzęsiste oklaski i wawrzyny, lecz i brzęczącą monetę, która idzie do skarbu Narodowej Ligi Irlandzkiej, założonej już i tu w Ameryce dla przywrócenia Irlandczykom straconego języka ojczystego.

Jednym z licznych wielbicieli protestanta dr. Hyde'go, jest właśnie najwybitniejszy w San Francisco kapłan irlandzki, katolicki, ks. dr. Yorke, znakomity pisarz i redaktor katolickiego tygodnika „The San Francisco Leader". Doktoratem zaszczycił tego kapłana sam Ojciec św. niedawno, bo reskryptem z 20 lutego b. r.

Nawiasowo tu powiem, że „The Leader" ks. dr. Yorke'go przed trzema laty, kiedy polska delegacja bawiła w Rzymie, ogłaszał artykuły bardzo naszej sprawie polskich biskupów sprzyjające. Między innemi, pamiętam, twierdził to, że każda narodowość w Stanach Zjednoczonych tworzy odrębny organizm, który do kompletnego rozwoju swego w życiu religijnem, nieodzownie potrzebuje **swoich organów,** t. j. swojego kleru, nietylko niższego, ale i wyższego. Słowem, ów świeżo przez Ojca św. odznaczony ks.

dr. Yorke z San Francisco, dobrze zrozumiał i rozumie potrzebę biskupów polskich w Ameryce, bo miał i ma zdrowe zapatrywania na sprawę narodowościową, czyli na tak zwaną „kwestję językową", „Sprachenfrage", „The Language Question", figurującą obecnie na szpaltach wszystkich pism w tym kraju.

A jak się zapatruje ten ks. dr. Yorke na misję dr. Hyde'go w Ameryce? Na to pytanie chcemy dać odpowiedź. Otóż ks. dr. Yorke w swoim „St. Francisco Leader" pisze: „W rzeczy samej, Douglas Hyde jest to prawdziwe cudo, jest znak na niebie, zapowiadający nowe czasy. Podjął się on dokonać wielkiego dzieła w ojczystej Irlandji; ale przychodzi on zarazem dokonać wielkiego dzieła i dla Irlandji w rozproszeniu żyjącej. Bądźmy znowu raz narodem — oto hasło, w imię którego jego naśladowcy pracują w ojczyźnie. To są prawdziwi narodowcy.

„Ich ambicją jest stworzyć Naród Irlandzki, któryby był prawdziwie irlandzkim, a nie lichą imitacją Anglji lub Ameryki. Żadne półśrodki nie zadowolą ich. Hasłem ich jest, być „na wskroś" Irlandczykiem: „Irish" niema być nadal tylko czczym tytułem dla komplimentu, „Irish" musi odtąd oznaczać irlandzką niepodległość, irlandzką energję, irlandzką myśl i irlandzką mowę. Takimi mają być Irlandczycy w swej ojczyźnie. A tu w Ameryce? **Irlandczycy w Ameryce pozostaną Irlandczykami.**"

Tłumacząc, jakie znaczenie ma misja dr. Hyde'go tu w Ameryce, tenże ks. dr. Yorke pisze dalej tak:

Dla Irlandczyków na obczyźnie urzeczywistnienie ideału dr. Hyde'go będzie miało ten skutek, że już dłużej nie będą oni miotani tam i sam bez celu na falach morza anglo-amerykańskiego. Będą mieli wytknięty cel, bieg, kompas, ster, a w czasie burzy kotwicę bezpieczeństwa. Ich własna dusza będzie im objawiona i ich własne przeznaczenie. Poznają, że są prastarą i zacną rasą, że mają chwalebną i szlachetną przeszłość, że ich przyszłość jest wielce obiecującą.

„Wcieleni są do Stanów Zjednoczonych jako Irlandczycy. Wcielili się sami do tej Rzeczypospospolitej Amerykańskiej, **lecz nie kosztem utraty swojej tożsamości.** Konstytucja nie żąda takiej ceny; **tylko głupota i podły wstyd sprzedałby swoją narodowość; krew, która płynie w ich żyłach, nie może być zmienioną,** ich długoletnie i szlachetne pochodzenie nie może być zgładzone.

„Oni to są spadkobiercami wieków irlandzkich wyłącznie i tylko wieków irlandzkich wyłącznie. Do nich należy uprawiać,

rozwijać ich własne dziedzictwo, — a nie gwałtem wpychać siebie samych do obcych form, a nie kłaniać się cudzym bogom, nie mieszkać w namiotach Shema, choćby te nie wiedzieć jak wygodne były. **Irlandczykami oni są i na irlandzkim fundamencie musi być zbudowany ich amerykanizm.** Wtedy oni będą najlepszymi Amerykanami...“

Że starzy, jeszcze w Irlandji urodzeni Irlandczycy zachwycają się wizytą dr. Hyde'go, to nic dziwnego. „Lecz dziwnem jest to — pisze dalej ks. dr. Yorke — że właśnie ci młodzi Irlandczycy, którzy nigdy nie widzieli Irlandji, nigdy jej językiem nie mówili, że właśnie ci Irlandczycy już tu w Ameryce urodzeni, są pełni entuzjazmu dla dzieła dr. Hyde'go... I w tem widzimy te wielkie i doniosłe skutki wizyty dr. Hyde'go i ten wielki dowód, że poruszył on ukrytą sprężynę w irlandzkim charakterze. Są tacy, którzy uważają Amerykę za wielki kocioł lejarni, w który wrzuca się wszystkie rasy, dobre i złe, a w którym tak szlachetny kruszec jak i lichy metal stapiają się w jakąś nową kompozycję. Takich nic to nie obchodzi, z jakiej narodowości ktoś pochodzi. Im prędzej zapomni o ojczystym domu i swej własnej ojczyźnie i zacznie żyć na nowo, tem lepiej dla Ameryki.

„My nie trzymamy się takiej płytkiej filozofji.

„Ci, co morza przepływają, powiada przysłowie, zmieniają swoje niebios sklepienia, lecz nie swojej duszy usposobienia. Coelum, non animum mutat, qui trans mare currit. Ludzki charakter nie wyrabia się ani obrabia się w jednym dniu, ani w trzech pokoleniach. Krew znaczy i stanowi. Krew jest gęstsza od wody, która nas dzieli od starej ojczyzny. Zatem zdrową i rozumną zasadą jest to, żeby nie robić żadnych nagłych ni gwałtownych skoków w rozwoju narodu jakiegoś. Stare zwyczaje nie powinny być prędko porzucone. Najlepszym Amerykaninem jest ten, który, czy tam czy tu urodzony, trzyma się dobrych zwyczajów swoich praojców i przystosowuje je do służby amerykańskiej rzeczypospolitej.“

„Czy kto zdoła ocenić, ile dobrego Irlandzcy katolicy zdziałali dla Ameryki przez zaszczepienie religji katolickiej w tej tu Rzeczypospolitej? Mówiono im, a mówiono często, że jeśli chcą być dobrymi Amerykanami, muszą porzucić cudzoziemskie zabobony i przyjąć jednę z 150 naszych domorosłych sekt. Nie uczynili tego. Udowodnili, że patrjotyzm nie wymaga niewoli, nie wymaga ich dusz. I pomimo oszczerstw, pomimo prześladowań, wytrwali;

wywalczyli prawo wolności sumienia i dziś Kościół Katolicki stoi tu wspaniale i majestatycznie.

„...Gdyby lud irlandzki był tu rozwodnił swój katolicyzm, albo zniekształcił go obcemi formami, czyżby Kościół był dziś taką potęgą w tym kraju? Irlandczycy byli nieugięci w swojej religji i dlatego zdobyli sobie tu takie stanowisko wpływowe. Tak samo nieugięci muszą być w zachowaniu tego drugiego, po religji najcenniejszego skarbu, narodowości irlandzkiej... Wizyta Dr. Hydego przypomni irlandzko-amerykańskiemu żywiołowi w Ameryce obowiązek i prawo rozwijania się w naturalnym irlandzkim kierunku. Już dłużej Irlandczycy w Ameryce nie będą gonili za mrzonkami anglizacji. Poznają obowiązek, jaki winni swojej krwi i nie przyniosą już więcej wstydu nazwiskom irlandzkim, jakie noszą!!...“

Powyższy artykuł ks. Yorke'go z San Francisco, przedrukowały wszystkie pisma irlandzkie katolickie w Ameryce, nie wyjmując „The Catholic Union and Times“ z Buffalo (zob. kwiecień 5. 1906); widać więc, że się zgadzają na wywody jego. I my się zgadzamy. Dziwimy się tylko, że irlandczycy tych samych praw, jakie swojej narodowości przypisują tu w Ameryce, nie przyznają (w praktyce!) naszej polskiej narodowości. Dałby Pan Bóg, żeby się rychło upamiętali!

Z Cecil, Wis., 2 kwietnia 1906 pisał mi Piotr Wiencki: „Najukochany Ojcze W. Kruszko! Przejęty tak wielkim czynem, który ty, Ojcze, działasz, postanowiłem i ja od siebie coś dołożyć. Najprzód donoszę Ojcu to, że gdy tu był biskup polski (Symon), to powiedział tak: że tu niema mowy o polskim biskupie, że tu jest przeszło 600 polskich księży a z tych ani połowa nie jest za biskupem polskim. A ci reszta są naprzeciw. Więc do tego czasu tyś tylko jeden jest. A ci reszta zapewno są naprzeciw. A więc jeżeli się znajdzie jeden dobry kapłan i przedstawi żale i żądania Ojcu św., to się go pozbędą jak mogą. A jeszcze wyśmieją. Bo cóż znaczy jeden do setek? Tyle co wróbel do orła. My Polacy utracili wolność narodową. Więc nie znaczymy nic nigdzie, ani w Rzymie. Ojcze duchowny, żeby za nami poszedł Moskal lub Niemiec kajzer, więc widziałbyś, Ojcze, ile by tu było biskupów polskich w Ameryce. Ale za nami nikt się nie będzie starał tylko ty, Ojcze, pierwszy. A więc działaj. Niech Ci Pan Bóg dopomoże i pobłogosławi. Amen.

Peter Wiencki,
Box 70, Cecil, Wis.

Drugi taki, J. S. Dąbkowski z Michigan City, Ind., 25 marca 1906 pisał: „Drogi Księże! Najprzód życzę Ci szczęścia i zdrowia i długiego życia! Abyś mógł i nadal bronić polskiego języka przed napadami Gallów i Gotów. Oby Bóg dał nam więcej takich obrońców języka ojców naszych, to już dziś Ajrysze ani Niemcy nie rządziliby naszymi szkołami i kościołami, nie rozpościeraliby się w naszych kościołach zasłaniając swoim tułowiem Najświętszy Sakrament wystawiony na ołtarzu. Jak to miało miejsce u nas w Mich. City podczas bierzmowania przed trzema laty. Wtenczas, gdy go rozbierano, a inne utensylja nań wkładano. Zapewne przez omyłkę tak zasiadł. A może chciał pokazać, że On to jest panem tego Kościoła i polskiego ludu, gdyż polscy biskupi nigdy tak nie zasiadali w starym kraju. Dlatego też zaraz był w kościele szmer niezadowolenia. I za rok siedział już nie na środku, aby zasłaniać Monstrancję, tylko przy końcu Ołtarza. Widać z tego, że owi biskupi tak się rozpanoszyli, iż za jednym zamachem chcieli Polaków zanglizować w sposób religijny, wiedząc, że Polacy dotąd nie bronili się wcale.

„Lecz nietylko biskup, ale nawet samo piekło nie potrafi wynarodowić polskiego ludu. Bo ten lud jest przeznaczony do czego innego. Ten lud polski ze swym językiem przeznaczony jest nietylko Europie, ale całemu światu przewodniczyć będzie w niedalekiej przyszłości. Ten lud polski sam Bóg podtrzymuje swą przenajświętszą prawicą do dzieła wzniosłego, o jakiem dzisiejszym narodom ani się śniło. Ten lud polski przechodzi przez wszystkie próby doświadczenia. Lecz, jak tylko jaka próba chwieje nim, zaraz występuje z woli Boga obrońca i podpora i nie da mu upaść, jak innym narodom.

„Więc ciesz się ludu Polski! Bo sam Bóg czuwa nad tobą i nie pozwoli ci zginąć, lecz stań śmiało i otwarcie, jak ci dał dowód tego Wiel. Ks. Wacław Kruszka. Nie dba on o względy żadne biskupów ajryskich i niemieckich. Nie obawia się ich szykan i szemrań, bo stał z ludem i stoi za tobą, ludu polski.

„Precz z takimi nauczycielami, którzy nie słuchają głosu sumienia, głosu Boga, tylko czynią, aby się przypodobać biskupom Niemcom i ajryszom. Jeżeli taki ksiądz dla przypodobania się biskupowi czyni to, co mu biskup rozkaże na szkodę narodowości polskiej — nie wart jest być księdzem, nie wart jest twego w pocie czoła zapracowanego centa, które mu w dobrej wierze składasz. Nie wart jest uszanowania, bo jest odstępcą naszej narodo-

wości i naszego języka przekazanego nam przez praojców naszych jako spuścizna najdroższa. Gdyż nawet niemiecki pisarz Goethe wyrzekł swego czasu: „iż język polski jest miły i przyjemny i zajmuje trzecie miejsce między językami dla swego powabu i słodyczy w głosie...“

Cóż dziwnego, że chłop prosty prawił dziwy o przeznaczeniu ludu polskiego w Ameryce, kiedy podówczas r. 1906 taki arcybiskup Ireland w swej dzikiej mowie dosłownie wyraził się tak:

„Wszelkie usiłowania, żeby imigrantów skupić w społeczne grupy i amerykanizacji zapobiec, należy zganić i udaremnić. Istnieją w Ameryce samozwańcy wodzowie obconarodowych obywateli, którzy o amerykanizacji jako o czemś nagany godnem mówią; z takimi ludźmi opinja publiczna powinna krótki proces zrobić.“

Szkoda tylko, że ta opinja publiczna Yankesów z dniem każdym na wpływie i znaczeniu w Ameryce traci. Właśnie rodacy arcybiskupa Irelanda przyszli już do tego przekonania, że trzeba się tu liczyć także z opinją owych „obcych przybyszów“ i stawiają publicznie to pytanie:

„Dlaczego język angielski miałby być językiem Ameryki?“ (zobacz artykuł pod tem pytaniem w „Catholic Union and Times“ z Buffalo, March 17. 1906).

Tak się już publicznie pytano w r. 1906. A po szesnastu latach, dziś roku 1922 „ogólny pesymizm w Stanach Zjednoczonych“ zapanował, jak to pisze znany Sir Philip Gibbs w „Chicago Daily News“, March 18-te 1922, gdzie w artykule pod tytułem „Pessimism General in U. S.“ czytamy:

The „real Americans“, as those of English, Scotch, Irish and Dutch descent like to call themselves are distressed by the solid blocks of foreign folk in their midst, but not as yet merged by the „melting pot“. The New Englanders confess sadly that their stock is not being maintained in numbers. The „real Americans“ find themselves being crowded out in mang cities by Slavs and Italians and Finns and others, and it hurts them and gives them uneasy forebodings because they seem to find foreign ideas, foreign philosophy of life, strong and dangeroas and even criminal tendencies of thought in these alien unassimilated populations.“ Pewnie. Bo każdy, kto sobie chce wypić kieliszek wina, już ma criminal tendencies u tych fanatycznych real Americans. Dobrze wiedzieć, że u nich rzeczywistymi Amerykanami są tylko ci, którzy są pocho-

dzenia angielskiego, szkockiego, irlandzkiego i holandzkiego. Inni nie są rzeczywistymi Amerykanami.

Nie darmo już 14 sierpnia r. 1892 przy poświęceniu kościoła polskiego biskup Spalding z Peoria, ill., powiedział te słowa.

„Nie jestem prorokiem, ale to mogę wam przepowiedzieć, że Polacy odegrają piękną rolę w Kościele katolickim w Ameryce. Emigracje innych narodów się zmniejszają... Nastała prawdziwie epoka emigracji słowiańskiej... Ponieważ zaś Polacy w przeważnej śród Słowian są większości, czeka ich tu piękna przyszłość... i zaręczam wam, że tu w Ameryce zacznie się druga historja polska.“

Od prohibicji picia wina do prohibicji rodzenia dzieci jest tylko jeden krok.

Dla powstrzymania wzrostu ludności słowiańskiej ci „prawdziwi Amerykanie“ w ostatnim czasie użyli podstępu iście szatańskiego. Mianowicie wśród Słowian zaczęli szerzyć swe „mądre“ idee ograniczania urodzin czyli birth control. Ale zanim się „mądry“ Yankee namyśli, to „głupiego“ Słowianina dzieci już na podwórzu latają.

135. Panna Balch, autorka „Our Slavic Fellow Citizens“ odwiedza mnie w Ripon. — Asymilacja, to nie absorbcja. — List Henryka Sienkiewicza.

Ks. Wład. Wojtoń T. J. z Tarnopola 20 marca 1906 dziękował mi za 7 tomik mojej Historji Polskiej w Ameryce i tak pisał: „Kiedy to drogi Ksiądz Wacław ma czas na to wszystko? Szalenie mi to imponuje, muszę się przyznać otwarcie. I tyle zajęć przy parafji i wydawanie książek takie żmudne a staranne i wymagające takiej erudycji i pisanie do gazet całymi szpaltami i — Bóg wie co tam jeszcze. Wszystko to przechodzi moje pojęcie o tem, do czego jeden człowiek zdolny. Niechżeż Bóg łaskawy daje dużo zdrowia i łask Najdroższemu Księdzu do tylu prac i doprawdy jaką purpurę na ramiona zeszle...“

Lepszy krzyż na ramiona niż purpura!

M. Straszewski z Pittsburga, Pa., 7 marca 1906 przedstawia mi „prawdziwą Amerykankę“ w następującym liście:

„Znając łaskawość Wiel. X. Proboszcza, ośmielam się polecić Miss. Emily Greene Balch, profesora ekonomji politycznej i socjologji w Wellesley College, Mass. Miss Balch bada położenie Słowian w Stanach Zjednoczonych. Wychodząc z założenia, że każdy

naród można najsprawiedliwiej ocenić w jego ojczyźnie, Miss Balch wybrała się przeszłego roku w podróż do Europy i bardzo szczegółowo zwiedziła kraje zamieszkałe przez Kroatów, Słowaków, Rusinów i Polaków. Z podróży tej wywiozła prawdziwe sympatje szczególnie dla nas Polaków. Miss Balch spędziła kilka tygodni w Pittsburgu i obecnie udaje się do Chicago i do Stanu Wisconsin. Mam nadzieję, że Wiel. X. Proboszcz będzie łaskaw ułatwić jej zapoznanie się z położeniem miejscowych Polaków, przyczem dodaję, że Miss Balch znane jest imię i zasługi Wiel. X. Proboszcza jak również znaczenie Historji Polski w Ameryce, którą ja z niezmiernem zajęciem czytam.

M. Straszewski."

Równocześnie panna Balch nadesłała mi poniższy list, w którym imię „Wacław" pisze poprawnie po polsku z kreską nad l:

Rev. Wacław Kruszka.

Dear Sir!

Since Mr. Straszewski has been so kind as to give me a letter of introduction to you I take the liberty of writing to you in regard to Polish settlements in Texas or in fact in the South generally.

I am planning to go to Panna Marya as one of the earliest Polish settlements in this country but it may be that you would recommend me to see some other rural settlements as more typical. What I desire is to see a place where the Poles have been farming for some time and to see what sort of opportunity America is offering them in the Soath.

I hope in June to be in Wisconsin and hope that I may then have the pleasure of meeting you personally.

Could you suggest any person who could give me information either in Panna Marya or elsewhere in Texas or the South?

I shall be most grateful for any assistance and am very sincerely yours.

Emily G. Balch.

Pewnego wieczora o godzinie 7 pod koniec czerwca 1906 panna Balch istotnie zjawiła się na progu mojej plebanji właśnie w chwili, kiedy z gośćmi z Milwaukee wybierałem się na przechadzkę do pewnej rodziny w Ripon. Panna Balch oczywiście miała pierwszeństwo, a goście z Milwaukee musieli w ogrodzie zacze-

kać, aż się z nią rozprawię. Musieli atoli czekać coś dwie godziny, gdyż nie tak łatwo było mi z panną Balch się rozprawić. Przenikliwa ta, a wiedzy chciwa, Amerykanka, zadawała mi zbyt wiele pytań, zwłaszcza o najstarszych osadach polskich w Ameryce. Wnet poznałem, że mam przed sobą bystrą, gruntowną i wszechstronną badaczkę stosunków polskich w Ameryce. Rozmowa toczyła się spokojnie tak długo, jak długo panna Balch rozmawiała ze mną jako Amerykanka, a nie jako Angielka z Polakiem. Ale kiedy mi dała odczuć w sobie Angielkę, wtedy i we mnie odezwała się gorąca krew polska. Stało się to wtedy, kiedy nieznacznie potrąciła o kwestję asymilacji czyli amerykanizacji, którą zdawała mi się pojmować jednostronnie. Wtedy odrazu „zapaliłem się" gniewem świętym, czyli jak ona sama w swojem dziele p. t. „Our Slavic Fellow Citizens" o mnie się wyraża: „Instantly he was set on fire" (na stronicy 398, rozdział 18).

Do rozmowy o amerykanizacji przyszło tak. Panna Balch mówiła mi, że Amerykanie nie interesują się historją polską. Na to jej odpowiedziałem:

— Owszem, Amerykanie interesują się historją polską, bo jej uczą nawet w szkołach swoich.

— Nie słyszałam o tem. A w których to szkołach?

— Nie w publicznych, ale w parafjalnych.

— O, tak, w parafjalnych szkołach, ale nie w amerykańskich.

— A jakimi są nasze parafjalne szkoły, jeśli nie amerykańskie? Czyż nie uczą wszystkich przedmiotów po angielsku tak samo jak publiczne szkoły? Że oprócz tego uczą jeszcze religji, języka polskiego i historji polskiej, czyż dlatego jedynie niezaliczasz ich do amerykańskich? Wy Anglicy tu w Ameryce przywykliście mówić o sobie tak, jak gdybyście byli jedynymi Amerykanami.

— Co tedy ksiądz myśli o asymilacji?

— Ja myślę, że nasza asymilacja, czyli nasze przypodobanie się powinno być obustronne, a nie jednostronne. To znaczy, że my obydwoje, pani jako Angielka, a ja jako Polak, powinniśmy się przypodobać mianowicie w tem, że my obydwoje powinniśmy być i nazywać się Amerykanami, a nie Pani tylko sama. Pani zaś chce, żeby moja polska narodowość przypodobała się angielskiej narodowości bez odwzajemnienia się. Pani niejako zdaje się mówić: **„We two shall be one and I will be the one!"** My obydwoje mamy być Amerykanami, ale ja chcę być Amerykanką sama. Obydwie narodowości, angielska i polska, mają być tu i nazywać się amery-

kańskimi, ale pani chce, żeby angielska narodowość pochłonęła polską i sama tylko została amerykańską. To nie jest asymilacja, to jest absorbcja.

Całego toku rozmowy mojej z panną Balch już nie pamiętam. Niewątpliwie jednak dałem jej dużo do myślenia, skoro o tej mojej rozmowie szeroko się rozpisała w swojej poczytnej książce p. t. „Our Slavic Fellow Citizens", drukowanej r. 1910; zobacz rozdział 18 The Question of Assimilation.

Dnia 6 marca 1906 posłałem na ręce Henryka Sienkiewicza od Polaków w Sugar Noth, Pa, 124.40 dolarów na głodnych w Królestwie Polskiem. Dnia 2 kwietnia 1906 już odebrałem własnoręczną odpowiedź od Henryka Sienkiewicza. Brzmi ona tak:

„Czcigodny Księże Dobrodzieju.

„Przed kilku dniami otrzymałem list Wasz, a w nim czek na 124.40 dolarów czyli na 240 rubli. Wręczyłem go komitetowi, który odeśle kwit do Ripon.

„Jeśli będą jeszcze dalsze składki i przesyłki, upraszam najmocniej, aby mi wolno było przynajmniej połowę kwot nadesłanych przeznaczyć na szkolnictwo polskie, albowiem obok głodu fizycznego istnieje u nas również nędza umysłowa, a zaspakajanie tylko fizycznej ma i tę stronę ujemną, że odwodzi wielu od pracy. Komitet stara się wprawdzie pomagać tylko takim, którzy nie mogą, nie zaś nie chcą pracować, ale sprawdzenie tego zakładu często jest trudne, a nawet niemożliwe.

„Książek (Historji Polskiej w Ameryce) nie odebrałem i żałuję niezmiernie. Powodem były może strajki pocztowe, a może względy cenzuralne. Jeśli te ostatnie, to cenzura popełniła bezprawie. Obecnie jednak prawie że już jej niema. Chcąc uniknąć wszelkiej trudności, należy w adresie dopisać pod mojem nazwiskiem: członek ces. Akademji w Petersburgu. Jako taki miałem prawo otrzymywać książki bez cenzury nawet w najgorszych czasach.

„Z wielką ciekawością będę czytał dzieło Czcigodnego Księdza Dobrodzieja i zgóry dziękuję.

„Dodaję wiadomość, że w Rzymie decydują się podobno na zamianowanie polskich biskupów sufraganów. Nie jest to jeszcze pewne, ale tak mówią.

„Używam wszelkich stosunków, jakie mam, żeby się do tego choć w małej części przyczynić.

„Dziękuję raz jeszcze za książki — i w imieniu Komitetu za pomoc dla głodnych, przyczem załączam słowa wysokiego poważana i szacunku, wraz z ukłonami od mojej rodziny.

Warszawa, Hoża 22.

20. III. 1906.

H. Sienkiewicz.

136. Służalstwo jest tak samo złe, jak niezależność albo jeszcze gorsze. — Kroczmy drogą prawdziwego posłuszeństwa jako słudzy wierni, a nie jako służalcy podli.

Z dnia 7 kwietnia 1906.

118. **Unikajmy krańcowości, które się stykają.**

In medio virtus, to znaczy, w pośrodku cnota, a nie na krańcach. W naszej sprawie o biskupów polskich, cnota posłuszeństwa względem biskupów irlandzkich czy niemieckich powinna stale i wytrwale trzymać się złotego środka, nie popadając w żadną z krańcowych ostateczności.

Dwie są takie ostateczności:

Bunt, czyli wypowiedzenie posłuszeństwa — w tę ostateczność popadli niezależni.

Służalczość, czyli niewolnicze poddawanie się biskupom — w tę drugą ostateczność popadła klika reprezentowana przez te trzy znane ze służalczości gazety: „Dziennik Chicagoski", „Wiarus" i „Kurjer Ohioski".

Poza tymi skrajnymi obozami zresztą ogół Polaków katolików kroczy drogą pośrednią: drogą posłuszeństwa prawdziwego, które, pełniąc wiernie swoje obowiązki, praw swoich się nie zrzeka. I jeśli tak dalej tą drogą pośrednią kroczyć będzie, prędzej czy później napewno dojdzie do upragnionego celu.

Ale biada temu ogółowi, jeśli w jedną albo drugą ostateczność się przerzuci: jeśli albo w niezależność albo w służalczość popadnie. Ciągną nas, co prawda, i w jedną i w drugą stronę. Buntownicy w stronę niezależności, a służalcy znowu w stronę niewolnictwa. Ani jednym ani drugim nie dajmy się na swą stronę przeciągnąć. Lecz kroczmy dalej drogą prawdziwego posłuszeństwa, świadomego zarówno obowiązków jak i praw swoich.

Albowiem zbaczając z tej pośredniej i jedynie bezpiecznej drogi albo w jedną albo w drugą stronę, narazilibyśmy się na nie-

chybną śmierć społeczną. Zadalibyśmy sobie sami jako Polacy katolicy cios śmiertelny. Tak niezależność jak i służalczość, obydwie te stykające się ze sobą skrajności, przyprawiłyby tu nas jako Polaków katolików o śmierć. Z tą tylko różnicą, że krokiem czy skokiem ku niezależności popełnilibyśmy odrazu samobójstwo bez długich mąk i bolów; a popadaniem w służalczość obralibyśmy sobie rodzaj śmierci przeciągłej, powolnego wymarcia.

Ale znając naturę polską, śmiem twierdzić, że wzdrygając się przed powolną torturą, nie wytrwalibyśmy długo w narzuconem nam niewolnictwie, lecz stalibyśmy się wnet otwartymi buntownikami. Każda niewola czyli służalstwo ostatecznie prowadzi do buntu. Każdy niewolnik czyli służalec, to buntownik, tylko że ukryty, utajony, zaczajony, a więc niebezpieczniejszy od jawnego buntownika. Dlatego **służalstwo jest o wiele niebezpieczniejsze niż niezależność.**

Niema obawy, żeby niezależni nas pociągnęli na swoją stronę. To są otwarci buntownicy, a więc mniej niebezpieczni. Ale strzeżmy się tych, którzy nas zachęcają do służalstwa czyli „bezwzględnego" poddania się biskupom obconarodowym, „bez względu" na prawa, jakie mamy. Strzeżmy się takich, bo to są służalcy czyli ukryci buntownicy, a więc bardziej niebezpieczni niż owi jawni buntownicy. Wiemy bowiem z doświadczenia, gdzie niezależność czyli jawny bunt powstał. Tam, gdzie lud trzymano w niewolnictwie, to jest, nie przyznawano mu praw przynależnych lecz owszem krzywdzono go w jego prawach. Nic to, że lud ciemny i nieświadomy swoich praw, nie upominał się o nie. Czy świadomie, czy nieświadomie lud popada w niewolnictwo i w niem gnije: zawsze to jest niewolnictwo, z którego się wylęga, bo musi się wyląc, potwór buntu otwartego, raz prędzej raz później.

Będąc o tej prawdzie głęboko przeświadczeni, z tej to właśnie a nie innej racji tak stanowczo, tak uporczywie i tak nawet natrętnie upominaliśmy się, upominamy i będziemy się upominać o prawa ludowi polskiemu przynależne w Kościele amerykańskim. Bo tylko przez takie śmiałe i otwarte upominanie się o prawa nam przynależne możemy się utrzymać na owej pośredniej i jedynie bezpiecznej drodze posłuszeństwa prawdziwego, t. j. posłuszeństwa świadomego obowiązków ale i praw swoich. Nie upominając się o swoje prawa, popadlibyśmy w służalstwo i gnili w niewoli, gorszej od niezależności. A tych dwóch ostateczności chcemy uniknąć!

Oby i ci, którzy zboczyli na manowce czy niezależności czy służalstwa, wrócili czemprędzej na tę pośrednią drogę, jedynie nas wiodącą do upragnionego celu biskupów polskich! To jest na drogę **prawdziwego posłuszeństwa,** świadomego swoich obowiązków ale i praw swoich! A jeśli nie nawrócą, to ogół polsko-katolicki nie oglądając się na nich, będzie dalej kroczył tą pośrednią drogą ciągle naprzód bez cofania się i bez wahania, aż do celu dojdzie. Tylko „vir obediens loquetur victorias" (Prov. 21, 28) — tylko „mąż **posłuszny** będzie mówił zwycięstwo", — posłuszny, a nie żaden służalec ani buntownik! Służalcy i buntownicy jako „świadkowie kłamliwi zginą" (tamże).

Z dnia 12 kwietnia 1906.

119. **Słowian coraz więcej w Ameryce.**

„The Catholic Universe", organ biskupa Horstmanna z Cleveland, O., donosi:

„Wzrost słowiańskich katolików w mieście i diecezji Cleveland przybrał takie rozmiary, że daje Kościołowi zadanie trudne do rozwiązania. Biskup ostatniego tygodnia dał pozwolenie na zorganizowanie trzech nowych parafij słowiańskich; pomimo to liczba tak kościołów, jak kapłanów dla słowiańskich katolików jest zawsze jeszcze zupełnie niedostateczna."

Od siebie dodam: Nietylko w Cleveland, ale i gdzieindziej.

To zadanie „trudne do rozwiązania" przestanie być trudnem, gdy biskupi będą dla ludu, a nie ludy dla biskupów.

120. **Mówią paçierz jedynie dla języka?**

Reporter „Dziennika Chicagoskiego" w nr. 74 wkłada w usta ks. Wojtalewicza te słowa:

„W szkole Niepokalanego Poczęcia nie wykłada się religji w języku angielskim... Jeżeli dzieci przed lekcjami angielskimi mówią czasem pacierz po angielsku, to **jedynie dla języka,** aby umiały dobrze władać językiem angielskim, aby się zapoznały z terminologją katechizmową, a nie w celu amerykanizowania ich."

Odkąd to dzieci mówią pacierz „jedynie dla języka, aby umiały dobrze władać językiem angielskim?" Odkąd to pacierz ma być **środkiem** do nauczenia się języka angielskiego?... Albo świat się do góry nogami przewraca, albo naszym amerykanizatorom w głowie się przewróciło.

121. **Immigracja jakiej nie bywało — tylko Irlandczyków mało.**

Zeszłego roku fiskalnego, od 1 lipca 1904 do 1 lipca 1905 przybyło do Stanów Zjednoczonych przeszło miljon immigrantów — tyle nigdy jeszcze przedtem w ciągu jednego roku nie przybyło. Atoli obecny rok zapowiada jeszcze liczniejszą immigrację. Bardzo mało Irlandczyków przybywa. Buffaloski „Catholic Union" (April 5) z płaczem woła: „Dnia 29 marca 1906 w Castle Garden wylądowało 11,383 immigrantów — największy przypływ w jednym dniu w całej historji nowojorskiego portu. Najmniejszy procent przybyszów był z Irlandji. Biedna Irlandja! Jej soki żywotne już tak są wyssane, że niezdolna już wydać z siebie emigracji".

137. Arcybiskup Messmer na święta wielkanocne życzy mi Wesołego Alleluja. — I ja mu nawzajem. — Generał Jezuitów przeciw amerykanizacji. — Językowi angielskiemu przyznajemy tu pierwszeństwo ale nie wyłączność.

Naszych ugodowców, czyli zwolenników orjentacji episkopalno-amerykańskiej, powyższy mój artykuł nr. 117, że służalstwo jest tak samo złe jak niezależność albo jeszcze gorsze, widocznie ubódł do żywego. Poszli ze skargą na mnie do arcybiskupa. I arcybiskup Messmer na zbliżające się święta Wielkanocne raczył mi nadesłać takie życzenie Wesołego Alleluja:

Private. Milwaukee, Wis., April 16-th 1906.

Rev. W. Kruszka,

Ripon, Wis.

Dear Sir!

First of all I desire to extend to you a sincere Easter greeting and wish you all the blessings of this holy season.

I take this opportunity, offered by the great Christian feast of Easter, to ask you in all earnestness and in fatherly kindness to stop your writing on the Polish Bishop question and in general on the Polish religions question. Your writings breathe the spirit of religions anarchy and revolt and must be doing an immense harm among the Polish people, as I am assured by many good and zealons Polish priests. So for the love of our Holy Faith and our Holy

Church I beg you to let the matter rest. Trust to the Holy Spirit in God's church and trust — at least a little — to the Catholic spirit of the American Hierarchy.

Yours sincerely in Christ

† *Seb. G. Messmer,*
Abp.

Nie omieszkałem więc podziękować memu arcybiskupowi za powyższe życzenie Wesołego Alleluja. Zasyłając mu nawzajem życzenia wesołych świąt, na jego usilną prośbę odpowiedziałem mu również usilną prośbą. Mianowicie poprosiłem go tak:

Excelencjo, jeśli moje pisanie jest złem, to daj świadectwo o złem; a jeśli moje pisanie jest dobre, to dlaczego mnie uderzasz takim faryzejskim zarzutem, jakobym buntował lud. Com pisał, tom pisał jawnie pod pełnem mojem nazwiskiem. Łatwo więc twoi zausznicy wykazać i udowodnić mogą, gdzie i w czem „pisanie moje tchnie duchem buntu i anarchji religijnej". Niechże tedy wykażą i udowodnią choćby jednym cytatem z moich artykułów. Tymczasem na gołosłowne oskarżenie muszę Waszej Excelencji odpowiedzieć gołosłownem zaprzeczeniem, jakoby intencją moich artykułów było rozsiewanie buntu i anarchji. Sprawa nie dzisiejsza. Polacy dawno z biskupów amerykańskich niezadowoleni. Dowodem niezależni. A jeżeli niezależni w ostatnich latach nie wzrastali, siedzieli cicho, to dlatego, że sądzili, że agitacja o biskupów polskich przyniesie jakiś rezultat; dlatego, że ja obiecywałem Polakom, żeby wiernie przy Kościele stali, a Rzym uzna ich skargi i żądania. Proszę Cię, Excelencjo, choć jedno zdanie moje przytoczyć jako dowód, że ja wzywam lud do buntu. Dopóki tej prośbie mojej nie uczynisz mi zadość, dopóty i ja Twojej prośbie nie mogę zadość uczynić. Bo przestając pisać, już temsamem przyznałbym się do winy, jaką mi wrogowie niesłusznie przypisują.

Arcybiskup na to nic mi nie odpowiedział. Artykuły pisałem w dalszym ciągu, i tak ukazywały się w Kurjerze:

Dnia 19 kwietnia 1906.

122. Generał Jezuitów przeciw amerykanizacji.

Generał Jezuitów, O. Martin, zacięty wróg amerykanizmu czyli anglikanizmu w Kościele w Ameryce, jest umierającym. Bezwyznaniowa prasa anglo-amerykańska już teraz pisze mu wspomnienia pośmiertne, nie czekając wcale aż umrze. „The Chicago

Daily Tribune" z 16 kwietnia 1906 pod nagłówkiem „Czarny papież umierający" przedstawia generała Jezuitów jako takiego, który sprzeciwiał się amerykanizacji Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych. Pisze: „O. Ludwik Martin był wielkim przeciwnikiem amerykanizacji Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych."

Taki sąd wydaje redaktor „Chicago Tribune". Wiemy, czem ten wyraz „amerykanizacja" pachnie. Pachnie anglizacją. Toć świeżo z Anglji przybyły redaktor tejże „Chicago Tribune" nazwał Polaków, już tu w Ameryce urodzonych, nie inaczej jeno „foreigners". A on redaktor, choć dopiero wczoraj przybył z Anglji do Ameryki, jest już dziś pleno titulo Amerykaninem!... Ubinam gentium sumus?

Więc przez ten wyraz „amerykanizacja" rozumieć należy zawsze anglizację. Tej oponował generał Jezuitów. I rozumni katolicy za to go chwalą. A ganią go tylko masoni i ci biskupi, którzy dla nieznajomości języka polskiego, sami to widzą, nie mogą wypełnić swoich obowiązków biskupich względem Polaków. Już ze stanowiska rozumu, a tem bardziej ze stanowiska wiary świętej takie anglizowanie ludów w Ameryce osiadłych jest niedorzecznem i śmiesznem.

Albowiem Ameryka nie jest Anglją. Kto chce być **wyłącznie** Anglikiem i w mowie i w obyczajach, ten niech się wynosi do Anglji.

W Ameryce niema miejsca dla żadnej **wyłącznej** narodowości.

Wszelkie narodowości mają tu takie samo prawo bytu jak angielska. Prawa wyłączności, czyli ekskluzywności, nie posiada tu, a przynajmniej nie powinna tu posiadać żadna narodowość. Mamy się tu asymilować czyli upodabniać w mowie i ideałach — na to zgoda. Ale czy asymilacja jest **absorbcją?** Czy angielska narodowość ma tu absorbować czyli **pochłonąć** wszelkie inne narodowości? Nie, bo taki proces nie jest asymilacją, lecz absorbcją. A absorbcja to nic innego jak pruskie „ausrotten".

Angielskiemu językowi chętnie przyznajemy **pierwszeństwo** w tym tu kraju, ale **nie wyłączność!** Angielski język niech będzie kontent w tym demokratycznym kraju, że jest on „primus inter pares", że jest on pierwszym między równymi! A jeżeli mu tu się zachciewa jeszcze większego zaszczytu, jakiegoś ekskluzyw-

nego i absolutnego dominjum, to tu w tym kraju demokratycznym trzeba mu jako pyszałkowi i arystokracie trochę rogów przytrzeć! Dość mu, że jest prezydentem. Do wszechwładnego panowania nie trzeba go tu dopuścić, bo wtedy z prezydenta stałby się tyranem w dziedzinie zwłaszcza umysłu i literatury. Wtedy i w polityce Ameryka stałaby się prowincją Anglji, tak jak już dziś jest kościelną prowincją Irlandji.

123. **Wszechwładne panowanie angielszczyzny zagrożone.**

Dla obrony „zagrożonej" niemieckości w Niemczech zawiązał się hakatyzm. Dla obrony zaś angielskości, widocznie tu także „zagrożonej", powstał w Ameryce tak zwany „Pilgrims Club". Nadto, bogate i znakomite rody angielskiego pochodzenia wysyłają stąd swoje dzieci na wychowanie do Londynu, żeby tam u źródła zaczerpnąć ducha „amerykańskiego". Istotnie, kto się zbliska przypatrzył życiu w Anglji i życiu tutejszych Yankesów, ten musi przyznać, że to co się nazywa amerykanizmem, w istocie swej nie jest niczem innem jak anglicyzmem tylko niższego rzędu, czyli nędznem naśladowaniem mowy i manier John'a Bull'a. Tylko Yankee, który nigdy Anglji nie widział, myśli w pysze czy głupocie swej, że jest czemś wyższem albo czemś odrębnem od Anglika w starym kraju i nazywa się dumnie „an American", zamiast Bogiem a prawdą, powinienby pokornie powiedzieć „I am an Englishman in America", a przynajmniej nie sobie wyłącznie przywłaszczać nazwy Amerykanina. Taki Yankee, jeżeli czem się różni od Anglika w starym kraju, to umysłową ciasnotą, ową „narrow-mindedness", która już przysłowiową się stała w charakteryzowaniu Yankesa.

A i ci Polacy, którzy tu się niby „amerykanizują", jak mówimy, często nie wiedzą wcale, że przyjmują li tylko mowę i maniery Johna Bulla, nic więcej. Czyli, że stają się papugami i małpami angielskiej narodowości ku rozweseleniu Yankesów.

124. **Niech sobie to spamiętają nasi niewierni Tomasze.**

Niemiecko-katolicki „Ekscelsior" z Milwaukee 12 kwietnia 1906 pisze:

„Wroga Polakom polityka rządu pruskiego coraz to brzydziej sobie poczyna. Z żelazną wytrwałością walczy rząd pruski przeciw polskości. Wiedząc, że używanie języka polskiego przy nauce

religji utrudnia germanizacyjne zapędy, jeśli całkiem ich nie udaremnia, rząd postanowił siekierę przyłożyć do samegoż korzenia złego. A zatem odtąd we wszystkich szkołach ludowych w Poznańskiem ma język polski w nauce religji być zastąpiony przez niemiecki i przez to resztki polskości mają być wyrzucone ze szkół.

„Takie postępowanie jest nietylko brutalnem pogwałceniem prawa, jakie Polacy mają do własnej narodowości i języka, ale nadto jest to bezczelnem wtrącaniem się władzy państwowej do nauki religji, i dlatego nigdy dosyć ostro nie może być potępione. Oczywiście, nasi **duchowni amerykanizatorzy mogą się słusznie powołać na ten przykład pruskich biurokratów jako swoich współtowarzyszów!“**

Tyle „Excelsior“.

A redagowane przez OO. Benedyktynów pismo „St. Josephsblatt“ tak pisze:

„Owi wyżsi i niżsi dostojnicy, którzy nas niemieckich katolików tak chętnie ganią, że wolimy w naszym kochanym niemieckim języku się modlić i słowo Boże słuchać, niech nam dadzą spokój a niech raczej Ojcu świętemu w Rzymie swoją opinję wyrażą. Papież jest tego zdania co my niemieccy katolicy, bo On do swoich rodaków w Ameryce posyła nietylko kapłanów, lecz nawet biskupów, którzy mają zbadać, czy Włosi mają duszpasterzy swojej narodowości. Tak; papież stoi po naszej stronie. On do Włochów w Ameryce nie mówi:

— Let them learn English or go to hell!

Nie! Papież tak rozkazuje: Opowiadajcie im słowo Boże w ich własnym języku ojczystym!

Biskupi i księża są **dla ludu,** a my niemieccy katolicy mamy podług Boskiego i ludzkiego prawa ten przywilej utrzymać swój język macierzysty i bronić go... Jeżeli zaś publicznie nas krytykuje katolicki arcybiskup (Ireland), jak to w Kansas City miało miejsce, gdzie (arcybiskup Ireland) do nas wołał, że mamy się przejąć duchem amerykańskich instytucyj, — to niech nam najpierw powie, co to jest ów duch amerykańskich instytucyj i na czem on polega: czy jest nim owa powszechna pycha, zarozumiałość i ogólna nienawiść przeciwko wszystkiemu co nie-angielskie?...“

I tak cała nie-angielska prasa, a po części i irlandzka, ostro krytykuje biskupów za ich anglizacyjne dążności. Niech sobie spamiętają to nasi polscy ugodowcy, zausznicy biskupi i donosiciele!

138. Krzykiem nic nie wskóramy? A przecie i gęsie gęganie zbawiło Rzym! — Święta Ameryko, módl się za nami! — W oczach Yankesów Kolumb nie był Amerykaninem. — Yankee umysłowo ograniczony ale przemysłowo sprytny.

Dnia 21 kwietnia 1906.

125. **Nie brak tchórzów i między Niemcami.**

Ksiądz dr. A. Heiter tak ich opisuje w „Aurora und Christliche Woche":

„Mamy Niemców, święconych i nieświęconych, którzy tak wielki mają respekt przed zwierzchnością, że każdej godziny gotowi są zaprzeć się swojego pochodzenia i wyrzec się mowy ojczystej, skoro tylko myślą, że takiem jest życzenie ich biskupa. A **takie życzenie biskupa,** choćby najcichsze, oni **usłyszą nawet w odległości dwóch mil!...**

„O tyle więc bardziej pocieszającem jest to, że taki typ ludzi podłych i tchórzów bez charakteru nie jest jedyny na świecie, że są jeszcze lepsze typy, że mamy i ludzi odważnych... którzy tym wysokim dostojnikom kościelnym prawdę w oczy powiedzą..."

126. **Arcybiskup Moeller upamiętał się.**

Grubo się mylą ci, którzy twierdzą, że krzykiem i hałasem nic się nie wskóra. Tacy nie pamiętają chyba o tem, że kiedyś nawet gęganie gęsi uratowało Rzym. Jest to historyczny fakt. A historja powtarza się. I dziś nie raz ani dwa, ale więcej razy właśnie „gęganie gęsi" ratuje dobrą sprawę. „Cincinnati Volksfreund" pisze:

„Arcybiskup Moeller zrewidował swoje stanowisko w kwestji językowej i przynajmniej nazewnątrz stanowczo je zmienił. Na bierzmowaniu w Cincinnati oświadczył: „Jeżeli parafja jest angielską, to duszpasterstwo ma być wykonywane w języku angielskim; jeżeli niemiecką, to w niemieckim; jeżeli zaś mieszaną, to wiernym słowo Boże opowiadać trzeba w obydwu językach".

„To oświadczenie arcybiskupa — dodaje „Volksfreund" — dowodzi całkiem jasno, że nasze energiczne protesty pomogły."

127. **Patentowany amerykański humbug.**

Zmienność człowieka nie zawsze jest wadą. Ani też niezmienność charakteru nie zawsze jest zaletą. Niezmienność w dobrem jest pochwały godną stałością charakteru. Ale niezmienność w złem jest nagany godną upartością i zatwardziałością.

Że pani Storer, żona amerykańskiego ambasadora we Wiedniu, starała się o kardynalski kapelusz dla arcybiskupa Irelanda, jako przedstawiciela tak zwanego „amerykańskiego" katolicyzmu, to już dziś nie ulega żadnej wątpliwości. Ponieważ dlatego jej mąż zrzucony został z posady ambasadora przez prezydenta Roosevelta, więc pani Storer opublikowała teraz list rekomendacyjny, jaki jej pan Roosevelt roku 1900, podówczas gubernator stanu New York, łaskawie był nadesłał. W liście tym ówczesny gubernator a dzisiejszy prezydent wyraźnie zaznacza, że „jego zdaniem Kościół katolicki w tym kraju tylko wtenczas dojdzie do wpływu i znaczenia, kiedy wejdzie na drogę patentowanego **amerykańskiego katolicyzmu** państwowego (podług hasła „My country wight or wrong"). Jako głównego przedstawiciela tego kierunku (men who have shown broad liberalism and Americanism in their policy) uważam arcybiskupa Irelanda, którego dlatego wysoce poważam i dla którego z największą chęcią wszystko możliwe uczyniłbym chciał (kardynałem go zrobić)!..."

Na szczęście Rzym poznał się na humbugu „liberalizowania i amerykanizowania" katolicyzmu. A i sam pan Roosevelt, zostawszy prezydentem, zmienił swoje zapatrywanie i w dosadny sposób dał pani Storer do poznania, że list rekomendacyjny, jaki jej wypisał przed sześciu laty, dziś już jest nie na czasie i użytku z niego robić nie powinna.

128. „O glorious Country — pray for us!"

Arcybiskup Ireland, znany z przesadnego patrjotyzmu, raz podczas uczty, wnosząc toast na cześć Ameryki, powiedział: „Jestem dumny z tego, że jestem arcybiskupem katolickiego Kościoła, ale jeszcze bardziej szczycę się tem, że jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych". To powiedziawszy, wpadł w ekstazę, wzniósł oczy i ramiona ku niebu i w zachwycie zawołał:

— O glorious Country!

— Pray for us! — odezwał się jeden ze słuchaczy, któremu się zdawało, że arcybiskup zaczyna admawiać litanję. Na to wszyscy obecni kapłani (niemieccy zwłaszcza) głośnym parsknęli śmiechem. Od wzniosłości do śmieszności tylko krok jeden. Ten szczegół, bardzo charakterystyczny, słyszałem od kapłanów, którzy byli na tej uczcie. Często jeszcze dziś, zwłaszcza wśród duchowieństwa niemieckiego, słyszy się ów oryginalny toast: O glorious Country — pray for us!

129. **Biedny Kolumb, nie postarał się o amerykańskie papiery obywatelskie.**

„Yankee", to wyraz utworzony przez Indjan z wyrazu „English", a używany teraz żartobliwie, ale trafnie, jako przezwisko Amerykanów angielskiego pochodzenia. Yankee, to typ Amerykanina najbardziej umysłowo ograniczonego. Nie przemysłowo, lecz — powtarzam — umysłowo ograniczonego, a to przez swoją pychę i ekskluzywność. Yankee jest tak **pewien siebie,** iż myśli, że prócz niego niema nikogo w Ameryce; a jeśli są, to nie są Amerykanie. Nawet ta okoliczność, że Polak już tu się urodził, w oczach Yankesa nie wystarcza. Dopóki ten Polak w Ameryce urodzony nosi jeszcze polskie nazwisko i mówi jeszcze po polsku a **nie wyłącznie po angielsku:** dopóty w oczach ograniczonego Yankesa nie jest i nie nazywa się Amerykaninem. Z tej samej racji, co i mieszkaniec Centralnej i Południowej Ameryki, w oczach Yankesa nie jest Amerykaninem.

I biedny Kolumb, odkrywca Ameryki, także nie był Amerykaninem, bo nietylko że nie był z pochodzenia Anglikiem i nie zangliczył się, ale nadto nawet papierów obywatelskich u Yankesów zapomniał wyciągnąć.

To nie są żarty.

Najwpływowszy u Yankesów dziennik, „The Chicago Daily Tribune", z tej właśnie racji sprzeciwia się ustanowieniu „Dnia Kolumba" w Stanach Zjednoczonych, czyli osobnego święta krajowego dla tego odkrywcy Ameryki. W artykule redakcyjnym z 28 marca pisała „Tribune" wyraźnie:

„If we should honor Columbus, **the Italian discoverer** of America — toby inne narodowości za złe nam to brały."

Nie inne, tylko Anglicy. Kolumb miał to nieszczęście nie być Anglikiem. I dlatego nigdy przenigdy nie może być Amerykaninem.

Niejaki pan Leo Gregory odpowiedział na to „Tribunie", ale jego odpowiedzi nie umieszczono, bo wytykał umysłową ograniczoność Yankesów w tych słowach (zobacz „The New World" nr. 34):

„Naturalnie, że to bardzo źle i bardzo wielkim błędem jest w oczach niektórych ludzi, że **Kolumb nie był obywatelem Stanów Zjednoczonych.** Że też to on, zanim odkrył Amerykę, nie wyciągnął tutaj swoich papierów obywatelskich (his naturalization papers). Ale darujmy Kolumbowi, bo to była rzecz dla niego niemoż-

liwa. Zamiast odmawiać Kolumbowi dnia pamiątkowego, powinniśmy owszem uznać go **Pierwszym Amerykaninem** — the First American! A wszyscy rozsądni ludzie pochwalą nas za to."

Ba, takiej herezji nietylko „Chicago Tribune", ale i żaden dziennik Yankesów nie umieści. Jakże śmiesz, panie Gregory, nazywać Kolumba „pierwszym Amerykaninem", kiedy ten „Italian discoverer" nietylko tutejszych papierów obywatelskich nie miał, ale ani United States czyli John Bullish mówić nie umiał!!...

Dnia 28 kwietnia 1906.

130. **Historje i literatury „wszechświatowe".**

Kręcą się agenci i chcą sprzedać zwłaszcza nam księżom rozmaite angielskie encyklopedje „wszechświatowe" i historje „wszechdziejowe" i literatury „wszechnarodowe". Rodacy, a szczególnie konfratrzy, do których tacy agenci najczęściej zaglądają, powinni się mieć na baczności i nie kupować, jak to mówią, kota we worku. Najpierw należy zbadać, czy taka, naprzykład, szumnie zatytułowana „Literature of All Nations" jest rzeczywiście tem, czem się w tytule ogłasza, czy jest rzeczywiście literaturą wszechnarodów.

Takie bowiem wydawnictwa Yankesów, przemysłowo sprytnych ale umysłowo ograniczonych, zawierają najczęściej literaturę litylko angielską i anglo-amerykańską, i tę omawiają bardzo szczegółowo i drobiazgowo. O literaturach zaś innych narodów wspominają ogólnikowo, a już o literaturach słowiańskich nie mają żadnej wzmianki.

Umieją jednak Yankesi tym **swoim** literaturom nadać pozór „powszechności", ażeby tylko miały większy popyt i pokup u nas. Bo Yankee, o ile **umysłowo** jest ograniczony, o tyle **przemysłowo** jest sprytny i przebiegły. Więc umieści tam Konfucujsza i inne kurjoza i dziwolągi chińskie, a zwłaszcza indjańskie i egipskie z obrębu British Empire; ale o Mickiewiczu, Kochanowskim, Skardze niema tam ani słowa, bo ci nie wchodzą w zakres British Empire.

Tak samo w dziedzinie literatury religijnej taki Yankee szeroko się rozwodzi o Lutrze, Husie, Kalwinie i innych heretykach, ale o Ojcach Kościoła i ich nieśmiertelnych dziełach literackich nie uczyni ani wzmianki. Bo Yankee niema żadnego wyobrażenia o nich.

A jednak księża kupują takie „powszechne“ literatury, historje, encyklopedje. Czemu? Bo mówią: My naszą literaturę kościelną i polską znamy już; nam chodzi głównie o poznanie także innych.

Jest w tem pewna racja; ale naszem zdaniem niedostateczna, ażeby takie wydawnictwa Yankesów popierać. Nic by nie było w tem złego, gdyby — takie „Literatures“ nie nosiły szumnego tytułu „Universal“ albo „of All Nations“. Ale jeśli noszą takie tytuły, to **stanowczo żądać powinniśmy,** by takim tytułom odpowiadała i treść! Inaczej, kupując takie dzieła, popieramy humbugi. A co gorsza, utwierdzamy Yankesów w ich ciasnych pojęciach, jakoby poza rasą anglo-saską nie było znakomitych literatów, jakoby poza anglikańskim i luterskim kościołem nie było oryginalnych dzieł literackich.

139. Usuńcie krzywdy, a usuniecie skargi Polonji amerykańskiej. — Nauka Kościoła o działaniu Ducha św. w Kościele. — Zamykanie ust księżom polskim.

Z dnia 28 kwietnia 1906.

131. **Dajcie nam polskich biskupów — tak coraz głośniej krzyczeć powinniśmy.**

Czas wielki, żeby Polonja amerykańska stanęła jak jeden mąż i — nie już słowem, bo słowo to wiatr — ale czynem i postępowaniem swojem stanowczo zażądała biskupów swojej narodowości.

W tych dniach pewien pan nadesłał mi odezwę, jaką pewien proboszcz polski, w Ameryce święcony, wydał do swoich parafjan. Brzmi ona dosłownie tak:

„Szanowny Panie. —

„Według zwyczaju dyecezalnego Kolekta wielkanocna przeznaczona dla biednych studentów **Św. Teologi** przygotujacy sie do kaplanstwo. Pomiedzy nimi znajduja sie i polscy studenci, Ktorzy maja raz Kiedys we winnicy Panskiej pracowac, dla tych osobliwie prose dzis o ofiare. Bracia! Znajac wasza ofiarnosc i miłosc dla Blizniego nie potrzebuje was zahecac do dalszej ofiarnosci — wiec napiscie imie i nazwisko naprzyloczona Koperte wlozac zarazem ofiare w nia i prsyniejscie potem do Kosciola na niedziele wielkanocna“.

Następuje własnoręczny podpis proboszcza, Bogu duszę winnego. Proboszcz ów, jest to kapłan święcony tu w Ameryce. To jeden z wielu. Nie oni jednak winni.

Biedny języku polski! Co się z tobą nie dzieje w ustach kapłanów, jakich nam święcą obcoplemieńcy, mający tyle wyobrażenia o naszym języku, co wilk o gwiazdach! Czy to nie są czyste kpiny z Polonji amerykańskiej? Rodacy, i jak długo jeszcze pozwolicie im tak kpić z siebie i z narodowości swojej i z języka swego?

Że nas krzywdzą, i to publicznie, chyba ślepy tego nie widzi. A na publiczną krzywdę publiczną skargą odpowiadać godzi się, i trzeba, czy taka skarga co pomoże czy nie. Głośno skarżyć się trzeba, choćby to nic nie pomogło. Zbawiciel skarżył się: „Jeślim źle rzekł, daj świadectwo o złem, a jeśli dobrze, czemu mię bijesz?" (Jan 18, 23) — choć wiedział, że ta skarga nic nie pomoże.

Krzywdy należy cierpliwie znosić, to prawda. I my je znosimy. I nadal cierpliwie znosić je będziemy. Żaden Niemiec chyba ani Anglik w naszem położeniu tak długo cierpliwym by nie był. Ale i ta święta cierpliwość bynajmniej nie zabrania nam skarżyć się głośno i użalać. Przecież i Job święty jest nazwany wzorem cierpliwości. Był cierpliwym, jak nikt inny. A jednak czytaj jego księgi a zobaczysz, jak pełne są skarg i żalów, graniczących niemal z bluźnierstwem...

Takiem bo już jest prawo natury ludzkiej. I trzeba być chyba tyranem i okrutnikiem, pozbawionym uczuć ludzkich, żeby komuś zabronić nawet skarżyć się o krzywdy doznane, jak to biskupi zabraniają.

Jedyny sposób na usunięcie skarg jest: usunąć krzywdy! Nie ci, którzy się skarżą, lecz ci, którzy krzywdzą, sieją anarchję, bo podkopują fundament społeczeństwa, którym jest sprawiedliwość.

132. Biskupi nie są nad prawem ale pod prawem.

Pewien czytelnik „Dziennika Chicagoskiego" pyta się, ile prawdy jest w tem, co pisał niedawno ks. Jan Rothenburger Jezuita: „Arcybiskup nie jest nad prawem, ale pod prawem"... i czy biskupi, ile razy prawa układają, mają szczególne objawienie Boże?

Co do pierwszego pytania, to powiedzieć należy, że istnieją prawa przyrodzone i nadprzyrodzone, które Pan Bóg ustanowił, a nie biskupi. Tych więc biskupi ani znosić ani sprzeciwiać im się

nie mogą: czyli że są pod prawem. Są atoli także pewne prawa, które biskupi sami stanowią — które jednak nigdy nie mogą być w sprzeczności z prawem przyrodzonem i nadprzyrodzonem — otóż te prawa, które biskupi sami ustanowili, biskupi też znieść mogą i stoją w tym wypadku ponad prawem jako prawodawcy.

Co do drugiego pytania, czy biskupi ile razy ustanawiają prawa kościelne, mają szczególne objawienie od Boga, czy ich Duch św. oświeca? Na to niech odpowie znany filozof i uczony Jezuita, ks. Marjan Morawski, który w jednym ze swoich ludowych kazań na temat „Czem jest Duch św. w Kościele" tak się wyraża:

„Jak mamy rozumieć działanie Ducha św. w Kościele? Czy papież i biskupi, ile razy nauczają, ile razy prawa stanowią, mają szczególne objawienie? Czy Duch św. mówi przez nich jak niegdyś przez Proroków przemawiał? Taką naukę o działaniu Ducha św. chcieliby w nas wmówić nieprzyjaciele Kościoła: tak ją przedstawiają nieświadomym, aby wydrwić Kościół Boży. Ale taką nie jest nauka Kościoła. Objawienia w właściwem znaczeniu Kościół sobie nie przypisuje, ale czuwanie nad sobą Ducha św., zwane asystencją. Różnica między natchnieniem a asystencją jest, że w natchnieniu Duch św. niejako bezpośrednio, cudownym i nadzwyczajnym sposobem, objawia człowiekowi tajemnice Boże; w asystencji zaś działanie Boskie ukrywa się za ludzkimi środkami, których człowiek używać musi, ale którymi Duch św. kieruje, aby niepochybnie do prawdy doprowadziły. Papież, gdy ma jako namiestnik Chrystusowy przemówić, biskupi, gdy mają na soborze zagadnienie jakieś rozstrzygnąć, nie czekają objawienia Ducha św., ale muszą ludzkimi sposobami prawdy szukać. Muszą zastanawiać się, radzić się, badać Pismo św. i tradycje kościelne; **a gdy to czynią,** Duch św. według najpewniejszej obietnicy Zbawiciela czuwa nad nimi i tak kieruje ich roztropnością i ludzkimi środkami, których używają, że ostatni wynik ich badań i rozpraw, na który się godzą, nie może być błędem, z nauką Chrystusa niezgodnym — i chociaż jest płodem ludzkich rozumów, jest też zarazem dziełem Ducha św."

A więc bezprawia i nadużyć w Kościele nie należy bluźnierczo kłaść na karb Ducha św., lecz należy je przypisać niedbalstwu, lenistwu i zaniedbaniu ludzkich środków. Niedbalstwa i lenistwa, jako grzechu ciężkiego, Duch św. nie popiera i popierać nie może. Wspomaga tylko pilność i pracę. Wspomaga tylko tych, którzy

wszelkich ludzkich środków pilnie używają do znalezienia prawdy. Słowem dopomaga tym, którzy sobie dopomagają. God helps those who help themselves.

Dnia 2 maja 1906 w hali Kościuszki w Milwaukee, Wis., wygłosiłem mowę o „najwyższych ideałach, religijnym i narodowym. Być albo nie być narodowo — oto kwestja Polonji amerykańskiej". W rocznikach gazety o tej mowie jest długa wzmianka, między innymi taka:

„Rozporządzając głosem nadzwyczaj dźwięcznym i potężnym, który nawet w tej hali o tak złej akustyce rozbrzmiewał wyraźnie i czysto po wszystkich zakątkach, wielebny mówca przez całą godzinę przykuwał uwagę licznych słuchaczów i słuchaczek do wypowiadanych przez siebie wzniosłych myśli". (K. P. z 3 maja 1906.)

Zamykanie ust księżom polskim. — Buffaloski „Polak w Ameryce" pisze:

„Niektórzy amerykańscy biskupi posiadają bardzo prosty i łatwy sposób zamykania ust tym polskim księżom, którzy koniecznie domagają się równouprawnienia polsko-amerykańskiego kleru. Oto krótki proces. Zawiadamiają ich, aby przestali cokolwiek mówić lub pisać o polskiej kwestji religijnej w Ameryce... Takie ostrzeżenie zwykle skutkuje i polsko-amerykański ksiądz, ożywiony nawet najlepszymi chęciami, przycupnie cicho i powie sobie w duchu: Ha, czy tylko ja jestem sam jeden, abym nadstawiał karku za wszystkich, a w dodatku nie miał jeszcze tej pewności, że mogę się oprzeć o tych, których interesów bronię"...

„Takich wypadków moglibyśmy z ostatnich czasów naliczyć wiele".

140. Świętopietrze od Polaków w Ameryce. — Czy św. Patrykowi zawdzięcza cała Europa swoją cywilizację? — Nazwa Ameryki pochodzi od świętego Ameryka, fundatora klasztoru świętokrzyskiego w Polsce.

Z dnia 12 maja 1906.

133. **O większe świętopietrze.**

W długim okólniku o większe świętopietrze delegat Apostolski zaprzecza pogłosce, jakoby Stany Zjednoczone dostarczały rocznie pół miljona dolarów Grosza Piotrowego. I podaje takie sprawozdanie:

„Od roku 1894 aż do r. 1906 przez jedenaście lat całkowita suma, jaka wpłynęła do tej tu delegacji na Grosz Piotrowy, włączając w to roczne kolekty i inne ofiary dla Stolicy Świętej, wynosiła 828,708.66 dolarów, co wypada przeciętnie 75,337.15 dolarów na rok. Dodając do tej sumy takie kolekty, jakie mogły być posłane wprost do Rzymu lub wręczone osobiście Ojcu św. przez niektórych biskupów w rzeczonym okresie czasu, całkowite dochody roczne dosięgłyby co najwyżej sumy stu tysięcy dolarów".

Ks. dr. D. S. Phelan, redaktor katolickiego „Western Watchman" w St. Louis, Mo., nawiązuje do powyższego okólnika następującą uwagę:

„Apostolski delegat, prostując niektóre wygórowane sprawozdania, powiada, że suma złożona na świętopietrze przez Stany Zj. nie przewyższyła przeciętnie stu tysięcy dolarów na rok przez ostatnie jedenaście lat. My powtarzamy naszą myśl, że biskupi świata katolickiego powinni płacić pewien procent od swoich dochodów jako katedratykum dla Stolicy św. Proboszczowie płacą biskupom katedratykum; biskupi zaś powinni płacić biskupowi biskupów katedratykum" (zobacz „Western Watchman" z 3 maja 1906).

Ile świętopietrza wpłynęło od polskich parafij w Ameryce? Bóg jeden wie. Że polskie parafje w Ameryce od pół wieku przeszło składały i składają Grosz Piotrowy, to rzecz wiadoma nam. Ale ile złożyły, tego ani my ani w Rzymie nie wiedzą. W Rzymie nie wiedzą nawet, czy wogóle coś złożyły, z wyjątkiem tego świętopietrza, które zeszłego roku doręczył arcybiskup Symon.

Z dnia 17 maja 1906.

134. **Ks. Dominik Majer prałatem.**

Winszujemy! Każde odznaczenie rodaka cieszy nas niezmiernie. Dałby Pan Bóg ks. Majerowi niezadługo o jeszcze jeden stopień wyżej postąpić i biskupem zostać z rzeczywistą i pełną władzą pasterską. Wtedy nasza radość będzie jeszcze większa. Zazdrość z piekła jest rodem i do piekła niech idzie, a nie do nas.

135. **Ks. Truszyński we Włoszech.**

Ks. Kaz. Truszyński z Peru, Ill., prezes Federacji i Wydziału Kongresowego, nadesłał mi z Bolonji kartkę z napisem: „Pozdrowienie od kardynała Svampy". Miał audjencję u tego kardynała, wielkiego przyjaciela sprawy biskupów polskich w Ameryce.

136. Św. Patrykowi zawdzięcza świat cywilizację.

Taki nam dogmat głoszą ciągle gazety irlandzkie. W pochwałach dla św. Patryka Irlandczycy posuwają się tak daleko, że w nowojorskim „Freeman's Journal" wyczytałem niedawno takie śmiałe bez zakrztuszenia wygłoszone zdanie:

„Ocalenie cywilizacji i chrześcijaństwa zawdzięcza cała Europa, nie Rzymowi, lecz świętemu Patrykowi!..."

To mi przypomina pewnego kaznodzieję ajryskiego, który w dzień św. Patryka, mając mowę pochwalną ku czci tego wielkiego patrona Irlandji, użył następującej figury retorycznej stopniowania czyli gradacji:

„Św. Jan Chrzciciel był wielkim świętym, bo był poprzednikiem Chrystusa. Św. Józef był wielkim świętym, bo był piastunem Chrystusa. Św. Piotr był wielkim świętym, bo był głową apostołów. Św. Paweł był wielkim świętym, bo był apostołem narodów. Ale święty Patryk... fii!!"

Tu krasomówcy w porywie zabrakło słów. Więc na znak, że jego pochwały dosięgły punktu kulminacyjnego, nie mogąc znaleść odpowiedniego wyrazu — gwizdnął tylko! Fii!

Niema wątpliwości, że św. Patryk był wielkim świętym i zasługuje na cześć. Ale jeśli synowie Irlandji nadużywają imienia tego wielkiego świętego dla własnej chwały i wyniesienia się ponad innych, to popadają w śmieszność, a św. Patrykowi przez to czci należnej nie przysparzają.

137. Ameryka — jedyna część świata nosząca imię świętego.

Europa, Azja, Afryka i Australja — to nazwy pogańskie albo czysto świeckie. Z pięciu części świata jedynie Ameryka jest nazwą chrześcijańską, nosi bowiem imię świętego. Jakiego świętego? Świętego Ameryka albo Emeryka.

Kiedy Kolumb odkrył tę naszą część świata, nie wiedział o tem, że odkrył nową część świata. Ani też nie wiedział, że będzie nazwana Ameryką. On był przekonany i umarł w tem przekonaniu, że ziemia, którą odkrył, należy do Azji, że jest wschodnim krańcem Indji azjatyckiej: i dlatego jej mieszkańców nazwał „Indjanami". Na razie więc nie kuszono się o nadanie nowej nazwy tej nowo odkrytej przez Kolumba ziemi.

Dopiero po śmierci Kolumba przekonano się, że ta nowoodkryta ziemia tworzy nową część świata, całkiem odrębną od Azji.

Pierwszy zaś, który nakreślił i opublikował mapę geograficzną tej nowej części świata był włoch Americo Vespucci.

Vespucci nakreślił po swojemu tylko mapę nowego świata. Nazwy nowej mu nie nadał. Tylko, jako autor mapy, położył na niej swoje imię i nazwisko: Americo Vespucci. To tłustymi czcionkami figurowało na mapie i to w oczy biło każdego Europejczyka, który tę mapę oglądał. Kolumba nazwisko na tej mapie nie widniało. Kolumb się nie reklamował. Co z oczu, to i z serca: o Kolumbie odkrywcy niejeden zapomniał, a wielu o nim wcale nie słyszało. Mapa zaś Ameryka Vespucci'ego leżała przed każdym. Imię Ameryka więc rzucało się w oczy każdemu spoglądającemu na mapę nowej części świata.

Ameryk — jako imię chrzestne Vespucci'ego, a więc imię Świętego, miało naturalnie więcej uroku i lepiej było znane od familijnego nazwiska Vespucci. Imię Ameryka więc łatwiej utkwiło w pamięci i to też wkońcu przyjęło się na oznaczenie tej nieoznaczonej dotychczas części świata. Ameryk ją pierwszy określił na mapie. Więc to ziemia Ameryka (Vespucci'ego). Geograf Waldseemueller w swojem łacińskiem dziele p. t. „Cosmographiae Introductio" dnia 5 maja 1507 roku wyraźnie tak pisze:

„Quia Americus invenit, Americi terra sive America nuncupare licet". To znaczy: „Ponieważ Ameryk odkrył, więc Ameryka ziemią czyli Ameryką nazywać wolno".

I za Waldseemuellerem od roku 1507 nowoodkrytą ziemię nazywano Ameryką.

Lecz kto jest ten święty Ameryk, którego imię Vespucci przy chrzcie odebrał?

Jest to święty zwany po włosku Santo Americo, po łacinie Sanctus Americus (w brewjarzu także „Emericus"), po angielsku Saint Emeric, po polsku święty Ameryk (z niemiecka Emeryk), a po niemiecku Emmerich, co w saskim djalekcie znaczy „immer reich", zawsze bogaty. I zaiste święty Ameryk był nietylko świętym, ale i bogatym, bo był synem królowej węgierskiej Gizelli, siostry Henryka I cesarza niemieckiego i króla węgierskiego świętego Stefana, którego matką była święta Adelajda, rodzona siostra króla polskiego Mieczysława I. Więc Adelajda, polska święta, była babką świętego Ameryka, królewicza węgierskiego. Ameryk (z niemiecka zwany Emeryk) był najstarszym synem króla Stefana. Nasz sławny historyk Jan Długosz, przeszło czterysta lat temu, w swo-

ich „Dziejach Polskich", księga II, na stronicy 166 tak o św. Amcryku pisał:

„Stefan, król węgierski, spłodziwszy syna z małżonki prawej Gizelli, siostry rodzonej Henryka i cesarza, nadał mu imię Emeryka; a gdy ten doszedł do lat męskich, skłonił go do stanu małżeńskiego, aby dziedzictwo krwi nie ustawało. Ale Emeryk, pełen żarliwej miłości ku Bogu, acz nie śmiał sprzeciwiać się ojca rozkazom i przyjął związki małżeńskie, postanowił przecież w ślubach czystości prowadzić żywot wstrzemięźliwy i zachować ciało od zmazy wszelakiej pożądliwej chuci. Uważając żonę za siostrę i żyjąc z nią jakby w bezżeństwie, nietylko sam utrzymał się przy cnocie niewinności, ale nadto dokazał, że i towarzyszka jego dochowała panieństwa aż do śmierci... Mąż zatem święty Emeryk, często opuszczając stolicę, zwykł był Bolesława króla polskiego, stryja i krewnego swego, odwiedzać i dłuższy czas przepędzać w Polsce... Bolesław (Chrobry) król Polski, wielce był umiłował książęcia Emeryka, bratanka swego, gdy nie sam tylko krwi związek, ale cnót osobliwych zaleta czyniła go poszanowania godnym i miłym tak królowi jak i jego towarzyszom. Pewnego więc czasu (roku 1005), gdy Bolesław Chrobry zabawiał się łowami w lasach swoich około miasteczka Kielc, a miał w towarzystwie swojem książęcia Emeryka, zdarzyło się, że w pogoni za jeleniem wybiegł był na wyżynę gór, które Łysą Górą nazywają. Tu, poniechawszy rogacza, poczęli z podziwieniem przypatrywać się rozwalinom odwiecznej budowy, które skutkiem powszechnego potopu i dawności czasu zsypały się w ogromne skał pokłady, jakie i dziś (roku 1480) oglądamy. Powiadają bowiem, że to miejsce miało być niegdyś mieszkaniem i twierdzą olbrzymów, mężów wielkiej siły, którzy tu przez jakiś czas przebywali i mieli swoje siadło. Mąż zatem święty, Emeryk, natchniony duchem Bożym, osądził, iż to miejsce, które z osobliwszego położenia i starożytności dziwnie sobie upodobał, najstosowniejszem było dla sług Bożych, prowadzących życie pustelnicze, i że się nie godziło, ażeby takie miejsce bezludnym dziczało odłogiem. Prosi więc stryja i krewnego swego króla Bolesława, aby dla chwały Bożej i ku zbawiennemu dusz wspomożeniu kościół w tem miejscu i klasztor zakonny wystawił... A gdy Bolesław, król Polski, chętnie na to zezwolił, książę Emeryk uradowany, że prośba jego skutek odniosła, zdejmuje z siebie krzyż dwuramienny, zawierający znaczną cząstkę drzewa Pańskiego, okutą w folgę srebrną, przysłany ojcu jego, Stefanowi, królowi węgier-

skiemu od cesarza Greckiego z Konstantynopola za dar największy, który mąż Boży Emeryk na piersiach zwykle nosił, i ofiarował go temu miejscu... Bolesław zatem, król Polski, spełniając swoje przyrzeczenie, wystawił na tem miejscu klasztor św. Benedykta, należycie i z królewską wspaniałością uposażony, a do sprawowania służby Bożej sprowadził braci noszących szatę zakonną św. Benedykta. Kościół także na cześć i chwałę świętego Krzyża greckim wzorem z kamienia od samych posad wybudował i złożył mu do przechowania najdroższy skarb drzewa Chrystusowego, ofiarowany od błogosławionego męża Emeryka; który to kościół zachowawszy do dziś dnia (roku 1480) pierwotną postać i budowę, poświadcza swoją wielką starożytność". (Długosz, „Dzieje Polskie", ks. II, str. 166.)

O śmierci św. Ameryka tenże historyk Długosz tak pisze:

„Rok Pański 1022. Kiedy św. Stefan, król węgierski, zamyślał usunąć się od rządów królestwa i resztę życia przepędzić na modlitwie i bogomyślności, a władzę królewską zdać książęciu Emerykowi, synowi swemu jedynemu; tenże Emeryk, żyjący ciągle w ślubach czystości z żoną swoją, którą uważał za siostrę, roku tego umiera (roku 1022). Pochowano go w kościele Białogrodzkim (Alba Regalis), kędy jaśnieje cudami. Św. Stefan, ojciec jego, boleśnie opłakiwał tę stratę, widząc, że ze zgonem syna spełzł zamiar zrzeczenia się rządów królestwa i zgasła ostatnia krwi dziedzicznej szczątka" (Długosz, „Dzieje Polski", ks. I, str. 193).

Zgasła ostatnia krwi dziedzicznej szczątka, ale nie zgasła pamięć o czystym Ameryku. Zgasło ziemskie życie Ameryka, ale nie zgasło imię Ameryka. Wygasł ród Ameryka i panujący dom jego, ale za to cała nowa część świata przybrała imię Ameryka. Dla cnoty czystości Ameryk nie chciał rodzić synów i zgasł bezdzietny: a oto miljony Amerykanów nosi imię Ameryka. Bo więcej się przyczynia do zacności, świetności i nieśmiertelności imienia, nie chcieć rodzić synów z pobudek cnoty, niż ich posiadać. „O jak piękny jest czysty rodzaj z jasnością; nieśmiertelna jest bowiem pamiątka jego" (Ks. Mądr. 4, 1).

Ameryk został ogłoszony świętym przez papieża Benedykta IX (rządzącego od r. 1032—1045). Dzień św. Ameryka obchodzi Kościół 4 listopada.

Nomen est omen. W imieniu nieraz tkwi wróżba. Imię świętego Ameryka jest dobrą wróżbą dla Ameryki. Imię to pochodzi od Emmerich, a to znowu pochodzi od „immer reich" (zawsze bo-

gaty). A więc jest to imię i świętego i bogatego zarazem. Święty Ameryk był nietylko świętym ale i bogatym. Imię tedy świętego Ameryka jest dobrą wróżbą dla Ameryki. Ameryka jest bogatą tak długo jak długo jest świętą, to jest, jak długo szuka najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, tak długo wszystkie inne dobra doczesne przydane jej będą. Nie darmo ochrzcono tę tu półkulę ziemską imieniem świętego Ameryka!

Święty Ameryk jako patron całej Ameryki powinien być czczony przez wszystkich Amerykanów, w szczególności zaś przez Amerykanów polskiego pochodzenia. Św. Ameryk był bowiem polskiego pochodzenia ze strony swojej babki, św. Adelajdy, siostry króla Mieczysława I i w Polsce chętnie przebywał u stryja swego króla Bolesława Chrobrego. Z tego więc tytułu nazwa Amerykanina jest nam pokrewną, jest bardzo drogą, chlubną i zaszczytną.

138. **Pierwszy w Ameryce kościół pod wezwaniem św. Ameryka.**

Ku czci rozmaitych Świętych budowano w Ameryce kościoły, ale ku czci tego właśnie Świętego Ameryka, od którego ta nasza półkula ziemska pierwotnie swoją nazwę wywodzi, dopiero tego roku 1906 Węgrzy katolicy pierwszy postawili kościół w Cleveland, Ohio. Biskup Horstman, poświęcając ten kościół, w swojej przemowie wspomniał „o tym poczciwym św. Ameryku", i zaznaczył, że to jest pierwszy kościół w diecezji Cleveland, a może i w Stanach Zjednoczonych, który może się poszczycić tem, że nosi imię tego świętego, od którego cały tutejszy kraj ostatecznie wywodzi swoją nazwę — Ameryka!"

141. Czy z Niemcami już tak krucho? — Nie uczyć dzieci po polsku, to zasadniczy błąd w życiu Polaka. — Myślał, że obiad ma być na dworze. — Brak biskupa jest przyczyną braku księży.

Z dnia 19 maja 1906.

139. **Czy z Niemcami już tak krucho?**

Irlandczycy sądzą, że i niemieckość w Ameryce już połknęli i strawili. A tylko polskość, czeskość i wogóle słowiańszczyzna stoi im jeszcze kością w gardle. Tygodnik w St. Louis, Mo., redagowany przez ks. dr. Phelan pod tytułem „Western Watchman" — który prasa niemiecko-katolicka, pięknem za nadobne się odpłacając, nazywa „Westen Nachtwaechter" — pisze w artykule „A Difficult Problem" (Trudne zadanie) co następuje:

„Całe Stany Zjednoczone zasiane są kościołami niemieckiemi, a niemieckie parafje we wielu diecezjach są prawie tak liczne jak te, które nie są niemieckie. Emigracja z Niemiec prawie ustała; i nie jest prawdopodobnem, żeby odżyła w naszych czasach. Ostatnie dziesięciolecie dokonało zadziwiającej przemiany w tych parafjach. Przed 10 laty niemiecki język był bodźcem do postępu i gorliwości. Szkoły i kościoły wyrastały, jak grzyby po deszczu, na wzmiankę o „Deutschtum" (niemieckości). Obecnie mowa Schillera i Goethego wymiera, a młodzi i starzy okazują predylekcję do angielszczyzny. Niemieckim proboszczom trudno utrzymać swój lud, zwłaszcza młodzież. Jeżeli się nie pozwoli na używanie angielskiego języka w tych niemieckich kościołach, to będą one świecić pustkami w 10 latach. Z niemieckim językiem ginie niemiecki kościół i niemiecka szkoła.

„Nie byłoby to słuszne, żeby miały całkiem zaginąć dla braku przystosowania...

„Ale co z niemi zrobić?

„Zrobić je parafjami mieszanemi, toby nie było słusznem ze względu na angielskie parafje. Jeżeliby niemieckie miały być dostępne dla wszystkich narodowości, to angielskie powinny być tak samo. To wymagałoby zniesienia wszelkich parafjalnych granic, opartych na narodowości i uczyniłoby wszystkie parafje równe. Ale toby sprawiło trudności ludziom. Wielu mówiących po angielsku katolików nie chciałoby się przyłączyć do niemieckich proboszczów; a wielu Niemców nie dałoby się przyłączyć do ajryskich proboszczów. Atoli, gdyby wszystkie parafje były mieszane, nie trwałoby długo, a angielszczyzna zastąpiłaby całkowicie niemczyznę, i trudność językowa zmniejszyłaby się z czasem zupełnie.

„Ale my powinniśmy być zawczasu przezorni i baczyć na to, żeby w przyszłości kościołów parafjalnych nie stawiano zbyt blisko siebie. Obecnie mamy wiele takich kościołów, któreby się stały nieużytecznemi, gdyby narodowe granice parafjalne zniesiono. O ile wiemy, jest to zamiarem teraźniejszego arcybiskupa, nie ustanawiać więcej parafij mieszanych. Niema żadnego prawdopodobieństwa, żeby w bliskiej przyszłości proszono o pozwolenie założenia niemieckiej parafji. Co do innych narodowości, **jak Polaków,** Włochów i Słowaków, **to ich odrębne parafje muszą być zachowane jeszcze przez wiele lat następnych.** Te narodowości bardzo powoli uczą się angielskiego; a dopóki mówią językiem oj-

czystym, nie zleją się z „rodowitymi“ (native) parafjami. Będzie czas rozwiązać tę trudność, kiedy się nadarzy sposobność. Ale inna rzecz z niemieckiemi parafjami. Z temi coś trzeba zrobić, i to prędko, bo inaczej po prostu rozlecą się na kawałki ku wielkiej szkodzie własności kościelnej i ku wielkiej krzywdzie tego **szlachetnego, ciężko pracującego kleru niemieckiego.“**

Taką pochwałą niemieckiego kleru kończy „Western Watchman“ swój artykuł, piszący Mane Tekel Fares niemczyźnie w Ameryce. Przez ostatnie te słowa „the noble hardworking German clergg“ podaje im jakby słodką pigułkę w nagrodę za ich „ciężką pracę“. Jakby im chciał powiedzieć:

— Dobrzeście pracowali, skoro swoich Niemców tak prędko wynarodowiliście. Pójdźcie teraz, słudzy wierni, i posiądźcie niebo — angielszczyzny!

Ale z niemczyzną w Ameryce jeszcze nie tak krucho, jak Irlandczycy myślą.

140. **Zasadniczy błąd w jego życiu.**

I Niemcy, ochłonąwszy z tego szału angielszczyzny, powoli znowu przychodzą do rozumu i zastanowienia. I niejeden już mówi sobie:

— Jaki ja głupi, iż tak łatwo porzuciłem swój ojczysty język i w dzieciach swoich go nie zaszczepiłem.

Jak pisze „Germania“ z Quincy, Ill., pewien tamtejszy niemiecki Amerykanin w rozmowie z Anglo-Amerykaninem tak się wyraził:

„Popełniłem błąd w mojem życiu, kiedym pozwolił rość swoim dzieciom a nie baczyłem na to, by dobrze po niemiecku się nauczyły... W ostatnich latach liczne doświadczenia wykazały mi jasno wartość znajomości więcej języków, a nietylko jednego.“

Do tego dodaje „Columbia“, organ arcybiskupa Messmera, taką uwagę (10 maja 1906): „Świadectwo owego męża jest z pewnością wyjęte z ust niezliczonych tysięcy ludzi w tym kraju. Istnieje trafne angielskie przysłowie: We never miss the water until the well runs dry — Nie odczuwamy braku wody, póki studnia nie wyschnie“.

I my też nie odczuwamy braku języka polskiego, dopóki go jeszcze zasilają tu i kazania polskie i nauki i mowy i gazety pol-

skie. Ale jakby te źródła polskości wyschły, wtedy, tak jak dziś Irlandczycy, nadaremnie wskrzeszalibyśmy język polski. Trudno wskrzesić umarłego. Zasilajmy ten nasz język i pielęgnujmy go, póki żyje!

Słyszy się tak często:

— Angielszczyzna w tym kraju jest jakby w powietrzu, „in the air". Nią jak atmosferą otoczeni jesteśmy, więc niepodobna nie oddychać nią.

To prawda. Ale nie samem powietrzem żyje człowiek. Jaką wartość ma język polski dla naszego życia społecznego, umysłowego i religijnego, nawet tu w Ameryce, tego my nie pojmujemy, dopóki go jeszcze posiadamy. Cóż z tego, że wielu zwłaszcza z młodzieży lekceważy sobie język polski? czy przez to on na wartości traci? Ależ wielu lekceważy sobie i zdrowie i religię i obyczaje dobre! Iluż to takich codzień widzimy, którzy przez swoją lekkomyślność tracą i dobre obyczaje i religię i zdrowie i życie? czyż dlatego te skarby są mniej cenne?...

Tak samo rzecz się ma z tym skarbem języka polskiego. Ta okoliczność, że wielu jest tak lekkomyślnych, iż sobie z języka polskiego mało co robią, bynajmniej jeszcze nie obniża jego wartości prawdziwej i istotnej, ani jego użyteczności w tym kraju nie zmniejsza. Nie dajmy się lekkomyślnością drugich zbić z toru!

Dnia 24 maja 1906.

141. **Myślał, że obiad ma być na dworze.**

Niektórzy biskupi w Ameryce, idąc za przykładem metodystów i innych sekt purytańskich, są zwolennikami **zupełnej** wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych. I wtedy biada zwłaszcza księdzu, jeśli wino albo piwo biskup u niego na stole znajdzie. „The Catholic Review" z St. Louis, Mo., opowiada o następującym komicznym wypadku:

Pewien ksiądz korespondent wspomina nam o zabawnym wypadku, jaki się zdarzył niedawno w pewnej diecezji w tym kraju. Biskup, który jest radykalnym zwolennikiem wstrzemięźliwości (a radical total abstinence advocate), widząc kilka butelek wina na stole u jednego ze swoich proboszczów, którego odwiedzał, z gniewem wyrzucił je przez okno na dwór. Proboszcz widząc, że biskup bierze mu ze stołu flaszki i wyrzuca je na dwór, przysko-

czył i sam zaczął także szklanki, noże, widelce i talerze wyrzucać przez okno. A kiedy biskup zdziwiony zapytał go, czemu to robi, proboszcz spokojnie mu odpowiedział.

— O! bo ja myślałem, że Wasza Biskupia Mość chcesz mieć obiad na dworze!“ (Zobacz volume XIII, nr. 8.)

142. **Brak księdza polskiego.**

Komitet parafjalny z Rosthern, Saskatchewan, Kanada, 11-go maja 1906 pisze mi: „Najprzew. Ojcze! My kanadyjscy Polacy donosimy, że nasze powodzenie jest bardzo dobre. Okolica nasza jest żyzna, ziemie urodzajne. Nasza parafja, założona tu od r. 1902, dobrze się rozwinęła, jest nas tu 250 familij. A iż tę parafję rozdziela rzeka, zwana Saskatchewan, więc dla wygody parafjan pobudowaliśmy dwa kościoły. Kościoły są ładnie wykończone i wszystko co potrzeba, jest w nich. Tylko brak nam księdza! Już przeszło trzy lata upominamy się u naszego francuskiego biskupa Pascal'a, ale daremno. Otóż Najprzew. Ojcze, czybyś Ty może w tej naszej głównej potrzebie poradził. Ty tylko jeden i ostatni, żebyś nam poradził i udzielił nam sposobu dostania księdza, ażeby my tutaj nie poginęli bez spowiedzi i komunji św. i tak samo nasze dzieci. Jest tu nas tyle, że możemy nietylko jednego ale i dwóch księży utrzymać. Otóż, Najprzew. Ojcze, poradź nam, boś Ty tylko jeden, żebyś i swoje życie za swoich braci oddał i myślimy, iż nas także nie opuścisz i nie zapomnisz o nas...“

Z powyższego listu widoczna, że Polacy nietylko w Stanach Zjednoczonych ale i w Kanadzie, dotkliwie odczuwają brak opiekuna, brak wyższego dozorcy czyli biskupa, brak **własnego** pasterza, któryby się nimi zajął szczerze i prawdziwie. Obconarodowi biskupi albo nie chcą albo nie umieją wystarać się o kapłanów polskich.

Biskup Polak, albo przynajmniej Wikarjusz Apostolski, jest i tam koniecznie potrzebny, bo powyższy wypadek nie jest jedynym. Bez takiego Pasterza **własnego** owieczki rozproszą się, jak ich już wiele faktycznie się rozproszyło.

Precz z jakąś tam wyższą polityką i dyplomacją! Salus populi suprema lex esto! Zbawienie ludu niech będzie najwyższem prawem! Jedyna rozumna i chrześcijańska polityka jest ta: zaradzić rzeczywistej potrzebie **ludu!** A choćby przez kreowanie wikarjatu polskiego, obconarodowi biskupi mieli stracić na wpły-

wie i znaczeniu — mniejsza o te uboczne względy — zbawienie **ludu** najwyższem prawem niech będzie!

143. **Słowacy także się skarżą na brak opieki duchownej.**

Słowacy amerykańscy mieli zeszłego tygodnia walny sejm w Pennsylwanji. Zjechało się aż trzystu delegatów. Jak mi opowiadał jeden z delegatów, na owym zjeździe zewsząd słyszano skargi na brak opieki duchownej. Biskupi albo nie chcą albo nie umieją wystarać się o księży słowackich. Dotychczas jest w Stanach Zjednoczonych 96 parafij słowackich, a powinno ich być przynajmniej cztery razy tyle, gdyż liczba Słowaków dosięga tu pół miljona. Proszą i błagają o więcej księży, lecz daremno.

Jeśli do dwu i pół miljona Polaków doliczymy pół miljona Słowaków, a Czechów, Rusinów, Morawian, Kroatów i Słoweńców razem przeszło półtora miljona: to w Stanach Zjednoczonych jest około 5 miljonów katolików **słowiańskich.** A na te 5 miljonów iluż proboszczów?

Zaledwie tysiąc!

Podczas gdy reszta katolików w liczbie 7 miljonów posiada aż 11,000 kapłanów! Co za dysproporcja! Co za straszne zaniedbanie katolików słowiańskich!

Kto temu winien?

Winien temu brak wyższej władzy słowiańskiej!

Już to prawdą po wszystkie wieki było, jest i będzie, że **swój o swego** bardziej dba niż o obcego. Każdy dba przedewszystkiem o swoją narodowość — o obcą chyba wyjątkowo. Jest to naturalny porządek Boży, bez którego o nadnaturalnym mowy być nie może. Pan Bóg podzielił ludzkość na narody, a narody na rody i rodziny. Ten jest podział Boży: granice rodowe i narodowe!

A tych granic rodowych i narodowych, pociągniętych ręką Stwórcy, nie usuną żadne granice terytorjalne, czy parafjalne czy diecezjalne!

Mądrze zrobimy, gdy nacisk kłaść będziemy przedewszystkiem na ten podział Boży przez granice narodowe, i swoją a nie obcą opiekę każdej narodowości damy. Inaczej o porządku nadnaturalnym czyli o porządku w Kościele mowy być nie może. Długoletnie doświadczenie tu w Ameryce, strata przeszło 20 miljonów katolików wskutek mieszanych diecezyj (i parafij), jest najlepszym tego dowodem.

142. Ks. Góral i „Orędownik Językowy“. — Ślepota duchowa gorsza od cielesnej. — Irlandczykom wolno obchodzić święto narodowe, a innym nie?

Z dnia 26 maja 1906.

144. Ksiądz profesor Góral i jego „Orędownik Językowy“.

Próbować warto. W życiu ludzkiem wiele rzeczy, wiele dzieł zawdzięcza swój byt po prostu próbie! Wiele znowu dzieł nie powstaje wcale, jedynie dla braku próby, inicjatywy, przedsiębiorczości. Kto mówi:

— Nie wiem, czy się to uda — i dlatego już opuszcza ręce, ten małego jest ducha i nic znacznego w życiu swojem nie zdziała.

— A no, spróbuję! — Tak powinien każdy częściej mówić. W życiu i przemysłowem i politycznem i kościelnem dalejbyśmy zaszli, gdybyśmy częściej szli za tym głosem:

— A no, spróbuję! — a nie tłumili go w sobie.

Gdym przed kilku laty sadził tu przed plebanją brzóski, wielu mi wówczas mówiło:

— Księże Proboszczu, naco tu sadzić brzóski, one się na tym gruncie nie przyjmą!

Pomimo to spróbowałem i — zasadziłem je. Brzóski się pięknie przyjęły, wyrosły wyżej plebanji i są dziś ozdobą ogrodu proboszcza w Ripon. Tak we wszystkiem innem powinniśmy częściej słuchać tego głosu:

— A no, spróbuję!

A rzadziej zważać na owo zwątpiałe:

— Nie wiem, czy się uda!

Weźmy naprzykład „Orędownik Językowy“, pismo miesięczne, wydawane dla wychodźtwa polskiego w Ameryce. Kiedy półtora roku temu ks. profesor B. E. Góral zaczął to pismo wydawać, zawsząd odzywały się głosy:

— Takie pismo na tym tu gruncie amerykańskim się nie przyjmie!

A jednak — przyjęło się. I rośnie i rozwija się pięknie nieprzymierzając jak te brzóski w ogrodzie. Czemu? Bo ks. prof. Góral, nie zważając na to, czy się uda czy nie, powiedział sobie rezolutnie i stanowczo:

— A no, spróbuję!

I dziś już namacalnie się przekonuje, że warto było próbować... Taki „Orędownik Językowy“, stojący na straży polskiego języka, ma rację bytu wśród wychodźtwa naszego w Ameryce. A mając rację bytu, znajdzie i warunki bytu i rozwoju. Znajdzie tu grunt podatny, byle tylko korzenie swe głęboko zapuścił i **soki żywotne** z tego gruntu wyciągać umiał.

145. **Ślepota duchowa gorsza od cielesnej.**

Duchowa ślepota redaktorów „Dziennika Chicagoskiego“ jest stokroć gorsza od cielesnej ślepoty redaktora „Polaka w Ameryce“.

Pan Ślisz pomimo, a może właśnie dlatego, że jest pozbawiony wzroku cielesnego, bystrem okiem umysłu swego widzi jaśniej rzeczy ogólne i poznaje potrzeby i niebezpieczeństwa grożące Polonji amerykańskiej, aniżeli zaślepieni służalstwem redaktorzy „Dziennika Chicagoskiego“. Na dowód tego weźmy tylko te dwa fakta, bijące w oczy każdego, kto tylko ma oczy ku widzeniu: amerykanizowanie czyli raczej anglizowanie Polaków i obsadzanie parafij zakonnikami:

„Dziennik Chicagoski“ nie widzi tych faktów, zamyka oczy na nie, przeczy im najbezczelniej.

O ślepoto prawdziwa, która nie widzisz najpierw tego faktu, jak słońce jasnego, że biskupi tutejsi chcą i pragną tego z duszy i serca, by Polacy czemprędzej się zanglizowali, bo im wtedy wygodniej byłoby rządy sprawować w tym kraju... I dlaczego nie mamy im tego w oczy powiedzieć? Chyba dlatego, że nie lubią tego, bo prawda w oczy kole. Jest w tem pewna racja. Lecz prawdomówność takiego pana Ślisza, choć obrażająca, jest jednak z innych względów usprawiedliwiona. Ale jakiemi względami usprawiedliwić można pochlebstwo i blagę redaktorów „Dziennika Chicagoskiego“, którzy imputują biskupom zamiary, jakich biskupi nie mają, którzy śmią twierdzić, że biskupi nas tu nie chcą anglizować, lecz owszem chcą, byśmy tu jako Polacy się utrzymali w najdłuższe lata?

Czy takie są rzeczywiście zamiary biskupów amerykańskich? Jeśli nie — to dlaczego te blagi i pochlebstwa, panowie od „Dziennika Chicagoskiego“? Chcecie dla swoich Ojców przez to uzyskać łaski i względy biskupie? Łaski i względy biskupie są dobre. Ale jeśli chodzi o utratę łask biskupich lub o utratę narodowości, a pośrednio i wiary ludu, to bez wahania należy wybrać raczej utratę łask biskupich. Któryż biskup śmiałby nam to za złe brać?...

Zresztą łaska pańska, czy biskupia, na pstrym koniu jeździ. I oni, biskupi, prędzej czy później musieliby nami gardzić jako pochlebcami, którzy dbali więcej o łaski biskupie aniżeli o własną narodowość, jaką nas Stwórca obdarzył.

Ale gdzież biskupi czyhają na zgubę naszej narodowości? pyta „Dziennik Chicagoski".

Pewna rzecz, że obecnie nie czynią zamachu na naszą narodowość. Czynili zamachy, ale te się nie udały. Więc dają spokój zamachom. Widzą, że polska narodowość, to forteca niezdobyta, której szturmem wziąć nie można. Więc — jak ich organy głoszą — postanowiono nas Polaków pozostawić naszemu własnemu losowi, czyli odczekać, aż się sami wynarodowimy.

Takie dziś stanowisko zajęto względem nas.

Co to znaczy? To znaczy, że fortecę narodowości naszej postanowiono trzymać w oblężeniu i czekać, **aż się sami poddamy.** A nie mając własnych biskupów polskich — tych nam dać nie chcą — wiedzą, że się poddać musimy. Głodem chcą umorzyć i do poddania się zmusić fortecę narodowości polskiej.

Kto nam powie, że tak nie jest?

Jeżeli nasza młodzież nie usłyszy z ust wyższych dygnitarzy kościelnych ani słowa po polsku; jeżeli będzie widziała, że polska narodowość jest owszem zaporą do wyższych dostojeństw kościelnych — to się wynarodowi. Tak oni rozumują.

My w tem oblężeniu nie powinniśmy dłużej zostawać... Nasza narodowość ma tu taką samą rację bytu, jak np. irlandzka. A jeśli ma rację bytu, musi mieć i warunki bytu i rozwoju. Jednym z tych warunków są biskupi polscy. Bez tych nie rozwiniemy się, ale zmarniejemy narodowo a skarłowaciejemy religijnie.

Jeśliby biskupi amerykańscy, jak twierdzi „Dziennik Chic.", przyznawali tu naszej narodowości rację bytu, to dlaczegożby nam mieli odmawiać warunków do jej bytu i rozwoju potrzebnych?

146. **Duchowieństwo świeckie jest w pierwszym rzędzie powołane do zarządu parafij.**

Drugi fakt, jakiemu przeczy „Dziennik Chic.", odnosi się do obsadzania parafij zakonnikami. „Dziennik Chic." widzi ten fakt, ale nie widzi w tym fakcie nic zdrożnego, ni przeciwnego prawom kościelnym. I w tem tkwi jego ślepota. Co w tym względzie pisał p. Ślisz, tem zakonnicy prawdziwi nie obrażą się; owszem przyznają mu rację.

Prawem Kościoła Powszechnego po wszystkie wieki było to, że parafjami zarządzać mają księża świeccy, a nie zakonnicy. Zakonnicy, jeśli się trzymają swojej reguły, nie mogą przyjmować parafij. I ani biskup do tego przymusić ich nie może. To prawo ustanowił Kościół.

Z dnia 31 maja 1906.

147. **Irlandczykom wolno, a innym nie?**

Arcybiskup Ireland w publicznej mowie ku czci Washingtona oświadczył był wręcz i bez ogródki, że: wszelkie obce (foreign) t. j. nie-angielskie instytucje, szkoły, obchody narodowe, niemieckie, polskie, czeskie itd. nie powinny być cierpiane w Ameryce. Opinja publiczna powinna krótki proces z niemi zrobić, t. j. potępiać je i wytępiać. Otóż ks. Broekhagen, redaktor niemiecko-katolickiego dziennika p. t. „O'Fallon Hausfreund" do owej mowy arcybiskupa Irelanda nawiązuje takie trafne uwagi:

„Dziwnie zaiste plecie się na tym Bożym świecie a zwłaszcza tu w tym kraju najkolosalniejszych sprzeczności. Oto patrz, wysoki ajryski dygnitarz kościelny (eine irische Kirchenspitze, ajryski czubek kościelny) krzyczy na całe gardło, że wszelkie nie-angielskie instytucje tu w Ameryce najsurowiej zakazane być powinny, że wszelkie nie-angielskie zwyczaje jak najprędzej zniesione być powinny, i że przedstawiciele tych nie-angielskich instytucyj powinni być zabici (społecznie) przez opinję publiczną. A tymczasem w tym tu dziwnym kraju sprzeczności ajrysze sami podtrzymują nie-angielski zwyczaj i odnawiają go rokrocznie: mianowicie **świecki obchód** uroczystości św. Patryka. Obchód ten św. Patryka doprawdy nie jest żadną amerykańską instytucją, lecz ajryską najzieleńszej barwy.

148. **Co nie jest irlandzkie, to nie jest amerykańskie.**

„Cóż to więc ma znaczyć, kiedy ajryscy dygnitarze kościelni występują przeciw „obcym" (foreign) instytucjom? To znaczy po prostu, że wszystko, co jest ajryskie, jest i amerykańskie, a co nie jest ajryskie, to nie jest amerykańskie. Oto, co znaczy ta walka arcybiskupa z St. Paul przeciw „obcym" instytucjom. Wszystkie inne narodowości mają się stosować do ajryszów przynajmniej co do religji i kościelnych stosunków. To znaczy innemi słowy: ajrysze są wzorem dla katolików, i dlatego wszyscy katolicy wszel-

kich innych narodowości muszą się stać zupełnie takimi, jak irlandzcy katolicy."

149 **Czy Irlandczycy są wzorem?**

„Byłoby to zresztą zupełnie dobrze i słusznie, gdyby nam najpierw udowodniono, że Irlandczycy są rzeczywiście wzorem dla katolików, i że irlandzkie parafje rzeczywiście są wzorem dla katolickich parafij. Przypatrzmy się jednak tej rzeczy zbliska. Szkoła parafjalna nie jest żadną ajryską instytucją; przeto w tym dziwnym kraju sprzeczności istnieje jeszcze niezmierna liczba parafij ajryskich, które żadnej nie mają szkoły parafjalnej... Jedyną „obcą" instytucją, jaką nam wytykać może arcybiskup z St. Paul, jest i pozostanie szkoła parafjalna; szkoła zaś parafjalna jest katolicką instytucją i dlatego nie może być zniesioną, choćby nawet arcybiskup był przeciwko niej. Jak długo ajrysze dzień św. Patryka obchodzą jako święto narodowe z wielką pompą i bankietem, tak długo i my niemieccy katolicy możemy i chcemy niemieckie szkoły utrzymać i pielęgnować."

143. Widoki zmartwychwstania Polski. — Kradzione nie tuczy: Mocarstwa, które Polskę rozebrały, widzą, że nic na tem nie zyskały. — Młyn rzymski miele powoli, ale dobrze.

Z dnia 2 czerwca 1906.

150. **„Widoki niepodległości Polski."**

Pod powyższym tytułem ogłasza nowojorski „The Literary Digest" z 26 maja 1906 taki artykuł:

„Liczne artykuły, pojawiające się w prasie europejskiej, wskazują na to, że mocarstwa, które podzieliły Polskę, przyszły do tej konkluzji, że tak dla ich własnych interesów jak i interesów Europy wogóle, będzie najlepszą rzeczą wskrzesić Polskę, by zajęła swoje stanowisko jako państwo niepodległe. Nie wyszły im na zdrowie te kęsy, jakie połknęły. Rosja widzi, że lwiątko (Królestwo Polskie) wyrosło na lwa i zabiera lwią część jej przemysłu. Niemcy przyszły do tego przekonania, że dopóki Polacy stoją między nimi a rosyjską granicą, dopóty nie mogą swojej zbytecznej ludności przerzucić na żyzne pola południowej Rosji lub zabrać bałtyckie prowincje i zrobić morze Bałtyckie „niemieckiem jeziorem". To ich zapatrywanie podzielają wszechniemcy w austro-węgierskiem cesarstwie. Rosja chce odciąć Polskę, by wykluczyć

jej pszenicę i przemysł. Niemcy zaś chciałyby raczej mieć więcej ziemi dla wzrastającej nadmiernie swojej ludności. Wielu historyków i publicystów już dawno było tego zdania, że wymazanie Polski jako niepodległego mocarstwa było nieszczęściem dla Europy. Mocarstwa, które rozebrały Polskę, nietylko nic na tem nie zyskały, lecz owszem straciły."

151. **Przemysł polski górą!**

„W artykule petersburskich „Wiedomosti" pod tytułem „Coby trzeba zrobić z Królestwem Polskiem?" profesor A. I. Sobolewskij, członek Petersburskiej Akademji, wykazuje, że czas nie wyleczył Polaków z nienawiści ku Rosjanom i oświadcza, że wszyscy to widzą, iż już wielki czas, aby się urządzić w taki sposób, jaki by nie był ani ubliżającym ani szkodliwym dla Rosjan. Te 250,000 żołnierzy rosyjskich w polskich miastach i miasteczkach wszystko, co potrzebują dla siebie i swoich koni, kupują w Polsce. Składy kupieckie w Petersburgu, Moskwie, Oranienburgu, w Taszkencie i Tyflisie nie sprzedawają innych towarów łokciowych tylko wytwory fabryk z Łodzi, Sosnowic i innych miast polskich. Tak samo rzecz się ma z wełnianymi towarami łokciowymi i innymi wyrobami fabryk małych i wielkich w Polsce".

152. **Dać Polsce nietylko samorząd lecz i niepodległość!**

„Jeden jest tylko sposób wyjścia z tego położenia rzeczy. A ten jest, „dać Polakom nie autonomję z parlamentem i wojskiem — to by ich zwróciło przeciwko nam — lecz **ofiarować im niepodległość.** Wtedy moglibyśmy temu nowemu państwu sprzedać nasze fortece w Królestwie Polskiem, koleje państwowe i gmachy rządowe w Warszawie i innych miastach i przenieść nasze komory celne do Białej Rusi, tej nowej rosyjsko-polskiej granicy". Wtedy, za pomocą odpowiedniego cła, które powstrzyma cały ten wywóz produktów polskich do Rosji, dobrobyt środkowych prowincyj Rosji się podniesie, zboże wszelakie z tych prowincyj nie będzie wywożone za granicę po tak niskiej cenie; rosyjscy robotnicy znajdą pracę w fabrykach, które będą budowane w Rosji; i towary teraz kupowane w Polsce, będą wyrabiane w Rosji".

153. **I prasa niemiecka jest za niepodległością Polski.**

„Równocześnie z tym artykułem profesora Sobolewskiego, wykazującego, że niepodległość Polski nie byłaby z uszczerbkiem dla Rosji, kilka głosów odezwało się w niemieckiej prasie, udo-

wadniając, że niepodległość Polski nie byłaby z uszczerbkiem dla Niemiec. W artykule gazety „Der Tag“ (Berlin) Dr. Karol Peters, polityczny bożek wszechniemców, udowadnia, że **odbudowanie Polski jest polityczną potrzebą,** potrzebą dla politycznych interesów Niemiec. Niemcy nigdy nie zgermanizują Polaków. Lepiej więc odbudować Polskę i w ten sposób osłabić słowiański żywioł w Austrji. Niemcy wtedy będą miały na swojej wschodniej granicy, zamiast jednego potężnego sąsiada, dwóch słabszych, co jest oczywistą korzyścią. — We wszechniemieckiej „Staatsbuerger Zeitung“ (Berlin), ulubionym organie pruskich pastorów, urzędników i junkrów — klas, które przeważający wpływ wywierają na politykę Prus i cesarstwa niemieckiego — dobrze znany Dr. Wirth, pisząc o stanowisku Niemiec w polityce wszechświatowej, oświadcza, że Niemcy koniecznie potrzebują więcej przestrzeni, jeśli nie mają się zadusić wskutek przeludnienia w swoim faterlandzie. I powiada:

„Tu nasze oko zwraca się w kierunku południowego wschodu. W jaki sposób, czy przez federację czy inną jakąś drogę, niemiecka część Austrji pewnego dnia połączy się z nami. Wtedy przechodząc przez mały skrawek Galicji i przez Węgry i Transylwanję, dojdziemy do **Południowej Rosji. Tam jest kraj naszych marzeń.** Przestronne, niezmierne pola, zdatne do kolonizacji, jeszcze tam nie są tak przepełnione, żeby nie było miejsca dla nowych immigrantów. Te pola są teraz źle uprawiane, zaniedbane: ale dla pracowitego niemieckiego kolonisty są one więcej warte niż cała Afryka i Indja razem wziąwszy“.

154. **Polacy stoją w drodze, dlatego dać im niepodległość!**

„Polacy jedynie stoją w drodze tej niemieckiej ekspansji, lecz Dr. Wirth podaje sposób rozwiązania tej polskiej kwestji i zauważa:

„Jest **tylko jedna droga wyjścia** z tego położenia. **Polska musi zostać państwem niepodległem.** Rozumiem to doskonale, że taka myśl wywoła gniew i nienawiść (wśród Prusaków). Widzę atoli, że Karol Peters uważa takie roziązanie kwestji polskiej za wykonalne. Czemubyśmy nie mieli naszych starych i podartych pludrów (takiem to pięknem mianem oznacza polskie prowincje pod zaborem pruskim) zamienić na nowe (południową Rosję z jej żyznymi polami)? W ten sposób powiększylibyśmy antagonizm między Polakami i Rosjanami, a zyskalibyśmy przyjaźń Polaków za jednym zamachem“.

„Austrjaccy wszechniemcy także sprzyjają idei odbudowania Polski. Na wiosnę r. 1904, zaraz po pierwszej klęsce wojennej Rosji z Japonją, sekretarz jednej z wielkich izb austrjacko-niemieckiego przemysłu pisał we wszechniemieckim miesięczniku posła Schoenerera w „Unverfaelschte Deutsche Worte“ (Wiedeń), że nieuniknionym wynikiem klęski rosyjskiej będzie wysunięcie naprzód kwestji odbudowania Polski, i wykazywał potrzebę wskrzeszenia Polski ze względów na polityczne interesa narodu niemieckiego“.

Tyle „Literary Digest“.

A więc: Jeszcze Polska nie zginęła!

Nadziei nigdy nie traćmy. Kto nadzieję stracił, ten wszystko stracił. Ale nie oglądajmy się na obcą pomoc. Nie liczmy na cudzą łaskawość. Sami pracujmy nad sobą. Mowy polskiej pilnujmy, wiary ojców naszych nie traćmy. Pracujmy na polu społecznem, czy politycznem czy religijnem. **Pełnijmy swoje obowiązki** względem Kościoła i tej przybranej ojczyzny **wiernie i wytrwale. Ale i o prawa się upominajmy** dzielnie, publicznie i odważnie, a nie dajmy sobą pomiatać.

Z dnia 7 czerwca 1906.

155. **Młyn rzymski miele powoli, ale dobrze.**

Pewien dziennik ze wschodu, podając za „Dziennikiem Chicagoskim“ wiadomość, że arcybiskup Józef Weber, sufragan we Lwowie, wstępuje do Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, dodaje od siebie następującą uwagę:

„Wiadomość ta daje nam bardzo dużo do myślenia i mimowoli nasuwają się pewnego rodzaju i to prawdopodobne przypuszczenia. Najprz. Ks. Arcyb. Weber, wstąpiwszy do Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, będzie prawdopodobnie tylko krótki czas w nowicjacie i kto wie, czy generalicja z polecenia św. Propagandy nie wyprawi go do Stanów Zjednoczonych i nie rozkaże mu osiąść w mieście Chicago w którymś z domów OO. Zmartwychwstańców. W ten sposób mielibyśmy polskiego arcybiskupa w Ameryce, który nie zarządzając żadną diecezją ani też nie będąc jej sufraganem, byłby uważany za polskiego biskupa, bo Ojciec św. wyraźnie życzył sobie, aby zatrzymał biskupie insygnja i mógł sprawować biskupie czynności“.

Tyle „Polak w Ameryce“.

Może to i w ten sposób się stać. Czemu nie. Gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podejść. Jeśli nie można przeskoczyć muru opozycji biskupów amerykańskich, to trzeba go podejść.

Ale czy w ten sposób Rzym załatwi sprawę biskupów polskich w Ameryce czy w inny, jedna rzecz jest całkiem pewna, że Polonja amerykańska uzyska polskich biskupów, i to w stosunkowo krótkim czasie. Stosunkowo, mówię; gdyż nie musimy mierzyć czasu naszą miarą lecz miarą rzymską. Rok u nas, to tylko jakby jeden dzień w kurji rzymskiej.

Urzędowe koła w kurji rzymskiej są ogromne, bo obejmują świat cały, a nie diecezję jedną. To też obracają się bardzo powoli tak, że zanim jednego obrotu dokonają, w tym czasie nasze naprzykład diecezjalne koła urzędowe sto razy się obrócą.

Atoli urzędowe koła w kurji rzymskiej raz w ruch wprawione w pewnym kierunku, choć pomału, obracają się jednak pewnym, stałym i niepowstrzymanym ruchem. Żadne już kółka nie zdołają powstrzymać ich rozpędu.

Ale na czem opieram tę pewność, że koła urzędowe w kurji rzymskiej obracają się w kierunku pomyślnym sprawie biskupów polskich w Ameryce? Tę pewność opieram zawsze ostatecznie na owych jasnych i niedwuznacznych słowach, jakie dnia 15 kwietnia roku Pańskiego 1904 o godzinie 4 po południu w watykańskiej sali tronowej z własnych ust Jego Świątobliwości papieża Piusa X usłyszałem:

— Decyzja nastąpi czemprędzej i to **podług waszych życzeń**.

Nie mnie tylko, lecz całej Polonji amerykańskiej papież Pius X dał to słowo. Słowo to dane było bezwarunkowo. Papież nie powiedział **jeśli** to będzie rzecz możliwa, **jeśli** biskupi amerykańscy na to się zgodzą, lub tym podobnie. Lecz bezwarunkowy dał wyrok: decyzja nastąpi czemprędzej i to podług waszych życzeń!

Więc albo wierzymy, że papież słowa dotrzyma, albo powiedzmy, że papieżowi nie należy wierzyć. A że tego ostatniego nie godzi się ani przypuszczać, więc to pierwsze należy przyjąć.

Nie można też powiedzieć, że papież dając to słowo, nie przewidywał opozycji biskupów amerykańskich. Bo papież o opozycji biskupów amerykańskich wiedział już dawno przedtem, zanim dał to słowo. Właśnie wskutek tej opozycji tak długo zwlekał z ostateczną odpowiedzią. Półtora miesiąca przed audjencją papieską kardynał Svampa powiedział mi, że papież mu mówił, iż jedyna trudność w tej sprawie jest ze strony biskupów amerykańskich.

— Ale nie ustawajcie — dodał kardynał Svampa — sprawa jest słuszna i sprawiedliwa, więc ciągle przypuszczajcie szturmy.

Potem całymi tygodniami czekałem na audjencję papieską jedynie dlatego, że jak Mgr. Bisleti (który papieżowi przedstawia każdego) się wyraził, papież się namyślał, jaką by mi dać w tej sprawie **ostateczną i decydującą odpowiedź**, czy przychylną czy odmowną.

I otóż, **po wzięciu w rachubę opozycji** biskupów amerykańskich, odpowiedź wypadła **przychylna**.

Promissum cadit in debitum — powiada teologja moralna. Dając obietnicę papież **zobowiązał** się uczynić podług naszych życzeń, to jest, dać nam biskupów polskich. Więc też niezawodnie to uczyni, i to czemprędzej; choć to „czemprędzej" musimy brać, nie w znaczeniu naszem, lecz w znaczeniu Kurji Rzymskiej, jak już powiedziałem.

Tę parę powyższych uwag niech posłużą za odpowiedź tym, którzy mię ustawicznie zewsząd nagabują, czy by nie było dobrze wysłać do papieża sążnistą petycję z podpisami parafjan. Rzym dobrze wie o naszych życzeniach i aż nadto jest przekonany o słuszności naszych żądań. Natomiast biskupom tutejszym przy każdej sposobności, np. przy bierzmowaniu, należało by dać dobitnie do zrozumienia w ten lub ów sposób nietylko słowem ale i czynem i postępowaniem naszem, byle zawsze w granicach legalności, że pragniemy z duszy i serca mieć swoich własnych polskich biskupów.

Kto jest przeciwnym słusznej sprawie naszej, ten sam się czyni przeciwnikiem naszym; i jako takiego uważać go też powinniśmy, a kto się z nim łączy lub pochwala jego stanowisko, ten jest zdrajcą sprawy polskiej albo renegatem.

156. **Rzym nic nie zrobi, gdy odstąpimy od naszych życzeń.**

Jedynie gdybyśmy odstąpili od naszych życzeń, wtedy rzecz jasna Rzym dla nas nic nie zrobi, bo nic zrobić nie potrzebuje. Wtedy decyzja nie dopiero „nastąpi czemprędzej", ale wtedy ona już nastąpiła i to „podług waszych — **zmienionych** — życzeń!"

I to właśnie (że lud polski zmienił swoje życzenia i nie chce już więcej biskupów polskich) w październiku zeszłego r. 1905 ogłaszali biskupi amerykańscy w gazetach angielskich. Nie wierząc gazetom, pytałem się listownie jednego arcybiskupa, czy on rzeczywiście przekonany jest, że **lud polski** w Ameryce nie życzy so-

bie biskupów polskich? I ten arcybiskup odpowiedział mi czarnem na białem, że istotnie on jest tego przekonania, że lud polski w Ameryce nie życzy sobie biskupów polskich. Mam ten list.

Biskupi więc sami wywołali wilka z lasu. Skoro oni takie fałsze ogłaszali w gazetach, nie powinni się dziwić, że my tę sprawę także w gazetach omawiać poczęliśmy. Stało się to z początkiem grudnia 1905.

Ja to powiadam: Jeżeliby to prawdą było, co owi biskupi głosili, że istotnie lud polski w Ameryce nie życzy sobie biskupów polskich, to w takim razie ten lud polski nie będzie czytał tych gazet polskich, które agitują za biskupem polskim. Aliści fakta wykazały, że lud właśnie abonuje, płaci i czyta najchętniej te gazety, które sprawę biskupów polskich popierają. Faktycznie te gazety stały się najpoczytniejszymi **pomimo że biskupi** przy okazji bierzmowania odradzali ludowi czytania takich gazet. Nie można więc było namacalnie udowodnić biskupom amerykańskim, że lud polski istotnie życzy sobie biskupów polskich w Ameryce jak właśnie omawianie tej sprawy w gazetach polskich. I to omawianiem ciągłem. Bo gdybyśmy umilkli, przyjęliby to biskupi znowu za znak, że odstąpiliśmy od naszych życzeń — tak jak to milczenie nasze po powrocie z Rzymu, od maja 1904 do grudnia 1905, uważali za znak, że zrzekliśmy się naszych praw i popuściliśmy całą tę sprawę.

144. Ks. D. Majer przed i po otrzymaniu fioletów. — Daremnie się staram o otwarcie szkoły polskiej w Ripon.

Niepodobna tu ani w streszczeniu podać tych wszystkich listów, jakie nadchodziły do mnie, kiedym powyższe artykuły ogłaszał w gazetach. Listy te, które wyratowałem z pożaru, składam do swojej teki. Listy te pochodziły od księży i cywilnych, od papieżników i od episkopalnych. Episkopalni namawiali mnie do zachowania milczenia w sprawie biskupów polskich, chcąc, żebym nad tą sprawą zaśpiewał: requiescat in pace — niech odpoczywa w pokoju. Nawet taki papieżnik, jak ks. Jan Pitass, popadł w chwilowy pesymizm, skoro się dowiedział, że arcybiskup Messmer polecił mi grobowe milczenie. Jego sekretarz, pan Stan. Ślisz, donosił mi 24 kwietnia 1906:

„Ks. dziekan Pitass jest tak wszystkiem zniechęcony, że powiedział mi, że lepiej byłoby, aby się był nie mieszał do całej

tej sprawy, bo kosztowała ona go bardzo dużo, a nietylko nie było z tego owoców ale owszem narobiła mu dużo przykrości i zmartwienia. Drogi Ksiądz sam będzie wiedział, jak sobie ma postąpić. Ja także sądzę podobnie i sam od siebie nie mogę służyć żadną radą. Możeby było dobrze dla Ks. Dobrodzieja przycupnąć na niejaki czas (przyczaić się jak zając) i czekać aż Rzym w naszej sprawie da jakiś znak życia? Może byłoby poradnem pisać nadal artykuły, ale pod pseudonimem...“

Dnia 8 maja 1906 ks. dziekan Pitass z Buffalo przysłał mi własnoręczne zaproszenie na czterdziestogodzinne nabożeństwo, dopisując taką uwagę:

„Nie dla żartu zapraszam, ale z wielkiej potrzeby. 50 dolarów naznaczam na pokrycie podróży“.

Ale najciekawsze w owym czasie były dwa listy ks. Dominika Majera z St. Paul, Minn., któremu arcybiskup Ireland wystarał się o prałactwo, jak to wspominałem pod numerem 119. Pierwszy list pisał mi ks. Dominik Majer bezpośrednio przed otrzymaniem fioletów, a drugi zaraz potem. W pierwszym liście ks. Majer prosi mnie, bym sprawę biskupów pogrzebał w grobie niepamięci; w drugim zaś liście już nie prosi mnie o to. Listy od ks. Majera były niespodzianką dla mnie, gdyż z ks. Majerem nie łączyły mnie żadne bliższe stosunki.

Otóż w pierwszym liście ks. Majer pisał mi tak:

St. Paul, Minn., 28 kwietnia 1906.

241 Charles Str.

Wiel. Ks. W. Kruszka!

Raz tylko widzieliśmy się w Milwaukee i to bardzo krótko, a zatem nasza znajomość nie może być na tej stopie, na jakiej jest pomiędzy przyjaciółmi znającymi się od wielu lat. To też ta mała znajomość nie powinnaby mię uprawniać do nadużywania cierpliwości łaskawego księdza. Lecz z powodu publicznych spraw i polemik tak ujemnie wpływających na naszą sprawę ośmielam się choć mało znany skreślić tych parę wierszy.

„O zdolnościach, roztropności i gotowości księdza służenia dobrej sprawie byłem od dawna przekonany, — to też niemile mię dotknęły artykuły wychodzące z pod pióra księdza, a tyczące się nietylko naszej sprawy, ale też i osobistości, z którymi ksiądz tak gorliwie pracowałeś w tej sprawie. Księżmi jesteśmy, ale nie anio-

łami, to też musimy się przyznać do wielu błędów, od których ani my, ani biskupi nie są wolni. Zważywszy to, więcej pobłażliwości niż surowego sądu należałoby się spodziewać od współkonfratrów, a gdyby być mogło i pokrywania tych błędów. Lud nasz chce widzieć nas doskonałych, tak księży jak i biskupów, a czytając o ujemnych ich stronach, gorszy się, stygnie w wierze i traci zaufanie do Kościoła i księży, a nieprzyjaciele wiary korzystają z takiej polemiki, pochodzącej od ludzi, od których spodziewają się czegoś lepszego. Otóż kochany księże, czyby nie lepiej było puścić w niepamięć urazy, a swych zdolności użyć na coś lepszego?...

„Jak wiadomo, nie należę do Was ani do komitetów lub subkomitetów waszych, bo chcę i pragnę być wolnym od wszelkich podejrzeń (choć niestety nie jestem), od wszelkich aspiracji i dążeń do jakiegobądź wyszczególnienia, gdyż zresztą ani mój wiek, ani nauka nie są po temu, ale za szczęśliwego się poczytam, gdy żądania kleru polskiego skupią się na osobie godnej i zasługującej na to. Takie czyny znowu nie uskuteczniają się na poczekaniu, o czem kochany ksiądz wie dobrze, bo będąc obeznanym z prawami i obyczajami Kurji Rzymskiej musisz przyznać, że Rzym nigdy nie spieszy się w ważnych sprawach, chociażby nawet takiej jak nasza. Rzym nie zważa na pogróżki, a tymi tylko pogorszyć sprawę możemy, ale polepszyć nigdy. — Bądźmyż więc roztropniejsi, więcej cierpliwi, zgodni, zjednoczeni, bezstronni, pełni zaufania do naszego przedstawiciela u Stolicy Apostolskiej, a Bóg pobłogosławi dobrej sprawie.

„To co napisałem, napisałem w zaufaniu i mam nadzieję, że ksiądz to przyjmiesz pobłażliwie w takiem duchu, w jakiem napisano.

„Łącząc przytem wyrazy rzetelnego szacunku i poważania, mam honor pisać się

Waszym sługą

Ks. D. Majer.

Przyjąłem też ten list pobłażliwie w takim duchu, w jakim był napisany — w duchu episkopalnym. Po dymie poznać ogień. Widząc ten dym wychodzący z kadzidła episkopalnego, poznałem, że coś się święci. Fiolety, ale czy biskupie? Niebawem, bo w paru dniach potem zaraz ukazały się fiolety, ale nie biskupie. Ks. Dominik Majer został prałatem. Wspomniałem o tem pod numerem 119. Dla ks. Majera te fiolety były i niespodzianką i rozczarowaniem,

jak to wynika z drugiego listu, pisanego do mnie w 12 dni po owym pierwszym liście:

St. Paul, Minn., 10 maja 1906.

Wielebny Ks. Wacławie!

Za życzenia serdeczne dzięki. — Pisząc pierwszy list ani marzyłem, że coś dla mnie się święci, — i spadło to tak niespodzianie, że w pierwszej chwili nie wiedziałem czy się śmiać, czy też gniewać. — Sam ksiądz to przyznasz, że to przecież głupstwo, i poprostu zabawka dla dzieci, — a ja przecież już stary chłop, — więc wyznaję szczerze i otwarcie, że się z tego tak bardzo nie cieszę, — a nosząc tam jakieś fiolety, będę się wystawiał tylko na pośmiewisko moich kompatrjotów. — W każdym razie chybiono celu, bo z tej łaski zdaje się nie będę bardzo użytkował.

„Dziękując jeszcze raz za łaskawą pamięć o mnie, piszę się

sługą

Ks. D. Majer.

Słusznie i trzeźwo się zapatrywał na fiolety prałackie. Polonji amerykańskiej wcale a wcale się nie rozchodzi o honory. O władzę się rozchodzi, o władzę tak potrzebną jak chleb powszedni dla jej wzrostu i rozwoju religijnego!

Od wydawnictwa „The Catholic Encyclopedia", 1 Union Square, New York City, 18 kwietnia 1906 dostałem następujące zaproszenie:

Rev. W. Kruszka,

Ripon, Wis.

Rev. dear Father!

Would you be willing, in the future, to contribute occasionelly biographical articles on Polish Catholic celebrities to our New Catholic Encyclopedja? My friend (and former disciple) Father Smogor of Steubenville, Ohio, writes me in warm terms concerning your literary abilities and devotion to the Polish fatherland. Yours fraternally in Xto.

Thomas J. Shahan,

(Catholic University Washington, D. C.)

Nie skorzystałem z tego zaproszenia. Odesłałem wydawców do mojej „Historji Polskiej w Ameryce", którą też ta Encyklopedja później przytoczyła. Owego czasu, przygotowując do druku

IX tom Historji o OO. Zmartwychwstańcach w Chicago, nastąpił pożar kościoła i plebanji w Ripon. Nie przewidując tego pożaru, na wszystkie strony rozsyłałem listy błagalne o Siostry nauczycielki, chcąc w Ripon raz przecie założyć szkołę polską. Ale wszystkie Siostry, jak gdyby przewidziały ów pożar w Ripon, dawały mi odpowiedź odmowną na ten rok. I tak M. Marja Lauretta, Przeł. Gen. Zgr. N. Rodziny z Nazaretu, pisała mi z Chicago 2 maja 1906, że „w szkołach już przez nas prowadzonych nowe klasy przybywają i musimy im dać pierwszeństwo". Również odmowną odpowiedź dał ks. Andrzej Spetz, C. R., z Chicago 14 maja 1906 w imieniu swoich Sióstr. Ze Stevens Point, Wis., 10 czerwca 1906 odmowną odpowiedź dała Siostra M. Felicja. Z St. Francis, Wis., 14 czerwca 1906 M. Thecla. Z Chicago 9 czerwca 1906 Siostra Marja Zofja. Więc 28 czerwca 1906 ogłosiłem w gazetach co następuje:

„Potrzeba Sióstr do Ripon.

„Ks. Orłowski z Cleveland miał słuszność, kiedy twierdził, że brak nam polskich Sióstr szkolnych. Proboszcz polski z Ripon, Wis., stara się już od 10 lat o polskie Siostry, lecz nadaremno. Jeśliby która parafja miała nazbyt dwie polskie Siostry nauczycielki, niechby je odstąpiła Polakom w Ripon, a zaskarbiłaby sobie szczerą wdzięczność tutejszych parafjan, gdyż brak szkoły polskiej w Ripon daje się niezmiernie odczuwać."

Ale i to ogłoszenie nie pomogło. I dobrze. W dwa tygodnie potem kościół w Ripon się spalił, i nietylko Siostry nie miałyby gdzie uczyć, ale i proboszcz nie miał gdzie nabożeństwa odprawiać.

W dalszym ciągu pisałem następujące artykuły:

145. Czemu na czele katolickiego narodu stoją ateiści? — Zwolennicy powściągliwości przesadzają i tem najbardziej szkodzą sprawie wstrzemięźliwości.

Dnia 9 czerwca 1906.

157. **Na czele katolickiej Francji stoją kompletni ateiści — jak to sobie wytłumaczyć? Na czele karawany idzie osieł — jak to sobie wytłumaczyć?**

Obecny rząd w katolickiej Francji jest nietylko bezwyznaniowym ale wprost bezbożnym. I Francja, naród katolicki, sama wybiera takich ludzi na urzędników i przewodników swoich. Naród wierzący daje się rządzić i prowadzić skończonym niedowiarkom.

Jak to wytłumaczyć? Bo i tu w Ameryce (a dzisiaj i tam w Polsce) coś podobnego widzimy. Dziwne to, choć nie rzadkie, zjawisko w dziejowym pochodzie ludzkości. Jak sobie to zjawisko wytłumaczyć?

Niech nad tem głowę łamią rozmaici psychologowie i historjozofowie. Ja tu tylko przytoczę analogiczne zjawisko z królestwa zwierząt, o którem wspomina ks. Władysław Szczepański, T. J., opisując swoje wrażenia z podróży „W Arabji Skalistej". Opisując karawanę, przeciągającą przez pustynię arabską, tak pisze:

„Kilkadziesiąt wielbłądów kroczy powoli, gęsiego, jeden przyczepiony do drugiego dość długim powrozem, który mu pozwala schylić głowę i uszczknąć trawy. **Na przedzie karawany osiołek** dźwiga Beduina i ciągnie za sobą cały szereg wielbłądów. **Śmieszna nieco, ale nierozłączna przyjaźń.** Opowiadano mi, że wielbłądy nie znoszą, aby koń był prowodyrem karawany, natomiast chętnie się poddają pod batutę pana osła".

W polityce czyli sztuce rządzenia i prowadzenia ludzi głównie **o jedność** się rozchodzi. Czasem mądrzy nie mogą między sobą zgodzić się na jednego mądrego przewodnika, a na głupiego łatwo się godzą. Otóż lepsza taka zgoda, aniżeli żadna. Jak Adam Mickiewicz trafnie powiedział:

Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu:
Lepszy jeden wódz głupi niż mądrych dziesięciu.

Władza i piastun władzy, to są dwie rzeczy całkiem odrębne. Siłą rządu i ostoją jedności jest **władza.** Gdzie władza jest w poszanowaniu, tam rząd jest silny, choćby głupi był piastunem władzy. A gdzie władzy nie szanują, tam rząd jest słaby, choćby mądry był piastunem władzy. Władza jest władzą, czy ją głupi czy mądry piastuje; tak jak ów Beduin jest Beduinem, czy na osiołku czy na koniu jedzie. I jak ów Beduin tak i władza często jedzie na osiołku jedynie dlatego, że wtedy więcej ma posłuchu i uszanowania „u wielbłądów", jakich więcej jest wśród ludzi niż w królestwie zwierzęcem.

158. **Arcybiskup Messmer o temperenclerach.**

Wisconsińscy temperenclerzy zorganizowani w „Wisconsin State Anti-Saloon League" mieli doroczny zjazd, na który zaprosili także arcybiskupa Messmera. Arcybiskup przyjął zaproszenie.

ale nie mogąc być osobiście obecnym, posłał im pismo między innymi takie:

„Umiarkowane używanie napojów rozpalających samo w sobie i w prawidłowych warunkach nie jest gorszem złem od używania ochładzającej porcji lodów albo talerza ostryg lub szklanki słodkiej lemoniady...

„Ależ nawet umiarkowane picie mocnych trunków prowadzi stopniowo do nieumiarkowania — tak nam mówią.

„Tak może naprawdę być w niektórych wypadkach, a w stu innych wypadkach to się nie stanie. Jakiego więc prawidła mamy się trzymać? Na tej zasadzie, że każdy człowiek mocą ludzkiego i boskiego prawa jest obowiązany unikać niebezpieczeństwa i bliskiej okazji do grzechu, twierdzimy, że kiedykolwiek i gdziekolwiek dla jakiegoś człowieka umiarkowane używanie napoju wyskokowego staje się niebezpieczeństwem albo okazją do pijaństwa, taki człowiek jest obowiązany pod grzechem ciężkim powstrzymać się zupełnie".

Tyle arcybiskup.

Rozsądne słowa. Gdyby temperenclerzy trzymali się tej zasady, przysłużyliby się rzetelnie sprawie wstrzemięźliwości.

159. **Przesadzają i tem szkodzą swej sprawie.**

Ale temperenclerzy przesadzają i tem najbardziej szkodzą samejże sprawie wstrzemięźliwości. Miałem raz sposobność wytknąć im niektóre przesady na publicznym mityngu w Opera House w Ripon, Wis.

Było to na początku listopada r. 1904, przed wyborami, kiedy mię prosili o wygłoszenie mowy na temat wstrzemięźliwości. Sala teatralna nabita była publicznością, prawie wyłącznie temperenclerską, a na estradzie zasiadło dziesięciu pastorów, którzy wszyscy publicznie wyznawali całkowitą wstrzemięźliwość. Wręczono mi kartkę, na której wydrukowane były rozmaite twierdzenia temperenclerskie, jako to:

„1. Alkohol jest trucizną."

„2. Alkohol jest źródłem wszelkich chorób i nieszczęść ludzkich", itd. itd., a na końcu konkluzja:

„A więc należy głosować za usunięciem salunów."

Najpierw przemawiało kilku pastorów, którzy wszyscy ma się rozumieć udowadniali, że powyższe twierdzenia zawierają samą

szczerą prawdę. Kiedy już miała przyjść kolej na mnie, mój sąsiad, ks. Cosgrove, temperencler, trącając mię łokciem, szepnął:

— Czy ty zajmiesz przeciwne do nich stanowisko?

— A tak!

— Bój się Boga, to cię wygwiżdżą, bo publiczność tu cała z temperenclerów się składa.

— A niech mię wygwiżdżą. Co ja dbam. Przyszedłem tu poto, abym im powiedział, co ja myślę. A oni niech objawią, co oni myślą.

Potem rozpocząłem mowę. Najpierw mówiłem im o szczerości i o hipokryzji: że szczerość jest podstawą ludzkich stosunków, a obłuda jest grobem społecznych stosunków. Bo niektórzy pokryjomu pili.

— Bądźmy tedy szczerymi. Jeśliby to było prawdą, co tu nadrukowaliście, że „alkohol jest trucizną": to żaden z nas by tu żywym nie był, ale wszyscy bylibyście już dawno otruci.

Na to, z wyjątkiem estrady, cała sala zatrzęsła się od oklasków.

— Nie przesadzajmy więc, bo przesada nie pomaga lecz szkodzi sprawie wstrzemięźliwości. Przechodzę do drugiego punktu waszego programu. I ten jest także przesadą. Mówicie, że „alkohol jest źródłem wszelkich chorób i nieszczęść ludzkich". A co mówi Biblja? (Tu spojrzałem na pastorów.) Czy nie to, że grzech pierworodny, grzech pierwszych rodziców jest źródłem chorób, śmierci i wszelkich nieszczęść ludzkich? A przez co to pierwsi rodzice zgrzeszyli, czy przez picie? Żyli oni sobie szczęśliwie w raju. Przez co utracili raj, czy przez salun? Nie było tam żadnego salunisty (oklaski!), ale był już grosernik, który w postaci węża wślizgnąwszy się do raju, zaczął Ewie stręczyć owoc zły, bo zakazany; a Ewa go jadła i podała Adamowi do jedzenia. I na tem to, na nieumiarkowanem **jedzeniu**, a nie na piciu, polegał pierwszy grzech, który się stał źródłem wszelkich chorób i nieszczęść ludzkich (przeciągłe oklaski!). I dziś jeszcze nie tyle nadmierne picie, ile nadmierne i nieodpowiednie jedzenie psuje najwięcej żołądków, zapytajcie się tylko doktorów (oklaski!). Wy na salunistów wszystko złe chcecie zwalić. To przesada. W raju nie było salunisty, a przecie ludzie zgrzeszyli. Szkoda nawet, że salunisty nie było w raju. Gdyby tam był, byłby niezawodnie odradził Adamowi jedzenia owocu, jaki mu Ewa podała. Byłby Adamowi powiedział:

— Co tam będziesz twojej starej słuchał, lepiej chodź do mnie i wypij sobie jednego, bo tego ci Pan Bóg nie zakazał; a ten owoc jej zostaw!

I przynajmniej połowa ludzkości, t. j. mężczyźni, byliby wolni od grzechu pierworodnego i jego następstw straszliwych (przeciągłe oklaski!). Że saluny są dla wielu bliską okazją do pijaństwa, to pewna. I tacy też pod grzechem obowiązani są unikać salunów. Ale powiedzieć, że salun jako instytucja jest zły i trzeba go usunąć, to przesada. Że saluniści są źli; a czy i między pastorami niema złych? O ile salun źle prowadzony, dużo złego robi, o tyle salun dobrze prowadzony, dużo dobrego może zdziałać, więcej nawet niż niejedna inna instytucja społeczna.

Skutek tej mowy był ten, że podczas wyborów sami nawet temperenclerzy głosowali za utrzymaniem salunów.

146. Głos pasterza a szczekanie psów. — Ireland ubóstwia Irlandję. — Według niego Kościół wszystko zawdzięcza Irlandji. — Irlandzcy biskupi są dla Irlandczyków, czemu nie mają być polscy dla Polaków?

160. **Sprawa biskupów polskich.**

Ks. K. Sztuczko, sekretarz Wydziału Wykonawczego III. Kongresu, odebrał list od ks. Truszyńskiego, prezesa tegoż Wydziału, bawiącego w Rzymie, i z tego listu ogłasza następującą wiadomość:

„Pisząc o działalności arcybiskupa Symona dla sprawy naszej, ks. Truszyński twierdzi, że ona jest bardzo wielka. Kwestja sufraganów polskich jest także na drodze dobrej. Radzi też nam nasz wiel. prezes, byśmy myśl założenia seminarjum w Polsce dla kleru polskiego w Ameryce, powziętą przez arcybiskupa Symona, szczerze poparli.“

Niech naród zobaczy, że długoletnie prośby jego o biskupów polskich zostały wysłuchane, a wstąpi weń otucha; i wtedy całą siłą poprze owo seminarjum. Prędzej nie.

161. **Ustawy synodalne.**

Myliłby się, ktoby sądził, że synody diecezjalne na to są zwoływane, żeby księża na synodzie zgromadzeni ustanawiali prawa dla diecezji. Gdyby tak było, to mieszane diecezje nie byłyby tak zamieszane. Aliści prawa diecezjalne ustanawia sam biskup: **on**

jeden tylko ma głos **decydujący,** a księża, choćby ich było najwięcej (na synodzie chicagoskim było ich przeszło 600), wszyscy razem wziąwszy mają tylko głos **doradczy.** Więc jeśli biskup na synodzie powie **tak,** to choćby wszyscy księża powiedzieli **nie,** to to **tak** zostanie prawem i będzie nazywane **ustawą synodalną.** „Ustawy synodalne" są tak nazywane nie dlatego, że je synod ustanowił większością głosów, tylko dlatego, że je biskup ogłosił księżom na synodzie zebranym. Synody nie są więc żadnem ciałem prawodawczem. Jedyne ciało prawodawcze w diecezji, to biskup. Dlatego synody nie cieszą się wielką popularnością u księży: i stąd też są coraz rzadsze. Choć Sobór Trydencki i Koncyljum Baltimorskie przepisują pod grzechem ciężkim, żeby synody odbywały się **co trzy lata,** to jednak rzadko się odbywają, zaledwie co lat trzydzieści.

Piszę to, żeby ludzie nie winili księży za to naprzykład, że chicagoski „synod uchwalił" naukę religji w angielskim języku. Pasterzami w Kościele są tylko biskupi a księża są psami, których nietylko prawem ale i obowiązkiem jest szczekać. „Nie bądźcie psami niemymi, nie umiejącymi szczekać" — woła Pismo święte. Stąd nieodzowną jest potrzeba biskupów polskich w Ameryce.

Z dnia 21 czerwca 1906.

162. Arcybiskup Ireland ubóstwia Irlandję.

Całkiem naturalnie. Nienaturalnem może się to wydawać tylko tym, którzy arcybiskupa Irelanda zwykli uważać za czystej krwi Amerykanina, American first and last. Za takiego on tu uchodzi, bo tu to popłaca. Ale gdy przemawia w starym kraju do swoich rodaków Irlandczyków, tam irlandzki patrjotyzm pod niebiosa wynosi, bo amerykański nie popłacałby. Tam w Europie maskę amerykanizmu zrzuca i występuje otwarcie jako bezwzględny wielbiciel Irlandji.

Tu np. Polacy mogliby się tem zgorszyć. Więc ilekroć tu przemawia, wiemy jak uwielbia Amerykę: że niemasz idealniejszego kraju na całej kuli ziemskiej. Ale gdy tam w Europie przemówi, to Irlandję wynosi ponad wszystkie inne narody: już nietylko ją uwielbia, ale wprost ubóstwia, apoteozuje ją.

Jest w tem tak zwana „wyższa" polityka i dyplomacja, której my Polacy (dzięki Bogu!) jeszcze się nie nauczyliśmy, bo uprawiamy tu zawsze i otwarcie nasz patrjotyzm polski. „Wyższa" zaś (djabelska) dyplomacja inaczej nakazuje, mianowicie: uprawiać

swój patrjotyzm przedewszystkiem, ale nie otwarcie, lecz **pod maską amerykanizmu.** To potrafią szczególnie Anglicy i ajrysze, no i Niemcy już także. Bo raz to przecie zrozumieć powinniśmy, że to, co się tu nazywa **amerykanizmem,** nie jest w istocie swej żadną odrębną narodowością o odrębnej twarzy i obliczu; lecz jest to li tylko wygodną maską, pod którą dotychczas najchętniej ukrywa się oblicze angielsko-irlandzkiej narodowości celem zmylenia czujności i baczności innych narodów.

Przebiegły Anglik lub Irlandczyk, choćby dopiero wczoraj przybył do Ameryki, już dziś jest Amerykaninem całą gębą i uchodzi za takiego. Dlaczego? Czy zmienił naturalne oblicze swej narodowości, czy porzucił swój język i swoje obyczaje? Nie! Pozostał tem, czem był, Anglikiem lub Irlandczykiem, ale to naturalne oblicze swoje pokrył już sztucznem, pokrył maską amerykanizmu i woła do nas:

— Amerykanizujcie się!

To znaczy, asymilujcie się ze mną, stańcie się podobnymi do mnie. Według tej osławionej zasady: We two shall be one and I will be the one! Ale tego on nie mówi. Tylko mówi:

— Amerykanizujcie się!

Tak interes jego jak i polityka tego wymaga. Żleby to wyglądało, gdyby wołał do nas:

— Anglizujcie się!

Nie! On przywdziewa maskę i woła: Amerykanizujcie się — i na tę wędkę amerykanizmu odrazu łowi ryby. Haczyk tej wędki to szczery anglicyzm lub ajryszyzm, ale powleczony przynętą amerykanizmu. Głupie jednostki polskie, czeskie itd., połykające ten specjał amerykanizmu, mniemają, że przyswajają sobie jakąś specjalną narodowość amerykańską, bo tak to z wierzchu wygląda, gdy tymczasem w istocie przyswajają sobie i język i obyczaje czysto angielskie.

Arcybiskup Ireland z St. Paul, Minn., bawiąc w irlandzkiem kolegjum w Rzymie i mając przemowę do tamtejszych studentów, zrzucił maskę amerykanizmu i wobec swoich rodaków pokazał swoje naturalne oblicze — irlandzkie! Mowę miał na temat: „Co Rzym zawdzięcza Irlandji?“ Pod tym też tytułem przytacza jego zarozumiałą mowę tygodnik „The New York Freeman's Journal“ z dnia 9 czerwca 1906. Mowa arcybiskupa Irelanda brzmi dosłownie tak:

163. **Co Rzym (Kościół) zawdzięcza Irlandji?**

„Irlandzkie kolegjum ma wielką sławę, co poniekąd zawdzięcza Rzymowi. **W imieniu też Irlandji** składam hołd Rzymowi za gościnność okazaną irlandzkim wychodźcom. Lecz to czyniąc, zapomnieć nie powinniśmy i o tem, co Irlandja uczyniła dla Rzymu. Bo jeżeli Irlandja zawdzięcza **coś** Rzymowi, to i Rzym zawdzięcza **wiele** Irlandji. Czem jest Rzym? Nie jest on miastem zbudowanem nad brzegiem Tybru ani stolicą Latium. Rzym jest Świętym Katolickim Kościołem, rozpowszechnionym pomiędzy narodami."

Dawszy taką definicję Rzymu, arcybiskup Ireland temsamem nadał powyższemu swemu zdaniu „Jeżeli Irlandja zawdzięcza..." takie znaczenie:

„Jeżeli Irlandja zawdzięcza coś Świętemu Kościołowi Katolickiemu, to i Kościół zawdzięcza wiele Irlandji."

A ile zawdzięcza? Irlandji zawdzięcza Kościół **najwięcej,** bo więcej niż wszystkim innym narodom. Oto co arcybiskup Ireland powiada dalej:

„Są pewne kraje, które choć małe co do obszaru, wielką przecie rolę odegrały w uchrystjanizowaniu świata. Ale jest **jeden kraj po nad wszystkie inne,** który może słusznie nazwać się **pierwszym** w rozkrzewianiu wiary chrześcijańskiej. Jest to mała wyspa, tak mała w porównaniu do swego imienia (jak wielkiem musi być to imię: Irlandja!) i do dzieł swoich synów, że trudno jest nieobeznanemu z nią utworzyć sobie pojęcie o jej małości."

164. **Kościół wszystko zawdzięcza Irlandji.**

„A jednak jakiego to dzieła Irlandja dokonała dla królestwa Chrystusowego! **Odciągnij sumę prac, dokonanych przez Irlandczyków, a pozostanie nicość, jedna niezmierna próżnia w Kościele katolickim.**"

Wyraźnie: „Take away the result of labors wrought by Irishmen and you leave a void — on immense vacuum — in the Catholic Church".

I na takie dictum czy nie mają zawrotu głowy dostać młodzi studenci irlandzkiego kolegjum w Rzymie? Co za przesadne wyobrażenie o swojej irlandzkiej narodowości wyniosą oni na świat? a co za liche wyobrażenie powezmą o innych narodowościach? I dziwić się później tej bezgranicznej dumie irlandzkiej, że z taką pogardą patrzy na wszystko, co nie jest irlandzkie., jeśli już w mło-

dzież irlandzką wpaja się takie przekonanie jak: że Kościół byłby pusty, próżny, byłby niczem, gdyby nie Irlandja swoją pracą zapełniła i zaludniła Kościół??!!

165. **Prawie każdy kraj w Europie ma Irlandczyka za patrona świętego.**

Tak twierdzi dalej arcybiskup Ireland. „Lud Irlandji — powiada — był przez Opatrzność obdarzony duchem poetyckim, entuzjazmem i żądzą zobaczenia świata. Patryk nadszedł, a znalazłszy w ich sercach rolę dobrze przygotowaną dla swojej nauki, zaszczepił w nich wiarę tak głęboko, że chcąc ją dziś wykorzenić z charakteru irlandzkiego, musisz wydrzeć każdy nerw z jego natury. Powodowane duchem pełnym entuzjazmu całe zastępy kapłanów i mnichów opuszczały Irlandję i wędrowały po Anglji, Szkocji i Stałym Lądzie (Europie). A rezultat jest ten, że prawie każdy kraj w Europie ma Irlandczyka za patrona świętego... Tak dalece więc Rzym niezmiernie ma do zawdzięczenia Irlandji.‟

166. **Gdyby Irlandja była odpadła od wiary, coby się było stało z Kościołem?**

„Ale dzielność Irlandji naprawdę się zaczęła dopiero z 16-ym wiekiem, kiedy to Kościół katolicki w innych krajach chylił się do upadku. Gdyby wtenczas Irlandja była odpadła od wiary, ach! jak wielka byłaby to strata dla rzymskiego panowania (oh! how much should now be wauting to Rome‘s empire!). Lecz Irlandja zachowała starą wiarę... Potem nastąpiło rozproszenie narodu. Zaczęło się rozrzucanie irlandzkich regimentów po Europie, Ameryce, Australji. Wszędzie Irlandczycy wnosili ze sobą silną żywą wiarę, którą rozkrzewiali i wyjednali dla niej wszędzie poszanowanie.‟

167. **Ale to mało — dziś Kościół ma dziesięć razy więcej do zawdzięczenia Irlandji.**

„Atoli dług wdzięczności, jaki Rzym (Kościół) zaciągnął względem Irlandji, miał wzrość dziesięćkrotnie, kiedy irlandzka emigracja rzeczywiście się rozpoczęła... A gdziekolwiek poszli Irlandczycy, czy to do Ameryki, Australji, czy to do Tasmanji i Nowej Zelandji, wszędzie budowali kościoły i wołali o kapłanów. Na Soborze Watykańskim słyszałem kardynała Manninga mówiącego: „Wszyscy Ojcowie tego Soboru się dziećmi św. Piotra. Ale pominąwszy św. Piotra, **żaden inny święty w niebie** nie może się poszczycić tak wielką liczbą dzieci, jak św. Patryk‟.‟

168. **Do Ameryki i inne narody wniosły ze sobą wiarę, ale Irlandczycy pobudowali kościoły.**

Po wykazaniu — pisze dalej „Freeman's Jour." — jak wielką rolę odegrał irlandzki naród w zakładaniu Kościoła katolickiego w Australji, Nowej Zelandji i Indjach, arcybiskup Ireland zaczął szeroko rozwodzić się o Kościele i irlandzkim żywiole w Ameryce. I tu wspaniałomyślnie jednak to przyznał, że do wzniesienia Kościoła w Ameryce **przyczynili** się także Francuzi z Kanady, angielscy katolicy z Maryland, tędzy Niemcy, Bawarczycy i Słowianie, **którzy przynieśli ze sobą swoją mocną wiarę.** Wszystkie te żywioły wiele zrobiły, ale trzeba jednak to przyznać, że najprzedniejszą rolę odegrali emigranci z Irlandji. Kiedy oni przybyli, miała Ameryka mało biskupów, mało kapłanów. **Oni to pobudowali kościoły** i klasztory, oni uzyskali swoich księży i pomagali im w budowaniu Królestwa Chrystusowego, a dzisiaj „The Catholic Direktory" wykazuje, jak niezmiernie wiele ma katolicka Ameryka do zawdzięczenia Irlandji".

Słowem, they are the whole cheese. Pycha odpycha. Czyż nie ta właśnie irlandzka pycha odpycha i Anglję od Kościoła katolickiego?...

Oto najświeższa, pyszna pod każdym względem, mowa arcybiskupa Irelanda, wypowiedziana do studentów irlandzkiego kolegjum w Rzymie.

Każda pliszka swój ogon chwali. I tego my tak bardzo nie ganimy.

Ganimy tylko dwulicowość. Arcybiskup Ireland wobec swoich rodaków w Europie pokazał swoje naturalne oblicze — **irlandzkie,** które tu wobec nas dla zamydlenia oczu ukrywa pod maską amerykanizmu. Po co to podwójne oblicze? Wyższa to dyplomacja? Djabelna to dyplomacja, której oby Polacy nigdy się nie nauczyli! Ajrysze, zrzućcie tę przebrzydłą maskę i ukażcie nam naturalne rysy swojej irlandzkiej narodowości także tu w Ameryce, jak to polskie, czeskie i inne słowiańskie narodowości tu czynią!

Tworzymy tu odrębne **ciało polityczne,** odrębne **obywatelstwo** — to prawda. Ale nie wytworzyliśmy tu dotychczas żadnej odrębnej **narodowości**; bo ta tak zwana „amerykańska" to nie naturalny wytwór. To sztuczny wyrób, to sfabrykowana na prędce maska, narodowości inne przedrzeźniająca!

147. Nietyle kler ile właśnie lud pragnie biskupów polskich. — Księża przytłumiają głos ludu z rozmaitych powodów. — Episkopalni przyznają, że biskupi nas traktują po macoszemu, ale, powiadają, nasza krnąbrność temu winna.

Sprawa biskupów polskich to przedewszystkiem sprawa ludu, a nie księży. Mimo to biskupi śmieli bezczelnie twierdzić, że lud nasz nie pragnie biskupów polskich, że to tylko ambitni księża polscy rozdymali tę sprawę do niebywałych rozmiarów. Wtedy lud dowiedziawszy się, że biskupi chcieliby uważać tę sprawę litylko za agitację księży, zaczął zwoływać wiece w sprawie biskupów polskich. Oto jedno z zaproszeń na taki wiec:

„South Bend, Ind., 18 czerwca 1906.

„Do Wieleb. Ks. W. Kruszki w Ripon, Wis.

„Wielebny Księże! My niżej podpisani komisja wybrana z łona reprezentantów miejscowych polsko-katolickich Towarzystw, w imieniu tychże i zarazem całej Polonji w South Bend, prosimy pokornie Wieleb. Ks. proboszcza, aby był tak łaskaw przybyć do naszego grodu na dzień 24 lipca b. r., w którym to dniu wieczorem odbędzie się w naszem mieście polski Wiec w sprawie biskupów polskich w Stan. Zjedn. A. Półn. Prosimy W. Ks. o przybycie na ten Wiec i wygłoszenie mowy w wyżej wspomnianym celu. Znana zapewne jest W. Księdzu praca w Wiecach w Poznańskiem z czasów walki kulturnej, do której najwięcej się przyczyniło Wieleb. Duchowieństwo tamtejsze ówczesne, Polacy i prawi obywatele w całem tego słowa znaczeniu.

„Nadmieniamy, że wszelkie koszta podróży pokryją chętnie Towarzystwa. Nadto oprócz miejscowych W. Księży, oświadczamy, że Wiel. ks. K. Sztuczko z Chicago jest także zaproszony na mówcę.

„Mając pewną nadzieję, że W. Ks. Prob. naszej prośbie nie odmówi, kreślimy się z głębokim szacunkiem.

K. Kaczmarek, sekr. kom.

„Ignacy Łukaszewski, przew. kom. i prez. Tow. ś. Stan. K.; Fr. A. Kowalski, prez. Tow. ś. Jadwigi; Wal. C. Korpal, kasjer Tow. ś. Winc.; Stan. Kaniewski, prez. Tow. ś. Kazim.; Mich. Cegielski, prez. Tow. ś. Józefa; Jan Pałkowski, prez. Tow. ś. Stan. B. i M.; Jan Rospłuchowski, prez. Sok. im. Zyg. Balickiego; Z. Kolski, kasjer

Sok.; Wal. Waligórski, prez. Tow. Gw. Zm. gr. 83. Z. N. P.; L. M. Mucha, profesor nauki języka polskiego w Notre Dame, Ind.“

Zaproszenia tego nie chciałem przyjąć bez aprobaty miejscowego proboszcza polskiego. I oto, co najstarszy proboszcz polski w South Bend, ks. Walenty Czyżewski C. S. C. (ze Zgromadzenia św. Krzyża) mi odpowiedział:

„South Bend, Ind., 7 lipca 1906.

„Wiel. Ks. Kruszka. List Ks. Dobr. otrzymałem już dawno, ale jakoś przedłużyłem czas do dania Ks. Dobr. odpowiedzi.

„Związkowcy Ks. Dobr. zaprosili na jakiś wiec. Podobno ten wiec ma być względem agitacji o biskupa polskiego dla Ameryki. Tutaj są też ludzie, którzy chcą mieć swoje imię w gazetach ogłaszane jak i w innych miejscach. Ja żadnego wiecu nie chcę mieć i agitacje o biskupa polskiego uważam za niewłaściwe. Te agitacje o biskupa polskiego tylko zniechęcają Polaków do biskupów **swoich** jakich mają i ochładzają religię w nich z tej przyczyny.

„Z mojej strony ja nie życzę, aby tu Ks. Dobr. przybył na jakiś wiec, bo to byłoby bardzo niewłaściwem, aby działać przeciwko biskupom amerykańskim w taki sposób.

„Ks. Dobr. wiele złego robisz między Polonją amerykańską swoimi artykułami na niekorzyść biskupów amerykańskich.

„Przepraszam, że Ks. Dobr. daję taką odpowiedź i zostaję z szacunkiem

współsługa w Chrystusie

Ks. V. Czyżewski, C. S. C.

Właśnie więc ksiądz tłumił, gdzie mógł takie wiece w samym zarodku, aby lud nie mógł objawić swojej woli, aby potem biskupi amerykańscy mogli Rzymowi powiedzieć, że lud nie chce biskupów polskich. To samo robili inni zakonni księża z niemieckiej prowincji Franciszkanów. Ob. J. W. Jeruzal z Columbus, Neb., pisał mi, że kiedy tamtejsi „proboszczowie chodzili po kolędzie, szemrali przeciw ks. W. Kruszce i pozakazywali czytać „Kurjera“, a kto nie przestanie czytać „Kurjera“, nie dostanie rozgrzeszenia... z przychlebstwa irlandzkiego zazdrość ich opanowała“. Ludzie donosili mi, że właśnie księża zwłaszcza młodzi nie życzą sobie biskupa polskiego, bo gdyby biskup polski słyszał ich kazania lub czytał ich listy polskie, to by im kazał najpierw nauczyć się lepiej po polsku mówić i pisać i nie pozwoliłby im tak kaleczyć języka

polskiego. Na dowód lichej polszczyzny tych księży przysyłano mi ich własnoręczne listy pełne błędów gramatycznych. O tem wspomniałem raz w poprzednich moich artykułach, zaznaczając wyraźnie, że to wcale nie wina tych młodych księży, że po polsku dobrze nie umieją, lecz że winę trzeba zwalić na brak biskupów polskich. Pomimo to, ci młodzi księża ze Wschodu, gdzie w seminarjach uczą po polsku, ogromnie się obrazili, tak ogromnie, że redaktor, który mój artykuł powtórzył, musiał ich przepraszać! Był to redaktor „Wielkopolanina", tygodnika wychodzącego w Pittsburgu Pa.

Redaktor ten w liście z 16 maja 1906 tak mi te zabawne przeprosiny opisał:

„Wielebny Ks. W. Kruszka!... Znalazłem artykuł Księdza w „Kurjerze", i aczkolwiek artykuł to był niezmiernie ostry, lecz jak wszystko, co W-ny Ks. Dobrodziej pisze, spodobał mi się bardzo i takowy w moich „Uwagach" przedrukowałem, podając jednakowoż wyraźnie nazwisko autora. Ks. Dobrodziej dobrze wie, że w owym artykuje zadrasnął Ksiądz boleśnie „młodych" księży. Na drugi dzień, czy trzeci, gdy już gazetka nasza w świat się rozeszła, przychodzi do redakcji ks. C. T. (wydawca) bardzo zmartwiony i ubolewa nad tem, że gdy przebywał u niektórych młodych księży po kolekcie na Ochronkę, ci gorzkie mu czynili wymówki z tego powodu, że on mógł pozwolić na to, aby w tak katolickiem piśmie, jakiem jest nasza gazetka, wydrukowano taką zjadliwą napaść na „młodych" księży... Grozili też niektórzy na pół żartem, na pół serjo, że z ambony zakażą ludziom czytać „Wielkopolanina" jeżeli tenże jakośkolwiek zgorszenia nie naprawi i ich obrażonych nie przeprosi! Prosił mię więc wtedy ks. C. T., abym coś w następnym numerze napisał, aby jakoś tych obrażonych ułagodzić... Ja więc, choć się nikogo nie boję, jednakże dlatego, aby księdzu C. T. nie naczynić wrogów i nie zepsuć składek na Ochronkę, odpowiedziałem w następnym numerze dosyć politycznie owym obrażonym. A odpowiedziałem im dosyć ostro, ganiąc ich drażliwość zbytnią i ostro im wyrzucając to, że nie popierają jak się należy dobrych pism katolickich... Szlachetną walkę, jaką Ks. Dobrodziej prowadzi w obronie praw naszych, indorsuję w zupełności i tylko proszę Boga, aby księdzu dodał sił i wytrwałości w tem szlachetnem dziele! Ponieważ jednak nie mogę narażać innych, więc muszę pisać dosyć oględnie. Gdyby nie to, to miałby ksiądz we mnie większego sojusznika"...

Z dnia 23 czerwca 1906.

168. **„Kurjer Ohioski“ ukarany w tem, w czem zgrzeszył.**

„Kurjer Ohioski“ rozwodzi swoje gorzkie żale nad tem, że jego i jego akcjonarjuszy oczerniają w „Dzienniku Poznańskim“. Pewna rzecz, że oczerniać nie godzi się nikogo, bo to grzech ciężki. Ale czy „Kurjer Ohioski“ sam wolny od tego grzechu? Czy na początku tego roku sam w najhaniebniejszy sposób nie oczerniał tych księży, którzy w polityce kościelnej z nim się nie zgadzali? czy ich nie przedstawiał w najgorszem świetle jako buntowników, schyzmatyków, heretyków? (Jak gdyby to herezją było myśleć o diecezjach narodowych tam, gdzie już parafje są narodowymi, a nie terytorjalnymi!) I czy tych oszczerczych artykułów nie posyłano do przedruku do tegoż samego „Dziennika Poznańskiego?“

Ale przyszła kreska na Matyska.

„Kurjer Ohioski“ swoje ultra-lojalne stanowisko względem biskupów amerykańskich usprawiedliwia ciągle, jak może. Ale tem ciągłem usprawiedliwianiem się mimowoli przypomina nam owo francuskie: Qui s'excuse, s'accuse — kto się usprawiedliwia, ten się oskarża.

169. **Przyznaje, że biskupi nas traktują po macoszemu.**

„Kurjer O.“ przyznaje nam wspaniałomyślnie, że i jego zdaniem biskupi amerykańscy nie traktują tak Polaków jak powinni. Pisze bowiem wyraźnie tak:

„Że w wielu wypadkach biskupi amerykańscy obchodzą się z nami po macoszemu, że nie chcą uszanować naszych uczuć narodowych, okazują nam pewnego rodzaju lekceważenie i wzgardę, przyznawaliśmy już nieraz i teraz nie zaprzeczamy“...

Ale kto temu winien? Czy nie winna temu owa narodowa pycha irlandzka, której dał wyraz arcybiskup Ireland w owych pamiętnych słowach: „Take away the results of labors wrought by Irishmen and you leave a void — an immense vacuum — in the Catholic Church?“ Czy to nie znaczy, że pychą nadęty dygnitarz sądzi, że jeśli dziś Kościół liczy 250 miljonów wiernych, to to jedynie zasługa ajryszów?

170. **Ale całą winę zwala na lud polski.**

Więc każdy by myślał, że „Kurjer Ohioski“ tej to właśnie bezgranicznej pysze narodowej irlandzkiej przypisze to, że „okazują nam wzgardę“ i „traktują nas po macoszemu“. Bo **pycha odpycha!**

Ale nie! „Kurjer Ohioski" twierdzi, że ta pycha owszem przyciąga nas do siebie, a tylko my tacy krnąbrni i nieposłuszni, że do tej pychy zbliżyć się nie chcemy. I niejako woła: Ty, ludu polski, sam winieneś temu, że biskupi amerykańscy okazują tobie wzgardę! I ten ciężki zarzut K. O. uzasadnia tem płytkiem rozumowaniem:

„Ale wyznajmy otwarcie — pisze — czyśmy nie zasłużyli na podobne postępowanie? Czy w której innej narodowości było tyle zaburzeń parafjalnych, nadużyć ze strony księży, apostazji i odszczepieństwa co w naszej? A wobec tego, czy możemy się uskarżać, że biskupi amerykańscy patrzą na nas krzywem okiem i czują do nas niechęć?"

Tak więc według „Kurjera Ohioskiego" ty, ludu polski, i wy księża sami zasłużyliście na to, że wam biskupi amerykańscy „okazują wzgardę". Albowiem w innych narodowościach nie było „tyle zaburzeń, tyle nadużyć ze strony księży, tyle odszczepieństw i apostazyj, co w naszej polskiej!"

O głupoto bezdenna „Kurjera O."!

Czy nie wiesz, że w niemieckiej i angielskiej narodowości tak tu jak i w Europie aż roi się od sekt religijnych? Czyż nie wiesz, że nawet w irlandzkiej narodowości więcej było i jest apostazyj niż w naszej polskiej? A odpadłych księży ilu to ajrysze mają?...

Nie — nie zbytnią krnąbrnością zasłużyliśmy na wzgardę, ale raczej tą przysłowiową naszą zbytnią potulnością i ultra-uległością słowiańską, dla której też uzyskaliśmy „slaves", niewolnicy.

171. **Nie tyle nasza krnąbrność ile służalczość jest ostateczną przyczyną, dla której pogardzają nami.**

Tą to niewolniczą uniżonością grzeszyliśmy przez wieki (patrz Herdera „Philosophie der Geschichte der Menschheit" Carlsruhe 1792, część 4. stronice 35—40) i grzeszyć jeszcze będziemy nadal, jeśli pójdziemy za głosem takich służalczych piśmideł, jak „Kurjer Ohioski". Slavery begets tyranny — powiada Anglik. Gdzie niewolniczy duch z jednej strony (ze strony ludu), tam koniecznie wytwarza się tyranja z drugiej strony, ze strony władzy cywilnej czy kościelnej.

Służalstwo to nasze zrodziło ową tyranję i pychę ajryską, która powiada: „Take away the results of labors wrought by Irishmen and you leave a void — ou immense vacuum — in the Catholic Church".

I tej to pychy naturalną córką jest owa „wzgarda“, jaką okazują naszej zwłaszcza polskiej narodowości. Służalczością to naszą podsycamy ową pychę, która z coraz to większą pogardą na nas patrzy.

Tylko pokorą prawdziwą — a nie garbatą — i posłuszeństwem prawdziwem, a nie służalstwem, możemy znieść ową górę pychy, która nas przygniata i nie dozwala nam się rozwijać tu jako Polakom.

Służalczość jest grzechem nie mniejszym jak buntowniczość. Pamiętajmy o tem. Pracujmy nad uśmierzaniem buntów. Ale jeszcze bardziej pracujmy nad wykorzenieniem służalstwa z natury polskiej, bo to grzech nałogowy i dziedziczny w naszej i wogóle słowiańskiej narodowości.

Usunąwszy służalstwo, usuniemy i bunty.

Bo te ostatnie pochodzą z pierwszej. Każdy bowiem służalec bywa ukrytym buntownikiem, który staje się jawnym, skoro tylko sposobność się nadarzy.

Na nic się przyda **powierzchowne** uśmierzenie buntowników, jeśli **z gruntu** nie wyrwiemy korzenia tych buntów.

A tym korzeniem jest służalstwo.

172. **Źródło anarchji.**

Katolicki tygodnik „The New York Freeman's Journal“ w artykule p. t. „Widmo anarchji“ zauważa, że źródła anarchji w społeczeństwie szukać należy w nadużywaniu władzy sobie powierzonej, cywilnej czy kościelnej. Czyli, w hołdowaniu tej pogańskiej zasadzie: might makes right — siła przed prawem. Siła to nietylko siła pięści, ale wszelka władza czy cywilna czy kościelna. Hołduje zasadzie „siła przed prawem“ każdy taki, który mając siłę czyli władzę cywilną czy kościelną sądzi, że może bezkarnie krzywdzić podwładnych i nie potrzebuje oglądać się na ich prawa.

Przykład idzie z góry. Od głowy ryba cuchnąć zaczyna. Jeżeli władcy, cywilni czy kościelni, sami nie okazują poszanowania dla prawa cywilnego czy kościelnego, lecz rządzą samowolnie podług niecnej zasady:

Sic volo, sic jubeo, stat pro ratione voluntas —
Ja tak chcę, więc tak musi być, bo ja mam władzę —

to nic dziwnego, że i podwładni tracą poszanowanie dla prawa, a rządzą się litylko siłą czyli tą władzą, jaką posiadają, to jest bombą, pięścią i tym podobnie. Gdzie władcy trzymają się tej zasady:

siła albo władza idzie przed prawem, gardząc w ten sposób wszelkiem prawem ludzkiem i Boskiem, tam i podwładni uczą się od władców tej samej zasady, czyli uczą się anarchji od władców swoich. Stąd w Europie już cała budowa społeczna od góry do dołu pęka i grozi rozpadnięciem się.

Przykład idzie z góry. Władca, który w rządach swoich nad podwładnymi nie kieruje się prawem i sprawiedliwością lecz tylko kaprysem i własnem widzimisię — **taki władca** cywilny czy kościelny jest **pierwszym i najniebezpieczniejszym anarchistą** w kraju, **gorszym od tego anarchisty z bombą w ręku!** Bo jak powiedział biskup Krasiński:

Zbóje, zbrodniarze kary sprawiedliwej są godni,
Lecz jedna **zła zasada** jest gorsza niż sto zbrodni.

A tą „złą zasadą", będącą matką anarchizmu, jest: siła albo władza idzie przed prawem, władza nie potrzebuje się krępować żadnem prawem, władza jest ponad prawem, więc cokolwiek władza rozporządzi, słusznie czy nie słusznie, to jest prawem.

Takiej zasady się trzymając, staczamy się prostą drogą w przepaść anarchji społecznej.

W społeczeństwie cywilnem czy kościelnem, w którem władcy nie rządzą się podług prawa cywilnego czy kościelnego, musi panować anarchja albo — tyranja, która jest tylko odwrotną stroną medalu anarchji.

148. Weber pierwszy biskup polski w Ameryce. — Miał objąć opiekę nad wszystkimi Polakami. — Anglizacyjne dążności Federacji katolickiej.

Dnia 26 czerwca 1906 w „Kurjerze Polskim" na pierwszej stronicy ukazał się portret arcybiskupa Józefa Webera z napisem: „Pierwszy polski biskup w Ameryce". Moje artykuły w dalszym ciągu brzmiały jak następuje:

Z dnia 30 czerwca 1906.

173. **Wyborna rzecz.**

A więc arcybiskup Weber — jak donosi lwowska „Gazeta Kościelna" — „stosownie do życzenia Ojca św., po odbytym nowicjacie w Rzymie u OO. Zmartwychwstańców, udaje się do Ameryki, by objąć pieczę duchowną, w zależności od tamtejszych biskupów,

nad wszystkimi Polakami Ameryki Północnej". Tak lwowska „Gazeta Kościelna" donosi.

Wyborna rzecz!

Podkreślam to „nad wszystkimi Polakami". W ten sposób sprawa nasza w zasadzie już wygrana.

„Obejmie pieczę nad wszystkimi Polakami". Tak powinno być. Nie wiele by się nam przydał taki biskup polski, którvby objął pieczę nad pewną terrytorjalnymi granicami określoną diecezją. Biskup polski dla Polaków, dla narodu swego, a nie dla obcego. To naturalny porządek, zachowany tu już faktycznie w zorganizowaniu **parafij**. Oby stopniowo ten sam porządek konsekwentnie przeprowadzono w organizowaniu **diecezji**. To logiczny i jedyny sposób załatwienia sprawy.

Owa klauzula „w zależności od tamtejszych biskupów" jest zupełnie na miejscu. Ma znaczenie przejściowe, stopniowe. Kiedy arcybiskup Katzer roku 1894 posłał księdza Fabiana do Ripon, by objął pieczę nad wszystkimi Polakami w Ripon, także dodał podobną klauzulę: „w zależności od tamtejszego proboszcza", co ostatecznie oznaczało tylko stopniowe przejście z jednego stanu rzeczy w drugi. Paulatim summa petuntur. Po stopniach idzie się do góry. Można czasem jeden lub dwa stopnie na wschodach przeskoczyć; ale niepodobieństwem jest, żeby z najniższego stopnia długich wschodów odrazu na najwyższy wskoczyć. Bezpieczniejsze są kroki niż skoki. Natura nie cierpi skoków — natura non patitur saltus.

Za lwowską „Gazetą Kościelną" powyższą wiadomość powtórzyły angielskie i irlandzkie gazety w Ameryce. Była to istna bomba dla episkopatu amerykańskiego. Zaskoczony tą niespodzianą wiadomością milwaucki „The Catholic Citizen" napisał mi następujący błagalny list:

Milwaukee, Wis., June 30, 1906.

Rev. Father Kruszka, Ripon, Wis.

Reverend and Dear Sir!

We note in this morning's „Sentinel" a dispatch from Ripon stating that you have received word that Archbishop Weber of Poland has been transferred to America, where he will have supervision of the enthire Polish Catholic churches this country with headquarters at Chicago.

Will you kindly advise us regarding the matter in time for sur issue on next week which goes to press Tuesday, as we wish to give a correct statement of the matter.

Thanking you in advance, we are

Yours very traly,

The Citizen Company.

Odesłałem ciekawych do wiarogodnego źródła lwowskiej „Gazety Kościelnej“.

174. Do czego zdąża Federacja Katolicka?

Do czego zdąża tak zwana „Amerykańska Federacja Towarzystw Katolickich“. powiedział nam to znowu sam jej założyciel i główny filar biskup Mc. Faul z Trenton, N. J.

Niemiecko-katolicki „Excelsior“ z dnia 28 czerwca 1906 tak pisze:

„Biskup Mc Faul z Trenton, założyciel i jeden z głównych przywódców Federacji katolickich towarzystw, który już kilka lat temu na konwencji w St. Louis popierał prędkie wynarodowienie i anglizowanie wszystkich katolików nieangielskiego języka i przez to wywołał słuszne oburzenie zwłaszcza między niemieckimi katolikami, powtórzył podobne wywody znowu na Zjeździe Ohioskiego Związku Stanowego niemiecko-katolickich towarzystw w Cleveland. „Cincinnatier Volksfreund“ pisze o tem:

„Biskup Mc Faul z Trenton, N. J., na konwencji znowu dosiadł swego starego konika: **ziankesowania wszystkich narodowości** w Stanach Zjednoczonych. Nader znaczny procent członków Związku Stanowego składa się z rdzennych Niemców, którzy nic nie chcą wiedzieć o „amerykanizowaniu“ w takiem znaczeniu, żeby mieli czemprędzej porzucić swój własny język i swoje zwyczaje. Dlaczego biskup Mc Faul musi przy wszystkich publicznych występach ciągle paradować na swoim ulubionym koniku amerykanizacji?“

Na to pytanie „Volksfreunda“ odpowiada „Excelsior“:

„Może to mowa arcybiskupa Moellera, smutnej sławy anglizatora, do tego go zachęciła... Jeżeli prałatowi trentońskiemu o to idzie, żeby Federację u bardzo wielu niemiecko-amerykańskich katolików zdyskredytować i zohydzić, to niech tylko tak dalej postępuje w swojej robocie nad wynarodowieniem i anglizowaniem Niemców, Polaków, Czechów itd.“

(Jakoż Federacja ta upadła, a na jej miejsce powstała Holy Name Society.)

U Polaków już dawno tą właśnie anglizacyjną tendencją owa Federacja straciła kredyt.

Powiesz mi: Ależ sam papież udzielił błogosławieństwa swego tej Federacji. Więc widocznie sam papież chce nas przy pomocy tej Federacji wynarodowić.

Tak to niby na pozór wygląda. Żeby jednak rzeczywiście papież miał pochwalać tendencje anglizacyjne w tym kraju, w to mi się wierzyć nie chce. Papież w owej Federacji co najwyżej błogosławił dążność do jedności po katolicku pojmowanej, to jest, błogosławił jedność wiary w rozmaitości języków. Jeżeli zaś owa Federacja zamiast do jedności wiary dąży do jedności języka, to nie jest owiana Duchem świętym, choćby ją papież tysiąc razy miał błogosławić; lecz owiana jest raczej duchem światowym, duchem polityki świeckiej, co też w istocie już owej Federacji sami nawet katolicy angielscy zarzucają.

175. **Duch święty a duch świata.**

Między Duchem świętym, a duchem świata zachodzi ta istotna różnica: Duch święty chce, by wszyscy ludzie mieli **jedną powszechną wiarę**, rozmaitości zaś języków nietylko nie gani, lecz owszem ją zatwierdza.

Duch świata zaś odwrotnie i przewrotnie sobie postępuje, bo chce, by wszyscy ludzie mieli **jeden powszechny język**, a rozmaitości wiar czyli sekt świat nietylko nie gani, lecz pochwala ją.

Rusyfikacja w Rosji, germanizacja w Prusach, anglizacja w Ameryce — oto owoce ducha światowego!

Ks. Dr. Aleksander Pitass 30 czerwca 1906 był u mnie w Ripon.

149. Żale Symona nieuzasadnione. — Kawałek Polski w Nowej Anglji. — Dr. Hyde nie może umarłego wskrzesić.

Jakiś ksiądz (dowiedziałem się później, że to miał być ks. prałat Paukszto z Cleveland, O.), pisywał do „Dziennika Poznańskiego" niepochlebne artykuły na arcybiskupa Symona. Prasa europejsko-polska te niepochlebne artykuły bez skrupułu rozgłaszała, a potem pobożnie pisała o „krzywdzie wyrządzonej arcybiskupowi Symonowi przez Polonję amerykańską". Wskutek tego mil-

waucki „Kurjer Polski“ 2 czerwca 1906 zrobił w artykule redakcyjnym taką uwagę:

„Wyrażenie o „krzywdzie poniesionej przez dostojnego duchownego“, to znowu jeszcze jeden dowód grubej nieznajomości stosunków amerykańskich ze strony prasy polskiej w starym kraju. Arcybiskupowi Symonowi bowiem najostrzejsze zarzuty stawiały nie pisma polsko-amerykańskie, lecz „Dziennik Poznański“ w Poznaniu wychodzący.“

Arcybiskup Symon wyciął powyższą uwagę z „Kurjera Polskiego“ i wycinek ten przysłał mi do Ripon, Wis., wraz z następującym listem:

Rzym, d. 17 czerwca 1906 r.

„Pocztą odwrotną posyłam Szanownemu Księdzu Proboszczowi wycinek ten z odebranego odeń w dniu dzisiejszym milwauckiego „Kurjera Polskiego (Sobota, 2 czerwca 1906). Nie wiem, czy Sz. Ks. Proboszcz czytał go, a ciekawy on bardzo! Nie mówiąc już nic o zmianie wyrażenia „dostojnego Pasterza“, którego użył autor cytowanej korespondencji do gazet warszawskich, na „dostojnego duchownego“(!), zasługuje na uwagę 1° przypisywanie prasie polskiej w starym kraju grubej nieznajomości stosunków amerykańskich, i 2° zwalanie czynionych mi zarzutów z pism polsko-amerykańskich na „Dziennik Poznański“, wychodzący w Poznaniu, chociaż nikomu nie jest tajnem, że korespondencje jedna i druga wyszły od Polaków zamieszkałych w Ameryce, i druga nawet wyraźnie podpisana była temi słowy: Jeden z polskich proboszczów w Stanach Zjednoczonych Półn. Ameryki.

„Doprawdy, ciekawe są wasze tam stosunki, sądy i poglądy!

„Ks. Truszyńskiemu przypisuje się grubą nieznajomość stosunków amerykańskich!

„Albóż „Dziennik“, wychodzący w Poznaniu, pisze od **siebie** o moich podróżach po Ameryce i stawia mi od **siebie** ostre zarzuty!....“

Tyle arcybiskup Symon.

Powyższy list arcybiskupa i wycinek z „Kurjera“ ogłosiłem w „Kurjerze wraz z następującym komentarzem:

Dnia 5 lipca 1906.

176. **Co prasa amerykańsko-polska temu winna?**

A więc, że tam jakiś „polski proboszcz“ z pod ciemnej gwiazdy posyła z Ameryki zjadliwe korespondencje do prasy europej-

sko-polskiej, a ta jego korespondencje umieszcza i ogłasza: czy za to odpowiada amerykańska prasa?...

A ksiądz Truszyński, bawiący od początku stycznia 1906 w Europie, doprawdy nie wiedział, co prasa amerykańsko-polska w ostatnich sześciu miesiącach pisała, jeżeli śmiał twierdzić w owej korespondencji do gazet warszawskich, że to właśnie prasa amerykańsko-polska stawia najostrzejsze zarzuty arcybiskupowi Symonowi.

Nadchodziły wprawdzie do redakcji „Kurjera Polskiego" korespondencje od „jednego z polskich proboszczów", ale wszystkie poszły do kosza. I, o ile wiem, w innych gazetach amerykańsko-polskich także się nie pojawiły. Lecz pojawiły się w prasie europejsko-polskiej. Cóż temu winna prasa amerykańsko-polska? Czyż za pojedyńczego korespondenta z Ameryki, i za to co on pisze i za to, że prasa europejsko-polska jego pisaniny przyjmuje i ogłasza, ma odpowiadać tutejsza prasa amerykańsko-polska?

Arcybiskup Symon raczy pamiętać na to polskie przysłowie:

Jeszcze się nikt nie narodził,
Ktoby wszystkim dogodził!

Że więc były i są może jeszcze jednostki, które nie umieją należycie ocenić zasług, jakie Jego Ekscelencja położył około Polonji amerykańskiej, to rzecz nieunikniona między ludźmi. **Osoby** niektóre mogą mówić coś **przeciw** Jego Ekscelencji. Lecz **fakta** mówią **za** Ekscelencją już teraz a przemówią jeszcze głośniej w niedalekiej przyszłości, kiedy będą lepiej pojęte i zrozumiane. A najwymowniejszym faktem to sprawozdanie zatytułowane „I Polacchi Emigrati Negli Stati Uniti d'America", jakie arcybiskup Symon przedłożył Piusowi X. Tem samem już sprawozdaniem, jak to wiele razy powtarzałem, arcybiskup Symon wystawił sobie pomnik wiecznotrwały śród Polonji amerykańskiej.

Wyrazu „duchownego" zamiast „Pasterza" nie myślę, żeby naumyślnie użyto. Był to z pewnością mimowolny lapsus calami.

177. **Kawałek Polski w Nowej Anglji.**

„A bit of Catholic Poland in New England" — pod takim tytułem buffaloski „Catholic Union and Times" z 28 czerwca 1906 ogłasza co następuje:

„Edward A. Steiner, dziekan kolegjum Jowa, robił był w Nowej Anglji pewnego rodzaju studjum socjalne. Stany Nowej Anglji

przeszedł był wzdłuż i wszerz, zwiedzając ludność napływową i studjując ich tryb życia i sposób myślenia, lecz szczególniej ich religijne stosunki. Profesor Steiner miał za przewodnika pewnego pastora z Nowej Anglji, którego nazywa „bratem Tymoteuszem", w jednej ze swoich wycieczek między Polakami i opisuje teraz swoje wrażenia w piśmie protestanckiem p. t. „The Congregationalist" z 16 czerwca 1906. Pisze tak:

„Oprowadzał mię brat Tymoteusz po osadzie polskiej, która rośnie jak na drożdżach w najokazalszej dzielnicy i na skraju miasta. Studjowaliśmy objawy i fazy życia społecznego i religijnego. Mówiliśmy z dziećmi, z pogrzebowym, z piekarzem i z fabrykantem lichtarzy. Weszliśmy do kościołów, i ja nigdy nie zapomnę owej świątyni katolickiej, zbudowanej przez 800 robotników zwykłych kosztem 150,000 dolarów a wolnej od długów. Z białego kamienia o dwu sterczących wieżach, które jakby palcami ciągle wytykają protestantom ich liche kościoły, utrzymywane z okruszyn, spadających ze stołu bogatych parafjan. Ani nie zapomnę nieszporów w tymże kościele: jak pięknie ubrani, w skupieniu ducha modlący się parafjanie czcili Boga ze słuszną dumą w tej świątyni z pracy rąk swoich wzniesionej. Ci wieśniacy, którzy niedawno jeszcze płaszczyli się przed szlachcicem, siedzącym przed nimi w kościele, ci wieśniacy teraz sami są szlachcicami, właścicielami po Bogu tej wspaniałej świątyni.

„Duch nabożeństwa był uderzający: nikt nie szeptał, nikt się nie oglądał, choć ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Zupełnie inaczej niż w kościele Tymoteusza (protestanckim), gdzie podczas nieszporów chłopacy i dziewczęta się chychoczą, gdzie matrony jedna o drugiej kapeluszu sądy wydają, gdzie chór wyśpiewuje niewyraźne pieśni i gdzie pastor Tymoteusz prawi kazanie przez 15 minut a każdy patrzy na zegarek, czy aby za długo nie mówi, chyba że wpada w kaznodziejski zapał na wzór św. Pawła."

Widać z tego, że Polacy w Nowej Anglji dobrym przykładem swoim budują protestantów. Cześć im za to!

178. **Dr. Hyde nie może umarłego wskrzesić.**

Dr. Douglas Hyde, ów sławny Irlandczyk, który przez ostatnie 6 miesięcy zwiedzał osady irlandzkie w Stanach Zjednoczonych celem wskrzeszenia tutaj zmarłego już języka irlandzkiego, powrócił do Irlandji i w Queenstown powiedział reporterom, że niepodobieństwem jest wskrzesić język irlandzki w Ameryce. Mówił:

„Chociaż moja misja udała się świetnie (zebrał tu 50.000 dol. na Ligę Irlandzką), to jednak nie myślę, żeby można rozpowszechnić język irlandzki w Stanach Zjednocz. lub w Kanadzie. Żaden język nie może się tam utrzymać oprócz angielskiego. Nawet niemiecki język, którym teraz powszechnie się posługują w Stanach Zjednoczonych, mojem zdaniem wymrze w następnem pokoleniu."

Tak samo przed 35 laty generał Zmartwychwstańców O. Kajsiewicz sądził o polskim języku, że po 25 latach nie będzie ani śladu polskiego języka w Ameryce (czytaj jego Listy) Ale inne są sądy Boże a inne ludzkie.

Atoli ajrysze, kiedy powyższy werdykt doktora Hydego usłyszeli, po prostu tak zawyrokowali:

— Skoro nasz irlandzki język nie może się tu utrzymać, to też żaden inny, oprócz angielskiego, nie powinien się w Ameryce utrzymać, i nie może się utrzymać. Their wish is the father of their thought.

Pewien ajryski ksiądz postawił mi raz takie pytanie:

— Poco wy język polski utrzymujecie przy życiu, kiedy wiecie, że on wymrzeć musi tu w Ameryce?

Na to odpowiedziałem mu również pytaniem:

— Poco ksiądz utrzymujesz się przy życiu, kiedy wiesz, że jednak umrzeć musisz?

Ani odpowiedział ani pytał mię więcej.

150. Episkopalny „Dziennik Chicagoski" przychlebia się ajryskim biskupom: aby wywyższyć Irlandję, chce poniżyć Polskę. — Inny jest zakres działalności zakonów a inny duchowieństwa świeckiego.

179. **Złoty order „Pro Patria Hiberna".**

Biskup Muldoon przypnie złoty order „Pro Patria Hiberna" księdzu Gordonowi, C. R., menażerowi „Dziennika Chicagoskiego", a srebrny medal „Defensor Hiberniae" panu Szwajkartowi, redaktorowi tegoż dziennika, za obronę tak bardzo przez Polaków prześladowanej irlnadczyzny. Ceremonja przypinania tych orderów ma się odbyć w sam dzień imienin ks. dr. Bernarda Skulika, patrona orderów, jeżeli notabene ten ostatni nie każe odłożyć jej na inny stosowniejszy dzień.

Ale żart na bok.

Irlandczycy swoim przesadnym patrjotyzmem sami się ośmieszają. Takie przechwałki, jak ta arcybiskupa Irelanda: Take away the results of labor wrought by Irishmen and you leave a void —

ou immense vacuum — in the Catholic Church; albo co chicagoski diecezjalny „New York Freeman's Journal" niedawno głosił: „Nie Rzym, lecz Irlandja uratowała cywilizację i chrześcijaństwo w Europie" — takie i tym podobne przechwałki są rażąco śmieszne, bo nie chcemy już powiedzieć, że są ubliżające dla innych narodowości i dla samego Kościoła. Jako takie też piętnuje je cała prasa katolicka niemiecka, polska itd. z wyjątkiem „Dziennika Chicagoskiego", który nie wstręt, lecz szczególniejszą predylekcję okazuje dla owych przechwałek irlandzkich, biorąc w obronę sponiewieraną (?) przez Polaków w Ameryce irlandczyznę.

Nie zazdrościmy mu jego szczególniejszego gustu. Ale jeżeli już nie widzi nic złego w owych przechwałkach irlandzkich, owszem bierze je w obronę: to chcąc być logicznym i konsekwentnym „Dziennik Chicagoski" powinien iść w ślady owych szowinistów irlandzkich i chwalić tak samo bezwzględnie naród polski jak n. p. arcybiskup Ireland chwalił w swej mowie naród irlandzki.

Tymczasem co czyni „Dziennik Chicagoski"?

Nie wynosi on Polski pod niebiosa, jak to arcybiskup Ireland z Irlandją czyni; lecz owszem sili się na wyszukanie dowodów historycznych, że naród polski nie był tak wiernym Kościołowi, jak irlandzki, że naród polski jako naród odpadł kiedyś od wiary, że Pius IX mylił się, gdy powiedział o Polsce „Polonia semper fidelis".

Gdzie tu logika?

Jeżeli arcybiskup Ireland dobrze robił, zdaniem „Dziennika Chicagoskiego", wychwalając swój naród bezwzględnie: to dlaczegoż „Dzien. Chic." nie czyni tego samego i nie chwali bezwzględnie polskiego narodu, lecz szuka plamy na słońcu polskiem? Otóż dlatego, że „Dzien. Chic." należy do tych, o których nasz Wincenty Pol powiedział:

> Cudze chwalicie,
> Swego nie znacie...

I czy przynajmniej dowiódł nam „Dzien. Chic.", że Polska kiedyś rzeczywiście była heretycką? Gdzie tam! Że kiedyś chwiała się we wierze i nawet zbłądziła — tyle tylko nam dowiódł. A chwiać się i błądzić we wierze to jeszcze nie znaczy popaść w herezję. Żeby udowodnić, że Polska popadła w herezję, trzeba było wykazać nietylko że „łatwo przyjmowała nowinki", ale że **trwała upornie w tych błędach i nowinkach.** Bo to „uporne trwanie" w błędzie należy do istoty tego, co się nazywa herezją.

A tego o Polsce powiedzieć nie możemy tak jak o innych narodach. Tego nawet „Dziennik Chicagoski", szukający dziury (herezji) w całem (narodzie polskim), daremnie sili się udowodnić w poniedziałkowym i wtorkowym numerze tego tygodnia.

Arcyciekawy jest następujący wykrzyknik „Dziennika Chicagoskiego":

„I pocóż tych kłamstw? (to jest, poco kłamać, że Polska nie była heretycką?) Czy po to, aby pierwszy lepszy **wróg** hasła „Polonia semper fidelis", czy to **swój wewnętrzny** czy też obconarodowy, na podstawie niezbitych historycznych faktów udowodnił, że to fałsz?..."

Podkreśliliśmy w powyższym cytacie słowa „wróg wewnętrzny", gdyż rzeczywiście nie przyszło nam się jeszcze spotkać z żadnym „wrogiem obconarodowym", któryby chciał „na podstawie niezbitych faktów historycznych" udowodnić, że to co wielki papież Pius IX o Polsce powiedział: „Polonia semper fidelis", jest nieprawdą. Ale znalazł się dopiero „wróg swój", „wróg wewnętrzny", zacny organ „polskich" Ojców chicagoskich, zwany „Dziennikiem Chicagoskim", który zadając kłam powyższym słowom papieża, chciał nam „na podstawie niezbitych faktów historycznych" udowodnić, że Polska rzeczywiście kiedyś stała się niewierną, heretycką, nie była „zawsze wierną".

Chciał — mówię. Ale nie udowodnił.

Bo udowodnił tylko, że Polska w błędy popadała. Ale żeby w błędach tych upornie trwała czyli stała się kiedykolwiek **heretycką,** tego nasz „wróg wewnętrzny", „Dziennik Chicagoski", pomimo wysiłków udowodnić nam nie mógł.

Ale już ta sama okoliczność, że **chciał** coś podobnego udowodnić, źle i bardzo źle świadczy o jego usposobieniu względem Polski i wszystkiego co polskie. Brzydki to ptak, co własne kala gniazdo. Do jakiego to stopnia podłości prowadzi pochlebstwo! Aby się pochlebić dygnitarzom irlandzkim, uciekają się Ojcowie do fałszu historycznego i chcą udowodnić, że Polska nie zawsze była wierną Kościołowi, ale była heretycką. **Żeby wywyższyć Irlandję, chcą poniżyć Polskę.**

O, zaiste, zasłużyli Ojcowie chicagoscy na ordery „Pro Hiberna" i „Defensor Hiberniae".

Wkońcu „Dziennik Chicagoski" twierdzi, że zakonnicy (Jezuici) zapobiegli herezji w Polsce. I słusznie. Ale w jaki sposób? Oto przez zakładanie szkół, kolegjów, konwiktów, uniwersytetów,

przez wydawanie pism, książek, przez kazania misyjne itp. — oto obszerne pole, do którego uprawiania byli i są powołani Jezuici i pokrewne im zakony czynne. I na tem to polu Jezuici pracując, niezmiernie wiele dobrego zdziałali dla Kościoła w Polsce.

Ale coby się było stało z Jezuitami, z ich potęgą, gdyby wbrew swej regule na wzór Ojców chicagoskich główną swoją działalność byli przerzucili na pole duszpasterstwa w parafjach? Gdyby zamiast **wspomagać** byli chcieli **zastąpić** świeckie duchowieństwo? Gdyby byli wypierali świeckich księży z probostw, nie dopuszczali ich lub nawet wyrzucali?... Zakony pożyteczne są i potrzebne Kościołowi; ale nie są one w pierwszym rzędzie powołane do zarządzania parafjami. Inny ich zakres działalności od duchowieństwa świeckiego. Dopóki tego Ojcowie chicagoscy nie zrozumieją i stosownie do swej reguły postępować nie będą: daremno się porównują z Jezuitami i daremno nawet nazywają się zakonnikami.

151. Pożar kościoła i plebanji w Ripon, Wis.

Od 9 do 12 lipca 1906 w St. Francis, Wis., odbywały się rekolekcje dla księży milwauckiej archidiecezji. Byłem i ja na nich. Ale w tym roku nie miałem na nich pozostać aż do samego końca. Albowiem zdarzył mi się pogrzeb. A pogrzeb w mojej maleńkiej parafji był nadzwyczajną rzadkością. Koniecznie musiałem sam osobiście ten pogrzeb odprawić, gdyż umarła 8 lipca dawna organistka nasza, pani Teresa Branchaud, z domu Streich, która za darmo grała w kościele i chór prowadziła. Więc już 11 lipca po obiedzie opuściłem seminarjum w St. Francis i wybrałem się zpowrotem do Ripon.

Powrotną tę podróż tak opisałem w tydzień potem w „Kurjerze Polskim“:

Człowiek doznaje dziwnego przeczucia, gdy go ma jakieś nieszczęście spotkać. Przeczucie to bywa wprawdzie mgliste i niewyraźnie, ale jest istotne i niezawodne. Człowiek nie wie, co go ma spotkać; ale wie i czuje, że go ma coś strasznego spotkać. Wie to i czuje pomimo tego, że równocześnie nie chce temu wierzyć, bo nie życzyłby sobie jakiegoś nieszczęścia.

Przeczucie takie różni się od zwykłej przezorności. Przezorność, ilekroć wyjeżdżałem z domu, nieraz mi kazała powiedzieć gospodyni:

— Gdyby ogień miał powstać, wynieś i ratuj najpierw to małe biurko!

Bo to małe biurko, które do dziś stoi w ofisie proboszcza w Ripon, zawierało wszystkie moje świeże manuskrypta, mające iść do druku „Historji Polskiej w Ameryce". Na tem małem biurku pisałem „Historję". Gdy raz nie było nikogo w plebanji, a wyjechać musiałem, zapakowałem moje rękopisy do pudełka i zaniosłem je do najbliższego parafjanina, Adamskiego, na przechowanie. Czyniłem to z prostej przezorności a nie z przeczucia jakiegoś. Lecz teraz, gdy powracałem z rekolekcyj do domu, znienacka napadło mię dziwne jakieś przeczucie.

Było to dnia 11 lipca 1906 po południu, gdy udawałem się na dworzec kolei Milwaukee i St. Paul, aby powrócić do Ripon. Przed 4 godziną, załatwiając w Milwaukee u Wiltziusa i indziej rozmaite interesa, czułem się jak zwykle spokojnym i bez troski. Wprawdzie w redakcji „Kurjera" dowiedziałem się, że ks. Sztuczko uszczypnął mię w ostatniej swej odezwie od „Wydziału Wykonawczego", ale to mię wiele nie obeszło. Do uszczypnięć takich twarda moja skóra już przywykła. Pomyślałem tylko: niechby Wydział Wykonawczy wypłacił mi moje 700 dolarów, jakie Kongres III kazał mi wypłacić jako należytość za koszta podróży do Rzymu, toby lepiej zrobił. Przydałyby mi się te pieniądze na otwarcie szkoły w Ripon.

Na dworcu kolejowym spotkałem się z moją bratową Jadwigą, z jej córką Felicją i z bratankiem moim Janem, którzy się do Ripon ze mną na wakacje wybierali, i rozmawiałem z nimi wesoło.

Dopiero o godzinie 4, gdy pociąg już opuszczał Milwaukee, nagle urwałem tę wesołą rozmowę. Nagle bowiem, ni stąd ni z owąd, opanowało mię jakieś posępne uczucie, rzekłbyś, że ktoś ciężką ręką przygniata moje piersi. Nie czując ochoty do dalszej rozmowy, opuściłem towarzystwo i poszedłem do drugiego wagonu. Tam zacząłem odmawiać brewiarz. Ale i podczas modlitwy doznawałem uczucia, jakby jakiś ciężki kamień zwalał się na mnie, a ja go chcę odwalić, lecz nadaremnie. Coby było przyczyną takiego przygniatającego uczucia? daremno się sam siebie pytałem.

A właśnie o 4 godzinie wszczął się pożar w składzie drzewa Kohla o przeszło tysiąc kroków oddalonym od polskiego kościoła w Ripon. Pożar ten w takiem oddaleniu na pozór nie zagrażał kościołowi. Tuż blisko pożaru stał dworzec kolejowy, i na ten dworzec, stary drewniany, tłum widzów zwracał ciekawe oczy, rychło się zapali. Ale nikt nie przypuszczał, żeby ogień się przeniósł aż

na kościół w oddali stojący. Tymczasem czarna chmura dymu, lekkim wiatrem poruszona, szła w kierunku naszego kościoła, niosąc ze sobą palące się kawałki drzewa, które spadały na suchy gontowy dach kościoła. Nareszcie ktoś z tłumu zauważył, że dach kościoła się zapalił. Natychmiast straż pożarna pospieszyła ratować kościół. Strażacy z wężami weszli na dach, by ugasić mały dopiero co powstały płomyk. Aliści woda im nie dopisała. Ciśnienie wody w wężach było za słabe. Strażacy z wężami na dachu stali bezradni, a tymczasem z płomyka stał się wielki płomień, który wnet ogarnął cały drewniany kościół. Deszczu nie było od dwóch tygodni, kościół cały na zewnątrz był świeżo pomalowany, to też drzewo na nim paliło się jak drzazga.

Była już godzina 5, kiedy nasz kościół w Ripon zajął się od pożaru składu drzewa. Ja wtedy zajechałem już do Hartford, siedząc w wagonie na osobności i ciągle ciężkimi przygnębiony myślami. O pożarze ani na myśl mi nie przyszło. Nie umiałem sobie wytłumaczyć, co się ze mną stało, że tak nagle w taką smutną zadumę się pogrążyłem. Wtem, kiedy pociąg opuszczał stację Hardford, konduktor zbliża się do mnie i mówi:

— W Ripon musi być wielki ogień, gdyż pociąg idący z Oshkosh zatrzymano i zawezwano straż pożarną z Oshkosh do pomocy.

Czyby to miało być przyczyną mojego smutnego przeczucia? pomyślałem i zaraz zapytałem konduktora, w jakiej części miasta ów pożar powstał. Lecz on mi na to odpowiedział:

— Nie wiem, ale zapytam się na następnej stacji.

Powstała we mnie odrazu ta myśl:

— A nuż kościół się pali?

Lecz oddalałem tę myśl jako niepodobną. Kościół stoi odosobniony, więc gdyby się palił, nie zagrażałby innym domom, prócz plebanji, więc nie wzywanoby pomocy aż z Oshkosh. Ogień musi być gdzieś bliżej torów kolejowych, aniżeli kościół, bo inaczej nie zatrzymanoby pociągu idącego z Oshkosh.

Ale choć sobie to tak tłumaczyłem, przygnębienie moje w dalszym ciągu trwało. Do przygnębienia mglistego przyłączył się teraz już wyraźny niepokój, i na każdej następnej stacji wypytywałem kondyktora, gdzie pożar. Lecz konduktor nie wiedział.

Wróciłem do wagonu, w którym siedzieli bratanek i bratowa z córką, i powiedziałem im, co słyszałem o ogniu w Ripon. Poczę-

stowali mię przekąską. Zrazu nie chciałem jej przyjąć, ale po chwili wziąłem ją i rzekłem żartobliwie:

— Zjem to, bo może plebanja w Ripon jest w ogniu i nie dostaniemy kolacji.

Z Horicon konduktor zatelefonował do Ripon, lecz nie dostał odpowiedzi. Niepokój we mnie wzrastał. Po wyjeździe z Horicon konduktor mi oznajmił, iż słyszał, że Bernetta skład drzewa (tuż naprzeciw kościoła) się pali. To okazało się później nieprawdą. Ten skład drzewa jest po drugiej stronie ulicy od kościoła, ale tam ogień nie powstał. Przyszło mi na myśl:

— Kto wie, czy kościół się nie zajął?

Ale i tę myśl zaraz odganiałem jako nieprawdopodobną, gdyż choćby się ten skład palił, gęste i wysokie drzewa, rosnące wzdłuż ulicy ochroniłyby kościół. Wtem spotykam we wagonie znajomego pana Mackenzie, reportera dziennika „Milwaukee Journal" i pytam go zaraz:

— Mówią o ogniu w Ripon. Nie słyszał pan, co się pali?

A on mi na to:

— Słyszałem, że kościół polski się spalił; **ale to jeszcze niepewne.**

Ma się rozumieć, że to niepewne, bo jakże to może być — tak pomyślałem sobie w duszy. Ale właśnie ta niepewność jeszcze teraz bardziej mnie trapiła i niepokoiła. Na każdej stacji wyskakiwałem z wagonu, by od miejscowego agenta dowiedzieć się **coś pewnego!** Ale każdy odpowiedział, że nie wie. Dopiero w Brandon, na ostatniej stacji przed Ripon, powiedziano mi:

— Tak jest istotnie, polski kościół w Ripon spalił się...

Co się wtedy działo w mojej duszy, nie potrzebuję nikomu opowiadać. Jazda koleją z Brandon do Ripon trwa 10 minut, ale mnie zdawała się trwać godzinę.

Wreszcie już z pociągu zobaczyłem dymiące zgliszcza kościoła. Zamiast pysznej niegdyś wieży, 130 stóp wysokiej, tylko komin sterczał wśród ruin i kamienny fundament. Ludu całe tłumy stały na dworcu kolejowym jak gdyby mi wszyscy przyszli powiedzieć, co się stało. Ale ja nie wysiadłem na stacji, lecz o 500 stóp przed stacją wyskoczyłem z pociągu i przez pole i boisko Kolegjum ripońskiego pędziłem co tchu do miejsca tragedji. Zoczył mnie zdaleka pastor episkopalny Rev. Chapman, przybiegł i zastąpiwszy mi drogę wyraził mi swoją głęboką sympatję i rzekł:

— Father, you have my church at your disposal. (Księże, masz mój kościół do twojej dyspozycji, możesz w moim kościele nabożeństwo odprawiać.)

Podziękowałem mu za dobrą wolę i życzliwość. Ten pastor później się nawrócił i został katolickim księdzem.

Widząc, że cały kościół poszedł z dymem pożaru, moje oko z zadowoleniem spoczęło na plebanji, której część jeszcze ocalała — cudem prawie! I tu naturalnym rzeczy porządkiem myśli moje zwróciły się ku manuskryptom moim:

— Co się stało z moją „Historją", nie tą drukowaną już, ale tą, która leży jeszcze w rękopisach, a przygotowaną do IX tomu?

Poza plebanją w ogrodzie widziałem porozrzucanych mnóstwo papierów. Kazałem natychmiast każdy papierek pozbierać i schować do stajni, która także ocalała. Ale ta ostrożność niepotrzebną była, gdyż moje skrypta do dalszych tomów „Historji Polskiej w Ameryce" wyniesione zostały z plebanji na bezpieczne miejsce, jeszcze zanim plebanja się zajęła. Przytomność umysłu Maryni Ustruk, gospodyni mojej, uratowała manuskrypta dalszej „Historji Polskiej w Ameryce" oraz cenne dokumenta z archiwum rzymskiego. Wielkie to jeszcze szczęście w tem całem nieszczęściu...

Pożar kościoła miał być w całej swojej grozie, wzniosły i wspaniały. Kiedy rozszalałe płomienie ogarnęły wieżę kościelną, krzyż na czubku wieży można było widzieć wśród płomieni prosto stojący, potem zwolna się pochylający, kiedy wieża chyliła się ku upadkowi. Upadek wieży poruszył serce dzwonu i dzwon wtedy ostatni swój dźwięk czy jęk wydał. Miała to być scena do łez wzruszająca.

Prócz ławek, ambony i ołtarzy, wszystkie ruchomości z kościoła wyniesiono, jako to statuy, kielichy, ornaty, kapy, lichtarze. Puszkę z Przenajświętszym, pięścią rozbiwszy drzwiczki do tabernakulum, wyniósł Lubiński, a ks. Cosgrove potem ją przeniósł do swego kościoła św. Patryka. Z drzwiczek oderwał dwa ślicznie na jedwabiu malowane anioły, które do dziś zdobią wielki ołtarz. Nawet organki z chóru (małe za 30 dolarów) na ostatku wyniesiono, ale nie przez frontowe drzwi, gdyż te już stały w płomieniu. Organki wyniesiono przez kościół i zakrystję. I ledwie z życiem uszli ci, co organ nieśli, bo gdy do sanktuarjum doszli, wielkie sklepienie kościoła runęło. Uratowane rzeczy schowano do stajni.

Przespawszy się tej nocy w plebanji ks. Cosgrove, nazajutrz rano w kościele św. Patryka miałem ów pogrzeb, o którym wyżej wspomniałem. Przy każdym pogrzebie w Ripon miałem zawsze mowę żałobną. Lecz przy tym miałem mowę podwójnie żałobną. Za tekst przemowy obrałem sobie słowa Joba: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione".

Drugą noc i następne już spałem w mojej plebanji, w tylnym pokoju (jadalnym), który jeden jako tako cały został. Wszystkie inne pokoje miały szyby powybijane, ściany podziurawione, dachy porozrywane, sufity przepalone. W takiej podziurawionej plebanji spałem następne parę tygodni, aby być blisko składu rzeczy uratowanych. Jednej nocy podczas grzmotu i błyskawic tak gwałtowne wichry uderzyły w dziurawą plebanję, z taką furją i z takiem wyciem, jakby tysiąc djabłów przelatywało. Gdy burza przeszła, mój sąsiad z naprzeciwka, choć luter, przyszedł z latarnią do mnie zobaczyć, czy jeszcze żyję, gdyż obawiał się, że podczas burzy szalonej pogrzebią mię zwaliska plebanji.

Tu w rozwalonej plebanji układałem plany na przyszłość. Co się stało, to się nie odstanie. Żal straty nie wróci. Zamiast zawodzić żale, trzeba się raźno zabrać do pracy i odbudować co pożar zniszczył. Jakoż do odbudowania plebanji już w poniedziałek 16-go lipca 1906 przystąpiono. Tak samo plany i specyfikacje na nowy kościół z cegły już rozpoczęto.

Nie przeszkadzało mi to pisać w dalszym ciągu artykuły p. t. „Sprawy kościelne i narodowe".

152. Abp. Messmer ogląda ruiny kościoła. — Z cudzej biedy śmiechy. — Miłosierni Samarytanie. — Przyjazd arcybiskupa Webera wywołuje paniczny strach wśród ajryszów.

Z dnia 19 lipca 1906.

181. Abp. Messmer ogląda ruiny kościoła w Ripon.

W niedzielę, 15 lipca, arcybiskup Messmer przyjechał do Ripon, by obejrzeć ruiny kościoła św. Wacława. Obszedł naokoło ruiny kościoła w towarzystwie mojem i ks. Cosgrove, przypatrzył się zbliska spustoszeniu i, nasyciwszy swój wzrok, wziął potem udział w Biesiadzie Lodowej (Ice Cream Social), jaką parafjanie urządzili na dochód nowego kościoła. Dochodu było 64.53 dol.

Ofiara 100 dolarów od p. Michała Kruszki na nowy kościół polski w Ripon była istotnie pierwsza. Druga była ode mnie 500 dolarów. Dalsze były liczne.

Kościół wystawiony z drzewa 10 lat temu kosztował 6,000 dolarów i na tyle go też zabezpieczyliśmy. Ale dziś drzewo tak podrożało, że taki sam kościół z drzewa kosztowałby nas dzisiaj dwa razy tyle. Więc budujemy z cegły, bo to ostatecznie taniej i bezpieczniej. Na kościół z drzewa cegłą obkładany (veneered) arcybiskup nam nie pozwolił. Mur ma być cały z cegły lub kamienia.

Z dnia 21 lipca 1906.

Z kompanjami zabezpieczającymi od ognia załatwiliśmy wszelkie sprawy pomyślnie i parafjanie przystąpili już do usuwania zgliszczów i gruzów spalonego kościoła, z którego jak Feniks z popiołów ma powstać nowy murowany z cegły.

182. **Z cudzej biedy śmiechy...**

Winoński „Wiarus“ śmieje się z nieszczęścia biednej parafji w Ripon. O duszo pogańska! czy nie wiesz, że:

Z cudzej biedy śmiechy
To najcięższe grzechy.

I jeszcze śmiesz się nazywać katolickiem pismem? Acit nomen, muta aut mores — albo imię zmień albo obyczaje!

Jakżeż inaczej wobec tego nieszczęścia zachowało się tu w Ripon pewne dziecko z imienia protestanckie ale w duszy prawdziwie chrześcijańskie. Kiedy pożar wybuchł w składzie drzewa i kłęby dymu szły na kościół św. Wacława, chłopiec mały, syn rodziców episkopalnych, strwożony widokiem dymu nad kościołem, zawołał do swej matki:

— Father Kruszka's church will burn! — Mamo, ks. Kruszki kościół się spali!

Matka go uspokoiła, wskazując mu odległość kościoła od owego składu drzewa, który się palił, że tak daleko ogień nie sięgnie. Ale chłopiec, jakby przeczuciem wiedziony, ciągle z coraz większym strachem wołał: „Mamo, ks. Kruszki kościół się spali! Zobaczy mama!“ Matka jednak, jak wielu innych, nie przypuszczała tego, żeby tak daleko ogień się przeniósł, i poszła do domu. Aż tu za chwilę jej chłopiec przylatuje zdyszany i zapłakany woła:

— Mamo, ks. Kruszki kościół w ogniu!...

Otóż w tych dniach ów chłopiec pyta się swej matki:

— Mamo, czy to prawda, że ks. Kruszka odbuduje kościół?

— Tak, odbuduje.

— Mamo, to ja mu dam moje 50 centów na nowy kościół!

To dziecko z imienia protestanckie ale o duszy nawskroś chrześcijańskiej powinno zawstydzić takie pismo jak „Wiarus" z imienia katolickie ale o duszy pogańskiej, bo naśmiewającej się z nieszczęścia bliźniego. Ex ore infantium — z ust niemowlątek naucz się czuć i współczuć po chrześcijańsku!

Z pomiędzy ludzi innej wiary w Ripon, którzy dali na odbudowę kościoła po 5 lub 10 dolarów, byli następujący: A. De Moss, J. Pierce, Hugo Schultz, Dr. Bruno Schallern, J. Buchholz, Butzin i Falkenstein, H. N. Akin, A. L. Maudlin, G. Gehrke, H. Thiel, G. F. Deming, C. F. Hahn, T. B. Dakin, Barlow i Seelig, H. C. Eversz, J. E. Brown, H. Radke, E. J. Burnside, F. A. Preston, J. N. Englebright, L. Pynch, Fr. Babcock i Soper 20 dolarów, J. G. Sullivan, G. Graf, J. T. Harris, Coke i Hubbard, Karl Mueller, F. Merbach, W. M. Davy, Mattice Foster Co., H. Lyle, W. Wilde, Horner i Middleton 25 dolarów, First National Bank 50 dolarów, C. H. Ellsworth, Barnett i Anderson 25 dolarów, A. C. Jelleff, C. E. Krug, J. Zobel, F. W. Weigel, Rev. A. C. Chapman, E. Proat, F. C. Howard, Bounton i Germain Co., H. J. Faustman, C. J. Haas 20 dolarów, W. S. Crowther 15 dol., H. Danielson, G. Jussen, Ripon Packing Co. 20 dol., J. S. Chittenden, W. M. Deming, Nash i Sargent, Strauss, Kusman, C. Sievert, — a wielu innych obconarodowców z Ripon dało mniej.

Oto miłosierni Samarytanie — Samarytanie mówię, bo innowiercy i obconarodowcy. Ale i nasi rodacy nie pozostaną w tyle, skoro tylko do ich serc ofiarnych się zapuka.

Jakoż nie pozostali w tyle lecz hojnie sypnęli groszem na odbudowę kościoła w Ripon. Z Milwaukee pierwszy z większą ofiarą 25 dolarów był Michał Jankowski. Z księży Przew. ks. Andrzej Gara. Zobaczymy później kolekty po kościołach. Na drugi dzień po pożarze z Polski przyjechał do mnie ks. Ignacy Mordarski z kuframi, myśląc, że w plebanji mojej zamieszka. Odesłałem go do Antigo, Wiskonsin.

183. **Czy „Dziennik Chicagoski" jest arką Noego?**

„Dziennik Chicagoski" uważa się za coś nakształt arki Noego. Według niego cała prasa amerykańsko-polska tonie w potopie zepsucia, bezbożności i niedowiarstwa. A tylko on jeden, „Dziennik Chicagoski", jest ową arką Noego, która od powszechnego potopu ratuje katolicyzm między Polakami w Ameryce.

Zatem pisarze i redaktorzy polsko-amerykańscy, chcecie być zbawieni, to wejdźcie do korabia „Dziennika Chicagoskiego“, piszcie tak jak on pisze, myślcie tak, jak on myśli, osądzajcie sprawy ogółu pod tym samym kątem widzenia, co on osądza! Inaczej w potopie tego świata zginiecie dla wiary i ojczyzny!

Z dnia 26 lipca 1906.

184. **Najlepszy znak, że sprawa nasza jest słuszną.**

Arcybiskup Weber ma przybyć do Ameryki. Polski biskup ma zamieszkać na stałe w Chicago!

Wieść o tem tak poruszyła niektóre irlandzko-„katolickie“ pisma, że nie posiadają się ze złości. Żeby tu w Ameryce na dwa miljony Polaków miał być choć jeden biskup polski, to nie może im się w głowie pomieścić.

Najbardziej się sierdzi „The Catholic Transcript“, lajborgan biskupa Tierney czyli „official organ of the diocese of Hartford“ w stanie Connecticut. Chociaż jeszcze niema mowy o tem, żeby który z amerykańskich księży polskich miał zostać biskupem; to jednak sama ta wieść o tem, że polski arcybiskup Weber ma tu przybyć i na stałe osiąść w Chicago, wyprowadza ów organ z równowagi umysłowej.

Sama ta wieść o przybyciu owego arcybiskupa z Polski wystarcza mu, by posądzać tutejszy kler polski o „najniegodniejsze“ ambicje i zachcianki.

Strach ma wielkie oczy. W rozkołysanej tym strachem i rozbujałej wyobraźni „The Catholic Transcript“ widzi już, jak tutejsi polscy księża sięgają po mitry biskupie i zdzierają je z głów irlandzkich. W uwagach redakcyjnych z 5 lipca 1906 pisał:

„Alrcedy expectant clerics have visions of the purple...“ „już księża marzą o purpurach“.

Co za niegodziwość ze strony polskich księży!... Kto widział kłaść mitry na polskie głowy, kiedy one zdobić powinny tylko irlandzkie czoła!?

Tem bezpodstawnem dotychczas posądzeniem polskich księży, jakoby marzyli o mitrach, ajrysze zdradzają mimowoli swoje własne usposobienie.

Jakiej kto smaki,
Myśli, że każdy taki.

„Transcript“ sądzi polskich księży podług irlandzkich, którzy sięgają po władzę biskupią nawet nad ludem, którego języka ani

charakteru wcale nie rozumieją. Ambicja więc polskich księży, jeżeli jest, nie sięga jeszcze tak daleko jak irlandzkich. Żaden polski ksiądz, nie znając angielskiego lub niemieckiego języka, nie śmiałby sięgać po władzę biskupią nad ludem po angielsku lub niemiecku mówiącym. Tak bezczelnym by nie był. Ale że irlandzcy i niemieccy księża mieli i mają tak bezczelną ambicję, to fakt, któremu zaprzeczyć nie można.

185. **„Transcript" posądza polskich księży o świętokupstwo.**

Wszelako „The Catholic Transcript" w następnym numerze z 12 lipca 1906 idzie jeszcze dalej w swoich inwektywach przeciw polskim księżom. Mianowicie posądza ich wprost o symonję czyli świętokupstwo.

Zdaniem jego, polscy księża widać przekupili papieża, skoro ten przysyła im arcybiskupa Webera. I tu znowu, zdaje się, „Transcript" sądzi kler polski podług irlandzkiego. Ale oto co w uwagach **redakcyjnych** „The Catholic Transcript" z 12 lipca 1906 dosłownie pisze:

„Ruch o narodowych księży proboszczów i narodowych biskupów usiłuje się dać we znaki za pomocą Grosza Piotrowego (threatens to make itself felt through the medium of the Peter's Pence). Często słyszeliśmy, że pieniądz jest korzeniem wszelkiego złego, że jest tchórzem i że jest wielkim politykiem; ale gdyby pieniądz miał torować drogę także do kościelnych posad i urzędów, toby to wyglądało ze wszystkiem zanadto źle".

Niech się „Transcript" uspokoi pod tym względem. Do **polskich** biskupstw w Ameryce pieniądz nie toruje drogi, bo nie potrzebuje jej torować. Czy „Transcript" taką suggestją nie ubliża samejże Głowie Kościoła? Papież, jeżeli nam da biskupów polskich, to da dlatego, że nam tu ich istotnie potrzeba. Tą jedynie pobudką papież się kieruje.

Insynuacją zaś powyższą „Transcript" ubliża nam, a jeszcze bardziej papieżowi, bo wynikałoby z niej, że i papieża moglibyśmy przekupić. Chyba z doświadczenia tej uwagi nie pisze. My, mając słuszność i sprawiedliwość po swojej stronie, do przekupstw uciekać się nie potrzebujemy. Kto per fas et nefas sięga po władzę biskupią **nad innemi narodami,** jak Irlandczyk i Niemiec, ten może musi chwytać się takich niegodziwych środków. My tego nie potrzebujemy.

186. **Ciekawy wywiad.**

„The Sacred Heart Review" ogłasza ciekawy wywiad polskiego księdza Fr. Muellera z Detroit. Ks. Mueller miał powiedzieć, że arcybiskup Weber „został **głową** OO. Zmartwychwstańców" (a więc Generałem, a co się stało z O. Kasprzyckim?) i że przybywa do Ameryki jako naczelnik Zgromadzenia, a nie jako arcybiskup dla Polaków.

Widać „wyższa dyplomacja" kazała ks. Muellerowi w innem świetle przedstawić ajryszom i Niemcom posłannictwo arcybiskupa Webera, żeby udobruchać episkopat ajrysko-niemiecki. Lecz „Gazeta Kościelna" ze Lwowa, skąd arcyb. Weber pochodzi, wyraźnie pisała, że arcybiskup Weber **na życzenie Ojca św.** przybywa do Ameryki nietylko jako zakonnik, ale także **jako arcybiskup,** ażeby objąć pieczę duchowną nad wszystkimi Polakami w Ameryce".

Atoli proszę sobie wyobrazić, co to za okropnej zbrodni dopuszcza się dwumiljonowa Polonja amerykańska, gdy marzy choćby o jednym biskupie polskim!

153. Rozpacz ajryszów z powodu utraty irlandzkiego języka. — W zagładzie swego języka widzą zagładę wszystkich języków. — Jak się ks. Gara przekonał, czy lud uznaje mą pracę.

Z dnia 28 lipca 1906.

187. **Irlandzki język umarł, więc inne także niech umrą.**

Tak rozumuje irlandzki tygodnik „The Catholic Transcript", organ biskupa Tierney z Hartford, Conn. Do nas Polaków, Czechów itd. woła tak:

— Patrzcie, nasz język irlandzki zaginął. Mówimy tylko po angielsku. Dr. Douglas Hyde usiłował wskrzesić nasz umarły język irlandzki; ale niebawem przekonał się, że nadaremne są te wysiłki. Jeśli nasz irlandzki język z martwych powstać nie chce, to i wasz polski, czeski itd. język musi być na śmierć skazany. Zagłada języków innych podobnie jak zagłada irlandzkiego jest nieuchronną.

W „Catholic Transcript" z 12 lipca 1906 wyraźnie tak czytamy w artykule redakcyjnym:

„Dr. Douglas Hyde powraca do Irlandji z tem przekonaniem, że **żaden język, oprócz angielskiego, nie utrzyma się tu w Ameryce.** Dr. Hyde jest gorącym zwolennikiem języka irlandzkiego,

lecz ma tyle zdrowego rozsądku, że pochyla swe czolo przed nieuniknionem przeznaczeniem (a więc jest fatalistą!). Tak samo możesz próbować powstrzymać wodospad Niagary, jak wyrugować język angielski lub rozdzielić jego prądy w tym kraju. A jednak są tacy, którzy marzą o powstrzymaniu tego prądu, i giną w nurtach nieuniknionego wodospadu. Łudzą się. To ich złudzenie nie byłoby tak szkodliwem, gdyby ci mężowie stanu (chcący tu utrzymać inne języki obok angielskiego) chowali te ideały swoje w zanadrzu przy sobie. Lecz staje się to czemś potwornem, gdy publicznie nawołują ten ciężko pracujący lud (polski, czeski itd.) do nadania konkretnej formy tej aberracji, która powinna na zawsze pozostać w krainie marzeń".

A więc nasze starania o utrzymanie tu polskiego języka irlandzki organ biskupi nazywa „aberracją" czyli zboczeniem umysłowem. Dziękujemy za komplement.

Ale jego porównanie języka angielskiego z wodospadem Niagary jest bardzo niefortunne. Bo najpierw nikt z nas nie myśli o „wyrugowaniu angielskiego języka w tym kraju", jak nie myśli o powstrzymaniu wodospadu Niagary. A co da rozdziału wód Niagary, czy „Transcript" nie wie, że co roku przemysłowi Amerykanie rozdzielają siłę spadu i prądu Niagary tak, że zaszła nawet obawa, żeby ten słynny wodospad całkiem nie zniknął? I dlatego Kongres nawet musiał się nim zaopiekować?

I podobnie jak wodospad Niagary musiał Kongres wziąć w obronę i ochronę, tak też język angielski zaczyna Kongres już brać w obronę; skoro uchwalił prawo, że każdy, który chce być obywatelem, musi władać językiem angielskim. Dawniej takiego prawa nie było potrzeba, jak nie było potrzeba prawa do ochrony wodospadu Niagary. Dziś widać Niagara zarówno jak język angielski w swoim bycie są zagrożone, skoro język angielski czyni się przymusowym do uzyskania obywatelstwa.

A no, powiedział już Salomon, że nic stałego pod słońcem. Przemija postać tego świata. Wszystko się zmienia. Co do języków zaś, to historja świadczy, że właśnie kosmopolityczne **międzynarodowe** języki, jak łaciński, prędzej umierają aniżeli ściśle **narodowe** języki.

Z tego zaś, że umarły język irlandzki nie da się wskrzesić, nie można logicznie wnioskować, że żyjące dotychczas języki nie dadzą się przy życiu utrzymać w Ameryce. Język angielski, choć on tu kolos w tym kraju tak wielki jak słoń, a każdy inny

język jak mysz: to jednak drży on już o swój byt, drży jak słoń na widok myszy, skoro nawet prawem się ogradza.

Język angielski między innymi językami w Ameryce odgrywa taką rolę jak wieloryb między innymi rybami w oceanie. Wiele polskich ryb i rybek już połknął i jeszcze połknie. Ale wszystkich nie pochłonie tak jak wieloryb wszystkich ryb w oceanie połknąć nie może. Tylko irlandzkie ryby wszystkie poszły w otwartą paszczękę wieloryba angielszczyzny. Inne nie takie głupie.

188. **Inne języki, obok angielskiego, mogą i powinny żyć w Ameryce.**

Nie wszystkie zresztą pisma irlandzkie w Ameryce zapatrują się na kwestję języków tak czarno jak „The Catholic Transcript". Nowojorski np. „Freeman's Journal" podziela pod tym względem zdanie francusko-katolickiego pisma „La Verite", wychodzące w Stanach Nowej Anglji. Zdaniem „La Verite" inne języki, obok angielskiego, nietylko mogą ale i powinny się tu utrzymać. Pisze „La Verite", a za nią „Freeman's Journal" powtarza co następuje:

„Nigdy przedtem nie był stosunek między językiem a duszą narodu lepiej zrozumiany jak w ostatniem stuleciu. Powiedział ktoś, że „grupowanie wyrazów językowych oznacza grupowanie ludzi". I dla tej to przyczyny walka toczona o sprawę językową nabrała tak wielkiej doniosłości w ostatniem stuleciu. Wielkie mocarstwa w Europie usiłowały i jeszcze usiłują wszelkiemi środkami wytępić podbite narodowości. Wydrzeć im chcą ich własny język ojczysty, by w ten sposób nietylko materjalną lecz i umysłową mieć przewagę nad podbitymi narodami.

„Lecz podbite narody stawiają ciągły opór. Wrodzonym i potężnym instynktem czują, że to dla nich kwestja życia lub śmierci. Kiedy prawem przemocy — pisze Leon Daudet — naród traci prawo wyrażania swoich myśli w języku swoich przodków, to staje się temsamem poniekąd wygnańcem we własnej ojczyźnie. Zaborca, narzucający zdobytemu narodowi swój język i swój sposób wyrażania się, **ogołaca zdobyty naród najpierw z jego własnej umysłowości a potem przyodziewa go swoją umysłowością,** ogarniając go jakby siecią, z której trudniej mu się wydobyć aniżeli z sieci niesprawiedliwych ustaw, ciężarów i podatków, nałożonych przez zdobywcę.

„Zdobywca, narzucający zdobytemu narodowi swój język, podcina wprost korzeń narodowości, pozbawiając ją wiekami

uświęconych słów i wyrażeń. Język, ową rdzeń narodowości, zdobywca niszczy gwałtownie.

„Czy irlandzki język stanie się środkiem codziennej wymiany myśli, czy nie; lub nawet czy stanie się urzędowym językiem Irlandji, czy nie: faktem pozostanie to, że Liga Galicka (Irlandzka) prowadzi kampanję, która udowadnia, jak wielką stratę materjalną i umysłową ponosi naród, który zatracił swój język ojczysty. Z jaką więc energją i z jakim zapałem powinien każdy naród strzec języka swoich przodków... My Francuzi nie potrzebujemy tak jak Irlandczycy wskrzeszać dopiero języka już prawie umarłego, nie potrzebujemy wlewać życia w martwy język. Lecz naszym za to obowiązkiem jest bronić żywego jeszcze języka zarówno od napaści cudzoziemca jak i od własnej opieszałości.

„Nasz język francuski jest stróżem naszej wiary religijnej i naszych zwyczajów; a gdy tylko zechcemy, będzie i czynnikiem w dziedzinie ekonomji i powodzenia materjalnego. Każdy z nas przynajmniej to uczynić może, mianowicie: nalegać, by nasz język uszanowano. Ma się rozumieć, my sami go szanować musimy, jeśli chcemy, by inni go szanowali. Dalej, starać się dla francuskiego języka wszędzie i zawsze o cześć i honor mu przynależny. Kto śmie powiedzieć, że teraz spełnia i zawsze spełniał wiernie ten obowiązek?"

Tyle „La Verite" a za nią „Freeman's Journal".

Z powyższego widać, że i Francuzi wcale nie tracą nadziei utrzymania swego języka w Ameryce. I słusznie. Ludność Stanów Zjedn. to jakby las z różnorodnych złożony drzew. Obok słonia, do którego porównujemy język angielski, mogą w tym lesie żyć i rozwijać się także inne pomniejsze zwierzęta; obok dębu mogą wegetować i inne mniejsze drzewa. Soków żywotnych, gruntu i powietrza dla wszystkich tu starczy.

189. **Dajcie na kościół w Kurytybie!**

Odebrałem właśnie odezwę komitetu polskiego z Kurytyby, Brazylji, o której prezes ks. Stan. Trzebiatowski mi pisze:

„Będąc zawsze w ścisłej łączności z naszą ojczyzną i północną Ameryką, niejednokrotnie słyszałem o szlachetnych uczynkach i szczodrobliwości Wiel. Ks. Proboszcza: udaję się przeto z tem silnem przeświadczeniem, że w tak ważnem dla nas dziele budowy kościoła Wiel. Ks. Proboszcz znany jako dobry Polak nas łaskawie wspomóc raczy".

Bardzo to pięknie. Ale nie w porę przyszła ta odezwa do Ripon, gdzie kościół właśnie zgorzał. Lecz ogłaszam ją, żeby każdy, kto chce nietylko Ripon ale i Kurytybę wspomóc, mógł to chętnem i ofiarnem sercem uczynić. Powtóre, że ci, co na kościół w Ripon nic nie chcą dać, dali przynajmniej na kościół w Kurytybie.

190. Staraniem osady federacyjnej z parafji śś. Cyryla i M. w Milwaukee, Wis., dnia 28 lipca 1906 zebrało się do hali św. Jacka poważne grono prezesów i sekretarzy reprezentujących 46 towarzystw. Wybrano komitet w celu zwołania ogólnego wiecu, na którym podniesiony ma być protest przeciw rozsiewanym zarzutom, jakoby nie lud polski tylko księża dopominali się polskich biskupów.

Konsultor diecezjalny Przew. ks. Andrzej W. Gara, który pierwszy z księży nadesłał mi osobistą ofiarę na kościół, dnia 29 lipca 1906 pisał mi z Independence, Wis.:

Wiel. i Drogi Księże!

„Spełniam daną obietnicę załączając przekaz pocztowy na 46.24 dol. jako ofiarę złożoną przez swych parafjan na odbudowanie polskiego kościoła w Ripon. Mała to wprawdzie ofiara, lecz złożona jak widzę ze szczerego serca. Bez poprzedniego zawiadomienia tak się odezwałem do mych parafjan ostatniej niedzieli: Parafjanie, wiadomo wam dobrze jakie nieszczęście nawiedziło małą polską parafję, której proboszczem jest ks. Kruszka. Nie znacie wprawdzie owych nieszczęśliwych, lecz znacie ich pasterza ks. Kruszkę i to z pracy dla dobra naszej polskiej sprawy w Ameryce. Jeżeli uznajecie pracę ks. Kruszki za pożyteczną, złóżcie na kościół jego parafjan, co kto może. Jeżeli zaś uznajecie ją za niepotrzebną a może nawet szkodliwą, nie dajcie ani centa. Kiedy kolektorzy po nabożeństwie przyszli do mnie z ofiarą, zapytałem: A jak, czy dali co? Odpowiedzieli mi: „Nie było prawie człowieka w kościele, któryby nie ofiarował choć parę centów na ten cel. Pożyczali sobie jedni od drugich, żeby coś ofiarować!" Więc myślę sobie 1° mam prawych Polaków w parafji, 2° parafjanie moi uznają pracę i poświęcenie ks. Kruszki dla sprawy narodowej.

Z serdecznem pozdrowieniem

Ks. A. W. Gara".

Tyleż nadesłali Polacy z Oshkosh. Zaś od garstki Polaków z Three Lakes. Wis., Alex. Stypczyński przysłał 21.75 dol.

154. Jak może polski biskup opiekować się Polakami w Ameryce? To rzecz niepojęta. — Człowiek bez męstwa to nie człowiek, to tchórz. — Rabin i beczka wina.

Z dnia 2 sierpnia 1906.

191. **Nie chcą wierzyć.**

„The New World", urzędowy organ archidiecezji chikagoskiej i wszystkich diecezyj ze stanu Illinois, 21 lipca 1906 p. t. „Wieść nieprawdopodobna" pisze:

„Katoliccy biskupi amerykańscy, jak mówią, uważają za całkiem nieprawdopodobną ową pogłoskę. jakoby arcybiskup Weber był naznaczony do objęcia opieki nad Polakami w Ameryce".

Arcybiskup Quigley prędzej nie uwierzy, aż się od samego papieża dowie.

Nie darmo mówi angielskie przysłowie: „The wish is father to the thought". Czego sobie życzymy, żeby się stało, w to łatwo wierzymy, że się stanie. Ale czego sobie nie życzymy, żeby się stało, w to trudno wierzymy, żeby się stało. Pomimo to, najnieprawdopodobniejsze rzeczy, wbrew naszym życzeniom, stają się faktami. Nie życzyłem sobie, by kościół w Ripon się spalił, więc i wierzyć mi się nie chciało, żeby się spalił A jednak — się spalił!

Amerykańscy biskupi, pomimo że nie rozumieją ani języka ani charakteru ludu polskiego, nie życzą jednak sobie tego, by **polski** biskup objął opiekę nad Polakami: więc i wierzyć im się nie chce, żeby się to stać miało. A jednak tak to już bywa na tym świecie, że najnieprawdopodobniejsze rzeczy, wbrew naszym życzeniom, stają się faktami...

Obecny papież podług proroctwa Malachjasza jest Ignis ardens (Ogień palący). I jeśli słomiany dach **obconarodowej** opieki nad Polakami ma się spalić, to się spali. Co musi być, to musi być. Dagegen streiten die amerikanischen Goetter vergeblich. „Ignis ardens" spali dotychczasowy **słomiany** dach opieki irlandzkiej i niemieckiej, a na to miejsce przyjdzie nowy, lepszy **metalowy** dach opieki biskupów polskich. Co daj Boże! Amen.

192. **Człowiek bez męstwa, to nie człowiek, to tchórz.**

Wydział Wykonawczy w orędziu 21 lipca 1906 skarży się, że księża i towarzystwa polskie z obawy przed biskupami lękają się przystąpić do Federacji Polsko-Katolickiej.

Czy istotnie tak się rzecz ma jak pisze „Wydział Wyk.“? Czy istotnie owym księżom (z Detroit i Chicago) i towarzystwom brak cywilnej odwagi, brak męstwa? Smutno by to było, gdyby tak istotnie być miało.

Brak męstwa to brak wszelkiej cnoty. Albowiem męstwo jest jedną z kardynalnych cnót, bez której żadna inna cnota ostać się nie może. Ani sprawiedliwość, ani roztropność, ani umiarkowanie, ani żadna inna cnota istnieć nie może bez tej kardynalnej cnoty męstwa. Człowiek bez męstwa i bez odwagi cywilnej nietylko nie jest chrześcijaninem ani obywatelem, ale ani człowiekiem nie jest — jeno zwierzęciem i to wcale nie pachnącem. Jest **tchórzem,** jak go nazywamy całkiem trafnie.

Czy ci księża i członkowie towarzystw, o których „Wydział Wyk.“ pisze, mieliby być wszyscy **tchórzami** a nie ludźmi ani obywatelami ani chrześcijanami?... Czy „Wydział Wyk.“ słusznie domaga się więcej męstwa i odwagi od szeregowców aniżeli od wodzów?...

193. **Francuzi są radykalniejsi od nas.**

Francuscy katolicy w Nowej Anglji obosiecznym mieczem chcą sobie wywalczyć biskupów swojej narodowości. „The Pittsburg Observer“ z 19 lipca 1906 pisze:

„Francuscy katolicy w Stanach Nowej Anglji chcą upomnieć się ostro (aggressively) gdzie należy o uzyskanie należnych praw dla swej narodowości w hierarchji kościelnej... Oficjalnie określą swe żądania na Konwencji w Woonsockett, R. I., 25 września 1906 roku.

„Najradykalniej chcą w tej sprawie wystąpić podczas dorocznej kolekty na Świętopietrze; i zamiast takowe przesłać do Rzymu za pośrednictwem zwykłych urzędów diecezjalnych jak dotąd, chcą oni zebrać świętopietrze osobno przez osobnych swoich agentów i osobno takowe wysłać na ręce Ojca św., aby pokazać, że ich jest dużo i że coś też znaczą.

„Przez takie postąpienie Francuzów ogólna suma świętopietrza wysyłana dotąd przez urzędy diecezjalne znacznie będzie mniejszą niż zawsze, gdyż Francuzi prześlą swoje świętopietrze

osobno. Skutek będzie ten, że tym sposobem okażą władzom papieskim siłę swych żądań o danie im biskupów i księży francuskiej narodowości (will demonstrate to the Papal authorities the force of the demand for French bishops and priests in New England).

Z dnia 9 sierpnia 1906.

194. **Rabin i beczka wina.**

Ks. Antoni Drewnicki i ks. Władysław Przybylski nadesłali ofiary na kościół w Ripon.

Pewien ksiądz z zachodu wyraża swe zdziwienie, że składki na odbudowanie kościoła w Ripon tak skąpo napływają i oskarża rodaków o brak ofiarności. Ja tego zdania nie podzielam. A jeżeli, z początku zwłaszcza, składki skąpo napływały, to przyczyną tego nie tyle był brak ofiarności ile raczej to powszechne w takich razach mniemanie, że **inni już dosyć dadzą,** więc moja ofiara tam zbyteczna. W tego rodzaju odezwach do ofiarności publicznej zawsze powtarza się mniej lub więcej owa stara historja o rabinie i beczce wina, jaką w darze dostał od współwyznawców.

Gmina żydowska na zebraniu uchwaliła podarować swemu rabinowi beczkę najlepszego wina „tokaja" na urodziny. W domu jednego ze starszych gminy ustawiono beczkę odpowiedniej objętości. Każdy żyd do tej beczki miał wlać kwartową flaszkę wina; i obrachowano, że gdy każdy to uczyni, beczka będzie pełna. I każdy też istotnie przychodził z flaszką kwartową i wlewał jej zawartość do beczki. Żydek sprytny pomyślał:

— Na co ja mam wina dolewać? Kiedy inni już wina doleją, to ja mogę kwartę wody dolać. To nic nie zaszkodzi i nikt, ani rabin tego nie spostrzeże.

I żeby to tylko jeden żydek był tak rozumował, byłoby półbiedy. Lecz niestety każdy jeden z całej gminy tak sprytnie myślał. I w ten sposób rabin, zamiast beczki wina, dostał na urodziny swoje beczkę wody w podarunku.

I tak to często bywa, że przyczyną skąpych składek na cele dobre bywa ta złudna myśl i nadzieja, że przecie **inni już dosyć dadzą,** więc ja nie potrzebuję dawać. Albo ta również złudna i zwodnicza myśl:

— Nie mogę tak wiele dać jak inni, a mało dawać się nieopłaci.

Te to złudzenia i mamidła bałamucą wielu i powstrzymują od dobroczynności. Precz z takiemi błędnemi ognikami! Kierujmy się tą zasadą Pisma św., opartą na prawdzie i rzeczywistości:

— Masz wiele, daj wiele. Masz mało, daj mało — ale daj!

Bo ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

(Po tem — czy dlatego? — składki na kościół w Ripon posypały się jak z rogu obfitości. Jan Stróżyk z Milwaukee dał 50 dolarów; a z Ripon p. James Fenelon, potomek sławnego biskupa francuskiego Fenelona, dał okrągłe 100 dol.)

195. **Polski biskup jeszcze nie przyjechał, a nasi przeciwnicy już ze strachu truchleją.**

Arcybiskup Weber jeszcze gdzieś daleko za oceanem, a nasi najserdeczniejsi (którzy na zjeździe Amerykańskiej Federacji Katolickiej zeszłego tygodnia takie ładne słówka o równouprawnieniu wypowiedzieli) już drżą ze strachu na samą myśl, że polski biskup ma przyjechać do Ameryki i na stałe tu osiąść w Chicago. Czytaj kto chcesz „The Catholic Citizen" z Milwaukee, „Western Watchman" z St. Louis, „The Catholic Transcript" z Connecticut, a uśmiejesz się serdecznie z ich panicznego strachu.

A już tego ciasne głowy w żaden sposób pojąć nie mogą, jak **polski biskup** opiekować się może **Polakami w Ameryce.** Przecie to **ich** specjalność. Tak jak nieprzymierzając ksiądz Scholter w Oshkosh, Wis., długo się oswoić nie mógł z tą myślą, jak **polski proboszcz** może się opiekować **Polakami w Oshkosh.** Taką to jest moc przyzwyczajenia, że staje się drugą naturą człowieka. Consuetudo altera natura. Ajrysze i Niemcy tak się przyzwyczaili rządzić Polakami, że im bez tego nijak na świecie.

Wprawdzie biskup Muldoon powiedział: It takes a Pole to rule the Poles and it takes au Irishman to rule the Irish. Ale to tylko teorja ajryska. Praktyka ajryska nie jest wynikiem lecz przeciwnikiem tej teorji.

155. Arcybiskup Weber klinem w głowie Irlandczyków. — Każdy początek jest mały, więc i początek biskupstwa polskiego. — Francuzi winszują nam Polakom.

196. **Arcybiskup Weber klinem w głowie Irlandczyków.**

Wieść o przyjeździe arcybiskupa Webera ogromnego klina wbiła w głowy Irlandczyków. Irlandzko-katolicki „West. Watchman" przyznaje bez ogródki, że ta wieść poruszyła do żywego cały

episkopat amerykański. „Stirred up", to znaczy prawie tyle co: kijem w gniazdo szerszeni uderzyła.

Milwaucki znowu „Catholic Citizen" z 11 sierpnia 1906 r. umieszcza artykuł p. t. „The Polish Bishop Pro and Con" (Polski Biskup, za i przeciw), który w tłumaczeniu brzmi tak:

„Agencja prasy stowarzyszonej jeszcze ciągle się interesuje sprawą przyszłego biskupa polskiego dla Ameryki. Pierwsza wieść była ta, że arcybiskup Weber przyjeżdża do Ameryki, aby objąć pieczę nad duchownemi potrzebami Polaków w tym kraju (ta wieść pochodzi z najlepszego źródła, bo z lwowskiej „Gaz. Kościelnej"). Potem zaprzeczono temu na podstawie powagi ks. Franciszka Muellera z Detroit (odkąd ta powaga nabrała w oczach Irlandczyków takiego znaczenia?) i przyjazd arcybiskupa Webera wytłumaczono w taki sposób: Arcybiskup Weber był biskupem koadjutorem, ale zrezygnował, żeby wstąpić do zakonu Zmartwychwstańców, których specjalnym obowiązkiem jest opiekować się Polakami, wygnanymi z ojczyzny. Arcybiskup Weber został przełożonym tego zakonu i przyjeżdża jako ojciec zmartwychwstaniec a nie jako arcybiskup.

„Jeszcze smarowidło drukarskie nie uschło na czcionkach, drukujących to zaprzeczenie ks. Fr. Muellera, a już z Detroit znowu nadchodzi telegram, że prośba polskich katolików o reprezentację w hierarchji została wysłuchaną. Telegram ten powtarza ową pierwotną wieść o arcybiskupie Weberze i dodaje nadto, że wielu prałatów domowych i monsignorów z pomiędzy kleru polskiego zostanie zamianowanych.

„Władza diecezji chicagoskiej (officials of the Chicago dioces) oświadcza, że wieść, jakoby polski arcybiskup miał osiąść w tem mieście (Chicago), jest całkiem bezpodstawną. Żaden biskup nie mógłby być mianowanym w obrębie terytorjum arcybiskupa Quigley'a bez tegoż wiedzy i aprobaty, tak powiadają. A nadto, byłoby to zupełnie nie na miejscu naznaczać arcybiskupa dla jakiejś poszczególnej narodowości w tym tu kraju, gdyż wywołałoby to konflikt z władzą każdego biskupa mającego odnośną narodowość reprezentowaną (?) w swojej diecezji. (Bądźcie spokojni! Arcybiskup Weber ma pod tym względem doskonałe doświadczenie, przyjeżdża bowiem z archidiecezji lwowskiej, gdzie **na jednem i temsamem terytorjum** rządzi od wieków aż trzech arcybiskupów bez obawy jakiegokolwiek konfliktu władzy!)

„Jeśli mianowanie arcybiskupa Webera stałoby się faktem, tak dalej utrzymują, to w takim razie rozmaici biskupi amerykańscy straciliby juryzdykcję nad swoimi polskimi księżmi (o zgrozo! kto widział, żeby nad **polskimi** księżmi miał być **polski** biskup? chyba koniec świata!), i w ten sposób byłyby dwie głowy w każdej diecezji" (tak, jeśli ziemia stanowi diecezję a nie dusze; a iluż to proboszczów jest na temsamem terytorjum w Ameryce? czyż dlatego jest dwóch proboszczów w jednej parafji?).

„Wieść, że arcybiskup Weber ma przyjechać do tego kraju, jest prawdziwą" (przynajmniej tyle nam przyznają!), „a że ma mieszkać w Chicago, to jest także możliwem" (Bogu dzięki, że i to nam Irlandczycy przyznają, że polski biskup **może mieszkać** w Chicago! Ale oto zastrzeżenie, pod jakiem mu pozwalają mieszkać w Chicago:)

„Może przyjechać do Chicago, ale nie jako arcybiskup, lecz jako przełożony zakonu Zmartwychwstańców."

Innemi słowy, prasa irlandzko-katolicka w bezgranicznej swej pysze i głupocie zarazem pozwala łaskawie arcybiskupowi Weberowi przybyć do Ameryki, ale stawia mu następujące warunki:

— Zostaw infułę i pastorał w Rzymie, a tu do Ameryki przybywaj li tylko w pasku zmartwychwstańczym, bo inaczej my ajrysze stracilibyśmy juryzdykcję nad Polakami, która przecie z prawa Bożego i ludzkiego nam się należy a nie polskiemu biskupowi!

Ale mocniejszy Pan Bóg niż pan Rymsza. Arcybiskup Weber nie pytał się i nie będzie się pytał Irlandczyków o pozwolenie, w jakim charakterze ma tu do Ameryki przybyć, czy w charakterze arcybiskupa czy zakonnika tylko. Jedynym, którego pod tym względem arcybiskup Weber się pytał i będzie pytał, to papież czyli Pasterz nad pasterzami, nawet irlandzkimi. Papież nie cofnie danego nam słowa, lecz powie:

— Jeśli nie Weber, to inny; ale biskup polski w Ameryce musi być!!

Historja się powtarza. Mianowicie powtarza się ta historja przyjazdu arcybiskupa Symona z roku zeszłego. O, jak trudne są początki biskupstwa polskiego w Ameryce! I dlatego musi ono być wielkiem dziełem Bożem. Digitus Dei est hic — palec Boży jest tu. Początek biskupstwa polskiego w Ameryce jest trudny i — mały.

197. **Każdy początek jest mały.**

Redaktor „Polaka w Ameryce" w długich artykułach udowadnia, że przyjście arcybiskupa Webera do Ameryki będzie ma-

łem i nieznacznem; bo nie przyjedzie tu z pompą i majestatem, z pełną władzą arcybiskupią, lecz w postaci ubogiego i skromnego zakonnika. I my się zgadzamy w zupełności na to zdanie p. Ślisza. Bo do czasu ajrysze na swojem postawią! Lecz nie możemy się zgodzić na wniosek, jaki stąd wysnuwa.

Niech się pan Ślisz nie gniewa, że mu powiemy tę prawdę, iż rozumowanie jego i wywody o przyjściu arcybiskupa Webera są kubek w kubek podobne rozumowaniom Żydów oczekujących przyjścia Mesjasza. Żydzi sądzili, że ich Mesjasz musi przyjść na ten świat odrazu w pełnym blasku i majestacie. A gdy się narodził ubogo w stajence, nie przyjęli go, bo mówili:

— Cóż to mi za król, który berła nie ma w ręku, a zamiast na tronie siedzieć, w żłóbku leży?

„Polak w Ameryce" zaś sądzi, że arcybiskup Weber musi przyjść do Ameryki odrazu z pełną władzą i juryzdykcją arcybiskupią nad Polakami. A jeśli przyjdzie ubrany li tylko w ubogie szaty zakonne, bez pastorału i bez tronu biskupiego, to Polonji amerykańskiej nie zbawi!

Choć zazwyczaj trafne są wywody i rozumowania „Polaka w Ameryce", to jednak te co do przyjścia arcybiskupa Webera zdają nam się być całkiem mylne i błędne. Pan Ślisz raczy pamiętać, że chodzi tu o **początek** biskupstwa polskiego w Ameryce. A każdy początek jest mały i nieznaczny. Nie odrazu Kraków zbudowano. A początek czyli poczęcie człowieka? Jak małem jest, jak wątłem i nieznacznem! A początek wielkich drzew, jak dębów, czy nie z małego ziarnka pochodzi? A owo wielkie drzewo Kościoła Chrystusowego, czyż w początkach swoich nie było przyrównane do ziarnka gorczycznego?

Tak! Pamiętajmy zawsze o tej prostej ale wielkiej prawdzie, że każdy początek z natury rzeczy jest i musi być małym i nieznacznym: że takim więc musi być i początek biskupstwa polskiego w Ameryce.

Z triumfalnym przyjazdem arcybiskupa Symona zeszłego roku Polonja amerykańska obchodziła swoje zaślubiny z Rzymem i wesele wspaniałe. Teraz z przyjazdem arcybiskupa Webera obchodzi urodziny biskupstwa polskiego w Ameryce. Wesele zawsze zwykło się obchodzić z większą pompą niż urodziny. A urodzin, gdy są poronionym płodem, wcale się nie obchodzi.

Z dnia 18 sierpnia 1906.

198. **Francuzi winszują nam Polakom.**

Pomimo zaprzeczeń z przeciwnego obozu, francuscy katolicy wierzą w zwycięstwo naszej sprawy. „L'Independant", francusko-katolicki dziennik, wychodzący w Fall River, Mass., ogłasza tłustemi czcionkami następujący wstępny artykuł od redakcji:

„Polacy katolicy wygrywają swoją sprawę.

„Po długiej dopiero walce, w czasie której Polacy byli wystawieni na gorzkie wymówki i niesprawiedliwe krytyki ze strony swoich współwyznawców angielskiego języka, Rzym nareszcie uznał ich prawo, że mają mieć biskupa swojej narodowości za duchownego przewodnika.

„Tym biskupem jest Mgr. Weber, który z Polski przeniesiony zostaje do Stanów Zjednoczonych, gdzie obejmuje naczelne kierownictwo wszystkich kościołów polskich.

„Polacy w Ameryce zawdzięczają we wielkiej części swoje powodzenie księdzu Kruszce z Ripon, Wisconsin, który podróżował do Rzymu w interesie sprawy mającej teraz być uwieńczonej zwycięstwem.

„My winszujemy tak Polakom katolikom jak i ich dzielnym przewodnikom, którzy swoją wytrwałością i pracą doprowadzili do dobrego skutku swoje doniosłe przedsięwzięcie.

„Wszyscy oni spełnili swój obowiązek szlachetnie i sumiennie.

„Wszyscy oni walczyli z ostateczną energją, lecz nie bez względnego szacunku dla powag ustanowionych w Kościele amerykańskim; i oto dlaczego bezwątpienia papież dał się poruszyć ich prośbami i błaganiami.

„Przyjazd arcybiskupa Webera do Ameryki będzie miał wielką doniosłość dla tych katolików amerykańskich, których język macierzyński nie jest angielskim.

„W rzeczy samej mianowanie tego biskupa potwierdza na nowo i uroczyście to prawo, jakiegośmy bronili od dłuższego czasu, mianowicie: że **wszystkie narodowości powinny być reprezentowane w hierarchji katolickiej Stanów Zjednoczonych.**

„A więc francusko-amerykańscy katolicy nie powinni także tracić nadziei, że prędzej lub później — a raczej prędzej niż później

— będą mieli biskupów swojej narodowości i w tych diecezjach, w których są w większości".

Tak przemawia francuski „L'Independant".

Prasa katolicka innych narodowości przemawia w tym samym tonie. Słowem wszyscy, których ojczystym językiem nie jest angielski, — a takich jest olbrzymia większość w Stanach Zjednoczonych — cieszą się z wygranej Polaków i nasze zwycięstwo uważają za swoje zwycięstwo.

156. Powagę papieską przedstawiają jako chorągiewkę na dachu. — Dlaczego się tak boją arcybiskupa Webera? — Weber ma przyjechać jako Misjonarz Apostolski. — Poświęcenie kamienia węgielnego w Ripon. — Język angielski i w raju i w piekle.

199. **Powagę papieską przedstawiają jako chorągiewkę na dachu.**

Przeciwnicy sprawy naszej postarali się w tych dniach znowu o telegram prasy stowarzyszonej, który rzekomo ma pochodzić z Watykanu od samego papieża. (W Watykanie obecnie jest arcybiskup Quigley z Chicago.) Podług tego telegramu papież miał powiedzieć, że nieprawdą jest, jakoby arcybiskup Weber miał przybyć do Ameryki w charakterze arcybiskupa mającego objąć pieczę nad Polakami; lecz że przybędzie li tylko w charakterze zakonnika i jako przełożony zakonny weźmie tylko Zmartwychwstańców w swoją opiekę.

Takimi bałamutnymi telegramami nasi przeciwnicy, może mimo woli i mimo wiedzy, poniżają jednak istotnie powagę papieską. Publiczność, tak katolicka jak i akatolicka, czytając takie sprzeczne telegramy, musi chyba pomyśleć sobie, że zdanie papieża w kwestji biskupów polskich zmienia się codzień za lada powiewem opinji, jak chorągiewka na dachu. Daliby więc spokój tym ciągłym zaprzeczeniom tego, co papież powiedział. Alboż chcą wyrobić u publiczności opinję, że słowo papieskie zmienia się jak wiatr? Cui bono? Czyby Weber miał być poronionym płodem?

Jeśli nie Weber, to inny; ale biskup polski w Ameryce musi być! Na czem opieram tę pewność? Na słowie papieskiem! A słowo papieskie, to nie wiatr, to skała Piotrowa, której nie skruszy ani nie wzruszy ani tysiąc biskupów amerykańskich. Papież rzekł nam stanowcze słowo w tej nasze sprawie, mianowicie, że „decyzja nastąpi czemprędzej i to podług waszych życzeń" — i tego

też słowa papież nie zmieni. Najwyższa powaga w Kościele katolickim nie jest chorągiewką na dachu, za jaką nam ją przedstawiać chcą przeciwnicy nasi.

My wierzymy mocno, że słowo papieskie to słowo szlacheckie. A słowo szlacheckie musi być stałe. Według przysłowia: Verbum nobile debet esse stabile.

Że nawet redaktorzy **angielsko**-katolickich gazet niedowierzają owym bałamutnym telegramom, choć je ogłaszają: tego dowód najlepszy ten, że po każdorazowem publikowaniu takich telegramów listownie, a nawet telegraficznie (jak niedawno np. ze St. Louis) zasięgają u mnie informacji, czy to prawda, że arcybiskup Weber tu przyjedzie w charakterze arcybiskupa, i tym podobnie.

200. **Dlaczego się tak boją tego arcybiskupa Webera?**

Dlaczego się tak boją nasi najserdeczniejsi tego arcybiskupa Webera? Czy on niby Napoleon ze trzystatysięczną armją wybiera się tu do Ameryki celem zawojowania episkopatu amerykańskiego?... Przecież wyraźnie powiedziano (w lwowskiej „Gazecie Kościelnej“), że ma przybyć tu celem objęcia pieczy nad Polakami **w zależności od tutejszych biskupów!** Czyż toby miało być coś strasznego?

A jeśli z woli Ojca św. ma objąć pieczę nad Polakami, toć musi zachować charakter biskupi, mając być episcopus czyli dozorca, opiekun.

Wszak i biskupi amerykańscy zupełnie tak samo postępują z proboszczami irlandzkimi, jak papież teraz chce z nimi postąpić. Bo kiedy w jakiejś osadzie przy kościele irlandzkim osiądzie znaczna liczba Polaków, to biskup posyła irlandzkiemu proboszczowi polskiego asystenta do pomocy, aby objął pieczę nad Polakami w zależności od proboszcza. Papież jako pasterz nad pasterzami teraz to samo chce zrobić: irlandzkim biskupom ordynarjuszom chce przysłać polskiego biskupa asystenta. I tyle.

201. **Arcybiskup Szeptycki wybiera się do Ameryki.**

Arcybiskup hrabia Szeptycki, lwowski metropolita grecko-katolickiego obrządku, wybiera się z wiosną przyszłego roku do Ameryki. W jakim celu, nie trudno zgadnąć. Kiedym jako delegat bawił w Rzymie, tamtejszy rektor kolegjum ruskiego złożył mi wizytę i pytał, czyby dla Rusinów w Ameryce nie trzeba osobnych biskupów.

Składek na odbudowę kościoła w Ripon nie zbierałem po domach lub w kościele chodząc od ławki do ławki, lecz siedząc

w przedsionku kościelnym lub w szkole parafjalnej albo hali odbierałem ofiary i spisywałem zarazem imię i nazwisko każdego ofiarodawcy. Taki sposób kolektowania był o wiele korzystniejszy. W ten sposób 21 sierpnia 1906 w parafji św. Józefata w Milwaukee zebrałem 249.15 dolarów. A 19 sierpnia 1906 w parafji św. Jacka w La Salle, Ill., zebrałem 166.66 dolarów po wygłoszeniu kazania.

Z dnia 23 sierpnia 1906.

202. **Arcyb. Weber ma przyjechać jako Misjonarz Apostolski.**

Milwaucki „Catholc Citizen" z 18 sierpnia 1906 podaje specjalną korespondencję z Rzymu w sprawie przyjazdu arcybiskupa Webera do Ameryki. Korespondent rzymski, znany nam pan William J. D. Croke, pisze z Rzymu 1 sierpnia 1906:

„Wczoraj z ust pewnej powagi dowiedziałem się i skrzętnie zanotowałem sobie co następuje:

„**Stolica święta** — a nie Propaganda — **zadecydowała** jakiś czas temu **posłać** arcybiskupaWebera jako **Misjonarza Apostolskiego** do Stanów Zjednoczonych, aby bierzmował, kazania prawił (za pozwoleniem biskupów ordynarjuszów, święcił, pontyfikalne funkcje sprawował itd. nietylko jako sufragan i koadjutor, ale jako Misjonarz Apostolski. Nie będzie on miał juryzdykcji. Będzie on miał listy (od sekretarjatu stanu prawdopodobnie) uwierzytelniające go wobec biskupów, w których diecezjach znajduje się znaczna liczba Polaków.

„**To jest początek** w celu zadowolenia Polaków. A nadto, sprawa ta doznała teraz nowego poparcia od..."

„Lecz mój łaskawy informator (dodaje tu p. Croke) zabronił mi pisać więcej".

Na odbudowę kościoła w Ripon nadesłał ks. K. G. 20 dol., ks. Michał Wenta od parafjan w Beaver Dam, Wis. 62.42 dol.; Józ. Danisiewicz z Shamokin, Pa., 5 dol. Tow. ś. Michała z Bay City, Mich.. 10 dol., Tow. Górników ś. Barbary z Bay City, Mich. 5 dol., Tow. T. Kościuszki z Ashland, Wis., 10 dol. Nie notuję tu mniejszych ofiar. Ripońscy parafjanie dali po 25 dolarów, a niektórzy więcej.

Ks. arcybiskup Messmer oglądał ruiny starego kościoła, ale kamień węgielny pod nowy kościół św. Wacława w Ripon poświęcił 26 sierpnia 1906 ks. Bronisław Celichowski z Milwaukee.

Z dnia 30 sierpnia 1906.

203. **Adam miał mówić po angielsku.**

Yankesi na poparcie zagrożonej angielszczyzny wynaleźli nowy argument. Organ biskupa Tierney „The Catholic Transcript"

z Connecticut z dnia 23 sierpnia 1906 przytacza następującą zabawną historję. Wychwalając język angielski, że jest „wzniosły, szlachetny, męski, poważny", pisze w dalszym ciągu tak (proszę się nie śmiać!):

„Podług nowego odkrycia angielski język jest najstarszym ze wszystkich żyjących i nieżyjących języków. Tym językiem najpierw mówiono na świecie. Obok angielskiego, babiloński, asyryjski i hebrajski język są nowej daty. Angielski trzyma palmę pierwszeństwa pod względem starożytności. **Bo i Adam, jak się pokazuje, mówił po angielsku.** I tak samo Stwórca wszech języków na początku wieków używał języka angielskiego".

To zadziwiające odkrycie Yankesi zawdzięczają pewnej starej pannie z Missouri, badaczce Pisma św.

204. **Ale i w piekle nawet mówią tylko po angielsku.**

Jak już, to już. Jak już wszędzie, to i w piekle. Podług innej wersji potępieni w piekle mają mówić nie innym tylko angielskim językiem. Bo oto co opowiadał pewien Dominikanin biskupowi Peter O'Reilly z Peoria, Ill.

Pewien Irlandczyk bawiąc w Rzymie ciężko zachorował tak, że był już bliskim śmierci. Żona go upominała, by wezwał księdza i odbył spowiedź świętą. Na to stary ajrysz do żony:

— Żonusiu, chętnie się wyspowiadam, **ale tylko po ajrysku.** Po angielsku za nic w świecie nie będę się spowiadał.

Żona mu tłumaczy:

— Ależ tu żaden ksiądz po ajrysku mówić nie umie. Musisz więc po angielsku się wyspowiadać. A jeśli po angielsku się nie wyspowiadasz, to pójdziesz do piekła.

— A niech sobie pójdę i do piekła — odrzekł twardy ajrysz — ale po angielsku nie będę się spowiadał.

Lecz żona nie dała za wygraną. Wpadła na koncept i rzekła:

— Mężu, czy nie wiesz, że w piekle mówią tylko po angielsku?

Tym przekonywującym argumentem jakby piorunem rażony i przerażony ajrysz woła:

— Hę? Co mówisz? W piekle mówią tylko po angielsku? Jeśli tak, zawołaj mi natychmiast księdza. Wyspowiadam się choćby po angielsku!

I wyspowiadał się już po angielsku z obawy, by się nie dostać tam, gdzieby wiecznie musiał mówić po angielsku.

Taki wypadek miał się rzeczywiście zdarzyć w Rzymie. Która z tych powiastek jest prawdziwą, czy ta, że w raju mówiono po angielsku, czy też ta, że w piekle mówią tylko po angielsku?

157. Tu, tam i wszędzie Polak Polakiem będzie a Anglik Anglikiem będzie! — Abp Symon o abpie Weberze. — Tajna dyplomacja w Ameryce nie na miejscu.

205. **Tu, tam i wszędzie**
Polak Polakiem zawsze będzie!

Będąc niedawno temu w Peru, Ill., gdzie proboszczem jest ks. Kazimierz Truszyński, prezes Federacji i Wydziału Wykonawczego, widziałem na tamtejszej szkole św. Walentego wyryty w kamieniu taki napis:

Tu, tam i wszędzie
Polak Polakiem zawsze będzie!

Nie jest to tylko piękny frazes. W tych słowach mieści się głęboka prawda, dotycząca nietylko polskiej ale i innej narodowości w Ameryce. My, Polacy, lgnący tak chętnie do wszystkiego, co obce („cudze chwalicie, swego nie znacie" powiedział W. Pol, a Słowacki nazwał Polskę „papugą narodów"), sądzimy, że i inne narodowości tak samo lgną do wszystkiego, co obce, że i tu w Ameryce wyzuwają się ze swojej skóry i porastają w pióra „amerykańskiej" narodowości.

Humbug! Właśnie o Anglikach zwłaszcza i o Irlandczykach można to z całą prawdą powiedzieć:

Tu, tam i wszędzie
Anglik Anglikiem zawsze będzie.

I tak samo „Irlandczyk Irlandczykiem zawsze będzie", choć już nawet język swój utracił. Tylko płytkie umysły, nie umiejące wnikać w istotę rzeczy, nie widzą tej prawdy. Sądząc z pozorów — a pozory mylą — myślą, że Anglik lub Irlandczyk tu w Ameryce uległ jakiejś metamorfozie i przedzierzgnął się w jakąś odrębną narodowość „amerykańską".

Dopókiż takimi pozorami łudzić się będziemy? Przecież sami Anglicy i Irlandczycy codzień nowych dostarczają nam dowodów, że przybywszy do Ameryki, swej skóry angielskiej lub irlandzkiej

wcale nie zwlekli, lecz pozostali tu pod względem narodowym tem czem byli w Anglji lub Irlandji. A tylko dla zamydlenia nam oczu zwią się „Amerykanami".

Świeży dowód mamy w dwóch gazetach chicagoskich. Jedną jest najwpływowszy dziennik p. t. „The Chicago Daily Tribune", a drugą jest tygodnik irlandzki „The New World", organ arcybiskupi. Obydwie naturalnie noszą nazwę „amerykańskich" gazet: pod tym płaszczykiem amerykanizmu ukrywając swoją właściwą i prawdziwą narodowość.

Ale prawda jak szydło z worka amerykanizmu na wierzch wychodzi. Bo oto z „New Worldu" dowiaduję się, że dziennikiem „Tribune" kierują świeżo **z Anglji** sprowadzeni redaktorzy, którzy też wszystko **co angielskie** chwalą jako **prawdziwie amerykańskie,** a wszystko **co nie angielskie** ganią jako **nie amerykańskie.** Polaków naprzykład osiadłych oddawna, a nawet urodzonych już w Chicago ci pismacy od „Tribuny" świeżo z Anglji przybyli śmią ciągle jeszcze pogardliwie nazywać „foreigners" (bo to nie Anglicy!).

Ale o to się nie troszczy irlandzki „New World". Co do żywego go ubodło, to to, że ciż pismacy angielscy od „Tribuny" w pewnym numerze zaczęli urągać, wyśmiewać się i szydzić z Irlandczyków chicagoskich. Wtedy to dopiero „New World" zrzucił z siebie maskę amerykanizmu, zdarł tę samą maskę z „Tribuny" i zaczęła się między tymi par excellence „amerykańskimi" gazetami walka z otwartą przyłbicą, z odsłoniętą twarzą narodową, walka irlandzkiej z angielską narodowością.

Tak tedy sprawdza się to, że „tu i tam", tak tu w Ameryce jak i tam w Europie Anglik Anglikiem, a Irlandczyk Irlandczykiem zawsze będzie. Zarówno więc piękne jak i prawdziwe hasło wypisał na swej szkole ks. Truszyński: Tu, tam i wszędzie Polak Polakiem zawsze będzie. Oby był i raz przecie przejrzał, że nie przystoi mu zawsze być tylko „papugą narodów" lecz że potrzeba mu zostać samym sobą, bo tylko przez szanowanie swojej godności i tożsamości narodowej zdobędzie szacunek i poszanowanie u innych narodów.

Anglicy i Irlandczycy ku większej uciesze swojej chcieliby z nas mieć małpy naśladujące ich język, zwyczaje i obyczaje. **Czy zgodzimy się na tak śmieszną rolę?** Nie, przenigdy!

Polak Polakiem i tu w Ameryce zawsze będzie, a nie będzie małpą naśladującą Anglika lub ajrysza!

Z dnia 1 września 1906.

206. **Wszystko jedno jakiej narodowości jest biskup. Teoria a praktyka.**

Od Irlandczyków tam, gdzie Irlandczycy są biskupami, a od Niemców tam, gdzie Niemcy są biskupami, słyszy się nieraz takie zdanie:

— Wszystko jedno jakiej narodowości jest biskup!

Wybornie! I my Polacy w Ameryce tej zasady się trzymamy i **o tę zasadę ciągle walczymy**, że i Irlandczykom i Niemcom powinno być wszystko jedno, jakiej narodowości jest biskup: że więc i Polaka do biskupstwa dopuścić powinni. A czy Irlandczycy i Niemcy w praktyce postępują podług tej przez siebie głoszonej zasady? Nie! Pchają wszędzie **tylko swoich rodaków** na urzędy kościelne i poruszają wszelkie sprężyny tutaj i w Rzymie, by tylko innej narodowości do władzy nie dopuścić.

Jeżeli, jak głosicie, wszystko wam jedno jakiej narodowości jest biskup lub wikarjusz generalny, to dlaczego sami tak twardo obstajecie przy tem, żeby biskup był **waszej** narodowości? dlaczego otaczacie się wikarjuszami generalnymi i kanclerzami **waszej** tylko narodowości? Dlaczego? Bo inaczej mówicie a inaczej czynicie! Teorja wasza od waszej praktyki tak daleką jest jako niebo od ziemi. Praktyka wasza nie jest wynikiem lecz przeciwnikiem teorji waszej.

207. **Pytanie od kogo to zaprzeczenie pochodzi?**

Niemiecko-katolicki „Der Wanderer" z St. Paul, Minn. w redakcyjnych uwagach pisze pod tytułem „Zur Polnischen Bischofsfrage" co następuje:

„Podaliśmy wiadomość, że arcybiskup Weber przyjedzie do Ameryki jako biskup do Polaków. Teraz **z Rzymu** nadchodzi telegraficzna wiadomość, że nieprawdą jest jakoby abp. Weber mianowany był biskupem dla Polaków w Ameryce.

„Rozchodzi się teraz tylko głównie o to — dodaje „Wanderer" — **od kogo** z Rzymu to zaprzeczenie pochodzi?"

Tak; to najważniejsze pytanie, na które dotychczas odpowiedzi niema. Może chicagoski arcybiskup Quigley, bawiący w Rzymie, mógłby nam odpowiedzieć na powyższe pytanie.

Z dnia 6 września 1906.

208. **Arcybiskup Symon o arcybiskupie Weberze.**

Jak donosi „Dziennik Chicagoski", to sam arcybiskup Symon w liście pisanym do pewnego księdza chicagoskiego potwierdza

najzupełniej tę wiadomość, że arcybiskup Weber ma przyjechać do Ameryki nietylko jako zmartwychwstaniec lecz także jako arcybiskup. Albowiem tak pisze abp. Symon — gdy Ojciec św. „wspominiał o misji ks. Webera jako zmartwychwstańca w Ameryce, oświadczył, że pozostawia mu tytuł arcybiskupa i że kiedy będzie w Ameryce, poleci go amerykańskim biskupom, aby w potrzebie mógł im być **pomocnym w sprawach tyczących się Polaków tamtejszych**".

To skromny wprawdzie początek biskupstwa polskiego w Ameryce, ale jak na początek zupełnie wystarcza. Każdy początek z natury rzeczy musi być mały i nieznaczny. A że to tylko jest początek, a nie koniec tej sprawy, tego dowodzą następujące słowa arcybiskupa Symona w tymże liście podane:

„Sprawy biskupów polskich w Ameryce wcale to nie przesądza, zajmuje się nią Propaganda całkiem niezależnie od wstąpienia ks. Webera do Zgrom. OO. Zmartwychwstańców. Tylko że w Rzymie wszystko idzie bardzo powolnie..."

Wyborna rzecz! Bardzo jesteśmy wdzięczni abpowi Symonowi za tę wiadomość...

209. **Arc. Weber to widać charakter szczery i otwarty.**

Abp. Symon w tymże liście wyraża takie zdanie o arc. Weberze:

„Do niepotrzebnych gawęd o sobie dał powód sam arcyb. Weber, ogłosiwszy na pożegnaniu we Lwowie to, co mu całkiem poufnie powiedział był Ojciec św. (że ma objąć pieczę nad Polakami w Ameryce).

Z tego zdania my tu w Ameryce inny wniosek wysnuwamy. Mianowicie ten, że jeżeli arcybiskup Weber uważał za stosowne ogłosić to, co mu był powiedział Ojciec św., to widoczna rzecz, że mu Ojciec św. nie powiedział tego **poufnie**, pod sekretem. Nie była to bynajmniej sprawa prywatna lecz sprawa publiczna, dotykająca ogółu. A w sprawie, dotyczącej ogółu, czemuż ten ogół nie miał się dowiedzieć, co Ojciec św. powiedział? Tylko tak zwana „wyższa" czyli fałszywa dyplomacja, posługująca się obłudną i kłamstwem każe takie sprawy w tajemnicy trzymać. Ta szatańska **tajna dyplomacja** prędzej czy później musi Europę doprowadzić do ruiny. Prawdziwa dyplomacja opiera się na szczerości i prawdzie. Prawdą zawsze najdalej się zajdzie. Kłamstwem wprawdzie świat przejdziesz ale niem nie wrócisz.

Powyższe tedy zdanie o arcybiskupie Weberze odsłania nam w jego charakterze rys jeden bardzo piękny i szlachetny. Arcybiskup widać jest szczerym i otwartym. Co myśli to mówi. **Co wie, to powie** o sprawie dotyczącej ogółu (bo o prywatnych sprawach milczenie jest na miejscu). Takiego nam właśnie potrzeba zwłaszcza tu w Ameryce, gdzie wszelkie sprawy **publiczne publicznie** się omawia i traktuje.

Szczerość i otwartość jest podstawą społecznych stosunków, a obłuda i kłamstwo jest ich grobem. Dzięki tej obłudnej i fałszywej dyplomacji tak zwanej „wyższej" dosyć już stosunków społecznych się potargało lub nawet pozrywało. Precz z „wyższą" dyplomacją! Jeżeli gdzie, to w sprawach dotyczących ogółu stosuje się ta zasada Chrystusowa: quod in aure auditis, praedicate super tecta — „co na ucho słyszycie, opowiadajcie na dachach", to jest jawnie i publicznie! A „niech mowa wasza będzie tak, tak, nie, nie" — a nie wymijająca i wykrętna, bo wykręty nawet świeckiej dyplomacji nie przystoją.

158. Głosy z Polski. — Kościół jest to kocioł! Tak twierdzi organ biskupa z Cleveland. — Główne zadanie zakonników. — „Nur Lumpen sind bescheiden".

Tymczasem dały się słyszeć głosy z Polski. „Dziennik Poznański" pod koniec sierpnia 1906 pisał:

„Gazety irlandzkie w Ameryce podejrzywają, że Polacy przekupili papieża świętopietrzem... Przeciw insynuacjom irlandzkich gazet występuje w „Kurjerze Polskim", wychodzącym w Milwaukee, ks. Wacław Kruszka, były delegat Polaków do Rzymu. I my też **nie uważamy kwestji biskupów polskich dla Ameryki jako załatwionej** przez wysłanie tam ks. arcybiskupa Webera, byłego sufragana lwowskiego, który w Rzymie tymczasem nowicjat odprawia".

Z Żydaczowa w Galicji pisze mi ks. proboszcz Szymon Gajewski 13 września 1906:

Kochany księże Wacławie!

„W wolnych chwilach odczytuję Twoją Historję i podziwiam Twoją mrówczą pracę... To życie amerykańskie jednak zaciekawia mię bardzo, animuje. Polacy tam pomimo dostatku biedni są: już to zawsze dzieci, które piersi macierzyńskiej nie ssały! W dodatku sprawa biskupstwa polskiego zdaje się w Rzymie

upadła pomimo Twoich tak szczerych i serdecznych zabiegów. **Załatali dziurę arcybiskupem Weberem,** który skończył podobnoć już nowicjat w Rzymie u OO. Zmartwychwstańców i w tych dniach miał podobno już odjechać do Stanów Zjedn., mówią tu, że do Chicago jako zakonnik ale w charakterze wikarjusza apostolskiego dla Polonji amerykańskiej. Co on tam zrobi to nie wiem. Polak z niego nie tęgi, bo Teuton! Ale kapłan wzorowy! Różne tu plotki na niego były, naturalnie oszczerstwa. Co najgorsze, że tu pomiędzy klerem szczerej sympatji nie miał, bo jakoś twardy był i po niemiecku sztywny. Na sufragana w naszej archidiecezji po ks. arcyb. Weberze przeznaczony ks. Bandurski, kanclerz krakowskiego konsystorza, naturalnie z ramienia kniazia kardynała Puzyny. Wszechwładny to kardynał, bo już trzeciego z rzędu robi biskupa w Galicji. Bracia Rusini w Ameryce zdaje się prędzej doczekają się w Rzymie swego biskupa. Rada ich tam duchowna trzyma się silnie za ręce. Protektorem jej niby to metropolita Szeptycki. Może Rzym z obawy przed jakim schizmatyckim biskupem z Rosji sprawę ich tam biskupstwa przyspieszy, chociaż każdy tu pop ruski obecnie radykał i supra Papam, a zdaje się, że i w Ameryce z nimi nie lepiej. Polonja w Ameryce nie powinna dać za wygraną, dopóki nie dostanie rzeczywistych **swoich** przynajmniej kilku biskupów. Ale z ajryszami to nie łatwa rzecz, gmatwają zawsze i cyganią Rzym. Proszę łaskawie przysłać jeszcze dwa ostatnie tomiki Historji".

Ale oto dalsze moje artykuły pod nagłówkiem „Sprawy Kościelne i Narodowe" ogłaszane:

Dnia 15 września 1906.

210 **Czy Kościół, to kocioł?**

Zajadłością przeciw sprawie biskupów polskich rozogniona wyobraźnia niektórych redaktorów irlandzkich majaczy jakby w gorączce lub przystępie obłędu. Co za niedorzeczne i wprost potworne wyobrażenie o Kościele katolickim ma naprzykład taki „Catholic Universe", organ biskupi z Cleveland, O. W artykule, którego sam tytuł:

„The Church as a Merger"
(„Kościół jako kocioł")

już jest wstrętnym i obrzydłym, chce nam Polakom udowodnić, że główne zadanie Kościoła katolickiego jest znieść różnice naredowościowe. Jakby w jednym ogromnym kotle w tym Kościelo

mają być przetopione wszystkie narodowości w jedną jedyną narodowość. Czy ta jedna jedyna narodowość ma być irlandzką? tego nie mówi „Catholic Universe“.

The Church is a great merger — **Kościół jest to wielki kocioł** — tak twierdzi „Catholic Universe“. **Kościół więc** w jego potwornej wyobraźni **to nie Matka** obejmująca wszystkie narodowości jako swoje (różne imieniem i charakterem) dzieci, lecz jest to wielka lejarnia, szmelcownia narodowości. Jest to **wielki kocioł**, w który wrzucone narodowości jako surowce mają się przetopić w jedną kosmopolityczną masę. Kościół jest to pochłaniacz narodowości, ludojad czy narodożerca, jest to moloch pochłaniający i pożerający narodowości.

Siadaj, panie redaktorze od „Catholic Universe“! Kwalifikujesz się na redaktora ludożerców czy katołyków ale nie katolików. Że wy wyłącznie po angielsku mówiący katolicy chcecie wszystkie inne nie angielskie narodowości wchłonąć w siebie, połknąć i pożreć, z tego sądzicie, że i cały Kościół tak chce. Niedoczekanie wasze!

Nie damy wam się pożreć!

A jeśli nas połknąć chcecie gwałtem, staniemy wam kością w gardle! The Church **is not a Merger** absorbing and like a cannibal swallowing up all nationalities, but **is rather a Mother embracing** all nationalities as her children.

Gdyby zadaniem Kościoła katolickiego miało być zniesienie różnic narodowościowych (to obliterate the national lines), toby Duch św. zstępujący na Apostołów nie był udzielił im daru języków **rozmaitych**, lecz byłby uczynił ten równie łatwy dla Niego cud, że wszystkie narodowości mogłyby mówić **jednym** językiem Apostołów!

Unity is the Catholic ideal. Tak, jedność. Ale w czem? czy w narodowości? Nie! Lecz **jedność wiary** w rozmaitości narodów. Oto katolicki ideał! Jeden „wybrany naród“, z którego wyłącznie biskupów się obiera, nie istnieje a przynajmniej nie powinien istnieć w katolickim Kościele. Ideał o „wybranym narodzie“ to żydowski ideał a nie katolicki.

211. **Główne zadanie zakonników.**

Na kursa w kollegjum św. Stanisława K. w Chicago pod opieką OO. Zmartwychwstańców zapisało się w tym roku 75 **nowych** uczniów.

Brawo! Oby ich było się zapisało 10 razy więcej, tak, żeby Ojcowie chicagoscy mało mieli czasu zajmować się innymi interesami jak tylko wychowaniem młodzieży na wychodźtwie; bo to powinno być **głównem** zadaniem Ojców a nie duszpasterstwo w bogatych parafjach.

212. **„Nur Lumpen sind bescheiden".**

„Dziennik Chicagoski" w swojej zbytniej skromności i ultra uległości wobec władz obconarodowych nie śmie krytykować tych pism irlandzkich, które nam Polakom odmawiają wszelkich zasług, zalet i praw w Kościele. Myśli, że skromnością my Polacy dalej zajdziemy. Naiwny! nie wie co genjalny Goethe już powiedział:

„Bescheidenheit ist eine Zier,
Aber man kommt weiter **ohne ihr".**

A z ust samegoż Monsignora Rainera, wikarjusza generalnego archidiecezji milwauckiej, na własne uszy słyszałem i to przysłowie, że

„Nur Lumpen sind bescheiden."
(Tylko szubrawcy są skromni.)

Co i Goethe miał powiedzieć. Takiej zbawiennej zasady trzymają się Niemcy. I dlatego we wszystkiem przodują Słowianom, których skromność i potulność stała się przysłowiową.

Że radaktorzy „Dziennika Chicagoskiego" muszą być skromni w swoich wyznaniach, to rzecz psychologicznie zrozumiała. Ale niech nie ważą się narzucać ogółowi polskiemu tej swojej skromności, bo „nur Lumpen sind bescheiden". Prawi i uczciwi Polacy niech się trzymają tej złotej zasady naszego filozofa Karola Libelta:

„W życiu prywatnem na grzeczności nikt nie traci.
W życiu publicznem na grzeczności każdy traci".

Na odbudowanie kościoła w Ripon nadesłały mi towarzystwa św. Kazimierza i Jadwigi z Bay City, Mich., dol. 15. W Milwaukee od parafjan św. Jadwigi zebrałem dol. 403.00. Towarzystwo Jana Sobieskiego z Grand Rapids, Mich. dol. 13,75.

159. Krew jest gęstsza niż woda i narodowa granica jest znaczniejsza niż rzeka. — Ajrysze ajryszów zaniedbują a Polakami się opiekują. — Quousque tandem?

Z dnia 22 września 1906.

213. **Czem są terytorjalne granice wobec narodowych?**

Ci, co wobec mieszanej ludności katolickiej w tym kraju upierają się tak bardzo przy terytorjalnych granicach **diecezji,**

niech się zastanowią na serjo, czem są te terytorjalne granice wobec narodowych?

Wobec narodowych są one, rzec można, niczem.

Kościół polski w jakiejś miejscowości się spali. W bliskiem, **terytorjalnie** bliskiem sąsiedztwie spalonego kościoła polskiego **w tej samej diecezji terytorjalnej** znajdują się parafje katolickie ale niemieckie lub irlandzkie. Widzą na własne oczy nieszczęście, jakie **ich współdiecezjan** polskich spotkało. A czy śpieszą z pomocą, czy urządzają kolektę na rzecz spalonego **w ich diecezji** kościoła polskiego? Ani im się nie śni.

A przecie **terytorjalnie** te parafje polskie, w skład **ich diecezji** wchodzące, są im **najbliższe!**

Cóż z tego, kiedy **narodowo** są im obce **i dalekie**!

I oto nowy ten w oczy bijący fakt, że polskie parafje katolickie, choć terytorjalnie są najbardziej oddalone i do **obcej diecezji terytorjalnej** należą, są jednak w gruncie rzeczy **bliższe,** (bo śpieszą z pomocą) niż niemieckie lub irlandzkie parafje **z tej samej diecezji terytorjalnej.**

Z tego jasny wniosek, że granice narodowościowe bardziej, realniej i wyraźniej odgraniczają katolików aniżeli terytorjalne.

Dla katolików tej samej narodowości, wobec zwłaszcza ułatwionej dziś komunikacji, terytorjalne granice diecezjalne, rzec można nie istnieją. Polak katolik, choćby należał do obcej diecezji terytorjalnej, choćby terytorjalnie był najbardziej oddalony: jest jednak bliskim dla drugiego Polaka katolika, bo śpieszy mu z pomocą. A Niemiec lub ajrysz katolik, choć z tej samej tak bardzo zachwalanej **terytorjalnej** diecezji, jest jednak bardzo dalekim od Polaka, bo w potrzebie nie śpieszy mu z pomocą. Gdym na ten fakt jednemu Niemcowi zwrócił uwagę, odpowiedział mi:

— To naturalne.

— Tak — odpowiedziałem mu, to **naturalne.** Ale pamiętaj o tem, że nadnaturalny porządek rzeczy zapoznaje właśnie naturalny. Bez naturalnego porządku o nadnaturalnym mowy być nie może. I podział Kościoła, jego cały ustrój i rząd i porządek nadnaturalny suponuje ten naturalny porządek, to jest ten naturalny podział katolików na parafje i diecezje podług narodowości a nie podług terytorjum.

Po co ten naturalny podział ludzkości na narodowości znosić? Nadnaturalny porządek **nie znosi** naturalnego lecz **podnosi** go i potęguje! Jednego i drugiego porządku Bóg sam jest

sprawcą. Mieszane diecezje, tak jak dziś są, są prawdziwie „mieszane" jak wieża Babel.

214. **Gdzie Irlandczycy sami, tam brak kościołów i upadek wiary.**

W czasopiśmie „Pilot", wychodzącym w Bostonie, pan Micheel Lynch kreśli bardzo smutny obraz upadku katolicyzmu między Irlandczykami w Południowych Stanach. Pisze:

„Na całem Południu znajdziesz tysiące i tysiące familij o czysto irlandzkich nazwiskach. — O'Neill, Mc. Carthy, Lynch, Sasey — i wszędzie napotkasz Fitzgeraldów, Burke'ch, Roche'ów i innych przybyłych razem z Strongbow'en: a wszyscy ci są Baptystami lub Metodystami. Odpadanie od wiary ma miejsce nawet w obecnej chwili"...

Co za przyczyna tego upadku wiary? Chicagoski „Western Catholic" powiada, że przyczyną tego jest brak kościołów i kapłanów. Lecz cóż znowu jest przyczyną tego braku?

Na to my odpowiemy:

W Stanach Południowych nie ma Polaków, Niemców i tym podobnych katolików, którzyby tak jak w Północnych Stanach Irlandczykom dopomagali do budowy kościołów i szkół katolickich. W Południowych Stanach są sami irlandcy katolicy i pokazują nam najlepiej, co sami potrafią. Tu w Stanach Północnych ciągle się chełpią, że oni to wznieśli kościoły i katedry, że oni to utrzymują stolice biskupie i szkoły. Tak! Ale czyim kosztem wznieśli swoje katedry i pałace biskupie?

W Południowych Stanach nie mają nawet swoich kościołów — czemu? Bo tam nie ma tych katolików, którzy płacą. Tam są tylko tacy, katolicy, którzy przyzwyczajeni są do rządzenia w kościele i pobierania podatków.

215. **„Dziennik Chicagoski" przeciw projektowi arcybiskupa Symona.**

„Dzien. Chicag." występuje przeciw projektowi arcyb. Symona, aby seminarjum amerykańsko-polskie było w Krakowie. W nr. 210 i 215 pisze:

„Nie sądzimy, ażeby zachodziła potrzeba wysyłania naszych kleryków do Polski, jeżeli polem ich przyszłego działania ma być społeczeństwo polsko-amerykańskie. Lepiej założyć tutaj wzorowe seminarjum. A na czoło Detroickiego seminarjum należałoby powołać rektora polskiego ze sakrą biskupią. O ile nam

wiadomo, ks. bisk. Fischer z Przemyśla chętnieby stanął na czele polskiego seminarjum w Detroit".

Te plany są bardzo piękne. Ale Ojcowie chicagoscy powinni sami świecić dobrym przykładem i założyć w okolicy Chicago seminarjum dla świeckiej i swojej przedewszystkiem młodzieży zakonnej, zamiast ją wysyłać za morze.

— Dnia 23 września 1906 na prośbę ks. Michała Kłosowskiego i za pozwoleniem biskupa Fox'a wygłosiłem kazanie i poświęciłem kamień węgielny pod nowy polski kościół św. Marka w Red Granite, Wis. Jedyny to raz w życiu taki zaszczyt mię spotkał.

Z dnia 27 września 1906.

216. **Irlandzkie pisma ciągle się zajmują sprawą biskupa polskiego, a swoich rodaków w Południowych Stanach zaniedbują.**

Irlandzko-katolickie gazety ciągle żywo zajmują się naszą sprawą, czy i kiedy i jakiego biskupa polskiego dostaniemy, a względnie, czy i kiedy i w jakim charakterze arcyb. Weber przyjedzie do Chicago i czy przyjedzie z władzą jurysdykcyjną (z władzą rządzenia) czy też tylko z władzą święceń (with powers to use orders, but without jurisdiction.)

Bezwątpienia lepiej by Irlandczycy zrobili, gdyby zamiast się zajmować tak pilnie naszymi sprawami, zaopiekowali się swoimi rodakami w Południowych Stanach, którzy z braku księży i kościołów utracą tam wiarę świętą (zobacz wyżej nr. 214). My Polacy tak bardzo irlandzkiej opieki nie potrzebujemy jak Irlandczycy w Południowych Stanach. A jeśli Irlandczykom już tak bardzo sprawa nasza leży na sercu i tak bardzo myślą nad jej rozwiązaniem, a nie mogą rozwiązać: niech nam wolno będzie od siebie podać im projekt, w jaki sposób dałoby się najprędzej rozwiązać tę tak bardzo zagmatwaną sprawę biskupów polskich. Mianowicie:

Pamiętając o słowach św. Pawła: „jeśli kto o swoich, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaparł się wiary i jest gorszy niżeli niewierny" (I. Tymot. 5, 8) — połowa biskupów irlandzkich z Północnych Stanów może i powinna udać się do Południowych Stanów w roli Misjonarzy Apostolskich, aby tam swoich odpadłych rodaków znowu nawrócić do wiary św., kościoły im postawić i w księży ich zaopatrzyć.

Wtedy w Północnych Stanach zawakuje dosyć stolic biskupich dla Polaków gdzie Polacy, dla Czechów gdzie Czesi, dla

Francuzów gdzie Francuzi. Każdy, jak Pan Bóg w Piśmie św. przykazuje, „najwięcej o swoich" rodaków będzie miał pieczę. I będzie ład i porządek w Kościele Bożym; i gordyjski węzeł „kwestji językowej" zostanie rozwiązany.

W Chicago, naprzykład, jest irlandzkich biskupów aż trzech: Quigley, Muldoon i Mc Gavick. Dla irlandzkich katolików w Chicago jeden irlandzki biskup najzupełniej wystarczy. A dwóch innych może iść śmiało do Południowych Stanów na misje i „mieć pieczę o swoich", którzy tam odpadli i odpadają od Kościoła.

Po co to ze swoją irlandzką opieką narzucać się Polakom, Czechom, Francuzom: kiedy Polacy, Czesi, Francuzi bez tej opieki irlandzkiej dobrze się obyć mogą? A Irlandczycy w Południowych Stanach tej opieki irlandzkiej na gwałt potrzebują, jeśli nie mają iść do piekła! Tak jak znowu Polacy polskiej opieki biskupiej potrzebują, bo pod ajryską „opieką" tysiącami odpadają od Kościoła. „Kto nie dba o swoich... gorszy jest niż niedowiarek".

217. **Co irlandzki korespondent z Rzymu pisze o arcybiskupie Weberze.**

Dr. William J. D. Croke w specjalnej korespondencji z Rzymu 8 września 1906 pisze do milwauckiego „Catholic Citizen", że na wszelki przypadek abp. Weber, jeżeli wogóle przyjedzie do Chicago, to nie przyjedzie prędzej jak dopiero po ukończeniu nowicjatu u OO. Zmartwychwstańców, to znaczy, w lipcu przyszłego roku 1907. Powiada dalej, że nieprawdą jest to, co pisał „The Sacred Heart Reviev" i inne irlandzkie pisma, jakoby abp. Weber przybywał do Ameryki jako „głowa" zakonu czyli jako Generał Zmartwychwstańców. W dalszym ciągu tej długiej korespondencji z Rzymu czytamy co następuje:

„Jeżeli znowu — niech to powiem — arcyb. Weber pójdzie do Chicago, to pójdzie jako misjonarz apostolski (jak do pogan?) albo jako biskup sufragan (z władzą święceń lecz bez juryzdykcji) dla polskich katolików w Stanach Zjednoczonych.

„Ale czy pójdzie? Sprzeczne wieści o tej ewentualności, jaką wam podałem, mogłyby (jak zauważyłem) być pogodzone. Węzłem konjunktury czyli punktem łączącym te sprzeczne wieści byłoby to najpierw, że decyzja posłania go została powziętą lecz nie uskutecznioną; powtóre, że wysłanie go wyszłoby wprost od Stolicy Świętej i naturalnie niezależnie od Propagandy.

„Wywiadywałem się dużo o tej możliwości w tych ostatnich dniach. I oto główny rezultat moich wywiadów:

„Albo ta ewentualność napotkała silną opozycję albo jest głębokim sekretem, gdyż w sekretarjacie stanu zaprzeczają jej w całkości.

„Badałem wartość tego zaprzeczenia i dowiedziałem się, że w tym stanie rzeczy jest prawie pewną. Atoli jest to zaledwie możliwą rzeczą, żeby sprawa była tego rodzaju, iż papież do niej używałby swojej wyłącznie rady i że kiedy będzie chciał działać, rozkaże sekretarjatowi wypisać listy misyjne. A faktem jest, że prośba polskiego Kongresu spoczęła w rękach papieża po trudnościach z Propagandą.

„Jedna rzecz jest pewną, a to ta, że **usiłowania** w tym kierunku, by zapewnić wysłanie abpa Webera, **doznały wielkiego powodzenia w tutejszych kołach urzędowych,** kiedy miesiąc temu porównałem oświadczenie jednego z interesowanych w tem dygnitarzy z oświadczeniem Prokuratora Generalnego. Wszystko tedy zważywszy, nie byłbym bardzo zdziwiony, gdyby abp. Weber na przyszłe lato miał dostać posłannictwo od Stolicy św.

„Jest to rzeczą pewną, że **to nowe polskich żądań poparcie**, o którego istnieniu pisałem, **jest bardzo silne i działa dobrze na ich korzyść i działa podług planu, który zupełnie zadość uczyni prośbom Polaków.**

„Inna rzecz: niema i nie będzie nigdy najmniejszych widoków, żeby był naznaczony ogólny biskup dla polskich katolików z pełną juryzdykcją. Jeżeli biskup polski z juryzdykcją będzie kiedykolwiek naznaczony, to będzie on miejscowym w jakiejś diecezji. Stąd wynika, że posłanie abpa Webera byłoby tylko **tymczasowym środkiem;** i tak też jest faktycznie".

Tak pisze pan Croke z Rzymu.

Cierpliwość ludu polskiego zaiste jest wielka. Ale biada temu, kto jej nadużywa! Papież Pius X nie chciał jej nadużywać, skoro przyrzekł, że załatwi tę sprawę biskupów polskich w Ameryce **czemprędzej.** Wierzymy papieżowi. Bo jeśli słowo papieskie nie miałoby wagi żadnej ni znaczenia, to komuż nareszcie mamy wierzyć?

Bogu i Chrystusowi, lecz nikomu z zastępców Chrystusowych na ziemi!

Czy po „Ignis ardens" już koniecznie musi nastąpić „religio depopulata"?

160. Zapłaćcie podatek biskupowi. — Jezuici uczą irlandzkiego a polskiego nie. — Organ biskupi zwraca mi uwagę, że nie Kościół na całym świecie, tylko Kościół w Ameryce jest to kocioł.

W diecezji greenboyskiej oddawna istniał obok niemieckiego i angielskiego także polski sierociniec. Biskup Fox ściągał podatki i od Polaków na sierociniec niemiecki i angielski, ale nie na polski. Groszem od Polaków zebranym uczono sieroty nietylko Our Father ale i Vater unser, ale Ojcze nasz nie uczono. Polskiego sierocińca diecezja nie wspierała, choć podatki od parafij polskich ściągała. To nawet potulnych Polaków nareszcie oburzyło, bo oto z Poland, Wis., we wrześniu 1906 otrzymałem list z takiem zapytaniem:

— Czy godzi się podatek płacić biskupowi?

Na to pytanie ogłosiłem w rubryce mojej p. t. „Sprawy Kościelne i Narodowe" w „Kurjerze Polskim" następujący artykuł:

218. **Zapłaćcie podatek biskupowi!**

Odpowiedź panu Michałowi Blochowiakowi, sekretarzowi parafji śś. Cyryla i Metodego w Poland, Wis.:

Zapłaćcie podatek biskupowi! Bo tylko wtedy, kiedy spełniamy **swoje obowiązki,** możemy skutecznie upominać się **o prawa swoje.** Lepsze posłuszeństwo niż te marne 75 centów, jakich od każdego z was żąda co rok wasz biskup dla siebie, dla seminarjum i dla sierot. Lepsze **posłuszeństwo,** powiadam, a nie służalstwo. A prawdziwe posłuszeństwo jest to, które wiernie pełni swoje obowiązki, ale i o prawa swoje energicznie upominać się umie i nie pozwala ich sobie odbierać. Bo ten, który tylko obowiązek swój spełnia a słusznych praw swoich milcząco się zrzeka, jest **służalcem i niewolnikiem:** jak znowu ten, który tylko o prawa swoje się upomina a obowiązków swoich nie pełni, jest **tyranem,** jeżeli jest przełożonym, **lub buntownikiem,** jeżeli jest podwładnym. Unikajcie obydwóch tych ostateczności!

Jedno i drugie jest złem. A w pośrodku stoi cnota, stoi prawdziwe **posłuszeństwo,** które i obowiązki spełnia ale i praw się nie zrzeka.

Biskup ma prawo do podatków waszych, ale ma i obowiązki względem was. Do takich obowiązków biskupich na pierwszem miejscu należy bierzmowanie czyli utwierdzanie was we wierze nie przez samo namaszczenie ale **i przez głoszenie słowa Bożego w waszym języku!** Jeżeli biskup śmie o prawa swoje się upominać pomimo że obowiązków swoich względem was nie spełnia; jeżeli,

pomimo że nie utwierdza was w wierze przez głoszenie słowa Bożego w waszym języku, ma jednak jeszcze tę bezczelność upominać się o prawa swoje, jak o podatki: taki biskup jest tyranem i krzywdzi podwładnych swoich.

Ale z tego jeszcze bynajmniej **nie wynika, że i wy,** moi kochani, **tak samo czynić macie,** to jest, że buntownikami stać się możecie. Pamiętajcie bowiem, co Chrystus Pan powiedział:

„Na stolicy Mojżeszowej zasiedli doktorowie i faryzeusze: wszystko tedy **cokolwiek wam rozkażą, to czyńcie, ale według uczynków ich nie czyńcie.** Albowiem mówią, a nie czynią".

Mówią nam ciągle, że żałują, iż po polsku do nas mówić nie mogą, że polscy biskupi nam się należą. Tak mówią, a nie czynią nic w tym kierunku. Owszem czynią przeciwnie. Ale podatki z nas ściągają: „wiążą brzemiona ciężkie i nieznośne, i kładą na ramiona ludzkie: a palcem swym nie chcą ich ruszyć" (u św. Mateusza, 23, 2—4).

I czy wy tak samo macie czynić, to jest, o prawa się upominać a obowiązków nie spełniać?

Zachowaj was, Boże, od tego!

„Według uczynków ich nie czyńcie!" Lecz, upominając się o prawa swoje, pełnijcie i obowiązki swoje względem biskupa. Płaćcie mu podatki, jakie na was nałożył, wiernie, mężnie i statecznie. Bo tak Chrystus Pan przykazał. „Komu podatek, temu podatek".

Za krzywdy wam wyrządzane nie mścijcie się sami, bo licho się zemścicie. Zemstę za krzywdy wasze pozostawcie Bogu, bo Pan Bóg lepiej od was zemścić się może. „Mnie zemsta (do Mnie zemsta należy), mówi Pan: Ja oddam". (Rzym. 12, 19.)

Krzywda niesłychana, naprzykład, ściągać **od Polaków** podatek na sieroty, które się wychowuje potem **na Niemców lub Anglików.** A przecie istnieje sierociniec polski w Manitowoc, Wis. Tam grosz polski powinien iść! Upominajcie się o to, bo macie prawo żądać tego. Ale upominając się o to prawo, pełnijcie zarazem swój obowiązek, jaki biskup na was wkłada, to jest, płaćcie mu podatek i na sieroty.

A jeśli biskup podatku waszego nie da na sierociniec polski lecz na niemiecki lub angielski: to nowa krzywda wam się dziać będzie, ale znoście cierpliwie i tę krzywdę. Bo lepiej krzywdę cierpieć niż krzywdę czynić. „Nie dajcie się zwyciężyć złemu, ale zwyciężajcie złe dobrem" — napomina św. Paweł. Na moc złego jest

moc dobrego. Wielka jest moc złego, ale większa jest moc dobrego.

— Znowu z Bay City, Mich., ofiary idą na kościół w Ripon, tym razem od Towarzystwa Oświaty 15 dolarów i od Rycerzy św. Jerzego 5 dol.; z Menasha, Wis., od Tow. Tad. Kościuszki 8 dol.; od par. ś. Michała w Berlinie, Wis. 105.50 dol.

Z dnia 29 września 1906.

219. **Uczą irlandzkiego a polskiego nie.**

„Dziennik Chicagoski" donosi, że w jezuickiem kolegjum św. Ignacego w Chicago przy ulicy 12 zaprowadzono wykłady języka irlandzkiego; i dodaje:

„Wykładów języka polskiego niema dotychczas w tym zakładzie pomimo, że w spisie uczniów znajduje się dużo polskich nazwisk."

A no, to ten tak bardzo przez „Dziennik Chic." wychwalany **amerykanizm** Irlandczyków!

Zasmuciłem się bardzo, gdy dawny mój prefekt studjów w Chyrowie (roku 1890), stary uczony i zasłużony jezuita ks. Arnold Waszyca z Cieszyna, 24 sierpnia 1906 pisał mi, że „wskutek oszczerstw i podłych intryg złych ludzi był zmuszony opuścić zakon" i wybiera się teraz do Ameryki na stare lata. Na tym świecie dziwnie się plecie nawet w zakonach.

Z dnia 4 października 1906.

229. **Kościół w Ameryce jest to kocioł a nie Kościół.**

Nie Kościół na całym świecie, ale tylko **Kościół w Ameryce** jest to **kocioł** przetapiający narodowości (melting pot). Tak clevelandzki „Catholic Universe" poprawił swój i mój artykuł pod numerem 210 podany.

A więc nie mamy się co łudzić. Walka z amerykańską hierarchją kościelną to walka o byt lub niebyt narodowy. I, co za tem idzie, o byt lub niebyt religijny w tym kraju. Bo pomimo, że już przez sto lat ten „kocioł" przetapia rozmaite narodowości na amerykańską, nie mamy jeszcze ani jednej parafji katolickiej, któraby składała się z „Amerykanów" czyli katolików wynarodowionych. Pytałem się kilkakrotnie w gazetach irlandzkich, żeby mi wskazały choćby jedną parafję, któraby była „amerykańską", a nie irlandzką, niemiecką, polską itd.: i pomimo poszukiwań sami Irlandczycy takiej parafii wskazać mi nie umieli.

A jednakowoż ciągle jeszcze dążą do amerykanizacji!

Czemże sobie to dziwne zjawisko wytłumaczyć, jeśli nie ich własną ślepotą, pochodzącą z fałszywej ambicji rządzenia Kościołem?

Bo że dążą to dążą oni najwyraźniej do wynarodowienia polskich katolików i przerobienia ich na „amerykańskich" i wcale z tą swoją dążnością już teraz się nie tają. Sameż organa biskupie, a więc organa sfer rządzących w Kościele, wypowiadają jasno i bez ogródki, że zadaniem Kościoła w Ameryce jest przetopić czy pochłonąć rozmaite narodowości i przerobić je w jedną amerykańską.

A więc Kościół w Ameryce, to nie Kościół, to raczej kocioł. Kościół w Ameryce to nie Matka kochająca wszystkie narodowości jako swoje dzieci, to raczej moloch pożerający je!

W takiem to świetle przedstawiają nam Kościół w Ameryce sameż irlandzkie organa biskupie. Żeby mnie nikt nie posądzał, że przesadzam albo podsuwam biskupom zamiary, jakich oni nie mają, przytoczę tu to, co pisze „The Universe" z 22 września 1906, organ biskupa z Cleveland. Pismo to już po raz drugi ogłasza artykuł pod tym wstrętnym tytułem „The Church as a Merger", to znaczy tyle co „Kościół jako kocioł" przetapiający narodowości, albo pochłaniacz narodowości, narodożerca.

221. Co innego Kościół na całym świecie a co innego Kościół w Ameryce.

Kiedy „The Universe" po pierwszy raz w swoim artykule „The Church as a Merger" udowadniał, że Kościół katolicki **wogóle na całym świecie** dąży do wynarodowienia poszczególnych narodowości i przetopienia ich w jedną jakąś kosmopolityczną masę: wtedy wykazałem mu faktami i argumentami z historji i Pisma św., że to nieprawda. Przeciwnie, Kościół od samego początku swego istnienia, kiedy to Duch św. udzielił Apostołom daru rozmaitych języków, okazywał się raczej opiekunem rozmaitych narodowości, a nie ich pogromcą, pożeraczem i pochłaniaczem.

„The Uniwerse" zbić moich dowodów nie mógł. Więc w ostatnim numerze przyznaje mi rację. Ale dodaje, że pisząc o „Kościele jako kotle" nie miał na myśli **całego** Kościoła lecz tylko **Kościół w Ameryce.** Bo — powiada — o ile Kościół **na całym świecie** ma prawo i obowiązek być opiekunem narodowości, o tyle **Kościół w Ameryce** (ten widać jest zupełnie czem innem od reszty) ma

prawo i obowiązek być pochłaniaczem narodowości, czyli kotłem przetapiającym takowe.

A więc, łaskawy czytelniku, myliłeś się, jeśliś dotychczas sądził że Kościół katolicki jest na całym świecie jeden i ten sam, ma jedne i te same zamiary z tobą. Bo „The Universe" ci powiada, że Kościół **w Ameryce** dąży właśnie do zniszczenia tego, co Kościół po innych krajach powszechnie uważa za rzecz świętą i nietykalną.

Co za potworne wyobrażenie ma to pismo o Kościele powszechnym czyli katolickim!

Ale „The Universe" gorszy się z tego, że nazywam jego ideę potworną i pisze tak:

„W liście do „Catholic Citizen" ks. Kruszka z Ripon, Wis., nazywa „potworną" tę ideę, jaką „The Universe" wyraził w artykule „The Church as a Merger". Kościół katolicki — powiada ks. Kruszka — nie był i nie jest lejarnią przetapiającą narodowości. Czy jest i czy było kiedykolwiek zamiarem Kościoła mieć tylko jedną narodowość na świecie? stopić je wszystkie w jedną?"

„Z pewnością, że nie. „The Universe" **miał na myśli tylko stosunki w Stanach Zjednoczonych,** które są krajem o własnym narodowym charakterze, rządzie i języku, a w których nie Kościół lecz naturalny proces wzrostu i asymilacji sprawia to zlanie się różnych ras w jedną złożoną całość".

Tak „The Universe" chce się sianem wykręcić. Raz „The Universe" twierdzi, że Kościół to jest jako kocioł; a drugi raz powiada, że nie Kościół, tylko naturalny proces asymilacji przetopić ma narodowości. Po co więc raz i drugi raz kładło się ten wstrętny tytuł „Kościół jako kocioł"? Widocznie „The Universe" wikła się w sprzecznościach: a to najlepszy znak, że fałsze pisze.

Ale najzabawniejsze jest to, co „The Universe" w dalszym ciągu opowiada o przybyszach do Ameryki:

161. Przyjechaliśmy tu z tym zamiarem, żeby zostać Anglikami? — Więc głupstwem byłoby ustanawiać biskupstwa polskie w Ameryce. — Pewnie, jeśli z takim zamiarem tu przyjechaliśmy.

222. **Polacy i inni przyjeżdżają tu z tym zamiarem, żeby się wynarodowić.**

„My zaznaczyliśmy — pisze „The Universe" — że Kościół jest zbyt mądrym i dalekowidzącym, ażeby uwydatniał różnice na-

rodowościowe, których owe narodowości rozmaite po pierwszem pokoleniu same pierwsze chcą się pozbyć. Obconarodowe ludy (do tych „obconarodowych“ nie należą Irlandczycy i Anglicy przybywający do Ameryki), — obconarodowe ludy, przychodzące do Stanów Zjednoczonych, przychodzą tu w tym celu, aby siebie i swoje potomstwo uczynić amerykańskimi obywatelami, aby zróść się z tym krajem. **Ich zamiarem jest być pochłoniętymi** (to be absorbed).

Polacy! słuchajcie, jakie to zamiary wam biskupi organ imputuje. Wyście — powiada — przybyli do Ameryki sami z tym zamiarem, żeby się tu wynarodowić i zangliczyć. A przecie czyny wasze czego innego dowodzą. Przecie wystawiliście tu **polskie** kościoły i **polskie** szkoły, do angielskich zaś chodzić nie chcieliście i nie chcecie. Zorganizowaliście **polskie** związki, zjednoczenia i stowarzyszenia. Staraliście się i staracie o **polskich** księży i **polskich** biskupów. Te i tym podobne fakta powinny być dla owego biskupiego organu dostatecznym dowodem, że przybywając do Ameryki nie przyszliśmy bynajmniej z tym zamiarem, ażeby się wynarodowić, odpolszczyć i dać się pochłonąć przez anglosaską rasę. Na obustronną **asymilację** chętnie się zgadzacie ale nigdy przenigdy na **absorbcję!**

A jednak ów biskupi organ śmie bezczelnie twierdzić, że wy tu przybyliście z tym zamiarem, żeby się **dać pochłonąć** przez anglicyzm czy ajryszyzm! Widać powyższe dowody, jakie im daliście, nie wystarczają. Więc czas wielki, rodacy, byście jeszcze **wyraźniej i dobitniej** niż dotąd zaznaczyli wobec episkopatu swoje stanowisko, swoje pragnienia i zamiary!

„The Universe“ pisze dalej tak: „Byłoby niepraktycznie i niedorzecznie tworzyć w tym tu kraju drugie Włochy i drugą Polskę, drugą Irlandję i drugie Niemcy. I to jest również niepraktycznem w zarządzaniu Kościoła“.

Na te słowa zgadzamy się zupełnie. I my sądzimy, że nie powinno tu być drugiej Irlandji. A jednak dlaczego w hierarchji kościelnej mają sami prawie Irlandczycy tylko wszechwładnie panować tak jak gdyby tu była rzeczywiście druga Irlandja? Nam chodzi właśnie o to, żeby tu wszystkie narodowości były równouprawnione, a nie, żeby jak dotychczas jedna tylko narodowość panowała. My to właśnie nie chcemy tu drugiej Polski, bo nie chcemy tu rozciągać panowania polskiego nad innymi narodowościami. Ale

Irlandczycy, oni to właśnie chcą tu stworzyć drugą Irlandję, bo chcą tu panować nad wszystkimi.

Z dnia 6 października 1906.

223. **A że Polacy sami się chcą wynarodowić, więc głupstwem byłoby diecezje narodowe ustanawiać.**

W dalszym ciągu swego artykułu p. t. „The Church as a Merger" (Kościół jako kocioł) clevelandzki organ biskupi podaje przyczynę, dlaczego ustanowienie diecezyj narodowych czyli odrębnej hierarchji kościelnej dla poszczególnych narodowości w Ameryce jest niepotrzebnem. Słuchajcie wy zwłaszcza, którzy nie wierzycie w diecezje narodowe!

Otóż jego całe rozumowanie jest takie:

Ponieważ Polacy przybyli do Ameryki z tym zamiarem, żeby się wynarodowić: więc stąd wniosek całkiem prosty, że głupstwem by było ustanawiać dla nich odrębną hierarchję kościelną czyli dawać im biskupów polskich.

Wniosek taki byłby słuszny i prawdziwy, gdyby przesłanka (praemissa) była prawdziwą. W tem przypuszczeniu, że Polacy w Ameryce istotnie mają zamiar wynarodowić się, nie potrzebaby dla nich biskupów polskich. Ale to właśnie przypuszczenie jest z gruntu fałszywe: więc i wniosek jest fałszywy. Językiem filozofji scholastycznej powiedzianoby panu redaktorowi „of The Universe": Nego suppositum i nego consequens et consequentiam.

Są niektórzy księża nawet polscy, którzy na taki wniosek z ajryszami się zgadzają i nie chcą diecezyj narodowych, ale na ową przesłankę, z której taki wniosek wypływa, nie chcą się zgodzić. Tacy są nielogiczni i niekonsekwentni. Kto z ajryszami nie zgadza się na ową przesłankę, że Polacy tu chcą się wynarodowić: ten konsekwentnie nie może się z ajryszami zgadzać na ten wniosek, że diecezje polskie są niepotrzebne. A jeśli na ich wniosek się zgadzasz, to i na ich przesłankę zgodzić się musisz. Miej olej w głowie, a nie sieczkę!

Ale „The Universe" jest tak dziwnie nielogicznym, że choć na jednem miejscu stanowczo twierdzi, że Polacy przybywają do Ameryki z tym zamiarem, żeby się wynarodowić, to jednak zaraz w następnem zdaniu powiada, że **teraz chwilowo** jeszcze nie chcą się wynarodowić: i że więc chwilowo zachodzi potrzeba biskupów polskich.

A zatem **chwilowo** przynajmniej trzebaby ich zaopatrzyć w biskupów polskich.

Takby przynajmniej każdy zawnioskował. Ale tak nie wnioskuje „The Universe“. Owszem przeciwnie pisze tak:

„Powtarzamy tu tylko to, cośmy przedtem zaznaczyli, że zorganizować jakąbądź narodowość w tym kraju przez dostarczenie jej odrębnej hierarchji znaczyłoby popełnić to głupstwo, że **zrobiłoby** się **stałe** (trwałe) **zarządzenie dla czysto chwilowej** (czasowej) **potrzeby.** To organize any one people in this country by supplying it with distinct hierarchy would be to commit the folly of making a permenent provision for a merely temporary demand“.

A więc nie wierzą ajrysze, żeby polskość w Ameryce na wieki się utrzymała. Wierzą jednak, że utrzyma się chwilowo, do czasu. Ale nawet i z tej swojej cząstkowej wiary jeszcze nielogiczne wysnuwają wnioski, jak zobaczymy niżej.

Najpierw nie wierzą, żeby polskość w Ameryce długo się utrzymała. To rozumowanie Irlandczyków nie jest wcale nowem. Stary to ich argument; tak stary jak stara jest emigracja polska. Rozumowali oni tak samo pół wieku temu, kiedy chodziło o zorganizowanie Polaków w odrębne parafje polskie. I wtedy mówili:

— Głupstwem jest robić **stałe** zarządzenie dla czysto **chwilowej** potrzeby.

I nie chcieli zrazu pozwolić na parafje narodowe. Mieszane parafje były ich ideałem tak jak dziś jeszcze są mieszane diecezje. A jednak stało się to, co oni uważali za głupstwo: powstały parafje narodowe „jako stałe urządzenia dla chwilowej potrzeby“. I oto właśnie to, co oni nazwali głupstwem, okazało się z czasem bardzo mądrem urządzeniem. Bo gdyby nie ustanowiono narodowych parafij, nie byłoby ani pół tyle kościołów katolickich; a szkół katolickich pewno żadnych by nie było.

Dzisiaj kiedy w rozwoju dziejowym Kościoła rozchodzi się już nie o parafje, ale diecezje narodowe: ajrysze tak samo błędnie rozumują jak wówczas. Mówią:

— Zachodzi tylko **chwilowa** potrzeba biskupów polskich.

Co rozumiecie, o ajrysze, przez tę „chwilową potrzebę“? Przed 50 laty mówiliście (a nawet generał Zmartwychwstańców ks. Kajsiewicz za wami to mówił), że księży **polskich** tylko **chwilowo** tu potrzeba, bo Polacy w Ameryce osiedli już w drugiem pokoleniu się zangielszczą.

Niedoczekanie wasze! Upłynęło już nietylko drugie pokolenie, ale i trzecie, a czwarte już upływa: a oto żywioł polski tu w Ameryce zamiast słabnąć, wzrasta i wzmaga się z dniem każdym. Złości to was? Nie złośćcie się, lecz raczej uznajcie to, że pomyliliście się w rachubach waszych, że Pan Bóg (jak powiada Niemiec) zrobił „ein Strich durch eure Rechnung", przekreślił całą waszą rachubę bo była mylną i błędną. Zamiast się złościć, poprawcie się i nie róbcie w rachubach waszych znowu tych samych błędów na przyszłość. Powiecie:

— Żywioł polski się wzmagał i wzmaga **jedynie** dzięki napływowi świeżych przybyszów z Europy.

Niech i tak będzie. Dato, sed non concesso. To ten napływ trwał przecie przez 50 z górą lat. A czy wiecie, jak długo jeszcze będzie trwał...

Gdzie tu więc rozum nazywać potrzebę biskupów **polskich** tylko **chwilową?**

Wasz historyk irlandzko-amerykański, pan Griffin, w swoich „Historical Researches" udowadnia, że pierwsi katolicy irlandzcy, którzy tu do Ameryki przybyli, przeważnie odpadli od wiary i stali się niedowiarkami, metodystami lub baptystami. Jednem słowem „zamerykanizowali się". A tylko dzięki napływowi świeżych przybyszów z Irlandji wasze kościoły nie opustoszały zupełnie. Czyż w razie ustania emigracji irlandzkiej potrzeba biskupów **irlandzkich** nie byłaby również tylko **chwilową?** A jednak ich i ich wyłącznie ciągle jeszcze potrzebę odczuwacie. A gdy Polacy odczuwają potrzebę polskich biskupów, mówicie, że nie trzeba jej zaspokajać, bo ta potrzeba jest tylko chwilową i przejściową.

Toć Polacy od pół wieku już odczuwali i odczuwają tu konieczną potrzebę biskupów polskich. Czy pół wieku jest chwilą? Tak, we wieczności; ale nie w czasie. A myśmy jeszcze do wieczności się nie przenieśli. Tam też tej „chwilowej" potrzebie zaradzać już więcej nie potrzeba! Lecz żyjemy w czasie. I chociażby tylko **jednemu** pokoleniu polskiemu potrzeba było biskupów polskich, to podług wszelkich praw słuszności i sprawiedliwości, nie mówiąc już gorliwości o zbawienie dusz, należałoby zadosyć uczynić takiej „chwilowej" potrzebie — choćby nawet **stałe urządzenie** (stałe biskupstwo polskie) dla takiej „chwilowej" potrzeby należało uczynić.

Lecz wy takie „stałe urządzenie" dla takiej chwilowej potrzeby uważacie za głupstwo. Aliści głupstwem takie stałe urzą-

dzenie może się wydawać tylko takiemu, który wychodzi z tej przewrotnej zasady, że ludzie są dla biskupów i biskupstw, a nie odwrotnie, że biskupi i biskupstwa są dla ludzi.

Czyż zresztą wogóle w Ameryce biskupstwa są stałymi urządzeniami? Czyż nie ulegają ciągłym zmianom i granic i stolic? Czyż tu stolicy biskupiej często nie przenosi się z jednego miejsca na drugie? Czyż więc wogóle biskupstwa w Ameryce nie służą li tylko „chwilowej" potrzebie?

Z jakiej tedy racji nie chcecie zadość uczynić takiejże „chwilowej" potrzebie Polaków?

Jedyną racją może być tylko ta, że władzy, jaką w garsci trzymacie, nie chcecie stracić, nie chcecie jej odstąpić drugim, nie chcecie się nią podzielić z innymi narodowościami. Żądza panowania nad wszystkimi narodowościami i, co zatem idzie, żądza bogactw i wpływów politycznych w tym kraju; oto jedyna racja, dla której nazywacie „głupstwem robić stałe urządzenie dla chwilowej potrzeby" Polaków.

162. W Kościele amerykańskim masz prawo być tylko katolikiem a nie Polakiem. — Pewien konfrater knuje spisek przeciwko mnie.

224. **Polacy, wy nie macie tu prawa być Polakami!**

Tak w dalszym ciągu pisze ów biskupi organ „The Universe", że po innych krajach mają narodowości prawo bytu w Kościele, ale w Kościele amerykańskim ty, Polaku, nie masz prawa być Polakiem. Masz zostać małpą ajrysza.

Trudno darmo. Łudzisz się, jeśli sądzisz, że w Kościele masz prawo być nietylko katolikiem lecz i Polakiem. Biskupi organ odmawia ci tego prawa. Oto co pisze:

„Co do księdza Kruszki pytania, czy celem Kościoła jest mieć tylko jedną narodowość na ziemi: to jest całkiem poza obrębem kwestji, **chyba że to pytanie dotyczy Ameryki.** Bo kiedy inne kraje mają niezaprzeczone prawo zachowania swojej narodowości w Kościele, to i Kościół w Ameryce ma także prawo zachowania swojej narodowości przez wchłonięcie (by marging) narodów, z których się składa, o ile możności w jedną całość. Jasna rzecz, że rozdzielić hierarchję tego tu kraju na biskupie grono narodowych przedstawicieli byłoby zatracić jej cechę charakterystyczną jako amerykańskiej hierarchji."

Tak brzmi końcowy ustęp artykułu p. t. „Kościół jako kocioł". Zważmy i rozważmy te dwa końcowe zdania.

Najpierw pierwsze. Kapitalne to rozumowanie, żeby było logiczne, musiałoby być takie:

— Kiedy inne kraje (narody w Europie, Azji itd.) mają niezaprzeczone prawo zachowania swoich narodowości w Kościele, to **i kraje** w Ameryce mają także prawo zachowania swoich narodowości w Kościele.

Toby przynajmniej było logiczne i miałoby jakiś sens. Ale rozumować tak jak to czyni „The Universe" —

— Kiedy inne kraje (narody) mają prawo... to **i Kościół** w Ameryce ma prawo do zachowania swojej narodowości przez wchłanianie innych...

To wygląda tak jak gdyby 1) Kościół w Ameryce miał **swoją** własną specjalnie **kościelną narodowość.** Ależ taka „kościelna narodowość" nie istnieje wcale — chyba że „The Universe" ma **irlandzką** na myśli?

Albo jak gdyby 2) już tu faktycznie istniała jakaś specjalnie „amerykańska narodowość". Lecz taka nie istnieje także, nie istnieje przynajmniej **w Kościele.** Gdyż pomimo że fabryka amerykanizmu od stu lat prawie jest ciągle w ruchu, nie zdołała ona jednak wytworzyć ani jednej specyficznie „amerykańskiej" parafji katolickiej. Dlaczego nie zdołała? Bo to, co się nazywa **narodowość,** nie jest i nie może być wytworem ludzkiej fabryki lecz jest tworem Bożym. Daremne są wysiłki amerykanizatorów, żeby **sztucznym sposobem** wytworzyć nową tu narodowość i nazwać ją amerykańską. Bo narodowość nie jest dziełem **sztuki** lecz dziełem **natury:** stąd wyrazy nationality i nature mają jeden i ten sam źródłosłów.

A jeżeli wy w zarozumiałości waszej myślicie, że możecie stworzyć taką nową narodowość, to jeszcze nie dowód, że ona już istnieje. A jeśli nie istnieje, to jakże może być mowa o jej zachowaniu? Najpierw ją stworzyć trzeba; potem dopiero można mówić o jej zachowaniu albo o jej przyjmowaniu przez nas Polaków.

Wy już teraz mówicie, że Kościół w Ameryce ma prawo zachowania „amerykańskiej narodowości", chociaż ona jeszcze nie istnieje. Dlaczego? Jest to rzecz choć nie logicznie lecz psychologicznie zrozumiała: wy **chcielibyście** stworzyć ze wszystkich narodowości jedną amerykańską; a że the wish is the father of thought, więc wy myślicie, że ona już istnieje. Tak; istnieje ale tylko w głowach waszych. W rzeczywistości bowiem przynajmniej w obrębie Kościoła niema jej!

W gruncie rzeczy macie na myśli swoją anglo-irlandzką narodowość, którą identyfikujecie z wymarzoną amerykańską i chcecie, żeby ta **wasza** narodowość tyła i tuczyła się „przez wchłanianie“ polskiej narodowości. I ku temu celowi swemu używacie Kościoła jako narzędzia czyli „kotła“. Takie a nie inne znaczenie mogą mieć te słowa: „Kościół w Ameryce ma prawo zachowania swojej narodowości przez wchłanianie innych“.

Co do owego drugiego końcowego zdania, że „podzielić hierarchję w Ameryce na biskupstwa narodowe byłoby zatrzeć jej cechę charakterystyczną jako **amerykańskiej** hierarchji“ — to „The Universe“ widocznie pomylił się w użyciu tego wyrazu „amerykańskiej“. Chciał powiedzieć, a przynajmniej powinien był powiedzieć „irlandzkiej“. Tak jest istotnie. Gdyby podzieliło się hierarchję w Ameryce na biskupstwa narodowe i dano Polakom, Czechom, Francuzom, Włochom i Niemcom tyle biskupów własnej narodowości ile im się z prawa Bożego i ludzkiego należy: natenczas hierarchja w Ameryce straciłaby charakter irlandzki, jaki dotychczas ma, a miałaby natomiast charakter prawdziwie **amerykańskiej** hierarchji, pełnym tytułem amerykańskiej. Bo wtedy wszelkie narodowości, jakie są częściami składowemi Ameryki, miałyby w niej swoich przedstawicieli, a nie sama irlandzka.

— Na powyższe numerami oznaczone artykuły moje nie widziałem w gazetach irlandzkich żadnej odpowiedzi. Natomiast zaczęła się podziemna krecia robota przeciwko mnie ze strony jednego fałszywego konfratra: Na dowód tego przytaczam tu następujący list pisany do mnie przez redaktora „Wielkopolanina“ z Pittsburg, Pa., 7. października 1906:

Wiel. Ks. Wacław Kruszka,
Proboszcz w Ripon, Wis.

„Czcigodny Ks. Proboszczu! Mam do zakomunikowania Ks. Dobrodziejowi dosyć zdaje się ważną dla Niego i nie bardzo przyjemną wiadomość. A mianowicie to, że kilka dni temu otrzymałem od jednego z księży z Wisconsinu list, datowany 2 października, w którym to liście Jegomość ów namawia mię do szpiegostwa przeciw księdzu Kruszce w sprawie Jego przeszlachetnej agitacji za prawami i przywilejami Polaków w Ameryce.....

List owego konfratra brzmi jak następuje:

Szanowny Panie!

Mam bardzo ważną a może i trudną sprawę do załatwienia. Biskup NN. z NN. polecił mi, aby wystarać się o dowody, że ks.

W. Kruszka jest autorem „Spraw Kościelnych i Narodowych“, drukowanych w Kurjerze. Proszę przysłać mi jakie dowody, a wtedy biskup zawezwie go do sądu cywilnego i kościelnego. Proszę zachować to w sekrecie, do czego i ja się zobowiązuję.

Z szacunkiem

Ks. NN.

proboszcz w NN.

Na ów dziwaczny i niesmaczny list odpowiedziałem dziś dosłownie owemu księdzu jak następuje:

Wiel. Ks. Dobrodzieju! List Ks. Dobr. z dnia 2. bm. otrzymałem, lecz z powodu braku czasu spóźniłem z odpowiedzią. Wny Ks. Dobrodziej żąda ode mnie, abym Ks. Dobr. dostarczył dowodów przeciw księdzu Kruszce, a mianowicie dowodów, że to on jest autorem artykułów „Sprawy Kościelne i Narodowe“ drukowanych w Kurjerze Polskim. Ks. Dobrodziej żąda także, abym Księdzu przysłał jakie dowody, a „wtedy biskup zawezwie go do sądu cywilnego i kościelnego“. Na to wszystko mogę Ks. Dobrodziejowi odpowiedzieć tyle, że dziwno mi bardzo, iż Ks. Dobrodziej, polski kapłan, zbiera dowody przeciw księdzu Kruszce, który tak usilnie pracuje nad wywalczeniem dla Polaków w Ameryce praw i przywilejów nam należnych. Po drugie: Ksiądz Kruszka podpisuje rzeczone artykuły pełnem swojem imieniem i nazwiskiem, więc donosicielstwo jest w tej sprawie zupełnie zbytecznem; a więc chyba żądaniem swem chciał Ks. Dobrodziej ze mnie sobie zażartować lub wystawić mię na próbę? Po trzecie: Ja zawsze sekundowałem ks. Kruszce w jego usiłowaniach, ile mi sił, zdolności i **możności** stało; więc dostarczać Ks. Dobrodziejowi dowodów na niego nie będę. Po czwarte: Ponieważ jestem gorliwym stronnikiem ks. Kruszki, więc obecnie ostrzegę go o tem, że konfratrowie zbierają przeciw niemu jakieś dowody. Lecz choć go ostrzegę ogólnikowo o tym smutnym fakcie, to jednakże nie wyjawię nazwiska Ks. Dobrodzieja.

L. Machnikowski,

137 Forty Third Street,

Pittsburg, Pa.

Zdaje mi się, że odpowiedziałem owemu księdzu jak się należy i dostatecznie. Smutne to niezmiernie i przygnębiające, że wobec tych poświęceń, prac, starań i przykrości, jakie ks. Kruszka Dobrodziej poniósł i ponosi dla dobra Polskiego Ogółu w Ameryce,

są jeszcze tacy między naszem Duchowieństwem, którzy w ten sposób chcą się Ks. Dobrodziejowi „przysłużyć!“....

Przeczytawszy powyższy list, powiedziałem sobie:

— I tacy muszą być!

Wśród pszenicy być muszą kąkole i chwasty,
Więc tam dobrze, gdzie Judasz jest tylko dwunasty.

(słowa biskupa Krasińskiego).

I zabrałem się do pisania dalszych artykułów w rubryce „Spraw Kościelnych i Narodowych“, które tu przytoczę numerami oznaczone.

163. Imprimatur dla IX tomu Historji. — Jak śmią nazywać nasz język zagranicznym? — Co zmusza do liczenia się z prasą polską? — Tłumacz moich artykułów to fałszywa pociecha.

Dnia 15. września 1906. otrzymałem od Arcybiskupa Messmera „Imprimatur“ dla IX. tomu Historji Polskiej. Uderzyło mię niezwykłe brzmienie tego Imprimatur:

Rev. dear Sir,

The Imprimatur for vol. IX. is hereby gladly given.

† *S. G. Messmer.*
Abp.

Otóż uderzyło mię to słówko „gladly“. Dla żadnego z poprzednich tomów Abp. Messmer tego słówka nie dodał, lecz po prostu napisał: The Imprimatur for vol. I., II, ek is hereby granted“. A tylko dla IX. tomu dodał „gladly“. Uderzyło mię to słówko „gladly“ tem bardziej, że nie spodziewałem się tego, żeby Abp. Messmer swego Imprimatur dla IX. zwłaszcza tomu wogóle mi chętnie udzielił. Albowiem historja IX. tomu to historja chicagoskich Ojców (Zmartwychwstańców); to historja ile prawdziwa tyle niemiła, bo opisuje, jakiem prawem ci Ojcowie opuściwszy biedne parafje w Texas zabrali bogate parafje w Chicago.

Zapytałem tedy cenzora, który dał „Nihil obstat“ dla IX tomu, żeby mi wytłumaczył, dlaczego Abp. Messmer takie niezwykłe Imprimatur dał temu IX. tomowi? Czy dlatego, że nic nie wiedział o treści tego tomu, czy też właśnie dlatego, że był przez niego z góry poinformowany o tem, co zawiera IX. tom?

Na to cenzor Ojciec Antoni Wiśniewski ze zakonu OO. Franciszkanów z Green Bay, Wis., odpowiedział mi, że jeśli dla któ-

rego to właśnie dla tego IX. tomu zanim mi dał „Nihil obstat“, wpierw poinformował Arcybiskupa Messmera jak najbardziej szczegółowo o wszystkiem, co ten tom zawiera i na jakich dokumentach cała jego historja się opiera.

A no — pomyślałem — niezwykły to tom i niezwykłe dlań Imprimatur. Trzeba je umieścić w tej samej niezwykłej formie, w jakiej było dane. Co stąd wynikło? O tem potem.

Nie potrzebuję dodawać, że pracy nad korektą tak tego jak i poprzednich i następnych tomów miałem dużo. Przesyłki korekt z Milwaukee do Ripon i z Ripon do Milwaukee. Troska nad odbudową kościoła.

Zawsze jednak znalazłem czas pisać na pociechę papieżnikom a na pohybel episkopalnym takie i tym podobne artykuły:

Z dnia 11 października 1906.

225. **Jakiem prawem śmią Yankesi nazywać polski język cudzoziemskim?**

Jakiś socjalista Arnold, członek rady szkolnej w Milwaukee, nazywa język polski cudzoziemskim, zagranicznym, a foreign language. Jakiem prawem? Czyż język, którym tysiące ludu w Milwaukee a miljony w tym tu kraju od pół wieku się posługują w domu, szkole i kościele, w handlu, w polityce, w dziennikarstwie itd., czyż taki język zasługuje na nazwę zagranicznego?... Czy dlatego, że jest importowany z „zagranicy?“ Ale takim tytułem i angielski język powinien się nazywać zagranicznym.

Że język angielski jest tutaj urzędowym językiem, to jeszcze z tego nie wynika, że on jedynie jest językiem krajowym. W krajach Europy do 16. wieku urzędowym językiem bywał język łaciński, posługiwano się nim powszechnie w szkołach, po dworach, w literaturze; jednak to wszystko nie uprawniało go do nazwy języka wyłącznie krajowego.

226. **Zmuszajmy ich do liczenia się z prasą polską.**

Są tak naiwni Polacy, którzy sądzą, że nie opłaci się polemizować w polskich gazetach z Anglikami, Ajryszami itd. To nie prawda. Fakta temu przeczą. Faktem np. jest, że biskupi nasze „Sprawy Kościelne i Narodowe“ czytają — nie sami, lecz przez najętych do tego tłumaczy. Wybornie! Tego my właśnie chcemy, żeby nie ignorowali prasy polskiej, już choćby dlatego, że ignorując prasę polską byliby ignorantami w sprawach dwumiljonowej

przeszło społeczności polskiej. Niech się powoli nauczą liczyć i z prasą polską. (Nastąpiło to r. 1922, kiedy np. „The Chicago Daily Tribune“ zaprowadziła osobną stałą rubrykę dla artykułów prasy nieangielskiej.) A i niejeden Polak w ten sposób uzyska urząd tłumacza artykułów polskich dla Biskupa i zaskarbi sobie, jeśli nie zapłatę pieniężną, to przynajmniej łaskę biskupią za to, że przetłumaczył biskupowi, co polskie gazety piszą.

Gdybyśmy zaś artykuły polemiczne pisywali zawsze do gazet angielskich, albo — jak niektórzy niebaczni Polacy chcą — założyli gazetę **angielską** dla omawiania spraw **polskich**, to każdy widzi, że wówczas Yankesi nie odczuwaliby potrzeby liczenia się z prasą polską. Tego właśnie życzą sobie wrogowie polskiego języka i polskiej prasy, byśmy nasze sprawy omawiali **po angielsku**. Bo wiedzą, że w ten sposób zwiększą wpływ swoich angielskich gazet na ludność polską a zmniejszą wpływ prasy polskiej. Ile razy np. pojawi się artykuł jakiegoś Polaka w prasie angielsko-katolickiej, w te pędy ta gazeta rozsyła swe egzemplarze z owym artykułem Polaka do wszystkich księży polskich, by w ten sposób pozyskać śród Polaków więcej abonentów, przyzwyczaić ich do czytania angielskich gazet a odzwyczaić ich od polskich. Prosta to polityka lisa, i dziwimy się tylko, że wśród nas są jeszcze tacy, którzy w pisywaniu do gazet angielskich widzą więcej korzyści dla polskości niż w pisywaniu do gazet polskich.

Prawda, że „traduttore e traditore“ — tłumacz jest zdrajcą, to jest, że tłumacz nieraz artykuły polskie tłumaczy biskupowi **po swojemu** albo dla przypodobania się biskupowi myśl polskiego pisarza naumyślnie przekręca i w fałszywem świetle przedstawia. Znam jednego takiego tłumacza-zdrajcę, który za Judaszową zapłatę (czy groszem czy łaską biskupią) z pism polskich tłumaczy biskupowi niestworzone rzeczy i za takież srebrniki judaszowe pisuje artykuły do „Wiarusa“ pod pseudonimem „Chrupa“ (fałszerz i kłamca zawsze się światła dziennego boi i lubi się ukrywać pod maską pseudonimu). Takiemu zdrajcy lepiejby było, żeby się był nie urodził; albo lepiejby było, żeby tak jak brat jego do nazwiska swego na „a“ dodał inną końcówkę „owski“, i z otwartą przyłbicą na wzór brata uprawiał rzemiosło niezależnego pryczera raczej aniżeli odgrywał rolę prawowitego apostoła, ale Judasza. Wyrzuty sumienia trapią go ciągle, że dał się nająć za tłumacza-zdrajcę (bo gdyby prawdziwie tłumaczył moje artykuły, nie byłoby w tem nic zdrożnego), i jak oświadczył jednemu księdzu na kolei, chce

już podziękować biskupowi za ten urząd tłumacza-zdrajcy. Nie potrzebuje porzucać tego „zaszczytnego" urzędu. Owszem, niech tłumaczy nadal, **byle wiernie i prawdziwie,** to wtedy i wyrzuty sumienia opuszczą go, i będzie z niego pociecha prawdziwa a nie fałszywa.

164. Dzień katolicki w Milwaukee czy będzie miał cechę jedności wiary w rozmaitości narodów? — Misja Webera idzie swoim torem a sprawa biskupów polskich idzie także swoim torem. — Głosy prasy w Polsce.

227. Katolicki dzień w Milwaukee i jego znaczenie.

Z rozporządzenia arcyb. Messmera, Milwaukee będzie obchodziło tak zwany „Katolicki Dzień" w tę niedzielę 14. października b. r. ...W myśl organizatora jako katolickiego biskupa „Katolicki Dzień" może i powinien mieć charakter przedewszystkiem katolicki czyli powszechny. W tem przecie chluba naszego Kościoła, że jest powszechny. Taką jednością wiary w rozmaitości narodów żadne inne wyznanie religijne poszczycić się nie może. Inne wyznania sekciarskie mają mniejwięcej narodową cechę a nie powszechną. Tę tedy cechę powszechności, przed wszystkiem innem, uwydatnić ma ów „Dzień katolicki". Wysunąć na pierwszy plan w tym Dniu jakąkolwiek poszczególną narodowość, czy anglo-amerykańską czy niemiecko- czy polsko-amerykańską, znaczyłoby pozbawić go tej cechy powszechnej.

A jednak wysunięto na pierwszy plan jedną poszczególną narodowość: anglo-amerykańską! A nietylko wysunięto ją na pierwszy plan, ale ta jedna jedyna narodowość ma mieć tylko słowo, ma przemawiać w swoim języku; inne zaś narodowości nie mają mieć żadnego słowa, nie mają przemawiać w swoim języku. Tak Arcybiskup Messmer chciał — pisze „The New World".

Ja nie wierzę w to. Arcyb. Messmer jest katolickim biskupem i takiego chcemy go widzieć w każdym publicznym występie. Więc nie przedstawiajcie nam go jako szowinistę anglo-amerykańskiego, któryby urządzał Dzień katolicki — nie dla zaznaczenia jedności i powszechności Kościoła — lecz głównie dla uwidocznienia anglo-amerykańskiego charakteru ludności katolickiej i pokazania przez to Rzymowi, że biskupów polskich tu nie potrzeba, gdyż wszystkie narodowości, nawet Polacy, publicznie przyznają się do anglo-amerykańskich obywateli.

Nie! Takiego znaczenia Abp. Messmer nie mógł i nie może, jako katolicki biskup, nadawać tej publicznej uroczystości... Niech w tym katolickim Dniu w Milwaukee, jak w owym pierwszym katolickim dniu Zielonych Świąt w Jerozolimie, mowy odbywają się w rozmaitych językach! „I przemawiali w rozmaitych językach" (Dzieje Apost. 10, 6).

Cechą anglo-amerykańską popisywać się może każda niemal sekta religijna w Ameryce. Ale cechą, charakteryzującą wyłącznie prawdziwy Kościół Chrystusowy, była zawsze i jest rozmaitość języków w jedności wiary. Nie zacierajmy tej cechy, ale raczej uwydatniajmy ją zawsze a zwłaszcza w takim Dniu katolickim. Bo katolickość czyli powszechność jest tem właśnie, co nasz Kościół wyodrębnia od sekt.

. . . .

Z Shamokin, Pa., 18 sierpnia 1906 pisze mi Anna Danisiewicz: „Posyłam 5 dolarów na kościół w Ripon, te pieniądze są mego syna Józefa Danisiewicza, który umarł w wojsku amerykańskiem 5. lipca, proszę o westchnienie za jego duszę".

Z Battle Creek, Mich., 1 lipca 1906., ks. Franciszek Kroll, znany z ciętego pióra, „wydostawszy się z więzienia w Jackson, do którego się niewinnie dostał", był bez centa i pisał do mnie o zapomogę, bo ma jechać do Getsemane College, Kentucky, gdzie go chcą przyjąć jako profesora". Posłałem mu 5 dolarów, za które mi 16 lipca z Chicago dziękował, pisząc: „Ojciec, jakkolwiek mnie osobiście nie znający a może in intimo corde uważający jako specimen generis humani plenum suspicionis et malitiae, jednakowoż Ojciec się zdobył na tyle ofiarności"...

Monsignor Antonucci w liście z Rzymu 13 września 1906 najpierw mnie upewnił, że kościół mój w Ripon, choć spalony, jeśli tylko pod tym samym tytułem i na tem samem miejscu odbudowany, nie traci odpustu Porcyunkuli. Potem wyraził swój żal na ks. St. Nawrockiego, który na jego list z 13. marca 1905, nic nie odpisał. Nareszcie tak mi pisał:

Aby z pamięci nie wypadło to, cośmy zdziałali. W trzeciej naszej Prośbie błagaliśmy Ojca św. o **Wizytatora.** Otrzymaliśmy go. Przyjechał więc Arcybiskup Symon. Stąd sprawa, która naszem staraniem codzień lepiej stała, postąpiła teraz tak daleko, że o ile wiem nie waham się powiedzieć Ci niebawem osiągnie skutek przez nas pożądany. Nie mówię o bliskim przyjeździe Arcybiskupa Webera. Chodzi o rzecz daleko większej wagi. Co więcej? Sa-

memuż nowemu Audytorowi Bonawenturze Cerretti, najlepszemu mężowi, a wielkiemu mojemu przyjacielowi, poleciłem sprawę jak najgwałtowniej i wtedy kiedy do Washingtonu wyjeżdżał i teraz znowu listownie. Stąd poznasz, jak sprawa stoi".

Lud się gorszył, że papież danego słowa nie dotrzymuje. I tak pisał mi jeden z Wisconsinu: „W-ny Księże Kruszka! Oczekiwane obietnice wyjdą z pewnością na nic. Pius X. przyrzekł swoją świętą władzą nieomylności tobie W. Księże Kruszko, że przyzna polskich ks. biskupów dla Polonji amerykańskiej. Do tej pory nic stanowczego nie masz. A tylko podobieństwo do carskiej obietnicy. Bo i Car Mikołaj ślubował Bogu, że gdy się mu urodzi syn, to Polsce da wolność. I teraz Pius X pewnie uśmiecha się, że tak łatwowiernego ks. W. Kruszkę odprawił z Rzymu słowami, że Stolica przyzna biskupów polskich. Ale myślał sobie, że nie ja ale może po mnie piąty lub dziesiąty następca"....

Z Krakowa 27 lipca 1906 z redakcji „Przeglądu Powszechnego" pisał mi ks. Wiktor Wiecki T. J.:

„Czytałem recenzję twego dzieła (Historji), napisaną przez prof. Janika, zdaje mi się w „Kwartalniku Historycznym". Chciałbym, żeby i „Przegląd" napisał krytykę, tylko nie można nikogo znaleźć, gdyż każdy mówi, że nie zna stosunków. Może się jeszcze uda kogo wyciągnąć, gdyż tam jest dużo ciekawych rzeczy. Jak stoi sprawa biskupa polskiego? Chciałbym czasami coś do Spraw Kościoła z Ameryki napisać, ale... mnieby za to powiesili. Może tu kiedy zajrzysz do starej Europy?"

Z dnia 13. paźdz. 1906.:

228. **Co prasa polska w starym kraju sądzi o przyjeździe arcybiskupa Webera?**

Czytam w „Dzienniku Poznańskim", organie arcybiskupa Stablewskiego:

„Amerykańska Polonja po misji arcyb. Symona do Półn. Ameryki zbyt wiele sobie obiecywała, ale dziś, kiedy ta misja jeszcze większym kamieniem sprawę przywaliła, rozognienie umysłów ogółu ludności polskiej za oceanem z każdym dniem więcej a więcej wzrasta... Tylko w Europie ci, którzy nie znają stosunków amerykańskich, mogą przywiązywać jakąkolwiek wagę do misji arcybiskupa Webera w Północnej Ameryce, my zaś z całą stanowczością stwierdzamy, że jego przyjazd do Stanów Zj. nietylko nie po-

sunie naprzód sprawy polskich biskupstw, ale przeciwnie ją wstecz cofnie"...

Czemu?

„Echo Przemyskie", organ biskupa Pelczara, tak pisze:

„...Arcybiskup Weber przybędzie do Ameryki w charakterze prywatnym jako zakonnik, będzie pracował dla polskiego ludu, głosząc kazania, słuchając spowiedzi i udzielając Sakramentu Bierzmowania, ale poza tem nie będzie mógł mieć żadnej ingerencji na tok spraw duchownych amerykańskiej Polonji"...

„Taka misja arcybiskupa Webera nie wpłynie na ułagodzenie rozdrażnienia ogółu polskiego przeciw duchowieństwu irlandzkiemu, w rękach którego spoczywają losy Kościoła wszystkich narodowości w Północnej Ameryce".

229. **Z Rzymu.**

Otrzymałem wiadomości przychylne sprawie naszej. Sprawa biskupów polskich dla Ameryki ma iść **swoim torem**; a niezależnie od niej sprawa przyjazdu arcybiskupa Webera do Chicago ma iść **także swoim własnym torem.** Dwutorowa kolej z Rzymu do Ameryki — niema więc obawy, żeby pociągi się zderzyły, czyli, żeby jedna sprawa rozbiła się o drugą. To uspokoi pana Ślisza, autora artykułów p. t. „Czy przyjazd arcybiskupa Webera załatwi sprawę?"

165. Odbył się Dzień Katolicki w jednym języku. — Ale wielbiciele jedności językowej świecili nieobecnością. — Ks. Celichowski przemawia za zniesieniem różnic religijnych a nie narodowych.

Z dnia 25 października 1906.

230. **A jednak anglo-Irlandczycy nie są zadowoleni z Dnia Katolickiego.**

Pomimo, że arcybiskup Messmer, dla przypodobania się anglo-amerykańskiemu żywiołowi, skasował wszystkie inne języki, a kazał tylko jednym angielskim przemawiać w tak zwanym „Dniu Katolickim" w Milwaukee 14 października 1906, jednakowoż, jeśli kto, to właśnie anglo-Irlandczycy nie są zadowoleni z tego Dnia Katolickiego. Pisze milwaucki „Catholic Citizen":

„Parada Dnia Katolickiego w niedzielę nie była tak wielką jak to przepowiadano. Około 2,500 było w szeregu. Wiele parafij nie było wcale reprezentowanych, a inne raczej słabo były repre-

zentowane. Członkowie parafji św. Antoniego (niemieckiej), gdzie ks. A. J. Decker (dziekan) jest proboszczem, postanowili wcale nie brać udziału. Inne parafje z południowej strony były skąpo reprezentowane (przez jednostki, jak przez p. Ignacego Czerwińskiego i paru innych — towarzystwa nie brały wcale udziału). Wogóle można powiedzieć — powiada „Catholic Citizen" — że angielskie parafje nie brały wcale udziału — the English speaking parishes did not participate. Niemcy i Polacy (z północnej strony tylko) byli raczej słabo reprezentowani: za to Włosi, stosownie do swojej ludności, mieli silną reprezentację... Arcyb. Messmer powiedział: „...Nalegałem, żeby niebyło żadnych mów w językach cudzoziemskich (in foreign tongues), lecz żeby wszystkie były w języku tego wielkiego narodu, który tak miłujemy (but to have all in the language of this great nation we so love)..."

Tyle „Catholic Citizen".

231. **Kto dwie sroki za ogon chwyta, żadnej nie chwyci.**

Z powyższego wynika, że ów Dzień Katolicki miał być objawem nietylko **jedności religijnej**, lecz także — i to zdaje się na pierwszym planie — głównie **jedności językowej** czyli narodowej, anglo-amerykańskiej. Miał być dowodem, że katolicy w Ameryce noszą wszyscy cechę anglo-amerykańską i do tej jedynie anglo-amerykańskiej narodowości publicznie i otwarcie się przyznawają. Żadna inna narodowość, prócz anglo-amerykańskiej, nie godną tu jest publicznego uznania; żaden inny język, prócz angielskiego, nie zasługuje w tym tu kraju na żadne względy publiczne. Prywatnie i pokątnie na parafjalnych zebraniach pozwalam — mówił dostojny mówca — mówić Niemcom po niemiecku, a Polakom po polsku (co za wspaniałomyślne **pozwolenie**!). Lecz na walnym zgromadzeniu katolików, na publicznym występie w Dniu Katolickim, jeden tylko język angielski ma święcić triumf, bo on tylko jeden jest językiem używanym przez „wielki naród" w tym kraju. Polski zaś i niemiecki są to języki cudzoziemskie, zagraniczne — foreign tongues — nie mające tu prawa obywatelstwa.

Wobec tego zdawałoby się, że na taki „Dzień Katolicki" o takim wybitnie anglo-amerykańskim charakterze stawią się przedewszystkiem wszyscy litylko po angielsku mówiący katolicy, to jest anglo-Irlandczycy.

A tymczasem ci właśnie świecili nieobecnością.

„As a whole — pisze „Catholic Citizen" — it may be said the English-speaking parishes did not participate".

Porzucono mowy w polskim i niemieckim języku, jedynie z obawy, żeby anglo-irlandcy katolicy, nie rozumiejący tych języków, nie obrazili się i nie powychodzili z hali Schlitza podczas mów polskich lub niemieckich. A tymczasem ta panująca w kościele klasa katolików (anglo-Irlandczycy) wcale się nie raczyła stawić, pomimo że mowy były wyłącznie po angielsku. „The English speaking parishes did not participate".

Wykreślono z programu Dnia Katolickiego mowy polskie i niemieckie z obawy, żeby, gdy anglo-Irlandczycy powychodzą z hali, hala nie okazała się pustą, a mówcy polscy lub niemieccy nie przemawiali do gołych ścian. A tymczasem — „the English specking parishes did not participate".

Czy więc warto było mieć tyle względu na te English speaking parishes? Czy warto było ze względu na nich przemawiać wyłącznie po angielsku, kiedy oni nawet nie raczyli tam być obecnymi? Czy warto było przez wyrzucenie z programu mów polskich i niemieckich obrazić uczucia patrjotyczne Polaków i Niemców, którzy stanowią lwią część katolików w Milwaukee? Boć przecie same urzędowe cyfry statystyczne wykazują w Milwaukee przeszło 50,000 polskich katolików, 45,000 niemieckich, a tylko 17,000 „po angielsku mówiących" katolików. I do tych marnych 17,000 rozkazano zgóry zastosować się (pod względem języka) olbrzymiej większości (bo 100,000) katolików! Nie dziw, że takie względy wbiły w pychę ową mniejszość 17,000 tak, że nawet nie raczyli brać udziału — „the English speaking parishes did not participate".

Pytamy więc:

— Wozu der englischen Sprache in solcher Unterthaenigkeit den Schwanz tragen?

Kiedy np. w Milwaukee po polsku chwali Boga trzy razy więcej ludzi niż po angielsku? Przecież sam dostojny mówca wypowiedział to zdanie, że tu w Ameryce nad wszystkiem górować powinna „amerykańska zasada" — the American principle. I słusznie. Ale czyż jedną z kardynalnych zasad amerykańskich nie jest właśnie to, że „the majority rules" — większość rządzi, a mniejszość do większości stosować się winna.

Milwaucki Dzień Katolicki — w myśl organizatora — miał wykazać nietylko jedność wiary, ale i jedność języka wszystkich katolików. A tymczasem nie wykazał ani jednego ani drugiego.

Ci, którzy jednym tylko językiem mówią, nie wzięli w tym Dniu udziału — the English speaking parishes did not participate. A ci, którzy wzięli udział, rozmaitych języków byli i za zachowaniem rozmaitych języków przemawiali. Do tych ostatnich należał ks. Bronisław Celichowski.

232. **Mowa ks. Celichowskiego.**

O mowie ks. Celichowskiego „Catholic Citizen" wyraża się z przekąsem, że była „głównie prośbą o polskiego biskupa, nie zupełnie strojąc z tonem innych mówców, którzy przemawiali za zniesieniem różnic narodowych".

Lepszej pochwały, jak ta, nie mógł „Catholic Citizen" dla ks. Celichowskiego wypisać. Tak, panie Desmond. Inni mówcy, a zwłaszcza ostatni, przemawiali za zniesieniem różnic narodowych, nie mówiąc prawie nic za zniesieniem różnic religijnych. Ks. Celichowski zaś przemawiał za zniesieniem różnic religijnych, a za zachowaniem różnic narodowych. I choć „nie stroił z tonem innych mówców", to jednak każdy katolik, a nawet sam papież, mu przyzna, że zajął w swej mowie jedynie prawdziwe katolickie stanowisko. Bowiem hasłem Kościoła po wszystkie wieki zawsze i wszędzie było:

— Znieść różnice religijne a zachować narodowe!

233. **Anglomaniacy a katolicy.**

Znieść różnice narodowe — to hasło anglomaniaków w tym tu kraju, ale nie katolików!

Bo żeby to przynajmniej przez zniesienie różnic narodowych można przyjść do zniesienia różnic religijnych. Ale gdzie tam! Popatrz na ten szary tłum anglo-amerykanów w tym tu kraju. Tworzą oni jedną masę narodową, anglo-amerykańską, i mówią jednym językiem angielskim. Czyż ta jedność językowa doprowadziła ich do jedności religijnej? Przeciwnie! Jednym językiem mówią, a wiar tysiące wyznawają. Bo kto policzy wszystkie sekty religijne wśród tej właśnie ludności, która jednym językiem angielskim mówi...

Głupstwo więc mówi, kto twierdzi, że różnice narodowe należy znieść w interesie religji, bo jedność językowa zacieśni węzeł jedności religijnej.

Trzymajmy się hasła Kościoła Powszechnego: przez rozmaitość języków do jedności wiary!

. . . .

Tejże niedzieli, kiedy „Dzień Katolicki" się odbył, parafjanie św. Jacka w Milwaukee przynosili mi do hali św. Jacka ofiary na odbudowanie kościoła w Ripon. Ks. Celichowski założył się ze mną o pięć dolarów, że nie dostanę więcej jak 500 dolarów od Jackowian. A tymczasem w przeciągu trzech godzin Jackowianie złożyli mi przeszło 800 dolarów.

Więcej „Dni Katolickich" arcyb. Messmer nie urządzał, choć chciał co rok urządzać. To był pierwszy i ostatni.

166. Każdy ratował swoje świętości, i katolik i metodysta. — O angielski dziennik katolicki. — Katolik a kat. — Narodowości polskiej, dopóki żywa, do grobu nie kładźmy, ani innym kłaść nie pozwólmy!

Z dnia 20 października 1906.

234. **Każdy ratuje z ognia swoich świętych.**

Jak wiadomo, w kościołach katolickich bywają statuy Chrystusa, Matki Boskiej i Świętych Pańskich. W kościołach metodyskich tego wszystkiego niema, ale za to bywa w nich kuchnia i niezbędne przybory kuchenne, jako to: kotły, garnki, miski, talerze, rondle, łyżki i inne sprzęty kościelno-kuchenne. Otóż kiedy kościół polski w Ripon się palił, 11 lipca 1906, i Polacy wynosili z płonącej świątyni statuy Pana Jezusa, Matki Boskiej i św. Wacława, niektórzy złośliwi metodyści, stojący z ubocza, śmiali się mówiąc:

— Look, hom the Catholics carry their gods" (patrz, jak katolicy wynoszą swoich świętych bogów!).

Lecz nikt rozsądny, nawet z innowierców, nie śmiał się, chyba głupi.

Przed tygodniem zdarzyło się, że i metodyski kościół w Ripon się spalił. I trzeba było widzieć, jak metodyści się uwijali, wynosząc ze swojej palącej się świątyni to kotły to garnki to rondle i całe kosze misek, filiżanek, talerzy, łyżek itd., słowem, same przybory kuchenne. Wtedy to jakiś z ubocza stojący katolik zawołał:

— Look, how the Methodists carry their gods (patrz, jak metodyści wynoszą swoich świętych!).

I tym razem wszyscy się śmiać musieli, nietylko głupi, ale i rozsądni.

Każdy ratował swoich świętych i swoje świętości, metodysta swoje i katolik swoje.

235. **Nie było i niema ani jednego angielskiego dziennika katolickiego.**

Najstarszem angielskiem czasopismem katolickiem w Ameryce jest tygodnik wychodzący w Cincinnati, O., p. t. „Catholic Telegraph“, który w tym roku (1906) obchodzi diamentowy jubileusz swego założenia. W numerze jubileuszowym tygodnik ten wylicza swoje zasługi, położone około katolicyzmu; a za największą zasługę poczytuje sobie to, że „**agitował** zawsze za założeniem **codziennego** pisma katolickiego w języku angielskim“. Agitował przez 60 lat, a angielskiego dziennika katolickiego jak niema tak niema. Czy będzie w przyszłości? Chyba Polacy się zanglizują... „The Catholic Telegraph“ przez 60 lat daremnie usiłujący z tygodnika stać się dziennikiem, pomimo tej zgrzybiałej swej starości nie traci przecie nadziei, że może kiedyś jeszcze **stanie się** dziennikiem — pierwszym angielskim dziennikiem katolickim w Ameryce! Gwałtu, coby to za triumf był w całej Irlandji amerykańskiej! Toż ten dzień byłby epokowym w historji Kościoła w Ameryce — in the „Trials and Triumphs of the Church in America“, dzień wielki bardzo, w którym anglo-irlandzka ludność katolicka ze stugłowym episkopatem na czele zdobyłaby się raz przynajmniej na jeden dziennik katolicki! Coby to za ogromny sukces był! Ojca św. telegraficznie uwiadomionoby o tym fakcie...

Nawet te tygodniówki anglo-katolickie, jakie istnieją, nędzny i suchotniczy tylko żywot wloką. Wśród anglo-Irlandczyków nie znajdują dosyć czytelników, żeby się utrzymać; więc nasyłają je ciągle polskim katolikom, wmawiając w nich, że tu w tym kraju muszą się zangliczyć i angielskie gazety katolickie czytać, jeśli chcą zbawić swoją duszę i katolikami pozostać...

Z dnia 27 października 1906.

236. **Musimy umrzeć, więc nie jedzmy i nie pijmy?**

Poco jesz i pijesz, kiedy wiesz na pewno, że umrzeć musisz? Poco od rana do wieczora z takim pracujesz trudem i mozołem, żeby tylko mieć co jeść i co pić, kiedy i tak śmierci nie unikniesz?

Gdyby nam tak ktoś rozumował, powiedzielibyśmy mu:

— Głupi jesteś!

A jednak to powyższe rozumowanie nie jest jeszcze tak głupie, jak to drugie rozumowanie anglomanjaka, który mówi:

— Poco tu w Ameryce podtrzymywać narodowość polską, kiedy ona i tak zaginąć musi?

Zdarza się, że nawet niejeden z rodaków naszych takie pytanie stawia, sądząc, że to bardzo rozumne pytanie. Niedawno w Schlitza parku postawił mi takie pytanie znany dobrze Polonii milwauckiej pan Ignacy Czerwiński, jako reprezentant parafji świętego Stanisława w Dniu Katolickim.

Jedzeniem i piciem codzień podtrzymujesz swoje życie cielesne, chociaż wiesz na pewno, że to życie twoje się skończy i skończyć musi. Dlaczego je jednak żywisz, ożywiasz i podsycasz codziennie? Bo chcesz to życie swoje przedłużyć, chcesz go użyć jak najdłużej możesz. A tylko samobójca w szale swoim tak rozumuje: Skoro raz kiedyś mam umrzeć, lepiej zaraz niech umrę!

237. **Ród i naród musi wyginąć, więc nie starajmy się o ich przedłużenie?**

A przecie życie cielesne, to życie krótkotrwałe i niepewne. Pewniejszem już i trwalszem jest życie **rodowe.** Ród nie tak prędko ginie jak pojedyńczy człowiek. A jeszcze pewniejszem i trwalszem jest życie **narodowe.** Narodowość nie tak prędko ginie jak pojedyńczy ród.

Jeżeli więc tak troskliwie staramy się o nasze życie cielesne, choć wiemy na pewno, że prędzej czy później ono się skończy: — o ileż troskliwiej dbać powinniśmy o życie narodowe, którego końca tu w Ameryce z taką pewnością przepowiedzieć nie możemy!

Czy narodowość polska w Ameryce kiedyś wyginie?

Może być, że **kiedyś** wyginie.

Ale **teraz,** w obecnym czasie, Bogu dzięki, jeszcze żyje, mnoży i rozwija się. A dopóki żyje, mamy nietylko prawo ale i **obowiązek** żywić, karmić i podtrzymywać ją wszelkiemi sposobami. Tak, jak dopóki żyjemy cieleśnie, mamy nietylko prawo ale i obowiązek żywić i karmić nasze ciało. Kiedy umrzemy, niech nas wtedy z Bogiem pochowają. Ale dopóki żywi, do grobu zstąpić nie chcemy.

Podobnie z życiem naszem narodowem. Kiedy narodowość polska w Ameryce wymrze, niech ją wtedy z Bogiem pochowają i mogiłę lub kopiec jej usypią, jeśli chcą. Ale dopóki **żywa,** — żywej do grobu nie kładźmy ani innym kłaść nie pozwólmy!

Niech żyje; niech żyje; i jeszcze raz, niech żyje jak najdłużej narodowość polska w Ameryce!

Czy ród Czerwińskich w Ameryce wymrze? Może i wymrze prędzej nawet niż narodowość polska. A czyż dlatego pan Brzuchalski przestaje się starać o przedłużenie i zapewnienie swego **rodu?**

Tem bardziej więc powinniśmy się starać o przedłużenie swego **narodowego** życia tu w Ameryce przez posyłanie dzieci do szkół polskich, przez czytanie gazet i książek polskich, przez zakładanie coraz więcej bibljotek, towarzystw, parafij i szkół polskich, przez wybieranie Polaków na urzędy.

238. **Czołem katolikom a szponem katom!**

Ten, który tu dąży do zniesienia różnic narodowych, zamiast religijnych, to nie katolik; to kat, którdyby chciał ściąć głowę narodowości polskiej w Ameryce. Czołem katolikom, ale szponem katom!

Jak jest jeden Bóg, tak jedna wiara i jeden powinien być Kościół na świecie. Tak nas wiara święta katolicka uczy. Ale żeby miała być jedna tylko narodowość, tego ani w Piśmie św. ani w nauce Kościoła katolickiego nie znajdujemy.

Rozdział narodowy między ludźmi sam Bóg ustanowił. Rozdziału zaś religijnego szatan jest sprawcą. A zatem jako prawdziwi katolicy dążyć powinniśmy do obalenia tego, co szatan zaprowadził, a nie do obalenia i wytępienia narodowości, którą Bóg ustanowił. Tylko Prusak-hakatysta i Moskal-bolszewik, a u nas anglomanjacy dążą do zniesienia różnic narodowych, zamiast żeby dążyć do zniesienia różnic religijnych. Chcąc porządek Boży wywrócić do góry nogami, dążą do jedności narodowej choćby w rozmaitości wiar, o jedną wiarę prawdziwą się nie troszcząc, zamiast żeby dążyć do jedności wiary w rozmaitości narodów.

Ale Bóg nie pozwala zniszczyć i wytępić tego, co sam ustanowił. Narody, jak mówimy, są nieśmiertelne. Rozmaite wiary czyli sekty, jako instytucje szatańskie, i rozmaite państwa, jako instytucje czysto ludzkie, mogą z czasem upadać i ginąć. Lecz narodowości rozmaite, jako dzieła rąk Boskich, mają niespożytą siłę i trwałość, całym wiekom urągając w istnieniu swojem. Nie zdusi ich ani Prusak ani Moskal ani anglomanjak, tak jak nie obali jedynej instytucji Boskiej w dziedzinie religji, Kościoła katolickiego.

Jedność w rozmaitości! Nad to prawo niemasz nic powszechniejszego. Obejmuje ono bowiem porządek wszechświata. Jedność w rozmaitości — to prawo objawia się w samym Stwórcy wszech-

rzeczy. Bo Bóg jest **jednym** co do Istoty, lecz **rozmaitym** co do Osób. To powszechne więc prawo — jedność w rozmaitości — musi się objawiać także w rodzaju ludzkim. W jakiem znaczeniu? Czy w tem, że rodzaj ludzki ma stanowić jedną narodowość a na rozmaite wiary się rozpadać? Nie! Lecz w tem, że wśród ludzi ma panować jedność wiary w rozmaitości narodów.

I Ameryka z pod tego wszechświatowego prawa nie jest wyjęta.

167. Fatalizm narodowy. — Dzień Katolicki rozbił się o szkopuł anglo-amerykanizmu. — Jedność językowa nie jest środkiem do jedności religijnej.

239. **Fatalizm narodowy jest pokrewny religijnemu.**

Herezje czyli błędy są nietylko w religji, ale i w dziedzinie narodowej. Jednym z takich błędów, czyli herezyj narodowych, jest fatalizm czyli wiara w przeznaczenie Polonji amerykańskiej.

Fatalizm, tak narodowy jak religijny, ma zazwyczaj swoje źródło **w lenistwie.** Jak każdy grzech, tak i fatalizm chętnie się ubiera w szatę cnoty, mianowicie w szatę wiary. Fatalista wierzy w przeznaczenie, w los nieuchronny, w predestynację i powiada:

— Co musi być, to musi być. Co ma się stać, to się stanie. Na to niema rady. Naco mam się trudzić i biedzić, kiedy przeznaczenia mego nie zmienię. Lepiej założę ręce i nic nie będę robił, poddając się losowi, jaki mi przeznaczony.

Tak mówi fatalista wogóle, a w szczególności:

Fatalista religijny tak powiada:

— Pan Bóg od wieków przeznaczył mię albo do nieba albo do piekła. Więc co się ze mną stanie, mnie to ani grzeje ani ziębi. O moją duszę i jej los pozagrobowy wcale się nie staram. Bo jeślim do piekła przeznaczony, to choćbym nie wiedzieć jak święcie żył, do nieba nie pójdę. A jeślim do nieba przeznaczony, to choćbym grzeszył najbardziej, do piekła nie pójdę. Więc tak czy owak nie opłaci się myśleć o duszy i jej życiu przyszłem.

Podobnie rozumuje i fatalista narodowy:

— Narodowość polska w Ameryce albo musi zginąć albo nie. Jeśli jej los nieuchronny jest taki, że musi zginąć, to nie opłaci starać się o nią. A jeśli nie ma zginąć, to nie potrzebuję się starać o jej utrzymanie, bo i bez tego nie zginie. Więc tak czy owak nie

warto myśleć o narodowości polskiej, o szkole polskiej, o kościele polskim, o gazecie lub organizacji polskiej. Bo co ma być, to będzie. Co ma wisieć, to nie utonie. A co ma zginąć, to zginie.

Oto fatalizm czyli wiara w przeznaczenie, w los nieuchronny. Fatalizm jest strasznym błędem, czyli herezją, w religji. Ale zarówno jest zgubnym w dziedzinie narodowej. I chyba nigdzie bardziej nie jest rozpowszechniony jak tu w Ameryce. Że fatalizm, jak rak toczący społeczeństwo nasze, pociąga za sobą straszne i okropne, wprost „fatalne", jak trafnie mówimy, skutki, nie potrzeba udowadniać. To nieszczęsne przysłowie „Jakoś to będzie!" już raz Polskę zgubiło i zgubi drugi raz, jeśli z tego fatalizmu natychmiast się nie poprawimy.

Fatalizm wypływa z lenistwa, z opieszałości, obojętności i oziębłości czy religijnej czy narodowej. Fataliście religijnemu nie chce się modlić, pościć, spowiadać, iść do kościoła; słowem nie chce mu się pracować nad zbawieniem duszy. A fataliście narodowemu nie chce się mówić po polsku, czytać książek i gazet polskich, posyłać dzieci do szkoły polskiej — naco — powiada, kiedy one i tak się wynarodowią, słowem, nie chce mu się pracować nad utrzymaniem narodowości polskiej.

Skutek jest ten, że jeden i drugi ginie. Koniec ich — zatracenie!

Jeden i drugi, chcąc pokryć swoje lenistwo płaszczem cnoty, wyznaje **wiarę** w fatalizm. Mają więc fataliści swoją wiarę (bo niema człowieka bez jakiejś wiary, a tylko nasi „liberałowie" mówią, że „każda wiara jest dobrą"). Mają wiarę, ale nie świętą i prawdziwą, lecz fałszywą i przeklętą, bo wiarę w los nieuchronny, pogańską wiarę w jakieś wiszące nad nimi fatum żelazne, w konieczność nie dającą się usunąć.

Lenistwo i próżnowanie jest początkiem wszystkiego złego, jest i początkiem tej strasznej herezji fatalizmu.

Jak nie wiemy, czy zbawimy duszę swoją: tak nie wiemy, czy zbawimy i uratujemy tu w Ameryce naszą narodowość. Ale Pan Bóg naumyślnie zasłonił nam naszą przyszłość, ażebyśmy tem gorliwiej i żarliwiej pracowali i nad jednem i nad drugiem: nad utrzymaniem wiary i narodowości. Przyszłość nasza zależy od teraźniejszości. Co teraz zasiejemy, to i w przyszłości żąć będziemy. Pracujmy na polu społecznem. Pracujmy w poszczególnych komisjach Rady Obywatelskiej.

Pracujmy teraz! A przyszłość tak wiary jak i narodowości naszej w Ameryce będzie zapewniona.

Z dnia 1 listopada 1906.

240. **Dzień katolicki rozbił się o szkopuł anglo-amerykanizmu.**

„Der Wanderer“ z St. Paul pisze: „Pierwotny plan urządzenia Dnia katolickiego podali członkowie niemieckiego Vereinu, popełnili jednak tę nieostrożność, że wdali się w konszachty z Powiatową Federacją, która z programu wykreśliła używanie niemieckiego języka, ażeby przecież raz mieć „czysto amerykański“ Dzień katolicki. No, i był on też takim! Usiłowano ten obchód do olbrzymich rozdymać rozmiarów; w rzeczywistości był haniebnem fiaskiem... Tylko polski mówca skorzystał ze sposobności, żeby obcym słuchaczom, których zresztą nigdyby nie dosięgnął, wyłożyć jak na łopacie sprawę biskupów polskich...“

Tak więc ów niemiecki Dzień katolicki rozbił się o szkopuł anglo-amerykanizmu. Nie skupił on katolików, nie zbliżył ich do siebie — dlaczego? bo ci co go urządzili, wywiesili **sztandar jedności językowej,** narodowej, anglo-amerykańskiej, zamiast żeby mieli wywiesić **sztandar jedności katolickiej,** jedności wiary w rozmaitości języków. Jak długo celem Dni katolickich będzie głównie **zniesienie różnic narodowych,** tak długo nie mogą one cieszyć się powodzeniem. Nie o zniesienie różnic językowych, nie o jedność językową, lecz **o jedność myśli i ducha i wiary** powinno głównie rozchodzić się tym, którzy takie Dni urządzają.

241. **Jedność językowa nie jest środkiem do osiągnięcia jedności religijnej.**

Niechby raz poprzestali łudzić się tem, że przez zaprowadzenie jedności językowej zacieśnią węzeł jedności religijnej. Jest to złudzenie, nic więcej. Jedność bowiem językowa nie jest środkiem do osiągnięcia jedności religijnej. Twierdzenie to brzmi jak paradoks czyli zdanie sprzeczne z ogólnem mniemaniem; na pozór wydaje się niedorzecznem, lecz w rzeczywistości jest prawdziwem.

Prawdziwem jest nawet w dziedzinie polityki. Anglja w zabranej Irlandji zaprowadziła swój język; ma więc jedność językową. Lecz czy ma jedność narodową i polityczną? Przeciwnie. Republika szwajcarska tworzy jedność polityczną pomimo — i właśnie dlatego, że nie kusiła się i nie kusi o zaprowadzenie jedności językowej. W Szwajcarji trzy czy cztery języki są „językami

kraju". I dobrze im z tem, bo jeden drugiego nie wyzywa od „foreign tongues", jak się to tu w Ameryce od anglomanjaków słyszy

Ale do jedności kościelnej i religijnej zaprowadzenie, zwłaszcza narzucanie jedności językowej, nietylko nie jest środkiem, lecz wprost przeszkodą.

Brzmi to paradoksalnie, ale jest prawdą.

Niech anglomanjacy nie chcą być mędrszymi od Ducha św. Gdyby jedność językowa była istotnie środkiem do osiągnięcia jedności religijnej, to Duch św. na samym początku Kościoła byłby zaprowadził jedność języka, a nie udzielał daru języków rozmaitych. Fakt to zresztą i dzisiaj w oczy bijący, że jedność językowa nie przyczynia się bynajmniej do jedności religijnej. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć tego faktu w tych tu Stanach Zjednoczonych, że właśnie ci, którzy do wymarzonego przez anglomanjaków ideału jedności językowej najbardziej się zbliżyli, oddalili się najbardziej od jedności religijnej. Bo właśnie w gronie jednojęzycznych anglo-Amerykanów aż się roi od sekt religijnych. A przeciwnie ci, którzy tu tworzą rdzeń i siłę jedności religijnej, to jest katolicy, są najbardziej od jedności językowej oddaleni.

168. Głos Watykanu o polityce Prus wobec Polaków. — Wiec o biskupów polskich. — Biskup Lillis nie anglomanjak. — Święty adwokat?

„Kurjer Polski" z 3 listopada 1906 ogłosił następujący naczelny artykuł redakcyjny:

„Głos Watykanu o walce Polaków z Prusakami.

„W sprawie polskiej, w sprawie prześladowanych polskich dzieci przez rząd pruski... przemówił nareszcie sam Watykan, najwyższa władza katolicka, przez „Osservatore Cattolico".

„W artykule wstępnym organ ten papieża poddaje niezmiernie surowej krytyce politykę Prus wobec Polaków i stwierdza, że jest ona „brutalniejszą niż polityka Rosji".

„Każdy człowiek kulturalny — pisze organ watykański — musi oświadczyć jasno, że postępowanie rządu pruskiego w Polsce nie jest godne cywilizacji... Szczególniej dziwi nas zachowanie się cesarza Wilhelma, który zawsze występuje jako chrześcijanin, a który pozwala na to, ażeby jego urzędnicy spełniali takie niechrześcijańskie czynności. Objektywny sąd historji wyda swój wy-

rok o monarsze, który prześladuje poddanych swoich i przeszkadza im Boga w ojczystym wielbić języku.

„Musimy jednak dodać — kończy organ Watykanu — że prześladowanie dzieci jest tylko jeszcze jedną stronicą w tej wielkiej księdze, która się nazywa polityką Prus wobec podbitych Polaków. Wiemy jednak wszyscy z historji, że pycha nadmierna jest poprzedniczką upadku i dlatego nie dziwimy się wcale, że liczba wrogów Niemiec tak ogromnie w całym świecie wzrasta".

Z dnia 3 listopada 1906.

242. **Chodzi o gazetę polską w angielskim języku.**

Powinniśmy tu mieć gazetę polską w języku — angielskim. Tak mówili mi oddawna i mówią jeszcze rodacy, księża i cywilni. Nasz rodak, pan Anthony Tomas, Qr. Mr. Sergt. Co M. Engineers, który powrócił z Wysp Filipińskich i bawi obecnie w Fort Riley, Konsas, pisze mi stamtąd 21 paźdz. 1906.

„Czytając już od dłuższego czasu artykuły Wiel. Księdza, muszę powiedzieć, że interesują one mnie więcej aniżeli które inne... Atoli zmuszony jestem zwrócić uwagę, że „ci niebaczni Polacy", do których i ja się liczę, nie myślą o założeniu gazety angielskiej, ale raczej o założeniu gazety **polskiej** w angielskim języku"...

Z powyższego widać, że pan Thomas to żołnierz i strategik, który zamiast czekać aż nieprzyjaciel przyjdzie do naszych ziem, woli odrazu wkroczyć do kraju nieprzyjaciela, tam mu dać bitwę i pobić go na jego własnem polu. Nie zła to taktyka, przenieść pole bitwy do kraju nieprzyjaciela, chociaż niebezpieczna, bo w kraju nieprzyjacielskim łatwiej wpaść w zasadzkę nieprzyjaciela niż we własnym. Ale pole angielszczyzny to dla nas Polaków w Ameryce kraina dobrze znana, tak jak nasza, więc zasadzki obawiać się nie potrzebujemy.

Rozchodzi się tylko **o zdobycz.** Czy zdobędziemy czytelników takiego „pisma polskiego w angielskim języku"? i czy zdobędziemy **płatnych** czytelników? Bo inaczej szkoda czasu i atłasu. Lepiej wtedy zwabić nieprzyjaciela do własnego kraju i na własnem polu go obłupić, zmuszając go do tłumaczenia polskich gazet. Takie tłumaczenie zawsze go coś kosztuje. A co go kosztuje, to też umie sobie ocenić. Jeżeli zaś taką „gazetę polską w angielskim języku „darmo mu posyłać będziemy, nie będzie jej sobie cenił ani się z nią liczył tak jak się nikt nie liczy z gazetkami przedwyborczymi darmo nadsyłanymi.

Taka „gazeta polska w angielskim języku“ mogłaby mieć wielką wagę u innych Amerykanów dopiero wtenczas, gdyby była **odzwierciedleniem prasy polskiej w Ameryce.** Coś w rodzaju „Review of the Polish Press in America“ byłoby poczytnym i interesującym dla innonarodowych Amerykanów i — opłacałoby się. Bo Amerykanin ciekawym jest, co **prasa polska,** czytana przez dwumiljonowy ogół polski, sądzi i pisze o sprawach czy kościelnych czy społecznych czy ekonomicznych.

243. **Biskup Lillis nie anglomanjak.**

Powiedział na bierzmowaniu: „Wiara nabyta na amerykańskiej ziemi jest za płytką — wskutek mieszaniny sekt — i lada powiew wiatru obali ją, jeśli jej nie podeprze ta głębko zakorzeniona wiara, jaką ojcowie nasi ze starego kraju przywieźli. Napominam was tedy, abyście mocno się trzymali tradycji ojców waszych i dzieci waszych zaznajomiali z cierpieniami i trudami, jakie wy sami może ponosiliście albo rodzice wasi i przodkowie dla wiary ponosić musieli“.

Tak przemawiał biskup Lillis, Irlandczyk a nie anglomanjak. Zupełnie to inaczej brzmi jak to, co niedawno słyszeliśmy z ust innego dostojnego mówcy, że tu w Ameryce „ponad ideał własnej ojczyzny powinien górować i przyświecać nam ideał tego wielkiego anglo-amerykańskiego narodu!“

Tak, z pewnością może przyświecać nam jako naród kramarski i kupiecki w handlu i przemyśle, ale nie — w wierze!!

— W niedzielę, 28 października 1906 w hali Kościuszki w Milwaukee, Wis., odbył się Wiec Polski, na którym tłumy rodaków dopominały się ustanowienia biskupów polskich w Ameryce. Odpowiednie rezolucje posłano arcyb. Messmerowi i Delegatowi Apostolskiemu.

Z dnia 8 listopada 1906.

244. **Irlandczykom wolno się buntować.**

Oto co „Wiarus“ z Winony pisze o Irlandczykach w Kanadzie:

„W tem nie masz nic zdrożnego, że Irlandczycy w Kanadzie wypowiadają posłuszeństwo biskupom francuskim i skargi wnoszą do Rzymu. Owszem znajdują oni otwarte poparcie w pismach, a pośrednie poparcie od biskupów amerykańskich“...

Ich za to władza kościelna nie wyklnie z Kościoła tak jak wyklęła biednych Polaków...

Rodacy! Od was to zależy, czy Irlandczycy i anglomanjacy mają się rozproszyć po całej Ameryce, czy nie. Was dwa miljony przeszło. A ta gromada to wielki człowiek. Powstańcież tedy jako jeden mąż i — nie wypowiadajcie posłuszeństwa, bo to Irlandczykom i anglomanjakom tylko wolno, ale — zrzućcie z siebie jarzmo niewolnictwa, bo to i wam wolno. Niewolnikiem w Kościele nikt nie powinien być. Bądźcie sługami wiernymi i posłusznymi Kościołowi, to jest, pełnijcie swoje obowiązki, ale upominajcie się zarazem i o swoje prawa, nie dajcie ich sobie wydrzeć ani nie zrzekajcie się ich przez zbytnią uległość, bo przez to popadlibyście w niewolnictwo. A niewolnictwo jest hańbą i grzechem nie mniejszym od buntu.

245. **Czy jaki adwokat był kiedy świętym?**

Każdy stan miał swoich świętych. Ale czy słyszał kto o jakim świętym adwokacie? Św. Alfons Ligouri był adwokatem, ale został świętym dopiero, gdy porzucił zawód adwokacki... „New York Sun" przecież nareszcie znalazła świętego adwokata. Jest nim St. Ives, święty Iwo, urodzony z szlacheckiej familji r. 1253 w Bretanji, zmarł r. 1333, kanonizowany r. 1347.

Gdy umarł, stanął przed bramą nieba w towarzystwie licznych zakonnic. Św. Piotr pyta zakonnicę:

— Kim ty jesteś?

— Zakonnicą.

— Dobrze, więc wejdź. Niebo jest pełne zakonnic.

Potem zwróciwszy się do Iwona, rzecze św. Piotr:

— A ty kto?

— Obrońcą prawa. Adwokatem.

— Wejdź do nieba, bo tu dotychczas nie mieliśmy ani jednego obrońcy prawa, adwokata.

Św. Iwo więc dostał się do nieba całkiem legalnie.

Pewnego atoli dnia, gdy wdrożono śledztwo jego tytułów prawnych, aktów i dokumentów sądowych i kruczków adwokackich postanowiono go wydalić z nieba.

— Możecie mię wydalić, nie będę się wam opierał — odrzekł święty adwokat — ale żeby to wydalenie moje z nieba działo się prawnie, konieczną jest rzeczą, aby jakiś woźny (a bailiff) urzędowo doręczył mi sądowy pozew mojego wydalenia.

Zaczęto tedy szukać woźnego. Nie znaleziono w niebie. W ten sposób — kończy legenda — św. Iwo, patron adwokatów,

pozostał w niebie, ile że legalnie wyrzucić go nie było można. W brewjarzach starożytnych jest taki o nim hymn:

Sanctus Yvo
Erat Brito
Advocatus
Et non latro
Res miranda
Populo —

„Święty Iwo był Bretańczykiem; a choć był adwokatem — rzecz dziwna — nie był łotrem."

169. Dalszy ciąg artykułów, które ściągnęły na mnie gniew episkopalnych. — Lud polski płaci seminarystykum, a seminaryści polscy nie mają nauki polskiej. — List arcyb. Symona o Abpie Weberze.

Z dnia 10 listopada 1906.

246. **Polscy studenci w seminarjach amerykańskich.**

Oprócz seminarjum polskiego w Detroit, każde inne seminarjum innonarodowe w Ameryce ma mniej lub więcej znaczną liczbę studentów polskich. A liczba ta z rokiem każdym rośnie. Gdyby tych studentów razem zebrano, możnaby z nich utworzyć trzy lub cztery seminarja polskie. Tymczasem, będąc w rozproszeniu, tworzą kółka w seminarjach. Samozachowawczym instynktem narodowym wiedzeni, zakładają polskie towarzystwa literackie. W seminarjum w St. Francis, Wis., najstarsze pewno tego rodzaju Towarzystwo Literackie obchodzi już tego roku jubileusz srebrny. Z nowych towarzystw zaznaczyć wypada Towarzystwo ks. St. Konarskiego w seminarjum św. Bonawentury w Allegheny, N. Y.

247. **Polskie kółka seminaryjne są szkołą przyszłych kaznodziei polskich.**

Z wyjątkiem jednego w St. Francis, Wis., wszystkie inne seminarja duchowne, choć pobierają podatek (seminarystykum) od ludu polskiego, polskich jednak kaznodziei nie kształcą dla tegoż ludu. Polskie pieniądze biorą, ale w polskim języku studentów nie uczą. Krzycząca to niesprawiedliwość. Studenci więc sami kształcą się, jak mogą, w języku polskim i właśnie owe kółka w tym celu zakładają. Po sprawiedliwości, dopóki profesorów

polskich niema, część seminarystykum zebrana z polskich parafij powinna iść nie na seminarjum lecz na owe polskie kółka w seminarjach, na zakupienie książek polskich itp. Bo żeby to jeszcze student polski miał wybór iść do seminarjum polskiego, ale nie, biskup mu nie pozwala, każe mu iść do swego seminarjum, w którem po polsku **nie uczą.** Ale seminarystykum z polskiego ludu ściąga — to swoją drogą.

Tfu! To wstyd i hańba. To chyba trzeba nie mieć ani sumienia ani poczucia obowiązku, że przyszłemu kaznodziei należy przecie dać wykształcenie w tym języku, w którym on głosić ma kiedyś ludowi słowo Boże... Ta krzywda już o pomstę do nieba woła!

248. **Polscy studenci na uniwersytetach amerykańskich.**

Polonja amerykańska rośnie z taką szybkością, że nawet skrzętny kronikarz nie zdołałby zapisać wszystkich dzieł jej i czynów, godnych pamięci ludzkiej. Samych nowych parafij, polskich kościołów i szkół powstaje rok rocznie tyle na ziemi amerykańskiej, że gdyby w gazetach osobną na to rubrykę przeznaczono, rubryka ta wypełniałaby się stale i zawsze samem wyliczeniem, gdzie i kiedy powstał nowy kościół, nowa szkoła polska.

Trudno wyliczyć polskich seminarzystów, ale jeszcze trudniej podać choćby w przybliżeniu wzrastającą co rok liczbę świeckich studentów, uczęszczających do kolegjów i uniwersytetów amerykańskich. Wziąć gazetę z jakiejkolwiek osady, a napotka się wzmianki o studentach polskich wstępujących do uniwersytetu...

249. **W sprawie biskupów polskich.**

Arcyb. Symon nadesłał taki list:

„Rzym, 30 października 1906.

„Powróciwszy niedawno z dłuższej wycieczki do kraju, miałem dzisiaj posłuchanie u Ojca św. i pomiędzy innemi rzeczami mówiłem też o sprawach Polonji amerykańskiej, przedłożonych Jego Świątobliwości na początku bieżącego roku w osobnym memoriale.

„Ojciec św. raczył odpowiedzieć mi na to: „Zrobimy coś niezawodnie, a tymczasem wyślemy tam ks. arcybiskupa Webera ze wszystkiemi prawami, związanemi z charakterem jego biskupim, i jednocześnie polecamy Go tamtejszym biskupom, by mógł być im pomocnym w zaradzaniu potrzebom religijnym osiadłych

w ich diecezjach Polaków. Na razie Polacy powinni być i z tego zadowoleni, zanim zrobimy dla nich coś więcej. Mamy nie jedną trudność do przezwyciężenia, o czem Polacy Twoi powinniby więcej pamiętać."

„Z tych słów Ojca św. wypada dość jasno: że ks. arcybiskup Weber pojedzie do Ameryki nie tyle w roli zakonnika-Zmartwychwstańca, ile raczej w charakterze biskupa; że następnie uda się tam nie z rozporządzenia zwierzchności swojej zakonnej, lecz z woli i rozkazu samego Ojca św., co Mu zapewni odrazu stanowisko całkiem odrębne wobec biskupów amerykańskich, i że wreszcie tymże biskupom amerykańskim wypadnie uważać Go za pomocnika w stosunkach ich z Polakami i w zaradzaniu potrzebom ich duchownym. Razem powyższe słowa Ojca św. dowodzą, że pamięta On o naszych rodakach za oceanem i pragnie zadosyć uczynić słusznym ich potrzebom religijnym; ale też chce przytem, by nie zapomniano tam o trudnościach, z któremi liczyć się musi.

„Łącząc wyrazy szczerego poważania, pozostaję

oddanym w Chr.

Fr. A. Symon, arcyb."

250. **Strach ma wielkie oczy.**

Słowacy zwołali kongres. Prasa irlandzka zaraz myślała, że Słowacy chcą założyć Niezależny Słowacki Kościół.

Ano, na złodzieju czapka gore. Kto wie, że Słowakom — podobnie jak Polakom — krzywdę wyrządza, ten w każdym kongresie upatruje niezależnego ducha i boi się schyzmy. Najprostsza i jedyna droga do wzmocnienia jedności katolickiej a uniknienia schizmy, jest ta:

Oddać każdej narodowości co się jej należy, czyli, być sprawiedliwymi. Bo sprawiedliwość jest fundamentem społeczeństwa. Ale jeżeli się podkopuje ten fundament sprawiedliwości, wtedy naprawdę obawiać się należy ruiny Kościoła w Ameryce.

Poskromcie, o synowie Zielonej Wyspy, waszą żądzę panowania i podzielcie się władzą z innymi narodowościami, to wtedy obawy o schizmę trapić was więcej nie będą.

251. **Ostre pióro.**

Często się słyszy biadanie: On ma za ostre pióro, on używa zbyt ostrych wyrażeń. Jak gdyby to, co tępe, było zawsze lepszem

niż to, co ostre. Pióro, służące dobrej sprawie, tak jak brzytwa nigdy nie może być za ostre. Pisze „The Catholic Sun“:

„W ostatnich latach powstała szkoła o duchu tego rodzaju „katolickim“, że uczy takiej pobłażliwości dla obłudy, krzyczącej niesprawiedliwości i bezczelnej podłości, iż wątpimy, czy takie stanowisko pobłażliwości, jakie nowoczesna szkoła katolicka zajmuje, jest historycznie prawdziwie katolickie stanowisko. Kiedy nasz Boski Mistrz obcował z ludźmi, był on ostrym w karceniu pewnych nadużyć, strasznie ostrym i sarkastycznym do tego stopnia, że żaden śmiertelnik mu w tem nie dorównał. Przeszukaj literaturę całego świata — czytaj Arystofanesa, Juwenalisa, Statiusa, Rabelais, Joniusa — przewracaj stronice wszystkich satyryków, nigdzie atoli nie znajdziesz tak przerażającego i nadnaturalnie strasznego potępienia, jak u św. Mateusza rozdz. 23 od 23 wiersza...

„To nasz Zbawiciel i Mistrz mówił, stojąc w środku świątyni i mając przed sobą owych Faryzeuszy. Żółć i piołun nie są bardziej gorzkie od powyższych słów; pioruny Boże, spadające z nieba, nie są straszliwsze. Tylko Syn Boży potrafił wyrzec tak straszliwe słowa: i On wyrzekł je istotnie. I straszliwszych słów nigdy nie wypowiedziały usta ludzkie.

„A gdy badamy dzieła Świętych, co w nich znajdujemy? Czy św. Justyn nie był ostrym w swojej sławnej Obronie Wiary? Jakie on miłosierdzie okazał Celsusowi? A św. Hieronima księga przeciw Helvediuszowi. Czy choć sucha nitka pozostała na owym heretyku, kiedy św. Hieronim go obrobił. Każde jego zdanie było ostrym mieczem nawskroś przeszywającym przeciwnika. Najgorzciejsza ironja, sarkazm, niemiłosierna satyra, straszliwe potępienie — wszystko to spadło na głowę owego heretyka, który śmiał ubliżyć Matce Boskiej. A św. Augustyn czy zawsze był łagodnym? Św. Ambroży czy zawsze był grzecznym? Wszyscy oni byli mężami odważnymi, gotowymi umrzeć za wiarę, i właśnie dlatego mieli tę odwagę wypowiedzieć prawdę i wstrząsnąć tronem Lucypera, ojca kłamstwa...

„Dlatego sądzimy, że są takie czasy, kiedy ostre wyrażenia są nietylko właściwe lecz także niezbędnie konieczne. Dopóki zło triumfuje na tym świecie, a cnota w kącie płacze; dopóki oszustwo, obłuda i niesprawiedliwość panuje: dopóty trzeba koniecznie używać ostrych słów, surowej mowy, niegrzecznych przydomków, ironji i sarkazmu i satyry. Słodkich słówek, wycedzonych z ust pobożnych, nie zlęknie się djabeł ani jego pomocniczy. Piorunem

prawdy trzeba uderzyć w nich, choćby ich to skruszyć miało"... (The Catholic Sun).

170. Niemcy w Ameryce za Polakami. — Biedny historyk irlandzki. — Cierpliwość a bierność. — Ile biskupstw w Polsce, a ile w Irlandji?

Z dnia 17 listopada 1906.

252. **List arcybiskupa Symona potwierdza to, cośmy już dawno pisali.**

Przytoczony wyżej nr. 249 list arcybiskupa Symona potwierdza to, cośmy już dawno twierdzili, że arcybiskup Weber przyjedzie do Ameryki, nie jako Zmartwychwstaniec tylko wysłany przez swego Generała, lecz jako biskup wysłany przez samego Ojca św. dla Polaków w Ameryce.

Czekajmy teraz cierpliwie, aż to słowo stanie się ciałem. Będzie to wprawdzie mały początek, ale wszelki początek z natury rzeczy musi być **małym**.

253. **Niemcy katolicy w Ameryce nie pochwalają germanizacyjnej polityki Prusaków. Dlaczego?**

Imię arcybiskupa Stablewskiego nie schodzi z szpalt gazet amerykańskich. Angielskie gazety, podając zazwyczaj tylko gołe fakta o nowej „kulturnej" walce rządu pruskiego z dziećmi polskimi, umieszczały list arcybiskupa Stablewskiego bez komentarzy. Atoli niemieckie, francuskie gazety w Ameryce rozwodzą się o tej kwestji językowej obszernie, ile że ta kwestja jest żywotną także tu w Ameryce. Niemiecko-katolicki „Excelsior" pisze:

„Nazwą **hakatystów** oznacza się fanatycznych zwolenników przymusowej germanizacji w polskich częściach Prus, podług początkowych liter trzech ich głównych przedstawicieli: Hansemann, Kennemann, Tiedemann, założycieli „Towarzystwa dla popierania niemczyzny na kresach wschodnich" (H. K. T. Verein). ...Wcale nie dobrzeby było pochwalać hakatystyczną politykę Prus w kwestji językowej a potępiać walkę Polaków o ich język ojczysty, kiedy my tu w Ameryce sami ciągle walczymy o niemiecki język dla naszych rodaków..."

Zdaniem „Excelsiora" tylko liberalna prasa niemiecka w Ameryce chwali germanizatorską politykę Prus.

Z dnia 24 listopada 1906.

254. **Biedny historyk irlandzki.**

Mówią, że polski historyk w Ameryce biedę klepie, że publikacje w angielskim języku znalazłyby więcej czytelników i opłacałyby się bardziej niż w polskim języku...

Otóż znany historyk irlandzki Martin T. J. Griffin z Filadelfji wydaje już od 20 lat interesujący dla Irlandczyków kwartalnik p. t. „The American Catholic Historical Researches“. Zdawałoby się, że takie pismo powinno się rozchodzić w 20 tysiącach egzemplarzy, a tymczasem nie ma ani jednego tysiąca. Biedny pan Griffin przysłał w tych dniach do mnie, jako do swego płatnego prenumeratora, taki błagalny cyrkularz:

„...Dotychczas pomimo ciągłych starań i usiłowań nie pozyskałem ani tysiąca prenumeratorów... Nie lubię się narzucać z prośbą, ale chciałbym raz przecie dociągnąć do jednego tysiąca. Całą kupę pochwał dostałem za moje dzieło, lecz nie dostałem jednego tysiąca prenumeratorów. Wszystkich tych, którzy mi mówili, że wielkiego dzieła dokonuję, upraszam, żeby to powiedzieli swemu przyjacielowi i poprosili go o przedpłatę dla mego pisma“...

A przecie jego „Badania Historyczne“ wychodzą w języku angielskim — in the language of the country!

255. **Gnuśni ludzie zawsze są dumni ze swej cierpliwości.**

Jak gniew jest dwojaki, święty i grzeszny; tak i cierpliwość jest dwojaka, czynna i bezczynna czyli gnuśna. Cierpliwość bezczynna nazywa się inaczej lenistwem i jest grzechem. Cierpliwość jeśli ma być cnotą, musi być czynną. Lenistwo chętnie przyobleka szatę cierpliwości. I zazwyczaj ludzie z gruntu leniwi, nie pracujący na polu społecznem, lubią się chełpić swoją „cierpliwością“. Czekajmy cierpliwie — mówią. Jakoś to będzie. Całość sama się złoży. Nie trzeba tych spraw poruszać ani o nich pisać. Niech tymi sprawami zajmują się Pan Bóg i Ojciec św. Tacy „cierpliwi“ żądają od Pana Boga, aby załatwiał wszystkie ich sprawy i potrzeby społeczne, familijne, kościelne i polityczne. Taką cierpliwością gnuśną odznaczają się nasze tak zwane konserwatywne gazety katolickie.

Słusznie pisze Bolesław Prus w swojej „Kronice Tygodniowej“:

„Jeżeli dzisiaj Kościół jest zachwiany, a duch katolicyzmu przygasł, to winien temu przedewszystkiem — konserwatyzm ka-

tolicki, obojętny dla postępu nauki, kwestyj wolnościowych, narodowych i socjalnych".

. . . .

W drugiej połowie listopada 1906 opuścił prasę i wyszedł na świat IX tom „Historji Polskiej w Ameryce", opisujący największą w Ameryce parafję św. Stanisława Kostki w Chicago zarządzaną przez OO. Zmartwychwstańców. Zainteresował wszystkich, zwłaszcza Zmartwychwstańców, którzy za ten tom dawali mi nietylko przycinki ale i przyczynki do Historji. O tych przyczynkach wspomnę na swojem miejscu.

Z dnia 28 listopada 1906.

256. **Ruszył dowcipem.**

„Dziennik Chicagoski", organ Ojców, zwących się Zmartwychwstańcami. zeszłej soboty 24 listopada zdobył się przecież raz na dowcip. Przyszłą stolicę przybywającego do Ameryki arcybiskupa Webera nazwał **Greenersville.** Co za trafna nazwa siedziby Ojców chicagoskich. Lepszej wynaleść nie mógł! Boć prawie większość Ojców chicagoskich składa się właśnie z świeżo z kraju przybyłych „greenerów".

Ale biada tym małym greenerom, gdy ten wielki Greener przybędzie, na stolicy swej zasiędzie i roztrząsać wszystko będzie! Jak wielki strach tam będzie!

Z dnia 6 grudnia 1906.

257. **Czy historja Irlandji ma być obowiązkową w naszych szkołach parafjalnych?**

Dążnością niektórych biskupów — pisze „The Catholic Review" — zdaje się być to, żeby dzieci **wszystkich** narodowości w parafjalnych szkołach uczyły się historji Irlandji. Zobacz arcybiskupa Riordana list z 18 stycznia 1906.

258. **Myśli, że wszędzie tak samo.**

Powiada staropolskie przysłowie:

Kto płucze flaki,
Myśli, że każdy taki.

„Dziennik Chic." stosunki ripońskie mierzy łokciem stosunków chicagoskich. Jeśli w Chicago tak się dzieje, to i w Ripon tak się dziać musi. Oto jego rozumowanie. Potrzeba tylko jeszcze, żeby

wykazał, że w Ripon takie same nieporządki finansowe istnieją jak u Ojców w Chicago.

Jak już kłamać, to dobrze, według tradycji Ojców.

259. **Ile biskupstw w Polsce a ile w Irlandji?**

Polska ma z Irlandją to wspólnego, że utraciła byt polityczny i że w Irlandji jeszcze bardziej niż w Polsce prześladowano religię katolicką. Jednakże w Polsce, pod trzema zaborami, jest conajmniej tyle katolików, co w Stanach Zj., t. j. przeszło 12 miljonów. W Irlandji zaś jest katolików 3,565,737 czyli przeszło cztery razy mniej niż w Polsce.

Tymczasem w Irlandji istnieje prawie trzy razy więcej biskupstw i biskupów niż w Polsce. W Irlandji jest 28 diecezyj, a w Polsce tylko 12. Dwie diecezje polskie, warszawska i lubelska, liczą tyle dusz ile 28 diecezyj irlandzkich.

Co jest przyczyną tak wielkiej różnicy w podziale i organizacji Kościoła w Polsce a Irlandji? Czy ludność polska uboższa od irlandzkiej? Bynajmniej. Czy ludność w Irlandji rozsiana jest po większym obszarze ziemi niż w Polsce? Także nie. Czy ludność polska potrzebuje mniej opieki biskupiej niż irlandzka? Czy wreszcie stosunki do zaborczych rządów są w Polsce inne a w Irlandji inne?

Porównanie Polski z innemi narodami katolickiemi, z Francją, gdzie 86 biskupstw, z Hiszpanją, z Włochami, gdzie 250 biskupstw, wykazałoby jeszcze większą różnicę liczebną. Ale porównałem Polskę tylko z Irlandją, bo obydwa te narody pozbawione są bytu politycznego i samorządu.

Polska, jak ma najmniejszą liczbę biskupstw i biskupów, tak ma również ze wszystkich innych krajów najmniejszą liczbę kapłanów i parafij.

A Polskę w tem naśladuje Polonja w Ameryce. Tu i tam za wielkie brzuchy a za mało głów. Stąd i tu i tam mało wpływu i znaczenia w Kościele Powszechnym mają Polacy. Wina w tem nie samych księży, ale i ludu, który woli się tłoczyć w kościele i po gankach stać lub nawet przed kościołem, aniżeli nowy kościół postawić, bo to za wiele kosztuje. Bądźmy ludźmi w kościele a nie tłoczmy się gorzej niż bydło. A ilu z powodu natłoku wcale do kościoła nie idzie i obojętnieje dla wiary? Któżby ich policzył? Dla każdego, czy bogatego, czy ubogiego, jako dla człowieka a nie bydlęcia, powinno być siedzenie w kościele i klęcznik, jak to bywa

u innych narodów cywilizowanych. Nawet ubogi powinien mieć siedzenie w kościele. Chociaż go nie stać na to, to jednak nie stać ale siedzieć powinien. Jeśli ubogiego nie stać na to, to bogatego stać na to, aby ubogi nie stał w kościele. Inaczej złe świadectwo sobie wystawiamy wobec innych cywilizowanych narodów. Tylko zamiast „nie stać nas na to", powiedzmy sobie stanowczo: Nie stać w kościele!

171. Faworytyzm, nepotyzm i nacjonalizm. — Arcybiskup Keane ukarany. — Niezwykłe „Imprimatur" dla IX tomu. — Zmartwychwstańcy dają mi ważne przyczynki do „Historji".

Z dnia 13 grudnia 1906.

260. **Monsignorzy nie sami Irlandczycy.**

Biskup Mc Faul z Trenton, N. J., niedawno w Rzymie poprosił dla pół tuzina swoich księży o godność monsignorską. Ojciec święty chętnie się zgodził na to, z tem zastrzeżeniem, że nie sami tylko irlandczycy dostąpią zaszczytu monsignorstwa. Brawo! Cześć Ojcu św. za to!

Widać wielka następuje zmiana na lepsze. Bo przed trzema laty nowojorski arcybiskup Farley wystarał się o półtora tuzina monsignorów, a wszyscy byli — jak się same irlandzkie gazety chełpiły — irlandzkiego pochodzenia. Teraz inaczej.

Faworytyzm — czyli sprzyjanie jednej osobie —

Nepotyzm — czyli sprzyjanie jednej familji — i

Nacjonalizm — czyli sprzyjanie jednej narodowości bardziej niż innym.

Te trzy „izmy" im prędzej będą wykorzenione, tem lepiej dla Kościoła.

261. **Arcybiskup Keane przegrał w obu instancjach.**

Krzywdy, wyrządzane narodowościom nieangielskim przez biskupów w Ameryce, są tak widoczne, że już nawet sądy cywilne potępiają i karzą za nie biskupów. Czyż potrzeba było tego? Czyż powaga biskupia na tem nie ucierpi? Niemiecko-katolicki „Der Wanderer" i inne pisma donoszą:

„W sądzie w Webster City, Iowa, zakończył się proces niemieckich katolików z Williams przeciwko arcybiskupowi Keane z Dubuque, Ia. Niemcy katolicy z Williams za życia zmarłego arcybiskupa Hennessy ofiarowali byli przeszło dwa tysiące dola-

rów na mający się budować kościół z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że kościół ten ma mieć duszpasterza władającego także niemieckim językiem. Arcybiskup ofiarę przyjął, ale tego warunku nie dotrzymał. Nowy arcybiskup Keane także im nie dał księdza mówiącego po niemiecku. Niemcy udali się do sądu cywilnego po sprawiedliwość, której u katolickiego biskupa znaleźć nie mogli. Arcybiskup w pierwszej instancji przegrał; jednakże zaapelował do wyższego sądu stanowego. Ale i tam przegrał. Sąd zmusił arcybiskupa do zwrócenia Niemcom sumy z procentem 3,065.98 dol."

Sprawiedliwa kara na anglomanjaka. Ale czy arcybiskup Keane teraz da Niemcom w Williams księdza władającego niemieckim językiem, to inne pytanie.

. . . .

„Dziennik Chicagoski" z 10 grudnia 1906 ogłosił co następuje:

Przyczynek do tomu IX „Historji Polskiej w Ameryce",
wszechstronnie opracowanej przez Ks. Wacława Kruszkę.

Jesteśmy w stanie dostarczyć autorowi „Historji Polskiej w Ameryce" nowego materjału do uzupełnienia tomiku IX-tego, wszechstronnie opracowanego dzieła, obecnie komentowanego w różny sposób przez naszą prasę tutejszą. Mamy nadzieję, że Wielebny autor tej „Historji", tak skwapliwie poszukujący i zgrabnie wydobywający na jaw te materjały, zechce skorzystać z podanych poniżej dwóch listów i umieścić je na początku tomiku X. który zapewne ku dalszemu zbudowaniu ogółu wkrótce się pojawi.

Dokumentami temi są dwa listy, których brzmienie w oryginale jest następujące:

I.

Chicago, Ill., Dec. 3rd 1906.

Most Rev. Seb. G. Messmer, D. D.
Archbishop of Milwaukee,
2224 Chestnut st., Milwaukee, Wis.

Most Rev. Archbishop!

We recently received the IX volume of the „Historja Polska w Ameryce by X. Wacław Kruszka". This volume bears the usual „Nihil obstat" by Rev. Ant. Wiśniewski, O. F. M., Censor, and the Imprimatur by Your Grace, and in addition to this, on page 279, a **Notabene** of Rev. W. Kruszka, that Your Grace gave him for

this volume **a special Imprimatur,** viz. The Imprimatur of volume IX is hereby **Gladly** given.

Although it is quite impossible to understand how all this work could have received Nihil obstat and an Imprimatur, yet the Nihil obstat and the Imprimatur of volume IX is an evidence, that the Censor is a very poor moralist, and a public proof, that he is a very poor scholar, unable to discriminate what is fit for publication. His „Nihil obstat" would make the impression, that he does not remember what he studied de judicio temerario, de detractione, de contumelia and de violatione secreti.

The IX volume is a complication of sentences extracted from different letters written at different times by different Fathers to their Superior General in Rome, adorned with malicious annotations by Rev. W. Kruszka. Although the sentences may be true copies extracted from different letters, yet they contain private and in some sense secret information concerning only the private affairs of the members of the Congregation of the Resurrection, a religious communicaty. — therefore the publication of these extracted sentences is a public criminal detraction against the Fathers of Resurrection.

As far as we are informed, the late Superior General, Very Rev. P. Smolikowski, upon request, permitted Rev. W. Kruszka to use our archives for some study, but he never did give him any permission to copy and publish any of the private letters of the archives of our Congregation. According to the assertion of Very Rev. P. Smolikowski, Rev. W. Kruszka abused his confidence, fraudulently copied, stole and published entirely private and secret letters, and therefore although he obtained. **Nihil obstat** and **Iprimatur,** he is guilty of public criminal detraction, — but more guilty is the Censor, who gave the **Nihil obstat** and involved the **Imprimatur** of Your Grace.

We lay this matter before Your Grace with the request and the hope, that You will do something to remove this stain upon our character as a community and as individuals, and also to assure us, that You did not **gladly** subscribe to a malicious attack upon priests, who hold You in the hinghest esteem.

With the deepest reverence and the assurance of our good will, I am Your Grace's most humble servant.

Rev. Francis Gordon, C. R.

II.

Milwaukee, Wis., Dec., 5th, 1906.

Rev. Francis Gordon,
Rector of St. Stanislaus,
Chicago, Ill.

Rev. and Dear Sir!

Your letter of yesterday is a most painful surprise to me. Allow me to state that when I gave the Imprimatur for vol. IX of Rev. W. Kruszka's „Historja Polska w Ameryce" **I had not the slightest knowledge of its contents,** but had to rely absolutely on the judgment of the appointed censor, the Rev. P. Antonius Wiśniewski, O. F. M. of Green Bay, just the same as with all previous volumes. He had given the „Nihil obstat" and I had in consequence to grant the Imprimatur. This shows at the same **how ridiculous it is** on the part of Rev. Kruszka to attach **any special meaning** to the phrase in my letter that the Imprimatur was gladly given. **This was a mere formality** of a very common politeness, exactly the same as when you say that you are to do another a favor. But my „gladly" **had absolutely no reference to the contents of the volume,** of which I knew nothing whatever. If Rev. Kruszka tries to give the term „gladly", used by me the meaning of endorsing anything at all in his volume, **I must condemn such an endeavour as a most dishonest and contemptible trick.**

Permit me to state further, that I would not have allowed the publication of that volume, if I had any knowledge **of the flagrant abuse of private letters and information** with which you charge the author. The more that I appreciate the good which your community of the Resurrectionist Fathers is doing among the Catholic Polish people of our country, so much deeply do I regret that my name should have been connected even in the most unsuspecting manner with anything derogatory to the high reputation of your Order.

† *S. G. Messmer.*
Abp.

I hope you will give this letter the widest publicity.

Na powyższe, bardzo cenne, przyczynki do „Historji Polskiej w Ameryce" odpowiedziałem w „Kurjerze Polskim" z 13 grudnia 1906 tak:

262. **Komu wystawiają patent głupoty? Czy nie sobie?**

Z poniedziałkowego numeru „Dziennika Chicagoskiego“ wynikałoby, że nietylko listy z archiwum Zmartwychwstańców, ale i Imprimatur na ogłoszenie tychże „haniebnym podstępem“ uzyskałem. Jedno i drugie jest wierutnem kłamstwem. I niech moi najserdeczniejsi pamiętają o tem, że kłamstwem świat przejdą, ale niem nie wrócą. Mnie nie zaszkodzą, bo prawda oswobodzi mnie.

A tą prawdą, która mnie oswobodzi najpierw jest to, że faktycznie bez podstępu, otwartą i uczciwą drogą, uzyskałem od generała Zmartwychwstańców pozwolenie na korzystanie z archiwów Zmartwychwstańców dla celów historycznych. Co i sam „Dziennik Chicagoski“ przyznaje, gdy pisze:

„Generał, poproszony o to, zezwolił ks. W. Kruszce na korzystanie z naszych archiwów dla robienia studjów.“

Poco więc teraz się gniewacie na mnie, że rzeczywiście skorzystałem z waszych archiwów? Komu przez ten swój gniew wystawiacie świadectwo głupoty? Nie mnie!

Ale powiadacie:

— Mogłem był korzystać z tych archiwów, ale nie cytować listów.

Tak, tak — wybyście potem mi powiedzieli:

— Ks. Kruszka zmyślił i z palca wyssał to wszystko, co na nas pisze.

Niema głupich. Dziś historji umiejętnej nikt nie pisze bez cytowania źródeł. Pamiętajcie o tem!

A Imprimatur dla IX tomu uzyskałem również prostą i uczciwą drogą. A jeśliście, Ojcowie, w arcybiskupa wmówili, że nadużyłem jego Imprimatur w jakibądź sposób, toście go okłamali.

Arcybiskupiemu Imprimatur dla IX tomu nadałem tylko znaczenie niezwykłości. Bo Bogiem a prawdą istotnie było ono niezwykłem. Odbierałem poprzednio już aż ośm Imprimatur, a każde z nich brzmiało tylko: „The Imprimatur of the I., II. etc. volume is hereby grauted“. To zaś dla IX tomu brzmiało całkiem wyjątkowo inaczej, bo tak:

„The Imprimatur of Vol. IX. is hereby gladly given“.

Więc czy przypadkowo czy z umysłu takie Imprimatur wyszło od arcybiskupa — faktem jest, że brzmiało ono niezwykle. Nigdy przedtem w tej formie nie było mi udzielone. Na tę też niezwykłość jedynie zwróciłem uwagę czytelnika — a na nic więcej. Czyż jako autor nie miałem do tego prawa?

Skąd ja mogłem wiedzieć, czy i co spowodowało arcybiskupa do udzielenia mi Imprimatur dla tego właśnie tomu IX w takiej niezwykłej formie? Jeśli to się stało przypadkiem, to w każdym razie był to dla mnie przypadek niezwykły, gdyż, jak powiedziałem, żadnemu z ośmiu poprzednich tomów nie przypadło w udziale Imprimatur w takiej formie, jak temu właśnie IX tomowi. Może to dziwny przypadek, ale prawdziwy, o który znowu nie na mnie się gniewać powinniście, o Ojcowie!

Zresztą sam cenzor O. Antoni Wiśniewski zapewniał mnie, że o każdym, ale zwłaszcza o IX tomie jaknajdokładniej poinformował arcybiskupa, zanim dał Nihil obstat.

Tegoż dnia 13 grudnia 1906 pisał mi jeden z księży z Graod Rapids, Wis.:

„Naśmiałem się z wywodów OO. Zmartwychwstańców wynurzonych do Najprz. Ks. Arcyb. Messmera przeciwko Waszej Historji (Tom IX). Koniec końcem sami dali Wam świadectwo, iż prawdę napisaliście."

172. Nowonarodzone „Nowiny" na chrzcie wyrzekają się szatana. — Irlandczycy chcieli użyć Roosevelta jako drabiny do wyższych godności. — Jeszcze o niezwykłem Imprimatur.

Dnia 19 grudnia 1906 ks. Bolesław Góral w Milwaukee zaczął wydawać tygodniowe pismo p. t. „Nowiny". W „Słowie Wstępnem" zaznacza, że tygodnik lepszy od dziennika, bo „pismo codzienne z konieczności podaje najrozmaitsze wiadomości bez ściślejszego wyboru, a więc nie koniecznie zawsze budujące". W swojem „wyznaniu wiary" powiada:

„Katolickimi będą „Nowiny". a jednak nie myślimy rzucać kamieniem potępienia na „narodowców", jeżeli są zarazem dobrymi katolikami... Wyrzekamy się wszelkich niepotrzebnych waśni i kłótni, wszelkiej polemiki osobistej i prywatnej."

Takiem chwalebnem wyznaniem wiary ochrzcono nowonarodzone „Nowiny". Na chrzcie każdy wyrzeka się szatana i wszelkiej pychy jego i wszelkich spraw jego; ale w późniejszem życiu nie każdy wyrzeka go się czynem i postępowaniem swojem.

Z dnia 20 grudnia 1906.

263. **W Pittsburgu polski grosz idzie na polskie sieroty.**

Ks. Jan Górzyński w Pittsburgu nie jest tylko malowanym konsultorem biskupa. Swoim wpływem wymógł on to, że — jak

pisze — „biskup zezwala nam wspierać polskie sieroty i zwalnia nas od kolekt na zakład diecezjalny niepolski“.

Biskupowi Canevin należy się cześć i szacunek — nie powiem, za łaskę — lecz za prostą sprawiedliwość wyświadczoną Polakom diecezji pittsburgskiej. Oby wszyscy biskupi w Ameryce mieli to samo poczucie sprawiedliwości, co biskup Canevin, i zwolnili parafje polskie od kolekt na sierocińce niepolskie a zezwolili wspierać polskie zakłady sierot.

264. **Ks. Rosiński uznany niewinnym.**

Sprawa o szantaż została rozstrzygniętą na korzyść ks. Benedykta Rosińskiego. Wobec tego — pisze buffaloski „Polak w Ameryce“ — pokrzywdzonemu ks. Rosińskiemu należałoby zwrócić parafję św. Stanisława w Cleveland, Ohio, a usunąć z niej kosmopolitycznych OO. Franciszkanów tak aby sprawiedliwości stało się zadość.

Zapewne należałoby zwrócić. Bo sprawiedliwość, tak jak zdrowy człowiek, na dwóch nogach chodzi, to jest 1) za złe karze i 2) za dobre wynagradza. Niestety, sprawiedliwość zbyt często na tę drugą nogę kulawieje. Kiedy chodzi o wynagradzającą sprawiedliwość, to nam mówią, że prawo kanoniczne tu w Ameryce nie istnieje. Istnieje ono wszakże, gdy chodzi o wymierzenie karzącej sprawiedliwości. Po prostu mówiąc, jest ona, ta sprawiedliwość, tu w Ameryce kuternogą. Stąd pochodzi ten niepokój w całem społeczeństwie.

265. **Irlandczycy starają się o wyższe dostojeństwa kościelne za pomocą prezydenta.**

Jak żądza bogactw tak żądza zaszczytów nigdy nie jest nasyconą. Im więcej ma, tem więcej jeszcze pragnie. Irlandzka narodowość w Kościele amerykańskim posiada wszystkie prawie godności biskupie i arcybiskupie, oraz godność kardynalską. Ale nie dość jej na tem. Podczas gdy Polakom ani jednej mitry biskupiej ustąpić nie chce, sama sięga jeszcze po dwa więcej kapelusze kardynalskie. Do tego narodowość irlandzka dotychczas śmiała twierdzić obłudnie, że nie ubiegała się nigdy o zaszczyty kościelne; że dostojeństwa same, bez jej starań, spadają z nieba na nią.

Atoli trzeba było przypadku, który tę maskę obłudy zdarł z Irlandczyków. Przypadkiem tym to zatarg prezydenta Roosevelta z byłym swoim ambasadorem Storerem. Wskutek tego za-

targu wyszło na jaw, jak to biskupi i arcybiskupi irlandzcy wycierali przedpokoje prezydentów Roosevelta, Mc Kinley'a i Harrisona, żeby przez ich wpływy uzyskać od Rzymu jak najwięcej dostojeństw kościelnych dla narodowości irlandzkiej w Ameryce. Prezydent Roosevelt ogłosił teraz swoje listy, jakie swego czasu pisał do ambasadora Storera i do pani ambasadorowej Storerowej. Z tych listów mamy dowody oczywiste, że irlandcy prałaci jak arcybiskup Keane z Dubaque, biskup O'Connel i inni usiłowali użyć wpływu prezydenta do wywyższenia swoich rodaków arcybiskupów Irelanda i Farley'a. Naprzykład w liście z 11 grudnia 1905 do pani Storer prezydent Roosevelt przyznaje to wyraźnie:

„Nasamprzód pragnę to dać Pani do zrozumienia, że chociaż od czasu, jak jestem prezydentem, prałaci Kościoła twego (katolickiego) oraz i laicy z Kościoła twego kilkakrotnie przychodzili do mnie z prośbą, żebym domagał się od Watykanu albo wyraził życzenie, by tę raczej niż inną osobę zamianowano kardynałem: pomimo to ja zawsze stanowczo i niedwuznacznie odmawiałem takiej prośbie wprost albo ubocznie... Arcybiskupowi Keane, biskupowi O'Connell i innym prałatom, którzy przyszli do mnie w sprawie arcybiskupa Irelanda, odpowiedziałem, że mam wielki szacunek dla tego arcybiskupa i chętnie bym go widział kardynałem; lecz że do zrobienia go kardynałem nie mogę użyć mego wpływu, tak jak nie mogę używać mego wpływu do tego, żeby arcybiskup z Canterbury ustanowił arcybiskupstwo w Ameryce. Inne osoby mówiły ze mną, przekładając mi, że Ireland nie może zostać kardynałem, chyba, że będzie i drugi kardynał we wschodnich stronach; i że spodziewają się. iż będą zamianowani dwaj kardynałowie, wymieniając zwykle Irelanda i Farley'a, jeden dla wschodu drugi dla zachodu. Ja zawsze odpowiadałem, że żywię wielki szacunek dla obydwóch prałatów i chętnie bym widział ich kardynałami, tak jak są episkopalni i metodyscy duchowni, których chętnie bym widział biskupami; lecz że nigdy więcej nie chciałbym się w to mieszać. tak jak wy to chcecie, abym się w to mieszał..."

W taki to sposób nieprzyjemna dla Irlandczyków prawda, jak oliwa wypłynęła na wierzch i rumieńcem wstydu oblała policzki irlandzkich prałatów karjerowiczów. Chcieli użyć prezydenta Roosevelta za narzędzie do uzyskania więcej zaszczytów kościelnych dla swojej irlandzkiej narodowości. Ale tym razem

nie udało im się. I w dodatku sprawki ich wyszły teraz na jaw tak, że się cały świat z nich śmieje.

266. **Prasa irlandzka krytykuje Roosevelta.**

Skompromitowani, to jest narażeni na wstyd i hańbę Irlandczycy jedni ze wstydu pochowali się w mysie dziury i nie mają nic do powiedzenia, drudzy w złości wymyślają prezydentowi Rooseveltowi za jego „nietakt" co się zmieści. Arcybiskup Ireland, który zawsze miał reporterom gazet coś do powiedzenia, teraz stał się dla nich nieprzystępnym. Organa biskupów irlandzkich zapewniają czytelników, że arcybiskup Ireland zawsze był przeciwny temu, żeby prezydent Stanów Zjednoczonych mieszał się do spraw kościelnych. Krytykują jednak prezydenta za to, że tak nagle i bez ceremonji usunął pana Storera z urzędu ambasadora.

„Western Watchman" nawet śmie twierdzić, że prezydent nie dlatego usunął z urzędu pana Storera, że ten ambasador, nadużywając swego stanowiska, starał się we Watykanie o kapelusz kardynalski dla arcybiskupa Irelanda; lecz dlatego jedynie, że pani Storerowa ubliżyć miała córce prezydenta Alicji Longworth. Nazywa cały ten zatarg prezydenta ze Storerem „a tempest in the kitchen" (December 13, 1906) i za złe bierze Rooseveltowi, że do tej „kłótni w kuchni" wciągnął arcybiskupa Irelanda i innych prałatów.

Z dnia 22 grudnia 1906.

267. **Contra factum nullum argumentum.**

Faktu nie obalisz rozumowaniem. Pomimo wszelkich rozumowań i wymyślań, fakt faktem pozostanie na zawsze, że arcybiskup Messmer dał IX tomowi „Historji Polskiej w Ameryce" **niezwykłe** Imprimatur... Dla kogo innego mogła to być „bardzo zwykła grzeczność". Dla autora „Historji" była bardzo niezwykłą. Ten też tylko goły fakt i jego niezwykłość skonstatowałem przy końcu IX tomu. Konia z rzędem dam temu, kto mi z owego „Notabene", umieszczonego przy końcu IX tomu, udowodni, że nadałem arcybiskupiemu Imprimatur jakiekolwiek inne znaczenie.

Strach ma wielkie oczy. To też Ojcowie przestraszeni widzieli w tem Imprimatur niestworzone rzeczy. Ale to już nie moja wina. Ja skonstatowałem tylko fakt niezwykły. Bo niezwykłym on był bez względu na to, czy przypadkowo z grzeczności czy z umysłu czy wreszcie z natchnienia Ducha św. się wydarzył. Gdyby autor „Historji" w owem „Notabene" był napisał, że to

niezwykłe Imprimatur dane było z umysłu ze względu na niezwykłą treść tego tomu, albo z natchnienia Ducha św.: natenczas może protesty byłyby na miejscu. Ale nic z tego tam niema. Dziennik tedy Chicagoski, względnie jego zarządca, ośmieszył się niemało, bo nabił wielką armatę, wystrzelił i zrobił wielką dziurę, ale — w powietrzu!

A fakt niezwykłego Imprimatur stoi jak stał przedtem, nie obalony nawet wystrzałem z ciężkiej armaty.

Owszem fakt ten stał się teraz jeszcze widoczniejszym niż przedtem. Bo owym wystrzałem zwrócono nań oczy wszystkich, nadano mu niezwykłego rozgłosu po świecie.

Może i te wywody „Dziennik Chicagoski" nazwie znowu sofistyką. W takim razie musi on chyba mieć swoją specjalną logikę, której inni ludzie nie mają. Tak jak ma swoją specjalną moralność, której brak zarzucił Przewielebnemu Cenzorowi „Historji", nazywając go „poor moralist". A no, trudno. Już to ani ja ani pewnie Przewielebny Cenzor „Historji" (ks. Antoni Wiśniewski, franciszkanin) nie jesteśmy tak szczęśliwi, jak inni, jak n. p. mój sąsiad z Berlina, żebyśmy mogli co tydzień jeździć do Chicago i u zarządcy „Dziennika Chicagoskiego" pobierać lekcje moralności jego i logiki specjalnej. Musimy się zadowolić tą zwyczajną logiką i moralnością, jakiej nas w seminarjum uczono.

Słusznie ks. A. J. Majewski w jednej gazecie pisze: „List ks. Gordona jest obraźliwym dla arcybiskupa Messmera, bo zarzuca mu wprost, że nie wiedział, kogo obrał za cenzora i wybrał nieuka, nie mogącego rozróżnić, co sprzeciwia się wierze i moralności".

173. Pognębiona narodowość jest przyczyną zatargów. — Ogień dobry sługa, lecz zły pan. — Odbudowawszy kościół, myślałem o szkole. — Czy biskup jest absolutnym panem majątków parafjalnych?

Z dnia 27 grudnia 1906.

268. **Kościelny zatarg między Niemcami a Słowieńcami w Minnesocie.**

W archidiecezji St. Paul, pod berłem arcybiskupa Irelanda, księży Słowieńców jest wiele i przybywa ich coraz więcej. Arcybiskup Ireland chętnie ich przyjmuje, a nawet jednego z nich, ks. Starihę, zrobił biskupem. Słowieńcy, pochodzący wszyscy z po-

łudniowej Austrji, umieją nieźle po niemiecku. To też arcybiskup Ireland chętnie nimi obsadza parafje niemieckie. Mniej zaś chętnie posługuje się kapłanami **rdzennie** niemieckimi, do których zdaje się ma jakowyś wstręt. Księża słowieńscy potrafią do Niemców przemówić zrozumiałym językiem, a to zdaniem Irelanda powinno Niemcom najzupełniej wystarczać.

Słowieńcy księża popierają tę politykę Irelanda. Ks. Ogulin pisze do „Wanderera“: „Wanderer“ widać nie wie, co to jest kapłan katolicki. My nie jesteśmy przedstawicielami żadnej narodowości...“

Chociaż jako Polak do Niemców szczególnej sympatji nie czuję, to jednak w powyższym wypadku muszę przyznać słuszność Niemcom, że się upominają o swoich rdzennie niemieckich kapłanów, a odmówić słuszności księdzu Ogulinowi, który pojęcie katolicyzmu zdaje się mieszać z pojęciem kosmopolityzmu — pomimo, że te dwa pojęcia różnią się między sobą jak niebo i ziemia. Ks. Ogulin zdaje się mniemać, że kapłan katolicki to kosmopolita. A to fałsz zarówno ze stanowiska narodowego jak i katolickiego. Ks. Ogulin zajmuje w tem stanowisko socjalizmu, lecz nie katolicyzmu... Niemcy słusznie się oburzają.

Tak więc w każdym zakątku ziemi **pognębiona narodowość jest przyczyną zatargów społecznych i religijnych.**

Ten niepokój i to wrzenie w społeczeństwie nie ustanie dopóty, dopóki nie nastąpi równouprawnienie wszelkich narodowości. W Kościele przynajmniej należałoby raz przecie przyznać każdej narodowości równe prawa bytu, wzrostu i rozwoju, a nie pozwolić tuczyć się i panoszyć jednej narodowości kosztem drugiej. Co tobie niemiło, to i drugiemu nie czyń.

269. **Ogień — dobry sługa, lecz zły pan.**

Ks. Kazimierz Sztuczko C. S. C. w ostatniem orędziu w sprawie biskupów polskich radzi zachować zimną krew, nie gorączkować się, czekać cierpliwie. To mu się chwali. Jeśli w jakiej, to w tej sprawie tyle mamy mądrości, ile mamy cierpliwości. Dostać biskupa, to nie tak łatwo i prędko idzie jak dostać księdza. A i tu, ileż to lat niejedna osada czekać musiała i kołatać, zanim dostała polskiego księdza!

Chociaż z drugiej strony cierpliwość nasza zawsze powinna być czynną i energiczną, bo cierpliwość bezczynna nie jest cnotą, lecz grzechem lenistwa. Więc urządzać wiece, na wzór milwauc-

kiego, dobrze radzi ks. Sztuczko. Zazwyczaj tchórze i leniuchy, którym się nie chce głosu publicznie podnieść, chełpią się najwięcej z takiej wrzekomej „cierpliwości“, fałszywej bo bezczynnej.

Ale znowu gorączkowania się i niecierpliwości trzeba nam stanowczo unikać, jeśli chcemy dojść do władzy w Kościele i do panowania. Albowiem gorąco kąpany człowiek, czy pojedyńczy czy zbiorowy (naród), nie powinien być nigdy dopuszczony do władzy i panowania, lecz powinien być trzymany w służbie i poddaństwie.

Czemu?

Bo człowiek gorączka jest jak ogień.

Ogień dobrym jest sługą lecz złym panem. Dobry jest, kiedy trzymany w karbach, w piecu; służy nam i grzeje. Ale zły i niebezpieczny, gdy się raz wydostanie na wolność. Wtedy broi, niszczy i pustoszy wszystko. Ogień nigdy panować nie powinien, lecz powinien służyć, bo jako sługa jest dobry lecz jako pan jest zły. Dopuścili mi go tu w Ripon tego roku do panowania. A co mi tu za straszne spustoszenie wyrządził w ciągu dwóch tylko godzin panowania swego. Pracę kilku lat w 2 godzinach zniszczył do szczętu. A jak tu, tak niedawno w Chicago i indziej. Nie! Nigdy przenigdy ogień do panowania dopuszczony być nie powinien. A podobnie człowiek gorączka, pojedyńczy czy zbiorowy. Bo taki również szkodliwy i niebezpieczny jak ogień, kiedy panuje.

Jeśli chcemy dojść do jakiejś władzy i panowania, musimy się przejąć więcej chłodem rozumu politycznego, a nie rozpalać się ogniem namiętności, zemsty i nienawiści.

Bo ognia nikt do panowania nie dopuści. I zupełnie słusznie.

Adam Darowski z Rzymu 24 listopada 1906 pisał mi:

„Antonucci mówił mi (ale w wielkiej tajemnicy, której rozgłaszać nie można), że sprawa biskupów polskich jest na dobrej drodze i że będzie **miejscowy** biskupem. Kto i jak, nie wiedział i nie może wiedzieć (zdawało mi się, że to nie o Weberze była mowa)“.

270. **Pomoc dajcie im, Rodacy!**

Naszym rodakom w Spring Valley, Ill. spalił się kościół do szczętu... Ofiary posyłać do: Rev. M. Piechota.

(Za powyższe słowa w „Kurjerze“ ks. Piechota odpowiedział mi pięknym listem, który jest w mojej tece.)

Tymczasem nasz kościół w Ripon, który się spalił 11 lipca 1906, odbudowany był już przed zimą pod dachem. Nabożeństwo

zacząłem odprawiać w sklepionej kaplicy. Gdy w zimie plastrowano kościół, a potem i malowano, trzeba było w piecu mieć ciągły ogień. Piec, ogrzewający gorącem powietrzem, tak zwany furnace, nieraz był rozpalony do czerwoności. Co spostrzegłszy w nocy nieraz wychodziłem do kościoła, żeby się wiory gdzie nie zapaliły.

Odbudowując kościół, pamiętałem o szkole. Już na Boże Narodzenie r. 1906 postanowiliśmy na mityngu budować szkołę z wiosną, jeśli Siostry dostaniemy. Jakoż dnia 9 stycznia 1907 od przełożonej Siostry M. Felicji otrzymałem taki list:

„Wiel. Ks. Dobrodzieju! Niniejszem oznajmiam, że z przyszłym rokiem szkolnym będziem w stanie objąć tamtejszą szkołę i życzeniom Wiel. Ks. Dobr. zadość uczynić. Jeżeliby trudności finansowe nie pozwalały na osobne mieszkanie Sióstr, można w każdym razie takowe urządzić w połączeniu z budynkiem szkolnym. Życząc wszelkiego szczęścia i pomyślności w Nowym Roku, pozostaję z należnym szacunkiem. Siostra M. Felicja".

Z dnia 5 stycznia 1907.

271. **Czy w ręku biskupa albo proboszcza ma być worek z pieniędzmi?**

Piszesz mi Pan, że wasz proboszcz miał na kazaniu powiedzieć co następuje:

„Że arcybiskup rządzi majątkiem parafjalnym, a w jego zastępstwie proboszcz, a nie parafjanie; że arcybiskup jest absolutnym właścicielem; że to, co ludzie na kościół i szkołę dali, to ofiara, do której już żadnego prawa nie mają; że obowiązkiem każdego jest być posłusznym proboszczowi we wszystkiem, bo ten reprezentuje absolutnego pana i właściciela parafji z woli Bożej — biskupa; a kto się do tego nie zastosuje, będzie ekskomunikowany"...

Nie wchodząc w to, czy i kto powyższe zdania wypowiedział, zaznaczam tylko, że każde powyższe zdanie jest kłamstwem. Najpierw powyższe zdania nie zgadzają się z prawami inkorporacyjnymi, przyjętymi przez Kościół w tym tu kraju. Żeby się przekonać o tem, wystarczy powyższe zdania porównać z „Articles of incorporation and revised by-laws of incorporated congregations of the archdiocese of Milwaukee". I Rzym sam wydał rozporządzenie, ażeby majątki kościelne były zapisane na „Parish Corporation", a nie na biskupa samego (Corporation Sole), a tem mniej na biskupa osobiście (in fee simple). Wielką byłoby głupotą twierdzić,

że biskup, lub proboszcz w jego zastępstwie, jest absolutnie panem i właścicielem majątków kościelnych. Albowiem jako absolutny pan mógłby z majątkiem kościelnym robić, co mu się podoba: kupić co mu się podoba, sprzedać, co mu się podoba, wyjechać z pieniędzmi parafjalnymi, dokąd mu się podoba i ulotnić się itd. Kto ma choć szczyptę rozumu w głowie i wiary w sercu, nie będzie śmiał twierdzić, że „to, co ludzie na kościół i szkołę dali, to ofiara, do której już **żadnego** prawa nie mają". A to zabawne! Więc proboszcz — jak ten ze St. Louis niedawno — uciecze gdzieś w świat z pieniędzmi, któreś ty złożył na kościół — i ty nie miałbyś prawa upominać się o to, żeby twoje pieniądze były oddane na cel, na jakiś je dał, a nie na inne cele? Co za głupiec śmie to twierdzić!...

Kiedy parafjanin daje ofiarę na kościół lub szkołę, to zrzeka się wprawdzie tych pieniędzy, ale nie zrzeka się prawa żądania, żeby te pieniądze były rzeczywiście obrócone na kościół lub szkołę, a nie na co innego. A ten proboszcz czy biskup, który tę ofiarę przyjmuje, nie może się uważać za absolutnego pana przyjętej ofiary, lecz raczej — jeśli mądry — będzie się uważał za sługę i wykonawcę woli parafjanina.

Wogóle mówić o panach w kościele, jest głupotą. Sługami jedni drugich być powinniśmy. Tak nas Chrystus Pan uczył, i sam nawet papież nazywa się „sługą sług wszystkich".

Nic wstrętniejszego niema nad widok biskupa czy proboszcza, trzymającego worek z pieniędzmi w swoim ręku, zamiast żeby ten worek miał się znajdować w ręku zaufanego kasjera, wybranego z parafjan i przez parafjan. Prawdziwym apostołom i ich następcom wcale a wcale nie przystoi trzymać worek pieniężny. Wprawdzie Chrystus Pan dopuścił to, że jeden z Apostołów miał kasę kościelną w swoim ręku — był nim apostoł Judasz. Ale chyba nikt nie powie, że przez to Chrystus chciał innym postawić Judasza za przykład zachęcający — owszem, Judasz miał być dla innych przykładem odstraszającym...

I był też najpierw dla samychże Apostołów. Na miejsce Judasza wybrali Apostołowie Macieja, który po Judaszu miał sprawować urząd apostolski. Ale nie czytamy nigdzie, żeby św. Maciej, biorąc po Judaszu urząd apostoła, brał także po nim w spadku i urząd kasjera. Choć wierni znosili wszystko, co mieli „do nóg apostołów", to jednak żaden z apostołów, pamiętając na odstraszający przykład Judasza, nie śmiał więcej sam zarządzać majątkiem kościelnym. Apostołowie zdali tę sprawę świecką innym,

nie-kapłanom, których lud miał wybrać z pomiędzy siebie. „Nie jest słuszną — mówili — żebyśmy my opuścili słowo Boże a stołom służyli. Upatrzcież tedy, bracia, z was siedmiu mężów dobre świadectwo mających, pełnych Ducha św. i mądrości, którychbyśmy przełożyli nad tą sprawą. A my modlitwy i usługiwania słowa pilnować będziemy. I podobała się ta mowa przed wszystką gromadą. I obrali Szczepana i Filipa Prochora i Nikanora, i Tymona, i Parmena, i Mikołaja" (zobacz Dzieje Apostolskie, rozdział 6). Oto byli pierwsi „trustysi" i opiekunowie majątku kościelnego. Djakoni, a nie kapłani.

Wyobrażać sobie prawdziwych apostołów z workiem w ręku nie możemy. Jednego tylko apostoła Judasza tak sobie wyobrażamy i tak go malujemy, jako tego, który był „absolutnym panem i właścicielem majątku kościelnego"; ale ten też marnie zginął, mając służyć za przykład odstraszający dla wszystkich innych apostołów i ich następców. Że jednak i dzisiaj, jak są następcy apostołów, tak nie brak i następców apostoła Judasza, którym worek milszy niż dusze, — temu się nie dziwmy, ani z tego się nie gorszmy. Jeśli w gronie apostołów, wybranych przez samegoż Chrystusa, znalazł się na dwunastu jeden zły, złodziej i zdrajca, to i w dzisiejszem duchowieństwie muszą się znaleść Judasze. I byle tylko jeden na dwunastu się znalazł, a nie więcej, to jeszcze dobrze by było z Kościołem Bożym. Jak powiedział biskup Krasiński:

„Wśród pszenicy być muszą kąkole i chwasty.
Więc tam dobrze, gdzie Judasz jest tylko dwunasty.

Ale bywało i bywa nieraz, że Judaszów jest stosunkowo więcej. Naprzykład w Anglji w 16 wieku niemal wszyscy biskupi odpadli od Kościoła, z wyjątkiem jednego. A na coś podobnego i w dzisiejszych czasach się zanosi, gdyż widzimy codzień jaśniej, jak niektórzy z biskupów czynią krzywdy o pomstę do nieba wołające, jak depcą prawa Boskie i ludzkie, rządzą despotycznie i niesprawiedliwie, lubią pochlebców i lizuniów, a nienawidzą prawdomównych, jak są wiarołomni, obłudni, gwałtowni, mściwi, władzy i grosza chciwi. Prawdziwi następcy apostoła — Judasza. I tacy to właśnie są, którzy na wzór Judasza chcieliby mieć worek przy sobie, to jest, być „absolutnymi panami i właścicielami" majątków kościelnych, ażeby tak jak w Anglji, oderwawszy się od Kościoła, i majątki zabrać mogli Kościołowi.

Głupim byś był, ludu katolicki, gdybyś im na to pozwolił. Powiedz takim, niech odejdą od ciebie i jak Judasz „obwiesiwszy się rozpukną się na poły“ im prędzej tem lepiej dla Kościoła Bożego.

174. Hakatyzm w Ameryce. — „Nowiny“ mruczą na moje artykuły. — Nadużywanie nazwy katolickiej. — Czy wyklinać znaczy przeklinać?

Z dnia 12 stycznia 1907.

272. **Hakatyzm jest chorobą międzynarodową.**

Korespondent z Niemiec, piszący do „Wanderer“ w St. Paul, Minn., nazywa hakatyzm „chorobą międzynarodową, z powodu której wszędzie najwięcej Kościół katolicki cierpi“.

Tak jest, jeśli kto, to my tu w Ameryce mamy wielki powód do tego, by śledzić uważnie rozwój tej „choroby międzynarodowej“, szerzącej się jak zaraza. **Wynarodowienie** i — co za tem idzie — **zwyrodnienie** ludzi, oto co ta choroba hakatyzmu i tu sprawia, a przynajmniej sprawić chce. W Prusach ta choroba jest mniej niebezpieczną niż tu, gdyż tam występuje ona jawnie, a tu wżera się w organizm społeczny skrycie i podstępnie. Tu w Ameryce władza wprost przeciw polskości nie występuje; owszem publicznie mówi, że szanuje polską narodowość. Ale zato czynem i postępowaniem swojem zdąża do tego, aby gdzie może zniszczyć polskie parafje moralnie i finansowo, a przez to odstręczyć młodzież polską od kościołów polskich. Faktem bo jest niezaprzeczonym, że naznacza proboszczów młodych i niedoświadczonych lub nieodpowiednich, którzy potem i siebie i parafje rujnują tak moralnie jak i finansowo. Jest to lepszy sposób wynarodowienia i zwyrodnienia Polaków niż sposób hakatystów pruskich. Nie bez racji pisał ks. Wincenty Barzyński już r. 1875, w liście z 19 kwietnia, że „biskupi niemieccy głównie kochają się w księżach niedbałych, sądząc, że prędzej z Polakami skończą“.

273. **Dlaczego Zmartwychwstańcy napadają seminarjum polskie?**

Pytasz się ksiądz, dlaczego? Oto dlatego, że ta instytucja jest w ręku świeckich księży...

Co do „Kurjera Ohioskiego“, jest to pachołek, który raz na tydzień Ojcom chicagoskim zabłocone buty czyści. Nikt by mu za

złe tego nie brał, gdyby tego błota, które Ojcom w Chicago oskrobał, nie rzucał na seminarjum polskie w Detroit...

Biada księdzu, czy świeckiemu czy zakonnemu, który wszystkich czynów Ojców chicagoskich nie pochwala. Choćby on był nawet generałem Zmartwychwstańców, biada mu!

Cóż im złego np. uczynili OO. Franciszkanie r. 1875? Przybyli do Chicago, bo taki był rozkaz wyższej władzy, by zająć miejsce O. Wincentego Barzyńskiego. I co czyni O. Barzyński? Nietylko biskupowi przedstawił owych Franciszkanów jako „pijaków" itp., lecz najpodlejsze insynuacje i oszczerstwa rzucił na nich publicznie z ambony wobec ludu w Chicago, odzywając się tak:

„Biskup każe mi wychodzić z Chicago. Franciszkanie mają objąć tę parafję. Ale żal mi cię, ludu polski, gdyż to są szare wilki, niemcy; żal mi szczególnie was, dziewice polskie, bo co się z wami stanie jak oni obejmią tę parafję?"

Czy szatan mógł wymyślić podlejszą insynuację nad tę?...

Z tem wszystkiem, drogi księże, wolę ja te potwarze aniżeli pochlebstwa. Potwarze te mniej zaszkodzą seminarjum polskiemu, aniżeli pochlebstwa fałszywych przyjaciół. Tak potwarze jak i pochlebstwa są zawsze dobrym znakiem, że seminarjum to oddało już niemałe zasługi społeczeństwu. Bo tylko za zasługą łażą te dwie jędze, potwarz i pochlebstwo, i jak cienie się wloką. Człowiek zasłużony ma za nieodstępnych towarzyszów z jednej strony potwarców, a z drugiej pochlebców. Z tych jednak ci ostatni są gorsi, bo zdradliwsi:

Pochlebca i potwarca za zasługą łażą,
Brzydź się więcej pochlebstwem niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawsze nauka,
Pochlebstwo złych zatwardzi a dobrych oszuka.

Z dnia 24 stycznia 1907.

274. **Chodzi jak kot około gorącej kaszy.**

Tłumaczenie moich „Spraw Kościelnych i Narodowych" na język niemiecki nie opłacało się. Wzięto się na inny sposób. Założono tygodnik wrzekomo polski, bo w polskim i to najnowszym języku wydawany, a mający „już z góry byt materjalny zapewniony". Kto go zapewnił? Jużcić ci sami Niemcy, dla których poprzednio „Sprawy Kościelne" tłumaczono. Wiedziałem o tem daw-

no, a teraz niezmiernie mnie to bawi i cieszy, jak ów najęty przez Niemców redaktor polski około moich „Spraw Kościelnych" chodzi jak kot około gorącej kaszy. Co łapę wyciągnie, co tchu ją znowu cofa, by się nie sparzyć. Raz z tej, raz z drugiej strony próbuje się zbliżyć i obwąchuje, czy nie dałoby się coś ugryźć. Lecz nadaremno, bo za gorące. Zdrowy instynkt mu radzi, żeby czekać, aż ostygnie. Ale widać, żarłoczność w nim silniejsza od zdrowego instynktu, więc prędzej czy później — sparzy się.

275. **Prawda przedewszystkiem.**

„Zapewniony zgóry byt materjalny" nie zapewnia jeszcze temu pismu bytu wpływu moralnego. Powtarzać w każdem zdaniu, że się jest polskiem i katolickiem pismem, dowodzi najwidoczniej, że się polskość i katolicyzm używa za płaszczyk, pod którym się kryją inne cele i zamiary. Nazwa nie stanowi rzeczy. Na tym świecie jest wiele rzeczy bez nazw, ale jeszcze więcej nazw bez rzeczy. Nazywać się Polakiem i katolikiem, a być tchórzem i służalcem, to wcale nie popłaca w naszem społeczeństwie amerykańsko-polskiem. Zachwalać ciągle swoją polskość i katolickość niby towar jaki, wołając tonem przekupki:

— Ludzie! Kupujcie polskość i katolickość ode mnie, bo ja mam lepszy towar niż mój sąsiad!

Takie i tym podobne wołania nie nadają pismu wartości. Żeby **polskie** pismo redagować, nie wystarczy w polskim (choćby najnowszym) języku pisać. Trzeba nadto polskim duchem je natchnąć. A więc i duchem tego przysłowia polskiego: Póki świat światem, Niemiec Polakowi nie będzie bratem!

Żeby zaś **po katolicku** gazetę redagować, trzeba prawdę pisać bez oglądania się na osoby, czy one nisko czy wysoko stoją. Prawdę pisać nie ową oderwaną, książkową, lecz tę rzeczywistą z życia naszego społeczeństwa wziętą. Prawdę pisać np. tę, że Niemcy systematycznie źle i niesprawiedliwie obsadzają probostwa polskie; i stąd pochodzi finansowa i moralna ruina wielu parafij zarówno jak i proboszczów niedoświadczonych. Albo prawdę pisać tę: że jeśli ks. Dorszyński i ks. Kempa zniszczeli na ciele czy na duszy, to nie tyle ich wina, ile tych Niemców, którzy — wbrew prawu i sprawiedliwości — takie im odrazu wielkie parafje dali. A dlaczego im, a nie starszym i zasłużeńszym kapłanom dali? Oto, żeby imię polskie w Ameryce zniesławić, żeby innonarodowcy palcem nas wytykali i mówili:

— Oto patrzcie, jak się Polacy gospodarzą!

I to — ta poniewierka nas Polaków — publicznie w naszych oczach się dzieje. A my tylko zawsze prywatnie i po cichu na to szemrać będziemy zamiast głośno i publicznie zakrzyknąć:

— Niemcy, nie poniewierajcie tak dalej Polakami. Nie dawajcie młodzikom odrazu wielkie probostwa, ale rozdawajcie je po starszeństwie i sprawiedliwości. Bo sprawiedliwość jest fundamentem społeczeństwa. Bez niej zachwieje się i runie wszystko tak finansowo jak moralnie!

Takich konkretnych, to jest, z życiem publicznem zrosłych prawd jest wiele. Takie prawdy każdy pisarz, który jest katolikiem prawdziwym, a nie z imienia tylko, nietylko może ale powinien mieć odwagę wypowiedzieć głośno i publicznie, bez względu na to, czy lud mu „Hosanna" śpiewa czy „Ukrzyżuj go" woła, i czy biskup na to łaskaw czy nie. Prawda przedewszystkiem. Ta każdemu katolikowi milszą być powinna niż poklaski tłumu lub nawet łaski biskupie. Pisarzowi prawdziwie katolickiemu nie przystoi być demagogiem. Ale jeszcze mniej przystoi mu być fagasem biskupim, zwłaszcza jeśli ten biskup poniewiera narodowość polską.

Opinja tłumu jest zmienną? Ale i łaska biskupia na pstrym koniu jeździ.

Tylko prawda jest niezmienną. Na tej oprzeć się możemy. Ta jedynie nas wyswobodzi z jarzma niewoli obconarodowej, a nie pochlebstwa, płaszczenie się i lizanie rąk.

276. **Proboszcz w Ripon doczekał się asystenta.**

Jan Pawłowski darował do nowego kościoła w Ripon piękną ambonę za 175 dolarów.

277. **Pycha i głupota naszych arcykatolików.**

Mamy w Ameryce kilka takich pism polskich, które uważają się za bardziej katolickie od innych i w każdym numerze zachwalają swój czysty katolicyzm. Wyrazem „katolicki" szafują hojnie na wszystkie strony, ale treści katolickiej najmniej czytelnikom podają. „Kurjer Ohioski" niedawno zmienił swój tytuł na „Kurjer Katolicki" (nowa nazwa bez rzeczy), bo inaczej niktby nie wiedział, że to pismo katolickie. A redaktor milwauckich „Nowin" tę zmianę nazwy komentuje taką wprost niesmaczną uwagą:

„Nasz brat z Toledo, O., „Kurjer Ohioski" sprzykrzył sobie zbyt ciasną suknię; pragnąc więcej swobody, przezwał się „Kurje-

rem Katolickim". Widocznie nasz kolega już tak utył, że pasa musi popuszczać jak ongi było za króla Sasa!"

Odkąd to wyraz „katolicki" oznacza „więcej swobody" i „popuszczanie pasa"?...

A im mniej strawy katolickiej takie pisma czytelnikom podają, (podobnie jak im mniej mleka krowy dają), tem głośniej ryczą, że są katolickie. Jużcić przesadnego wyobrażenia o swoim katolicyzmie mają ci panowie bardzo wiele, ale też nic więcej. Zdaje im się, że wszystkie rozumy katolickie pojedli. A że pychy i zarozumiałości nieodstępną towarzyszką jest głupota, bo

Dummheit und Stolz
Wachsen auf einem Holz,

więc też zdarza im się to często, że niby to w obronie katolicyzmu głupstwa kapitalne plotą.

Oto znowu np. mała próbka. Arcykatolicki „Dziennik Chicagoski" pisząc o śmierci odpadłego ks. Antoniego Kozłowskiego powiada: „Umarł on... **przeklęty** przez Kościół katolicki".

Odkąd to, panowie arcykatolicy, Kościół katolicki „przeklina" ludzi? Tak — to **waszym** zwyczajem było i jest, rzucać przekleństwa i złorzeczenia na ludzi, którzy was nie ubóstwiają. Ale **Kościół katolicki** tego nigdy nie czynił i nie czyni. Jeden to z dowodów, że nie znacie najelementarniejszych zasad Kościoła katolickiego i nimi się nie przejęliście. A zatem do tegoż Kościoła duchem nie należycie, chyba tylko ciałem. Gdybyście byli w duchu i prawdzie członkami Kościoła katolickiego, wiedzielibyście, że ten Kościół święty nigdy jeszcze nikogo nie przeklinał i nie przeklina. Wyklina — ale wyklinanie jeszcze nie jest przekleństwem. „Gdy słyszycie o klątwie kościelnej — pisze nasz biskup Karol Fischer z Przemyśla — nie sądźcie, że Kościół święty kogoś przeklina albo mu złorzeczy: to, co nazywamy po polsku „klątwą", nazywa się po łacinie excommunicatio, t. j., wyłączenie czyli po staropolsku „wyklinanie". Klątwa kościelna więc nie jest nic innego jak tylko wyłączanie kogoś ze społeczności kościelnej" (Kazania, tom II, str. 351).

Oświadczając zaś, że Kościół przeklina ludzi, zohydzacie tem Kościół i w ten sposób zbłąkanych owieczek nigdy nie nawrócicie.

175. Niejednakowe prawa kościelne. — Propozycja „Dziennika Chicagoskiego“ w sprawie IX tomiku Historji. — Diecezja dla polskiego biskupa.

Z dnia 17 stycznia 1907.

278. **Niejednakowe prawa.**

Zarząd majątku kościelnego jest rozmaitym w rozmaitych diecezjach. Stąd też pochodzą te częste między ludźmi nieporozumienia i niezadowolenia. W jednej diecezji parafjanie zabierają głos rozstrzygający w pieniężnych sprawach parafji, a w drugiej diecezji mają zaledwie głos doradczy. Sarkania więc są ciągłe, a poniekąd słuszne:

— Czemu to my nie mamy tych samych praw co tamci?

Porównajmy np. te dwie sąsiadujące ze sobą archidiecezje: milwaucką i chicagoską. Różnica praw jest wielka. Najpierw co do wyboru urzędników parafjalnych, to jest, sekretarza i skarbnika. W milwauckiej archidiecezji prawo przepisuje, żeby na zebraniu ogólnem **obierali sami wszyscy praktykujący parafjanie z pomiędzy siebie** dwóch tych urzędników na dwa lata i to przez tajne głosowanie za pomocą kartek (Revised By Laws, III, 5). W archidiecezji zaś chicagoskiej odnośne prawo tak opiewa:

„**Ksiądz proboszcz** każdej parafji każdego roku przed 15 stycznia **przedstawi** arcybiskupowi pięciu mężów, członków parafji... Z tych 5 arcybiskup wybiera 2 mających służyć za komitet kościelny tej parafji na jeden rok“. (Diocesen Statutes, title 20, paragraph 264.)

Więc najpierw różnica w tem, że w archidiecezji milwauckiej parafja cała wybiera urzędników, a arcybiskup ten ich wybór tylko zatwierdza. W Chicago zaś podług prawa arcybiskup nietylko zatwierdza ale sam wybiera urzędników.

Po drugie: w archidiecezji milwauckiej urzędnicy parafjalni są **rzeczywistymi** urzędnikami, to jest, sekretarz jest pełnym tytułem sekretarzem odbierającym pieniądze od parafjan, a skarbnik jest p. t. skarbnikiem przechowującym pieniądze parafjalne. W Chicago zaś ci dwaj wybrani przez arcybiskupa urzędnicy są tylko **malowanymi.** Rzeczywistym bowiem skarbnikiem, przechowującym kasę kościelną, a często i sekretarzem, jest sam proboszcz. Tych dwóch świeckich, stanowiących komitet kościelny, jedynym obowiązkiem jest podpisać sprawozdanie zrobione przez proboszcza. „Będzie to **obowiązkiem** komitetu kościelnego podpisać

swoje nazwisko na sprawozdaniu parafji, które ks. proboszcz jako skarbnik jest obowiązany zrobić co rok arcybiskupowi diecezji"...

Po trzecie: w archidiecezji milwauckiej urzędnicy parafji są całą gębą i sekretarzem i skarbnikiem, gdyż podług prawa przysługuje im głos **rozstrzygający** we wszelkich sprawach i transakcjach finansowych parafji. Bez ich zezwolenia ani proobszcz, ani nawet arcybiskup nie ma prawa kupować, sprzedawać lub długu zaciągać na parafję. Długu zaciągniętego przez proboszcza lub arcybiskupa bez piśmiennego zezwolenia **obydwóch** urzędników (jeden nie wystarczy) parafja nie jest obowiązana płacić. Inaczej w Chicago. Tam komitetowi mają tylko głos doradczy, to jest, taki głos, z którym arcybiskup lub proboszcz liczyć się nie potrzebują. Proboszcz jest tylko obowiązany czasem zasięgnąć rady komitetu, ale do jego rady stosować się nie potrzebuje.

Oto jak wielka jest różnica praw w dwóch sąsiednich diecezjach. Taka różnica jest jednem ze źródeł nieporozumień ciągłych i niezadowoleń między naszymi ludźmi. Jeżeli biskupi — którzy stanowią prawa dla Kościoła — nie mogą się ujednać co do tychże praw, jakżeż można od ludzi żądać jedności i jednomyślności?

Z dnia 24 stycznia 1907.

279. **Propozycja „Dziennika Chicagoskiego".**

Organ Zmartwychwstańców „Dziennik Chicagoski" w nr. 11 stawia mi następującą propozycję:

Napiszemy sami dziełko równej objętości jak tomik IX („Historji Polskiej w Ameryce"). Przytoczymy w niem wszystkie a wszystkie i te same wyjątki z listów prywatnych, które autor tomiku IX przytoczył, ale oprócz nich także uzupełnienia, i to równie autentyczne (proszę bardzo o to! a będzie to dziełko bardziej pieprzne niż mój tomik IX). Opatrzymy zaś to wszystko naszymi komentarzami i uwagami **w miejsce** komentarzy i uwag podanych przez autora tomiku IX. Utrzymujemy, że to dziełko nasze, skoro będzie wykończone, **najzupełniej przeciwne rzuci światło** na działalność OO. Zmartwychwstańców aniżeli to uczynił tomik IX, i zamiast niesławą, zasłużoną chwałą ich okryje. Autor tomika IX z pewnością przeciwnego jest zdania". (Ależ wcale nie!)

Dotąd pierwsza część propozycji „Dziennika Chic.". Zgadzam się na nią natychmiast i najzupełniej. Przecież nie o własny triumf mi chodziło ani chodzi, lecz głównie o triumf prawdy. A ta przy starciu się przeciwnych zdań tylko bardziej wyświetlić się

może. Wierzę też już teraz, nie czekając na wyrok sądu polubownego, że „to wszystko opatrzone komentarzami i uwagami Ojców" najzupełniej w innem świetle przedstawi działalność Ojców chicagoskich. Boć kiedy nawet Pismo św. heretycy na swoją obronę naciągnąć potrafią, to tem bardziej Ojcowie własne listy. Skoro Ojcowie w powyższej propozycji już zgóry zapowiedzieli, że to dziełko „okryje ich zasłużoną chwałą", to jakże ono inaczej może wypaść? Więc autor tomiku IX wcale nie jest „przeciwnego zdania" co do wyniku owego dziełka. Musi ono wypaść na pochwałę Ojców, skoro Ojcowie już zgóry taki cel mu wytknęli. Najwidoczniej tedy rozchodzi się Ojcom o triumf własny, a nie o triumf prawdy, w tem zapowiedzianem dziełku.

Właściwie więc druga część propozycji jest już niepotrzebna, bo suponuje, że ja „przeciwnego zdania" jestem co do wyniku „dziełka" zapowiedzianego przez Ojców. Ale oto druga część propozycji tak brzmi:

„Otóż wybierzemy potem sąd polubowny, złożony z prawych kapłanów, których dwóch zamianuje „autor tomiku IX", dwóch (nie Zmartwychwstańców) my, a piątego obiorą ci czterej. Tych pięciu ogłosi wyrok i większością głosów przyzna słuszność albo nam albo autorowi tomiku IX. Jeżeli wyrok zapadnie na naszą korzyść, to autor tomiku IX publicznie przeprosi i pokrzywdzonych i zgorszonych, wycofa z obiegu tomik IX i w jego miejsce zaprowadzi dziełko przez nas opracowane i powstrzyma się od wszelkich dalszych napaści tego rodzaju; — jeżeli zaś wyrok zapadnie na naszą niekorzyść, to... proszę stawiać żądania: wypełnimy je, o ile równie będą honorowe."

Oto cała propozycja „Dziennika Chicagoskiego". Niech więc Ojcowie dopełnią najpierw warunków pierwszej części propozycji, na którą już teraz się zgadzam, to jest, niech napiszą sami takie dziełko i zwłaszcza w miejsce moich domyślników czyli kropek w IX tomie wszędzie przytoczą w swojem dziełku autentyczne uzupełnienia... a wtedy dopiero będzie czas pomówić o drugiej części propozycji. A może wtedy się okaże, że wcale nie będzie potrzeba sądu polubownego?

Z dnia 26 stycznia 1907.

280. Jaką Niemcy przeznaczają diecezję dla polskiego biskupa?

Pewien niemiecki ksiądz pisze mi, że zdaniem Niemców stan Wisconsin należy i powinien zawsze należeć do niemieckich bi-

skupów, że Polacy nie powinni marzyć o biskupie polskim we Wisconsinie. Są jednak Niemcy tak łaskawi, że przeznaczają dla biskupa polskiego jakiś kącik w Górnym Michiganie, gdzie z dzisiejszej diecezji Marquette każą nam wykroić powiaty Houghton, Baraga, Gogebic, Iron, Ontonagon, Dickinson i Keweenaw — i z tych utworzyć diecezję dla polskiego biskupa ze stolicą w Houghton, Mich.

Zaiste, wielka jest łaskawość i wspaniałomyślność Niemców! W wyż wspomnianych powiatach niema ani tylu Polaków ile w jednej wardzie polskiej w Milwaukee. Robię więc Niemcom taką propozycję:

Zatrzymajcie sobie te powiaty. Całe powiaty, to za wiele na początek. My Polacy nie żądamy powiatów. Na początek zadowolimy się kilku **wardami** np. na południowej stronie miasta Milwaukee i tam wykroimy diecezję dla pierwszego polskiego biskupa w Ameryce z katedrą przy kościele św. Jozafata, który wy, Niemcy, w takie błotc długów wprowadziliście a wyprowadzić go tak czy owak nie możecie, nie chcecie czy nie umiecie. Czy zgoda na to?

Przecie Polacy w Milwaukee według urzędowego cenzusu diecezjalnego stanowią znaczną większość nad wami Niemcami. Zresztą obok „Reise-Bischofa", jak go, Niemcy, sami nazywacie, słuszna i sprawiedliwa rzecz jest, żeby był także stale rezydujący biskup w Milwaukee.

176. Zakony powinne zająć się rozproszonymi misjami a nie wielkiemi parafjami. — Połowa katolików dla braku opieki ginie dla wiary. — W historji jedynie o triumf prawdy się rozchodzi.

Z dnia 26 stycznia 1907.

281. **Sprawa biskupów polskich na dobrej drodze.**

„Dziennik Narodowy" z Chicago, nadesłany mi łaskawie przez kogoś (raz tylko, czemu nie zawsze?), pyta się mnie, jak stoi sprawa biskupów polskich dla Stanów Zjednoczonych? Podobnemi pytaniami zasypują mnie i inni rodacy. Otóż tak dla pocieszenia strapionych jak i dla zapewnienia wątpiących oświadczam niniejszem, że sprawa ta znajduje się na dobrej drodze; że nie stoi, lecz raczej toczy się i naprzód postępuje w św. Kongregacji Propagandy w Rzymie; że nietylko arcybiskupa Webera, ale i drugiego biskupa polskiego, wybranego przez Rzym z pomiędzy

tutejszego kleru, niebawem dostaniemy. W górę serca! Z Abrahamem w nadzieję przeciw nadziei uwierzcie!

282. **Czy dla zakonów niema innego pola pracy prócz wielkich parafij?**

Czy zakony polskie w Ameryce w braku innego zajęcia muszą się pchać na wielkie probostwa i wypierać z nich księży świeckich? Czy niema tu dla nich innego pola pracy prócz zawiadywania parafjami? Jest i to bardzo obszerne pole działalności. Pomijając pole piśmiennictwa religijnego, którego uprawą w pierwszym rzędzie zająć się powinni zakonnicy a dotychczas mało się zajmują; pomijając także pole dawania rekolekcyj, pole wychowania młodzieży w kolegjach, pole ściśle naukowe i inne pola — zwróćmy tylko uwagę na pole udzielania misyj po parafjach i na to ogromne pole zaopatrywania misyj i misyjek po małych osadach, które własnych proboszczów utrzymać nie mogą. Ile tu pracy znajdzie kto tylko ją chce znaleźć, niech posłuży za przykład dzielny misjonarz O. Remigjusz Berendt, O. F. M. Dość powiedzieć, że np. w r. 1905 miał kazań 528 a spowiedzi 12,085. Zeszłego zaś roku 1906 miał kazań 408 a spowiedzi 12,050. Prócz tego zaopatruje małe misje w Sheller, Ill. i w Tamarra, Ill.

Oto wzór do naśladowania przez pewnych Ojców w Chicago. Zamiast intrygować, wyzywać i oczerniać innych księży wobec ludu i biskupów, zamiast pisać herezje, że Kościół **przeklina** ludzi, i przez to, zamiast pojednać, **dzielić** ludzi na zależnych i niezależnych: — wybrać się na farmy i dawać misje, albo zaopatrywać małe misje; albo wydawać pisma religijne lecz oryginalne a nie przedruki. Mało kto zaprasza Ojców na misje? No, to w Ripon przed poświęceniem nowego kościoła, przez „krezusa" (jak nazwaliście proboszcza w Ripon) wybudowanego, możecie dać misje, jeśli chcecie.

A ileż to w Ameryce jest małych osad polskich, odległych i rozproszonych, do których jedynie zakonnicy dojeżdżaćby mogli i powinni, aby je utrzymać przy wierze i narodowości polskiej. Przez zaniedbanie tych małych ale tak licznych osad polskich Polonja amerykańska bardzo dużo traci. Te małe osady, pozostawione bez opieki, są w Polonji amerykańskiej jakby dziury na dnie okrętu. Przez niezatykanie tych małych dziur narażamy okręt Polonji na niebezpieczeństwo zalewu a może i zatonięcia w morzu anglosaskiem.

Z dnia 31 stycznia 1907.

283. **Czy wzrost Kościoła w Ameryce można nazwać olbrzymim?**

Podług najnowszego „Catholic Directory“ Kościół w Stanach Zjednoczonych pozyskał 437,309 dusz a cała ludność katolicka wynosiła przy końcu zeszłego roku 1906 „aż“ 13,089,353 dusz. „Dziennik Chicagoski“ nazwał ten wzrost liczebny „olbrzymim“. Na to odpowiada mu słusznie „Polak w Ameryce“:

„...Według wszelkich statystycznych danych (emigracyjnych) Kościół katolicki w samych Stanach Zjedn. powinien liczyć nie 13 miljonów ale co najmniej 26 miljonów katolików. Gdzież się więc podziało 13 miljonów katolików? Oto przeszły do liczby różnych protestanckich sekt lub pomnożyły liczbę bezwyznaniowców. A wskutek czego to się stało? Wskutek tego, że amerykańscy biskupi irlandzkiej narodowości, mając rządy Kościoła w swem ręku, uznawali tylko potrzeby Irlandczyków, o resztę zaś katolików z szowinistycznych pobudek dbali mało, więc ci zrażeni porzucili Kościół, uszczuplili liczbę jego wyznawców i z dobrych dzieci stali się jego wrogami...“

284. **„Dziennik Chicagoski“ bije we wielki dzwon.**

Dzwoni na alarm we wtorkowym numerze za to, że dowiodłem mu, iż herezje pisze. Panowie od „Dziennika Chic.“, sądzicie mnie ciągle podług swoich Ojców chicagoskich, którzy w latach 1902—1904 stali nad przepaścią niezależności i buntu nie już przeciw biskupowi, ale przeciw samejże Stolicy św. Odtąd wy, ich pisarkowie, często podejrzywacie innych o to samo. Uspokójcie się! Ripon na skale Piotrowej stoi a nie na błocie chicagoskiem.

Z dnia 2 lutego 1907.

285. **Kto mówi A, niech powie i B.**

Nie wykręcajcie się sianem, panowie od „Dziennika Chicagoskiego“, lecz przystępujcie bez zwłoki do dzieła, jakie sobie zamierzyliście; to jest, napiszcie „dziełko“ mające uzupełnić czy zastąpić IX tomik „Historji Polskiej w Ameryce“. Wprawdzie cel wytknęliście sobie, was najzupełniej godny, lecz niegodny historji bezstronnej. Bo już zgóry zapowiedzieliście, że ta przez was napisana „historja“ okryje zasłużoną chwałą Ojców chicagoskich. Do tego więc celu **naciągnąć** będzie wam trzeba wszelkie fakta, listy i dokumenta.

Triumf waszych chlebodawców, a nie triumf prawdy stawiliście sobie przed oczy.

Ale mniejsza i o to. Niema bowiem złego, coby na dobre nie wyszło. Nie myślcie wcale, żebym się lękał, że wasze tak zapowiedziane dziełko obali fakta historyczne, przeze mnie podane w IX tomie; albo, że udowodnicie, iż ja te fakta we fałszywem świetle przedstawiłem. Panowie wszelkie niekorzystne dla Ojców światło nazywacie fałszywem. Więc, jak zapowiadacie, chcecie fakta, przeze mnie podane, przedstawić w korzystnem dla Ojców oświetleniu. I to korzystne oświetlenie nazywacie prawdziwem. W tem wasz zasadniczy błąd. Że takie wasze oświetlenie zmieni wygląd faktów, to nie ulega wątpliwości. Dziwię się tylko, że panowie tego zrozumieć nie możecie. Przecie jedna i ta sama rzecz w sztucznem bengalskiem różowem oświetleniu inaczej się przedstawia aniżeli w prawdziwem świetle słonecznem. Podobnie jedne i te same fakta historyczne, skoro panowie, jak to już naprzód zapowiadacie, w korzystnem dla Ojców i różowem świetle je przedstawicie, inaczej zapewne wyglądać będą aniżeli w słonecznym blasku prawdy przeze mnie przedstawione. A jeżelim jakikolwiek fakt nie w świetle prawdy przedstawił, to wykażcie mi to i udowodnijcie. Przecież źródła, z których czerpałem, wy macie w ręku i łatwo wam udowodnić mi fałsz lub omyłkę. Czemu tego nie czynicie, tylko wiecznie gołosłowne czynicie mi zarzuty?

Na sąd polubowny mam się już dzisiaj zgodzić? A gdzie drugi podsądny? Jeszcze go niema. Niech się narodzi wpierw! Napiszcie najpierw wasze dziełko, ogłoście je drukiem tak jak przyrzekliście. Uzupełnijcie zwłaszcza owe kropki w mojej „Historji" oryginalnym, autentycznym i dosłownym tekstem. Słowem dopełnijcie warunków w swojej propozycji przyrzeczonych, a ja się i na propozycję sądu polubownego zgodzę. Dzisiaj nie mogę się zgodzić, bo nie wierzę, byście przyrzeczonych tych warunków dopełnili. Ludziom, którzy wiecznie tylko pochlebstwa piszą dla jednych albo oszczerstwa dla drugich, nie można wierzyć.

177. Czy władza jest nad prawem czy pod prawem? — Odprawa „Nowinom". — Stanowisko katolickiego pisarza. — Pan Ślisz w obronie własności parafjalnej.

286. **Czy władza jest nad prawem, czy prawo ponad władzą?** Oto jest kwestja największej doniosłości dla uregulowania stosunków społecznych, czy cywilnych czy kościelnych. Prusy.

Rosja, Francja i inne narody, duchem pogańskim przesiąknięte, twierdzą, że: władza jest ponad prawem, że z władzy rodzi się prawo. Sic volo, sic jubeo, stat pro ratione voluntas. Tak woła bezecny rząd pruski, rosyjski itd. Kościół katolicki uczy przeciwnie, że **władza,** czy cesarska czy biskupia, **jest pod prawem Bożem,** przyrodzonem czy nadprzyrodzonem, a nie nad prawem. Kto zaś hołduje tej bezecnej pogańskiej zasadzie, że władza jest nad prawem? Oto tylko zgniłe członki Kościoła katolickiego, odpadłe czy nieodpadłe.

Takim odpadłym zgniłym członkiem jest np. hr. Hoensbroech, który w Berlinie miał odczyt p. t. „Herr von Stablewski" i przez godzinę udowadniał, że eksterminacyjna polityka rządu pruskiego wobec Polaków jest słuszna. A argumentował tak:

„Polacy popełniają zbrodnię, ponieważ się buntują w Poznańskiem przeciw władzy. Prusy mają władzę, a **z władzy rodzi się prawo.** Buntem ze strony Polaków jest niesłychana bezczelna śmiałość (Frechheit) domagać się od państwa wykładów w języku polskim w szkole niemieckiej! Tylko władza decyduje, co jest dobrem a co złem. Naczelnem dobrem Prus jest zgermanizowanie Polaków. Obojętnem jest, jakiemi to się stanie środkami, łagodnemi czy surowemi. Jeśli nie można pierwszemi, pozostaną drugie jako konieczność."

Oto zwolennik bezecnej zasady: „władza jest ponad prawem" — zwolennik będący odpadłym członkiem Kościoła. Z oburzeniem na to woła chicagoska „Gazeta Katolicka": „Patrzcie, mili czytelnicy, do czego prowadzi odszczepieństwo!"

Ale czy tylko odszczepieństwo? Czy w łonie samegoż Kościoła niema takich zgniłych czy nadgniłych członków, które hołdują tej samej bezecnej zasadzie? Czy np. kardynał Kopp nie popierał postępowania rządu pruskiego z Polakami? A księża germanizatorzy? A w Ameryce czyż niema biskupów anglizatorów?

Nietylko taki Hoensbroech, ale niejeden nawet biskup i słowem i czynem wygłasza taką bezecną zasadę:

— Ja mam władzę, więc mam prawo! Mam prawo obsadzać parafje, jak mi się podoba, bez oglądania się na kościelne prawo i sprawiedliwość. Moja władza jest ponad wszelkiem prawem. Zresztą prawa tu niema, poza mną. Biskup jest prawem kanonicznem w Ameryce.

I kto „władzę" ma za sobą, ten ma prawo do największych probostw, ma i prawo do robienia największych długów na koszt

parafji jak śp. ks. Grutza itd. I kto śmie zaprzeczyć, że nietylko poza Kościołem, ale i w obrębie samegoż Kościoła są zgniłe lub nadgniłe członki, które bezczelnie hołdują tej pogańskiej zasadzie, że z władzy rodzi się prawo, że władza jest ponad prawem? i że te zgniłe członki, nie odpadając, zarażają już i zdrowe członki?

Czy pozwolimy szerzyć się takiej zaraźliwej doktrynie? Nie! Lecz dopóki tchu nam stanie, głosić będziemy publicznie tę jedynie prawdziwą i katolicką naukę, że: władza jest pod prawem a nie nad prawem, że i biskupi, jak się wyraził ks. Rothenburger, są pod prawem a nie nad prawem, że podług prawa i sprawiedliwości, a nie podług własnego widzimisię, rządzić muszą, jeśli chcą być katolickimi biskupami. Kto inaczej uczy słowem lub postępowaniem, ten choćby był biskupem, nie jest zdrowym członkiem Kościoła. I oby albo się nawrócił albo jako zgniły członek czemprędzej odpadł a nie szerzył dalej tej zgniłej zasady, że „z władzy rodzi się prawo“.

Z dnia 7 lutego 1907.

287. **Odpowiedź księdzu W. S.**

Piszesz mi ksiądz:

„Rewolwerowe gazetki, jak polski lejborgan Niemców („Nowiny“), bałwochwalczy „Wiarus“ i służebny „Dziennik Chicagoski“, iście po zbójecku napadają Księdza i piszą na Księdza wszystko złe, jakie tylko bez zapoznania się z kryminałem pisać mogą, a jeszcze bezczelnie śmią twierdzić, że przyzwoitość nie pozwala im gorszych rzeczy o Księdzu pisać.“

Otóż, mój Księże, to taktyka właściwa obłudnikom i oszczercom — faryzeuszom, podszywającym się pod nazwę katolików. Im nieprzyzwoiciej piszą, tem bardziej w zaślepieniu swojem chwalą się przyzwoitością dziennikarską. Chyba jedynie obawa przed kryminałem utrzymuje ich jeszcze w jakiej takiej przyzwoitości. Gdyby tylko mogli „bez zapoznania się z kryminałem“ oczerniać mię bardziej, uczyniliby to bardzo chętnie.

Temu (redaktorowi „Nowin“) trzeba dać odpocząć. Biedak już i tak się popłakał i narzeka, że cierpi prześladowanie — zapomniał tylko dodać — dla niesprawiedliwości. Czy posłucha zbawiennych rad, zobaczymy.

Na pytanie, jak można **„pieszo latać** z St. Francis do Milwaukee“, po odpowiedź należy się udać do Wielebnego ks. Górala, profesora języka polskiego w St. Francis, Wis.

288. **Ks. Conway określa stanowisko katolickiego pisarza.**

Ponieważ owe wilki w owczej skórze, to jest, pisma bałwochwalcze w szatę katolicką przybrane, ciągle lud bałamucą tą fałszywą nauką, jakoby katolicyzm polegał na bezwzględnem chwaleniu wszystkiego, co dostojnicy Kościoła czynią lub czynili: — nie od rzeczy będzie przytoczyć tu zdanie księdza B. J. Conway, S. S. P., który stanowisko, jakie katolicki pisarz zająć powinien, w następujący sposób określa:

„W historycznych kwestjach powinniśmy wierni być prawdzie. Nie jesteśmy obowiązani bronić wybryków Inkwizycji Hiszpańskiej, albo utrzymywać, że nietolerancyjny duch niektórych dostojników kościelnych był zgodny z duchem Jezusa Chrystusa. Nie jesteśmy powołani bronić polityki króla katolickiego albo nawet papieży. Nie jesteśmy obowiązani oczyszczać z zarzutów łajdaka, choćby on nie wiedzieć jak wysoko stał w Kościele lub państwie, jedynie dlatego, że on był katolikiem.“ (Ecclesiastical Review.)

289. **Jak ks. Brockhagen karci wybryki księży i biskupów.**

Ks. Brockhagen, redaktor niemiecko-katolickiego „O'Fallon Hausfreund“ z 31 stycznia 1907 tak pisze:

„Żadnemu katolikowi tego za zbrodnię poczytać nie można, że karci nadużycia, jakie się zakorzeniły. A niestety w tym tu kraju zakorzeniły się nadużycia tak dalece, że je się uważa już za dozwolone i prawne zwyczaje. Do takich nadużyć należy także potrząsanie ulubionym workiem z pieniędzmi, by dolara dostać. Księża z workiem praktykują, lubią i chwalą tylko to, co im pieniądze przynosi. To doprawdy nie jest w duchu Chrystusa.

„Katolickich mężów chce mieć Ojciec św., mężów, którzyby mężnie wystąpili przeciw nadużyciom dzisiejszej katolickiej społeczności; mężów, którzyby słowem i czynem Chrystusowi świadectwo dawali; mężów, którzyby nie byli tchórzami i z wielką hołotą w jedną trąbę nie trąbili. Takimi mężami mają być ci, którzy się duszpasterzami nazywają. Mają być kapłanami a nie łapigroszami (Sie sollen Sacerdosse und keine **Sackzerdosse** sein).

„Zaiste do łez porusza to, co się czyta w Koncyljum Baltimorskiem, jak biskupi mają gorliwie się starać o zbawienie dusz negrów. Lecz co się czyni dla negrów? Zgoła nic. Ale stój! Przecież ma się staranie o negrów, boć urządza się doroczną kolektę na kształcenie księży, którzy mają się poświęcić duszpasterstwu między negrami. Byłoby to też bardzo pięknie, gdyby to semina-

rjum dobrze prowadzono a pieniądze, zebrane na negrów, bez potrzeby nie trwoniono. Wszelako jest to faktem powszechnie znanym, że przełożony tego seminarjum dla negrów, był znikczemniałym kapłanem, który publicznie w gazetach wyznał, że już od wielu lat w nic nie wierzył. Gdyby seminarjum dla misyj murzyńskich stało pod dobrym dozorem biskupim, to ów znikczemniały kapłan nie mógłby być przez tak długie lata przełożonym. (Ba! a jeśli był lizuniem biskupim?) Jednakże dla murzynów nie brano tej rzeczy na serjo; ale pieniądze z ubogich ludzi ściągnięte wydawano bardzo na serjo. To także amerykanizm.

„Ależ znowu znajdą się tacy, co powiedzą, że „O'Fallon Hausfreund" zaczepił biskupów a przynajmniej ich gani, a tego zakazuje plenarne Koncyljum Baltimorskie. Na takie oskarżenie mamy tylko to do odpowiedzenia: Wzięliśmy sobie przykład z biskupów. Albowiem ile prawa mają oni gardzić uchwałami rzeczonego Koncyljum, tyle prawa my także mamy. Ba, każdy katolik ma do tego tyle prawa! W rzeczywistości wprawdzie żaden człowiek nie ma prawa pogardzać uchwałą Soboru. Ale dobry przykład musi iść zgóry; gdyż ci, co u dołu są, muszą postępować według przykładu zgóry."

290. **We śnie czy na jawie.**

Przypuszczam, że we śnie. Bo czasem i poczciwy Homer się zdrzemnie. Czemużby nie zdrzemnął się i poczciwy pan Ślisz w „Polaku w Ameryce", kiedy napisał, że „pewien polski ksiądz publicznie oświadczył się za wyemancypowaniem tytułu własności parafjalnej z pod opieki biskupa". (Aluzja do moich artykułów nr. 271 i nr. 278.)

Sam p. Ślisz to przyznaje, że: „Ani biskup, ani też ksiądz, ani nawet i cały komitet, złożony z biskupa, generalnego wikarego, rektora parafji i dwóch trustysów czyli opiekunów z pośród parafjan, **nie jest właścicielem** parafjalnej własności, **ale tylko reprezentantem** tejże własności wobec prawa i sądowych władz". A czyż inaczej pisał ów polski ksiądz? Wystąpił on właśnie przeciw tej fałszywej doktrynie, głoszonej z ambony przez pewnego młodego proboszcza, jakoby biskup był absolutnym właścicielem dóbr kościelnych. Przeciwko temu jedynie fałszowi ów polski ksiądz pisał. Wobec tego ów polski ksiądz stawia panu Śliszowi taką propozycję:

Sprowadzi na swój koszt z Galicji p. Śliszowi 10 galonów łańcuckiej wódki, jeżeli mu tenże udowodni, że pisał „za wyeman-

cypowaniem tytułu własności parafjalnej z pod opiekuństwa biskupa". Jeżeli zaś p. Ślisz tego mu nie udowodni, to p. Ślisz zapłaci sto dolarów na szkołę polską w Ripon, Wis.

178. Odbudowanie kościoła w Ripon wewnątrz wykończone. — Księża zakonni nie na swojem miejscu. — Imprimatur dla X tomu „Historji Polskiej w Ameryce".

Z dnia 9 lutego 1907.

291. **Pod adresem „Dziennika Chicagoskiego.**

Proszę sformułować swoje żądanie. Czy panowie żądacie, żebym przyjął waszą propozycję pod warunkiem, że napiszecie owe „dziełko" tak jak przyrzekliście — czy też bez tego warunku?

292. **Czwarty Kongres w Erie, Pa.**

Wydział Wykonawczy chciałby zwołać IV Kongres Polaków katolików do Erie, Pa. w październiku br. „Dziennik Chicagoski" (a za nim i „Nowiny") występują przeciw zwoływaniu kongresów, ale bardzo niefortunnie. Albowiem dowody, jakie przytaczają **przeciw** zwołaniu IV kongresu, przemawiają raczej **za** zwołaniem tegoż.

293. **Wnętrze kościoła w Ripon ukończone.**

Acz na zewnątrz jeszcze brak wieży kościołowi polskiemu w Ripon, wewnątrz budowa już jest ukończona... Największą ozdobą nowego kościoła w Ripon będzie to, że odbudowany zostanie bez centa nowego długu. Pozostanie nam tylko stary dług, zaciągnięty jeszcze przed pożarem, w sumie 2,050 dolarów. Komu to mamy do zawdzięczenia? Po Bogu wam, drodzy rodacy, bliscy i dalecy! którym też ponowne tu składam podziękowanie. Oby Pan Bóg i dobrzy ludzie dopomogli nam także do założenia szkoły polskiej, która tu w Ripon jest niezbędnie potrzebną, a do której wybudowania zabierzemy się zaraz z wiosną tego roku.

294. **Co znaczą te ciągłe skargi na zakonników.**

Faktem jest, że jak z jednej strony dają się słyszeć słowa pochwały dla zakonników, wiodących życie misjonarskie i opatrujących misyjne parafje (np. polskich Franciszkanów); tak z drugiej strony prasa nasza podnosi ciągle skargi na zakonników, żyjących po wielkich miastach na wielkich probostwach. Czyby ci ostatni

rzeczywiście nie byli na swojem miejscu — the right men on the right place? Czyby też tylko prosta zazdrość grała w tem rolę?

I tak „Polak w Ameryce" w Buffalo już od dłuższego czasu liczne podnosi skargi na Franciszkanów z niemieckiej prowincji, zarządzających wielką parafją polską w Cleveland, że używają po największej części niemieckiego języka i tylko w rozmowie z polskimi parafjanami z konieczności mówią językiem polskim, którym nie wszyscy władają poprawnie...

A w „Dzienniku Polskim" w Detroit pisze pewien ksiądz, że „biskup sprowadził zakonników do Detroit w tej jedynie myśli, aby ci prędzej zanglizowali Polaków. Każdy zakonnik to kosmopolita czyli taki międzynarodowiec jak socjalista.

Jeśli tak się rzecz ma, jak te skargi głoszą, to powiedzieć trzeba, że ci zakonnicy na polskich parafjach nie są na swojem miejscu. Nic to, że władza ich tam postawiła. Gdyż w takim razie władza ich tam postawiła wbrew prawu kościelnemu i sprawiedliwości. Władza, nie opierająca się na sprawiedliwości, sama sobie jest największym wrogiem. Albowiem sama podkopuje swoją powagę w oczach tak księży jak i cywilnych.

Nic tu nie pomogą takie napozór święte, a w istocie przeklęte wykręty, że „wszelka władza pochodzi od Boga". Temu nikt rozumny nie przeczy. Owszem, jeżeli „wszelka władza", to i ta władza, jaką obecnie dzierży rząd francuski, wypędzający zakonników, pochodzi od Boga. A któż z katolików pochwali **nadużycie** tej władzy?... Wszak i drapieżne tygrysy i wilki, jadowite żmije i jaszczurki pochodzą od Boga — a tępimy je. Dlaczego? Bo są **szkodliwe!** Tym podobni stają się ci władcy, którzy zamiast używać władzy dla dobra społeczeństwa, **nadużywają** tej władzy od Boga im danej **na szkodę** podwładnych. Czy tacy władcy zasługują na szacunek podwładnych?

Wszelka władza od Boga pochodzi. To jest świętą prawdą. Ale grubo myliłby się ten, ktoby z powyższego wnioskował, że Bóg i władza to jedno i to samo. Takie ubóstwianie władzy byłoby bałwochwalstwem, a nie prawdziwą katolicką wiarą... Nie róbmy z władz cywilnych czy kościelnych, bożków czyli bałwanów, padając plackiem przed nimi, bo to grzech przeciw pierwszemu przykazaniu Bożemu.

. . . .

Dnia 12 lutego 1907 arcybiskup Messmer nadesłał mi „Imprimatur“ dla X tomu „Historji Polskiej w Ameryce“ w następującym liście (porównaj nr. 262):

„Rev. W. Kruszka, Ripon.

„Dear Sir! Enclosed please find faculty to erect Stations of the Cross“ (obrazy te, podarowane przez seminarjum, wisiały przedtem w kaplicy seminaryjnej w St. Francis, Wis.). I also grant permission for you to blass the new church with the simple „Benedictio loci“ and to bless the altars... I had written to Rev. P. Wiśniewski to inform me if he has really read vol. X of your „History“. I have no auswer yet, but on re-reading his certificate I find that he states „attente legi“. Hence the Imprimatur is hereby granted.

„In view of the generosity of your people I shall donate the Cathedraticum for this year. But I cannot vemet the Seminaristicum, as our Archdiocese is much in arrears to the Seminary. I shall bring the matter of your building a school before the Consultors of the Diocese who will meet after tomorrow and shall let you know decision immediately. I have no doubt of their consent. I am glad that you will get the Sisters from Stevens Point.

„Sincerely yours

† *S. G. Messmer*, Abp.

„Kindly return faculty for Stations † after you have erected them and signed the paper“.

179. Chybiony strzał z kolubryny O. Smolikowskiego. — Zagwożdżenie tej kolubryny.

Z dnia 14 lutego 1907.

295. **Kmicic, idź zagwoździć i tę kolubrynę.**

Armja Ojców chicagoskich, pomimo dwuletnich daremnych ataków, nie odstępuje przecie od oblężenia Ripon. Rozłożywszy sie obozem, sypie dalej szańce, wały, okopy ziemne i podziemne w około fortecy ripońskiej. Wytacza coraz to nowe działa, armaty mniejszego i większego kalibru, grzmi i wali z nich, że aż ziemia drży w okolicy. Forteca atoli stoi niewzruszona. A Ojcowie uwzięli się. Carthaginem esse delendam:

— Ripon musimy zburzyć, zniszczyć, wywrócić i z ziemią zrównać.

I w bezsilnej złości wołają już, wskazując na Ripon, jak niegdyś generał szwedzki Mueller wołał:

— Co? Czy ten kurnik nie do zdobycia?

I chcą, by Ripon poddało się, przyjęło ich propozycję, weszło w układy z nimi, bo bronić się dłużej nie może. Ale Ripon im odpowiada:

— Nie! Dobrowolnie się nie poddam, w układy upokarzające z wami się nie wdam, twierdzy narodowości polskiej w Ameryce wrogom nie oddam. A choćby przyszło mi śmiercią polec na tem miejscu, broni nie złożę, walczyć w obronie prawdy i słusznej sprawy nie przestanę, dopóki żyję.

Ale oto, Ripnu na postrach, armja Ojców chicagoskich zeszłej soboty wytoczyła nową ogromną kolubrynę, sprowadzoną aż z Rzymu: więc armatę najcięższego kalibru. Skierowano ją wprost paszczą ku fortecy ripońskiej i dano ognia. Huknęło działo ogromne z taką siłą, że aż Milwaukee, Chicago i inne miasta, choć odległe od fortecy, zatrzęsły się w swoich posadach. Kłęby gęstego dymu unoszą się jeszcze w powietrzu i Ojcowie przy kolubrynie stojący daremnie wytężają wzrok, żeby dojrzeć, jaką też szkodę ten wystrzał wyrządził fortecy ripońskiej. My tu z Ripon atoli zapewnić ich możemy, że strzał ten był chybiony. A zanim wymierzą lepiej, wyjdzie Kmicic, zagwoździ im kolubrynę, która następnie rozpryśnie się sama, wyrządzając szkodę tylko w obozie Ojców. I ostatecznie Ojcowie swoją strzelaniną nic nie wskórawszy, będą musieli ze wstydem i sromotą odstąpić od oblężenia Rypna.

296. **Chybiony strzał z kolubryny O. Smolikowskiego.**

„Dziennik Chicagoski" zeszłej soboty umieścił artykuł byłego generała O. Pawła Smolikowskiego C. R., rektora Kolegjum Polskiego w Rzymie. Artykuł ten, zatytułowany „Ks. Kruszka i jego dokumenty", zasługuje na nazwę kolubryny już z tego względu, że wypełnia szczelnie pięć długich szpalt drobnego druku. Należałoby dać odprawę temu artykułowi w tym samym „Dzienniku Chicagoskim", w którym się pokazał: żeby czytelnicy, parafjanie św. Stanisława Kostki w Chicago, mieli sposobność posłuchać obu stron. Ale do tego ów arcykatolicki „Dziennik" nie dopuszcza, jak to wiemy z doświadczenia, bojąc się widocznie, żeby parafjanie Ojców a czytelnicy jego prawdy się nie dowiedzieli o nich.

Ojciec też Smolikowski, wiedząc snać o tem już z doświadczenia, że „Dzien. Chic." mojej odpowiedzi na jego napaści nie

umieści, pisze o mnie i mojej Historji, co mu się tylko pod pióro nawinie. Mija się z prawdą, jak najęty. I inaczej też być nie może. Musi być najęty przez kogoś, który kiedyś był pod nim a teraz nad nim z batem stoi, gdyż O. Smolikowski jako generał, kiedym był w Rzymie, całkiem inaczej myślał i mówił o Ojcach chicagoskich i całej ich przeszłości. Przyczem najzabawniejsze jest to, że O. Smolikowski ciągle jeszcze twierdzi, że to nie on, lecz ja się zmieniłem w poglądach i zapatrywaniach na przeszłość dziejową Ojców chicagoskich.

A na dowód tego twierdzenia co przytacza? Oto to, że w Rzymie bawiąc, **jemu i Ojcom rzymskim** okazywałem przychylność. Czy to nie chybiony strzał? Toż i w moim IX tomie, jak się to każdy czytelnik snadnie przekonać może, oddaję zasłużone pochwały O. generałowi Smolikowskiemu i jego Radzie Generalnej w Rzymie.

Więc Ojcze Smolikowski, jeśli dziś stosunki między Ojcem a mną się zmieniły, to nie dlatego, że zmiana zaszła we mnie, lecz zmiana najwidoczniej zaszła w Ojca poglądach na przeszłość dziejową Ojców chicagoskich. Co zresztą w swoim tym ostatnim artykule Ojciec sam przyznaje. Nie przeczę, że może Ojciec miał rację zmienić swoje poglądy. Ja swoich poglądów nie zmieniłem, bo nie miałem do tego racji dostatecznej. Wprawdzie i mnie grożono okropnie bezimiennymi listami z Chicago, jeszcze dawno przed ogłoszeniem IX tomu. Ale czy takie pogróżki miały mnie odstraszyć od ogłoszenia prawdy lub wpłynąć na zmianę moich poglądów? Przyznaj, Ojcze, że odgrywanie roli chorągiewki na dachu nie przynosi zaszczytu nikomu.

O. Smolikowski żąda odemnie niemożliwej rzeczy, kiedy pisze: „Ks. K. rozpisuje się z zadowoleniem o naszych wewnętrznych rozterkach, nieporozumieniach; a nic nie wspomina jak się one zakończyły". Ależ bo O. Smolikowski nie dał mi dokumentów z ostatnich lat, **powiadając, że te są za świeże.** Krawiec kraje jak mu materja starczy. I ja nie mając pod ręką żadnego materjału historycznego co do zakończenia owych rozterek, nie mogłem też pisać jak się one zakończyły. Proszę mi dostarczyć dokumentów z ostatnich lat, a uczynię to jeszcze teraz i **z prawdziwem zadowoleniem.** Boć to przecie będzie najciekawsza karta w Historji, jak się owe rozterki zakończyły, jak ten, który był pod wozem, jest teraz na wozie generałem, i odwrotnie. Psycho-

logiczny ten proces musi być bardzo ciekawy. I nietylko ja. ale każdy gubi się w domysłach, jak się to stać mogło.

297. **Zagwożdżenie kolubryny O. Smolikowskiego.**

Przystępuję teraz do zagwożdżenia kolubryny. O gwoździe do zabijania tej kolubryny nie trudno. Zarzuca mi O. Smolikowski, że w Historji mojej „cytuję jakiś list oderwanie, nie przedstawiając toku sprawy. Jeden np. z Ojców, który potem wyszedł ze Zgromadzenia (O. Wołłowski), pisywał listy. w których o niesłychane rzeczy oskarża ks. Bakanowskiego". I ja miałem — zarzuca mi O. Smolikowski — opierać się na listach owego Ojca (Wołłowskiego), które okazały się fałszywymi".

Otóż to wierutne kłamstwo. Czytaj, kto chcesz. tom IX, str. 36—43 i przekonaj się naocznie, że przytoczyłem i listy OO. Żwiardowskiego i Semeneńki, które właśnie bronią O. Bakanowskiego. Ale przytoczywszy te listy na obronę O. Bakanowskiego, byłbym skrzywdził O. Wołłowskiego, gdybym i na jego obronę nie przytoczył był listu O. Funckena prowincjała, który przecie jako bezpośredni przełożony mógł najlepiej całą tę sprawę znać, lepiej niż O. Semeneńko w Rzymie. A ten O. Funcken świadczy wyraźnie, że „O. B. nie jest niewinny" (str. 43).

Cóż więc sądzić o prawdomówności O. Smolikowskiego? Semel mendax, semper mendax. Wykażę mu jeszcze więcej kłamstw, jeśli świadomie te fałsze pisał, albo błędów, jeśli je nieświadomie pisał. I tak pisze O. Smolikowski, że „za utrzymaniem ks. Barzyńskiego w Chicago był i ks. Semeneńko, generał, a więc jego główny przełożony". Otóż to znowu kłamstwo albo fałsz wierutny, gdyż liczne dokumenta, a zwłaszcza list samegoż O. Semeneńki z 15 września 1878, najwyraźniej czegoś przeciwnego dowodzą (str. 75). Jeśliby był za utrzymaniem ks. Barzyńskiego w Chicago, to wtedy główna wina za owe nieporządki finansowe i duchowe spadłaby na O. Semeneńkę, że tak olbrzymią misję opatrzył tylko w „półtora Zmartwychwstańca"; a O. Barzyński stanąłby wtedy w daleko korzystniejszem oświetleniu.

Dalej, jakiem czołem śmie O. Smolikowski twierdzić, że nie dał mi pozwolenia do przepisywania listów? Przecież najpierw jakiś czas **w jego własnych oczach** na owym długim stole w Archiwum, do którego wchodzić trzeba przez O. generała pokój, **kopjowałem** te listy. A potem dla lepszej wygody pozwolił mi je, rocznik za rocznikiem, brać ze sobą do Kolegjum Polskiego.

gdzie mieszkałem. I to najwyraźniej w tym celu, żebym je do mojej Historji zużytkował. Że nie wszystko i nie wszystkie? To też ja nie wszystko i nie wszystkie skopjowałem, tylko to co uważałem za potrzebne i pożyteczne dla Historji. A jeśli nie wszystko mi skopjować pozwolono, jaką logiką teraz mi się zarzuca, że wiele rzeczy poopuszczałem? Logiki w tem żadnej niema. Może być tylko psychologiczna racja, dlaczego się teraz Ojcowie gniewają. A to ta, że dając mi te listy, te tak zwane „zwierciadła duszy", Ojcowie nie przypuszczali, żeby ich oblicze dziejowe tak brzydko wyglądało. Dopiero, gdy im to własne ich zwierciadło przed oczy stawiłem, by się w niem przejrzeli, spostrzegli, że nie tak pięknie wyglądają, jak przypuszczali. I teraz jeszcze ten nierozum popełniają, że zamiast siebie uderzyć w piersi, chcą uderzyć i potłuc to zwierciadło, jakby ono temu było winne!

Że osobno prosiłem o pozwolenie do zrobienia fotograficznej odbitki z jednego listu, to nie dowód, że nie miałem pozwolenia do piśmiennego kopjowania wyjątków z listów. Owszem dowodzi to, że bez pozwolenia byłbym i listów nie odpisywał.

Ale O. Smolikowski wyłowił przecież jedno słówko, które miałem niby niewiernie zacytować. Napisałem „patron", a w liście ma być „szatan". Trudno mi to sprawdzić, bo listu owego w oryginale pod ręką nie mam. Wierzyć na słowo O. Smolikowskiemu także nie potrzebuję, skoro na kłamstwie już go nie raz chwyciłem. Ale dajmy na to, że tam jest „szatan" w tym liście. Czyż na tej zamianie zyska O. Bakanowski? Czyż rozdwojenie ludu, powstałe z nakładania zbyt wielkich podatków, mogło stawić O. Bakanowskiego „w opozycji do szatana"? a nie „w opozycji do patrona" czyli ludu? Tak O. Smolikowski twierdzi. Ja zaś sądzę, że z takiego rozdwojenia ludu szatan się tylko cieszył, i że O. Bak., powodując to rozdwojenie, nie mógł się przez to postawić w opozycji do szatana (porównaj tom VI str. 45).

O niezadowoleniu z O. Bakanowskiego, o tegoż juryzdykcji nad księżmi świeckimi, konstatowałem tylko fakta, z listów Ojców wyjęte. Zarzuty O. Smolikowskiego są i tu bezpodstawne.

Albo co znaczy ten zarzut, jakobym „z zadowoleniem rozpisywał się o wewnętrznych rozterkach Ojców"? Oskarżenia O. Bakanowskiego, i tym podobne, nie z przyjemności, lecz z obowiązku historyka przytoczyć musiałem, o ile że miały związek z zarządem parafji. Inaczej np. niktby nie wiedział, dlaczego wbrew woli „bezpośredniego przełożonego" O. Funckena usunięto z probostwa

O. Wołłowskiego. Prywatnych ani czysto zakonnych spraw Ojców nie wywlekałem na jaw, jeśli nie stały w żadnym związku z parafjalnymi i publicznymi sprawami. Ale u Ojców np. kasa domowa i kasa parafjalna były złączone i zlane w jedną kasę, więc wspominać trzeba było albo o obydwóch jako o jednej, albo o żadnej. Jednakże w tym ostatnim wypadku historja parafji byłaby niedokładną. Podobnie władza zakonna u Ojców często się zlewała w jedno z władzą i juryzdykcją biskupią. I tak we wielu innych sprawach wprost niepodobieństwem było pociągnąć ścisłą granicę między prywatnymi a publicznymi, między zakonnymi a parafjalnymi sprawami. Łatwo się dziś czyta to i krytykuje, ale nie tak łatwo było to opracować. Mojem nietylko zadaniem ale i zamiarem było, przedstawić działalność Ojców na polu publicznem: kościelnem, narodowem i społecznem. A jeśli zbytnim rozmachem pióra przedarłem gdzie zasłonę życia prywatnego lub czysto klasztornego, to mi wykażcie dowodnie czarno na białem, w czem, gdzie i jak przekroczyłem granice historyka. Gołosłowne bowiem zarzuty na nic się zdadzą.

Myli się też O. Smolikowski, gdy powiada, że zabrałem się do pisania historji Zgromadzenia Zmartwychwstańców. To ani zadaniem ani zamiarem moim nie było. Z tego też punktu widzenia, O. Smolikowskiemu moja Historja musi się wydawać niedokładną. O. Smolikowski może pisać na cześć swoich braci zakonnych piękny panegiryk, wykazując, że — jak się wyraża — wszelkie ich „słabości, nędze i błędy uwydatniają tylko jeszcze bardziej ich zasługi". W takim razie im więcej tych błędów ich w Historji przytoczyłem, tem bardziej uwydatniłem ich zasługi. Ale panegiryk nigdy nie zastąpi historji i zastąpić nie może. Że Ojcowie chicagoscy — jak pisze O. Smolikowski — „szlachetni byli **zawsze** (sic!), pełni poświęcenia dla innych, o sobie zapominający, swojego interesu, nawet interesu Zgromadzenia nie szukający" — z takiego założenia może O. Smolikowski wychodzić jako panegirzysta, opiewający triumfy swego zakonu, lecz nie jako historyk, któremu jedynie o triumf prawdy rozchodzić się powinno.

Atoli szukając li tylko siebie, względnie wywyższenia swojego Zgromadzenia, niech O. Smolikowski zapamięta sobie te słowa, które sam wypisał:

„Każdy człowiek przechodzi od czasu do czasu pewne ciężkie próby. Często bywa oskarżanym, posądzonym, niezrozumianym. Nieraz wszczynają się wśród najbliższych nieporozumienia. Od ta-

kich chwil przełomowych zależy nieraz cała przyszłość człowieka. W nich pokazuje się człowiek, czem jest, co wart. Jeśli on siebie we wszystkiem szuka, nie wytrzyma, złamie się; jeśli siebie nie szukał, ale tylko Boga, ale ideału, dla którego żyje, wychodzi cało i wychodzi pięknie".

Czyby te słowa O. Smolikowski tylko do siebie i swego Zgromadzenia stosował, a nie zechciał także do mnie zastosować? Tem bardziej, że ogłaszając tę Historję o Ojcach, nie szukałem i nie mogłem siebie i swego wywyższenia szukać, gdyż ostrzegany listami i pogróżkami, naprzód wiedziałem, jakie szykany, jakie prześladowania mnie czekają, że nawet najbliżsi mnie nie zechcą zrozumieć, posądzą, oskarżą... Lecz ponieważ sumienie mię zapewnia, że w tem nie własnego triumfu, ale triumfu prawdy szukałem: więc wytrzymam, nie złamię się, wyjdę cało i zwycięsko z tego oblężenia całej armii napastników.

Największa kolubryna zagwożdżona.

180. Mój stosunek do „Nowin". — Pogański pogląd na prawo jako na tkankę pajęczą. — Prawo obowiązuje władców bardziej niż podwładnych.

Dnia 20 lutego 1907 arcybiskup Messmer rozesłał nam księżom następujący list polecający „Nowiny":

„Rev. dear Sir! — In order to get for the „Nowiny", the new Catholic Polish Weekly, the circulation which it ought to have in order to accomplish the good work it is meant to do for Catholic Faith and sentiment, it is absolutely necessary that the Polish Clergy give their cordial cooperation. Hence I request you to kindly mention the matter publicly from the pulpit next Sunday and so encourage your people to subscribe in great numbers. If every Polish family in our Archdiocese would give just one subscription, the „Nowiny" could soon start out as a Catholic daily paper.

Sincerely yours

S. G. Messmer, Archb.

List powyższy złożyłem do mego archiwum. „Nowin" nikomu ani nie doradzałem, ani nie odmawiałem. „Nowiny" weszły na błędną drogę 1) polemiki osobistej z „Michałkiem", jak mego brata dziecinnie nazywały; i 2) uzyskania biskupów polskich przez łaszczenie się biskupom niemieckim i ajryskim.

W tydzień później, 27 lutego 1907, na pierwszej stronicy „Nowin“ ukazał się duży portret i długi list „arcybiskupa Messmera do redaktora „Nowin“. Arcybiskup Messmer poleca, aprobuje i błogosławi „Nowiny“ nietylko w swojem imieniu, ale i w imieniu wszystkich niemieckich biskupów milwauckiej prowincji. „My dear Father Goral“ — pisze w tym liście arcybiskup Messmer — I take the great pleasure in informing you that the Bishops of the Milwaukee Province, assembled in annual meeting last mouth, heard with joy that a Polish newspaper, called the „Nowiny“, has been started lately in Milwauke... I need not tell you, my dear Father Goral, how I rejoiced at this action of Rt. Rev. Bishops...“

Niemieccy biskupi „heard **with joy** that a Polish newspaper has been sterted“. Taką to wesołą nowinę „Nowiny“ ogłosiły światu ku zbudowaniu Polaków.

Moje artykuły w dalszym ciągu były takie:

Z dnia 21 lutego 1907.

298. **Biskupi są pod prawem a nie nad prawem.**

Księże Ciemiński z Wilna, Minn., mylisz się grubo, sądząc, że biskupów nie krępują żadne prawa, że oni są samodzielnymi władcami, że czego oni chcą, to jest prawem. Takich absolutnych władców w Kościele katolickim niemasz, a przynajmniej nie powinno być. A jeżeli gdzie tacy władcy są, to jedynie dzięki temu, że mają w swoich podwładnych niewolnicze kreatury, które liżą łapy swoich władców, plackiem padają przed nimi i adorują ich jako bożków czyli bałwanów. Ale żaden prawdziwy katolicki takim bałwanem być nie chce i takiej bałwochwalczej czci od swoich podwładnych nie żąda. Byłaby to obelga dla katolickiego biskupa, przypuszczać, że on chce być czemś podobnem i czegoś podobnego żąda. Katolicki biskup wie i pamięta o tem, a przynajmniej powinien pamiętać, że jego obowiązują prawa Boskie, objawione i przyrodzone, oraz prawa Kościoła Powszechnego; i że podług tych praw rządzić musi. Bo jeśliby bez tych praw albo wbrew tym prawom rządy sprawował, byłyby to bezrządy i nierządy, niczem się nie różniące od anarchji. Jego każdorazowa wola i jego widzimisię osobiste może być o tyle tylko prawem, obowiązującem podwładnych, o ile zgadza się z prawem Boskiem, objawionem i przyrodzonem, oraz z prawem Kościoła Powszechnego. Jeżeli rządzi, postępuje i rozkazuje przeciw tym prawom, to popełnia bezprawie.

A podwładni nietylko nie są obowiązani go słuchać w tym wypadku, ale w sumieniu obowiązani są go nie słuchać.

Ta ogólna zasada katolicka, że „Boga trzeba bardziej słuchać niż ludzi", określa nasz stosunek do wszelkiej władzy, czy ona jest rodzicielską, czy cesarską, czy biskupią, czy papieską. Jak ta pierwsza i najstarsza władza na ziemi, władza rodzicielska, nie może rozkazywać dzieciom kraść, kłamać, kląć, wyzywać i wogóle tego, co jest grzechem; a jeśli rozkazuje, to dzieci obowiązane są jej nie słuchać: — tak i wszelka inna, od Boga pochodząca władza, nie może obowiązywać swoich podwładnych do popełnienia jakiejkolwiek niesprawiedliwości, do wyrządzania krzywdy bliźniemu, do przekupstwa, sprzedajności, do sprzeniewierzenia się sprawie narodowej itp. Choćby np. już nietylko biskup, ale sam papież swojem postępowaniem dążył do wynarodowienia nas Polaków, natenczas nietylko nie jesteśmy obowiązani z taką dążnością współdziałać — jak to czynią sprzedawczyki i zdrajcy narodowości — lecz owszem jesteśmy w sumieniu obowiązani wystąpić słowem i czynem przeciw takiej dążności i zawołać:

— Ojcze święty, źle sobie postępujesz z Polakami w Ameryce!

Powtarzam, do takiego wystąpienia mamy nietylko prawo, **ale i obowiązek!** A jeśli tego obowiązku nie spełniamy, to nie jesteśmy dobrymi dziećmi Kościoła i Ojczyzny. Tak jak nie dobre byłoby dziecko, które zamiast ojcu rozkazującemu kraść, oszukiwać, kłamać itd. odpowiedzieć:

— Ojcze, tego się nie godzi czynić! —

poszłoby ślepo za namową i rozkazem niegodziwego ojca.

299. Pogański pogląd na prawa Boskie i ludzkie.

Katolicką nauką było zawsze i jest, że prawa Boskie, objawione i przyrodzone, obowiązują mocno, ściśle i w sumieniu nietylko podwładnych, ale i władców. Owszem, władców obowiązują jeszcze bardziej niż podwładnych. Bo zgóry idzie przykład. Więc jeśli władcy gwałcą prawo np. przyrodzonej sprawiedliwości, które każe „oddać każdemu co mu się należy", — to i podwładni pójdą za tym złym przykładem zgóry, i powódź wszelkiego bezprawia zaleje cały ten świat. Od głowy ryba cuchnąć poczyna. Od tych, co stoją u góry, u władzy, zaczyna się zepsucie społeczeństwa. To też chrystjanizm po wszystkie wieki nas uczył i uczy, że prawa Boskie i ludzkie obowiązują nas wszystkich zarówno małych jak

i wielkich tego świata, ubogich jak i bogaczy, sług jak i panów. Kto inaczej się zapatruje na moc obowiązującą prawa, ten po pogańsku się zapatruje, a nie po chrześcijańsku i po katolicku.

Poganie to uważali swoich władców cezarów za bożków czy półbożków, których wola starczyła im za prawo. Poganie to twierdzili, że prawo obowiązuje tylko słabych i małych tego świata, a nie wielkich, nie mocarzy, nie władców. Jak jeden z filozofów i prawodawców pogańskich, uczony poganin Anacharsis, Scytyjczyk, się wyraził:

„Prawa są podobne tkankom pajęczym, w których małe muchy uwięzną a od których wielkie muchy się uwolnią. Wielcy panowie i władcy, duchowni czy cywilni, to są takie wielkie muchy, co — jak Mickiewicz opisuje — „pierś mają szerszą, brzuch większy od innych, są tak silne, że tkankę przebiją pajęczą, lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać, bo z pająkiem sam na sam może się borykać". Podobnie i między ludźmi, mówi ten poganin Anacharsis, są władcy i mocarze, których prawa nie wiążą; a jeśli wpadną w ręce prawa i sprawiedliwości, to potrafią się po krótkiem szamotaniu się uwolnić z więzów praw, jak wielkie muchy z tkanki pajęczej.

Że taki pogański pogląd na obowiązującą moc prawa, jako na tkankę pajęczą, ma poniekąd rzeczywistą podstawę także w dzisiejszych rządach i sądach **świeckich** — temu się nie dziwimy. Bo te świeckie rządy i sądy otwarcie zerwały z religią i nie mają pretensji do nazwy chrześcijańskich rządów i sądów. Ale dziwićby się trzeba, gdyby i w Kościele katolickim, który przecie jest i nazywa się uosobieniem chrystjanizmu, tak po pogańsku jeszcze zapatrywano się na obowiązującą moc prawa, jako na tkankę pajęczą, w której tylko małe muchy uwięzną, a od których wielkie muchy potrafią się uwolnić.

Czy istotnie prawa w Kościele katolickim są ukute litylko dla biednego ludu, dla biednych asystentów i biednych proboszczów; a wielcy i bogaci proboszczowie, oraz biskupi, mieliby być od wszelkich praw Boskich i ludzkich wolni, mogli robić, co im się żywnie podoba, oczerniać, poniewierać, postponować drugich, krzywdzić ich i nie oddawać im co im się należy?

Żleby wtedy było z Kościołem Bożym!

Ale Bóg czuwa nad Swoim Kościołem. I prędzej czy później przypomni dumnym władcom w dotkliwy sposób, że Jego Boże prawo jest jeszcze ponad nimi i że tem Jego prawem bezkarnie

pomiatać nie mogą. Przypomniał im to już nieraz w tych właśnie naszych czasach i przypomni im to niebawem jeszcze w dotkliwszy sposób. Bo i dzisiaj „ręka Pańska nie jest ukrócona" — brachium Domini non est abbreviatum, powiada Pismo św.

(Pisałem i ogłosiłem wówczas wiele innych artykułów takiej płaskiej treści jak „Jakie stanowisko mamy zająć względem masonów" albo „Biskup Mc Faul żąda, by rząd opłacał nasze szkoły parafjalne" itd. Ale te opuszczam tu, dla skrócenia tych Pamiętników.)

181. Skąd potworne pojęcia o formie rządowej Kościoła? — „Nowiny" jako niemiecko-polski organ. — Święte sobkostwo.

Z dnia 23 lutego 1907.

300. **Kto temu winien, że Amerykanie potworne mają pojęcia o formie rządu Kościoła?**

Urzędowy „Catholic Directory" podaje liczbę katolików w St. Zj. na 13,089,353. A liczba wszystkich mieszkańców wynosi tu około 80,000,000. Z tej ogromnej większości niekatolików, z tych 67 miljonów, tylko 19 miljonów przyznaje się do jakiejś religji. A 48 miljonów nie przyznaje się do żadnej religji, podług statystyki Dr. Carrolla. Tych bezwyznaniowców łatwiej stosunkowo przyciągnąć do Kościoła, aniżeli zagorzałych sekciarzy. Co za przyczyna, że ci nowocześni poganie, ci bezwyznaniowcy, zdala trzymają się od Kościoła, który przecie wystarczy tylko poznać, aby za łaską Bożą pokochać go i przyłączyć się do niego. Ks. dr. Phelan, redaktor „Western Watchman", podaje za przyczynę to, że Amerykanie (bezwyznaniowcy) nie znają jeszcze ustroju naszego Kościoła, że potworne sobie tworzą pojęcia o formie rządu w Kościele katolickim. I to prawda.

Lecz pytamy: Kto temu winien? Czyż nie sami przedstawiciele Kościoła?

„Western Watchman" powiada: „Przeciętny Amerykanin widzi w konstytucji Kościoła katolickiego tylko **absolutną monarchję**; i dlatego potępia ten Kościół, bo w oczach jego zajmuje Kościół stanowisko wprost przeciwne ludowej formie rządu... Dziwna też rzecz, że przeciętny Amerykanin nic nie wie o prawie kanonicznem".

Wcale to nie dziwne. Bo o prawie kanonicznem nietylko bezwyznaniowy ale i katolicki Amerykanin nic nie wie, bo go tu nie-

ma. I nic też dziwnego, że Amerykanin widzi w Kościele katolickim absolutną monarchię, gdzie wola monarsza jest jedynem prawem. Przecież sam z ust biskupa, a dziś arcybiskupa, na własne uszy słyszałem publicznie głoszoną w kościele taką naukę (po niemiecku do Polaków w Berlin, Wis.):

„Pamiętaj, kochany ludu, że forma rządu Kościoła katolickiego nie jest demokratyczną jak forma rządu Stanów Zj., ani konstytucyjną monarchją jak w Niemczech lub Austrji, **lecz jest absolutną monarchją na wzór formy rządowej w Rosji!**"

Gdym to „piękne" porównanie rządu Kościoła z rządem cara z ust biskupa usłyszał, myślałem, że wówczas ze skóry wyskoczę. A że powiedział to porównanie, na to są liczni świadkowie. I dziwić się jeszcze, że Amerykanie wstręt czują do **takiego** Kościoła? Kiedy nawet uczciwi katolicy wstręt czućby musieli, gdyby skądinąd lepiej nie wiedzieli, że **Kościół nie jest taką karykaturą** absolutnie monarchiczną, za jaką nam go niektórzy biskupi chcą przedstawić.

301. **Wierzyć się temu nie chce.**

Wierzyć się temu nie chce, co pisze tenże „Western Watchman" z 14 lutego b. r.:

„Odbędzie się zebranie kardynałów, dyplomatów i członków niemieckiej kolonji w austrjackim kościele w Rzymie przy urzędowem Te Deum na cześć dnia urodzin Cesarza Wilhelma II, jakie tam ma być odśpiewane z **rozkazu papieża.** Mówią, że to się dzieje pierwszy raz, że Watykan pozwolił na to odśpiewanie Te Deum na cześć protestanckiego monarchy".

I to jeszcze — możemy dodać — tak zawziętego wroga katolików i Polaków!

Powtarzam to za organem arcybiskupa w St. Louis, Mo., ale — wierzyć się temu nie chce. Pisała już o tem „Gazeta Buffaloska". Ktoś mi ją nadesłał. Ale nie chciałem za nią tego powtarzać. Teraz powtarzam, bo o tem przecie poważny organ arcybiskupi pisze.

. . . .

Od czasu jak arcybiskup Messmer zażądał od księży subwencji (500 dolarów od proboszczów, 250 od asystenta), a od ludu polskiego subskrypcji na „Nowiny", zaczęto „Nowiny" uważać za niemiecko-polski organ biskupów. Celem bliższym wielu biskupów niemiecko-ajryskich było zjednać z sobą Polaków a dalszym zabić

patrjotyzm polski i wynarodowić Polaków. Abp. Messmer wyraził nadzieję, że za 50 lat nikt w Ameryce po polsku mówić nie będzie. Na to „Kurjer Polski“ 25 lutego 1907 tak odpowiedział:

„Pięćdziesiąt lat to pół wieku. Ale „Kurjer Polski“ życzy arcybiskupowi Messmerowi, ażeby jeszcze tak długo żył, ażeby się wtedy przekonał, że jego życzenia aby Polacy wynarodowili się, nie spełniły się; ażeby przekonał się, że za 50 lat Polaków w Ameryce będzie nie dwa, ale pięć miljonów; kościołów polskich nie 400 ale więcej niż tysiąc; ażeby usłyszał jak za 50 lat w tysiącu kościołów polskich lud śpiewać będzie „Boże zbaw Polskę“, a w tysiącu hal polskich na obchodach narodowych z miljona piersi polskich brzmieć będzie „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Środków, jakich się czepia abp. Messmer, próbowali najpierw urzędnicy austrjaccy w Galicji, próbowali czynownicy moskiewscy w Królestwie, próbowali prezesi prowincjonalni pod Prusakiem, próbował notoryczny arbp. Kopp na Śląsku“.

Z dnia 28 lutego 1907.

302. **Liczba immigrantów jest olbrzymia.**

W r. 1905 przybyło przeszło miljon immigrantów, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Atoli ostatni r. 1906 w samym Nowym Yorku wylądowało aż 1,198,434 nowych przybyszów.

303. **Samolubstwo jest korzeniem złego.**

Czasopismo „Extension“, organ Stowarzyszenia „Catholic Church Extension Society“, podaje samolubstwo za przyczynę, dla której Kościół katolicki w St. Zj. nie rozszerza się. Zarzuca on samolubstwo czyli „święte sobkostwo“ tak zakonnikom i zakonnicom jak i proboszczom i biskupom. Pisze:

„Przez święte sobkostwo rozumiemy prowadzenie instytucji czy parafji w taki sposób, jak gdyby **ona sama** tylko na świecie istniała. Przez samolubstwo rozumiemy to, że parafja lub zakon jakiś zasklepia się całkowicie w sobie samym. Sobkostwem grzeszą te zakony, które oczy swe ciągle zwracają na swój dom macierzysty jako na środowisko i źródło wszelkiej mądrości i natchnienia, środowisko pochłaniające wszelkie ich dążności. A taki zakonny dom macierzysty, zamiast dawać ofiary na cele dobroczynne ogółu, poświęca wszystko na mozaikową posadzkę swego klasztoru lub na marmurowy posąg „ku czci i chwale Bożej“. Jednem słowem przez święte sobkostwo rozumiemy prowadzenie ka-

tolickich instytucyj w niekatolicki sposób; gdyż samolubna instytucja nie może być katolicka". (Vol. I. nr. 4.)

304. **Niemcy byli i są przyczyną dezorganizacji Polaków.**

„Gazeta Polska" z Winnipeg, Kanada, pisze, że tamtejszy arcybiskup Langevin „mówił o świetnej przeszłości Polski, ale też mówił o jej upadku. Ubolewał nad tym upadkiem Polski niegdyś tak wielkiej. Ubolewał nad tem, że brak jedności zaprzęgły nas do jarzma niewoli. Tak, to prawda. Ale kto był powodem tej niezgody? **Niemcy. Po trzykroć Niemcy!** Dwór pruski, dwór austrjacki i zniemczony dwór rosyjski nie szczędziły wysiłków, by wytworzyć dezorganizację wśród Polaków. Pieniędzmi i intrygami starano się szlachtę poróżnić między sobą i królem... To też upadł nasz naród, ale nie umarł... Upadł tak, jakby w letargu, a dziś budzi się wszędzie na całej kuli ziemskiej. Gdzie się tylko garstka Polaków zbierze, tam czuć niechęć dla tych, którzy naszą świetną przeszłość do grobu strącili, tam budzi się duch polski narodowy"...

Tyle ta „Gazeta". I dziś jeszcze Niemcy, wierni swojej tradycji, pracują zawsze tylko nad tem, jakby wytworzyć dezorganizację i wywołać kłótnie wśród Polaków. Czyż nie w tym celu założyli niedawno pismo wrzekomo polskie?

Ale historja, ta mistrzyni życia, nauczyła nas Polaków chyba dostatecznie, że dopóki świat światem nie był Niemiec nigdy Polakowi bratem.

182. Dwa miljony katolików bez kościoła. — „Nowiny" i nowy katolicyzm. — Niemcy katolicy walczący przeciw niepodległości Stanów Zjednoczonych. — Gdzie się podział amerykanizm Irlandczyków?

Z dnia 2 marca 1907.

305. **Dwa miljony katolików bez kościoła lub księdza.**

Ks. T. J. Roche, I. wiceprezydent Stowarzyszenia „Church Extension", twierdzi, że obecnie dwa miljony katolików w obrębie Stanów Zjednoczonych są bez kościoła lub bez księdza.

Polakom nawet po większych osadach brak kościołów, ile że nasze polskie parafje są zawielkie. Ale oprócz tego, kto policzy te wszystkie małe osady polskie, mające po 15 do 50 familij, które nie mają, bo nie mogą mieć, ani kościoła, ani księdza? Jest takich osad tyle co gwiazd na niebie.

306. Arcybiskup Weber składa śluby zakonne w Rzymie 2 lutego 1907. Ma wkrótce przybyć jako stały biskup polski do Ameryki.

307. **„Nowiny" i nowy katolicyzm.**

„Nowiny" uczą nas całkiem nowych zasad katolickich. Po wszystkie wieki w Kościele katolickim przyjętą była ta zasada: „Zabijajcie błędy, ale miłujcie osoby". A „Nowiny zupełnie odwrotnie postępują. Chcą zabić (społecznie) osoby, a lubują się w błędach, bo w wyzwiskach i osobistych napaściach. Od samego początku to czyniły; z tą tylko różnicą, że z początku bezimiennie i niewyraźnie, a teraz imiennie i coraz wyraźniej. Pytam każdego bezstronnego czytelnika, czy tak nie jest? A przytem w każdym numerze „Nowin" czytasz zapewnienie, że te osobiste napaści dzieją się „wyjątkowo i ostatni raz". Czy to nie obłuda?

To tak wygląda nowy katolicyzm?

Pewien kapłan z Pensylwanji pisze do „Kurjera": „Niedawno temu zjawił się w Milwaukee tygodnik p. t. „Nowiny", w którym oprócz „nowin" ku memu zdziwieniu znalazłem także napaści bardzo wstrętne dla czytającego a wcale nie godne pióra redaktora kapłana polskiego. Napaści wprost skierowane na osobę księdza Wacława Kruszki. „Energiczny" a gorliwy ksiądz redaktor w swych uwagach redaktorskich (editorials) wziął sobie za cel publicznie zaatakować naszego głośnego i poświęcenia pełnego autora „Historji Polskiej w Ameryce". „Nowiny", jak widać, założone zostały w celu zwalczania „liberalnych" tendencyj „Kurjera Polskiego", a przedewszystkiem dla zwalczania artykułów, które Wiel. Ks. W. Kruszka umieszcza w „Kurjerze" p. t. „Sprawy Kościelne i Narodowe". Ksiądz Wacław Kruszka, jak i każdy inny śmiertelnik, może mieć swoje wady bądź to w osobistem zapatrywaniu się na sprawy społeczne, bądź też w sądzeniu takowych; lecz każdy, który dobrze zna stosunki amerykańsko-polskie, a przedewszystkiem kościelne, przyznać musi, że księdza Wacława Kruszki tak „Historja Polska w Ameryce" jak i „Sprawy Kościelne i Narodowe" nic innego nie podają jak tylko **prawdę...**"

„Ks. Kruszka, jako człowiek skromny i pracowity, nie przepędza czasu na próżnych pogadankach i niepotrzebnych zabawach, lecz chwile wolne od pracy kapłańskiej poświęca pisywaniu artykułów o sprawach, które dzisiaj Polonję amerykańską interesują. Wprawdzie mała jego parafja w Ripon nie daje mu wiele pracy

duszpasterskiej, lecz wolne chwile dają mu czas i sposobność do zużytkowania jego zdolności literackich, teologicznych i filozoficznych, których płód widzimy w jego „Historji", w „Sprawach Kościelnych" i w innych dziełach jego. A zatem, panowie, ks. Kruszka **pracuje,** i tylko to dziwi mnie, że pod ciężarem napaści osobistych i obelg na niego rzucanych, jeszcze nie padł. Jeżeli ksiądz redaktor „Nowin" i ksiądz arcybiskup Messmer chcieli położyć tamę „złemu", które „Kurjer Polski", względnie ks. Kruszka, przez swoje artykuły sieje, dlaczegoż to nie zrobili inną drogą? Dlaczegoż arcyb. Messmer nie zakaże ks. Kruszce „sub obedientia" takich artykułów pisać? Dlaczegóż dał mu specjalne Imprimatur na dziewiąty tom Historji jego? Wszystko się dziwnie plecie na tym Bożym świecie... Zło w stosunkach naszych polskich już do tak wysokiego doszło stopnia, że przez długie lata trudno będzie nam takowe naprawić... Ogłaszanie z rozkazu arcybiskupa pisma, które napada na księdza polskiego, przyda się psu na budę, a rozdwajanie społeczeństwa naszego za pomocą klerykalnych organów także nic dobrego nie przyniesie. Niech „Nowiny" będą **„nowinami"**, lecz **nie napaściami na ludzi,** którzy trzeźwo a rzetelnie, a przedewszystkiem otwarcie i z prawdą dla społeczeństwa naszego pracują".

Podobnych głosów było bardzo wiele.

Z dnia 7 marca 1907.

308. **Dzieci polskie przodują — daremna z nimi walka o przodownictwo.**

A więc podług urzędowego spisu diecezjalnego do samych parafjalnych szkół polskich, których jest tylko siedm, uczęszcza w Milwaukee więcej dzieci aniżeli do trzynastu szkół parafjalnych niemieckich. Polskich bowiem dzieci w tych 7 szkołach jest 7,801, podczas gdy niemieckich w ich 13 szkołach jest tylko 6,640.

Rozumiemy teraz, dlaczego tak zaciętą walkę Niemcy prowadzą o przodownictwo w Milwaukee.

Buffaloski „Polak w Ameryce" pisze: „Sądziliśmy z początku, że tygodnik „Nowiny" będzie prawdziwie katolickiem i **polskiem** pismem, ale zawiodły nas nadzieje... Jak się z ostatnich numerów przekonujemy, to tygodnik „Nowiny" dąży do zabicia wszelkiej myśli polskiej a szczególniej **„polskich mrzonek"** co do pozyskania biskupów polskiej narodowości. Ks. arcyb. Messmer z Milwaukee i 4 innych niemieckich biskupów, należących do ko-

ścielnej prowincji Milwaukee, wydali odezwę do polskich księży swych diecezyj, aby wspierali moralnie i materjalnie „Nowiny“ czyli kręcili bat na własne skóry“.

Z dnia 9 marca 1907.

309. **Niemcy katolicy walczący przeciw niepodległości Stanów Zjednoczonych.**

Niedarmo mówi przysłowie, że w każdym Niemcu, nawet katoliku, pół Lutra siedzi. Przeciwni oni byli i są wolności i niepodległości narodów: Polskę rozszarpali, bo Polska chciała zaprowadzić Konstytucję 3 Maja. Przeciw Stanom Zjednoczonym, walczącym o wolność, Niemcy, i to katolicy, wysyłali swoich żołnierzy całymi regimentami.

Ostatni numer „American Catholic Historical Researches“ ze stycznia 1907, str. 53 podaje co następuje:

„Podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych **sześciu** niemieckich książąt wysłało swoich żołnierzy Anglji na pomoc. Byli to:

Fryderyk II, landgraf z Hessen-Cassel, posłał najwięcej, bo 16,992 żołnierzy,

Wilhelm, jego syn, niezależny pan na Hessen-Hanau, posłał 2,442 żołnierzy,

Karol I, książę Brunswicku, posłał 5,723 żołnierzy,

Fryderyk, książę Waldecku, posłał 1,223,

Karol Aleksander, margrabia z Anspach i Beyreuth, posłał 2,353 żołnierzy,

Fryderyk August, książę z Anhalt-Zerbst, posłał 1,160.

„Ogółem, przeciw walczącym o niepodległość kolonistom w Ameryce, Niemcy wysłali 29,875 żołnierzy. Z tych 12,562 nie powróciło już więcej do Niemiec. Jedni pomarli z ran lub wskutek choroby, drudzy uciekli z wojska, a niektórzy pozostali w Ameryce, gdy pokój zawarto. Wielu z tych biedaków nie otrzymywało wcale żołdu, lecz walczyli, bo musieli. Wstyd i hańba spada na ich książąt, nie na nich. Wielu z nich pozostało obywatelami tej Rzeczypospolitej, którą przyszli zniweczyć.

„Najwięcej wojska przeciw Stanom Zjednoczonym posłał Fryderyk II. Książe ten był katolikiem. Jego syn Wilhelm był pierwszym, który w sierpniu r. 1775 ofiarował swój regiment królowi Anglji Jerzemu III“... (Zobacz odnośny artykuł tamże p. t. „Catholic Hessians in the Revolution“.) Dalej:

„Pomiędzy Westfalczykami 3,000 było katolików. Kapelanem Niemców katolików, walczących przeciw niepodległości Stanów Zjednoczonych miał być niejaki Ojciec Theobald". (Tamże, str. 55.)

310. **Gdzie się podział amerykanizm Irlandczyków?**

Znikł, jak kamfora, ów osławiony kiedyś amerykanizm. Irlandczycy, nasi współwiercy nawołujący nas do amerykanizacji, sami jedynie swoim patrjotyzmem irlandzkim się przejmują, o nim mówią i o nim ciągle piszą. Amerykanizm rozprysł się, jak bańka mydlana. Wystarczy wziąć pierwszy lepszy tygodnik irlandzki, żeby się przekonać, że Irlandczycy i tu w Ameryce są przedewszystkiem Irlandczykami. „The New World", organ arcybiskupa chicagoskiego tak woła:

„Jeżeli jest jaka wielkość w irlandzkim charakterze, to ta wielkość powstaje z irlandzkiego życia i irlandzkiego ideału. I jeśli Irlandczyk w Ameryce niema zwyrodnieć i przekształcić się w indywiduum bez charakteru, to musi znać historję swojego irlandzkiego narodu".

Więc zaczynają uczyć dzieci historji irlandzkiej, a starszym wykładają również dzieje Zielonej Wyspy.

Brawo, Irlandczycy! Tej właśnie zasady my Polacy w Ameryce już dawno się trzymamy. Wyście nas nie chcieli zrozumieć. Teraz widzimy, idziecie w nasze ślady. A i język swój irlandzki chcecie wskrzesić. Szczęść wam, Boże!

311. **Biskup Fitzgerald umarł. — Mała skała przeciw wielkiej.**

Fitzgerald, biskup diecezji Little Rock, Ark., umarł 21 lutego. Na Soborze Watykańskim r. 1870 był on jednym z tych, którzy głosowali przeciw nieomylności papieskiej. Wywołało to niemały śmiech na Soborze, kiedy biskup „Małej Skały" (Little Rock) wystąpił przeciw nieomylności wielkiej „Skały Piotrowej".

Byłem w Stevens Point, wygłosiłem kazanie i zebrałem 172,05 dol., a w sąsiednim Casimir, Wis., 101,85 dol. na kościół i szkołę w Ripon. W drodze spotkałem się z biskupem Fox.

183. Niemieckie „Nowiny". — Proboszczowie a urzędnicy parafjalni. — Wiara katolicka a wiara krzyżacka.

Z dnia 14 marca 1907.

312. **Niemieckie „Nowiny" poruszyły umysły.**

Listów zewsząd otrzymuję więcej niż kiedykolwiek. Nie mogę na każdy list zosobna odpowiadać, a tem mniej mogę umieszczać

każdy list tu w „Sprawach Kościelnych", jak sobie tego korespondenci życzą. Wystarczy przytoczyć jeden lub drugi, żeby zapoznać czytelników z treścią innych.

Jeden mię pyta, czy ja czytam te „Nowiny", że tak łagodny na nie jestem. „Czy Ojciec niema pod ręką tak zwanego pisma, „Nowin", na które jest tak łagodny, bo już one nam się obmierzły. To pismo samo nam się narzuca; jedni je odesłali, drudzy odpisali; i to nic nie pomoże, jeno przychodzi do chat naszych z takimi oszczerstwami... na Wielebnego Ojca, że nas prowadzi do luteranizmu. A tutejsi Polacy nie chcą o tem słuchać. Jeno mówią, że oni nie widzą, aby ks. Kruszka kiedy coś, coby się sprzeciwiało wierze, pisał. No, niech sobie swoje „Nowiny" lepiej ks. Góral czyta, a nas niemi tu nie bredzi, bo aż nas głowa od tych nowin boli... I nie wiem dlaczego ci księża się nie tytułują w pismach, kiedy są tacy dobrzy Polacy. Ale w kieszeni to się dobrze pięścią grozi..."

To ostatnie wyrażenie dobrze charakteryzuje bezimiennych korespondentów.

I z dalekiego Chappell Hill, Texas, 10 marca 1907 odzywa się J. E. Szymański: „Z największą uwagą czytam „Sprawy Kościelne i Narodowe", bo co czytam, to prawda jest niezaprzeczona na przeciwników naszych biskupów hakatystów, którzyby pożreć chcieli całą polską narodowość, ale się udławią zanim ją połkną. Nie ustawaj, Wiel. Ks. Proboszczu, ale i nadal pisz im prawdę, a prawda w oczy kole, a będziesz wynagrodzony za twe trudy i mozoły dla Narodowości Polskiej..."

313. **Głos stojącego nad grobem starca.**

Adam Lewandowicz z Duluth, Minn., 6 marca 1907 tak mi pisze:

„...Życzę ci, prawdziwy apostole, błogosławieństwa Boskiego nad tą twoją pracą, nad prześladowaniem twojem od tych sprzedawczyków, bardzo ubolewam i serce moje. A żebyś został kardynałem nad ludem Polskim, tybyś sprawiedliwie kierował ludem Polskim. Ale trwaj do końca, jak dotąd, przy Boskiej sprawiedliwości i pomocy Jego, a zwyciężysz. Nie upadaj na duchu, bo tam siła i moc jest, tak apostołowie czynili. I tym wszystkim dobrym pasterzom ludu polskiego także im życzę błogosławieństwa Boskiego i dobrej zapłaty od Pana Boga, korony niebieskiej, i nas wszystkich żebyście zaprowadzili do żywota wiecznego. A tym

pasterzom sprzedawczykom i tym ciemięzcom już im Pan Bóg zapłatę zapisał w księdze potępienia. To ci pisze prostak; wybacz mu co źle. A śmierć już mi w oczy patrzy, urodziłem się 1838 roku, już kupa lat na karku moim".

314. **Dobrze urządzone społeczeństwo rządzi się prawem.**

Każde dobrze urządzone społeczeństwo rządzi się prawem, a nie żadnem widzimisię czy kaprysem jednostek. Jeżeli więc wierzymy, że Kościół jest dobrze urządzonem społeczeństwem, i że parafja, jako część składowa, jest dobrze urządzonem społeczeństwem: to musimy przyjąć za niezbity pewnik to, że Kościół albo jego część składowa, parafja, opiera się na prawie, a nie na kaprysie proboszcza lub biskupa. Bez prawa bowiem nie masz sprawiedliwości; a sprawiedliwość jest fundamentem każdego społeczeństwa. Kto podkopuje ten fundament, ten sprowadza ruinę społeczeństwa, ruinę najpierw finansową, a potem i moralną.

Stawiasz mi Pan takie pytania:

1. „Czy proboszcz ma prawo deponować w banku parafjalne pieniądze na swe własne imię?"

2. „Czy sekretarz i kasjer mają prawo dać proboszczowi formularze do not z ich podpisami? Czy proboszcz ma prawo dawać noty bez wiedzy sekretarza i kasjera, chociaż z ich podpisami, na jakąbądź sumę?"

Otóż na 1 pytanie prawo kościelne tak odpowiada:

„Żaden proboszcz nie może deponować w banku pieniędzy parafjalnych na swoje własne imię". (By-Laws of Archd. of Milw., str. 48.)

Zachowujmy to prawo, jeśli chcemy być dobrze urządzonem społeczeństwem, względnie, dobrze urządzoną częścią składową Kościoła Powszechnego. Zachowujmy to prawo, a prawo nas zachowa i uchroni od ruiny finansowej i moralnej. Wprawdzie stróżem prawa jest biskup. A jeśli stróż śpi, to od czego są psy. Niech szczekają, aż stróża obudzą. Napomina Pismo: „Nie bądźcie psami niemymi, nie umiejącymi szczekać" (u Izajasza). U **Niemców** to psy **nieme** były, i dlatego u nich luteranizm powstał.

Ta sama odpowiedź na drugie pytanie. Bo ani sekretarz, ani kasjer nie mają prawa dawać proboszczowi gotowych formularzy do not z ich podpisami. Ani proboszcz nie ma prawa tak podpisanych not wypełniać jakąbądź sumą. Albowiem prawo kościelne żąda, żeby sekretarze i kasjerzy parafjalni byli **rzeczywistymi**

urzędnikami, a nie malowanymi. Jeśli nie chcą albo nie mogą spełniać swoich obowiązków, niech nie przyjmują tego urzędu. Dla parady ich parafja nie obiera. Mają dopilnować obowiązków, jakie na siebie przyjęli. Skarbnik np. przyjął na siebie obowiązek pilnowania skarbu i podług prawa on „będzie utrzymywał poprawne i szczegółowe rachunki dochodów i rozchodów i trzymał je **każdego czasu** w pogotowiu do przejrzenia“ (By-Laws of Archd. of Milw. art. X, str. 5). A czy może on „każdego czasu“ wykazać ile pieniędzy jest w kasie, jeśli proboszcz bez jego wiedzy wydaje pieniądze?

Podług prawa, nie proboszcz, lecz skarbnik ma mieć skarb i wypłacać pieniądze. Jeśli to prawo jest złe, to je zmieńmy. Ale dopóki takie prawo istnieje, dopóty powinno być zachowane.

Z dnia 16 marca 1907.

315. **Wiara katolicka a wiara krzyżacka.**

Tak jest, lud polski jest katolickim. Więc też daremne są wysiłki tych, którzy go gwałtem chcą przeciągnąć na wiarę krzyżacką. Tyle światła łaski i rozumu, Bogu dzięki, ma jeszcze nasz lud polski, że umie doskonale rozróżnić między prawdziwą wiarą katolicką, wiarą praojców swoich, a obłudną wiarą krzyżacką, wiarą owych Niemców „także katolików“, którzy niegdyś w imię katolicyzmu uprawiali grabież i rozboje w Polsce a dziś tu uprawiają rozbójnictwo gazeciarskie. Że lud polski umie te dwie wiary rozróżnić, tego dowodzą liczne listy do mnie.

Czyż pismo — pytają mię zewsząd — walczące bronią wyzwisk najordynarniejszych, kłamstw i oszczerstw, może być katolickiem? Nie — to broń krzyżacka. Krzyżacy rzucili zarzewie niezgody między nas i chcą koniecznie wywołać walkę bratobójczą pomiędzy Polakami. Niedoczekanie ich! Mogą wprawdzie skaptować sobie kilku adeptów, „obrońców wiary krzyżackiej“, zdrajców narodowości i renegatów wiary świętej katolickiej. Ale ogół ludu polskiego, jak stał, tak stać będzie stale i wytrwale przy prawdziwej wierze katolickiej a do wiary krzyżackiej nie przystanie!

Nigdy przenigdy!

Obiecują nam krzyżacy biskupa polskiego! Obiecanki cacanki a głupiemu radość — temu od „Nowin“ obrońcy wiary krzyżackiej! Jeżeli biskupa polskiego wkrótce dostaniemy, to zaprawdę nie z łaski krzyżaków. Bo oni niebo i ziemię poruszali, żeby tylko Rzym biskupów polskich nam nie dał. Wiem o tem

bardzo dobrze, lepiej od innych nie wtajemniczonych w tę sprawę. Tak, teraz, gdy widzą, że Rzym wbrew ich opozycji krzyżackiej da nam biskupów polskich, robią słodkie oczy do Polaków i udają, że oni zawsze tej naszej sprawie sprzyjali. O obłudo krzyżacka! Polaków na swoją wiarę krzyżacką nie nawrócicie. Polacy byli i pozostaną katolikami ale nigdy krzyżakami.

Jeżeli, jak twierdzicie obłudnie, chodzi wam o obronę wiary katolickiej, to czemuż nie walczycie bronią uczciwą i katolicką, przedmiotową dyskusją prawd i zasad katolickich? Czemuż, zamiast bronią katolicką, walczycie podłą krzyżacką bronią napaści osobistych, wyzwisk haniebnych, kłamstw i oszczerstw? Temi waszemi wyzwiskami i napaściami osobistemi najlepiej dowodzicie, że wam bynajmniej nie chodzi o wiarę świętą, lecz że wam, tak jak waszym przodkom krzyżakom, jedynie się rozchodzi o świeckie społeczno-polityczne panowanie nad Polakami w Ameryce i o ciągnienie zysku z nich. Worek wam milszy niż dusze; nie o polskie owieczki lecz o ich wełnę dbacie...

Precz z tą waszą obłudną wiarą krzyżacką! Niech żyje wiara katolicka i polska!

— Od parafjan św. Kazimierza w Milwaukee skolektowałem dol. 417.65 na kościół i szkołę w Ripon.

W niedzielę 17 marca 1907 po raz pierwszy nabożeństwo zostało odprawione w nowym kościele św. Wacława w Ripon. W sobotę wieczorem odbyło się poświęcenie nowych organów, w niedzielę dopołudnia poświęcenie nowych ołtarzy a po południu poświęcenie stacyj drogi krzyżowej. Na wszystkich trzech uroczystościach grał i śpiewał prześlicznie p. Seweryn J. Kujawski wraz z panną Klementyną Małek z Milwaukee.

Pomijam tu inne artykuły, jakie ogłaszałem p. t.: Czy w Ameryce mamy prawo kościelne? Czy i kiedy księża świeccy krzywdzą zakonników? Czy i kiedy zakonnicy krzywdzą księży świeckich? Faworytyzm kwitnie itd. itd.

184. Co powie na to św. Patryk w niebie? — Ks. Zieliński umiera. — Jego ostatnią wolą było, bym miał mowę na jego pogrzebie. — Biskup Fox zakazuje mi.

Z dnia 23 marca 1907.

316. **Co powie na to św. Patryk w niebie?**

Już niejednokrotnie tu wykazywałem, że irlandzkie organa biskupie w Ameryce wynoszą swoją narodowość ponad wszystkie

inne i że swój patrjotyzm irlandzki stawiają wyżej od religji katolickiej. Czynią to zawsze przez cały rok, ale szczególniej w dzień św. Patryka — 17 marca. I tak „Catholic Union and Times", organ biskupa buffaloskiego w zeszły tydzień „ku czci" św. Patryka na pierwszej stronnicy w pierwszej kolumnie umieścił artykuł pod takim szumnym tytułem:

„The Irish in America — In the Past they did Wonders for this Land and the Present finds them Foremost in Religion, Art, Invention, Literature etc."

Z tego tytułu łaskawy czytelnik może już poznać treść całego artykułu... że ajrysze we wszystkiem byli i są pierwszymi. Tak daleko dobrze. Bo każda pliszka swój ogon chwali. Najciekawsza atoli rzecz, kiedy w owym artykule przychodzi kolej na religię, gdzie organ biskupi wykazuje, jak Irlandczycy w Ameryce przodowali wszystkim innym narodowościom w religji. Tu czytelnik mimowoli się spodziewa, że organ biskupa katolickiego na pierwszem miejscu będzie się szczycił z tego, że Irlandczycy przodowali i przodują innym w gorliwości o zbawienie dusz. Tymczasem zwraca on uwagę przedewszystkiem na ten fakt, o którym — pisze — nie wiele wie, że Irlandczycy byli pierwszymi organizatorami i założycielami tak prezbiterjańskiego jak i metodyskiego kościoła w Ameryce! (Tu przytacza dowody historyczne.)

Po takim dopiero wstępie ów organ biskupi zauważa następujące fakta, że „pierwszym amerykańskim kardynałem był John Mc Closky; kardynał Gibbons jest także ajryszem" itd. wylicza cały poczet katolickich biskupów irlandzkich w Ameryce.

Ciekawa to i znamienna chełpliwość! Chełpić się przedewszystkiem z tego, że się założyło sekty prezbiterjańskie i metodyskie! Gdyby to **narodowe** pismo irlandzkie uczyniło, pismo w rodzaju naszej „Zgody", nie byłoby w tem nic dziwnego. Ale to przecie tak się chełpi **katolicki** organ biskupi, organ biskupa Colton z Buffalo. Co na to powie św. Patryk w niebie?...

. . . .

Pomijam tu ogłoszone tego samego dnia 23 marca artykuły takie, jak: „Czy niewiasty mogą wygłaszać ewangelję w kościele? Na to odpowiada organ biskupa buffaloskiego, że **niewiasty mogą wygłaszać** czyli na głos czytać ludziom ewangelję podczas Mszy świętej w kościele" itd. itd.

Z nadejściem Wielkiego Tygodnia roku 1907 nadszedł i dla mnie wielki tydzień o tyle, że w tym tygodniu zaczął się dla mnie **okres zakazów biskupich.** Pierwszy zakaz wyszedł od biskupa Fox'a z Green Bay. Było to tak. W piątek Siedmiu Boleści N. M. P. 22 marca 1907 w Antigo, Wis., umarł był ks. Kwiryn Zieliński, mój dawny sąsiad z Princeton. O śmierci jego zawiadomiono mię telefonicznie. Był on przyjacielem moim, więc też w ostatniej woli swojej pomiędzy innemi zaznaczył i to, żebym wygłosił kazanie na jego pogrzebie. Stosownie do tej ostatniej woli nieboszczyka, ksiądz De Haan, administrator i egzekutor testamentu. posłał mi następujące zaproszenie:

„Antigo, Wis., March 22, 1907.

„Rev. Father Kruszka — I herewith beg you to inform you of the death of our Rev. Friend Q. Zieliński and expect Your presence at the funeral and preach the funeral sermou according to the verbal wish stated to me by Rev. Zieliński when he appointed me te Executor of his last will and testament.

„I hope you will be present and not disappoint the wish of our lamented deceased mutual friend.

„Respectfully Yours

Rev. W. H. H. de Haan,
Ex. Test."

Odebrawszy to zaproszenie, nie szczędziłem trudów i kosztów podróży, jadąc (w braku kolei w niedzielę) 25 mil wozem po błotnistych drogach do Oshkosh, w niedzielę Palmową po sumie, z Oshkosh koleją do Antigo, by tylko oddać ostatnią posługę swemu długoletniemu przyjacielowi, spełnić jego życzenie i wypowiedzieć kazanie pogrzebowe. O północy przybyłem do Antigo i spałem w pokoju i łóżku nieboszczyka.

Tymczasem w poniedziałek w południe nadszedł z kancelarji biskupiej z Green Bay na ręce egzekutora księdza de Haan list o takiem brzmieniu:

„Green Bay, Wis., March 23, 1907.

„Dear Father de Haan!

„Next Monday evening I and possibly a few priests from here will arrive at Antigo to assist at the funeral rites of the lamented Father Zielinski. We are told here that Father Kruszka is invited to deliver the sermon, and if you have invited him you will please

notify Father Kruszka that he may not deliver the sermon. This is the order of the Bishop. Please ask a good priest of our own diocese to deliver the sermon on this occasion. You no doubt will have many good Polish priests there from our own diocese and why not invite of them one to speak? Hoping I am not placing you in on awkward position, and wishing you God's blessing, I am.

Sincerely Yours

P. J. Lochman"

(Wikarjusz Generalny biskupa Fox'a).

Gdy mi powyższy list pokazano, powiedziałem:

— Rozkazu biskupa słuchać trzeba. Kazania nie powiem, choć mi żal, że przyjacielowi memu tej ostatniej posługi oddać nie mogę, tak jak sobie tego wyraźnie życzył.

Księży obecnych, nawet obconarodowych, oburzył ów list. Wśród ludu powstało także rozgoryczenie. Widząc to, opuściłem natychmiast Antigo i powróciłem do domu, nie czekając na pogrzeb. Po drodze w Appleton Junction spotkałem się z ks. Bieniarzem z Berlina jadącym na pogrzeb. Udając zdziwienie, zapytał mnie, czemu tak spiesznie powracam? Odpowiedziałem mu:

— Ksiądz z księdzem Własłowskim, alias Laslow, z Oshkosh najlepiej wiecie, dlaczego powracam. (Ks. Własłowskiego „in effigie" powieszono w Antigo.)

Drakoński zakaz biskupa Fox'a wywołał ogólne oburzenie i zgorszenie. Najpierw wśród parafjan w Antigo, z których jeden 29 marca 1907 takie gorzkie słowa w „Kurjerze" ogłosił:

„Ja, chociaż jestem stary, bo mam już lat 61, pierwszy raz widziałem takie rzeczy, na jakie patrzałem... Ks. W. Kruszka ma usta dla nas zamknięte. Co się po rozejściu tej pogłoski działo wśród parafjan, to trzeba było zobaczyć i usłyszeć. Starałem się i ja sam uspokoić ludzi, którzy w rozgorączkowaniu, może nawet słusznem, obelgami na biskupów niemieckich rzucali... Ks. Kwiryn Zieliński był wzorowym kapłanem... Należało więc uszanować ostatnią wolę kapłana takiego. Taki zakaz, jaki był uczyniony, tylko zgorszenie wśród Polaków wywołał a autorów zakazu czyni odpowiedzialnymi tego zgorszenia na sądzie Boskim...

„Czytam gazety katolickie, a między innemi „Misje Katolickie" z Krakowa. A gdy dowiedziałem się, iż w Milwaukee wychodzi także czysto katolicka gazeta co tydzień („Nowiny"), więc zaraz ją sobie zapisałem. Aż tu gdy dostałem trzy numery i zo-

baczyłem te fotografje tak mocno nas miłujących biskupów niemieckich, tak pomyślałem sobie, że to jeszcze bardziej jest katolickie pismo, jakby kto sądził. Ucieszyłem się więc tem bardzo i zacząłem je pilnie czytać: i wtedy dopiero nastąpiło zupełne rozczarowanie. Gdzie było okiem rzucić, same wyzwiska i oszczerstwa. Dziwne mi się to wszystko wydawało, że redaktor tej gazety, ksiądz, na drugiego księdza i na Polaków tak ogromnie wymyśla, o obok biskup niemiecki pochwala to wymyślanie i każe ludowi polskiemu to wymyślanie czytać...

„Może też redaktor „Nowin" być spokojnym o naszą kolonję polską w Antigo. Za to ubliżenie naszej parafji przez niemieckiego biskupa żaden z nas Polaków jego niemieckiej gazety do ręki nie weźmie. Wam chodzi o wasze dolary a nam o naszą wiarę i narodowość a mamy tyle godności narodowej, iż odczuwamy i rozumiemy zakaz biskupa niemieckiego, wydany przeciwko ks. W. Kruszce za to, że tenże jest patrjotą i Polakiem i dla dobra polskiego ludu pracuje. Bóg zapłać ślę tym ks. proboszczom (ks. Kurzejka i ks. W. Polaczyk), którzy na pogrzebie śp. ks. Kw. Zielińskiego wygłosili piękne mowy po polsku."

Z dnia 4 kwietnia 1907.

317. **Krzyżacy kuli i kują drakońskie prawa przeciw Polakom.**

Tak zwani krzyżacy, to jest Niemcy, noszący nazwę katolików a mający duszę nawskroś pogańską, pełną złości i mściwości, pozazdrościli sławy Drakonowi (okrutnemu prawodawcy w Atenach). Kuli oni i kują okrutne drakońskie prawa przeciwko Polakom tak w starym kraju jak i tu w Ameryce. Świeży przykład takiego drakońskiego prawa jest ów zakaz, żeby polski kapłan nie oddawał ostatniej posługi swemu konfratrowi, rodakowi i przyjacielowi, posługi, jakiej sobie nieboszczyk w ostatniej swej woli wyraźnie życzył. Wobec tyrańskiej woli nic nie znaczy ostatnia wola zmarłego kapłana polskiego.

Nawet uczciwy poganin uszanuje ostatnią wolę nieboszczyka. Obłudny katolik gorszy jest od poganina. Bo poganin, czem jest, tem się nazywa. A krzyżak, choć w duszy gorszym jest od poganina, na piersi jednak nosi krzyż, godło chrześcijańskie.

Nie po krzyżu, zwieszającym na piersiach, kazał nam Zbawiciel poznawać chrześcijan, lecz po ich uczynkach i postępowaniu z bliźnimi. „Po owocach ich poznacie ich." A każdy ciemięzca, według prawa Boskiego i ludzkiego, jest winien nietylko tej krzyw-

dy, jaką wyrządza; ale i tego złego, jakie wzbudza w sercu uciemiężonego. Every oppressor is guilty not only of the wrong he does, but of the evil to which he inclines the heart of the oppressed.

. . . .

Nawet Bogu duszę winny ksiądz W. H. H. de Haan, egzekutor testamentu ks. Zielińskiego, odczuł mściwą pięść krzyżacką. Z Antigo 5 kwietnia 1907 pisał mi: „Rev. Father — The episcopal ax has also fallen on my head. Last Monday I got a letter from Green Bay wherein the Bishop simply sent me my discharge from my parish and a celebret for a year, forcing me to retire, while the Vicar General sent me a letter advising me not to return to the Diocese. All this is sine causa quoad me as I never had au episcopol warning or reprimand for anything big or small whatsoever. My reply to this has been spicy, as I told by letter to the Bishop that I never would go to another Diocese since I belonged here by right of Ordination." Ks. de Haan jednak pojechał potem do Holandji, skąd pisywał do mnie listy aż do czasu wybuchu wojny wszechświatowej.

185. Wiarogodna informacja biskupów obcych. — Zakazy sypią się jak z rogu obfitości. — Biskup Fox zakazuje mi wstępu do swojej diecezji. — Arcybiskup Messmer zakazuje mi pisać do „Kurjera" i życzy mi wesołego Alleluja.

Z dnia 4 kwietnia 1907.

318. **Ks. Lochman nie ma nic do powiedzenia.**

Podług angielskich gazet, ks. Lochman z Green Bay, zapytany przez reporterów, dlaczego pewnemu księdzu biskup zakazał wypowiedzieć mowę pogrzebową i dlaczego nie uszanował ostatniej woli nieboszczyka, odpowiedział tylko tyle, że dla gazet nie ma nic do powiedzenia. To mi przypomina zdanie pewnego mędrca angielskiego, który rzekł: „As a rule, guilty men do not seek publicity. They are more likely to argue, that there is notbing to be gained by „stirring the mather up."

Zato pocichu miał powiedzieć, że moje pisma są przyczyną tego zakazu. Otóż, com pisał, tom pisał jawnie. Omnia palam locutus sum et in occulto locutus sum nihil. Dlaczegoż nie da świadectwa o tem, com złego pisał? Dlaczego nie przytoczy choćby jednego zdania z moich pism, któreby sprzeciwiało się wierze

świętej albo obyczajom? Jeślim źle pisał, daj świadectwo o złem; a jeśli dobrze, czemu mię prześladujesz?

319. **Opierają się, jak mówią, na „wiarogodnej" informacji.**

Pytanie: „Jeślim źle pisał daj świadectwo o złem" — stawiłem już nieraz niejednemu biskupowi. Oni zaś tak mi zawsze odpowiadali:

— My po polsku czytać nie umiemy. Więc twoich pism nie czytamy. I sami z siebie nie wiemy, co piszesz. Ale wiemy to, bośmy od innych „wiarogodnie" poinformowani — „we are credibly informed" o tem co piszesz...

To mi znowu przypomina śp. arcybiskupa Katzera, który, gdy występowałem przeciw ks. Grutzy i jego gospodarce, tak samo powoływał się zawsze na „wiarogodną informację" i mówił mi:

— I am credibly informed, ja wiem, co ks. Grutza robi. Ksiądz Grutza jest najlepszym finansistą w całej archidiecezji — he is the best financial man — lepszym od innych księży.

Aliści po tem „credibly informed" wyszła najaw okropna ruina finansowa!

Teraz zaś z podobnego „credibly informed" grozi ruina jeszcze gorsza, bo ruina moralna, upadek powagi biskupiej. Mianowicie o piśmie „Nowiny" i jego wartości moralnej dziś tak samo władza jest „credibly informed" jak była o „wiekopomnej" bazylice św. Jozafata i jej półmiljonowym długu.

Po oddaniu do druku powyższych artykułów posłałem „Kurjerowi" taki pożegnalny artykuł:

320. **Zakazy sypią się jak z rogu obfitości.**

Po owym zakazie mówienia przy zwłokach mego przyjaciela ks. Zielińskiego, nadchodzą coraz to inne zakazy. Z diecezji Green Bay donoszą mi księża, że biskup Fox rozesłał cyrkularz do wszystkich księży, datowany 27 marca 1907, zakazujący mi sprawować funkcje kapłańskie w obrębie swej diecezji: „I deen it my duty to inform you that Father Kruszka of Ripon has no faculties in this Diocese, nor has he my permission to preach in this Diocese". A teraz, właśnie w tej chwili, nadszedł jeszcze ważniejszy zakaz od arcybiskupa Messmera z Milwaukee. Mianowicie arcybiskup Messmer w registrowanym liście, pisanym w samą Wielką Sobotę, wraz z życzeniami wesołego Alleluja przysłał mi zakaz pisywania do „Kurjera", dosłownie tak brzmiący:

„Archbishop's Residence, 2224 Chestnat Street,

„Milwaukee, Wis., die 30 Martii 1907.

„Revo. Dno. Wenceslao Kruszka
rectori ecclesiae ad S. Wenceslaum
Ripon, Wis.

„Reve. Dne!

„Praesentibus hisce litteris Tibi sub stricto praecepto injungimus ne amplius in follis publicis, quae „Kurjer Polski" vocantur atque in hac urbe Milwaukiae publici juris fiunt, quidquam conscribere vel publicare audeas.

„Ratio hujus prohibitionis est prohibere ne quid pluris Religioni Catholicae injuriae atque fidelibus praesertim Polonicis scandali infligatur.

„Interim Tibi Divinae gratiae opem atque Paschatis auguria superna adprecor.

Sebastianus Gebhardus Messmer,
Abp. Milw."

Sigillum
Archidioecesis Milwaukiensis.

Po polsku znaczy:

„Wielebny Księże. — Niniejszym listem Tobie ścisłem przykazaniem zakazujemy, abyś więcej w piśmie publicznem „Kurjer Polski" zwanem i w tem mieście Milwaukee wydawanem, nic pisać lub ogłaszać nie śmiał.

„Powodem tego zakazu jest zakazać, aby więcej szkody religji katolickiej i wiernym zwłaszcza polskim zgorszenia nie dawano.

„Tymczasem Tobie łaski Bożej i wesołych świąt wielkanocnych życzę.

Sebastjan Gebhard Messmer,
Abp. Milw."

Nie potrzebuję łaskawym czytelnikom dodawać, że do powyższego zakazu arcybiskupiego się zastosuję bez zwłoki. Skoro pióro moje, które pisało „Sprawy Kościelne i Narodowe", arcybiskup Messmer raczył zasuspendować, więc niechże wisi i rdzewieje.

Czym siał „zgorszenie i szkodę wyrządzał" religji katolickiej, wy wszyscy, którzyście czytali moje pisma bez uprzedzenia, osądźcie sami. „Albowiem się do niczego nie poczuwam; ale nie w tem jestem usprawiedliwiony; a który mię sądzi, Pan jest" (1. Kor. 4, 4).

Bądźcie zdrowi, rodacy! Z Bogiem!

Ks. Wacław Kruszka.

186. Głosy prasy polskiej z powodu zakazów biskupich.

Powyższe zakazy wywołały mniejwięcej takie komentarze w prasie:

„Żyjemy w 20 stuleciu, w wolnej Ameryce; lecz to, co się stało z ks. Kruszką, świadczy, że cofamy się wstecz w zamierzchłe czasy średnich wieków. Ks. Kruszka nie pisał nic przeciwko Kościołowi ani nie dawał zgorszenia wiernym polskim. Natomiast gorszyli się jego artykułami ci, których ostra ich krytyka bezpośrednio dotykała; a tymi są właśnie biskupi i arcybiskupi niemieccy i ajryscy, którym ks. Kruszka sypał prawdę w oczy. Dlatego mając władzę w swym ręku, wyzyskali ją na swą korzyść, zamykając usta dzielnemu kapłanowi i patrjocie... Nadejdzie dla Ciebie czas, zacny kapłanie, gdzie ci wymierzoną będzie sprawiedliwość i w którym doznasz pokoju duszy, ciesząc się sowitymi plonami, które wydają ziarna Twych patrjotycznych słów na naszej urodzajnej glebie narodowej." („Dziennik Polski" z Detroit.)

„Doczekał się zatem nieustraszony szermierz równouprawnienia polskiego kleru „nagrody" za swoją pracę, trudy i poświęcenie... To co spotkało ks. Kruszkę, spotkało go nie jako pojedyńczego człowieka, ale jako reprezentanta Polonji amerykańskiej, jako delegata Polaków am., który śmiał jeździć do Rzymu z prośbą o równouprawnienie kleru i jako nieustraszonego bojownika tej ważnej dla całego ogółu polskiego sprawy. Wszyscy zatem jednakowo ten policzek odczuć powinni. Wojny tej nie wygramy, jeżeli nie przejmiemy się zasadą sokolą: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nie schodząc z drogi legalnej, walczyć powinniśmy i musimy dalej. Wytrącono pióro z rąk jednego kapłana, niech je chwyta inny... a gdy jemu wytrącą, niech bierze trzeci, czwarty, piąty, choćby do ostatniego, a zobaczymy, kto będzie musiał ustąpić..." („Dziennik Narodowy" z Chicago.)

„Bolesną wiadomość wyczytaliśmy, a to, że ks. W. Kruszce, szermierzowi polskości w Ameryce, wyższa jego władza zakazała pisywania artykułów do „Kurjera Polskiego"! Niektóre dzienniki i tygodniki, które są plus pape que le Pape, rozgłaszają to z rozkoszą; redaktor zaś „Wielkopolanina" notuje to z boleścią." („Wielkopolanin" z Pittsburga).

„Niemałą sensację w prasie polskiej wywołał jedyny w swoim rodzaju wypadek przymusowego rozbrojenia jednego z polskich pracowników pióra na wychodźtwie. Arcybiskup milwaucki, ks.

Messmer. zakazał ks. Wacławowi Kruszce pisywać do „Kurjera Polskiego". Zakaz, napisany notabene wyborną łaciną, jest ostry i bardzo formalny. Stoi w nim: „ne audeas", to jest nie śmiej (pisać). Motyw zakazu jest religijny: „aby nie było nadal zgorszenia dla religji". Oryginalnem jest ograniczenie zakazu do jednego tylko pisma. Możnaby było z tego wnosić, że wolno jest ks. Kruszce pisywać do innych pism. Lecz inaczej to rozumie sam ks. Kruszka, bo ogłasza w „Kurjerze Polskim", że „skoro mu pisać nie wolno, zawiesza swe pióro na kołku, niech rdzewieje". Nasamprzód składamy Sz. księdzu W. Kruszce wyrazy serdecznego współczucia i ubolewania z okazji pozbawienia go jednego z kardynalnych praw obywatelskich — wolności słowa. Prawo to jest zastrzeżone przez konstytucję tutejszego kraju i naturalnie przysługuje ks. Kruszce i nadal... Nie mogąc zmusić go do milczenia argumentami ani zbić jego wywodów, postarano się o ubezwładnienie przeciwnika. Znaczy to, że ks. Kruszka bitwę wygrał..." (Chicagoska „Zgoda" Organ Związku N. P.)

„Na Wiel. ks. W. Kruszkę posypały się istne gromy zakazów... Biskup Fox zakazał mu wygłosić kazanie na pogrzebie ks. K. Zielińskiego, następnie rozesłał do księży w swojej diecezji listy, w których wyraźnie zaznaczył, iż ks. W. Kruszce nie przysługuje żadne prawo spełniania jakichkolwiek funkcyj kapłańskich w diecezji przez niego rządzonej. A obecnie ukoronowanymi zostały te zakazy — zakazem arcyb. Messmera, zabraniającym pisywania ks. Kruszce pożytecznych artykułów religijno-narodowych, jakiemi ks. Kruszka od dłuższego czasu zasilał dział Kościelno-Narodowy w „Kurjerze Polskim" w Milwaukee. Zakaz ten dotknął boleśnie cały ogół polski a szczególnie tych, którzy czytywali artykuły Wiel. ks. Kruszki i wiedzą dobrze, że w artykułach tych nie znajdowało się nic zdrożnego przeciw wierze św. ani Kościołowi; lecz tylko to, co mogłoby przynieść korzyść Kościołowi katolickiemu w Ameryce w ogólności, a Polakom w szczególności, mianowicie, słuszne jego uwagi w sprawie biskupa polskiego dla Ameryki... Czytając list pożegnalny Wiel. ks. Kruszki, w którym donosi o otrzymanym zakazie i o tem, że się do niego jak najskrupulatniej zastosuje — łzy się do ócz człowiekowi cisną mimowoli. „Bądźcie zdrowi, Rodacy! Z Bogiem"! — tak pisze ten nieulękły bojownik za prawa Polaków katolików w Ameryce... Z Bogiem! — tak. Bóg będzie z nami. On nie opuści tego biednego, ciemiężonego we wszystkich zakątkach

ziemi ludu... Tak, Bóg będzie z nami i pozwoli nam pokonać niesprawiedliwość narodów nam zawistnych, bo On jest nieogarnioną sprawiedliwością... Da Bóg, że szczęśliwe okoliczności znowu włożą Ci pióro w dłoń i, że znów dalej, owocniej jeszcze niż dotychczas, pracować niem będziesz." („Rolnik" ze Stevens Point, Wis.)

„Sprawa Wiel. ks. Kruszki poruszyła do żywego umysły wszystkich dobrze myślących Polaków w Ameryce. Cała prasa amerykańska wyraziła Wiel. ks. Kruszce swoje współczucie i ubolewanie z powodu wiadomych zakazów biskupich. Całe niemal duchowieństwo polskie stanęło po stronie ks. Kruszki, uznając jego pracę i dziwiąc się takiemu rozporządzeniu zwierzchników duchownych... Jedyną radą byłoby ustanowienie polskich biskupstw w Ameryce... To położyłoby tamę wszystkim zajściom, które dzisiaj są na porządku dziennym a które jak największą tylko szkodę przynoszą świętej wierze..." („Rolnik.")

„Arcyb. Messmer kiedyś pożałuje, że wydał dekret, na mocy którego ks. Kruszce nie wolno pisywać do polskich gazet i mówić do ludu polskiego po całym kraju za pomocą tychże gazet o kościelno-narodowych sprawach. W „Kurjerze Polskim", a tak samo i we wszystkich innych pismach polskich, z wyjątkiem 3 „katolickich", sypią się temu dostojnikowi Kościoła cięgi tak ostre, a każde słowo to święta prawda, że z pewnością wolałby, ażeby dekret przeciw ks. Kruszce był się nie ukazał... Z religijnej więc walki przyszło do starcia o narodowość... A że narodowość polska walkę tę wygra, w to święcie wierzy każdy Polak... Tylko do tych licznych głosów prostego ludu powinni się przyłączyć jeszcze wszyscy księża polscy..." („Gazeta Buffaloska.")

Także prasa polska w Poznańskiem zainteresowała się tą sprawą zakazów biskupich. „Kurjer Poznański" z maja 1907 pisał:

„W chwili, gdy z polecenia Watykanu arcybiskup Weber wybiera się do Stanów Zj., tamtejsze pisma polskie przynoszą wiadomość o prześladowaniu księży naszych przez biskupów Niemców. Ofiarą tego prześladowania padł teraz jeden z najwybitniejszych księży polskich w Ameryce, ks. Wacław Kruszka, proboszcz w Ripon, znakomity publicysta, którego artykuły zamieszczane w „Kurjerze Polskim" ogólne budziły zajęcie i odznaczały się prawdziwie polskim duchem, — autor historji wychodźtwa polskiego w Ameryce, niedawno delegat polskiego duchowieństwa do Rzymu w sprawie polskich biskupów dla Ameryki i gorliwy działacz społeczny. Jego zwierzchnik, arcybiskup mil-

waucki, ks. Messmer, Niemiec, zabronił mu pisywania artykułów do polskich gazet... Za przykładem arcybiskupa Messmera poszedł ks. Fox biskup Green Bay... Wogóle ks. Kruszka poddał się tym zakazom, jakkolwiek obaj biskupi umotywowali je ubliżającymi dla niego twierdzeniami, jakoby pisarska i publiczna działalność jego demoralizowała katolików polskich! Ogłasza on, że na razie nie będzie pisywał... Jedyną jego zbrodnią było, że gorąco i energicznie bronił zawsze narodowych spraw polskich katolików w Ameryce i stał na czele ruchu, domagającego się polskiego biskupa dla Ameryki. To jedynie ściągnęło na niego gniew i zemstę biskupów niemieckich i irlandzkich. Prasa polska i organizacje polskie występują bardzo ostro z tego powodu przeciw biskupom. Sprawa wywołała taką burzę, że biskup Fox spieszy do Rzymu dla wyjaśnienia swego stanowiska."

187. Głosy ludu polskiego z powodu zakazów biskupich.

Niepodobna była rzecz przytoczyć tu głosy wszystkich redaktorów. Ale jeszcze większem niepodobieństwem podać tu listy czytelników, umieszczane w gazetach. Spory tom dałoby się z nich ułożyć. „Kurjer Polski" ogłaszał je **przez pół roku pod taką samą rubryką** „Sprawy Kościelne i Narodowe", pod którą przed zakazem umieszczał moje artykuły. Odzywały się nietylko pojedyńcze osoby ale i całe towarzystwa, zbliska i zdaleka, ze wschodu i zachodu Ameryki, z południowych stanów i północnej Kanady.

„Kurjer Polski" z 17 kwietnia 1907 pisał p. t. „Stosy Protestów":

„Redakcja „Kurjera" odbiera tyle listów z protestami przeciw tyrańskiemu postępowaniu niemieckich biskupów, że niemożliwem byłoby ani dziesiątej części tych listów umieścić w całości. Dlatego podawać będziemy z niektórych tylko jedno albo kilka ważniejszych zdań."

Oto kilka głosów:

„Wyczytałam zakaz arcybiskupów Foxa i Messmera i postanowiłam napisać parę słów dlatego, iż wieść ta tak mnie zasmuciła, że nie będę mogła artykułów Wielebnego Księdza więcej czytać, choć prawdę mówiąc z początku nie lubiłam czytać, ale jak się zapoznałam z piórem Wielebnego Księdza, to nigdy nie mogłam się doczekać gazet, w których były pisane „Sprawy Kościelne i Narodowe". Proszę o nadesłanie Historji wszystkich

tomów, abym się mogła więcej z nią obznajmić i którą będę się starała rozpowszechnić na wszystkie strony, bo nas tu jest wiele osób, które pragną się z dziełami Wiel. Księdza zapoznać." Mieczysława Wawrzyńska, 848 W. Diversey Ave., Chicago, Ill., 10 kwietnia 1907.

„Protest od Towarzystwa gimnastycznego i bratniej pomocy Sokołów Polskich im. Zygmunta Balickiego nr. 1 w South Bend, Indiana, uchwalony na posiedzeniu 7 kwietnia 1907. ...Pytamy się Jego Excelencji Arcybiskupa Messmera, jaki mianowicie miał powód do wymierzenia przeciw Czcigodnemu Ks. Kruszce takiego zakazu? O ile nam jest wiadomem Jego Excelencja Ks. Arcyb. Messmer polskich gazet nie czyta. „Sprawy Kościelne i Narodowe", o ile my mogliśmy zrozumieć i niezaprzeczenie rozumieliśmy każdy artykuł, nie dopatrzyliśmy nigdy nic takiego co by się nie zgadzało z prawdą i co by miało się sprzeciwiać Kościołowi Katolickiemu, owszem każda wiadomość miała li tylko takie znaczenie, że przyciągała nas Polaków do Kościoła Rzymsko-Katolickiego i przypominała każdemu Polakowi, że wiernym temu Kościołowi zawsze być powinien. My jesteśmy tego najwięcej pewni, iż „Sprawy Kościelne i Narodowe" nigdy nie były biskupom rzetelnie przetłumaczone, nie wiemy dlaczego tak było, chyba jedynie dlatego, że chciano podeptać zdolności Czcigodnego Ks. Kruszki i rozum zdrowy, a tem samem trzymać nas w ciemnocie... Niech nam wolno będzie stanowczo prosić Jego Excelencję, aby zechciał odwołać zakaz, czem nas Polaków i dobrych katolików wielce zobowiąże. Dodajemy, że nie przestaniemy Jego Excelencję tak długo niepokoić, dopóki na nowo nie ukażą się artykuły Czcigodnego Ks. Kruszki w gazetach..."

„Jak grom z jasnego nieba spadł zakaz niemiecki przeciwko ks. W. Kruszce... Przyczyna do zakazu jest kłamstwem, wymyślonem do otumanienia ludu polskiego... O tak! Oni (Niemcy) się już znają i wiedzą co powiedzieć: „My Niemcy boimy się tylko Boga, a tak niczego na świecie", i obawiamy się oświeconych Polaków, przeto musimy im usta zamykać. Ale Pan Bóg zajrzy każdemu prześladowcy w czubek i nas nie opuści. Przecież On kazał nam się wzajemnie miłować i pouczać, kazał nieumiejętnych nauczać, umarłych grzebać... O to się też ks. Kruszka starał... ale umarłych gdy chciał pogrzebać (w Antigo) ks. biskup Fox mu nie kazał. Teraz inny ks. biskup zakazał mu nieumie-

jętnych nauczać..." Prosty górnik Franc. Rostkowski z Fairhaven, Pa., 7 kwietnia 1907.

„Te zakazy biskupie powinny być omawiane na posiedzeniu grup. Zwrócić trzeba uwagę delegatom do Gminy. Gmina powinna urządzić ogólne zebranie wszystkich Polaków w Milwaukee... Pamiętajmy, że tu nietylko rozchodzi się o księdza W. Kruszkę, ale o wszystkich Polaków; nietylko że krzyżacy chcieli upokorzyć ks. Kruszkę, ale wszystkim Polakom wymierzyli policzek. Ks. Kruszka jeździł do Rzymu w sprawie polskich biskupów, dlatego się krzyżakom naraził, a przez upokorzenie ks. Kruszki chcą i innych księży nastraszyć... Powinniśmy w naszym proteście wyrazić nasze oburzenie i pogardę Niemcom krzyżackim i owemu młokosowi w postaci profesora, najmicie krzyżaków, którego historja kiedyś napiętnuje jako renegata i zdrajcę sprawy narodowej... Tobie, Czcigodny ks. Kruszka, składam cześć i uznanie za zasługi, położone dla sprawy narodowej. Tyś jako drugi ks. Kołłątaj, jak tamten był prześladowany tak i ciebie prześladuje dziś krzyżacka część księży. Ksiądz Kruszka bronił nas wszystkich. Zatem naszym obowiązkiem stanąć w obronie spotwarzonego i skrzywdzonego... A gdy nie uzyskamy zadosyćuczynienia u krzyżaków, znajdziemy drogę do Rzymu, i tam się przekonają, że to nie „zachcianki ks. Kruszki", ale słuszne i prawne żądanie wszystkich Polaków w Ameryce.

J. Petrykowski."

Nastąpiły protesty grup związkowych z Milwaukee, Wis., ukazały się zbiorowe protesty z Manitowoc, Wis., South Bend, Ind., Casimir, Wis., Cudahy, Wis., Winnipeg, Canada, Warsaw, N. Dakota, Schenectady, N. Y., New Carlisle, Ind., Silver Lake, Minn., St. Louis, Mo. Z Baltimore, Md., pisze E. J. Ratajski: „Chociaż jestem ks. Kruszce zupełnie obcym, ale jestem członkiem tego narodu, którego ks. Kr. tak dzielnie bronił i stara się uwolnić go z głodnej paszczęki amerykańskich biskupów". Sypały się protesty z Chicago, Ill., z Bay City, Mich., z St. Paul, Neb., z Hilliards, Mich., Ironwood, Mich., Calumet, Mich.

Na wiecu Polek, członkiń Z. N. P., 24 kwietnia 1907 w Chicago przyjęto taką rezolucję:

„Wobec faktu, że w dniach ostatnich zaszedł w wolnej Ameryce niebywały wypadek pogwałcenia wolności obywatelskiej na osobie reprezentanta całej Polonji amerykańskiej i delegata tejże

Polonji do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru polskiego, ks. Wacława Kruszki, zaznaczamy, że zakaz, wydany przez arcybiskupa Messmera, zabraniający temu kapłanowi dalszego tłumaczenia spraw kościelnych i narodowych, uważamy za obelgę dla całego ludu polskiego i jako taki wyraźnie piętnujemy. Wobec faktu, że jest to nowy dowód poniewierania naszych uczuć narodowych i nowe ogniwo w łańcuchu skrytych ale niemniej niebezpiecznych zamachów na nasze narodowe polskie interesa w Ameryce, wobec faktu, że jest to nowy dowód usiłowań w amerykanizowaniu nas przez Kościół, pragnęłybyśmy zwrócić uwagę całego Związku Narodowego a także bratniej organizacji Związku Polek, aby usilnie dążyć do zjednoczenia wszystkich Polaków i Polek w jednej reprezentacyjnej Federacji w celu skuteczniejszego zwalczania tych zamachów i usiłowań..."

Józef Wójcik z Stevens Point, Wis., 29 kwietnia 1907 pisał: „Dziwi mnie, że dostojnicy niemieccy puszczają się na takie lekkomyślne kroki, jak wydawanie zakazów przeciwko ludziom zasłużonym i prawdę głoszącym. Ksiądz Kruszka ani jednej litery przeciw prawu nie napisał i dlatego jest w pełni swych przywilejów. Potrzebujemy przewodnictwa i obrony ze strony kapłanów patrjotów nietylko przed zalewem amerykańskim, ale i przed takimi, na szczęście nielicznymi księżmi polskimi, którzy dzieciom polskim każą się uczyć w polskiej szkole angielskiego katechizmu..."

Michał Bartoszewicz z Lindley, Ind., 29 kwietnia 1907: „...A jak te dwory polskie w powstaniu oblegane były przez Moskali, tak teraz ks. W. Kruszka oblegany jest przez Niemców. Ale niedoczekanie ich, żeby mieli zwyciężyć. Walcz, drogi Ojcze, w obronie tego ludu, który Niemcy i Irlandczycy chcą zgnębić, a lud ten jak jeden mąż stać przy Tobie będzie! Dzięki Bogu, że zakaz przyszedł za późno, że „Sprawy Kościelne i Narodowe" rozjaśniły wiele umysłów, które pójdą w pracy dalej i nie pozwolą obcym amerykanizować Polaków a zwłaszcza młodego naszego pokolenia..."

Te niezliczone listy „Kurjer Polski" ogłaszał pod takim samym tytułem: „Sprawy Kościelne i Narodowe", pod jakim ja przedtem pisałem moje artykuły. Więc Jan Strychlarz z Middletown, Conn., 28 kwietnia 1907 pisze: „Myśleliśmy tu, że już nie będzie więcej „Spraw Kościelnych i Narodowych" z powodu zakazu arcybiskupa Messmera, a tymczasem z miłem zdziwieniem widzimy, że są nadal i czytamy je z zajęciem..."

Szał głupiej zazdrości i nienawiści opanował „Nowiny“ tak dalece, że opublikowały takie kłamliwe twierdzenie:

„Pełno mamy dowodów, że (ks. Kruszka) **bezimiennie** pisywać dotychczas bynajmniej (do „Kurjera“) nie przestał.“

Na to „Kurjer“ z 2 maja 1907 dał „Nowinom“ taką odprawę:

„Mości arcybiskupie Messmerze, mości biskupie Foxie, mości profesorze Góralu: „Kurjer Polski“ wypłaci wam każdemu po tysiąc dolarów, jeżeli dostarczycie nam nie już „dowody“, ale choćby jeden dowód, że twierdzenie wasze jest prawdziwe... Więc prosimy... bo inaczej musimy nowy światu dać dowód, że wy, chociaż duchowni, nie cofacie się przed najpodlejszem oczernianiem nietylko cywilnych ale nawet księży...“

Członkowie Towarzystwa św. Wojciecha z parafji śś. Cyryla i Metodego w Milwaukee 30 kwietnia 1907 zapytują i proszą arcybiskupa Messmera, aby nam łaskawie wykazał, gdzie w tych artykułach było co złego albo gorszącego napisane przez ks. W. Kruszkę, bo sądzimy, że ks. Wacław Kruszka tylko świętą prawdę pisał i ogłaszał i swoich rodaków pouczał, za co mu wszyscy serdecznie dziękujemy... Gdyby tak arcybiskup chciał łaskawie zakazać pewnym księżom nadużyć, aby nam wstydu nie robili, tobyśmy nie protestowali, ale jeszcze dziękowali. Ale arcybiskup Messmer mówi, że nie umie po polsku mówić ani pisać ani czytać, więc nie wie, co się pomiędzy Polakami dzieje. Tymczasem choć nie umie czytać po polsku, to jednak wiedział, co ks. W. Kruszka pisał?... Więc to muszą być sprawki sprzedawczyków. A jeżeli arcybiskup Messmer na żądanie sprzedawczyków zakazał ks. W. Kruszce pouczać i oświecać swoich rodaków, to my wszyscy Polacy razem żądamy stanowczo, aby swój zakaz cofnął...“

Pomijam tu głosy z Kenoshy, Wish., Calumet, Mich., Ripon, Wis., Bay City, Mich., Stevens Point, Wis., Casimir, Wis., Terre Couppee, Ind., Mc Keesport, Pa., Catsfield, Nebr., Cleveland, O., Ludington, Mich., Poznań, Wis. Jeden z Michigan tak się odzywał 9 maja 1907: „Niektórzy nasi proboszczowie wolą mieć biskupa Niemca lub ajrysza, bo go mogą prędzej okpić, łatwiej mu mogą schlebiać i skuteczniej z nim pertraktować. On się na polskich stosunkach nie zna, a to wiele znaczy. Nie mówię tego o wszystkich — bynajmniej. Ks. Kruszka ma wielu jawnych i skrytych zwolenników pomiędzy klerem polskim. Ale mówię tu o tych, którzy go potępiają i którzy nasze starania o równouprawnienie kleru głupstwem nazywają.“

Dalej rezolucje Tow. B. Głowackiego w Milwaukee, głos z South Milwaukee: „Dziennik Narodowy“ z Chicago 8 maja 1907 tak pisał:

„Na pochwałę zasługuje wstrzemięźliwość Wydziału Wykonawczego, jaką wykazał wobec ks. Wacława Kruszki i... nagonki, jaką na niego urządziła pewna część prasy t. z. katolickiej. Jest to bądź cobądź objaw niezmiernie smutny. Dawniej, gdy księdzu Kruszce wolno jeszcze było pisać, nie stawiano mu ani połowy tych zarzutów, co obecnie, kiedy... bronić się nie może. Wygląda to zupełnie na... mordowanie bezbronnego. Zastanówcie się, panowie, co robicie! Lud wcale inaczej postępowanie wasze sądzi niż się to może wydawać i obawiamy się, że osądzi bardzo ostro!“

To też głos z Bay City, Mich., 9 maja 1907 woła: „Dziś, kiedy ks. W. Kruszka ma związane ręce, dwa pisma „Wiarus“ i „Kurjer Katolicki“, niby katolickie w tytułach, ale pogańskie w postępowaniu i do tego wydawane przez księży, obrzucają błotem kalumnji ks. W. Kruszkę, i za co? Za prawdę, której ci dwaj księża znieść nie mogą. Ci księża chcą, aby lud miał dla nich szacunek, jeżeli oni pałają nienawiścią do człowieka jeno dlatego, że ma inne poglądy i przekonania. Czy ks. Kruszka kiedykolwiek czernił którego z was księży osobiście? Nigdy... Brońcie waszego własnego przekonania (to jest jeżeli w nie sami wierzycie), ale nie szarpcie imienia ks. W. Kruszki, boście mu nie warci rzemyka u trzewika zawiązać, bo o całe niebo wyżej stoi nad wami. Któż gorzej może siać zgorszenie, jak owe dwa pisma, które w obliczu samego Boga kłamią bezczelnie i jawnie...“

188. Papieżnicy mnie bronili a episkopalni mnie napadali jeszcze bardziej. — Odgrywali rolę owego osła z bajki.

Podczas gdy papieżnicy brali mię w obronę, to episkopalni napadali mnie coraz bardziej. Czy podłemi napaściami swemi chcieli mnie popchnąć do niezależności? Wiele pism podsuwało mi takie niecne zamiary.

Do episkopalnych pism należały te cztery: „Dziennik Chicagoski“, milwauckie „Nowiny“, winoński „Wiarus“ i toledoski „Kurjer Katolicki“.

Tym episkopalnym pismom, jakie mnie napadały, dał buffaloski „Polak w Ameryce“ z 10 maja 1917 taką odprawę:

„Biedny ten ks. Kruszka z Ripon, Wis. Niedawno pewna część polsko-katolickiego obozu krzyczała mu „Hosanna“ a teraz wrzeszczy na całe gardło: „Ukrzyżuj go!“ Szczególnie odłam reprezentowany przez OO. Zmartwychwstańców i „Dziennik Chicagoski“ jest nadzwyczaj czynny i na całe gardło woła: Ukrzyżuj go, ukrzyżuj! Nie bronimy tutaj ks. W. Kruszki, ale twierdzimy stanowczo, że zażartość, z jaką go prześladują OO. Zmartwychwstańcy i ich organ „Dziennik Chicagoski“, jest wręcz przeciwną miłości bliźniego i zasadom katolickim. Pragną koniecznie swego przeciwnika już nietylko upokorzyć i poniżyć, ale nawet raz na zawsze moralnie zabić. „Dziennik Chicagoski“ widząc, że obecnie ks. Kruszka rozkazem swego ks. arcybiskupa ubezwładniony nie może się nawet bronić, zarzuca mu najpotworniejsze zamiary, a pomiędzy innemi i to, że zamierza pójść w ślady niezależnego starokatolickiego biskupa Kozłowskiego, który już spoczywa w grobie, i ogłosić się niezależnym biskupem. Na poparcie tak potwornych zarzutów „Dziennik Chicagoski“ nie przytacza żadnych dowodów a nawet pozorów tych dowodów. Ks. arcybiskup Messmer zakazał ks. Kruszce pisywania do gazet, a więc ks. Kruszka przestał pisać i siedzi cicho w Ripon; a wcale nie odpowiada za to, co inni niby to w jego obronie robią lub piszą. Podsuwaniem takich nikczemnych zamiarów kapłanowi, który zostaje w jedności i zgodzie z katolickim Kościołem, mogą OO. Zmartwychwstańcy i „Dziennik Chicagoski“ jedynie wyprowadzić go z równowagi i popchnąć na bezdroża. Jeżeli się zanadto naciąga strunę, to ta struna wkońcu pęknie. Zresztą doświadczenie powinno was było tego nauczyć. Któż to zmarłego niezależnego biskupa Kozłowskiego popchnął w przepaść, w której i zginął?...“

Otóż tych, którzy mniemali, że stoję nad przepaścią schizmy albo ze zmartwienia już umieram, „Kurjer Polski“ 15 maja tak uspokajał:

„Nie przedstawiajmy rzeczy gorzej niż jest... Czytaliśmy w jednej gazecie, księdzu W. Kruszce życzliwej, że „ks. W. Kruszka z powodu tego prześladowania stoi nad przepaścią“. Druga życzliwa gazeta pisze, iż „pogańskie prześladowanie może zepchnąć go na tory ks. Kozłowskiego“ (zmarłego niezależnego biskupa). Jakiś życzliwy pisze, iż „ks. Kruszka zdrowie stracił“. I tak dalej. Wszystko to nie zgadza się z prawdą. Ks. Kruszka nie stracił też jeszcze zdrowia, choć może innyby tego nie wytrzymał. A co się tyczy zepchnięcia go „na drogę ks. Kozłowskiego“,

to o tem ani mowy niema. Trafnie któreś pismo zauważyło, że Zmartwychwstańcy i pachołkowie biskupów umyślnie tyle kolumn kłamstw i oszczerstw na niego piszą, a biskup Messmer umyślnie mu bronić się zakazał, aby go przez to „do rozpaczy doprowadzić i na drogę niezależności zepchnąć". Ale ks. W. Kruszka tej satysfakcji im nie da i tego nie uczyni!"

W dalszym ciągu ogłaszali protesty: Towarzystwo śś. Cyryla i Metodego z Milwaukee; Tow. Tadeusza Rejtana z Milwaukee; F. Jasiński z Thorp, Wis., W. Gronowski z Sobieski, Wis.: Franciszek Szczypka z Duluth, Minn., pisał: „Sądziłem, że „Nowiny", redagowane przez księdza, zamieszczać będą tylko pouczające artykuły, ale niestety jakże się omyliłem! Po otrzymaniu okazowego numeru przekonałem się, że cała prawie gazeta nie zawiera nic więcej jak wyzwiska i kalumnie, rzucane na ks. W. Kruszkę..."; Józef Mateja z Little Falls, Minn.; Jan Maciejewski z Bay City, Mich.; z Toledo, O. 13 maja 1907: „Dziwi mnie, jakiem prawem dwa pisma „Kurjer Katolicki" i „Nowiny", mogą się mienić, iż są katolickiemi, skoro nic w nich katolickiego doczytać się nie można, ale zawsze tylko wyzwiska i napaści na ks. W. Kruszkę, tego gorliwego kapłana i prawego Polaka. Dziwi mię zaś to tem bardziej, że ks. W. Kruszka ma obecnie ręce związane... Napadać na bezbronnego, to już nietylko niehonorowo, ale nieuczciwie i nie po katolicku! Ks. Kruszka nic przeciwko wam nie pisał, owszem, stawał w obronie źle traktowanego duchowieństwa polskiego i za to teraz tak się mu odwdzięczacie! Oj, dużo to daje do myślenia!"

Tygodnik pittsburski „Wielkopolanin" podał taką uwagę redakcyjną: „Wielu zelotów pisze obecnie śmiało, ostro a bezpiecznie przeciw ks. W. Kruszce. Pisze im się bezpiecznie i wygodnie — bo ks. Kruszka ma związane ręce i złamane pióro zakazem swego zwierzchnika, więc ni tłumaczyć się ni odpowiadać nie może. Nieładnie to wygląda, lecz przecież są gusta i guściki, jak są ludzie i ludziska. A gawiedź się cieszy z „dobrego" przykładu... Żeby zaś aż 600 polskich księży oświadczyło się przeciw ks. Kruszce, jak to insynuują milwauckie „Nowiny" z dnia 1 maja, tegośmy nigdzie prócz w „Nowinach" nie czytali. A ponieważ wchodzi w naszem gazeciarstwie nowa moda wytykania się po imieniu, więc wobec tych osobistych imiennych kłótni konieczną było rzeczą, aby „Nowiny" ogłosiły nazwiska owych „setek księży ze wszystkich zakątków Ameryki", którzy na adres „Nowin" posłali swe

przeciw ks. Kruszce nagany. Wszystko to zakrawa mocno na... deklamację!...“

„Polonja w Ameryce“, wydawana w Cleveland, O., pisała w nr. 20: „Pismo tygodniowe „Nowiny“, wychodzące w Milwaukee, nie zajmuje się niczem innem jak tylko umieszczaniem wiadomości o ks. Kruszce. Gdy ks. Kruszka pisywał artykuły do „Kurjera Polskiego“, „Nowiny“ wciąż krzyczały na niego; gdy biskup Messmer wytrącił ks. Kruszce pióro z ręki, „Nowiny“ krzyczą dalej na ks. Kruszkę. Wstyd i hańba uderzać na takiego, który bronić się nie może. „Nowiny“, zapamiętajcie to sobie, że jest to wstyd i hańba!“

Buffaloski „Polak w Ameryce“ z 13 maja 1907: „Ks. arcybiskup Messmer zabronił ks. Kruszce pisywania artykułów, a inni niemieccy biskupi z milwauckiej prowincji kościelnej potępili go i potępiają, gdzie tylko mogą, zakazując mu wypełniania kapłańskich obowiązków na wypadek gdyby się znalazł w ich diecezjach w gościnie u swoich konfratrów. Wszystko to widzą i o wszystkiem wiedzą takie arcybiskupie gazety jak „Dziennik Chicagoski“ i „Kurjer Katolicki“ z Toledo. Używają też teraz na ks. Kruszce dowoli i szarpią go i poniewierają na wszystkie strony; a to wszystko uchodzi im bezkarnie, bo ks. Kr. skrępowany. Tak „Dzien. Chic.“ jak i „Kurjer Kat.“ wobec ks. Kruszki odgrywają rolę owego osła z bajki, który widząc, że lew dogorywa w krzakach, nadszedł i kopnął go nogą, bo widział, że lew mu nic nie zrobi. „Dziennik Chic.“ i „Kurjer Kat.“ mszczą się na ks. Kruszce za IX tom „Historji Polskiej“. Dla tych rycerzy pióra jest to walka bardzo łatwa i bezpieczna, lecz nad wszelki wyraz tchórzowska i podła... I wobec takiej zemsty macie jeszcze odwagę twierdzić, że pisma wasze są katolickie! O wy faryzeusze i pobielane groby... Tak „Dzien. Chic.“ jak i „Kurjer Kat.“ chwalą biskupa Foxa z Green Bay, Wis. za to, że ten zakazał ks. Kruszce wygłoszenia mowy nad trumną jego przyjaciela ks. Kw. Zielińskiego w Antigo, Wis., twierdząc, że ks. Kruszka to polski szowinista. Naszem zdaniem to lepiej być polskim szowinistą aniżeli oddanym duszą i ciałem szowinistycznym biskupom innych narodowości, którzy nas chcą gwałtem wynarodowić...“

Z powiatu Dąbrowskiego, Galicja, Kanna, 2 maja 1907 pisał Leon Łysik: „...Wyczytałem zakaz ks. arcybiskupa Messmera... Wiadomość ta wywarła na mnie niemałe wrażenie. Ponieważ czytywałem zawsze z uwagą artykuły ks. W. Kruszki i nigdy nic

nie znalazłem coby było pisane przeciwko wierze katolickiej. Owszem ten czcigodny i zacny kapłan W. Kruszka w swoich artykułach pt. „Sprawy Kościelne i Narodowe" oświecał biedny lud polski, utwierdzając go w prawdziwej wierze katolickiej, za co sobie zjednał pomiędzy polskim ludem ogólny szacunek i powagę. I to nietylko w Ameryce, ale i tu w starym kraju słynie ks. Wacław Kruszka jako dobry duszpasterz, który otacza troskliwą opieką swoje owieczki. Kochani Rodacy, czy wiecie z jakiego powodu arcybiskup Messmer zakazał pisać ks. W. Kruszce do „Kurjera Polskiego"?... Bo gdziekolwiek Niemcy mają władzę nad Polakami, to wszędzie ich prześladują i starają się ich tumanić i wyrządzać im krzywdę..."

189. Podwójna miara. — Debaty akademików w Chicago nad zakazem biskupim.

Pod tytułem „Podwójna miara" pisał „Kurjer Polski" 18 maja 1907:

„OO. Zmartwychwstańcy, jak to widać z „Dziennika Chicagoskiego", nie mogli do tej pory strawić napisanej o nich prawdy w IX tomie „Historji Polskiej w Ameryce" ks. Wacława Kruszki. Wydanie tego tomu stało się hasłem do strasznej walki na śmierć i życie przeciwko biednemu autorowi historykowi. Wytoczono najgrubsze działa, poruszono wszystkie tajne sprężyny intryg i polityki, pisano skargę do arcybiskupa Messmera, żalono się w Rzymie i gdzie się tylko dało, słowem czyniono wszystko, by na autorze historyku zemstę wywrzeć, by znaczenie ogłoszonych faktów osłabić. Taką wrzawę wywołał tom IX. Zupełnie inny skutek wywarł tom następny, który w bogatej swej treści zawierał i genezę Niezależnych czyli t. zw. kozłowszczyzny w Chicago. Ks. Kruszka podał jak i poprzednio w tomie o Zmartwychwstańcach prawdę i tylko czystą prawdę, nie owijając nic w bawełnę i nie szczędząc krytyki dla tych, których postępowanie tego wymagało, a przyznając zalety tym z księży, chociaż Zmartwychwstańców, którzy te zalety wykazali, jak obecnemu proboszczowi na Jadwigowie w Chicago ks. J. Piechowskiemu.

„Co więc robią Zmartwychwstańcy z tomem X „Historji" ks. W. Kruszki? Oto drukują pamflet. Na pierwszej stronie podają duży portret ks. Wacława Kruszki, którego miesiąc temu od czci i wiary odsądzali, i dają następujący wielkiemi czcionkami złożony tytuł:

„Co pisze
Ks. Wacław Kruszka
Proboszcz Parafji św. Wacława
w Ripon, Wis.
o
Kozich Prerjach?

W tomie 10-tym „Historji Polskiej w Ameryce" ks. Wacław
Kruszka pisze tak:
Geneza Niezależnych czyli tak zw. kozłowszczyzny
w Chicago, Ill."

„i w dalszym ciągu podają dosłownie wyciągi z tego, co autor napisał o powstaniu kościoła niezależnego w Chicago o ks. Antonim Kozłowskim i o księżach parafji św. Jadwigi. Na zakończenie pamflet ów powiada dosłownie:

„Ot tak „Historja Polska w Ameryce" osądziła sprawę niezależnych i ich przewodnika w Chicago".

„Opisany przez nas powyższy fakt to typowy przykład polityki podwójnej miary. Gdy ks. Kruszka napisał prawdę o ks. W. Barzyńskim, o kościele św. Stanisława, przepaszczeniu pieniędzy i walce z kościołem św. Trójcy, to rzucono się na autora z bezgraniczną wściekłością, poczęto szerzyć kalumnje, kopać doły i dołki i krzyczano w niebogłosy: Ukrzyżować go, ukrzyżować bezzwłocznie!

„Gdy ks. Kruszka w dalszym ciągu swej pracy wykazał i potępił inny wrzód, powstały na ciele polsko-amerykańskiego życia i opisał ruch niezależny a zwłaszcza błędy ks. Kozłowskiego, to podaje się portret autora, wymienia się zaszczytnie jego nazwisko, tytuł i dzieło i rozrzuca się tysiące egzemplarzy tego pamfletu wśród ludu polskiego w parafjach Zmartwychwstańców w Chicago. Czy postępując w ten sposób, nie przyznano otwarcie, że „Historję Polską w Ameryce" ks. W. Kruszki uznaje się za rzecz źródłową, prawdziwą, i czy tym pamfletem nie złożono hołdu pracy autora „Historji"? Niechże czytelnicy łaskawie sami osądzą."

Dalszym protestom bynajmniej nie koniec. Odwołania niesłusznego zakazu biskupiego domagały się: Tow. Moniuszki z Milwaukee; Tow. św. Szczepana z Cyrylowa w Milwaukee; Jan Siudziński z South Milwaukee; A. M. z St. Louis, Mo., pisał 19 maja 1907: „Ponieważ ks. Góral zarzuca „Kurjerowi", jakoby tenże fabrykował korespondencje, więc radziłbym, aby ks. Góral napisał

do każdego korespondenta, a z pewnością każdy mu odpowie, czy korespondencje były fabrykowane czy ich własną ręką pisane": dalej Alojzy Łuczkowski z Perham, Minn.; Fr. Brzeziński z La Salle, Ill.; Tow. św. Wojciecha z Manitowoc, Wis.; Aug. Frydrych z Fairchild, Wis., Tow. króla J. Sobieskiego z Milwaukee; Szymon Porter z St. Paul, Minn.; Franciszek Soczka, rolnik z Custer, Wis. pisał: „Ofiaruję 50 dolarów na dobre cele, jeżeli mi wskażesz, w jakim artykule ks. Kruszki doczytałeś się słów przeciwnych wierze katolickiej..."; Ślązak z Browerville, Minn. 22 maja 1907: „Czytając te niezliczone napaści na ks. W. Kruszkę, aż mię wstręt bierze... Zaznaczyć muszę, że nie od dzisiaj „Nowiny" „w imię religji" są prześladowcami wszystkiego, co piękne, szlachetne i wzniosłe... Dowodów na to dosyć w historji. Zakazując księdzu Kruszce pisywać artykuły, wywołali tem oburzenie wśród całego narodu polskiego w Ameryce. Prześladowcy atoli powinni pamiętać o przysłowiu: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada!"

J. M. Frydrych z Fairchild, Wis., 2 maja 1907: „Znalazł się między nami kapłan, który poznał potrzeby ludu naszego, potrzeby wiary naszej św. i nie lękał się stanąć jako nieustraszony bojownik po stronie swych rodaków, aby upomnieć się o to, co nam się słusznie należy. Ale inni powiedzieli sobie: biada temu, trzeba go upokorzyć i poniżyć, obczernić go przed światem! I jak Kain Abla, brata swego zabił, tak samo się dzieje ks. W. Kruszce, którego także niektórzy Ojcowie chcieliby zabić choć nie na ciele, ale na duchu, za to jedynie, że ośmielił się żądać równouprawnienia dla kleru polskiego w hierarchji Kościoła św...." F. Rostkowski z Fairhaven, Pa., 16 maja 1907: „Biskupi niemieccy i ich sługi pracują gorliwie i zawzięcie, aby rodakom naszym oczy zamydlić... aby rodacy nie dostrzegli niesprawiedliwości, jaka im się dzieje. Tłumaczy ich ks. Góral, że uczynili to, aby ks. Kruszka swojemi artykułami „nie siał zgorszenia", a ja powiadam, że więcej zgorszenia wy dajecie swojemi napaściami, niż myślicie. Jeżeli wasze twierdzenie jest słuszne, to wskażcie te artykuły ks. Kruszki, w których było jakie słowo zgorszenia: bo jeżeli się powiedziało **a**, to i **b** trzeba powiedzieć."

Józef Kowalski z Toledo, Ohio, 21 maja 1907: „Od czasu jak ks. W. Kruszka nie pisze do „Kurjera Pol.", nasz ludek bardzo jest rozgoryczony. W Toledo niema domu, żeby tam nie mówiono o ks. Kruszce, z którym tak niesłusznie arcybiskup Messmer i biskup Fox postąpili... Tak jak ci dwaj biskupi postąpili, postępuje tylko

rząd pruski... i kardynał Kopp na Śląsku... Sądziliśmy, że tu hakatystów niema, a tu jeszcze gorzej..." Tomasz Janicki z St. Paul, Minn., 2 maja 1907: „I tutaj posiew Bismarka wydał swój plon. I tutaj polscy księża znoszą prześladowania od niemieckich biskupów, i tutaj arcybiskup Messmer zakazał ks. Kruszce pisać artykuły do „Kurjera", dobrawszy sobie do pomocy ks. Górala, który na prześladowanego wylewa w „Nowinach" jad żółci. Ale miejmy nadzieję, że ta praca jego nie przyniesie mu sławy. Ks. Kruszce zaś życzę, aby odniósł zwycięstwo nad krzyżackiemi zapędami."

Tow. Jana III Sobieskiego z Toledo, Ohio, wystosowało 23 maja 1907 do arcybiskupa Messmera list, w którym pisze: „My niżej podpisani (Szczepan Strugarek, prezes, J. St. Schlesser, sekr., Józef Wieliński, Piotr Buławski) zapytujemy ks. arcybiskupa Messmera, aby nam dał dowód, kiedy ks. Wacław Kruszka dał nam zgorszenie i kiedy doradzał nam oderwanie się od Kościoła rzymsko-katolickiego, kiedy szkodził naszej wierze św.... Całą winą ks. W. Kruszki, zdaniem naszem, jest to, że walczył z nieprzyjaciołmi naszymi o nasze święte prawa, że bronił ludu naszego od zamerykanizowania..." Bronisław Gross z Brooklynu, N. Y., 25-go maja 1907: „...Nie potrzebujemy **prosić** niemieckich biskupów, aby nam co z łaski dali, ale musimy stanowczo **żądać tego,** co się nam słusznie należy. Sądzę, że wszystkie parafje powinny zwołać mityngi parafjalne i wybrać komitet, któryby udał się do biskupów i przedłożył nasze żądania, a wówczas przekonają się oni, że mają z ludźmi do czynienia. Jedna parafja tego uczynić nie może, ale wszystkie w danej diecezji. Poprosić księży do wzięcia udziału, a gdy który nie zechce, wówczas będzie się wiedziało, który jest sprzedawczykiem, a który nie..." Łabiszyniak z Toledo, O., 27-go maja 1907: „...Napadają na ks. Kruszkę tylko tacy, którzy się boją biskupa polskiego, aby się nie wykryły ich wybryki, popełniane na biednych parafjanach. Dzisiaj ten lud woli zamilczeć o wyrządzonych mu krzywdach aniżeli iść do biskupa Niemca albo ajrysza..." Józef Synoracki z Pittsburga. Protest Tow. Św. Kazimierza Z. N. P. w Bay City, Mich., które zakaz ten uważa „jako policzek wymierzony narodowi naszemu".

„W kolegjum św. Stanisława w Chicago, Ill., 27 maja 1907 odbyła się dyskusja czyli debata, w której doktor Kubus bronił ks. W. Kruszki a akademik p. Paszkiewicz — OO. Zmartwychwstańców i owych biskupów, którzy prześladują ks. W. Kruszkę. Pan Paszkiewicz miał tak dobrze opracowaną swą obronę, że nie-

ma wątpliwości, że księża mu ją opracowali. I na razie zwyciężał, ale po dwugodzinnej dyskusji doktor Jan Kubus odniósł zwycięstwo, co mu całe Kółko Akademickie przyznało z wyjątkiem dwóch, p. Czesławskiego i p. Ostrowskiego. Zdaje się jednak, że uczynili oni to tylko z litości."

Adam Piotrowski z Toledo, O., 28 maja 1907. „...Byli majowczyki, co o narodowość im nie chodziło, byle tylko mieć łaskę u Bismarcka... Kochany ks. Kruszko, bądź dobrej myśli, bo tak jak te majowczyki zginęli a pszenica została, tak też te plewy społeczeństwa polskiego będą wywiane. Wy źli kapłani, pamiętajcie, że wiatr was rozniesie, tak jak rozniósł majowczyków i bismarczyków, że nikt o nich nie wie, gdzie się podziali, bo lud nasz nie jest taki głupi. On patrzy, co się dzieje, ale przyjdzie czas, że będziecie sami żałowali, ale już będzie za późno!..." Frater Dom. Rev. F. z Milwaukee, Wis., 31 maja 1907: „...Ks. Góralu, jesteś tym samym sługą Bożym co i ks. Kruszka. Nie oczerniaj go tak zajadle, bo wiesz sam, że niewinnie, jedynie dlatego tylko, że ci tak każą „zgóry". Nie z ciebie to pochodzi, jesteś tylko narzędziem tych, co drżeli „na tronach", gdy im prawdę pisał ks. Kruszka... Radzę ci, ks. Góralu, daj ks. Kruszce święty spokój. On ci nic nie winien, a twoje ujadania na Niego tobie sławy nie przyniosą. Przymilasz się „jak niemiec do nieba" do niemieckich biskupów za ich „błogosławieństwo" dla twych wyzwisk, ale nie myśl sobie, że u ludu zyskasz coś..."

Tow. św. Michała z Bay City, Mich., 2 czerwca 1907 w sążnistym proteście woła: „...Żądamy odwołania zakazów i zaprzestania prześladowania ks. W. Kruszki..." „Zarzucacie ks. W. Kruszce, że się starał, aby sam biskupem został: a chociaż to kłamstwo, toćby w tem nie było nic złego, bo takich nam właśnie biskupów potrzeba, a nie sprzedawczyków, bo obroń nas Boże od takich biskupów jak redaktor „Nowin". (Bartosz z pod Słupcy.)

Abonent z Perham, Minn., 3 czerwca 1907. „We Wiarusie" z 30 maja wyczytałem, jakoby nie wyrządzono żadnej krzywdy ks. W. Kruszce, gdy biskup Fox zabronił mu wypełnić ostatnią wolę zmarłego ks. K. Zielińskiego, i że (ks. Kr.) do tego nie miał prawa. A to dopiero ciekawa rzecz... Wola umierającego jest ponad wszystkie prawa... Zakazem tym ks. biskup Fox wymierzył policzek całej amerykańskiej Polonji... Pisze O. Manel, że biskup nie zakazał pisać do innych pism tylko do „Kurjera". — Więc gdyby był pisywał do ich pism, to by było wszystko dobre.

co ks. Kruszka pisał... Jest to jasne jak słońce, że zakaz był tylko ze zemsty"... Aleksander Niedzielski z Bay City, Mich., 3 czerwca 1907. „...Nie wina nieprzyjaciół, że dziś Polska rozebrana, ile wina zdrajców, że do tego zaprosili Prusy i Rosję. Tak samo nie tyle wina niemieckich biskupów, że dziś nie możemy dostać polskich biskupów, ile samych księży polskich, że solidarnie nie pracują i głosu narodu uznać nie chcą... O. Manel twierdzi, że ks. Kruszce nie stała się krzywda od biskupa Foxa przy zwłokach ks. Zielińskiego, bo ks. Kruszka nie miał pozwolenia na odprawienie ceremonji kościelnej w diecezji greenbayskiej. Nie wiem, czy miał lub nie. Ale choćby i nie miał, to czy kto słyszał o tem, aby w kraju cywilizowanym i w świecie chrześcijańskim jakibądź zwierzchnik zakazywał komuś oddania ostatniej przysługi zmarłemu księdzu, jeżeli ten o to prosił?... Jeszcze jedno. Ks. Kruszka na prośbę biskupa greenbayskiego zorganizował w Oshkosh parafję polską. A Oshkosh podobno w diecezji greenbayskiej. Więc gdy było potrzeba ciężkiej pracy, to ks. Kruszce było „wolno" w diecezji greenbayskiej ją wykonać. Ale w innym razie nie..."

Protest Tow. Kościuszki z Duluth, Minn; protest Polaków zebranych na obchodzie Konstytucji 3 Maja w Pittsfield, Mass.; Tow. Rycerzy św. Jerzego z Bay City, Mich.; Józef Maleja z Little Falls, Minn.; J. Motylewski z Three Lakes, Wis., Jan Bednarski z Saginaw, Mich.; Józef Wójcik z Stevens Point, Wis., 16 czerwca 1907. „Znaleźli się fałszywi prorocy, którzy opowiadają, że za 50 lat nie pozostanie tutaj śladu z naszej narodowości. Znaleźli się zdrajcy, którzyby radzi byli strącić ks. W. Kruszkę w przepaść... Ks. W. Kr. pomimo wszystkich ich napaści jest wyższym ponad nich, znosi on cierpliwie niesłuszne prześladowania jako kapłan prawy i dobry Polak. Otrzyma on też za to nagrodę... A wrogowie jego powinni pamiętać, że Pan Bóg jest nie rychliwy ale sprawiedliwy!..." Tow. św. Franciszka z Ashton, Nebraska itd. itd.

190. Jak papieżnicy, episkopalni i niezależni rozmaicie zapatrywali się na te protesty. Strach pomyśleć! — Na skinienie ks. Kr. zerwałaby się taka burza, jakiej dotąd nie mieliśmy w Ameryce. — Miałem wystąpić przeciw protestowiczom.

W nr. 83 „Polaka Amerykańskiego" z Buffalo, N. Y., pojawił się taki artykuł pod tytułem **„Zgroza pomyśleć"**.

„Z górą od trzech miesięcy „Kurjer Polski" w Milwaukee zamieszcza każdego dnia kilka protestów pochodzących od różnych grup, towarzystw i bractw z różnych osad polskich i Stanów przeciw arcyb. Messmerowi... i przeciw biskupowi Foxowi... Do tego czasu co najmniej sto takich towarzystw, grup i bractw ogłosiło swe protesty, co dowodzi, że ks. W. Kruszka cieszy się miłością i uznaniem amerykańskiej Polonji. Jedni w mniej, drudzy w gorętszych słowach protestują przeciw niemieckim biskupom a wszystkie protesty dowodzą, że na najmniejsze skinienie ks. Kruszki zerwałaby się taka burza; jakiej do tego czasu nie mieliśmy w Ameryce. A gdyby ks. W. Kruszka chciał stanąć na czele swych przyjaciół i popleczników, to wywołałby takie zawieruchy, że wobec nich zbladłby cały niezależny kościół Kozłowskiego, Kołaszewskiego, Kamińskiego, Hodura itd. Za ks. Kruszką, sądząc z protestów, poszłoby conajmniej ćwierć miljona Polaków.

„Na szczęście ks. W. Kruszka nie korzysta z swego wpływu i jako wierny syn katolickiego Kościoła woli raczej krzywdę znosić od swych przełożonych, aniżeli krzywdę czynić katolickiemu Kościołowi. Wie on o tem bardzo dobrze, że co innego katolicki Kościół a co innego szowinistyczna polityka niektórych jego krótkowidzących purpuratów. Na matkę, Katolicki Kościół, ks. W. Kruszka nie podnosi swej ręki, bo nie chce popełnić najsromotniejszej zbrodni t. j. matkobójstwa. Z tego powodu ks. W. Kruszka zasługuje na pełne uznanie. Jego zwierzchnik ks. arcyb. Messmer zakazał mu pisania do polsko-amerykańskich gazet; a więc złamał pióro i nie pisze nietylko do gazet, ale nawet nie odpowiada swym zwolennikom za okazywaną mu życzliwość. Jak nie pisać to nie pisać, i pod tym względem zachowuje się ks. W. Kruszka poprawnie. Jeżeli na najwyższe uznanie zasługuje ks. W. K., który swą osobę i osobiste zapatrywania podporządkował swej władzy duchownej, to znów nietylko na najwyższą naganę ale wprost na potępienie zasługują te nibyto polsko-katolickie a w rzeczywistości faryzejskie pisma jak „Dz. Chicagoski" i „Kurjer Katolicki" z Toledo, O., itd., które w każdym tygodniu napadają ks. W. Kruszkę, pomawiając go, jakoby on był autorem wszystkich protestów.

„Tymczasem ks. W. Kruszka do tych wszystkich protestów się nie miesza i zachowuje się wobec nich zupełnie neutralnie. „Dzien. Chic." i „Kurjer Kat." z Toledo itd. zarzucają ks. W. Kruszce, że nie wystąpił przeciw tym wszystkim protestowiczom,

którzy przeciw niemieckim biskupom i jego nieprzyjaciołom zamieszczają protesty, że nie wystąpił publicznie i nie napiętnował ich jako podżegaczy do buntu. Jakże to ks. W. Kruszka może uczynić, kiedy nie wolno mu jest pisać do gazet? Ks. W. Kruszka trzyma się ściśle litery rozporządzenia. Jeżeli mnie ktoś skrzywdzi, to mogę mu przebaczyć tę krzywdę, ale trudno byłoby mi potępić przyjaciół, którzyby wbrew mej woli ujęli się za mną i wymogli dla mnie na krzywdzących zadośćuczynienie.

„Mówmy jak chcemy, ale na to musimy się zgodzić, że ks. W. Kruszce stała się krzywda, a zatem bardzo nagannie postępują ci, którzy do wyrządzonej mu krzywdy dołączają jeszcze swe urąganie. To już nietylko nie po katolicku, ale nawet nie po ludzku. Niby to katolickie a raczej faryzejskie pisma jak „Dziennik Chicagoski", „Kurjer Katolicki" z Toledo i inne, naigrawając się z ks. W. Kruszki, jako upośledzonego, prowokują go i chcą zepchnąć na zgubną drogę.

„Pragną koniecznie, aby ks. W. Kruszka wypowiedział posłuszeństwo swej zwierzchności duchownej i stał się podobnym księżom niezależnym albo OO. Zmartwychwstańcom, którzy także przed kilku laty wypowiedzieli posłuszeństwo swej generalnej władzy w Rzymie. Ks. W. Kruszka nie da im jednak nigdy tej rozkosznej satysfakcyj i nie wejdzie na drogę prowadzącą do przepaści... Może być, że niektóre artykuły ks. W. Kruszki były za namiętne i za szowinistyczne, ale z naszego punktu widzenia były one prawdziwe i nawskroś patrjotyczne. Jeżeli ks. W. Kruszka grzeszył, to grzeszył chyba za wielką miłością dla dobra całej Polski, a szczególniej amerykańskiej Polonji.

„Osobistej dewocji do ks. W. Kruszki nie mieliśmy i nie mamy, bo on i nas niejednokrotnie zadrasnął, ale przebaczamy mu to chętnie, bo nie miał on nigdy własnego, ale publiczne dobro na oku i względzie..."

Tyle „Polak Amerykański".

Atoli owo milczenie moje wobec protestów ganili nietylko „episkopalni" ale i „niezależni". Jak i owo ogłaszanie protestów przyganiali „Kurjerowi Polskiemu" nietylko „episkopalni" ale i „niezależni" także. Oto co jakiś „niezależny" Jan Jeż z Webster, Mass., 21. czerwca 1907. do „Kurjera Polskiego" pisał:

„Szanowny Redaktorze! Dziś ciężko czytać waszą gazetę. Najwięcej jednak rażą w niej odezwy, „protesty" itd. itd. Poco wy, panowie, tak dużo językiem walczycie?... Czyście wy dopiero te-

raz się dowiedzieli o złodziejskich zamiarach biskupów ajryskich i niemieckich? Czyście się dopiero teraz przekonali, że oni, znając głupotę, a raczej fanatyzm Polaków, odebrali nam majątki i teraz chcą jeszcze pozbawić nas ducha i uczucia narodowego?... Pocóż pisać takie brednie: „Ks. Kruszka przysięgał posłuszeństwo biskupowi, więc choć mu teraz kołki na głowie ciosają, cierpieć musi, ale nigdy nie zostanie hersztem niezależnych jak śp. bp. Kozłowski!" — Tak, ks. Kruszka nie zostanie hersztem niezależnych, bo ma zamało odwagi, za mało wiary czystej Chrystusowej i za mało wiary w przyszłość naszego polskiego narodu... Krzyczał niedawno „Kurjer": „Nie dajmy się, bracia, brońmy swojej własności, swoich praw — ale nie dajmy się uwieść do odstępstwa od wiary — bobyśmy sprawę przegrali — a my ją wygrać musimy!" Nie wiem, kto wygrał sprawę. Czy rzymsko-ajryscy polacy, czy niezależni? Niech sobie Sz. Redaktor przypomni bajkę Krasickiego: „Mysz i żółw". Niech redaktor „Kurjera" nie pomiata zanadto i niech nie brzydzi się pryczerami niezależnymi, niech nie uważa za ubliżenie sokołom, że ich posądzano, jakoby mieli sprowadzić pryczera niezależnego, aby im odprawił mszę św. polową... Chcesz, szanowny redaktorze „Kurjera", wiedzieć czem jest ksiądz niezależny, to idź i zobacz i przekonaj się, jak on pracuje dla dobra braci... A czem jest ksiądz rzymsko-ajrysko-polski? Zdziercą — wyzyskiwaczem i sprzedawczykiem"...

Redakcja „Kurjera" na te zarzuty niezależnych dała 28-go czerwca 1907 taką odpowiedź:

„...Ani „Kurjer Polski", ani lud polski w Ameryce, a tem mniej ks. Kruszka, nie dążą do odstępstwa, tylko dopominają się dla siebie i całego narodu polskiego sprawiedliwości. My zaś sądzimy, że to najmędrszy sposób postępowania w tej sprawie.

Redakcja".

Niestety, w późniejszych latach redakcja „Kurjera" ten „najmędrszy sposób postępowania w tej sprawie" porzuciła ku wielkiej satysfakcji episkopalnych i niezależnych!

Tak więc zarówno episkopalni jak i niezależni brali mi za złe moje milczenie i cierpliwe znoszenie krzywdy. Papieżnicy zaś w dalszym ciągu ogłaszali w „Kurjerze" swoje protesty przeciw zakazom biskupim, między innymi Tow. K. Pułaskiego z Toledo, O.; grupa 96 Z. N. P. w Calumet, Mich., Gmina Polska w St. Louis, Mo., Józef Machalski z Fisherville, Mich., Szczepan Rózga z Man-

fred, North Dakota; Alojzy Łuczkowski z Perham, Minn., L. Wójcik z Newark, N. J., wiec Gmin Związkowych w Cleveland, O. i tak dalej przez całą wiosnę i całe lato 1907. A gdy episkopalni zarzucali, że „protesty te piszą tylko ludzie bez Boga i wiary, zapijający się po salunach", odpowiadano im: „Na protestach mamy podpisane zarządy towarzystw parafjalnych, protestowały całe osady i protestowały jednostki, które nigdy trunków rozpalających nie używają. Niema chyba osady w Stanach Zjednoczonych, skądby protestu nie wysłano". (Laik z Detroit, Mich., 10 lipca 1907.)

Powyżej z listu Jana Jeża dowiedzieliśmy się, dlaczego niezależni brali mi za złe moje milczenie. A teraz zobaczmy, dlaczego episkopalni nie byli zadowoleni z mojego milczenia. Tłumaczy nam to sążnisty, z ośmiu artykułów złożony „List O. Manela" z Pułaski, Wis., 15 lipca 1907, pisany do redakcji „Kurjera Polskiego" z prośbą o „dosłowne umieszczenie w „Kurjerze Polskim", „Gazecie Wisconsinskiej" i „Kurjerze Tygodniowym". „Kurjer" umieścił cały ten List 20 lipca 1907, w którym O. Manel powiada: „Npw. arcybiskup zakazał W. Ks. W. Kruszce pisywać **tylko** do „Kurjera Polskiego", lecz nie zakazał mu pisywać do pism katolickich". To samo powtarzały episkopalne pisma: „Wiarus", „Dzien. Chic.", „Nowiny", i „Kurjer Katolicki".

Na to „Kurjer Polski" tak odpowiedział:

„Tem twierdzeniem O. Manel i księża Suplicki, Pacholski, Góral i Zmartwychwstańcy przyznają sami, że arcybiskup nic nie miał przeciw temu, co ks. Kruszka pisał; lecz tylko zakazał mu umieszczać swoje artykuły w „Kurjerze"! A jeżeli arcybiskup nie miał nic przeciw artykułom ks. Kruszki i nie zakazywał umieszczać ich w gazetach katolickich, to tem samem arcybiskup uznał, że w artykułach ks. Kruszki niema nic złego! Jeżeli zaś sam arcybiskup uznał, że w artykułach ks. W. Kruszki niema nic złego, i że on może je publikować w gazetach katolickich, to na jakiej zasadzie O. Manel i wyżej wymienieni księża potępiali i potępiają ks. Kruszkę i to, co on pisał?..."

191. Poświęcenie kościoła i szkoły w Ripon. — Arcybiskup Messmer usprawiedliwia swój zakaz w „Milwaukee Sentinel". — Nauczycielu, nałaj uczniom twoim!

Chociaż milczałem i nie odpowiadałem na zaczepki episkopalnych i niezależnych, to jednak w Ripon bezczynnie nie siedzia-

łem. W tym czasie zakazów biskupich i protestów, na wiosnę r. 1907, przypadało dokończenie budowy kościoła św. Wacława i zarazem początek budowy szkoły św. Wacława w Ripon, tak, że poświęcenie kościoła i poświęcenie kamienia węgielnego pod szkołę przypadło w jeden i ten sam dzień pod koniec wiosny, mianowicie, w niedzielę, 9 czerwca 1907.

Miałem nadzieję, że arcybiskup, który był w Ripon na oglądaniu ruin po pożarze, przybędzie także na poświęcenie nowego kościoła i kamienia węgielnego pod szkołę polską. Atoli na mój list zapraszający dał mi odmowną odpowiedź w następnym liście:

„Milwaukee, Wis., 17. V. 1907.

„Rev. dear Sir!

I am sorry to say that all the Sundays from now till July 28 are cagaged. It will be impossible for me to come to Ripon on the day mentioned in your letter. But I shall gladly delegate the V. Rev. Father Czarnowski, Dean of your district, to bless the church. Confirmation may be postponed for some time in fall. I shall immediately notify Rev. Czarnowski.

Sincerely yours

† *S. G. Messmer,*

Abp.

The Rev. W. Kruszka,

Ripon.

Ceremonja poświęcenia kościoła rozpoczęła się dopiero o godzinie 11 przed południem, gdyż czekano na przybycie pociągu z Milwaukee, którym przybyło przeszło 200 osób. Przybyli Milwauczanie zastali przed kościołem tłumy wiernego ludu z Ripon i okolicy. Z Berlina przybyło również ze 200 osób, a wśród zebranych przed kościołem było też wielu innonarodowców z Ripon. Kościół poświęcił ks. dziekan January Czarnowski z Berlina, Wis. Obecnymi byli ks. W. Polaczyk z Hull, Wis., i ks. Daszkowski z Minnesoty. Ks. Antoni Prądzyński z Milwaukee odprawił sumę, a kazanie powiedział ks. dziekan Czarnowski. Po południu ks. dziekan Czarnowski w towarzystwie obecnych księży dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod nowobudującą się szkołę parafjalną i dom Sióstr. Milwauczanie odjechali z powrotem o godz. 4.30 po południu.

Arcybiskup Messmer swój zakaz nieraz usprawiedliwiał w prasie angielskiej. I tak np. w „Milwaukee Sentinel" z 23 kwiet-

nia 1907 powiada, że mi zakazał pisać „either about the agitation for a Polish bishop or other church questions". I jako powód tego zakazu podaje: „The newspapers are not the place **for** such agitation".

Tak, to prawda, gazety nie są **for** such agitation. Ale **against** such agitation — to one są! Czyż arcybiskup sam co chwila w gazetach nie przemawia **przeciw** naszej sprawie? Przykład z góry idzie.

Jako dalszą przyczynę, dlaczego w gazetach nie mam za tą sprawą agitować, arcybiskup podaje ten zdawkowy frazes:

— Rome will make it as soon as the time is ripe.

Z jednej strony arcybiskup w „Sentinelu" oświadcza: „I feel strongly that it is right that there should be a Polish bishop, one who can speak to these people in their own language when he preasbet to then at confirmation or other services". Tę koncesję więc robi w teorji, ale nie chce dopuścić, żeby w praktyce do tego przyszło, bo dodaje z drugiej strony:

— It would not be wise to create a new bishopric here in Milwaukee and place this bishop over the Polish churches in this country. That would divide the authority and set up a church within a church".

That would divide the autority — i cóż z tego? Czy bishop authority musi być jeden? Przecież powag biskupich w Kościele może być i jest wiele!! Chodzi przecież tylko o jedną wiarę i o jedną powagę papieską, a nie o to, żeby tylko jeden biskup był.

That would set up a church within a church. A parafje czy nie są terytorjalnie jedna w drugiej? ajryska w polskiej, i odwrotnie? A czemże jest diecezja, jeśli nie zwiększoną tylko parafją?

„The question must be solved in some other" — powiada arcybiskup dalej w „Sentinelu". Ale **w jaki sposób?** Podaje te dwa:

„Either by appointment of a Polish bishop when some vacancy shall occur or by making him coadjutor to one of the present bishops".

Otóż, abstrahując od tego, że obecni biskupi nie są skłonni rozwiązać owej kwestji ani w jeden ani w drugi sposób, obydwa te sposoby byłyby najniepraktyczniejsze. Czemu? Bo w ten czy ów sposób jedni Polacy mieliby biskupa swojego w obrębie pewnej diecezji, a drudzy nie. A przecie **wszyscy** Polacy mają to równe prawo, które im już wyżej sam arcybiskup przyznał słowami: „that

it is right should be a Polish bishop, one who can speak to these people in their own language".

Już zaś to tylko da się uskutecznić **w ten sposób,** że ustanowi się biskupstwa polskie tak jak się ustanowiło probostwa polskie. Zdaniem samego papieża Piusa X, jak to słyszałem w Rzymie, to jest jedyny praktyczny sposób załatwienia całej tej piekącej sprawy. I gdyby nie silna a uparta opozycja episkopatu ajryskiego, Rzym byłby ją w ten sposób załatwił już dawno wtedy, kiedy Niemcy przez Cahensly'ego o narodowe diecezje czynili starania.

Zresztą my Polacy nie upieramy się przy tym sposobie, **jeżeli** biskupi obecni mają **lepszy** sposób. Niech go podadzą!

„But the Polish people ought to be led to understand the situation **correctly.** At present there are many mistaken notions". Tak kończy arcyb. Messmer. Co to znaczy? To chyba znaczy, że Polacy powinni wiedzieć o co obecnym biskupom chodzi: że im chodzi o wynarodowienie Polaków i zlanie ich w jeden „amerykański". Oj, pod tym względem the Polish people understand the situation correctly! Lud polski dobrze rozumiał, o co ajrysko-niemieckim biskupom chodzi.

Nie rozumieli tylko, czy nie chcieli rozumieć, księża orjentacji episkopalnej, jeżdżący na pstrym koniu łaski biskupiej. Do nich należał i ks. prałat Dominik Majer w chwili, gdy z St. Paul, Minn., 15 maja 1907 tak mi pisał:

„Wielebny Ks. Wacławie! Przesyłam pięć dolarów za Historję. Przejrzawszy ją, zdziwiłem się nad pracą, jaką Ksiądz podjąłeś, a jeszcze więcej nad szperaniem faktów i dowodów... Co się tyczy naszego biskupstwa, to radbym, by sposób postępowania mógł być zmienionym. Ludzie tego nie rozumieją, ani pojmują, co to jest być biskupem, a przytem mają dziwne pretensje, że są Polakami i myślą, że, gdy są prześladowani w kraju, cały świat powinien ich żałować i zachciankom ich zadośćuczynić. A gdy się to nie dzieje, krzyczą, że im się krzywda dzieje i dalejże na wszystkich. My znowu kapłani, zamiast hamować ich w tych zapędach, jeszcze więcej dolewamy oleju do ognia, przez co bardzo sobie szkodzimy. Więcej rozsądku, więcej zimnej krwi, więcej rozwagi, a mniej krzyku i hałasu, więcejby nam przyniosło korzyści. Co się tyczy osoby Księdza, to przypuszczam, że te pisaniny po gazetach na korzyść Księdza są bez wiedzy Waszej — ale proszę wierzyć, że one więcej Księdzu szkodzą, niż pomagają — a najdrożsi Jegomoście nie śpią..."

Otóż ja bardzo dobrze wiedziałem, że te protesty ludu „więcej mi szkodzą niż pomagają". Ale nie mogłem ich zganić. Natrętne wołania moich wrogów, żebym „głośno zaprotestował przeciwko tym, którzy mnie w gazetach bronią i chwalą" („Nowiny" z 8-go maja 1907 i indziej), mimowoli przypominało mi, jak „niektórzy faryzeuszowie z rzesz rzekli do Niego: „Nauczycielu, nałaj uczniom Twoim" za to, że ci pochlebiają (Łuk. 19, 40).

192. Do arcybiskupa Messmera zanoszę formalną skargę na „Nowiny".

Chociaż milczałem i w gazetach nie odpowiadałem na napaści moich przeciwników, to jednak po sześciu tygodniach czułem się w sumieniu zmuszony dochodzić sprawiedliwości na drodze prawnej. Albowiem się przekonałem, że „Nowiny", i trzy pokrewne im pisma, przez ciągłe kłamstwa i oszczerstwa chcą mi śmierć zadać społeczną, chcą mnie zabić w opinji publicznej i przez to — świadomie czy nieświadomie — ubić sprawę, którą przedstawiałem. Więc pod koniec maja 1907 napisałem do arcybiskupa Messmera następujący list:

„When Your Grace sent me the order forbidding to write anything for the „Kurjer Polski", I obeyed your order in letter as well as in spirit, except that I allowed the „Kuryer" to publish your prohibitory order as an explanation to the stockholders and readers of the „Kuryer", as I was under contract to furnish the „Kuryer" twice a week several columns of reading matter pertaining to Polish church affairs. Since then I have not written any articles of whatsoever nature for the „Kuryer Polski".

„Notwithstanding this, the „Nowiny" — of which Your Grace is a part owner, and the character, tenor and „work" of which Your Grace unrestrictedly approved in an official letter published in that paper, together with Your Grace's partrait, on February 27-th 1907, — this „Nowiny", edited by Rev. B. Góral of St. Francis., Wis., charged me several times falsely that I continue to write and inspire articles for the „Church and National Affairs" column of the „Kurjer Polski". I have reasons to believe that this falsehood was published in the „Nowiny" deliberately, with the malicious intent to misrepresent me; as, after printing this falsehood, and taking it for a basis of criticism, the „Nowiny" abused me in the most outrageous manner, — and that in every edition, for the last

two months. And there are — unfortunately — three other Polish so called „catholic" papers in nawe, and pagen in spirit, who repeat the libelous and malicious falschoods and exchange them among each other.

„Of course, they understand it es I do, that I may not get a permission to ask redress in a civil court for wrongs done me in those papers by priests. And therefore they think they are safe even if they charge me falsely and maliciously with the most hineous crimes.

„However, every man has a right to defend himself. Therefore I would ask you to permit me to defend myself, as a priest and as a citizen. As far as the laymen interested in those publications are concerned, my attorneys will take proper care of them and prosecute them to the finish. But as to the priests who make false accusations, I would ask your permission to defend myself against their attacks publicly, as I was publicly attacked; to defend myself in the same unrestricted manner as they have abused me in an unrestricted manner; to defend myself in publications which in my opinion will give my defense the most publicity, that is, in the daily and weekly „Kuryer Polski", especially because several of the slanderous papers, the „Nowiny" included, have refused to retract their false accusations made by them against me.

„I trust that Your Grace will see the justice in this my request and grant it to me as toon as is convenient for Your Grace".

Na to arcybiskup Messmer 27 maja 1907 odpisał mi tak:

„Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis., Dear Sir! Your communication regarding „Nowiny" and other papers received. You are quite right in saying that that by the law of the Church you have no right of going to the civil court without my permission, which will certainly not be given until the matter has been discussed before the ecclesiastical court of this Archdiocese. This refers to priests as well as layman. I will try to have the matter taken up at my earliest convenience, which will be the week after next. In the meantime I wish you will hand in your written formal and specified charge against Rev. Goral as well as the others connected with the „Nowiny" against whom you mean to proceed. Respectfully Yours

† *S. G. Messmer,*
Abp."

Niebawem posłałem arcybiskupowi żądaną skargę:

„Received your letter of May 27-te, in which you ask me to hand in my written formal and specified charge ageinst Rev. Góral editor as well as the others connected with the „Nowiny“ Here it is:

Not looking back into the preceding months, during the last month of May alone, the „Nowiny“ made the following false and libelous statements about me:

On May 1-th 1907 the „Nowiny“ wrote: „Al though Father Kruszka expressly declared that he will obey the prohibitory order of Abp. Messmer, newertheless we have plenty of proofs that up to this time he did not cease to write **anonimously**“.

This statement is repeated on May 8-th. 1907. The farcical „retraction“ of May 15-th only reaffirms that statement.

Again on May 1-th: „His own secret crimas are the cause why he stays at Ripon in aeternum“. — „All the 600 Polish priests in America, Archbishop Symon in Rome, Polish Bishop in Europe, all the Bishop in America, and the Holly Father himself, all are against Father Kruszka“. — „Since Father Fox became bishop of Green Bay diocese, Father Kruszka never asked for faculties and also never received them. Father Kruszka simply entered into the Green Bay diocese like a man breaking into a strange house without notify ing the proprietor“.

On May 8-th: „Father Kruszka, the unfortunate renegade, not only does not recognize the American bishops as a higher authority in the Catholic Church, but also spits venomously upon our Polish Bishops and Archbishops in the old country for the reason because they do not break loose from the authority of the Holy Father in Rome.

On May 22-nd: „Father Kruszka has no faith in his heart.“ — „Father Kruszka delivers patriotic sermons, but he arises agoinst the Church, because he despises the Pope, the Cardinals and the Bishops; therefore, he is even worse and more dangerous than Hodur“. — „He not only was biting like a snake secretely but also publicly he wrote against the ecclesiastical authority, against the Sacrament of Penance etc.“ — „That Father Kruszka had no vocation to the priesthood, of this the best testimony gave the Jesuit Fathers who chased him out of their College.“ — „Father Kruszka could not be an assistant, cannot get a parish, cannot build a church with his congregation.“ — „Father Kruszka with the „Kuryer“ ruined everything good.“ — „One can doubt whether Father Krusz-

ka will be saved; even I do not believe, that he will be saved." — „All the people see in Father Kruszka a perverted man."

On May 29-te: „Father Kruszka in his History killed already the Resurrectionists, at present he continues to carry war with the Polish Franciscans and with the editor of the „Nowiny" through his brother Michael; and besides in a series of articles published in the „Dziennik Poznański" in his own way he deprives the american bishops of honor and faith." — „Father Kruszka is the foremost rebel in Christ's Church in these last times; thare were Stojałowskis in Galicia, Kozłowskis, Hodurs, Rademachers, Pociechas and several other scoundrels in America; there are Mankietnicy in Poland — but all those rebels are even morally higher then Father Kruszka". — „Father Kruszka expressly wrote that, if Rome will not take care of us, we will get along even without Rome, that is, we will separate from the Catholic Church." — „Not only now, but already long ago **they punished** Father Kruszka by denying him a promotion."

There were by far more such slanderous and libelous statements made by the „Nowiny". But let the above made in one month suffice. Most earnestly I do beseech the ecclesiastical court to give the judgement and make the „Nowiny" publicly retract the above meationed libelous statements.

Ale na powyższą tę wyszczególnioną skargę arcybiskup Messmer nie pospieszał się z odpowiedzią. Minął tydzień, minęły dwa i trzy tygodnie. Milczał. Chociaż obiecał w ostatnim liście z 27 maja 1907 rozpatrzeć moją skargę „the week after next". Dnia 27 czerwca 1907 pisał: „Rev. dear Sir. The Imprimatur for the XI. volume of your History is hereby granted. Sincerely † S. G. Messmer, Abp." O wniesionej przeze mnie skardze ani słówka. Kiedy upłynęły dwa tygodnie, odebrałem tylko taką odpowiedź 16 czerwca 1907: „Rev. dear Sir. I must beg of you to be a little patient as I have just now far more important matters on hand than your case vs. „Nowiny". Respectfully Yours † S. G. Messmer, Abp." Taka odpowiedź nie podziałała na mnie zbyt uspokajająco.

193. Zanoszę skargę do Delegata Apostolskiego. — Odpowiedź. — Budowa szkoły. — List do warszawskiej „Wiary" wypędza ducha episkopalizmu.

Tymczasem napaści na mnie nie ustawały. Swego czasu O. Franciszek Manel z klasztoru OO. Franciszkanów w Pułaski.

Wis., skrytykował mnie na kazaniu. Jego kazanie tak przypadło do gustu „episkopalnym" czyli pochlebcom niemieckich biskupów, że kazali je wydrukować w tysiącach egzemplarzy na cyrkularzu i rozdawali je nawet dzieciom po szkołach, a gazety episkopalne przedrukowywały kazanie owe z dodatkowymi na mnie napaściami. Otóż dnia 13 czerwca 1907 także w szkole św. Jadwigi w South Bend, Indiana. rozdano dzieciom ów oszczerczy cyrkularz, którego nagłówek brzmiał tak:

„Korespondencja podana do gazety „Wiarusa" przez Przewielebnego O. Franciszka Manela, Franciszkanina z Pułaski, Wis., który dawał misję przed kilkoma laty w Sauth Bend, Ind."

Powiedziano dzieciom w szkole, aby przeczytały ten cyrkularz w domu, bo to jest bardzo ważna rzecz. Nadto powiedziano dzieciom: „Dlatego, że ks. Kruszka nie został biskupem, z tego powodu gniewa się na innych księży itd." W 7 klasie Siostra, z domu Hosińska, przeczytawszy ów cyrkularz, mówiła do dzieci przeciwko mnie. Wtem jeden z uczniów, jej kuzyn Alojzy Hosiński, syn Franciszka Hosińskiego, odezwał się na głos o mnie:

— He ought to be shot! (Ks. Kruszka powinien być zastrzelony!)

Za to dostał od Siostry pochwalny uśmiech.

Gdy dnia 20 czerwca 1907 powyższe zdarzenie wyczytałem w gazetach, zacząłem tem natrętniej domagać się u władz kościelnych odwołania oszczerstw, rzuconych na mnie przez „Nowiny". Ale moja skarga, wytoczona **przed** arcybiskupa Messmera, była zarazem skargą **przeciw** arcybiskupowi Messmerowi, który niedawno publicznie i uroczyście aprobował „Nowiny" jako najlepsze pismo katolickie. Stąd zrozumiała dla każdego zwłoka w procesie przeciwko „Nowinom". W przekonaniu, że arcybiskup Messmer ten proces odłoży na święty Nigdy, dnia 25 czerwca 1907 posłałem tę samą wyżej wspomnianą szczegółową skargę na „Nowiny" do Delegata Apostolskiego w Washingtonie, żądając już nietylko odwołania oszczerstw ale nadto 10,000 dolarów odszkodowania i parafji w Milwaukee — to ostatnie właśnie dlatego, że „Nowiny" pisały, że ja **za karę** siedzę w Ripon.

Upłynęły prawie trzy tygodnie, a i od Delegata Apostolskiego nie nadchodziła żadna odpowiedź.

Wtedy dnia 15 lipca napisałem drugi list do Delegata. A na ten list otrzymałem zaraz następującą odpowiedź:

Apostolic Delegation
United States of America.
No. 15 250-c.
(This No. should be prefixed to
the answer.)

1811 Biltmore Street,
Washington, D. C.
July the 17th, 1907.

Reverend Sir!

Replying to your letter of the 15th instant, I beg to say that immediately upon receipt of your letter of the 25th ult., I wrote for information regarding the mather to which it refers. As soon as I have received said information, you will receive an answer.

Faithfully Yours in Xto.,

† *D. Falconio,*
Apostolic Delegate.

The Reverend Wenceslaus Kruszka,
Ripon, Wisconsin.

Ta odpowiedź stanowczo mnie uspokoiła na dłuższy czas.

Tymczasem bardzo zajęty byłem budową szkoły, którą koniecznie wykończyć i otworzyć chciałem już we wrześniu tego roku. Na tę szkołę parafjanie złożyli tysiąc dolarów; nadto parafja pożyczyła tysiąc dolarów — jedyny dług, jaki parafja zaciągnęła po pożarze; a trzy tysiące dolarów mój człowiek dał z własnej kieszeni. Chociaż tylko półtora tysiąca miałem wtenczas we własnej kieszeni, dzięki dochodowi z „Historji Polskiej w Ameryce", drugie półtora tysiąca pożyczyłem na swoje imię od miejscowego bankiera p. Stone. Był on dla mnie tak grzeczny, że nie żądał ode mnie żadnej innej gwarancji oprócz prostego podpisu mojego imienia i nazwiska na nocie. Dług ten z procentem spłaciłem mu dopiero, gdy otrzymałem probostwo w Milwaukee, Wis.

W owym czasie arcybiskup Messmer wydał nowe prawa w książeczce zatytułowanej „Handbook For Catholic Parishioners" (Podręcznik dla katolickich parafjan). Rozporządził, żebyśmy religji uczyli nietylko po polsku ale i po angielsku. I na str. 63 wyraził się tak:

„Gdzie osoby, czy to księża, czy cywilni, sprzeciwiają się zaprowadzeniu takiego katechizmu (polsko-angielskiego), dowodzi to z ich strony pożałowania godnej nieznajomości potrzeb Kościoła katolickiego w tym kraju albo grzesznego i ślepego fanatyzmu narodowego."

A ponieważ Polonja amerykańska sprzeciwiała się zaprowadzeniu „takiego katechizmu", więc powyższemi słowami arcybiskup Messmer splunął tej Polonji w twarz. Cała Polonja oburzyła się na to, tylko nie milwauckie „Nowiny" i toledoski „Kurjer Katolicki". Te dwa pisma episkopalne nazwały te plwociny — deszczem. Detroicki „Dziennik Polski" słusznie zauważył:

„Znalazły się tylko dwie gazety, które wzięły na siebie smutną rolę obrońców arcybiskupa i hakatysty; są niemi osławione „Nowiny" milwauckie i kiepski dowcipniś toledoski „Kurjer" tak zwany katolicki... Ks. Góral w swych „Nowinach" posunął się w swej gorliwości fagasowskiej nawet dalej niż arcybiskup Messmer, bo chciałby uczyć niektóre dzieci polskie tylko po angielsku... A cóż dopiero powiedział ten służbista na żołdzie hakaty amerykańskiej, gdy przeczytał komunikat Wydziału Wykonawczego, który brzmi tak:

„Pierwsza sprawa, jaką się zajął Wydział Wykonawczy, to ów **moralny policzek,** jaki całej Polonji amerykańskiej zadał arcybiskup Messmer, po części oskarżając nas wszystkich (bo wszyscy jak dotąd uczymy dzieci naszych katechizmu wyłącznie po polsku) o grzech przeciwko Wierze, jakiego się rzekomo dopuszczamy przez nasz szowinizm narodowy, po części wyzywając nas od ignorantów. Skonstatowaliśmy, że ten policzek, wymierzony nam przez dostojnika Kościoła, całą Polonję amerykańską dotknął do żywego. Następnie przyszliśmy do przeświadczenia, że na podobne bolesne traktowanie nas przez Kościół Matkę naszą nie zasługujemy. Myśmy jako naród nie otrzymali nakazu głoszenia prawd wiary św., to należy do Kościoła nauczającego, lecz mamy przyrodzony obowiązek starać się o swój byt i egzystencję tudzież o dobre imię, do którego nie ma prawa ten, który zasłużył sobie na miano renegata sprawy tak świętej i czystej i szlachetnej, jak nasza sprawa narodowa. Uważamy za rzecz potrzebną, a nawet konieczną, rozbudzenie akcji, mającej na celu ochronienie nas od podobnych rozporządzeń na przyszłość."

„Gdyśmy powyższy ustęp przeczytali — pisze detroicki „Dziennik Polski" — początkowo nie chciało nam się wierzyć, żeby pod nim mógł się znajdować podpis ks. Sztuczki, sekretarza Wydziału Wykonawczego. Przecie to wygląda niemal tak, jak gdyby był wyszedł z pod pióra „buntownika" ks. Kruszki! Wszak to według nauki „przewielebnego" redaktora „Nowin" otwarty bunt przeciw zwierzchności kościelnej, bo żaden śmier-

telnik — zdaniem jego — nie ma prawa krytykować rozporządzeń kościelnych!!"

Duch episkopalizmu, jak zaraza, szerzył się wówczas nietylko po Ameryce, ale i w Polsce. Warszawski tygodnik katolicko-społeczny p. t. „Wiara" także zaraził się tym duchem episkopalizmu. Dlatego wziąłem choć zardzewiałe pióro do ręki i napisałem do „Wiary" następujący list (ogłoszony we „Wierze" 28-go września 1907):

Ripon, Wis., 7 września 1907.

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę w łamach swego pisma umieścić następujące sprostowanie:

„Wiara" w No. 32 z 10 sierpnia br. ogłosiła takie zdanie: „...jeśli chcemy dostać biskupów Polaków, musimy przedewszystkiem jednać sobie biskupów amerykańskich. Na nieszczęście tego zrozumieć nie chcą nasi tamtejsi agitatorowie."

Otóż to niezupełnie słuszne powiedzenie, jakobyśmy „zrozumieć tego nie chcieli". Od 20 zgórą lat Polacy amerykańscy „jednali sobie" biskupów amerykańskich, zanim do Rzymu apelowali. Ale ich sobie nie zjednali i w żaden sposób zjednać ich sobie nie mogli. Dlaczego? Dlatego poprostu, że w poglądach swoich **zawsze zasadniczo różnili się i różnią od biskupów amerykańskich.** Naprzykład Polacy w Ameryce zawsze obstawali i jeszcze dziś obstają przy tem, żeby dzieci polskie uczono katechizmu **wyłącznie po polsku**; biskupi zaś chcą, żeby je uczono po polsku **i angielsku.** My tu wiemy i rozumiemy dobrze, co taki **jeden krok** do angielszczyzny znaczy dla wiary i narodowości polskiej w Ameryce — i dlatego opieraliśmy się temu. I oto arcyb. Messmer z Milwaukee w swojem świeżo wydanem „Handbook for Catholic Parishioners" nazywa nas „ignorantami nie znającymi potrzeb Kościoła w Ameryce albo grzesznymi i ślepymi fanatykami narodowymi" (str. 63) jedynie dlatego, że dzieci w szkołach polskich uczymy religji wyłącznie po polsku. Na taki komplement, już nie wojowniczy ksiądz Paukszto, ale nawet bardzo „pojednawczo" usposobiony Wydział Wykonawczy III. Polsko-Katolickiego Kongresu był zmuszony dać wyraz swojemu oburzeniu w ostatniem orędziu, którego ustęp odnośny tu przytaczam... Zjednać więc sobie biskupów amerykańskich nie możemy **tak długo, jak długo oni obstają przy swoich poglądach anglizatorskich,** a my przy swoich narodowo-polskich..

Albo oni ustąpią, albo my im. Inaczej do „pojednania" nie dojdzie. **My nie ustąpimy,** bo ustąpić nie możemy — chyba byśmy chcieli sami podpisać wyrok śmierci na swoją narodowość a tem samem wiarę przodków naszych.

Ks. Wacław Kruszka,

194. List prof. Sanforda w sprawie „Historji". — Arcybiskup Quigley chce biskupa polskiego. — Arcybiskup Messmer sam poświęca szkołę polską w Ripon. — Z. N. P. wyraża mi uznanie.

Oprócz bibljotek miejskich i stanowych na wschodzie i zachodzie, także profesor Albert H. Sanford, professor of History and Civics in the State Normal School of Stevens Point, Wis., zainteresował się moją „Historją" w następującym liście z dnia 16 sierpnia 1907: „Rev. Waclaw Kruszka, Ripon, Wis. Dear Sir! I have undertaken to investigate the history of the Polish settlement in Portage County, in preparation of a paper to be read before the State Historical Society this fall. In this connection I have made use of your valuable „History of the Poles in America", in which I am much interested. Your brother, of Milwaukee, was so good as to send me some volumes, and we have the set in our public library. In order that my work may be thorough, I shall be glad to learn of any documents, records, or other sources of information which I can find relating to the coming of Polish settlers into Portage County. Can you refer me to the sources upon which your account given in volume 7, pp. 21 and following is based? Whom should I consult with regard to this history? I am also looking into the connection between this and other Polish settlements in the State and shall be glad if you will mention the names of persons who are informed upon this subject. Any assistance that you can give me will be very gratefully received. Theuking you in advance, I am, Very truly yours Albert H. Sanford."

Żądaną odpowiedź otrzymał.

Kiedy arcybiskup Quigley z Chicago był tego roku w Rzymie i dowiedział się od Ojca św. Piusa X, że arcybiskup Weber ma tu przyjechać jako biskup dla Polaków w Ameryce, wtedy miał Ojcu św. powiedzieć:

— Kiedy już ma być biskup polski w Ameryce, to niech nim będzie jeden z kleru polsko-amerykańskiego.

Wróciwszy więc do Ameryki, arcybiskup Quigley 16 sierpnia 1907 zwołał do hali w szkole katedralnej w Chicago wszystkich

polskich proboszczów swojej archidiecezji, wyciągnął z kieszeni kilkanaście kartek i ołówków a rozdawszy je obecnym księżom polskim, przemówił w te słowa:

— Otóż, czcigodni księża, spotyka mnie zaszczyt zawiadomienia was o wiadomości otrzymanej z Kongregacji de Propaganda Fide, która na życzenie Ojca św. postanowiła zamianować Polaka sufraganem w archidiec. chicagoskiej. Ów biskup sufragan spełniać będzie funkcje biskupa **nietylko dla Polaków, ale wszystkich wiernych** w archidiecezji. Biskupem tym będzie ten, którego wybiorą księża polscy z naszej archidiecezji. Aby tę sprawę prędko załatwić, przystąpimy natychmiast do głosowania.

Powiedziawszy to, arcybiskup Quigley nie dał nawet księżom czasu do namysłu i każdy z nich wypisał na kartce jako kandydata tego księdza, którego uważał za najzdolniejszego i najzasłużeńszego.

Arcybiskup Quigley sprytnie się urządził, postarawszy się o biskupa polskiego **dla wszystkich wiernych,** bo w ten sposób na długi czas sprawę biskupa polskiego w Ameryce zepchnął z głównego toru na tory poboczne.

W drugiej połowie sierpnia 1907 zaprosiłem arcybiskupa Messmera na poświęcenie szkoły polskiej w Ripon. Dnia 22 sierpnia 1907 odpowiedział mi:

Rev. dear Sir!

Please to let me know if you desire a Sunday or a weekday for the blessing of your school. I can then make the appointment.

Sincerely Yours

S. G. Messmer,
Abp.

Dnia 30 sierpnia doniósł mi:

Dear Sir!

I have reserved Saturday, Sept. 28th, feast of St. Wenceslaus, for the blessing of your school.

Sincerely Yours

S. G. Messmer,
Abp.

Dnia wreszcie 22 września 1907 zawiadomił mnie:

Dear Sir!

I shall come next Friday forenoon (11. am.) and shall go straight to Rev. F. Cosgrove, as I am to go out with him to Green Lake that

afternoon. In the evening I can come over to your house, unless it be more convenient all around that I stay with Rev. Cosgrove. You will probably have the house filled with your visiting friends it being your namesday also.

Sincerely Yours

S. G. Messmer,

Abp.

Dnia więc 28 września 1907 odbył się odpust i poświęcenie szkoły. Przybył arcybiskup Messmer, oraz księża: Zaręczny z Berlina, Woźny z Princeton, Korczyk z Grand Rapids, Fiss z Berlina, Cosgrove i Biewer z Ripon. O godz. 8 arcybiskup udzielił dzieciom komunji św. O godz. 9:30 poświęcił nową szkołę. O godz. 11 udzielił 57 osobom bierzmowania. Sumę celebrował ks. Biewer a kazanie powiedział ks. Zaręczny. Arcybiskup Messmer w swojem angielskiem kazaniu chwalił parafję i jej proboszcza i dodał, iż cieszy się, że na poświęcenie szkoły do Ripon mógł przybyć w dzień imienin proboszcza.

Habent sua fata libelli. Moja broszurka p. t. „The Unbeliever before the Tribunal of Reason" roku 1900, a więc siedm lat temu wydana i już wyczerpana, sądziłem, że jest całkiem zapomniana. Aż tu ni stąd ni z owąd jakiś Rev. B. J. Froegel, rector of St. Augustine's Church z Brighton, Colorado, 10 października 1907 tak mi pisze: „Rev. dear Father! Your pamphlet „The Unbeliever before the Tribunal of Reason" found its way into my hands sometime ago. As I considered it very valuable for distribution among the indifferent I would ask you to send me some 10, or even 25, copies. Kindly send me the price for the same along. Sincerely in Xto B. J. Froegel."

Związek Narodowy Polski na sejmie XVII w Baltimore, Md., uchwalił między innemi taką rezolucję: „Zważywszy, że niebezpieczeństwo wynarodowienia się grozi coraz więcej wychodźtwu polskiemu w Ameryce wobec zakusów pewnych biskupów cudzoziemskich, ...chcemy wierzyć... że społeczeństwo polskie w Ameryce zechce zająć w tej sprawie godne kulturalnego narodu stanowisko a ludziom świeckim i kapłanom takiej miary jak ks. Wacław Kruszka z Ripon, Wis., i ks. Gralewski z Warszawy, którego rząd moskiewski skazał na wygnanie bez prawa powrotu, wyrażamy słowa uznania i zachęty do wytrwania w żmudnej, ciężkiej ale pożytecznej dla Wychodźtwa polskiego pracy."

Autor dzieła p. t. „Poland the Knight among Nations" raczył mi podarować jeden egzemplarz swojej książki, pisząc mi z Nowego Yorku, 13 Astor Place, 22 paźdz. 1907: „My dear Sir! I have asked my publishers (the American Monthly Review of Reviews) to send you, with my compliments, a copy of my book „Poland the Knight among Nations". This is really a tribute of my admiration for the Polish people. In the chapter ou Poles in America I venture to quote from your own monumental work on that subject... I hope to have the pleasure of meeting you personally before long. Sincerely yours Louis E. Van Norman."

195. Nareszcie arcybiskup Messmer wyznacza czas na rozpoczęcie procesu przeciwko „Nowinom". — Odwlekanie przesłuchów. — Druga strona nie stawia się. — Prośba o wycofanie skargi.

Mój proces przeciwko „Nowinom" arcybiskup Messmer odkładał z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Dnia 6 września 1907 musiałem znowu pisać do Delegata Apostolskiego, który znowu tę sprawę osobnym listem przypominać musiał arcybiskupowi Messmerowi. Nareszcie po czterech miesiącach niewytłumaczonej zwłoki arcybiskup Messmer pod naciskiem Delegata Apostolskiego wyznaczył termin czyli czas na rozpoczęcie tego procesu.

Mianowicie nazajutrz po poświęceniu szkoły w Ripon, dnia 29 września 1907, zawiadomił mnie i Delegata Apostolskiego równocześnie, kiedy proces się zacznie. Do mnie tak pisał: „Rev. dear Sir! I beg to inform you that I have set **Friday,** October 4th, 2 o'cl. P. M. for the hearing of your charges against Rev. B. Goral. The hearing will be at my house. Sincerely Yours S. G. Messmer, Abp."

A Delegat Apostolski w kilka dni potem tak mi pisał: „Apostolic Delegation... No. 15887 c., Washington, D. C., October the 6th, 1907. Reverend Sir! Immediately upon receipt of your letter of the 6th ult., I wrote again to the Most Reverend Archbishop of Milwaukee regarding the matter referred by you to me. On the 29th ult., His Grace replied stating that he had set Friday, October the 4th, for the hearing of your complaints. I sincerely hope therefore that at the said hearing you were present and that a satisfactory settlement was reached. Faithfully Yours in Xto., † D. Falconio, Apost. Del."

Z powyższego listu widać, że Delegat Apostolski myślał, iż w jednym dniu przesłuchów załatwiona będzie cała sprawa. I ja też tak myślałem. Bo że „Nowiny" pisały na mnie takie oszczerstwa, jakie w skardze podałem, to widoczne było jak czarne na białem. W moim też interesie wcale nie było, żeby ten proces odwlekać i przedłużać. Ja musiałem z Ripon do Milwaukee dojeżdżać 85 mil. Lecz przeciwna strona, mając siedzibę blisko w miejscu, w przewlekaniu procesu upatrywała swoją korzyść. To też po przesłuchach 4 października, musiałem przyjeżdżać na przesłuchy i w drugim i w trzecim tygodniu października. I jeszcze sprawa nie była załatwiona. Podczas pierwszych trzech przesłuchów przewodniczącym był ks. R. J. Smith, sędzia bezstronny. Po nim, dla niewytłumaczonych powodów, krzesło zajął ksiądz La Boule. Na pierwsze trzy przesłuchy ks. Góral się stawił. Na czwarte się nie stawił. Na piąte ks. La Boule nie miał czasu. Na szóste ks. arcybiskup Messmer zapomniał powołać przeciwną stronę. Mnie nie zapomniał powołać. I ja przyjeżdżałem z tak daleka tyle razy daremnie. Oto autentyczne dowody tego przewlekania i odkładania przesłuchów:

Dnia 1 listopada 1907 arcybiskup Messmer mi pisał: „Dear Sir! The further hearing of your case vs. Rev. Goral will take place today a week (Nov. 8 th) at 2 PM. at my house. Sincerely Yours S. G. Messmer, Abp."

Kiedy się wybrałem już w podróż do Milwaukee, nadszedł do Ripon list datowany 5 listopada 1907: „Rev. dear Sir! I just find out that Rev. Dr. La Boule has a mission going on this week and cannot be present at your hearing on Friday. Hence the matter must be postponed to Friday, the 15 th Nov., Friday being the only day to suit all parties concerned. Yours sincerely S. G. Messmer, Abp."

Przyjechałem więc z Ripon do Milwaukee znowu na następny piątek 15 listopada. Lecz ku mojemu zdumieniu przeciwna strona się nie stawiła. Za to arcybiskup Messmer tak mnie przepraszał w liście z dnia 18 listopada 1907: „Dear Sir! I beg your pardon for the blunder. I made trough forgetfulness. I forgot entirely to notify the other parties. But I have notified them to be present at my house on next Friday, Nov. 22. at 2. o'cl. P. M. Please to be here. Respectfully Yours S. G. Messmer, Abp."

Ale już w dwa dni potem, 20 listopada 1907, znowu mi tak pisał: „Rev. dear Sir. In view of unforeseen circumstances your

hearing vs. Goral has to be postponed to Friday, Nov. 29-th. Sincerely S. G. Messmer".

Can you beat it? Czy kto widział lub słyszał coś podobnego? Więc już 16 listopada 1907 napisałem Delegatowi Apostolskiemu, że takie umyślne przewlekanie sprawy dowodzi, iż przeciwna strona poczuwa się do winy i przegrywa sprawę. Na to Delegat Ap. listem No. 15317-c. z dnia 25 listopada 1907 tak mi odpowiedział: „Reverend and dear Sir: Immediately upon receipt of your letter of the 16-th instant I wrote to His Grace the Most Reverend Archbishop of Milwaukee on the matter, and I suppose that by this time you have received from him instructions regarding your case. Faithfully Yours in Xto., † D. Falconio, Apostolic Delegate".

Tak! Otrzymałem instrukcję. Ale jaką? Oto, że przesłuchy są odłożone znowu na jeden tydzień!

W tym czasie mój brat Michał zaczął wydawać nowe pismo p. t. „Kurjer Ilustrowany" i pisał mi, żebym poprosił arcybiskupa Messmera o pozwolenie pisania artykułów do tegoż pisma. Wiedziałem z góry, że arcybiskup takiego pozwolenia mi nie da; ale jedynie żeby zadowolić brata, napisałem do arcybiskupa. Otrzymałem 1 listopada 1907 taką odpowiedź: „Dear Sir. In regard to your inquiry regarding the „Illustrated Kuryer", I do not see that I can allow you to write for that paper. The „Kuryer" and its publications are such that no priest can in good conscience be a contributor and thus help and encourage their work. You are, therefore, forbidden to write for the „Illustrated Kuryer". If you wish to appeal from this to the Apostolic Delegate, I have no objection. Sincerely Yours S. G. Messmer, Abp."

Ani mi się śniło apelować od tego nowego zakazu do Delegata Apostolskiego. Przecież od pierwszego zakazu nie apelowałem, dlaczegoż bym miał apelować od tego drugiego? Nie apelowałem, ale zwróciłem uwagę Delegata Apostolskiego na ten ironiczny zwrot „If you wish to appeal from this to the Apostolic Delegate, I have no objection". Co to znaczy? To znaczy, że arcybiskup musiał mieć „objection" wtedy, kiedy apelowałem w sprawie oszczerstw rzuconych na mnie przez „Nowiny". Inaczej nie miał racji mi tak odpowiadać, skoro go nie pytałem o to.

Podczas procesu strona przeciwna wybrała sobie ks. Celichowskiego na tłumacza zdań polskich na angielskie. Wtedy ja zażądałem także swojego tłumacza. Najpierw zezwolili na to. Wybrałem sobie ks. Kałczyńskiego. Lecz na następnem posiedzeniu

orzekli, że nie mam prawa do tłumacza. I ks. Kalczyńskiemu kazali opuścić salę.

Ks. B. Góral w ciągu tych przesłuchów wykręcał się sianem, jak to mówią. Np. w tem kłamstwie, jakie umieścił w „Nowinach", że „nie miałem powołania do kapłaństwa", daremnie powoływał się na świadectwo księży Jezuitów. Albo to bezczelne kłamstwo „Nowin", że „ks. Kruszka nigdy biskupa Foxa o facultates nie prosił ani też nigdy ich nie otrzymał". Kiedy bądź pośrednio przez proboszczów, bądź bezpośrednio od biskupa Foxa otrzymywałem facultates do spowiedzi, do święcenia kamienia węgielnego pod kościół, do kazania w obecności samegoż biskupa! Jak ks. B. Góral na procesie bronił tego swego kłamstwa? Otóż w ten sposób, iż powiedział, że biskup Fox dawał mi facultates jedynie z konieczności, ażeby nie wywołać zaburzenia wśród ludu!!

Podczas gdy pierwszy przewodniczący ks. Smith okazał się bezstronnym sędzią w tych przesłuchach, drugi, ks. La Boule, sprzyjał przeciwnej stronie, a mnie pocichu prosił, żebym wycofał swą skargę i arcybiskupowi przykrości nie robił. To samo czynił tłumacz ks. B. Celichowski, mniemając, że przez okazywanie naszego zadowolenia z biskupów niemieckich prędzej dojdziemy do biskupów polskich.

Ja zaś przeciwnie myślałem, że im więcej my będziemy niezadowoleni z biskupów obconarodowych, tem prędzej Rzym nam da swoich polskich biskupów. Bo jeślibyśmy byli zadowoleni z biskupów obconarodowych, to dalibyśmy tem dowód, że nie życzymy sobie polskich, że nam dobrze z tymi biskupami, jakich mamy.

Dnia 7 grudnia 1907 Monsignor Giuseppe Antonucci z Rzymu mi donosił:

„Po pierwsze, że prośba o mianowanie ks. Fudzińskiego biskupem sufraganem diecezji buffaloskiej rozbiła się (naufragium fecit).

„Po drugie, że prośba o mianowanie ks. Jana Pitassa biskupem także prawie się rozbiła (fere naufragium fecit) zwłaszcza z powodu jego podeszłego wieku. Atoli jakaś nadzieja jeszcze jest, że Propaganda zrobi ks. Jana Pitassa biskupem.

„Po trzecie. To zaś zdaje się być **pewnem,** że w nadchodzącym roku jakiś polski kapłan zostanie biskupem auxiliarjuszem archidiecezji chicagoskiej.

„Cieszmy się więc i radujmy się, najdroższy przyjacielu, że raz nareszcie ukażą się owoce naszych starań. Twój przyjaciel Józef Antonucci".

196. Od prośby przyszło do groźby. — Przesłuchy ukończone, lecz wyrok odkładany na święty nigdy. — Dostaję promocję na probostwo w West-Allis.

Jeśli nie skutkuje prośba, to poskutkuje groźba. Tak widocznie myślała teraz druga strona. Bo oto sam ks. B. E. Góral z St. Francis, Wis., dnia 2 stycznia 1908 taki mi list wypisał:

„Wielebny Księże Dobrodzieju!

„Jestem nietylko człowiekiem, który ma sumienie, ale nadto jestem także i księdzem — i to księdzem polskim. Ten właśnie wzgląd, iż jestem kapłanem i Polakiem, skłania mię do skreślenia niniejszego listu. Zadziwi to może poniekąd Ks. Dobrodzieja, iż do Niego piszę, ale skoro mój list przeczyta, zrozumie zapewne dostatecznie moje pobudki.

„Chodzi mi mianowicie o to, ażeby zanim naprawdę przystąpię do rozprawy z Ks. Dobrodziejem, ostrzec go wczas przed zgubnymi dlań skutkami i może zgorszeniem publicznym, którego prawdopodobnie uniknąć nie będzie można, jakie z konieczności rzeczy będą połączone z moją akcją. Ks. Dobr. wie dobrze, kto rozpoczął proces i jakie tam podnosił oskarżenia, oraz wyzwiska i najordynarniejsze przydomki, jakich nawet przed samym Delegatem na mnie nie szczędził; z braku czasu (a poniekąd i niechęci do rozmazywania spraw polskich przed obcymi) dotychczas prawie żadnej nie zwracałem uwagi na nasze przedwstępne przesłuchy i wcale się nie starałem o zebranie odpowiedniego materjału dowodowego. Ks. Dobrodziej nie omieszkał skorzystać z tego skwapliwie i wszędzie ogłaszał, że nie mogę stawić żadnych dowodów na swoją obronę itd. itd.

„Wszystko na tym świecie ma swój koniec; tak też jest i z moją cierpliwością, której miarka już się przebrała. Żywo mi teraz przed oczyma stają wszystkie obelgi, najpodlejsze oszczerstwa i wyzwiska „Kurjera Pol." (a Ks. Dobr. był wtedy jeszcze dyrektorem i wiceprez.) i — wołają o pomstę! Jak przeciwko samej osobie Ks. Dobrodzieja nigdy nic nie miałem, tak i teraz jeszcze nie mam; ale tu już nie tyle chodzi o osobę, ile raczej o zasadę, o krzywdę, która już przekroczyła granice prywatne a przeszła na

forum publiczne. Sądzę, że Ks. Dobr. dobrze pojmujesz moje położenie i pobudki, które mymi obecnymi krokami kierują.

„Ks. Dobr. niejednokrotnie sam głosiłeś, że publiczna krzywda i zniewaga domaga się także i publicznego zadosyćuczynienia. Tak i ja obecnie postąpić jestem poprostu zmuszony. Ks. Dobr. zmusiłeś mię swą skargą i swemi potocznemi przechwałkami oraz drwinami do tego, że w swojej obronie będę musiał wypowiedzieć to wszystko, co o Nim wiem. Chociaż mi to bynajmniej przyjemności nie sprawi, jak zapewne i Ks. Dobr., to jednak Ksiądz sam mnie do tego zmuszasz; sobie więc tylko samemu przypisać należy to wszystko, co teraz powiem i wyjawię. A wiem dosyć, może aż za wiele, o tym bądź Ks. Dobr. przekonanym.

„Zaznaczyłem powyżej, iż jestem księdzem i Polakiem. Ten zaś wzgląd każe o ile można, jak najpobłażliwiej postępować ze swym konfratrem, także Polakiem. Gotów więc jestem zaniechać wszelkich dalszych kroków, jeżeli Ks. Dobr. pokażesz ze swej strony, iż na taką pobłażliwość i względy w rzeczywistości zasługujesz. Odwołaj więc Księże Dobr. publicznie i prywatnie owe niecne insynuacje, **wycofaj swoją skargę tak wobec Delegata jak i arcybiskupa** — słowem, staraj się wszelkimi sposobami **sumiennie** krzywdę mi wyrządzoną naprawić, a podam Ci dłoń zgody i zaniecham wszelkich dalszych kroków. Jeżeli jednak to nie nastąpi w jak najkrótszym czasie, to nie wiń mię za to, co ja z konieczności ze swej strony uczynić muszę — i to we własnej obronie!

„Wyrażałem się dosyć oględnie, spodziewam się jednak, iż Ks. Dobr. rozumiesz co chciałem wyrazić i między linijkami wyczytasz wiele Ci znanych rzeczy.

Z winnym szacunkiem

Ks. B. E. Góral.“

Strachy na Lachy!

Powyższy list przetłumaczyłem dosłownie na angielski język i dnia 10 stycznia 1908 posłałem Delegatowi Apostolskiemu do Waszyngtonu. Znowu listem z dnia 24 stycznia 1908 zażądałem od Delegata wyroku w mojej sprawie przeciw „Nowinom“. Na to Delegat Apost. listem No. 16911-c, dnia 27 stycznia 1908 tak mi odpowiedział:

„Reverend Sir!

Replying to your letter of the 24-te instant, I beg to say that in a recent letter received by me from the Most Reverend Arch-

bishop, His Grace informed me that he had been informed by the Judge presiding at the hearing of your case that the case was declared ended and that he would be shortly informed of their finding.

„With your letter of the 10-te instant you send me a Polish letter received by you from the Reverend Goral, which letter you say is a threat against you. I herewith return to you the letter, and you may send it or a certified copy of same to the Most Reverend Archbishop.

Faithfully Yours in Xto..

† *D. Falconio,*
Apostolic Delegate.

Reverend Wenceslaus Kruszka,
Ripon, Wisconsin".

Razem z tłumaczeniem posłałem Delegatowi także oryginalny list ks. Górala z prośbą o zwrot tegoż. I stąd Delegat wspomina powyżej o zwrocie tego „Polish letter" czyli oryginału.

Ale na wyrok — czekaj tatka latka. Choć obiecano go „wkrótce" już w styczniu 1908, jak to świadczy powyższy list Delegata; choć obiecano go „wkrótce" znowu w lutym i znowu w marcu i w kwietniu itd., jak to zobaczymy poniżej, to jednak wyroku tego nigdy nie wydano.

Jak widzieliśmy, arcybiskup już w styczniu 1908 powiadomił Delegata Apostolskiego, że przesłuchy się skończyły „and that he would be **shortly** informed of their finding". Więc, spotkawszy jednego i drugiego „presiding Judge", to jest księdza Smitha i księdza La Boule, zapytałem ich, czy już sprawozdanie swoje z przesłuchów podali arcybiskupowi. Na to oni mi odpowiedzieli, że nie. Na dalsze pytanie moje:

— A czemu nie? —

Odpowiedzieli mi:

— Bo arcybiskup się nie pytał, więc i nie dba o nasze sprawozdanie.

Napisałem to arcybiskupowi. I dostałem taką kapitalną odpowiedź:

Milwaukee, Wis., March 11-th 1908.

Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis,

Dear Sir. — Rev. Dr. La Boule will submit a report of the inquiry held in your case vs. Goral **within a short time.** There was

an unfortunate misunderstanding between us. Dr. La Boule and Rev. Smith misunderstood as implying that I did not care for a report, whereas I was all the time waiting for it. Dr. La Boule on his return from Cuba came to see me last Monday when the mistake was cleared up. I shall report to the Delegate as soon as I have the report. Shall also notify you.

As regards West Allis I wish to thank you for the census taken up there and sent to me. If will be very useful. I also agree with you that under present circumstances it is impossible for you to begin work there. As regards another parish for you, I told you already — and I mean it — that I am willing to give you a better place. But you understand yourself that I cannot remove another — sine causa — just to make room for you. So you must practise a little patience. I am willing to be just and fair with you just in the degree you make yourself deserving of it.

Sincerely Yours

† *S. G. Messmer,*

Abp.

Dla zrozumienia tej ostatniej części powyższego listu trzeba wiedzieć, że arcybiskup Messmer w styczniu r. 1908 dał mi promocję na mającą się zorganizować parafję polską w West Allis. Nie wzgardziłem tą promocją. Pojechałem do West Allis i policzyłem Polaków tam osiadłych. Sporządziłem dokładny spis ludności polskiej, podałem imię i nazwisko każdej rodziny polskiej wraz z imienną liczbą dzieci, stołowników i samotnych, i naliczyłem wówczas wszystkich dusz razem coś około 125. Powiedziałem arcybiskupowi, że na razie West Allis nie może utrzymać własnego proboszcza. Ale że może i powinna tam być misja polska, do której dojeżdżać powinien ksiądz polski. Mnie z Ripon dojeżdżać tam jest niemożliwością — ale gdybym parafję dostał w Milwaukee, mógłbym się zaopiekować misją w West Allis, przedmieściu Milwaukee. Brodząc w śniegu, przeszedłem nietylko West Allis wzdłuż i wszerz, szukając polskich familij, które się tam osiadły, ale nadto chodziłem po Milwaukee, szukając tych, którzy chcieli się osiedlić w West Allis i zakupili już tam loty. Adresy tych ostatnich podała mi Central Improvement Kompanie z West Allis. Taż Kompanja dała mojej działalności w West Allis następujące szumne ogłoszenie w miejscowej gazecie „West Allis Official Paper“ z dnia 7-go lutego 1908 pod tytułem „New Polish Church“:

„At a meeting of Polish citizens held in West Allis Sunday night (Febr. 2-nd) it was decided to begin work on the new Polish Catholic church about May 1. The Rev. Father Waclaw Kruszka of Ripon, Wis., a famous builder of churches was present at the meeting and put new life into the project and the work will now be pushed to completion. The Rev. Father Kruszka has already built three churches and is ready to begin the building of a fourth. The meeting was enthusiastic and brought good results. The new church will cost about doll. 18,000 and will be located on the south side, on Mitchell street between 55. and 56. avenues. The site of the church was bought a year ago by Archbishop Messmer, who purchased from the Central Improvement Co. 22 lots for doll. 3,000.“

Dnia 22 lutego 1908 mieliśmy drugi mityng parafjalny w West Allis.

Dnia 26 marca 1908 arcybiskup postanowił założyć parafję św. Wojciecha w Milwaukee pod przewodnictwem ks. Michała Domachowskiego. Żeby więc być blisko West Allis, zrobiłem aplikację na parafję św. Jozafata w Milwaukee, zwłaszcza, że jak słyszałem, OO. Zmartwychwstańcy mieli ją dostać.

W ostatnią niedzielę marca 1908 mieliśmy w West Allis jeszcze jeden mityng, jak to wynika z listu Antoniego Gulczyńskiego do mnie (list zobacz w tece). Zorganizowano towarzystwo.

197. Arcybiskup razem z prędkiem zakończeniem procesu obiecuje mi nietylko większą parafję ale i biskupa polskiego. — Zapowiada mi nową promocję do Racine i w Rzymie o tem opowiada.

Podług powyższej odpowiedzi arcybiskupa Messmera z dnia 11 marca 1908 „wynik badań w mojej sprawie przeciwko ks. Góralowi“ miał być ogłoszony tak Delegatowi Apost. jak i mnie „w krótkim czasie“. Tymczasem upłynęło półtora miesiąca, a o wyroku nie było ani słychu. Więc posyłając właśnie prośbę o Imprimatur dla XII tomu mojej „Historji“, przypomniałem znowu arcybiskupowi tę nierozstrzygniętą sprawę moją przeciwko „Nowinom“. W odpowiedzi na to arcybiskup Messmer tym razem do obietnicy prędkiego rozstrzygnięcia tej sprawy mojej dodał nietylko obietnicę większej parafji, jak poprzednio, ale — co lepsza i ważniejsza rzecz — dodał mi nader piękną obietnicę biskupa polskiego!

Milwaukee, Wis., April 22-nd 1908.

„Rev. dear Sir — Enclosed please find Imprimatur for Vol. 12. Rev. Dr. La Boule has promised to hand me a report of the Committee of Inquiry in your case vs. Goral tonight or tomorrow. As regards Your suggestion concerning St. Josaphat we do not quite agree. But I can answer you — **privately and not for the public** — that I shall do all I can in Rome to hasten the appointment of a Polish bishop, be it in Chicago, Buffalo or Milwaukee. I am satisfied to have a Polish Auxiliary. Now this I tell **to you** to let you see that it is not I that fights the Poles, as the „Kuryer" always insinuates. Thonking you for your Easter greeting I am sincerely yours

† *S. G. Messmer,*

Abp.

(Over) Would you be willing to accept the Polish parish in Racine. Over 100 Polish families?"

Z powyższego listu arcybiskupa wynikało, że obiecanego wyroku w sprawie mojej przeciw ks. Góralowi oczekiwać można każdego dnia. „Tonight or tomorrow". Tymczasem upłynęło znowu półtora miesiąca a o wyroku tym ani słychu. Myślałem, że może tylko mnie arcybiskup nie chce zakomunikować tego wyroku, ale że przynajmniej Delegata Apostolskiego powiadomił o tym „raporcie Komisji Śledztwa" (about the report of the Committee of Inquiry in your case vs. Goral). Dlatego dnia 9 czerwca 1908 listownie zapytałem o to Delegata. A ten listem No. 18087-c. tak mi odpowiedział:

Washington, D. C., June 29-te 1908.

Rev. dear Sir! — I beg to acknowledge the receipt of your kind favor of the 9-th of June and in reply I would say that I have received no report. As His Grace the Archbishop will soon return it will be better to await his arrival. You may then once more appeal to His Grace.

Sincerely yours in Christ,

† *D. Falconio,*

Apostolic Delegate.

Rev. W. Kruszka,

Ripon, Wis.

Ano, tyle mamy mądrości ile mamy cierpliwości. Uzbroiłem się w cierpliwość od stóp do głowy. Mój człowiek całe życie ćwiczył się w tej cnocie.

W powyższym liście z 22 kwietnia 1908 arcybiskup Messmer, po nieudałej promocji do West Allis, zaproponował mi nową nieudałą promocję do Racine przed samym wyjazdem swoim do Rzymu. Przyjąłem i tę propozycję. Ale człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. W nieobecności arcybiskupa zwróciłem się zaraz do jego zastępcy i administratora, ks. Józefa Rainera w St. Francis, Wis. Ten atoli dnia 29 kwietnia 1908 taką mi dał odpowiedź:

Rev. Wacław Kruszka, Ripon, Wis.

Rev. and Dear Father Kruszka, — The most Rev. Archbishop mentioned to me before his departure something about your possible appointment to the Polish parish in Racine. This was for the contingency that Rev. Chylewski would be removed from there. But as I hear now Rev. Chylewski received no positive order to leave his place; consequently the matter will remain in statu quo, at least for the present. With kindest regards yours sincerely

J. Rainer, Adm.

Ale już następnego dnia 30 kwietnia 1908 administrator ks. J. Rainer nadesłał mi znowu taką wiadomość:

Rev. Father Kruszka! — Rev. Chylewski was with me to-day telling me, that he changed his mind and is willing to go to Ripon. So the Racine parish is open for you. Let me know at once whether you are ready to accept and then arrange with Rev. Chylewski about your coming. He intends to take leave from his congregation next Sunday. Yours sincerely

J. Rainer, Adm.

Natychmiast odpisałem ks. Rainerowi, że przyjmuję to miejsce, i pojechałem zaraz do Racine. Atoli tu od ks. Chylewskiego dowiedziałem się, że on wcale nie myśli opuszczać Racine. Przybrawszy nową zbroję cierpliwości, powróciłem do Ripon i stąd napisałem ks. Rainerowi, że ktoś mnie w pole wywiódł, albo on albo ks. Chylewski. Na to administrator ks. J. Rainer listem z St. Francis., Wis., 5 maja 1908 takie mi dał wyjaśnienie:

Rev. Wacław Kruszka, Ripon.

Rev. and Dear Father! — Your last letter somewhat astonished me. The fact is that Rev. Chylewski came to me and told me that it was better for him to stay, as the accusations raised against him by a few dissatisfied parishioners were altogether unfounded. Thereupon I wrote my first letter to you stating that

the place was not vacant. The next day Rev. Chylewski came again telling me that he had changed his mind, that his position was somewhat disagreeable and that therefore he preferred to leave. Thereupon I wrote to you again telling you that the place was vacant. The same evening Rev. Chylewski returned again and told me that he had reconsidered the matter and that it was better for him to stay. I answered: I am sorry, but I have written already to F. Kruszka and I will not write again; it would look like making a fool of him. He was satisfied at once and acknowledged the reasonableness of my course.

However, you were not rightly informed about the committee coming to me; they did not protest against his removal nor against your coming, but only came to protest against the charges raised against Rev. Chylewski by some dissatisfied members of the congregation and to assure me that the congregation as such had no complaints against its present pastor.

Now what is to be done? No doubt you would have a right to the place; but whether it would be prudent to oust Rev. Ch. and take his place is another question. Besides I do not think that you would gain much financielly by the change. My advice therefore would be to wait at least till the archbishop's return, as he has first proposed the change to you. Yours sincerely in X.

J. Rainer, Adm.

Jednem słowem, nie mogąc tego winogrona dostać dla mnie, bo za wysoko wisiało, powiedziano mi, że jest za kwaśne i nie warto po nie sięgać. Niech i tak będzie — powiedziałem. Widać, Opatrzność Boska ma inne miejsce dla mnie.

Tymczasem arcybiskup Messmer w Rzymie opowiadał, jak to mi dał promocję na większą i lepszą parafję św. Stanisława w Racine. Kiedy z Monsignorem Antonuccim w Rzymie się zobaczył, kazał mu listy do mnie adresować już nie do Ripon, lecz do Racine. Zdziwiło mię niemało, gdym w połowie czerwca roku 1908 otrzymał dwa listy z Rzymu adresowane do mnie: „St. Stanislaus' Polish Church, Racine, Wis." Aż tu otwieram list i przekonuję się, że to nie kto inny tylko sam arcybiskup Messmer w Rzymie podał taki nowy adres do mnie.

Oto co Monsignor Antonucci z Rzymu 23-go maja 1908 mi pisał:

„Najprzewielebniejszy Księże i Najdroższy Przyjacielu!

„Wczoraj rano o godzinie naznaczonej odwiedziłem arcybiskupa Messmera. Długa, poważna i zarazem miła a poufała była z Nim rozmowa. Przez jedną godzinę rozmowa toczyła się o Tobie... To Ci mogę na pewno powiedzieć, że arcybiskup Messmer jest dla Ciebie i dla Twojej sprawy najlepiej usposobiony tak jak ojciec dla syna. Zaiste bardzo mocno Ciebie kocha i miłuje. Sam mi opowiadał, że przy swoim do Rzymu wyjeździe posłał Cię na lepszą parafję i że wyrok w Twojej sprawie (przeciw „Nowinom“) wyda zaraz jak z podróży wróci. Nie wątpię, że ta sprawa dla Ciebie dobry obrót weźmie. Najlepszy Wacławie, Ty wiesz, że Cię kocham: pozwól, abym Tobie braterskie dał rady, które napewno Ci wielkie przyniosą korzyści, jeśli ich posłuchasz. Otóż względem arcybiskupa Messmera, który mi się zdaje celować dobrocią i łaskawością, okaż się jak syn względem ojca; spraw, ażeby Twój brat w „Kurjerze“ nie pisał tego, czego arcybiskup nie pochwala, a pisał to, co arcybiskup pochwala; poproś arcybiskupa, aby Ci wolno było pisać do „Nowin“; spokojnie żyj; miłością odpowiadaj na miłość Twego arcybiskupa. To czyń, a staniesz się jeszcze lepszym jego przyjacielem i otrzymasz od niego wszystko co chcesz, ponieważ on nietylko największą miłość ale i najwyższy szacunek ma dla Ciebie. Nie omieszkałem też polecić mu naszej sprawy biskupów polsko-amerykańskich. Zapewnił mnie, że właśnie tę sprawę poruszy w Propagandzie. Z tej rozmowy się przekonałem, że arcybiskup Messmer najbardziej sobie życzy tego, aby życzenia Polaków, których najbardziej miłuje, nareszcie zostały zaspokojone. Jestem pewien, że Polacy bardzo prędko będą mieli swego biskupa. Z największą przyjemnością Tobie gratuluję, żeś posunięty został na nową i większą parafję, do której sam arcybiskup Messmer, który Cię przeze mnie jak najbardziej pozdrawia, adres mi podał i swoją świętą ręką wypisał, ażeby ten list na pewno doszedł do Ciebie. Zobaczę arcybiskupa, który mię bardzo łaskawie zapraszał, znowu w dzień św. Filipa Nereusza. Jeśli będzie co nowego, to Ci napiszę.

Twój najoddańszy przyjaciel

Józef Antonucci.“

List powyższy „napewno doszedł do mnie“, ale dopiero kiedy poczta w Racine wykreśliła z adresu „Racine“ a dopisała „Ripon“. Drugi list z Rzymu do mnie tak samo był adresowany

do Racine z polecenia arcybiskupa Messmera. Drugi ten list jest w mojej IV tece.

198. Radość z powodu pierwszego biskupa polskiego w Ameryce. — List biskupa Rhodego. — Konsekracja. — Piękne słowa biskupów. — Zgrzyt ks. Nawrockiego.

W tym samym tygodniu, w którym powyższe listy z Rzymu via Racine do Ripon doszły, gruchnęła po Ameryce wesoła wiadomość, że ks. Paweł Rhode z South Chicago został biskupem polskim. Natychmiast powinszowałem Najprzewielebniejszemu ks. Pawłowi Rhodemu, który mi też niebawem 24 czerwca 1908 odpisał temi słowy:

„Kochany Ks. Wacuś! — Za słowa gratulacji i życzliwości stokrotne Bóg zapłać. Niepłonną przytem żywię nadzieję, iż życzliwość kochanego Kolegi dla mnie żywą i stałą pozostanie i że z podobnem usposobieniem z strony całego naszego kleru polskiego, za łaską Najwyższego jako tako sprostam zadaniu trudnego a wielce delikatnego stanowiska mojego i zadowolnię tak Stolicę Apostolską jako też oczekiwania ludu naszego. Polecając się Jego pobożnej pamięci przed Panem, pozostaję

z głębokim szacunkiem

W Chrystusie

Ks. Paweł."

A ponieważ w owe czasy z powodu założenia r. 1907 szkoły polskiej w Ripon zadłużyłem się osobiście a widoków wybrnięcia z długów nie miałem, więc zgłosiłem się teraz do Wydziału Wykonawczego po owe dłużne mi 700 dol., które ostatni Kongres obiecał mi spłacić dopiero, kiedy biskupa polskiego otrzymamy. Ks. K. Sztuczko, sekretarz Wydziału Wykonawczego, odpowiedział mi z Chicago 23 czerwca 1908:

„Wiel. Ks. Dobrodzieju! Żądanie Jego, tyczące się owych 700 dol., przedstawię Wydziałowi Wykonawczemu. Proszę jednak o cierpliwość. Cieszymy się wszyscy, że mamy nareszcie biskupa polskiego, że nasze starania zostały pomyślnym uwieńczone rezultatem! Będziemy się zapewne widzieć na konsekracji, a więc do widzenia! Jego w Chrystusie

Ks. K. Sztuczko, C. S. C."

Przed samym wyjazdem na tę konsekrację otrzymałem od ks. Stanisława Nawrowskiego, prezesa Stowarzyszenia Kapłanów

i późniejszego Monsignora, następujący charakterystyczny list wraz z wycinkiem z „Dziennika Chicagoskiego“. Wycinek ten brzmiał tak:

„Gdy się zebrał komitet z wszystkich parafij polskich i gdy imieniem tego komitetu prezes tegoż stanął przed Biskupem-Nominatem, aby się z Nim porozumieć w sprawie uroczystości konsekracyjnych, Najprzew. ks. Biskup Rhode rzekł: „Na wszystko się zgadzam, co komitet postanowi, ale o jedno proszę: zaprowadźcie mnie między cały lud i wszystkie jego odłamy, pozwólcie mi nacieszyć się z tym ludem wspólną radością, jaka na nas Polaków spłynęła z nadzwyczajnej miłości i łaski Stolicy Apostolskiej.“

Do tych słów biskupa Rhodego ks. Stan. Nawrocki dopisał słowo: „blaga“. Dołączony list brzmi:

„Chicago, Ill., 24 lipca 1908.

„Kochany Księże Wacławie! — Załączam wycinek z gazet. Jest to wierutna blaga. Poślij co zechcesz do „Kurjera“ i spraw mydło pieczeniarzom chicagoskim za ich gryzmoły. Czyż to biskup Rhode był dotychczas u Hottentotów i polskiego ludu nie widział na oczy, aby tak się do niego rwał, jak łyki stanisławowskie fałszywie piszą? Albo czy Rhode był dotychczas tak strasznym arystokratą, że na chłopa polskiego zgóry patrzał i go nie znał? aż teraz dopiero raczy się do niego zniżyć i dłoń jego uściskać? Ubliżają durnie Pawełkowi Biskupowi. Twój

Ks. St. Nawrocki.“

Jako za słońcem cień idzie, tak za godnością zazdrość.

„Wszystkich zazdrość dostaje szkodliwemi sztychy,
Fryzowane prałaty i strzyżone mnichy.“

Atoli ta małoduszna zazdrość „prałatów“ musiała się w kąt schować przed ową powszechną radością ludu polskiego. Radość ta Polonji amerykańskiej wogóle, a chicagoskiej w szczególe, nie da się słowami określić. Brak mi wyrazów na opisanie tego, co w środę 29 lipca 1908, w dzień konsekracji biskupa Rhodego, w sercach 20,000 ludzi w pochodzie a 50,000 na ulicach miasta Chicago się działo. Konsekratorem był arcybiskup Quigley w asystencji biskupów Muldoona i Kondelki. Kapelanami arcybiskupa byli ks. Fr. Lange i ks. Stan. Nawrocki; kapelanami biskupa Muldoona byli ks. K. Sztuczko i ks. M. Kotecki; kapelanami biskupa Kondelki byli ks. K. Słomiński i ks. B. Nowakowski. Kapelanami zaś biskupa

Rhodego byli ks. J. Kosiński i ks. K. Gronkowski. W konsekracji brali także udział arcybiskupi Messmer i Ireland, biskupi Fox, Schwebach, Eis, Allerding, Cotter, Jansen, Spalding, Ryan, Canevin, Lillis, Burke, Mc Gavick, O'Reilly, opat Jaeger, monsignorzy Rainer i Schrembs, księży około 600, w tej liczbie co najmniej 500 polskich.

Na bankiecie mistrz toastów ks. F. Wojtalewicz powołał na mówców księży M. Szalewskiego, Kosińskiego i S. Cholewińskiego. Biskup Allerding sławił arcybiskupa Quigley'a jako tego, „który pierwszy uznał prawa Polaków". W tymże episkopalnym duchu przemawiał ks. Kosiński, wręczając Quigley'owi pismo dziękczynne od chicagoskich kapłanów polskich. W odpowiedzi na to arcybiskup Quigley rzekł:

„Nie mnie dziękujcie, ale Ojcu św., a przedewszystkiem sobie samym! Lud polski w Ameryce jest najpożądańszym i najużyteczniejszym typem tutejszego obywatela i szybko on się wznosi na tutejszej drabinie społecznej a drogę swego postępu coraz nowemi znaczy sukcesami. Wyście sami, księża wasi, obrali największą liczbą głosów biskupa Rhodego kandydatem do godności biskupiej, a ja się szczerze cieszę, że mogłem pomóc wam trochę i że mnie ten zaszczyt w udziale przypadł, iżem mógł wyświęcić pierwszego biskupa Polaka w Ameryce. Niechże ten dzisiejszy pierwszy biskup rozpocznie erę nową rozkwitu polskiego Kościoła katolickiego w Ameryce. Niech was dzisiejszy triumf utwierdzi we wierze i przejmie wdzięcznością dla Ojca św., który do próśb waszych łaskawie przychylić się i wysłuchać ich raczył."

Następnie przemówił arcybiskup Ireland, winszując Quigleyemu a gromiąc rząd pruski, którego postępowanie względem Polaków nazwał brutalnem. Rozbiór Polski nazwał zbrodnią, za którą kiedyś srodze odpokutują państwa zaborcze. „Przyjdzie czas — mówił — ja wierzę w to święcie, że dla Polski nadejdzie godzina uzyskania sprawiedliwości i zmartwychwstania i nie zawiedzie się szczerze ufny i pobożny duch tego ludu w swych błaganiach i nadziejach. Są narody, do których przyszłość należy, na które ona jeszcze czeka i które na nią czekają. Do takich narodów należą Słowianie, wśród nich Polacy i — Irlandja. Wiarą i prześladowaniem za tę wiarę św. i Polska i Irlandja we wolnej Ameryce rozkwitają na opiekuńczem Kościoła katolickiego łonie. A tego rozkwitu — to początek dopiero, bo z pewnością świetniejszych się jeszcze doczekamy triumfów! Ja kocham flagę gwiazd i pasów

amerykańskich i rad patrzę na nią, gdy złączona jest z czerwono-białą chorągwią Polaków. Znam Polaków i wiem, że jak są dobrymi uciśnionej swej ojczyzny synami, tak i lojalnymi również są i będą obywatelami Stanów Zjednoczonych. Więc z radością witam pierwszego biskupa Polaka i modlić się będę, aby ten polski sztandar nieśmiertelnym trwał a naród polski, by zwycięstwo odniósł w swej wielkiej ideowej walce."

Nawiązując do tych pięknych słów arcybiskupa Irelanda, rzekł biskup O'Reilly, że „taką serdeczność dla Polaków, jaką wynurzył, powinien arcybiskup Ireland stwierdzić czynem i postarać się, aby w jego diecezji był zamianowany Polak biskupem sufraganem". Na to arcybiskup Ireland odpowiedział, że sprawę tę postawi papieżowi do zadecydowania.

Słysząc powyższe mowy na bankiecie w owym dniu pamiętnym 29 lipca, odnosiło się wrażenie, że to nie przemawiali obconarodowi biskupi, lecz nasi właśni polscy biskupi. Jedynie język angielski przypominał, że to przemawiają ajrysze.

Biskup Rhode w swem przemówieniu zaznaczył, że dążeniem jego będzie, aby nasze wychodźtwo podnieść i uzyskać dlań prawa należne tak w Kościele katolickim jak i w sprawach świeckich.

Mój człowiek cieszył się taką niekłamaną radością, jaką się cieszy matka, kiedy jej pierworodny syn na świat przychodzi. Właśnie kończono druk ostatniego (XIII) tomu „Historji Polskiej w Ameryce" i zdążyłem wzmianką o pierwszym biskupie polskim uwieńczyć to dzieło.

199. Moje daremne aplikacje o 700 dol., o parafję w Berlinie i Milwaukee. — Daremne usiłowania biskupa Rhodego.

Pan W. Szczawiński z Warszawy, ul. Złota 30, dnia 14 lipca 1908 pisał mi: „Imię J. M. Księdza Dobrodzieja zaszczytnie znane każdemu Polakowi... Pisma polskie wszystkich zaborów ogłaszały przed 2 i 3 latami, poszukując spadkobierców, iż w Buffalo czy podobnej miejscowości umarł bezpotomnie śp. Nicefor Wilkoński, z W. Ks. Poznańskiego pochodzący, pozostawiając **12 miljonów dolarów** majątku... Po uzyskaniu pieniędzy umówiony procent przypadłby Ks. Dobrodziejowi za trud..." (zob. długi list w IV tece).

Otóż poszukiwania w tym względzie już poprzednio czyniłem, bez skutku. Gdyby mi się było udało odnaleźć owe 12 miljonów dolarów i uzyskać choćby tylko jeden procent z tego, tobym miał

więcej niż dosyć na popłacenie swoich długów i nie potrzebowałbym prosić Wydziału Wykonawczego o należne mi owe marne 700 dol. Niestety, nie znalazłszy owych 12 miljonów, zmuszony byłem szukać swoich 7 setek. A i tych dostać nie mogłem. Ks. K. Sztuczko, sekretarz Wydziału W., listem z 7 sierpnia 1908 powiedział mi najpierw:

„W odpowiedzi na list Jego, żądający natychmiastowego uwiadomienia co do owych 700 dol., odpowiadam: **nie wiem.** Będzie to zależeć od decyzji Wydziału Wykonawczego, którego jakoś nie mogę zebrać na wspólne posiedzenie. Co jeden się stawi, to drugiego niema. Przypuszczam jednak, że będzie wszystko w porządku."

A w trzy dni potem, 10 sierpnia 1908, nadesłał mi taki list, opatrzony urzędową pieczęcią Wydziału Wyk.: „Wydział Wykonawczy III. Polsko-Katolickiego Kongresu na posiedzeniu odbytem dziś rano zadecydował **nie uwzględnić** żądania Ks. Dobrodzieja tyczącego się owych 700 dolarów, jakie zostały Mu na Kongresie przyznane. Chętnie byśmy ową kwotę wypłacili, aby już raz tę sprawę zakończyć, ale nie mamy na to funduszu; Kongres bowiem żadnego na ten cel podatku nie uchwalił. Mamy wprawdzie trochę pieniędzy w kasie, ale to fundusz Federacji, zebrany wyłącznie na pokrycie naszych wydatków bieżących.

W imieniu Wydziału Wykonawczego

Ks. K. Sztuczko, O. S. C., I sekr.

Ano, jak nie, to nie. Trzeba być cierpliwym. Ale jak zawsze tak i teraz trzymałem się tej dewizy: Be patient, but not passive! Cierpliwość jest czynną i wytrwałą, a nie bierną i gnuśną.

Głodnemu chleb na myśli. Byłem głodny grosza, bo byłem zadłużony osobiście z powodu szkoły. Ze zwyczajnych dochodów moich o spłaceniu długu nie było mowy, kiedy nawet w płaceniu procentu były trudności. Od czasu zaś zakazów biskupich o nadzwyczajnych dochodach nie było mowy. Ale Pan Bóg radzi o swojej czeladzi. Owego to czasu przyjechał komitet parafji św. Stanisława Kostki z Berlina do mnie, mówiąc, że ponieważ ks. January Czarnowski umarł, parafja chciałaby mnie mieć za proboszcza. Pytali mnie, czy przyjmę to probostwo jeśli arcybiskup mi je da?

— Jeśli arcybiskup mi je da, z pewnością je przyjmę — odpowiedziałem.

— Dobrze, to my uwiadomimy o tem arcybiskupa i poprosimy go, żeby nam ks. Kruszkę dał na proboszcza.

A że arcybiskup udzielał bierzmowania o półtorej godziny od Ripon, w Rubicon, Wis., pojechałem tam i osobiście poprosiłem go o tę parafję. Kiedym w Rubicon z dworca szedł pieszo do plebanji, po drodze arcybiskup jadący powozem zobaczył i poznał mnie. Nie wiedział on o mojem przybyciu. Gdy mnie znienacka zobaczył, miał zawołać: Father Kruszka is here? takim wystraszonym głosem, że proboszcz ks. Eggers w plebanji mnie zapytał, czy ja przypadkiem nie przywiozłem bomby na arcybiskupa. Istotnie przywiozłem coś bardziej groźnego niż bomba, bo przyjechałem także przypomnieć arcybiskupowi moją nierozstrzygniętą sprawę przeciwko „Nowinom''. A tej on bał się bardziej niż bomby... Jakiś czas potem komitet parafjalny z Berlina znowu przyjechał do mnie do Ripon, pociągiem o 4 po południu, że ks. Gulski przyjechał do Berlina i powiedział, że mnie nie mogą dostać, gdyż ja sam oświadczyłem arcybiskupowi, że nie chcę iść do Berlina. Komitet przyjechał mnie zapytać, czemu ja zmieniłem swoje zdanie, że teraz nie chcę Berlina, kiedy poprzednio chciałem. Odpowiedziałem im:

— Mnie ani do głowy to przyszło, żeby nie chcieć waszej parafji. Owszem jak chciałem, tak chcę. Ale skąd wam ta myśl przyszła, że ja teraz nie chcę?

— Ks. Gulski nam to powiedział.

— Ks. Gulski? Czy jest on jeszcze w Berlinie?

— Jest!

— Dobrze, to zaraz wieczornym pociągiem jadę z wami do Berlina, żeby się z ks. Gulskim rozmówić wobec was.

Przyjechawszy do Berlina, najpierw sam wszedłem do plebanji, a komitetowi kazałem zaczekać. Zapytałem na osobności ks. Gulskiego, skąd on wie, że ja nie chcę tej parafji. Odpowiedział, że on nic o tem nie wie, czy ja chcę czy nie chcę. Zapytałem dalej, czy to prawda, że on powiedział komitetowi, iż ja nie chcę tej parafji. Ks. Gulski odrzekł, że wcale o tem mowy nie było. Wtedy otworzyłem drzwi i poprosiwszy komitet do pokoju, zapytałem go wobec ks. Gulskiego:

— Czy to prawda, że ks. Gulski wam powiedział, iż ja nie chcę waszej parafji?

— Tak, to prawda — zawołali wszyscy trzej komitetowi.

Pożegnałem ks. Gulskiego i poszedłem na noc do sąsiedniej plebanji św. Michała.

Tymczasem nawet p. Leon Szopiński, II sekretarz Wydziału Wyk., widząc, że owych 700 dolarów nie dostałem, starał się przez biskupa Rhodego o lepsze miejsce dla mnie, jak to świadczy jego list z Chicago, 30 września 1908:

„Kochany Księże Dobr.! Ośmielam się zapytać Ks. Dobr., czy się Ks. Dobr. stara o probostwo w Berlinie. Jeżeli tak, to proszę mi natychmiast odpisać pod adresem: Kalamozoo, Mich., Route 3, gdzie przez kilka dni zabawię. Mówiłem bowiem w tej sprawie z ks. biskupem Rhodem, który mi przyrzekł wstawić się za Ks. Dobr. u ks. arcybiskupa, jeżeli istotnie Ks. Dobr. probostwo po ś. p. ks. Czarnowskim objąć by zechciał. Proszę więc o bliższe w tej sprawie informacje. Z głębokim szacunkiem życzliwy Leon Szopiński".

Odpowiedziałem p. Szopińskiemu, że z wdzięcznością przyjmuję jego wstawiennictwo u biskupa Rhodego. A że słyszałem, iż pono ks. Lex ma dostać Berlin, więc postanowiłem jeszcze raz starać się o Jozafatowo w Milwaukee, tym razem za pośrednictwem biskupa Rhodego. Na to biskup Rhode 16 paźdz. 1908 tak mi odpisał: „Kochany Ks. Wacku! — Wróciwszy z podróży zastałem dzisiaj list Wiel. Waszej. W odpowiedzi nań, niestety, wypada mi oznajmić, że wydaje mi się on już nieco opóźnionym. Dochodzą mnie bowiem posłuchy, że sprawa Jozafatowa i również sprawa parafji w Berlinie już załatwione. Nie mam racji powątpiewać o tem. Gdyby pogłoski te okazały się mylnemi, nie omieszkam zrobić, co tylko będzie w mojej mocy. Jeżeli zaś faktycznie już rozstrzygnięto sprawy obie — a niepomyślnie dla Wiel. Waszej — to bardzo proszę, w goryczy serca swego nic takiego nie czynić, coby dalej powiększyło uprzedzenia już istniejące do osoby Waszej. Co się zwlekło nie uciekło. Mocno przekonany jestem, że rozwagą, cierpliwością — chociażby już bardzo nadszarpaną — i taktem, można w podobnej sprawie dalej zajść jak środkami podyktowanymi poczuciem dziejącej się krzywdy. Mam nadzieję, że przypadek nas rychło rzuci razem, abyśmy sprawę tę, jeżeli obecnie nie zostanie załatwioną, mogli gruntownie omówić. Życzliwy w Panu

† *Ks. Paweł Rhode.*"

Biskup Rhode widocznie przez omyłkę wziął mnie za jakiegoś karjerowicza, to jest za człowieka, który nie pracą i zasługą, lecz protekcją i umiejętnymi zabiegami dobija się wyższego stanowiska, intratniejszego probostwa i poprawy bytu. Uzyskanie

lepszego probostwa nie było jedynem celem moim. Było ono tylko bliższym celem. A dalszym celem moim było domaganie się sprawiedliwości. Wobec „uprzedzeń już istniejących“ do mojej osoby, byłem wówczas pewien, że bliższego mojego celu nie dopnę na razie. Bo na uprzedzenie podobnie jak na upór niema lekarstwa. A pomimo to zdążałem do tego bliższego celu. Czemu? Bo przez to osiągałem swój dalszy cel, którym było łaknienie i pragnienie sprawiedliwości. To ciągłe łaknienie i pragnienie sprawiedliwości już samo w sobie dawało memu człowiekowi niewysłowione szczęście. Bo nie darmo Zbawiciel powiedział, że błogosławieni czyli szczęśliwi są ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, stokroć szczęśliwsi od tych, którzy protekcją i zabiegami już dobili się stanowiska. Chociaż arcybiskup mnie postponował i moją skargę ignorował, owszem pozwalał „Nowinom“ w dalszym ciągu szarpać cześć moją: to wszystko tylko po wierzchu mnie wzburzało i oburzało, w głębi zaś duszy mojej jak w głębi oceanu panowała cisza i spokój zupełny. W następnym liście z 21 października 1908 biskup Rhode mi pisał, że stało się to, czego się spodziewał a raczej obawiał:

„Kochany Księże! — Zatem informacje, na których przypuszczenia moje się opierały co do obsady parafji w diecezji Milwauckiej, jak już dzisiaj pewnie Księdzu wiadomo, okazały się wiarogodnymi. Decyzja w sprawach rzeczonych zapadła na początku zeszłego tygodna. Po odebraniu drugiego listu natychmiast się wybrałem do Milwaukee, ale zdaje się na to tylko, aby odczuć jak to przyjemnie, gdy się coś mimo nosa puści. Nie wątpię obecnie, że byłbym uzyskał swoje, gdybym był wczas apelował. Na razie kontentować się musiałem przysposobianiem umysłów na przyszłość. A teraz, jak poprzednio, proszę mocno ks. Wacka, aby się strzegł i w obecnym stanie umysłu i przypadkiem nic takiego nie uczynił, coby nieżyczliwym do smaku przypaść mogło. Z wyrazem życzliwości

w Chrystusie

† *Ks. P. Rhode.*

Franciszkanin musiać wziąć Jozafatowo. Ks. Lex z Wincentowa musiał iść do Berlina, a ks. B. E. Góral musiał opuścić St. Francis i iść na Wincentowo. Arcybiskup Messmer musiał w Rzymie powiedzieć, że już mi dał lepsze miejsce w Racine, a mój człowiek musiał nadal siedzieć w Ripon. Jak mus, to mus. „The first promotion I make is for you“.

200. Publiczna pochwała oszczercy wywołuje publiczne przypomnienie mojej skargi przeciw ks. Góralowi, której arcybiskup pomimo obietnic nie załatwił. — „Kruszka had the temerity to appeal to the papal delegate".

Ks. B. E. Góral, redaktor „Nowin", z St. Francis poszedł na Wincentowo.

Za dobrych czasów, kiedy to miałem nadzwyczajne dochody z pisania artykułów, ofiarowałem gotówką sto dolarów i obiecałem dać niebawem dalsze czterysta dolarów na nowy gmach bibljoteczny przy seminarjum w St. Francis, bo ten gmach był potrzebny do pomieszczenia także polskiej bibljoteki tamtejszej. „Nowiny" swoim zwyczajem tę moją ofiarę nazwały przekupstwem. Wtedy rektorowi seminarjum ks. Rainerowi oświadczyłem, że dalszych 400 dolarów na bibljotekę nie dam, jeśli „Nowiny" tej podłej insynuacji nie odwołają. „Nowiny" nie odwołały. W dodatku „Salezjanum", pismo wydawane przez seminarjum, nazwało „Nowiny" jedynem katolickiem pismem we Wisconsinie". Więc seminarjum nietylko nie zmusiło „Nowin" do odwołania tej podłej insynuacji, ale jeszcze je pochwaliło i publicznie poleciło jako „jedyne pismo katolickie". Więc nie dawałem dalszych czterystu dolarów. Tymczasem prokurator seminarjum, ks. L. Peschong, osobnym listem do mnie dopominał się o nie. Odpowiedziałem mu, że jeżeli tych czterystu dolarów nie dostają ode mnie, to mają to do zawdzięczenia jedynemu katolickiemu pismu „Nowinom". Na to ks. L. Peschong z St. Francis, Wis., 26 kwietnia 1908 tak mi odpisał:

Rev. and dear Father! — Your postal at hand. As I could not understand what you were talking about, I asked Father Rainer and he explained it to me. I had never heard about it. Father Rainer as well as myself and others regret very much that Father Goral referred to this matter in his dispute with you. He certainly acted very unwise as the Library Building etc. certainly had nothing to do with the „Nowiny". I believe myself that he ought to recant it but as you can easily understand we can't do anything in the matter. Neither have we anything to do with what the Archbishop did. I hope you will reconsider your decision in this matter and not blame us, and therefore keep your promise to the Salzmann Memorial Library Building. I beg to remain Yours Respectfully

L. Peschong.

Jak „Nowiny" odwołają, to dam. Inaczej nie. Przy tem stałem. „Nowiny" nie odwołały. To się działo przy końcu kwietnia, a w połowie października tegoż roku 1908 ks. B. E. Góral z St. Francis poszedł na Wincentowo.

Ażeby kres położyć wszelkim wątpliwościom co do powodów, dla których ks. B. E. Góral wyszedł z St. Francis a poszedł na Wincentowo, arcybiskup Messmer oświadczył publicznie w „The Milwaukee Sentinel" z 22 października 1908, że ks. B. E. Góral poszedł na Wincentowo, nie dlatego, że go w seminarjum mieć nie chciano, ani dlatego, że na Wincentowie jest obfitsze źródło dochodów dla „Nowin", lecz jedynie dlatego, że ks. B. E. Góral jest „jednym z najwzorowszych i najwykształceńszych księży polskich w archidiecezji" — one 'of the most exemplary priests.

Reporterom ks. B. E. Góral znany był jako notoryczny oszczerca mojej osoby. Reporterom znany był mój proces z tego powodu. Reporterzy ciągle mnie pytali, czy ten proces już się skończył i jak wypadł. Spodziewali się napewne, że ks. B. E. Góral za swoje oszczercze artykuły zostanie ukarany. To też skoro się dowiedzieli, że ks. B. E. Góral nietylko nie został ukarany, nietylko został wynagrodzony większą parafją, ale nadto publicznie został pochwalony jako „most exemplary priest": zaraz tego dnia się wywiadywali, zarzucając mnie takimi lub podobnymi pytaniami:

— Co to ma znaczyć? Publiczność chce wiedzieć, czy takie jest zakończenie procesu Księdza z ks. Góralem? Wszyscy wiedzą, jakie oszczerstwa ks. Góral rzucał i rzuca w „Nowinach" na osobę Księdza: czy tak arcybiskup karze notorycznego oszczercę?

Odpowiedź moją na te pytania zaraz nazajutrz 23 października 1908 „The Milwaukee Sentinel" na pierwszej stronicy pod sześciu dużymi nagłówkami ogłosił tak:

„I can not understand how the archbishop can call the Rev. B. Goral a most exemplary priest" — said Father W. Kruszka, Ripon, last night. „Such a statement is a disgrace to Polish priesthood. The Rev. B. Goral, as editor of the „Nowiny Polskie", has printed thousands of lies and still continues to print them about laymen and brother priests, including myself, and he has never retracted them. I notified the archbishop, but he did not use his authority to make him retract his lies. I asked for permission to sue Goral in the courts, and then to defend myself in the „Kuryer Polski", but neither request was granted. Here are just a few of the thousands of libels printed against me (tu „Sentinel" przytoczył kilka oszczerstw

z mojej formalnej skargi, wspomnianej powyżej w rozdziale 192). I am surprised and shocked that a man who writes such lies is called most exemplary priest and is promoted and rewarded for those libels"...

To proste przypomnienie mojej sprawy przeciw „Nowinom", której załatwienie arcybiskup, jak widzieliśmy, od półtora roku obiecywał mi ciągle, a nigdy jej nie załatwił, padło teraz jak bomba i wywołało ogromny popłoch i postrach. A strach ma wielkie oczy, tak wielkie, że widzi niebezpieczeństwo nawet tam, gdzie go niema. Więc następnego dnia 24 października 1908 pisał „Sentinel":

„It is said, Father Kruszka, in view of his statements of yesterday, given in the „Sentinel", stands on dangerous grounds. It is intimeted that clerical action may be taken against him. He has been termed a „danger to the church", an „incitor of rebellion" and „despising the pope, the cardinals and the bishops of his church". (A co? czy strach niema wielkich oczu?) These statements he terms „lies". His opponents now urge action by the archbishop. Save for his interview of yesterday, Father Kruszka has not answered the charges".

Mnie bowiem wówczas chodziło tylko o przypomnienie mojej sprawy przeciw „Nowinom", nic więcej. Szczególnie ks. Bernard Traudt się przestraszył tem tak dalece, że tegoż dnia w „Sentinelu" ogłosił takie oświadczenie:

„Regarding Father Kruszka's interview, it plainly shows his attitude toward the archbishop. That attitude is one of hostility... Father Kruszka, in my opinion, has expressed sentiments that deserve of drastic punishment. In my opinion the archbishop has been too kind, too considerate. He has long overlooked rebellions actions. A man less kindly by nature would have snapped the neck of that opposition long ago... Archbishop Messmer has made no statement as yet regarding Father Kruszka's interview. He was forced to leave Milwaukee early this morning. I therefore do not know what he may do. Regarding Father Kruszka's libel suit, he did ask permission to sue Father Goral for doll. 10,000. The archbishop and the ecclesiastical council considered the suit; the matter was thoroughly sifted. I believe it was considered inadvisable to grant the requests and following that decision **he had the temerity** to write to the papal delegate to Washington".

Na to wszystko arcybiskup Messmer nareszcie po 2 tygodniach w „Sentinelu“ z dnia 8 listopada 1908 odezwał się tak: „I have never been nor am I now, in ang manner whatever, editor, publisher, director or stockholder of the „Nowiny“. The claim to stock, that I was by contribution entitled to, was assigned to another party. I never held a single stock certificate. Neither have I in any way interfered in the management or editing of the „Nowiny“ unless it be by the advise consistently given to the editor „to stock to the truth“ and „to keep out personalities“.

A kiedy się czarne na białem przekonał, że wydawca „Nowin“ tej rady „to keep out personalities“ nie posłuchał, to za to nieposłuszeństwo jeszcze go wynagrodził nietylko promocją, ale i publiczną pochwałą. Long live consistency!

201. Delegat Apostolski Falconio w roli oskarżyciela. — Czyni mi gorzkie wyrzuty i dostaje zaraz na nie odpowiedź.

Tak, ja miałem tę śmiałość. — I had the temerity, jak ks. Traudt się wyraził — nietylko apelować do Delegata Ap., ale także ciągle przypominać arcybiskupowi, żeby raz tę sprawę moją przeciw „Nowinom“ definitywnie rozstrzygnął, albo przychylnie dla mnie albo nieprzychylnie. Przypomniałem mu ją i teraz, kiedy ks. Górala wysadził z St. Francis, i zarazem miałem tę śmiałość znowu robić aplikację na Jozafatowo. Odpowiedział mi 2 listopada 1908 tylko na to ostatnie:

Dear Sir! I dont see how you can apply for St. Josaphat's under the present conditions. Respectfully Yours

† *S. G. Messmer*, Abp.“

Sprawę zaś procesu pominął zupełnem milczeniem. Miałem więc tę „śmiałość“ czy „bezczelność“ (temerity) znowu 5 listopada 1908 apelować do Delegata Apostolskiego, bo łaknąłem i pragnąłem sprawiedliwości. Ludzie, którzy krzywdę cierpią, „mają tę śmiałość“ łaknąć i pragnąć sprawiedliwości. Tylko ludzie, którzy krzywdę czynią, nie mają tej śmiałości, bo wiedzą, co ich czeka.

Od Delegata Ap. dostałem teraz odpowiedź, która mi dała wiele do myślenia. List, oznaczony No. 36-d., datowany w Washington, D. C., 9 listopada 1908 brzmiał tak:

Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis. — Rev. and dear Sir! — In reply to your letter of the 5-th inst. I beg to say that I have written

to you several times telling you that I have brought the case to the attention of His Grace the Archbishop, and that I am informed that His Grace is awaiting a decision in the matter.

Until such time, therefore, as you have received a decision from the diocesan court, you will consider this as a last communication, and will accordingly refrain from further writing on the subject. If, however, when said decision is rendered, you consider it unjust, you may then have recourse to this Delegation.

Sincerely yours in Christ,

† *D. Falconio,*
Apostolic Delegate.

Czy to nie sprawiedliwość prosta jak drut?... Czekaj tatka latka aż ci rosa oczy wyje. Ta wymijająca odpowiedź Delegata Apostolskiego jeszcze bardziej zaostrzyła we mnie łaknienie i pragnienie sprawiedliwości. Ponieważ słyszałem, że Delegat Apostolski ma być gościem u arcybiskupa Quigley'a w Chicago, pojechałem tam, aby się z nim rozmówić w cztery oczy. Arcybiskup Quigley sam przywitał mnie i poprowadził do Delegata. Było to dnia 19 listopada 1908. Powiedziałem Delegatowi, że z jego ostatniego listu z 9 listopada wcale nie jestem zadowolony. Bo według tego listu ja mam apelować do Delegata dopiero wtedy, kiedy arcybiskup Messmer ogłosi mi wyrok niesprawiedliwy. Aliści Delegatowi wiadomo, że ja zaapelowałem do Delegata właśnie dlatego, że arcybiskup Messmer nie chciał mi uczynić sprawiedliwości z przeciwnika mego, że według decyzji arcybiskupa Messmera było „rzeczą niedoradzoną" uczynić mi sprawiedliwość. Taką decyzję niesprawiedliwą wydał był arcybiskup Messmer od samego początku, i od takiej to niesprawiedliwej decyzji ja właśnie zaapelowałem do Delegata już półtora roku temu. Że tak jest, dowodzą tego słowa kanclerza arcybiskupiego ks. Traudta, który w „Milwaukee Sentinel" z 24 października 1908 publiczne temu dał świadectwo temi słowy: „It was considered inadvisable to grant the requests (of Father Kruszka) and **following that decision** he (F. Kruszka) had the temerity to write to the papal delegate to Washington". Tu Wasza Excelencja ma jasny dowód, że aby apelować do Waszej Excelencji, ja nie potrzebuję dopiero czekać na nowy niesprawiedliwy wyrok arcybiskupa Messmera. Bo jeden niesprawiedliwy wyrok zapadł już półtora roku temu i od tego to właśnie niesprawiedliwego wyroku ja zaapelowałem do Waszej Exce-

lencji. Tymczasem Wasza Excelencja od półtora roku zdaje się oczekiwać nowego jakiegoś wyroku, całkiem nadaremnie.

Kiedym to mówił, Delegat stawał się czerwonym na twarzy, ściągał brwi, marszczył czoło, a oczami ciskał błyskawice. Był widocznie zły. Z poważnego sędziego stał się nagle śmiesznym oskarżycielem moim; śmiesznym, gdyż, jak za panią matką pacierz, za moimi wrogami powtarzał takie śmieszne zarzuty:

— Ty nadal pisujesz artykuły do brata twego gazety pomimo zakazu arcybiskupa — wołał zaindyczony.

— Jeśli piszę, to daj dowody, Excelencjo. A jeśli nie masz dowodów, to czemu to kłamstwo powtarzasz za „Nowinami"?

— Jeśli nie piszesz, to w każdym razie inspirujesz „Kurjera" i swoim wpływem nadajesz kierunek pismu twego brata. I dlatego jesteś odpowiedzialny i na przyszłość będziesz pociągany do odpowiedzialności za to, co pisze gazeta brata twego.

— „Kurjera" nie inspiruję ani nim nie kieruję. I dlatego, chyba prawem kaduka, może mnie Excelencja czynić odpowiedzialnym za kierunek „Kurjera".

— W Milwaukee powinien być ustanowiony bezstronny (impartial) kościelny cenzor, któryby bacznem okiem śledził, kto i co pisze do „Kurjera".

— I kto i co pisze do „Nowin" — dodałem.

— Ty źle robisz, że skargę wytaczasz przeciw ks. Góralowi, który jest dobrym kapłanem.

— Po owocach jego z „Nowin" poznaję go jako kłamcę i oszczercę.

— „Nowiny", które on wydaje, są dobrem katolickiem pismem, ponieważ mają aprobatę arcybiskupa.

— Aprobata bieżącego czasopisma ma tę samą wartość, co kanonizacja człowieka za życia. Jak człowiek, dopóki żyje, z najlepszego może się stać najgorszym: tak czasopismo pomimo aprobaty z najlepszego może się stać najgorszem. I odwrotnie. An unconditional episcopal approval of a newspaper is much like canonization of a man during his lifetime. When he is declared a Saint, he bacomes carelles and more liable to sin.

Po tej spokojnej mojej odpowiedzi Delegat zaczął z całkiem innej beczki czerpać zarzuty i napełniać nimi ów kielich goryczy, jaki mi tego dnia 19 listopada 1908 podawał do wypicia. W coraz to większem gniewnem uniesieniu, nagłym i niespodzianym zwrotem przeszedł teraz do zarzutów najcięższego kalibru, wobec których

wszystkie poprzednie stały się małoznaczne. Był to zarazem najdłuższy szereg zarzutów tego dnia mi uczynionych. Mianowicie następujące mi czynił gorzkie wyrzuty.

— Tyś miał tę śmiałość jechać do Rzymu w roku 1903.

— Tak jest, bo miałem tę śmiałość łaknąć i pragnąć sprawiedliwości dla nas Polaków amerykańskich. Tylko ludzie, którzy czynią krzywdę, nie mają tej śmiałości. Ale ludzie, którzy krzywdę cierpią, słusznie mają tę śmiałość dopominać się sprawiedliwości. A nam Polakom w Ameryce krzywda się dzieje.

— Twoje zamiary w tej misji do Rzymu nie były czyste, a twoje postępowanie nie było prawidłowe.

— Czystość moich zamiarów jest Bogu wiadoma, a prawidłowość mojego postępowania w tej misji jest i Rzymowi wiadoma.

— Lepiej jednak byłbyś zrobił, gdybyś był nie jechał do Rzymu i nie tracił tyle pieniędzy biednego ludu polskiego.

— Pojechałem, bo Kongres Polsko-Katolicki wybrał mię delegatem, a Wydział Wykonawczy tegoż Kongresu dał mi mandat do wyjazdu. Lud polski wcale nie żałował i nie żałuje tych pieniędzy, jakie wydał na moją misję do Rzymu.

— Właśnie w tem tkwiła nieprawidłowość twojego postępowania w tej misji, że oglądałeś się tylko na posłannictwo ludu i kleru polskiego, a nie na posłannictwo twojego arcybiskupa, pod którego władzą zostawałeś.

— Myli się Wasza Excelencja. Bo skoro mnie Kongres w Buffalo wybrał delegatem, zaraz w powrocie z Buffalo do Ripon po drodze wstąpiłem do arcybiskupa Katzera w Milwaukee, powiadomiłem go o moim wyborze i zapytałem go, czy on się godzi na to, że przyjmę urząd delegata do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru polskiego. Arcybiskup Katzer wówczas ustnie mi odpowiedział, że godzi się na to i niema nic przeciwko tej mojej misji do Rzymu. A później, kiedym już faktycznie wyjeżdżał do Rzymu, przez swojego administratora dał mi na piśmie pozwolenie wyjazdu do Rzymu wyraźnie „gwoli sprawowania urzędu“ tego, po łacinie, „muneris vacandi causa“. To przedłożyłem w Rzymie i nikt tam nie kwestjonował prawidłowości mojego postępowania.

Na to Delegat Apostolski uśmiechnął się szyderczo i rzekł:

— To prawda, arcybiskup Katzer dał ci pozwolenie na wyjazd w tej sprawie do Rzymu i nie odradzał ci podejmować się tej misji. Bo gdyby arcybiskup Katzer był nie pozwolił ci jechać do Rzymu, albo gdyby tylko był odradzał ci tę misję, to ty natychmiast

byłbyś rozpoczął bunt w Kościele. I jedynie dlatego, żeby zapobiec takiemu buntowi twojemu, on chcąc nie chcąc zaaprobował twoją misję.

— Taki zarzut, Excelencjo, o ile jest bezpodstawnym o tyle złośliwym; ale zarazem jest tak śmiesznym i dziecinnym, że nie wart odpowiedzi. Nie moją rzeczą było badać arcybiskupa Katzera, z jakich pobudek on aprobował mój wyjazd do Rzymu. Faktem jest, że aprobował. A wobec tego faktu upada wszelki zarzut nieprawidłowości mojego postępowania.

— Czemuś tej sprawy biskupów polskich nie zostawił biskupom amerykańskim do załatwienia?

— Była im zostawiona przez tyle lat, ile lat Polacy są w Ameryce. A jednak jej nie załatwili, ani myśleli załatwić. Potem nietylko zostawiona ale i przedstawiona im była na konferencji arcybiskupów w Washingtonie r. 1901 do załatwienia. Nietylko jej nie załatwili, ale nadto oświadczyli nam Polakom, że nie mogą jej załatwić. Następnie r. 1902 przedstawiona jeszcze była każdemu biskupowi z osobna do załatwienia. Jeden tylko dał odpowiedź, i to odmowną, a inni żadnej nie dali. Więc nie my ich, ale oni nas zignorowali.

— Ale rozwiązania tej kwestji biskupów polskich nie zostawiłeś roztropności Stolicy świętej, lecz w twojej drukowanej Prośbie do papieża i w innych pismach domagałeś się narodowych biskupów i narodowych diecezyj.

— Choćbym się **domagał** polskich dieczyj, czyli polskich biskupów dla Polaków wyłącznie, to cóżby w tem złego było? Przecie tylko Polacy potrzebują biskupów polskich, a nie Niemcy ani ajrysze. Żem ten sposób załatwienia sprawy **suggestjonował** w moich pismach, to prawda. Alem nigdzie nie domagał się tego, a już najmniej w mojej drukowanej Prośbie do papieża (Supplices Preces). Sposób załatwienia tej sprawy pozostawiałem roztropności Stolicy świętej. Czytaj moje Supplices Preces. Chociaż w Rzymie słyszałem, że sam Ojciec św. powiedział, iż kwestji biskupów polskich w Ameryce nie można inaczej dobrze załatwić jak tylko przez utworzenie polskich diecezyj. Można ją inaczej załatwić, ale nie dobrze. A sprawa nie jest załatwiona wogóle, dopóki nie jest załatwiona **dobrze.**

— Ale rezultatem twojej misji do Rzymu było zwiększenie a nie zmniejszenie ruchu niezależnego w Ameryce.

— Rezultat mojej misji do Rzymu był ten, że uzyskałem z ust samego papieża przychylny wyrok dla sprawy biskupów polskich w Ameryce. I kiedym z tym przychylnym wyrokiem papieskim wrócił do Ameryki, niezależni np. w Buffalo zaraz zgłosili się z chęcią gremjalnego przejścia na łono Kościoła katolickiego. Uzyskanie więc przychylnego wyroku papieskiego wywarło zbawienny wpływ na niezależnych. Ale **niewykonanie** tego wyroku wywarło zgubny wpływ i powiększyło liczbę niezależnych. Zatem zwiększenia ruchu niezależnego nie można nazwać rezultatem mojej misji, lecz misji tych biskupów amerykańskich, którzy swoim wpływem w Rzymie przeszkadzali prędkiemu wykonaniu wyroku papieskiego.

— Biskupi amerykańscy sprzeciwiali się zamianowaniu biskupów polskich, boś ty z pobudek czysto politycznych wziął ze sobą do Rzymu jako rzecznika kongresmana Rolanda B. Mahany'ego. To biskupów amerykańskich ogromnie zgorszyło!

— O, zgorszenie iście faryzejskie! Bo któż to zmusił nas do takiego kroku jeśli nie biskupi amerykańscy? Wszak to biskupi amerykańscy wmówili w Prefekta Propagandy i w kardynałów, że rząd washingtoński sprzeciwia się mianowaniu biskupów polskich w Ameryce. Sam arcybiskup Katzer roku 1902 taką wiadomość nam z Rzymu przywiózł. Więc dla ubicia tego potwornego kłamstwa, a nie dla czego innego, zmuszeni byliśmy wziąć do Rzymu takiego Mahany'ego kongresmana. On, mając listy polecające od prezydenta Roosevelta i federalnych urzędników z Washingtonu, mógł dać i dał też wymowne świadectwo tej prawdzie, że rząd amerykański nie sprzeciwia się lecz owszem sprzyja naszej sprawie biskupów polskich. Stąd cała złość na Mahany'ego i na mnie, że wziąłem ze sobą Mahany'ego.

— Bądźcobądź twoja misja do Rzymu nie powiodła się — your mission to Rome was unsuccessful.

— Że dla mnie osobiście się nie powiodła, to wiem z tego kielicha goryczy, jaki mi Excelencja dziś dałeś do wypicia. Ale powiodła się dla sprawy biskupów polskich w Ameryce. Albowiem dla tej sprawy uzyskałem przychylny wyrok papieski, którego już nikt i nic nie obali. Msgr. Bisleti, który na własne uszy słyszał ten wyrok z ust papieża, powinszował mi sukcesu w mojej trudnej misji, wołając z zachwytem: Oto, czego chcesz więcej! Gdyby misja moja się nie powiodła, nie miałbym tylu zazdrośników i złośników.

To powiedziawszy, zamilkłem i czekałem, co Delegat Apostolski dalej powie. Lecz on milczał w zadumaniu. Przerywając milczenie, rzekłem:

— Czy Excelencja ma mi jeszcze co do zarzucenia?

— To wszystko.

— Te wszystkie zarzuty, jakie z ust Excelencji dziś usłyszałem, jeszcze mocniej i głębiej mnie przekonały o koniecznej potrzebie biskupów polskich w Ameryce. Dziękuję i żegnam.

Do drzwi odprowadził mnie arcybiskup Quigley. Po wyjściu z pałacu arcybiskupa chicagoskiego mimowoli przychodziły mi takie myśli:

— Czy to był Delegat Apostolski D. Falconio? Nie, to nie może być. On by mi takich śmiesznych zarzutów nie stawiał. To chyba sam arcybiskup Messmer siedział w nim i przez niego przemawiał.

202. Delegat Apostolski oświadcza na piśmie, że on mi nie czynił zarzutów, tylko powtórzył zarzuty, jakie drudzy mi czynili. — Zabobonny strach przed kompromitacją władzy.

Delegat widząc, że po półtorarocznych daremnych usiłowaniach nie może zmusić arcybiskupa Messmera do załatwienia mojej sprawy przeciwko „Nowinom“, nie miał innego wyjścia, jak tylko wystąpić albo przeciwko mnie, albo przeciwko arcybiskupowi. Widać wolał wystąpić przeciwko mnie. Wolał nie zmuszać „Nowin“ do odwołania kłamstw przeszłych ani do zaprzestania kłamstw na przyszłość. Owszem wolał uwierzyć, a przynajmniej udawać, że uwierzył w to bezczelne kłamstwo, że ja pomimo zakazu pisaniem zasilam albo inspiruję „Kurjera“, a więc, że ja jestem i będę na przyszłość odpowiedzialnym za wszystko, co „Kurjer“ pisze. Otwierała się teraz przed oczami duszy mojej długa krzyżowa droga, tak długa, że jej końca widzieć nie było można. Bo ja na kierunek „Kurjera“ nigdy wielkiego wpływu nie miałem. A to trochę wpływu, jaki dawniej miałem, straciłem zupełnie wtedy, kiedy arcybiskup nietylko zakazał mi pisać, ale i nie chciał mi uczynić sprawiedliwości z przeciwnika mego. Wtedy, ilekroć ostrzegałem, żeby „Kurjer“ nie pisał przeciw Kościołowi, odpowiadano mi:

— A czy Kościół przez „Nowiny“ nie występuje przeciwko tobie i nam? Co ty będziesz nam kazał bronić Kościoła, kiedy Kościół ciebie poniewiera i ciebie i nas zniszczyć chce.

Odpowiadałem im:

— Ależ wy przez poniżenie Kościoła wywyższacie właśnie ks. Górala!

Lecz nawet tego najsilniejszego argumentu redaktorzy „Kurjera“ zrozumieć nie chcieli czy nie mogli.

A jednak mój człowiek, przez długie lata następne, był pociągany do odpowiedzialności za kierunek „Kurjera“.

Trzeba więc było ukuć nowy pancerz cierpliwości i uzbroić się w niego dobrze. A że cierpliwość nie jest biernością (patience is not passiveness), która „bierze“ tylko baty, ale ciągłą i wytrwałą czynnością: przeto wróciwszy z owej audjencji u Delegata do Ripon, siadłem i napisałem list do biskupa Rhodego i list do Delegata Apostolskiego. List pisany 21 listopada 1908 do Delegata Apostolskiego brzmiał tak:

Most Rev. Apostolic Delegate! — As sincerity is the basis of social relations, I like the sincerity and veracity You showed me, the day before yesterday, in the candid expression of Your bitter feelings against me. But I must hate Your Excellency's spirit of partiality and rash judgement You showed in taking the sides of the libelous „Nowiny“ and its editor, and in questioning the purity of my motives and the rectitude of my conduct in going to Rome in 1903—4. I went out from the audience, before yesterday, with the impression that with Your Excellency, for short time, headlong credulity and headstrong passion usurped the seat of judgement. If I remember correctly, Your Excellency said in part:

1) that I continued to write to my brother's paper in spite of the Archbishops prohibition... (Tu przytoczyłem wszystkie zarzuty Delegata w 14 numerach.)

The abowe 14 impeachments against me were made by Your Excellency before yesterday — if I remember them correctly. I wrote them down and, hereby, I send them to You, because I like to be fair and just to You. Not a word would I impute to You which You did not utter. Please kindly state the number briefly if I quoted You incorrectly. If Your Excellency's utterances were as I quoted them above, You need not answer. No answer within 15 days from today will be a sufficient proof to me that I quoted Your utterances correctly. The many impeachments made against me are too grievous to be forgotten by me. I meditated upon them and after a long and close examination of my conscience I find them so shockingly incredible that I can hardly believe that they

came, not from my personal enemies, but from the mouth of the Apostolic Delegate who is supposed to be an impartial judge.

Most respectfully Your servant in Christ,

W. Kruszka.

Na ten list Delegat odpowiedział mi natychmiast. Dnia 24 listopada 1908 w liście No. 181-d. jak prawdziwy starosta rzymski, wziąwszy wodę, umywa ręce, mówiąc: Nie winienem ja tych zarzutów. Ja ci tych zarzutów nie czyniłem. Ja ci tylko powtórzyłem te zarzuty, jakie od innych słyszałem w tym celu, żeby cię po ojcowsku ostrzec na przyszłość przed takimi oskarżeniami. Oto list jego:

Rev. and dear Sir!

Your letter of the 21-st instant has been duly received. I regret to see that you, perhaps in a moment of excitement, attribute to me motives whieh I had never in view, and statements which in fact have no foundation, or are altogether exaggerated. My only motive in speaking to you was to warn you in a confidential and fatherly manner in regard to what I had heard against you so that you might be on your guard for the future, and avoid farther scandals. In regard to Rev. Father Goral, I refer you to my last letter addressed to you on the 9-th instant. Praying God to grant you and to all the Polish priests His grace, in order that your conduct may be such as becomes the servants of Our Lord, and thus bring peace and harmony among the people, I am,

Sincerely yours in Christ,

† D. Falconio,
Apostolic Delegate.

Jak gdyby „peace and harmony" mogła się ostać bez fundamentu sprawiedliwości. Więc dnia 27 listopada 1908 odpowiedziałem mu tak:

Most Rev. Apostolic Delegate!

Your favor of Nov. 24-te at hand. Please accept my thanks for the good wishes and prayers and fatherly warnings You gave me. Your wishes being sincere, You will not delay justice, which is the foundation of peace and harmony. In regard to Rev. Father Góral you refer me again to your last letter. But you did the same for a year and a half, without doing justice. You noticed my „excitement". Of course, I am excited, because I am hungry

I hunger after justice. A hungry man must get excited. Especially, when he asks for bread and they throw stones at him. Promises made again and again, and never kept, are not only exciting but exasperating a man. Look at these promises Archbishop Messmer made in his letters to me: „You and the Apostolic Delegate will get the report tonight or tomorrow mornig“ — „The first promotion I make is for you“ — and so on. Can you be fed on such vain promises? I cannot. I am hungry after justice and, therefore, excited. With the delay of justice, my excitement will grow more and more. Notwithstanding this excitement, however, by the grace of God I did not and will not undertake any scandalous step. I prayed and pray God to die rather than to loose the grace of true faith. By the grace of God I avoided and I will avoid sinful scandals. But I can not be held responsible neither for past nor for future pharisaical scandals, nor for such scandals which are the necessery outcome of an unjust treatment.

Most respectfully Your servant in Christ,

W. Kruszka.

Monsignor Giuseppe Antonucci z Rzymu jeszcze 26 sierpnia 1908 pisał mi był w mojej sprawie przeciw „Nowinom“ co następuje:

Mój Najdroższy Przyjacielu!

Dziś był u mnie Monsignor Bonawentura Cerretti (audytor Delegata Apost. z Washingtonu), któremu bardzo Ciebie polecałem... Przyrzekam ci napewno, mówił mi Msgr. Cerretti, że o ile to będzie w mojej mocy, wszystko uczynię twojemu przyjacielowi Kruszce, który godzien jest wszelkiego dobrodziejstwa. Wiele bowiem mówiliśmy o Tobie. Ja zaiste Ci powinszować muszę, że zarówno Msgr. Cerretti jak i Msgr. Falconio tak Ciebie szanują i miłują, że żadnej już rekomendacji nie potrzebujesz. Z tego zaś niezmiernie się cieszę i raduję, że sam Msgr. Cerretti mnie zapewnił, iż Delegacja Apostolska w sprawie oszczerstw przez gazetę „Nowiny“ na Ciebie rzuconych taki sobie wyrobiła sąd, jaki jak to słusznem było Tobie ze wszech miar sprzyja... Msgr. Cerretti także mi powiedział, że mu to bardzo miłą rzeczą było poznać twego brata, najlepszego męża...

Twój przyjaciel i brat w Chr.,

Józef Antonucci.“

Przychylny dla mnie sąd wyrobił sobie Delegat Apostolski. A dlaczego nie uczynił mi sprawiedliwości z przeciwnika mego? Dlaczego nie zmuszał „Nowin“ do odwołania albo przynajmniej do zaprzestania dalszych oszczerstw? Dlaczego? Stara to historja. Dlatego, że „Nowiny“ aprobował Messmer, piastun władzy arcybiskupiej. Więc powołując „Nowiny“ do porządku, zdawało mu się, że przez to skompromituje władzę arcybiskupią, podczas gdy w rzeczywistości skompromitowałby tylko piastuna tej władzy. Stara to historja, ten zabobonny strach przed kompromitacją władzy! Zabobonny, bo władzę identyfikuje z jej piastunem. Zabobonny, bo pozwala piastunowi nawet nadużyć władzy, byle tylko piastuna nie kompromitować. Zabobonny, bo nie pamięta, że przez nadużycie władzy piastunowie kompromitują czyli narażają na wstyd, śmieszność albo hańbę tylko **siebie**, a nie władzę. Więc za to nadużycie ich ukarać, to nie znaczy kompromitować władzę. Mieć w takim razie zabobonny strach przed kompromitacją władzy, to znaczy, puścić płazem nadużywanie władzy i pozwalać piastunom bezkarnie na jej dalsze nadużywanie. Precz z tym zabobonnym strachem przed kompromitacją władzy. Bójmy się nadużywać władzy, jaką piastujemy, i nie pozwalajmy jej drugim nadużywać. Oto strach prawdziwy i zbawienny. Ale nie bójmy się zgromić i ukarać piastunów, ilekroć nadużywają swojej władzy. Bo taka bojaźń to strach zabobonny i zgubny. Nadużywanie władzy albo pozwalanie jej nadużywać możnaby prędzej nazwać kompromitacją władzy; ale ukaranie władców czyli piastunów władzy za nadużywanie władzy nigdy nie jest i nie może się nazywać kompromitacją władzy, ale raczej jej rehabilitacją czyli przywróceniem do czci. Dopóki tej prostej ale wielkiej prawdy nie zrozumiemy i w życie nie wprowadzimy, dopóty sztuki rządzenia ludźmi się nie nauczymy i zamiast rozszerzać budowę Kościoła Bożego na ziemi, uszczuplać ją będziemy.

W tym samym powyższym liście z 26 sierpnia 1908 Monsignor Antonucci z Rzymu donosił mi, że już wówczas po Chicago miały miasta Milwaukee i Buffalo dostać biskupów polskich. Pisał tak:

„Może wiesz, że diecezje milwaucka i buffaloska mają wkrótce dostać każda swojego sufragana biskupa polskiego. Jeżeli chcesz to ogłosić w gazetach, to proszę, powiedz tylko, że tę wiadomość otrzymałeś z Rzymu, nie wyjawiając ani audytora Cerrettiego, ani mojego imienia“.

Bardzo ładna znowu wiadomość. Ale dlaczego i ta się nie sprawdziła? Dlatego znowu, że nie chciano kompromitować Messmera albo Coltona, bojąc się zabobonnie, żeby przez to nie skompromitować władzy arcybiskupiej w Milwaukee albo biskupiej w Buffalo. Stara to historja, ten zabobonny strach przed kompromitacją władzy. Powtarza się ciągle. Mój człowiek doświadczył jej szczególnie w Czwartem Siedmioleciu. I w przyszłości mimo uroczystych przyrzeczeń Rzymu przez długie lata nie ustanowi się biskupów polskich w Ameryce jedynie z obawy przed opozycją czy obrazą dotychczasowych piastunów władzy biskupiej, czyli z tego strachu zabobonnego przed kompromitacją władzy. Ależ właśnie ustanowienie biskupów polskich zrehabilitowałoby tę władzę czyli przywróciłoby ją do czci większej u ludu zwłaszcza polskiego. Kiedy oczy piastunów władzy otworzą się na tę prostą a wielką prawdę, wtedy budowa Kościoła w Ameryce rozszerzać się będzie do niebywałych rozmiarów.

203. Dostaję 350 dolarów od Wydziału. — Biskup Rhode prosi mnie o wycofanie mojej skargi przeciwko „Nowinom". — Przychylam się do jego prośby.

Widząc mię w takich uciskach, nareszcie Wydział Wykonawczy Kongresu poczuł się do obowiązku spłacenia mi choć połowę należnej sumy. Dnia 7 grudnia 1908 ks. Sztuczko, sekretarz Wydziału, przeraził mię tą nowiną, że „Wydział W. na ostatniem posiedzeniu 1 grudnia r. b. postanowił wypłacić Ks. Dobrodziejowi 350 dolarów a conto Jego podróży do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru polskiego, pod warunkiem atoli, że **Ks. Dobrodziej zrzecze się pretensji do pozostałych 350 dolarów i da pokwitowanie „paid in full"**. Pieniądze wyślę, skoro otrzymam owe zrzeczenie się na piśmie".

Nie bardzo mi się to podobało. Ale ks. Sztuczko dnia 9 grudnia 1908 oświadczył stanowczo: „Przekazu na 350 dolarów nie przysyłam. Uczynię to, skoro otrzymam od Ks. Dobrodzieja zrzeczenie się pretensyj do pozostałych 350 dolarów **bez żadnego zastrzeżenia i warunku, choćby wypowiedzianego w formie prośby"**.

Pomyślałem wtedy:

Lepszy rydz,
Niż nic!

I dnia 11 grudnia 1908 otrzymałem taki list:

„W załączeniu przesyłam czek na 350 dolarów. Będzie teraz między Ks. Dobrodziejem a Wydziałem Wykonawczym zgoda! Prosząc o pokwitowanie, kreślę z się z głębokim szacunkiem

Ks. K. Szłuczko, C. S. C.“

Ano, przynajmniej słomiana zgoda. Ale lepsza słomiana zgoda niż złoty proces.

Na Boże Narodzenie roku 1908 posłałem biskupowi Rhodemu życzenia wesołych świąt. Na to od niego otrzymałem taki list, jakiego się nigdy nie spodziewałem. Ten długi i brzemienny w następstwa list był następujący:

„Chicago, d. 30 grudnia 1908.

„Kochany Ks. Wacku! — Za serdeczne życzenia Bóg zapłać! I ja nie mniej serdecznie się odwzajemniam i Jego Wielebności na rok nowy Omnia fausta esse spero et precor.

„Miałem już wcześniej napisać o rezultacie mego wstawiennictwa w sprawie owej kompensaty, ale nie mogłem z powodu ustawicznej mojej tułaczki. Dzisiaj zaś donoszę, że są najlepsze nadzieje; nim jednak ostateczne formalne żądanie stawię Wydziałowi, prosiłbym kochanego proboszcza z Ripon, centrum świata całego, o mały dowód tego, że usługi moje w tej sprawie przed obliczem Jego jaką taką wartość mają. Otóż mam na sercu ciągle ów niepotrzebny i nieszczęsny zatarg Wasz z ks. Góralem. Gdy odczytałem list kochanego Księdza o owej audjencji u Delegata Apostolskiego, przyznam się, że uczucie, które mną owładnęło bynajmniej nie trąciło litością dla Księdza ale raczej żalem tak do jednej jak do drugiej strony. Ciekawym obecnie tylko, czy ksiądz już przejrzał i zoczył potrzebę ugodzenia się czyli też jeszcze nie? — Dziwny zaprawdę ten nasz głośny patrjotyzm polski!

„Otóż wracając do rzeczy — bez dłuższego umotywowania stawień swoich twierdzę, że zatarg wspomniany jest pozbawiony podstaw należytych, jest nieuzasadniony jakimikolwiek względami wystarczającymi czy to natury osobistej czy też dobra ogólnego; dalej, nie rokuje bynajmniej decydującego zadawalniającego załatwienia, bo nie zasługuje na nie, a tymczasem tylko uwłacza władzy kościelnej i irytuje ją; przytem jest bezwarunkowo w najwyższym stopniu niepożytecznym dla samego Księdza, a że w stosie spraw, które nas poniżają i nam wszystkim szkodzą w oczach przedstawicieli Kościoła zatarg ten wielką rolę odgrywa, tego dowód audjencja. Zatem uczynię co będę mógł dla kochanego Księ-

dza, ale pragnąłbym również doczekać się ze strony Jego malutkiego chociażby dowodu Jego przywiązania i zaufania. Podarek ten nader miły dla mnie na rok nowy proszę złożyć w formie wycofnięcia owej sprawy z forum kościelnego ze względu na usilne prośby biskupa polskiego. Wycofnięcie skargi w ten sposób dokonane oddałoby według mego zdania księdzu Wackowi korzyści, nad którymi warto się zastanowić. W nadziei, że w tym roku nowym głębiej i silniej, niż dotąd, odczujemy co to honor narodowy i prawdziwa miłość Kościoła Bożego, kreślę się

Sługą w Chrystusie

† *Ks. Paweł Rhode*".

Prędzej się śmierci spodziewałem aniżeli takiej prośby od biskupa polskiego. Mimowoli przypomniała mi się z ewangelji prośba syna marnotrawnego. Kapitał prosił mnie biskup Rhode zamienić na kapitulację. Kapitał, nagromadzony moją misją do Rzymu, a przeznaczony na dalszą produkcję biskupów polskich w Ameryce, powyższym listem prosił mnie biskup polski złożyć sobie jako „podarek nader miły na nowy rok w formie wycofnięcia owej sprawy z forum kościelnego". I dlaczego? Oto dla zjednania sobie nieprzejednanych bo zdeklarowanych wrogów sprawy naszej, dla pozyskania łaski biskupów amerykańskich. A przecie my nie z łaski tych biskupów, ale właśnie wbrew ich nieprzejednanej i zaciętej opozycji, jedynie z łaski Stolicy świętej uzyskaliśmy biskupa polskiego i niebawem mieliśmy ich więcej uzyskać w Milwaukee i Buffalo. Ten kapitał łaski Stolicy Piotrowej, jak biskup Rhode w dobrej wierze mniemał, można teraz znacznie powiększyć przez zjednanie sobie łaski biskupów amerykańskich, nie przewidując wcale, że w ten sposób można go było tylko zmarnotrawić i zaprzepaścić. Albowiem ten kapitał, polegający na uzyskaniu od samego papieża wyroku przychylnego dla sprawy naszej, zdobyty został jedynie na tej podstawie, że my Polacy w Ameryce nie jesteśmy zadowoleni z biskupów niemieckich i ajryskich. A biskup Rhode powyższym listem prosił mnie dać dowód, że jesteśmy z nich zadowoleni, nie myśląc wcale o tem, że przychylny wyrok papieski, jak był uzyskany tak też wykonany być może jedynie na podstawie naszego niezadowolenia z biskupów amerykańskich. W miarę jak my ten stosunek niezadowolenia zmienimy na stosunek częściowego lub zupełnego zadowolenia z biskupów amerykańskich: opóźni się lub zupełnie przepadnie **wykonanie** przychyl-

nego wyroku papieskiego. Bo z jakiej racji ma nam Rzym dawać biskupów polskich, jeśli my najzupełniej zadowoleni jesteśmy z biskupów niemieckich i ajryskich, a oni z nas są zadowoleni?

Tę prostą a wielką prawdę zrozumieli dobrze biskupi amerykańscy. Zrozumieli ją także papieżnicy polscy. Tylko niektórzy księża polscy orjentacji episkopalnej zrozumieć jej nie mogli czy nie chcieli. Ale biskupi amerykańscy dobrze ją zrozumieli, bo właśnie dlatego użyli „Nowin", „Kurjera Katolickiego", „Wiarusa" i „Dziennika Chicagoskiego" jako narzędzi do przerobienia polskiej opinji publicznej z niezadowolonej na zadowoloną: żeby potem Rzymowi śmiało powiedzieć mogli, że Polacy są zadowoleni z biskupów, jakich mają, więc innych sobie nie życzą. Wyrok bowiem papieski z dnia 15 kwietnia 1903 brzmiał tak a nie inaczej: „Decyzja będzie czemprędzej, i to podług waszych życzeń!" Więc skoro nasze niezadowolenie zmieniło się na zadowolenie ze status quo, to już temsamem ów wyrok papieski został wykonany i innego wykonania nie potrzebuje. Bo będąc zadowoleni z biskupów niemieckich i ajryskich, jakich mamy, widocznie nie życzymy sobie już innych — biskupów polskich. Z tej to właśnie przyczyny biskupi amerykańscy kazali wyżwspomnianym gazetom polskim szeroko się rozpisywać o tem, jak bardzo kler i lud polski jest zadowolony z nich i jak mała tylko garstka jest niezadowolonych. I tych ostatnich kazali piętnować jako buntowników. Z tejże samej przyczyny mnie szczególnie zakazali pisać o tem, że kler i lud polski jest niezadowolony z nich. A kiedy pomimo to niezadowolenie ciągle wzrastało, wtedy powiadali, że to niezadowolenie powstało skutkiem mojej misji do Rzymu. A ponieważ Bogiem a prawdą to niezadowolenie z biskupów niemieckich i ajryskich już przede mną i niezależnie ode mnie istniało wśród kleru i ludu polskiego, i było właśnie przyczyną, a nie skutkiem, mojej misji do Rzymu: więc chcąc mnie jako głównego sprawcę tego niezadowolenia przedstawić, i tu i w Rzymie, koniecznie musiano uciekać się do kłamstwa. I właśnie się przegalopowano. Bo na kłamstwo odpowiedziałem procesem i wytoczyłem im skargę przed wyższą władzą kościelną. Odwołać kłamstwo w „Nowinach", jakie aprobowali, było ich wstyd. Więc żeby im zaoszczędzić tego wstydu, biskup Rhode prosił mnie o wycofnięcie owej skargi.

Z powyższych atoli względów prośba biskupa Rhodego wcale nie trafiała do mojego przekonania. Jeszcze mniej trafił do mego przekonania ten argument, że skarga moja „uwłacza władzy ko-

ścielnej". Był to sobie zabobonny strach przed kompromitacją władzy. Zwykły to straszak na wróble kościelne, ale nie na proboszcza z „centrum świata". Nie moja skarga, lecz kłamstwa „Nowin" aprobowanych przez biskupów amerykańskich uwłaczały — nie władzy lecz — **piastunom** władzy kościelnej i tych kompromitowały. Nie wycofanie przeze mnie skargi, lecz odwołanie kłamstw przez „Nowiny" było jedyną drogą wyjścia z tej kompromitacji. Zabobonny i zgubny strach przed kompromitacją władzy powinien był ustąpić i dać miejsce prawdziwej a zbawiennej bojaźni przed nadużywaniem władzy do zasłaniania oszczercy. Jak z zabobonnego strachu pogan powstaje fałszywy kult bogów w miejsce prawdziwej czci Boga: tak z zabobonnego strachu przed kompromitacją władzy powstaje bałwochwalczy **kult władców** jako bogów lub półbogów w miejsce prawdziwej **czci władzy** od Boga pochodzącej.

A już najmniej trafił biskup do mego przekonania wzmianką „osobistych korzyści". Karjerowiczem nigdy nie byłem. A choćbym nim był, to moja osoba tak się zrosła ze sprawą, dla której przychylny wyrok papieski uzyskałem, że dobro tej sprawy uważałem jako największe dobro moje osobiste a wszelkie osobiste korzyści poza dobrem tej sprawy niewiele dla mnie miały wartości. Cóżby mi bowiem z tego przyszło, że z łaski biskupów amerykańskich zostałbym wielkim proboszczem albo nawet biskupem, ale kosztem ubicia sprawy, tak, że biskupstwo polskie na tem osobistem mojem wywyższeniu miałoby się skończyć i po śmierci mojej nie miałoby dalej istnieć jako stała instytucja w Ameryce? Cel mojej misji do Rzymu byłby w takim razie chybiony. Bo celem mojej podróży do Rzymu było, nietylko żeby papież dał nam jednego lub drugiego biskupa polskiego, ale żeby papież ustanowił biskupstwo polskie jako stałą instytucję w Ameryce na tak długo jak długo Polonja amerykańska żyć będzie. Gdy tego celu dopnę, to nie dbam o inne korzyści: wtedy, choćbym w Ripon do śmierci siedział, triumf mój będzie wiecznotrwały. W zasadzie, tego celu już dopiąłem, bo wyrok papieski zapadł „podług naszych życzeń". Teraz chodzi tylko o jak najprędsze **wykonanie** tego wyroku. Otóż to wykonanie nastąpi tem prędzej, im mniej zadowoleni a im więcej niezadowoleni będziemy z biskupów niemieckich i ajryskich.

Z powyższych więc względów biskup Rhode swoją prośbą nie trafił do mego przekonania. Ale był jeden wzgląd, którym trafił

do mego serca i poruszył moją wolę do wycofania skargi. Mianowicie, gdy swoją prośbę tak skierował do mnie:

„Podarek ten nader miły dla mnie na nowy rok proszę złożyć w formie wycofania owej sprawy z forum kościelnego **ze względu na usilne prośby biskupa polskiego**“.

Prośby tak skierowanej odmówić mu nie mogłem. Powiedziałem: Niech weźmie ten podarek i niech się nim nacieszy. Znając ks. B. E. Górala, wiedziałem, że biskup tym podarkiem długo się nie nacieszy. Bo ks. Góral wnet mu go popsuje. Atoli nie moja to będzie wina, jeśli ten podarek niezadługo się popsuje. Chociaż na tym garbatym świecie często tak bywa, że ślusarz zawini a kowala powieszą.

Posłałem tedy 31 grudnia 1908 biskupowi Rhodemu oświadczenie tej treści: „Jedynie ze względu na usilne prośby biskupa polskiego wycofuję niniejszem moją skargę przeciwko „Nowinom“. ma się rozumieć pod tym zwykłym w takich razach warunkiem, że „Nowiny“ zaprzestaną dalszych napaści na mnie. Bo jeśli „Nowiny“ nie zechcą zaprzestać dalszych napaści na mnie, to niniejsze moje wycofanie skargi jest żadnem i nieważnem podobnie jak rozgrzeszenie na spowiedzi jest żadnem i nieważnem bez przedsięwzięcia poprawy“.

Takie samo oświadczenie posłałem nietylko biskupowi Rhodemu ale równocześnie (tegoż 31 grudnia 1908) i Delegatowi Apostolskiemu i arcybiskupowi Messmerowi i ks. B. E. Górałowi.

204. Podziękowali mi Delegat i arcybiskup i biskup. — Tylko ks. Góral nic nie odpowiedział. — „Nowiny“ dalej mnie zaczepiały, więc skarga odżyła na nowo.

Za to wycofanie skargi przeciwko „Nowinom“, z radością podziękował mi osobnym listem Delegat Apostolski D. Falconio. Z większą jeszcze radością podziękował mi osobnym listem biskup Rhode. A z największą radością podziękował mi osobnym listem arcybiskup Messmer. Jeden ks. B. E. Góral, wydawca „Nowin“, nie raczył mi nadesłać nawet zwykłej odpowiedzi.

Pierwszy z nich arcybiskup Messmer z nowej rezydencji na 2000 Grand ave, wybiegł z radością jako olbrzym na bieżenie w drogę i już 2 stycznia 1909 z Milwaukee pospiesznym listem wysłał mi gratulacyjną i dziękczynną odpowiedź taką:

„Rev. dear Sir!

I wish to thank you for your kind Christmas Card and good wishes and heartily reciprocate the same. You could not have made me a more acceptable New Year's present than that little note about dropping your quarrel with Rev. Goral and the „Nowiny". I expect to see Rev. G. tomorrow or Monday and see if it be pissible to have you become a regularly paid contributor to the „Nowiny". I am justified in saying that every loyal Catholic who takes interest in the social and religious good of the Poles in Milwaukee, and in fact in all Wisconsinn, will rejoice at the step you have taken. May God reward you for it. Sincerely yours

† *S. G. Messmer.*"

„Każdy lojalny katolik... w Milwaukee i całym Wisconsinie będzie się cieszył" — a więc z pewnością i ks. B. E. Góral, one of the most exemplary priest, będzie się także cieszył z mego podania ręki do zgody.

Również Delegat Apostolski nie zwlekał z odpowiedzią. Delegat Apostolski D. Falconio z Washingtonu listem No. 623-d., stemplowanym na poczcie 3 stycznia 1909 a datowanym 4 stycznia 1909 nadesłał mi taką odpowiedź:

„Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis.

Rev. and dear Sir!

„I beg to thank you for the good wishes which you send me for the New Year. I am also very much pleased to hear that you have determined to withdraw your action against the „Nowiny". Wishing you in return every blessing of the New Year, I am,

Sincerely yours in Christ,

† *D. Falconio,*

Apostolic Delegate."

Tymczasem od wydawcy „Nowin" odpowiedzi jak nie było tak nie było. Owego czasu, dnia 3 lutego 1909, u mnie w kościele w Ripon miał się odbyć ślub p. Stanisława Zwierzchowskiego, profesora uniwersytetu w Ann Arbor, Mich., z panną Felicją Aurelją, córką mego brata Michała z Milwaukee. Otóż na życzenie młodych państwa napisałem do biskupa Rhodego list z prośbą o przybycie na ich gody weselne. W tymże liście wspomniałem biskupowi Rhodemu o tem, że tak Delegat Apostolski jak i arcybiskup

Messmer nadesłali mi dziękczynnne odpowiedzi, a że jedynie ks. B. E. Góral nie odpowiedział mi ani słówkiem. Na to biskup Rhode z Chicago 18 stycznia 1909 tak mi odpisał:

„Kochany Ks. Wacku!

„Liścik Jego odebrałem. Cieszę się bardzo z wycofania skargi wytoczonej „Nowinom". Im mniej takich nieporozumień między nami, tem lepiej dla nas Polaków tu w Ameryce. Niech odpowiedzi odebrane tak od Delegata Apostolskiego jak również od ks. arcybiskupa Messmera będą kochanemu Księdzu dostateczną wskazówką w ocenie własnego postępku. Że ks. Góral uważał za stosowne słówko uznania braterskiego nie przesłać, to rzecz co prawda niemiła, ale przytem też i małej wagi. Byłoby lepiej, gdyby był to uczynił — a że się na tyle nie zdobył — przegrał!

„Za zaproszenie na gody weselne serdecznie dziękuję. Przyjechać jednak nie będę mógł, gdyż dotychczas jeszcze ciągle z powodu nawału pracy ściśle się ograniczać muszę do tych tylko zamówień, których spełnienie koniecznie potrzebne jest ze względu na to, że noszą cechę sprawy publicznej. Młodej zaś parze jak najżyczliwiej zasyłem gorące Szczęść Boże!

Sługa w Chrystusie
† *Ks. Paweł Rhode.*"

Że ks. Góral zignorował moje wycofanie skargi przeciw „Nowinom", to i ja to uważałem za „rzecz małej wagi". Gdyby na tem zignorowaniu i milczeniu był poprzestał i w „Nowinach" mnie już więcej nie zaczepiał, to skarga ta, raz wycofana, byłaby na zawsze wycofana, i jabym nie miał ani powodu ani ochoty ją na nowo wskrzesić. Owszem nadzieją przeciw nadziei chciałem nawet w to uwierzyć, że pisaniem artykułów do „Nowin" natchnę je duchem niezadowolenia z biskupów obconarodowych i powoli pozyskam je dla sprawy biskupów polskich. Niestety ks. Góral, otrzymawszy mój list, miał w redakcji „Nowin" zawołać wobec redaktorów:

— Patzcie, ks. Kruszka podaje mi rękę do zgody, ale zgody nie będzie!

Czy tak zawołał, czy nie, w każdym razie niezadługo to czynem pokazał, że zgody ze mną nie chce. Albowiem jego „Nowiny" zaczęły mię po dawnemu znowu opluwać.

A temsamem, automatycznie, moja dawna skarga, wycofana, znowu się wysunęła na forum kościelne!

O jej automatycznem wysunięciu się na forum kościelne uwiadomiłem najpierw arcybiskupa. Ten grobowem milczeniem mi odpowiedział. A „Nowiny" nie przestały mnie zaczepiać. Więc uwiadomiłem także znowu Delegata Apostolskiego, że umorzona skarga napowrót odżyła. Ten mi zaraz odpisał z Washingtonu 7 marca 1909 listem No. 1437-d:

„Rev. W. Kruszka, Ripon, Wis.

„Rev. and dear Sir! — I answer to your letter of the 3-rd of March, I would request you to send me a copy of the articles from the „Nowiny" which you say attack you, and authentic translations of the same.

Praying God to grant you His choicest blessings, I am,

Sincerely yours in Christ

† *D. Falconio,*

Apostolic Delegate."

A kiedy mu żądane kopje artykułów „Nowin" i autentyczne ich przetłumaczenie posłałem, odpowiedział mi z Washingtonu 7-go kwietnia 1909 listem No. 1803-d. co następuje:

„Rev. and dear Sir! — I beg to acknowledge the receipt of your favor of the 5-th inst. as well as the accompanying documents. In regard to the articles from the „Nowiny" of which you speak, I would say that they were received, and that I referred them to His Grace the Archbishop. I herewith return the documents which you forwarded in your letter of the 5-th inst. With best wishes for a happy Easter, I am,

Sincerely yours in Christ,

† *D. Falconio,*

Apostolic Delegate."

Oto „I referred them to His Grace the Archbishop". I tu w tym martwym punkcie skarga moja utknęła tak samo jak dawniej. Arcybiskup Messmer codzień naobiecał dużo a nigdy nic nie zrobił, żeby „Nowiny" zmusić do odwołania oszczerstw. Pod osłoną jego aprobaty, „Nowiny" w dalszym ciągu mnie oczerniały. A ze wzrastającą liczbą oszczerstw wzrastała i skarga moja, stawając się codzień potężniejszą, groźniejszą i straszniejszą. I stawały się ostateczne rzeczy gorsze aniżeli pierwsze przed wycofaniem skargi. Bo teraz skarga moja, w miarę jak rosła, „irytowała" piastunów władzy bardziej niż przedtem. W irytacji tej

oni istotnie „nie wiedzieli", kogo tu winić, czy oskarżyciela czy oszczercę. Oszczerca w ich oczach musiał być bez winy, bo co on czynił, to za ich aprobatą czynił. Skarżyciel jedynie mógł być winnym za to, że ich skarżył bez ich aprobaty. Moja to skarga „uwłaczała" władzy kościelnej": we mnie, skarżycielu, a nie w oszczercy, upatrywano niebezpiecznego wroga Kościoła i groźnego buntownika, albo śmiałka, „who had the temerity to appel to the papal delegate", który śmiał dopominać się u wyższej władzy o sprawiedliwość.

Jakie z tego powodu wówczas myśli i uczucia przenikały duszę moją do głębi, o tem świadczą dwa artykuły, na prośbę ks. Fr. Wojtalewicza do jego „Polonji" napisane. Pierwszy napisany 12 maja 1909 zaczyna się od słów:

„Na prośbę Wydawnictwa „Polonji" biorę pióro do ręki. Zardzewiałe to pióro, które już od dwóch przeszło lat nie pisało do gazet polskich, nie wiem czy potrafi jeszcze coś gładko napisać. Ale mniejsza o gładkość czy chropowatość stylu. Wydawcom i czytelnikom „Polonji" z pewnością głównie o treść się rozchodzi..." A kończy się tak: „Gorliwcy, którzy bronią przedewszystkiem wiary, z pominięciem miłości, i pod płaszczykiem wiary sieją nienawiść społeczną, to są krzyżacy, albo Polacy, którzy się krzyżakom zaprzedali..." Nawet „Dziennik Chicagoski" go przedrukował 27 maja 1909 i opatrzył długim pochlebnym komentarzem.

Drugi artykuł **o teoretycznem a praktycznem następstwie apostolskiem,** napisany 31 maja 1909, podaję tu w całości:

205. Ówczesny mój artykuł o teoretycznem a praktycznem następstwie apostolskiem.

Że „teologowie przy wymienianiu cnót teologicznych najprzód wiarę, a na trzeciem miejscu miłość położyli", z tego wcale nie wynika, że wiarę za najświętszą rzecz, za najwznioślejszą cnotę uważają. Bo teologowie przy wymienianiu, naprzykład sakramentów, naprzód chrzest, a na trzeciem miejscu Ciało i Krew Pańską położyli; a jednak Ciało i Krew Pańską za najświętszy sakrament uważają.

To rzecz pewna, że jak bez chrztu nikt „nie może wnijść do królestwa Bożego" (Jan 3, 5), tak „bez wiary niepodobna podobać się Bogu" (Żyd. 11, 6). „Kto nie uwierzy, będzie potępion" —

tak bez ogródki zawyrokował sam Chrystus Pan (Mar. 16, 16). Człowiek bez wiary nie może żyć sprawiedliwie, bo wyraźnie powiedział Chrystus: „Kto nie wierzy, już osądzony jest (już potępiony jest), iż nie wierzy w imię jednorodzonego Syna Bożego" (Jan 3, 18). O tem mają pamiętać ci, którzy wiary nie mają a nabyć jej nie chcą, uważając ją w domach swoich za zbyteczny sprzęt średniowieczny.

Wszelako jeśli bliżej się zastanowimy, dlaczego właśnie dziś pomiędzy Polakami w Ameryce tak wielu porzuca wiarę, rzucając się w objęcia niedowiarstwa, to musimy przyjść do tego przekonania, że dziś za często podaje się ludowi wiarę bez miłości. A czemże jest wiara nie wypełniona miłością? Jest formą bez treści, studnią bez wody, lampą bez oliwy, łupiną bez ziarna, orzechem bez jądra, skorupą jaja wewnątrz próżną. Ba, żeby to ta skorupa wiary była tylko próżną! Ale jak często — zamiast być pełną życiodajnej treści miłości — wypełniona jest jadem nienawiści, zazdrości, fałszu, kłamstwa, oszczerstwa. Taką skorupę wiary, napełnioną jadem nienawiści, podał naprzykład ten, który pisząc do ludu, głos tego ludu nazwał „kwikiem nierogacizny"; taką skorupę wiary podają ludowi ci, którzy kłamstwa o ludzie piszą a nie chcą odwoływać tych kłamstw, bo to — w ich mniemaniu — ubliżałoby powadze wiary nieomylnej, jakiej przedstawicielami być się mniemają.

Wiara jest koniecznie potrzebną. I niewiarę też tępić trzeba, lecz nie niedowiarków. Zasada św. Augustyna „occidite errores, diligite persones" (zbijajcie błędy, lecz miłujcie osoby błądzące!) była, jest i będzie zawsze zasadą katolicką. Krzyżacką zaś zasadą było, jest i będzie: lżyć, napadać i oczerniać osoby, niedowiarków jak psów pozabijać, na większą chwałę Bożą!

Niema wątpliwości, że człowiek bez wiary w błędzie jest wielkim; lecz w daleko większym błędzie jest człowiek z wiarą bez miłości. Lepszy Japończyk, nie wierzący w Chrystusa i dlatego mordujący chrześcijan, aniżeli krzyżak z wielkim krzyżem na piersiach lub ramieniu, używający miecza, albo co gorsza, używający podstępu, kłamstwa i oszczerstwa, do wytępienia niedowiarków a szerzenia „wiary". Pierwszy bowiem nie może wyrządzić Kościołowi tyle szkody, co drugi. Tysiąc niedowiarków, zaczepiających Kościół i sługi jego, nie może między ludem wiernym tyle spustoszenia uczynić, co jeden krzyżacki obrońca wiary święt-

tej, „broniący“ jej złością, przewrotnością i nienawiścią. Na nic tu tłumaczenie, że ma przecie dobrą intencję. Dobremi intencjami piekło jest wybrukowane.

Co za czasy, co za obyczaje nastały! Dawniej, pierwsi chrześcijanie byli zdania, że dla nawrócenia całego świata nie godziłoby się choćby jednego kłamstwa popełnić. Dzisiaj co widzimy? Dla zdyskredytowania jednego niedowiarka, niby w obronie zagrożonej wiary, mówi i pisze się tysiące kłamstw, jako to: ten nie chodzi do spowiedzi, tamten buntuje lud, tamci parafjanie zabili swego proboszcza, ów ksiądz wyklęty, nie idźcie do niego do spowiedzi, i tak dalej; a to wszystko „w dobrej intencji ratowania wiary św., podtrzymania powagi Kościoła itp. Kiedyż przyjdziemy do tego przekonania, że takie bronienie czy szerzenie wiary, bez zachowania miłości bliźniego, jest najszkodliwszem dla Kościoła świętego, bo mu nie przysparza członków a tylko powiększa szeregi niedowiarków?

Koniecznie potrzebnem jest wierzyć, że Chrystus Pan ustanowił jeden tylko Kościół, a tym Kościołem jest Kościół katolicki. Koniecznie potrzebnem jest wierzyć, że biskupi i księża tego Kościoła katolickiego są prawowitymi następcami Apostołów i uczniów Chrystusowych. Koniecznie potrzebnem jest wierzyć w to, co powiedział Chrystus do Apostołów i ich następców: „Jako mię Ojciec posłał, tak i ja was posyłam“ (Jan 20, 21) i: „Kto was słucha, mnie słucha; a kto wami gardzi, mną gardzi“ (Łuk. 10, 16). Ta wiara jest konieczną, i my księża tę wiarę podajemy ludowi, by ją przyjął i chował jako skarb droższy od wszelkich ziemskich skarbów. Ta wiara w następstwo apostolskie daje biskupom i kapłanom prawo rozkazywania ludowi a na lud wkłada obowiązek słuchania ich.

Atoli, cóż znaczy i ta wiara bez miłości? Cóż znaczy teoretyczne następstwo apostolskie bez praktycznego? Znaczy tyle, co wogóle teorja bez praktyki. Nie z tej teorji czyli nauki o następstwie apostolskiem, choćbyśmy ją nie wiedzieć jak często i szumnie głosili, pozna nas lud, żeśmy prawdziwymi następcami Apostołów i uczniów Chrystusowych, bo i Chrystus sam nie z tej teorji poznawać kazał, ale rzekł po prostu: „**Z owoców ich** poznacie je“ (Mat. 7, 16). Jeżeli dobremi owocami miłości Boga i bliźniego wykazać się nie potrafimy, ale tylko na ową teorję powoływać się będziemy, to w następstwie to mieć będziemy, że lud też tylko

w teorji uznawać nas będzie za prawdziwych następców apostolskich, a nie w praktyce. Abyssas abyssum invocat — próżnia próżnię wywołuje. I napróżno będziemy ten lud nawoływali, by wiarą praktyczną czyli czynną uznawał nas za następców Apostołów i uczniów Chrystusowych. Ta succesio apostolica, to następstwo apostolskie, jakiem biskupi i kapłani katoliccy słusznie się szczycą, w teorji jest i prawdziwa i bardzo piękna — powie lud, nie bez słuszności — ale nie po tem teoretycznem następstwie apostolskiem kazał Chrystus poznawać swoich uczniów i apostołów, lecz „po owocach ich" poznawać ich kazał. Taki ksiądz, który pieniądze biednych ludzi zaprzepaszcza, albo który ludzi oczernia i innych konfratrów lży; taki biskup, który na to wszystko pozwala — czy ci mają być następcami Apostołów? powie lud. Wierzę w to, że są (teorja), ale nie poznaję ich (praktyka). Bo po czem mam ich poznać? czy z teorji, czyli z nauki wiary de successione apostolica? Aliści Chrystus Pan nie z tego ich poznawać kazał, lecz „z owoców ich poznacie je", powiedział, z owoców miłości Boga i bliźniego.

Bo aczkolwiek Chrystus Pan uczył, że wiara jest koniecznie potrzebną do zbawienia, to jednak kiedy chodziło o podanie cechy charakterystycznej, po której ludzie poznawać mieli prawdziwych uczniów Jego, Chrystus Pan nie wiarę lecz miłość podał za cechę uczniów swoich. „Po tem — rzekł — poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu" (Jan 13, 35). Lecz jakże lud nasz w Ameryce może w praktyce uznawać i poznawać uczniów i naśladowców Chrystusa w takich, którzy się żrą nawzajem, nienawidzą, lżą, oczerniają i wyklinają? lub w takich, którzy — dla „wyższej" polityki — na to wszystko pozwalają, zamiast ukarać notorycznych oszczerców? Czy tę cechę miłości może zastąpić apostolskie następstwo lub wiara, jaką wyznawają i głoszą? Nie. Chrystus Pan każe nam rozpoznawać swoich uczniów — po miłości, jaką mają jedni ku drugim, a nie po wierze jaką w teorji (nauce) głoszą i wyznają. Tą, a nie inną, diagnozą rozpoznawajmy i oceniajmy ludzi.

Ripon, Wis., 31 maja 1909.

X. Wacław Kruszka.

Tego artykułu chicagoska „Polonja" nie chciała ogłosić, więc schowałem go do swojej teki.

206. Ponowne napaści „Nowin" wywołują największe oburzenie i zgorszenie. — Mój człowiek między młotem a kowadłem.

Wytoczenie i powtórne odnowienie procesu przeciw „Nowinom", wydawanym przez księdza i aprobowanym przez biskupów, coraz bardziej gorszyło i „irytowało" piastunów władzy kościelnej. Czy słusznie? Czy ja im dawałem zgorszenie? Jeśli im dawałem zgorszenie, to oni mogli je brać, jeśli chcieli. Lecz jeśli im go nie dawałem, to oni niesłusznie je brali. Gdybym był wniósł swoją skargę do forum cywilnego, byłbym im dał zgorszenie. Atoli ja wniósłem ją do forum kościelnego. Więc tu o dawaniu zgorszenia nie mogło być mowy, tylko o braniu zgorszenia. Grzech więc był po stronie tych, którzy brali zgorszenie z tego słusznego kroku mojego. Gorszyli się po faryzejsku. Gdybym był zaniechał owego procesu, byłbym był uniknął tego zgorszenia faryzejskiego. Ale zato nie byłbym uniknął prawdziwego zgorszenia, jakiebym dał zwłaszcza maluczkim we wierze. Napadany przez „Nowiny" milwauckie, nie mogąc się bronić w „Kurjerze" milwauckim, musiałem się bronić na drodze prawnej. Tego żądało moje sumienie. Tego i ludzie się domagali. Bo tu nie chodziło tylko o moją osobę, ale i o sprawę z moją osobą ściśle złączoną. Mając więc tę „śmiałość bronić się" — the teremity to appeal to the papal delegate, jak się ks. B. Traudt wyraził — spełniałem tylko twardy obowiązek, jakiego domagało się ode mnie i sumienie i społeczeństwo polskie. Taką śmiałą obroną nie dawałem wcale zgorszenia, lecz owszem dobry przykład: że w sprawach kościelnych należy szukać sprawiedliwości w sądzie kościelnym a nie cywilnym. Grzech tedy popełniali ci, którzy gorszyli się taką obroną.

Popełniali oni grzech prawdziwego zgorszenia, jakie dawali zwłaszcza ludziom słabym w wierze. Dawali oni tym ludziom zgorszenie już wtedy, kiedy „Nowinom" pozwalali napadać mnie bezbronnego, kiedy mnie zakazali pisać artykuły pouczające, a ks. Góralowi nie zakazywali osobistych zaczepek, kłamstw i oszczerstw. Dawali jeszcze większe zgorszenie wtedy, kiedy po wniesionej skardze nie kazali „Nowinom" odwołać albo przynajmniej zaprzestać tych kłamstw i oszczerstw. Ale największe zgorszenie dawali ludziom wtedy, kiedy po wycofaniu skargi jeszcze „Nowinom" pozwalali mnie dalej opluwać i bezcześcić. Wtedy biskupi jako piastunowie sądowej władzy kościelnej skompromitowali się zupełnie w oczach ludzi tak cywilnych jak i duchownych.

Wtedy zgorszenie ludzi było kompletne i — złowrogie! W rozmowie z ludźmi często zauważyć było można taki nielogiczny, lecz psychologiczny proces myślenia:

— Czemu ksiądz ze swoją sprawą nie idzie do sądu świeckiego?

— Bo bym ją przegrał wobec Boga i Kościoła.

— Ksiądz jej nie wygra w Kościele, bo tam już trzy lata daremnie puka o sprawiedliwość.

— Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy.

— Ksiądz jesteś za dobry. Ksiądz usłuchałeś biskupa Rhodego i wycofałeś swoją skargę przeciw „Nowinom". A oni za tę dobroć co teraz z księdzem robią? Śmieją się z księdza. W listach wyrażali księdzu podziękowanie, a przez „Nowiny" smarują księdza i oczerniają przed ludźmi jeszcze gorzej niż przedtem. Nie warto skargi zanosić do sądu kościelnego.

— Katolikowi niewolno skargi na księdza zanosić do sądu świeckiego.

— Głupiemu katolikowi nie wolno. Głupi i w kościele bicie dostanie.

— Zanosząc skargę na ks. Górala do sądu świeckigo, wystąpiłbym przeciw prawu kościelnemu czyli temsamem przeciw Kościołowi. A wszelkie wystąpienie przeciw Kościołowi pomogłoby „Nowinom" a zaszkodziłoby nam i naszej sprawie.

Ta ostatnia odpowiedź zazwyczaj uciszyła ludzi zgorszonych, ale ich nie zadowoliła i nie przekonała. Zgorszenie tak przyćmiło ich rozum, że nie mogli tego pojąć, jak przez wystąpienie przeciw Kościołowi można tylko dopomóc „Nowinom", a sobie zaszkodzić. Nie mógł tego zrozumieć i „Kurjer", a zwłaszcza jego wydawca, mój brat Michał. Wolno przeciw piastunom władzy kościelnej wystąpić, kiedy oni nie mają prawa za sobą, ale wbrew prawu nadużywają swej władzy do krzywdzenia drugich na mieniu lub imieniu. Wtedy nie występuje się przeciw Kościołowi, bo nie występuje się przeciw prawu lecz w obronie prawa kościelnego. Atoli nie wolno przeciw piastunom władzy występować wtedy, kiedy oni mają prawo za sobą. Bo wtedy występuje się przeciw prawu, a temsamem przeciw władzy i Kościołowi. I wtedy przegrywa się sprawę. Zgorszenie ludzi było tak wielkie, że nie mogli zrozumieć tej jasnej prawdy.

Na Jackowie w Milwaukee wybuchł groźny zatarg między komitetem parafjalnym a proboszczem. Arcybiskup zażądał od ko-

mitetu wydania książek. Arcybiskup miał w tym wypadku nietylko kościelne ale i cywilne prawo za sobą. „Kurjer“ jednak radził komitetowi nie wydawać książek bez procesu. Wtedy natychmiast, nie pytając się nikogo lecz jedynie z tego głębokiego przeświadczenia, że wszelkie występowanie przeciw prawu kościelnemu jest wodą na młyn „Nowin“ i wrogów sprawy naszej: napisałem list do skarbnika komitetu p. Franciszka Rakowskiego z prośbą o wydanie książek parafjalnych bez procesu. Kazałem mu ten list ogłosić. Za to wydawca „Kurjera“ listem z Milwaukee 23 lutego 1909 wyrżnął mi taką ostrą i „groźną“ filipikę:

„Kochany Bracie! — Właśnie telefonuje mi Rakowski, że pisałeś do niego list, aby urzędnicy parafji św. Jacka wydali książki bez procesu i aby — ten list ogłosić.

„Nie wiem, kto Ci to doradził, czy ks. Szukalski czy biskup Rhode (ani jeden ani drugi, bo nikogo się nie radziłem), ale to rada niebezpieczna, pisanie listu do Rakowskiego niefortunne, zaś ogłoszenie go byłoby i dla Ciebie i dla parafjan i dla nas wielce szkodliwe. Więc radziłem Rakowskiemu, aby trzymał list w kieszeni i milczał.

„Wiem, że jako ksiądz musisz do pewnego stopnia z księżmi stronę trzymać. Ale pomyśl tylko: Jeszcze niedawno temu ludzie z Twoich artykułów rozumieli, że Ty popierasz ich słuszne żądania i należne im prawa. Teraz, gdy oni właśnie stawiają słuszne żądania i domagają się należnych im praw, Ty im każesz tego się wyrzec i poddać się biskupowi bezwzględnie. Rezultat? Otóż lud, ten lud, który przy Tobie stał, odwróciłby się od Ciebie, bo dzisiaj zapóźno już coś podobnego głosić. Messmer pochwaliłby Cię, ale w duszy by się z tego wyśmiał — jakby się wyśmiali i inni jego faworyci, a Góral wszędzieby głośno się przechwalał, że on Cię zmusił do „nawrócenia się“, jak się dzisiaj przechwala z Twego powinszowania noworocznego. Tych ludzi nigdy sobie nie zdobędziesz; ale dzisiaj muszą się liczyć z Tobą, bo masz lud i prasę narodową za sobą. Lecz gdy tego nie będziesz miał, nie będą się wcale na Ciebie oglądać. W polityce liczą się tylko z silnymi; i też kto ma jakąś siłę za sobą, może albo dla siebie coś wykuć, albo też nie potrzebuje się swoich przeciwników obawiać, lecz oni jego. A tutaj wszystkie sprawy kościelne opierają się na polityce — faworytyźmie, intrydze, przebiegłości w dawaniu mało, a uzyskaniu wiele.

„Szkoda, że w tak ważnych sprawach jak zmiana kierunku Twojej polityki, nie radzisz się nas najpierw. Ja nie radzę Ci się kłócić, bo i tego nie radziłem od samego początku. Ale radzę Ci usłuchać rady naszych **wrogów:** Abyś się nie wtrącał do spraw innych parafij, abyś nic nie pisał, ale zupełnie cicho i spokojnie sobie siedział. Tego Ci za złe brać nie mogą, ani też od Ciebie żądać, abyś ich spory z ludźmi załatwiał, bo przecież sami zawsze przeciw Twojemu „mieszaniu się" krzyczeli.

„Przedewszystkiem, nie wierz ani groźbom ani prośbom, ani namowom ani intrygom, ani obiecankom innych księży lub biskupów; bo oni lubią każdego zużyć tylko jako narzędzie do wygarniania kasztanów z ognia, a nagrody — wydają swym faworytom — i zawsze tak postępować będą.

„Pozdrawiam Cię serdecznie, Twój brat

Michał."

Tylko zgorszony do szpiku kości mógł taki list napisać. Wiedziałem, że Michał należał do tych, którzy niestety dali się zgorszyć owym procesem czy procederem kościelnym z „Nowinami". Ale dopiero z tego listu się dowiedziałem, jak głęboko to zgorszenie wsiąkło do duszy jego. Mając oczy zaćmione tem strasznem zgorszeniem, nie widział nawet tej prawdy, że „muszą się liczyć ze mną" nie dlatego, że „mam lud i prasę narodową za sobą", lecz głównie dlatego, że mam prawo kościelne za sobą: że w szczególności w sprawie biskupów polskich mam ustny wyrok papieski za sobą. A taki „ustny wyrok ma zawsze moc prawa" — vivae vocis oraculum habet vim legis. Gdybym nie miał prawa za sobą, na nic by mi się zdało mieć lud i prasę narodową za sobą.

Michałowi często wykładałem jak na łopacie tę prawdę, że przez wystąpienie przeciw prawu kościelnemu „Kurjer" popiera Messmera. Przez zaczepianie dogmatów „Kurjer" broni niemieckich biskupów. Przez szkodzenie wierze świętej „Kurjer" pomaga „Nowinom". Przez poniżanie Kościoła „Kurjer" wywyższa ks. Górala. Ale te słowa moje były grochem o ścianę rzuconym. Wpływ, jeśli jaki miałem na „Kurjera", dawno straciłem od czasu zakazów biskupich. A straciłem go z tego powodu. Michał najpierw radził mi obejść zakaz biskupi i pisać bezimienne artykuły do „Kurjera". Gdy tej rady jego usłuchać nie chciałem, wtedy, ilekroć chciałem wpłynąć na kierunek „Kurjera", dawał mi tę radę, którą powyżej wypisał, mianowicie: „Radzę Ci usłuchać rady naszych

wrogów: Ażebyś nie wtrącał się do spraw „Kurjera“, abyś nic nie pisał, ale zupełnie cicho i spokojnie sobie siedział“.

„Kurjer“ przez biskupów bity młotem „Nowin“ stwardniał jak kowalskie kowadło. Mój człowiek był i będzie przez następne lata między tym młotem i kowadłem. Biskupi bowiem żądali i żądać będą ode mnie z jednej strony, żebym nie popierał „Kurjera“ ani pismem, ani nawet inspiracją, a z drugiej, żebym nawrócił „Kurjera“ na dobrą drogę. A jeśli nie nawrócę, to, jak sam Delegat Apostolski mi oświadczył, biskupi jak dotąd czynili tak nadal czynić będą mnie odpowiedzialnym za wszystko, co „Kurjer“ pisze. Zgadnij teraz, mój człowiecze, kto cię bije.

207. Ślub profesora Zwierzchowskiego z Felicją Kruszką. — Profesorzy oceniają Historję Polską w Ameryce.

Aczkolwiek przez ową procedurę kościelną z „Nowinami“ rzeczywiście dane było zgorszenie wielkie, to jednak nikt nie był obowiązany brać tego zgorszenia. Kto bierze zgorszenie, gorzej robi niż ten, co bierze baty. Bo do brania batów można być zmuszonym. Ale do brania zgorszenia nikt nie może być zmuszony. Dlatego, dać się zgorszyć jest większą hańbą, niż dać się bić. Tylko zły może dać się zgorszyć, czyli stać się gorszym, a nie dobry. Bo tylko od złego stopień wyższy jest gorszy, a nie od dobrego. Dobry może stać się złym. A dopiero kiedy już złym jest, może stać się gorszym, czyli dać się zgorszyć. Od dobrego zaś stopień wyższy jest lepszy. Dobrego, zgorszenie dane czyli zły przykład dany, nie zgorszy ale jeszcze lepszym uczyni. Zgorszenie czyli zły przykład dla dobrych ludzi jest przykładem odstraszającym, a tylko dla złych jest przykładem pociągającym. Kogo zły przykład nie odstrasza, ale pociąga, ten już temsamem daje dowód, że jest złym i da się zgorszyć, staczając się po pochyłej drodze złego coraz niżej, jeśli zawczasu się nie nawróci.

Do tych, którzy się dali zgorszyć, należał także pan profesor Stanisław Zwierzchowski, jeśli miałem wierzyć temu, co mi pisał z Anu Arbor, Mich., ks. E. D. Kelly, późniejszy biskup. Nawet w Polsce dawni koledzy, którzy profesora znali z młodych lat jako dobrego katolika z dobrych katolickich rodziców pochodzącego, pytali mnie ze zdziwieniem, czemu to „Ameryka go tak zgorszyła“. Ksiądz E. D. Kelly, którego listownie poprosiłem o zapowiedzie w Anu Arbor dla p. profesora i Felicji, córki Michała, tak mi odpisał z Anu Arbor, Mich., 25 stycznia 1909:

Rev. Fr. Kruszka!

Dear Rev. Father! I have called Mr. Stanislaus J. Zowski twice in church as well as your Lister and will publish the bans for the third time next Sunday. I am sorry to say that Mr. Zowski was not known as a Catholic here, having been in the city for about two years and not coming to church at all. On his promise to cone when he could at all I have consented to call him. I cantioned him before Xmas to write home for his baptismal certificate. If your good sister will insist on his coming to Mass regularly with her, he may do very well, but I fear very much he is inoculated with liberal views and considers one religion as good as another. His religious status may appear more satisfactory to you when he talks with you in his own language. Yours E. D. Kelly".

Jakoż mnie przedstawiał się pan profesor nie tak czarnym, jak go ks. Kelly mi malował. Przed ślubem z młodą panną poszedł przykładnie do spowiedzi i przystąpił do komunji podczas Mszy ślubnej, chociaż ta zaczęła się dopiero o godzinie jedenastej, bo czekano na przyjazd licznych gości z Milwaukee. Ludzi był pełen kościół, kiedy młoda para po białym kobiercu, długim jak kościół, szła do ołtarza. Podczas Mszy ślubnej, moim zwyczajem, przeczytałem ewangelję po polsku, oraz lekcję kończącą się tem zdaniem: „A żona niech się boi męża swego". Obecni mężowie tem się zbudowali, ale mężatki niektóre się zgorszyły. Plebanja nie mogła pomieścić gości. Do stołów, w czterech pokojach rozstawionych, goście zasiadali nie odrazu, lecz po kolei. Po uczcie odbyły się tańce, że aż plebanja ripońska drżała w posadach. Przygrywali staropolskim zwyczajem Marcin Binkowski na skrzypcach, a Michał Ustruk na basach. Było to weselisko, jakiego Ripon ani przedtem ani potem nie widziało. Dzień 3 lutego 1909 pamiętają w Ripon do dziś dnia. O godzinie 4 po południu weselnicy swoim pociągiem wrócili do Milwaukee, gdzie jeszcze weselej się zabawiali w domu Michała. Dowcipami najbardziej weselników zabawiali ks. Wiktor Zaręczny z Berlina, Wis., i pan Ludwik Kotecki, przyszły kontroler miasta Milwaukee. Obaj się lubili i czubili. Ks. Zaręczny sam mi się przyznał, że Kotecki mu się bardzo spodobał, a Koteckiemu stary ale jary ks. Zaręczny jeszcze bardziej się podobał.

Profesor Jakób C. Goldszmit, doktór filozofji i medycyny, z Boston, Mass., 20 lutego 1909 otrzymawszy moją Historję pisze mi: „Po dokładnem przestudjowaniu cennej Pańskiej pracy do-

szliśmy do stanowczego wniosku, że mrówcza zabiegliwość w poszukiwaniu materjałów, sumienność w opracowaniu każdego tomu, każdej oddzielnej części, każdego niemal szczegółu bibljo- i biograficznego etc., wskazuje że praca owa na czele wszelkich tego rodzaju prac patrjotycznych zupełne ma stać prawo. Pragnąc zaś, aby i prasa angielska St. Zj. również poinformowaną była o istnieniu dzieła takowego, bylibyśmy radzi zapoznać tubylców z życiem i czynami autora cennego dzieła, o którem mowa"... To też 14 sierpnia 1909 pani Eugenja B. (née Bądzińska) Goldszmit pisze: „...Ośmielam się zapytać, czy doszły Xiędza Dobr. notatki i wycinki z kilku czasopism, których bądź ja sama bądź też małżonek mój profesor uniwersytetu Dr. G. jesteśmy stałymi współpracownikami, dotyczące bardzo pochlebnej opinji, jaką jednozgodnie ogłosiliśmy w takowych o cennej i żmudnej, a tyle dla wszystkich ziomków użytecznej Pańskiej pracy literackiej i społecznej w najszerszem tego słowa znaczeniu"...

A ze Starejwsi, Małopolski, 19 stycznia 1909 dawny mój profesor historji ks. Juljan Święcicki T. J. pisze mi: „...Otrzymując tomiki „Historji Polskiej w Ameryce", pomyślałem sobie, jakie to poczciwe serce, pamięta o swym niegdyś profesorze, wie, że dla starego sybiraka wszystko, co o Polsce mówi się, jest drogiem, i dlatego w darze śle mu swą z wielkim trudem wykonaną pracę; i za to byłem i jestem Wam, Księże Wacławie, wdzięczny. Zresztą mogę zapewnić Kochanego Księdza, że kiedy mówimy o Nim, to zawsze z serdeczną życzliwością i pragnieniem, aby Bóg miłościwy błogosławił waszym zbożnym pracom. Ale mojem zdaniem praca ta nie jest jeszcze pełną: trzeba od indukcji przejść do uogólnienia, postawić zasadę: potrzebę i konieczność łączności wszystkich przez Wiarę św., t. j. staranniejsze obsługiwanie potrzeb duchownych naszych współbraci i szkołę polską, jeżeli nie mają zwyrodnić się moralnie i narodowo; znowu unikać dla nich dziwacznej nazwy: młodej czy nowej Polski, ona jest i być winna: jedną — semper fidelis Deo et patriae. Takiej pracy szczęść Boże!..."

Z North Brooklin, Maine, 5 sierpnia 1909 panna Emily Balch, autorka dziełka p. t. „Our Slavic Fellow Citizens", pisze mi, że czerpie wiadomości z mojej „Historji" i pyta, czy może przetłumaczyć „Jan z Kolna a John of Kolna". A dnia 18 sierpnia powiadamia mnie, że przyśle mi w prezencie swoją książkę. Jakoż i przysłała. Jej książka o Słowianach wogóle jest bardzo interesująca i pouczająca.

208. Inauguracja czyli rozpoczęcie wprowadzania do Milwaukee.

Nieustające napaści „Nowin“ szkodziły nie tyle mnie osobiście, ile sprawie Kościoła wogóle a sprawie polskiej w szczególności. Dlatego, kiedy Delegat Apostolski nie chciał czy nie mógł zmusić „Nowin“ do zaprzestania tych gorszących napaści, powstało pytanie, czy nie należałoby skargi wnieść do Rzymu. Na to pytanie ks. biskup P. Rhode taką dał mi odpowiedź z Chicago 27 maja 1909:

„Kochany Księże! — Nikt chyba bardziej ode mnie nie ubolewa nad krótkowidztwem naszem, nad brakiem miłości braterskiej i wyrozumiałości, nad brakiem poczucia solidarności narodowej, dalej nad wybujałem sobkostwem, które nas piętnuje jako małostkowych i niesfornych, zupełnie niezdolnych do pracy systematycznej i stałej w kierunku dobra ogólnego.

„Com starał się zdziałać w sprawie zatargu kochanego Księdza z ks. G., pochodziło z intencyj najczystszych. Szkoda tylko, że z przebiegu sprawy tej — podobnej zresztą do wielu innych — pozostała tylko zwyczajna w takich wypadkach gorycz. Z mej strony atoli odniosłem pewien pożytek, mianowicie poczynam się orjentować i powoli pojmować, gdzie i w jakich wypadkach z korzyścią dla współbraci mogę popracować. Tem narazie się kontentuję i pocieszam, a ponieważ i Drogi Konfrater na tę sprawę patrzy z pewnem zadowoleniem, przeto z wzajemną życzliwością możemy przejść do zwykłego porządku. Brat w Panu

† *Ks. Paweł Rhode.*“

„P. S. Nie znam poszczególnych punktów oskarżenia, przeto trudno radzić — jednakowoż wychodząc z ogólnych wrażeń, radziłbym nie posuwać się do ostateczności a sprawy jako niepożytecznej nie wnosić przed forum rzymskie.“

Wobec tego, czyby nie lepiej było całkiem usunąć się z oczu przeciwników? I żeby nie drażnić ich bliską swoją obecnością, czyby nie lepiej było opuścić nietylko diecezję ale i stan Wisconsin i przenieść się gdzieś daleko do innej diecezji i do innego stanu? Słyszałem właśnie, że La Salle w stanie Illinois ma zawakować. Lecz na to ks. biskup Rhode z Chicago 8 czerwca 1909 tak mi odpowiedział:

„Kochany Ks. Wacku! — Mam list Jego drugi pod ręką. Dotychczas w naszych stronach nic nie słychać o mogących zajść zmianach w La Salle; tembardziej że przed kilku dniami bawił

u mnie jeden z tamtejszych księży. Mam w La Salle i okolicy bierzmować d. 27 bm., przy tej okazji wysonduję sytuację, chyba żeby coś rychlej miało zapaść. Gdyby La Salle miało wakować — co na razie wygląda nieprawdopodobnem, chociaż — nie zapomnę. Kandydatów miejscowych oddawna wyczekujących awansu też swą drogą nie brak. Na razie sposobem suggestji pytam się, czyby nie było na miejscu języka zasięgnąć u ks. Truszyńskiego, który zdaje mi się cokolwiek żywi sympatji dla Księdza. Ogólnie jednakże radzę trzymać się diecezji — przecież w końcu będzie rada.

Życzliwy w Panu

† *Ks. Paweł Rhode.*"

I przecież wkońcu była rada. Rada ta nastąpiła wtedy, kiedy mój najlepszy przyjaciel w Milwaukee, ks. Antoni Prądzyński, przedwcześnie zmarł dnia 23 sierpnia 1909. Radę tę ks. biskup P. Rhode opisuje na pociągu kolei „Pennsylvania Lines" 10 września 1909 w następujący sposób:

„Kochany Ks. Wacku! — Jestem w drodze do Pittsburga a nie mając tak nic naglejszego do czynienia przy muzyce turkotu pociągowego dumam o różnościach. Między innemi sprawami też i casus Waszej Ripońskiej Wielebności jest pod rozwagą, i otóż moje w tej materji myśli i domysły i zamiary.

„Z pogrzebu ks. Prądzyńskiego wracając wyniosłem wrażenie, że moje wywody i natarczywe wstawiennictwa za Księdzem u Monsignora (Gulskiego) prawdziwe wywarły i głębokie wrażenie — o czem zresztą mam zapewnienie z innych stron i obecnie oprzeć się nie mogę przekonaniu, że jeżeli kiedy to teraz jest pora do działania i że powinno się udać pozyskanie dla Księdza jakiegoś miejsca w Milwaukee. Arcybiskup Messmer wrócił a sprawa obsady parafji czeka załatwienia, to też gdy wrócę do Chicago, zamierzam przeskoczyć do Milwaukee, by jeszcze raz szczęścia popróbować. Mam jakieś przeczucie, że tym razem powinno się powieść, ale na pewną opozycję muszę być przygotowany, a o naturze tej sądzę z tego, co mi mówił ks. Monsignor na odparcie moich dowodzeń w toku rozmowy naszej. Otóż Milwaukee ma jakieś dziwne lęki i obawy, których się pozbyć nie może. Wydaje się niektórym, że gdyby ks. Kruszka z Ripon do Milwaukee został przeniesiony, niczem innem nie zająłby się jak tylko urządzaniem ciągłej krucjaty na zawojowanie wszystkiego i wszystkich. Na takie gołosłowne przepowiednie mam również gołe przeczenie, ale

że ks. Wacek istotnie jest ruchliwym i nieraz cokolwiek potrafi i dopiec, przeto moje negacje mnie samego nie zaspokajają i chciałbym pod tym względem wzmocnić moją pozycję, abym już nie od siebie samego tylko, ale na podstawie pewniejszej się opierając, mógł interesowanym powiedzieć, że wprost krzywdę wyrządzają Księdzu, posądzając Go o podobne niedorzeczne zamiary. Rozchodzi się tu mianowicie o stosunek księdza Wacka do reszty kleru w przyszłości, tak samo też o stanowisko, jakie myśli zająć wobec arcybiskupa Messmera. Zamierzam wrócić do domu już w poniedziałek a ponieważ sprawa nagli, prosiłbym o natychmiastową odpowiedź. Proszę wybaczyć gryzmoły, tor kolejowy haniebny.

Życzliwy w Panu

† *Ks. Paweł Rhode.*"

Natychmiastową odpowiedzią zapewniłem ks. biskupa Rhodego, że „wprost krzywdę wyrządzają mi, posądzając mię o podobne niedorzeczne zamiary". Biskup Rhode listem z dnia 14-go września 1909 zaprosił mnie do siebie, pisząc: „Kochany Księże! Powróciłem już z okolicy Pittsburga i czasu nie tracąc, wybrałem się do Milwaukee. W rezultacie zapraszam do siebie na omówienie tak sprawy milwauckiej jak i Związkowej — będę w domu przez resztę tygodnia. Życzliwy w Chrystusie † Ks. P. Rhode."

Pojechałem więc do South Chicago, gdzie 16 września 1909 biskup Rhode w rezydencji swojej przyjął mnie bardzo gościnnie. Oświadczyłem biskupowi, że o ile to w mocy mojej będzie, starać się będę o zgodę ze wszystkimi księżmi i z arcybiskupem. Od czasu, jak arcybiskup zakazał mi pisać do „Kurjera", straciłem wszelki wpływ na „Kurjera". Ale i poza „Kurjerem", gdzie i kiedy zajdzie tego potrzeba, będę bo muszę dawać świadectwo tej prawdzie, że dnia 15 kwietnia 1904 papież Pius X nam Polakom w Ameryce przyznał prawo do własnych biskupów polskich.

Po tej inauguracji nastąpiła instalacja.

209. Instalacja czyli wprowadzenie do Milwaukee. — Biskup Rhode przeze mnie napomina „Kurjera".

Instalacja oczywiście była listowną. List arcybiskupi, wprowadzający mię do Milwaukee, pisany w sobotę dnia 18 września 1909, otrzymałem w Ripon jeszcze tego samego dnia wieczorną pocztą. List ten w przekładzie z angielskiego brzmi dosłownie tak:

„Milwaukee, Wis., 18 września 1909.

„Wiel. Wacław Kruszka

Ripon, Wis.

„Drogi Panie (Dear Sir)!

„Najprzew. Ks. Biskup Rhode łaskawie poinformował mnie o wywiadzie z tobą. Ze względu na zapewnienia, dane przez ciebie Biskupowi, chcę ci dać sposobność w mieście Milwaukee. Dlatego niniejszem uwalniam cię od pasterskich obowiązków św. Wacława w Ripon a naznaczam cię rektorem parafji św. Wojciecha w Milwaukee. Chociaż to jeszcze nowa parafja, ma ona już przeszło 400 familij i będzie z biegiem czasu jedną z najpiękniejszych parafij w mieście. Masz tu sposobność rozbudowania tego miejsca. Ufam, Wiel. drogi Panie, że twoje usługiwanie w tej parafji wykaże, iż to nie był żaden błędny krok, żem twojej opiece ją powierzył.

„Nie mogę nie zauważyć z największą przyjemnością twojej obietnicy danej Biskupowi Rhodemu, że będziesz starał się o utrzymanie najserdeczniejszych stosunków z klerem, co w mojem rozumieniu znaczy, **ze wszystkimi polskimi księżmi** w mieście. I jeżeli pod twoim wpływem haniebne postępowanie „Kurjera Polskiego" w sprawach kościelnych ustanie, to dokonasz wielkiego i bardzo zasłużonego dzieła dla chwały Boga i Jego świętego Kościoła. Oby ci Bóg udzielił tej świętej łaski, żebyś się okazał prawdziwym i wiernym kapłanem tego Kościoła, kapłanem, który zawsze będzie pamiętał, że jego jednem wielkiem powołaniem jest praca dla chwały Boga i zbawienia dusz.

„Co do twoich skarg na mnie, szczególnie u Delegata Apostolskiego, i co do ataków na mnie przez twojego brata Wydawcę, to nie dbam o nie i nie zważam na nie o tyle, o ile one dotyczą mojej prywatnej osoby czy charakteru. I modlę się, żeby Bóg przebaczył tobie i jemu tak jak modlę się, żeby Bóg mi przebaczył moje grzechy. Lecz mojego urzędowego stanowiska jako Arcybiskupa Diecezji i Biskupa katolickiego Kościoła nie mogę odłączać od mojej osoby i muszę się pomścić za takie ataki — chyba żeby były absolutnie prawdziwe, czem w tym wypadku nie są — jako za ataki na powagę Kościoła i zamachy podkopania jego władzy i wpływu nad polskim ludem. Atoli modląc się, mam nadzieję, że na przyszłość przynajmniej ty i ja będziemy pracowali razem w pokoju i zgodzie.

Szczerze Twój

† *S. G. Messmer.*"

(Z tem wprowadzeniem mnie do Milwaukee odbyła się ogólna przeprowadzka proboszczów: ks. Gulskiego na Jadwigowo, ks. Celichowskiego na Kazimierzowo, ks. B. Górala na Jackowo, ks. M. Domachowskiego na Wincentowo. A OO. Franciszkanie zabierali nam Jozafatowo.)

Otrzymawszy powyższy list w sobotę wieczorem, nazajutrz w niedzielę 19 września 1909 pożegnałem się z parafją św. Wacława w Ripon, gdzie byłem proboszczem przez lat trzynaście i pół (od 5 marca 1896 do 18 września 1909). Zanim wyjechałem z Ripon, pochowałem matkę synka jedynaka, którego ojciec przebywał w Jabłkowie w Poznańskiem. Ojciec chciał synka ściągnąć do Poznańskiego, lecz synek — Kazio Halasz się nazywał — nie chciał jechać do starego kraju, wołał tu pozostać. Gdy wojna wszechświatowa wybuchła, Kazio Halasz poległ na polu bitwy gdzieś we Francji, walcząc przeciwko Niemcom. A gdyby był pojechał do Poznańskiego, walczyłby za Niemcami.

W piątek 24 września z dużym kufrem i pudłami książek i manuskryptów przyjechałem do Milwaukee i wprowadziłem się do nowozbudowanej plebanji parafji św. Wojciecha na placu siedmiu narożników — seven corners, gdyż plebanja ta stoi u wylotu siedmiu ulic. Zbieg siedmiu ulic to unikat w całem mieście. Ulicę Forest Home dopiero właśnie brukowali, gdym przyjechał. A inne ulice były gorsze od dróg farmerskich, pełne wybojów i błota. Wokoło siedmiu narożników nietylko loty były próżne, ale całe bloki gdzieniegdzie były puste. Na jednem z pustych miejsc, niedaleko Wojciechowa, był publiczny plac do gry w piłkę. W kościele co niedzielę podczas nieszporów można było słyszeć krzyk gawiedzi rozentuzjazmowanej grą w piłkę.

Parafję św. Wojciecha założyć postanowiono już 26 marca 1908. Założycielem jej został ks. Michał Domachowski, ówczesny asystent pobliskiej parafji św. Jacka, która nowozałożonej parafji św. Wojciecha kupiła 19 lotów za 13, dolarów. Parafja św. Wojciecha dokupiła jeszcze 5 lotów, za które wraz z wodociągami i ściekami i chodnikami cementowemi zapłaciła 5,192 dol. Kamień węgielny pod tymczasowy kościół i szkołę ośmioklasową położono 30 sierpnia r. 1908. Kościół poświęcono i szkołę otwarto 28 lutego r. 1909. Budowa szkoły i kościoła łącznie kosztowała 38,837 dol. Ławki, ołtarze i inne ruchomości w kościele kosztowały 4,842 dol. a w szkole 309 dol. Tejże zimy 1908—9 wybudowano plebanję

kosztem 10,205 dol., jej ruchomości 830 dol. Siostry mieszkanie miały w szkole, zajmując dwie klasy. Ruchomości w mieszkaniu Sióstr kosztowały 275 dol. Obok kościoła stała dzwonnica kosztem 315 dolarów, z jednym dzwonem, za który zapłacono 497 dolarów. A właściwie jeszcze nic za niego nie zapłacono, kiedym przyjechał 24 września 1909. Rachunek za dzwon nie był wtedy jeszcze zapłacony. Również rachunek 500 dolarów za meble nie był zapłacony. Rachunek 745 dolarów za ławki i ołtarze nie był zapłacony. Rachunek architekta (188 dol.) nie był zapłacony. Rachunek 250 dol. za organy, 154 dol. za piec i kraty, 364 dol. za cementowe chodniki nie był zapłacony. Na spłacenie budowy kościoła, szkoły i plebanji zaciągnięto 35,000 dol. długu zastawniczego, a 17,550 dol. długu niezastawniczego (na noty).

Zastałem więc 55,688 dol. długu parafjalnego. Majątek zaś parafjalny wynosił 74,000 dol. Zatem kiedy przyjechałem 24 września 1909, czysta własność parafjalna wynosiła 18,312 dol.

Niebawem urządziłem kolektę po domach i równocześnie spis dusz czyli tak zwany Status Animarum. Było to w październiku, listopadzie i grudniu. Skolektowałem 824 dol. W ten sposób w tych trzech miesiącach spłaciliśmy 400 dol. długu parafjalnego, czyli przy końcu roku 1909 czystą własność podnieśliśmy do 19,752 dol. Spisałem 368 rodzin. Tyleż było i dzieci w szkole. Uczyło 6 nauczycielek SS. Notre Damek w 6 klasach. Oczywiście w granicach parafji (trzy bloki wszerz i 10 bloków wzdłuż, czyli od Lincoln do Roger ulicy i od 11 do 21, bo dalej były pustki) było jeszcze raz tyle rodzin polskich, które atoli wyznawały swoją przynależność do sąsiednich parafij.

Złożyłem wizytę wszystkim proboszczom polskim w Milwaukee. Ale nie wszyscy złożyli mi rewizytę. Temu, który mię odwiedził, arcybiskup czynił wymówki.

Tymczasem za polemikę między „Nowinami" a „Kurjerem" biskup Rhode mnie takim listem obdarzył:

„Chicago, 14 paźdz. 1909.

„Kochany Ks. Proboszczu Wacku!

„W polemice, jaką „Kurjer Polski" prowadzi z „Nowinami", trafiam od czasu do czasu na pewną drobnostkę, która, przyznać muszę, cokolwiek mię razi, a którą uważam też za nader niepotrzebną i niepożądaną na łamach „Kurjera". Otóż zbyt często spo-

tykam się z „niemieckimi biskupami“. — Czyż wobec tego, że ci biskupi, gdy są zostawieni z własnem sumieniem, starają się być sprawiedliwymi, i dalej wobec tego, że dzisiaj unikają polskich kłótni jak zarazy, nie byłoby daleko polityczniej zostawić ich w spokoju a nie wciągać ich do wojny naszej domowej? — Na cóż komuś dawać broń do ręki? — Proszę się zastanowić nad tem i przyznać, że mam słuszność. Piszę powyższe najzupełniej z własnej inicjatywy.

Życzliwy w Panu

† *Ks. Paweł Rhode.*

Była to pierwsza zapowiedź. Ten list był to pierwszy pomruk nadciągającej burzy, która w dwa lata potem na wiecu w Detroit piorunem uderzyła na mnie.

210. Pierwsze bierzmowanie w kościele św. Wojciecha ma pierwszy biskup polski w Ameryce. — Wojciechowo już w pierwszym roku istnienia dostaje asystenta. — Czy to ksiądz niezależny?

W dziesięć dni po moim przyjeździe do Milwaukee, 3 października 1909 dopiero Polacy z Fond du Lac, Wis., zgłosili się do mnie z następującą propozycją: „My niżej podpisani obywatele zamyślamy fundować parafję polską we Fond du Lac i budować polski kościół. Mamy zapisanych 52 członków dotychczas, ale jest tu do 80 lub więcej Polaków i znajdzie się ich więcej. Prosimy pokornie Szanowne Wielebne Duchowieństwo Polskie, szczególnie Naszego Najprzew. Księdza Biskupa Pawła Rhode o łaskawą pomoc moralną i skorą radę. Życzymy mieć tu wkrótce jednego z polskich księży Misjonarzy względem Misji i śś. Sakramentów w polskim języku. Pokorni słudzy: Szymon Prala, Jan Zahajewski, Piotr Tessmer, Andrzej Czekaj, Jan Komasiński, Walenty Nitucki, Ignacy Malinowski, Franc. Kozłowski, Adam Jeliński, Franc. Lubowiecki.“ Następuje długa lista nazwisk z adresami.

Błagalne listy, jeden po drugim, nadchodziły z Ford du Lac. Zajęty nową parafją w Milwaukee, prosiłem arcybiskupa Messmera o posłanie księdza polskiego do Fond du Lac. OO. Franciszkanie zabierali nam właśnie wtedy Jozefatowo, więc księży misjonarzy było dosyć. Arcybiskup posłał do Fond du Lac księdza Tomasza Jankowskiego, który atoli nic tam zdziałać nie mógł. Fond du Lac do dziś dnia nie ma polskiego kościoła. Szkoda wielka i niepowe-

towana. Ile razy myślę o zaniedbanej misji we Fond du Lac, boleść serce me ściska i sumienie mię niepokoi.

Zajęty wtedy byłem także przygotowaniem parafjan do Sakramentu Bierzmowania, na udzielenie którego zaprosiłem ks. biskupa Rhodego. Ks. biskup Rhode przyjął zaproszenie, ale pisał 12 listop. 1909: „Niech mi wolno będzie nadmienić, że nie przyjmę żadnego formalnego przyjęcia ani wymarszu z okazji mego przybycia. Zgadzam się na niedzielę 28 listopada i w tym dniu udzielę Bierzmowania". Atoli już 16 listopada 1909 donosi mi o zwłoce: „Kochany Ks. Wacku! Po wysłaniu mego ostatniego listu, odebrałem tegoż dnia list od Jego Exc. ks. arcybiskupa wraz z programem bierzmowań w Milwaukee. Ponieważ w sprawie tej zastępcą mam być arcybiskupa, przetoż uważałem za stosowne zrezygnować z własnych planów, a przyjąć Jego rozkład. Takim to sposobem miało się odbyć bierzmowanie w par. św. Wojciecha w niedzielę d. 19 grud. Niedziela ta atoli już zajęta była i stąd bierzmowanie u Wiel. Waszej odłożone zostało do niedzieli 9 stycznia przed południem..."

Jakoż 9 stycznia 1910 w nowym dopiero dziesięć miesięcy istniejącym kościele św. Wojciecha po raz pierwszy odbyło się bierzmowanie, którego udzielił pierwszy biskup polski w Ameryce. Przystąpiły do bierzmowania 204 osoby.

Młodziutka, bo 10 miesięcy istniejąca parafja miała już wtedy wikarego. W tę samą niedzielę 9 stycznia 1910 ogłosiłem w kościele co następuje: „Jego Exc. ks. arcyb. Messmer rozporządzeniem swojem z dnia 5 b. m. zamianował dla naszej parafji księdza asystenta czyli wikarego, a jest nim Wiel. Ks. Józef Platta: odtąd więc co niedzielę będą trzy Msze śś., o 8, o 9 dla dzieci i o 10,15 suma".

Już 3 stycznia 1910 pisał mi ks. arcybiskup: „Od jakiegoś czasu nosiłem się z myślą umieszczenia asystenta na Wojciechowie. Parafja a szczególnie szkoła jest za wielką na jednego księdza. Ponieważ ojcowie Franciszkanie przyjeżdżają w tym tygodniu, więc dwaj asystenci z Jozafatowa muszą dostać jakieś inne miejsce i ja postanowiłem posłać jednego do Ciebie, a drugiego na Stanisławowo. Jeszcze się nie zdecydowałem na poszczególnego jegomościa, który z nich gdzie ma iść. Ale dam ci znać jutro lub pojutrze. Szczerze twój

S. G. Messmer".

Jakoż listem z 5 stycznia 1910 przez ks. Traudta dał mi znać, że ks. Józef Platta został mianowany asystentem parafji św. Wojciecha. Bywały tygodnie, w których ja sam miałem tylko dwie lub trzy msze śpiewane. Ludzie w początkującej parafji składają ofiary na rzeczy kościelne, a nie na Msze święte. Żeby kolektę miesięczną powiększyć i procent od długu spłacić, od pierwszej niedzieli listopada r. 1909 sam osobiście odbierałem ofiary przy wejściu do kościoła, zapisując każdego imię i nazwisko i jego ofiarę przed i po Mszy o 8, przed i po sumie o 10:15, przed i po nieszporach. Siadałem w kruchcie jak dziad kościelny. I to pomogło, bo kolekta miesięczna w dwójnasób się powiększyła. Poprzednie kolekty wynosiły około 50 dolarów, a następne około 100. Ledwie sami procent opłacić mogliśmy, a jeszcze arcybiskup kazał młodziutkiemu Wojciechowi dług Jozafatowa spłacać: 24 listopada 1909 Wojciechowo posłało arcybiskupowi 69 dolarów i 69 centów na kościół św. Jozafata.

Jak niektórych zacofanych ludzi wszelka nowość razi, przekonałem się z następującego drobnego faktu. We Wielkim Poście stacje drogi krzyżowej odprawiałem, i odprawiam dotychczas, podług „Zbiorku Modlitw". Otóż zaraz 11 lutego 1910 dostałem taki list: „Wielebny Księże Proboszczu! Ja niżej podpisany będąc dzisiaj wieczorem na stacjach razem z moimi dorosłymi synami, zauważyłem, że nie były tak odprawiane jak we wszystkich polskich kościołach w Milwaukee i sam stacji takich odprawić należycie nie mogłem, gdyż miałem tylko zwyczajną książkę stacyjną ze sobą. Gdy powróciłem do domu z kościoła, synowie moi pytali się mnie, co to za ksiądz, że takie stacje odprawia, czy to ksiądz niezależny? ja ich za to zganiłem, że się tak o księdzu wyrażali Najstarszy wtenczas wziął książeczkę stacyjną i pytał co to znaczy to potwierdzenie arcybiskupa Milwaukee, mówiąc, że od dzieciństwa takie stacje nauczyli się odprawiać i będą takie same nadal odprawiać, zaś na takie, jak ksiądz Kruszka odprawia, nie będą uczęszczać, może sam dla siebie takie odprawiać... Upraszam Wiel. Ks. Proboszcza, ażeby odprawiał stacje takie jak były i są odprawiane we wszystkich polskich kościołach w Milwaukee, gdyż nie chciałbym widzieć, ażeby moi synowie mieli zaniechać ten pobożny zwyczaj uczęszczania na stacje podczas postu, bo w takim razie będę musiał przenieść się do innej parafji".

Nie zastosowałem się do tej prośby czy groźby. Ale też nie dziwiłem się temu pytaniu, czy ja ksiądz niezależny? Wszak „No-

winy", aprobowane przez arcybiskupa, ciągle atakowały nietylko mnie, ale i moją parafję, jakobyśmy byli niezależnymi. Arcybiskup wiedział o tem i milczał. Milczał, bo utożsamiał mnie z „Kurjerem". A „Kurjer" atakował arcybiskupa, bo utożsamiał go z „Nowinami".

W takim krytycznym stanie umysłów ukończył mój człowiek szóste siedmiolecie życia swego czyli wiek męstwa.

SIÓDME SIEDMIOLECIE.

(Wiek pełni sił od 1910—1917.)

---

1. Jestem ciągle pod zarzutem, że inspiruję „Kurjera“. — Arcybiskup chce mi pozwolić na pisanie artykułów bezimiennych do „Kurjera“. — Zmiana Sióstr. — Obchód Grunwaldzki.

Swego czasu na prośbę pierwszego biskupa polskiego popuściłem był proces z „Nowinami“ pod warunkiem, że „Nowiny“ nie będą mnie więcej zaczepiały. A ponieważ „Nowiny“ mnie dalej zaczepiały, więc proces trwał dalej. Domagałem się odwołania oszczerstw i 10,000 dolarów odszkodowania. Promocji teraz nie żądałem, bo tę już dostałem. Ciągłych zaczepek „Nowin“ w żaden sposób ignorować nie mogłem, zwłaszcza teraz jako duszpasterz w Milwaukee. Ponieważ arcybiskup tym skandalicznym napaściom „Nowin“ na mnie i na moją parafję zapobiec nie chciał czy nie mógł, więc napisałem do Delegata Apostolskiego. A Delegat znowu mię odesłał do arcybiskupa, pisząc mi z Washingtonu, D. C. 4 marca 1910: „Wielebny drogi Panie! — W odpowiedzi na Twój list z 2 marca w sprawie twoich trudności z księdzem Góralem, chciałbym powiedzieć, że musisz tę rzecz przedłożyć twemu Najprzewielebniejszemu arcybiskupowi. A jeżeli, jak powiadasz, Jego Mość jest za słaby żeby się zająć sprawą osobiście, to jego Wikary Generalny zajmie się nią i zobaczy, co trzeba uczynić. Z najlepszymi życzeniami pozostaję szczerze twoim w Chrystusie, † D. Falconio, Apostolski Delegat“.

Napisałem więc do Wikarjusza Generalnego, a ten ze St. Francis, Wis., 27 marca 1910 tak mi odpowiedział:

„Wielebny i Drogi Ojcze! — Byłbym na Twój list odpowiedział prędzej, gdyby praca połączona z Wielkim Tygodniem nie była mi czasu zabrała. Mówiłem z ks. Góralem o Twojej sprawie, lecz on powiedział, że Ty wycofałeś Twoją skargę kiedy przyjecha-

łeś do Milwaukee, i Najprzewielebniejszy arcybiskup powiedział mi to samo. Nadto, ks. Góral utrzymuje, że on nie ma nic do odwołania, gdyż nigdy ciebie nie czernił. Zdaje się, że „Kurjer“ nie zaprzestał swych ataków na księży i władzę kościelną, a ci, co powinni to wiedzieć, twierdzą, że chociaż Ty sam może nie napisałeś tych artykułów, to były one przynajmniej inspirowane przez Ciebie. Z poważaniem pozostaję Twoim J. Rainer, W. G.“

A więc do krzywdy dodano mi jeszcze obelgę, posądzając mnie o inspirowanie artykułów „Kurjera“, jakobym redaktorom szeptał do ucha, co mają pisać. Podła to insynuacja. Koniecznie chcecie mnie czynić odpowiedzialnym za to, co „Kurjer“ pisze. Od czasu, jak mi arcybiskup zakazał pisać do „Kurjera“ straciłem wszelki wpływ na kierunek „Kurjera“. Mógłbym może wpłynąć na „Kurjera“ jedynie wtenczas, gdyby arcybiskup odwołał ten zakaz i pozwolił mi pisać do „Kurjera“. Wtedy sądzilibyście mnie z moich artykułów, a teraz sądzicie mnie z cudzych.

Dnia 10 kwietnia 1910 wikarjusz generalny ks. J. Rainer odpowiedział mi: „Nie odpowiedziałem na ostatni Twój list, nie dlatego, że ignorowałem go, lecz dlatego, że mówiłem o Twojej sprawie z Najprzewiel. arcybiskupem, któremu też pokazałem Twój list. On wziął go ze sobą i temsamem wziął też tę sprawę w swoje ręce. Ponieważ od długiego czasu nie czytam ani „Nowin“ ani „Kurjera“, więc nie jestem w stanie sądzić o Twoich twierdzeniach lub świadczeniach. Szczerze Twój J. Rainer, W. G.“

Po trzech dniach, 13 kwietnia 1910, znowu mi pisał: „Mówiłem arcybiskupowi o Twojej prośbie. Powiedział mi, że nie miałby nic przeciw Twojemu pisaniu artykułów o sprawach społecznych do „Kurjera“, pod warunkiem, że artykuły byłyby bezimienne i że czytająca publiczność nie dowiedziałaby się o osobie autora. Inaczej wyglądałoby to jako milcząca aprobata z jego strony. Lepiej pisz sam do arcybiskupa celem porozumienia się w tej sprawie. Szczerze Twój J. Rainer, W. G.“

Dziękuję za pozwolenie pisania bezimiennych artykułów do „Kurjera“. Wtedy dopiero śmiało możnaby mnie posądzać o autorstwo pierwszego lepszego artykułu w „Kurjerze“. Dość mi było tej obłudy krzyżackiej.

W szkole św. Wojciecha — jak we wszystkich szkołach polskich w Milwaukee — uczyły polskie Siostry Notre Damki. Dobre były. Ale były pod zarządem Niemek tak dalece, że w domu macierzystym modlitwy odmawiały po niemiecku. Małej szkoły w Ri-

pon objąć nie chciały. Powstało czysto polskie zgromadzenie Sióstr św. Józefa w Stevens Point, Wisconsin. Te Siostry św. Józefa nie wzgardziły małą szkołą w Ripon. Więc postanowiłem je sprowadzić do większej szkoły św. Wojciecha w Milwaukee. Arcybiskup Messmer pozwolił mi na to pod warunkiem, że taka zmiana Sióstr nie wywoła zaburzenia w mojej parafji. Widocznie obawiał się takiego zaburzenia. Pisał mi bowiem 24 maja 1910: „Niniejszem daję Ci pozwolenie sprowadzenia polskich Sióstr św. Józefa ze Stevens Point, Wis., do uczenia w Twojej parafjalnej szkole św. Wojciecha. Naturalnie, to pozwolenie daję Ci pod warunkiem, że lud Twojej parafji jest zadowolony z takiej zmiany, gdyż byłoby rzeczą niemądrą w tym względzie postępować przeciw ogólnej woli parafjan. Zdaje się być rzeczą słuszną powiadomić o tem natychmiast Siostry Notre Damki, to jest, matkę prowincjałkę, Siostrę Kazimirę w klasztorze Notre Damek. Szczerze Twój † S. G. Messmer, arcybiskup".

Ta zmiana Sióstr zaburzenia w parafji nie wywołała. A miała ten zbawienny skutek, że odtąd polskie Siostry Notre Damki w domu macierzystym nie odmawiały modlitw po niemiecku. Utworzenie atoli polskiej prowincji Sióstr Notre Damek, pomimo usilnych starań, nie przyszło do skutku.

Cesarsko-królewski austrjacko-węgierski konsulat generalny, względnie konsul von Hoffmann z New Yorku, w tym czasie stawiał mi ciekawe pytania dotyczące Polonji amerykańskiej. Listy jego są w tece.

W niedzielę 17 lipca 1910 Polacy w Milwaukee uroczyście obchodzili pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Po wspaniałej paradzie na ulicach były śpiewy i mowy w Parku Kościuszki. Nietylko polskie ale i angielskie gazety wydrukowały te mowy. Mam pod ręką wycinek z gazety „Milwaukee Sentinel", jaki przechował w swojej tece aptekarz p. Stanisław A. Rakowski. „Sentinel" z 18 lipca 1910 cztery długie szpalty drobnego druku poświęcił opisowi obchodu grunwaldzkiego. A opis ten na pierwszej stronicy opatrzył temi czterema tytułami: „Grunwald Heroes Honored by Poles — Forty Thousand Hear Patriotic Addresses in Kościuszko Park — Loyalty to Native and Adopted Lands Keynote — Judge Michael F. Blenski, Rev. Waclaw Kruszka, Stanislaw Lempicki and Casimir Gonski Make Stirring Appeals". Po opisie parady „Sentinel" przytacza mowy i rezolucje. Mówcy na obchodzie grunwaldzkim tak mówili, jakby wiedzieli, że za ośm lat

Polska zmartwychwstanie. Naprzykład pan Łempicki mówił tak: „Bądźmy niezachwiani w naszej wierze, że przyszłość w niedalekim czasie jest naszą. Błędną jest opinja tych, co myślą, że wolność Polski jest nieprawdopodobną lub niemożliwą. Tak nie jest, i zaprawdę powiadam wam, że niepodległość Polski jest nieuniknioną". A p. Kazimierz Goński mówił: „Świt naszych nadziei wnet się zamieni w jasny dzień zmartwychwstania Polski".

2. Mowa na obchodzie grunwaldzkim.

Z mojej mowy „Sentinel" przytoczył co następuje: „Polacy postanowili zniszczyć zakon krzyżacki, który w imię Chrystusa popełniał zbrodnie. Lecz papież prosił Polaków o ocalenie zakonu. Przez przychylenie się do tej prośby papieża, Polacy zrobili bardzo wielki błąd. Jako oświeceni katolicy, Polacy powinni byli wiedzieć, że papież ani nie jest ani sam się nie ma za nieomylnego w sprawach politycznych. Pięćdziesiąt lat później, kiedy Luter powstał, zakon krzyżacki pierwszy przyjął luteranizm. Co za korzyść odniósł papież, że dawał taką radę, co za korzyść odnieśli Polacy, że usłuchali rady papieskiej i ocalili zakon krzyżacki? Żadnej. Bądźmy dobrymi katolikami, słuchającymi papieża we wszelkich sprawach religijnych, lecz w narodowych i politycznych rzeczach obstawajmy twardo przy swoich nienaruszalnych prawach samorządu. Inną jeszcze naukę daje nam historja. Zakon krzyżacki pod Grunwaldem ukarany został za swoją obłudę, za używanie znaku krzyża i imienia Chrystusowego do zdobycia świeckiej władzy i panowania nad innymi narodami. Strzeżmy się tej krzyżackiej żądzy panowania nad innymi narodami. Jak rodzina, tak i naród, to jest zwiększona rodzina, ma od Stwórcy dane prawo do samorządu. Ale jak złem jest chcieć panować nad drugimi, tak również złem jest zrzekać się swoich praw do samorządu. W sprawach kościelnych mamy pewne prawo, które przyznał nam sam papież, jedyny kompetentny sędzia w takich sprawach. Mamy prawo mieć biskupów polskich tu w Ameryce. Sam papież Pius X nam to prawo przyznał dnia 15 kwietnia 1904 słowami: „Decyzja w sprawie biskupów będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń". Te życzenia nasze były wydrukowane w „Supplices Preces"; było tam wyrażone życzenie biskupa polskiego nietylko dla Chicago, lecz i dla Milwaukee, Buffalo, Detroit, Pittsburg, St. Paul i Bostonu. Zatem prawo mamy i tu w Milwaukee mieć biskupa polskiej narodowości. Stójmy twardo przy swojem prawie. Jeśli się tego

prawa zrzeczemy, biada nam! Sami będziemy winni. Pan Bóg prócz rozumu dał nam i wolę. Chciejmy tą wolą, chciejmy usilnie i niezachwianie. By ta wola była skuteczną, wyraźmy tę wolę naszą gromadnie, jako społeczeństwo świadome swoich praw, a nikt nam nie śmie odbierać praw naszych. Nie sprzedajmy tego prawa obconarodowcom za żadne łaski biskupie, za żadne fiolety monsignorskie. Nam nie chodzi o fiolety, nam chodzi o biskupa **z władzą.** Do takiego mamy prawo — inaczej naszym instytucjom kościelnym grozi jeszcze większa ruina materjalna i moralna."

„Okrzyczą nas heretykami, schizmatykami, niezależnymi? Tak krzyżacy czynili z królem Kazimierzem Jagiellończykiem. To strachy na Lachy. Jakiej kto smaki, myśli, że każdy taki. Krzyżak stał się heretykiem. A Polska pozostała katolicką — pomimo że ją krzyżak ciągle oskarżał przed papieżem jako heretycką, bo walczącą przeciw krzyżowi (na płaszczu krzyżackim!). Papież wskutek tych skarg rzucał klątwy na Polskę, bo obłudny krzyżak ciągle krzyczał, że on obrońcą krzyża i wiary świętej! Miejmy się na baczności przed tymi, którzy **na ustach** mają to hasło: „Bóg i wiara przedewszystkiem, my bronimy wiary świętej!" To obłuda krzyżacka!"

„Lecz i w sprawach politycznych nie dajmy sobie zabierać praw naszych. Niedawno byłem w Washingtonie na odsłonięciu pomników Kościuszki i Pułaskiego. Jedyni polscy reprezentanci w Waszyngtonie to te martwe pomniki Kościuszki i Pułaskiego. Polacy, **czy my żyjemy jeszcze?** To miejmy **żywych** reprezentantów w Waszyngtonie, miejmy kongresmanów przynajmniej..."

„Nic bez celu na tym świecie. Jeśli zrządzeniem Opatrzności Boskiej nas 4 miljony przeniosło się do tych wolnych Stanów Zjednoczonych, to **mamy jakąś misję dziejową do spełnienia.** A tą misją naszą jest: przez wyrobienie sobie wpływu i znaczenia w tutejszej reprezentacji rządowej i kościelnej **przyczynić się do odzyskania wolności** i niepodległości macierzy naszej **Polski** w Europie. Ten cel we wszystkiem przyświecać nam powinien jako gwiazda przewodnia. Niema co ukrywać tego celu przed wrogami, boć przecie o to głośno się modlimy w pieśni: Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!..."

„Jedynie wtenczas dopomożemy Polsce, gdy będziemy dobrymi obywatelami tego tu kraju. W tym celu uczmy się władać dobrze językiem angielskim, to jeden z obowiązków naszych. Ale z drugiej strony na miły Bóg nie zrzekajmy się prawa mówienia

po polsku. Słyszałem, że szef policji tutejszej zakazał polskim policjantom mówić między sobą po polsku. Jeśli to prawda, to byłoby hańbą dla tego wolnego kraju...“

„By dojść do wpływu i znaczenia w tym kraju tak na polu kościelnem jak i politycznem i ekonomicznem, potrzeba nam ciągle ulepszać szkolnictwo. By ulepszyć szkolnictwo, potrzeba, nam ustanowić komisję edukacyjną nad szkołami, a przy każdej szkole radę szkolną.“

„Pieniądz jest nerwem rzeczy — powiedział starożytny Cycero. Pieniądz nie jest wprawdzie duszą, lecz jest **nerwem** naszych kościołów, naszych szkół i zakładów. Czem jest system nerwowy dla ciała ludzkiego, tem jest system finansowy dla ciał społecznych, instytucyj narodowych i społecznych. Duszą naszych kościołów jest słowo Boże. I ta dusza jest zdrowa, dobra i poczciwa. Ale nerwy naszych kościołów są słabe, rozstrojone lub nawet potargane. Opłakany to stan takiego człowieka, u którego dusza wprawdzie poczciwa, ale nerwy nie są w porządku. Opłakany to stan parafij, w których choćby słowo Boże było dobre ale finanse nie są w porządku. Wzmocnijmy ten system nerwowy, t. j. finansowy, naszych instytucyj społecznych tak kościelnych jak i narodowych. Jak nerwy naszego ciała ujęte są w system, tak finanse naszych ciał społecznych, parafij, szkół, składów i zakładów, muszą być ujęte w stały system, jeśli mają funkcjonować należycie. Czem najlepszy organista wobec rozstrojonych organ, czem najlepsza dusza wobec rozstrojonych nerwów: tem jest najlepsza wiara religijna lub idea narodowa wobec słabych i podupadłych finansów. Najlepszy organista wobec rozstrojonych organ jest bezwładny, i najlepsza dusza wobec rozstrojonych nerwów jest bezwładna. Czy duch Konstytucji Trzeciego Maja nie był najlepszy? Ale czego nie dostawało? Skarbu! Gdy przyszło do podatku, mało kto płacił. My mamy tę wadę narodową, że na cele prywatne jesteśmy rozrzutni, ale na cele publiczne jesteśmy skąpi. I duch Konstytucji Trzeciego Maja, duch najlepszy, zamiast się wcielić w ziemię polską i przybrać realną postać państwa, ulotnił się, uleciał w sfery górne i nadobłoczne — i tam się dziś unosi. Kiedy zstąpi i przyoblecze ciało państwowe? Wtedy, kiedy zgromadzony grosz publiczny stworzy mu nerwy silne i mocne. Nerw jest łącznikiem duszy z ciałem. A tym nerwem w życiu społecznem jest pieniądz. Jeśli chcemy odzyskać byt polityczny a wzrość tu w potęgę kościelną, to bądźmy oszczędni w życiu pry-

watnem, ale hojną dłonią składajmy ofiary pieniężne na ołtarzu ojczyzny i Kościoła. Bez ofiar i poświęceń nie stworzymy żadnego dzieła wiekopomnego. Przodkowie pod Grunwaldem nieśli w ofierze życie swoje — od nas Ojczyzna domaga się tylko ofiary pieniężnej — składajmy ją tak ochoczo i tak hojnie na Dar Grunwaldzki, jak przodkowie nasi."

„Nie na rękę to będzie krzyżakom. Będą **krzyżować** nasze plany. Będą podjudzać nas jednych przeciw drugim. To zwykła taktyka krzyżacka. Tak jak podjudzali ród Święców przeciw Łokietkowi i Witolda przeciw Jagielle. Uzbrójmy się w cierpliwość i stale a wytrwale dążmy do naszych celów: biskupów polskich, reprezentantów w hierarchji kościelnej i w kongresie Stanów Zjednoczonych. Nie dajmy się rozdwajać, ale łącznemi siłami walczmy o święte prawa nasze..."

„A walczmy aż do upadłego, tak jak ten Jurand ze Spychowa walczył... Jurand, nie mogąc już więcej walczyć orężem, bo mu krzyżacy prawą rękę ucięli, walczył dalej modlitwą, wznosząc prawicę uciętą ku niebu. Tak i my, choćby nam krzyżak **zakazem** uciął prawą rękę, **żebyśmy piórem nie mogli władać,** jeszcze wtenczas nie upadajmy na duchu; owszem wraz z uciętą prawicą wznośmy ducha ku niebu, wołając do Boga o pomstę nad krzyżakami..."

„W życiu prywatnem już tu sobie wywalczyliście pracą i oszczędnością byt niezależny. Z wyjątkiem świeżo przybyłych, macie już własny grunt pod nogami i własny dach nad głową. A kto jeszcze nie ma, ten dąży do tego, by mieć swój własny dom. I słusznie. Tak być powinno. Ale jak w życiu prywatnem, tak i w życiu publicznem być powinno. A jak jest? — Rozejrzyjcie się tylko wokoło siebie! Kto jest tu głównym zarządcą naszych publicznych instytucyj, naszych kościołów i szkół? Niemiec. Kto kształci naszych księży? Niemiec. Kto wychowuje naszych nauczycieli i organistów? Niemiec. Kto wychowuje nasze Siostry nauczycielki? Niemiec. Kto dostarcza ławek, ołtarzy, kielichów, ornatów i innych ozdób dla naszych kościołów? Niemiec. Słowem, w publicznem naszem życiu jesteśmy jeszcze na komornem, „na rencie" u Niemców. Polacy, czy naprawdę jesteśmy potomkami tych wielkich bohaterów z pod Grunwaldu? Nie! stanowczo nie! dopóki karki nasze dobrowolnie zginamy pod jarzmo obconarodowe. Albo zrzućmy to jarzmo albo porzućmy to imię Polaków! Gdyby tak przodkowie nasi z pod Grunwaldu powstali z grobów i przyjrzeli

się naszej zależności od Niemców, to nie przyznaliby się do nas. Powiedzieliby: „To nie nasi potomkowie, owiani duchem wolności i samodzielności: to inny jakiś naród, opętany duchem hołdowniczym i służalczym wobec obcych a duchem swawoli i niekarności wobec swoich". Polacy, czas wielki, byśmy nietylko w życiu prywatnem lecz i publicznem mieli własny grunt pod nogami i własny dach nad głowami. Własny grunt, to znaczy własne instytucje publiczne, parafjalne i diecezjalne, własne kościoły, własne szkoły, własne klasztory, własne seminarja duchowne i nauczycielskie, własne teatry, składy i fabryki — te miejmy **i popierajmy**. Własny dach nad głowami w życiu publicznem znaczy własną władzę i opiekę: własnych biskupów i własnych reprezentantów u rządu. Czas wielki na to! Dosyć długo siedzieliśmy „na rencie" u obcych i dość drogo nas ten rent kosztował. Z początku, świeżo przybywszy z starego kraju, musieliśmy osiąść na rencie. Teraz już stać nas na posiadanie **własności**. A w każdym razie dążyć do tego celu powinniśmy, gdyż inaczej, nie mając takiej szlachetnej ambicji, na śmiech i pogardę wystawimy się u innych i świadectwo ubóstwa ducha publicznego sobie wypiszemy. Jak dojdziemy do tej samodzielności w życiu publicznem? **Usilną i wytrwałą pracą nietylko rozumu** (nauką, oświatą), **lecz i woli**, to jest, stanowczem domaganiem się praw swoich. Ustępstwem i grzecznością w życiu publicznem do niczego nie dojdziemy. „W życiu publicznem na grzeczności każdy traci" — powiedział Libelt. A już bardzo dobroduszni, że nie powiem głupi, są ci z naszych rodaków, którzy sądzą, że w życiu publicznem coś wskórają głaszczeniem i płaszczeniem się, służalstwem, zapraszaniem i ugaszczaniem krzyżaków. Precz z tą dobrodusznością! Krzyżak dobrowolnie nie da nam nic. „Krzyżackiego gadu nie ugłaszcze nikt ni gościną ni prośbą ni dary..." (Adam Mickiewicz)..."

Oto wyjątki z mojej mowy na obchodzie grunwaldzkim, wypowiedzianej głośnym i donośnym głosem wobec wszystkich księży i tysiącznych tłumów w Parku Kościuszki. Całą tę mowę wydrukowano także w osobnej broszurce pod tytułem „Krzyżackie plemię" (r. 1910).

3. Komisja Edukacyjna. — Śmierć mego brata księdza Szymona. — Polski cmentarz w Milwaukee nie jest własnością Polaków. — Plan wysadzenia mnie z Milwaukee.

Owocem obchodu grunwaldzkiego była komisja edukacyjna, w skład której wchodzili panowie Antoni Tomkiewicz, Jan Chrza-

nowski, panna Fałtyńska i mój człowiek. Mieliśmy częste mityngi, składaliśmy i zbieraliśmy ofiary na fundusz grunwaldzki, z którego korzystali niezamożni studenci polscy.

Dnia 23 sierpnia 1910 w dzień św. Bartłomieja byłem na odpuście w Mill Creek, Wisconsin, gdy nadszedł kabelgram o śmierci mego brata księdza Szymona Kruszki. Umarł nagle w Ostrowitem Prymasowskiem pod Trzemesznem, mając niespełna 66 lat. Starsza siostra moja Agnieszka Kośmider z Wągrówca tak mi opisała ostatnie chwile księdza Szymona:

„Ksiądz Szymon już się od niejakiego czasu spodziewał nagłej śmierci. Jedna połowa głowy mu się pociła a druga była sucha. Radził się lekarza, a ten mu powiedział, żeby się strzegł, bo paraliż u niego na głowę pewny. I tak się stało. Obawiał się, żeby jeno nie przy Mszy św. Miejsce pośmiertne wybrał sobie obok dzwonnicy i też tam spoczywa w murowanym grobie pod drzewem, które sam zasadził. Dzień przed śmiercią, to jest w niedzielę był na odpuście. Nazad wracał przez Trzemeszno. Proboszcz z Trzemeszna prosił go, aby na pewno do niego na następną niedzielę na odpust przyjechał. Śp. Szymon mu odpowiedział: Jak będę żył, to przyjadę. A ten ksiądz powiedział: Tak nie gadaj, jeno przyjedź. Nazajutrz w poniedziałek rano przyszedł z kościoła, zjadł śniadanie, wyszedł na podwórze. Miał człowieka, co mu obrabiał słupki do płotu. Jak zaczął mówić do niego, tak zaczął oczy trzeć i powiedział: „Jezus, Marja, Józefie św., co mi jest, ja na oczy nie widzę". Tak ten człowiek mówi: „Ja ks. proboszcza zaprowadzę do pokoju, ks. proboszczowi się pewnie źle zrobiło". Na to nieboszczyk nie chciał przystać. Chciał sam iść. Ale ten człowiek wziął go pod rękę i go prowadził. Tak zaraz zaczął okropnie narzekać na głowę i zaczął słabnąć, nie mógł iść. Tak ten człowiek wołał na służącą. Przyszła, to go wnieśli do pokoju na łóżko. Żądał księdza, ale nie było. Więc się modlił do końca. Naraz mu głowa opadła i już nie żył. Był to paraliż mózgu. Na ostatku na serce narzekał. Trwało to pół godziny. Po Reszków ktoś poszedł, to jeszcze przyszli i byli przy nim. Nastusi nie było w domu, była w Gorzycach; tylko Wincentego ta młodsza córka Anna była przy nim. Na pogrzebie było dużo ludzi. Na eksporcie było 10 księży, na pogrzebie 25; a byłoby wiele więcej, ale byli na rekolekcjach w Poznaniu. Dziekan i kilku księży nie dokończyli rekolekcyj, przyjechali na pogrzeb. Trumnę nieśli z domu bratankowie do kościoła, czterech akademików, jeden kupiec, jeden gos-

podarz. Eksportę do kościoła prowadził ks. Stefan (Kruszka), z kościoła do grobu ks. Napierała, też kuzyn, i niósł dozór trumnę z kościoła do grobu. Były trzy mowy, jedna na eksporcie, jeden ksiądz nad grobem i jeszcze ks. dziekan żegnał go. Cała rodzina przyjechała na pogrzeb. Była i matka. W poniedziałek i wtorek przyjechalim już a w środę na południe przyjechało ośm furmanek familji z kolei a w czwartek dwie furmanki, to już była ta dalsza familja, co się z gazet dowiedziała."

„W Milwaukee „Nowiny" w dalszym ciągu zaczepiały mnie, zarzucając między innemi, że to ja „dyktuję" artykuły podpisane „K. H." w „Kurjerze" i chicagoskim „Dzienniku Narodowym". Zatelefonowałem do redakcji „Nowin", aby mi to dowiedziono albo oszczerstwo odwołano. „Nowiny" nie uczyniły ani jednego ani drugiego, tylko dalej mnie napadały. Ponieważ przez trzy lata, jak widzieliśmy, ani Delegat Apostolski ani arcybiskup nie chcieli czy nie mogli zapobiec tym skandalicznym oczernianiom „Nowin": przeto w ostatnią niedzielę sierpnia 1910 na rannej Mszy od ołtarza a na sumie z kazalnicy napiętnowałem „Nowiny" jako „pismo kłamliwe, oszczercze, krzyżackie i tchórzliwe". Albowiem dalsze milczenie moje równałoby się przyznawaniu się do winy.

Dług parafjalny nie podobał mi się. Samego procentu co rok wypadało dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt dolarów. To pieniądz wyrzucony. Obliczyłem, że gdyby każdy parafjanin dał sto dolarów a proboszcz tysiąc, to dług byłby spłacony i na procenta tyle pieniędzy by nie wyrzucano. Zrobiłem więc parafjanom propozycję, żeby każdy dał sto a ja tysiąc dolarów na spłacenie długów parafjalnych. Ale parafjanie na taką propozycję przystać nie chcieli. Dlaczego? pytałem. Odpowiedzieli mi: „Dlatego, że my ks. Kruszkę chcemy jak najdłużej mieć proboszczem parafji św. Wojciecha. A skorobyśmy dług spłacili, to arcybiskup weźmie go nam i przesadzi na inną obdłużoną parafję."

Niemcy katolicy w Milwaukee, choć ich o połowę mniej niż Polaków, mają kilka cmentarzy. A Polacy tylko jeden. A i ten zaniedbany. Parafjanie skarżyli się mi, że groby, zwłaszcza dzieci, są pełne wody, że zamiast grzebać, topią trumienki. Przedtem księża polscy obierali z pomiędzy siebie zarządcę cmentarza, który księżom musiał zdawać rachunek z włodarstwa swego. A jeśli źle zarządzał, to obierali innego. Teraz atoli arcybiskup sam wybrał ks. Bolesława Górala, naczelnego redaktora „Nowin", na zarządcę cmentarza. Byłem osobiście trzy razy u ks. Górala i trzy razy

zapraszałem go do siebie; ale on nigdy nie przyszedł do mnie i nigdy mnie nie zaprosił do siebie. Spotkawszy go w plebanji u ks. Szukalskiego, zwróciłem jego uwagę na groby pełne wody na cmentarzu. Odpowiedział mi:

— To niech proboszczowie postarają się o większe dochody. Obecne dochody nie wystarczają na osuszenie cmentarza.

— Proboszczowie niewątpliwie postarają się o większe dochody, jeśli będą widzieli potrzebę takowych. Dziś tej potrzeby nie widzą, bo nie widzą sprawozdania z dochodów i rozchodów cmentarza. Cmentarz jest częścią istotną każdej parafji, i każdy proboszcz ma nietylko prawo ale i obowiązek wiedzieć o stanie finansowym cmentarza.

Na to ks. Góral odrzekł dumnie:

— Ja sprawozdania z dochodów i rozchodów cmentarza nie potrzebuję przedkładać nikomu innemu, tylko arcybiskupowi.

To znaczyło, że absolutnym właścicielem cmentarza jest arcybiskup, a parafje polskie, względnie proboszczowie polscy, nie mają nic do mówienia. Mają tylko płacić. A jednak ten cmentarz dotychczas urzędowo nazywał się „Polskim Cmentarzem". Lucus a non lucendo — czyli widoczna sprzeczność między nazwą a jej znaczeniem. Żeby tę sprzeczność usunąć, „Cmentarz Polski" nazwano potem „Cmentarzem św. Wojciecha". Zrozumiałe też potem były te podejrzywania, że dochody cmentarza potrzebne są do utrzymania „Nowin", że skoro żywi nie chcą popierać „Nowin", to umarli muszą.

Mowa grunwaldzka, zaprowadzenie modlitw polskich obok łacińskich, wydalenie Sióstr szkolnych niemieckiego zakonu, a wreszcie żądanie, aby zarządca cmentarza zdał sprawozdanie — dopełniło miary goryczy i złości księży nowiniarskich. Jeden z filarów „Nowin" zwierzył się przed pewnym obywatelem, że „ks. Wacław Kruszka nie pozostanie długo w Milwaukee". Plan wysadzenia mnie z Milwaukee miał być ściśle w tajemnicy trzymany. Ułożono tajnie skargę na mnie, że to ja pisuję artykuły do „Kurjera Polskiego" i do „Dziennika Narodowego" z podpisem „K. H.", że ja w tych artykułach namawiam Polaków do oderwania się od Kościoła katolickiego, że dążę do schizmy, że lud buntuję, że trzymam z socjalizmem itd. Skargę taką postanowiono arcybiskupowi Messmerowi przedłożyć zaraz gdy z Europy wróci i zażądać, aby bez zbadania jej zaraz mnie zasuspendował i z Milwaukee wydalił, zanim parafjanie św. Wojciecha by się o tem dowiedzieli. Liczyli

na to, że arcybiskup, słaby a uprzedzony do mnie, uczyni to wszystko.

4. O wczesną pierwszą komunję. — Za mowę o socjalizmie i klerykalizmie wezwano mnie przed sąd arcybiskupi.

Dnia 8 sierpnia 1910 ogłoszony został dekret papieski o wieku dzieci, mających przystąpić do pierwszej komunji św. Jak wielu innym tak i mnie ten dekret sprawił wielką radość duchową. Pokrzywdzony lepiej odczuwa krzywdy drugich. Sam byłem pokrzywdzony w tem, że do pierwszej komunji św. dopuszczono mnie dopiero w 15 roku życia. I tu w Ameryce istniało prawo episkopalne, zabraniające przystępować do pierwszej komunji św. dzieciom, które nie ukończyły 12 roku życia. Było to prawo episkopalne, a nie katolickie; a temsamem było bezprawiem a nie prawem. Było jednem z najwstrętniejszych nadużyć władzy biskupiej w Kościele katolickim. Dlatego nie zważając na to, czy to się memu arcybiskupowi podoba czy nie, przyjmowałem do pierwszej komunji św. dzieci zawsze, o ile mogłem, daleko wcześniej niż w 12 roku życia. System episkopalny jest niezgodny z nauką Pisma św. i Kościoła katolickiego. Już sobór trydencki go potępił, a sobór watykański, ogłaszając nieomylność papieską w rzeczach wiary i obyczajów, zatwierdził tem samem system papieżny a potępił na zawsze system episkopalny. Pomimo to duch episkopalizmu nie przestał jeszcze pokutować w Kościele. I z okazji dekretu papieskiego o pierwszej komunji dzieci, episkopalizm znowu podniósł głowę. Arcybiskup kazał nadal trzymać się prawa episkopalnego zamiast papieskiego. Nie chciałem wierzyć temu i zapytałem go listownie. I oto co mi w „prywatnym“ czyli sekretnym liście z dnia 23 listopada 1910 odpowiedział:

„Wielebny drogi Panie! — W odpowiedzi na twoje zápytanie powiem, że zeszłego tygodnia biskupi prowincji postanowili trzymać się dawnego prawa prowincji — żadna pierwsza komunja aż dopiero gdy dziecko jest 12 lat stare — gdyż biskup Schinner zapewnił nas, że Ojciec św. zatwierdził to nasze prawo i powiedział, że nie było ono przeciw zamiarowi jego dekretu. Biskup Schinner właśnie powrócił z Rzymu i przedłożył był tę rzecz Ojcu św. Naturalnie taką informację daję ci **poufnie** (confidentially). Z radością dowiaduję się, że zaprowadziłeś co niedzielę katechizm dla dorastających chłopców i dziewcząt; i będę się starał skorzystać z tego. Z najlepszemi życzeniami, szczerze twój † S. G. Messmer.“

Skorzystał arcybiskup pewnej niedzieli w plebanji ks. Szukalskiego, gdzie go zapytałem:

Czy dziecko przed dwunastym rokiem może przyjąć sakramenta święte?

— Może i nie może. Może i powinno iść do spowiedzi, ale nie może i nie powinno przystępować do pierwszej komunji św.

— Czemu nie powinno?

— Bo nie potrzebuje Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej. Dziecku najzupełniej wystarcza dobra spowiedź.

— A czy arcybiskupowi najzupełniej wystarcza dobra kąpiel? Czy nie potrzebuje i nie bierze pokarmu?

— Ba!

— Dlatego powiada dekret papieski, że „jednego i tego samego wieku dla obydwóch Sakramentów domaga się Sobór Lateraneński".

— Ależ sam papież zapewnił nas, że przyjmowanie dzieci do pierwszej komunji po dwunastym roku życia nie sprzeciwia się jego dekretowi.

— Czy papież dał wam takie zapewnienie na piśmie?

— Nie, tylko ustnie. A ustne zapewnienie papieskie jest tak dobre jak piśmienne.

— Bardzo dobrze. Ale gdyśmy wam powiedzieli, że papież 15 kwietnia 1904 dał nam Polakom zapewnienie, że będziemy mieli biskupa polskiego i tu w Milwaukee, i to czemprędzej: dlaczegoście nas wtedy pytali czy mamy takie zapewnienie od papieża na piśmie?

— Ba!

Co niedzielę przed nieszporami wykładałem i wykładam katechizm dorosłym. Zazwyczaj naprzód z ambony zapowiadałem, jaką naukę z katechizmu będę wykładał. Na pierwszą niedzielę adwentu r. 1910 zapowiedziałem tydzień naprzód, że będę mówił o socjalizmie. To zaciekawiło szerokie masy. Nawet angielskie gazety, jak np. „Milwaukee Sentinel", ogłosiły w długich szpaltach, kiedy, gdzie i o czem będę mówił: „The Rev. Waclaw Kruszka will lecture in Polish on socialism in his church Sunday afternoon... Socialism is not different from that of seducing serpent", i inne tytuły. Kościół nie mógł pomieścić tłumów. Mówiąc w ową niedzielę o socjalizmie, musiałem także wspomnieć o klerykalizmie. Albowiem socjaliści, wówczas zwłaszcza, mieszali ze sobą te dwa odrębne pojęcia: kler i klerykalizm — podobnie jak społeczeństwo i socja-

lizm za toż samo uważają. Tymczasem socjalizm i klerykalizm, choć to są dwa przeciwległe bieguny, to jednak co za różnica między tymi biegunami. Naturą złości i przewrotności są zupełnie podobne do siebie. I jak potępiając socjalizm, bronimy społeczeństwo: tak potępiając klerykalizm, bronimy kler. Ma się rozumieć, myśli te jasno i obszernie wyłożyłem.

Gazety nietylko polskie ale i angielskie o tym moim wykładzie katechizmu (zobacz księdza Spirago trzeci tom) szeroko się rozpisywały. Kto i co powiedział arcybiskupowi o tym wykładzie, nie wiem. Wiem tylko, że dnia 5 grudnia 1910 następującym listem, adresowanym „Rev. W. Kruszka, St. Adalbert's, City" kazał mi się stawić do swego pałacu:

„Drogi Panie! — Niniejszem jesteś wezwany stawić się w mojej rezydencji jutro popołudniu, wtorek, 6 grudnia, o godzinie 3:30 P. M., ażeby wytłumaczyć mowę mianą o socjalizmie w twoim kościele w niedzielę, 27 listopada, a przytoczoną we „Free Press of Milwaukee" w poniedziałek 28 listopada. Z poważaniem Twój

† *S. G. Messmer,* Abp."

Stawiłem się na czas. W sali oprócz arcybiskupa zastałem pół tuzina kapłanów niemieckich i irlandzkich, stanowiących jakby synedrjum, wobec którego miałem się wytłumaczyć ze swojej mowy o socjalizmie. Arcybiskup wobec tej wysokiej rady zapytał mnie:

— Czemu mówiąc o socjalizmie potrąciłeś o klerykalizm?

— Bo socjalizm i klerykalizm to są dwa pokrewne sobie duchy, obydwa duchy złodziejskie. I chcąc społeczeństwo oczyścić ze socjalizmu, trzeba najpierw klerykalizm wymieść z Kościoła.

— Jak to rozumieć? Kogo miałeś na myśli, niższy czy wyższy kler?

— I niższy i wyższy kler o ile jest następcą apostoła Judasza. Gdyby nie złodziejska gospodarka np. na Jozafatowie, toby między Polakami w Milwaukee ani pół tyle socjalistów nie było. Klerykalista i socjalista są obydwaj złodzieje, bo obydwaj okradają lud pod fałszywymi obietnicami. Ojcem socjalizmu był wąż w raju, a ojcem klerykalizmu był Judasz Iskarjot.

— Czemu klerykalizm bierzesz tylko w złem znaczeniu?

— Bo tak tego wyrazu powszechnie się używa tylko w złem znaczeniu. Zobacz Słownik Webstera. Kler i kleryka bierzemy w dobrem znaczeniu; ale klerykalizm i klerykała bierzemy w złem

znaczeniu. Podobnie jak społeczność i społecznika bierzemy w dobrem znaczeniu; lecz socjalizm i socjalistę (socjała) bierzemy w złem znaczeniu.

Arcybiskup, wysłuchawszy mnie, puścił mnie wolnym, mówiąc: You can go. Ale czułem się wtedy między klerykalizmem i socjalizmem jak między młotem a kowadłem.

W jesieni r. 1910, chodząc od domu do domu po kolekcie, zebrałem 602 dolary na spłacenie długu parafjalnego. Spłaciliśmy tego roku 3,654 dolary długu. Nadto za brukowanie ulicy Becher zapłaciliśmy tysiąc sto dolarów podatku miejskiego.

5. Lud bez sprzeciwu księży organizuje się we Federację dla uzyskania biskupów polskich. — List do Delegata Apostolskiego i do arcybiskupów.

Już trzeci rok mijał, jak ks. Paweł Rhode został biskupem. Lud oczekiwał więcej biskupów i to biskupów z władzą. Atoli oczekiwanie to przemieniało się w rozczarowanie i rozgoryczenie. Biskupi ajryscy i niemieccy stawiali trudności. „Difficultas est ex parte americanorum episcoporum“ — jak się wyraził Pius X. Biskupi ci nie chcieli, ażeby ktoś nawet wspominał o sprawie biskupów polskich. Chcieli, by w tej sprawie cisza grobowa zaległa. Tak np. kiedy na życzenie wielu chciałem pisać w tej sprawie artykuły do angielskich gazet katolickich, wtedy redaktor tygodnika „Catholic Citizen“ z Milwaukee, Wis., 28 lutego 1911 tak mi odpowiedział:

„Mój drogi Ojcze Kruszka! — Osobiście rad bym widział na naszych szpaltach najzupełniejsze roztrząsanie kwestji biskupów polskich — lecz przewiduję bezimienne odpowiedzi od niektórych ciasnych głów ajryskich i niemieckich — a my mamy wielu czytelników, którzyby się taką polemiką nie zbudowali. Kiedy tą sprawą biskupów polskich kilka lat temu zajmowaliśmy się w naszej gazecie, wtedy otrzymaliśmy wskazówkę od wyższej władzy, aby się tą sprawą nie zajmować. Wyraźniej ci to powiem, kiedy cię zobaczę. Z prawdziwym szacunkiem Twój H. J. Desmond“.

Chociaż więc biskupi niemieccy i ajryscy chcieli naszą sprawę ubić i pogrzebać, to jednak ta sprawa z dniem każdym stawała się coraz żywotniejszą. A jakżeż żywą pogrzebać? Ludzie zaczęli się organizować. I tak powstała owa słynna „Federacja Świeckich Polaków Katolików w Ameryce“. Dlaczego tylko „świeckich“? Bo

kiedy ludzie się pytali księży, dlaczego nie dostajemy biskupów polskich, księża polscy im odpowiadali, że biskupi obconarodowi mówią, iż to tylko księża chcą biskupów, a nie lud polski. Więc lud polski powinien jasno i dobitnie wyrazić swoją wolę, że istotnie on to jest, który chce biskupów polskich. Więc lud postanowił zorganizować się we „Federację Świeckich" z własnego popędu, bez inicjatywy i udziału księży. Księży tylko pytał się, czy nie mają nic przeciw takiej Federacji. Ludzie, organizujący Federację, byli u każdego proboszcza polskiego. Pamiętam, jak jeden z nich, mój parafjanin Bolesław Sierzchulski, był u mnie i pytał się, czy mam co przeciwko ich planowanej Federacji. Cel główny i pierwszy tej Federacji jest uzyskanie własnych polskich biskupów dla Polaków w Ameryce. Celem dalszym jest ulepszenie szkół parafjalnych w duchu polskim i uporządkowanie finansów parafjalnych, żeby się nie powtórzył finansowy nieporządek Jozafatowa. Bo finansowa ruina jednej parafji szkodzi materjalnie i moralnie całej Polonji. Skandal jednego księdza polskiego sprowadza hańbę na wszystkich Polaków. Do powyższych trzech celów Federacja chce dążyć środkami nie sprzeciwającymi się prawom Kościoła katolickiego. Federacja nie ma dążyć do schizmy albo buntu, ale ma starać się drogą legalną o ulepszenie tutejszych polskich stosunków kościelnych. I tylko dobry parafjanin może być członkiem Federacji. Takie jasno wytknięte cele i środki wyraźnie określone były już wydrukowane w osobnej broszurce.

— Byliście u wszystkich proboszczów polskich? — zapytałem.

— Byliśmy. I żaden z nich, nawet ks. B. E. Góral, nie ma nic przeciwko naszej Federacji.

I ja nic złego w takiej Federacji nie widziałem. Chociaż przewidywałem, że dla swoich pierwszych dwóch celów będzie ona solą w oku biskupów i — klerykalistów dla swego trzeciego celu. Jakoż te przewidywania moje ziściły się później, kiedy na Federację padły gromy i klątwy biskupie.

Tymczasem 23 marca 1911 napisałem list do Delegata Apostolskiego, w którym, przesyłając tegoroczne świętopietrze od parafji św. Wojciecha, prosiłem go, aby raczył się postarać o wprowadzenie imienia św. Wojciecha do mszału i brewjarza. Powiadomiłem go także o tem, że w myśl dekretu papieskiego do pierwszej Komunji przyjmuję dzieci, skoro siedm lat skończyły; a że mój arcybiskup chce, ażebym się trzymał episkopalnego prawa pro-

wincji milwauckiej i przyjmował dzieci dopiero gdy lat dwanaście skończą. Na to Delegat Apostolski z Waszyngtonu 25 marca 1911 dał mi taką odpowiedź:

„Wielebny i drogi Ojcze! — Niech mi wolno będzie z wdzięcznością uznać odbiór Twego listu z 23 bieżącego miesiąca zawierającego czek na 31 dolarów i 20 centów jako świętopietrze od Twojej parafji. W imieniu Ojca Świętego dziękuję Ci za to i prześlę to Jego Świątobliwości wraz z zapewnieniem wierności i przywiązania Twego oraz Twojego ludu. Co się tyczy pierwszej Komunji, to ja sam wejdę w komunikację z arcybiskupem. Ci, co życzą sobie większego uznania dla św. Wojciecha, powinni zwrócić się do zjazdu arcybiskupów, mającego się odbyć w tutejszem mieście dnia 26 kwietnia, gdyż takie sprawy nie wchodzą w mój zakres działania, chociaż ja bym czuł się szczęśliwym widzieć tego świętego uczczonego tak jak Ty sobie tego życzysz. Szczerze Twój w Chrystusie

† *D. Falconio,* Apostolski Delegat".

Przyjmowałem więc i przyjmuję dotychczas dzieci do pierwszej Komunji około siódmego roku ich życia, chociaż ta praktyka moja była i jest solą w oku arcybiskupa i kilku nielicznych lecz niestety właśnie polskich proboszczów. Żeby mieć wymówkę czy wykręt, mówią, że praktyka przyjmowania dzieci do pierwszej komunji po skończonym 12 roku życia nie sprzeciwia się dekretowi papieskiemu. Lecz jeśli się nie sprzeciwia, to dlaczego tego dekretu papieskiego nie czytają w kościele tak jak ten dekret wyraźnie nakazuje, żeby był czytany ludowi co rok w czasie wielkanocnym? Bo czują to instynktownie, że dekret papieski głośno potępia ich praktykę, piętnując ją jako niezgodną z nauką Kościoła katolickiego. Gdyby tedy czytali ludowi ów dekret, toby lud widział i wiedział, że ich praktyka sprzeciwia się temu dekretowi.

Atoli większą, niż ta moja praktyka, solą w oku arcybiskupa było moje pisanie do Delegata Apostolskiego. Jak już nieraz przedtem, tak i teraz arcybiskup Messmer swój list do mnie kończył tym ironicznym rozkazem: „Pisz do Delegata Apostolskiego. Taki jest zwyczaj obecnie — write to the Apostolic Delegate. Such is the custom at present". (W liście z 7 grudnia 1910.)

Wobec tego, kiedy mi Delegat Apostolski w powyższym liście stawił wniosek, abym w sprawie równouprawnienia św. Wojciecha zwrócił się do zjazdu arcybiskupów we Waszyngtonie, myślałem oczywiście, że innymi drzwiami list mój nie wejdzie do sali obrad

arcybiskupich jak tylko przez Delegata Apostolskiego jako wnioskodawcę. Więc, za jednym razem sprawę równouprawnienia św. Wojciecha łącząc ze sprawą równouprawnienia kleru polskiego, taki list napisałem 18 kwietnia 1911:

„Przez grzeczność Najprzewielebniejszego D. Falconio, Delegata Apostolskiego, do Najprzewielebniejszych Arcybiskupów, zgromadzonych 26 kwietnia 1911 we Waszyngtonie, D. C.

„Najprzewielebniejsi Arcybiskupi! — Niech mi wolno będzie przedłożyć co następuje:

„1. Św. Wojciech, Biskup i Męczennik, powinien być uznany we Mszale, Brewjarzu i Ordo w Stanach Zjednoczonych Ameryki tak jak jest uznany w wielu krajach Europy. Istnieje już tu w tym kraju około 80 kościołów pod wezwaniem tego wielkiego Świętego, który dla Polaków jest tem, czem św. Patryk jest dla Irlandczyków, a nawet czemś więcej. Ze względu na duży procent polskich katolików w tym tu kraju, wydaje się dziwnem, że taki święty Wojciech nawet po imieniu nie jest wzmiankowany w liturgji amerykańskiego Kościoła katolickiego. Ażeby pokazać waszemu dostojnemu gronu arcybiskupiemu, że moje poglądy nie są utopijne, pozwolę sobie tu przytoczyć odpowiedź daną mi w tej sprawie 25 marca przez Jego Excelencję Delegata Apostolskiego: „Ci, którzy chcą większego uznania dla św. Wojciecha, powinni zwrócić się do zjazdu arcybiskupów, mającego się odbyć 26 kwietnia, gdyż takie sprawy nie wchodzą w mój zakres działania, **chociaż ja bym czuł się szczęśliwym widzieć tego świętego uczczonego tak, jak ty sobie tego życzysz**".

„2. Potomkowie św. Wojciecha, polscy katolicy tu w tym kraju powinni mieć należne uznanie w amerykańskiej hierarchji katolickiej tak jak to Jego Świątobliwość papież Pius X przyobiecał 15 kwietnia 1904, że będą je mieli **czemprędzej.** Uważać Kościół w Ameryce za „kocioł" przetapiający narodowości — jak to czyni wiele gazet angielsko-katolickich — jest zarówno śmiesznem jak i gorszącem, to jest, podkopującem wiarę w powagę Kościoła tego kraju. Szanowni uprawiacze polityki „kotła przetapiającego" (melting pot) przez jakiś czas łudzili się tą słodką nadzieją, że w niewielu latach te rozmaite narodowości immigrantów zleją się w jednolitą masę tak zwanego Amerykanizmu. Jak opłakanie zwodniczą jest ta ich nadzieja, pokazuje to następujący wyciąg z „Congressional Record" (14 stycznia 1911, 7803—9572, str. 5): „...**Wiara w to,** że rozmaite narody, przybyłe do tego kraju w ciągu 19 wieku, wy-

tworzyły, albo **że można się spodziewać iż wytworzą amalgamat** czyli mieszaninę narodową — **niema żadnej podstawy we fakcie.** Widoczną jest rzeczą, że dotychczas było bardzo mało tej mieszaniny. Narodowości rozmaite pozostają istotnie **odrębne,** nie geograficznie, lecz **społecznie,** a we wielu wypadkach przemysłowo. Proces asymilacji zaczyna się u dzieci urodzonych w tym tu kraju i posyłanych do amerykańskich szkół, ale **i wtedy jest bardzo powolny,** szczególnie co się tyczy mieszanych małżeństw. Doświadczenie w ciągu 19 wieku pokazuje, że **rzeczywista asymilacja weźmie wieki,** i że amalgamacja, czyli mieszanina narodowości przez mieszane małżeństwa, jest nietylko nadzwyczajnie powolną, lecz także wątpliwej wartości co do siły i żywotności potomstwa. Słowem, rozmaite narodowości w tym tu kraju **żyją obok siebie,** i wszystkie tworzą z czasem **dobrych obywateli** rzeczypospolitej, **lecz nie zlewają się.** Prawdopodobnie **wiek dwudziesty** wykaże te same metody i rezultaty w ludności jeszcze **bardzięj rozmaitej narodowościowo".**

„Z najgłębszym szacunkiem sługa w Chrystusie

Wacław Kruszka,

proboszcz kościoła św. Wojciecha w Milwaukee, Wis."

Powyższy list został posłany do Delegata Apostolskiego. Ale ani przez Delegata nie mógł uzyskać posłuchania u arcybiskupów. Sekretarz Delegata 20 kwietnia 1911 tak mi odpisał:

„Wielebny i drogi Panie! — Niech mi wolno będzie zwrócić niniejszem petycję, jakąś przygtował do przedłożenia arcybiskupom zgromadzonym na rocznym zjeździe. Delegat Apostolski pragnie, abyś tego rodzaju sprawy sam dopilnował. Bardzo szczerze Twój *Daniel A. Dever,* sekretarz".

Niestety, ani wtedy ani później nie uczyniłem zadość temu pragnieniu Delegata Apostolskiego. Byłem właśnie zajęty wydawaniem kontraktów na budowę domu Sióstr.

6. Budowa domu Sióstr. — Bazar bez piwa i tańców. — Wycieczka do Poznańskiego. — Przez federację lud jako lew się podnosi i głośno domaga się biskupów polskich.

Siostry nauczycielki nie miały dotychczas własnego domu, lecz mieszkały w budynku szkolnym, zajmując dwie klasy. Pozostawało więc tylko sześć klas dla dzieci. A dzieci przychodziło coraz więcej do szkoły św. Wojciecha. Przy końcu roku 1910 było

już 491 dzieci w szkole. Siostry musiały połowę jednej klasy ustąpić dzieciom, i tak powstała siódma klasa. Trzeba było na gwałt osobny dom Sióstr wybudować, żeby dzieci miały więcej miejsca w szkole. Przez wiosnę i lato 1911 wybudowano dom dla Sióstr za 6,400 dolarów. Dla powiększenia funduszów urządzono bazar. Bazary takie dotychczas w polskich parafjach były połączone ze sprzedażą piwa i wódki, oraz z tańcami „na dochód kościoła". Więc komitet urządzający bazar wbrew mojej woli postawił barę i platformę do tańców. Barę kazałem zamknąć, a z platformy pręcikiem rozpędziłem tańczących. Mówiono, że bez picia i tańca bazar się nie uda. A jednak z tego bazaru mieliśmy 2,200 dolarów czystego dochodu. Jak picie i tańce „na dochód parafji", tak tańce w ogóle, huczne zabawy i wesoła **w soboty i niedziele** były zakazane swego czasu nawet pod rezerwatem przez arcybiskupa Messmera i biskupów prowincji. Cóż z tego, kiedy „Nowiny", noszące aprobatę tychże biskupów, przez płatne ogłoszenia tańców sobotnich i niedzielnych zachęcały ludzi do łamania tego zakazu. Pokazano arcybiskupowi czarne na białem takie ogłoszenie w „Nowinach". Arcybiskup niby to oburzył się na „Nowiny", i na tem koniec. „Nowiny" w dalszym ciągu umieszczały płatne ogłoszenia tańców sobotnich i niedzielnych. Ludzi więc przyzwyczajono do takiego sposobu myślenia: że zakazy są po to, aby je łamać. I gdy przyszedł potem zakaz czytania gazet, tak samo myśleli. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

Polskie Siostry z niemieckiego zakonu Notre Damek w lecie 1910 przestały uczyć w szkole św. Wojciecha. Na ich miejsce przyszły Polskie Siostry św. Józefa z polskiego zgromadzenia ze Stevens Point, Wis. Związek Polek w Ameryce energicznie starał się u Matki Generalnej Sióstr Notre Damek o założenie polskiej prowincji, gdyż polskich Sióstr Notre Damek była liczba wielka. Od pani Marty Kopickiej 28 stycznia 1911 dostałem taki list:

„Wielebny Księże! — Siostry Notre Damki prosiły mnie, żebym w ich imieniu prosiła księdza, aby im w jaki sposób dopomógł, gdyż chcą one założyć polską prowincję. Od czasu jak ksiądz zmienił Siostry, to coraz gorzej z nimi się dzieje. Na początku mateczka ze strachu, że Polki się odłączą, rozesłała listy, że Polkom będzie wolno po polsku odmawiać pacierz; ale skoro ucichło, to o tem zapomniała, a nawet nowicjuszkom nie wolno mówić po polsku. Jest tam polska nauczycielka, ale to tylko dlatego, aby zatrzeć to, co Polkom zabraniają, bo jedynie Polki klasztor utrzymują".

Gdybym był mógł Siostrom Notre Damkom dopomóc do utworzenia prowincji polskiej, to byłbym je zatrzymał w szkole św. Wojciecha. Ale widziałem, że nie mogłem im do tego dopomóc. Jak niemieckie Notre Damki nie utworzyły niemieckiej prowincji francuskich Notre Damek, lecz założyły osobne niemieckie zgromadzenie: tak polskie Notre Damki nie mogą utworzyć polskiej prowincji, mogą tylko założyć osobne polskie zgromadzenie. Niema innego wyjścia, jak wyjście. Na założenie polskiej prowincji Niemka Generałka nigdy nie pozwoli. Próbowaliśmy dość długo. Trzeba iść za przykładem Polskich Sióstr św. Józefa w Stevens Point, Wis.

Dostałem wiadomość, że matka moja jest ciężko chora. Więc z Milwaukee wyjechałem 20 czerwca 1911 do Poznańskiego, a 19 lipca 1911, w niecały miesiąc potem, byłem już znowu w Milwaukee z powrotem. Na podróż tam i nazad zużyłem 16 dni. A 13 dni spędziłem na odwiedzeniu matki i krewnych w Poznańskiem i znajomych w Krakowie. Dnia 4 lipca 1911 pobłogosławiłem związek małżeński mego siostrzeńca Bronisława Kośmidra w kościele w Żuniu, gnieździe rodzinnym Tomkiewiczów, aptekarzy w Milwaukee. W powrotnej drodze na okręcie grałem w szachy z oficerem austrjackim w otoczeniu pruskich oficerów, którzy między sobą rozmawiali o możliwej wojnie z Anglją. Bawiąc u matki, na jej prośbę w Dziekance pod Szubinem szczypcami ukręciłem ze stalowego drutu nowy różaniec, gdyż stary jej zginął. Tu matkę widziałem ostatni raz w życiu.

Na niedzielę 21 maja 1911 prezes komitetu Jan B. Wojciechowski i sekretarz Fr. Sobolewski z Ironwood, Michigan, zaprosili mnie z mową na obchód Trzeciego Maja. W Ironwood przenocowałem u ks. dziekana Pawlara.

Działalność wyżwspomnianej „Federacji Świeckich Polaków Katolików w Ameryce" obudziła ducha ludu w całej Ameryce. Nawet angielskie gazety, nietylko w Milwaukee i Wisconsin, ale i po innych Stanach zajęły się sprawą biskupów polskich. Tak naprzykład z Little Falls, Minnesoty, 15 sierpnia 1911 p. Kozłowski przysłał mi wycinek z tamtejszej gazety „Little Falls Transcript" i następujący list:

„Wielebny Księże! — Niniejszem przesyłam Księdzu wycinek z tutejszej naszej gazety, który wytłumaczy, dlaczego ten list piszę. Najpierw chcę Księdzu powinszować sukcesu pracy jako prawdziwemu polskiemu patrjocie i obrońcy, i modlę się do Boga, byś szedł naprzód w Twojej pracy, raz zaczętej, bez względu na

rezultat lub koniec. Świat wogóle wie (choć nie chcą tego przyznać), czem Polacy są i co uczynili dla rzymsko-katolickiego Kościoła i jak mało ten Kościół im daje nawzajem. Pomyśleć tylko: cztery miljony ludu płacą miljony dolarów rocznie na utrzymanie Kościoła, a nie mają prawa mówić ani słowa ze sobą, nie mając juryzdykcji. Jest to niewola gorsza niż ta w Rosji lub Chinach. Jest to zniewagą polskiego ludu, i on powinien to pomścić. Bez wątpienia znasz uczucia polskiego ludu i kleru. Oburzenie ludu doszło punktu kulminacyjnego. Jako prawdziwy Polak wolałbym raczej widzieć pokojowe załatwienie tej trudnej sprawy. Jeśli idziemy, to idźmy wszyscy. Jeśli stoimy, to stójmy wszyscy. Bo nas nie stać na rozdział między nami. Potrzebujemy wszystkich sił, jakie tylko zebrać razem możemy. Wszelako cokolwiek się stanie, Ty, Księże, możesz być pewien, że przy Tobie stać będziemy. Jeśli możemy coś uczynić, coby pomogło sprawie, daj nam znać łaskawie, a my jesteśmy do Twoich usług. Niech Bóg błogosławi Ciebie i Twoją pracę i nas wszystkich".

Nadesłany z Minnesoty wycinek z „Little Falls Transcript" opiewa:

„Poniższy telegram z Milwaukee zainteresuje polskich mieszkańców naszego miasta: Milwaukee, 12 sierpnia 1911. Federacja Świeckich Polaków Katolików w powiecie Milwaukee odbyła wiec i żąda od władz kościelnych polskiego biskupa dla Wisconsinu. Rezolucje są uchwalone i kopje przedłożone arcybiskupowi Messmerowi, Delegatowi Apostolskiemu w Waszyngtonie i papieżowi Piusowi X. Wiec ten jest wynikiem audjencji delegata u papieża dnia 15 kwietnia 1904. Polacy wtedy zostali zapewnieni, że polski biskup będzie zamianowany dla Wisconsinu czemprędzej. Ks. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha, powiedział wczoraj: „Życzymy sobie, żeby diecezja miała granice narodowe, a nie terytorjalne tylko, żeby składała się z polskich parafji podobnie jak polskie rzymsko-katolickie Zjednoczenie, Stowarzyszenie i Unje składaja się z polskich towarzystw, niemieckie z niemieckich, ajryskie z ajryskich. Słuszną jest rzeczą, żeby Wisconsin miał polskiego biskupa, którego juryzdykcja i władza będzie zadecydowana w Rzymie i któryby, obejmując kierownictwo nad sprawami finansowymi i religijnymi polskiego społeczeństwa, znał także obyczaje i zwyczaje oraz język tegoż społeczeństwa. Każda polska gazeta w tym tu kraju przepełniona jest listami od ludu rozmaitego stanu, domagającego się polskiego biskupa. Stany Zjednoczone mają

110 katolickich biskupów, a z tych przeszło dwie trzecie jest ajryszów, a około tuzina Niemców. Polacy mają tylko dwóch biskupów na tej tu zachodniej półkuli ziemskiej, a i ci dwaj nie mają żadnej zgoła juryzdykcji". Pewien wybitny Polak w naszem mieście, gdy mu pokazano powyższy telegram, powiedział: „Polacy nigdy nie byli sprawiedliwie traktowani w sprawach kościelnych i wszelkie zaburzenia w polskich parafjach głównie stąd pochodzą. Ks. Wacław Kruszka jest wielkim patrjotą polskim. On ma słuszność we wszystkich swoich żądanaich, i na pewne mogę powiedzieć, że większość Polaków będzie z nim stała od początku do końca, jakkolwiek ta sprawa wypadnie". Tyle „Little Falls Transcript".

7. Młode Wojciechowo ma płacić długi Jozafatowa.—Brak publicznych sprawozdań prowadzi do ruiny finansowej. — Jak przefrymarczono Jozafatowo.

Po co się kryć z tem, jakie się ma dochody i rozchody na kościół, szkołę, cmentarz, seminarjum i inne instytucje parafjalne lub diecezjalne? Po co w tem unikać jawności i światła dziennego? Jedyna odpowiedź na to jest ta: „Każdy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości: ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego. Lecz kto czyni prawdę, przychodzi do światłości, aby się okazały sprawy jego, iż w Bogu są uczynione". (Jan 3, 20, 21.) To też kler, niższy i wyższy, daje ludowi szczegółowy wykaz finansowy. A jedynie złodziej klerykalista tego czynić nie chce i, ażeby mieć wykręt, powiada:

— Ja tylko arcybiskupowi zdaję sprawozdanie.

To już lepszy byłby wykręt:

— Ja tylko Bogu zdaję rachunek z włodarstwa mego.

Gdzie są takie wykręty, tam niechybnie prędzej czy później nieporządki finansowe wyjdą na jaw. Bo można wprawdzie wszystkich ludzi (i arcybiskupa) nieraz oszukać, i można niektórych ludzi zawsze oszukać: ale wszystkich ludzi zawsze oszukać nie można. Słyszałem ja w latach 1895—1896 na Jozafatowie w Milwaukee też takie same wykręty i prosiłem arcybiskupa, żeby takim wykrętom nie wierzył, lecz żeby kazał **nietylko sobie ale i ludowi** szczegółowe sprawozdanie finansowe przedłożyć — szczegółowe, bo ogólnikowe nie jest wcale sprawozdaniem. Nie uczyniono tego. Rezultat był ten, że później wyszły na jaw ogromne nieporządki finansowe, które też ogromne wywołały zgorszenie wśród Polonji.

Powiedziałem, że sprawozdanie powinno być szczegółowe. A szczegółowem jest ono wtedy dopiero, kiedy dochody także **pożyczkowe** wyszczególnia nazwiskiem wierzyciela lub przynajmniej numerem jego noty.

Kiedy finansowe nieporządki na Jozafatowie wyszły na jaw, wtedy obconarodowcy wytykali na nas palcem i wołali:

— Oto polska gospodarka!

— Kto jest biskupem w Milwaukee — zapytałem — czy Polak?

— Niemiec.

— Co znaczy biskup jeśli nie dozorca? Kto tu ma dozór nad gospodarką w parafjach jeśli nie Niemiec? Więc to nie polska, lecz właśnie niemiecka gospodarka zrujnowała Jozafatowo.

— Lecz Polacy powinni byli ostrzec arcybiskupa.

— Ostrzegali, ale nadaremno, bo proboszcz Jozafatowa był ulubieńcem arcybiskupa. Więc nie my Polacy, ale wy Niemcy powinniście teraz spłacić ten dług wynoszący przeszło pół miljona dolarów, które nie wiemy na co poszły, bo kościół tyle nie mógł kosztować.

Takie było ogólne zdanie Polaków w Milwaukee. Mówili:

— Po co my mamy płacić na Jozafatowo i temsamem niejako przyznawać się, że dług na Jozafatowie powstał z naszej winy, a nie winy Niemców? Za lichy dozór niemieckiego biskupa niech odpowiadają Niemcy, a nie my. Z powodu tego lichego dozoru czyli „episcopatu" dość już Polacy w Ameryce stracili i na mieniu i na imieniu.

I ten finansowy nieporządek po parafjach polskich był i jest jedną z głównych przyczyn, dla których lud polski — bardziej aniżeli księża — żądał i żąda swoich własnych polskich biskupów w Ameryce. Jednym z haseł ludu polskiego jest: Wydobyć kościoły i szkoły polskie z pod macoszej opieki obconarodowych dozorców! Bo na punkcie majątkowym lud nasz jest bardzo czułym i zazdrosnym w dobrym sensie.

Otóż w poniedziałek, 19 czerwca 1911, w dzień przed moim wyjazdem do Europy, zwołałem nadzwyczajne posiedzenie zarządu parafjalnego, pp. Michała Żulkę, Sylwestra Waboszewskiego, Antoniego Mikołajewskiego, Ludwika Derkowskiego, Teofila Knasińskiego i Stanisława Maternowskiego. Arcybiskup bowiem nadesłał naszej parafji, dwa lata istniejącej, ani domu Sióstr ani kościoła jeszcze nie mającej, a obdłużonej, tej słabej i młodej parafji

arcybiskup nałożył podatek 1,425 dolarów na spłacenie długów Jozafatowa! Ponieważ pierwsza rata tej sumy miała być spłacona jeszcze przed 1 lipca, a nam na budowę domu Sióstr potrzeba było każdego centa, przed swoim wyjazdem do Europy przedłożyłem ten rachunek komitetowi parafjalnemu. Komitet zaś, nie chcąc bez woli i wiedzy parafjan płacić takiego rachunku, zwołał w niedzielę po moim wyjeździe mityng parafjalny, na którym uchwalono nie płacić tego rachunku nadesłanego przez arcybiskupa. Parafjanie mieli mówić:

— Co my będziemy cudze długi spłacać. Mamy dosyć swoich.

Po powrocie z Europy byłem wołany do kancelarji arcybiskupiej, żeby wytłumaczyć, dlaczego nasza parafja nie spłaciła długu Jozafatowa zwalonego na Wojciechowo. Dlatego — odpowiedziałem — że parafjanie nie chcą cudzych długów spłacać, gdyż mają dosyć swoich. Potem dlatego, że za dług na Jozafatowie głównie odpowiedzialni są Niemcy, mianowicie arcybiskup Katzer i wikarjusz generalny Zeininger. Nareszcie dlatego, że obecnie budujemy dom Sióstr i pustki są w kasie parafjalnej. Lud polski jest ogromnie oburzony. Lud jako lew się podnosi i na gwałt żąda biskupów polskich, którzyby lepiej od Niemców dozorowali gospodarkę zarządców parafij polskich i cmentarza polskiego, mianowicie przez zażądanie **publicznych sprawozdań,** bez których należyty dozór jest niemożliwy. — Przyjęto do wiadomości.

Co wówczas do najwyższego stopnia oburzało wszystkich, to owe przefrymarczenie publicznej własności Jozafatowa na prywatną własność OO. Franciszkanów. Obłudny krzyżak powiadał, że arcybiskup był zmuszony sprowadzić zakonników z obcej diecezji, bo w swojej diecezji nie mógł znaleść świeckich księży, którzyby Jozafatowo z toni długów wydobyli. Nie mógł znaleść. A czy próbował? Tak. Ale jak? Oto zarząd tej najtrudniejszej parafji oddał w ręce wikarych, którzy nigdy przedtem proboszczami nie byli, więc też nie mogli mieć żadnego doświadczenia w zarządzaniu parafji. Dlaczego proboszczowi z kilkoletnim doświadczeniem nie dał Jozafatowa, jak się każdy tego spodziewał, to tajemnica niemieckiego rządzenia Polakami. Dość, że kiedy ci niedoświadczeni księża diecezjalni nie zdołali sprostać zadaniu, jak to było do przewidzenia, arcybiskup stąd zawnioskował, że księży zdolnych do rządzenia Jozafatowem nie może znaleść w swojej diecezji, lecz musi ich szukać poza diecezją. Szukał i znalazł OO. Franciszkanów aż w Buffalo, N. Y. A tym zakonnikom dał teraz Jozafatowo już

nie jako **posadę** tylko, lecz jako **osadę** z całym majątkiem podarował im na wieczystą własność. Tak, że grunt i wszystkie zabudowania na Jozafatowie nie są już więcej publiczną własnością parafji ani diecezji, lecz są prywatną własnością OO. Franciszkanów. Bo — mówił — OO. Franciszkanie zgodzili się przyjąć ten podarunek **razem z długami**, to znaczy, że wraz z podarowanym im majątkiem wezmą i długi jego **na siebie**. Na to mieli się zgodzić **przed** objęciem Jozafatowa. Ale **po** objęciu Jozafatowa na swoją własność, całkiem inaczej zaśpiewali całej diecezji milwauckiej. Powiedzieli sprytnie:

— Majątek Jozafatowa jest teraz naszym, a nie diecezjalnym. Lecz dług Jozafatowa nie jest naszym, ale diecezjalnym, i diecezja musi go płacić, a nie my.

Był to frymark w całem tego słowa znaczeniu. Ale arcybiskup zgodził się i na ten frymark. Nałożył nadzwyczajny podatek na każdą parafję w swej diecezji, ściągał go bezlitośnie i w ten sposób zmusił całą **diecezję** do płacenia długów ciążących na **prywatnej** własności OO. Franciszkanów. Toć w ten sposób każdy nawet niedoświadczony świecki ksiądz diecezjalny byłby potrafił spłacić dług Jozafatowa. Na taki sposób płacenia długów nie potrzeba było księży zakonników z obcej diecezji zagarniających majątek parafjalny na swoją własność. Diecezja więc OO. Franciszkanom nie tylko podarowała cały majątek Jozafatowa, ale jeszcze parę set tysięcy dolarów zapłaciła im za to, że byli tak łaskawi przyjąć ten podarunek. Taka nierówna zamiana nazywa się frymarkiem, bo na takiej zamianie jedna strona traci. O takich frymarkach mówi nasze polskie przysłowie:

Pan Bóg wynalazł jarmarki,
A djabeł frymarki!

(Ze Słownika Lindego.)

Bo co było następstwem powyższego frymarku? Następstwem było to, że i długi ludziom spłacono także w sposób frymarczny. To jest przekleństwo złego czynu, że złe czyny ciągle płodzi. Spłacając długi Jozafatowa, ludziom nie tylko procentu od całego szeregu lat nie zapłacono, ale nawet od kapitału 25 procent odciągano. I jeszcze dziś na pytanie: czemu odstąpiłeś od Kościoła? Słyszy się taką odpowiedź:

Kościół okradł mojego ojca. Ojciec pożyczył na kościół św. Jozafata tysiąc dolarów, a odebrał tylko 750 dolarów i bez

procentu. Gdy ojciec zażądał całej sumy z procentem, powiedziano mu: Weź, co ci dajemy; bo jak tego nie weźmiesz, wszystko ci przepadnie.

Wobec tego czyż należy się dziwić, że lud polski miał dosyć aż po same gardło tego niemieckiego episkopatu czyli niemieckiego dozoru nad parafjami polskimi? Czyż należy się dziwić, że lud ten jako lew się podnosił i wołał głośno o własnych biskupów polskich? Bo nie na samem Jozafatowie tylko były nieporządki finansowe. W tym też lichym dozorze finansów parafjalnych, a nie w czem innem, szukać należy głównej przyczyny, dlaczego pomiędzy Jozafatowem a Cyrylowem kościół niezależny raz powstał a, spaliwszy się, jak Feniks z popiołów drugi raz powstał i nie spalił się już więcej.

8. Biskup Koudelka w Milwaukee. — Wrzenie rośnie. — Mam uspokoić umysły ludu. — Jedynie biskup polski uspokoi lud, odpowiadają księża polscy.

Nagle 4 września 1911 gruchnęła wieść, że biskupem auxiliarjuszem w Milwaukee został nie Polak, lecz pół Czech pół Niemiec ks. Koudelka z Cleveland, Ohio. To dolało oliwy do ognia. To oburzyło nietylko lud, ale i kler polski. Telefon w mojej plebanji dzwonił od rychłego rana aż do późnego wieczora. Reporterzy angielskich gazet dopytywali się, czy mianowanie ks. Koudelki biskupem jest podług życzeń naszych, bo myśleli, że to Polak. W Rzymie podobno też myśleli, że ks. Koudelka jest Polakiem. Tymczasem ks. Koudelka był gorliwym kapłanem, ale nie był Polakiem. Miał ojca Czecha i matkę Niemkę. Więc między Czechami uchodził za Czecha, a między Niemcami za Niemca, czego mu za złe brać nie można, bo był jednem i drugiem. Mówił też łamaną polszczyzną, że miluje Polaków. Reporterom tedy angielskim odpowiadałem, że zamianowanie pół Czecha pół Niemca biskupem w Milwaukee jest dodawaniem zniewagi do krzywdy naszej — is adding insult to injury. Polacy stoją twardo przy słowie papieskiem, że dostaną biskupów **polskich.** I dostaną ich. Bo słowo papieskie to nie wiatr.

Wtedy w nieobecności arcybiskupa Messmera, jego wikarjusz generalny, ks. Józef Rainer, napisał mi aż z Evanston, Illinois, następujący list, 26 września 1911:

„Wielebny, kochany Ojcze Kruszka! — Czytałem niedawno w „Excelsior" przedrukowane z „Herolda" oświadczenie, któreś

Ksiądz miał podać w sprawie polskiej, i muszę się przyznać, że ono mnie głęboko zasmuciło, gdyż muszę przewidywać, że ono zdolne jest już tak wzburzone umysły jeszcze bardziej wzburzyć na szkodę religji i prawdziwych interesów dobrego i wiernego katolickiego ludu. Zapewne jego rozumne życzenia powinny być w miarę możności uwzględnione; ale Ksiądz nie może się spodziewać, żeby Rzym dla wszystkich diecezyj, w których jest wielka liczba Polaków, ustanowił polskich biskupów. Dokąd by to zaprowadziło, gdyby w tych samych diecezjach Irlandczycy ajryskich, a Niemcy niemieckich biskupów zażądali? Możesz mi Ksiądz wierzyć, że ja polskiemu ludowi dobrze życzę i zawsze dobrze życzyłem, ale ze strachem patrzę w przyszłość, ilekroć pomyślę o następstwach tego ruchu. Że ja Księdzu dobrze życzę, może Ksiądz również wierzyć; tembardziej się obawiam o smutne następstwa Księdza postępowania. Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup wbrew swojej woli będzie zmuszony wkroczyć (wdepnąć, einzuschreiten). Co wtedy? Poddanie się władzy kościelnej albo — schyzma? To ostatnie byłoby straszliwem nieszczęściem o nieobliczalnie smutnych następstwach; tysiące dusz byłoby zagrożonych, a Ksiądz dowódcą? Smutny koniec takiego Kozłowskiego i Kamińskiego powinien być przestrogą dla Księdza. Ten list, choć zdala od seminarjum, tu w szpitalu czułem się zobowiązany napisać w interesie pokoju i jako odezwę do Księdza katolickiego serca. Ksiądz masz wielki wpływ na wielką część polskiego ludu. Jako stary przyjaciel i konfrater proszę Księdza usilnie tego wpływu użyć w przyszłości dla uciszenia i uspokojenia ludu, ażeby Polacy w Milwaukee nie dali smutnego przykładu buntu albo nawet odstępstwa, będąc przez tyle lat wzorem katolickiej wiary i gorliwości. Z pozdrowieniem przyjacielskim Twój dobrze Ci życzący J. Rainer, Wikarjusz Generalny".

Na to 28 września 1911 Msgrowi Rainerowi odpowiedziałem po angielsku tak: „Najprzewielebniejszemu Msgr. J. Rainer, W. G., w Evanston, Ill. Najprzewielebniejszy Monsignorze! Otrzymałem Wasz list z 26 września i odczytałem go uważnie. W odpowiedzi muszę zaznaczyć, że nie czytam „Herolda" ani „Excelsiora", a więc też nie wiem, co te gazety włożyły w moje usta. Również nie jestem odpowiedzialny za to, co gazety piszą, albo co one piszą, że ja powiedziałem, lecz tylko za to, co ja faktycznie powiedziałem. A o ile ja wiem, to dotychczas nie powiedziałem jeszcze nic takiego, co by można uważać jako dążność do oderwania ludu

polskiego od świętego Kościoła rzymsko-katolickiego. Przeciwnie, używałem swojego wpływu do osiągnięcia pewnych możliwych ustępstw i koniecznych reform w zarządzaniu parafij polskich, ażeby w ten sposób uspokoić lud polski, wzmocnić jego przywiązanie do Kościoła i nakłonić zbłąkanych do powrotu do Kościoła katolickiego. Wszelkie pogłoski przeciwne są fałszywe i wszelkie wrażenia przeciwne są błędne. Wy wiecie, i Ojciec święty wie, jakie są życzenia polskiego kleru i ludu. Te życzenia zostały wydrukowane w książeczce zatytułowanej: „Uprzejma Prośba o **Polskich** Biskupów“, którą przedłożyliśmy papieżowi i wam także posłaliśmy. Wtedy i tam na stronicy 24 wyraziliśmy nasze życzenia w takiej konkretnej formie: „Racz, Ojcze święty, dać nam polskich biskupów albo własnych albo pomocniczych w tych przynajmniej diecezjach: Chicago, Buffalo, Pittsburg, Scranton, Milwaukee, Green Bay, Detroit, Grand Rapids, Cleveland, St. Paul, Duluth, Hartford“. Na te życzenia nasze Ojciec święty mógł był odpowiedzieć „wy żądacie za wiele naraz“ albo „wy nie możecie dostać własnych biskupów, amerykańscy biskupi są temu przeciwni“, albo inaczej mógł był odpowiedzieć. Lecz faktycznie On odpowiedział bezwarunkowo tak: „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń“. Czekaliśmy cierpliwie siedm lat, pomimo to my wierzymy jeszcze w słowo papieża, my wierzymy, że słowo papieskie to słowo szlacheckie. To jest ta skała, na której my stoimy. Tak dalece, że kiedy niedawno na wieść o zamianowaniu biskupa Koudelki lud polski był wzburzony do najwyższego stopnia, wtedy dla uspokojenia go wystarczyło mu przypomnieć to słowo papieskie. Ani ja, ani wy nie możecie odmówić tego, co papież sam przyobiecał Polakom. I bądźcie pewni, że Polacy nie spoczną dopóki nie dostaną **polskich** biskupów. Promissum cadit in debitum, a fortiori promissum papale (przyrzeczenie jest zobowiązaniem się, tem bardziej przyrzeczenie papieskie). Dziękując Ci, Najprzewielebniejszy Monsignorze, za Twoją dobrą wolę dla mnie, i prosząc Boga, żeby Ci udzielił Swoich najwyborniejszych łask, prędkiego wyzdrowienia i długiego użytecznego życia, pozostaję Waszym sługą w Chr. X. Wacław Kruszka“.

Zamianowanie biskupa Koudelki auxiliarjuszem w Milwaukee uważając za policzek wymierzony sobie, podniósł się wówczas i kler polski, wysyłając 10 października 1911 taką odezwę do arcybiskupa Messmera:

„Najprzewielebniejszy Arcybiskupie! — My, niżej podpisani, uważamy za swój obowiązek powiedzieć Waszej Mości co następuje: Istnieje zjadliwe wzburzenie i złowrogi niepokój, który nic dobrego nie rokuje w bliskiej przyszłości Kościołowi katolickiemu między polskim ludem w archidiecezji milwauckiej. Nota bene, cały ruch, o ile nim kieruje „Kurjer Polski" i pokrewne mu gazety, zwłaszcza o ile dotyczy sekularyzacji majątków kościelnych, ma nasze bezwarunkowe potępienie. Ponieważ możemy słusznie wierzyć, że Wasza Mość niekiedy odczuwał potrzebę polskiego biskupa w archidiecezji milwauckiej; ponieważ ta krążąca pogłoska, jakoby kłótnie pomiędzy polskim klerem czyniły zamianowanie polskiego biskupa niemożliwem, jest plamą rzuconą na polski kler, gdyż niniejszem oświadczamy, że my zadowoleni będziemy z wywyższenia któregokolwiek księdza na to stanowisko; i ponieważ jesteśmy w sumieniu przekonani, że zamianowanie polskiego biskupa dla archidiecezji uspokoi obecne zgubne agitacje i zmierzy do przywrócenia normalnych warunków: przeto my, polscy księża tej archidiecezji, upraszamy Waszą Mość, dla dobra religji, pokornie lecz stanowczo, postarać się o zamianowanie polskiego biskupa. Tusząc sobie, że spełniliśmy nasz obowiązek podaniem tej wiadomości i prośby, uważamy sobie za zaszczyt, Najprzewielebniejszy Arcybiskupie, pozostać Twoimi pokornymi i posłusznymi synami w Chrystusie: J. Gulski, J. F. Szukalski, B. F. Celichowski, J. K. Bieniarz, J. Knitter, W. Mścisz, L. Jurasiński, B. E. Góral, W. Kruszka, J. Kałczyński, F. Czerwiński, A. Kierzek, R. Kiełpiński, F. Landowski, J. Chylewski, K. Olszewski, K. Zych, M. Domachowski, S. Studer, M. Lipiński, J. Platta, F. A. Góral, J. Zwadzich, J. Blechacz, F. Zynda".

Sekularyzacja majątków kościelnych, o ile taka rzeczywiście była proponowana przez gazety, była potępienia godną. Tylko że klerykalistom spodobało się nazwać „sekularyzacją" także żądanie publicznych sprawozdań, wyszczególniających zwłaszcza **pożyczkowe** dochody, albo branie trzyprocentowych pożyczek „na kościół" i pokryjome lokowanie ich w interesach świeckich na szósty procent. **Odsłonić przed światem prawdziwy** stan finansowy diecezji, parafji czy cmentarza, to u klerykalistów nazywa się także **sekularyzacją** majątków kościelnych!... Mimo ten zgrzyt klerykalizmu, kler jednak w sprawie biskupa polskiego zajął stanowisko jednolitego frontu. A taka pozycja złamie opozycję. I złamie ją nie-

tylko w Milwaukee, ale i w Chicago, St. Paul, Detroit, Buffalo i wszędzie indziej, gdzie kler tak stanie murem!

9. Oświadczyłem arcybiskupowi, że wolałbym trupem paść aniżeli widzieć słowo papieskie złamane. — Federacja wystąpiła nie przeciw ścisłej kontroli finansów i szkół przez biskupa, lecz przeciw brakowi tej kontroli.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Jak widzieliśmy, Wikarjusz Generalny Msgr. Rainer za moje oświadczenie, że papież Polakom przyrzekł biskupów polskich, w swoim liście zagroził mi i ostrzegł, że arcybiskup będzie zmuszony „einzuschreiten". Czy to miało znaczyć „wkroczyć czy wdepnąć, w każdym razie w dzień św. Ameryka 4 listopada 1911 uważałem za stosowne napisać arcybiskupowi Messmerowi list następujący:

„Najprzewielebniejszy Arcybiskupie! — W Waszej nieobecności Wasz Wikarjusz Generalny Przewielebny Monsignor J. Rainer w liście adresowanym do mnie pisał między innymi: „Ksiądz masz wielki wpływ na wielką część ludu polskiego. Jako stary przyjaciel i konfrater proszę Księdza użyć w przyszłości tego wpływu do uciszenia i uspokojenia ludu". Czyż tegom nie czynił w przeszłości? Zobaczmy! Starałem się o pokój, jeśli się starałem o sprawiedliwość. Bo Wy nie możecie czynić pokoju, jeśli nie czynicie sprawiedliwości. Sprawiedliwość jest podstawą rządów. Lecz ja właśnie o sprawiedliwość się starałem, a starałem się z powodzeniem. Dziesięć lat temu, kiedy to największy niepokój społeczny panował między polskimi katolikami w Stanach Zjednoczonych, kiedy to jeden kościół za drugim odpadał, stawając się „niezależnym": wtedy ja, ażeby wzmocnić lud polski w jego przywiązaniu do Stolicy Świętej, udałem się do Rzymu, by uzyskać sprawiedliwość dla niego, — tym ważnym krokiem nadając zarazem całemu polskiemu ruchowi religijnemu jego właściwy kierunek **do Rzymu.** Pamiętajcie, że wy nie możecie **powstrzymać** szeroko rozkołysanego ruchu ludu, podobnie jak nie możecie powstrzymać płynącej rzeki; wszystko co możecie uczynić to **nadać mu jego właściwy kierunek.** I dzięki Bogu, moja misja do Rzymu uwieńczoną została powodzeniem. Otrzymałem zapewnienie z własnych ust papieża Piusa X samego, że, i to czemprędzej, sprawiedliwość stanie się polskim katolikom w Stanach Zjednoczonych, że polscy biskupi albo właśni albo pomocniczy dani im będą w 12 diecezjach podług ich

życzeń. Otrzymawszy to przyrzeczenie od papieża, uzyskałem najlepsze zabezpieczenie pokoju, tak dalece, że kiedy niedawno Polacy byli oburzeni w najwyższym stopniu, wtedy dla ich uspokojenia wystarczyło im przypomnieć to przyrzeczenie papieża. Naturalnie, tylko Boża cierpliwość jest nieskończoną; lecz ludzka cierpliwość ma granice. Więc niektórzy podnoszą takie pytanie: „**Jeżeli** papież czemprędzej nie wypełni swego przyrzeczenia, co wtedy?“ Lecz po co to „jeżeli“? Takie przypuszczenie jest całkiem niedorzeczne. Przyrzeczenie jest zobowiązaniem się, tem bardziej przyrzeczenie papieskie. Jako katolicy my wierzymy mocno, że słowo papieskie jest słowem szlacheckiem, i ja nie waham się powiedzieć, że **wołałbym umrzeć albo być usuniętym raczej aniżeli widzieć obconarodowego biskupa wchodzącego urzędowo do mojego kościoła,** to znaczy, widzieć słowo papieża złamane, zwłaszcza, że papież dał swoje słowo nie mnie osobiście lecz mnie jako delegatowi polskich katolików w Stanach Zjednoczonych. Biada tym, którzy sprzeciwiają się wypełnieniu tego słowa papieskiego tak jak sprzeciwiają się wykonaniu dekretu o wczesnej pierwszej Komunji i innych dekretów. Ci, którzy uciskają, są winni nietylko tej krzywdy, jaką wyrządzają, lecz także tego zła, do którego nakłaniają serca uciśnionych. Oto taki jest prawdziwy kierunek, jaki nadałem świeżo zorganizowanemu ruchowi ludu polskiego. Wszelkie pogłoski przeciwne są fałszywe i wszelkie wrażenia przeciwne są błędne. Nie mogę rozumieć, jak Wasz Wikarjusz Generalny w liście do mnie mógł skierować te słowa:

„Obawiam się o smutne następstwa Księdza postępowania. Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup wbrew swojej woli będzie zmuszony wkroczyć. Co wtedy? Poddanie się władzy kościelnej albo — schyzma? To ostatnie byłoby straszliwem nieszczęściem o nieobliczalnie smutnych następstwach; tysiące dusz byłoby zagrożonych, a Ksiądz dowódcą? Smutny koniec takiego Kozłowskiego i Kamińskiego powinien być przestrogą dla Księdza“.

Takie insynuacje, a szczególnie te aluzje do biskupów niezależnych, są swawolną obelgą dla mnie. Rozgoryczenie, jakie u Polaków istnieje przeciw Waszej Mości, jest po części dlatego, że wszyscy myślą, iż Wy udaremniacie lub odwlekacie urzeczywistnienie obietnicy papieskiej; i poczęści dlatego, że pozwoliliście księdzu B. E. Góralowi publicznie popisywać się swoją zazdrością i nienawiścią ku mnie. Z zazdrości ks. B. E. Góral publicznie w gazecie swej poniża i unicestwia moją misję do Rzymu, pisząc, że

papież nietylko mi nie dał słowa żadnego, ale nawet posłuchania mi nie dał; i darzy mnie w „Nowinach" takimi epitetami jak kłamca, ateista, heretyk, schyzmatyk. Otóż lud, czytając to, tak rozumuje: Ks. Kruszka albo jest tak złym człowiekiem jak go „Nowiny" malują, albo nie jest. Jeśli jest, to dlaczego Arcybiskup trzyma go na probostwie? A jeśli nie jest, to dlaczego Arcybiskup pozwala „Nowinom" drukować takie straszne kłamstwa o proboszczu i całej jego parafji? Z mojej strony uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, aby mieć pokój z ks. B. E. Góralem. Jak Waszej Mości wiadomo, wycofałem skargę przeciw ks. B. E. Góralowi u Delegata Apostolskiego; ale on dalej mnie w „Nowinach" atakował i atakuje do dziśdnia. Objąwszy probostwo w Milwaukee, osobiście złożyłem wizytę ks. B. E. Góralowi w jego plebanji; ale on mi nie złożył rewizyty. Zaprosiłem go do siebie z okazji Bierzmowania, jakiego w moim kościele udzielał biskup Rhode; ale on nie raczył mi nawet słówkiem dać odpowiedzi. Podawałem mu rękę, ilekroć go spotykałem; ale on publicznie i ostentacyjnie wobec wszystkich nie chciał się ze mną witać. A chociaż go zapraszałem kilka razy, on nigdy mnie nie zapraszał; ba, kiedy jeszcze w Seminarjum był profesorem, nie pozwolił nawet alumnom zaprosić mnie na przedstawienie dane przez Towarzystwo św. Stanisława Kostki; i z jego przyczyny nie zostałem zaproszony ani zeszłego ani tego roku ku niemałemu zgorszeniu alumnów. Takie postępowanie ks. B. E. Górala wobec ludu nie szkodzi tyle mnie, ile jemu i Waszej Mości, o ile że lud myśli, iż cokolwiek ks. B. E. Góral czyni lub pisze, to czyni lub pisze conajmniej za milczącem jeśli nie za wyraźnem pozwoleniem Waszej Mości. Z winnym szacunkiem Waszej Mości sługa w Chrystusie X. Wacław Kruszka".

W roku 1911 budowa domu Sióstr kosztowała nas 6,400 dolarów a bruk 14 avenue 1,077 dolarów. Zatem dług parafjalny nie zmniejszył się tego roku, lecz powiększył się o 760 dolarów. Sprawozdania z finansowego zarządu parafji strzegłem i strzegę zawsze pilnie jak źrenicy oka w głowie. Pieniądz nie jest wprawdzie duszą parafji, ale jest nerwem parafji. Skąd pochodzą nieporozumienia w parafji? Z mylnego rozumienia rzeczy! Mianowicie stąd, że przez komitet parafjalny niektórzy mylnie rozumieją tylko sekretarza, skarbnika i radnych, a proboszcza do komitetu nie zaliczają, raczej nieraz proboszczowie sami mylnem rozumowaniem do komitetu się nie zaliczają. To kardynalny błąd. W skład komitetu pa-

rafjalnego wchodzi i proboszcz i biskup, którego proboszcz jest tylko zastępcą. Proboszcz ma dopilnować sekretarza i skarbnika, by przez publiczne sprawozdanie odsłonili przed całą parafją wszystkie dochody i rozchody nie ogólnikowo ale szczegółowo. Przed całą parafją, mówię. Bo jeśli odsłaniają je tylko przed proboszczem, względnie biskupem, a ukrywają je przed publicznością, to wystawiają tylko, prywatne sprawozdanie, a nie publiczne. A takie prywatne sprawozdanie, bojące się światła dziennego, jest niewystarczające, jest często złudne i zgubne. Dlatego proboszcz wraz z sekretarzem, skarbnikiem i radnymi obowiązany jest wystawić **publiczne sprawozdanie,** wyszczególniające także pożyczkowe dochody. Jeśli biskup nie dba o takie publiczne sprawozdanie, to **główna** wina za nieporządki finansowe stąd wynikające spada na niego jako na **głowę** komitetu parafjalnego.

Ale choć biskup nie dbał, to parafjanie dbali o to, bo to ich pieniądze pożyczone na kościół przepadały. Biskup, nie dbając o to, temsamem wypuścił lejce rządów finansowych ze swoich rąk. Upuszczone lejce naturalnie parafjanie czemprędzej podnieśli i wzięli w swoje ręce, chcąc sami rządzić finansami parafji. Oto geneza tak zwanego „samorządu finansowego", jakiego Federaci w parafjach głośno się dopominali. Czy im się dziwić, albo ich wyklinać dla tego? Ani im się dziwić ani ich wyklinać nie trzeba było. Trzeba było zaprowadzić ścisłą kontrolę finansów parafjalnych, a byliby się uspokoili. Federaci wystąpili nie przeciw kontroli finansów przez biskupa, lecz przeciw brakowi tejże kontroli albo przeciw luźnej kontroli. A bez publicznego sprawozdania kontrola jest zawsze luźną. Ścisła kontrola jest tylko wtedy, kiedy dokładny stan finansowy parafji odsłoni się nietylko przed biskupem ale i przed publicznością. Wtedy, i wtedy jedynie, można wykonać to prawo kościelne, które opiewa: „Nie wolno księdzu przyjmować pieniędzy na procent, nawet pod pretekstem użycia ich na cele kościoła lub dobre uczynki, bez piśmiennego pozwolenia biskupa". (Akta i Dekreta Trzeciego Koncyljum Baltimorskiego, część X, rozdział III, paragraf 5.)

Tak samo Federaci wystąpili nie przeciw kontroli szkół przez duchowieństwo wyższe i niższe, lecz raczej przeciwko brakowi ścisłej kontroli. Prawo kościelne przepisuje, że: „Biskup zamianować ma Radę Szkolną w głównych miastach i po miasteczkach diecezji swej. Obowiązkiem jej będzie wizytować i egzaminować raz lub dwa razy do roku szkoły parafjalne i składać raport o ich

stanie". (Trzecie Koncyljum Baltimorskie, część VI, rozdział I, paragraf 2.) Oczywiście dla polskich szkół potrzebna jest polska Rada Szkolna. A czy ją miały szkoły nasze? Czy ją mają dzisiaj? Jeszcze dziś parafjanie polscy głęboko odczuwają brak takiej Rady Szkolnej, chociaż przestali o nią głośno się upominać. A przestali o nią głośno się upminać, bo kiedy się upominali, to ich za to wyklęto. Daremnie dziś po gazetach nawet księża rozpisują się o potrzebie „Polskiej Komisji Edukacyjnej", chcąc ogół tą sprawą zainteresować. Ogół, rażony i przerażony klątwą, popadł w stan martwoty i zobojętnienia. Natomiast w samem Milwaukee dziś przeszło siedm tysięcy dzieci polskich uczęszcza do szkół publicznych.

10. Dlaczego klerykaliści pokryjomu oskarżali Federację u biskupów. — Ogólnikowy wykaz długu nie jest wiarygodnem sprawozdaniem.

Federacja Świeckich Polaków Katolików w Ameryce, rozgałęziająca się coraz bardziej nietylko po parafjach, ale i po różnych diecezjach, miała te trzy jasno wytknięte cele: uzyskanie biskupów polskich, roztoczenie ścisłej kontroli nad finansami i szkołami parafjalnymi. Do tych celów Federacja dążyła jawnie i otwarcie drogą prawa kościelnego. Żeby z tej drogi nie zboczyć, postarała się dla swoich członków o polskie wydanie „Aktów i Dekretów Trzeciego Koncyljum Baltimorskiego", drukowane tegoż roku 1911.

Lecz wrogowie Federacji, przeciwnie, działali potajemnie i nieprawnie. Wrogowie Federacji byli to wrogowie publicznych sprawozdań z finansowego zarządu parafji lub cmentarza, wrogowie publicznego wyszczególnienia dochodów pożyczkowych. Ci wrogowie, bojący się światła, zupełnie pokryjomu i fałszywie oskarżyli Federację przed biskupami o te trzy niecne zamiary: o chęć założenia narodowego kościoła, o sekularyzację majątków kościelnych i sekularyzację szkół parafjalnych. Śmieszne to były i bezpodstawne zarzuty, z których Federacja łatwo oczyścić się mogła. Ale właśnie dlatego wrogowie oskarżyli ją **pokryjomu**, a biskupi również pokryjomu zaocznym sądem skazali ją na śmierć, nie wezwawszy jej wcale na przesłuchy. Widocznie bali się, żeby Federacja się nie obroniła. Zarzucić Federacji chęć założenia narodowego kościoła mógł tylko nieuczciwy klerykalista. Bo oto np. odezwa Federacji w chicagoskim „Dzienniku Narodowym" z 23 września 1911: „Zawezwać także parafje „niezależne" czyli „narodo-

we" do współudziału w Konwencji Generalnej Federacji. Jednakże z tem zastrzeżeniem, że delegaci tychże „niezależnych" czy „narodowych" parafij będą mieli piśmienne zaręczenia od tychże „niezależnych" czy „narodowych" parafij, że: gdy Polacy w Ameryce dostaną własnych polskich biskupów i finansowy samorząd parafjalny, natenczas te „niezależne" czy „narodowe" parafje poddadzą się władzy wyłącznie polskich rzymsko-katolickich biskupów".

Klerykaliści chyba w powyższej odezwie upatrzyli chęć założenia narodowego kościoła!?

Federatów było wówczas pełno, bo każdy niemal parafjanin był Federatą. Nieparafjanin nie mógł być Federatą. Ale nigdy nie spotkałem takiego Federatę, któryby chciał sekularyzować szkołę parafjalną, to znaczy, któryby występował przeciwko temu, że ksiądz uczy religji i ma ścisły dozór nad całą nauką w szkole. Owszem, tego on chciał i oczekiwał od księdza i od biskupa. Prawda, że Federata czyli świecki Polak katolik uważał to sobie za święte prawo wystąpić przeciw nauce religji w języku angielskim, jeśli gdzie jakiś ksiądz z bojaźni lub pochlebstwa ulegał w tem biskupowi. Ale takie wystąpienie świeckiego nie jest zeświecczeniem czyli sekularyzowaniem szkoły.

Tak samo nigdy nie spotkałem takiego Federatę, któryby chciał sekularyzować majątki kościelne czyli przemienić je na świeckie, któryby nie chciał, żeby biskup miał ścisły dozór nad dochodami i rozchodami parafjalnymi. Owszem, każdy świecki Polak katolik chciał i oczekiwał tego od biskupa, żeby biskup jak najpilniej czuwał nad tem, by pieniądz dany czy pożyczony na kościół był rzeczywiście użyty na kościół, a nie na interesa świeckie. Prawda, że Federata domagał się biskupów polskich **z władzą dla Polaków,** bo tylko przez uzyskanie takich biskupów te miljonowe polskie majątki kościelne mogły z rąk obcych przejść w ręce polskie. Ale taki polski samorząd finansowy nie jest przecie sekularyzacją majątków kościelnych.

A jednak Federację oskarżano o **sekularyzację.** Dlaczego? Dlatego, że żądała, by **odsłonić przed światem** prawdziwy stan finansowy cmentarza, parafji i diecezji przez publiczne sprawozdanie, wyszczególniające zwłaszcza dochody pożyczkowe. Takie żądanie w oczach klerykalistów było bezczelnem. Toćby ich sprawki i obroty finansowe wyszły na jaw już za ich życia! Toćby każdy się dowiedział, że naprzykład pieniądze pożyczone na kościół nie poszły na kościół, lecz na inne interesa, z których oni pobierają

dywidendy. Stąd cała złość na Federację! Żeby Federacja tego nie żądała, nie byłaby potępioną. A co za rezultat? Oto ludzie, rażeni i przerażeni klątwą, popadli w stan odrętwienia, znieczulenia i zobojętnienia na finansowe potrzeby Kościoła. Ludzie nie przynoszą więcej na kościół nawet wtedy, kiedy im się wyższy procent ofiaruje.

Przez 27 lat mego proboszczowania w Ripon i Milwaukee zawsze ściśle kontrolowałem świeckich urzędników parafjalnych, sekretarza i skarbnika, w ich finansowej działalności. A nigdy nie zauważyłem, żeby albo oni, albo inni parafjanie mieli coś przeciwko temu, że proboszcz pilnie wgląda w ich książki rachunkowe, pilnie śledzi każdy dochód i rozchód parafjalny. Owszem, tak oni urzędnicy jak i inni parafjanie zawsze chcieli i oczekiwali tego od proboszcza, bo wiedzieli, że prawo kościelne mu tak przepisuje: „Księża mają o tem pamiętać, że będą musieli zdać rachunek przed Bogiem nietylko z duchownego lecz i z finansowego zarządu swoich parafij. Dlatego prócz księgi „Spisu dusz w parafji", proboszczowie mają mieć **księgę rachunkową,** w której stan czynny (majątek) i stan bierny (długi), dochody i rozchody parafji mają być staranne zapisywane". (Dekreta Trzeciego Koncyljum Baltimorskiego, część X, rozdział III, paragraf 1.)

Szkolne od dzieci co miesiąc sam odbieram. Nie wypada bowiem, i prawo kościelne też zakazuje, żeby Siostry nauczycielki odbierały szkolne. Odbierając szkolne, zapisuję najpierw dziecku do świadectwa sumę, jaką zapłaciło, a potem przypisuję ją ojcu dziecka do rocznego sprawozdania publicznego. Przytem mam dobrą sposobność przeglądnąć miesięczne świadectwa i widzieć, jak i czy dzieci postępują w nauce. Zebrane i zliczone pieniądze szkolne odbierają Siostry i oddają je również sekretarzowi parafjalnemu. Ławkowe, należytość (przynależność do parafji) i inne ofiary i pożyczki na kościół odbiera sekretarz parafjalny. Sekretarz, po szczegółowem zapisaniu co kto dał lub pożyczył, oddaje wszelkie pieniądze skarbnikowi parafjalnemu, który je składa do banku. Skarbnik sam nie może ani centa ze skarbu parafjalnego wydać. Dopiero po odebraniu piśmienego upoważnienia od sekretarza i proboszcza płaci wszelkie wydatki czekami, osobno dla parafji drukowanymi.

Księga rachunkowa sekretarza musi zawsze co do centa zgadzać się z księgą rachunkową skarbnika czyli z kasą. Jeśli się nie zgadzają, to jakiś błąd się zakradł. Błąd taki łatwo wynaleść, jeśli

go się poszuka zaraz tego samego dnia, którego się popełniło. Po upływie kilku miesięcy, albo przy końcu roku, bardzo trudno odnaleść błąd, gdzie i w jaki sposób się zakradł. Dlatego zawsze nalegałem i nalegam na sekretarza i skarbnika, żeby co tydzień **zaraz** tego samego dnia, w którym odebrali i wydali pieniądze, **porównali** swoje rachunki, czy się co do centa zgadzają, zanim zamkną książki. W ten sposób unikają kłopotów przy końcu roku. Rachunkową księgę urzędników parafjalnych zaraz po skończonem posiedzeniu, co tydzień, biorę do plebanji, przeliczam ich dochody i rozchody i podkreślam omyłki, jeśli zajdą. Wypisuję sobie najpierw w jednej księdze, co każdy dał lub pożyczył z osobna, a potem w drugiej księdze, ile razem przyszło ławkowego, należytości, ofiar lub pożyczek, a ile wyszło na pensje, na procenty, na gaz, na węgle itd. Tak co tydzień. Co miesiąc i co kwartał znowu zestawiam poszczególne dochody i rozchody. W ten sposób nietylko przy końcu roku, ale i co kwartał, co miesiąc i co tydzień mam tak szczegółowy jak i ogólny wykaz dochodów i rozchodów zawsze gotowy do druku czyli do opublikowania.

Moje sprawozdanie z finansowego zarządu parafji, co rok publikowane, zawiera: I. Wykaz Dochodu i Rozchodu, oraz Statystykę, II. Wykaz Majątku i Długu. Najpierw idzie szczegółowy czyli imienny wykaz dochodu, który wyszczególnia, ile każdy parafjanin z osobna zapłacił należytości, ile ławkowego, ile ofiary miesięcznej czy rocznej podczas kolekty po domach, i nareszcie ile szkolnego. Po szczegółowym następuje ogólny wykaz dochodu, to jest, ile wszyscy parafjanie razem w ciągu roku zapłacili należytości, ile ławkowego, ile ofiary, ile szkolnego, ile niedzielnej kolekty, ile za książki szkolne, ile pożyczek. Potem wykaz rozchodów wyszczególnia, ile wyszło na Ojca św., ile na biskupa, ile na proboszcza i asystentów, ile na Siostry nauczycielki, ile na urzędników parafjalnych, ile na kolektorów, ile na organistę, ile na kościelnego i palacza, ile na procent, ile na wodę, ile na węgiel, ile na gaz, ile na elektryczność, ile na świece, ile na rzeczy do kościoła i szkoły, ile na rzeczy do plebanji, ile na rzeczy do domu Sióstr, ile na książki szkolne, ile na druki, ile na zabezpieczenie, ile na ulepszenie, a ile na naprawy, i wreszcie ile pożyczek spłacono. Dalej Statystyka wykazuje finansowy i społeczny **rozwój** parafji w cyfrach, od początku aż do obecnego roku. Podaje więc w poglądowem zestawieniu, ile każdego roku parafja miała majątku, ile długu, a ile czystej własności; ile każdego roku wpła-

cono należytości, a ile ławkowego; ile w każdym roku było chrztów, ile ślubów, ile pogrzebów; ile w każdym roku było dzieci w szkole, ile szkolnego zapłacono, ile Sióstr nauczycielek; ile osób przystąpiło do pierwszej Komuniji, a ile do bierzmowania; ile towarzystw powstało w łonie parafji; ile księży i ile Mszy w niedziele. Z początku były dwie Msze, potem trzy, następnie cztery i sześć, aż nareszcie ośm. W niedziele i święta obowiązkowe Msze są co godzinę o 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11 i 12, na każdej kazanie, po południu o 2 chrzty, o 2:30 nauka, o 3 nieszpory. Następnie w Wykazie Majątku i Długu przedstawiony jest **obecny stan** parafji. Wykaz Majątku i Długu czyli tak zwany Inwentarz wyszczególnia najpierw majątek nieruchomy, ile grunt kosztował, ile kościół i szkoła, ile plebanja, ile dom Sióstr, ile dzwonnica, ile i jakie ulepszenia każdego roku poczyniono. Potem majątek ruchomy: wszystkie ruchomości w kościele, szkole, plebanji, domu Sióstr i dzwonnicy są wyliczone i ile każda kosztowała. Wreszcie Wykaz Długu pokazuje cały dług zastawniczy i niezastawniczy, jak duży i u kogo zaciągnięty. Jeśli wierzyciel nie życzy sobie, żeby jego imię i nazwisko było ogłoszone, to przynajmniej numer jego notu musi być wymieniony w Sprawozdaniu. Długi parafjalne powinny być wyszczególnione. Ogólnikowy wykaz długu nie jest wiary godnem sprawozdaniem.

11. Gazety tak świeckie jak i księże za dolary ogłaszały zakazane tańce i Plan Wieków. — Biskup gani przedewszystkiem świeckie gazety.

Owego czasu redaktorzy księżych gazet nazywali redaktorów świeckich gazet żółtakami, a ci tamtych znowu klerykałami. Od redaktorów świeckiej gazety nie można żądać wyższej etyki dziennikarskiej niż od redaktorów księżej gazety. Redaktorzy „Kurjera Polskiego“ i „Dziennika Narodowego“ atakowali niemiłych sobie księży, ale redaktorzy księżych „Nowin“ i księżego „Dziennika Chicagoskiego“ także napadali niemiłych sobie księży. Nietylko „Nowiny“ ale i „Dziennik Chicagoski“ umieszczał na mnie korespondencje oszczercze i pełne najobrzydliwszych insynuacyj. W jednej nazwał mnie „mordercą dusz“. I za co? Za to, że byłem bratem Michała, wydawcy „Kurjera“. Wyraźnie tak mi listownie odpowiedział p. Stanisław Szwajkart, redaktor „Dziennika Chicagoskiego“ 3 stycznia 1911: „Umieściłem w „Dzienniku“ korespondencję, napisaną przez pewnego księdza, który przypuściwszy, że

pewne artykuły gorszące w „Kurjerze Polskim“ **nie mogły być umieszczone bez wiedzy brata** wydawcy owego pisma, wyraził się tak (że jestem mordercą dusz). Więc artykuły, pisane przez mojego brata, nie mogły być bez mojej wiedzy pisane!

A jednak te księże „Nowiny“ i ten księży „Dziennik Chicagoski“, same będąc księżożercami (sacerdos sacerdoti lupissimus), zarzucały „Kurjerowi“ i „Narodowemu“ księżożerstwo. Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smolił. „Kurjer“ i „Narodowy“ ogłaszały maskowe bale i zakazane tańce sobotnie i niedzielne, ale księże gazety za pieniądze umieszczały takie same ogłoszenia. Ba, „Dziennik Chicagoski“ za pieniądze ogłaszał nawet bezwstydny taniec Salomy Herodjady z nieprzyzwoitą ryciną. „**Wkręciła się** ta rycina“ — pisał mi wówczas p. Szwajkart. Zgoda. Ale czy i to, jak wół duże ogłoszenie „wkręciło się“? Mianowicie: W jesieni roku 1911 tak zwani „Badacze Pisma świętego“ dali gazetom wielkie i kosztowne ogłoszenie, obejmujące całą stronicę gazety, pod tytułem „Plan Wieków“. Ogłoszenie to zniesławiało Matkę Bożą, poniżało papieża, kwestjonowało istnienie piekła i czyśca, i atakowało wogóle najdroższe prawdy wiary świętej. Kiedy w „Kurjerze“ i „Narodowym“ wyczytałem takie płatne ogłoszenie, oburzyłem się na brata i zgromiłem go. Lecz brat mi spokojnie odpowiedział:

— To byznes. Jeśli księżym gazetom wolno takie ogłoszenie umieszczać, to dlaczego naszym świeckim gazetom nie miałoby być wolno.

— A które to księże gazety umieściły owe bluźniercze ogłoszenie?

— „Nowiny“ i „Dziennik Chicagoski“.

Wtedy miałem dosyć tego nowiniarsko-zmartwychwstańczego katolicyzmu. Dla marnego grosza, nie przypadkowo, lecz stale przez lata całe ogłaszały te księże gazety zakazane tańce sobotnie i niedzielne. Dla marnego grosza ogłosił „Dziennik Chicagoski“ taniec Salomy z bezwstydną ryciną. Ku wymawianiu wymówek w grzechach napisał mi wtedy p. Szwajkart, że „wkręciła się wprawdzie do naszego pisma rycina niefortunnie niewyraźna, której pomieszczenie po niewczasie nam wszystkim było nieprzyjemne: stało się to jednak rzeczywiście niemal przypadkowo“. Niemal przypadkowo — a więc niezupełnie przypadkowo. A choćby i zupełnie przypadkowo się wkręciła, czyż brak czujności nie jest także grzechem? A oto teraz już nie drobne, ale jak wielbłąd duże ogło-

szenie „Planu Wieków“ dla marnego grosza, danego przez „Badaczy Pisma św.“, pomieściły te księże gazety! Bo łatwiej przypuścić, że wielbłąd może przejść przez ucho igielne, aniżeli przypuścić, że tak wielkie ogłoszenie „Planu Wieków“ mogło znowu „przypadkowo się wkręcić“ do tych księżych gazet. A jednak redaktorzy tych księżych gazet uważali się zawsze za lepszych katolików od redaktorów świeckich gazet, których ciągle z pogardą nazywali „żółtakami“. Pewnie, że ogłoszenia „Planu Wieków“ były nagany godne zarówno w świeckich jak i księżych gazetach.

Ale, jeśli chodziło o to, w której prasie, czy świeckiej czy księżej, należało je zganić **przedewszystkiem**: to nie ulegało wątpliwości, że należało je zganić przedewszystkiem w księżej prasie czyli w tej prasie, która chce przodować innym gazetom, jako wzór katolicyzmu. I to publicznie, gdyż zgorszenie było publiczne. Ganić przedewszystkiem prasę świecką, było śmiesznem i daremnem.

Otóż 5 listopada 1911 w kościele św. Jacka w Avondale biskup Rhode całkiem słusznie wystąpił przeciw złej prasie, że „za dolary protestanckie zniesławia Matkę Bożą, za dolary drwi z Ojca św., za dolary zakazuje Wam się modlić za umarłych“, słowem, że pomieszcza płatne ogłoszenia bluźnierczej książki p. t. „Plan Wieków“. Lecz nieszczęście chciało, że redaktorów owej złej prasy biskup Rhode w owej przemowie nazwał „ludźmi niepewnego pochodzenia“, jak zaznaczył reporter księżego „Dziennika Chicagoskiego“. Ten osobisty przytyk sprawił, że redaktorzy świeckiego „Dziennika Narodowego“ publicznej nagany biskupa nie brali do siebie, lecz odnieśli ją do redaktorów księżego „Dziennika Chicagoskiego“. Bo — mówili — w naszej redakcji niema ludzi niepewnego pochodzenia. Każdy z redaktorów „Dziennika Narodowego“ może metryką wykazać swoje pochodzenie zupełnie pewne, czego w księżym obozie niejeden nie potrafi wykazać metryką. Otóż wtedy biskup Rhode w księżym „Dzienniku Chicagoskim“ umieścił „Do Polaków Katolików Oświadczenie“, w którym oświadczył, że w przemówieniu tem 5 listopada miał na myśli **przedewszystkiem** świecki „Dziennik Narodowy“ i że „z całą powagą stanowiska swego piętnuje „Dziennik Narodowy“ dla bluźnierstw i wybryków jego jako pismo wysoce szkodliwe dla nas Polaków i katolików“.

To „Oświadczenie“, ma się rozumieć, księży „Dziennik Chicagoski“ umieścił wielkimi literami na pierwszej stronicy w ozdob-

nych ramach. A w uwagach redakcyjnych wyzywał redaktorów „Dziennika Narodowego“ od żółtaków, bluźnierców, niedowiarków i różne potwarze rzucali na nich z piekielną iście radością. Ale od tych potwarzy daleko obrzydliwszem było pochlebstwo, jakiem teraz zaczął biskupowi Rhodemu pochlebiać za to, że tenże dał „Dziennikowi Narodowemu“ zasłużone baty. W obłudnem pochlebstwie nazywał odtąd biskupa Rhodego „arcypasterzem“, obdarzonym „**najwyższą władzą w sprawach Kościoła**“, choć bardzo dobrze wiedział, że biskup Rhode był tylko auxiliarjuszem bez władzy. Takie pochlebstwo było obrzydliwszem od potwarzy. Bo w potwarzy — jak powiedział biskup Krasiński — dla dobrego jest zawdy nauka. Lecz pochlebstwo złych zatwardzi w złem, a dobrych oszuka. Pochlebstwem „Dziennik Chicagoski“ tylko na pozór bronił biskupa Rhodego, a w rzeczywistości poniżał go w oczach ogółu. Złem złego się nie naprawia. Pochlebstwo jest złem większem niż potwarz. Pochlebstwem więc niczyjego honoru się nie uratuje.

Wyciąłem tedy odnośne uwagi redakcyjne „Dziennika Chicagoskiego“ i redaktorom jego posłałem ten wycinek wraz z następującym dopiskiem:

„Szanowny Redaktorze „Dziennika Chicagoskiego“! — Ten cały stek wyzwisk — to broń arcykatolicka! Odpowiedz Pan na główny zarzut: Czy „Dziennik Chicagoski“ umieszczał ogłoszenie 1) przeciw wierze — książki p. t. „Plan Wieków“? i 2) przeciw moralności -- bezwstydnego „Tańca Salomy“? Jeżeli nie ogłaszał, to wtedy oburzenie „Dziennika Chicagoskiego“ na „Dziennik Narodowy“ jest usprawiedliwione. Ale jeżeli ogłaszał, to „Dziennik Chicagoski“ powinien poprosić najprzewiel. ks. biskupa Rhodego o takie same baty, jakie się dostały „Dziennikowi Narodowemu“. Gdy i „Dziennik Chicagoski“ dostanie publicznie te zasłużone baty — wtedy jedynie i sprawiedliwości stanie się zadość i honor biskupi będzie uratowany. Inaczej ani święty Boże nie pomoże. Sprawiedliwość jest podwaliną społeczeństwa. Z szacunkiem sługa w Chr.

X. Wacław Kruszka“.

Ten mój dopisek spodobało się redaktorom umieścić w „Dzienniku Chicagoskim“ na naczelnem miejscu i dodać do niego aż dwuszpaltowy komentarz. Atoli w tym długim komentarzu na moje główne pytanie dali tylko wymijającą odpowiedź, wykręcając się

sianem. Natomiast z powyższego dopisku mojego wyciągnęli ten wniosek, że ja „solidaryzuje się ze „żółtą prasą“, czyli, że ja staję po stronie „Narodówki“ i „Kurjera“. Jaką logiką? Tą samą faryzejską logiką, jaką Chrystus Pan stanął po stronie grzesznicy złapanej na cudzołóstwie. Ja nie stawałem ani po stronie świeckich, ani po stronie księżych gazet, ale przed nimi. Jeżeli chcemy zacząć reformę gazet, to musimy ją zacząć od księżych gazet. Bo zły przykład idzie z góry, od księżych gazet. I daremnie chcemy i usiłujemy reformować świeckie gazety, nie zreformowawszy wpierw księżych. Takie było moje stanowisko i takie jest jeszcze dzisiaj. Ale „Dziennik Chicagoski“, pomimo że już zawyrokował, iż ja zająłem stanowisko po stronie „Narodówki“ i „Kurjera“, jeszcze jednak postawił mi to faryzejskie pytanie: „Niechaj ks. Kruszka nam wszystkim raczy jasno i otwarcie powiedzieć, gdzie sam stoi ze zdaniem swem i po której oświadcza się stronie, czy po stronie biskupa Rhodego, czy po stronie żółtej prasy?“

Na to pytanie, publicznie mi postawione 17 listopada 1911, zaraz 18 listopada 1911 posłałem „Dziennikowi Chicagoskiemu“ taką jasną, otwartą i stanowczą odpowiedź:

„Do „Dziennika Chicagoskiego“. Szanowna Redakcjo! To wasze zapytanie, po czyjej stronie jestem, mimowoli i odrazu przypomniało mi owo faryzeuszowskie: „Ty tedy co mówisz?“ Czy staniesz po stronie Mojżesza i zakonu, czy też po stronie tej jawnogrzesznicy?“ A to mówili, kusząc go, aby go oskarżyć mogli“. (Jan 8, 5.)

Czy ja stoję po stronie biskupa i zakonu Zmartwychwstańców, czy też po stronie tej jawnogrzesznicy „Narodówki“? Moja odpowiedź na to pytanie „Dziennika Chicagoskiego“ jest jasno, wyraźnie i stanowczo taką, a nie inną:

Kto z was bez grzechu jest, ten na „Narodówkę“ niech pierwszy rzuci kamień.

Pominąwszy już dawne grzechy „Dziennika Chicagoskiego“, pominąwszy wiele z obecnych grzechów, jak wyzwiska i przezwiska i wprost nieprzyzwoite przekręcanie nazwiska pana Szrojdy, pozwolę sobie wyjąć z „Dziennika Chicagoskiego“ takie np. zdanie: „Dla nas ten arcypasterz w sprawach Kościoła i narodowych jest najwyższą władzą“. Czy takie i tym podobne zdania, pełne obłudy i pochlebstwa, nie tchną duchem uległości i czołobitności iście bizantyjskiej? Czy nie pachną schyzmą bizantyjską? Dopóki bi-

skup Rhode, cedząc komary żółtej prasy, w milczeniu połyka takie wielbłądy arcykatolickiej prasy, dopóty żaden prawdziwy katolik nie jest i nie powinien być po jego stronie. Jesteśmy po stronie Najprzewiel. ks. Rhodego, jako biskupa katolickiego, ale nie jako patrjarchy carogrodzkiego, za jakiego ogłaszać się pozwala „Dziennikowi Chicagoskiemu". Dla nas katolików jeden papież jest najwyższą władzą w sprawach Kościoła. W sprawach zaś Kościoła **i narodowych** najwyższą władzę dzierżą tylko tacy despoci jak car, kajzer i tym podobni. Z szacunkiem sługa w Chr.

X. Wacław Kruszka".

Tej jednak odpowiedzi mojej „Dziennik Chicagoski" nie umieścił, chociaż publicznie jej zażądał ode mnie. Natomiast umieścił do tej odpowiedzi mojej swoje arcykatolickie komentarze i dnia 20 listopada 1911 już świadomie i uporczywie upierał się przy tem swojem heretyckiem zdaniu, że „katolikom Polakom w Ameryce dzierżenie **najwyższej** władzy w sprawach Kościoła i narodowych wolno oddawać dobrowolnie pierwszemu w tym kraju biskupowi". Komentarze więc do mojej odpowiedzi umieścił, ale samej odpowiedzi nie umieścił, choć publicznie mnie zapytał, po czyjej stronie stoję. To była arcykatolicka uczciwość dziennikarska! Albo nie trzeba mi było takiego pytania publicznie stawiać, albo, skoro już się postawiło, trzeba było i moją odpowiedź ogłosić. A jeśli już nawet odpowiedzi nie chciało się umieścić, trzeba było i komentarzy zaniechać. Ale u tych arcykatolików poczucie sprawiedliwości i zmysł uczciwości dziennikarskiej były tak przytłumione nienawiścią i spaczone stronniczością, że nie czuli i nie widzieli już nic sprawiedliwego w nikim i w niczym, tylko sami w sobie i w swojej prasie. Przewodnia idea i duch i cała wiara arcykatolickiej prasy streszczała się w tych słowach: Boże, dziękuję Tobie, żem nie jest jako inni ludzie, jako i ten celnik „Narodowy" albo „Kurjerowy".

Otóż ponieważ publicznie zapytany zostałem, bym **„wszystkim** raczył jasno i otwarcie powiedzieć, gdzie sam stoję ze zdaniem swem" i ponieważ odpowiedzi mojej na to zapytanie „Dziennik Chicagoski" nie umieścił: przeto powyższą odpowiedź moją posłałem do „Dziennika Narodowego", który ją też w całkości ogłosił. W ten sposób i „Dziennik Chicagoski" dostał zasłużone baty, jak tego sprawiedliwość i równowaga społeczna głośno się domagała. Że ja przez to znowu naraziłem się na ten faryzeuszowski

zarzut, jakobym „trzymał z masońską prasą" i że przez to narobiłem sobie wprost nieprzejednanych wrogów w obozie nowiniarsko-zmartwychwstańczym: na to ani na chwilę nie zważałem. Miłym był mi świecki, miłym był mi ksiądz, ale najmilszą była mi zawsze ta prawda, że od świeckich gazet nie można żądać wyższej etyki dziennikarskiej niż od księżych gazet.

12. Moja mowa w Kenosha. — Arcybiskup każe mi pod groźbą suspenzy podpisać oświadczenie, że przyjmę biskupa Koudelkę. — Apeluję do Delegacji Apostolskiej.

„Kurjer Polski" pod względem wiary mógł być zerem. Ale pod względem wieku był i jest najstarszym dziennikiem polskim w Ameryce. Tylko zazdrość i nienawiść mu tego nie przyznaje. Owego czasu ukazała się angielska „Encyklopedja Katolicka". Do niej w XII tomie na stronicy 212 ksiądz Felix T. Seroczyński wpisał to „pobożne" kłamstwo: „Z polskich dzienników najstarszym jest „Dziennik Chicagoski". Bo to księża gazeta, a nie świecka. Choćby nie było „żółtej" prasy, to musiałaby ona powstać jedynie dlatego, ażeby takie pobożne kłamstwa napiętnować. Choćby nie było na świecie „otwarcie antyklerykalnej prasy", to takie pobożne kłamstwa muszą ją powołać do bytu. Tak jest, Kościół potrzebuje antyklerykalnej prasy. Kto nie jest przeciw klerykałom, ten jest przeciw klerowi. Wykorzenić klerykalizm to znaczy wzmocnić stanowisko kleru. Klerykali i klerykalizm, mający Judasza Iskarjotę za ojca, powodują wzrost socjalizmu. Tak odpowiedziałem 2 grudnia 1911 wydawnictwu „Katolickiej Encyklopedji".

Księże „Nowiny Polskie" z aprobatą biskupią i arcybiskupią ciągłe kłamstwa pisały. Nazywały mnie „samozwańczym delegatem", który jadąc do Rzymu w sprawie biskupów polskich „siebie wystawił na durnia, cały naród ośmieszył, a sprawę polskich biskupów cofnął wstecz o lat kilkanaście. Z kłamstwem do Rzymu pojechał, a z kwitkiem i wstydem z niego wrócił". Oto klerykalizm! Oto poziom moralny księżej gazety. Od świeckich gazet nie można było żądać wyższego poziomu moralnego.

Wobec tego, że w jesieni roku 1911 Rzym dał nam do Milwaukee biskupa czeskiego (Koudelkę), a nie polskiego, moi nietylko nieprzyjaciele, ale i przyjaciele zaczęli wątpić o tem, czy papież rzeczywiście dał mi przychylną odpowiedź „podług naszych życzeń". Z przekąsem mówili do mnie nawet przyjaciele moi:

— Prosiłeś o polskiego biskupa, a Ojciec św. dał nam czeskiego. „Prosiłeś o rybę, a dostałeś niedźwiadka“. (Łuk. 11, 11.) Czy papież rzeczywiście przyrzekł nam biskupów polskich? A jeśli przyrzekł, czy papież dotrzyma słowa?

Oto pytania, jakie podówczas, zwłaszcza po przyjeździe biskupa Koudelki do Milwaukee, ciągle się o uszy moje obijały. Więc zapraszany często na obchody narodowe, na obchodzie narodowym w Kenosha, Wisconsin, w niedzielę 10 grudnia 1911 podczas mowy wyraziłem, między innymi takie zapewnienie:

„Jego Świątobliwość papież Pius X w odpowiedzi na naszą prośbę o biskupów polskich **całkiem pewnie** dnia 15 kwietnia 1904 o 3:15 po południu powiedział do mnie, a przeze mnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali, te pamiętne słowa: „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń“. Ja wierzę mocno i niezachwianie w to słowo papieża, wierzę, że będzie ono urzeczywistnione czemprędzej, tak prędko, że możecie być pewni, iż żaden więcej obconarodowy biskup nie wstąpi urzędowo do mego kościoła, albowiem arcybiskup sam postara się czemprędzej o polskiego biskupa, zgodnie z przyrzeczeniem i życzeniem papieskiem. Jeśli nie, to zabije mnie i po moim trupie wejdzie do mego kościoła. Takiem jest moje mocne przekonanie, taką jest moja niezachwiana wiara w słowo Namiestnika Chrystusowego. Laik, ksiądz czy biskup, który może mi odebrać tę moją wiarę w słowo papieskie, może mi tak dobrze odebrać moje życie. Ja do ostatniego tchu życia będę stał przy słowie, jakie papież wypowiedział do mnie, a przeze mnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali. Chociaż by mnie zabił, w nim nadzieję pokładać będę“.

Oto co powiedziałem na obchodzie w Kenosha dla zapewnienia słuchaczy o prawdziwości obietnicy papieskiej. Moja osoba jest nierozerwalnie złączona z papieską obietnicą biskupów polskich dla Ameryki, i jeśli prawdziwość tej obietnicy jest skutecznie zaprzeczona, to dla mnie jest śmiercią społeczną.

Upłynął miesiąc po tej mojej mowie w Kenosha. Dnia 10 stycznia 1912 napisał mi arcybiskup Messmer taki registrowany list: „Wielebny Panie! Niniejszem jesteś wezwany stawić się przede mną w mojej rezydencji w czwartek 11 stycznia 1912 o 3 godz. popołudniu dla wytłumaczenia niektórych oświadczeń, jakieś, według doniesienia, miał uczynić na publicznem polskiem zgromadzeniu w Kenosha, Wis., krótko przed Bożem Narodzeniem. Z szacunkiem Twój † *S. G. Messmer*, Abp.“

Tego samego dnia, którego ten list otrzymałem, stawiłem się w pałacu arcybiskupim. Tam zastałem nietylko arcybiskupa, ale i pół tuzina księży konsultorów ajryskich i niemieckich, oraz kanclerza. Wobec tego synedrjum arcybiskup zażądał ode mnie, bym podpisał piśmienne oświadczenie, leżące na stole, a opiewające tak:

„Ja niżej podpisany X. Wacław Kruszka wpuszczę biskupa Koudelkę do mego kościoła, jeśli arcybiskup mi go przyśle".

Na to zapytałem, czy i inni księża polscy takie oświadczenie podpisać mają? Odpowiedział arcybiskup:

— Nie. Tylko ty!

— Dlaczego mnie Wasza Mość tak wyszczególnia?

— Boś ty na polskim wiecu w Kenosha powiedział, że biskupa Koudelko nie wpuścisz do twego kościoła.

— Tegom nie powiedział. Powiedziałem tylko, że papież dał nam słowo, iż dostaniemy **polskiego** biskupa, i to czemprędzej. Powiedziałem więc, że wolałbym trupem paść, aniżeli widzieć to słowo papieskie złamane.

— W każdym razie podpisz to oświadczenie, leżące na stole, że przyjmiesz biskupa Koudelkę. Inaczej będziesz suspendowany.

— Nie mogę takiego oświadczenia sam podpisać, jeśli inni księża polscy nie mają go podpisać. A wobec zagrożonej mi suspenzy oświadczam, że w tej chwili apeluję do Delegacji Apostolskiej we Waszyngtonie.

To powiedziawszy, wstałem. Arcybiskup odprowadził mię do drzwi. Opuściłem pałac arcybiskupi.

Delegat Apostolski Falconio przestał już być Delegatem. Wyjechał był do Rzymu po kapelusz kardynalski. Następca jego jeszcze nie został mianowany. Ale był we Waszyngtonie zastępca jego i audytor Msgr. Cerretti. Do niego więc, skoro wróciłem do mojej plebanji, zaraz tego samego dnia 11 stycznia 1912 napisałem następujący list:

„Do Apostolskiej Delegacji, Najprzew. Msgr. Bonawentura Cerretti, D. D., J. U. D., Audytor, Waszyngton, D. C. — Najprzewielebniejszy Apostolski Delegacie: Mój arcybiskup, Najprzewielebniejszy Seb. G. Messmer, zawołał mnie dzisiaj i zażądał odemnie, bym podpisał piśmienne oświadczenie: że jeśli przyśle swego auxiliarjusza biskupa najprzewielebniejszego Koudelkę do mego kościoła, to go przyjmę. Na to odpowiedziałem, że nie mogę tego uczynić, po pierwsze dlatego, że nie chciałbym widzieć słowo pa-

pieskie złamane ku największemu zgorszeniu ludu, a powtóre dlatego, że nie chciałbym być odpowiedzialny za to zaburzenie, jakieby napewne było wywołane wśród ludu polskiego, gdyby najprz. biskup Koudelka usiłował sprawować funkcje kościelne w moim kościele. Wtedy najprzewielebniejszy arcybiskup zagroził mi suspenzą. Przeciw tej zagrożonej mi suspenzie ja niniejszem apeluję do Apostolskiej Delegacji, tak już apelowałem trzy miesiące temu przeciw takiej samej groźbie. Wierząc mocno, że obietnica papieża z dnia 15 kwietnia 1904 zostanie spełnioną czemprędzej (quantocius, jak się papież Pius X wyraził), i że w ten sposób **sprawiedliwość, ta jedyna rękojmia pokoju,** zostanie uzyskaną dla miljonów Polaków w Stanach Zjednoczonych, pozostaję z najgłębszym szacunkiem Waszej Mości uniżonym sługą X. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha w Milwaukee, Wis.‟

Istotnie podówczas z powodu zamianowania biskupa, pół Czecha, pół Niemca, zamiast Polaka, wrzenie umysłów wśród ludności polskiej w Milwaukee było ogromne. I dlatego, ani przedtem ani potem, żaden proboszcz polski w mieście Milwaukee nie ważył się zapraszać biskupa Koudelki do swego kościoła. I biskup Koudelka, o ile pamiętam, nie pojawił się w żadnym kościele polskim w mieście Milwaukee.

Na powyższy mój list Delegacja Apostolska z Waszyngtonu listem nr. 10886-d. dnia 16 stycznia 1912 taką mi dała odpowiedź:

„Wielebny i drogi Ojcze! — Otrzymałem Twój list z 11 stycznia i w odpowiedzi oświadczam co następuje. Nie wiem, czy i kiedy nasz Ojciec święty Pius X zamianuje polskiego biskupa w Stanach Zjednoczonych, lecz to wiem, że zamianował biskupa Koudelkę auxiliarjuszem biskupem przy arcybiskupie w Milwaukee, i jeśli Jego Mość arcybiskup pośle go do twego kościoła, to wtedy twoim obowiązkiem jest przyjąć go i okazać mu takie uszanowanie, jakie się należy przełożonemu. W razie gdybyś nie spełnił tego swojego obowiązku, wtedy musisz być przygotowany ponieść następstwa. Z najlepszymi życzeniami pozostaję szczerze twoim w Chrystusie B. Cerretti, Regent Apostolskiej Delegacji‟.

Na ten list odpowiedziałem 20 stycznia 1912 Delegacji Apostolskiej w taki sposób:

„Do Delegacji Apostolskiej, U. S. A. Najprzewielebniejszy Ojcze! — Albo postaraj się o biskupa polskiego, albo mnie zabij i po moim trupie przejdź do mego kościoła. Jeśli możesz mi odebrać moją wiarę w słowo papieża, to tak dobrze możesz mi odebrać mo-

je życie. Ja polegam na słowie papieża (I fall back on the Pope's word). Jeżeli papież chce polegać na swojem słowie, niech tak powie. Proszę tę rzecz donieść papieżowi. Ja będę stał przy jego słowie powiedzianem do mnie, a przeze mnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali. Chociażby mnie zabił, w nim ufać będę. Z najgłębszym szacunkiem Twój uniżony sługa w Chrystusie X. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha w Milwaukee, Wis."

13. Arcybiskup po raz drugi mnie wzywa do podpisania deklaracji, że przyjmę biskupa jakiejkolwiek narodowości.

W dwa tygodnie po pierwszem wezwaniu, dnia 26 stycznia 1912 arcybiskup przysłał mi drugi pozew: „Wielebny Panie! Jesteś niniejszem zapozwany stawić się przede mną jutro, w sobotę 27 stycznia 1912, w moim domu o godzinie 2 po południu. Chcę ci jeszcze raz dać sposobność naprawienia zgorszenia, danego przez twoją publiczną mowę w Kenosha, Wis., i usprawiedliwienia się wobec Kościoła. Szczerze twój † S. G. Messmer, Abp., B. G. Traudt, kanclerz".

Miałem się wytłumaczyć z mojej mowy w Kenosha. Miałem się usprawiedliwić zwłaszcza z tego silnego wyrażenia (strong language), jakiego w tej mowie użyłem, iż „obconarodowy biskup chyba po moim trupie wnijdzie do kościoła mego". Arcybiskup koniecznie chciał to tak rozumieć, że kiedy on albo biskup Koudelka przyjdzie do kościoła mego, ja stanę na progu i będę im bronił wstępu do kościoła. Dlatego, stanąwszy o wyznaczonej godzinie 2 po południu w pałacu arcybiskupim wobec arcybiskupa i jego Wysokiej Rady, na samym wstępie podałem im następujące wydrukowane w kilkunastu egzemplarzach oświadczenie moje:

Co mówiłem i dlaczego tak mówiłem w Kenosha, Wis., dnia 10 grudnia 1912.

Ponieważ na wieść, że biskup Koudelka przybywa do Milwaukee, ludzie mnie ze wszystkich stron nagabywali pytaniem dlaczego, kiedy papież obiecał nam polskiego biskupa, dostaliśmy czeskiego biskupa; ponieważ ludzie byli bardzo zgorszeni, bo mówili nawet, że „papież nie dotrzymał Swego słowa"; ponieważ ks. B. E. Góral powiedział ludziom, że on był w Rzymie i słyszał tam, iż papież nie dał żadnego słowa ks. W. Kruszce; ponieważ ludzie ustawicznie mnie wypytywali, czy to jest zupełnie prawdą,

że na naszą „Uniżoną Prośbę o Biskupów Polskich w Stanach Zjednoczonych" papież dnia 15 kwietnia 1904 dał przychylną odpowiedź, mówiąc: „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń"; ponieważ komitety, zapraszające mnie z mową na publiczne obchody, prosiły mnie o publiczną odpowiedź na powyższe pytania. — dlatego na obchodzie w Kenosha zarówno jak i gdzieindziej publicznie tak się wyrażałem:

Jego Świątobliwość papież Pius X w odpowiedzi na naszą prośbę o biskupów polskich **całkiem pewnie** dnia 15 kwietnia 1904 o godzinie 3 minut 15 po południu powiedział do mnie, a przeze mnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali, te pamiętne słowa: „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń". Ja wierzę mocno i niezachwianie w to słowo papieża, wierzę, że będzie ono urzeczywistnione czemprędzej, tak prędko, że możecie być pewni, iż żaden więcej obconarodowy biskup nie wstąpi urzędowo do mego kościoła, albowiem arcybiskup sam postara się czemprędzej o polskiego biskupa zgodnie z przyrzeczeniem i życzeniem papieskiem. Jeśli nie, to zabije mnie i po moim trupie wejdzie do mego kościoła. Takiem jest moje mocne przekonanie, taką jest moja niezachwiana wiara w słowo Namiestnika Chrystusowego. Laik, ksiądz czy biskup, który tę moją wiarę w słowo papieskie może mi odebrać, może mi tak dobrze odebrać moje życie. Ja do ostatniego tchu życia stać będę przy słowie, jakie papież wypowiedział do mnie, a przeze mnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali. Chociażby mnie zabił, w nim nadzieję mieć będę.

Wyrażenie moje „zabije mnie i po moim trupie wejdzie do kościoła" łatwo było zrozumieć w ten sposób:

Ludzie mnie utożsamiają z ową papieską obietnicą polskich biskupów. Ktokolwiek tedy skutecznie zaprzecza temu, że papież mi dał taką obietnicę, ten odbiera mi życie społeczne, zabija mnie społecznie i czyni ze mnie trupa we wszelkich sprawach społecznych. To chciałem dać do zrozumienia w mojej mowie w Kenosha, i sądzę, że wszyscy ci, którzy rozumnie i bez uprzedzenia słuchali mojej mowy, tak a nie inaczej ją zrozumieli.

Sprawozdanie z mojej mowy pobieżnie sobie notowała panna Tylkowska, nowa reporterka „Kurjera". Podała ona całą mowę tylko w skróceniu, a nie powtórzyła dokładnie wszystkich słów, jakie powiedziałem. W rozmowie ze mną naczelny redaktor „Kurjera", pan J. J. Chrzanowski, powiedział mi, że panna Tylkowska mówiła, iż sposób, w jaki ona zrozumiała, był ten, że „ks. Kruszka

dał do zrozumienia, że wolałby raczej umrzeć, aniżeli widzieć obcego niepolskiego biskupa pasterzem swojej polskiej parafji". Pan J. J. Chrzanowski chciał ogłosić poprawne wydanie mojej mowy, jeśli mu ją podam na piśmie, gdyż taką jest ścisła reguła „Kurjera". Lecz tego nie mogłem uczynić, gdyż arcybiskup zakazał mi pisać cokolwiek do „Kurjera". Sporny punkt w tej mowie może się wydawać dosadnem wyrażeniem. Atoli takie wyrażenie (strong language) w mojej mowie jest usprawiedliwione ze względu na ten fakt, że nietylko polski **lud** ale i **ja** ciągle jestem atakowany i oczerniany w „Nowinach", piśmie wydawanem pod opieką **arcybiskupa.** I między księżmi i ludem wszędzie jest taka mowa, że te gwałtowne, a obelżywe ataki na mnie w „Nowinach" drukowane są z wiedzą i wolą arcybiskupa w tym celu, aby mnie popchnąć do ostateczności; podczas gdy równocześnie arcybiskup zakazuje mi bronić swego dobrego imienia, charakteru i reputacji w gazecie, któraby ogłosiła moją własną obronę przeciw ciągłym a haniebnym napaściom w „Nowinach". I żeby mnie jeszcze bardziej wyzywać i prowokować, te same tak zwane „katolickie" „Nowiny" ośmieszają nawet imię św. Wojciecha, świętego patrona mojego kościoła. Co wszystko tu z szacunkiem przedkładam.

Milwaukee, Wis., 27 stycznia 1912.

Kiedym powyższe wyjaśnienie mojej mowy w Kenosha w drukowanych egzemplarzach doręczył arcybiskupowi i jego Wysokiej Radzie, złożonej z niemieckich i ajryskich konsultorów, wtedy chwilowe milczenie zapanowało w sali arcybiskupiej. Każdy był zajęty czytaniem doręczonego mu pisma. Nareszcie arcybiskup przerwał milczenie i znowu pod groźbą suspenzy zażądał ode mnie, żebym podpisał to oświadczenie, które wydrukowane leży na stole, a które opiewa, że przyjmę do mojej plebanji i do mojego kościoła wszelakiego biskupa jakiejkolwiek narodowości, którego mi on przyśle. Na to odpowiedziałem:

— Najpierw przyślij mi, arcybiskupie, jakiegokolwiek biskupa. A gdy zobaczysz, że go nie przyjąłem, dopiero wtedy mi groź albo mnie ukarz. Ale nie prędzej!

— Chcę się upewnić, że go przyjmiesz.

— Na to jedyny sposób jest przysłać go do mnie.

— Ty musisz dać pewność przez podpisanie tego oświadczenia, że gotów jesteś przyjąć biskupa jakiejkolwiek narodowości.

— Nie mogę podpisać takiego oświadczenia. Bo najpierw ja tego nie powiedziałem, że go nie przyjmę. Powtóre, papież obiecał

nam dać biskupów polskich, i to jak najprędzej, według życzeń naszych. Otóż gdybym podpisał takie oświadczenie, jakie mi przedłożyliście, to bym przez to wyraził życzenie niepolskiego biskupa lecz biskupa jakiejkolwiek narodowości.

Wtedy jeden z Wysokiej Rady arcybiskupiej tak się odezwał:

— Czy papież nie może zmienić swego zdania i cofnąć danego słowa?

— Owszem, że może. Ale, żeby zmienił swoje zdanie albo cofnął dane nam słowo, o tem dotychczas nic zgoła nie wiemy.

— Ale ja wiem — odezwał się drugi z Wysokiej Rady arcybiskupiej. — Ja słyszałem niedawno, co papież powiedział pewnemu amerykańskiemu biskupowi, mianowicie, że **nie będzie już więcej biskupów polskich w Stanach Zjednoczonych.**

— To więc jeszcze jedna racja, dla której już stanowczo nie mogę podpisać tego oświadczenia, które mi przedkładacie. Bo przez taki podpis dałbym dowód, że uwierzyłem temu, co wy mnie mówicie, a nie temu, co papież mi powiedział. Ja polegam na tem słowie, które papież do **mnie** powiedział.

Na tem skończyły się drugie przesłuchy, jakie miałem 27-go stycznia 1912 w sprawie mojej mowy, wygłoszonej w Kenosha. Wśród ogólnego pomruku i zgrzytania zębów arcybiskup odprowadził mnie znowu do drzwi i, kiedym przekraczał próg pałacu, rzekł do mnie:

— Lepiej żebyś otwarcie zerwał z Kościołem.

— Chyba Wasza Mość — odparłem — widzi potrzebę zerwania z Kościołem. Ja tej potrzeby wcale nie widzę.

I drzwi arcybiskupiego pałacu się zatrzasnęły. Wracałem do domu jeszcze bardziej przywiązany do Kościoła niż kiedykolwiek. „Zły" ma stopień wyższy „gorszy" i tylko „zły gorszyć się" może z ludzkiego pierwiastka Kościoła. Dobrego człowieka nikt i nic zgorszyć nie może, dopóki jest dobrym. Kiedy on sam przestał być dobrym, a stał się już złym, wtedy dopiero zgorszyć się może.

14. Dwukrotne te przesłuchy u Arcybiskupa były to preludia do wieca księży w Detroit. — List do Papieża.

O tem ponownem zażądaniu, bym podpisał deklarację, że przyjmę biskupa jakiejkolwiek narodowości, roztropność kazała mi powiadomić Delegację Apostolską we Waszyngtonie i Ojca św. w Rzymie. Ale w sobotę i w niedzielę wskutek licznych obowiąz-

ków duszpasterskich nie miałem czasu, a w poniedziałek cały zajęty byłem odbieraniem szkolnego. Dopiero we wtorek 30 stycznia 1912 napisałem do Delegacji Apostolskiej:

Najprzewielebniejszy Delegacie Apostolski! — Załączam tu wyciąg z mojej mowy, jaki na żądanie przedłożyłem Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Seb. G. Messmer dnia 27 stycznia 1912. Tymczasem Najprzewielebniejszy Arcybiskup znowu zażądał, bym podpisał drukowane oświadczenie, że na przyszłość przyjmę do mego domu i kościoła wszelakiego biskupa jakiejkolwiek narodowości, którego on mi przyśle. Takiego ogólnego oświadczenia nie chciałem podpisać, po pierwsze dlatego, że ja nigdy nie powiedziałem iż nie przyjmę jakiegokolwiek biskupa przysłanego mi przez Arcybiskupa, a powtóre dlatego, że jako powód, dla którego mam podpisać, przytoczono mi w obecności Arcybiskupa z milczącem Jego pozwoleniem taką deklarację: że „Papież miał powiedzieć jakiemuś amerykańskiemu biskupowi, że **nie będzie już więcej biskupów polskich w Stanach Zjednoczonych**". Wobec takiej deklaracji podpisać powyższe oświadczenie znaczyłoby porzucić wszelką nadzieję raz na zawsze w sprawie, która jest najważniejszą i najżywotniejszą w rozwoju Kościoła w Ameryce. Z najgłębszym szacunkiem uniżony sługa w Chr. X. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha.

W trzy dni potem, 2 lutego 1912, wysłałem następujący list do Papieża Piusa X. (przekład z łacińskiego):

Ojcze święty! — Jeden z wielu najlepszych przyjaciół naszej sprawy, świętej pamięci kardynał Svampa dnia 4 sierpnia 1903, w sam — jak mówił — dzień Twojego wyboru, przedłożył Twojej Świątobliwości, jako pierwszą Twego Pontyfikatu sprawę, naszą „Pokorną Prośbę o Biskupów Polskich dla Polaków w Stanach Zj. P. Ameryki", którą to książeczkę ja w imieniu Polsko-Amerykańskiego Kongresu Katolickiego w Twoje ręce złożyłem dnia 11 września 1903. W tej błagalnej książeczce, na stronicy 24, prosiliśmy i błagaliśmy Waszą Świątobliwość tak:

„Racz, Ojcze święty, dać nam albo własnych biskupów albo pomocniczych w tych przynajmniej diecezjach: Chicago, Buffalo. Pittsburg, Scranton, Milwaukee, Green Bay, Detroit, Cleveland. Grand Rapids, St. Paul, Duluth, Hartford. Zaiste, tak wielka liczba Polaków już prawem Kościoła zasługuje na własnych biskupów albo przynajmniej auxiliarjuszów, których Polacy sami swoim własnym kosztem utrzymają".

Na tę naszą „Pokorną Prośbę" po długim namyśle wreszcie dnia 15 kwietnia 1904, o godzinie 3.15 pm., w Auli Królewskiej sama Twoja Świątobliwość ostateczną odpowiedź dała mnie, a przezemnie miljonom Polaków, którzy mnie posłali, tymi słowami: Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń.

Ponieważ zaś obecnie z przybyciem Najprzewielebniejszego Biskupa Koudelki do tego tu miasta Milwaukee lud i kler ze wszystkich stron mnie wypytywał, dlaczego, skoro Papież obiecał nam Biskupa Polskiego, czeskiego otrzymaliśmy; ponieważ ludzie byli i są ogromnie tem zgorszeni i wielu z nich mówi nawet otwarcie, że „Papież nie dotrzymał słowa Swego; jeśli słowo papieskie nic nie znaczy, to komuż mamy wierzyć?"; ponieważ kapłan pewien ks. Bolesław Góral mówił ludziom, że był w Rzymie i słyszał, iż „Papież żadnej odpowiedzi nie dał ks. Wacławowi Kruszce"; ponieważ ludzie ustawicznie mnie pytali, czy to istotną prawdą jest, że na naszą „Pokorną Prośbę o Biskupów Polskich w Ameryce" Jego Świątobliwość dnia 15 kwietnia 1904 odpowiedziała: „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń"; ponieważ mężowie tak zwani komitetowi, którzy mnie często zapraszali z mową na obchody, domagali się odemnie, abym na powyższe pytanie publicznie odpowiedział: — dlatego w moich przemowach do ludu na obchodach zawsze i wszędzie oświadczałem co następuje:

„Jego Świątobliwość Papież Pius X. na naszą „Pokorną Prośbę o Polskich Biskupów dla Polaków w Stanach Zj. Półn. Am." odpowiadając dnia 15 kwietnia 1904 o godzinie 3 i 15 pm., **z największą pewnością** i bez wszelkiej wątpliwości powiedział do mnie a przezemnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali, te słowa: **„Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń"**. Nietylko podług naszych życzeń, lecz „czemprędzej" powiedział. Stąd ja niewątpliwie jak najmocniej wierzę w to słowo Najwyższego Pasterza, że się prędko ziści, tak prędko, iż bezpiecznie uspokoić się możecie będąc całkiem pewni, że żaden już więcej obconarodowy Biskup nie wejdzie do mego kościoła, gdyż sam Najprzewielebniejszy Arcybiskup nasz Seb. G. Messmer postara się czemprędzej o Biskupa Polskiego zgodnie z tem przyrzeczeniem i życzeniem Papieża; jeśli zaś tego nie uczyni, to mnie zabije i po moim trupie wkroczy do kościoła samego. Takiem jest moje przekonanie, taką jest moja niezachwiana wiara w słowo Najwyższego Pasterza. Laik, ksiądz albo biskup, któryby mógł mnie pozbawić tej wiary, może mię tak dobrze pozbawić mego życia. Aż do śmierci

będę nadzieję pokładał w tem słowie, jakie z ust samegoż Namiestnika Chrystusowego wyszło do mnie a przezemnie do tych miljonów Polaków, którzy mnie posłali. Chociażby mnie zabił, w niem nadzieję pokładać będę".

Co wszystko Tobie, Ojcze święty, z ufnością przedkładam i jak najuniżeniej całując stopy Twojej Świątobliwości, z najwyższem jakie się należy poważaniem i przywiązaniem pozostaję Twojej Świątobliwości najpoddańszy syn X. Wacław Kruszka, proboszcz kościoła św. Wojciecha. w Milwaukee, Wis. Dopisek: Spraw także proszę Cię, Ojcze święty, ażeby do Mszału i Brewjarza, jeśli już nie officjum i Msza osobno, wpisane było przynajmniej imię św. Wojciecha, głównego Patrona Polaków.

To posłałem papieżowi 2 lutego 1912.

Tymczasem to, co mnie spotkało w pałacu Arcybiskupa Messmera dnia 11 i dnia 27 stycznia 1912 było tylko małem preludjum do tego koncertu, jaki mi zagrano w hotelu Cadillac na wiecu księży w Detroit, Mich., dnia 7 lutego 1912. Na kogo Pan Bóg, na tego i wszyscy święci. Na kogo biskup, na tego szli teraz i wszyscy księża, którzy byli orjentacji biskupiej, zamiast papieskiej, którzy potęgę episkopatu amerykańskiego bałwochwalczo stawiali ponad potęgę Rzymu, którzy w sprawie biskupów polskich od tego episkopatu więcej się spodziewali niż od Rzymu. Ci zwolennicy tak zwanego systemu episkopalnego byli przeważnie skupieni w obozie nowiniarsko-zmartwychwstańczym. Ich organami były milwauckie „Nowiny", które pierwsze skrzypce grały, i „Dziennik Chicagoski", który im przygrywał na basach. Ci teraz dowiedziawszy się, że jestem w naprężonych stosunkach z arcybiskupem, zawyrokowali odrazu:

— Kruszka wisi na włosku. Lada dzień będzie suspendowany. Wyrzućmy go zawczasu z grona naszego a przypodobamy się biskupom amerykańskim.

A potem naigrawali się ze mnie, mówiąc:

— Ufał w papieża, niech go teraz papież wybawi jeśli chce.

Drwili też z Federacji Świeckich Polaków katolików i z gazet, które tę Federację popierały. Szydzili i ze Związku Narodowego Polskiego. Taki np. ks. I. Ostaszewski, ten sam, któremu jako klerykowi jeszcze roku 1903 u Propagandy wystarałem się o papiery potrzebne do wyświęcenia (zobacz tom I. str. 698.), teraz przed owym wiecem księży w „Dzienniku Chicagoskim" 5 lutego 1912 ogłaszał między innymi takie wizje:

„Widzę, jak wszyscy kapłani polscy, zebrani na wiecu w Detroit, potępią z całego serca Związek N. Polski i głosować będą za wypowiedzeniem otwartej walki ze Związkiem... Widzę, że na tym wiecu znajdzie się jak wszędzie w najlepszem towarzystwie parę nieszczęśników, Kruszków, Młynarczyków, Iskierek, którzy staną w obronie Związku, lecz na szczęście na 800 polskich kapłanów głosujących nad tą kwestją tylko ośmiu Judaszów - obrońców Związku!

Swoją drogą na ten wiec, zamiast 800, przybyło zaledwie 300 księży. Ale gdym wyczytał powyższą wizję księdza Ostaszewskiego, pomyślałem sobie:

— I ty Brutusie występujesz przeciwko mnie!

Milwauckie zaś „Nowiny", aprobowane przez biskupów niemieckich, w taki nieprzyzwoity sposób wyrażały się o Federatach, którzy protestowali przeciw Czecho-Niemcowi Koudelce a upominali się o polskiego biskupa:

„Namawiacie ludzi do zakładania protestów, zwoływania mityngów, robienia uchwał o polskich biskupów i każecie takowe razem z zebranymi funduszami sobie przysyłać. Czy już do tego przyszło, że kryminaliści będą zasiadać w trybunałach sprawiedliwości i że podobni wam ateusze i niedowiarki będą się starać o biskupów polskich? O ironjo losu!! Pókiż będziecie nadużywali cierpliwości Boga i ludzi!! Wasze postępowanie się psu na budę nie zda, jest to tylko mydlenie oczu ludowi — nie tędy droga do Rzymu. Czyście wy, albo kto inny, bez względu na jego stanowisko, w ten sposób coś w Rzymie wskórali? Wy dobrze o tem wiecie: ale wam chodzi o dolary, o reklamę, o ten płaszczyk katolicyzmu i narodowości. Cóż wam pomogło kłamstwo w statystyce polskiej ludności kilka lat temu, którą ci **samozwańczy delegaci** w swej petycji Ojcu św. przedstawili?... Siebie wystawili na durniów, cały naród ośmieszyli a sprawę polskich biskupów cofnęli wstecz o lat kilkanaście. Z kłamstwem do Rzymu pojechali a z kwitkiem i wstydem z niego wrócili. Hierarchja amerykańska to siła, z którą się liczyć trzeba i w odpowiedni sposób należy z nią postępować, ażeby swe cele osięgnąć". („Nowiny" z dnia 2 lutego 1912.)

To ostatnie zwłaszcza zdanie „Nowin" doskonale charakteryzuje księży episkopalnych w przeciwstawieniu do księży papieżników. Że hierarchja amerykańska jest potęgą, to każdy papieżnik wie; ale też wie i o tem, że to potęga wroga Polakom i sprawie bi-

skupów polskich, tak dalece wroga, że ugłaskać w żaden sposób się nie da. Więc nie głaskać lecz przełamać ją trzeba. A przełamać ją można jedynie jeszcze większą potęgą. A tą jest papiestwo! Dlatego orjentacja episkopalna u naszych księży była i jest złudną. Jedyną prawdziwą i do celu prowadzącą orjentacją jest orjentacja papieżna.

15. Zwołano wiec ogólny, a komitet przedwiecowy nadaje mu cechę partyjną. — Jak usilnie mnie proszono na ten wiec a jak mnie przywitano słowami: Ave Rex Judaeorum!

Tak zwane „Biuro Stowarzyszenia Kapłanów Polskich w Ameryce, 370 South Valley Ave., Grand Rapids, Mich.", w skład którego wchodzili: biskup Paweł Rhode jako prezes, ks. M. Matkowski jako godny wiceprezes i ks. W. Krakowski jako sekretarz — biuro to wysłało drukowane zaproszenie „na wiec ogólny wszystkich polskich księży", mający się odbyć w dniach 7 i 8 lutego 1912 w Detroit, Mich. Wielu jednak księży nie pojechało na ten wiec dlatego, że komitet przedwiecowy z dziwną antycypacją i arogancją przywłaszczył sobie sąd nad całą prasą polską i już z góry potępił i wyklął imiennie coś 15 gazet polskich, dlatego, że on, komitet przedwiecowy, z tymi gazetami nie sympatyzował. Gazety te, zdaniem komitetu przedwiecowego, nie były święte ale przeklęte, bo atakowały niemiłych sobie księży. Atoli święte „Nowiny" i święty „Dziennik Chicagoski" również atakowały niemiłych sobie księży, wyzywając ich od Judaszów i ateuszów a jednak w pierwszym rzędzie miały mieć przystęp do wiecu księży. Takie partyjne stanowisko komitetu przedwiecowego nie podobało się księżom, i dlatego ogromna większość księży nie pojechała na ten wiec. Mówili oni słusznie, że jeśli tylko księża, sympatyzujący z „Nowinami" i „Dziennikiem Chicagoskim" są pożądani na tym wiecu, to nie będzie to „wiec ogólny wszystkich polskich księży" ale tylko wiec kliki nowiniarsko-zmartwychwstańczej".

Ażeby nadchodzący wiec nie nosił takiej cechy partyjnej ale był prawdziwie ogólnym wiecem, napisałem do sekretarza ks. W. Krakowskiego, aby ogłosił, że sąd o gazetach nie należy do komitetu przedwiecowego, lecz do wiecu; że komitet przedwiecowy nie ma prawa dopuszczać do wiecu „Nowiny" i „Dziennik Chicagoski" a wykluczać inne dzienniki. Jeśli komitet przedwiecowy tego nie ogłosi, to nadchodzącemu wiecowi odbierze cechę ogólną a nada mu wygląd zjazdu kliki nowiniarsko-zmartwychwstańczej.

Napisałem tak tem bardziej, że sekretarz ks. W. Krakowski, przysyłając mi zaproszenie na wiec, sam o to prosił, pisząc wyraźnie tak: „Wszelkie uwagi, propozycje, poprawki, dodatki, przypuszczenia itd. mając na względzie dobro i pomyślność nadchodzącego wiecu, są teraz na miejscu i z wdzięcznością przyjęte będą. Prosimy!"

Wogóle na ten wiec zewsząd proszono mnie bardzo usilnie, ustnie i piśmiennie. Z Chicago otrzymałem odkrytą pocztówkę z obrazkiem kataryniarza, przy którym dopisano: „Zaproszenie na wiec księży w Detroit, Michigan. Prosimy przybyć. Prosimy, prosimy, prosimy!" Obelżywy adres na tej pocztówce brzmiał tak:

Mt. Rev. Faclaf Kruszka
Russian Pop
825 Becher St.,
Milwaukee, Wis.

Tacy księża chcieli reformować świeckie gazety!...

To mi dawało przedsmak nadchodzącego wiecu i pokazywało, jakiego kalibru księża z obozu nowiniarsko-zmartwychwstańczego wybierają się na ten wiec. Wiedziałem, że mnie tam nic przyjemnego nie czeka. A jednak pojechałem na ten wiec, bo miałem tam dużo do powiedzenia zwłaszcza o cywilach, którzy redagują księże gazety i o cywilach, którzy redagują świeckie gazety: jak ci ostatni grzeszą często potwarzą, ale tamci pierwsi najczęściej grzeszą i potwarzą i pochlebstwem. Że więc ulepszenie prasy należy zacząć od księżych gazet.

Na wiec do Detroit jechałem w wesołem towarzystwie kilku księży. Przybywszy do hotelu Cadillac, gdzie nazajutrz wiec miał się odbyć, spotkałem grono znajomych i nieznajomych księży, z którymi się witałem i rozmawiałem, jak to zwykły śmiertelnik czyni. Gdzieniegdzie tylko zetknąłem się z nowiniarzem albo zmartwychwstańcą, który mnie omijał i z podełba na mnie patrzał. Ale to zwykła rzecz. Nie przypuszczałem ani nie przeczuwałem, żeby na zbliżającym się wiecu miało się stać coś tak nadzwyczajnego, co by oczy wszystkich miało skoncentrować w mojej małej osobie. Dopiero kiedy na wieczerzę wszedłem do restauracji, jeden z księży siedzących przy stole, ks. Władysław Ślisz, przywitał mnie takimi niezwykłymi słowy:

— Ave Rex Judaeorum. — Witaj królu żydowski!

Na te słowa siedzący z nim księża wybuchnęli głośnym a szyderczym śmiechem. „Nowiny" z 12 lutego 1912 piszą, że te słowa

„ubodły mnie do żywego". Pewnie. Bo te słowa dały mi do zrozumienia, że na tym wiecu odegram rolę Chrystusa Ukrzyżowanego a moi przeciwnicy odegrają rolę Żydów. Bo wiedziałem, że taki mówiący prawdę weredyk, jak ks. Ślisz, nie wypowiedział tych słów całkiem tylko żartem. Nawet „Nowiny" same to potem stwierdziły. że ks. Ślisz „nawpół żartem **nawpół serjo"** zawołał na mnie: Ave Rex Judaeorum.

Przed rozpoczęciem wiecu klika zmartwychwstańczo-nowiniarska miała swój koncyljabuł czyli pokątną schadzkę, na której najpierw postawiono wniosek, aby mnie wcale nie dopuścić do wiecu. Dyskusję nad tym wnioskiem tak opisały „Nowiny" z 12 lutego 1912: „Powiedziano krótko przed rozpoczęciem obrad, że gdy ks. Kruszka będzie miał pełne prawa i przywileje na równi z pozostałymi księżmi, to wielu się usunie, by z nim nie kolegować. Mówili bowiem, że similis simili gaudet, swój lgnie do swego, a oni nie chcą, by ktoś pomyślał to samo o nich. Gdy np. ks. Kruszka witał się z niektórymi księżmi przy stole w restauracji, to jeden ks. S. nawpół żartem nawpół serjo zawołał: Ave Rex Judaeorum — witaj królu żydowski! Powstał śmiech, ale słowa ubodły widocznie do żywego księdza Kruszkę, jeżeli później taką wielką wagę do nich przywiązywał".

Jedni więc na tym koncyljabule byli za tem, żeby mnie wcale nie wpuścić do sali obrad. Drugim jednak nie podobał się taki wniosek. Bądźcobądź zaprosili mnie na ten wiec. A teraz by mnie mieli nie dopuścić do niego. To by dziwnie wyglądało. Więc do poprzedniego wniosku zrobili poprawkę, aby mnie dopuścić do wiecu a potem wyrzucić — to będzie lepsza satysfakcja. I ta poprawka przeszła. Na tym koncyljabule była znaczna mniejszość księży obecna, ale ta mniejszość była już zorganizowana i rezolutna, t. j. w gotową rezolucję uzbrojona. A taka zorganizowana mniejszość jest zawsze większą siłą niż niezorganizowana większość. Dowodem prohibicjoniści.

Wiec rozpoczął się 7 lutego 1912 pontyfikalną Mszą w kościele św. Kazimierza w Detroit, Mich. Mszę odprawił pierwszy biskup polski w Ameryce Najprzew. ks. Biskup Rhode, asystował mu ks. Marjan Matkowski. Wzniosłe kazanie wiecowe o miłości braterskiej wygłosił J. E. Arcybiskup Weber. Słuchając kazania lub odmawiając brewjarz, wcale tego nie zauważyłem, kto i czy kto blisko mnie siedział. Ale „Nowiny" to zauważyły i dnia 12 lutego 1912 moją pozycję w kościele tak opisały:

„Już w kościele św. Kazimierza podczas nabożeństwa przedwiecowego w środę rano dnia 7 lutego 1912 wyraźnie dało się odczuć stanowisko polskich księży wobec ks. Kruszki. Gdy bowiem w innych ławkach siedziało po kilku księży, to on siedział odosobniony, sam jeden w całej ławce, aczkolwiek w ławkach przed i po nim siedziało po kilku księży razem. Tak samo i w sali jadalnej unikano wyraźnie jego towarzystwa. Szczególnie Wschód bardzo ostro wszędzie zaznaczał swe antypatje".

Ja tego wszystkiego wcale nie zauważyłem. Ale „Nowiny" to zauważyły. Jak to dobrze mieć takiego czujnego Argusa, takiego stuokiego stróża nad sobą.

16. Co było pierwszą sprawą i rozprawą na wiecu księży w Detroit? — Wyrzucić go! wołała klika. — Podniosłem się i stoję!

Wiec w sali hotelu Cadillac według programu rozpoczął się już o godzinie 1 po południu. Tak prędko po obiedzie naturalnie wielu księży się nie zebrało. Tylko księża skupieni w obozie nowiniarsko-zmartwychwstańczym stawili się na czas w pełnej liczbie. Innych wielu się spóźniło o godzinę, o dwie godziny a nawet więcej. Zebranych księży krótko po godzinie 1 powitał znany z Galicji ks. Marjan Matkowski, prezes „Stowarzyszenia Księży Polskich przy Zjednoczeniu", prosząc Arcybiskupa Webera o odmówienie modlitwy przedwiecowej a na przewodniczącego wiecu powołując Ks. Biskupa Rhodego. Znany nam korespondent zmartwychwstańczego „Dziennika Chicagoskiego" ks. I. Ostaszewski został obrany pierwszym sekretarzem wiecu a drugim ks. Jan Pociecha, notoryczny korespondent „Nowin" i wielki „reformator" prasy. Z reprezentantów prasy na sali obrad obecnymi byli tylko księża redaktorzy „Nowin" i „Dziennika Chicagoskiego".

Potem zaraz sekretarz przedwiecowy ks. W. Krakowski przeczytawszy depesze od Ojca św., od Generała Zmartwychwstańców i od innych nieobecnych dygnitarzy, odczytał także i moją wyżwspomnianą uwagę: że dopóki komitet przedwiecowy przypuszcza do wiecu reprezentantów „Nowin" i „Dziennika Chicagoskiego" z wykluczeniem innych dzienników, dopóty wiec ten będzie uważany za zjazd księży grupujących się około „Nowin" i „Dz. Ch." czyli za zjazd kliki zmartwychwstańczo-nowiniarskiej.

Odczytanie tej mojej uwagi, zwróconej nie do wiecu lecz do komitetu przedwiecowego, tuż po odczytaniu depesz od nieobec-

nych osób, było zupełnie nie na miejscu, ale było obliczone na to, żeby mnie wyrzucić z wiecu zaraz na wstępie, zanim większa liczba księży zbierze się w sali obrad. To też ledwie ks. Krakowski skończył czytać powyższą moją uwagę, zaraz cały obóz zmartwychwstańczo-nowiniarski krzyknął jak na umówiony znak:

— Wyrzucić Kruszkę! Precz z nim!

Wyrazy: wstyd, hańba, bezczelność — dały się słyszeć z lewicy, po której klika nowiniarsko-zmartwychwstańcza w kupie siedziała. Długi czas trwało, zanim przewodniczący biskup Rhode uspokoił krzyczących. W sali było wówczas nie więcej jak 200 obecnych. Krzyczących było około 60. Gdy krzyki nieco ucichły, poprosiłem o głos i wytłumaczyłem, dlaczego powyższą uwagę posłałem komitetowi przedwiecowemu. Najpierw dlatego, że komitet prosił o uwagi. Po drugie dlatego, że mojem zdaniem ta moja uwaga miała na względzie dobro i pomyślność tego wiecu. Rozejrzyjcie się, ilu was tu jest. Zaledwie 200. A ks. I. Ostaszewski spodziewał się 800. Dlaczego na wiec nie przybyło więcej księży? Winą to jest komitetu przedwiecowego, który prawem kaduka uzurpował sobie sąd o gazetach. Nie komitetowi przedwiecowemu, lecz **wiecowi** należało zostawić sąd o tem, które gazety są dobre a które złe. Popatrzcie się, kto tu jest? Są księża redaktorzy „Nowin' i „Dziennika Chicagoskiego" a reprezentantów innej prasy niema. A to dlatego, że ich komitet przedwiecowy wykluczył. Z tej przyczyny bardzo wielu księży nie przyjechało na ten wiec, bo — mówili — będzie to zjazd księży nowiniarskich i zmartwychwstańczych.

Wtem z lewicy odezwały się głosy:

— Żółta i masońska prasa jest i będzie wykluczona z wiecu, bo występuje przeciw wierze św. i przeciw duchowieństwu.

Na to odpowiedziałem: Żółtą i masońską prasą nazywacie świeckie gazety, które ogłaszają różne rzeczy przeciw wierze i przeciw księżom sobie niemiłym. Lecz czy i księże gazety tego nie czynią? Czy „Nowiny" i „Dziennik Chicagoski" za dolary nie umieszczały książki Badaczów p. t. „Plan Wieków?" Czyż za dolary nie ogłaszają tańców zakazanych? Czyż codzień nie umieszczają oszczerczych korespondencji na księży sobie niemiłych? Jeśli reforma prasy polskiej w Ameryce leży wam istotnie na sercu, to tę reformę musicie zacząć od księżych gazet a nie od świeckich.

Wtedy w obozie nowiniarsko-zmartwychwstańczym powstał taki krzyk i hałas jak gdyby tam wybuch wulkanu nastąpił. Wołano:

— Hańba mu! Precz z nim! Wyrzucić go z wiecu! On trzyma z „Kurjerem" i „Narodówką"!

— Trzymam je, ale z nimi nie trzymam. Nie solidaryzuję się z żadną gazetą.

— A dlaczego ich bronisz?

— Bronię ich chyba tak jak Chrystus bronił jawnogrzesznicy przed faryzeuszami, którzy chcieli ją ukamienować. Która z księżych gazet jest bez grzechu, ta niech pierwsza rzuci kamień na świeckie gazety.

— Ale je czytasz i piszesz do nich. A tego nie wolno ci czynić.

— Ani ja wam, ani wy mnie nie możecie zakazać czytać jakiejś gazety lub pisać do niej. Nawet wiec księży, choćby był ogólny a nie partyjny, nie posiadałby takiej władzy. Gdy mi Arcybiskup zakazał pisać do „Kurjera Polskiego", pięć lat temu, natychmiast przestałem pisać, bo on ma władzę zakazać. A do „Dziennika Narodowego", do którego mi nie zakazał, pisałem tylko wtedy, kiedy „Dziennik Chicagoski" postawił mi publiczne pytanie, na które mojej odpowiedzi umieścić nie chciał.

Na to wśród grupy 60 księży nowiniarsko-zmartwychwstańczych dały się słyszeć głosy:

— Wykręca się sianem. Wyłże nam się. Wyrzucić go czemprędzej i basta!

Ta grupa sześćdziesięciu, jak od początku tak i teraz, coraz natarczywiej domagała się natychmiastowego wykluczenia mnie z wiecu. Ale wtedy — jak piszą „Nowiny" z 12 lutego 1912 — „powstał pewien poważny kapłan, prosząc, by dano ks. Kruszce sposobność odwołania zła i poprawy: niech się wyrzecze wspólności ze złymi gazetami, niech się poprawi i wstanie". Tym kapłanem był ks. A. Syski. Jak ks. Syski sformułował swój wniosek? Otóż we formie pytania. „Nowiny" z 11 kwietnia 1912 wyraźnie opisują jego wniosek tak:

„Wtedy to ks. A. Syski, chcąc zakończyć to „wykręcanie się sianem", stawia wniosek: **Chciałbym zapytać ks. Wacława Kruszki czy chce i czy może moralnie się podnieść?**

Gdy przewodniczący Biskup Rhode z igrającym koło ust uśmiechem powtórzył mi te słowa i zwrócił się do mnie z tem pytaniem, cisza zaległa w całej sali jakby makiem posiał. Wszystkich oczy były skoncentrowane w mojej małej osobie. Każdy był ciekawy, co ja teraz odpowiem. Jakie pytanie, taka odpowiedź na

nie. Najpierw podniosłem się z krzesła, wyprostowałem się i stanąłem. Potem głośnym, dobitnym a uroczystym tonem zawołałem:

— **Podniosłem się i stoję!**

Ta prosta odpowiedź moja wśród większości wywołała uśmiech zadowolenia ale w grupę mniejszości wpadła jak bomba. Co tam był za krzyk. syk, ryk i hałas! Myślałbyś, że tam zgraja dzikich Indjan wyje i wrzeszczy. A wśród wrzasku, wśród wywijania rąk i tupania nogami krzyczano na mnie:

— Siadaj, siadaj, siadaj!

A ja stałem spokojnie patrząc na nich. Ale to ich jeszcze bardziej oburzało. Jeszcze głośniej i groźniej wołali na mnie:

— Siadaj, siadaj, siadaj!

A ja ciągle stałem nieruchomy z oczami utkwionymi w mych przeciwników. Ale im dłużej tak stałem, tem bardziej ich do wściekłości doprowadzałem. Widząc ich czoła zachmurzone, twarze wykrzywione, pięści zaciśnięte, słysząc tę wrzawę piekielną, rzekłbyś, że tam było prawdziwe pandemonjum, w którym szalały najwstrętniejsze namiętności gniewu i nienawiści. „Nowiny" z 12 lutego 1912 świadczą, że wówczas „jeden siwowłosy kapłan (ks. Antoni Lechert, porównaj tom I. stronicę 124) wykrzyknął: cóż to, czy ks. Kruszka myśli, że tu(?!) chłopcy, że ze smarkaczami ma do czynienia! Inni krzyczeli: precz z nim! wyrzucić go!" Ale z tych sześćdziesięciu ust pianą ociekłych najczęściej padał ten jeden wyraz:

— Siadaj, siadaj, siadaj!

A ja wciąż jeszcze stałem, mając pogodne czoło swe zwrócone ku tej burzliwej sześćdziesiątce. Stałem nawpół osłupiały tą niezwykłą sceną, jaka się przedemną odgrywała. Czem ich obraziłem, że oni na mnie są tak oburzeni? Co złego im powiedziałem albo uczyniłem? Czy o to się gniewają, że podniosłem się i stoję? Widocznie o to. Ale czyż sami nie chcieli, żebym podniósł się i wstał? A kiedy teraz stoję, to znowu krzyczą, żebym siadał. Skąd w nich taka sprzeczność i zawziętość? Tę psychologiczną zagadkę „Nowiny" tłumaczyły potem w ten sposób: iż to oburzenie na mnie poszło stąd, że ja na owym wiecu „wstałem w sposób sobie tylko właściwy". A w jaki inny sposób miałem wstać? czy w sposób ks. Góralowi właściwy? „Nowiny" z 11 kwietnia 1912 wyraznie piszą, że kiedy przewodniczący Biskup Rhode zapytał ks. Kruszki czy chce i czy może moralnie się podnieść, to wtedy „na to ks. Kruszka wstając w sposób sobie tylko właściwy, rzuca całej

Izbie wyzywającą odpowiedź, tak dobitnie określającą i jego charakter i cały stosunek do społeczeństwa polskiego i do wiecu kapłanów: „Podniosłem się i stoję". Tego było dosyć, a może i za wiele, bo przepełniła się miarka cierpliwości i pobłażliwości. Wpośród ogromnego oburzenia obecnych ks. I. Ostaszewski (zobacz tom I. str. 698), poparty przez ks. A. Syskiego, stawia formalny wniosek o usunięcie ks. Kruszki z wiecu, ze Stowarzyszenia Kapłanów i ze Zjednoczenia".

Wniosek ten już od samego początku wiecu leżał na stole. Ale przewodniczący dotychczas nie podał go pod głosowanie czy z obawy żeby nie przeszedł czy też z obawy żeby nie przepadł.

17. Biskup Rhode na wiecu wypowiada swoje zdanie o mnie. — Miałem zerwać z masońską prasą, choć z nią związany nie byłem.

Już od samego początku wprawdzie mniejszość księży była zdecydowana wyrzucić mnie z wiecu, ale nie większość. Tę trzeba było obrobić — powagą biskupią. Dotychczas Biskup Rhode zachował neutralność, jak na przewodniczącego przystało. Ale gdy mniejszość stawała się coraz krzykliwszą, zuchwalszą i bezczelniejszą, wtedy to — jak „Nowiny" z 12 lutego 1912 wyraźnie zaznaczają — „sam ks. Biskup (Rhode) **prosił,** by mu pozwolono jego własne zdanie wypowiedzieć. Moje zdanie — mówił ks. Biskup — w tej sprawie jest jasne. Ks. Kruszka od dawna trzymał ze złą, żółtą prasą. Zajście dzisiejsze jest poniekąd tylko okazją, bo jego cała dotychczasowa działalność i stanowisko względem gazet i federacji dowodzą, że nie jest on kapłanem według ducha Bożego. Niech więc wyrzeknie się dzisiaj wobec nas wszystkich publicznie i uroczyście trzymania ze złą prasą, niech przeprosi wiec, a wszyscy mu chętnie przebaczymy. W odpowiedzi na to zaczął ks. Kruszka znowu wywijać się bawełną, argumentować sofizmatami, np. jak on może zakazywać świeckim gazetom, kiedy niby katolicki „Dziennik Chicagoski" i „Nowiny" gorsze są od tamtych zamieszczając ogłoszenia „Planu Wieków" itd. Nie dano mu mówić, takie było oburzenie. Wymagano od niego otwartego przyznania się, że błądził, że się chce poprawić, a on drwił sobie po prostu ze wszystkich. Śmiał nawet wręcz zaprzeczyć, że nigdy ze złą prasą nic nie miał do czynienia, że tego mu nikt nie potrafi udowodnić".

Tak „Nowiny" same opisują ten smutny epizod wiecu, kiedy to pierwszy biskup polski w Ameryce prosił wiecowników, „by mu

pozwolono wypowiedzieć jego własne zdanie o mnie". I wtedy to z ust przewodniczącego Biskupa padło najcięższe oskarżenie, mianowicie, że moja **„cała** dotychczasowa działalność i stanowisko względem gazet i Federacji dowodzą, że nie jestem kapłanem według ducha Bożego". Jeśli kiedy, to wtedy wobec tak strasznego oskarżenia powinno mi być wolno mówić we własnej obronie. A jednak wtedy właśnie — jak to „Nowiny" same przyznają — „nie dano mi mówić". Jeśli mówiłem, to krzykliwa mniejszość ciągle mi przerywała zupełnie bezkarnie. Mówiłem:

— Organizowałem parafje, budowałem kościoły, tysiące dolarów dałem na szkołę, starałem się o biskupów polskich; czy to ta moja dotychczasowa działalność także dowodzi, że nie jestem kapłanem według ducha Bożego? A jeśli i pisarska moja działalność dotychczas **cała** była złą, to daj świadectwo o złem; a jeśli nie cała, to dlaczego mnie tak oskarżasz? Co do stanowiska mego względem gazet, już przed chwilą tu powiedziałem, że nie trzymam z nimi, choć je trzymam i czytam. Czy mam się wyrzec złych gazet? Jak na chrzcie świętym wyrzekłem się nie złych ludzi ale złego ducha w ludziach, świeckich zarówno jak i duchownych: tak wyrzekam się nie złych gazet lecz złego ducha w gazetach świeckich a przedewszystkiem księżych. Bo niestety, zły duch, duch kłamstwa i oszczerstwa, wkradł się do księżych gazet. Mamy potępiać nie gazety lecz złego ducha w gazetach, tak jak mamy potępiać nie ludzi lecz złego ducha w ludziach. Occidite errores, sed diligite personas. Złego ducha wypędzajmy z gazet przedewszystkiem księżych, inaczej nie wypędzimy go z gazet świeckich. Jeśli potępimy świeckie gazety a księżym gazetom ani nagany żadnej nie damy: to ostateczne rzeczy będą gorsze niż pierwsze, to świeckie gazety staną się jeszcze gorsze. A nam przecie chodzi o to, żeby były lepsze. Oto moje stanowisko względem gazet: czy ono dowodzi, że nie jestem kapłanem według ducha Bożego? Mam przeprosić ten wiec. Za co? Czy za to, że mnie zaproszono na ten wiec, a gdy tu przyjechałem z daleka, zaraz na samym wstępie przywitano mnie okrzykami: wyrzucić go? Czy za to, że mnie proszono o uwagi przedwiecowe i oświadczono, że je z wdzięcznością się przyjmie; a gdy je nadesłałem, to mi je tu ze złością w twarz rzucono? Czy za to, że mię w arogancki sposób zapytano, czy chcę i mogę się podnieść moralnie; a gdy na to odpowiedziałem, że się podniosem i stoję, to mi znowu jak sztubakowi kazano siadać?...

— Dosyć tego — zakrzyczała mniejszość z oburzeniem i wrzaskiem takim, że nie podobna mi było dalej mówić.

Na wniosek tej krzykliwej mniejszości przewodniczący Biskup Rhode zażądał teraz już stanowczej i ostatecznej odpowiedzi mojej na to pytanie:

— Czy ks. Kruszka zrywa ze złą masońską prasą czy nie?

Zadali mi takie pytanie, aby mnie przyłapać. Jakkolwiek na nie odpowiem, tak czy nie, będę przyłapany i skompromitowany. Bo przeciwnicy moi bardzo dobrze wiedzieli, że z masońską prasą nigdy nie trzymałem i nie trzymam. Więc jeżeli na powyższe pytanie odpowiem, że zrywam z masońską prasą, to temsamem już przyznam się, że trzymałem z masońską prasą; a wtedy mnie sumienie wyrzucać będzie, żem mu kłam zadał. Jeżeli zaś odpowiem, że nie zrywam, to wtedy oni mnie jako masona wyrzucą z wieca. „Nowiny" z 12 lutego 1912, opisując tę krytyczną chwilę, że „ks. Kruszka nie uważał za stosowne dać wyraźnej odpowiedzi — a żądano tylko jednego **tak"**. Ja wiedziałem bardzo dobrze, że to jedno moje „tak" byłoby sprawiło wielką radość w Izraelu, ale też wiedziałem, że byłoby sprawiło bezbrzeżny smutek w mojem sumieniu. Wiedziałem, że jedno „tak" byłoby mię uwolniło od wyrzucenia z wiecu, ale jeszcze lepiej wiedziałem, że nie byłoby mnie uwolniło od wyrzutów sumienia. Owszem, byłoby mnie skazało na wieczne udręki sumienia. Byłoby mnie uwolniło od dalszej walki z kliką zmartwychwstańczo-nowiniarską, ale naraziłoby mnie na stokroć gorszą walkę, bo na walkę z własnem sumieniem. Człowiek może śmiało walczyć z wszelką inną potęgą na świecie. Z jedną tylko potęgą walczyć nie może, a tą jest jego własne sumienie. Przed tą potęgą kapitulować jest jedynem zbawieniem, bo walka z tą potęgą jest i daremną i niegodziwą. Wolałem się dać wyrzucić aniżeli się narazić na wyrzuty sumienia. Na powyższe pytanie odpowiedziałem takiem pytaniem:

— Co mam rozumieć przez masońską prasę?

— Gazety występujące przeciw wierze i duchowieństwu — wołała krzykliwa mniejszość.

— Dobrze, to w takim razie do masońskiej prasy mam zaliczyć i „Dziennik Chicagoski" i „Nowiny", bo te także za dolary drukowały ogłoszenia przeciw wierze i brudne korespondencje przeciw księżom. (Głosy: Nie drwij z nas ale odpowiedz na pytanie, czy zerwiesz z prasą masońską!) Odpowiadam wam na pytanie jasno i wyraźnie, że **nie mam z czem zerwać,** bo z prasą ma-

sońską nigdy nie trzymałem i nie trzymam. (Głosy: Pisałeś do Narodówki i Kurjera, choć ci zakazano!) Do Dziennika Narodowego mi nie zakazano i pisałem tylko parę razy wtedy, kiedy „Dziennik Chicagoski" postawił mi publiczne pytanie, na które jednak odpowiedzi mojej umieścić nie chciał. Do „Kurjera Polskiego", od czasu jak mi zakazano, nie pisałem. (Głosy: Ale trzymasz z nim!) Nie trzymam z nim, bo wiecie sami bardzo dobrze, że ilekroć „Kurjer" ogłosił jakiś artykuł przeciw wierze, jak np. o spowiedzi, występowałem publicznie przeciw „Kurjerowi" nawet w innych gazetach. (Głos: Ale prywatnie go inspirujesz!) Inspirowałem go o tyle, że go gromiłem za ogłoszenie „Planu Wieków", za ogłoszenia zakazanych tańców sobotnich i za osobiste zaczepki księży. Ale ilekroć go tak upominałem a nawet gromiłem, dostawałem zawsze taką cierpką ale słuszną odpowiedź: „Czy księże gazety takich ogłoszeń nie umieszczają? Czy innych księży osobiście nie zaczepiają? czy ciebie zwłaszcza prawie codzień nie oczerniają? I ty żądasz żeby nasze świeckie gazety były bardziej katolickie niż księże. Za wiele od nas żądasz". Na to odpowiadałem: „Świeckie gazety źle i głupio sobie postępują, jeśli zgorszenie **biorą** od księżych gazet". Ale wam tu dziś powiadam: „Jeszcze gorzej postępują księże gazety, że zgorszenie **dają** świeckim gazetom". O zły przykład księżej prasy, jak o szkopuł, rozbijają się największe nasze wysiłki o naprawę świeckiej prasy. Miliście wy mnie, miły mi biskup Rhode, ale najmilsza mi ta prawda, i przy niej stać będę, że jeśli chcemy zreformować prasę polską w Ameryce, to tę reformę musimy zacząć od księżych gazet. Niech Jego Ekscelencja Arcybiskup Weber osądzi, czy nie mam słuszności. (Głosy: Trzymasz z masonerją i Federacją!) Federacja Świeckich Polaków-katolików w Ameryce powstała za waszą własną sprawą, i dlatego jej nie zabijajcie, jeśli nie chcecie zabić ducha publicznego w świeckich katolikach. Raczej się cieszcie, że świeccy biorą żywszy udział w publicznych sprawach Kościoła. Jeśli do Federacji wkradł się zły duch, to go wypędzajcie, ale Federacji jako takiej nie potępiajcie. Złego zaś ducha wypędzajcie dobrym duchem miłości a nie złym duchem nienawiści i przekleństwa. Złem złego, Belzebuba Belzebubem, z Federacji nigdy nie wypędzicie. Klątwą ściągniecie tylko przekleństwo sami na siebie, bo świeccy, klątwą rażeni, zrażą się i zobojętnieją dla spraw kościelnych.

Z powyższego zwrotu mego do Arcybiskupa Webera „Nowiny" z 12 lutego 1912 widocznie się zgorszyły, kiedy tak piszą:

Gdy ks. Kruszka „nawet od przewodniczącego ks. Biskupa Rhodego chciał się odwołać do obok siedzącego ks. Arcyb. Webera, wtedy ogólne napięcie przeszło w jeden ogromny wyraz oburzenia“. Mojem skromnem zdaniem przewodniczący biskup Rhode, gdy „prosił by mu pozwolono wypowiedzieć zdanie o mnie“, powinien był na przewodniczącego poprosić Arcybiskupa Webera.

18. Biskup Rhode na wiecu odczytał ustęp z „Planu Wieków“ jako mój artykuł i przez to wywołał oburzenie większości przeciwko mnie. — Zostałem wyrzucony z wiecu.

Wniosek o wyrzucenie mnie z wiecu już prawie godzinę leżał na stole, a nie przyszedł pod głosy. Wprawdzie od samego początku ciągle krzyczano: wyrzucić go!, precz z nim! Ale tych krzyczących była zawsze tylko mniejszość. Większość księży na wiecu zachowała się przyzwoicie i spokojnie z lekkim uśmiechem politowania przypatrywała się awanturom, jakie hałaśliwa mniejszość wyprawiała. Widocznie dotychczasowe oskarżenia, choć liczne, a ciężkie, nie wywarły na większości pożądanego przez mniejszość skutku. Oskarżenie, że trzymam z masońską prasą, było śmieszne i chybiło celu. Wymyślono więc nowe oskarżenie, mianowicie to, że do gazet pisałem różne rzeczy przeciwko wierze świętej. Poprosiłem o dowody. „Na to — piszą „Nowiny“ z 12 lutego 1912 — powstały głosy: wiemy, że tak było, nie trzeba dowodów, nas nie potrafią podejść. Gdy mimo to ks. Kruszka obstawał przy żądaniu „dowodów“, wtedy powstał ks. Biskup Rhode i poprosił jednego z księży, by poszedł do jego pokoju i przyniósł znajdujące się tam numery „Dziennika Narodowego“. Chociaż izba obstawała przy tem, że wierzy ks. biskupowi, że nie potrzebna to fatyga, to jednak przewodniczący obstawał, by ks. Kruszce dano żądane dowody. Za kilka minut przyniósł ów wysłany ksiądz kilka numerów „Dziennika Narodowego“, które następnie sam ks. biskup publicznie odczytał“. Tu „Nowiny“ opisują, jak biskup Rhode publicznie odczytał rzeczywiście jeden z moich artykułów, w którym radziłem „Dziennikowi Narodowemu“ zawsze pisać prawdę, a unikać kłamstwa. Gazeta, pisząca kłamstwo, choćby afiszowała się nazwą katolicką, w rzeczy samej jednak nie jest katolicką. A gazeta, pisząca prawdę, choćby nie nosiła nazwy katolickiej, to jednak w rzeczy samej jest katolicką. Bo na tym świecie równie wiele jest nazw bez rzeczy jak rzeczy bez nazwy. Oto treść mego artykułu, jaki biskup

publicznie odczytał na wiecu. Większość księży nie widziała w tym artykule moim nic złego. A i mniejszość daremnie w nim chciała widzieć dowód, że trzymam z masońską prasą.

Atoli nie darmo mówi przysłowie: gdzie nie można przeskoczyć, tam **podleść** trzeba. Istotnie teraz się stało coś tak **podłego** i tak djabelnie podstępnego, że nawet nieprzebredne „Nowiny" uważały za stosowne pokryć to zupełnem milczeniem. Otóż po przeczytaniu pierwszego rzeczywiście mojego artykułu, przewodniczący biskup Rhode odczytuje drugi — mój artykuł? Gdzie tam! Odczytuje ustęp z ogłoszenia „Planu Wieków" tej treści: „Chrystus leżał na twardem żłóbku, a papież spoczywa na miękkim puchu; Chrystus chodził w prostych szatach, a papież nosi jedwabne; Chrystus mieszkał w stajence, a papież w pałacu, zatem papież nie jest namiestnikiem Chrystusa".

Kiedy biskup Rhode coś podobnego odczytał **jako mój artykuł**, wtedy dopiero, a nie prędzej, na wiecu zerwała się ogólna burza nietylko wśród mniejszości, ale i wśród większości księży. I chociaż w poprzednich burzach ciągle biły tę pioruny „precz z nim, wyrzucić go! tu nie miejsce dla niego! my nie chcemy z nim razem zasiadać" — to jednak dopiero teraz piorun we mnie uderzył i zabił mnie w opinji większości księży na wiecu, choć nie wszystkich. Daremnie prosiłem o głos. Przewodniczący nie dał mi mówić, lecz jakby upojony złością artykułu, który dopiero co publicznie odczytał, wniosek o wyrzucenie mnie z wiecu odrazu dał pod głosowanie. I głosujących przez powstanie za wnioskiem było około 120, a nie głosujących było około 80. Bo wówczas zaraz po obiedzie w owej pierwszej godzinie wiecu nie było więcej niż 200 obecnych w sali obrad. „Nowiny" oczywiście widziały już wówczas „przeszło 360" księży obecnych w sali wiecowej, z których „wszyscy powstali z wyjątkiem trzech czy czterech, gdy poddano pod głosy ów wniosek" o wydalenie mnie z wiecu. Komitet przedwiecowy nie przypuścił wówczas reprezentantów żadnej innej prasy, jak tylko „Nowin" i „Dziennika Chicagoskiego". Każdy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości: ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego (Jan 3, 20).

Wykluczenie mnie z wiecu „Nowiny" z 12 lutego 1912 tak opisują: „Gdy poddano pod głosy ów wniosek, to wszyscy powstali z wyjątkiem trzech czy czterech, którzy nibyto siedzieli, niby powstali, bo się tylko do połowy podnieśli. Ponieważ nie było ani je-

dnego głosu za ks. Kruszką, więc przewodniczący oznajmił, iż ks. Kruszka na jednogłośne życzenie ma opuścić salę obrad. Co też ks. Kruszka, blady i znękany, ale z wyzywającą miną, bezzwłocznie uczynił. Cisza grobowa, cisza ponura, a równocześnie groźna, zaległa salę obrad, gdy ks. Kruszka wychodził. Nikt ani nawet nie spojrzał na wychodzącego, tak wszyscy byli oburzeni i przygnębieni, że znalazł się pomiędzy klerem polskim ksiądz, który miał wszelką sposobność nawrócić się ze złej drogi, jednym „tak" mógł zaznaczyć, iż łączy się i solidaryzuje z ogółem, a tego nie chciał w swej bucie i zarozumiałości uczynić. Wszyscy ubolewali nad tem ogromnie, ubolewali serdecznie. Że prawdę napisałem... poświadczyć to może każdy z obecnych tamże 360 księży (których tam wówczas tylu nie było!) Dodam tylko to, że w tym czasie nie było na sali żadnego reprezentanta prasy (oprócz księży reprezentantów „Nowin" i „Dziennika Chicagoskiego"), że stąd inne opisy są niedokładne i nieautentyczne".

Gazety bowiem wszystkie w Ameryce przez całe miesiące szeroko się rozpisywały o tem zajściu na wiecu księży polskich w Detroit. Że moja krytyka komitetu przedwiecowego była słuszną, to uznał potem, niestety po niewczasie, sam biskup Rhode, jak to poświadcza księży „Wielkopolanin", organ unii św. Józefa w Pittsbungu, którego także nie dopuszczono na początek wiecu. „Wielkopolanin" 22 lutego 1912 tak pisze: „Że ze strony ks. Krakowskiego, a względnie komitetu przedwiecowego, w stosunku do prasy polskiej był nie zanadto dobrze obliczony i rozważony krok, najlepszym dowodem tego jest to, że nawet żądanie niektórych z obecnych na wiecu księży domagania się usunięcia prasy, już poza przeprowadzeniem sprawy księdza W. Kruszki, spotkało się z zarzutem przewodniczącego biskupa Rhodego, który nie dopuścił do głosu, tem samem uznał, że nawet pierwsze niedopuszczenie reprezentantów prasy na rozprawę księdza W. Kruszki nie było po Jego myśli. Boć rzeczywiście można było być z góry przekonanym, że sprawa ta wyjdzie na jaw i czy ten czy ów z obecnych poda takową swoim znajomym do wiadomości. Przez wykluczenie z tego posiedzenia reprezentantów świeckich więcej uczyniono szkody, gdyż niepowołani opiekunowie mogli dowolnie fantazjować na tym punkcie, podając niebywałe rzeczy i rozprawy na posiedzeniu rzekomo przeprowadzone, gdyby zaś byli obecni reprezentanci, tylko prawdziwe sprawozdanie doszłoby do pism i między Polonię

amerykańską. Całe to zajście z prasą będzie nauką na przyszłość i na następnych wiecach można być pewnym, że się nie ponowi".

Jeszcze w dwa i pół miesiąca po wiecu, urzędowy organ tegoż wiecu „Nowiny" z 19 kwietnia 1912 takie pobożne rozmyślania czy wymyślania o mnie napisały:

„Ks. Kruszka opuszcza wiec... Pod pióro ciśnie się pytanie: jak wytłumaczyć tak dziwny charakter człowieka, istoty rozumnej, ks. Kruszki? Jak można w taki sposób bezwzględny i śmiały i czelny płynąć przeciw ogólnemu prądowi? Co za nieugięty charakter, który potrafi stanąć na poprzek rozumnym żądaniom całego społeczeństwa, biskupów, kapłanów, braci w Ameryce? Co się działo w duszy tego człowieka, gdy pośród ogólnego potępienia „hańba mu" z cynicznym wyrazem twarzy woła: „Podniosłem się i stoję"?! Prawda, że trudno nam dać pewną odpowiedź, boć tylko sam Stwórca znał jego ówczesne myśli, jego uczucia, które zaślepiły zdrowy jego rozsądek. Lecz — my ludzie, po ludzku dociekający tajników ducha brata naszego, robimy wnioski, może mylne... Chwila ta wielom stawiła żywo przed oczy znaną historję Lutra przed sądem zebranych dostojników Kościoła katolickiego. Takie wielkie podobieństwo w głównych punktach... Tak, ks. Kr. nie otrzymał infuły biskupiej w Rzymie w czasie, gdy tak silnie zabiegał o biskupów polskich u Stolicy Apostolskiej jako delegat Polonji amerykańskiej. Komu innemu — godnemu się ona dostała. Stąd zazdrość, stąd pycha prowadzi ks. Kruszkę na bezdroża. Ten powód, zdaniem wielu, pcha go do czynów niegodnych kapłana katolickiego. Bogdajbym był fałszywym prorokiem, lecz **twierdzę stanowczo,** iż ks. Kruszka zaprzągł do rydwanu swojego brata Michała, redaktora „Kurjera Polskiego" i „Dziennika Narodowego", by wytworzyć dla siebie przez wspomniane pisma opinję pośród czytelników, znajomych i parafjan swoich — „męczennika narodowego", a potem stanąć na czele osławionej, a stworzonej również przez siebie „Federacji Katolików Świeckich", a — i — odszczepić się od Kościoła katolickiego".

W takich to oszczerczych insynuacjach lubowała się prasa zmartwychwstańczo-nowiniarska. I taka to księża prasa najgorliwiej domagała się reformy prasy świeckiej! W powyższem twierdzeniu o zazdrości i pysze było tyle prawdy, co w tem „stanowczem twierdzeniu", że jak Luter chcę się odszczepić od Kościoła. Rzucanie takich ohydnych oszczerstw na kapłana i proboszcza ka-

tolickiej parafji uchodziło księżym gazetom zupełnie bezkarnie, ba, w chorobliwej wyobraźni nowiniarskiej uchodziło nawet za znamię katolicyzmu i za „posługę Bogu uczynioną"; podczas gdy za mniejsze przestępstwa wyklinano świeckie gazety. Takie to były czasy i takie obyczaje!

Co się działo w duszy mojej podczas burzy wiecowej? pytają naiwnie „Nowiny". Działo się to, co się dzieje z oceanem podczas burzy: z wierzchu szum i nawałnica, a w głębi oceanu cisza i spokój. Taksamo w głębi duszy mej była cisza i spokój, choć o moje uszy obijał się wrzask nowiniarzy. A ten błogi wewnętrzny spokój dawało mi zamiłowanie prawdy i łaknienie sprawiedliwości. Dlatego podniósłszy się, stałem spokojnie, pomimo, że nowiniarze mi pokoju nie dawali, bo go nie mieli. A co się działo w duszy mej, gdym opuszczał wiec? Powiedziałem sobie: Spełniło się! Spełnilo się obowiązek pomimo przeciwności. W jednej godzinie powiedziało się prawd tyle, ile by bez tych przeciwności w ciągu całego wiecu się nie powiedziało. A powiedziało się to za łaską Bożą, która we mnie próżną nie była. Nie napróżno więc przyjechałem na ten wiec do Detroit. To się działo w duszy człowieka mojego.

19. Kongratulacje od księży. — Wiadomości, jakie biskup Rhode podał o mnie do gazet angielskich.

Po tej całogodzinnej rozprawie na wiecu było mi sucho w gardle i dlatego ze sali obrad poszedłem napić się piwa. Niebawem też, ponieważ pierwsza sesja wiecu się skończyła, nadeszli liczni księża i wszyscy składali mi kongratulacje, nikt nie myślał o kondolencji. Winszowali mi wysokiego odznaczenia, jakiem mnie wiec ten obdarzył, i mówili:

— O nas, choć tu trzy dni pobawimy, mało kto będzie wiedział, żeśmy byli na wiecu. A o księdzu, który tylko godzinę był na wiecu, wszyscy się dowiedzą, że był na wiecu.

Ale najbardziej się śmiali z tej zabawnej pomyłki, tego małego qui pro quo, że co jakiś Badacz napisał, to biskup Rhode odczytał jako mój artykuł. Mówili:

— To był podstęp z góry ukartowany. To jakiś nowiniarz pomiędzy wycinki z księdza artykułów wsunął ten wycinek z „Planu Wieków". Myśmy wiedzieli, że ksiądz coś podobnego o papieżu nie napisał. Ale inni, którzy księdza bliżej nie znali, uwierzyli temu.

bo tak przecie sam biskup czytał, i przeszli na stronę krzykliwej mniejszości.

Kiedy tak o tej rzekomej mojej „napaści na papieża", dla której mnie wyrzucono, między sobą rozmawialiśmy, wtedy właśnie nadszedł chłopiec z angielskimi gazetami pod pachą. Teraz się naocznie przekonałem, że owe qui pro quo było z góry uplanowane. W dzienniku „Detroit Journal" 7 lutego 1912 na pierwszej stronicy ukazał się taki duży dwucalowy nagłówek: „Priest expelled from convention. Father Kruszka, Milwaukee, ousted on refusing to apologize for articles attacking papal authority", to znaczy „Ksiądz wyrzucony z wiecu. Ksiądz Kruszka z Milwaukee wyrzucony dlatego, że nie chciał odwołać artykułów **napastujących powagę papieską"**. Pod tym sensacyjnym nagłówkiem znajduje się wiadomość zupełnie zgodna z powyższym nagłówkiem: „Po długich debatach 300 księży, zebranych w hotelu Cadillac na wiecu, dziś po południu został ks. Wacław Kruszka, proboszcz kościoła św. Wojciecha w Milwaukee, wyrzucony z wiecu. Ks. Kruszka był oskarżony o pisanie płomiennych artykułów **przeciw papieżowi** w gazecie swego brata milwauckim „Kurjerze" i innych antyreligijnych gazetach polskich".

Taką samą wiadomość, zaczerpniętą u źródeł t. j. od kierowników wiecu, a rozesłaną telegrafem, ogłosiły wszystkie inne gazety angielskie w Detroit i w całej Ameryce.

Zbliżył się wtedy do mnie ks. Edward Kozłowski i rzekł:

— Aleśmy ci dali baty!

A ja mu na to:

— Bat ma dwa końce, a tym grubszym końcem wy dostaniecie za to, że słowa „Planu Wieków" w podły i podstępny sposób daliście odczytać na wiecu jako moje słowa. Wy wiecie, że ja czegoś podobnego o papieżu nie pisałem. Wy tem kłamstwem świat przejdziecie ale niem nie wrócicie. Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Jednak tego ks. Edwarda Kozłowskiego pokochałem bardziej od innych jemu podobnych. A to za ten jego piękny odczyt, jaki wygłosił na owym wiecu w Detroit. Wprawdzie nie byłem obecny na tym jego odczycie, bo wyrzucony z wiecu wsiadłem na pierwszy lepszy pociąg i odjechałem z Detroit do Milwaukee. Ale w księżym „Wielkopolaninie" z 22 lutego 1922 wyczytałem co następuje:

„W drugiej części swego odczytu, ks. Edward Kozłowski, mówiąc o mianowaniu pierwszego biskupa Polaka, zwraca się do ks. biskupa Rhodego po przeczytaniu artykułu angielskiego, jaki pojawił się w prasie angielskiej w tym czasie, a przedstawiał biskupa Rhodego, jako przyszłego amerykanizatora Polaków w Ameryce, i zauważa, że zupełnie zmylili się Amerykanie, a Polacy tem większe pokładają zaufanie w pierwszym swoim dostojniku Kościoła. Naznaczono wprawdzie ks. P. Rhodego pierwszym biskupem z narodu polskiego, lecz bez władzy; otóż zgromadzone obecnie duchowieństwo polskie na ziemi amerykańskiej utworzyć powinno jedną wielką diecezję, a nad nią z rzeczywistą władzą pasterzowania mianuje biskupa Pawła Rhodego przewodnikiem i najwyższą głową. Są polskie diecezje w starym kraju, my łączymy się ze starym krajem i do istniejących diecezyj starokrajskich dodajemy nową na ziemiach Ameryki, a pierwszej tej wielkiej diecezji biskupem niech nam będzie ks. Paweł Rhode".

Utworzyć polskie diecezje w Ameryce! Otóż do tego samego celu dążyła Federacja Świeckich Polaków w Ameryce. Tylko drogą dłuższą, bo przez Rzym, ale za to drogą prostą i pewną! A „zgromadzone na wiecu duchowieństwo" do tego celu dążyło wprawdzie drogą krótką, „a short cut", bo przez episkopat niemiecko-ajryski, ale za to krętą i niepewną. Niepewną — bo już w trzy dni po wiecu episkopat niemiecki klątwą obłożył tę myśl o diecezji polskiej w Ameryce, w samym zarodku ją zdusić usiłując. Powiedziały „Nowiny", że episkopat amerykański to potęga, z którą się nam **liczyć trzeba.** Tak, ale którą się **łudzić nie trzeba,** że ona da się ugłaskać i zjednać dla polskości. Pokora, to zamiłowanie prawdy, a nie złudzeń. Pokora nie zależy na tem, by się przed biskupami płaszczyć, im pochlebiać. Kto się płaszczy i pochlebia, by coś zyskać, jest podłym, a nie pokornym. Trzecia rezolucja wiecu detroickiego brzmiała tak: „Wiec niniejszy wyraża miłość, szacunek i poważanie dla całego Episkopatu amerykańskiego", który zawsze zajmował stanowisko nieprzychylne **do polskości,** usiłując zdusić wszystko, co polskie. Rezolucja więc wiernopoddańcza była co najmniej zbyteczną i dała gazetom powód do pisania o wiecu księży polskich, że „polskość wiecowa to pokrywka fałszywa, pod którą kryje się zdrada sprawy polskiej przez duchowieństwo polskie".

Powróciwszy do Milwaukee, w domu dostałem całe stosy wycinków z gazet angielskich od milwauckiej Spółki Wycinkowej czyli „The Clipping Company". Obstąpili mnie także reporterzy

jak komary natrętne. Spisywali i ogłaszali w gazetach cały mój życiorys z portretem, jak gdybym już umarł i pogrzeb miał się odbyć. Między innymi reporter dziennika „The Milwaukee Sentinel“ pokazał mi wywiad u biskupa Rhodego, który o mnie tak powiedział: „Okazało się, że poglądy ks. Kruszki nie zgadzały się z polityką i materjalnymi sprawami wiecu. On różnił się w poglądach z każdym księdzem. Wszelkie usiłowania, aby w ważnych sprawach przyjść do porozumienia z ks. Kruszką, spełzły na niczem“. Na to reporterowi odpowiedziałem: „Co rozumieć należy przez ważne sprawy wiecu księży w Detroit? **Sprawami wiecu** można nazwać tylko te wnioski, które stawione i poparte przeszły uchwałą większości księży zebranych na wiecu. Już zaś za mojego pobytu na tym wiecu **pierwszą i jedyną** sprawą wiecu była sprawa wydalenia mnie z wiecu. Poglądy moje na tę sprawę oczywiście różnić się musiały od poglądów innych księży. Za mojego pobytu na tym wiecu żadnych innych spraw nie załatwiono większością głosów. Więc jakżeż mogłem w innych „ważnych sprawach wiecu“ wyrazić różnicę poglądów? A nawet choćbym był ją wyraził, to skoro byłem zaproszony na wiec, miałem najzupełniejsze prawo do wyrażenia wszelkich poglądów choćby najradykalniejszych, a wiec nie miał żadnego prawa wyrzucać mnie dlatego, że w moich poglądach różniłem się z większością. W przeciwnym razie nie trzeba mnie było zapraszać na wiec“. Tę odpowiedź umieścił „The Milwaukee Sentinel“ dnia 9 lutego 1912.

Inne wiadomości, jakie o mnie biskup Rhode uważał za stosowne podać do angielskich gazet, były również nacechowane przesadą. Naprzykład w „Detroit Journal“ 8 lutego 1912 biskup Rhode tak się wyraził: „Nie wierzę, żeby w całym polskim klerze w Ameryce był choć jeden ksiądz, któryby podzielał poglądy, jakie ma ks. Kruszka. Co do kwestji biskupa polskiego lub narodowej hierarchji polskiej w Ameryce, to ta sprawa spoczywa w ręku władz kościelnych, które, my to wiemy, czynią co najlepsze dla wszystkich narodowości dotyczących. Rzeczywisty kłopot jest w tem, że ks. Kruszka, garstka salunistów i inni usiłują zreformować Kościół. Otóż jak na te ich usiłowania zapatrują się księża, pokazuje ten przedstawicielski wiec. Mamy tu na tym wiecu z całego kraju księży, którzy usiłowania owych ludzi jednomyślnie potępili“.

Powyższa wzmianka o „garstce salunistów“ to aluzja do Federacji Świeckich Polaków katolików w Ameryce. Biskup, będąc

z przekonania prohibicjonistą, w tej Federacji widział przedewszystkiem wzgardzonych salunistów. Wiemy już, skąd „Federacja Świeckich" powstała. Wiemy, jak arcybiskup Messmer czarne na białem w liście do mnie oświadczył, że jest święcie przekonany, iż biskupów polskich żądają tylko księża, a nie lud polski. I dlatego postarał się dla Milwaukee o biskupa Czecha, a nie Polaka. Lecz wtedy polski lud podniósł się jako lew groźny i przekonał arcybiskupa Messmera również święcie, że to on, lud, żąda biskupów polskich, a nie sami księża. Stąd zorganizowana Federacja Świeckich Polaków Katolików w Ameryce rosła z dniem każdym i przybierała zastraszające dla biskupów niemieckich rozmiary. Wiemy, że ta Federacja usiłowała 1) uzyskać biskupów polskich z władzą dla Polaków, 2) uporządkować finanse parafjalne i 3) ulepszyć szkoły parafjalne. Dla tych dwóch ostatnich usiłowań stała się postrachem także dla pewnego odłamu księży, którzy na wiecu w Detroit rej wodzili i którzy też te usiłowania Federacji, jak biskup Rhode zaznaczył „jednomyślnie potępili". Odsłonięcie przed światem prawdziwego stanu finansów parafjalnych potępili jako „sekularyzację majątków kościelnych", a odsłonięcie przed światem prawdziwego stanu szkół parafjalnych potępili jako „sekularyzację szkół". Wraz z tą „Federacją Świeckich" potępili i gazety świeckie, które tej Federacji sprzyjały. Co więcej, wymogli na biskupach niemieckich, żeby na to ich potępienie przyłożyli pieczęć klątwy kościelnej. Co też biskupi niemieccy z największą chęcią uczynili, bo im chodziło o zniweczenie pierwszego zwłaszcza usiłowania Federacji. A najbardziej się cieszyli z tego, że pierwszy biskup polski stanął na czele tych księży, którzy potępiali usiłowania reformy szkół i finansów parafjalnych. Trzeba bowiem wiedzieć, że nasi ludzie upominali się o biskupów polskich nie z jakiegoś szowinizmu narodowego, ale **z rzeczywistej potrzeby** lepszych opiekunów kas i szkół parafjalnych. I dlatego swoje usiłowania o biskupów polskich złączyli z usiłowaniami o lepszy system finansowy i szkolny, sądząc, że swoi prędzej ich usiłowania poprą niż obcy. A tu pierwszy biskup polski trzyma z tymi księżmi, którzy te ich usiłowania potępiają. Teraz im się odechce mieć więcej biskupów polskich. Tak rozumowali biskupi obcy i dlatego potępienie Federacji przez wiec chętnie przypieczętowali klątwą kościelną: Potępienie usiłowań ludu polskiego przez polskich księży było wodą na młyn biskupów obconarodowych. Bynajmniej nie przysłużyło się sprawie biskupów polskich, lecz ją pokpiło.

20. Z Federacji musiano zrobić karykaturę, aby ją ukarać. — Federacji i gazet jej ani nie ostrzeżono ani nie przesłuchano.

Źle z Kościołem, gdzie sprawy kościelne są tylko wyłączną troską kleru. Sprawy kościelne powinny być nietylko wyłączną troską kleru, ale także ludu, który sprawami tymi żywo interesować się powinien. Biskup Rhode upatrywał „rzeczywisty kłopot w tem, że ks. Kruszka, garstka salunistów i inni usiłują zreformować Kościół". Rzeczywiście w Federacji była tylko „garstka salunistów", a tych „innych" były legjony. I w czem oni usiłowali zreformować Kościół? czy w dogmatach? Nie. Usiłowali zaprowadzić lepszy system w finansowym zarządzie parafji, żeby się nie powtórzyła smutna historja takiego Jozafatowa w Milwaukee. Czy w tem usiłowaniu było co złego? Dalej usiłowali zaprowadzić lepszy system naukowy w polskich szkołach parafjalnych, by te „twierdze polskości" wszędzie stały na równi ze szkołami publicznymi, a zarazem pozostały jednak prawdziwymi „twierdzami" przeciw anglizacyjnym zakusom biskupów obconarodowych. Czy w tem usiłowaniu było co zdrożnego? Ale może do tych celów dążyli drogą nieprawną i niegodziwą? Też nie. Aby dopiąć pierwszego celu, usiłowali zaprowadzić wszędzie publiczne sprawozdania z szczegółowym zwłaszcza wykazem dochodów pożyczkowych. Aby dopiąć drugiego celu, usiłowali ustanowić wszędzie Rady Szkolne, zgodnie z prawem Koncyljum Baltimorskiego. Wiedzieli jednak z doświadczenia, że pod macoszą opieką biskupów obconarodowych te ich usiłowania spełzły na niczem. Dlatego pierwszem i największem ich usiłowaniem było wydobyć parafje polskie z pod tej dotychczasowej macoszej opieki, a oddać je pod czujną i czułą bo macierzyńską opiekę swoich własnych polskich biskupów. W tym celu usiłowali pozyskać od Stolicy świętej polskich — nie sufraganów ale — biskupów z pełną władzą dla Polaków. Żeby zaś udowodnić, że takie życzenia są życzeniami nie jednostek, nie księży tylko, ale i całego ludu polskiego, w tym celu usiłowali stanąć gromadą wielką, jedną, potężną, zwartą falangą, organizując „Federację Świeckich Polaków Katolików w Ameryce". Bo tylko taki zbiorowy głos ludu mógł raz na zawsze ubić to bezczelne kłamstwo, nieustannie powtarzane w Rzymie, że nie ludzie, tylko księża życzą sobie biskupstw polskich w Ameryce. Czy i w tem usiłowaniu Federacji było co złego? Czyż nie było raczej coś szlachetnego w tem usiłowaniu, żeby w Rzymie oczyścić kler polski z zarzutu, jakoby

on tylko, a nie lud żądał polskich biskupów? Czyż ci świeccy Polacy katolicy nie zabrali się do tego usiłowania z milczącem wprawdzie ale wyraźnem pozwoleniem księży nawet nowiniarskich?

A tu teraz w angielskich gazetach biskup Rhode oświadczył, że „księża z całego kraju zebrani na wiecu, jednomyślnie potępili te ich usiłowania". Taka radykalna zmiana frontu u księży, rzecz naturalna, wpłynęła i na zmianę frontu u świeckich. Świeccy odtąd, jak to następne lata wykazały, coraz mniej interesowali się sprawami kościelnymi i szkolnymi, a nawet całkiem zobojętnieli dla nich.

Ale może te ich usiłowania nie były takimi, jak je powyżej wyłożyłem? Na to pytanie zaraz 9 lutego 1912 pan Stanisław Łempicki, generalny organizator Federacji, dał w detroickiej „Free Press" taką odpowiedź: „Biskupa Rhodego oświadczenie, że Federacja składa się ze salunistów i ludzi niepoczytalnych, jest krzywdzącem. Członkiem Federacji może być tylko praktyczny rzymsko-katolik i wzorowy parafjanin, a nikt inny. Nadto, członkami Federacji jest około 40 parafij, reprezentowanych przez swoje prawnie ustanowione komitety parafjalne. Ja sam tu w Detroit w tych dniach 10 parafij zorganizowałem w federację. Federacja nie jest i nie będzie burzliwym żywiołem w kościele. Nasz cel jest trojaki. Podnieść oświatę przez ulepszenie szkolnictwa. Zaprowadzić lepszy system finansowy w parafjach. I uzyskać biskupów polskich z pełną władzą. Naszem szczerem pragnieniem jest pracować ręka w rękę z klerem polskim, o ile to od nas zależy".

Że więc takie, a nie inne były usiłowania Świeckich, to było faktem tak w oczy bijącym, że tylko zaślepieni nienawiścią widzieć go nie mogli. Że te usiłowania Świeckich były szczerze, a nie obłudnie takimi, to było faktem tak oczywistym, że go zbić nie było można, a tylko można go było przekręcić. I koniecznie trzeba go było przekręcić, żeby go potępić. Te faktyczne usiłowania Świeckich trzeba było koniecznie w innem, nieprawdziwem świetle przedstawić, bo tak, jak się prawdziwie przedstawiały, były nie potępienia lecz pochwały godne. I przedstawiono. Usiłowania, żeby prawdziwy stan finansów i szkół parafjalnych odsłonić przed światem, przedstawiono jako usiłowanie, żeby „zeświecczyć czyli sekularyzować" szkoły i majątki kościelne. A usiłowanie uzyskania biskupów polskich z pełną władzą przedstawiono jako usiłowanie utworzenia odszczepieńczego narodowego kościoła za przykładem Hodura. To ostatnie przedstawienie było najprzewrotniejsze, ale też i najśmieszniejsze, bo najgłupsze.

A na czele tak śmiesznie przedstawionej Federacji przedstawili mnie jako Lutra. Reporter więc zapytał biskupa Rhodego, czy będzie mi wytoczony proces o herezję. Na to mu biskup odpowiedział, że „nie myśli, żeby proces o herezję był wytoczony ks. Kruszce, lecz że ta rzecz należy do arcybiskupa Messmera". (Zobacz w „Detroit Journal" 9 lutego 1912 artykuł p. t. „No Heresy Proceedings"). Reporter bowiem milwauckich „Daily News" 8 lutego 1912 rano był w rezydencji arcybiskupa Messmera, gdzie mu udzielono takiej informacji: „Wykluczenie ks. Kruszki z wiecu polskiego jest sprawą, z którą władza kościelna nie ma nic do czynienia. Jest to po prostu spór między księżmi polskimi, należącymi do osobnej organizacji, która z Kościołem się nie łączy i z której ks. Kruszka został wyrzucony przez swoich własnych konfratrów".

Przeczytawszy powyższy wywiad, wyszły z rezydencji arcybiskupiej, każdy Polak katolik wierzący swemu arcybiskupowi mógł słusznie przypuszczać, że taki wywiad nie może być prostem mydleniem oczu. Że zatem, jeśli „wykluczenie ks. Kruszki z wiecu jest sprawą, z którą władza kościelna nie ma nic do czynienia", to i wykluczenie z Kościoła czyli ekskomunikowanie Federacji i popierających ją gazet jest również taką sprawą, z którą władza kościelna nie ma nic do czynienia. Gdyby zaś — czego nie daj Boże — miała zamiar ekskomunikować, to postąpiłaby zgodnie z duchem prawa kościelnego. To jest, dałaby Federacji i popierającym ją gazetom najpierw ostrzeżenie i tak zwane kanoniczne upomnienie. Ekskomunika bowiem jest najcięższą karą w Kościele katolickim. Większej nad nią niema. Jak miecz zabija ciało, tak exkomunika czyli klątwa, mieczem duchowym nazwana, wkońcu wieczną śmierć duszy sprowadza. Ponieważ klątwa jest karą najcięższą, więc prawo kościelne pozwala ją stosować tylko za „zbrodnię zewnętrzną, ciężką, dokonaną, z uporczywością popełnioną". I wtedy nawet pozwala ją stosować „trzeźwo, ostrożnie i oględnie". (Kanon 2241—2.) Biskupi „nie mają prawa posługiwać się ekskomuniką dla osobistych względów lub za osobistą obrazę". „Klątwa może dotknąć tylko osobę fizyczną (jednostkę), i dlatego, jeśli czasem ją rzuca się na osobę moralną (organizację lub redakcję), to rozumie się, że dotyka ona te jednostki, które w zbrodni współudział biorą" (kanon 2255). A te jednostki muszą uporczywie trwać w złem, inaczej ich ekskomunika nie dotyka. Uporczywe trwanie w złem jest koniecznym warunkiem, bez którego ekskomunika byłaby nie ważną. A takiej uporczywości nie można supponować, lecz

trzeba ją udowodnić. Stąd przepis, że ekskomunikę musi poprzedzać potrójne ostrzeżenie tego, któremu się tą karą grozi. W wyjątkowych razach można te ostrzeżenia zredukować do dwóch, a nawet do jednego. Opuszczenie tych ostrzeżeń unieważnia ekskomunikę. Ostrzeżenie winno być na piśmie i z wymienieniem nazwiska tego człowieka pojedyńczego czy zbiorowego, do którego się odnosi, oraz z wyrażeniem przyczyny kary, należy wręczyć je oskarżonemu wobec świadków. Takie i takie ciężkie zbrodnie zarzucają ci twoi oskarżyciele: więc albo oczyść się z tych zarzutów, albo się popraw, bo inaczej grozi ci klątwa kościelna! Oto takie postępowanie jest zgodne i z rozumem i z prawem, które niczem innem nie jest jak tylko „rozumem spisanem".

Tymczasem Federacji i gazet ją popierających biskupi ani nie ostrzegli, ani nie przesłuchali. Więc widocznie nie mają zamiaru ich ekskomunikować.

Zresztą ani arcybiskupom poszczególnym, ani biskupom razem wziętym nie wolno wyklinać lub zakazywać jakiegoś stowarzyszenia. Trzecie Koncyljum Baltimorskie wyraźnie uchwaliło takie prawo: „W tym tu kraju Zarząd arcybiskupów jest jedynym kompetentnym trybunałem do zadecydowania, w pierwszej instancji, czy stowarzyszenie jakieś ma być wyklęte lub zakazane, czy też nie. Biskupi zatem niechaj nie odważają się wyklinać lub zakazywać jakiegoś towarzystwa imiennie, lecz sprawę oddać mają **Radzie arcybiskupów.** Ci **nie mają** wydać wyroku **bez przesłuchania przewódców lub głównych członków** stowarzyszenia. Jeśli nie wszyscy arcybiskupi zgodzą się, sprawa ma być oddana do orzeczenia Stolicy apostolskiej". (III Konc. Balt. część IX, rozdz. 3.)

Tymczasem Rada arcybiskupów nie wezwała nikogo z Federacji na przesłuchy. Federacji więc nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony władzy kościelnej. W społeczeństwie, które prawem się rządzi, któżby inaczej myślał? A jednak ta myśl była iluzją w Milwaukee.

21. W trzy dni po wiecu księży polskich, pięciu niemieckich biskupów rzuca klątwę na Federację, „Kurjera" i „Narodowego". — Za jakie zbrodnie?

Chociaż tak powszechnie myślano, że Federacji i jej organom nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony władzy kościelnej, to jednak jakiś dowcipniś wtedy zrobił taką uwagę:

— Nasz amerykański humorysta Mark Twain powiedział: „If the desire to kill and the opportunity to kill came always together, who would escape hanging? Gdyby chęć zabijania i sposobność zabijania zawsze zeszły się razem, to któżby uniknął szubienicy?“ Chęć zduszenia wszystkiego, co polskie, była zawsze u biskupów ajrysko-niemieckich; ale nie zawsze była sposobność do tego. Lecz teraz, kiedy biskup Rhode oświadczył, że księża polscy na wiecu w Detroit jednomyślnie potępili usiłowania ks. Kruszki i Świeckich Polaków katolików, nadarzyła im się najlepsza sposobność stłumienia polskiego ruchu ludowego w samym zarodku. I jak Amen w pacierzu, skorzystają oni z tej sposobności. Bo gdyby tej młodej Federacji pozwolili róść i rozwijać się, to ona wnet by ogarnęła całe Stany Zjednoczone. A wtedy do Rzymu doszedłby jeden potężny, bo gromadny, głos ludu, domagający się biskupów polskich w Ameryce, i zadałby kłam ich twierdzeniu, że to tylko kler się tego domaga. Jeśli zaś zabiją Federację Świeckich, a zabiją ją klątwą, to Rzym nie usłyszy głosu ludu przez długie, długie lata, a może i nigdy, bo lud będzie myślał, że to jego właśnie księża polscy o tę klątwę mu się postarali. Lud więc rażony, zrażony i przerażony taką klątwą, zdrętwieje i zobojętnieje dla spraw polskich w Kościele do tego stopnia, że mu się całkiem odechce dalszych starań o biskupów polskich z pełną władzą. I wtedy upadnie ta sprawa i w Rzymie. Zobaczycie, że biskupi skorzystają z tej świetnej sposobności, jaką im miał przygotować i przygotował sławny wiec w Detroit.

Tak mówił dowcipny ksiądz M. 9 lutego 1912, wróciwszy właśnie z wiecu. I nie omylił się. Nazajutrz, w dwa dni po skończonym wiecu, w sobotę 10 lutego 1912 wieczorem specjalną pocztą nadszedł do mojej plebanji polecony list z drukowanym okólnikiem, wyklinającym Federację i jej organy „Kurjera Polskiego“ i „Dziennika Narodowego“. Okólnik ten podpisało pięciu biskupów niemieckich: Messmer, Schwebach, Fox, Eis i Schinner. Nakaz, że ten okólnik ma być czytany zaraz jutro w niedzielę, brzmiał tak: „Ten list pasterski ma być odczytany we wszystkich kościołach, do których lud polski chodzi, w Sześćdziesiątnicę dnia 11 lutego A. D. 1912“. W moim kościele odczytałem go ja sam, i odczytano go we wszystkich kościołach polskich, ale nie „we wszystkich kościołach, do których lud polski chodził“. Tam, po tej klątwie, szli teraz Polacy całymi gromadami, bo tam ich „nie wyklinano, a tu w polskich

kościołach ich wyklęto", bo tam „za Kurjera" dostawali rozgrzeszenie, a tu nie. To było dobre wyrachowanie.

Tytuł tego „listu pasterskiego", zawierającego klątwę, brzmi tak: „Naszym Ukochanym Braciom Duchownym i Świeckim Pozdrowienie i Błogosławieństwo".

Przytoczę tu najpierw klątwę, a potem te zbrodnie zewnętrzne, ciężkie, dokonane, z uporczywością popełniane, za które ta klątwa spadła na winowajców. Otóż klątwa brzmi tak:

„My niniejszem uroczyście potępiamy rzeczonego „Kurjera Polskiego", wydawanego w mieście Milwaukee i „Dziennik Narodowy", jako wydawnictwa szkodliwe dla wiary katolickiej i karności i jako podpadające pod przepisy i zakazy rzymskiego Indeksu. Gdyby jeszcze jacy katolicy odważyli się wbrew temu uroczystemu napomnieniu czytać, utrzymywać, abonować lub pisywać dla rzeczonego „Kurjera Polskiego" i „Dziennika Narodowego", jak długo te gazety będą trzymały się dotychczasowego stanowiska względem spraw kościelnych, w czem sami sobie sąd rezerwujemy, niech wiedzą, że popełniają ciężki grzech przed Bogiem i Kościołem. Jeśliby tacy katolicy odważyli się pójść do spowiedzi lub Komunji św. bez spowiadania się lub powiedzenia księdzu, że czytają, utrzymują lub abonują wspomniane gazety, niech wiedzą, że przez taką spowiedź i Komunję św. popełniają bezecne świętokradztwo. To uroczyste napomnienie będzie także obowiązywało w razie gdyby wyżej wspomniane gazety miały być w przyszłości wydawane pod zmienionem nazwiskiem, ale wydawane w tym samym antykatolickim duchu. Ponadto stanowczo zakazujemy każdemu katolikowi z naszej prowincji przyłączyć się do wyżej wspomnianej „Federacji Świeckich Polaków Katolików w Ameryce", założonej podług programu ogłoszonego przez „Kurjera Polskiego". Ponieważ to stowarzyszenie jest widocznie pełne niebezpieczeństwa dla katolickiej prawomyślności i karności, a w samem założeniu swojem zmierza do wzniecenia wielkiego zamieszania, a nawet i schizmy, przeto musi być uważane za towarzystwo zakazane, i żaden katolik, należący do niego, nie może być dopuszczony do Sakramentów Kościoła św."

Oto klątwa, którą w parę tygodni później obostrzono jeszcze rezerwatem, to znaczy, że za czytanie „Kurjera" lub należenie do Federacji nikomu nie wolno było rozgrzeszać tylko biskupowi. To obostrzenie klątwy nadzwyczaj utrudniło i prawie uniemożliwiło rozgrzeszenie i pojednanie się wyklętego z Bogiem i z Kościołem.

A teraz przytoczę te zbrodnie zewnętrzne, ciężkie, dokonane, z uporczywością popełniane. Przyznam się, że chociaż byłem wtajemniczony w „najgłębsze tajniki“ Federacji i gazet jej sprzyjających, to jednak dopiero z tego „listu pasterskiego“ dowiedziałem się, że Federacja i jej gazety tak strasznych dopuszczały się zbrodni. Teraz zrozumiałem, dlaczego wpierw nie ostrzeżono i nie wezwano na przesłuchy przynajmniej przewódców i głównych członków Federacji. Bo ci wykazaliby jasno, jak na dłoni, że oskarżono ich o zbrodnie albo zupełnie nieprawdziwe albo mocno przesadzone, a więc w każdym razie oskarżenie to było fałszywe i oszczercze. A wtedy by nie można klątwy rzucić; i organizacja Świeckich Polaków katolików rozwijałaby się coraz bardziej i berło panowania nad Polakami wytrąciłaby z rąk niemieckich biskupów przez uzyskanie u Stolicy św. biskupstw polskich. Temu zaś trzeba było koniecznie przeszkodzić per fas nefas, prawem czy nie prawem. Ale kto oskarżył Świeckich Polaków katolików o tak ciężkie zbrodnie? Bo przecie biskupi sami tych zbrodni z palca sobie nie wyssali. Oskarżycielami Świeckich Polaków Katolików byli ci, którzy ich albo już skrzywdzili. albo chcieli skrzywdzić **na mieniu.** Ci teraz krzywdzili ich także **na imieniu.** A więc głównym oskarżycielem był ten, który Świeckim Polakom Katolikom nie tylko zwykłego procentu od pożyczonych na kościół pieniędzy za długie lata nie spłacał, ale im nawet od sumy na kościół pożyczonej 25 procent odciągał. Oskarżycielem był ten, który szczegółowego sprawozdania z dochodów i rozchodów cmentarza nie chciał przedkładać nikomu jak tylko arcybiskupowi, publiczne sprawozdanie zastępując prywatnem. Oskarżycielem był ten, który pożyczone na kościół pieniądze umieszczał w różnych świeckich przedsiębiorstwach, od których wyższy procent pobierał, a w których sumy zaprzepaszczone spadły potem jako dług na parafję. Tacy i tym podobni po prostu za tę „bezczelność“, że Świeccy Polacy Katolicy „usiłują zreformować Kościół“, oskarżyli ich o następujące ciężkie zbrodnie, które biskupi bez przesłuchania strony oskarżonej podali w swoim „liście pasterskim“ jako przyczyny wyklęcia Świeckich Polaków Katolików:

Pierwsza zbrodnia to agitacja o biskupów polskich. Wolno ich pragnąć, ale nie wolno o nich się starać. Po co agitować o nich, kiedy Rzym sam w „odpowiedni czas i sposób“ ustanowi ich. A my wtedy z radością przyklaśniemy Rzymowi, że dał wam biskupów polskich. Tymczasem jednak bądźcie pewni, że my o was Polaków

dbamy tak samo jak o Niemców. Tę pierwszą zbrodnię list pasterski opisuje dosłownie w taki sposób: „Agitacja o polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych, **szczególnie w naszej prowincji,** przybrała takie cechy, że stanowczo podkopuje i burzy katolicką wiarę, lojalność, karność i porządek. Żaden rozsądny człowiek nie będzie za to ganił polskich katolików w Ameryce, że **pragną** mieć własnych biskupów, którzy mogą im głosić słowo Boże w ich własnym języku ojczystym. Rzym w swej mądrości, osiągniętej doświadczeniem przeszło tysiącletniem i kierowany Duchem z wysoka, znajdzie odpowiedni czas i sposób rozwiączania tego ważnego zadania, na jakie napotyka Kościół w Ameryce. Kiedykolwiek i gdziekolwiek Stolica św. uzna za stosowne zamianować polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych, **czy to na stolicę rezydencjalną czy też na urząd auxiliarjusza,** to biskupi z katolickiej hierarchji amerykańskiej przyjmą ich z uczuciem prawdziwej i szczerej miłości katolickiej i uszanowania. Tymczasem zaś polscy katolicy mogą być pewni, że biskupi naszej hierarchji są zupełnie tak pieczołowici i gorliwi o duchowne i kościelne dobro wiernych polskiej narodowości, jak nimi być muszą dla wszystkich innych dzieci Kościoła jakiejkolwiekbądź narodowości lub rasy". („List pasterski", str. 2.)

Druga zbrodnia to nacjonalizm polski. Nie być zadowolonym z niemieckich biskupów lecz koniecznie żądać polskich, to „ślepy nacjonalizm". A ślepy dlatego, że widzi różnicę między Niemcem a Polakiem, a takiej różnicy niema. Kościół nie uznaje różnicy między Niemcem a Polakiem podobnie jak nie uznaje różnicy między mężczyzną, a niewiastą. Występować przeciw nierównemu podziałowi władzy kościelnej to „zapalczywość nacjonalistyczna" i bunt przeciw samejże władzy. Nacjonalizm niemiecki i ajryski przyozdabia się we fiolety i wystawia na widok publiczny w Kościele, a nacjonalizm polski klątwą się obkłada i wypędza z Kościoła. Dosłownie „list pasterski" odmalowuje tę zbrodnię nacjonalizmu w taki sposób:

„Ale polscy katolicy muszą także przyjść do przekonania, że miłości swego narodu, rasy lub języka nie można pozwolić na przerodzenie się w ślepą zapalczywość i ograniczone uczucie, i że ślepy nacjonalizm był przyczyną wszystkich wielkich i zgubnych schizm w dziejach Kościoła. Tego rodzaju nacjonalizm nie ma w żaden sposób miejsca w Kościele Bożym, o którym mówi św. Paweł: „Nie jest Żyd ani Greczyn; nie jest niewolnik ani wolny; nie jest mężczyzna ani niewiasta. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście

w Chrystusie Jezusie" (Galat. 3, 28). Do jakiejkolwiekbyśmy rasy lub narodowości należeli, w Kościele jesteśmy wszyscy członkami tego samego mistycznego ciała Chrystusowego, dziećmi tej samej oblubienicy Chrystusowej, ożywieni i uświęceni tym samym Duchem Chrystusowym. „Albowiem w jednym duchu my wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzceni, bądź Żydowie, bądź poganie, bądź niewolnicy, bądź wolni: a wszyscy jednym Duchem jesteśmy napojeni. Lecz wy jesteście ciałem Chrystusowym i członkami z członków" (I Kor. 12, 13 i 27). Gdzie nacjonalizm i zapalczywość nacjonalistyczna dążą do tego, by się stały naczelną i kierowniczą zasadą w ogólnych czy lokalnych sprawach Kościoła, tam zioną i rodzą ducha nieposłuszeństwa i buntu, a niebawem i samej herezji. Gdy ludzie przejęci tym duchem systematycznie napadają na publiczną działalność przełożonych kościelnych w wykonywaniu swej prawowitej władzy, to podkopują tę władzę kościelną i niszczą same podwaliny rządu i ładu w Kościele". („List pasterski", str. 2 i 3.)

22. Dalszy ciąg zbrodni, za które Federację i „Kurjera" i „Narodowego" obłożono klątwą.

Trzecia zbrodnia to chęć „uniezależnienia" polskich majątków kościelnych od macoszej opieki biskupów obconarodowych. Lecz „List pasterski" tak tę zbrodnię opisuje: „Gdy oni w tym samym duchu (nacjonalistycznym) domagają się dla ludzi świeckich władzy rozporządzania majątkami kościelnymi, niezależnie od prawowicie ustanowionych biskupów, to napadają na sam ustrój i fundamentalne prawo, na którem spoczywa widzialna organizacja Kościoła" („List pasterski", str. 3).

Czwarta zbrodnia to rozsiewanie księżych skandali za przykładem „Nowin" i „Dziennika Chic.": „Gdy ten sam duch staje się pospolitym siewcą skandali i łupieżcą przez rozpowszechnianie na wsze strony pomiędzy pospólstwo różnego rodzaju wieści o tak zwanych księżych skandalach, to wypiera doszczętnie miłość ludu dla kapłaństwa i dla religijnych instytucyj Kościoła" (tamże, str. 3).

Piąta zbrodnia to piętnowanie zdrajców sprawy polskiej. „Dalej, jeżeli ten niekatolicki i niechrześcijański duch nacjonalistyczny ogłasza jako zdrajców świętej sprawy i jako zaprzańców swego narodu tych wszystkich, co nie chcą się poddać jego rozkazom i pójść za jego wezwaniem, wtedy zasiewa on ziarno niezgody i nienawiści pomiędzy dzieci tej samej rasy, podżega ojca przeciw

synowi, brata przeciw bratu, dzieci przeciw rodzicom, ku wielkiemu zgorszeniu katolików i niekatolików i ku wielkiej szkodzie dla religji i narodowości (tamże, str. 3).

Szósta zbrodnia to tworzenie Federacji Świeckich Polaków Katolików w Ameryce. „Gdy wreszcie ten sam duch, niezadowolony samem rozgłaszaniem swych doktryn, rozpoczyna organizować masy sprowadzone na manowce w połączone związki agitacyjne z narażeniem się nawet na cenzury i ekskomunikę kościelną, wtenczas osiągnie wkrótce swój cel ostateczny, mianowicie: niezależność od władzy kościelnej, oddzielność i zupełną schizmę" (tamże, str. 3).

Siódma zbrodnia zewnętrzna, ciężka, dokonana, uporczywie popełniana, to chęć uwolnienia polskich parafij przez Rzym od juryzdykcji niemieckich i ajryskich biskupów. „List pasterski" w dalszym ciągu określa tę zbrodnię takimi słowami: „Na nieszczęście, ten duch buntu i zamieszania bywa obecnie krzewiony w bardzo niebezpiecznym stopniu wśród naszych polsko-katolickich braci. Najżywotniejsze sprawy ich katolickiej wiary i religji są zagrożone. Nie zdając sobie z tego sprawy, bywają oni stopniowo sprowadzani przez sprytną i przebiegłą agitację z drogi posłuszeństwa i uległości Kościołowi i swoim prawowitym przełożonym. Walka przeciw temu, co oni złośliwie nazywają „niemieccy" biskupi tutejszej prowincji milwauckiej, jest tylko walką udaną, która ma utaić prawdziwą walkę o kościelną niezależność od niepolskich biskupów; proponowane odwołanie się do samego Ojca św. przeciw amerykańskim biskupom stanowi jedynie wybieg, aby podejść nieprzezornych Polaków katolików" (str. 3).

Ósma zbrodnia to nadużywanie tych słów papieskich „Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń" dnia 15 kwietnia 1904 wypowiedzianych do mnie, a przeze mnie do wszystkich Polaków katolików w Ameryce. Świeccy, księża i biskupi zarówno bardzo dobrze wiedzieli, w jaki sposób te słowa papieża ogłoszone były przeze mnie. Mianowicie ogłoszone były, że **z całą pewnością** do mnie były wyrzeczone. A tymczasem „list pasterski" powiada, że ogłoszone były przeze mnie litylko **jakoby** do mnie były wyrzeczone. To już rozmyślne i złośliwe kłamstwo, którem też „list pasterski" niemałe wywołał zgorszenie wśród Polaków katolików. Oto odnośny ustęp „listu pasterskiego" w dosłownem brzmieniu: „Nawet słowa papieża, ogłoszone przez pewnego księdza, jakby doń wyrzeczone około osiem lat temu, bywają w najbezwstyd-

niejszy sposób nadużywane w celu zatruwania umysłów polskich katolików uprzedzeniem albo przeciwko papieżowi, iż nie dotrzymuje swego słowa, albo przeciw amerykańskim biskupom, iż powstrzymują papieża od dotrzymania swej obietnicy" (str. 4).

„List pasterski" dosyć dowcipnie ogłosił powyższą alternatywę czyli wybór jednego z dwojga. Lecz nie ogłosił, które z dwojga wybiera.

Dziewiąta zbrodnia zewnętrzna, ciężka, dokonana, uporczywie popełniana, to chęć uzyskania od Stolicy św. polskich biskupów dla **polskich** katolików, a nie dla niemieckich ani ajryskich. Taka chęć uzyskania od Stolicy św. polskich biskupów **niezawisłych od niemieckich i ajryskich biskupów** to straszna zbrodnia, którą „list pasterski" w dalszym ciągu tak przedstawia: „Prawdziwy duch tej całej agitacji ukazał się nadzwyczaj jasno w odezwie i programie „Federacji Świeckich Polaków Katolików w Ameryce", ogłoszonej przez „Kurjera Polskiego" z Milwaukee i przez „Dziennik Narodowy" z Chicago. Ten program wzywa polski lud świecki do zorganizowania narodowej federacji, mającej objąć parafjalne, powiatowe i stanowe federacje w całych Stanach Zjednoczonych. Celem tej federacji jest, po pierwsze: domagać się od Stolicy św. polskich biskupów dla polskich katolików; doskonale to wyrachowany frazes, aby tysiącom polskich katolików nastręczyć myśl oddzielnych polskich biskupów, niezawisłych od innych amerkańskich biskupów w ten sposób, ażeby lud polski w Stanach Zjednoczonych stanowił oddzielną społeczność religijną pod własną biskupią juryzdykcją, odrębną od pozostałej hierarchji amerykańskiej — polski Kościół wśród Kościoła katolickiego w Ameryce". (Str. 4.)

Dziesiąta zbrodnia to chęć pozyskania opieki rządowej w braku opieki biskupiej nad finansami parafjalnymi. Ludzie np. na Jozafatowie powstali nie przeciw opiece biskupa nad finansami kościelnymi lecz przeciw brakowi tej opieki. Stąd ta zbrodnia, którą „list pasterski" tak opisał: „Powtóre, pozyskać takie prawa cywilne, na mocy których kontrola i zarządzanie majątku kościelnego oraz sprawy finansowe parafji przeszłyby w ręce świeckie". (Str. 4.)

Jedenasta zbrodnia, zasługująca na klątwę kościelną, to chęć bronienia Polaków przed wrogimi im Niemcami i Ajryszami. „List pasterski" wymienia tę zbrodnię tak: „Po trzecie, (Federacja chce) wpłynąć na głosujących Polaków, by powstali jak jeden mąż przeciw wszystkim cywilnym urzędnikom i sędziom, którzy ich zdaniem dokuczają i niesprawiedliwie się obchodzą z polskimi obywa-

telami. Program ten wzywa polskich katolików do podtrzymywania tej agitacji, choćby nawet mieli cierpieć prześladowanie i popaść w ekskomunikę kościelną". (Str. 4.)

Dwunasta zbrodnia, już dokonana, to odbywanie zebrań Federacji: „Zebrania tych polskich federacyj już się odbyły w różnych miejscach". („List pasterski", str. 4.)

Trzynasta zbrodnia to plan uzyskania funduszów na obronę polskich księży: „Plan uzyskania funduszu pieniężnego na obronę polskich księży przeciwko prześladowaniu ze strony niepolskich biskupów jest także omawiany pomiędzy świeckimi Polakami". („List pasterski", str. 4.) Nareszcie:

Czternasta zbrodnia to napadanie księży i biskupów za to, że księże i biskupie „Nowiny" w szkaradny sposób lżyły i oczerniały osoby cywilne, a nawet ich rodziny, żony i dzieci po tchórzowsku napadały. Cała ta zbrodnia polegała istotnie na tem, że świeckie gazety nie chciały być i nie były bardziej katolickimi od księżych i biskupich gazet. „List pasterski" napiętnował tę zbrodnię w taki sposób: „Przez lat kilka propagował „Kurjer Polski" na swych łamach te same doktryny i domagania się (w powyższych „zbrodniach" wyliczone), podkopujące porządek kościelny; on bezustannie w każdym czasie otwarcie i zapomocą prostej insynuacji napadał katolickich biskupów w Stanach Zjednoczonych, a przedewszystkiem biskupów tutejszej prowincji; on ciągle lżył i oczerniał księży, zwłaszcza księży, którzy potępiali jego niekatolicki ton i naukę. Mimo to wszystko ma on czelność stawać pod katolickim sztandarem, udając pismo polsko-katolickie, przemawiać za polskich katolików oraz bronić i popierać sprawy religijne polsko-katolickiego ludu. Nie dziw, że tysiące skądinąd dobrze myślących i zacnych Polaków katolików dostały się bezwiednie pod zgubny wpływ tej gazety, nie wiedząc lub nawet wcale nie podejrzywając, dokąd ich ona prowadzi. To samo sprawdza się i o „Dzienniku Narodowym" z Chicago". („List pasterski", str. 4 i 5.)

Oto wszystkie zbrodnie, jakie „List pasterski" przytoczył. Za te zbrodnie pięciu niemieckich biskupów wyklęło Federację, „Kurjer Polski" i „Dziennik Narodowy". Ten ostatni dziennik wychodził w Chicago i tam miał najwięcej czytelników. Pomimo to chicagoski arcybiskup Quigley, acz natrętnie proszony, nie chciał go wykląć ani nawet zakazać; nie chciał też Federacji i „Kurjera" wykląć ani zakazać. Stąd wytworzyła się tragikomiczna sytuacja w obu tych sąsiadujących ze sobą archidiecezjach, milwauckiej i chicagoskiej.

Biskup Rhode był wówczas w Chicago auxiliarjuszem arcybiskupa Quigley'a i wytoczył był proces „Dziennikowi Narodowemu“, ale go przegrał.

23. Klątwę obostrzono rezerwatem. — Odpowiedź Federatów na klątwę. — Zabobonny strach przed kompromitacją władzy.

Nie pomogła pięć lat temu kanonizacja „Nowin“, to może teraz ekskomunika „Kurjera“ pomoże. Ale jak nie pomogło ogłoszenie „Nowin“ pismem świętem, tak teraz nie pomogło ogłoszenie „Kurjera“ pismem wyklętem. Ostateczności się stykają — extrema se tanguat. Jeśli przedtem się stykały „Nowiny“ z „Kurjerem“, to teraz naprawdę wzięły się za łby. Ani kanonizacja „Nowin“ nie przeniosła do nieba, ani klątwa „Kurjera“ nie strąciła do piekła. Obydwie gazety pozostały na ziemi, a żarły się teraz między sobą jeszcze gorzej niż przedtem. Za życia więc nie opłaci się kanonizować nikogo, a tem mniej opłaci się potępiać kogo za życia. Przed czasem żniwa nie wyrywajcie kąkolu z pszenicy. Razem z kąkolem, ileż to pszenicy wyrwano?... Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Po potępieniu Federacji i „Kurjera“ było takie potępianie biskupów i księży, jakiego człowiek nigdy przedtem nie słyszał. Klątwa nieprawna i niesprawiedliwa nie poprawiła ani gazet, ani ludzi. Bo złem złego nie naprawisz, tak jak ognia ogniem nie zagasisz. Na moc złego jest moc dobrego i tylko mocą dobrego można zwyciężyć moc złego.

Rachowano, że przez wyklęcie „Kurjera“ „Nowiny“ pozyskają nowych abonentów. Rachuba ta zawiodła. Stało się przeciwnie. Liczba abonentów „Kurjera“ wzrastała z dniem każdym. Jak temu złemu zaradzić? Bo jeśli tak dalej pójdzie, to wnet wszyscy Polacy będą czytali „Kurjera“. Co tu począć? Przed klątwą arcybiskup nie zwoływał wszystkich księży polskich na naradę. Ale teraz po klątwie zwołał nas listem z 20 lutego 1912, byśmy przyszli na „mityng kleru do kancelarji arcybiskupiej w czwartek, 22 lutego 1912 o pół do trzeciej po południu“. Zeszliśmy się i zaczęliśmy z arcybiskupem radzić nad tem, co uczynić, aby biskupi zakaz czytania „Kurjera“ był skuteczniejszym. Narady były długie. Niektórzy byli za zniesieniem klątwy i za złagodzeniem zakazu, rozumując, że jedną kroplą miodu więcej much się złapie niż całą beczką octu. Większość jednak księży polskich była za obostrze-

niem klątwy. Klątwą czyli mieczem duchowym jeszcze nie zabito „Kurjera“, dlatego, że ten miecz był tępy i nie zaostrzony. Trzeba go zaostrzyć. Ale jak? Pamiętam, jak wtedy jeden proboszcz powstał i rzekł:

— Arcybiskupie! Jeśli Wasza Arcybiskupia Mość tę klątwę obostrzy rezerwatem, to zobaczy, że jeśli nie w trzech tygodniach, to w trzech miesiącach „Kurjer“ upadnie.

Arcybiskup z początku kiwał brodą niedowierzająco i powiedział, że miałby za wiele spowiedzi do słuchania, ale wkońcu posłuchał tej rady. I dnia 29 lutego 1912 do księży polskich rozesłał następującą drukowaną wiadomość „prywatną, nie do ogłaszania publicznego“: „Dla przyczyn dosyć ważnych grzech czytania gazet zakazanych „Kurjera Polskiego“, „Dziennika Narodowego“ i „Gazety Wisconsinskiej“, abonowania ich, pisania do nich lub wspierania ich w jakikolwiek sposób, odtąd od dnia 1 marca 1912 będzie nam zastrzeżonym tak, żeby żaden ksiądz bez osobnego pozwolenia od niego rozgrzeszyć nie mógł. Wyjątek stanowi jedyny wypadek pierwszej takiego grzesznika spowiedzi po dniu wyżwspomnianym odprawionej, byle już faktycznie wyrzekł się rzeczonych gazet. † Sebastjan Gebhard, abp. milw.“

Ale i klątwa obostrzona rezerwatem nie zabiła „Kurjera“. To znowu „Nowiny“ wprawiało w taką złość i wściekłość, że cywilów i księży sobie niemiłych napadały jeszcze gorzej niż przed klątwą. A „Kurjer“ też poprawił się z pieca na łeb. Tak, że wkońcu obrzydły ludziom i księże i świeckie gazety polskie.

A obłożeni klątwą Federaci urządzili w niedzielę 25 lutego 1912 olbrzymie wiece aż w czterech halach w mieście i powiecie Milwaukee. W odpowiedzi na klątwę posłali biskupom niemieckim w języku angielskim takie między innymi rezolucje. „Zważywszy, że ów list pasterski ogłoszony publicznie czyni niczem nieuzasadnione i fałszywe z gruntu zarzuty Federacji i wspomnianym powyżej pismom; zważywszy, że konstytucja obowiązująca Federację wyszła z pod prasy dopiero po ogłoszeniu listu pasterskiego, a zatem biskupi nie czynili Federacji zarzutów na podstawie tej konstytucji lecz na podstawie plotek, rozsiewanych przez złych i przewrotnych ludzi; zważywszy, że biskupi nigdy nie zasięgali wiadomości oficjalnej o programie Federacji od zarządu tej organizacji; zważywszy, że program pracy Federacji nie ma bynajmniej na widoku szkody Kościoła rzymsko-katolickiego, lecz jego dobro i dąży do tego drogami, zgodnymi z duchem i przepisami tegoż Kościoła: —

uchwalamy przeto, iż: — uznajemy zakaz pięciu biskupów z prowincji Milwauckiej za niesprawiedliwy, nieuzasadniony, lekkomyślny i dla wiary św. i Kościoła rzymsko-katolickiego wysoce szkodliwy; uchwalamy wnieść zażalenie do najwyższych władz kościelnych na to nadużycie władzy biskupiej w stosunku do przeszło 300,000 lojalnych Polaków rzymsko-katolików, zamieszkałych w tej prowincji, jeżeli zakaz ten nie będzie odwołany w najbliższej przyszłości; wyrażamy uznanie ogółowi polskiemu w prowincji Milwauckiej, że do tego niesłusznego zakazu w liście pasterskim wcale się nie zastosował i zachęcamy go, aby na tem stanowisku nadal wytrwał; wyrażamy nasze uznanie wszystkim tym uczciwym księżom i dobrym patrjotom polskim w różnych miastach Stanów Zj., którzy Federację naszą popierają i z pracą naszą sympatyzują; wyrażamy naszą cześć ks. Wacławowi Kruszce za jego długoletnią, pożyteczną i pełną osobistego poświęcenia pracę dla Wiary św. i ludu polskiego na wychodźtwie, oraz sympatję i uznanie za jego obywatelskie i prawego Polaka godne postąpienie na zjeździe odłamu księży polskich w Detroit, Mich.; oświadczamy, że murem stać będziemy przy Federacji, „Kurjerze P.“ i „Dzien. Nar.“; wyrażamy naszą pogardę szmatom p. t. „Nowiny Polskie“ i „Dziennik Chicagoski“, oraz ich wydawcom, za pracowanie na szkodę polskości i Wiary św.; wyrażamy naszą pogardę ks. B. Góralowi za zdradzanie ludu polskiego, za to, że pod płaszczykiem obrony Wiary św. prowadzi brudną walkę osobistą; odzywamy się wreszcie do pięciu biskupów z prowincji Milwauckiej, aby swój list pasterski wycofali dla dobra Wiary św. i Kościoła, gdyż wywołał on silne wzburzenie przeciwko władzy biskupiej pomiędzy naszym religijnym ludem polskim i może spowodować to, że lud ten w swem słusznem rozgoryczeniu powstrzyma się zupełnie od płacenia na kościoły i parafje polskie, a to byłoby dla naszych obdłużonych parafij ruiną finansową. Podpisani: W. Wensierski, J. Kotecki, E. Stefański, F. Tabaczka, M. Rakoczy, W. Kuszewski, reprezentujący przeszło 1200 ludzi zebranych w hali Wanty; J. Bronikowski, J. Zimny, S. Koźlakiewicz, W. Rościszewski, J. Popek, J. Brański, T. Kuczyński, reprezentujący przeszło 2000 ludzi w hali Pułaskiego; J. Ryczek, L. Derkowski, F. Szymański, A. Nowak, J. Kurczewski, J. Stapiński, reprezentujący przeszło 800 ludzi w hali Jankowskiego; M. S. Nowak, W. Tylicki, J. Radomski, S. Piotrowski, A. Szczesny, reprezentujący przeszło 800 ludzi w hali Ficklera w South Milwaukee“.

Na to oczywiście biskupi niemieccy nie dali Federatom żadnej odpowiedzi. Bo co im mieli odpowiedzieć? że potępiali Federację taką, jaką im przedstawili nowiniarze „podług programu „Kurjera", a nie taką, jaką w rzeczywistości była podług własnej konstytucji? że więc ją potępili zaocznym wyrokiem? Na taką odpowiedź nie pozwalał im ów notoryczny zabobonny strach przed kompromitacją władzy, o którym to strachu pisałem już w I tomie tych Siedmiolecí na stronicach 107, 108 i 171. Niemcy to wymyślili i cały świat myśli zarazili tem fałszywem pojęciem, że władza i władca to to samo, że więc władca to sama władza i samowładca czyli z grecka autokrata. Samowładca nie dlatego, że sam włada: bo może ktoś sam władać czyli być jedynowładcą (monarchą) a jednak nie być samowładcą (autokratą). Samowładca to taki piastun władzy, który sobie upatrzył w głowie, że on i „władza" to „to samo": który więc siebie uważa nie za piastuna władzy lecz za „samą władzę", utożsamiając siebie z władzą, którą mu dano z wysoka. Gdy taki samowładca się skompromituje przez wydanie mylnego wyroku na podstawie fałszywego donosu: on, choć widzi błąd swój, nie cofnie jednak wyroku raz wydanego. A dlaczego? Bo, mówi, władza by była skompromitowaną. Samowładca tego nie widzi, że on sam osobiście się skompromitował, a nie władza, którą piastuje. Nie widzi tego, bo on utożsamia władzę ze swoją osobą. Ta jedna zła zasada utożsamienia siebie z władzą, jest gorszą niż sto zbrodni, gdyż jest źródłem nieobliczalnych zbrodni, wybryków i złych następstw. Piastuna władzy obowiązują przykazania Boskie i prawa kościelne tak samo jak każdego człowieka. Jeśli piastun władzy swoim mylnym wyrokiem kogoś skrzywdził, to jest obowiązany jak każdy inny naprawić wyrządzoną krzywdę przez odwołanie swego mylnego wyroku. Przez co bynajmniej nie kompromituje ani władzy, ani siebie. Ale gdy uparcie obstaje przy swoim mylnym wyroku, wtedy dopiero naprawdę naraża i siebie i władzę na pośmiewisko.

Autokrata, skrzywdziwszy Federację przez wyrok wbrew prawu wydany zaocznie, bez przesłuchania oskarżonej strony, nie myślał teraz o naprawieniu krzywdy, bo to uważał za ubliżenie sobie, a temsamem władzy, jaką piastował. A pokrzywdzony federata, który śmiał upominać się o swoje prawa, był w oczach autokraty człowiekiem pysznym, zarozumiałym i buntowniczym! Autokrata bowiem uważa się za Boga samego, bo za „samą władzę" czyli „samowładzę". Jako taki oczywiście musiał myśleć, że nigdy

się nie mylił i mylić nie może. A w takiem myśleniu utwierdzali go liczni pochlebcy, którymi każdy autokrata lubi się otaczać i którym zwykle łatwy posłuch daje. Autokratów na świecie Pan Bóg nie stworzył. Autokratów, podobnie jak innych bałwanów, ludzie sami sobie potworzyli.

Federacja, tak jak ją biskupi niemieccy w swoim „liście pasterskim" przedstawili. była płodem wyobraźni donosicieli i pochlebców biskupich. Była przedrzeźnianiem czyli karykaturą tej prawdziwej Federacji, jaką Świeccy Polacy Katolicy tworzyli. Tworzyli, mówię, bo jeszcze jej nie utworzyli. W chwili rzucenia klątwy jeszcze jej utwór nie był gotowy, jeszcze jej konstytucja obowiązująca nie wyszła z pod prasy. Były już programowe, projektowane, tymczasowe konstytucje ale nie obowiązująca. I podczas gdy programowe konstytucje np. żądały koniecznie narodowych diecezji, to obowiązująca konstytucja tego koniecznie nie żądała lecz zadowalała się żądaniem równouprawnienia kleru polskiego z klerem innonarodowym. Pamiętać należy, że Federacja powstała 11 września 1911, kiedy to do Milwaukee, zamiast Polaka biskupa, dano nam pół-Czecha pół-Niemca, jakby na szykanę. Arcybiskup tak uczynił, bo jak to w liście do mnie wyraźnie zaznaczył, był święcie przekonany, że to nie lud tylko kler polski żąda polskiego biskupa. Ale wtedy oburzony lud podniósł się jako lew i 11 września 1912 zaczął tworzyć Federację, by arcybiskupa przekonać, że on, lud, jeszcze bardziej żąda biskupów polskich niż księża. A tu akurat w 5 miesięcy potem, bo 11 lutego 1912, już pada na nich klątwa, kiedy Federacja była dopiero w stadjum tworzenia się! Zatem cel tak wczesnej i pospiesznej klątwy był widoczny. Zabić tę Federację, póki jej życie jest młode. Bo jak urośnie w wielką gromadę i ogarnie cały lud polski, który jak jeden mąż zażąda biskupów polskich, to wtedy na nic wszelkie nasze gadania w Rzymie, że to tylko niektórym księżom polskim zachciewa się mitr biskupich.

24. Niepożądany skutek klątwy. — Arcybiskup po raz trzeci wzywał mnie do podpisania deklaracji, że przyjmę biskupa Koudelkę. — Za poradą Delegacji Ap. dopiero podpisałem.

Że ten ustęp w „liście pasterskim": „słowa, ogłoszone przez pewnego księdza, **jakoby** doń wyrzeczone około osiem lat temu — że ten ustęp był oszczerczym i jako oszczerczy był pojmowany

przez innych, niech za dowód posłuży następujący wypadek, o którym zacny obywatel Jakób Łukaszewski 29 lutego 1912 mi pisał: Otóż „nowiniarski ksiądz Franciszek Cytronowski, który przez cały rok nigdy nieszporów nie miał, bo jeździł po upitkach, w niedzielę, 11 lutego wszedł na ambonę i zaczął nam czytać List pasterski od biskupa. A jak przyszedł do tego, że jakiś ksiądz był w Rzymie koło osiem lat temu, że ten ksiądz jakoby cyganił, że Polacy mają obiecane polskich biskupów, tak wejrzał na mnie i mnie znowu do oczu żga i pyta: „to wy go znacie?" Tak ja mu odpowiadam: „ma się rozumieć, że go znamy". Ale mi wszystkie żyły we mnie drżały... A w niedzielę, 18 lutego ksiądz wlazł na ambonę, zmówił Zdrowaśki, potem bierze jakąś gazetę do ręki i się odzywa w te słowa: „Teraz wam przeczytam co „Kurjer" pisał dnia 8-go lutego"... i zamiast Ewangelji czytał nam „Kurjera"...

Umarł gdzie jaki czytelnik „Kurjera", zaraz w „Nowinach" widziałeś takie dużymi i tłustymi czcionkami drukowane nagłówki:

Kara Boża.
Zagorzały zwolennik „Kurjera" umiera
nagle przy czytaniu gazety.
Kilka innych takich wypadków.
Co o tym sądzi lud katolicki.

Takie to były czasy i takie obyczaje! Podpalaczy pozostawiano w spokoju, a prześladowano tych, co bili w dzwony na alarm. Znanych z „rozporządzeń językowych" i notorycznych podpalaczy polskości, Messmera i Eisa, nowiniarze pozostawiali w spokoju, a prześladowali tych, co chcieli polskość ratować przez uzyskanie biskupstw polskich. „Nowiny" roku 1912 np. pisały, że niejaki J. S. umarł nagle w Ripon, Wis., dlatego, że czytał „Kurjera Polskiego". i kończą tak: „Człowiek ten nie będzie po katolicku pochowany, a ciało jego nie spocznie na święconem miejscu: wyższa władza podobno pozwoliła tylko, by ksiądz w domu pokropił trupa i nic więcej. Żona zmarłego miała już odmówić „Kurjera". Tak, niestety, nietylko żona, ale i dzieci nie chciały już więcej czytać gazet polskich, kiedy za czytanie ich klątwa i kara Boża spotykała. Stąd po osadach mniejszych, gdzie gazeta polska była twierdzą polskości, zaczął się wstręt do gazet polskich wogóle i młodzież zaczęła się tam wynaradawiać. Przecież żadnych angielskich, ani niemieckich gazet, choć gorszych, Kościół nie wyklinał, jeno tylko polskie. Więc wszystko, **co polskie, musi być najgorsze.** Tak rozumowała

młodzież po mniejszych zwłaszcza osadach. Stąd się datuje zanik polskości po wielu małych osadach. To wyklinanie gazet polskich podpisało i zniszczyło polską szkołę w Ripon, którą z tak wielkim trudem i kosztem (3,000 dolarów z własnej kieszeni) tam wzniósłem.

Tymczasem jednak w Milwaukee ta klątwa wywołała ten skutek, że już w tydzień po jej odczytaniu widziałem potrzebę powiększenia kościoła lub pobudowania nowego większego. Nie omieszkałem o tem powiadomić arcybiskupa. Lecz ten dnia 1 marca 1912 tak mi odpowiedział: „Wielebny drogi Panie. Twój list o nowym kościele właśnie otrzymałem. Sprawa ta wymaga więcej rozwagi, zanim ją mogę zdecydować. Ja chcę, abyś tu się stawił w przyszły poniedziałek (4 marca) o 2:30 po południu i załatwił ostatecznie tę drugą sprawę. Tyś miał już teraz więcej niż dosyć czasu do namysłu na wóz lub przewóz. Wtedy my możemy także omówić bardziej szczegółowo tę propozycję o nowym kościele. Szczerze twój † S. G. Messmer, Abp.“

List ten z wezwaniem na ponowny sąd ostateczny odebrałem w sam dzień moich urodzin 2 marca 1912. Skończyłem wtedy lat 44, a już posiwiałem. „Ta druga sprawa“, o której powyżej wzmianka, to sprawa podpisu oświadczenia, że przyjmę biskupa Koudelkę do swego kościoła. W tej sprawie już dwa razy, 11 i 26 stycznia 1912 byłem wezwany, jak to w poprzednich rozdziałach 12 i 13 opisałem. Myślałem, że po wyrzuceniu mnie z wiecu, po klątwie i całej tej niesłychanej wrzawie, jaka nastąpiła, arcybiskup już zapomniał o tej sprawie. I byłby może zapomniał, gdyby ta klątwa była miała lepszy skutek niż ten, że mój tymczasowy kościół okazał się za małym.

Stanąłem tedy 4 marca 1912 przed arcybiskupem i jego Wysoką Radą, która się zebrała w pałacu arcybiskupim. Arcybiskup znowu zażądał, abym podpisał to oświadczenie, że przyjmę jakiegokolwiek biskupa. Ale i tym razem odpowiedziałem:

— Nie podpiszę, jeśli inni księża nie podpiszą. Dlaczego właśnie ja tylko mam podpisać?

— Boś ty powiedział, że nie przyjmiesz biskupa jakiegokolwiek arcybiskup ci pośle.

— Takem tego nie powiedział.

— Ale słowa papieża, ogłoszone przez ciebie, **jakoby** do ciebie wyrzeczone, bywają nadużywane dla zatruwania umysłów Polaków-katolików.

— I słowa Pisma świętego bywają nadużywane. Te słowa papieża, do mnie wyrzeczone, ogłosiłem, nie **jakoby** były do mnie wyrzeczone, ale że **rzeczywiście** były do mnie wyrzeczone. Tak je ogłosiłem wam tutaj i wszędzie. I tak je ogłaszać będę nadal, ażeby świadectwo dać prawdzie. Bo „list pasterski", przekręcając to moje ogłoszenie w bezwstydny sposób, rzucił na mnie oszczerstwo i we fałszywem świetle mnie przedstawił ogółowi tak jak w fałszywem świetle przedstawił Federację i gazety, aby na nie klątwę rzucić.

— Podpisz! Inaczej będziesz suspendowany!

Na taki ostry rozkaz czułem się wówczas w położeniu takiem, w jakiem chyba czuł się Wilhelm Tell, kiedy mu austrjacki tyran Gessler rozkazał zestrzelić jabłko z głowy własnego syna. Sprawa biskupów polskich, jakby własne dziecko, leżała mi na sercu. A na tej sprawie, jako na swojej podstawie, leżało teraz to jabłko niezgody o podpis owego oświadczenia. Trzeba je zestrzelić tak, żeby sprawa na tem nie ucierpiała. Więc po chwili namysłu rzekłem:

— Stać będę przy decyzji Delegacji Apostolskiej, do której, w tej sprawie podpisu owego oświadczenia, wniosłem apelację.

— Jaka to jest decyzja?

— Delegacja Apostolska dnia 16 stycznia 1912 odpowiedziała mi tak: „Jeśli Jego Mość arcybiskup Messmer pośle biskupa Koudelkę do twego kościoła, to wtedy twoim obowiązkiem jest przyjąć go. W razie gdybyś nie spełnił tego swojego obowiązku, natenczas musisz być przygotowany ponieść następstwa". Tak mi odpowiedziała Delegacja Apostolska. Niema w tej odpowiedzi ani wzmianki o tem, że moim obowiązkiem jest zgóry oświadczyć i podpisać takie oświadczenie, że przyjmę biskupa Koudelkę. Miałaby jednak Delegacja Apostolska zażądać takiego podpisu ode mnie, to wtedy podpiszę, a prędzej nie.

Na to arcybiskup gniewliwym tonem odpowiedział:

— Apostolska Delegacja niema żadnej juryzdykcji i twoja apelacja nic nie znaczy.

— Na co ona tu jest w Ameryce? — zapytałem.

Lecz to pytanie pozostawiono bez odpowiedzi. Kazano mi iść do domu. Poszedłem. I natychmiast tego samego 4 marca 1912 napisałem do Delegacji Apostolskiej następujący list:

„Najprzewielebniejsza Delegacjo Apostolska! Mój Najprzewielebniejszy arcybiskup Messmer dzisiaj znowu zagroził mi su-

spenzą, ponieważ nie chciałem podpisać drukowanego oświadczenia, że przyjmę biskupa jakiegokolwiek mi pośle. Przeciw tej zagrożonej mi suspenzie apelowałem do Delegacji Apostolskiej już 11 stycznia 1912 i niniejszem znowu apeluję. Powiedziałem mojemu Najprzewielebniejszemu arcybiskupowi, że stać będę przy decyzji, danej mi przez Delegację Apostolską dnia 16 stycznia 1912, mianowicie, że: „Jeśli Jego Mość arcybiskup pośle biskupa Koudelkę do mego kościoła, **wtedy** moim obowiązkiem jest go przyjąć". Nie jest powiedziane, że moim obowiązkiem jest naprzód podpisać drukowane oświadczenie. Miałaby jednak Delegacja Apostolska zażądać takiego podpisu ode mnie — powiedziałem arcybiskupowi — wtedy jestem gotów podpisać. Na to mi Najprzewielebniejszy arcybiskup gniewnie odpowiedział, że **Apostolska Delegacja nie ma żadnej juryzdykcji** i że moja apelacja nic nie znaczy. Moje przekonanie jest, że ta moja apelacja ma skutek zawieszający władzę arcybiskupią w tej sprawie. Uwagi mego arcybiskupa, że Apostolska Delegacja niema żadnej juryzdykcji, nie mogę brać na serjo. Proszę mnie poprawić, jeżeli mam zły pogląd na tę sprawę. Z najgłębszym szacunkiem sługa w Chrystusie

X. Wacław Kruszka".

Lecz mój sąsiad, ks. Jan Szukalski, obawiał się, że zanim na powyższy list odpowiedź Delegacji Apostolskiej dostanę, może suspensa nadejść; i dlatego radził mi bez zwłoki jechać do Waszyngtonu. Idąc za jego radą, pojechałem. W Waszyngtonie nie było jeszcze nowego Delegata Apostolskiego, i niewiadomo było, kiedy będzie zamianowany. Był tylko zastępca Delegata, Msgr. Cerretti. Z nim przez dwie godziny rozmawiałem o sprawach bieżących i piekących. On także był tego zdania, że Delegacja Apostolska niema żadnej juryzdykcji. I dlatego nie może mi ani zakazać, ani nakazać podpisać owego oświadczenia. Ale jako zastępca Delegata w imieniu Delegacji radzi mi podpisać, kiedy mój arcybiskup tego koniecznie wymaga. Rzym o tem wszystkiem już teraz jest poinformowany, więc sprawa biskupów polskich przez ten mój podpis wcale nie ucierpi, owszem zyska.

Wróciwszy tedy z Waszyngtonu do Milwaukee, wprost z dworca kolejowego udałem się do arcybiskupiego pałacu i tu własną ręką położyłem mój podpis pod deklarację, którą mi teraz podano w następującem brzmieniu: „Ja niżej podpisany Ks. Wacław Kruszka, pragnąc jak najszczerzej naprawić dane zgorszenie i złe, wyrządzone fałszywą relacją, ogłoszoną w „Kurjerze Polskim"

o mojej mowie mianej na publicznem zebraniu w Kenosha, Wis., niniejszem oświadczam jak następuje: 1. Twierdzę uroczyście pod przysięgą, że nie użyłem zwrotu mnie przypisanego, mianowicie: że ja nie pozwoliłbym wejść do mego kościoła obconarodowemu lub niepolskiemu biskupowi chyba tylko po mojem martwem ciele czyli trupie. Stanowczo twierdzę, że nigdy nie miałem zamiaru wyrazić żadnego tego rodzaju zdania zawartego w wyrażeniu, jak je ogłoszono. 2. Przyznaję, że użyłem takiej mowy i wyrażenia, jakie mogły łatwo być źle zrozumiane przez prosty lud, a w ten sposób nabrać znaczenia, jakieby się całkowicie sprzeciwiało katolickiej wierze i posłuszeństwu. Żal mi szczerze, jeżeli ktorykolwiek z moich słuchaczy wyciągnął z moich słów takie niekatolickie znaczenie, ponieważ to było zupełnie przeciw mojemu zamiarowi. 3. Stąd też, aby usunąć wszelkie tego rodzaju złe zrozumienie, ja niniejszem oświadczam uroczyście i obiecuję, że przyjmować będę kiedykolwiek i zawsze z należytym szacunkiem i czcią jakiegokolwiek i każdego katolickiego biskupa jakiejbądź narodowości, który jest w łączności z Stolicą Rzymu i któryby przybył do mego domu lub kościoła, odziany prawowitą władzą kościelną, i że nakłonię także moich parafjan, aby to samo uczynili, gdy się okazja nadarzy. W obecności J. Rainera, Wik. Gen. i B. G. Traudta, kanclerza".

Swoją drogą, ani do mojego, ani do żadnego kościoła polskiego w Milwaukee nie przysłano biskupa Koudelki. Natomiast już następnego roku przybył do Milwaukee biskup polski ks. Edward Kozłowski.

25. Wyrzucony ze Zjednoczenia P. R. K. i znowu przyjęty. — Jak arcybiskup życzył mi wesołego Alleluja. — Zakazy innych biskupów.

Takiem to ciągłem bojowaniem jest życie człowieka na ziemi. Zaledwie jedna bitwa się skończyła, a już druga się zaczęła. Zaledwie podpisałem traktat pokojowy czy zawieszenie broni z arcybiskupem Messmerem, a tu już znowu Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce wojnę mi wypowiada następującą urzędową deklaracją:

„Zjednoczenie Pol. Rz.-Kat. w Am., 1024 Noble Street, Chicago, 7 marca 1912. Ks. Wacław Kruszka w Milwaukee, Wis. Donoszę Bratu, że zostałeś zasuspendowany na żądanie Tow. No. 15. — N. S. Budzban, Sekretarz Generalny".

Zaledwie uniknąłem jednej suspensy czyli szubienicy, a tu już drugą mi stawiają! Oczywiście „na żądanie Tow. No. 15“, to jest, Towarzystwa Księży, którego sekretarzem był ks. W. Krakowski, sekretarz sławnego komitetu przedwiecowego. Nie dość, że akurat miesiąc temu, 7 lutego 1912, wyrzucono mnie z wiecu księży; teraz 7 marca 1912 na żądanie tegoż żarliwego sekretarza i Zjednoczenie P. Rz. K. wyrzuciło mnie z grona swego. I za co? Przecież swój asesment zawsze opłacałem regularnie. Przecież, dopiero właśnie miesiąc i pół temu, przyczyniłem się do założenia w mojej parafji Towarzystwa św. Kazimierza jako nowej grupy 600 Zjednoczenia P. R. K. by za to mnie Zjednoczenie wyrzuciło? Nie podaje, za co. Wyrzuciło mnie, i basta. Rzeczywiście ciężko na sercu zrobiło się człowiekowi. I ta ciężkość jakby kamieniem ciężkim przygniotłaby człowieka zupełnie do ziemi, gdyby równocześnie Opatrzność Boska nie podniosła go tem Swojem mądrem zrządzeniem, że podczas gdy jedni ludzie niezasłużenie posyłają go do piekła, to drudzy, dla przywrócenia równowagi, znowu również niezasłużenie wynoszą go aż pod niebiosa. Pomijając całe wojsko innych, którzy mnie wówczas niezasłużenie wynosili pod niebiosa, nie mogę tu wszakże zupełnem milczeniem pominąć jednego. Bo ten jeden był to 72 letni starzec i weteran z powstania r. 1863. Pisał mi z Detroit, Mich., tak:

„Wielebny Księże Dobrodzieju! Przykrość, jaka Cię W. Ks. Dobrodzieju w Detroit spotkała, i nam wielu lepiej myślącym Polakom boleść sprawia, gdyż spodziewaliśmy się, że zjazd księży przyniesie nam gałązkę oliwną pokoju i miłości, tymczasem narobiono tylko nieznośnego swędu. Pojąć nie mogę, jak biskup tytularny (minister bez teki) miał czoło potępić księdza, któremu rozumem do pięty nie dorósł mimo swej mitry biskupiej lizuństwem u irlandzkich biskupów wylizanej. Tu się uwydatniło przysłowie: puszczyki boją się światła. Czem się może rzeczony biskup pochlubić, czy wielostronnym rozumem, nie, czy zasługą w hierarchji Kościoła, i to nie; gdyż, gdyby posiadał te zalety, nie byłby się zdobył na tak małostkowy postępek. Ten błąd, jaki popełnił, podnosi go do wielkości Herostrata, gdyż shańbił nietylko sam kler polski, ale wszystkich nas Polaków wobec innych narodowości. A to bardzo boli. Nie znam osobiście W-go Księdza Dobrodzieja, lecz znam Jego literackie prace i zacne dążności, dające mi prawo do wywyższenia Go ponad ogół polsko-amerykańskiego kleru. Jestem tylko

prostaczek, ale żyjąc już na świecie 72 lata, świat ten był moją szkołą, który w połowie przeleciałem nawet i o Rzym się otarłem. Widziałem dużo rzeczy złych i dobrych, to samo mogę powiedzieć i o ludziach, widziałem złych i dobrych. Stąd pochodzi moja ocena tych, którzy rzucili w Ciebie W-ny Ks. Dobrodzieju kamieniem, jak również i w Twoją zasługę wobec Boga i społeczeństwa. Kończąc, żywię nadzieję, iż Bóg da, że prawda i sprawiedliwość odniesie zwycięstwo, a kamień rzucony do Ciebie W-ny Ks. Dobrodzieju zwróci się do tych, którzy go rzucili. Z wysokim szacunkiem Józef Przybyłowski, weteran z r. 1863—4".

Ten kamień, jaki na mnie rzuciło Tow. No. 15, wnet „zwrócił się do tych, którzy go rzucili". A to dzięki temu, że ówczesny Zarząd Zjednoczenia jako piastun władzy był nieustraszonym władcą, a nie bojaźliwym samowładcą czyli autokratą. Ówczesny piastun władzy w Zjednoczeniu nie uważał władzy i siebie za jedno i to samo, nie uważał siebie za „samowładzę" i „samowładcę" czyli autokratę. Umiał rozróżnić siebie od władzy, którą piastował; i wiedział, że tej władzy mógł użyć do dobrego, ale też i nadużyć do złego. Że jeśli jej nadużył do wydania mylnego wyroku na mnie, to jego obowiązkiem jest, odwołać ten mylny wyrok. I że przez takie odwołanie nietylko nie skompromituje władzy, ani siebie, ale owszem jeszcze większą czcią i szacunkiem otoczy tak władzę jak i siebie. O tem pamiętał ówczesny prezydent Zjednoczenia, pan Stanisław Adamkiewicz. I dlatego, skoro się przekonał, że wyrok wyrzucenia mnie ze Zjednoczenia wydał na podstawie mylnych informacyj, zaraz odwołał ten mylny wyrok i bez zabobonnej obawy przed kompromitacją władzy listem z dnia 24 kwietnia 1912 przyjął mnie napowrót do Zjednoczenia P. R. K. Tylko samowładca czyli autokrata nigdy nie cofnie raz danego wyroku! Bo ma zabobonny strach przed kompromitacją władzy.

Nastąpiły teraz różne zakazy biskupie.

Dnia 21 marca 1912 Polacy z Ironwood, Hurley i Bessemer, Mich., zaprosili mnie z mową na obchód Konstytucji 3 Maja, który się „ma odbyć 19 maja b. r. w Bessemer, Mich." Zeszłego roku wygłosiłem im mowę w Ironwood. „Przypominając sobie mowę Wiel. Ks. Dobrodzieja, grupy Związku N. P. poleciły prosić Księdza i na ten obchód. W tym celu był komitet u ks. proboszcza Swobody w Bessemer o poradę. Ks. Swoboda oznajmił, że niema przeciw Ks. nic do zarzucenia, rad by go widzieć, lecz uważa za konieczne prosić biskupa o pozwolenie". I ks. Karol Swoboda poprosił bisku-

pa Eisa, lecz ten mu tak odpowiedział: „Żadnemu księdzu z tej diecezji nie wolno pozwolić ks. Kruszce ani Mszy odprawiać, ani kazania mówić w żadnym z naszych kościołów“ (list z 30 marca 1912).

Wobec takiego zakazu na obchód **w niedzielę** urządzany nie wypadało mi jechać. Tym zakazem była zamknięta dla mnie cała diecezja Marquette czyli cały Wyższy Michigan. To był jeden zakaz.

Dla odmiany nastąpił i nakaz. Arcybiskup nie był zadowolony samym podpisem deklaracji, że przyjmę biskupa Koudelkę, ani jej ogłoszeniem w „Nowinach“. Nakazał mi ją w kościele głośno odczytać na wszystkich Mszach świętych, i to w samą Wielkanoc! Listem z 5 kwietnia 1912 takie mi nadesłał życzenie wesołego Alleluja: „Wielebny drogi Panie: Załączoną deklarację, którąś podpisał w obecności Msgr. Rainera i Traudta, masz twoim parafjanom głośno odczytać w tę Niedzielę Wielkanocną na Mszach w kościele św. Wojciecha“. Stosownie do tego nakazu odczytałem ową deklarację głośno w kościele w samą Wielkanoc, dodając na końcu taką uwagę:

„Do tego oświadczenia dodam tylko to jedno. Już sama ta okoliczność, że powyższe oświadczenie nakazano mi odczytać wam parafjanom w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego, jest bardzo dobrą wróżbą, że dla sprawy biskupów polskich, choć przywalonej jeszcze ciężkim kamieniem opozycji, nadejdzie i musi wnet nadejść dzień zmartwychwstania: bo słowo dane przez samego papieża jest niezawodne i niezłomne“.

Potem znowu nadszedł zakaz biskupi, tym razem aż z diecezji Peoria. Polacy z Spring Valley, Illinois, zaprosili mnie z mową na obchód Konstytucji 3 Maja na dzień 30 maja. Zapytałem się listownie miejscowego proboszcza, czy niema jakiej przeszkody. Odpowiedział mi ks. J. Cieśla z Spring Valley: „Osobiście nie miałbym przeciwko temu nic, żeby Wiel. Ks. przyjechał z mową na obchód... Lecz w obecnej chwili otrzymałem list od biskupa Dunn'a z Peoria, który stanowczo sprzeciwia się temu, żeby Wiel. ks. Kruszka przyjechał **z jakąkolwiek mową,** lub w innych sprawach religijnych do Spring Valley albo też do innych osad polskich w jego diecezji, bez specjalnego jego pozwolenia. Zatem i ja muszę się zastosować do rozkazu mego biskupa diecezjalnego“. (25 maja 1912.) Na to ma się rozumieć odpowiedziałem, że nie przyjadę na ten obchód. Lecz komitet urządzający ten obchód, dowiedziawszy

się, że biskup zakazał mi wygłosić mowę na obchodzie, prosił mnie teraz, żebym przyjechał **bez mowy,** żebym tylko był obecny na ich obchodzie, jako niemy widz. Komitet nadesłał mi taki telegram: „Prosimy przyjechać o tym czasie jak pisał, bez mowy, żeby tylko był obecny. Czy przyjedzie. Odpowiedź zaraz. M. Pikor". Odpowiedziałem, że nie przyjadę. Ale zdziwiło mnie, dlaczego oni mnie chcą mieć tam bez mowy, czy żeby mnie pokazywać jak niedźwiedzia? Później dopiero się dowiedziałem, że przez taką moją niemą obecność chcieli dokumentnie się przekonać, kto właściwie postarał się o ten zakaz u biskupa. Ale i bez mojej obecności to im się udało. Kiedy bowiem według drukowanego programu przyszła kolej na moją mowę, wtedy sprytny przewodniczący, udając, że ja jestem obecny za kulisami, odezwał się do księży i publiczności takimi słowami:

— Następny numer na programie, to mowa ks. Wacława Kruszki z Milwaukee. Mowy tej nie będzie, bo biskup ją zakazał. Ale ks. Kruszka zaraz tu będzie, i wolno go wam widzieć, choć nie wolno go słyszeć. Teraz wprowadzę i przedstawię wam ks. Wacława Kruszkę...

Jeszcze przewodniczący tych ostatnich słów nie domówił, a obecni na obchodzie księża już wstali, chwytali za kapelusze i jak oparzeni uciekali ze sali. A ja się na scenie nie pokazałem, bo mnie tam nie było. Istna komedja.

26. Rok 1912 to rok klątw i zakazów. — Biskup Fox wyklął mnie z diecezji Green Bay. — Ks. Chylewski nie wpuścił mnie do Sierocińca. — Arcybiskup zakazał założyć cmentarz i skarżyć „Nowiny".

Nigdziem się nie wpraszał. A kiedy zaprosił mnie ktoś z innej diecezji, pytałem proboszcza, czy jego biskup pozwolił mi przyjechać. Pozwolenie biskupa musiało być wyraźne albo przynajmniej milczące. Inaczej nie przyjmowałem zaproszenia ani na odpust, ani nawet na obchód. W sąsiedniej diecezji Green Bay biskup Fox wielu księżom zakazał mnie zapraszać, ale nie wszystkim. Przynajmniej nie wszyscy taki zakaz otrzymali. Mnie osobiście zakazał tylko kazanie wygłosić w tych dwóch poszczególnych wypadkach, to jest, na pogrzebie mego przyjaciela ks. Kwiryna Zielińskiego w Antigo, Wis., roku 1907 i na poświęceniu kościoła w Mill Creek, Wis., roku 1910. Ogólnego zakazu przed rokiem 1912 nigdy mi nie dał,

ani ustnie ani piśmiennie. Więc kiedy mnie proboszczowie zapraszali z kazaniem i do słuchania spowiedzi i śpiewania sumy, zapewniając mnie, że mają od swego biskupa przynajmniej milczące pozwolenie, przyjmowałem takie zaproszenia. Do roku 1912 nie było z tego powodu żadnego kłopotu. Ale w tym roku klątw i zakazów biskup J. J. Fox wyklął mnie ze swojej diecezji, takim impertynenckim, grubijańskim i obelżywym listem, pisanym do mnie z Green Bay, Wis., dnia 24 maja 1912:

„Wielebny drogi Panie! — Doniesiono mi właśnie, żeś w tych dniach odważył się słuchać spowiedzi i kazanie głosić w tej tu diecezji wbrew wyraźnemu mojemu zakazowi, o którym ty bardzo dobrze wiesz. Ty będziesz odpowiedzialny za to przed Bogiem. Ażeby tobie i innym oszczędzić kłopotów na przyszłość i uniknąć wszelkiego możliwego nieporozumienia, ja niniejszem jeszcze raz ci oznajmiam, 1) że ty nie masz absolutnie żadnego pozwolenia w tej diecezji do udzielania sakramentów, 2) że żaden ksiądz w tej diecezji niema prawa udzielić ci takiego pozwolenia w przyszłości, 3) ja niniejszem jeszcze raz wyraźnie ci zakazuję kazania miewać albo Mszę odprawiać w którymkolwiek kościele lub kaplicy w tej diecezji bez mojego piśmiennego pozwolenia. Twój w Chrystusie † Józef J. Fox, biskup. **P. S.** Kopja tego listu została przesłana twojemu arcybiskupowi". List opatrzony pieczęcią diecezjalną. Była to diecezja, w której z utratą zdrowia założyłem był parafię (zobacz tom I, str. 249—258).

Nie miałem nic przeciw samemu zakazowi, chyba to, że był nieuzasadniony. Ale przeciwko tej potwarzy, jakobym „spowiadał i kazał w jego diecezji wbrew wyraźnemu jego rozkazowi", powstałem całą istotą zbolałej duszy mojej i 29 maja 1912 tak odpisałem:

„Najprzewielebniejszy J. J. Fox, D. D., biskup w Green Bay, Wis. Najprzewielebniejszy Panie! — Twój nieuzasadniony zakaz, wydany 24 maja, a pocztą wysłany 28 maja, jest w moim ręku i zasługuje na bezzwłoczną odpowiedź. Powiedz mi otwarcie, Najprzewielebniejszy Biskupie, co ja Tobie uczynił, że mnie ciągle prześladujesz już nietylko niezasłużonymi zakazami, ale teraz także kłamstwami i potwarzami? Albowiem jest to pierwszy raz, że otrzymałem od Ciebie taki ogólny zakaz. Albo chyba musiałeś być upojony złością, kiedyś pisał w owym liście z 24 b. m. te słowa: „Ja niniejszem **jeszcze raz** ci oznajmiam". I znowu: „Ja niniejszem **jeszcze raz** wyraźnie ci zakazuję". Otóż, Najprzewielebniejszy Pa-

nie, to Twoje „jeszcze raz“ jest złośliwem kłamstwem, zmierzającem do oczernienia mnie przed moim arcybiskupem. Za to kłamstwo — że użyję Twoich własnych wyrażeń — Ty „będziesz odpowiedzialny przed Bogiem“ i względnie przed Jego przedstawicielem na ziemi. Ty wiesz, żeś **nigdy przedtem nie przysłał mi** takiego zakazu. Jeżeli w swojej diecezji masz księży, którzy zdają się nie wiedzieć kogo im wolno zaprosić, a kogo nie, to nie masz prawa mnie winować za to. Gdybyś był rzeczywiście już **raz przedtem** oznajmił mi to, co teraz oznajmujesz, bądź pewien, że nie byłbym był przyjął żadnego zaproszenia od żadnego księdza z Twojej diecezji. Ty wiesz to, ponieważ Ty wiesz, że za każdy raz, kiedyś Ty **mnie wydał** zakaz (w Antigo r. 1907 i w Mill Creek r. 1910), ja natychmiast usłuchałem Twego zakazu. Ty wiesz to dobrze. A jednakowoż, powodowany uprzedzeniem i złością, Ty jak żmija jadowitą śliną obryzgujesz mój kapłański charakter. Lecz nadaremnie. Ty plamisz sam siebie, nie mnie. Teraz już możesz być całkiem spokojny, Najprzewielebniejszy biskupie, że od dzisiejszego dnia, kiedy rzeczywiście otrzymałem Twój zakaz, nie przyjmę już więcej żadnego zaproszenia od Twoich księży, nawet, żeby odprawić Mszę za Twoją marną duszę (for your diminutive soul), bez Twojego piśmiennego pozwolenia. Chyba, że biskup z Green Bay sam zaprosi mnie znowu jak roku 1897, żebym mu pomógł rozbudować diecezję przez założenie drugiej parafji. Wtedy to (r. 1897 do 98) dojeżdżałem 25 mil wozem w niedziele, koleją w powszednie dni, szkodząc sobie na zdrowiu. I aczkolwiek nie oczekiwałem żadnej nagrody od biskupa lecz tylko od Boga, to jednakowoż nigdy nie przypuszczałem, że w Green Bay kiedyś będzie biskup tak podły, że mi nietylko zabroni wstępu do diecezji, ale jeszcze zelży mnie i oczerni mnie za usługi, jakie oddałem jego diecezji. Z wielkim szacunkiem lecz także z wielką otwartością Twój w Chrystusie X. Wacław Kruszka. **P. S.** Gdybyś czasem kiedyś ten list miał zgubić, to kopię jego zawsze znajdziesz u arcybiskupa w Milwaukee“.

Nazajutrz był Dzień Wieńczenia Grobów (Decoration Day). Jak po inne lata tak i tego roku 1912 w ten dzień poszedłem wraz z wszystkimi dziećmi szkolnymi i Siostrami na polski cmentarz, aby się tam pomodlić i zarazem zwrócić uwagę dzieci na groby tych, którzy dali im zielskiem porość i na groby tych, którzy na nich kwiaty zasadzili. Poganie kwiaty sadzą na grobach i piękniej groby utrzymują niż katolicy. Mówiłem więc dzieciom ze św.

Augustynem: „Jeżeli groby zdobią ci, którzy w zmartwychwstanie ciał nie wierzą, o ileż bardziej powinni to czynić ci, co wierzą; ażeby ciału, martwemu lecz zmartwychwstać i na wieki żyć mającemu, oddana taka przysługa była także niejako tejże wiary świadectwem" (w księdze o staraniu, jakie mieć mamy o zmarłych). W tym więc celu zwykłem był w to amerykańskie święto „Zdobienia Grobów" co rok maszerować z całą szkołą na cmentarz. Z cmentarza zwykliśmy powracać inną drogą i po drodze tej odwiedzać Sierociniec Polski. Dzieci ze szkoły mojej o tych odwiedzinach już naprzód wiedziały i dlatego ze sobą zabierały różne podarunki dla sierót polskich. Stanąłem z dziećmi i Siostrami przed kratowaną bramą Sierocińca. Wyszedł kapelan ks. Chylewski z gmachu Sierocińca i zbliżył się do bramy czerwony jak indyk. Z pianą na ustach wykrztusił te słowa:

— Dzieciom z Siostrami wolno wejść do sierocińca, ale ks. Kruszce nie wolno! dla bardzo ważnych przyczyn!

I otworzywszy bramę prosił Siostry i dzieci, aby weszły. Ale ani Siostry, ani dzieci nie chciały wejść beze mnie i mówiły:

— Jeśli proboszczowi naszemu nie wolno, to i my nie wejdziemy.

To prawda tak jasna jak słońce. Tej prawdy tylko zaślepiony nienawiścią nowiniarz nie mógł widzieć, że ubliżając proboszczowi, ubliżył i Siostrom i dzieciom. Odtąd wśród dzieci słyszałeś często ten wyraz:

— Nowiniarz!

Ponieważ księże i biskupie „Nowiny" tak często źle o mnie pisały, stąd nawet dzieci każdego, kto mnie ubliżył, nazywały „nowiniarzem". Nie wpuszczony do Sierocińca, poszedłem z dziećmi i siostrami do domu. Siostry Felicjanki ze Sierocińca przyszły potem do plebanji mojej i mocno mnie przepraszały za tę zniewagę, jaką mimo ich wiedzy i wbrew ich woli wyrządził mi ich kapelan.

Ks. B. E. Góral, zarządca cmentarza polskiego, 16 czerwca 1912 zapytał mnie, „w jakimby miejscu cmentarza pobudować kapliczkę". Odpowiedziałem mu, że najpierw należałoby się zapytać, czy wogóle potrzeba budować kapliczkę. Czy nie należałoby najpierw oczyścić cmentarz z zielska i z monopolizmu? Stanowczo należy najpierw czysty tytuł własności przywrócić parafjom polskim, do których ten cmentarz należy i prawem natury i prawem kościelnem. A tymczasem cmentarz ten sądownie zapisany jest jako osobista własność arcybiskupa, który w dodatku nie jest Polakiem.

Cmentarz taki jest wprawdzie katolickim, ale nie polskim, gdyż prawnym jego właścicielem jest Niemiec. Rzym już dawno orzekł, że wszelka własność kościelna powinna być sądownie zapisana jako „parish corporation", a nie jako „corporation sole", albo „fee simple", powinna być zapisana na parafje, a nie na biskupa osobiście lub prywatnie. I parafjom publiczne sprawozdanie z dochodów i rozchodów ogłaszać ma zarządca cmentarza, a nie prywatne tylko arcybiskupowi.

Ponieważ ks. B. E. Góral tego nie chciał uczynić; nadto ponieważ w arogancki sposób przywłaszczał sobie wyłączne prawo decydowania, komu z moich parafjan należy się pogrzeb kościelny a komu nie, kto należał do wyklętej Federacji, a kto nie, kto czytał wyklętego „Kurjera", a kto nie; dalej, ponieważ po wyklęciu „Kurjera" księże „Nowiny" tem śmielej i bezwstydniej na mnie ciągle pluły — przeto wówczas poprosiłem arcybiskupa 1) ażeby pozwolił założyć osobny cmentarz dla mojej parafji i 2) ażeby pozwolił mi wytoczyć proces „Nowinom" przed sądem cywilnym. Na to 19 czerwca 1912 arcybiskup mi odpisał: „Drogi Panie! Twoja prośba o osobny Polski Cmentarz i o pozwolenie skarżenia ks. Górala czyli „Nowin" przed sądem cywilnym nie może być wysłuchana. Szczerze Twój † S. G. Messmer, Abp."

Jeden czytelnik wyklętego „Kurjera", któremu miejscowy proboszcz odmówił rozgrzeszenia, pytał mnie w liście z 19 czerwca 1912: „Czy można odbyć spowiedź piśmiennie?" Niejeden do biskupa jechać miał za daleko, a tylko biskup mógł go rozgrzeszyć, gdyż grzech czytania „Kurjera' był najściślejszym rezerwatem.

27. Zakazy pogrzebów. — „Nowiny" kpiły z przykazań Boskich, a ludzie mieli przykazań biskupich słuchać. — Rycerze św. Florjana wyklęci.

W święto 4 lipca 1912 dzwonek dzwonił. Poszedłem do drzwi odebrać polecony i pospieszny list od arcybiskupa, datowany 3 lipca 1912: „Drogi Panie! Niniejszy list ma ci oznajmić, że masz stanowczo zakazane pogrzebać Jakóba Substyka z 704—8 th. Ave. właśnie zmarłego. Jesteś dostatecznie uświadomiony, że nikt czytający „Kurjera" albo należący do Polskiej Federacji nie może otrzymać sakramentów ani chrześcijańskiego pogrzebu, jeżeli poprzednio nie wyrzekł się takiego czytania lub takiego członkostwa. Jak ty śmiałeś działać przeciw tej zasadzie, ja tego zrozumieć nie mogę. Szczerze † S. G. Messmer, Abp."

Na ten list odpowiedziałem arcybiskupowi: „Twój stanowczy zakaz grzebania Jakóba Substyka odebrałem i usłuchałem go natychmiast. Naturalnie, ty ponosisz następstwa. Fundamentalną zasadą sprawiedliwości jest wysłuchać obydwie strony, zanim się wyrok jakiś wyda. Niech mi wolno będzie zapytać Waszą Mość jego własnymi słowy: „jak ty śmiałeś działać przeciw tej zasadzie?" Z szacunkiem X. W. Kruszka".

Polacy ze St. Francis., Wis., znowu przyszli do mnie z prośbą o założenie polskiej parafji. Przedłożyłem tę rzecz arcybiskupowi, który 8 lipca 1912 tak mi odpisał: „Wielebny Panie! W odpowiedzi na twoją uwagę powiem, że rozglądnę się w położeniu polskich familij w St. Francis i jeżeli będę uważał za stosowne założyć osobną polską parafję, to powezmę potrzebne kroki. Na razie nie chciałbym się tem zajmować, gdyż wyjeżdżam z miasta i nie powrócę przed przyszłym tygodniem. Szczerze Twój † S.G. Messmer".

W sobotę 13 lipca 1912 rano szalała ogromna burza z piorunami i zerwała w mieście wiele drutów elektrycznych. Po burzy jeden z moich parafjan, Jan Chłopek, posłany przez kompanję elektryczną do naprawienia zerwanych drutów, na rogu ulic 7 i Winnebago dotknął się drutu naładowanego elektrycznością i został zabity na miejscu. Nie był tego roku u Komunji wielkanocnej, gdyż za czytanie „Kurjera", podobnie jak wiele tysięcy innych, nie mógł dostać rozgrzeszenia. Ale umarł nagłą śmiercią, a w takim razie to nienawistne prawo, zabraniające pogrzebu kościelnego, ma być złagodzone według Koncyljum Baltimorskiego (część II, nr. 389). Nie chciałem mu odmówić pogrzebu kościelnego, ale nowiniarze postarali się już o zakaz u arcybiskupa. Opisałem tedy cały ten wypadek arcybiskupowi, a ten mi taką dał odpowiedź 15 lipca 1912: „Wielebny Panie! W odpowiedzi na twój list ja chcę to powiedzieć, że żadnemu katolickiemu księdzu nie wolno pogrzebu kościelnego dać Janowi Chłopkowi. Ten młody człowiek był dość stary, żeby wiedzieć, że czynił źle. Jest dowód na to, że czytał „Kurjera" i brał udział w Polskiej Federacji i nie wypełnił wielkanocnego obowiązku przez jakiś czas. Przez to, że mieszasz się we wszelkie te sprawy, dajesz wielkie zgorszenie. Szczerze twój † S. G. Messmer, Abp."

A więc przez to, że wstawiałem się za tym młodym człowiekiem, który jak żołnierz na posterunku padł nagle przy spełnianiu swojej niebezpiecznej roboty naprawiania drutów elektrycznych — przez to, zdaniem arcybiskupa, „dawałem wielkie zgorszenie". Nie

inne zapewne, tylko faryzejskie. Naturalnie arcybiskupa gorszyło nie tyle moje wstawiennictwo za nagle zmarłym Chłopkiem ile raczej to, że Polacy wogóle nie słuchają jego zakazów, że czytają „Kurjera", abonują „Kurjera", ogłaszają się w „Kurjerze", sprzedają „Kurjera" po aptekach jeszcze więcej niż przed klątwą. Dla urzędowych ogłoszeń miejskich, których w „Nowinach" nie było, niektórzy chcąc nie chcąc musieli czytać „Kurjera". A „list pastersk" nieomylnie zawyrokował, że każdy, co czyta „Kurjera", jest wyklęty. Polacy się śmiali z takiego zakazu. Zwłaszcza, że osobiste ataki na księży i cywilnych w „Nowinach" były wówczas brudniejsze niż w „Kurjerze". Biskupie „Nowiny" poprostu kpiły sobie z przykazań Boskich, a zwłaszcza z ósmego, a ludzie mieli biskupich przykazań słuchać. Gdy mi tedy arcybiskup zakazał pogrzebać tego nagle zmarłego Chłopka, siadłem i napisałem arcybiskupowi taki list zaraz 16 lipca 1912: „Najprzewielebniejszy arcybiskupie! Twój list z 15 b. m. otrzymałem. Widzę, że jesteś stały w swej polityce rządzenia albo zrujnowania (firm in your rule or ruin policy). Będąc wszakże bliżej ludu niż Wasza Mość, czuję się zobowiązanym powiedzieć Ci otwarcie, skąd to pochodzi, że ludzie ignorują Twoje przykazania. Pochodzi to stąd, że Ty publicznie ignorowałeś przykazania Boga i Jego Kościoła. Przez tyle lat Ty pozwalałeś w „Nowinach" publikować kłamstwa i oszczerstwa, ogłaszać maskowe bale i zakazane tańce sobotnie, urządzać pikniki i bazary z upajającymi trunkami, trzymać własność kościelną „in fee simple" jako osobistą, kolektować wstępne opłaty przy drzwiach kościoła itd., itd. Na wszystkie te wyraźne zakazy Boga i Jego Kościoła Tyś w praktyce nie zważał i stąd nieubłaganą logiką ludzie nie zważają także na Twoje zakazy. Kto ignoruje, ten będzie ignorowany. Czy przykazanie biskupie — mówią ludzie — jest większe od przykazania Boskiego? Czemu za przekroczenie przykazań biskupich tak surowo się karze, a na przekroczenie przykazań Boskich i kościelnych publicznie się pozwala? Jest wiele złego w naszej prasie. Zapewne. Lecz „nie dawaj się zwyciężać złością". Bądź mocnego umysłu, jak na chrześcijanina przystoi; pokonuj wszelkie złośliwe i mściwe myśli, jakie powstały w Twoim umyśle z powodu krzywd Ci wyrządzonych; otocz nieprzyjaciół Twoich miłością i za złe odpłacaj im dobrem. Nigdy przenigdy nie pokonasz złej prasy przez złą prasę. Moc złego zwyciężaj mocą dobrego. Modląc się, by Bóg Cię umocnił Swoimi najcenniejszymi łaskami, pozostaję Twoim sługą w Chrystusie X. Wacław Kruszka".

Zmarłego Chłopka arcybiskup nie pozwolił pogrzebać, ale pozwolił go w „Nowinach“ zniesławiać.

Przez resztę lipca nie było zakazów. Lecz 1 sierpnia 1912 pospiesznym listem nadszedł zakaz pogrzebu Walentego Jesiona, zakaz, który zaraz został unieważniony. Następnie 5 sierpnia 1912 arcybiskup przysłał mi pospieszną pocztą taki sążnisty zakaz: „Wielebny Panie! Dowiaduję się, że w następną niedzielę w twoim kościele ma być obchodzony uroczysty jubileusz Rycerzy św. Florjana, towarzystwa należącego właściwie do parafji św. Jacka. Dowiaduję się także, że to Towarzystwo Rycerzy św. Florjana należy do Federacji Świeckich Polaków, towarzystwa zakazanego przez biskupów Prowincji Milwauckiej i którego członkowie nie mogą być dopuszczeni do Sakramentów Kościoła. Z tej przyczyny niniejszem ostro ci zakazuję w twoim kościele odprawiać jakiekolwiek nabożeństwo dla rzeczonych Rycerzy św. Florjana, czy to w formie Mszy św. czy innej ceremonji, czy kazania lub przemowy. Gdyby Rycerze św. Florjana odważyli się stawić w twoim kościele w gromadzie (in corpore) i w swoich odznakach, natenczas, chociażby to było podczas zwykłego nabożeństwa dla twoich parafjan, ja ci również zakazuję odprawiać jakiekolwiek nabożeństwo tak długo jak długo rzeczone Towarzystwo Rycerzy św. Florjana pozostanie obecne w kościele. A gdybyś ty albo inny jaki ksiądz miał się odważyć, od czego Boże uchowaj, być nieposłusznym powyższemu wzbronieniu czyli zakazowi, to wiedz, że ty sam albo inny taki ksiądz już temsamem (ipso facto) podpada karze zawieszenia (suspensy) od wszelkich kościelnych funkcyj, której to kary odpuszczenie ja zastrzegam sobie samemu. Mając nadzieję, że mi oszczędzisz boleści takiego posługiwania się powagą Kościoła uosobioną w jego biskupach, pozostaję, Wielebny Panie, Twoim w Chrystusie † S. G. Messmer, Abp. Poświadcza: Rev. George A. Meyer“.

28. Moja mowa na obchodzie ks. Piotra Skargi a biskupie „Nowiny“. — „Nowiny“ nazwały mnie błaznem za to, że dałem dwa tysiące dolarów na kościół. — Ani centa.

Arcybiskup Messmer zakazał mi obchodzić jubileusz Rycerzy św. Florjana. Równocześnie wówczas planowany był inny obchód. Zbliżała się trzechsetna rocznica śmierci księdza Piotra Skargi, największego kaznodziei, pisarza i patrjoty polskiego. Polacy ka-

tolicy w Milwaukee przygotowywali się do godnego uroczystego obchodu tej rocznicy. Komitet, urządzający ten obchód, zaprosił mnie z mową na tę uroczystość, chociaż się wymawiałem jak mogłem od wygłaszania mowy w owych burzliwych czasach różnych klątw i zakazów. W oczach nowiniarzy, jak to niebawem się pokazało, było to znowu okropną zbrodnią, że „jeden z Kruszków" ma przemawiać i na tym obchodzie. Starali się o nowy zakaz. Arcybiskup tym razem wprawdzie nie śmiał wydać zakazu, ale pozwolił „Nowinom" zbezcześcić mnie w oczach ogółu tak, żeby na ten obchód nikt nie przyszedł. „Nowiny" we wrześniu 1912, tuż przed obchodem, na pierwszej stronicy umieściły dwuszpaltową płomienną odezwę do publiczności, odezwę pełną brudnych osobistych napaści „na Kruszków". Dwucalowy potrójny nagłówek tej odezwy, zgodnie z nowiniarską etyką dziennikarską, dosłownie tak brzmiał:

Profanacja Obchodu Ks. Skargi.
Jeden z Kruszków zaproszony na mówcę!
Ks. Skarga życie spędził na gromieniu wrogów Kościoła, takich samych, jakimi są Kruszkowie. — Oburzenie wśród patrjotów Polaków, na wiadomość, że jeden z Kruszków na obchodzie ks. Skargi ma przemawiać.

Ten olbrzymi nagłówek był tylko krótką zapowiedzią długiego szeregu wyzwisk od „lutrów" i osobistych napaści, jakie w dwuszpaltowym artykule pod tym nagłówkiem się ukazały w „Nowinach". Ale daremnie nawoływały „Nowiny", żeby na ten obchód ks. Skargi nikt nie szedł, bo „obchód taki, który obecnością swoją, i to oficjalną, największy wróg Polaków, jeden z Kruszków, splami, nikomu iść się nie godzi". Daremnie, mówię, „Nowiny" tak nawoływały. Polonja milwaucka stawiła się na ten obchód tak licznie, że duża hala nie mogła pomieścić wszystkich, i godnie uczciła pamięć ks. Piotra Skargi, nie zważając wcale na protesty „Nowin".

I biskupi chcieli przez klątwy i zakazy zreformować świeckie gazety, kiedy księże gazety i biskupie „Nowiny" napadały księdza katolickiego w brudniejszy sposób niż świecka prasa. Złej prasy złą prasą się nie naprawi. Niepodobna tu wyliczyć wszystkich wyzwisk nowiniarskich. Wspomnę tylko o dwóch. Miałem i mam zwyczaj odmawiać brewjarz c h o d z ą c o albo w hali, kiedy zimno, albo w ogrodzie, kiedy ciepło i pogoda, albo na werandzie, kiedy ciepło a deszcz. I z tego powodu „Nowiny" we wrześniu 1912 pisały o mnie jako o „faryzeuszu, który brewjarz odmawia na porczu

swojej plebanji". Ale obok śmiesznych i dziecinnych napaści były i złośliwe i wprost szatańskie. Taką np. była osobista napaść na mnie z następującej okazji. Moja szkoła nie mogła pomieścić dzieci, które się do niej zgłaszały, i mój kościół tymczasowy był za mały. Trzeba szkołę powiększyć i nowy kościół pobudować. Ale na to trzeba przynajmniej sto tysięcy dolarów, gdyż długu mamy 46,000 dolarów. Jak te 100,000 zebrać? Wiedząc, że przykład idzie zgóry, sam z własnej kieszeni dałem dwa tysiące dolarów na budowę nowego kościoła, aby tym przykładem zachęcić parafjan do ofiarności na kościół. Było to we wrześniu r. 1912. Otóż „Nowiny" z 19 września 1912 pisały wtedy o mnie, że **„ten błazen daje 2,000 dolarów aby od ludzi wyłudzić 100,000 dolarów na swoją rozpustę"**. Obelżywy ten artykuł „Nowin" był prawie całą szpaltę długi, pełen podłych insynuacyj i złości iście szatańskiej. Mniejsza o moją osobę. Sprawie kościoła polskiego ten jeden artykuł „Nowin" więcej szkody przyniósł niż tysiąc antykatolickich artykułów świeckiej prasy. Bo u ludu polskiego w Milwaukee podkopał ofiarność na kościół. Mówię to z doświadczenia. Gdziekolwiek poszedłeś, wszędzie słyszałeś:

— Co? ja mam dać na nowy kościół? Nie ma głupich! Czy biskupie „Nowiny" nie wyzwały ks. Kruszki od błazna za to, że dał na kościół? Więc dawać na kościół to błazeństwo, i księża tylko rozpustę z tego mają. Nie płacić! oto mądre hasło.

I to hasło „nie płacić" rozbrzmiewało po Milwaukee przez długie następne lata. A prasa świecka, widząc taki gorszący przykład księżej prasy, z dnia na dzień stawała się coraz gorszą.

Czy nie należało wówczas wnieść skargę do arcybiskupa? Ależ on o wszystkiem wiedział. Kiedym się poskarżył, że „Nowiny" mnie atakują, odpowiedział mi: They have to attack you — one mają cię atakować! A kiedym mu w „Nowinach" pokazywał ogłoszenie zakazanych tańców i urządzanie niedzielnych tańców po halach parafjalnych, to mówił, że nie wiedział o tem, i na tem koniec. Nowiniarze wówczas wogóle zdali się nie wiedzieć o kościelnych i boskich przykazaniach. Oni tylko wiedzieli o tem jednem przykazaniu biskupiem: Nie czytaj „Kurjera!" Na tem cały zakon zawisł i prorocy. Czy nie należało wnieść skargi do sądu cywilnego? Chciałem, ale arcybiskup mi nie pozwolił. A do Delegacji Apostolskiej? Chociaż niedawno mi oświadczyła, że nie posiada jurysdykcji, to jednak do wiadomości jej posłałem 20 września 1912 co następuje:

„Jego Excelencja Najprzewielebniejszy Jan Bonzano, Apostolski Delegat, Waszyngton, D. C. Najprzewielebniejszy Apostolski Delegacie! — Tak księża jak i świeccy zwrócili moją uwagę na wczorajszy artykuł w organie naszego arcybiskupa „Nowiny" zatytułowany: „Błazen dający 2,000 dolarów a żądający 100,000 dolarów" na swoją rozpustę. Wyśmienicie. Raz jestem „faryzeuszem, który odmawia brewjarz na wystawie swej plebanji". Drugi raz jestem „błaznem". Czem następny raz?... Mogą mi codzień, jak to i czynią, dawać rozmaitego rodzaju przezwiska. Moją zemstą będzie: czynić dobrze. Bo jestem przekonany, że moc złego zwyciężyć można tylko mocą dobrego. Potrzebujemy większej szkoły i bardzo potrzebujemy nowego kościoła, nasza parafja powstała niedawno. liczy wszakże już tysiąc familij. Atoli ci ludzie są przeważnie nowymi przybyszami z ruskiej Polski, ubodzy lecz dobrzy ludzie. A my mamy jeszcze 46,000 dolarów długu. Z doświadczenia w czterech parafjach, jakie zapoczątkowałem w mojem życiu kapłańskiem wśród mizernych okoliczności, wiem, że kiedy ja daję hojnie, to i ludzie dają hojnie. Dawajcie, a będzie wam dane. Tak więc ostatniej niedzieli dałem dwa tysiące dolarów mojej parafji, aby zebrać sto tysięcy dolarów potrzebnych do spłacenia długu, powiększenia szkoły i wystawienia nowego kościoła. A oto teraz ślepa gorliwość i nierozumna stronniczość „jedynej katolickiej gazety" tutaj przedstawia mnie wobec publiczności jako „błazna, który żąda 100,000 dolarów dla swojej rozpusty" (tak!). Dzięki ci, Panie. Z wysokim szacunkiem wasz sługa w Chr. X. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha w Milwaukee, Wis."

Na przedstawienie i obchód, urządzany co rok przez polskich studentów w St. Francis, Wis., nietylko nie zostałem zaproszony tego roku klątw, ale nadto biskupie „Nowiny" raczyły poinformować całą Polonję, że „wszyscy księża zostali zaproszeni z wyjątkiem ks. Wacława Kruszki, któremu zaproszenia nie wysłano"... Pomimo to dnia 9 listopada 1912 zarząd Stowarzyszenia Alumnów z St. Francis, Wis., poprosił mnie o sto dolarów na seminarjum. Odpowiedziałem tak: „Ani centa nie dam. Bo, kiedym dał wam sto dolarów na bibljotekę, to „Nowiny", aprobowane przez arcybiskupa Messmera i biskupa Foxa, i zalecane przez „Salesianum" jako „jedyne polskie katolickie pismo" w Wisconsinie, ten mój szczodry uczynek nazwały przekupstwem i przedstawiły mnie publicznie wobec ludu jako „przekupcę". Żądałem od „Nowin" odwołania nadaremno. Prosiłem arcybiskupa, aby zmusił „Nowiny" do odwoła-

nia tego, jak i stu innych kłamstw, lecz nadaremno. I skandaliczne oszczerstwa w „Nowinach“ dalej się ukazują z widocznem pozwoleniem naszych władz kościelnych. Kiedym jeno niedawno darował dwa tysiące dolarów mojej biednej, bo młodej, a szybko rosnącej parafji św. Wojciecha, wtedy te same „Nowiny“ publicznie ogłosiły mnie jako „błazna, dającego 2,000 dolarów aby wyłudzić od ludzi 100,000 dolarów na moją rozpustę“ (tak!) Osobiście nie dbam, czy mię „Nowiny“ chwalą czy ganią; ale jakie spustoszenie i zrujnowanie dusz wśród Polaków wywołało takie skandaliczne postępowanie „Nowin“, tego chyba ślepy widzieć nie może. Czemu my mamy dawać na kościół — mówią ludzie — kiedy arcybiskupi organ nazwał proboszcza błaznem za to, że dał? Nowiniarze za to, co „Kurjer“ pisze, mnie winują, lecz najniesprawiedliwiej, gdyż ja nad „Kurjerem“ żadnej zgoła władzy nie mam. Gdybym ją miał, „Kurjer“ w jednym dniu by się zmienił. Wszelako ja słusznie winuję Najprzewielebniejszego Arcybiskupa za to, co „Nowiny“ ogłaszają, gdyż Najprz. arcybiskup ma pełną władzę nad „Nowinami“. I ja winuję Msgra Rainera jeszcze bardziej, gdyż on rozumie po polsku, podczas gdy arcybiskup musi sądzić z tego, co słyszy. Odebrać mi dobre imię i zabić mnie społecznie, oto, do czego zmierzają nowiniarze. Nie wchodzi w rachubę to, co ja robię. Jeśli składam ofiary na bibljotekę lub kościół, to „Nowiny“ mnie nazywają przekupcą lub błaznem. Jeśli się modlę, to „Nowiny“ mnie przedstawiają ogółowi jako faryzeusza (18 września 1912). Nowiniarze bojkotują mnie, gdzie mogą. Towarzystwo Literackie w St. Francis co rok zapraszało członków honorowych na przedstawienie teatralne, lecz mnie nie zapraszało. Nietylko to, ale teraz nawet w „Nowinach“ ogłasza to ogółowi, że jedynie „ks. Kruszka nie został zaproszony“. Tak więc Msgr. Rainer, głowa seminarjum, uczy już młodych studentów wyróżniać i poróżniać księży“.

29. Biskupie zakazy i klątwy były wodą na młyn hodurowego kościoła narodowego. — Niemiecka miarka się dopełniła i przebrała.

W dzień Dziękczynienia 28 listopada 1912 arcybiskup Weber w moim kościele bierzmował 389 osób. W roku 1912 do pierwszej komunji było 116 dzieci. W ośmioklasowej szkole było 638 dzieci. Chrztów było 395. Ślubów 130. Pogrzebów wielkich 38, dzieci 42. Towarzystw było 17, ośm więcej niż poprzedniego roku. Długu spłaciliśmy 7,000 dolarów. Z „Księgi Ogłoszeń“ widać, że w tym

krytycznym roku 1912 szczególnie te dwie prawdy wpajałem w umysły parafjan: 1) Zło wylało się z brzegów. Jak złemu tamę położyć? Mocy złego przeciwstawić moc dobrego! 2) Idąc za hasłem „nie płacić" niektórzy posunęli się tak daleko, że długów nie płacą swoim doktorom, aptekarzom, grosernikom, rzeźnikom i salunistom. Kto czyta „Kurjera", temu biskup może dać rozgrzeszenie. Ale kto długów swoich nie chce płacić, temu ani sam papież nie może dać rozgrzeszenia. (I Księga Ogł., str. 100.)

Wiele pogrzebów w tym roku klątew nie odbyło się z kościoła dlatego, że zmarli oskarżeni byli o czytanie „Kurjera" lub należenie do Federacji. Ale za to hodurowski kościół narodowy miał pogrzebów tyle, że musiał powstać nowy Narodowy Cmentarz w Milwaukee. Zakazy pogrzebów bezpodstawne udaremniałem o ile mogłem. Np. jeden zakaz biskupi udaremniłem w ten sposób. Umarł 60-letni Błażej Marciński, rodem z Wysoki z Poznańskiego, opatrzony sakramentami. Arcybiskup zakazał mi go pogrzebać, bo „słyszał", że Marciński należał do Federacji. Odpowiedziałem, że dowód „ze słychu" nie jest żadnym dowodem. Arcybiskup wtedy pozwolił mi go pogrzebać, ale pod warunkiem, że wpierw publicznie ogłoszę, iż Marciński nie należał do Federacji. Przybiłem więc do frontowych drzwi kościoła mego następujące ogłoszenie:

Do wiadomości publicznej.

Z polecenia arcybiskupa ogłaszam, że ś. p. Błażej Marciński o ile mi wiadomo nie należał do żadnej zakazanej Federacji.

X. Wacław Kruszka, proboszcz.

Milwaukee, 16 czerwca 1912.

Ogłoszenie to wisiało na drzwiach kościoła tak długo, aż pogrzeb się odbył. Wtedy je zdjąłem i schowałem do mojej teki, w której dotychczas spoczywa. W podobnych wypadkach nie chodziło tylko o uczciwy pogrzeb jednostki, ale chodziło o utrzymanie całej rodziny, gromady dzieci i wnuków przy Kościele. Klątwa r. 1912 razem z kąkolem wyrwała dużo pszenicy. Wielu na zawsze przepadło dla Kościoła za to, że „naszemu ojcu albo dziadusiowi odmówiono pogrzebu, bo się upominał o biskupów polskich i czytał gazetę polską".

Nowy rok 1913 zaczął się również zakazami pogrzebów, ale skończył się zamianowaniem biskupa polskiego w Milwaukee.

Dnia 24 stycznia 1913 umarła zacna i poczciwa Kaszubka, Anna Stoltz, matka ośmiorga dzieci, opatrzona sakramentami. Arcybiskup zakazał mi ją pogrzebać, bo jej mąż miał skarżyć księdza, franciszkanina, przed sądem cywilnym. Zaraz na drugi dzień 25-go stycznia 1913 arcybiskup przysłał mi taki list: „Wielebny Panie! Niniejszem surowo ci zakazuję udzielić pogrzebu katolickiego pani Annie Stoltz, żonie Jana Stoltza, który wytoczył skargę ks. L. Nowakowi i który dlatego razem ze swoją żoną został powstrzymany od przyjmowania sakramentów kościelnych. Mówią, żeś ty ich obydwóch przypuścił do sakramentów, wiedząc bardzo dobrze, kim oni są. Jeśli tak było rzeczywiście, toś szkaradnie zgwałcił twój kapłański obowiązek i charakter. Spodziewam się dla twego własnego dobra, że ta pogłoska nie jest prawdziwą. Twój w Chrystusie † S. G. Meßmer, Abp.“

Udaremniłem ten zakaz taką odpowiedzią: „Najprzewielebniejszy Arcybiskupie! Ponieważ w tym wypadku, podobnie jak w wielu poprzednich wypadkach, zignorowałeś tę fundamentalną zasadę prawa kościelnego: Niech będzie przesłuchana i druga strona — przeto czuję się na serjo kuszonym zignorować twój zakaz w tym poszczególnym wypadku, jako nie oparty na faktach. A więc żądam przesłuchów mojej strony w interesie sprawiedliwości dla zmarłej pani Stoltz. Żeś ty, arcybiskupie, cenzurą „ab homine“ powstrzymał Stoltzów od Sakramentów, o tem dowiedziałem się dopiero zeszłej soboty 25 stycznia, kiedyś mi nadesłał ów zakazujący list. Pan i pani Stoltz, widząc swoje dziecko mocno pokaleczone i sądząc zapewne, że to była wina księdza Nowaka, poszli najpierw do ks. Nowaka. Tam ich nie odstraszano lecz owszem zachęcano do szukania sprawiedliwości gdzieindziej. Tak więc poskarżyli się u probacyjnego urzędnika, który ich odesłał do prokuratora miejskiego. Prokurator miejski powiedział im, żeby podpisali swoją skargę i oni podpisali, nie myśląc nic złego. Całą ich myślą było uzyskać sprawiedliwość i zapobiec dalszemu złemu traktowaniu swego ulubionego dziecka. Miej to na uwadze, że oni nigdy o tem nie myśleli, iż takiem postępowaniem przekraczają prawo kościelne lub popadają w cenzurę. Oni po prostu wówczas byli zupełnie nieświadomi takiej cenzury — jakże mogli w nią popaść? Kiedy prokurator miejski rozpoczął proces przeciw ks. Nowakowi i Stoltzowie zostali z ambony ogłoszeni jako wyklęci, oni zrazu śmiali się z tego, gdyż byli przekonani, że oni nikomu krzywdy nie uczynili lecz że przeciwnie oni, względnie ich dziecko, doznało krzywdy.

Ale skoro tylko się dowiedzieli, że ci, którzy skarżą księdza, popadają w cenzurę, zaraz gorzko płakali. I w takiem usposobieniu przyszli do mnie. Wycofajcie skargę — powiedziałem im. My nie możemy — odpowiedzieli. Czemu? Bo prokurator miejski nie chce jej wycofać. Wtedy sam napisałem do prokuratora. Co prokurator mi odpisał, czytaj, arcybiskupie. Jego list tu załączam. Ten własnoręczny list prokuratora miejskiego dowodzi jasno: 1) że Stoltzowie nie mogli wycofać skargi; 2) że Stoltzowie nie byli skarżącymi lecz tylko świadkami w tej sprawie. A jako tacy więc nie mogli popaść w żadną cenzurę kościelną. I takiem było powszechne mniemanie. Nawet ściśle katolickie „Stowarzyszenie Polaków w Ameryce" uważa Stoltzów za dobrych członków Kościoła, jako to załączony dokument poświadcza. Rzecz ostateczna lecz nie najmniejsza jest ta, że pani Anna Stoltz przed swoją śmiercią chciała się widzieć ze swoim przeciwnikiem ks. Nowakiem; a że się nie widziała z nim, to nie jest jej wina. Z szacunkiem przedkłada to Twój sługa w Chrystusie X. Wacław Kruszka".

Wobec wzrastającej liczby dzieci szkolnych, na rocznym mityngu powiedziałem parafjanom, żeby albo szkołę powiększyli, albo, jeszcze lepiej, nową parafję zaczęli. O tej drugiej propozycji nikt nie chciał słyszeć. Z wiosną więc r. 1913 do ośmioklasowej dotychczasowej szkoły dobudowano sześcioklasowe skrzydło za 12,000 dolarów. Dobudówka ta miała być skończona na 1 września 1913. Miałem potem jechać do Poznańskiego, aby udzielić ślubu mojej bratanicy Anieli, jak jej to przyobiecałem. Już mi arcybiskup dał „Celebret" na podróż i pisał: „Wielebny Panie! Udzielam ci pozwolenia na wyjazd i załączam „Celebret". Łaskawie daj mi znać, którym okrętem spodziewasz się wyjechać, a którym powrócić. Życząc ci przyjemnej podróży, pozostaję szczerze twoim † S. G. Messmer, Abp." (3 września 1913). Tymczasem budowniczy szkoły nie ukończyli na początek roku szkolnego, i niewiadomo było kiedy ukończą. A dzieci do szkoły przyszła taka gromada, że szkołę na gwałt trzeba było ukończyć czemprędzej. Widziałem, że nie mogę tak szkoły pozostawić. Posłałem kabelgram do Słabomierza, że nie przyjadę na ślub. A szkoda, że nie pojechałem. Byłbym był moją matkę jeszcze raz widział. Gdybym był wiedział, że na drugi rok wojna wszechświatowa wybuchnie, byłbym na pewno pojechał na ten ślub w jesieni r. 1913. Bronisław Klimek, za którego Aniela Kruszka wyszła, był potem na wojnie. Chociaż mój człowiek po tem wszystkiem, co się tu w Milwaukee działo, powinien był

przeczuwać wojnę wszechświatową. Dlaczego Pan Bóg dopuścił, że pięciu niemieckich biskupów właśnie polskie, a nie inne, parafje prześladowało ciągłymi zakazami i klątwami? Ażeby się prędzej dopełniła miarka krzywd wyrządzanych Polakom przez Niemców. Ażeby się prędzej dopełniły już Niemców miarki i przyszedł czas, że ich pobrano za karki".

30. Listy z pogróżkami suspensy. — Delegat Ap. Bonzano wytykał mi, że mnie oskarżali księża mojej własnej narodowości. — Moja odpowiedź na to. — „Kurjer" na drodze rozstajnej.

Pozory mylą. Pozory ciągle myliły nowiniarzy. Weźmy ten na pozór całkiem słuszny, a w gruncie zupełnie niesprawiedliwy zakaz z 27 maja 1913: „Wielebny Panie! Niniejszem ci zakazuję pogrzebać albo mieć pogrzeb z twego kościoła jakiejkolwiek osoby, która nie jest prawnie (de jure) parafjaninem twojej parafji, której granice wytknąłem moim listem z ostatniego kwietnia. Mówią mi, że dzisiaj masz pochować niejakiego Franciszka Wódkowskiego, który należy do św. Jacka; że jutro pochowasz Sylwestra Gurdę, który także jest członkiem św. Jacka. Żadna z tych osób nie miała prawa przyłączyć się do twojej parafji, ani ty nie miałeś żadnego prawa ich przyjąć. Powyższy zakaz niniejszem ogłaszam jako stanowczy pod karą suspensy, w którą popadniesz „ipso facto" temsamem, że się mu sprzeciwisz. Pogrzeb pana Sylwestra Gurdy jest włączony w tym zakazie. Szczerze twój † S. G. Messmer, Abp. Poświadcza: B. G. Traudt, kanclerz".

Żeby te ostre zakazy nietylko już złagodzić, ale zupełnie usunąć, wystarczyło mi pokazać arcybiskupowi książki parafjalne wyżwspomnianych osób. Te książki parafjalne czarne na białem poświadczały, że te osoby należały do mojej parafji. Więc jakiem prawem śmiał mi arcybiskup zakazać pod groźbą suspensy pogrzebać te osoby? Gdyby terytorjalne granice były jedynymi istotnymi granicami parafji, wtedy arcybiskup miałby to prawo. Ale terytorjalne granice nie były, i niestety nie są jeszcze dzisiaj, jedynymi istotnymi granicami parafji ani de facto, ani de jure, ani faktycznie, ani nawet prawnie. Bo do terytorjalnych granic wyraźnie dodano tę idealną granicę tak zwaną „declaration of intention" czyli oświadczenie, do której parafji kto ma zamiar należeć. Piśmiennem oświadczeniem tego zamiaru jest książka parafjalna. Jeśli komu, to mnie ta idealna granica nie podoba się i wcale się nie podobała

zwłaszcza wtedy, kiedym przybył do nowozorganizowanej parafji w Milwaukee. Połowa Polaków, zamieszkałych w granicach mojej parafji, należała do innych parafij, a proboszczowie tych innych parafij bez pytania brali od nich ławkowe, chrzty, śluby i pogrzeby. Bo — mówił mi wtedy arcybiskup — oni „zdeklarowali intencję" należenia do innej parafji. A zatem, arcybiskupie, co dobre dla gęsi to dobre i dla gąsiora.

Oczywiście po takich przesłuchach arcybiskup pozwolił mi pogrzebać wyżwspomnianych parafjan. Nowiniarze się wściekali. Apelowali nawet do Delegata Apostolskiego, Jana Bonzano, jak to mi Delegat sam pisał. Ale nadaremnie, gdyż Delegat nic nie zrobił, tylko odesłał tę skargę znowu do arcybiskupa. Wtedy nowiniarze zanieśli na mnie nową, ale już z gruntu fałszywą skargę. Mianowicie oskarżyli mnie o to, że pogrzeby odprawiam dla tych, którzy mają być chowani na Narodowym Cmentarzu. Było to zupełnie fałszywe oskarżenie. Jeśli jaki pogrzeb z mojego kościoła poszedł na Narodowy cmentarz, to wbrew mojej woli i wiedzy, a chyba z woli, wiedzy i namowy jakiegoś nowiniarza. Arcybiskup uwierzył czy nie uwierzył temu fałszywemu oskarżeniu; dość, że 3 listopada 1913 bez wysłuchania mojej strony nadesłał mi znowu taki list z pogróżką suspensy: „Wielebny Panie! Niniejszem zakazujemy ci, pod karą suspensy samym faktem ściąganej i zastrzeżonej Nam Samym, odprawiać czy to osobiście czy przez twego asystenta czy przez innego księdza, nawet przez proste zezwolenie, jakiebądź religijne nabożeństwo jakiegokolwiek rodzaju lub formy, dla którejkolwiek osoby mającej być pochowaną na polskim Narodowym cmentarzu, według rozporządzenia cyrkularnego w tej sprawie. To nie zabroni tobie albo innym modlić się prywatnie za dusze tych, którzy spoczęli na polskim Narodowym cmentarzu, zwłaszcza tych, którzy wbrew swojej woli tam pogrzebani zostali. Twój w Chrystusie † S. G. Messmer, Abp."

Tych groźb już mi było za wiele. Powyższy list grożący już nazajutrz, 4 list. 1913, posłałem Delegatowi Apostolskiemu z następującą uwagą: „Saul nawet Dawida tak nie prześladował, jak mnie arcybiskup Messmer prześladuje. Znowu wczoraj przysłał mi list z pogróżką i niewłaściwą insynuacją. Kopję odnośnego listu tu załączam. W tym liście arcybiskup widocznie przypuszcza, że ja albo już przekroczyłem albo chcę przekroczyć jego rozporządzenie z ostatniego roku. Proszę mojemu arcybiskupowi zwrócić uwagę na tę niewłaściwość. Gdyby arcybiskup więcej czasu poświęcił

wynajdywaniu faktów, toby oszczędził sobie kłopotu pisania listów grożących".

Delegat Ap. Jan Bonzano z Waszyngtonu 7 listopada dał mi taką **wymijającą** odpowiedź: „Wielebny drogi Panie! — W odpowiedzi na twój list z 4 b. m. pozwolę sobie powiedzieć, że od ostatniego maja księża z Milwaukee, twojej własnej narodowości, oskarżali cię w tej Delegacji o naruszanie swoich praw proboszczowskich i o przekroczenie listu okólnego z 11 października 1912. Naturalnie odesłałem ich prośbę arcybiskupowi do wykonania, a teraz rad jestem widzieć, że on powziął decyzję w tej sprawie. Ja zupełnie pochwalam jego postępowanie w tym względzie. Pozostaję wiernie twoim w Chrystusie † Jan Bonzano, arcybiskup Meliteny, Apostolski Delegat".

Na to 10 listopada 1913 odpowiedziałem jak następuje:

„Najprzewielebniejszy Delegacie! — Powiadasz, że moi oskarżyciele są mojej własnej narodowości. Czyż oskarżyciele Chrystusa nie byli Jego własnej narodowości? A dzisiaj, czyż oskarżyciele papieża nie są także Jego własnej narodowości? A jednak ten goły fakt oskarżenia mnie przez moich wrogów bynajmniej nie usprawiedliwia arcybiskupa pogróżek w liście z 3 listopada. Arcybiskup bowiem wie bardzo dobrze, że ci sami oskarżyciele w swoim dzienniku „Nowiny" opublikowali między innymi takie ohydne kłamstwa: „Ks. Kruszka nie miał powołania do kapłaństwa; on nie ma wiary, jest ateistą; z kazaniami szedł do obcej diecezji bez pozwolenia tak jak złodziej do obcego domu; dał 2,000 dolarów swojej parafji, aby wyłudzić 100,000 dolarów na swoją rozpustę" — i setki innych takich kłamstw i złośliwych insynuacyj przeciw mnie były publikowane przez tych samych oskarżycieli. I arcybiskup uważał za stosowne działać na oskarżenie takich notorycznych oszczerców! Zanim działał, z pewnością powinien był powołać mnie i moich oskarżycieli twarzą w twarz przed swój trybunał i w ten sposób dać mi sposobność bronienia samego siebie. Kłamstwo, choćby nawet pobłogosławione, nigdy nie przestaje być kłamstwem. Modląc się, żeby Bóg udzielił moim wrogom i Waszej Mości najpożądańszych łask Swoich, pozostaję uniżonym sługą w Chr. X. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wojciecha".

Owego czasu moi bracia, Michał i Józef, podupadali na zdrowiu i mówili mi, że jeśli chcę, mogę objąć kierownictwo „Kurjera Polskiego". Poprosiłem więc arcybiskupa Messmera, żeby mi pozwolił objąć kierownictwo „Kurjera Polskiego". Arcybiskup w tym

wypadku widocznie nie chciał decyzji wydać bez wysłuchania „drugiej strony". Namyślał się długo. Dnia 3 września 1913 pisał mi: „W sprawie twej prośby o „Kurjera Polskiego" napiszę ci w kilku dniach". A po kilku dniach 7 września 1913 znowu mi pisał: „Drogi Panie! — Twoja prośba o „Kurjera Polskiego" wymaga zastanowienia się nad tak wielu ważnymi sprawami, że dyskusję nad nią wolę odłożyć aż do twojego powrotu z Europy. Szczerze twój S. G. Messmer, arcybiskup". Tymczasem nie wyjechałem do Europy, pozostałem w domu; i arcybiskup nie mógł się zdecydować. Widać dalsze podtrzymanie klątwy było potrzebne dla „zjednoczenia" Polaków katolików.

31. Ks. Edward Kozłowski biskupem w Milwaukee. — Ustała walka o biskupów, ale powstała wojna wszechświatowa o niepodległość Polski.

Ks. Antoni Rudzki, mój dawny kolega z Rzymu (zobacz I tom, str. 139), który o moim pobycie w Ameryce dowiedział się z posłanego mu zawiadomienia ślubnego, dnia 5 lipca 1913 z Chobrzany, p. Klimontów, gub. radomska, pisał mi: „W Krakowie złożyłem wizytę ks. biskupowi Nowakowi i ks. Bukowskiemu, co to obydwaj towarzyszyli ks. kard. Dunajewskiemu w Rzymie. W rozmowie o przeszłości dopytywał się o kleryka, co to na Macchiavelli mieszkał. Dalejże mu dopiero opowiadać o autorze 13 tomowego dzieła i o jego parafji... Parafjanie nasi coraz więcej pchają się do Ameryki, ale po 2 latach pobytu, zdobywszy tysiąc rubli czyli 500 dolarów, powracają do kraju. Dziwna rzecz — żaden ani słowa nie umie po angielsku. Do Ameryki, do Ameryki — echo powszechne w mojej okolicy. Nawet mój organista wybiera się do tej obiecanej ziemi. Poza Mszą św. nic w kościele nie robię, bo u nas taki zwyczaj, że gdzie jest wikarjusz, tam już proboszcz na laurach spoczywa. Nie mogę się z tą myślą pogodzić, aby dwie Msze co niedziela księża amerykańscy odprawiali. Doprawdy co to musi być za męka. Szalona tam u Was musi być praca, bo i nauk tyle, spowiedzi i różności, a i w szkole zapewne wykładają religię księża. Ks. Stefan Kasperski (był przedtem we Wisconsinie) ma probostwo maleńkie, 740 dusz, Mychów, pocztę odbiera w Ostrowcu, gub. radomskiej. Kochanemu księdzu Wacławowi z pobytu w Rzymie ja jestem dłużny. Nie pamiętam czy 100 czy 50 franków. Proszę więc najuprzejmiej o łaskawe napisanie, ile ten dług wynosi, abym mu

odesłał i podziękował. Nie zrażaj się, kochany Przyjacielu, mojem lenistwem, a pisz często do nas. Mówię do nas, bo Twoje listy sąsiadom czytam, którzy mnie często nawiedzają. Uśmiałem się z indyków — aleć to moc tego w Ameryce poszła, skoro każdemu obywatelowi o to chodzi, aby w dniu Dziękczynienia miał go każdy na stole".

Monsignor Józef Antonucci, agent naszej sprawy w Rzymie, już zeszłej jesieni listem z 9 grudnia 1912 mnie zapewniał, że Milwaukee dostanie polskiego biskupa. Jeszcze bardziej mnie zapewniał tego roku następującym listem z Rzymu 11 maja 1913: „Przewielebny Księże! Mój najdroższy i najlepszy Przyjacielu! Wesołą pieśń śpiewajmy. Po nowej prośbie przez pewnego dostojnego Polaka-biskupa napisanej i Ojcu św. niedawno wręczonej nastąpi zamianowanie najzacniejszego kapłana z kleru polsko-amerykańskiego na biskupa auxiliarjusza **tej samej** archidiecezji.. To jest to „coś innego", o czem ci w liście z 9 grudnia 1912 pisałem, że Stolica Apostolska uczyni dla tej naszej już prawie dziesięcioletniej sprawy. Zaiste jest z czego się cieszyć: po Najprzewielebniejszym Pawle Rhode i drugi biskup z kleru polsko-amerykańskiego wnet będzie ustanowiony. Mocną mam nadzieję, że swego czasu będą ustanowieni i biskupi polsko-amerykańscy ze swoją własną stolicą czyli **diecezjalni:** to jest naszem gorącem i słusznem życzeniem... Twój przyjaciel i brat w Chr. Józef Antonucci".

Po tych prywatnych wiadomościach nadeszła pod koniec jesieni r. 1913 publiczna i urzędowa wiadomość, że na miejsce Koudelki przyjdzie do Milwaukee biskup polski i że nim jest Najprzewielebniejszy ks. Edward Kozłowski z Bay City, Michigan. Radość była wielka ale krótka.

W ciągu r. 1913 w mojej parafji było 462 chrztów, 172 ślubów, 39 pogrzebów dużych, a pogrzebów dzieci aż 83. W szkole z dobudowanych 6 klas cztery już były zapełnione. Sylwester Wabiszewski był skarbnikiem parafjalnym od 1908—1914. Sekretarzem parafjalnym na miejsce Michała Żulki został Władysław Szpera. Dzielnym przez te lata burzliwe asystentem był ks. Józef Platta (od 6 stycznia 1910 do 22 lipca 1916).

Ks. Edward Kozłowski został konsekrowany na biskupa dnia 14 stycznia 1914. Katedra w Milwaukee była przepełniona publicznością zwłaszcza polską. W niedzielę przed tą konsekracją ogłosiłem w moim kościele, że „kolekta dla Ojca św. będzie w przyszłą niedzielę, aby podziękować Ojcu św. za biskupa polskiego". I dzieci szkolne złożyły od siebie ofiary dla Ojca św. Te ofiary od dzieci

i parafjan posłałem Ojcu św. Piusowi X wprost do Rzymu wraz z listem dziękczynnym. Po konsekracji biskup Kozłowski był uroczyście przyjmowany we wszystkich kościołach polskich. Nasze Wojciechowo przyjmowało go 24 marca 1914. Program w niedzielę przedtem ogłosiłem taki: „Na przywitanie biskupa polskiego towarzystwa niech się stawią we wtorek wieczór o 7 godzinie na rogu ulic Forest Home i 11 avenue. Pójdą 11 avenue i Becher ulicą. Domy oświetlone będą lampionami. Biskup wejdzie do plebanji, ubierze się w szaty biskupie, potem zaraz wprowadzony będzie do kościoła, wypowie kazanie, po kazaniu błogosławieństwo". Co narodu zebrało się w ten wieczór 24 marca 1914! Zdawało się, że całe Milwaukee wyszło na przywitanie biskupa polskiego. W dzień św. Wojciecha 23 kwietnia 1914 biskup Kozłowski odprawił uroczystą Mszę pontyfikalną. W dzień Dziękczynienia bierzmował 548 osób; podczas gdy arcybiskup Messmer bierzmował przez następne siedm lat zaledwie 472 osoby. Biskup Kozłowski, chociaż był biskupem bez juryzdykcji nad Polakami, to jednak całem postępowaniem swojem dał dowód, że jest faktycznie **biskupem dla Polaków.** I gdyby był dłużej żył, byłby niezawodnie wystarał się i o pełną juryzdykcję nad Polakami według swego ideału, jaki wyraził w swoim odczycie na wiecu w Detroit. Chciał słusznie, żeby wszelkie polskie sprawy i zatargi jemu przedkładano, bo dla kogo on został biskupem jeśli nie dla Polaków? Za to był często denuncjowany i niemile widziany w kancelarji arcybiskupiej. Rolę denuncjanta odgrywał znany nowiniarz. Nawet to, że mnie „za często" odwiedzał, za złe mu brano.

Z zamianowaniem biskupa polskiego w Milwaukee oczywiście ustała agitacja o biskupów polskich wogóle, przynajmniej w Milwaukee. I zakazy pogrzebów także ustały. Ale za to wybuchła tegoż roku 1914 wojna wszechświatowa. A wtedy już nikt z Polaków w Ameryce nie myślał o sprawie biskupów polskich. Walka o biskupów polskich zupełnie ucichła, bo zaczęła się teraz walka o sprawę daleko ważniejszą — o niepodległość naszej macierzy Polski. Skoro tylko ta wojna wszechświatowa wybuchła z dniem 1 sierpnia 1914, zaraz kazałem wszystkim ludziom w kościele śpiewać co niedzielę po sumie „Boże coś Polskę". Taksamo na Mszy dzieci. Jak rzewnie śpiewały tę pieśń zwłaszcza dzieci, opisać się nie da. Trzeba było słuchać, jak ten tysiąc dzieci polskich, choć już tu w Ameryce urodzonych, wzruszająco śpiewał te słowa: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!" Ten silny a rozczulający

głos tysiąca niewinnych dziatek polskich musiał być w niebie słyszany i — wysłuchany. Śpiewają tę pieśń do dziś dnia, tylko ze zmienioną ostatnią zwrotką: Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie! Oczywiście, kiedy wojna wybuchła, każdy prawy Polak w Ameryce modlił się, żeby Niemcy przegrali.

Tymczasem arcybiskup Messmer w liście pisanym do swego kanclerza wielebnego Traudta, a ogłoszonym w gazetach, kazał się modlić, żeby Niemcy wygrali.

Co myśli sama Polska? Komu życzy zwycięstwa? Od kogo się spodziewa i czego się spodziewa? czy tylko Kongresówki czy też złączenia wszystkich ziem polskich? — Na te żywotne pytania wówczas Polska sama odpowiedzi dać nie mogła, bo jak przez półtora wieku tak i wówczas zakneblowane miała usta niewolą. Skoro Polska na te pytania, stawiane jej przez przyjazne narody sama odpowiedzi dać nie mogła, więc obowiązek ten spadał na jej wolne wychodźtwo, a przedewszystkiem na nas Polaków w Ameryce, obywateli wolnego kraju, który zawsze stawał w obronie prześladowanych i uciśnionych. My tylko, wychodźcy polscy z pod wszystkich trzech zaborów pochodzący, swobodnie, a w imieniu całej Polski otwarcie do całego świata zawołać mogliśmy, że Polska żąda i żądać musi złączenia wszystkich swych ziem, wolności i niepodległości, bo wszystko inne to tylko dalszy ciąg zbrodni przed półtora wiekiem dokonanej na żywym narodzie. Ale ten głos wychodźtwa musiał być głosem zbiorowym, głosem zorganizowanego wychodźtwa. Że wychodźtwo taki głos zbiorowy zabrało, zasługą to pana Ignacego Paderewskiego, który je zorganizował najpierw w „Polski Centralny Komitet Ratunkowy w Ameryce", a potem w „Wydział Narodowy Polski w Ameryce". Bez tego zbiorowego głosu wychodźtwa Polska możeby była powstała, ale nie cała, zjednoczona i niepodległa. Dlatego pan Ignacy Paderewski to prawdziwy ojciec ojczyzny wyzwolonej, pater patriae restitutae.

32. Mnie był wstęp wzbroniony ale nie moim dolarom. — Do diecezji Superior także zaproszono moje dolary, ale nie mnie; owszem skłamano przed ludźmi, że mnie zaproszono. — Straż wypędza ludzi z kościoła.

Zorganizowana przeze mnie parafja św. Jozafata w Oshkosh, Wis., znajdowała się roku 1915 w kłopocie finansowym. Pan Zawadzki zażądał swych pieniędzy natychmiast, a parafja nie mogła ich zaraz spłacić. Więc zaskarżył parafję przed sądem cywilnym.

Monsignor P. J. Lochman, wikarjusz generalny diecezji Green Bay, 23 września 1915 pisał mi, żebym parafję wybawił z kłopotu i zapobiegł skandalicznemu procesowi sądowemu. Dałem wtedy tysiąc dolarów parafji w Oshkosh. To ją odrazu wybawiło z kłopotu. Do diecezji Green Bay mnie wstęp był wzbroniony, ale nie moim dolarom! Mnie nie było wolno zapraszać do tej diecezji i nadal, ale moje dolary wolno było zapraszać każdej chwili.

Daleko w północnym Wisconsinie, w powiecie Rusk, około 50 rodzin polskich założyło nową osadę, którą nazwali Częstochową. Byli bez kościoła. Zwrócili się do mnie o pomoc. Pojechałem tam i oglądałem ich budki wśród niewykarczowanych lasów. Byli to prawdziwi pionierzy, co z siekierą w ręku torowali drogę cywilizacji. Wszystko było w dzikim, prymitywnym stanie. Dałem im tysiąc dolarów; oni dołożyli dwa tysiące i pobudowali sobie kościołek na wzgórzu wśród lasu nad rzeczką. Ks. Wacław Kolman, rodem z Łodzi, opiekował się Częstochową i donosił mi o postępie roboty przy budowie kościółka. Młody ten i sympatyczny kapłan, mieszkający w Catawba, Wis., pisał mi, że kiedy kościół będzie ukończony nie omieszka mnie zawiadomić i zaprosić na uroczystość poświęcenia kościoła. Minęło kilka miesięcy. Wśród licznych zajęć byłbym zapomniał o Częstochowie, gdyby do mojej plebanji nie był przyszedł nowy parafjanin, który się przeprowadził właśnie z Częstochowy, Wis.

— A kiedy ukończą kościół w Częstochowie? — zapytałem go.

— Kościół w Częstochowie już dawno ukończony i w maju 1916 został poświęcony przez biskupa Koudelkę. Czy ks. proboszcz nie wiedział o tem?

— A skąd miałem wiedzieć?

— Przecież ks. proboszcza zaproszono na poświęcenie.

— Nie zaproszono mnie.

— Jakto? A nam biskup Koudelka kazał powiedzieć, że księdza zaproszono, ale że ksiądz odpowiedział, że niema czasu przyjechać. Myśmy wszyscy księdza oczekiwali.

— To nieprawda. Takiej odpowiedzi nie dałem i nie mogłem dać, bo mnie nikt nie zaprosił.

Później przyjechała osobna delegacja z Częstochowy do mnie i pytała, czy naprawdę nie dostałem zaproszenia. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nie powiedziano im otwarcie, że mnie nie zaproszono; tylko bezczelnie skłamano im, że ja na zaproszenie odpo-

wiedziałem, iż nie miałem czasu przyjechać. W jakiś czas potem ze Superior, Wis. stolicy biskupa Koudelki, otrzymałem list z prośbą o pieniężną ofiarę na jakąś instytucję. Wtedy odpowiedziałem tak: „Postanowiłem sobie nie posyłać więcej pieniędzy do diecezji Superior, ponieważ tam są nietylko podli ludzie ale kłamcy na czele tej diecezji. W r. 1915 darowałem tysiąc dolarów na budowę kościoła w Częstochowie, powiat Rusk. I kiedy kościół stanął i nadszedł dzień poświęcenia jego — coś w maju 1916 — postąpiono już dosyć podle, że mnie nie zaproszono na to poświęcenie. Ale to nie wszystko. Bo nadto w dodatku ludziom w Częstochowie, oczekującym mojego przybycia na poświęcenie, powiedziano, że „ja byłem zaproszony na to poświęcenie, lecz że odpowiedziałem, iż nie mogę przybyć". Gdzie jest duch kłamstwa, tam nie może być Duch Święty, duch prawdy".

Wskutek zakazów i klątew parafja polska w Ripon, Wis., podupadła finansowo. Kiedy się dowiedziałem, że arcybiskup Messmer dla braku funduszów chce zamknąć szkołę polską w Ripon, błagałem i prosiłem, żeby tego nie czynił, że ja będę opłacał koszta utrzymania tej szkoły tak długo, aż parafja się podniesie finansowo. Pomimo to arcybiskup zamknął szkołę polską w Ripon i do dziś dnia jej nie otworzył, pomimo, że parafja pod sprężystym zarządem ks. Józefa Platty stanęła na silnym fundamencie finansowym. Budynek szkolny od 7 lat stoi próżny.

W jesieni r. 1916 było dwóch głównych kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Był Wilson i Hughes. Ten ostatni skłaniał się ku Niemcom. Polakom więc nie można było nakazać agitacji za Hughes'em. A zakazać agitacji za Wilsonem także nie wypadało. Trzeba było wybrać pośrednią drogę. Żeby Hughes'owi pomóc, a Wilsonowi zaszkodzić, wystarczyło zakazać wszelkiej agitacji. Otóż przed wyborami:

Dnia 25 października 1916 arcybiskup Messmer rozesłał księżom taki okólnik: „Wielebny Drogi Panie! — Księżom archidiecezji Milwauckiej podaję niniejszem do wiadomości, że im ostro zakazuję, pod karą suspenzy ipso facto, brać udział jakikolwiek czy słowem czy pismem w jakiejbądź publicznej dyskusji, którejkolwiek sprawy, należącej do obecnej politycznej kampanji w narodzie lub stanie. Takie publiczne mieszanie się do polityki, nie mającej bezpośrednio z religijnymi interesami nic wspólnego, było już zakazane 30 lat temu przez Trzecie Plenarne Koncyljum Baltimorskie. Bardzo szczerze Twój † S. G. Messmer, Arcybiskup".

Roku 1913 w moim kościele jedna suma nie wystarczała, trzeba było odtąd mieć dwie sumy, o 10 i 11 godzinie. Roku 1915 dwie sumy nie wystarczały, trzeba było odtąd mieć trzy sumy o 10, 11 i 12. Zmusiła nas do tego miejska straż pożarna, która widząc ganki i korytarze przepełnione, groziła nam zamknięciem kościoła, jeśli więcej mszy nie urządzimy. Straż pożarna ludzi stojących w gankach i na korytarzu poprostu bez ceremonji wypędzała na dwór. Kto nadsyłał straż pożarną do mojego kościoła? nie wiem. Dość. że Hodura gazeta ogłosiła, że to ja sam sprowadziłem straż pożarną i kazałem wypędzać ludzi z kościoła. I ludzie jeszcze „tacy głupi, że idą do rzymskiego kościoła!" Wielu uwierzyło temu drukowanemu słowu w gazecie Hodura i poszli do narodowego obozu. Oto przykład: Pewien parafjanin z narodowego zboru przyszedł do ks. dziekana Celichowskiego i prosił go, żeby pochował jego 15-letnią córkę, która do pierwszej komunji przystąpiła była w moim kościele. Zapytał go ks. Celichowski:

— A z której parafji jesteście?

— Z narodowej.

— Czy i jaki ksiądz zaopatrzył ją na śmierć?

— Narodowy.

— I dlaczego chcecie, żeby była pochowana z katolickiego kościoła?

— A bo to tak było. Ta nasza córeczka, kiedy ciężko zachorowała, prosiła o księdza, ale katolickiego, a nie narodowego. Myśmy ją oszukali, bośmy zawołali do niej księdza narodowego, a powiedzieliśmy jej, że to nowoprzybyły ksiądz katolicki. Ona uwierzyła temu, wyspowiadała się, przyjęła wijatyki i ostatnie olejem namaszczenie. Przed śmiercią prosiła jeszcze, żeby ją pochować z kościoła katolickiego, a nie narodowego. Obiecaliśmy jej i to, bo myśleliśmy, że nie umrze. Ale kiedy nam umarła, tak tej ostatniej jej woli nie śmieliśmy już więcej się sprzeciwić i dlatego chcemy, by była pochowana z katolickiego kościoła.

— Jeśli tak jest, to wasza córka będzie pochowana z kościoła katolickiego. Ale czemu wy należycie do kościoła narodowego?

— Bo ks. Kruszka kazał straży pożarnej powypędzać nas z kościoła.

Dopiero ks. dziekan Celichowski wytłumaczył mu, że to podstępne kłamstwo gazet hodurowych. I nie tylko córka była pogrzebana z kościoła katolickiego, ale i zbałamuceni chwilowo rodzice jej powrócili na łono Kościoła katolickiego.

Więc od r. 1915 w niedziele i święta obowiązkowe było zawsze 6 Mszy, t. j., o godz. 5, 8, 9, 10, 11 i 12, na każdej kazanie; a później ośm: o 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11 i 12, na każdej kazanie. Potrzebowałem więc koniecznie dwóch stałych asystentów, a miałem często tylko jednego albo półtora (drugiego przygodnego) chociaż nasza parafja św. Wojciecha płaciła w całej archidiecezji najwyższy podatek katedralny i seminaryjny, najpierw 937.50, a potem 1,500 dolarów rocznie. Do połowy lipca 1916 był dzielny stały asystent ks. Józef Platta. Dnia 15 lipca 1916 uwiadomił mnie arcybiskip o zmianie asystenta: „Wielebny Panie! Zamianowałem ks. Plattę proboszczem parafji św. Wacława w Ripon. Na jego miejsce zamianowałem ks. Cytronowskiego jako Twojego asystenta. On jest na razie jedynym polskim księdzem w naszej diecezji bez polskiej parafji i właśnie teraz nie mam nikogo innego, któregobym Ci mógł przysłać. Mam nadzieję, że obydwaj potraficie żyć w zgodzie i pracować w przyjaźni razem dla duchownego dobra parafji. Szczerze Twój † S. G. Messmer, Abp.“

Do tej stałej pomocy, która mi nieraz stała się niemocą, musiałem przybierać przygodnych pomocników i tak ks. Jana Blechacza od 1 maja 1915 do 1 sierpnia 1916, starego i schorzałego ks. Jana Gratzę od 22 lipca do 20 września 1916, wreszcie ks. Józefa W. Szyperskiego od 20 września 1916 do 1 lipca 1918. Entuzjastyczny Konstanty Małek był organistą od początku parafji aż do 15 marca 1917.

33. Biedny i chory kapłan bez biskupa. — Z 20 bratanków i siostrzeńców w wojnie 7 padło. — Śmierć matki. — Dwojakie powstanie listopadowe w r. 1916.

Stanowiska tych moich asystentów arcybiskup listem z 22 lipca 1916 tak określił: „Ks. Cytronowski jest regularnie ustanowionym asystentem św. Wojciecha w miejscu ks. Platty. Jeśli ks. Blechacz nie chce pozostać, to może iść dokąd mu się podoba. Dopóki nie będę mógł znaleść kogo innego, pozwolę ks. Gratzy odprawiać Mszę w Twoim kościele i pomagać w konfesjonale, lecz tylko przez następne 30 dni. Potem on powinien wrócić do swojej własnej diecezji“.

Otóż ks. Blechacz nie chciał dłużej pozostać głównie dlatego, że ks. Cytronowski abonował niemiecką gazetę i sympatyzował z kajzerem. A ks. Gratza, dochodzący już Dawidowych lat 70, nie-

bawem nagle zachorował tak ciężko, że musiałem go natychmiast posłać do szpitala P. Marji, powiadomiwszy o tem arcybiskupa. Kto miał za niego szpital opłacać? Arcybiskup pisał mi 15 września 1916: „Radziłbym ks. Gratzy udać się do Szpitala ś. Alexego w Chicago i natychmiast zawiadomić swojego biskupa, że on tam jest i że biskup ma z braciszkami umówić się co do zapłaty". Ks. Gratza był 45 lat temu wyświęcony dla diecezji Alton, Illinois. Lecz, że w tej diecezji nie było polskiej parafji, za pozwoleniem swego biskupa z Alton poszedł do innych diecezyj pracować wśród Polaków. Pobudował nie jeden kościół polski. I dopóki miał zdrowie i siły, miał i biskupów, którzy go do pracy brali. Ale teraz, kiedy na starość siły go opuściły, opuścili go i biskupi. Jego własny biskup z Alton nie chciał za niego opłacać szpitala z tego powodu, że ks. Gratza w jego diecezji nie pracował. A biskupi, w których diecezjach pracował, nie chcieli za niego płacić dlatego, że do ich diecezji nie należał. Napisałem więc 21 listopada 1916 do Delegata Apostolskiego, żeby ten swoją powagą wpłynął na biskupa z Alton do zapłacenia kosztów szpitala i zaopiekowania się schorzałym starcem. Lecz Delegat Ap. Jan Bonzano z Waszyngtonu 1 grudnia 1916 taką mi dał odpowiedź: „Wielebny Ojcze! — Otrzymałem Twój list z 21 listopada, w którym mnie prosiłeś w imieniu księdza Gratzy, ażeby diecezja Alton zapłaciła szpitalowi P. Marji za opiekę daną mu w jego chorobie. W odpowiedzi pozwolę sobie powiedzieć, że gdyby to była sprawa sprawiedliwości dla diecezji spełnić ten obowiązek, to bym chętnie zajął się tą sprawą, ale ponieważ to jest tylko sprawa dobroczynności, w wypadku księdza Gratzy, i ponieważ z innych podobnych wypadków wiem, że biskup z Alton nic nie uczyni w tej sprawie, podając za powód to, że diecezja niema funduszów na ten cel, przeto myślę, że nie opłaci się tej sprawy mu przedkładać. Z dobrymi życzeniami pozostaję szczerze Twoim w Chrystusie † Jan Bonzano, Arcybiskup Meliteny, Apostolski Delegat". Oto powierzchowne załatwienie sprawy.

Tak więc ks. Gratzę pozostawiono opiece Boskiej. Odpisałem Delegatowi Apostolskiemu, że wypadek ten to nowy dowód potrzeby diecezyj polskich, któreby opiekę nad biednymi i chorymi księżmi polskimi uważały za sprawę słuszną i **sprawiedliwą**, a nie za dobroczynną tylko. Delegat Ap. Jan Bonzano nie odpowiedział mi na to. Wobec innych księży nazwał mnie radykałem. Pewnie, jeśli gruntowne załatwienie sprawy nazwiemy radykalnem. Sprawa nigdy nie jest załatwiona, dopóki gruntownie nie jest załatwiona.

Mając znowu tylko jednego asystenta, zmuszony byłem brać niemieckich księży do pomocy. Była to pomoc jedynie w odprawianiu Mszy św., zwłaszcza w niedziele, ale nie w słuchaniu spowiedzi, w kazaniach i nauce w szkole. Zgłosił się wówczas do mnie ks. Józef Szyperski, który gorliwie pomagał, a nawet koncert urządził na dochód parafji. Ale ponieważ ks. Szyperski był z obcej diecezji (Altona, Pennsylvania), arcybiskup z początku nie chciał mu pozwolić pracować w swej archidiecezji (listem z 15 września 1916). Odpowiedziałem tak: Dla polskiej parafji lepszy jest polski ksiądz z obcej diecezji aniżeli niemiecki z własnej. Dopóki nie dostanę drugiego polskiego księdza, proszę pozwolić ks. Szyperskiemu pracować u mnie. I arcybiskup pozwolił.

Z pola walki wszechświatowej otrzymywałem liczne pocztówki z fotografjami od moich **bratanków i siostrzeńców,** których coś 20 walczyło w armji niemieckiej: Adam i Leon Kruszkowie z Gniezna; Franciszek, Stanisław, Antoni i Wincenty Kruszkowie z Krośna pod Wągrówcem; Wacław, Tadeusz, Leon i Wincenty Kruszkowie ze Sławomierza; Edmund i Stefan Kruszkowie z Poznania; Bronisław Kośmider z Wągrówca; Włodzimierz i Jan Domagałowie z Dziekanki pod Szubinem; Wacław i Józef Pieniążkiewicze z Wolwarku pod Szubinem; Jan, Wincenty i Sylwester Domagałowie z Dochanowa; Wacław i Leopold Karpińscy z Miatek pod Trzemesznem. Nie licząc dalszych krewnych. Z 22 bratanków i siostrzeńców w wojnie wszechświatowej padło siedmiu: Wacław Kruszka po bitwach w Belgji i Francji padł 2 maja 1915 w Małopolsce pod Staszkówką blisko Rzeszowa, Dr. Wincenty Kruszka 13 marca 1916 w Słonimie, gubernji suwalskiej. Wacław Karpiński padł r. 1919 pod Nakłem wypierając Niemców. Leopold Karpiński padł r. 1920 podczas wyprawy na Kijów; dr. Wacław Pieniążkiewicz r. 1920 wzięty przez bolszewików do niewoli i zamordowany. Włodzimierz Domagała padł 20 sierpnia 1920 w wojnie z bolszewikami. Jan Domagała z Dochanowa padł jeszcze r. 1915. Z 15 żyjących weteranów po wojnie Franciszek Kruszka ożenił się z Wiktorją Kabacińską i osiadł w Bieślinie pod Trzemesznem; dr. Leon Kruszka z Gniezna ożenił się z Teklą Woźną ze Środy i osiadł w Janówcu; dr. Antoni Kruszka z Krośna ożenił się z Zofją Karasiewicz i osiadł w Obornikach.

Roku 1916 Wielkanoc była w sam dzień św. Wojciecha, patrona naszej parafji. W środę po Wielkanocy 26 kwietnia 1916 umarła moja matka Józefa, licząc lat 78. Urodziła się w Słabomie-

rzu 27 marca 1838 z Michała Okońskiego i Marjanny Żylskiej. Ale wiadomość o jej śmierci doszła mnie dopiero po sześciu tygodniach. Umarła w Dziekance pod Szubinem u mojej siostry Heleny Domagały. Najmłodsza moja siostra Jadwiga Śmierzchalska z Polskiego Krusina czyli Lipnik pod Bydgoszczą w liście markowanym „Auslandstelle Coeln-Douts — opened by Censor" półtora miesiąca w drodze będącym tak mi opisała ostatnie chwile matki: „Drogi Bracie! W sobotę, 29 kwietnia pochowaliśmy naszą ukochaną matkę. Nie doczekała Twoich odwiedzin, a tak pragnęła widzieć się z Tobą. Dosyć się nacierpiała, ale przed śmiercią kaszel zesłabł i tak powoli słabła i spała. Pieniądze, któreś jej przysłał na Imieniny (św. Józefa, 19 marca) odebrała i mówiła, że to pewnie ostatnie. Myśmy się jednak nie spodziewali, że tak prędko się zawinie. W wielką sobotę jeszcze u mnie po pokoju chodziła, a w środę po świętach skończyła. Odesłałam ją do Heleny, gdyż tam życzyła sobie być pochowaną. U nas taka bieda, możesz widzieć po tem piśmie i papierze. Tu świni nie wolno zabijać. Nie do opisania, jakie tu stosunki panują. Pozdrawiam Cię serdecznie. Do widzenia. Twoja siostra Jadwiga".

Tegoż roku 1916 dnia 5 listopada Niemcy ogłosili powstanie nowej Polski. Więc kiedy w tymże miesiącu zaproszono mnie z mową na coroczny obchód listopadowy do hali Kościuszki, wtedy między innymi tak mówiłem: Rodacy! Od mówcy oczekujecie coś pewnego. Obecne zaś czasy są niepewne. Dni są złe, bo pełne niepewności i — niepokoju. Przyczyną naszego niepokoju jest właśnie niepewność. Dawniejsze czasy, choć smutne ale pewne, nie niepokoją nas tak bardzo jak obecne, zwiastujące niby to wesołą ale jeszcze niepewną przyszłość. Obecnie podwójne mamy powstanie listopadowe. Jedno smutne ale pewne, z roku 1830. A drugie wesołe ale niepewne, z tego tu roku. Dnia 29 listopada r. 1830 Polska powstała, aby wkrótce potem upaść. A dnia 5 listopada tego tu roku 1916 Niemcy nam ogłosili powstanie Polski. Dwa więc mamy powstania listopadowe. Ale to ostatnie, choć niby to radosne, napawa nas dziś większym niepokojem niż to pierwsze. Niemcy dają nam Polskę, ale na jak długo? I jaką, czy rzeczywistą czy malowaną tylko? Obawiać się należy, że **Niemcy dają nam Polskę tak jak nam dali biskupa polskiego w Milwaukee.** Biskup polski bez władzy, bez juryzdykcji, czy nas zadowolił? Nie. Tak samo Polska bez władzy i samorządu nie zadowoli narodu polskiego. (Wyjątek z mowy na obchodzie listopadowym r. 1916.)

34. Wzrost parafji św. Wojciecha. — Budowa nowej 8-klasowej szkoły. — Dalsze ataki „Nowin". — Koniec Siódmego siedmiolecia.

W owym czasie wojny wszechświatowej, widząc wszędzie upadek wiary i rządu, napisałem dwa długie szeregi artykułów, jeden o wierze i braku wiary, a drugi o rządzie i braku rządu. Jeden długi szereg artykułów moich ukazywał się p. t. „Wiara Nieustraszona" w chicagoskim „Dzienniku Związkowym", a drugi p. t. „Dar rządzenia ludźmi" w toledoskim „Kurjerze Katolickim" był później wydany w osobnej broszurce.

Parafja św. Wojciecha rosła. Tymczasowy kościół był zamały i szkoła była zamała. Połowa parafjan była za pobudowaniem najpierw kościoła, a połowa za powiększeniem najpierw szkoły. Stanąłem po stronie tej drugiej połowy parafjan. Niedawno, bo roku 1913 powiększyliśmy szkołę o sześć klas. A teraz r. 1916 już trzeba było pomyśleć o nowem powiększeniu szkoły. Tysiąc dzieci było w 14 klasach, czyli przeciętnie 70 dzieci w jednej klasie. To stanowczo za wiele. Trzeba było dobudować z ośm klas i powiększyć dom Sióstr. Arcybiskup i konsultorzy diecezjalni z początku nie chcieli na to przystać, mówiąc, że parafja ugrzęźnie w długu. Nadbudować czteroklasowe trzecie piętro radzili. Nie szło. Prawo miejskie zakazywało. Nareszcie pozwolili dobudować osobną ośmioklasową szkołę i powiększyć dom Sióstr, pod warunkiem, że zapłacimy podatek na Jozafatowo i nowego długu nie zrobimy więcej niż 15,000 dolarów. Parafja starego długu miała jeszcze blisko 40,000 dolarów — jakże tu miała podatek na Jozafatowo płacić? Więc podatek ten w sumie 1,814 dolarów i 65 centów sam z własnej kieszeni zapłaciłem, bo widziałem, że inaczej większej szkoły nie będzie. Ale jak tu zebrać fundusze na budowę, żeby nie zrobić więcej niż 15,000 dolarów nowego długu? Wychodziły mi właśnie polisy zabezpieczeniowe w Northwestern Mutual i Aetna. Wszystkie swoje pieniądze, jakie miałem, postanowiłem wrzucić w budowę szkoły i dorzucić więcej, jeżeli będzie potrzeba, choćbym miał osobisty dług zaciągnąć. Zgadzało się to z ideą przewodnią całego mego życia kapłańskiego (tom I, str. 220): nie sobie skarbić, ale ludowi, i „być ku Bogu bogatym". Jakoż budowa tej nowej szkoły kosztowała 40,000 dolarów, i trzeba mi było dać przeszło 11,000 dolarów z własnej kieszeni, żeby nie zrobić więcej niż 15.000 dolarów nowego długu parafjalnego. W zamian za to parafja zobowiązała się, jak długo będzie istniała, dawać co rok 90 dolarów na trzy

uroczyste Msze święte z asystą, jednę w rocznicę śmierci mego ojca Jana 23 sierpnia, drugą w rocznicę śmierci mojej matki Józefy 26 kwietnia, trzecią w dzień św. Wacława, względnie w rocznicę mojej śmierci. Kiedy arcybiskup i konsultorzy pozwolili dobudować tę ośmioklasową szkołę, mówili, że przez całe życie moje nie zapełni się dziećmi. Atoli już po kilku latach była przepełniona. Boć już wówczas około 6,000 dzieci polskich uczęszczało do szkół publicznych i należało pobudować dla nich więcej szkół polskich.

Tymczasem księże i biskupie „Nowiny", zwłaszcza po śmierci biskupa Kozłowskiego (7 sierpnia 1915), nie przestawały mnie atakować w dalszym ciągu. Byłem cierpliwy ale nie bierny, patient but not passive. Cierpliwość jest cnotą. A każda cnota jest czynnością, a nie biernotą. W lutym r. 1916 księże i biskupie „Nowiny" w swoich atakach na mnie tak daleko się posunęły, że ostrzegały lud przede mną w taki sposób: „Nie wierzcie waszemu proboszczowi, bo on nie ma ani za centa dobrej wiary, on skrycie prowadzi was do niezależności, a potem, skoro tylko zrobi dosyć pieniędzy, otwarcie zerwie sam i was oderwie od Kościoła!" Takim to przykładem ówczesna księża prasa przyświecała świeckiej prasie! Kiedy mi parafjanie ten nowy atak w „Nowinach" pokazali, najpierw w przedsionku kościoła wywiesiłem niektóre moje czeki i kwity tylko z ostatnich 4 miesięcy, wykazujące, ile ofiar złożyłem na kościoły rzymsko-katolickie. A potem w niedzielę 13 lutego 1916 w kościele z ambony dałem „Nowinom" następującą odprawę:

„Na korytarzu w tablicy widzicie wywieszone moje czeki i kwity, wykazujące ile w ostatnich 4 miesiącach (nie wspominając o dawnych) ofiar złożyłem na kościoły rzymsko-katolickie. Czy wywiesiłem je dla chwały własnej? Nie! Gdybym chciał się pochwalić, to byłbym je dawno już wywiesił lub ogłosił w gazetach. Lecz dla obrony mojej jako waszego proboszcza wywiesiłem je, aby odeprzeć ten nowy niecny zarzut „Nowin", jakobym ja was skrycie prowadził do niezależności. Jeżeli pisma, noszące klątwę kościelną na sobie, głoszą przekleństwa i szyderstwa z wiary, piszą kłamstwa i oszczerstwa na księży, to uważać to należy za rzecz naturalną. Pismo wyklęte to otwarty wróg Kościoła, napiętnowany jako taki. Ale jeżeli pismo, noszące aprobatę kościelną na sobie, rzuca kłamstwa i oszczerstwa na księży i parafje, to gorszem jest i niebezpieczniejszem od otwartego wroga Kościoła, bo to wilk w owczej skórze. Takiem pismem są tutejsze „Nowiny", noszące aprobatę arcybiskupa i biskupów Milwauckiej prowincji.

„Nowiny“ kłamią i oczerniają najpierw parafję naszą, pisząc, że wy niby sknery daliście na głodnych w Polsce tylko 103 dolary i 300 dolarów na guziczki patrjotyczne. Tymczasem nasza parafja św. Wojciecha dotychczas wysłała na Polskę 1,716 dolarów, nie licząc w to ofiar od pojedyńczych parafjan i pojedyńczych towarzystw, które osobno wysłały. „Nowiny“ kłamią i oczerniają potem proboszcza waszego, podsuwając mu iście szatańskie zamiary, że on, skoro zrobi dosyć pieniędzy, oderwie was od Kościoła i z parafji św. Wojciecha uczyni parafję niezależną. Nie wierzcie waszemu proboszczowi — piszą do was „Nowiny“ — bo wasz proboszcz niema ani za centa dobrej wiary. Te kłamstwa i oszczerstwa, tak widocznie błazeńskie, nie miałyby żadnej wagi ni znaczenia, gdyby „Nowiny“ nie podawały ich pod płaszczykiem aprobaty kościelnej. Ja skrycie prowadzę was do niezależności — tak głoszą „Nowiny“. Skrycie teraz, a potem, skoro tylko zrobię dosyć pieniędzy, otwarcie zerwię sam i was oderwię od Kościoła. Tu „Nowiny“ zaczepiły mnie nie osobiście, nie jako osobę tylko, lecz jako proboszcza tej parafji. Więc mam nietylko prawo do obrony ale ścisły obowiązek, t. j. w sumieniu obowiązany jestem odeprzeć niecne zarzuty nowiniarskie. A jak? Chrystus Pan własnym przykładem nas pouczył, mówiąc do faryzeuszów: „Jeśli słowom moim nie wierzycie, to moim uczynkom uwierzcie!“ Tak i ja nowiniarzom odpowiem: O mojem przywiązaniu do Kościoła uwierzcie moim uczynkom! Nie wspominając o dawnych tysiącznych sumach, jakie dałem na szkoły i kościoły rzymsko-katolickie, w ostatnich tych 4 miesiącach dałem na kościół w Oshkosh tysiąc dolarów, na kościół w Częstochowie, Rusk Co., Wis., tysiąc dolarów, na kościół litewski w Milwaukee 180 dolarów. Czyż te uczynki moje dowodzą, że ja gromadzę pieniądze? i gromadzę je w tym celu, żeby niezależny kościół założyć?... Czego chcą ci nowiniarze ode mnie? Oni chcą, żebym akcje w „Nowinach“ kupił. A skoro tego nie chcę uczynić, nie jestem katolickim księdzem, podług nich. Ci nowiniarze już tysiące ludzi oderwali od Kościoła dlatego, że ci ludzie „Nowinom“ kłaniać się nie chcieli. A teraz i mnie i was swymi kłamstwami chcą oderwać od Kościoła. Zczezną, a nie doczekają się tego. „Nowin“ nie można popierać, dopóki 1) piszą kłamstwa, 2) kłamstw nie odwołują, a co gorsza 3) są tak głupie, że myślą, iż swoje kłamstwa pokryją aprobatą kościelną. Kłamstwo jest kłamstwem, choćby było pobłogosławionem“. (II Księga Ogłoszeń, str. 12.)

„Nowiny“ naiwnie myślały, że jak „Kurjera“ tak i mnie oderwią od Kościoła. I złościły się, że tego „chwalebnego“ czynu nie mogły dokazać. Samolubnym celem „Nowin“ było, zostać patentowanym **jedynym katolickim** dziennikiem w całym Wisconsinie. Tego celu dopięły. Ale żeby więc wszyscy Polacy katolicy tylko „Nowiny“ abonowali, tego nie dopięły. „Kurjer“ nie sprzeciwiał się złemu, tylko **gorszył się** ze złego, jakie „Nowiny“ szerzyły. A gorszyć się nigdy zaszczytu nikomu nie przynosi tylko hańbę. „Nowiny“ np. utożsamiały siebie z Kościołem. A „Kurjer“ także utożsamiał „Nowiny“ z Kościołem i zamiast „Nowin“ atakował Kościół, mniemając, że poniżając Kościół poniży i „Nowiny“. Nieraz z ambony ostro gromiłem „Kurjera“ za to, że brał zgorszenie od „Nowin“, Biada temu, który daje zgorszenie; ale i hańba temu, który bierze zgorszenie. Złemu dodawać złego nie trzeba. Złemu sprzeciwiać się trzeba — mocą dobrego.

Dnia 2 marca roku 1917 wśród planów włączenia Ameryki do wojny wszechświatowej i wśród planów budowy nowej szkoły skończyło się 49 lat czyli siedm siedmioleci. Ale nie skończyła się walka i praca, bo nie skończyło się życie. Poranek i południe życia skończyłem, a gdzie podwieczorek i wieczór życia? (Porównaj I tom, str. 27.) Wiosnę i lato życia zaledwie skończyłem, a gdzie jesień życia?

KONIEC SIEDMIU SIEDMIOLECI.

SKRÓCONY SPIS RZECZY

TOM II.